BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

4767/68

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1857.

NOWA SERYA.

Tom czwarty.

WARSZAWA.

W DRUKARNI GAZETY CODZIENNEJ,

przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 617, w dawnéj Bibliotece Załuskich.

1857.

4620. 1857. 4
II

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawom przepisanéj liczby exemplarzy.

Warszawa, dnia 10 (22) Września 1857 r.

Cenzor, RADCA DWORU
Stanisławski.

30.000 r

X-14167
4620/II 4.
1857

NAGROBEK

BOLESŁAWA CHROBREGO.

Wyciąg z dzieła do druku przygotowanego:

Opis historyczny kościołów, klasztorów, szkół parochialnych szpitali i innych zakładów dobroczynnych w dawnéj dyecezyi poznańskiéj.

PRZEZ

J. Łukaszewicza.

Wydając w roku 1838 Obraz historyczny miasta Poznania powiedziałem w tomie drugim, na stronie 104, że nagrobek Bolesława Chrobrego, znajdujący się niegdyś w kościele katedralnym poznańskim wraz z jego napisem, uważam za niezgrabny wymysł XIVgo lub XVgo wieku. To samo powtórzyłem w roku 1840 na zapytanie Michała Wiszniewskiego: co trzymam o nagrobku tego monarchy? (Patrz Wiszniewskiego Historya literatury polskiéj, tom I strona 434 i następne). Zresztą nagrobek ten z napisem jego poczytywałem i poczytuję za rzecz tak małéj pod każdym, mianowicie zaś historycznym względem wagi i wartości, iż podziwienia mego zataić nie mogę, że potrafił zająć i zajmuje dotąd głowy i pióra tylu znamienitych badaczy dziejów kraju naszego, od Czackiego i Lelewela począwszy, aż do Bielowskiego. Wszystko bowiem, co bar-

barzyński ten napis w sobie zawiera, znaném jest z Marcina Galla, Kadłubka i Bogufała. Nie zastanawiałbym się więc i tu nad dochodzeniem czasu, w którym nagrobek wraz z napisem Bolesławowi Chrobremu w katedrze poznańskiéj położono; gdyby świeżo pp. Dominik Szulc i August Bielowski nie byli usiłowali dowieść, że nagrobek wspomniony jest współczesnym zgonowi wielkiego tego monarchy. Poruszenie przez nich na nowo téj kwestyi, pobudziło i mnie do ściślejszego zastanowienia się nad nagrobkiem Bolesława Chrobrego, a następnie i do pokazania: że nagrobku monarchy tego nie stawiał Mieczysław Gnuśny, jak chcą mieć pp. Dominik Szulc i August Bielowski, ani Kazimierz Mnich, jak się domyśla Wiszniewski: mojém zdaniem jest on dziełem czasów Kazimierza Wielkiego lub też Władysława Jagiełły. Twierdzenie to moje opieram: 1, na milczeniu kronikarzy naszych z XII, XIII i XIV wieku o wspomnionym nagrobku; 2, na niezwyczaju stawiania u nas nagrobków aż do schyłku XIV wieku; 3, na nagrobku samym; nareszcie 4, na napisie, który wiersz po wierszu rozbiorę i wykażę w nich wyrazy i treść kronik Marcina Galla i Bogufała.

Pierwszym z historyków polskich, który o nagrobku Bolesława Chrobrego wspomniał, przytoczywszy początek napisu na nim, był Sarnicki (1586 r.). Stanisław Łubieński w żywocie Marcyalisa, biskupa płockiego, na dowód, że Bolesław Chrobry w przytomności cesarza Ottona od Radzynia, arcybiskupa gnieźnieńskiego koroną królewską ozdobionym został, przywodzi w całéj rozciągłości napis nagrobku tego monarchy. (1642 r.) Z Łubieńskiego wypisał go żywcem Starowolski w swoich Monumentach Sarmatarum. Toż samo zrobili późniéj Hartknoch, Zalaszewski i Patelski (ostatni 1755 r.) Aż do naszych czasów nikt o spółczesności nagrobku Bolesława Chrobrego zgonowi tego monarchy nie wątpił. Pierwszy Lelewel, z zwykłą sobie bystrością hi-

storyka, przedzierającego najgrubsze pomroki pierwotnych dziejów krajowych, wniósł i z wyrazów niektórych w napisie umieszczanych i z godeł na samym nagrobku wyrytych, że nagrobek i napis jego jest o kilka wieków późniejszym od zgonu Bolesława Chrobrego. Przeciw zdaniu Lelewela za współczesnością nagrobku i napisu na nim zgonowi Bolesława Chrobrego, wystąpili w szranki Wiszniewski, Dominik Szulc i Bielowski. Wiszniewski zostawił rzecz nieroztrzygnioną, twierdząc, że nagrobek wraz z napisem swoim może pochodzić z XI wieku, ale też może być dziełem i późniejszych wieków. Dominik Szulc utrzymuje już wyraźnie, że nagrobek i napis na nim położył Bolesławowi Chrobremu syn jego Mieczysław Gnuśny. Mówi bowiem: „wszystkie zatém okoliczności historyczne i starożytność stylu, przemawiają za prawdziwością nagrobku położonego po zgonie najdzielniejszego z królów Bolesława Chrobrego.” Twierdzenie Szulca poparł w Bibliotece Warszawskiej na miesiąc kwiecień r. b. August Bielowski, utrzymując, że Mieczysław II (Gnuśny) położył ojcu swemu nagrobek i napis na nim; zasadzając głównie ten domysł na kopii napisu nagrobku, zrobionéj w roku 1490 przez Stanisława Streczaka, Benedyktyna w Tyńcu, a mającéj niektóre waryanty od napisu przywiedzionego przez Łubieńskiego; tudzież na zeznaniu Jerzego Merkla, złożoném w roku 1422 w sprawie Polski z zakonem krzyżackim, z któregoto zeznania wyprowadza wniosek: że pierwotny nagrobek Bolesława Chrobrego był z marmuru i daleko odmienniejszy od owego, z ktorego Raczyński rycinę zdjął i który Patelski opisał. (Na tę odmienność pierwotnego nagrobku od opisanego przez Patelskiego zgadzam się zupełnie).

Podawszy w krótkości dotychczasowy, że się tak wyrażę, stan sprawy nagrobku Bolesława Chrobrego z napisem jego, wracam do twierdzenia mego: że nagrobek ten wraz z napisem swoim jest wymysłem koń-

ca XIVgo lub początku XVgo wieku, i przystępuję do faktów, na których to twierdzenie epieram.

I. Najdawniejszy z kronikarzy polskich, Marcin Gallus, żyjący w kilkadziesiąt lat po Bolesławie Chrobrym, prawiący więcéj o najdrobniejszych szczegółach życia i potocznych sprawach tego monarchy, niż o jego czynach publicznych; Marcin Gallus, przytaczający ostatnie słowa, które Bolesław Chrobry miał do otaczających jego śmiertelne łoże wyrzec; opisujący smutek powszechny, jaki po zgonie wielkiego tego człowieka w całym narodzie panował, nic o nagrobku Bolesława Chrobrego nie wié. Gdyby już za jego czasów był istniał, nie omieszkałby był zapewne umieścić w swojéj Kronice napisu z niego od słowa do słowa. Wszakże ułożywszy sam wiersz na śmierć Bolesława Chrobrego, za cóżby nie miał rzecz już gotową, napis nagrobku, wcielić do swojéj kroniki? Byłbyto za jego czasów może jedyny krajowy pomnik piśmienny z piérwszéj połowy XIgo wieku, którymby zapewne żaden kronikarz ówczesny nie był pogardził.

Wincenty Kadłubek, żyjący w XIII wieku nie wspomina ani jedném słówkiem o nagrobku Bolesława Chrobrego.

Bogufał II biskup poznański, zmarły 1253 roku, powiada, że Bolesław Chrobry umarł w zamku poznańskim 1025 roku i pochowanym został w środku kościoła katedralnego, ale o nagrobku tego monarchy znowu w nim głucho. Bogufał bywając codziennie w ciągu lat dziesięciu w katedrze swojéj, miałżeby o nagrobku Bolesława Chrobrego i napisie na tym nagrobku nie wiedzieć? a wiedząc o nim, miałżeby do swego: ibique in medio Ecclesiae tumulatus requiescit, nie przydać: ubi nunc est lub t. p. epitaphium, lub tumba ejus. Zarzut Wiszniewskiego i Bielowskiego, że dowody z milczenia są najsłabsze, miałby niejaką podstawę, gdyby ten sam Bogufał był zamilczał także

o rzeczach daleko mniejszej wagi niż jest nagrobek z napisem w XIII wieku, np. to, że szczerbiec Bolesława Chrobrego usque ad praesens in aerario cracoviensis Ecclesiae conservetur. Kronikarz, który o szczérbcu w skarbcu kościoła katedralnego krakowskiego wspomniał, nie byłby zamilczał o nagrobku Bolesława Chrobrego i napisie o tym nagrobku w własnéj katedrze swojéj, gdyby już za czasów jego istniał; bo nagrobek z napisem nie byłby w XIII wieku rzeczą tak zwyczajną, aby uwagi kronikarza na siebie zwrócić nie miał. Bogufał nie zaniedbałby też był korzystać z napisu nagrobku i przytoczyłby z niego szczegóły, o których sam nic nie wiedział, np. że Bolesław Chrobry urodził się perfido patre, to jest z ojca poganina; że ten ojciec poganin (Mieczysław I) obciął mu włosy, gdy miał lat siedm i posłał je papieżowi do Rzymu, i t. p. Albowiem w XIII wieku kronikarz nietylko z najmniejszych skazówek i zabytków piśmiennych, ale nawet z powieści starców musiał dzieło swoje o początkach narodu klecić, bo innych źródeł nie miał. Nakoniec Bogufał znalazłby był w katedrze, lub w własnéj licznéj bibliotece (1) jaki opis piśmienny o pogrzebie Bolesława Chrobrego i położeniu mu nagrobku zaraz po śmierci. Boć rzecz badzo jasna, że jeżeli w roku 1025—1030 można już u nas było stawiać nagrobki kamienne i ryć na nich napisy, za cóżby też nie miano opisywać pogrzebów, albo za cóżby przynajmniéj nie miano zakonotować w archiwum katedralném (jakiekolwiek wówczas być mogło): Bolesław Chrobry tego a tego dnia i roku umarł, tego a tego dnia i roku położono mu nagrobek z napisem? A wszakże Bogufał o tém wszystkiem milczy, bo ani nagrobku Bolesława Chrobrego za czasów jego jeszcze nie było, ani też po-

(1) O nim mówi kontynuator jego Baszko: „Delectabatur autem nocte dieque legendo in libris sancte scripture, quorum copiam non modicam habebat".

mniki piśmienne, które miał pod ręką, o tém, czego nie było, wspominać nie mogły.

Arhidyakon gnieźnieński żyjący w drugiéj połowie XIV wieku, mieszkający o sześć mil od Poznania, wspominający bardzo często o kościele katedralnym w Poznaniu, milczy o nagrobku Bolesława Chrobrego. Kronikarz ten, który pod rokiem 1371 powiada, że piorun uderzywszy w kaplicę królewską w katedrze poznańskiéj, wizerunki króla Przemysława i żony jego na ścianie wymalowane skruszył (concussit), byłby zapewne przy téj sposobności nadmienił coś i o nagrobku Bolesława Chrobrego, gdyby już w roku 1371 istniał.

II. Aż do XIVgo wieku nie było u nas zwyczaju stawiania nagrobków nawet monarchom. Największa cześć, jaką im oddać można było, polegała na złożeniu ich zwłok w kościołach katedralnych. Otwórzmy dzieło Długosza, aż do Władysława Łokietka zmarłego 1333 roku, nie znajdziemy w niém najmniejszego śladu, aby któremukolwiek z królów lub książąt polskich nagrobek, w któréjkolwiek świątyni położono. I tak, Długosz mówi o Mieczysławie Gnuśnym zmarłym 1034 roku: „Prałaci i baronowie wyprawiwszy mu z czcią należną pogrzeb, ciało jego w grobie ojcowskim złożyli.” O Kazimierzu Mnichu zmarłym 1058 roku: „z wielką i należną okazałością w kościele katedralnym poznańskim w grobie dziada swego Bolesława piérwszego króla polskiego, obok popiołów ojca pogrzebiony”. Tak aż do Władysława Łokietka zwłoki wszystkich władzców Polski, składa Długosz bez wszelkich nagrobków, tylko zawsze maximo sumptu atque apparatu et debito justoque honore wewnątrz kościołów katedralnych: poznańskiego, krakowskiego, płockiego. Długosz, który czerpał materyały do dzieła swego, także z archiw katedralnych (pisał bowiem i żywoty biskupów kilku dyecezyj),

który katedry te na własne oczy oglądał, wiedziałby był dobrze o każdym nagrobku, któryby między latami 1025 a 1333 w kościołach katedralnych w Poznaniu, Krakowie lub Płocku dla monarchów lub też dygnitarzy świeckich albo duchownych wzniesiono. Miałżeby przykład postawienia nagrobku Bolesławowi Chrobremu zostawać bez naśladowania przez trzy całe wieki? Zajrzyjmy teraz do Starowolskiego Monumentów Sarmatarum; wnijdźmy do najdawniejszych w całéj Polsce kościołów, czy znajdziemy w nich aby jeden pomnik grobowy, rychlejszy od nagrobku Władysława Łokietka, który mu zapewne syn jego Kazimierz Wielki w ciągu długoletniego panowania swego może między latami 1340—70 wystawił? Wszystko to dowodzi, że stawianie pomników zmarłym, zaczęło w kraju naszym wchodzić w zwyczaj dopiéro ku schyłkowi XIV wieku, a zwyczaj ten upowszechnił się dopiéro ku schyłkowi XV wieku.

III. Przystąpmy teraz do samego nagrobku Bolesława Chrobrego. Najdawniejszy opis tego nagrobku jest z roku 1660 w wizycie katedry poznańskiéj przez biskupa Wojciecha Tholibowskiego odbytéj. Podług téj wizyty nagrobek składał się z jednéj płyty, na któréj spoczywała osoba Bolesława Chrobrego wyrobiona z kamienia w postawie leżącéj. Na brzegach téj płyty na okół dwiema rzędami wyryte były pismem starém i zaledwie czytelném wiersze: Hic jacet in tumba ect. Obok nagrobku stał niegdyś (t. j. dawno przed wizytą Tholibowskiego) ołtarz, lecz ten wraz z funduszami swemi przeniesionym został do kaplicy królewskiéj zwanéj Brzeźnicką (1). Płyta, na któréj wyrobiona

(1) „Tumba Boleslai Chrobri Regis Poloniae et *fundatoris Ecclesiae cathedralis posnaniensis;* stat in medio Chori majoris, olim (cum minor chorus nondum fuisset exstructus) in medio Ecclesiae cathedralis. Super eam lapidea figura regis Boleslai jacentis; habuit penes se altare, sed est translatum ad Capellam Regiam dictam Brzeźnicka cum sua fundatione. In *extremitatibus* (nie *in lateribus*) tumbae circum circa duplici ordine

była osoba Bolesława Chrobrego i wyryty napis wiadomy, opierała się na małém podwyższeniu zapewne z cegieł, bo w przeciwnym razie Tholibowski nie miałby był powodu powiedzieć, że figura Bolesława Chrobrego jest kamienna lapidea, owszem powiedziałby był o całym nagrobku tumba lapidea. Podwyższenie więc, na którém płyta leżała, nie było po bokach wyłożone kamieniem, ani też nie miało żadnych rzeźb. W cztery lata później, tojest w roku 1664 kazała kapituła napis odnowić (1); jak się domyślam, to odnowienie napisu niczém więcéj nie było, jak głębszém wyżłobieniem wytartych już dobrze liter napisu na miękkim kamieniu, ale tym sposobem napis stał się jeszcze nie czytelniejszym i musiano go przepisać na tablicę i na filarze najbliższym nagrobku zawiesić. W roku 1744 wystawiła kapituła Bolesławowi Chrobremu, gdy dawny coraz bardziéj niszczał, nowy pomnik zupełnie odmienny od dawnego. Na płycie z piaskowca spoczywała figura Bolesława Chrobrego z godłami, których na dawnym nagrobku zapewne nie było; na bokach téj płyty (nie na brzegach) umieszczono, literami już dla każdego co czytać umiał bardzo czytelnemi, wiadomy napis. Płyta sama leżała na podwyższeniu, którego ściany wyłożono piaskowcem, a na nich wyryto rzeźbę opisaną przez Patelskiego (2). Nowy ten pomnik po

sunt exarati stylo veteri et vix intelligibili versus infrascripti". Tu Tholibowski wypisał napis, który ma takie waryanty od napisu przywiedzionego przez Łubieńskiego. Łubieński ma *Polonorum i* Tholibowski *Polorum;* Łubieński w ostatnim wierszu: sit tibi *salus*, Tholibowski: sit tibi *laus*. Wiersze: *Praecidens comam. Septennii tempore Romam* opuścił Tholibowski całkiem, bądźto z nieuwagi, bądź też, że ich za czasów jego już przeczytać nie można było.

(1) „Probant etiam hoc Poloni ex antiquissimo Epitaphio, quod Posnaniae in Ecclesia cathedrali visitur, vetustissimis literis et jam vetustate detritis Anno vero 1664 renovatis, scriptum". Hartknoch str. 27, edycyi 1678.

(2) Patelski, który zdjął napisy z nagrobków w kościele katedralnym poznańskim przed rokiem 1755 znajdujących się, tak nowy nagrobek

dwudziestu dwóch latach, tojest w roku 1766 zdał się kapitule mniéj przyzwoitym (i bardzo słusznie, gdyż koronacya N. M. Panny na ścianie jednéj podwyższenia jego wyryta, nie przypadała wcale do czasów Bolesława Chrobrego). W roku więc 1766 kazała kapituła ściany podwyższenia nagrobku nowym kamieniem i z odmienną rzeźbą wyłożyć. W roku 1772, podczas pożaru kościoła katedralnego, nagrobek Bolesława Chrobrego odnowiony w roku 1766 zniszczonym został wraz z płytą z roku 1744, na któréj się figura Bolesława Chrobrego i znajomy czytelnikom napis znajdował. Patelski opisał nagrobki (a zatém i nagrobek Bolesława Chrobrego) znajdujące się w kościele katedralnym poznańskim przed rokiem 1755 (ante reparationem suam magno sumptu inhoatam anno Domini 1755 reperibilium). Opis więc jego nagrobku Bolesława Chrobrego ściąga się do nagrobku, który kapituła w roku 1744 temu monarsze wystawiła. Ten sam nagrobek z roku 1744 wystawia rycina umieszczona w dziele Raczyńskiego.

Nie ulega więc żadnéj wątpliwości, że płyta z figurą Bolesława Chrobrego i napisem we wszystkich przeobrażeniach, jakie nagrobek tego monarchy aż do roku 1744 przechodził, była zawsze jedna i ta sama, tojest zawsze z piaskowca. Sarnicki nazywa ją w roku 1586 ob reverentiam antiquitatis valde jucundum (epitaphium). Lubieński w roku 1642 mówi: że

Bolesława Chrobrego postawiony w roku 1744 opisuje: „Ejus per vetustum mausolaeum ex lapide albo secto in choro majori Ecclesiae Cathedralis posnaniensis positum in quadro cernitur; a latere meridionali circa idem sepulchrum 6 personae de lapide ss. Apostolorum, et a septemtrione pariter sex, ab oriente Annuntiatio B. V. ab *occidente coronatio* B. M. V. In summitate Effigies Boleslai regis in armis cum paludamento jacentis et in una manu Aquilam albam tenentis, in altera gladium cum pomo regali, in capite coronam de lapide albo". Gdyby nawet akta kapituły nie powiadały, że nagrobek ten nowy wzniesionym został Bolesławowi Chrobremu 1744 roku, już sama koronacya na nim N. Maryi Panny wskazałaby czas postawienia go.

napis na niéj ryty jest: vetustissimis literis et jam antiquitate arrosis. Tholibowski w roku 1660 znajduje wiersze napisu: sunt exavati stylo veteri et vix intelligibili. Hartknoch w roku 1678 powiada, że napis jest wyryty: vetustissimis literis et jam vetustate detritis. Załaszowski w roku 1701 nie znalazł już śladu liter, tak były zatarte na nagrobku Bolesława Chrobrego, który podług świadectwa jego był z kamienia białego (lapide albo) czyli piaskowca. Od roku więc 1586 nagrobek Bolesława Chrobrego był aż do 1744 zawsze bardzo starożytnym, i tém samém, litery na nim nieczytelne, przytarte, nareszcie w końcu XVII wieku już całkiem zatarte na kamieniu białym, czyli na piaskowcu, rodzaju kamienia miększego od dobrze wypalonéj cegły. Tymczasem pan Bielowski opierając się na zeznaniu Jerzego Merkila w sprawie Polski z Krzyżakami w roku 1422 złożoném, utrzymuje, że nagrobek Bolesława Chrobrego był pierwiastkowo z marmuru postawiony, a po r. dopiéro 1424 z kamienia; a kładąc na to przycisk, zdaje się nie wątpić, że Bolesławowi Chrobremu zaraz po śmierci jego wzniesiono nagrobek marmurowy. (W XI wieku w Poznaniu nagrobek marmurowy, gdy w XIV wieku w Krakowie w Małéj-polsce, ojczyznie marmurów, Władysławowi Łokietkowi położono pomnik gliniany)? Gdy się odwołujemy do świadectwa czyjego, musimy wpierw dobrze rozważyć: czy człowiek składający to świadectwo jest wiarogodnym. Tego pan Bielowski nie zrobił. Merkil co do oznaczenia rodzaju kamienia, z jakiego był nagrobek Bolesława Chrobrego w roku 1422, nie zasługuje na żadnę wiarę. Byłto, jak mówią, w całém znaczeniu tego wyrazu świadek trybunalski: kłamał w żywe oczy. I tak np. mając w roku 1422 lat 46, powiada, że słyszał to a to od ojca swego, który był sługą Władysława Łokietka zmarłego 1333 r. i Kazimierza Wielkiego zmarłego 1370 roku. Merkil miał w roku 1422 lat 46, urodził się zatém w roku 1376. Przypuśćmy, że ojciec jego wszedł

w służbę Łokietka w dwudziestym roku życia swego, to jest w roku 1313, a zatém musiałby się rodzić w roku 1293 i jeszcze w roku 1476, tojest w 83 życia swego, spłodzić tego Merkila, a dawszy mu życie nie mógł mu zaraz opowiadać: że quidam olim dux Pomeraniae decessit sine prole masculina et quod per ejus decessum ipse ducatus Pomeraniae devolutus est ad magnum ducem Regni Poloniae; tojest po polsku: „że niegdyś jakiś książę pomorski zszedł z tego świata nie zostawiwszy po sobie potomka płci męzkiéj i że po jego śmierci samo księztwo pomorskie dostało się spadkiem wielkiemu księciu królestwa polskiego". Owszem musiał z tą narracyą wstrzymać się, aż synek jego dobrze podrośnie, znowu przynajmniéj do lat 15 wieku ostatniego, a swego 98: bo któż dziecku opowiadać będzie o spadku prowincyi z jednego domu na drugi dom panujący? Ale to jest jeszcze fraszką. Temu samemu Merkilowi opowiadał to samo jakiś Bartosz mający 150 lat, i jakiś szlachcic Parzisch mający 130 lat. Kto na zawołanie swoje ma 150 i 130-letnich starców z dobrą pamięcią, ten nie zasługuje na żadną wiarę. Nie wiedzieć też co Merkil pod wyrazem lapide marmoreo, jak mu się nagrobek Bolesława Chrobrego nazwać podobało, rozumié. Bielowski bierze to wyrażenie za marmur; mnie się przeciwnie zdaje, że gdyby Merkil uważał był kamień grobowy Bolesława Chrobrego za marmur, powiedziałby był zamiast lapide marmoreo jednym wyrazem marmore i dodałby do niego przymiotnik: albo, nigro, rubro lub t. p. W rozumieniu jego lapis marmoreus był kamień biały (piaskowiec) mający podobieństwo niejakie do marmuru, albo też kamień obrobiony jak marmur. Że nagrobek Bolesława Chrobrego był od samego początku swego zawsze z piaskowca, mówią jeszcze za tém następujące okoliczności. W całéj dawnéj Wielkiéjpolsce niema marmurów, ale są do dziś

dnia tak nazwane gniazda piaskowca białego w okolicach Konina, a w XV i XVI wieku znajdowały się i w okolicach Poznania i z niego widzimy dotąd głazy nad fundamentami kościoła Panny Maryi na tumie w Poznaniu, stawianego w początkach XVgo wieku. Gdy jeszcze Władysławowi Łokietkowi, Kazimiez Wielki wystawił nagrobek gliniany, rzecz widoczna, że i w Małéjpolsce w XIV wieku marmurów jeszcze nie kopano, boć snadniéjby było z Czerny lub Chęcin sprowadzić bryłę marmurową na nagrobek Władysława Łokietka w Krakowie, niż z tych samych miejsc marmur na pomnik Bolesława Chrobrego w Poznaniu. Wreszcie gdyby nagrobek Bolesława Chrobrego był z marmuru w roku 1422, zaiste za panowania Kazimierza Jagiellończyka, synów i wnuka jego, gdy już w Polsce o rzeźbiarzy nie było trudno, gdy już i w katedrze poznańskiéj biskupom i dygnitarzom świeckim pomniki z marmuru wznoszono, nagrobku marmurowego monarchy tego niezmieniono-by na kamienny. Nagrobek więc Bolesława Chrobrego w katedrze poznańskiéj niegdyś znajdujący się, był zawsze od samego początku ten sam i z piaskowca aż do roku 1744. Czy przed rokiem 1744 wyryte na nim były godła jakie, to jest berło, tarcza z orłem i t. p., tego dziś dojść trudno, gdy wizyta Tholibowskiego z roku 1660 wspomina tylko o figurze Bolesława w postawie leżącéj i o napisie naokół téj figury. Gdyby na nagrobku Bolesława Chrobrego, przed rokiem 1744 były te same godła, które rzeźbiarz monarsze temu dał w roku 1744 w rękę, z największą łatwością odgadnąć możnaby było czas, w którym go postawiono, już z samych tych godeł.

IV. Zastanówmy się teraz nad napisem nagrobku Bolesława Chrobrego. Ktokolwiek oglądał przywileje, rękopisma, napisy lub pieczęcie z XI, XII lub XIII wieku, wié dobrze, że pismo ówczesne zbliżało się bardzo podobieństwem swojém do pisma z XVI wieku i dzisiej-

szego naszego łacińskiego i było bardzo czytelném dla Sarnickiego, Łubieńskiego, Tholibowskiego, Hartknocha; przeciwnie pismo tak nazwane gotyckie z drugiéj połowy XIV i z XV wieku w wszystkich literach ostre, w żadnéj nie zaokrąglone, używane szczególniéj w napisach, było bardzo nieczytelném dla żyjących w XVI i XVII wieku, i jest niém dla nas żyjących w XIX wieku. Takim był napis na grobowcu Bolesława Chrobrego vetustissimis literis już dla Łubieńskiego, Tholibowskiego i HartKnocha ryty; takim jest napis na bramce ciemnéj w Poznaniu w roku 1503 ryty; takiemi są napisy na nagrobkach kruszcowych z drugiéj połowy XIVgo wieku w katedrze poznańskiéj i po wielu kościołach dyecezyi poznańskiéj znajdujących się. Już sama nieczytelność napisu nagrobku Bolesława Chrobrego dla żyjących w XVI i XVII wieku, wskazuje wyraźnie czas, w którym nagrobek ten został położonym, to jest koniec wieku XIV lub XVgo. Ale Bielowski dowodzi, że nagrobek ten jest współczesnym zgonowi Bolesława Chrobrego, dlatego, iż napis na nim ułożonym był leoninami, a podobnych leoninów używano już powszechnie za granicą w XI wieku w napisach nagrobkowych, i przywodzi na to dowody z Pertza i Leibnitza. Byłbyto zaiste nie zły dowód współczesności nagrobku zgonowi Bolesława Chrobrego, gdyby można także dowieść, że już w XIV wieku leoninami wierszy pisać zaprzestano. Ależ w zbiorach historyków niemieckich jest pełno takich napisów nagrobkowych z XIII i XIV wieku. Jednemu z opatów w St. Galli, zmarłemu w XIII wieku położono taki na nagrobku napis:

„Invida petra nimis—quae tantum claudis honorem,
Aequiparem minimis—nec summis inferiorem".

O innym znowu powiedziano:

„Tantis pro donis—pax sit animae Salomonis".

O innym:

„Constat Norpertum—omni virtute refertum".

Wilhelm de Waldeck zmarły 1319 roku miał w jednym z kościołów XX. Augustyanów w Czechach nagrobek z takim napisem:

„Hic Baro famosus—jacet et multum generosus,
Miles et invictus—Lepus est cognomine dictus,
Cognomen leporis—habuit virtute leporis,
Corde leonino—pugnavit non leporino.
Wilhelmus nomen—proprium fuit ejus et omen
Felix in factis—habuit semper retroactis.
En mors prostravit—quem nemo superavit,
Corruit a telo—quem junge Jesu bone coelo.
Anno milleno—nono decimoque triceno
Per fatum triste—moritur vir nobilis iste,
Non erat aequalis—huic in regno, neque talis
Qui sic famosus—existeret aut animosus.
Luceat aeterna—sibi lux in sede superna,
Sit sibi solamen—homo dicat quilibet: Amen!"

Ale pocóż szukać leoninów nagrobkowych z XIV wieku w zbiorach historyków niemieckich lub czeskich, gdy je posiadamy z tegoż czasu w własnych historykach. Długosz w żywocie św. Stanisława przytacza następujący leonin na nagrobku tego męczennika:

„Tumba Stanislai—cineres tegit ista beati,
Regis Boleslai—quia non facit impietati,
Martyrio meritas—coeli migravit ad aedes,
Felix cui Deitos—merces, cui sydera sedes".

Gdy w napisie tym św. Stanisław nazwanym jest beatus, a w poczet świętych policzonym został dopiéro w 1253 roku, nie podlega najmniejszéj wątpliwości, że nagrobek i napis na nim położono mu daleko późniéj, tojest w piérwszéj najdaléj dopiéro połowie XIV wieku. Zresztą forma zewnętrzna wiersza, raz przez kogo wprowadzona, nie jest przywiązaną wyłącznie do jednego lub kilku wieków; i dziś jeszcze gdyby się kto na to usadził, mógłby podobnemi leoninami napisać wiersz nagrobkowy Mieczysławowi I lub Kazimierzowi Mnichowi. Zewnętrzna forma napisu na nagrobku Bolesława Chrobrego nie jest więc bynajmniéj wyłączną cechą wieku, w którym zgon tego monarchy

przypadł, a wyrazy i treść jego, którą rozbiorę, zdradzają aż nadto wiek do którego należy, i autorów, którzy dostarczyli wątku niezgrabnie dowcipnemu epitafiarzowi.

Napis ten ma rozmaite waryanty: raz czytamy w nim gloriosus, drugi generosus; raz hinc, drugi huic; raz serenissime, drugi strenue; raz laus, drugi solus; i t. p., którekolwiek atoli z nich weźmiemy, jak filologowie niemieccy mówią, za rectam lectionem, nie zmieni to bynajmniéj saméj rzeczy. Rozbierzmy go jednak podług kopii Streczaka, którą Bielowski za najpoprawniejszą uważa. Napis zaczyna się:

„Hic jacet, in tumba—Princeps gloriosa columba".

Wiadomo z dziejów, że Bolesław Chrobry nie miał w kościele katedralnym poznańskim osobnego grobu. Zwłoki jego złożono obok zwłok ojcowskich w grobie familijnym; toż samo zrobiono z zwłokami syna jego Mieczysława II i wnuka Kazimierza Mnicha. Gdyby więc Mieczysław Gnuśny lub Kazimiérz Mnich, albo nareszcie którykolwiek z potomków Piastowskich aż do XIV wieku nagrobek ten był położył, położyłby go był dla wszystkich przodków swoich w wspólnym grobie spoczywających i zacząłby napis nie od Hic jacet tylko od hic jacent. Wszakże i Długosz w przytoczoném przez Bielowskiego miejscu powiada: „Casimirus sarcophagos regum (nie regis) humiles et solo aequatos petrosa mole super imposita erexit". Ale epitafiarz wyczytał w Bogufale († 1253), że Bolesław Chrobry pochowanym został w środku kościoła katedralnego poznańskiego i wniósł ztąd, że miał grób osobny, i dlatego też zaczął swój napis od hic jacet. Wyraz generosa położony w kopii Streczaka zamiast gloriosa, jest tak dobrze wzięty z Galla jak drugi, i nie odnosi się do urodzenia szlachetnego, ale do szlachetnego umysłu monarchy tego, którego magnanimitatem (generositatem) nie może się Gallus dosyć nachwalić.

„Chrabri tu es dictus—Sis in evum benedictus".

Wyraz Chrabry, Chrobry, nie jest polski, bo nie ma w mowie naszéj swego zródłosłowu, ani też wyrazów od siebie pochodnych, jak np. synonimy jego mężny, waleczny lub t. p. (1). Aż do Bogufała żaden z kronikarzy polskich (Gallus, Kadłubek) niemieckich, (Ditmar), czeskich (Kosmas) i ruskich (Nestor) nie daje tego przydomku Bolesławowi I. Piérwszym, który mu ten przydomek nadał, był Bogufał; ale ten Bogufał z kanonika krakowskiego, biskup poznański, Poraita, a zatém Małopolanin, przejął wyraz Chrobry od sąsiednich Małéjpolsce Rusinów; nie przyjął on się jednakże nigdy w mowie polskiéj, a gdy aż do czasów Bogufała w Wielkiéjpolsce nie był znanym, nie mógł też być kładzionym na nagrobku Bolesława Chrobrego, gdyby ten nagrobek był już przed rokiem 1253 istniał. Sis in aevum benedictus. Cały ten wiérsz jest dla rymu (nie zaś alluzyą do ś. Benedykta, jak się Bielowski domyśla) i nie ma najmniejszego znaczenia: epitafiarzowi trudno było znaléźć inny odpowiedni wyrazowi dictus spadek, musiał więc rymować benedictus z dictus.

„Fonte sacro lotus—Servus Domini puta totus."

Wyrazy znowu bez najmniejszego znaczenia historycznego i tylko dla rymu położone. Płókany (zmyty) źródłem świętém i sługą całym Pańskim był od Mieczysława I każdy król polski, i to samo mógł epitafiarz powiedzieć o Mieczysławie I, Kazimierzu Mnichu, Bolesławie Krzywoustym i t. d.: wszyscy byli źródłem świętém płókani, zmyci, czyli chrzczeni; wszyscy

(1) Już Łubieński uważa słusznie, że wyraz *Chrobry* nie jest polski, gdy mówi: „Chrobri autem nomen illi inditum fuit a fortitudine qua praestabat, quippe Chrobri fortem et strenuum in lingua gothica seu slavonica significat".

religią chrześciańską w Polsce i w sąsiednich krajach krzewili.

„Praecidens comam—Septennii tempore Romam".

Wiérsz ten jest najniedorzeczniejszy z całego napisu. Bielowski poczytuje ten ustęp napisu za bardzo ważny szczegół; ja widzę w nim tylko rym i sprzeczność z samym sobą epitafiarza, który niżéj każe się rodzić Bolesławowi z ojca poganina, patre perfido. Jakżeż ten ojciec poganin mógł posyłać do Rzymu włosy siedmioletniego syna swego na znak uległości papieżowi, głowie chrześciaństwa? Bielowski łączy wprawdzie te postrzyżyny Bolesława siedmioletniego z zjazdem kwedlínburgskim 973 roku i z założeniem biskupstwa pragskiego 974, w którém Dobrawa (Bona) czynny udział wziąwszy, miała posłać do Rzymu włosy siedmioletniego synka swego Bolesława, tegoż 973 r. (1). Ależ Mieczysław I nie był jak się z Ditmara okazuje, ani rządzcą, ani mężem jak mówią malowanym; na zjazdach w Kwedlinburgu znajdował się sam osobą swoją bez Dobrawéj i sam na nich działał; onby więc, nie Dobrawa, żona jego, te włosy siedmioletniego Bolesława do Rzymu był posłał; papież téż wymagałby nie od żony jego, ale od niego samego tego dziwnego

(1) P. Bielowski powiada, że Dobrawa posłała w roku 973 lub 974 włosy siedmioletniego syna swego Bolesława do Rzymu i odwołuje się co do zwyczaju posyłania obciętych siedmioletnim dzieciom królewskim włosów papieżom na znak uległości do powagi i świadectwa Łubieńskiego, który rzecz tę tak objaśnia: „*Praecidens comam septennii tempore Romam;* cum ut intelligas, revoca tibi in memoriam fuisse illo tempore moris, ut pii et Christiani principes, depositis liberorum suorum comis, eos ad summum Ecclesiae Catholicae praesidem in perpetui obsequii et piae servitutis signum mitterent; id a Miecislao quoque Boleslai parente fuisse factum, ut septimo nati sibi Boleslai filii anno, solenniter praecisam comam, Summo Pontifici Dono ejus nominis secundo offeret ac dedicaret". Podług Platyny Donus II był papieżem trzy miesiące; obrany w październiku 971 roku, umarł w Styczniu 972 roku. Bolesław Chrobry urodził się 966, czy téż na początku 967 roku. Siedmiolecie zatém jego nie mogło się skończyć za rządów Dona II, którego Łubieński włosami Bolesława obdarza.

rodzaju hołdu. Ale zwyczaju posyłania papieżom włosów siedmioletnich dzieci królewskich na znak uległości nigdy w Europie nie było. Nic o tém nie wié Baroniusz, Raynald, Platyna; nic nie wiedzą zbiory historyków włoskich Muratorego, Graewiusza, zbiory historyków niemieckich od Goldasta, Pistoryusza, Frehera, aż do Pertza. Niemasz o tém najmniejszéj wzmianki w kronikarzach narodów, z któremi Polska ściślejsze związki miała, tojest Czechów i Węgrów. Mieliżby sami tylko królowie polscy temu czuprynnemu hołdowi papieżom podlegać? Gdyby téż w Polsce było zwyczajem posyłanie do Rzymu włosów siedmioletnich dzieci królewskich, nie zamilczałby był o nim Gallus i Bogufał. Ostatniemu napis nagrobku Bolesława Chrobrego, gdyby go już za czasów jego monarcha ten miał, musiałby był przypomnieć ów zwyczaj. Lelewel ma więc zupełną słuszność, twierdząc, że epitafiarz kując ten rym, miał na myśli postrzyżyny bałwochwalczych Lechitów przed Mieczysławem I.

„Tu possedisti—Velut verus athleta Christi".

Wyrazy nic nie znaczące; athleta Christi położony dla rymu z possedisti. Gdybyśmy im jednak przyznać chcieli, mianowicie zaś owemu atlecie Christi, jakowe znaczenie historyczne, natenczas ów atleta Chrystusa znalazłby się w Gallu, który między innemi na stronie 37 edycyi Bandtkiego wylicza, co Bolesław Chrobry dla religii chrześciańskiéj w Polsce zrobił.

„Regnum Sclavorum—Gotthorum sive Polonorum".

Cokolwiek epitafiarz pod wyrazami regnum Slavorum, Gotthorum sive Polonorum rozumiał, czy wszystkiemi trzema oznaczył jeden naród, jedno państwo, czy trzy osobne narody, wyjął to z Bogufała liczącego cztery narody, które orężż Bolesława Chrobrego zajmował, do słowiańskiego. Oto są słowa Bogufała: „Per premissa autem quatuor regna slavo-

nica, videlicet Pannoniorum, Lechitorum, Ruthenorum et Zechorum seu Bohemorum designata habentur." Ten sam Bogufał liczy Gotów do narodów słowiańskich i mówi o nich, że nie chcąc w gminoruchach plemiennikom swoim Słowianom szkód i przykrości narobić, obrócili pochód swój na Niemcy, Burgundyą i Lombardyą. „Verum, są jego słowa, quia Deus quarundam peccata nacionum per ipsas punire decreverat, id circo non recto transite ne sue genti slavonice in eundo damna et molestios inferent (Gothi) sed par Theutoniam et par Burgundiam ac deinceps par Lombardiam transitum.... fecerunt." Epitafiarz dowiedział się więc od Bogufała, że Goci byli narodem słowiańskim; że do ostatniego Polacy należeli, wiedział sam z siebie, a zatém wpadł bardzo łatwo na wniosek, że Goci i Polacy są jednym narodem; ztąd jego: Gotthorum sive Polonorum.

„Caesar praecellens—A te ducalia pellens".

Żywcem myśl wyjęta z Galla. „Non est dignum, kładzie Gallus w usta Ottonowi, tantum ac virum talem sicut unum de principibus ducem ac comitem nominari."

„Plurima dona sibi—Que placuere tibi
Hinc detulisti—Quia divitias habuisti".

Znowu te dary i bogactwa pożyczył epitafiarz od Galla, który na stronie 41—43 edycyi Bandtkiego wylicza kosztowności rozmaite od srebra, złota i drogich kamieni, któremi Bolesław swego gościa Ottona obdarzył.

„Inclyte dux, tibi laus—Strenue Boleslaus".

Wyrażenie bez najmniejszego znaczenia historycznego. Wyraz Inclytus wzięty z Galla; strenuus z przywilejów z XIII-go wieku, w których często czytamy strenuus miles lub t. p.

„Perfido patre—Tu es, sed credula matre".

Ten perfidus pater i ta credula mater, nienia znowu żadnego historycznego znaczenia, a najmniéj takiego, jaki mu Bielowski nadaje i położonym jest przez epitafiarza jedynie dla rymu patre z matre. Przymiotnikiem perfidus, którym epitafiarz Mieczysława I nazwał, podpiera Bielowski szczególniéj współczesność napisu zgonowi Bolesława Chrobrego, mówiąc: „Ani Gall ani żaden z kronikarzy polskich nie wystawia nam Meska I inaczéj, jak tylko dobrym chrześcianinem. Jeżliby nieznajomy autor nagrobku, jak się domyśla Lelewel, wziął z Galla okoliczność o otrzymaniu korony przez Bolesława, tedy prawdopodobnie i drugi ten szczegół o wierze Meska I byłby u niego podobniejszym do tego, co Gall rozpowiada. Tym czasem w nagrobku nadmieniono o księcia tego pogaństwie, a gdy tę okoliczność uważnie rozbierzemy, przekonamy się, że tak sądzili o téj rzeczy współcześni, a zwłaszcza cudzoziemcy lub gorliwcy obrządku łacińskiego. I tak, Ditmar rozpowiada: Mesko już jako mąż Dąbrowki jest jeszcze, według słów autora tego długi czas poganinem: „vario gentilitatis errore implicitus." Ani inni współcześni, ani Ditmar, nie posądzali Mieczysława I o pogaństwo od chwili skoro już chrzest przyjął. Ditmar mówi: „Laboravit enim (Dobrawa) pro conversione conjugis sui, ac exaudita est a benignitate conditoris sui, cujus infinita bonitate persecutor suimet, studiosus resipuit, dum crebro dilectae uxoris hortatu innatae infidelitatis toxicum evomuit et in sacro bablismate naevum originalem detersit. Post has peperit bona mater filium longe sibi degenerem, quem fratris sui nomine Bolizlaum appellavit." Z tych słów Ditmara okazuje się: że Bolesław Chrobry urodził się dopiéro po przyjęciu wiary chrześciańskiéj przez ojca jego Mieczysława I, a zatém nie perfido, ale już credulo patre. Ale epitafiarz czytał w Gallu: „Primus

ergo Polonorum dux Mescho per fidelem uxorem ad baptismi gratiam pervenit;" i wniósł ztąd, że Bolesław Chrobry urodził się wpierw, nim Dobrawa męża swego na wiarę chrześciańską nawróciła, i dlatego w napisie nazwał Mieczysława poganiném, a Dobrawę chrześcianką. Wyrazy perfidus i credula wyjął epitafiarz z Galla, który tych wyrazów w znaczeniu pogan lub chrześcian używa. Naprzykład: „Ipse namque Selenciam, Pomoeraniam et Prussiam usque adeo vel in perfidia resistentes contrivit, vel conversas in fide solidavit". (Sam bowiem Szlązk, Pomeranią i Prussy aż dotąd albo w pogaństwie trwające starł, albo nawrócone w wierze utwierdził). I w inném miejscu: „Quid igitur est necesse, victorias et triumphos de gentibus incredulis nominatim recitasse"? (Po cóż więc wyliczać szczegółowo zwycięztwa i tryumfy z narodów niewiernych (pogan)? U Galla więc gens incredula jest naród niewierny, pogański; przeciwnie gens credula, naród wierny, chrześciański. Wsunąć tu jeszcze muszę uwagę: że gdyby Mieczysław gnuśny lub Kazimiérz Mnich nagrobek Bolesławowi Chrobremu byli położyli, czyżby byli o ojcu i dziadzie swoim powiedzieli, że był synem poganina, oni, którzy się już poganizmem brzydzili i za hańbę go poczytywali?

„Vicisti terras—Faciens bellum quoque guerras".

Same ogólniki dowodzące tylko, że epitafiarz wiedział z Galla o wojnach i podbojach Bolesława Chrobrego.

„Ob famam bonam— Tibi contulit Otto coronam".

Wyrazy i rzecz wyjęta żywcem z Galla. „Per coronam imperii! wykrzykuje w nim Otto: majora sunt, quae video, quam fama percepi. Et accipiens imperiale dyadema capitis sui, capiti Boleslavi in amicitiae foedus, imposuit". Na koronę cesarską! to co widzę większém jest, niż mi to sława doniosła (niźlim się o tém z pogłoski dowiedział). I zdjąwszy koronę

cesarską z swéj głowy, włożył ją na głowę Bolesława na związek przyjaźni.

„Propter luctamen—sit tibi salus! Amen."

Znowu wyrazy bez znaczenia historycznego, dla rymu luctamen z Amen, tak jak w nagrobku Waldeka solamen rymowane z Amen.

Całą więc treść napisu na nagrobku Bolesława Chrobrego osnuł epitafiarz na Gallu i Bogufale, pożyczając od nich nieraz nawet wyrazów. Nagrobku zatém tego przed śmiercią Bogufała w r. 1253 przypadłą być nie mogło. Co więcéj, nie było go jeszcze w roku 1384, na którym archidyakon gnieźnieński kronikę swoję kończy. Długosz powiada wprawdzie w przytoczoném przez Bielowskiego miejscu, że Kazimiérz Wielki niskie i z ziemią zrównane sarkofagi królów w kościele katedralnym poznańskim podniósł i głaz kamienny na nie położył; ale na Długoszu co do odleglejszych Jagiellonom czasów nie można zupełnie polegać. W archiwum katedralném poznańskiém niemasz najmniejszego śladu, aby monarchowie polscy przykładali się kiedykolwiek i czémkolwiek do naprawy kościoła katedralnego, do przyozdobiania go pomnikami lub t. p. Archidyakon gnieźnieński, współczesny Kazimierzowi Wielkiemu, który rozwodzi się szeroce o przyozdabianiu kościołów małopolskich przez tego monarchę malowidłami, apparatami, kielichami, księgami, a nawet dachami ołowianemi (plumbo), miałżeby nie wiedzieć o wzniesieniu sarkofagów królów polskich przez Kazimierza Wielkiego w kościele katedralnym poznańskim, on, który o Janie Suchymwilku, arcybiskupie gnieźnieńskim, zmarłym dnia 5 kwietnia 1382 r., powiada: „Sepultus autem est Gnezne feria quarta post hoc proxima in Choro majoris ecclesie sub lapide in Flandria per ipsum ad pompam preciose comparata;" to jest: „Pochowanym

zaś został w Gnieźnie dnia potém czwartego w chórze katedry pod kamieniem, który sobie w Flandryi z wielkim kosztem na wystawność przygotował? (zakupił)." Kronikarz, który nie zamilczał o nagrobku Suchegowilka, tém mniéj milczałby był o tém uczczeniu zwłok przodków Piastów przez Kazimierza Wielkiego, gdyby ten był istotnie zapadłe ich sarkofagi w kościele katedralnym poznańskim podniósł.

Nagrobek Bolesława Chrobrego nie jest dziełem ani królów polskich, ani téż XI wieku. Postawiła go kapituła poznańska na samym schyłku XIV wieku, albo téż w pierwszych latach piętnastego stulecia. Pobudką zaś do wzniesienia pomnika temu monarsze był jego Gallus, który Bolesława Chrobrego uważa za założyciela wszystkich biskupstw polskich, a zatém i poznańskiego, w rozdziale: de dispositione ecclesiarum in Polonia pag. 61 edycyi Bandtkiego. Za założyciela biskupstwa poznańskiego poczytywa go jeszcze wroku 1660 Wojciech Tholibowski, biskup poznański. Z wdzięczności więc położyła kapituła nagrobek swemu dobroczyńcy fundatorowi, a napis na nim może być konceptu jakiego poety z XIV lub XV wieku, na jakich kościołowi poznańskiemu nigdy nie zbywało. Wszakże o Janie Łodzia, biskupie poznańskim, zmarłym 1346 roku, mówi archidyakon gnieźnieński: „W roku 1346 umarł Jan Łodzia, biskup poznański, który za zycia swego wiele próz napisał, jednę o Wniebowzięciu N. Maryi Panny zaczynającą się: Salve salutis janua; drugą o najświętszém Oczyszczeniu; trzecią o św. Wojciechu, w któréj każdy wiersz zaczyna się od nazwiska autora: Johannes Presul posnaniensis i t. d. Takim samym poetą był Stanisław Ciołek, biskup poznański, zmarły 1438 roku.

SPRAWA GRANICZNA.

POWIASTKA

PRZEZ

Ludwika Niemojowskiego.

Znasz-li ziemię, co od lat
Rodzi piękny zboża zbiór,
A choć nie ma na niéj gór,
Ni przepaści czarnych łóż,
Ni błyszczących falą mórz,
Przecz w niéj dziwnie piękny świat?
To Mazowsza żyzny kraj:
Tamci szczęściem każdy dzień,
Tamci światłem każdy cień,
Boć u swoich zawżdy raj!

Tam więc stały wioski dwie,
Białe, jasne jako śnieg;
A od wschodu, Wisły brzeg
Wznosił zdala krańce swe.
W każdéj wiosce bielił dwór
I kościołek schludny wzwyż,
I nad drogą czarny krzyż,
I przy sadzie długi mur.
Każda wioska istny cud
Byłci niby mały świat.
Niby wdzięczny pszczołek ul:
A w niéj dziedzic, zasię król!
A w niéj kmiotki, wierny lud.
Lecz w tych wioskach co od lat
Jak siostrzyczki stały dwie,
Było siła sromych zwad

Siła złości, siła pych:
Boć to iście był w nich świat,
Przedsię w świecie zawżdy grzech.

Z dawna dawien któryś pan
Po kądzieli pono dziad
Jednego z dziedziców dwóch.
O odłogu marny łan
(Snadź podszepnął sprosny duch)
Jął się matactw, pism i zwad,
A w pieniactwo jak się wdał,
Wnet z pokoju urosł szał.
Nuż jak z worka lecą wnet
Skrypta, pozwy, bies ich zna!
Tak że cicho dwory dwa
Były jedno gniazdem bied.

Minął ci tak cały wiek
Ojciec synom zdawał spór,
A że wżdy uporny człek
Każdy przy swém stał jak mur!
I wodzili się tak wciąż
Gdzie palestra, sąd a gród,
I choć czasem przyparł głód
Każdy pisał się jak wąż;
Tak że w wioskach co od lat
Jak siostrzyczki stały dwie,
Wznosząc k'sobie mury swe,
Było siła sromych zwad.

W jednéj z onych wiosek dwóch,
W białym dworcu poza stołem
Siadła para mężów społem,
A każdy z nich prawy zuch.
Jeden czerstwy, pełen sił,
W gębie dworno, grosz w kalecie,
Snadź bywalec w cudzym świecie
Panem onéj wioski był.
Drugi wzrostem istny dąb,
Choć mu bielił włos na skroni,
Gdy demeszka brzękła w dłoni:
Ani pytaj, tylko rąb!
Toć rezydent pański był,
Zbiegł z rotmistrzem siłę świata,
A gdy stare przyszły lata,
Rad o dawnych czasach śnił.
A bywało z młodych lat,

Gdy w gawędzie się rozszerzył,
To się zsierdził a zaperzył
I klął na czém stoi świat.
A gdy rotmistrz przeczyć jął,
By misternie szukać zwady,
To już z starym ani rady
Tak się zgniewał tak się zklął.
Lecz się oba miłowali.
Więc po zwadzie na stół dzban.
Puhar jeden, drugi, trzeci:
Do waszmości, do waszeci,
Hejże w śmiechy, hejżo w tan:
„Fracha troski, fracha bieda
Górą nasza, bijmy Szweda!"
Nuż sierdziście kręcić wąs,
I oba się uściskali,
A zgwarzyli, a zpłakali
Że aż stary dwór się trząsł.

Był ci raz jesienny dzień
Wilgny jak grobowa plesń,
Czarny jak pomroku cień,
Smutny jak żałosna pieśń;
A z posępnych niebios chmur
Co świat skryły swoim cieniem,
Deszcz wytoczył się strumieniem
I wciąż szumiąc płynął z gór:
Błysk za błyskiem w górze lśnił,
Mruczał w niebie głos ponury,
Potok wody płynął z góry
I o szyby komnat bił.

A w komnacie za stolikiem
Siedział rotmistrz z porucznikiem,
Karty w dłonie, i nuż w grę.
I tak pośród szumu fali
W maryasza sobie grali,
Snadź, by zabić nudy swe;
A zaś grali po dawnemu
Bernardyńskim obyczajem,
O Zdrowaśki. Święta gra!
Wżdy gdy wygrasz, to wesele;
Przegrasz, nie straciłeś wiele;
Boć kęs zyszcze dusza twa!
A w grze onéj sympla mała
Jedno *pater* oznaczała
Za spokój czyscowych dusz;

Kto zaś dublą pokpił sprawę
Musiał trzepać *pater*, *ave*:
Musiał trzepać, ani rusz!

Takci grali. Rotmistrz siła
Wygrał sympli, dubli wraz;
Wciąż mu karta się szczęściła,
Wciąż szedł pamfil, kralka, as.
Stary wiarus zły jak czart,
Klął pod wąsem, w ziemię pluł,
I coś mruczał do swych kart
I uderzał pięścią w stół;
Boć mu było pono wstyd,
Że gdy trzepie wciąż pacierze
Rotmistrz śmieje się, a szczerze
Z jego trosków, z jego bied.
A zacz fracha krotochfila,
Wszakci trefność to nie grzech?
Jedno w świecie trosków tyla
Że na zdrowie idzie śmiech;
I choć rotmistrz wciąż się śmiał
Mrucząc *pater*, trzepiąc *ave*,
Byłby winem zapił sprawę ·
A oskomę k'winu miał;
A no tak się umówili
W krotochfilnéj widno chwili,
Że kto wygra, temu pić,
Kto zaś przegra, siedzieć ino
A oczami głaskać wino,
A myślami rozkosz śnić.

Rotmistrz rzeknie: „Waszmość zgrany
No *ad Deum* tylko żwawo,
Ja pogłaskam jeszcze dzban".
Stary ukląkł już za ławą,
Smutnie splunął, utarł nos
I marmota w cichy głos:
„*Pater noster*". ...

A wtém grom
Warknie nagle w głos ponury,
I popłynie w chmurę z chmury,
Aż się stary wstrząśnie dom:
Błysk za błyskiem w górze lśni,
Niebo ogniem się czerwieni
I zaskrzypną drzwi od sieni
I coś stanie pośród drzwi.

Buchnie zimny wiatru prąd,
I zakręci żar w kominie,
I wraz z dymem się rozpłynie.
Rzkomo piekła dziwny swąd.

„*A słowo się!*" krzykną wraz
Jakby piorun w izbę trzasł,
I powstaną ze swych ław,
Każdy w górę wzniesie dłoń,
Znakiem krzyża święci skroń
Snadź, by bronił od złych spraw.

Alić patrzą: bies wcielony,
Bez ogona, nie rogaty;
Lecz czupurny a wąsaty
Nuż się szastać, nuż w ukłony,
W krygi, dygi, zwroty, pląsy,
Kręci czapką, ima wąsy,
Snadź wśród onéj alternaty
Niestało mu w gębie słów
Ni baczenia w głowie.

„Uf!"

Sapnie rotmistrz takim tchem,
Żeby pono w tchnieniu tém
Wietrzny młyn jął mąkę mleć,
I brew ściągnie: „A to waść!
Przecz tu obcesowo wpaść,
Z trzaskiem, wrzaskiem, w izbę buch,
Niby jaki sprosny duch?"
Podstarości znów w ukłony,
(Bo to podstarości był)
„Jaśnie panie, człek ni śnił
By znieważyć...

„Przecz androny!
Na co, po co, gadać mi!"

„Jaśnie panie, z nami źle!"

Rotmistrz porwie się z za stoła:
„Cóż u kata, gore gdzie,
Czy zwaliła się stodoła,
Czy plondruje we wsi Szwed?"

„Byłoćbyto siła biéd,
Aleć gorzéj"....

„Jeszcze gorzéj!
Do stu biesów, gadaj waść
Niech raz padnie, co ma paść!"

„Jaśnie panie, świetne gniazdo
Antenatów jegomości
Było rzkomo oną gwiazdą,
Co wżdy świeci wśród ciemności.
Wasza miłość idąc torem,
Który ojce przekazały,
Nowym okrył się splendorem,
Boś zadzierżył splendor chwały.
Jaśnie panie, rzec nie łacno
Tę fortunę dziwnie zacną,
Ten kęs ziemi, co z pradziada
Ród wasz w estymie posiada,
Znieważono, rozszarpano
Pogwałcono, podeptano"...
I to mówiąc stary lis
Kuternoga, łys a zys,
Dłonią zasie kryje oczy
Trąc łzę niby, co się toczy
Rzkomo z wielkiéj tęskliwości,
A frasunku, a miłości:
Przedsię łzy tam ani śladu.

Rotmistrz krzyknie: „Gadu, gadu,
Przecz językiem wasze miele?
Kto znieważył, jestci miecz!"

Podstarości jęknie: „ciele!"

Gdyby piorun w izbę trzasł
Gdyby w ogniu stanął dom,
Toby rotmistrz tak nie wrzasł.
Jak zawrzasnął nagle: „precz!
Stydź się wasan, a to srom
Z tak nalanym przyjść tu łbem;
Do stu biesów, spać i kwita,
A gdy we łbie już prześwita
Ja zawołam i *ad rem*
Szepnę w ucho parę słów".

„Jaśnie panie, jamci zdrów,
Nie wnurzyłem w dzban pamięci,
Ni kęs we łbie mi nie czmera,
A zaś pono coś tu święci

A święci się nie kozera:
Boć to cielę tak osobne.
Rosłe, spasłe a nadobne
Z łatką na łbie".

Spojrzą gracze
A zaszepną k'sobie z cicha:
„Źle mój mości, źle u licha;
Snadź mu we łbie bies kołacze
Zasię w oczach coś nie pięknie..."

„Dobrodzieje!" z płaczem jęknie
Podstarości wznosząc ręce:
„Niech zmarnieję w srogiéj męce,
Niechaj żonę, dzieci stracę,
Niechaj nawet... grzywny płacę,
Jeślim skrewił. Rzekę śmiele
Ot na łące poza siołem
Gnał pastuszek bydło społem,
A zaś cielę, jakto cielę
Nuże w harce sobie gwoli
I wyszusłło het daleko.
Za kopcami w cudzéj roli
Przy figurze ponad rzeką.
Siłać biedy, miły Boże
By ztąd rosły niepokoje,
A zaś chudziątko znać może
Co wżdy moje, co co twoje?
Jak tu wyrzec... w oną dobę
Zbiegła się ćma oberwańców,
Rozbójników a pohańców
I zgrabiła nam chudobę!
I zgrabiła, rozszarpała,
Znieważyła, podeptała!"
A to mówiąc, stary lis
Znów swe pięści w oczy wcisł,
Łeb kudłaty zwiesił w dół
I wargami wąsy żuł.

„Fe do licha! i śmiesz waść
Takie bzdurstwa w łeb mi kłaść:
Zapłać, odbierz, toć i kwita".

—„Tynfa chcieli".

„A ktoż pyta,
Choćby grzywnę to ją płać;
Zasię mnie i na to stać!"

Podstarości z cicha jęknie:
„Tynf czy grzywna, jedno tyla,
Że Wojskiemu w mieszku brzęknie
Zasię widzę starowinę,
Jak w kaletę tka grosiwo:
Akceptacya jako żywo.

„Co Wojskiemu? co waść plecie?"...
Krzykną oba.

„Jasno przecie:
W kontrowersie je schwytali".
Spojrzą na się. Była chwila
Taka głucha, taka cicha,
Jakby jakie sprosne licha
Wszystkim mowę zagmatwali;
Jedno w strasznéj téj godzinie,
To wiatr zwierci drzwi w komorze,
To zaszumi deszcz na dworze,
To zatrzeszczy żar w kominie,
Wreszcie krzykną: „héj pachołki
Siodłać konie. Poskocz waści,
Pomacamy téj pustołki
Damy mores od napaści!"

Zasię rotmistrz nuż łeb w okno
Wąsa zmoczył: „trudna rada"
Mruknie z cicha: „toć deszcz pada.
Całe światy w wodzie mokną
Trzeba czekać".

„Czekać, zwlekać,
I dać na łbie ciosać kołki!"
Krzyknie wiarus: „ej do kata,
A toć Wojski drwi z nas jawnie;
Czy my żaki, paupry płoche,
By sromotę znieść niesławnie,
Że tam dészczu kapnie trochę
Lub że płata gunię spłucze?
Ejże panie dajcie ino
W łapę tesak choć szczerbaty,
A ujrzycie kto za katy
Pójdzie na harc z swą drużyną,
Kto obmaca, kto wytłucze".

Rotmistrzowi w to graj ino
Już się zsierdził, głową wstrząsa,

Szablą dzwoni, muska wąsa:
„Składnie waszmość pono prawi,
Nie lża czekać kto zniesławi!
Dalej żwawo, ruszaj wasze
Zwołaj drabów i pachołki:
Nie dam sobie naplwać w kaszę
Ani na łbie ciosać kołki!"...

Jeszcze prawił, a niecnota
Podstarości czmych z komnaty,
I choć deszcz jak z cebra leci,
Nuże klapać się przez błota,
Nuże wołać: „do mnie dzieci,
Do mnie chłopcy, do mnie wiara!"...

Zbiegła się tam tego siła
Drabów, chłopów co niemiara;
Jeden z cepem, z widły drugi,
Trzeci kańczug ujął w łapę,
Jaki taki hyc na szkapę,
I przez błota, i przez strugi
Za panami: hejże! hola!

Jadą, jadą. Stary rzecze:
„Dobrze nam się jakoś składa,
Wojski pono u sąsiada,
Nim się chudzina przywlecze
My do kopców bulnie żwawo,
I *de facto* przy nas prawo."

„Tak, *de facto*, lecz *de jure*"
Rzecze rotmistrz osowiały:
„Gotów Wojski wleźć za skórę
On za sobą gród ma cały
Przy nim fundum"...

„Fundum w łapie!"
Przerwie wiarus: „a zacz przecie
Człek ma stygnąć w cnym impecie
Że tam na łeb deszczyk kapie?"

Rotmistrz zamilkł. Od lat wiela
Przywykł słuchać przyjaciela,
I choć z przodku z nim się wadził
Zawżdy zrobił jak on radził.
Więc milczący ztrząsnął błoto
Musnął wąsa, śmignął konia,

I przez strugi i przez błonia
Ruszył czwałem wraz z hołotą.

Tak gwarzyli aż przybyli,
I wojskiego sług gromadkę.
Drabów, chłopów i czeladkę
Co się jęli opór stawiać,
Przetrzepali, rozpędzili,
I nuż kopce rydlem macać
A przetrząsać, a przewracać...

Błysło słonko: czarnych chmur
Rozbiegł się posępny cień,
I zajaśniał cudny dzień,
I brzmiał zewsząd ptasząt chór.
Cały piękny Boży świat
Wdzięczny życia przybrał strój:
Tu zabrzęczał muszek rój,
Tu woń lubą rozsiał kwiat.
Rotmistrz milczał. Błędny wzrok
Powiódł w modrą nieba toń
Gdzie chmur wątłych niknął mrok
I do serca przycisł dłoń.
I w zadumce wciąż tak stał
Snadź go zwładnął przeczuć cień,
Jednoby ten złoty dzień,
W swym promieniu przyszłość siał.
Spojrzał błędnym wzrokiem w dal,
A wśród mglistych rosy fal,
Świecił schludny, jasny mur:
To Wojskiego bielił dwór!
Lecz co dziwna żadna złość
Nie chciała mu w sercu rość,
Chociaż patrzał na ten próg,
Gdzie zawzięty mieszkał wróg:
Owszem pierś mu ścisnął żal,
I wzrok pono zaszedł łzą,
I tak tęskny patrzał w dal,
Jakby przeczuł przyszłość swą.

Wtém od strony gdzie stał dwór,
Poczet jeźdźców wyciekł drobny,
Poczet zasię nieosobny
Jedno kilku ludzi zbiór.
I wnet zniknął kędy chłód
Gaj roztaczał drogą wzwyż,
Kędy stary czernił krzyż
A wraz koński tętnił chód.

Stary wartko rydel cisł
I wzrok mu otuchą błysł:
„Ejże, jak mi miły Bóg,
Pono k'nam się wali wróg!
Ejże chłopcy szable w dłoń,
I na ocel w miejscu stać:
Jak wróg przyjdzie, śmiało doń,
A jak zagram, ze mną grać!"

Już się zaczął szerzyć gwar,
Gdy z za wzgórza pośród jar,
Wybiegł szereg jeźdźców wzwyż
Kędy stary czernił krzyż.

Spojrzą, zasię zmilkną wraz,
A choć poczet ku nim kroczy,
Rozlepili wszyscy oczy
Jakby piorun z nieba trzasł:
Jedno wiarus stare licho,
Szepce sobie z przodku cicho:
„Święty Jacku, ratuj nas!"

Cóż powiecie? iście cud,
Wróg harcuje ku nim śmiele,
A na samym wrogów czele
Białogłowa dzierży przód;
A nie jędza to postraszna,
Sekutnica z Łysych gór,
Ni *mulier* zasie rubaszna,
Co się w męża stroi wzór:
Ale dziewczę młodych lat,
Któréj wdziękiem błyszczy świat.

Twarz jéj smagła, gęsta brew
Więza szczupła, czarny kos,
W piersi dźwięczy cudny głos
Niby ptasząt leśnych śpiew,
A zaś oko istny czar,
W tysiąc ogni błyska żar.

Milczą draby, szereg sług
Stoi zasię pośród dróg,
A każdy rozlepia wzrok
Jakby nocny zćmił ich mrok.
Rotmistrz zaś co przodek trzyma,
I porucznik stare licho,
Coś marmoczą sobie cicho,
I każdy się czapki ima.

Dziewczę nie przykłoni głowy,
Ale dzierżąc zawżdy prym,
Zasię stanie przeciw im,
I temi zagada słowy:
„Kto pryncypał jest tu z was?"

Oba milczą zfrasowani,
Przy nadobnéj wdziękiem pani.
Każdyby pod ziemię wlazł.
Wreszcie oba wskażą na się,
Ten na tego, ów na tego,
I z frasunku snadź wielkiego
Cofną kroku w onym czasie.

Ale rycerska dziewica
Czy po nastrojonéj minie,
Czy po wąsie, czy czuprynie,
Pozna butnego szlachcica.
I spojrzawszy na sąsiada
Znów tym kształtem doń zagada:
„A zajazd mościwy panie,
Sporządziłeś w oną dobę;
Zbrojną ręką najść chudobę,
Zdrapać kopce, zbić pachołki
Czyż za chlubę wam to stanie?"...

Rotmistrz znów za czapkę ima:
„Mościa panno, bez uchyby
To się zeszło: trefność niby.
Lecz w tém ni kęs najścia nie ma."

Dziewczę spojrzy, ściągnie brew,
W pięknych oczach błyszczy gniew,
I tak wiedzie swoję rzecz:
„Mości panie, tojest źle,
Takim czynem parać się!
Gdy kto zbluźni, wszak jest miecz,
Kto zniesławi jestci dłoń
Toć szabelka toć i koń!
Gdyby jeszcze działać wręcz
Śmiało, butnie wroga zbość
I zaś jawnie zrządzić złość;
Ale widząc pusty dom
Tak omacnie tu się wkraść,
I tak chyłkiem z służbą wpaść,...
Mości panie, to jest srom
To jest hańba, to jest wstyd:

O! nie działa szlachcic tak
Ale niedorosły żak,
Bisurmanin, chytry żyd!"
Rotmistrz ze zwieszonym łbem
Stoi blady, napół żywy,
Bo choć czuje inwektywy.
Odeprzeć ich nie ma czém.
Jednak ozwie się nieśmiało:
„Wielce mi mościwa panno,
Co się stało, to się stało
A jam nie krzywd. W oną dobę
Zgrabiliście mi chudobę,
W własném mieniu, podstarości
Nakładł w ucho siła złości;
I czart skusił, ależ przecie
Ja ustąpię gdy tak chcecie".

„I w mniście tak uczynić,"
Przerwie dziewczę: „jam niewiasta
Lecz gdyby kto śmiał zawinić
Mnie na świecie, jak Bóg w niebie,
Trefnisiować nie dam z siebie.
Szczupły wprawdzie orszak mój,
Lecz jeśli gwałt chcecie szerzyć
I okęszać ojca mienie,
Zabaczywszy na sumienie,
Ja się zdołam z wami zmierzyć
I zawzięty stoczyć bój:
Raczéj gardłem płacić wolę
A sromoty nie dozwolę".

Gdy tak prawi, rotmistrz bokiem
Zerknął na swych jedném okiem,
Snadź odwrotu daje znak;
Lecz porucznik stare licho
Znów pod wąsem szepce cicho:
„Ej mospanie, wracać tak,
Bez odmachu!"...

„Trudna rada:
Toć inaczéj nie wypada".

„Szydzić będą".

„Szczęść im Boże!"

„I powiedzą w onéj porze,
Że nas baba pogromiła".

„Niechaj prawią sobie g'woli".

„Panie Jacku, a toć boli
Słyszeć w ten wzór gadki płoche...
Jam leciwy żyłem siła
A krew pono we mnie wre!
Ejże panie, ruszmy się,
Społem krzepko kopce strząść,
Zasię drabów i czeladkę
Łupu cupu, a sąsiadkę
Mocium pannę, w jassyr wziąść!"

„Broń was Boże," rotmistrz rzeknie,
„By wyrządzić taki srom;
A to iście jest nie pięknie.
Dixi, finis—daléj w dom!"
Próżno się porucznik zżyma,
Próżno sypie argumenta:
„Cudze mienie to rzecz święta
Kto w nie godzi z biésem trzyma!"
Rotmistrz rzeknie i nie słucha,
Chociaż stary mu do ucha
Tysiąc baśni kłaść się ima...

I raz piérwszy w onéj chwili
Oba śmieli harcownicy,
Znani z dzielnéj swéj prawicy
Tak sromotnie bój skończyli.

* * *

Minął miesiąc, a we dworze,
Ranną porą za stolikiem
Siedział rotmistrz z porucznikiem,
Zwykłym trybem w onéj porze;
Zaś na stole misa stała,
Z misy kłęby pary płyną:
Toć polewka z niéj woniała,
A polewka... dawaj ino!
Podle misy podpłomyki,
Kreple na szałwi osobne,
Stos gomułek i pierniki
Wszystko smaczno, a nadobne:
Cichość w izbie. Wiarus stary
To do misy, to do czary,
To gomułki zasię kraje,
A w rozprawy się nie wdaje.
Bo gdy ima się coś prawić
Nuż kęs jadła w gębę wlata,

Więc co wlazło żwawo zmiata.
By snadź w gadce się nie zdławić.

Siła okęsił pierników,
Siła zrzezał podpłomyków,
Przedsię zawżdy gną się stoły
Sterczą kreple i gomoły:
Snadź klucznica pono zgadła
Oną wilczą chuć do jadła.

Rotmistrz głowę sparł na dłoni
Zadumany, a nie baczy
Na osobny stos kołaczy.
Na polewkę co tak woni;
Ni go farfur brzęk poruszy,
Ni on plusk co chłepce w dzbanie,
Ono obiad a śniadanie
Zawżdy jeden smętek w duszy.
Siedzi, duma, wzdycha, sapie,
Szorstką dłonią maca czoło,
I mdłém okiem patrzy wkoło
Sledząc muchę na pułapie.
„Ejże!" stary wnet zagadnie
Ocierając sobie wąsa
Co się skąpał snadź w polewce:
„Jakoś słonko błyska ładnie:
I Bryś podedrzwiami pląsa,
Weźmy torby a rusznice,
Może kot z chrustu wycieknie".

„To idź, wasze," rotmistrz rzeknie:
„Ja zostanę".

„Ejże, panie,
W taki dzionek siedzieć doma,
Toć obraza pana Boga:
Idźmy w pole, het do broga
Kędy zwożą dziś pszenicę..."

„To idź wasze gdy oskoma".

„Źle na łowy, źle do roli."
Mruknie stary trąc czuprynę:
„A to jedźmy do cześnika
Są kasztanki, stoi bryka,
Uradujem starowinę..."

„To jedź wasze sobie g'woli".

Wiarus spojrzał nań z ukosa,
Zakwaszony, osowiały,
I ująwszy chustę w dłonie
Taki uciął kurant z nosa,
Że aż szyby w oknach drżały.
„Panie Jacku, zasię rzeknie,
Jak Bóg miły to nie pięknie,
Czym żagawka, chwast okisły,
Co po piętach jedno parzy,
By na mojéj staréj twarzy
Cne affekta nie zabłysły?
Oj bywało—prawię ć gwoli
Waszmość ucho ku mnie skłania,
Dziś, już ni kęs u mnie zdania
Dziś... ot milczę, serce boli.!"

Rotmistrz spojrzał, potrząsł głową:
„Serce boli, dobre słowo!..."
I nuż wzdychać.

„Bez uchyby
My tu siedzim jak dwa grzyby,
Ni do tańca, ni różańca,
Ni zawitać do sąsiada"...

Rotmistrz bąknie: „trudna rada!,.
Trudna rada! marne słowo,
Człek ma głowę, radzi głową
Na to głowa"... Stary prawi,
A gdy kogo niemoc zdławi.
Więc do łoża rejterada,
Boć na wrzody są syropy,
A przyprawy zaś w oleju,
Ale zdrowe silne chłopy
To nie babstwo, mosterdzieju!"

„Jam nie charlak do rumianku,"
Krzyknie rotmistrz namarszczony,
„By syropy mnie traktować"...
I umilknie zamyślony;
Myśl zaś jego nuż harcować
Het daleko w świat szeroki...

Jak przed słońcem mkną obłoki,
Tak gdy błysła myśl natchniona,
Ubiegł smętek z jego łona
I wciąż dumał; a w téj myśli
Tysiąc dziwnych złud się kreśli...

„Cóż to życie," mruknie z cicha
Niby sobie w duchu gwarzy;
„Cóż to życie, cóż u licha,
Gdy affektów nie kojarzy?
Człek samotny marne ziele,
Co usycha wśród bezdroża!
Ni to radość, ni wesele
Nie zawita mu u łoża!
Przyjdzie niemoc, ot zmarnieje!
Ot i basta!"
„Tak się dzieje!"
Westchnie stary.
„Lecz kto kocha,
Komu affekt serce ima
Ten i szczęście rad otrzyma
A po smierci... choć łez trocha!"

Wiarus spojrzy: „po co? naco?
Ktoby nie znał pana Jacka,
Mógłby myśléć, że z nienacka
Białogłowa go owładła."

„Zgadłby może: toć się stadła
Nieinaczéj koligacą."

Stary porwie się z za stoła;
Muśnie wąsa, potrze czoła:
„A toć trefność! znam was przecie
Tak stateczny mąż w powiecie,
Tak rozumny w każdéj dobie.
Miałby jarzmo kupić sobie,
Ująć kądziel, mańczyć dziatki
A wywodzić żakom gadki?
Tfy do licha!"

„Nie pluj wasze,
Bo obrażasz wolę nieba,
Co prowadzi kroki nasze,
Jakim torem iść nam trzeba:
Bóg przykazał, Bóg uświęcił."
„Szatan chyba—mruknie stary
By mu łacniéj kark nakręcił!"
„Wierz mi waszmość, głośno doda,
I jam uczuł co swoboda,
Gdym ją stracił w tym fortelu.
Oj przed ślubem białogłowy

To aniołki. Po weselu"...
I zamilknie rozżalony,
A w cichości doda zasię:
„Na skórzeby, na wołowéj
Nie wypisał, com od żony
Wycierpiał się w onym czasie!"

Rotmistrz spojrzy: „co waść plecie?
Żeś ułapił sobie jędzę
Co dogryzła ci zajadle;
To już widzisz w każdém stadle
Same troski, same nędze.
Żona!.. żona nie Szwed przecie;
Da się radę—na to głowa:
Dixi, finis—ani słowa!

Na tém stanęła rozmowa.

I tak było. Nad wieczorem
Zatoczył się przededworem
Wóz ładowny, ciężki, kryty;
W nim krup, ziarna, łoju, skórek,
Masła, miodu, okowity
Co niemiara; zaś na szczycie
Przy miodzie i okowicie,
Pośród rupieci tysiąca
Błysła jak księżyc z za chmurek,
Twarz rumiana, pełna, lśniąca
Brata Marka kanafarza
Bernardyńskiego kwestarza.

Pochwaliwszy Boga słowem,
Złazi z woza: „Witaj księże!"
Zradowany rotmistrz woła,
Że dziś przecie czemsić nowém
Rozegna zadumę z czoła;
A braciszek nuż w ukłony:
Spuścił kaptur co twarz słonił,
Utarł nos zatabaczony,
Ręce pochował w rękawie.
I raz jeszcze mu się skłonił,
Jak to obyczaj kwestarza;
I we spółek siadł na ławie,
Podle onego gospodarza.

Nuż w gawędę o tém, owém,
O pogodzie, sprzęcie, drodze,

I o gwardyanie nowym,
I o księdzu kaznodziei,
I o bractwa różnych składkach:
Wreszcie zwolna gadu, gadu,
Jak języka puścił wodze
Rozgawędził się z kolei
O sąsiadach i sąsiadkach.

Zeszło się to snadź trafunkiem,
Że o Wojskim rzecz swą wiedzie;
Rotmistrz słucha, choć w sąsiedzie
Widział wroga w onym czasie,
Co nie bacząc na sumienie
Okęszał mu ojców mienie.

A Bernacha prawi zasię
O Wojszczance: miły Boże!
Rotmistrz dość słuchać nie może.

„To niewiasta! Kwestarz rzecze,
Istny obraz zacnéj matki
(Panie, miéj nad duszą pieczę!)
Boć to dykcya znana w świecie,
Jaka macierz takie dziatki.
Zaś nieboszka, jak to wiecie,
(Doda wiercąc niuch tabaki,
Bo już miał obyczaj taki,
Że jak wylazł w gadce z tropu,
To rzecz ciągnął od potopu).
„Zaś nieboszka była g'woli
Sługą Bogu, ludziom wzorem,
A wciąż statku idąc torem
Lubowała się w swéj doli.
Jedno zawzdy Bóg feruje
Szwank po szczęściu, ból po śmiechu,
Aby człek co siła czuje
Choć stateczny nie legł w grzéchu:
Przyszła niemoc... ot i kwita!,"
Machnął ręką, kiwnął głową
I zawięzło w gardle słowo
Snadź poczciwy był księżyna..

„A Wojszczanka?" rotmistrz pyta
I przysuwa gąsior wina
I nalewa dwie szklanice.

„A Wojszczanka," ciągnie daléj
Mnich zwróciwszy g'woli lice

Kędy nektar zdradnie woni;
„Sługa wasz, co Boga chwali,
Nie światowiec, a mnich prosty
Mnie modlitwa, klasztor, posty,
Adwent zasię, a dni suche
Ot, czasami na otuchę
Gąsior wina... ależ rzekę
Jam się spłakał nad jéj cnotą,
Boć to wdzięczne a przystałe
Lube, słodkie, przedsię śmiałe,
Myśl jéj czysta, rozum złoty,
A serduszko... ot, na dłoni!"
Kwestarz prawi, rotmistrz słucha
I tak jakoś mu do ucha
Lgnie gawęda Bernardyna,
Że krom dykcyj wszystko za nic,
Jedno wciąż dolewa wina,
Radby dnia nie ujrzéć granic.

„Oj w téj dziewce wszystko społem:
Miękkość serca i hart duszy,
A choć żywiéj krew się ruszy,
Przedsię zawżdy jest aniołem.
Błyśnie oko, gdy nawiasem,
Kto rycerskie wspomni sprawy,
I łzą zajdzie kiedy czasem,
Ujrzy nędzy żywot krwawy;
Dłoń jéj ulgę niesie w sioła,
Słowo, trwogę, w błogość zmieni,
Lice szczęściem się rumieni
Kiedy radość brzmi dokoła:
I dom cały, i czeladka,
I mieszkańcy z dalszych włości
Za nią modlą się w cichości
Boć w niéj iście cnota rzadka."

Kwestarz prawi, rotmistrz słucha
I wciąż mile mu do ucha
Wchodzi mowa Bernardyna;
Jedno im się w oczach dwoi.
Bo już drugi gąsior stoi,
A w gąsiorze siła wina.
Wreszcie przybysz wstaje z ławy:
„Czas do domu..."

„Cóż u licha
Za przeważne wasze sprawy,
By się chylać od kielicha?

Darmo jechać, mości księżę,
Już ja z wami domitrężę".

„Mnie tu pono siedzieć łacno,
Ale odpust już w klasztorze,
Więc co Bóg dał to zaś zwożę,
By kompanią podjąć zacną".

„To zaś gości miéć będziecie?"
Pyta rotmistrz zciekawiony.
„Co tylko żyje w powiecie:
Księża, pany i matrony...
Bo nasz klasztor słynny wszędzie,
A ksiądz gwardyan..."

„Wojski będzie?"
Przerwie wojak.
„Nawet z córą:
On jest piérwszy nasz dobrodziéj
Ona dobrodziejką wtórą".

I znów zasiadł. Jemu ino
Najobaczniéj o to chodzi,
By w gąsiorze sklęsło wino.

Zmilkli oba, boć z kielicha
Blizko do ust poza stołem;
A więc piją zasię społem:
Mnich do pana, pan do mnicha.

„Rzadka panna," na schwał powié
Mnich i głowę swą przykłoni
Na zachwiałéj trunkiem dłoni.
Wojak fuknie: „w jakiém słowie
Śmiałeś waszmość uczcić cnoty:
Brylant czysty, klejnot złoty.
Perła wszystkich pereł w świecie!
Kto jéj zdrowia nie wypije
Oknem wyjdzie a nie drzwiami".

„A więc pijmy, gdy tak chcecie,
Mruknie kwestarz pod kapturem:
W długie lata niech nam żyje!"

„*Vivat!*" krzykną oba chorem
I zabrzękną szklanicami.
„A kto zasię, rotmistrz rzeknie,
Powié o niéj co nie pieknie,
To z szarszunem wlezę w drogę!"

„Dobrodzieju... ja pomogę!"
Szepnie kleryk.
„Cny kwestarzu,
Chcesz barana, trzy barany,
Siążek drzewa, furkę żyta;
Są i jabłka w wirydarzu
Jest pszenica, okowita"...

„Dobrodzieju!" kleryk jęknie
Rozczulony a spłakany:
Fura żyta, trzy barany,
Dobrodzieju—jak to pięknie!"

I ująwszę go za ławą,
Tak w głos czuły a płaczliwy
Jął wywodzić affekt żywy;
Że on wojak co przy stole
Dzierżył przód dziarską postawą
Rozbeczał się jak pachole.

* * *

Cichy klasztor zagrzmiał w gwar,
Trząsł się fórty stary próg,
Wrzał dom Bożych szmerem sług:
Więc refektarz brzękiem czar,
Więc podwórze warkiem kół.
W refektarzu giął się stół,
Tyleć stało farfur, mis,
Na podwórzu istny sąd,
Taki długi kolas rząd
Hajduckiemi barwy błysł.

A w kolasach szlachty huk:
Ten z pachołki, ten bez sług,
Zasię na co kogo stoi,
A postawy dziarskie to
Braci szlachty! Znałci Szwed,
Ile na kark spadło bied,
Kiedy szlachcic krzyknął ho!
Kiedy jął krzyżową grać!

Już po summie umilkł dzwon,
Więc ksiądz gwardyan Bożych sług
Wyszedł poza furty próg
I w klasztorny prosi dom:
A każdy zaś temu rad
Za furtyanem kroczy w ślad.

W refektarzu długi stół,
A ksiądz gwardyan sadza gości
Wedle wieku lub zacności:
W szary koniec mnichów współ.

Pan Woiski pod krzyżem siadł,
Przynależy mu to z lat,
Boć był w leciech zaszły już;
A zaś rotmistrz, jak to wiecie,
Co się otarł w Bożym świecie,
Rycerskiego człek rzemiosła,
Więc biesiadny do rozmowy,
Dostał miejsce z białogłowy
Podle cnéj Wojszczanki tuż.
Porucznika tam nie było,
Wolał doma siedzieć cicho,
Boć się pono tam to licho,
Z gwardyanem powaśniło,
Kiedy w wielkiéj dworca sali
W maryasza sobie grali.

Rotmistrz z Wojskim wprawdzie bokiem,
Kosem zerkli na się okiem;
Aleć burda nie urosła,
Ni zawziątku wywarł srom,
Bo stateczni snadź mężowie
Umią być hamowni w słowie,
Kiedy w cudzy wejdą dom.

Idą zdrowia wraz z kolei:
Naprzod króla jegomości,
Potém rycerskiego stanu,
Potém gwardyan zacnych gości;
A więc księdzu gwardyanu,
A więc ojcu kaznodziei,
I tak bawią się w kielichy,
Bracia szlachta we spół z mnichy.
A prawią zasię o Szwedzie
I o krwawych miast pożogach,
I o strasznéj kraju biedzie,
I o starciach, i o wrogach.
Rotmistrz co sam gardła stawił,
Kiedy zeszło zbość się z Szwedy,
Co sam w wojnie doznał biedy,
O rycerskich rzeczach prawił.
Wszyscy milczą, każdy słucha:
Jeden, drugi muśnie wąsa,
Brzęknie szablą, głową wstrząsa,

Lub zarzuci w tył wyloty:
Boć to szlachta, klejnot złoty
Rycerskiego zawzdy ducha.

I wraz z kielichami w dłoni
Z ław powstali: „W długie lata
Niech żyje rotmistrz kochany!"
„*Vivat!*" krzykną. On się skłoni:
„Wielce mi mościwe pany,
Dank wam niosę za uczczenie,
Alem nie wart téj estymy:
Tak panowie, na sumienie
Wyznać trzeba—raz jedyny
Jam poddawszy serce strachu,
Umknął z pola bez odmachu.
Ni Szwed spłoszył ni Tatary,
Ni bisurman wróg cnéj wiary;
Ale jedna białogłowa
Ciałem Venus, a Bellona
Animuszem: oto ona,
Tu przytomna, cna Wojszczanka
Wielce mi mościwa panna,
Przed którą ja rycerz stary
Kornem biję w pokłon czołem."

„*Vivat!*" krzykną wszyscy społem,
Zdrowie dzielnéj męztwem pary!"

Jeśliś widział kiedy kwiat,
Co skraśnieje od promieni
Słońca, gdy oblewa świat
Ciepłem swojém w łąk zieleni;
Jeśliś baczył na róż krzew,
Co rozkwita wśród ogrodów,
Kędy ptasząt luby śpiew
Płynie z tchnieniem rannych chłodów:
To wiész w jaki spłonął żar,
Cudnych lic dziewczęcia czar!

Już gdy wojak wiódł swą rzecz
O tych harcach, toć słuchała,
A pierś ogniem jéj zawrzała
I oko zawilgło łzą;
I przylgnęła myślą swą,
K'temu, co obnażył miecz
Gromiąc Szwedy a Tatary
I pohańce wrogi wiary;
Bo gdy wojny zagrzmi chór,
Gdy się mieczów ozwie brzęk,

Toć w Sarmackich piersi cór
Echem będzie każdy jęk!

Zaś, gdy daléj dzielny mąż
Do niéj zwrócił myśl swą cały,
I jéj święcił dank swéj chwały;
To płoniła się już wciąż
Dumą, chlubą i wdzięcznością,
A rozkoszą, a radością!
Boć nie miękki Włocha śpiéw,
Ni Francuza suknia pstra,
Ni zgnuśniała Niemca krew;
Lecz orężów dzielna gra,
Lecz pierś co stanie jak mur,
Lecz wzrok w męztwa lśniący czar,
To Sarmackich serca cór
Wzruszy w święty uczuć żar!

Co się potém przygodziło,
To dołożnie nikt nie powié;
Bo wiwatów siła było,
A szło duszkiem każde zdrowie:
Jeno sobie coś gwarzono,
Że pito z trzewika pono,
Że pan Wojski się nie zżymał,
Że płoniało dziewczę hoże,
Że ony rotmistrz co prym trzymał
W jakiéjś składnéj metaforze,
Coś powiedział bardzo pięknie.
Koniec końcem, któż tam pyta
Co się na odpuście rzeknie?
Byli, pili, a gwarzyli,
Rozjechali się i kwita!

A nazajutrz w rannéj porze
Stanęła bryka przy dworze
Rotmistrzowskim. On w żupanie
Pozłocistym siada na nię.

„Gdzie Bóg wiedzie?" wnet zagadnie
Porucznik co wybiegł z dwora.

„Ot w świat sobie"...

„A to ładnie!
Rzeknie wiarus: boć i pora
Jest po temu. Lecz do kogo,
Wolnoż spytać, tak paradnie,

Tak złocisto, tak chędogo?
Jaki żupan, fiu!... pas złoty,
A sajeta, a chaboty!
Czy do króla jegomości,
Czy zaś do księcia prymasa?"
Rotmistrz pogładził czuprynę
I poprawił sobie pasa:
„Zgadłeś waszmość do połowy,
Choć nie do króla w gościnę,
Aleć jadę do królowej
Serca mego, cnéj Wojszczanki,
Da Bog żony, a kochanki:
Daléj Wojtku!" Warkną koła,
Ruszą konie kłusem sporym,
A bryka już het za borem.

Stary stanął, potarł czoła
I rozlepił wzrok szeroko,
I zadumał się głęboko,
I tak patrzał wciąż na błonie;
Wreszcie cały w złości splunął,
Rogatywkę na nos zsunął,
Spojrzał raz jeszcze w tę stronę,
A podniosłszy w górę dłonie:
„Pod Twoję. mruczał, obronę,
Uciekamy się o Panie!"

A tymczasem brodzka bryka,
Przed dworzec się het pomyka;
Wojski do sieni wychodzi
I skłania się aż pod nogi:
„A, pan rotmistrz, mój dobrodziej!
Cóż w progi chaty ubogiéj
Wiedzie zacnego sąsiada?
Proszę z sobą, na co stanie,
Bo ma chata, jak to wiecie,
Czém bogata, tém i rada."
„Wielce mi mościwy panie,
A sąsiedzie," rotmistrz rzeknie,
Kiedy zasiedli za stołem:
„Bóg świat stworzył bardzo pięknie,
A na świecie wszystko społem
Się feruje; otóż tedy
Człek sam nie wie, jak i kiedy
Co przygodzić mu się może,
Boć to są wyroki Boże,
Które zgłębiać jemu wara;
A jak dykcya niesie stara,

Co się stać ma, to się stanie.
Wielce mi mościwy panie
A sąsiedzie, wasza dziewka
Tak do serca mi przylgnęła,
Żeby żyć z nią, a umierać!
Dajcie pannę, bo inaczéj
Już mnie świat ten nie zobaczy,
Wlézę w kaptur i w klasztorze,
Gdzie zmarnieję w imię Boże!
A bez chluby człeka szkoda,
Bo to jeszcze i krew młoda:
Sam kwiat, zważcie: lat czterdzieści!"
„Widno z waszéj opowieści"—
Rzecze Wojski zfrasowany,
„Że on afekt nieudany.
Co zaś do was, rzekę śmiało,
Żeście godni téj dziewczyny,
Ród wasz zacny, karmazyny,
A fortuna jakich mało;
Przytém Maryś jest chętliwą,
Taić nie chcę wam w téj chwili
Ale jest sęk, sęk niemały!"

„Jaki?", pyta rotmistrz żywo.

„Ba! czybyście zahaczyli,
Że między nas wlazł gród cały,
Więc statuta, więc przekazy,
Pozwy, skrypta, zjazdy, wiéce:
Jedném słowem bez obrazy,
Owa kauza o granicę."

„I toż tylko—bagatela!"—
Rzecze rotmistrz uśmiechnięty:
„Niech nas fraszka nie rozdziela,
Skończmy zasię spór zawzięty:
Parę łanów, piasek, błoto,
Ja ustąpię wam z ochotą.",

„Czy ja dziadem z pod kościoła,
Czy chodzę zasię z torbami,
By obsełać podarkami?"
Stary groźnie wnet zawoła.

„Ej sąsiedzie, miły panie,
Któż z przekazą w dom wasz wchodzi?
Gdy tym kształtem się nie godzi,

Daj kontrowers z córą w wianie
I do biésa te niesnaski."

„Byłoćbyto nieźle wcale,"
Rzecze Wojski kręcąc wąsa,
Aleć sprawę w trybunale,
Sprawę, która z Bożéj łaski
Od lat trzystu się już wiedzie
W naszych rodach—eh, sąsiedzie!
Takiéj pięknéj sprawy szkoda,
Skończyć słowem: ot i zgoda!
Jeszcze dziad wasz z moim dziadem
Wiedli w grodzie tę rzecz całą,
A rzecz różnym poszła składem;
Byłci zajazd jakich mało,
Była turma, ba! co wrzawy,
A zaś skryptów jaki nawał,
Cały powiat w świadki stawał.
Nie sąsiedzie, takiéj sprawy
Pięknéj, głośnéj, słowem gładkiém
Skończyć marnie nie jest łacno!"
—„Ha, cóż czynić?"

„Bóg mi świadkiem,
Że podzielam tę chęć zacną,
Która was w me progi wiedzie,
Posłuchajcie cny sąsiedzie:—
Rzekł spojrzawszy w smętne lica,
Które rotmistrz w ziemię skłonił:
Dam wam dziewkę, a z nią wiano,
Na jakie stanie szlachcica;
Tynfów dziesiątkę tysięcy,
Gdy potrzeba znajdę więcéj,
Boć kęs grosza jest w kalecie;
Lecz winniście—rzekł za chwilę,
Dać mi tu *verbum nobile*,
Że amor będzie amorem,
Sprawa sprawą, a w powiecie
Pójdą pozwy swoim torem".

I dał *verbum*, ba! cóż czynić,
Znał starego, twarda sztuka,
Jak raz rzeknie próżno prawić,
A tu panie nie przelewki
Taki afekt czuć do dziewki!

Co rzec więcéj? *Verbum* dane,
Przyszło dziéwczę wywołane

I szczęśliwe. Już oboje
Siedli sobie w izbie społem;
Więc on swoje, ona swoje,
Ani baczą jak czas leci...
A zaś stary po za stołem
Jął się pióra i coś kleci:
Ha! co pisze, czy zgadniecie?
Wyszedł pono dekret z groda,
Więc go zwalić trzeba przecie,
Bo tak pięknéj sprawy szkoda!

* * *

Lata przeszły, z biegiem lat
Nic się nie zmieniło, nie,
I stał sobie mały świat,
A tym światem wioski dwie;
A w tych wioskach zwoje drzew,
Łąk kobierce, łany zbóż,
I wesoły ptasząt śpiéw,
I rozkwitłych wonie róż,
I bielutkie dwory dwa,
I kościołki schludne wzwyż,
I nad drogą czarny krzyż,
I szum fal, co w Wiśle gra.

Tylko z śpiéwem ptasząt tych,
Co brzmią pieśnią pośród jar,
Splótł się hoży, dźwięczny śmiech
I wesoły dziatwy gwar;
Tylko na wojaka skroń
Nie zbiegł nigdy smutku cień;
Głowa mu nie zwisła w dłoń,
Nie zgasł jasny szczęścia dzień;
Tylko w wioskach co od lat,
By siostrzyczki stały dwie,
Zmilkło echo bratnich zwad,
Rozprysły się chęci złe.
A choć w onych dworach dwóch
Nie zcichł grodzkich sądów głos,
Przecież święty zgody duch
Siał spokojność, szczęście niósł!
Bo przy szermujących, tuż
Stał z niewieścich wdziękiem cnót:
Córa, żona, anioł stróż,
Co im dłonie w miłość plótł.

W Radoszewicach,
d. 25 listopada 1856 r.

WYCIECZKA NA PODLASIE.

PRZEZ

J. Grajnerta.

Szlachta zagonowa.— Zamek Liwski. — Węgrów. — Zwierciadło Twardowskiego. — Bilard węgrowski. — Charakterystyczne szkice Węgrowian. — Żydzi. —Kometa.— Astronomia żydowska—i nieco o przeszłości Węgrowa.

Z prawdziwą rozkoszą spoglądałem ze Zjazdu na zawiślańskie równiny, jadąc na tegoroczne święta Wielkanocne do miasteczka Węgrowa, na ukochane mi Podlasie. Powtarzam, ukochane, na złość tym, którzy z przekąsem się może uśmiechają na to moje przywiązanie ku stronie, albo raczéj ludziom, tak często w potocznych rozmowach wyśmiewanym przez braci z innych stron kraju. Ci z nich, którzy są z śpiczastemi nosami, a tém samém według fizyonomistów bardzo przenikliwi, może domyślać się zechcą, iż na ten ubogi i wyszydzany zakątek kraju przez pryzma swych uczuć spoglądam; i w istocie, mieliby poniekąd racye, gdyby nie okoliczności poniżéj przytoczone, które przekonają, iż nie same tylko tony z struny sercowéj w tym opisie brzmieć będą. Chociaż wprawdzie nie znam dotąd całego Podlasia, lecz polegając na owém zdaniu: ex unguis cognoscitur leo (1) będę chciał i ze zna-

(1) Z pazurów lew się poznaje.

néj mi cząstki Podlasia zdać małe sprawozdanie, szczególniej co do bytu, zwyczajów i usposobienia tamtejszego ludu.

Piérwszą przyczyną pokochania przezemnie tych stron jest ubóstwo prawie ogólne ich wiejskich mieszkańców, tak pańszczyznianych chłopków, jako i tak zwanéj zagonowéj szlachty, którzy, choć są małe wyjątki, wśród nędzy przebiegają zakres swojego żywota, a do czego, pomijając żywotniejsze przyczyny, przywodzi ich poniekąd zbytnie zamiłowanie swego kawałka roli i gospodarstwa przez Podlasian fortunką zwanych. Fortunki te bowiem, dzielone w miarę przybywania następców na coraz drobniejsze części, w końcu przychodzą do tego, iż całą posiadłość podlaskiego szlachcica stanowi kilka lub nawet parę tylko zagonów roli; złośliwi też dowcipnisie utrzymują: że kiedy wszerz zagonu szlachcica pies się położy, to ogon jego już na obcéj posiadłości spoczywa; lub, kiedy lis przez pole dąży, to jednocześnie ogon jego potrąca jednę fortunkę, nogi dotykają się drugiéj, a głowa trzeciéj już dosięga. Ostatecznością tylko zmuszony Podlasianin udaje się w świat za kawałkiem chleba i to jeszcze ze ściśniętém sercem, widząc, że się z swemi kilkoma piędziami ziemi bezpowrotnie pożegnać musi.

Ubóstwo to wyraźnie piętnuje się na nędznych walących się i rozproszonych tu i owdzie chatach wiosek podlaskich, czerniących się po obu stronah traktu, wiodącego z Kałuszyna do Węgrowa. Jadąc piérwszy raz w te strony wózkiem o jednym koniu w hołoblach, jakto jest zwyczaj na Podlasiu, mimowoli porównywałem je z rodzinnemi kaliskiemi stronami, a porównanie to smutny mi wniosek wydało.

Mój Boże! pomyślałem sobie, spostrzegłszy szlachcica orzącego sochą piaszczystą rolę obok Cierpiąt, wioski nad traktem węgrowskim rozrzuconéj; dzisiaj, przepasany powrósłem, w połatanéj kapocie, z obli-

czem wynędzniałém, orząc krowami lichy swój kawałek roli, ani się domyśla już pewnie, że dziad jego z bardyszem (1) przy boku o sumiastych wąsach, z butną miną radził nieraz na sejmach kogoby lepiéj obrać na króla?, dokąd iść lepiej: czy do Sasa, czy do lasa?

Dziś największą butę jego wnuka widzisz w chęci zostania piérwszym w wyścigach wozowych, gdy wracając z jarmarku, rozmarzony trunkiem nie dozwala się ziomkom wyminąć, nie bacząc już wtedy ani na konia, ani na osie wózka, ani na siebie samego. Czasem, czasem tylko ta ich pigmejska buta przybiera, i to już teraz rzadko, zuchwalsze rozmiary: pokazywano mi bowiem dość rozległe wzgórze nad traktem, gdzie szlachta kłócąc się przed kilkunastą laty o las graniczny z sąsiednim dziedzicem wioski, i nie mogąc się doczekać rychłego skutku procesu, wycięła las gwałtem i drzewo do chat swoich zwiozła, używszy wprzód do bójki z poddanemi dziedzica i żon swoich, które z kosiorami (2) w ręku, szalę zwycięztwa na ich stronę przechyliły.

Mimo to jednak, jak mówią, i dziś tam jeszcze nie jeden szlachcic zmuszony syna w świat za chlebem wyprawić, nie przepomina o dawniejszém znaczeniu; a wydobywszy zakurzone dowody szlachectwa z za strzechy, przemawia:

— Oto twój klejnot! staraj się go nie splamić; a jeżeli będziesz szczęśliwszym odemnie w uciułaniu grosza, to wracaj znów na swoję fortunkę i postaraj się o legitymacyą.

Ta ogólna prawie, a szczególniéj w ostatnich latach głodu, nędza ludu podlaskiego, znajdująca tylko ulgę w modłach i religii tak sumiennie tam przestrzeganéj, nawet w najdrobniejszych obrzędach lub zwyczajach

(1) Tak tam nazywają karabele.
(2) Inaczéj: ożogami.

pobożnych przodków, przemawia do ciebie przez zżółkłe ich oblicza, przez całe ich obejście się i przez ich smętne a dziwnie rzewne piosenki. Wstąpiwszy do chaty nad traktem, zdaje mi się w Kijaku, do głębi serca wzruszony zostałem wyśpiewaną tam bolejącym, przeciągłym tonem piosenką dziewczyny nad kołyską dziecięcia, a która, o ile przypominam sobie, od tych słów się zaczynała:

„Matko! moja matko! coś mnie wychowała,
Jakiéjś się pociechy ze mnie doczekała!"

Miałem sposobność słyszéć jeszcze nieraz śpiew ludu w tych stronach, i ten zawsze odznaczał się smętnością i trudną do wyrażenia tęsknotą, niby za szczęściem, do którego się napróżno ręce wyciąga, a które twą duszę uniesie w nieznaną krainę marzeń i rozkołysze ją błogą, niepojętą rozkoszą. Nie wiem, jak kto? ale co do mnie, to chętnie porzuciłbym wszelkie huczne orkiestry i efektowne koncerta dla rzewnéj, smętnéj ludowéj piosenki, wyśpiewanéj z uczuciem przez wiejskie dziéwczę.

Pomimo jednak swego przykrego bytu, szlachta tamtejsza nie straciła jeszcze przekazanéj jéj z dawniejszych czasów chęci do niezgód i pieniactwa: sądownicy bowiem niekoniecznie narzekają na brak spraw spornych w tych stronach, i często przypadkowe lub rozmyślne zaoranie miedzy lub skiby roli niezgodnego sąsiada, stanowi przedmiot długo-trwałego i niszczącego obie strony procesu. Jak dla biurzysty etat, jak dla dawnych rycerzy odznaczenie się w boju, tak jeszcze obecnie nawet dla młodego szlachcica na Podlasiu nie zbędném jest przeprowadzenie najmniéj dwóch spraw sądowych, aby otrzymać patent na kandydata do stanu małżeńskiego; wówczas bowiem, jako z czém wiekiem bywałym w świecie, każdy tam chętniéj przestaje, a rodzice panny młodéj ze spokojem w duszy oddają swą córkę w doświadczone ręce tak zasłużonego

młodziana, który prócz tego, aby nie dostać od kosza od wybranéj przez siebie szlachcianki, powinien ją poprzednio ukontentować podarkiem salopy lub chustki derowéj. Inaczéj, przy całéj kwalifikacyi, rozbić się mogą wszystkie nadzieje konkur jego o ten na pozór pośledni, a zadyktowany przez pannę warunek.

Dokładnie nam odmalować mogą to usposobienie Podlasian do pieniactwa, dwie poniższe a powtarzane tam powiastki:

Pomiędzy dwiema fortunkami stała oddawna grusza, wydająca rok w rok obfite owoce. Sąsiedzi otrząśniętemi gruszkami dzielili się długi czas po połowie; lecz na nieszczęście wmieszał się ktoś trzeci, który jednemu z sąsiadów, na którego grunt więcéj się gałęzi przechylało, poszepnął, aby inaczéj rozdział owocu czynił, a mianowicie: aby to zbierał, co na jego rolę upadnie. Po otrząśnięciu pokazało się, że na grunt drugiego sąsiada zaledwo kilka gruszek upadło; gdy więc tenże na to nie chciał się zgodzić, wytoczyła się sprawa przed sądy. Sąsiad, który był przyczyną sporu, zaniósł pretensyą o zwrót należności za niesłuszny rozdział gruszek od lat kilkudziesięciu, i w piérwszéj instancyi wygrał. Przegrywający zaapelował i wraz z przeciwnikiem pojechał na jednym wózku do trybunału. Każdy z nich miał nadzieję wygrania, bo każdy był opatrzony rekomendacyjnym listem od swego obrońcy; lecz na popasie w karczmie przyszło z nich jednemu na myśl, aby list odpieczętować i dowiedzieć się, co téżto tam w nim stoi? Na swoje zmartwienie przeczytał między innemi te słowa: „Kochany kolego! Staraj się dobrze trząść z téj gruszki, bo ja otrząsłem już z niéj do 600 złotych". Gdy i drugi coś podobnego w swym liście wyczytał, poznali dopiéro obaj swój nierozsądek, uściskali się i powróciwszy do domu, dzielili się po dawnemu gruszkami.

Inna znów powiastka brzmi w tych słowach:

W dziuplach rozłożystéj lipy stojącéj na gruncie pewnego szlachcica, gnieździły się zdawien dawna wróble. Gdy jednego lata synek sąsiada wdrapawszy się na drzewinę, wszystkie młode powykręcał wróble: urażony tą niesłychaną napaścią właściciel lipy, zapozwał ojca małego szkodnika o zwrot należności, za swoje własne wróble.

Sprawa wytoczyła się podobno za zgodą obydwóch przed sąd polubowny, i pozwany wyrokiem jego został skazany na zapłacenie powodowi za wróble, które za własność tegoż zostały przyznane. Przegrywający uiściwszy należność, przemyśliwa tymczasem, jakby wet za wet oddać: sieje więc proso na swoim gruncie tuż obok lipy i oczekuje lata. Gdy proso wyrosło, wróble, jak to przewidywał, znęciły się chmarami do niego i niemałą w niém szkodę czyniły; natenczas zwołuje sąsiadów i pokazując im objedzone proso, płoszy klaśnięciem w ręce tych skrzydlatych szkodników, które zaraz na lipę sąsiada sfrunęły. Mając więc świadków, jako nie czyje inne, tylko wróble właściciela lipy proso mu zniszczyły, zapozywa on teraz niezgodnego sąsiada, który przegrawszy musiał mu w dwójnasób więcéj, niż jemu wpierw tenże, zapłacić za szkodę swych własnych wróbli!

W istocie, podobne tym drobnostki często się tam stają przyczynami długotrwałych sporów; a gdy jeszcze dodamy do téj żyłki pieniackiéj i zamiłowanie gorzałki: natenczas dziwić się prawie nie można, dlaczego przy poprzednio przytoczonych przyczynach, taka tam bieda i tak płaczliwy nieporządek po chatach wiosek się znajduje.

— Jakimże był dla was rok ostatni?—spytałem powożącego mnie, a ubranego tamtejszym zwyczajem w bajową siwą kapotę i czapkę rogatą z barankiem, szlachcica z za Sokołowa.

— W nasych stronach, prosę pana—rzekł zapytany dobitnym i przeciągłym akcentem— zawse bieda! Sława tylko (1) człowiekoju na piersą potrzeb wystarcza, a i to nie zawdy, bo co się tu u nas łońskiego roku działo, to pan temu nie uwierzy! Głód zmiatał najsilniejsych i najurodliwsych ludzi; kilkunastoletnie chłopaki i dziewcyny chodziły jakby zbłąkane gromadami od wsi do wsi za służbą i naprózno ją sukali. Ten był tu jesce scęśliwy, kto się mógł całkami (2) wyzywić. Oj! byłoto głodno i chłodno, mój panie; wiela chałup nikiéj stare wąklice (3) w zimie stercało bez posycia, bo je trza było dla bydełka porżnąć na sieckę.

— A jakżeż w tym roku? przecież był urodzajniejszy, więc teraz i święta wielkanocne pewnie lepiéj spędzicie? Przynajmniéj chléb jest, boć o mięsie lub szynce wam pewnie nie myśleć?

— Podało się! (4) mój panie: bydło co nie wypadło od księgosusu, to je wystrzelano! Gdzie nam tam myśleć o mięsie lub o kompi (5)? Ależ dzięki Bogu i Matce Najświętséj! — dodał po chwili uchyliwszy czapki—zanosi się i w tym roku na dobre urodzaje. Patrzno pan, jakto het! zytko garściami już w górę strzela, a tam daléj znowu, jakto, ze słonko juz zasło, para z wód i oparzelisk chmurami się w górę unosi. Toćto mówią, ze to się na dobry rok tak dzieje, a choć jesce stryjo brody nie rozwinął (6)—ciągnął daléj poganiając konia—alez z tego, co dotela (7) widać, mozno juz wrózyć o lepsych casach; tylo...—dodał, spojrzawszy mi badawczo w oczy—kiedy nas znowu nową biedą strasą... W Warsiawie słysałem, ze Kurjer zapowie-

(1) Zaledwie.
(2) Brukiew suszona i krajana.
(3) Uszkodzony garnek.
(4) Jeszcze czego?
(5) Tak tam szynkę nazywają.
(6) Ma znaczyć: że jeszcze się lasy liśćmi nie pokryły.
(7) Znaczy: *dotąd*, tak, jak *od tela, odtąd.*

dział zniscenie świata przez ognistą planetę: musi być, juz ludziska nadto na świecie nabroili...

Wytłumaczyłem mu, jak mogłem najprzystępniéj, i złe zrozumienie doniesienia Kurfera i niepodobieństwo téj katastrofy, w którą pomimo dowodzeń przeciwnych pism publicznych, prawie powszechnie lud nasz ze strachem uwierzył.

Jadąc czas niejakiś w milczeniu, dozwoliłem wolnego biegu swym myślom i mimowoli zaszedłem w przeszłość, zastanawiając się nad tém, dlaczego w téj części kraju tyle się drobnéj szlachty znajduje? Złośliwi dowcipnisie utrzymują, że kiedy diabeł szlachtę z całéj Korony polskiéj do worka zabrał i z nią powietrzem do swéj dziedziny dążył, nad Podlasiem rozwiązał mu się worek, i z niego wysypała się tam szlachta jak groch na ziemię! Niechże sobie zostaną przy tém twierdzeniu; my możemy rozwiązać to pytanie w ten sposób: Podlasie, jak wiadomo, zarosłe niegdyś lasami, w których się Jadźwingowie kryli, musiało być przez długi czas po ich wytępieniu mało zamieszkałe; królowie więc polscy, chcąc je zaludnić, albo pozwalali szlachcie tam się osiedlać na pewnych warunkach, lub też wyznaczali jéj odpowiednie grunta za zasługi krajowe: zkąd też w następstwie tyle tam szlachty urosło. Polegając na historycznych źródłach, osiedlanie to szlachty polskiéj sięga XIV stulecia, a szczególniéj czasów Jagiellonów, którzy w téj ulubionéj sobie ziemi wiele osad i miast pozakładali lub już istniejące rozszerzali.

Dojeżdżając do starożytnego miasteczka Liwa, będącego do końca XVI wieku jedném z najludniejszych i największych miast na Mazowszu (1), obecnie z samych tylko drewnianych i nędznych domków składają-

(1) Lustracya z r. 1564, w miejscowém znajdująca się archiwum przekonywa, że Liw wówczas samych piwowarów miał 60, gorzelników 14, piekarzy 24, mieczników dwóch, złotnika jednego; w lustracyi z roku 1616, liczył jeszcze domów 800. Sąsiednie miasto Węgrów doznając opieki za-

cego się, a położonego w dole o wiorst 4 od Węgrowa, ujrzysz na prawo od miasta blizko rzeki Liwca, śród trzęsawisk, czerwieniącą się ośmiograniastą niezbyt wyniosłą wieżę, stojącą przy murowanych ścianach dawnego zamku; obok zaś zabielą ci się sterczące ruiny pałacyku w nowszych już czasach widocznie stawianego. Szczątki te pochodzą z owéj niedostępnéj niegdyś warowni liwskiéj, o któréj między innemi Gołębiowski w swych Pamiętnikach wspomina: że Szwedzi w ostatniéj wojnie po długotrwałém obstrzeliwaniu zmusili ją do kapitulacyi i zabrali z niéj 12 armat. Od tego téż pewno czasu zaczyna się upadek téj pogranicznéj niegdyś strażnicy między Mazowszem i Litwą, jak niemniéj i zupełny upadek miasta, które nieprzyjaciel spalił do szczętu i mieszkańców rozproszył. Lecz stojąca dziś jeszcze prawie w dobrym stanie z śpiczastym z dachówki dachem, wieża, zdaje się urągać czasowi i zapowiada długowieczny jeszcze opór jego niszczącéj potędze. Mówią okoliczni mieszkańcy, że w jednéj ze ścian wmurowane podłużnie 4 cegły mają świadczyć o czasie, w którym zamek był stawiany, a to przedstawiając sobą cztery jedynki t. j. 1,111 rok, jak niemniéj, że w téj wieży znajdują się jeszcze dawne papiery przekonywające o mieszkaniu czas niejakiś w téj warowni królowéj Bony, którą téż tam zamkiem Bony zowią.

Takto, gdzie się ruszysz, już cię Boną częstują! Widać, to imię tak się zespoliło z naszą przeszłością, jak te podania o mistrzu Twardowskim: bo nie ma prawie okolicy w naszym kraju, gdzieby o niéj nie wspominano, lub jéj czegoś nie przypisywano. Słysząc to opowiadanie przypomniałem sobie zaraz zamek bykow-

możnych właścicieli jego w XV i XVI wiekach, Kiszków, a potém książąt Radziwiłłów, oraz wznosząc się przez przemysł licznie tam osiadłych cudzoziemców, wpłynęło najwięcéj na upadek Liwa, tak, że dziś w nim tylko sto kilkadziesiąt dymów i przeszło tysiąc dusz się znajduje.

ski pod Piotrkowem, daléj: Królewską-groblę na granicy Szlązka w wieluńskiém, którą podobno usypać kazała z obawy zagrzęźnięcia ze skarbami w błocie, spiesząc pod gorące niebo z 24ma poszóstnemi wozami, oraz kościołek w Krzyworzece, także w wieluńskiém, który ufundować miała.

Tocząc się zwolna po rozległych piaskach zwanych przez lud, nie wiem dlaczego, dziadoską-wodą, o zmierzchu zbliżyliśmy się pod Węgrów. Z ciekawością rozglądałem się po obszernem błoniu, które, jak świadczy Swięcki, autor Starożytnéj Polski, o mało nie ubiegło Wolę pod Warszawą w prawie obierania na niém królów polskich, a które w następstwie czasów służyło za miejsce obozu Karolowi Gustawowi, zkąd tenże wojownik, przeprawiwszy się dwukrotnie przez Bug, kierował swe krwawe szlaki w dalsze strony Polski (1). Z niemniejszą także ciekawością zwracałem oko ku sterczącym na prawo wzgórzom, zwanym tam Jarnickiemi górami, które były polem krwawéj potyczki.

Węgrów, to prawdopodobnie pięciowiekowe i niegdyś obszerniejsze miasto, mianowicie gdy jeszcze było stolicą ziemi tegoż imienia, dziś wjeżdżającemu do niego wydaje się bardzo lichą i smutną mieściną; ale patrząc w oddaleniu na malowniczo ugrupowane na płaszczyznie domki, a szczególniéj na dwa wyniosłe kościoły, które zdają się, jakoby z miasta wielkiego niewidomą ręką tu przeniesione były, oraz na bielący się zdala gustownie zbudowany kościołek ewangielicki, reformowany, doznajesz korzystniejszego ku téj mieścinie usposobienia, w którém cię nawet i tablica przy rogatkach sterczaca z wypisaną liczbą 430 domów utrzymać może, dopóki nie wjedziesz w piérwszą ulicę zamieszkałą przez nieschludnych żydów, mieszczących

(1) Roku 1655.

się w brudnych i w wielu walących się już domkach drewnianych. Przyjechawszy tam wieczorem, miasteczko to uciszone z okoliczności Wielkiego Tygodnia i świąt żydowskich, wydawało mi się po szumie i zgiełku warszawskim jak martwe; zaledwo tylko na rynku spotkać się można było z przechadzającemi się z świąteczną powagą kilku brodatemi postaciami, i niektóre już tylko okna, jakkolwiek dopiéro 9 godzina była, słabém światłem błyszczały. Nie małéj rozrywki dostarczył mi podczas téj martwéj wieczornéj ciszy swą rozmową młodzieniec z długą brodą, któregobym pseudo-trefnisiem albo poprostu sowizdrzałem miasteczka nazwał, a który spotkawszy mnie przed sienią mojéj kwatery, jakkolwiek piérwszy raz w życiu mnie widział, przywitał się jak stary znajomy, mianując się ex-reformatem i zarazem przyszłym gubernatorem. Bez żadnéj ogródki potém zaczął rozprawiać o miłości, o 10ciu pannach, które go za męża pragną i o przyszłych planach zdmuchnięcia niewdzięcznego mu Węgrowa i porozsadzania mieszkańców jego na olchach przyległego gaju. Garnek z malarską farbą i pędzel w ręku naprowadzały mnie na myśl, że mam przed sobą drugiego nieszczęśliwego Rugpiutysa (1); ale wyjawił mi, że on z piórem w ręku wywalczy dla siebie stanowisko, które całe zdumi Podlasie!

Nazajutrz, o świcie zbudzony zostałem miłym przeciągłym dźwiękiem trąbki z kory olszowéj zrobionéj, zwanéj tam ligawką, którą pastuch miasta co rano znak daje, aby bydło zganiano na rynek, zkąd je na wspólne pastwisko pędzi. Wyjrzawszy oknem, widziałem wiele krów pojedynczo dążących na punkt zborny, niby żołnierze na appel.

Wysłuchawszy mszy rannéj w stojącym przy rynku farnym kościele, z okazałą powierzchownością, lecz

(1) W dziele *Sfinx* Kraszewskiego.

za to z bardzo skromném wnętrzem, bowiem główne jego ozdoby prócz gustownego cymboryum stanowią jedynie starożytne freski w ołtarzach, z których niektóre odnowione przed kilką laty przez Rycerskiego, malarza z Warszawy, dość są piękne, a mianowicie Wniebowzięcie N. Panny w wielkim ołtarzu, udałem się do zakrystyi w celu zobaczenia tam owego magicznego zwierciadła Twardowskiego, wspominanego jeszcze przez Narbutta, a potém przez L. Siemińskiego w jego Podaniach i Legendach, i Balińskiego w Starożytnéj Polsce. Wisi ono tam wysoko nadedrzwiami, jak mówi miejscowe podanie, dlatego, aby się znowu jak niegdyś przeglądającym się w niém diabeł nie pokazywał. Zrobione jest z metalu białego, miejscowi mówią, że ze stali; ma powierzchnią płaską, wysokie na łokieć, z mniejszą szerokością, z fasetką dokoła, u dołu tylko pęknięte, a na czarnych szerokich staroświeckich ramach przedstawia białemi literami następujący napis:

Luserat hoc speculo magicas Twardovius artes,
Lusus at iste, Dei versus in obsequium est.

co tak po polsku przetłumaczyć można:

Za pomocą tego zwierciadła Twardowski przedstawiał sztuki magiczne, jednak i ta zabawa niech idzie na chwałę Bożą.

Dopełniając następnie razem z innemi obowiązków religijnych wielkotygodniowych przez zwiedzanie grobów, wszedłem do kościoła księży Reformatów i trafiłem na najistotniejszą część tego smutnego obrzędu, tojest na kazanie poświęcone rozmyślaniu męki Zbawiciela naszego. Ogólny, głośny płacz ludu, jaki przy wejściu uderzył uszy moje, był najlepszém świadectwem przekonywającéj wymowy księdza Jankowskiego, jednego z lepszych miejscowych kaznodziei, oraz skupienia ducha licznie zebranego ludu. Kościół ten wewnętrznem swém urządzeniem tak podobny do in-

nych reformatskich klasztorów, a mianowicie swemi ciemnobrunatnemi drewnianemi ołtarzami i stacyami Męki Pańskiéj al fresco po ścianach malowanemi, datuje swą budowę w niezbyt odległych czasach. Założycielem jego jest, jak to wskazuje łaciński napis nadedrzwiami wchodowemi zewnątrz kościoła, niegdyś dziedzic Węgrowa, wojewoda płocki, Bonawentura hr. Krasiński herbu Ślepowron, który wystawiwszy go w roku 1707, w następnym zaraz odbudował farę po jéj spaleniu. Piękny nagrobek jego wraz z gustownemi złoconemi trofeami znajduje się w kościele OO. Reformatów, gdzie téż i ciało jego spoczywa. Węgrowianie, trzymając się podania, dotąd z uczuciem wspominają o dobroczynności tego pobożnego niegdyś pana ich miasta.

Chcąc poznać różnostronnie miasteczko, biegając, zaszedłem na jedyny tam bilard, mieszczący się w obszernéj izbie, a ta znowu w walącym się nibyto murowanym domku, dość jeszcze nie źle wyglądającym w porównaniu z wznoszącemi się tuż górami śmieci żydowskich.

Gdyby nie arcy-ponętny szyld, zdający się być satyrycznie malowanym przez któregoś z brodatych miejscowych profanów malarzy, niezawodnie nie widziałbym tego bilardu, téj osobliwości miasteczka! I byłbym tego bardzo żałował, bo proszę tylko iść ze mną daléj. W izbie czerni się kilkoro ludzi z czapkami na głowie, z serdecznym uśmiechem na twarzy, niektórzy z kieliszkami w ręku, a wszyscy patrzący się z zadowoleniem na dwóch grających z zapałem szlachciców zagonowych, niby widzowie Hogarta pożerający wzrokiem zapamiętałą dwóch kogutów walkę. Na krzesełkach i na łóżku siedziało także z czapkami na głowie kilku z miejscowéj młodzieży, z długiemi cybuchami w ręku, i ubrani w krótkie paltoty z rozdartemi czer-

wono sercami po bokach, z których im świecące portmonetki wyglądały....

Wtém gra ustała, obok stojąca żydówka zawołała: „partya!" można więc bez przeszkody przyjrzeć się samemu bilardowi i skreślić jego biografią. Otóż, zostaje on na utrzymaniu ruchliwego żydka Jukla, którego żona, zapewne dla swych puszystych strojów, zwana przez miejscowych figlarzy księżną panią, pełni obowiązki markiera a nawet często i mentora, gdy ktoś grać nie umie. W istocie! śmiesznie wygląda ta księżna pani w swych pretensyonalnych strojach i kolosalnych niobach; a z jéj nastrzępionéj licznemi falbanami sukni, przy wyniosłym wzroście, porównaćby ją można bezpiecznie do owéj 9cio piętrowéj wieży w Pekinie. Niezwykły ten markier w czasie przerwy gry, nakrywa, nie wiem dlaczego, płótnem białém wątpliwego już koloru bilardowe sukno, mnóstwem szram pokiereszowane niby ciało wiarusa, które, snać, zły chirurg pozszywał, bo drzewo, niby kości, przez nie świeciło. Na suknie błyszczą w równych odstępach trzy odstające od powierzchni jego koła skórzane, jak plastry na zrąbaném ciele, a z których jedno, środkowe, nosi techniczną nazwę, zapewne dla swéj wysokości obcasa pana Jarząbka, miejscowego amatora sążnistych korków u bótów. Z ciekawością przyglądałem się temu starożytnemu gladiatorowi i dotykałem, jak niewierny Tomek wychudłych nóg jego, z których jedna, zapewne w skutek jakiéj batalii, jako krótsza niedostawała skrzywionéj nielitościwie podłogi, może dlatego, że często ją niepokoić trzeba było, gdy z łuz, mogących bezpiecznie głowę dziecka pomieścić, przez dziurawe torby często przelatywały bile wielkości orzechów włoskich i w jéj szpary się potoczyły, zkąd je nieraz nie łatwo wydobyć można było. Dodajmy do tego poszczepione i jak piórka lekkie kije bilardowe; daléj, mnóstwo dziur na piecu i po ścianach, niby w kuźni od

świdrów, a tu wydrążonych od wiercenia kijmi zamiast pocierania ich dla straty czasu, kredą; dodajmy jeszcze kilka skrzących się szabasówek tu i owdzie porozstawianych dla przyświecania grającym, oraz zapach tuż smażącéj się cebulki na tygielku przy ogniu kominka, a będziemy mieli istny obraz téj knajpy węgrowskiéj, z którejby może jaki Van-Dyck wiele skorzystał, a w któréj dosyć traci nie jeden waspan szlachcic zagonowy lub biurzysta miejscowy, przegrywając często-gęsto nie jedną kolejkę herbaty lub sławnéj tam pejsakówki (1).

Gdym oglądał ten starożytny pomnik, właściciel jego o blond loczkach, o krzywym nosie i o filuternéj minie, dotknąwszy daszka ręką, odezwał się do mnie z uśmiechem, paląc krótką fajkę:

— W Warszawie pewnie pan takiego bilardu nie widział? To sławny bilard!

— Masz racyą, żem nie widział i radziłbym ci posłać tego protoplastę bilardów na wystawę starożytności, tém więcéj, gdy mówisz, że sławny?

— A tak panie!—dodał wciąż się uśmiechając—na nim jeszcze marszałki francuzkie grywali, jak szli z Napoleonem na Rossyą!

— Chyba ich sługi, i to jeszcze wątpię!, rzekłem mu na przekorę, bom słyszał, że często się z tém wspomnieniem rozwodzi. Ale wracając się do obecnego stanowiska tego bilardu, dodać jeszcze należy, że tenże odgrywa tam niepoślednią rolę w miasteczku. On nieraz pełni służbę zielonego stolika...., on staje się często przyczyną niezgody małżeńskiéj i sprowadza na męża burzę, która czasem trzy dni i tyleż nocy potrwa; on bywa, zdarza się, wabikiem dla przekwitłych ex-piękności warszawskich...., on nakoniec jest owym kogutem w bajce, który wszystkiego złego

(1) Wódka *śliwowica* ze śliwek przyrządzona.

staje się w miasteczku przyczyną. Tak więc być w Węgrowie, a bilardu jego nie widzieć, widzieć go, a nie opisać, jest to samo, co być np. w Rzymie, a papieża nie oglądać.

Lecz zaduszno siedzieć tam dłużéj, wyjdźmy lepiéj przyjrzeć się miejscowéj fizyonomii. Główną cechą tego na niektórych tylko uliczkach i rynku brukowanego miasteczka, stanowią porozrzucane tu i owdzie drewniane domki, z których wszystkie prawie noszą na sobie piętno starożytności, a niektóre od wjazdu z Warszawy, uginając się pod brzemieniem czasu, odróżniają się pochylonemi także od starości i zaniedbania pierwszopiętrowemi balkonikami drewnianemi z daszkami, na których bałbym się stanąć, a o czém nie myślą strojne w szabas żydówki, produkując się na nich z swoimi atłasami i złotemi ozdobami. No! i gadaćże tu, że żydzi nie mają odwagi! To plenne pokolenie, na które nie ma nigdy roku nieurodzajnego, zamieszkuje dwie części miasteczka, mieszcząc się czasem po kilka familij w drewnianéj kletce, w któréj jeszcze wygodnie przegródka dla kozy pomieścić się może.

Na oko zdawałoby się, że oddział ten miasta, gdzie niby bocianie gniazda rozsiadły się trzy starożytne bóżnice, a znajdujący się w południowéj stronie jego, w któréj jak mrówki uwijają się ustawicznie ruchliwe żydki, jest siedliskiem nędzy; ale możnaby się z pozoru omylić. Dosyć jest tylko wyjść w dni ich świąteczne na miasto, a ujrzysz tam i stroje bogate wielu żydówek i liczne ich złote ozdoby: medale pod szyją, brosze, łańcuchy i t. p., jak niemniéj wystające sporo z kieszeni chustki do nosa wielu starozakonnych, co według miejscowych spostrzegaczy ma już oznaczać posiadanie najmniéj kilkunastotysięcznego majątku. Żyd średniéj zamożności podobno tam zaledwo róg chustki pokaże, a biédak, jeżeli ją ma, trzyma głęboko w kie-

szeni. Dodać tu także należy, że żydzi chustkowi, t. j. piérwszéj i drugiéj klassy, jakkolwiek są dostatnio ubrani, nigdy pierza z sukien nie oczyszczają, bo to także ma zdradzać zamożność, oznaczać ton dobry, a przynajmniéj posiadanie wygodnych betów.

Dziwićby się więc znowu należało, zkąd tak wielka liczba tych wyznawców Mojżesza nie trudniących się anito ciężką pracą w roli, a mało rzemiosłami, wyżywić się i utrzymać może w tak odosobnionéj od głównych traktów mieścinie? Lecz znana ruchliwość i giętkość charakteru tych synów przebiegłości, przy skąpém obywaniu albo raczéj oszukiwaniu swych potrzeb, wszystko to łatwo nas z tego zadziwienia wyprowadzić może. Niektórzy bowiem z nich prowadzą handel dosyć rozległy, bo ten, mając za przedmiot wełnę lub zboże, często aż do krańców Litwy sięga; niektórzy są dostawcami różnych przedmiotów do blizkich fabryk cukru, araku, lub też hut szklanych; inni są miejscowemi kupcami; mała liczba jest lichych rzemieślników, mniejsza jeszcze trudniących się furmaństwem, ale za to większa jest żyjących z przemycania i oszukaństwa. W końcu i na takich nie zbywa, co podpiłym, ba! nawet i trzeźwym mieszkańcom wiosek robią często ulgę w dźwiganiu zakupionych przedmiotów na targach i jarmarkach; albo też bardzo zręcznie umieją wyławiać, mówiąc językiem rzezimieszków, sikory z doliny (pieniądze z kieszeni), czego często nie mogąc sobie wytłumaczyć prostoduszny szlachcic zagonowy, przypisuje to władzy czarów lub inkluzów wywabiających mu pieniądze z kalety. Najzręczniejszym takim chodzącym inkluzem ma tam być żyd stary z długą siwą brodą. Opowiadają tam także, że ci szczególni filantropi mają między sobą tajną policyą na podobieństwo złodziei miast większych, która przestrzega niepopełnianie kradzieży miejscowym mieszkańcom. Na lichwiarzach także i tam nie zbywa; na czele ich stanąć

może niejaka żydówka K....., która, dorobiwszy się majątku tajemniczym sposobem, obraca obecnie znacznemi kapitałami, puszczając je w obieg po okolicy i ściągając napowrót do skrzyni w orszaku niesłychanych procentów.

Lichwiarka ta może być typem rachmistrzów: nie umiejąc bowiem czytać i pisać, a tém samém i rachować, nie omyli się jednak ani na grosz w swych krociowych cyfrach, nie używając nawet do pomocy męża, który dla niéj znaczy tyle, co zero z lewéj strony jednostki.

Zacząwszy od rynku, jak na Węgrów dosyć obszernego ale podzielonego na dwie części przez trzechrzędne sklepowe budy żydowskie, mogące być dla swéj szpetności i zawady bezpiecznie zwalone, cała północno-zachodnia strona miasteczka, gdzie głównie katolicy mieszkają, przedstawia widok daleko milszy dla oka. I jakkolwiek tam ledwo jest kilka kamieniczek, jakkolwiek większa część domków drewnianych nie jest pokaźniejsza od chat nie jednéj wsi; lecz widno tam i ład inny i czystość, która sprawia, że powietrze jest tam lżejsze niż w części żydowskiéj. Główną stronę rynku stanowi połać, po któréj znajduje się dość okazały kościół farny; daléj apteka w murowanym z facyatami domu i sąsiedni jéj, na sposób ruski zbudowany piętrowy domek, którego ganek co każde lato pięknie zagajony kwiatami raduje oko przechodnia, znudzonego monotonnością poczerniałych domków i niechlujstwem mieszkań żydowskich.

Mieszkańcy katolicy utrzymują się głównie z rolnictwa, a niektórzy robią z ordynaryjnéj wełny grube sukno zwane tam bają, któréj lud podlaski na ubiór swój używa.

Zdawałoby się, że w tak małéj jak Węgrów mieścinie, i to jeszcze przepełnionéj żydowstwem, mało zajmującéj rozmaitości i interesujących objawów życia znaléźć można? Bynajmniéj! trzeba się tylko uważniéj

wpatrzyć w to życie i studyować je, a znajdziesz i jedno i drugie; prawda, że prowincyonalne życie ma się do warszawskiego, jak wody cichego jeziorka do bystro płynącéj rzeki: ale zastanowiwszy się nad każdém, znajdziesz i tu i tam zajmujące i charakteryzujące je cechy.

Jużto główną podstawą postępowania i działalności Węgrowian jest religijność i pobożność: najmniéj dwukrotna bytność w kościele w dni świąteczne na summę i nieszpory, jestto sine qua non każdego tamtejszego katolika, a są i tacy, którzy szczególniéj w odpusty, trzy i cztery razy dziennie pod grzechem w kościele być muszą. W dni powszednie nawet, żaden prawie do ust nic nie weźmie nie pomodliwszy się wpierw na prymaryi w kościele. Ta religijna cnota przebija się w ich mowie, zwyczajach i wewnętrznych urządzeniach domów: w każdym bowiem znajdziesz obok drzwi na ścianie wiszącą cynową kropielniczkę z święconą wodą; na drzwiach przylepioną białą karteczkę z wypisaném, przez którego z księży Dulcissimum Nomen Jesus etc., a obok nakreślone święconą kredą[1] początkowe litery Trzech króli. Na ścianach zaś ujrzysz wiele obrazów lub nawet i zaszklone relikwie śś. Pańskich.

Śród najweselszéj gościny niech tylko dzwonek kościelny na nabożeństwo wezwie, zaraz pobożny Węgrowianin opuszcza koło bawiących się i pospiesza (chociaż mówiąc nawiasem nieraz dobrze rumiany) do kościoła, gdzie upadłszy na kolana modli się przykładnie i ze skruchą prosi Najwyższego o łaski, lub śpiewa z drugiemi pieśni nabożne.

Pomijając dzienne zatrudnienia tego pracowitego choć nieco zapowolnego ludu, jako konieczność natury ludzkiéj, życie to jeszcze objawia się w gościnności, która jest zenitem uciech i zabaw tamtejszych, a która dawszy poprzednio ucho uprzedzającym mnie niekorzy-

stnie złośliwym poszeptom, przeszła teraz moje oczekiwanie. Jakkolwiek głoszone skąpstwo Podlasian może poniekąd znaléźć potwierdzenie w braku wzajemnego i chętnego pomagania sobie w prywatnych stosunkach; lecz za to niknie ono, gdy jesteś w gościnie: nikt cię wówczas połową dłoni nie uściśnie, otwartą ręką podają ci, czém chata bogata. A jużto piérwsze miejsce w uczczeniu gościa zajmuje przyrządzony z wódki, miodu i niektórych korzeni, a czasem i z masłem krupnik podlaski.

Krupniku podlaski! gdybym żył za czasów Bachusa, a przynajmniej za Sasów i gdybym wonczas twego upajającego nektaru kosztował, pewniebym się nie wstrzymał od zaimprowizowania na cześć twoję szumnych dytyrambów! Ileżto razy przyrządzony ręką zręcznéj i miłéj gosposi ten słodki napitek nie pobudził jakby iskrą elektryczną całego koła biesiadujących mężczyzn do niezwykłéj ruchliwości, serdeczności i szczeroty niesłychanéj, tak, że każdemu zdawało się, iż marzy w siódmém niebie wschodniego proroka. W tém téżto złudzeniu, gdy każdy poczuł w swych żyłach krew najmniéj o 10 lat młodszą, a serce roztopione czułością, nie jeden z biesiadników starał się na zewnątrz okazać swe wewnętrzne szczęście całunkiem obecnych kobiét, myśląc zapewne, że się w gronie nadobnych hurysek znajduje. W istocie! w Węgrowie dosyć jest amatorów objawiania w ten sposób swego chwilowego zapomnienia się w szczęściu biesiady: rozmarzony nie zważa na wiek, na osobę i przyzwoitość, ale aby tylko był trochę znajomym, już nadstawia swe zarumienione szczęściem chwilowém lica, nie bacząc na oburzenie się czasem prawdziwe miłéj biesiadniczki.

Naturalnie, mówi się tu tylko o gościnności w średniéj klassie Węgrowian, bo na wielkim świecie małego miasteczka i wino często na stół zawita i inne są obyczaje.

Życia literackiego trudno tam szukać: wyjąwszy księży, u nikogo prawie nie znajdziesz pożytecznéj książki. Prawda! spotkałem się, nie pomnę już gdzie, z Poczciwym koleżką Koka, Turczynem wojażującym, Magieloną, z poniszczałym Magazynem Powszechnym i tym podobnemi kilku staremi książkami.

Co do pism czasowych, to tych, jak na Węgrów, liczba dosyć jest pochlebna: przychodzi tam bowiem kilka egzemplarzy Gazety Codziennéj, Kuryera, jeden Gazety Warszawskiéj i kilka Czytelni Niedzielnéj, któreto pismo wszędzie sympatycznego przyjęcia doznaje.

Śledząc bacznie przesuwające się bezbarwnie na pozór przed oczyma twemi miejskie postacie, zdołasz tam upatrzyć niektóre miejscowe typy, które na tle życia miasteczka nadto wyraźnie się odbiły, aby o nich nie wspomnieć. Jeden z nich niejaki neofita już od lat kilkunastu dostarcza mieszkańcom żywiołu do spostrzeżeń rodzących śmieszność i budzących wstręt ku niemu. Bo też trudno znaléźć większą nad niego uosobioną fałszywość: z żydami jest żydem, z katolikami jest katolikiem. Za częste znieważanie religii, któréj dla widoków stał się wyznawcą, odsiedział już niemało czasu w więzieniach; wypuszczony stał się barankiem w wilczéj skórze. W czasie mojéj tam bytności, gdym zobaczył w kościele człowieka lat średnich klęczącego, bijącego się głośno w piersi i ciągłém krzyżowaniem rąk zabierającego się do modłów, spytałem się ktobyto był ten skruszony człowiek? Opowiedziano mi wówczas powyższe epizody z życia jego, które niedługo potém sam w oczach moich choć w części stwierdził, gdym go ujrzał klęczącego na rynku ze złożonemi do modlitwy rękami na widok ukazującego się zdala konduktu pogrzebowego.

W dalszém przytoczeniu typów miejscowych wystąpić może na scenę starzec z młodzieńczemi nogami,

z sparaliżowaném gardłem, ale z dobitnym głosem. Ten wiecznie rumiany staruszek, jak mówił, nigdy jeszcze na wozie nie jechał, bo pegazowe nogi jego nie czują umęczenia od kilkunastomilowéj ciągłéj podróży, chociaż już w 7my krzyżyk wkroczyły. Dowodem tego mogą być regularne jego na początku każdego kwartału podróże do Warszawy, na czele kilkunastu a czasem i kilkudziesięciu dziewcząt szukających służby. Głowa skrzywiona, tłumoczek pod pachą i zestarzały, jak on, kij, oto są cechy tego k r ó l a-s ł u g węgrowskich, które lokuje za małém wynagrodzeniem po znanéj mu jak zły-grosz Warszawie, a to na wielkie umartwienie miejscowych gospodarzy ogołacanych przez tę c h o d z ą c ą p o c z t ę węgrowską ze sług nęconych Warszawką. Gdym piérwszy raz skuloną postać jego zobaczył, porównałem go do zmokłego kurczęcia; alem odmienił swe zdanie wdawszy się z nim w rozmowę, którą humorystycznie przedłużał i dowiedziawszy się z boku o jego figielkach z ładnemi oczkami w podróżach.

Chciałbym tu przedstawić inny obrazek: jest on milszym, bo przemawia do uczucia i duszy, a nim jest gra na skrzypcach, jaką w Węgrowie u pana Urbanowicza miejscowego burmistrza słyszałem. Długo myślałem, że w tym względzie ograniczę się tam tylko na dźwiękach ligawki, co rano przed oknami mego mieszkania rozlegającemi się, lub też na rzewnych dolatujących mnie wieczorami tonach flecika z klasztoru Reformatów, głuszonych niekiedy chrapliwym dźwiękiem katarynki z ulicy; lecz omyliłem się najzupełniéj. Wspomniony pan Urbanowicz, rzec można, urodził się muzykiem: wydoskonalony bowiem w grze na kilku instrumentach, szczególniéj artystycznie na skrzypcach rozwija swój talent w pełnych wdzięku i najmniejszych odcieni tonach, i objawia zarazem jak gra na tym instrumencie jest rozległa, nieskończona!

Dla dopełnienia opisu tego wspomnieć tu jeszcze nie zawadzi o usposobieniu mieszkańców miasteczka, a mianowicie żydów do wierzenia w nadnaturalne rzeczy i niedorzeczne baśnie. Rozbiegła się bowiem między temi ostatniemi pogłoska, a to wszystko à conto komety, że któregoś tam dnia w kwietniu ma nastąpić upał 40-tu stopni, ale takich, że każdy będzie zawierał 3 zwyczajne.

— I któż to wam o tém mówił?—spytałem starozakonnego ubranego w chałat i sobolową czapkę.

— A kto? jeżeli nie nasz rabin.

— Musi to być bardzo mądry ten wasz rabin—spytałem.

— Oj! oj! i jak! on ciągle myśli, czyta i z domu nie wychodzi.

— A zkądże się o tym upale dowiedział?

— Ny! onto doszedł z talmudu: boto, widzi pan! u nas na całym świecie jest zawsze ani mniéj ani więcéj tylko 36 uczonych, takich, pan już wié, filizofów; a on pewnikiem należy do nich.

— I czy wasz rabin wierzy w to zniszczenie świata przez kometę?

— Oj! on wierzy i nie wierzy. Widzi pan, on tak gada, jak u nas w talmudach stoi: że po niebie spaceruje już od tysięcy lat 7 gwiazdów, które się z sobą co 500 lat schodzą; więc, jeżeli zgodnie się zejdą, to nic nie będzie, a jak nie, to i lewiusen (lewiatan) nic nie pomoże!

— A cóżto znowu za jeden ten lewiusen?—spytałem.

— Ny! jestto tak wielki ryba, co całą ziemię opasuje i trzyma ogon w pisku; jakby go puścił, toby już dawno było po ziemi.

— No, no! coto za znakomita ryba—rzekłem, żegnając tego szczególnego astronoma, aby nie słuchać dalszych jego banialuk, tém więcéj, że oczekiwało

mnie towarzystwo, z którém na polowanie w okolice węgrowskie udać się miałem.

Wyszliśmy zatém z ochoczém sercem, bo piękny dzień wiosenny rokował nam miłą przechadzkę, a młodziuchna natura wabiła, niby wdzięczna Rusałka.

Krajobraz Węgrowa nosi na sobie tę barwę smętną, która na oko nie przedstawia wiele rozmaitości; lecz wpatrzywszy się weń baczniéj, ujrzysz na jego kanwie te swojskie, właściwe błoniom naszym piękności, które coraz w nowych rozwijając się wzorach i oko twe zajmą i duszę do rzewnych usposobią dumań, podsuwając ciągle nowe przedmioty, które ci się zdają tak znane, tak rodzinne strony przypominające, choć je piérwszy raz w życiu widziałeś. Miasteczko to, leżąc śród łąk niby śród zielonych kobierców, po których lśnią srebrnemi prążkami wijące się strumienie, otacza się po stronie południowo-zachodniéj modrawą wstęgą krętego Liwca, którego wody nikną w głębi czerniącego się zdala lasku.

Niedaleko od miasta ku zachodowi zieleni się piękny lasek zwany tam g a j e m, który jest głównem miejscem majówek i przechadzek Węgrowian, a który należy do 3 zamożnych osadników. Każdy z nich ma przed sobą małe jeziorko łączące się strumykiem z drugiém, każdy z nich hoduje pszczoły i każdego zabudowania zbliżone kształtem do siebie, w błąd wprawić mogą nieobeznanego przechodnia, szukającego wyjścia z lasku; swą zaś powierzchownością zdradzają i dobry byt i spokój tych ludzi, którzy zapewne niechętnieby się zgodzili na zamianę stanów z bogaczem stolicy. Lasek ten stroją jeszcze w wyobraźni zwiedzającego błądzące tam wspomnienia dwóch ostatnich już może u nas pustelników: zgrzybiałego ojca i syna, którzy lat temu kilkanaście mieszkali tam jeszcze w chatce stojącéj w piękném położeniu obok zdroju, gdzie jeszcze szczątki ich domku dotąd próchnieją. Węgro-

wianie z uczuciem wspominają o tych mieszkańcach pustyńki, których cierpienia żywota w ten zakątek zagnały, a gdzie nie wyłamywali się ani na chwilę z pod praw ludzkości, ratując chętnie po okolicy schorzałych braci lekami z ziół przez siebie umiejętnie przyrządzonemi, lub też dzieląc się z nędzarzami swoją jałmużną.

Nadeptawszy w owym dniu niemało pola, uganiając się za skowronkami w braku czy też niedopatrzeniu grubszéj zwierzyny, i dźwigając broń, która każdemu przywykłemu bawić się tylko albo raczéj pracować piórem, ciężarem śród dnia gorącego się staje, powitałem wspomniony lasek słowami błędnego wędrowca, który śród pustyni pożądaną oazę spostrzega.

Niech sobie tamci polują w lesie na sójki — pomyślałem: ja wolę wypocząć nad tém jeziorkiem, popieścić oko tą niewinną zielonością, poszeptać z szemrzącemi tajemniczo liśćmi i pogwarzyć z tym wiecznie coś rozprawiającym wodnym młynem. Wtém ktoś mnie trącił w ramię i przerwał dumanie.

— A! to pan Jan—zawołałem.

— Ciszéj!—szepnął tenże — bo spłoszysz tę sarneczkę—i wskazał palcem na ogródek, w którym za drzewinami prześliczne wiejskie dziéwczę ziemię gracą równało. Mówię, prześliczne: bo jakżeż inaczéj nazwać istotę o dwóch błękitnych oczkach, o niezwykłéj jak na wieśniaczkę białéj i delikatnéj twarzyczce, o właściwéj podlasiankom smukłéj kibici, o zgrabnéj boséj nóżce, i o tak mniéj więcéj 17-tu latkach? Zachodzące słońce rzucając na nią przez krzewiny złote promienie, podwyższyło piękność téj wiejskiéj nimfy. O! gdybym był malarzem, pomyślałem, jakżebym skorzystał z téj chwili.

— Cóżto za piękna dziewczyna! — szepnąłem do mego towarzysza.

— U nas tu więcéj takich znajdziesz—rzekł tenże—ale pójdźmy, poprosimy ją, żeby nam wody przyniosła.

Skradamy się tedy, jak ów lis, co mu to winogrona za wysoko wisiały i za chwilę pijemy wodę podaną drobną rączką Kundzi, bo tak nam się nazwała.

Dla przedłużenia z nią pogadanki, odezwał się mój towarzysz:

— Słuchaj Kundziu! ten pan z Warszawy! mógłby cię zabrać z sobą: tam lepsze zasługi.

— W istocie! że lepsze—powtórzyłem—a jak tam wesoło! to nie uwierzysz.

— Mnie tu bardzo dobrze i wesoło—rzekła szybko Kundzia.

— Taki tam weseléj!—rzekł mój towarzysz, wabiąc ją, niby Melistofel piękną Gretchen—zobaczysz, tam będziesz szczęśliwa, jak w raju....

— Bóg zapłać panom! mnie i tu na niczém nie zbywa—i zabrała się na nowo do roboty.

— No! no! my tylko żartowaliśmy z ciebie—rzekłem odchodząc—bądź zdrowa, poczciwa dziewczyno!

— Szczęśliwa droga panom!

— I odgadnąćże tu, co jest szczęście—rzekł pan Jan idąc ze mną wgłąb' lasku—kiedy do pozyskania go czasem tak mało potrzeba? Ztémwszystkiém, dodał patrząc mi w oczy: możeby się tu i przydała owa tajemnica Hume'go, o któréj mi rozpowiadałeś?

— Przeciwnie— odparłem—co do mnie, to niechaj najdłużéj śród téj niewinnéj natury przebywa: urocze gaje uchronią ją łatwiéj od wichrów zepsucia miasta większego; tu z Bogiem, naturą i prostemi jak ona ludźmi, przechowa nadługo w swém sercu kwiat prawdziwéj prostoty i niekłamanych uczuć, które każdą kobietę urokiem świętości osłaniają....

— Dopóki się nie połączy z jakim gburem, który jéj przywiązanie kijem nakazywać będzie—przerwał mi praktyczny mój towarzysz.

Nie odpowiedziałem mu nic na tę poniekąd słuszną uwagę, bo rozważałem rysy pięknéj twarzyczki

i wdzięcznéj talii dziewczęcia, która w oczach moich uchodziéby mogła za ideał wiejskiéj piękności.

Wkrótce po téj rozmowie złączyliśmy się z dwoma innemi, mało co lepszemi odemnie myśliwcami.

— Nie udało nam się dzisiaj polowanie!—rzecze z nich jeden—wstąpmy lepiéj do śpiewaka. Tak się nazywał znajomy nam jeden ze 3 osadników gaju, który zwykł był gości zawsze w różanym humorze wypuszczać i nigdy im pieszo nie pozwalał wracać do domu.

— Ha! to i wstąpmy — rzekliśmy prawie jednogłośnie.

Wstąpiliśmy więc, zastawszy tam już kilku z miejskiéj młodzieży, z których pan Jarząbek swym niezwykłym metalicznym śmiechem zdala nam już zwiastował o nieźle zaczętéj hulance; ale wyjechaliśmy ztamtąd ledwo za kilka godzin. Każdy z nas był rozmarzony, rozczulony i uszczęśliwiony, jakby pędził na kołach fortuny po odbiór wielkiéj wygranéj. Wystrzeliwszy ze strzelb myśliwskich na *vivat* poczciwemu gospodarzowi, jechaliśmy dwiema bryczkami z szumem, gwarem i śpiewem. Już *babki* na niebie ku zachodowi się chyliły, gdyśmy ujrzeli przed sobą rysujące się na tle srebrnego nieba kształty kościołka Panny Maryi, tuż przy Węgrowie czerniącego się śród nagrobków i krzyży miejskiego cmentarza. Nagle gwar ucichł na te wymowne oznaki znikomości ludzkiéj...

— Panowie!—zawołał jeden z nieźle podochoconych towarzyszy i jeden z największych religiantów węgrowskich—panowie! czapki z głowy! i *wieczny-odpoczynek*.

Wraz przystanęły bryczki i wszyscy zmówiliśmy słowa modlitwy za zmarłych.

— O! bo to niedosyć hulać, moi kochani! trzeba o Bogu przedewszystkiém pamiętać—mówił daléj tenże Węgrowianin: otóż, ja nabijam fuzyą i strzelam na *honor* Matki Boskiéj!

Zszedłszy więc z bryczki i nabiwszy przy pomocy drugiego fuzyą, ciągnął daléj:

— A teraz znowu czapki z głowy! ja strzelam! I wystrzelił w powietrze, a my za nim.

— Otóż tak, to lubię, moi kochani!—dodał, całując nas wkoło: taki nam Pan Bóg prędzéj przebaczy dzisiejszą hulankę, gdy okazujemy, że o Nim nigdy nie zapominamy.

Małe to zdarzenie maluje wybitnie religijny charakter Węgrowian, i w istocie, o ile zauważyłem, najpobożniejsi są tam i najzamożniejsi, boć to święta prawda: „Kto z Bogiem, Bóg z nim."

Jednakże ten huczny powrót i ten chwilowy nasz wybryk wywołany krupnikiem i herbatą naprzemiany u gościnnego osadnika, nazajutrz urosł już stugłową famą w fantasmagoryczne i nadzwyczajne dzieje: całe bowiem miasteczko trzęsło się rozgłosem: to, żeśmy jeden do drugiego, to znowu, że do kościołka strzelali! Otóż to, co jest nieznośném w małych miasteczkach: z lada czego, już masz ploteczki!—O! bo gdzież ich nie ma?—ktoś powié. Prawda! ale stosunkowo jest ich więcéj w małych niż większych miastach, więcéj téż nierównie szkody przynoszą harmonii i zażyłości szczupłych kółek na partykularzu. Bywają tam w tym względzie oczy tak bystre, uszy tak czułe, że jak mówi przysłowie, gdy kto wjeżdżając w rogatki małego miasteczka kichnie, na rynku mu powiedzą: *na zdrowie.* Możnaby tu przytoczyć niektóre szkice tych miejskich ploteczek; lecz bojąc się *kobiécéj wojny*, lepiéj je pominąć: bo i to trzeba wyznać, że płeć ta posiada tam niezwykłą władzę; dlatego téż śmiało rzec można, że trzecia część Węgrowa rządzona jest przez czépki.

Tyle więc o teraźniejszości tego miasta; opisanie przeszłości jego wiążącéj się dosyć z dziejami naszego kraju, a szczególniéj z dziejami reformacyi u nas,—na późniéj odłożę. Wspomnę tu tylko jeszcze o tém, co

teraźniejsza fizyonomia Węgrowa o lepszéj przeszłości jego zaświadczyć może, pomijając już *przywileje* tak króla Jana Kazimierza z własnoręcznym jego podpisem, jak niemniéj książąt Radziwiłłów, posiadaczy niegdyś Węgrowa, któreto przywileje spisane na pargaminie, znajdują się w ręku pana Jana Roguskiego plenipotenta miasta, i świadczą o licznych nadaniach dla mieszczan tak krajowców, jako téż i cudzoziemców trudniących się niegdyś przemysłem w tém mieście. Milczącemi świadkami téj przeszłości są opustoszałe prawie mury z dwiema wieżami krytemi blachą dawnego seminaryum księży Kommunistów, czyli kongregacyi Bartoszków, jako téż podłużny murowany o parterze budynek szkół wydziałowych, roznoszących niegdyś światło po ziemicy podlaskiéj, a gdzie obecnie mieści się szkółka elementarna, stanowiąca teraz wraz ze szkółką ewangielicką jedyne ognisko oświaty w Węgrowie. Dawniejszym jeszcze pomnikiem przeszłości jest tu opuszczony już teraz kościołek drewniany ewangielicki, a który podanie miejscowe miéć chce za najpiérwszy u nas z kościołów tegoż wyznania. Dwa wzniosłe kościoły, które tam wydają się obecnie niby dwie góry sterczące śród równiny, niemniéj świadczą swą budową, iż dla porządniejszego i więcéj znaczącego niż teraz miasta były stawiane. Z nich jeden, tojest klasztor OO. Reformatów pamiętny jest noclegiem w jego murach króla Stanisława Augusta, o czém Węgrowianie radzi zawsze rozprawiać, cofając się myślą do swego złotego wieku, kiedyto jeszcze istniały tam wyższe szkoły, sądy, drukarnia (1) i słynna niegdyś fabryka sukna, oraz wyraźnie były dwa oddziały miasta: polski i ruski, a które teraz tylko w tytule istnieją.

(1) Według Balińskiego i Lipińskiego, drukarnią zaprowadził 1570 r. Jan Kiszka krajczy litewski, zwolennik aryanizmu.

W Warszawie,
d. 28 czerwca 1856 r.

POGLĄD NA PIŚMIENNICTWO EUROPEJSKIE.

PRZEZ

Dominika Szulca.

Piśmiennictwo dla postępowego społeczeństwa nie jest zabawą, ale udoskonaleniem umysłowém na rozległy rozmiar, obejmującém stosunki świata do swobodnego i zupełnego rozwoju życia, rozkoszy duszy i rozumu. Tak uważane, wymaga znajomości licznych gałęzi umiejętności i sztuki, któreby zaspokoiły potrzeby czułéj, przemyślnéj i niezależnéj przyrody ludzkiéj. Oświata zatém i piśmiennictwo w istocie swojéj nie są rzeczy różne, jako uwydatnienie jedno drugiego.

Niedawno jeszcze oddzielano je od siebie: niesłusznie, bo piśmiennictwo wyższe narodu jest składem całéj oświaty. W miarę doskonalenia się społeczeństwa, nauka ta coraz szérsze przybierała rozmiary: naprzód była poezyą i wymową, potém przybrała historyą i filozofią, nakoniec obejmować zaczęła prawo, gospodarstwo, sztukę wojenną, pedagogikę, nauki przyrodzone i matematyczne. U nas piérwszy w tym zakresie pisał dzieje literatury Felix Bentkowski. Szczególniéj nauki przyrodzone, prawo publiczne i gospodarstwo społeczne, jako znamię teraźniejszego wieku, bez dotykalnéj niesłuszności i szkody, wyłączone od całości postępu piśmiennictwa być nie mogą.

Poglądając na niwę różnych narodów, znajdujemy ją okrytą odmiennemi plonami: na jednéj widzimy więcéj kwiatów, na innéj owoców. Z pomiędzy piérwszych, jedne są zdobne barwą, drugie miłe zapachem, a owoce co do wyboru i dojrza-

łości nierównie są rzadsze. Wśród powszechnéj dzikości starego świata Hellada nadobne podnosi czoło, i z całą świeżością życia i czucia, jak *Apollo saurokton* poi się rozkoszą wyższego istnienia. Wsparta na księdze Solona, raz się przypatruje na widowni stołecznéj ucieczce Kserksesa z pod Salaminy, drugi raz rozczula się nad rodzinnemi cnotami Antigony, Elektry i Polixeny, to znowu podziwia godność charakteru Neoptolema, lub Filokteta. Dla zabawienia i przestrogi wesołego ludu ateńskiego, dowcipny Arystofanes, wyciąga z głębokiéj studni na linie pokój ze Spartą, sadza bohaterów swoich na chrząszczu, lub kołysze wśród obłoków marzącego o demonie Sokratesa. Całe miasto zdobi się gustownemi świątyniami i budowlami rozmaitych porządków, w środku których rzeźba Praksytelesów podnosi postać ludzką do godności nieśmiertelnego i niezależnego bóstwa. Na wzniesieniu publicznem staje Demostenes, wyrzuca płochość i ciekawość narodowi w chwili, kiedy się Filip macedoński ukazuje u bram miasta, a jako ostatni obywatel szuka końca zniewagi we własnéj zagładzie. Z wielkiém zajęciem lud na igrzyskach olimpijskich słuchał dziwnych wieści Herodota o narodach północnych, wierzących w wilkołaki, obchodzących dni zaduszne, strzegących chciwie skarbów, albo o takich, które przez kilka miesięcy nie oglądają słońca. Wdzięczność i uwielbienie zgromadzonego na wspólne porozumienie się ludu, budzi w sercach poczciwych i umysłach zdolnych, współzawodnictwo. Po krwawych wojnach Ateńczyków z dzikiemi Spartanami, kiedy lud swobodny, szczęśliwy i czuły, okrył się żałobą, Tucydydes wykazuje ojczyznie źródła niepojętych wypadków, wszystkiemu naznacza właściwą przyczynę, i tworzy dzieje pragmatyczne. W zaburzeniach spółczesnych, w których namiętności górę biorą nad rozwagą, prawy obywatel Arystydes zapytuje jednego z kreskujących dlaczego takie oburzenie panuje przeciwko temu człowiekowi? „Bo go zbytnie wszyscy chwalą" odpowiedziano.

Wśród takiego zgiełku, głębsza filozofia nie znalazła przystępu, mianowicie przy czynnéj baczności władzy arcykapłańskiéj. Za to swobodniejsze i rozleglejsze miała ona pole w Azyi mniejszéj i wielkiéj Grecyi, gdzie wypowiedziała zdanie swoje śmiało i jasno, w pytaniach ściągających się do przyczyn ostatecznych wszechświata i umysłu. Ateńczycy artystycznie wychowani, nie wznieśli się wyżej nad arcywzory Platona i go-

towe idee w głowie; ale w całości wzięta oświata helleńska wszystkie prawie gałęzi wyobraźni pięknéj i światła w sobie ogarnęła.

Z innéj zasady, w rozwiciu swojém, wychodził Rzym starożytny: egoizm i rozsądek praktyczny przewodniczyły cywilizacyi italskiéj. Ztąd brak powszechny zacnych uniesień i zamiłowania w ludzkości. Chleba i szermierstw domagał się lud prosty, rozszerzenia granic i prokonsulostwa w bogatych krajach, dopominał się senat. Ogołocono więc prowincye z dostatków, odarto Grecyą ze wszystkich posągów najdoskonalszego dłuta, i ozdobiono łupami prywatne ogrody *Lukullów.* Jako szczególną rzadkość przytaczają zdarzenie, że gdzie prokonsul *Verres* wszystko zniszczył i zgnębił, tam Cycero odkrył grobowiec Archimedesa. Jakież tu mogło być nadobne pismiennictwo przy braku ożywczych pierwiastków? tylko naśladowanie zimne. W miejsce zaś pięknéj literatury rozwijała się swobodnie praktyczna, oparta na rozsądku, jaką jest satyryczna i prawna. Jedna filozofia Seneki wyższa jest pod względem teoryi od ateńskiéj. Ale gorącéj i nieinteresownéj miłości piękna i nauki, nie było u Rzymian.

Tak się świat starożytny nad brzegami morza Śródziemnego rozwijał. Europa północna mieszkała w lasach odwiecznych i bagnach, stanowiących rodzaj fortyfikacyj między-narodowych. Niedostatek przy zaniedbaném rolnictwie pobudzał dzikie umysły do napaści, które wtenczas za przemysł uchodziły. W pokoju po kilka tygodni i miesięcy spędzali stalowi rycerze na polowaniu; dlatego téż psy gończe staranniéj były chowane od dzieci panów feodalnych. Dzikość powszechna przechodziła azyatycką. Wprawdzie szczep celtycki korzystał z resztek cywilizacyi starożytnéj, a słowiański słynął gościnnością, ale germański cały w interesie materyalnym tonął. Bezwątpienia miał on skłonność większą do trudu i zysku od innych, ale sercem nie wyrównał. Świadkiem tego zdobycze w Gallii, Anglii, we Włoszech i Słowiańszczyznie.

Trudny więc był przystęp dla cywilizacyi w tych stronach. Wolność Chrystusowa, zalecająca braterstwo i poświęcenie się długo nie przemawiała do tych dusz hardych. Szkoły pozakładane przy katedrach i klasztorach służyły tylko na potrzeby kościelne; pan uczyć się liter nie zechciał. Bo na cóż mu się przydały, kiedy kapelan nadworny i biskup, mogli załatwiać in-

teresa piśmienne. Pana poznawać należy po dostatkach nie rozumie; jakoż klassa większych i mniejszych właścicieli różniła się tylko od sług i rolników szatą i zbytkiem. Na téj rozległéj przestrzeni rozciągnęła panowanie noc ciemna, nieprzerwana żadném migającém światełkiem. W przewodniczącéj społeczeństwu klassie duchownéj kroniki dziecinne, filozofia niedorzeczna, wysłowienie nienaturalne. A jeżeli co nad wiek swój wystrzeliło do góry, było przedmiotem prześladowania: dowodem tego *Abélard* i Roger *Bacon*.

Upadek Konstantynopola nagle obudził umysły Zachodu wyprowadzeniem na jaśnię całego piśmiennictwa greckiego, które bogactwem i treścią przewyższało nieskończenie zbiory książek łacińskich, ocalone staraniem i widokami korzyści niektórych zakonów, poświęcających się przepisywaniu. Ucieczka przed dzikością ottomańską greckich uczonych, wpłynęła na upowszechnienie znajomości języka helleńskiego we Włoszech i przygotowanie dzieł do druku w Wenecyi, Florencyi i miastach znaczniejszych półwyspu. Z początku niewiedziano właściwéj dążności literatury greckiéj, unoszono się nad każdym nowo ogłoszonym płodem; wkrótce jednak baczniejsza uwaga wykryła, że to piśmiennictwo zawierało odmienny rzęd myśli od tych, które stanowiły istotną cechę stuleci średnich, Wzgardzona w wiekach niewiadomości przyroda, odzyskiwała niedające się przedawnić prawa. Wielki wypadek historyczny piętnastego stulecia, nietylko otwierał przed na pół dziką Europą Ateny, pojęcia Azyi Mniejszéj i Wielkiéj Grecyi, ale nadewszystko uczył swobody umysłowéj, nieskrępowanéj systematem błędów. Ten skarb nowo zdobyty nazywał się *odrodzeniem*, tojest odzyskaniem straconego rozsądku i niezależności umysłowéj od cudzego zdania. Jakież ztąd nadzieje niespodzianego światła, cywilizacyi i świéżego życia!

Ale głębsze pojęcia wyjątkowych ludzi, nie mogły być ocenione przez powszechność, która przywykłszy do ułudy, zabobonu i błędu, nie odstępowała dróg ubitych. Duch zdziczałości pierwiastkowéj pozostał w massach na czas długi, czcił gotycyzm w sztuce, kronikarstwo w dziejach ludzkości, i obchodził się wyśmienicie bez zasad cnoty, wypływających z praw organizacyi i przeznaczeń człowieka. Kilka świateł rzuconych na tle ciemném, nie wywarło stanowczego skutku.

Od wieku XVIgo szło już o zerwanie z epoką średniowieczną, przez zaprowadzenie odrodzenia we wszelkich gałęziach sztuki, nauki i filozofii. Pierwsi do tego dali hasło Włosi wpuszczając przez wszystkie okna i drzwi światło do duszy. Ale kroki początkujące w tym zawodzie, życie poetów na dworach książąt stało się przyczyną, że w *kanzonach* swoich szczodrze obsypywali pochwałami możnych, bez ścisłego względu na ich wartość. Przesada do tego przyszła, że wesoły *Firenzuola* napisał szyderczą odę na *śmierć sowy*. Odrodzenie uczucia przyrody dało początek wielkiemu upodobaniu do sielanek, mianowicie scenicznych, w których zasłynęli Tasso i Guarini. Lecz jakby nie dosyć było na zabawach dworów książęcych, Arkadowie później do tego stopnia upowszechnili w narodzie zmiękczenie, że Metastazy surowe charaktery Regulusa, Katona i Temistokla pod prawa pieściwéj melodyi nagiął. Większego nierównie były użytku dla dobra publicznego utwory żartobliwe, mające na celu rozbiór obyczajowy. W nich się najlepiéj odbija wesołość i butność narodowa. *Ariosto* bawił przygodami nadzwyczajnemi rycerzy stołu okrągłego; *Berni* z towarzystwem *uprawiaczy winorośli* wytykał wady uderzające; *Parini* opisywał życie próżniacze, stroje i gry azardowne; *Folengo* szydził z próżności i tytułów. Przeciwko miękkości uczni Metastazego, i zhańbieniu charakteru, powstał *Alfieri* w Wirginii, spisku Pazzów i Brutusach. Z równie głębokim poglądem na społeczeństwo włoskie jest satyra napisana przez *Pallavicina* na nadużycia hierarchii; *Verrego* życie Herostrata, w którém wykazuje że są niecniejsze czyny, nad spalenia świątyni Dyany w Efezie; *Castego* zwierzęta rozmawiające, jako najostrzejsza ze wszystkich satyr spółczesnych. Wymowy świeckiej nie było; sam tylko Savonarola duchownéj nadał znaczenie obywatelskie. Byłyto szacowne dowody samodzielności bogatego w dary przyrodzone narodu, ale nie zasilił tego rozwoju wyższy pogląd teoretyczny; rozprawy bowiem *Cesarottego* i *Riccoboniego* o smaku i przyjemności tragedyi, o reformie teatralnéj, nie odpowiedziały potrzebie czasu. Szczęśliwszym był *Vico* w zasadach historyi, za które uznał swobodne rozwicie zdolności i zwyczajów, a zatém samodzielność na prawach boskich opartą; lecz proby ulepszeń w każdym narodzie wracają, aż do osiągnienia odwiecznych kiedyś przepisów bytu społecznego. Dobrą filozofią bardzo wcześnie mieli Włosi. *Pomponazzi* pi-

sał o trwałości myśli, wolnéj woli i prawach przeznaczenia; *Telesio* o istocie świata, dawności bytu wszech rzeczy, i potrzebie zastąpienia mniemań prawdą, na drodze postrzeżeń; *Campanella* jak poprzednik jego *Leonard da Vinci* zalecał doświadczenie. Tym sposobem nie zostali bez wpływu na Bacona, Gassendego i Locka, i przez to okryli kraj swój zaszczytem. Bezpośredniejszą korzyść przynieśli dla nowoczesnéj cywilizacyi *Galilei*, *Torricelli*, *Spalanzani*, *Galvani* i nieśmiertelny *Volta*. Tu piśmiennictwo włoskie przestaje być cząstkowém, a staje się światowém.

Zestawmy je teraz z literaturą angielską dla wykazania odmiennych następstw z innéj zasady płynących. I Anglia posiada wesołego opowiadacza *Spencera*, żartobliwego poetę *Butlera*, jakkolwiek wesołość ta nie jest tak czysta jak Ariosta. Piérwszy *w Królowéj wieszczek* opiewa zalety królowéj Elżbiety, ktora mu darowała skonfiskowany zamek Kilcolman; drugi w Hudibrasie szydzi z ludzi należących do epoki *Cromwella* i *Miltona*, dla pozyskania względów restauracyi. I tu były uprawiane wszelkie rodzaje starożytnéj i nowożytnéj poezyi a mianowicie opisowa. Lecz głównem znamieniem piśmiennictwa angielskiego jest *odrodzenie rozumu*, na rozmiar wcale nieznany dotąd całéj europie. Za tą zmianą poszły nowe zasady nauki i sztuki, które podniosły literaturę angielską do najwyższego rozwoju. Już *Roger Bacon* wśród grubego XIIIgo wieku roztrząsał pomyślnie pytania, które są podstawą dzisiejszéj umiejętności, pisząc o świetle, ciężkości, a mianowicie potrzebie doświadczenia. Cześć geniuszowi zakonnika, otoczonemu zewsząd najtrudniejszemi do pokonania zawadami. Ale trzeba było czekać półczwarta wieku aby okoliczności pomyślniejsze dozwoliły prawdy te światu w jaśniejszych rysach wytłumaczyć. Jakoż w pierwszéj połowie siedmnastego stulecia podobny do Franciszkana z głowy i nazwiska, ale nie charakteru kanclerz Bacon z Werulamu, dopełniając pomysłu o koniecznéj potrzebie zapytywania się przyrody o przyczynę zjawisk, podał jasną i wielce umiejętną metodę badawczą, która od szczegółów doszedłszy prawa ogólnego, ztąd znowu przez podobieństwo wyjaśnia szczegóły nieznane. Wiekopomne jego dzieła o wzroście nauk i o narzędziu myślenia stworzyły nieznaną starożytnemu światu umiejętność. Lecz nim do niéj przyszło, wypadało piérwéj zastosować metodę Bakona do filozofii rozu-

mowéj i moralnéj. *Locke* więc rozebrał ze szczególną trafnością wszystkie działania pojętności, zaczynając od wrażenia zewnętrznego, a kończąc na najdalszych wyrobach myśli; dowiódł, że człowiek niéma wyobrażeń wrodzonych; lecz że z nabytych przychodzi drogą powiązania do odkryć i wynalazków, zauważył; że największym jest cudem zdolność myślenia w słabym wątku człowieka. Adam Smith w rozbiorze uczuć towarzyskich znalazł pierwiastek przyrodzony, zwany pociągiem, współczuciem, który za podstawę moralności położył. Tegoż byli zdania z małą odmianą *Home* w zasadach obyczajowych, *Shaftesbury* w badaniach nad cnotą i *Hutcheson* w poszukiwaniach nad pojęciem piękności i obyczaju; wszyscy w ogólności są za prawami przyrodzonemi. Razem z filozofią i nauki inną przybrały postać. Historya podług listów *Bolingbroke* miała być odtąd samodzielną, i nie opowiadać poprostu zdarzeń, ale znalazłszy prawo ogólne wypadków, wydobyte z ustaw przyrody, rozwijać czyny na téj osnowie. Wkrótce ukazał się tryumwirat znakomitych dziejopisów, który poglądem swoim na wypadki zadziwił współczesnych. Żadna literatura nie wydała takich historyków w świecie dawnym i nowożytnym jak *Hume*, *Gibbon* i *Robertson*; *Mackintosh* daléj posunął udoskonalenie, stosując wypadki do najnowszych doświadczeń społecznych we Francyi. Prawo odrodzone znalazło wyobrazicieli w *Blackstonie* i *Benthamie*, którzy rozbierali duch prawa, kary, nagrody i ważność dowodów sądowych, w interesie ludzkości. Sama poezya szukała obrazów przyrody nietylko w świecie roślinnym ale i umysłowym, odpowiedniejszym wyższéj cywilizacyi. *Pope* mówił o samoistności i prawach człowieka; *Akenside* opiewał przyjemności wyobraźni; *Campbell* rozkosz nadziei całych narodów; *Parnell* pisał odę do uciechy, *Cowley* do światła, *Collins* do swobody, a *Smollet* do niezależności. *Schelléj* w poemacie Królowa Mab, zawarł najważniejsze pytania ściągające się do istoty świata i myśli, w najjaskrawszych barwach. Takie było odrodzenie rozumu w Anglii, taka wyższość i bogactwo piśmiennictwa, dopóki obudzony interes materyalny średniowiecznego układu, przewodniczący i zbierający wawrzyny w starém społeczeństwie, nie położył tamy postępowi. Nauki przyrodzone i ścisłe wydały samodzielnego *Priestleya* przenikającego w czynności życia chemiczne, i wielkiego Newtona,

utwierdzającego rachunkiem pomysł Kepplera o elliptyczności dróg planetarnych.

Praktyczna *Francya* nie przestała na pasmie wzniosłych pomysłów ideologii. Nie będąc sama w tym względzie oryginalną, myśl angielską w czyn zamieniła. Miała i ona dobre popędy, miała myślicieli czcigodnych, ale przez się rzeczy nadzwyczajnych w filozofii nie dokonała. Od czasów protestacyi Dubellay przeciwko formom dawniejszym, wszystkie rodzaje piśmiennictwa starożytnego odbiły się we francuzkiém. W wyższej sferze naukowéj Montaigne był rozsądnym i czułym wątpicielem filozoficznym; satyra menipejska dowcipnie wyszydziła fanatyzm stronniczy za wojen domowych; *Descartes* w metodzie matematycznéj szukał ratunku przeciw niepewności najciekawszych zagadnień; lecz dopiéro z Anglii przyszedł wolny rozbiór i swobodne pióro, owoce nowożytnéj cywilizacyi. *Voltaire* wielbiciel Locka w dziele o obyczajach i duchu narodów, zastosował pomysły Bolingbroka do dziejów, widząc w doskonaleniu się tylko społeczném historyą. Czasy niedołężnych władców podług niego, niepowinny ściągać uwagi umysłu postępowego, a tém bardziéj dzikie, początkowe epoki, które pedanci z takiém zadowoleniem obrabiać zwykli. Sam zaś postęp *Voltaire* z taką jasnością wystawia, że wyraźnie chciał oszczędzić czytelnikowi pracy myślenia, i za niego robić. *Rousseau* w poglądzie na społeczeństwo jest daleko przenikliwszy. Badając przyczyny nierówności społecznej, rozstrząsając niezgodność zdolności indywidualnéj z położeniem towarzyskiém, przychodzi do widoku, że najczęściéj dowolność stosunkami ludzkiemi kieruje, a ztąd tworzy wniosek, że dobrowolna ugoda, z praw przyrodzonych wynikająca, ma być podstawą wyrozumowanych stosunków. Cały wykład podniesiony jest rzadką i z serca płynącą wymową. Śmiał się z niego *Voltaire*, że zachęca ludzi chodzić na czterech nogach, ale serce filozofa fernejskiego, nie wyrównywało jego jasnéj jak słońce głowie.

Zastosowanie nowych idei angielskich do prawa, wziął na siebie *Montesquieu*. Będąc wysokim urzędnikiem sądowym umiarkowaniéj od poprzednich postępuje. Uderzony surowością prawa obowiązującego, szuka przyczyny w usposobieniu dzikszém epoki powstania prawa, a dla jego udoskonalenia stawi w przeciwieństwie prawo rozumowe, które opiera na stosun-

kach wynikających z koniecznych ustaw natury. Pod względem prawa publicznego, nie widzi jeszcze wyższego wzoru nad angielski. Podobne naśladownictwo daje się widzieć w filozofii umysłowéj. *Condillac* idąc za Lockiem wyprowadza najgłębsze myśli z wrażeń zewnętrznych, przerobionych za pomocą uwagi i związków, ale się wstrzymuje od zastosowań. Dopiéro *Helvetius* i *Holbach* wypowiadają z bezprzykładną odwagą cywilną, równą Shellejowskiej ostatnie przyczyny wszech rzeczy. Lecz to chętne przejęcie się odrodzeniem angielskiém spełzłoby na niczém, gdyby wytrwałość i nauka *d'Alemberta* i *Diderota* nie skupiła nowego postępu w jedno ognisko, słynne pod imieniem słownika encyklopedycznego. Zebranie artykułów i redakcya dostała się w podziale Diderotowi; d'Alembert zaś napisał okazały wstęp, jaśniejący gruntownością i prostotą, który początek i rozgałęzienie utworów szykuje podług głównych zdolności umysłowych, wskazanych przez Locka; wszystko zaś poprzedza tablica rozrodowa, wystawująca plan zmysłowo.

Pięknym był bez wątpienia widok narodu wierzącego w potęgę rozumu, ale środki użyte do stworzenia nowéj cywilizacyi okazały się niedostateczne. Zastarzały przesąd, dobro prywatne z jednéj strony, a brak praktyczności w przeprowadzeniu środków z drugiéj, zniweczyły nadzieje postępu. W burzy powszechnej mało uratowano dobroczynnych pierwiastków odradzającéj się ludzkości.

Jednakże zwaliska nie byłyby tak wielkie, gdyby inne piśmiennictwa przyszły w pomoc odrodzeniu a przynajmniéj stanowczo nie przeszkadzały rozwojowi. Ale literatura niemiecka, wierna swojéj mistycznéj filozofii, nie poszła za nowemi pomysłami angielskiemi i poprzestała na zbutwiałej literaturze feodalnéj. *Kant* nawet przelękniony zbijał zasady *Huma*. Niemcy przywiązując największą chwałę narodową do reformatora swojego wieku XVIgo, i ztąd chcąc wyprowadzić całą cywilizacyą, nosili w duszy wstręt przeciwko wszelkim swobodnym poglądom na przyrodę, społeczeństwo, umiejętność i sztukę. Podług nich wszystko powinno się wywijać z reformacyi i nosić na sobie jéj cechę. Co wyżéj sięgało, było niebezpiecznem nowatorstwem, co nie dochodziło obranego punktu było fanatyzmem. Niepodobna więc aby myśl postępowa, nie zgodna z ich systematem, mogła znaleźć przyjęcie. *Melanchton* z lekceważeniem wspominał o odkryciu Kopernika; *Leibnitz* wie-

rzył w mistyczne monady, nie mające żadnego rozmiaru; *Kant* zalecał mistyczną formę przestrzeni i czasu, a czystyrozum tylko dla teologii zachował; *Fichte* udoskonalenie zasadzał na podobieństwie nadprzyrodzoném wszystkich *ja* do siebie, ogołoconych z żądzy i namiętności; *Hegel myśl* odrębną, absolut, przeprowadził przez krystalizacyą, nim ją do życia umysłowego w cielił. Ten sam duch okazuje się w założycielu poezyi niemieckiéj *Klopstocku*, i młodéj plejadzie giettyngieńskiéj, która wśród bogatych plonów piśmiennictwa angielskiego, wybrała kolebkowe ballady tego narodu, i odgrzebała swoich *Minensengerów* do naśladowania. Szybko więc podniosła głowę literatura feodalna. Najsilniejsza organizacya *Göthego* twórcy Fausta, nie mogła się obéjść bez drugiéj części mistycznéj tego poematu.

W wieku XIXym zapał do rzeczy szczytnych w Anglii ostygł pod wpływem pierwiastków przeciwnych, składających się zamieszaniem francuzkiém. Więcéj przystępu znalazły obrazy feodalne romantyzmu niemieckiego w starém stronnictwie anglo-saskiém. Jakoż powstała w ojczyźnie Locka, Bolingbroka i Smitha szkoła *jeziorna*, mająca na celu opisy zmysłowe starych zwyczajów zatrudnień i pojęć napół dzikich rycerzy. Bogaty w głębokie pomysły naród angielski stał się naśladowczym; ta przewaga piśmiennictwa niemieckiego łatwo daje się widzieć: *Coleridge* tłumaczy Wallensteina Schillera, a zgłębia na ziemi germańskiéj Kanta i Fichtego. W całéj Anglii miał on jeden rozumieć filozofa Królewieckiego, ale sam od rodaków nie był zrozumiany. *Walther-Scott* przełożywszy Götza z Berlichingen, cały swój talent poświęcił na kreślenie obrazów feodalnych, tak lubych torysom. Żaden z téj rozległéj szkoły nie czuł upadku cywilizacyi: jeden tylko Byron nazywa wiek XIXty stuleciem *bronzowém*, klaudyańskiém, a mistyczność niemiecką poczytuje za barbarzyństwo naukowe. Przelęknieni feodaliści różnych krajów nadali pomysłom Byrona imię szkoły szatańskiéj, co znaczyło w gruncie rzeczy że odrodek lordów, strasznym był dla ich złotego nic rozumu i znikczemnionego charakteru.

Francya tym sposobem wzięta we dwa ognie od strony niemieckiéj i angielskiéj nie oparła się reakcyi i uległa. Korzystając z powszechnie zawiedzionych nadziei i postępu, *Chateaubriand* i Stael najpierwsi podnieśli chorągiew średniowieczną,

i łatwy znalezli wstęp u starego stronnictwa. Znowu więc idee IV wieku rozpoczęły obieg w społeczeństwie, jak moneta starego stępla, która w zbiorze zabytków dawnych właściwsze znalazłaby miejsce. Salony prywatne przyszły w pomoc rozwojowi. Jeden z nich postanowił zachowywać gotycyzm w meblach, budownictwie wiejskiém, a nadewszystko w piśmiennictwie. Dla poparcia téj skłonności zaczęło wychodzić w r. 1823 pismo czasowe pod nazwą *Muza francuzka*, do którego należeli poeci salonowi, a mianowicie wysoko uzdolniony Wiktor *Hugo*, szczytnym młodzieńcem w tém kole zwany. Nie zawiódł oczekiwania świetny pisarz i w rok ogłosił ballady na wzór niemiecki. Tymczasem muza francuzka przypadkiem straciła na wziętości. *Dziewczyna chora*, wiérsz pełen sentymentalnego polotu, wszystkim się czytelniczkom tego pisma podobał; zjawiła się więc wkrótce *Siostra chora*, *Matka umierająca* i tym podobne poezye farmaceutyczne. Ktoś z złośliwych ułożył wiérsz pod napisem: *Dziecko chore*, i wnet cały kierunek sentymentalny w śmieszność obrócił. Hugo zatém opuściwszy okalającą go miernotę, sam jeden stanął na czele romantyzmu i apoteozę staroświeczyzny silnie przeprowadzić od 1827 r. potrafił. Pomimo zasad przeciwnych postępowi, pierś ta świeższém oddychać powietrzem była zrodzona. Odmiennie rozpoczął swój zawód Lamartine; tknąwszy się uświęconego narzędzia poezyi, cały wiek XIX chciał do skruchy rzewnéj pobudzić i uśpić go słodkiém marzeniem nieskończoności. Do tego znalazł zachętę w wychowaniu u sławnego zakonu, zarządzaném przez matkę, uczennicę pani Genlis. Pojednał się niby potém z racyonalizmem, zajaśniał wymową i zawodem publicznym bardzo świetnym, ale zasad zamłodu wpojonych, w najpiękniejszych chwilach życia, ukryć nie potrafił.

Na polu filozoficzném równie się objawił wpływ niemiecki. *Cousin* odbywszy podróż do Getyngi, Berlina, Heidelberga, poznał wszystkie systemy germańskie; jednego tylko Hegla przyswoić sobie nie potrafił. Ze wszystkich innych ukuł eklektyzm, głoszący, zamiast jednéj fundamentalnéj prawdy, aż cztéry, nie bez szczególnego jednak upodobania w mistycyzmie, który tu jest przebrany za spirytualizm.

Mimo roszczonych praw do postępu, historya straciła cel żywotny. Pisma Guizota wyjaśniające dzieje polityczne Francyi, są pasmem cząstkowych rozumowań nad wypadkami, bez wy-

kazania zboczeń od praw powszechnych ludzkości. Thiers także się nie troszczy o nowe stanowisko dziejowe, chociaż bardzo się stara o dokładną wiedzę szczegółów, porządek i jasność.

Mamyż z tego wnosić że połowa XIX wieku upłynęła napróżno pod każdym względem? bynajmnéj. Naprzód w każdym narodzie znaleźli się poeci i pisarze: jak Delavigne, Bérenger, Sismondi, Michelet, którzy stanowisko i godność powołania zachować potrafili. Powtóre obok doświadczeń społecznych wzrosły nauki przyrodzone, dobitne znamię naszego stulecia. Cztéry mianowicie umiejętności: geologia, chemia żywotna, mechanika i gospodarstwo społeczne zmieniły zupełnie starą oświatę na nową. Piérwsza znalazłszy w granicie całe archiwum odmian ziemskich, wydobyła głębokie myśli o dawności i sposobie tworzenia ciał w przestrzeni niebieskiéj rozsianych; druga odkrywszy braterstwo rośliny ze zwierzęciem i człowiekiem pod względem rozwoju, wyrzekła, że siły wyższéj organizacyi podobne są do iskry elektrycznéj niszczącéj stos galwaniczny; trzecia ustanowiwszy właściwy stosunek siły człowieka do potęgi przyrodzonéj, przeniosła pracę organiczną na machiny; czwarta dla udzielenia pomyślności wszelkim położeniom społeczeństwa, przyswoiła sobie własności prawa publicznego. Tym sposobem z manowców narody wstąpiły na drogę pewną postępu, nowych przeznaczeń, umiejętnego ocenienia życia i rzetelniejszego szczęścia. Części świata zbliżają się ku sobie o minut kilka, dzikość szczęśliwych klimatów nagle ustaje, sprawiedliwość wyzuwa się z dowolności dawnéj, ożywienie zastępuje zmartwiałość. A wszystko się odbywa na gruzach niedorzecznych systemów filozoficznych, retoryzmu, scholastyki, obłudy, dobra pojedyńczego i przewagi materyalnéj nad jedyną godnością człowieka umysłową.

MAKBET.

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH.

PRZEKŁAD Z SZEKSPIRA

PRZEZ

J. Paszkowskiego.

OSOBY.

Dunkan, król szkocki.
Malkolm, Donalbein } jego synowie.
Makbet, Banko } wodzowie.
Makduf
Lenox
Rossr
Mentel } panowie szkoccy.
Angus
Katness
Fleance, syn Banka.
Siward, hrabia Northumberland, dowódzca wojsk angielskich.
Młody Siwan, jego syn.
Sejton, oficer pod rozkazami Makbeta.
Lekarz angielski. Lekarz szkocki.
Żołnierz. Odźwierny. Starzec.
Lady Makbet.
Lady Makduf.
Dama w usługach Lady Makbet.
Hekate i trzy czarownice.
Lordowie, panowie, dowódzcy wojsk, żołnierze, zbójcy, słudzy i gońcy.
Duch Banka i wiele innych zjawisk.

Rzecz dzieje się: przy końcu czwartego aktu w Anglii, przez wszystkie inne w Szkocyi, mianowicie w zamku Makbeta.

AKT I.

SCENA PIERWSZA.

Pusta okolica.—Grzmoty i błyskawice.—Trzy czarownice wchodzą.

1 CZAROWNICA.

Rychłoż się zejdziem znów przy blasku
Błyskawic i piorunów trzasku?

2 CZAROWNICA.

Gdy bitwa owdzie wrząca
Dociągnie się do końca.

3 CZAROWNICA.

Więc przed zachodem słońca.

1 CZAROWNICA.

Gdzież schadzka?

2 CZAROWNICA.

Jak ten chróst,
Na wrzosach.

3 CZAROWNICA.

Tam Makbet z naszych ust
Dowie się o swych losach.

1 CZAROWNICA.

Słyszę głos arcy-wiedźmy.

WSZYSTKIE TRZY.

Ropucha skrzeczy. Jedźmy.
Szpetność upięknia, piękność szpeci;
Nuże, przez mgły i par zamieci!

(*Znikają*).

SCENA DRUGA.

(Obóz pod Fores) (1).

Wojenna wrzawa za sceną. Król DUNKAN, MALKOLM, DONALBEIN, LENOX *z orszakiem wchodzą i spotykają rannego żołnierza.*

DUNKAN.

Cóżto za człowiek krwią zbroczony? Wnosząc
Z jego ran, będzie on mógł nam udzielić
Najświeższą wieść o bitwie.

MALKOLM.

Jestto mężny
Wojownik, panie, którego odwadze
Winienem wolność. Witaj, przyjacielu!
Powiedz królowi, jaki był los bitwy,
Kiedyś jéj pole opuszczał.

ŻOŁNIERZ.

Wątpliwy,
Jak los dwóch burzą miotanych pływaków,
Którzy o siebie zwarci wysilają
Całę swą sztukę. Okrutny Makdonwald,
(Godzien haniebnéj nazwy buntownika,
Bo go natura mnóstwem wszelkich złości
Uposażyła), wsparty posiłkami
Kernów z zachodnich wysp i Galloglasów (2),
Brał już nad nami górę, i fortuna,
Jak nierządnica, zdała się uśmiechać
Przeklętéj jego sprawie: gdy wtém Makbet,
Dzielny nasz Makbet, gardząc szalą szczęścia,
Mieczem, dymiącym się krwią jak kadzidłem,
Torując sobie drogę wśród zastępów,
Przedarł się aż do zdrajcy, i dopóty
Nieubłagane zadawał mu cięcia,
Aż go rozrąbał od czaszki do szczęki,
I głowę jego zatknął u blank naszych.

(1) *Fores* rezydencya Dunkana leży na drodze do *Fajf*, gdzie bitwa była stoczoną i do *Inverness* miejsca zamieszkania Makbeta.

(2) *Kernowie* i *Galloglassy* (Kernes and Gallowglasses) byłoto żołdactwo z Irlandyi, ruchawka niesforna i do łupieztwa skłonna.

DUNKAN.

O zacny mężu, waleczny Makbecie!

ŻOŁNIERZ.

Jak gdy ze wschodu, zkąd słońce zabłysło
Wypada burza brzemienna gromami,
Tak z radosnego nam przed chwilą źródła
Wynikła nagle biada. Uważ, królu:
Zaledwie słuszność uzbrojona męztwem
Zmusiła niecnych Kernów do ucieczki,
Aliści szczęścia próbując na nowo,
Wzmocniony świeżym ludem i rynsztunkiem
Natarł norwegski władca.

DUNKAN.

Nie strwożyłoż
To naszych wodzów, Makbeta i Banka?

ŻOŁNIERZ.

Jak wróble orła albo lwa zające.
Zaprawdę, zdało się, że to dwa działa
Podwójnie ostrym ładunkiem nabite,
Z tak podwojoną uderzyli siłą
Na nieprzyjaciół. Co się daléj stało,
Tego powiedzieć nie umiem:
Siły mię coraz bardziéj opuszczają
I rany moje wzywają pomocy.

DUNKAN.

Zdobią cię one tak samo, jak wieści
Które przyniosłeś; jak jedne tak drugie
Tchną chwałą: niech go opatrzą lekarze.
(Żołnierz wsparty na ramionach dwóch innych wychodzi).
(Rosse wchodzi).
Któż się to zbliża?

MALKOLM.

Szlachetny tan Rosse.

LENOX.

Skwapliwy pośpiech widać w jego oczach:
Kto tak wygląda, ten bywa zwiastunem
Niezwykłych rzeczy.

ROSSE.

Niech Bóg chroni króla!

DUNKAN.

Witaj, szlachetny tanie, zkąd przybywasz?

ROSSE.

Z Tajf, miłościwy królu, gdzie norwegski
Sztandar przed naszym pochylony wieje
I chłodzi nasze wojska. Dumny Norweg,
Sam przez się silny a do tego jeszcze
Wsparty przez tego nikczemnego zdrajcę,
Tana Kawdoru, srogi bój rozpoczął;
Gdy wtém Bellony szczęsny oblubieniec,
Makbet, niezrażon niczem, jako skała
Stanął przeciwko niemu i samowtór
Ramię z ramieniem ostrze z ostrzem starłszy,
Ukrócił hardy jego umysł: słowem,
Zwycięztwo przy nas.

DUNKAN.

Szczęsny dniu!

ROSSE.

Król Sweno
Prosi o pokój i nie wprzód mu wolno
Pogrzebać ludzi poległych w téj bitwie,
Aż nam do skarbcu na wyspie Sankt Colmes (1)
Dziesięć tysięcy dolarów wypłaci.

DUNKAN.

Nie będzie mi już bróździł ten tan Kawdor;
Już zdradom jego naznaczona meta.
Idź mu śmierć obwieść, tanie, i Makbeta
Powitaj jego mianem.

ROSSE.

Spieszę, panie.

DUNKAN.

Co on utracił, to Makbet dostanie.
(*Wszyscy wychodzą*).

SCENA TRZECIA.

(Dzika okolica).

Grzmi. Trzy czarownice wchodzą.

I CZAROWNICA.

Gdzie-ś była, siostro?

(1) Wysepka na szkockiém pobrzeżu w poblizkości Fajfu, gdzie bitwa była stoczoną, tak nazwana od klasztoru poświęconego św. Kolumbowi (St. Colm).

2 CZAROWNICA.

Wieprze-mu rznęła.

3 CZAROWNICA.

A ty gdzie? Opisz swoje dzieła.

1 CZAROWNICA.

Żona jednego kupca wełny,
Kasztanów miała rańtuch pełny
I złote łuszczyła z nich jądro.
Daj mi ich, rzekłam, a ta kukła
Ze wzgardą na mnie fukła:
Precz stary ty czopie, precz flądro!
Poczekajno, pomyślałam, ptaszku;
Pokażę ja ci czym ja czop!
Mąż jéj popłynął do Damaszku:
Na sicie śmignę za nim w trop,
I w spodzie okrętu skurczona
Przycupnę jak szczur bez ogona:
Za babę odpowie mi chłop.

2 CZAROWNICA.

Mój wiatr ci dam.

3 CZAROWNICA.

I ja mój dam.

1 CZAROWNICA.

Dziękuję wam:
W mocy méj wszystkie inne mam;
Wszystkie porty gdzie szaleją,
I przeciągi kędy wieją
Zmienną róży swéj koleją.
Kłuć go będę, szczypać, dręczyć,
Cherlać musi i kawęczyć;
Jak wiór wyschnie, jak trup zblednie,
Snu nie znajdzie w noc i we dnie.
Przez dni siedm, siedm razy siedm
Pastwą będzie wrażych wiedm;
A jeżeli z burz nawały
Okręt jego ma wyjść cały,
Trzeba by go wichrów szały
Tęgo pierwéj skołatały.
Patrzcie coto ja mam.

2 CZAROWNICA.

Pokaż nam:
Jakiś skóry kawałec.

1 CZAROWNICA.

Sternika to jest palec,
Którego orkan mój pomacał,
Kiedy do domu wracał.

3 CZAROWNICA.

Trąba brzmi, puzan dmie:
Makbet, Makbet zbliża się:

WSZYSTKIE TRZY.

Daléj, daléj, siostry wiedźmy,
Czarodziejski krąg zawiedźmy:
Ot tak, ot tak, ot tak;
Trzykroć tak i trzykroć wspak,
I trzykroć jeszcze do dziewięciu:
Pst!—już po zaklęciu.

(Makbet i Banko wchodzą).

MAKBET.

Tak ponurego dnia i tak pięknego,
Jak żyję nigdy jeszcze nie widziałem.

BANKO.

Dalekoż jeszcze Fores? Ale, któż są
Te tam postacie wywiędłe i szpetne?
Nie zdają się mieć nic wspólnego z ziemią,
Są jednak na niéj. Żyweż wy jesteście?
Zdolne na ludzką mowę odpowiedzieć?
Zdawałoby się, że mię rozumiecie,
Bo wszystkie razem chude swoje palce
Do ust zapadłych przykładacie. Pozór
Niewieści macie, ale wasze brody
Nie pozwalają mi w tę płeć uwierzyć.

MAKBET.

Jeśli możecie, mówcie:—kto jesteście?

1 CZAROWNICA.

Cześć ci, Makbecie! Cześć ci, tanie Glamis!

2 CZAROWNICA.

Cześć ci, Makbecie! Cześć ci, tanie Kawdor!

3 CZAROWNICA.

Cześć ci, Makbecie! przyszły królu, cześć ci!

BANKO.

Czego się wzdrygasz, zacny przyjacielu?
Zdajesz się jakby przerażony wróżbą

Tak mile brzmiącą? W imię prawdy! mówcie:
Czy-ście wy tylko łudzącemi mary,
Czy rzeczywiście tem, czém się rzekomo
Jawicie oku? Szlachetnego mego
Współtowarzysza broni pozdrawiacie
Rzędem tytułów, przechodzących wszelkie
Jego nadzieje: mnie nic nie mówicie.
Jeśli, świadome siejby czasu, wiécie
Które się ziarno udać ma, a które
Zmarnieć żadnego nie wydawszy plonu;
Przemówcie do mnie, który ani stoję
O wasze względy, ani się niełaski
Waszéj obawiam.

CZAROWNICE.

Cześć ci, Banko, cześć!

1 CZAROWNICA.

Mniéj wielkim będziesz jak Makbet, a większym.

2 CZAROWNICA.

Nie tak szczęśliwym a przecie szczęśliwszym.

3 CZAROWNICA.

Nie będąc królem, królów płodzić będziesz:
Cześć wam więc obu, Makbecie i Banko!

1 CZAROWNICA.

Makbecie, Banko, cześć wam!

2 CZAROWNICA.

Cześć wam!

3 CZAROWNICA.

Cześć wam!

MAKBET.

Ciemne sybille, więcéj mi powiedźcie.
Przez śmierć Sinela jestem tanem Glamis:
O tém wiem; ale zkądże tanem Kawdor?
Tan Kawdor żyje, i nic mu nie grozi.
Królem zaś zostać, jestto dla mnie rzeczą,
Mniéj jeszcze mieścić się mogącą w sferze
Prawdopodobieństw, jak być tanem Kawdor.
Mówcie, jak dawno macie tę wiadomość?
I w jakim celu nas tu na tych wrzosach
Zatrzymujecie tak dziwném proroctwem?
Odpowiadajcie, rozkazuję wam.

(Czarownice znikają).

BANKO.

Ziemia wydaje bańki tak jak woda:
Mieliśmy probę ich. Gdzież one prysły?

MAKBET.

W powietrze; co się zdawało cielesném,
To się rozwiało jako z wiatrem oddech.
Gdyby się były jednę chwilę dłużéj
Wstrzymały!

BANKO.

Powiedz mi, czy rzeczywiście
Było tu coś takiego o czém mówim:
Czy téż, niewiedząc o tém, spożyliśmy
Owéj niezdrowéj rośliny, od któréj
Zmysły durzeją?

MAKBET.

Masz być ojcem królów.

BANKO.

A ty sam królem.

MAKBET.

I tanem Kawdoru:
Nie tak-że brzmiało to cośmy słyszeli?

BANKO.

Tak co do joty. Któżto ku nam zdąża?
(*Rosse i Angus wchodzą*).

ROSSE.

Król się z najżywszą radością dowiedział
O twém podwójném zwycięztwie, Makbecie.
Kiedy mu twoje osobiste starcie
Z wodzem powstańczych wojsk opisywano,
Zdumienie wiodło w nim spór z uwielbieniem,
I usta jego sypały pochwały;
Lecz mu słów na nie zbrakło, gdy usłyszał,
Jakeś-to jeszcze w tym samym dniu, niczem
Nieustraszony, bo nawet widokiem
Własnego dzieła na pobojowisku,
Rozbił norwegskie hufce. Lotem ptaka
Szła wieść za wieścią, a każdy jéj goniec
Podnosił twoje zasługi w obronie
Praw majestatu i dodawał wątku
Do chwały twego imienia.

ANGUS.

Jesteśmy
Przysłani, wodzu, żeby ci oznajmić
Królewskie dzięki; żeby cię przed króla
Powieśdź oblicze, nie żeby wypłacić
Dług waleczności twojéj przynależny.

ROSSE.

Na wstęp do większych zaszczytów, Makbecie,
Jakieć czekają, kazał mi król ciebie
Powitać tanem Kawdoru.
Cześć ci więc pod tym tytułem, cny tanie,
Bo od téj pory on jest twoim.

BANKO
(do siebie).

Przebóg!
Więc szatan mówi prawdę?

MAKBET.

Kawdor żyje:
Dlaczegoż w cudze szaty mnie stroicie?

ROSSE.

Ten, co tę nazwę nosił, żyje jeszcze;
Ale na życiu, którego nie godzien,
Surowy cięży wyrok! Czy on w zmowie
Był z Norwegczykiem, czy skrytą pomocą
Wspierał przywódcę buntu, czy nareszcie
Knuł z obudwoma zamach na kraj własny,
Tego ja nie wiem; tylko wiem, że zdrada
Stanu wykryta i udowodniona,
Upadku jego stała się przyczyną.

MAKBET
(do siebie).

Glamis i Kawdor! Najważniejszéj jeszcze
Brakuje rzeczy. *(Głośno)* Dzięki wam, panowie.
(Na stronie do Banka).
Wątpiszże widzieć twe dzieci królami,
Gdy ci te same usta to przyrzekły,
Które nazwały mnie tanem Kawdoru?

BANKO
(podobnież do niego).

Wieszczba ta, jeśli wiarę w niéj położysz,
Może zapalić w tobie niebezpieczną
Żądzę korony. Często, przyjacielu,
Narzędzia piekła prawdę nam podają,

Aby nas w zgubne potém sieci wplątać;
Łudzą nam duszę uczciwym pozorem,
Aby nas znęcić w przepaść następstwl *(Głośno)* Słówko,
Mości panowie.

MAKBET
(do siebie).

Dwie wróżby, będące
Niby prologiem świetniejszéj przyszłości,
Już się sprawdziły. *(Głośno)* Za trud wasz, panowie,
Wdzięczny wam jestem.
(Znowu do siebie).
To nadprzyrodzone
Proroctwo złém być nie może, nie może
Także być dobrém: jest-li złem, dlaczegoż
Zapowiedziało mi wiernie godziwy
Początek mego powodzenia? jest-li
Przeciwnie dobrém, dlaczegoż mi skrycie
Nasuwa myśli, od których strasznego
Obrazu włos mi się jeży i serce
Moje hartowne w kontr naturze bije?
Obecna zgroza nie tyle jest straszną
Ile okropne twory wyobraźni:
Mordercze widma bytujące dotąd
Tylko w fantazyi mojéj, tak dalece
Wstrząsają moje jestestwo, że wszystkie
Męzkie me władze w sen się ulatniają
I to jest tylko we mnie czego niéma.

BANKO
(na stronie).

Czy uważacie, jak się nasz przyjaciel
Zadumał?

MAKBET
(zawsze do siebie).

Chce-li los, abym był królem,
Niech mię bez przyczynienia się mojego
Ukoronuje.

BANKO
(jak wyżéj).

Nowe dostojeństwa
Są snadź dla niego jako nowa suknia,
Która czas jakiś noszona, dopiéro
Dobrze przystaje.

MAKBET
(jak wyżéj).

Niech będzie co będzie;
Czas wszystko równo w swym unosi pędzie.

BANKO.

Szlachetny tanie, czekamy na ciebie.

MAKBET.

Wybaczcie: umysł mój był zaprzątniony
Odgrzebywaniem zapomnianych rzeczy.
Trud wasz, panowie moi, zapisałem
Do księgi, którą codzień odczytuję.
Idźmy do króla. *(Do Banka)* Nie zapomnij o tém
Co zaszło; a gdy czas znajdziesz potemu
I bieg wypadków pokaże, o ile
Można do tego wagę przywiązywać,
Poufnie o tém pomówimy znowu.

BANKO.

Najchętniéj.

MAKBET.

Teraz dość. Idźmy, panowie.
(Wychodzą).

SCENA CZWARTA.

(Fores. Pokój w pałacu).

Odgłos trąb. DUNKAN *wchodzi; za nim* MALKOLM, DONALBEIN, LENOX *i orszak.*

DUNKAN.

Czy wykonany wyrok na Kawdorze?
I ci co byli w tym celu wysłani,
Są-li z powrotem już?

MALKOLM.

Jeszcze ich niéma;
Ale mówiłem z kimś, co był obecnym
Przy jego śmierci; bez ogródki wyznał
On swoję zdradę, błagał przebaczenia
Waszéj Królewskiéj Mości, i okazał
Szczery, głęboki żal: nic w ciągu życia
Nie odznaczyło go tak szlachetnością

Jak rozstawanie się z życiem. Umierał,
Jakby był w śmierci ćwiczony i jako
Nikczemną fraszkę odrzucił od siebie
To, co mu było najdroższém.

DUNKAN.

Nie sposób
Z oblicza dociec usposobień duszy.
Ja w tym człowieku pokładałem ufność
Najzupełniejszą, nieograniczoną.
—Witaj przezacny kuzynie.

(Makbet, Banko, Rosse i Angus wchodzą).

Niewdzięczność
Kamieniem właśnie tłoczyła mi serce.
Tak-eś daleko naprzód się posunął,
Że najskwapliwszy pochop zawdzięczenia
Nie zdołałby cię doścignąć. Wolałbym,
Żebyś był zasług nie tyle położył,
Bobym mógł prędzéj znaleźć odpowiedni
Stosunek podzięk i nagród. Przyjm chociaż
W ich niedostatku to szczere wyznanie,
Żem więcéj dłużny, niż-em oddać w stanie.

MAKBET.

Służba i honor, którym życie święcę,
W wykonywaniu swoich obowiązków,
Hojną znajdują już nagrodę. Waszéj
Królewskiéj Mości pozostaje tylko
Przyjmować owoc naszych usiłowań;
Boć siły nasze są dziećmi, sługami
Tronu i państwa, i pełnią jedynie
Swoję powinność, ściśle wypełniając
To, co im miłość ku swemu monarsze
I dobro kraju nakazuje.

DUNKAN.

Bądź mi
Pozdrowion na tém miejscu; jesteś drzewem
Mego szczepienia, które pielęgnować
Będę, ażeby bujnie się rozrosło.
Szlachetny Banko, tyś nie mniéj położył
Zasług i niemniéj téż będzie wiadomém,
Żeś je położył. Pójdź, niech cię przycisnę
Do mego serca.

BANKO.

Będę-li na takim
Rósł gruncie, żniwo twojém będzie, królu.

DUNKAN.

Obecna moja radość w pełni swojéj
Nie zapomina o troskach. Synowie,
Krewni, tanowie i wy zgoła wszyscy,
Którzy najbliżéj nas stoicie, wiedzcie,
Żeśmy koronę naszę zamierzyli
Zdać najstarszemu z synów, Malkolmowi,
Który się odtąd księciem Kumberlandu
Nazywać będzie; nie on jednak tylko
Sam jeden nową ma otrzymać godność;
Znaki szlachectwa jako gwiazdy błyszczéć
Będą na wszystkich, którzy tego warci.
Teraźże dalej do Inwernes. Sprawcie,
Bym wam i nadal był obowiązany.

MAKBET.

Starać się o to będziem. Sam pospieszę
Ucieszyć ucho mojéj żony wieścią
O blizkiém władcy naszego przybyciu.
Wybaczy Wasza Królewska Mość przeto,
Że się oddalę.

DUNKAN.

Kochany Kawdorze!

MAKBET
(*do siebie*).

Książę Kumberland! Trzeba mi usunąć
Z drogi ten szkopuł, inaczejbym runąć
Musiał w pochodzie. Gwiazdy, skryjcie światło;
Czystych swych blasków nie rzucajcie na tło
Mych czarnych myśli; nie pozwólcie oku
Napotkać dłoni ukrytéj w pomroku,
Aby się mogło przy spełnieniu zatrzeć
To, na co strach nam po spełnieniu patrzeć.
(*Wychodzi*).

DUNKAN.

W istocie, dzielny-to człowiek, mój Banku:
Nie mogę się dość jego zaletami,
I oddawaniem mu pochwał nasycić:
To bankiet dla mnie. Udajmyż się za nim
Tam, gdzie nas jego troskliwość uprzedza.
Nie porównany-to skarb taki krewny.
(*Odgłos trąb. Wychodzą*).

SCENA PIĄTA.

(*Inwernes. Pokój w zamku Makbeta*).

LADY MAKBET *wchodzi czytając list.*

LADY MAKBET.

„Spotkałem je w dniu zwycięztwa i przekonałem się najdowodniéj, że ich wiedza przechodzi zakres śmiertelnéj natury. Kiedy pałając chęcią dowiedzenia się czegoś więcéj, miałem im dalsze czynić pytania, rozpłynęły się w powietrze i znikły. Jeszczem stał odurzony tym trafem, gdy wtém nadeszli posłowie od króla, powitali mię *tanem Kawdoru*, którym-to tytułem pozdrowiły mię były przed chwilą owe tajemnicze zjawiska, przekazując mi zarazem na późniéj świetniejszy tytuł wyrazami: *cześć ci przyszły królu!* Uznałem za stosowne uwiadomić cię o tém, droga wielkości mojéj uczestniczko, abyś przez niewiadomość, jaka ci przyszłość jest zapowiedziana, nie straciła należnego udziału w wynikającéj ztąd radości. Weź to do serca i bądź zdrowa".

Glamisu tanem jesteś i Kawdoru,
I będziesz, czém ci, że będziesz, wróżono;
Boję się tylko, czy twoja natura
Zaprawna mlekiem dobroci, obierze
Najkrótszą drogę ku temu. Znam ciebie:
Radbyś być wielkim, nie wolnyś od dumy,
Ale uczciwie chciałbyś cel jéj posiąść;
Wyniosłość chciałbyś zgodzić ze świętością;
Nieprawo graćbyś nie chciał, a jednakże
Pragnąłbyś krzywo wygrać. O Glamisiel
Chciałbyś pozyskać to, coć głośno woła:
Uczyń tak, chceszli mieć to czego pragniesz,
A czego lękasz się dokonać, bardziéj,
Niż pragniesz, aby nie było spełnioném.
Spiesz się, przybywaj, abym duch mój mogła
Przelać w twe ucho i ust mych potęgą
Rozwiać to wszystko, co od twojéj głowy
Oddala krąg ów złoty, którym widno
Sam los i wpływy tajemniczych potęg
Postanowiły cię uwieńczyć. Cóż tam?

(*Lokaj wchodzi*).

LOKAJ.

Król na noc będzie tu.

LADY MAKBET.

Szalony jesteś.
Nie jestże z nim twój pan? Gdyby tak było,
Byłby mię o tém uwiadomił.

LOKAJ.

Wybacz,
Dostojna lady, szczerą mówię prawdę.
Nasz tan przybędzie lada chwila: jeden
Nadworny łuzak przywiózł tę wiadomość,
Tak zadyszany, że mu tchu niestało
Do wymówienia jéj.

LADY MAKBET.

Niechaj mu dadzą
Wszelkie wygody. Wielką wieść zwiastuje:
Nie dziw że stracił dech.
(*Lokaj wychodzi*).
Ochrypł kruk nawet,
Który fatalne przybycie Dunkana
Do mych bram krącząc obwieszcza. Przybądźcie,
Przybądźcie, o wy duchy, karmiciele
Zabójczych myśli, z płci méj mię wyzujcie;
I napełnijcie mię od stóp do głowy,
Nieubłaganém okrucieństwem! Zgęśćcie
Krew w moich żyłach; zatamujcie wszelki
W mém łonie przystęp wyrzutom sumienia;
By żaden poszept natury nie zdołał
Wielkiego mego przedsięwzięcia zachwiać,
Ni stanąć w poprzek między mną a skutkiem!
Zbliżcie się do mych piersi, przeistoczcie
W żółć moje mleko, o wy, śmierć niosące
Potęgi, które niewidzialnie krążąc,
Na szkodę świata czatujecie! Spuść się,
Ponura nocy, obłocz się w najgęstszy
Dym piekieł, aby mój sztylet nie ujrzał
Rany przez siebie zadanéj, i niebo
Przez niedość ciemny kir mroku przejrzawszy
Nie zawołało: *Stój!*
(*Makbet wchodzi*).
Dzielny Glamisie!
Wielki Kawdorze! Stokroć jeszcze większy,
Oczekującą cię przyszłością! List twój
Daleko przeniósł mię nad zakres marnéj
Teraźniejszości i w obecnéj chwili
Czuję następne.

MAKBET.

Luba żono; Dunkan
Zjeżdża tu na noc.

LADY MAKBET.

I odjeżdża?

MAKBET.

Jutro:
Taki przynajmniéj jego zamiar.

LADY MAKBET.

Nigdy
Nie ujrzy słońce tego jutra! Twoje
Oblicze, mężu, jest istną tablicą,
Na któréj skryte rzeczy można czytać.
Chcąc świat oszukać, stosuj się do świata,
Ubierz w uprzejmość oko, dłoń i usta:
Wyglądaj jako kwiat niewinny, ale
Niech pod tym kwiatem ukrywa się wąż.
Dołóżmy wszelkich starań, żeby tego,
Co tu ma przybyć, przyjąć jak najlepiéj;
Myśl o tém tylko: memu zaś myśleniu
Pozostaw wielkie zadanie téj nocy,
Które, jeśli się działać nie ustraszym.
Nada blask przyszłym dniom i nocom naszym.

MAKBET.

Pomówim o tém jeszcze.

LADY MAKBET.

Rozjaśń czoło:
Lęka się, kto się nie patrzy wesoło.
Resztę zdaj na mnie.

(*Wychodzą*).

SCENA SZÓSTA.

(*Tamże. Przed zamkiem*).

Odgłos obojów. Słudzy MAKBETA *rozstawieni.* DUNKAN, MALKOLM, DONALBEIN, BANKO, LENOX, MAKDUF, ROSSE, ANGUS *wchodzą. Za niemi orszak królewski.*

DUNKAN.

Zamek ten w wdzięcznem miejscu położony;

Powietrze jego przyjemnie napawa
I rzeźwi moje zmysły.

BANKO.

Gość wiosenny,
Jaskółka, owdzie u blank się gnieżdżąca,
Wskazuje swoim pobytem, że niebo
Tchnie tu przyjaźnie: nie ma gzemsu, łuku,
Zakąta, gdzieby ten ptak nie przyczepił
Dla swoich piskląt wiszącéj kołyski.
Zauważałem, że gdzie te ptaszyny
Najchętniéj goszczą, tam powietrze bywa
Najczystsze.

(*Lady Makbet wchodzi*).

DUNKAN.

Otóż nasza cna gosposia.
Życzliwość, któréj odbieramy dowód,
Często nam trudów nabawia: jednakże
Wdzięczniśmy za nią, bo z serca pochodzi:
Powiedz nam przeto, miledy, Bóg zapłać.
I bądź nam wdzięczną za to, że cię trudzim.

LADY MAKBET.

Wszelkie usługi podwakroć spełnione
Pod każdym względem, następnie w dwójnasób,
Byłyby jeszcze za błache, za liche,
Do wyrównania temu wysokiemu,
Drogocennemu zaszczytowi, którym
Wasza Królewska Mość nasz dom obdarzasz.
Pomni łask dawnych i świeżo doznanych,
Będziem się panie, za pomyślność twoję
Szczerze modlili.

DUNKAN.

Gdzież jest nasz tan Kawdor?
Biegliśmy za nim w trop; chcieliśmy nawet
Nocleg dla niego przygotować, ależ
Jemu nie łatwo sprostać w konnéj jeździe,
I miłość jego, szybsza od rumaka,
Dawno musiała nas uprzedzić. Tak więc
Piękna, kochana gosposiu, jesteśmy
Na tę noc gościem waszym.

LADY MAKBET.

Słudzy Waszéj
Królewskiéj Mości zawsze są gotowi
Zdać porachunek z tego, co im było

Dane pod zarząd, i na rozkaz Waszéj
Królewskiéj Mości powrócić jéj własność.

DUNKAN.

Podaj mi rękę, nadobna miledy;
Zaprowadź mię do gospodarza domu:
Wielce kochamy go i nie przestaniem
Nadal go o tém przekonywać. Pozwól.
(*Wychodzą*).

SCENA SIÓDMA.

(*Tamże. Pokój w pałacu*).

Odgłos obojów. Pochodnie pozapalane. Krajczy nadworny a za nim kilka sług z półmiskami i różnym przyrządem przechodzą przez scenę. Po niejakiéj chwili wchodzi MAKBET.

MAKBET.

Jeśli to co się ma stać, stać się musi,
Niechby przynajmniéj stało się niezwłocznie.
Gdyby ten straszny cios mógł przeciąć wszelkie
Dalsze następstwa, gdyby ten czyn mógł być
Sam w sobie wszystkiém i końcem wszystkiego,
Tylko tu, na téj doczesnéj mieliźnie,
O przyszłe życiebym nie stał. Lecz zwykle
W podobnych razach tu już każń nas czeka.
Krwawa nauka, którą dajem, spada
Na własną naszę głowę. Sprawiedliwość
Zwraca podaną przez nas czarę jadu
Do własnych naszych ust. Z podwójnych względów,
Należy mu się u mnie bezpieczeństwo:
Jestem i krewnym jego i wazalem,
To samo zbyt już przeważnie potępia
Taki postępek; lecz jestem, co więcéj,
I gospodarzem jego, który winien
Drzwi zamknąć jego zabójcy, nie owszem
Sam mu do piersi zbójczy nóż przykładać.
A potém Dunkan tak skromnie piastował
Swą godność, tak był nieskalanie czystym
W pełnieniu swego wielkiego urzędu;
Że cnoty jego, jak anioły nieba,
Piorunującym głosem świadczyć będą
Przeciw wyrodnym sprawcom jego śmierci,
I litość, jako nowonarodzone

Nagie niemowlę, lub cherub siedzący
Na niewidzialnych, powietrznych rumakach,
Wiać będzie w oczy każdemu okropny
Obraz téj zbrodni, by wiatr łzy osuszył.
Jeden, wyłącznie jeden tylko bodziec
Podżega we mnie tę pokusę, tojest
Wyniosłość, która przeskakując siebie,
Dąży powalić drugich.

(Lady Makbet wchodzi).

Cóż tam?

LADY MAKBET.

Właśnie
Wstał od wieczerzy. Po co-ś się oddalił?

MAKBET.

Czy pytał o mnie?

LADY MAKBET.

Ty mnie o to pytasz?

MAKBET.

Nie postępujmy daléj na téj drodze:
Dopiéro co mnie obdarzył godnością,
I sam dopiéro co sobie kupiłem
Złotą u ludzi sławę, sławę, którą
Godziłoby się jak najdłużéj w świeżym
Utrzymać blasku, nie zaś tak skwapliwie
Odrzucać.

LADY MAKBET.

Byłaż pijaną nadzieja,
Co cię niedawno jeszcze kołysała?
Zasnęłaż potém i budziż się teraz,
Żeby ospale, trwożnie patrzeć na to,
Na co tak raźnie wtedy poglądała?
Nie lepsze dajesz mi wyobrażenie
I o miłości twojéj. Masz-li skrupuł
Mężnie w czyn przelać to czego pożądasz?
Chciałbyś posiadać to, co sam uznajesz
Ozdobą życia i chcesz żyć zarazem
W własném uznaniu jak tchórz, albo jako
Ow kot w przysłowiu gminném, u którego
Nie śmiem przeważa *chciałbym* (1).

(1) Przysłowie to w dziele: *Heywood's Proverbs* brzmi tak: *The cat would eat fish and would not wet her feet.* Jestto dosłownie toż samo co nasze: *Jadłby kot ryby, ale mu się nie chce zmaczać ogona.*

Przyp. tłum.

MAKBET.

Przestań, proszę.
Na wszystko-m gotów co jest godne męża;
Kto więcéj waży, nie jest nim.

LADY MAKBET.

I jakiż
Zły duch ci kazał tę myśl mi nasunąć?
Kiedyś ją powziął, wtedy byleś mężem:
O ilebyś był więcéj tém czém byleś,
O tyle więcéj byłbyś nim. Nie była
Wtedy potemu pora ani miejsce,
Jedno i drugie stworzyć byleś gotów:
Teraz się jedno i drugie nastręcza,
A ty się cofasz? Byłam karmicielką,
I wiem, jak to jest słodko kochać dziécię
Które się karmi; byłabym mu jednak
Wyrwała była pierś z ust nadstawionych,
Które się do mnie tkliwie uśmiechały,
I roztrzaskała czaszkę, gdybym była
Zobowiązała się do tego czynu,
Jak ty do tego.

MAKBET.

Gdybyśmy chybili?

LADY MAKBET.

Chybić! Obwaruj jéno swoje męztwo,
A nie chybimy. Skoro Dunkan zaśnie,
(Co naturalnie po trudach dnia prędko
Pewnie nastąpi), przyrządzonem winem
Dwóch pokojowców jego tak uraczę,
Że się ich pamięć, ten stróż mózgu, w parę,
A władz siedlisko zamieni w alembik.
Gdy snem zwierzęcym ujęci, jak trupy
Spoczywać będą, czegoż nie zdołamy
Dokazać wtedy ze śpiącym Dunkanem?
Czego nie złożyć na jego pijaną
Służbę, na którą spadnie cała wina
Naszego mordu?

MAKBET.

Rodź mi samych chłopców!
Bo *męztwa mego* nieugięty kruszec,
Nie niewieściego od dziś dnia nie spłodzi.
Skoro tych śpiących ludzi krwią pomażem,
I użyjemy ich własnych sztyletów,
Któż nie pomyśli, że ta zbrodnia była
Ich dziełem?

LADY MAKBET.

Któż ma pomyśleć inaczéj?
Jeżeli zwłaszcza jękiem i lamentem
Nad jego śmiercią napełnimy zamek.

MAKBET.

Niech się więc stanie! Wszystkie moje siły
Nagnę do tego okropnego czynu.
Idźmy i szydźmy z świata jasném czołem:
Fałsz serca i fałsz lic muszą iść społem.
(Wychodzą).

AKT II.

SCENA PIÉRWSZA.

(Inwernes. Dziedziniec zamkowy).

BANKO i FLEANCE *wchodzą—przed nimi sługa z pochodnią.*

BANKO.

Jak późno już w noc, chłopcze?

FLEANCE.

Księżyc zaszedł;
Bicia zegaru nie słyszałem.

BANKO.

Księżyc
Zachodzi teraz około dwunastéj.

FLEANCE.

Musi już późniéj być, mój ojcze.

BANKO.

Weźno
Mój miecz. Tam w niebie spać się widać kładą
Po gospodarsku; zgaszono już światła.
Sen mi się ciśnie do oczu a przecież
Zasnąćbym nie chciał. Dobroczynne mocy!
Umorzcie we mnie te okropne myśli,
Które się budzą gdy ciało spoczywa!
Daj mi miecz!
(Makbet wchodzi—przed nim sługa z pochodnią).
Kto tam?

MAKBET.

Przyjaciel.

BANKO.

Co widzę?
Ty, panie, jeszcze na nogach? Król śpi już:
W niepospolicie dobrym był humorze,
I szczodre dary posłał twoim ludziom;
Małżonce twojéj, w dank za jéj uprzejmość,
Kazał mi pierścień ten doręczyć: słowem,
Zadowolony był zupełnie.

MAKBET.

Dobra
Chęć nasza była niewolnicą braku
Przygotowania, gdyby była mogła
Swobodnie działać, byłoby inaczéj.

BANKO.

O, i tak wszystko było jak najlepiéj.
Myślałem tego wieczora o owych
Trzech widmach: wróżba ich już się poczęści
Sprawdziła.

MAKBET.

Ani pomyślałem o nich:
Wartoby jednak w wolnéj chwili znowu
O tém pomówić. Oznacz czas, kochany
Banko.

BANKO.

Zostawiam ci go do wyboru.

MAKBET.

Jeżeli zechcesz wybór mój potwierdzić,
Wypadek jego będzie ku tém większéj
Czci twojéj.

BANKO.

Żebym jéj tylko nie stracił,
Chcąc ją powiększyć a zachować zdołał
Czyste sumienie i wiarę niezłomną,
Służyć ci będę.

MAKBET.

Dobranoc, tymczasem.

BANKO.

Dziękuję: życzę ci nawzajem dobréj.

(*Banko wychodzi*).

MAKBET.

Idź, powiedz pani, żeby zadzwoniła
Skoro ów napój dla mnie będzie gotów.
Możesz się potém położyć.

(*Sługa wychodzi*).

Jestlito sztylet, co przed sobą widzę,
Z zwróconą ku méj dłoni rękojeścią?
Pójdź, niech cię ujmę! Nie mam cię, a jednak
Ciągle cię widzę. Fatalne widziadło!
Nie jestżeś ty dla zmysłu dotykania,
Tylko dla zmysłu widzenia dostępnym?
Jestżeś sztyletem tylko wyobraźni?
Rozpalonego tylko mózgu tworem?
Widzę cię jednak tak samo wyraźnie,
Jak ten co właśnie wydobywam.
Ty mi wskazujesz, jak przewodnik drogę
Którą iść miałem; takiego téż miałem
Użyć narzędza. Albo mój wzrok błaznem
Jest w porównaniu z resztą moich zmysłów,
Albo jest więcéj wart niż wszystkie razem.
Ciągle cię widzę, a na twojéj klindze
I rękojeści znamiona krwi, których
Pierwéj nie było. Nie ma ich w istocie:
Mojato krwawa myśl jawi je oczom.
Na całym teraz półobszarze świata
Natura zdaje się martwą i straszne
Marzenia szarpią snu cichą zasłonę.
Terazto władza czarodziejska święci
Ofiary bladéj Hekate i dziki
Mord podniesiony z legowiska wyciem
Czujnego swego czatownika, wilka,
Którego odgłos jest dlań excytarzem,
Chyłkiem jak złodziéj lub duch mknie do celu.
O ty spokojna, niewzruszona w swoich
Posadach, ziemio, nie słysz moich kroków,
Aby kamienie nie wypowiedziały
Gdzie idę, i nie zdradziły alarmem
Téj zgrozy, co ma nastąpić.
Ja się odgrażam, a on jeszcze żyje:
Żar czynu ziębią słów jałowe chryje.

(*Odgłos dzwonka słyszeć się daje*).

Daléj! czas nagli; już dzwonka wezwanie
Daje mi sygnał. Nie słysz go, Dunkanie:
Bo tego dzwonka melodya straszliwa,
Do nieba ciebie lub do piekła wzywa.

(*Wychodzi*).

SCENA DRUGA.

(*Tamże*).

LADY MAKBET *wchodzi.*

LADY MAKBET.

Co ich uśpiło, to mnie ocuciło,
Co ich zniemogło, we mnie wzmogło siły:
Cóżto jest? Cicho! To puszczyk zahuczał,
Złowrogi ten stróż nocny, który groźnie
Woła: *dobranoc.* On tam jest; podwoje
Na wpół otwarte; pijane pachołki
Szydzą chrapaniem z swego obowiązku.
Taki im napój dałam, że natura
I śmierć spór teraz wiodą o ich życie.

MAKBET
(*za sceną*).

Kto tu? hej!

LADY MAKBET.

Biada! pewnie się ocknęli,
I wszystko za nic. Zamach to, nie zbrodnia
Zgubi nas: Cicho! Pokładłam sztylety
Tuż przecie przy nich; nie mógł ich nie znaleźć.
Gdyby był we śnie nie tyle podobny
Do mego ojca, byłabym się była
Niechybnie sama na to odważyła.
Ha! I cóż?

(*Makbet wchodzi*).

MAKBET.

Stało się. Słyszałaś hałas?

LADY MAKBET.

Słyszałam sowy krzyk i poświerk świerszcza.
Cóżeśto mówił, mężu?

MAKBET.

Kiedy?

LADY MAKBET.

Teraz.

MAKBET.

Kiedym tu wchodził?

LADY MAKBET.

Tak.

MAKBET.

Cicho! Czy słyszysz?
Kto tam śpi w tamtym pokoju?

LADY MAKBET.

Donalbein.

MAKBET
(przypatrując się swoim rękom).

Żałosnyżto jest widok!

LADY MAKBET.

Wstydź się, mówić:
Żałosny widok; niemężny tak mówi.

MAKBET.

Jeden się zaśmiał przez sen, drugi krzyknął:
Ratunku! aż się przebudzili wzajem;
Jam stał i słuchał, ale oni cicho
Zmawiali pacierz i znów się spokojnie
Do snu pokładli.

LADY MAKBET.

Tam ich dwóch jest.

MAKBET.

Jeden
Zawołał: *Boże! zmiłuj się nad nami!*
A drugi: *Amen!* jakby mię widzieli
Z temi rękami kata stojącego
I śledzącego ich trwogę. Jam nie mógł
Powiedzieć: Amen, wtenczas kiedy oni
Mówili: *Boże, zmiłuj się nad nami!*

LADY MAKBET.

Nie zastanawiaj się nad tém tak pilnie.

MAKBET.

Dlaczegoż tego nie mogłem powiedzieć?
Potrzebowałem bardzo zmiłowania,
A jednak: *Amen*, zamarło mi w ustach.

LADY MAKBET.

Nie trzeba sobie takich rzeczy w takiém
Swietle wystawiać; inaczejby przyszło
Oszaleć.

MAKBET.

Zdało mi się, że słyszałem,
Głos wołający: *Nie zaśniesz już więcéj!*
Makbet zabija sen, niewinny sen,
Który zwikłane węzły trosk rozplata,
Grzebie codzienne nędze; sen, tę kąpiel
Znużonéj pracy, cierpiących serc balsam,
Odżywiciela natury, głównego
Posiłkodawcę na uczcie żywota.

LADY MAKBET.

Co wygadujesz!

MAKBET.

Ciągle mi brzmiał w uszach
Ten głos: *Nie zaśniesz, nie zaśniesz już więcéj.*
Glamis sen zabił, dlatego téż Kawdor
Nie zaśnie; Makbet nigdy już nie zaśnie.

LADY MAKBET.

Któżto tak wołał? O szlachetny tanie,
Rozmiękczasz w sobie tęgość ducha marząc
Tak chorobliwie. Idź, weź trochę wody,
I obmyj rękę z tych plugawych znamion.
Pocoś tu z sobą przyniósł te sztylety?
Tam jest ich miejsce. Idź, odnieś je, pomaż
Krwią tamtych ludzi.

MAKBET.

Już tam moja noga
Nie wnijdzie. Wzdrygam się, kiedy pomyślę
O tém, com zrobił: widok tego byłby
Nad moje siły.

LADY MAKBET.

Kaleko na duchu!
Daj te sztylety; śpiący i umarli
Są obrazkami tylko; nikt prócz dzieci,
Malowanego nie lęka się djabła.
Sama ubarwię krwią ręce i szaty
Tych dwóch pachołków, bo oni się muszą
Wydać sprawcami zbrodni.

(Wychodzi).

(Słychać zewnątrz kołatanie).

MAKBET.

Zkąd ten odgłos?
Cóż się to ze mną stało, kiedy lada

Szmer, lada szelest przejmuje mię dreszczem?
Co to za ręce? Ha! wzrok mi pożera
Ich widok. Mógłżeby cały ocean
Te krwawe ślady spłukać z mojéj ręki?
Nie, nigdy! raczejby ta moja ręka
Zdołała wszystkich mórz wody zrumienić,
I ich zieloność w purpurę zamienić.
(*Lady Makbet wraca*)

LADY MAKBET.

Mam teraz ręce podobne do twoich;
Ale się wstydzę, że jeszcze mam przytém
Tak białe serce. (*Kołatanie*) Słychać kołatanie
U południowéj bramy: przejdźmy żywo
Do naszych komnat. Kilka kropel wody
Oczyści nas wnet z plamy tego czynu.
Jakże on wtedy będzie lekkim! Męztwo
Całkiem cię widzę opuściło. (*Kołatanie*) Słyszysz?
Znów kołatają. Przywdziéj nocny ubiór,
Ażeby, skoro wyjść potrzeba będzie,
Nie pokazało się, żeśmy czuwali.
Przestańże gubić się tak nędznie w myślach.

MAKBET.

Obok uczucia takiéj okropności
Lepiéj byłoby utracić poczucie
Samego siebie.
(*Kołatanie*).
Zbudź tém kołataniem
Dunkana! Obyś mógł tego dokazać!
(*Wychodzą*).

SCENA TRZECIA.

(*Tamże*).

Odźwierny wchodzi.

(*Ciągłe kołatanie do bramy*).

ODŹWIERNY.

To dopiéro wybijanie! Gdyby przy bramie piekła był odźwierny, wiecznieby tylko musiał klucz obracać. (*Kołatanie*) Sztuk! sztuk! sztuk!— kto tam? W imię Belzebuba! To jakiś dzierżawca, co się obwiesił z rozpaczy że mu zboże nie sypało. W porę waść przychodzisz: a czy masz przy sobie zapas chustek? bo się tu siarczy-

ście napocisz. *(Kołatanie)* Sztuk! sztuk! sztuk! kto tam? W imię innego djabła! To jakiś krętacz, co umiał na dwóch stolkach siadać i na każdym odprzysięgał się drugiego; co w imię Boże popełnił szkarad bez liku, a jednak nie mógł się wkręcić do nieba: Pójdź, pójdź, mości krętaczu. *(Kołatanie)* Sztuk! sztuk! sztuk! kto tam? Do wszystkich djabłów! To angielski krawiec, co spekulował na odkrawkach z francuzkich spodni. Pójdź tu, krawcze; a czy przynosisz z sobą żelazko od prassowania, bo tu będziesz mógł wybornie rozgrzać duszę. *(Kołatanie)* Sztuk! sztuk! sztuk! Rychłoż się to skończy? Co ty za jeden? Ale tu za chłodno na piekło i niechce mi się być dłużéj odźwiernym u Lucypera. *(Kołatanie)* Zaraz! zaraz!

(Otwiera bramę).

(Makduf i Lenox wchodzą).

MAKDUF.

Czy-ś się tak późno spać położył, mój przyjacielu, że tak późno wstajesz.

ODŹWIERNY.

W rzeczy saméj, do usług waszéj wielmożności, piło się trochę téj nocy; już drugi kur piał kiedyśmy się spać pokładli: a picie, z przeproszeniem waszej wielmożności jest ojcem trzech rzeczy.

MAKDUF.

Cóż to za trzy rzeczy, które piciu swój byt winny?

ODŹWIERNY.

Czerwony nos, panie, śpiączka i uryna. Co się tyczy miłości, jest ono poczęści jéj ojcem a poczęści nie jest, bo pobudza żądzę a wstrzymuje wykonanie; dlatego wielkie picie można nazwać przeniewiercą względem miłości, bo ją rodzi i uśmierca; podżega ją i ostudza; pociąga ją i odpycha; daje jéj exystencyą ale bez konsystencyi; kołysze ją do snu i kłamiąc jéj rzeczywistością upośledza ją w rzeczywistości.

MAKDUF.

Musiało ci ono dużo téj nocy nakłamać.

ODŹWIERNY.

Nieinaczéj panie, miałem jego kłamstw aż po dziurki, ale mu się nie dałem, i chociaż mię kilka razy z nóg ścięło, przecież w końcu udało mi się je zrzucić.

MAKDUF.

Czy twój pan wstał już? Nasze kołatanie
Przebudziło go pewnie: Oto idzie.

(Makbet wchodzi).

LENOX.

Dzień dobry, wodzu.

MAKBET.

Dzień dobry wam wzajem,
Mili panowie.

MAKDUF.

Czy król wstał?

MAKBET.

Nie jeszcze.

MAKDUF.

Kazał mi wcześnie się zbudzić i tak już
Spóźniliśmy się o godzinę.

MAKBET.

Chcecież,
Bym was do niego zaprowadził?

MAKDUF.

Wiem ja,
Szlachetny tanie, że podejmowane
W podobnych razach trudy są radosne
Waszemu sercu; trudami jednakże
Być nie przestają.

MAKBET.

Ochoczość usługi
Rzeźwi fatygę. Oto drzwi do króla.

MAKDUF.

Będę tak śmiały wejść, bo mam po temu
Wyraźny rozkaz.

(Wychodzi).

LENOX.

Czy król dziś odjeżdża?

MAKBET.

Tak postanowił.

LENOX.

Noc ta nadzwyczajnie
Była burzliwą; gdzieśmy spali wicher

Zerwał kominy, i w powietrzu słychać
Było, jak mówią, żałosne jęczenia,
Dziwne rzężania jakby konających,
I groźnym głosem zwiastowane wieszczby
Straszliwych pożóg i różnych wypadków
Znamionujących opłakane czasy.
Ptak nocny kwilił i ziemia podobno
Trzęsła się cała jak w febrze.

MAKBET.

W istocie,
Strasznato była noc.

LENOX.

Młoda ma pamięć
Nie może sobie przypomnieć podobnéj.
(*Makduf wraca*).

MAKDUF.

O zgrozo, zgrozo, nad wszelkie pojęcie,
Nad wszelki ludzki wyraz!

MAKBET I LENOX
(*razem*).

Co się stało?

MAKDUF.

Odmęt dokonał swego arcydzieła.
Mord świętokradzki zgwałcił namaszczoną
Świątynię pana i wydarł z niéj życie.

MAKBET.

Co mówisz? życie?

LENOX.

Czyje życie?

MRKDUF.

Idźcie
Tam, i osłupcie kamieniem na widok
Nowéj Gorgony. Nie każcie mi mówić.
Idźcie, zajrzyjcie tam i sami mówcie.
(*Makbet i Lenox wychodzą*).
Hola! Wstawajcie! Przybywajcie! Bijcie
W dzwony na alarm. Mord! piekielna zdrada!
Banko! Donalbein, Malkolm! Przybywajcie!
Otrząście z siebie sen, tę maskę śmierci,
By ujrzeć śmierć prawdziwą. Przybywajcie
Co tchu i patrzcie na ostatecznego
Sądu przedobraz! Héj! Malkolmie! Banko!

Jak duchy z grobów wywołane śpieszcie
Przypatrzeć się téj zgrozie!
(*Dzwon bije na gwałt*).
(*Lady Makbet wchodzi*).

LADY MAKBET.

Co się stało,
Że tak złowrogiéj trąby odgłos wszystkich
W domu rozbudza? Dla Boga, Makdufie,
Mów, co się stało?

MAKDUF.

O szlachetna pani,
Nie wam to słyszeć, cobym mógł powiedzieć:
Wiadomość tego rodzaju trafiwszy
Niewieście ucho zabiłaby.
(*Banko wchodzi*).
Banko!
O Banko! król nasz pan zamordowany!

LADY MAKBET.

Niestety! w naszym domu!

BANKO.

W czyimkolwiek,
Zbyt to okropne! O kochany Dufie,
Bądź z sobą samym w sprzeczności i powiedz,
Że to fałsz.
(*Makbet i Lenox wchodzą*).

MAKBET.

Gdybym był umarł godziną
Przed tym wypadkiem, zamknąłbym był piękny
Okres żywota: niéma od téj pory
Nic szanownego na tym świecie; wszystko
Jest tylko blichtrem; wielkość, świętość znikły:
Zcedzone wino życia, same tylko
Męty zostały w tym lochu marności.
(*Malkolm i Donalbein wchodzą*).

DONALBEIN.

Co za nieszczęście tu się stało? kogo
Dotknęło?

MAKBET.

Najprzód was i wy ostatni
Dowiadujecie się o tém: cne źródło,
Z którego wasza krew początek wzięła,
Zatamowane na wieki,

MAKDUF.

Wasz rodzic
Zamordowany został.

MALKOLM.

O! przez kogo?

LENOX.

Sprawcami zbrodni byli, jak się zdaje,
Dwaj pokojowcy: ręce ich i twarze
Nosiły ślady krwi, toż ich sztylety
Któreśmy na ich posłaniu znaleźli:
Wzrok mieli błędny, jakby obłąkany,
Kiedyśmy weszli. Pod strażą tych ludzi
Niczyje życie nie było bezpieczne.

MAKBET.

Żałuję teraz, żem ich w uniesieniu
Wściekłości zabił.

MAKDUF.

A to na co? na co?

MAKBET.

Któż jednocześnie może być roztropnym
I przerażonym, łagodnym i gniewnym,
Wiernym i obojętnym? Nikt zaiste.
Żarliwa moja przychylność stłumiła
Zimną rozwagę. Tu Dunkan leżący,
Z srebrnym krwią złotą powleczonym włosem,
Okryty rany wyglądającemi
Jako wyłomy w naturze, przez które
Szerokie przejście otwarto zniszczeniu;
A tu mordercy naznaczeni barwą
Swego postępku, z świeżo zbroczonemi
Puginałami: któż żywiący w sercu
Miłość, a obok miłości odwagę,
Byłby inaczéj téj miłości dowiódł?

LADY MAKBET.

Pomóżcie mi wyjść, ach!

MAKDUF.

Lady zesłabła:
Wezwijcie ludzi na pomoc.

MALKOLM
(*na stronie do brata*).

Dlaczegoż
Stoimy niemi, my których najbliżéj
Ten cios dotyka?

DONALBEIN.

Cóż się nam odzywać
Tu, gdzie ukryty wróg nasz niewidzialnie
Może gdzieś czyha, by nagle nas dosiądz.
Precz ztąd! Łzy nasze jeszcze niedojrzale.

MALKOLM.

I ciężka boleść nasza nie jest jeszcze
Na czynnéj stopie.

BANKO
(*do sług nadchodzących*).

Odprowadźcie panią.
(*Lady Makbet wychodzi wsparta na sługach*).
My zaś przywdziejmy zbywające szaty,
I ochłonąwszy nieco z przerażenia,
Zbierzmy się celem jak najściślejszego
Zbadania tego stasznego wypadku.
Każdym z nas miota niepewność: co do mnie,
Oświadczam w obec Majestatu Boga,
Że walczyć będę przeciw skrytym planom
Téj niecnéj złości.

MAKBET.

I ja.

WSZYSCY.

I my wszyscy.

MAKBET.

Idźmyż się przybrać, jak przystoi mężom.
W głównéj sali się zgromadźmy.

WSZYSCY.

Zgoda.
(*Wszyscy wychodzą prócz Malkolma i Donalbeina*).

MALKOLM.

Cóż ty zamyślasz? Nie łączmy się z nimi.
Udawać żałość, jestto rola łatwa
Dla dusz nasiąkłych fałszem. Ja natychmiast
Jadę do Anglii.

DONALBEIN.

A ja do Irlandyi.
Odosobnieni bezpieczniejsi będziem!
Tu każdy uśmiech jest nożem.
Im kto krwią bliższy, tém bliższy krwiotoku.

MALKOLM.

Jeszcze ten pocisk ukrytego strzelca
Nie padł na ziemię: najbezpieczniéj będzie
Zejść z celu. Na koń więc! nie traćmy czasu
Na pożegnalnych formach, ale chyżo
Wynośmy się z tych miejsc. Gdzie grozi zdrada,
Godziwie kradnie kto sam się wykrada.
(*Wychodzą*).

SCENA CZWARTA.

(*Za obrębem zamku*).

ROSSE i STARZEC *wchodzą*.

STARZEC.

Kopę lat z górą pamiętam, widziałem
Wiele dziwowisk, wiele okropności,
Ale dzisiejsza noc wszystko dawniejsze
W śmiech obróciła.

ROSSE.

Patrz, poczciwy starcze,
Jak samo niebo w gniewie na złość ludzką
Zdaje się grozić jéj krwawéj widowni;
Podług zegaru to dzień, a jednakże
Gruby mrok tłumi wschodzącą pochodnię.
Jest-li to przemoc nocy, czy wstyd dnia,
Że ciemność kryje tak oblicze ziemi,
Kiedy ją miało ucałować słońce
Ożywcze?

STARZEC.

Jestto tak nienaturalne,
Jak ów czyn świeżo dokonany.
Przeszłego wtorku widziałem sokoła
Majestatycznie się unoszącego;
Wtem nędzna sowa napadła go z boku,
I zadziobała.

ROSSE.

A konie Dunkana,
(Rzecz nie do wiary, a jednak istotna
Owe rumaki tak piękne i rącze,
Prawdziwe w swoim rodzaju pieścidła,
Zdziczały nagle, stargały uwięzie,
I z bram stajennych wypadły, jak gdyby
Chciały wojować z ludźmi.

STARZEC.

Powiadają
Że się pożarły.

ROSSE.

W istocie tak było,
Ku osłupieniu moich oczu, które
Na to patrzały. Oto zacny Makduf.
(Makduf wchodzi).
Cóż tam na świecie słychać?

MAKDUF.

Czyliż nie wiesz?

ROSSE.

Wiadomoż kto był sprawcą tego czynu
Przechodzącego wszelką nazwę zbrodni?

MAKDUF.

Ci, których Makbet zabił.

ROSSE.

O nieszczęsni!
Cóż ich do tego skłoniło?

MAKDUF.

Namowa.
Synowie króla, Malkolm i Donalbein,
Uszli: to rzuca na nich podejrzenie.

ROSSE.

Oni! Natura nie ma już rękojmi!
O marnotrawna wyniosłości, sama
Niweczysz własne środki życia! Tak więc,
Według wszelkiego prawdopodobieństwa
Władza królewska na Makbeta spadnie.

MAKDUF.

Już go obrano i ruszył do Skony
Na koronacyą.

ROSSE.

Gdzież złożono zwłoki
Dunkana?

MAKDUF.

W Kolmes-hill, w świętych podziemiach,
Gdzie spoczywają kości jego przodków.

ROSSE.

Udajesz-li się do Skony?

MAKDUF.

Nie, bracie;
Do Fajfu.

ROSSE.

A ja do Skony.

MAKDUF.

Bogdajbyś
Wszystko tam znalazł po myśli, inaczej
Byłoby prawdą, że się w starej szacie
Wygodniéj chodzi, niż w nowym szkarłacie.

ROSSE.

Bądź zdrów: mnie zwodny pozór nie omami.
Bywaj zdrów, starcze.

STARZEC.

Niech Bóg będzie z wami.
I z każdym, który w imię Zbawiciela
Złe mieni w dobre, wroga w przyjaciela!

(*Wychodzą*).

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Szesnasty tom Konsulatu i Cesarstwa. — Biografia Eugeniusza Sue.— Salon Diderota.— Wiadomości literackie.

Szesnasty tom Konsulatu i Cesarstwa Thiersa, obejmujący drugą kampanią 1813 roku, wyszedł przed tygodniem z druku. Bezskuteczne starania o pokój w czasie rozejmu Plejświckiego, początek kampanii, świetne zwycięztwo pod Dreznem wraz z klęską Vandamma, stanowią treść piérwszéj księgi. Szereg drobnych niepowodzeń armii francuzkiéj, straszliwa, bo najkrwawsza w historyi świata walka pod Lipskiem, i zwycięztwo pod Hanau odniesione przez cofającą się armią, wypełniają drugą księgę tego tomu. Nakoniec dotkliwa klęska pod Vittoryą, która w Hiszpanii zakończywszy panowanie Józefa, podniosła w Niemczech ducha sprzymierzonych, tworzy obszerny epizod téj wspaniałéj epopei.

Niezrównana jasność, zadziwiająca wszechstronność i nauka, ścisłość i precyzya w opowiadaniu: to są zalety tego klassycznego i pomnikowego dzieła. Jest ono encyklopedyą nauk wojennych i politycznych, szkołą równie dla mistrzów jak dla początkujących; księgą, którą czytać i odczytywać powinni dyplomaci, politycy, prawnicy, administratorowie, historycy: a mia-

nowicie wszelkiego powołania pisarze, aby się uczyli jak zebrane wiadomości gromadzić, porównywać, myśli swoje ważyć, szykować i z prostotą a porządkiem je wykładać.

Wszystkie materyały, których mu dostarczyły francuzkie książki historyczne, a co ważniejsza, francuzkie archiwa spraw zagranicznych i wojny, pan Thiers tak dalece wyczerpał, iż praca jego podwójną zdaje się mieć zaletę: dzieła źródłowego, i pracy pod względem krytycznym skończonéj.

Zarzucano mu, zapewne słusznie, iż w poprzednich tomach zanadto, bo wyłącznie polegał na dokumentach francuzkich: w niniejszym atoli, zmuszony opowiadać tryumfy nieprzyjaciół, do obcych już zaglądał źródeł, oraz szukał ustnych objaśnień u ludzi, którzy wmieszani w najważniejsze naówczas wypadki, do dziśdnia dożyli. Jedno z takich objaśnień znalazł p. Thiers u księcia Metternicha, który mu opowiadał pobyt swój w czasie zawieszenia broni w Dreznie, i ową sławną (w czerwcu 1813) rozmowę z Napoleonem, o któréj tyle sprzecznych głoszono wersyi.

Ważny to pomnik dla zrozumienia epoki i ocenienia potęgi Napoleona, którą już po kampanii 1812 roku, zwycięztwa pod Lützen i Bautzen tak świetnie dźwignęły.

Sprzymierzeni pobici na głowę w piérwszéj kampanii 1813 roku, czuli, że bez pomocy Austryi doświadczą losu, jaki ich spotkał 1807 r.; usilnie więc zapraszali ją do spółdziałania, poddając się wszelkim tego mocarstwa wymaganiom. Ale Austrya trzykrotném doświadczeniem nauczona, drżała na myśl wojny z Napoleonem, i aby się przed tém niebezpieczeństwem zasłonić, pragnęła gorąco uspokojenia Europy. Zostawiła Francyi całe Włochy, Ren, Belgią, Holandyą, Westfalią. W zamian wymawiała sobie Illiryą z Tryestem, domagała się Gdańska dla Prus, zniesienia ligi nadreń-

skiéj, uwolnienia Hamburga i Lubeki, i na co Napoleon już wówczas przystawał, podziału Księztwa Warszawskiego.

Napoleon gotów był zwrócić Austryi Illiryą, ale nie chciał odbudować Prus; odstąpienie miast hanzeatyckich i zrzeczenie się protektoratu ligi nadreńskiéj, wydawało mu się ofiarą zbyt kosztowną. „Twoi monarchowie, rzekł on do ministra austryackiego, nie pojmują tego uczucia, które mnie przejmuje. Wracają do stolic swych zwyciężeni, i są tém samém, czém byli; ale ja jestem żołnierzem: mnie potrzeba blasku i chwały. Poniżony, nie mogę stanąć przed mym narodem: jak dawniéj, muszę być potężny, sławny i wielbiony!"

— Jakże więc zakończyć ten stan rzeczy—spytał Metternich—skoro ani zwycięztwa, ani klęski nie mogą położyć kresu tym opłakanym wojnom? Zwyciężywszy, chcesz W. C. Mość ze swych powodzeń korzystać; zwyciężony, chcesz się podnieść na nowo! Mamyż zawsze stać z bronią w ręku, i tak z jednéj jak z drugiéj strony tylko od losu bitew zależéć?"

— Ja do siebie nie należę—zawołał Napoleon—ja należę do tego narodu dzielnego, który na moje zawołanie przelewa krew swą najzacniejszą. Mój interes ani lękliwość moja, nie nagrodzą jego poświęceń; moim obowiązkiem jest zachować mu tę potęgę, którą tyloma bohaterskiemi wysileniami okupił."

Ale w tém właśnie był błąd Napoleona. Ostatnie to już było zerwanie się Francyi: naród strudzony i z ludności wycieńczony, pragnął pokoju. Nietylko w stolicy i na prowincyi, ale w obozach nawet mnożyli się malkontenci. Książęta i marszałkowie, na dworze samego cesarza, z niemniejszém upragnieniem jak ojcowie i matki rodzin francuzkich, oczekiwali zakończenia wojny. Najbliższych sobie, najzaufańszych, najochotniejszych do boju, musiał cesarz długiemi rozmowami zachęcać, ośmielać, wlewać w nich ducha; ukry-

wał przed nimi warunki, które mu sprzymierzeni ofiarowali, i wbrew prawdzie, głosił, że domagano się od niego oddania Włoch. Na zawieszenie broni w Plejswitz przystał częścią ulegając usilnym nastawaniom Austryi, częścią w nadziei, że sprzymierzeni nie potrafią jak on skorzystać z dwumiesięcznéj przerwy, i że z otwarciem kampanii potężniejsze od nich siły wystawi. Jeszcze jedno lub dwa wielkie zwycięztwa, a plac boju z nad Elby przeniesie nad Odrę, zostawi Austryą na boku i nad Wisłą koalicyą rozetnie.

Dlatego we wszystkich fortecach nadodrzańskich i nadwiślańskich Napoleon zostawiał załogi, które jego armią o 150 tysięcy ludzi umniejszyły; dlatego nie myślał szczerze o pokoju, nawet pod warunkami, które sam Austryi ofiarował, i tylko negocyacyą pragnął rozejm przedłużyć, aby tém lepiéj przygotować się do walki zaciętéj.

Thiers potępia surowo politykę cesarza, i tym tylko błędom politycznym przypisuje niepowodzenia ówczesnéj i następnych kampanij. Geniusz bowiem wojenny Napoleona równie wielkim był wtedy jak poprzednio, równie głęboki, niewyczerpany i zadziwiający w swych kombinacyach strategicznych, niemniéj jak dawniéj rozważny, przenikliwy, i bezprzykładnie czynny.

Czytając opis tych walk tytanicznych, rzekłbyś, że Napoleon nawet fortunę zrobił swoją niewolnicą, a ona nie śmiąc mu się przeniewierzyć w jego obecności, mściła się tylko po za nim, na jego podkomendnych. W istocie, gdzie Cesarz pokazał się osobiście, zwycięztwo było niewątpliwém; na wieść jego przybycia cofał się nieprzyjaciel; lecz gdziekolwiek wyprawił którego ze swych marszałków, choćby najdzielniejszych, wszędzie zaskoczeni od przeważniejszéj siły, wychodzili z bitew z dotkliwemi straty. Nieubłagana fatalność mieszała mu szyki, najszczęśliwsze, najgenialniejsze niweczyła plany, i sprawiała, że ile kroć ich sam

nie wykonywał, kończyły się zawsze na niepowetowanéj klęsce.

Po klęskach nowe pomysły, nowe wysilenia, ale i nowe ciosy! Aż wojsko do połowy zmniejszone, stanęło na ostatnią, olbrzymią walkę pod Lipskiem. Po czterdziesto-dniowym boju, cesarz straciwszy sześćdziesiąt tysięcy żołnierza, zdecydował się nareszcie wrócić nad Ren.

Raz jeszcze, choć zwodniczo, los mu się uśmiechnął. Zwycięztwo pod Hanau zamknęło, jak zwycięztwo pod Dreznem otworzyło tę kampanią; są to dwie promienne gwiazdy błyszczące na dwóch krańcach chmurnego horyzontu!

Był wszakże jeden z wyższych podkomendnych, który w téj kampanii ani razu nie zawiódł oczekiwania Napoleona. Tym, można powiedzieć, jedynym, był książę Poniatowski. Oszczędny w pochwałach dla cudzoziemców, pan Thiers, ile kroć o wodzu polskim i jego żołnierzach wspomina, zdaje się być przejęty czcią głęboką dla ich heroizmu i wierności. Im jednym nie wystarczało już to, co świat cały, prócz cesarza, mogło wówczas zaspokoić: oni jedni prócz własnego życia nic nie mieli do stracenia.

„Skutkiem zbyt wczesnego, mówi autor, wysadzenia mostu na Elstrze, Reynier z resztą 7go korpusu, Poniatowski z żołnierzami polskimi, których bój oszczędził, Lauriston i Macdonald ze szczątkami 5go i 11go korpusu, pozostali po drugiéj stronie rzeki, odcięci i przyciśnieni od dwukroć-stotysięcznego nieprzyjaciela. W ten sposób, przeszło dwadzieścia tysięcy wybornego żołnierza skazanych było na śmierć niechybną, albo na niewolę. Nieszczęśliwi mniemali, że ich zdradzono; z krzykiem rozpaczy i bagnetem w ręku to rzucali się na nieprzyjaciół, to wracali do Elstry i Plessy chcąc je przepłynąć. W krwawém zamieszaniu jedni wyginęli, drudzy poddali się, inni skoczyli do wody; z tych nie

którzy dopłynęli szczęśliwie do brzegu, ale większą część woda uniosła.

„Generałowie dowodzący nie chcieli pomnażać tryumfu sprzymierzonych własnemi osobami. Poniatowski mianowany dniem wprzódy marszałkiem w nagrodę swego heroizmu, nie wahał się chwili, i z koniem skoczył w Elstrę. Przepłynął rzekę, lecz że brzeg znalazł spadzisty, zachwiał się, osłabiony kilką ranami i wpadł w wodę, tonąc w chwale nieśmiertelnéj razem z swoją i naszą ojczyzną.

„Poszedł za jego przykładem Macdonald; przypłynął także do brzegu: obaczyli go żołnierze i uratowali. Reynier i Lauriston dostali się w niewolę."

Nie możemy lepiéj zakończyć téj krótkiéj relacyi, jak powtarzając uwagi Thiersa nad śmiercią generała Moreau.

Jak wiadomo, generał ten na wieść o klęskach Napoleona, w 1812 roku przybywszy z Ameryki do Sztokholmu, udał się wraz z Bernadottem do głównéj kwatery sprzymierzonych. Przyjęty nader pochlebnie przez cesarza Alexandra, stał się od téj chwili nieodstępnym jego doradzcą wojennym. W czasie bitwy pod Dreznem, Napoleon chcąc uciszyć potężną kanonadę Austryaków, kazał przyprowadzić trzydzieści dwa dział 12sto funtowych. W téj saméj chwili, naprzeciw bateryi, stał na wzgórzu cesarz Alexander, mając przy swym boku generała Moreau. Ten zwrócił uwagę cesarza na niebezpieczeństwo pozycyi, i radził usunąć się nieco opodal. Ledwie tych słów domówił, i cesarz kilka kroków ustąpił, kula wypadła z bateryi, którą Napoleon osobiście dowodził, uderzyła go w obie nogi i powaliła z koniem na ziemię. Stało się to dnia 27 sierpnia.

W trzy dni potém, dziwnym zbiegiem okoliczności, korpus pruski Kleista chroniący się przed pogonią marszałka Saint-Cyr'a, napadł mimowolnie na Vandam-

ma w chwili, gdy ten zacięcie walczył z armią rossyjską. Vandamme rozbity dostał się do niewoli. Ale Moreau już nie dowiedział się za życia o tém nieszczęściu Napoleona. Zaraz po bitwie ucięto mu obie nogi; operacyą tę zniósł mężnie. „Niesiony na barkach żołnierzy nieprzyjacielskich, mówi Thiers, w strasznych męczarniach wytrzymał dwanaście mil drogi. Monarchowie sprzymierzeni: król pruski, cesarz austryacki i cesarz Alexander, pospieszyli do umierającego okazać mu swój szacunek i żal. Najpierwsze osoby koalicyi: Metternich, książę Schwarzenberg, generałowie dowodzący odwiedzali go z kolei; widziano, jak cesarz Alexander ściskał go ze łzami w oczach, powziął bowiem dla niego przyjaźń rzetelną. Ale Moreau, którego dusza na chwilę zbłąkana zawsze prawą pozostała, zakłopotany temi oznakami, powtarzał wciąż do siebie: Ja przecież niewinny: chciałem ocalenia méj ojczyzny! Chciałem wyzwolić ją z jarzma!... I mimo dowodów tak wysokiéj życzliwości, Moreau czém inném był zajęty; badał siebie, sądził się przed trybunałem własnego sumienia, i nie uspokoił się dopóty, dopóki nie znalazł usprawiedliwienia tego właśnie czynu, za który tyle czci doznawał.

„Gdy go kula ugodziła, krzyknął: „Ten Bonaparte zawsze szczęśliwy"! i te słowa kilka razy przed skonaniem powtórzył. Bonaparte szczęśliwy! Był on nim w istocie, mógł jeszcze za szczęśliwego uchodzić w oczach konającego rywala; ale Opatrzność niezadługo i o jego losie miała wyrzec, i ukarać go końcem smutniejszym może niż generała Moreau, jeżeli jest smutniejszy nad śmierć w szeregach nieprzyjacielskich!

„Opłakane złudzenia nienawiści! Ludzie ścigają swych nieprzyjaciół, męczą ich, nienawidzą, myśląc że oni szczęśliwi; gdy tymczasem wszyscy ciężarem życia przygnębieni, wśród jednakich posuwają się boleści i prawie jednakich nieszczęść! Gdyby wiedzieli jak podobnym jest ich los, mniéj byłoby między niemi za-

wiści, i zamiast walczyć z sobą pod naciskiem przeznaczenia, łączyliby się razem, aby jego ciosy odeprzeć!"

Od niejakiego czasu śmierć wielkie zrządza szkody w plejadzie literatów francuzkich. Najświetniejsze jéj gwiazdy znikają jedna po drugiéj: niéma tygodnia, w którymby nie odprowadzono do grobu jakiegoś mniéj więcéj sławnego poety, lub powieścio-pisarza; niéma dnia, w którymby wicher zagłady nie oderwał jednego listka z bogatego wieńca, co przed dwudziestu pięcią laty pod ciepłym promieniem lipcowego słońca wyrosł na skroniach myślącéj Francyi. Ledwie kamień grobowy nakrył zwłoki Musseta, jużci skon Bérangera pogrążył Paryż w żałobie; jeszcze nie przebrzmiało echo żalu nad mogiłą pieśniarza Francyi, aliści najpopularniejszy jéj romanso-pisarz Eugeniusz Sue zakończył życie. Straty jakie poniosła Francya w ciągu ostatnich lat dziesięciu, wystarczyłyby na zbogacenie literatury całego narodu. Soulié, Balzac, Musset, Beranger, Sue, nieprędko znajdą zastępców.

Mniéj głęboki, mniéj genialny i mniéj poprawny od wymienionych autorów spółczesnych, Sue jest z nich najpopularniejszy; w naszym mianowicie kraju nie było podobno zakątka, gdzieby pism jego nie czytano z bezprzykładną chciwością, gdzieby nad miarę może nie zajmowano się losem jego bohaterów i nie przejmowano się ich rolą, która była zawsze piękną pozą, artystycznie obrobioném dziełem sztuki, brylantem świetnéj wody, lub indyjskim kaktusem szkarłatnym, ale niezawsze wzorem do naśladowania. Eugeniusz Sue znalazł w Polsce więcéj prawie niż we Francyi wielbicieli; wschodnia jego fantazya i paląca obrazowość, więcéj daleko na marzące głowy Słowian niż na pozytywne Franków umysły działała: i dlatego Sue przetłumaczony co do litery, liczy się u nas prawie do rzędu narodowych

powieścio-pisarzy. Wiedząc o tém, podajemy tutaj, prócz suchéj biografii literackiéj, nieco szczegółów z domowego życia autora Tajemnic Paryża, pewni, że niejeden z czytelników naszych odczyta je z zajęciem.

Eugeniusz Sue, syn Jana Sue doktora cesarzowéj Józefiny, urodził się w Paryżu 1 stycznia 1803 roku. Do chrztu trzymała go Józefina ze synem swym Eugeniuszem, od którego otrzymał imię: mamką zaś jego była koza, któréj skokliwe i raptusowe maniery zachował przez całe życie.

Oddany młodo do szkół, Eugeniusz uczył się, a raczéj nie uczył w liceum Bourbon: bowiem, jak wszyscy prawie ludzie mający późniéj zabłysnąć w literaturze pięknéj, w klassie był sławnym próżniakiem. Daremnie dodany przez ojca korepetytor, pilnował w domu małego rozpustnika, daremnie napędzał go do roboty; Eugeniusz pod lada pozorem wyrwawszy się do ogrodu, już ztamtąd ścigającemu go nauczycielowi wyrugować się nie dał. Ogród uważał bowiem za swój arsenał pełen zaczepnéj i odpornéj broni: odporną były rabaty zasadzone rzadkiemi kwiatami, których sumienny pedagog deptać się nie ważył; zaczepną, żelazne prątki noszące nazwiska roślin, których uczeń używał jako strzał ciskając je na smoka, z niemniejszą od starożytnego Hipolita zręcznością.

Skoro dowiedziono ojcu, że powołaniem młodego Eugeniusza było raczéj ciskanie strzał, nie tłumaczenie Horacego i Wirgiliusza; odebrał go ze szkół i oddał na chirurgicznego pomocnika do szpitala rządowego, którego był zawiadowcą. Zagniewany Eskulap obchodził się z synem bardzo surowo, za co chłopiec mścił się jak mógł, tysiączne płatając mu psoty. Wybrawszy kilka z tysiąca, przytaczamy tu te, które stanowczo na przyszłość bohatera naszego wpłynęły.

Doktór Sue wykładał kurs historyi naturalnéj, do którego przygotowanie poruczał młodym uczniom; wykładał zwykle w przepysznym swoim gabinecie anatomicznym, gdzie pomiędzy innemi osobliwościami był przechowany w słoju mózg Mirabeau'a.

Przygotowania scyentyficzne w gabinecie doktora odbywały się tém smutniéj, iż stały w nim dwie szafy pełne wina, w porównaniu z którém nektar Boski był tylko kwaśną lurą. Wina te, w 1815 roku doktór dostał w podarunku od sprzymierzonych mocarzy. Był tam tokaj od cesarza austryackiego, wino reńskie od króla pruskiego, Johannisberg od Metternicha, i sto butelek alikantu, dar pani de Morville, noszący szanowną datę 1750 r.

Młode trzpioty wszelkiemi siłami probowali otworzyć owe szafy, ale usiłowania długo były daremne. Już tracono nawet nadzieję zapoznania się kiedykolwiek z alikantem pani Morville, Johannisbergiem Metternicha i Liebefraumilch króla pruskiego, kiedy razu pewnego Eugeniusz znalazł przypadkiem ukryty w skielecie pęk kluczy. O! radości! klucze były od szafy!

Zaraz piérwszego dnia wypito butelkę tokaju z królewską pieczątką: nazajutrz skosztowano Johannisberga; następnego dnia alikantu, i tak daléj. Początkowo próżne butelki wyrzucano bez ceremonii, ale jeden z przezorniejszych zwrócił uwagę kolegów, że tym sposobem rzecz wyda się łatwo, bo oko doktora spojrzawszy w wykopaną studnię, dojrzy w niéj prawdę. Uradzono tedy, żeby puste flaszki napełniać płynem chemicznym, przypominającym o ile można wypite wino, i stawać takowe na dawném miejscu.

Figiel udał się wybornie. Doktór od czasu do czasu dawał obiady i częstował gości alikantem. Jeśli trafiono na prawdziwe wino, rozkoszowali się wszyscy: jeżeli odkorkowano fabrykowaną butelkę, goście krzy-

wili się okropnie, doktór zaś smakując, powtarzał: „wyborne, ale go już czas pić."

Długo podstęp uchodził bezkarnie, ale nakoniec, jak wszystkie oszustwa, skończył się katastrofą.

Pewnego razu doktór Sue wyjechał na wieś, zapowiedziawszy, że wróci dopiéro nazajutrz. Korzystając z okazyi, syn marnotrawny przekupiwszy kucharkę, sprosił przyjaciół na suty obiad, który kazał zastawić w ogrodzie na murawie. Wszyscy uczniowie chemii i chirurgii, zgromadzeni przy bankiecie, uwieńczeni różami jak niegdyś goście Kleopatry, leżeli na trawie pijąc pełnym kielichem przesławny tokaj, kiedy nagle przez ogrodową furtkę wszedł i stanął pomiędzy nimi Komandor...

Obaczywszy doktora, cała kompania w nogi! Jeden tylko najmocniéj podchmielony uczeń, nalawszy kosztownem winem dwie szklanki, podał mniéj pełną doktorowi, mówiąc: „Szanowny panie Sue, oto twój sławny tokaj: wypijmy zdrowie cesarza austryackiego!"

Łatwo odgadnąć wściekłość doktora. Żelżywe słowa jak kaskada lały się z ust jego gniewnych. Strach winowajców był okropny. Jeden z nich zaproponował, żeby się ukryć w wyschłéj studni gdzieś w okolicy Paryża; ale nie przyszło do tego, bo doktór zamknąwszy bramy ogrodu, wyłapać kazał wszystkich, i przykładnie za rozpustę ukarał.

Nie koniec na tém. Ojciec nie utulony w żalu po alikancie, chcąc radykalnie poprawić syna, oddał go do wojska. W tydzień po wyżéj opisanéj katastrofie, dwudziestoletni Engeniusz, jako pomocnik chirurgiczny wymaszerował z armią do Hiszpanii. Tam odbył kampanią, i przebywszy rok w Kadyxie, powrócił do Paryża już nie dzieckiem, ale silnym i przystojnym mężczyzną.

Chociaż marsowa postać syna pochlebiała ojcu, nie uczyniła go przecież hojniejszym. Im szczelniéj

doktór zamykał szkatułkę, tém więcéj synowi chciało się wydawać pieniędzy. Pragnął koniecznie mieć kabryolet i grooma. Pracując dzień i noc nad urzeczywistnieniem swego marzenia, Eugeniusz znalazł wreszcie kredytorów, którzy dowiedziawszy się, że młodzieniec odziedziczy po dziadku 100,000 franków, a 500,00 po ojcu, pożyczyli mu 15,000 na ów powóz, który miał sprowadzić nową katastrofę.

Całą zimę jeździł nim szczęśliwie syn marnotrawny, z wiosną dopiéro, kiedy pewnego pięknego poranku paradował po Polach Elizejskich, rozdając damom uśmiechy, a ukłony mężczyznom, spotkał się nos w nos ze starą ojcowską karyolką, którą doktór zwykł był chorych swoich objeżdżać. Obaczywszy się, struchleli obaj. Ojciec odwrócił oczy od tak oburzającego widoku; syn zaciął konia i pędził jak szalony uciekając od pioruna, który dostrzegł w gniewnym wzroku rodzica. Trzy dni nie pokazał się w domu: ale cóż, raz trzeba było wrócić koniecznie. Wrócił tedy; u bramy spotkał ojca. Straszne było spotkanie... rezultat zaś jego taki, że papa zapłaciwszy długi, odesłał syna do wojskowego szpitala w Tulonie.

Działo się to roku Pańskiego 1825. Do tego czasu przyszły autor Żyda wiecznego nie okazał żadnych literackich zdolności. Ulubioném jego zajęciem było wtedy malarstwo, któremu wszystkie wolne chwile poświęcał. Dopiéro w końcu tegoż roku wróciwszy do Paryża, został zawezwany do współpracownictwa przez przyjaciela swego pana Langlé, redaktora pisemka la Nouveauté. Na żądanie jego Eugeniusz napisał cztery artykuły, które w powyższém pismie wyszły pod napisem: listów do prefekta Policyi. Piérwsze te próbki pióra Suego są mniéj niż mierne.

Jak się łatwo domyśléć, la Nouveauté nie płaciła jeszcze złotem Suemu, którego żądza używania paliła coraz więcéj. Ojciec jak zwykle nic dawał pie-

niędzy: cóż tedy począć? Miał wprawdzie zégarek od chrzestnéj matki, za który w lombardzie dawano 150 franków: ale za to opędziwszy tłusty czwartek, przyszły autor Matyldy znowu został bez grosza.

W tych smutnych okolicznościach zaszła go Wielkanoc, a z nią trzecia katastrofa.

Niemając za co świętować w Paryżu, Sue zaprosił kolegów do ojcowskiéj willi. Umówiono się, że każdy z gości dostarczy jednéj potrawy wedle możności: ten przywiezie kurę, ów homara, ten pasztet, i tym sposobem obiad się złoży. Ale jakoś wypadło nieszczęśliwie, że brak pieniędzy był powszechny: jeden rachował na drugiego, i skończyło się na tém, że przybyli wszyscy i żaden nic nie przywiózł, a tu Wielkanoc trzeba było obchodzić koniecznie. Jakże jéj nie obchodzić bez grzechu?

Udano się więc prosto do owczarni, i zabito najtłustszego barana. Trzeba nieszczęścia, że ów baran byłto drogocenny merynos, którego doktór chował sobie jako rzadki specymen. Ojciec Sue dowiedziawszy się o téj nowéj zbrodni, wpadł w gniew fatalny, i przysłał synowi rozkaz natychmiastowego opuszczenia Paryża. Tą razą papa widząc, że na ziemi syn zawsze będzie urwisem, wyprawił go na morze. Zaciągnięty mimowolnie do marynarki, Eugeniusz opłynął glob dokoła: zwiedził Amerykę i Antylle, był w bitwie pod Nawarynem, dopiéro po kilku latach wędrówki powrócił do ojczyzny, przywożąc z podróży przepyszny ubiór turecki, który, stanąwszy w ulubionym Paryżu, zjadł wkrótce z haftami i koronką. Ale zjadając go, przyszła mu myśl pisania romansów morskich.

Niezadługo pojawił się na widok publiczny Atar-Gull, Plick et Plock, Vigie de Koat-Ven, Salamandra i Coucaratcha, które stanowią piérwszą sławę Suego.

W tym czasie umarł dziadek, po którym Eugeniusz odziedziczył 100,000 franków. Dorwawszy się mająteczku, który młodemu autorowi wydawał się niewyczerpaną kopalnią złota, francuzki Cooper zaczął żyć wedle swego gustu. Umeblował sobie najprzód mieszkanie po nowomodnemu, tojest piérwszy wydał wzór owych prywatnych muzeów, czyli pomieszkań przepełnionych wykwintnemi meblami i zbytkownemi cackami, których teraz pełno nawet po mansardach paryzkich, a których wtedy nie używano wcale.

Wprawiwszy w okna kolorowe szyby, zasławszy podłogi kobiercami, rozstawiwszy na dywanach przepyszne meble, a na pułkach i serwantkach chińskie i saskie porcelany; zawiesiwszy na ścianach makaty, obrazy, tureckie szable i arabskie pistolety: Sue powiedział sobie, iż powołaniem jego jest malarstwo. Uczył się więc u malarza Gudin: ale wnet pokazało się, że wokacya była fałszywa. Rzucił tedy pędzel i powrócił do pióra. W miesiąc napisał komedyą le Fils de l'Homme, która zyskała dość świetne powodzenie.

Z piérwszym braskiem sławy synowskiéj doktór Sue zakończył życie, zostawiając synowi dwadzieścia cztery tysiące franków dochodu. Pokazało się, że umarł w sam czas. Eugeniusz zjadł już co do grosza dziadowskie 100,000. Odziedziczywszy tak znaczny majątek, Sue mógł był porzucić literaturę, lecz raz zakosztowawszy sławy, już mu się bez niéj obejść nie było podobna. Pisał więc daléj, ale przy pełnym trzosie wyschła wena pisarska. W 1834 roku ogłosił piérwsze poszyty Historyi marynarki francuzkiéj, najnędzniejszéj z wszystkich prac swoich. Księgarz nie dokończył nawet druku tego dzieła. Potém wydał Sue nie z większém powodzeniem siedm nowych romansów: le Morne au Diable, Deleytar, le Marquis de Letorière, Hercul Hardy, le Colonel

Surville, le Commandeur de Malte, i Paula-Monti.

Pisząc jako dilettant, Sue wiódł całą gębą pańskie życie. Miał prześliczny hotel pełen arcydzieł sztuki, powozy, konie, herbowne kochanki, srebra, które ceniono na sto tysięcy franków: dogadzał wszystkim swoim kaprysom, co tém mu było łatwiéj, że na każde żądanie notaryusz przysyłał mu po trzy, cztery i dziesięć tysięcy franków. Ale dnia pewnego, kiedy zażądał pięciu tysięcy, notaryusz dołączył do posyłki następujący bilecik:

„Posyłam panu żądane pięć tysięcy, i ostrzegam go zarazem, że możesz ich już tylko trzy razy zażądać. Z całego majątku zostaje panu 15,000 fr."

Podczas gdy go ta najwyższa spotkała katastrofa, Sue miał lat 36. W tym smutnym wypadku najwięcéj przeraziło go nie to że posiadał już tylko całego majątku 15,000, ale to, że ich był winien 130,000.

Wpadł tedy w czarną melancholią. Wszyscy przyjaciele go opuścili, wyjąwszy jednego nazwiskiem Goubaux, który był prawdziwym aniołem stróżem młodego marnotrawcy. Ten zaczął namawiać Suego, żeby się nie poddawał rozpaczy, żeby korzystał z talentu, jakim go Bóg obdarzył. Biografowie przytaczają słowa jakimi autor Matyldy odpowiedział doradzcy, bez którego świat nie byłby się dowiedział Tajemnic Paryża. „Nie mam talentu, odrzekł Sue namawiającemu do autorstwa przyjacielowi, miałem tylko szczęście. Nic z tego co napisałem nie jest rzeczywistém dziełem: nie mam ani gruntu, ani formy, mam tylko kolor. Moje morskie romanse są złém naśladowaniem Coopera; historyczne, złą imitacyą Walter Scotta, sztuki zaś teatralne nic nie warte. Mam opłakany sposób pisania. Zaczynam książkę nie wiedząc ani środka, ani końca; pracuję z dnia na dzień prowadząc pług sam nie wiem gdzie, nie znając nawet gruntu który orzę. Chcesz,

dam ci przykład. Oto są dwa piérwsze fejletony romansu pod tytułem Artur. Przed dwoma miesiącami wyszły w Pressie, ani sposób ukuć trzeciego! Przepadłem, przepadłem bez ratunku, mój kochany: gdybym nie był „poltron comme une vache" w łebbym sobie wypalił."

Powyższy monolog, w którym Eugeniusz Sue nieco przesadnie, ale trafniéj od wszystkich biografów osądził swój talent i siebie, wywołał usilne protestacye przyjaciela, który poddawszy mu dalszy plan Artura, wysłał go na wieś, gdzie we trzy miesiące napisany Artur, pozyskawszy swemu twórcy prócz świetnych oklasków, 20,000 fr., dodał mu otuchy i odwagi do odbudowywania dwa razy straconego majątku.

Pod koniec 1849 roku, Sue zakochał się szalenie w jednéj z najdystyngowańszych Paryżanek. Miłość ta wywarła wielki wpływ na jego życie: uzacniła go i podniosła do niepoznania. W tymto czasie, mając po prawicy przyjaciela Goubaux, który był jego rozsądkiem, a po lewicy kobiétę, która mu była światłem, Sue napisał swoje dwa najlepsze romanse: Matyldę i Tajemnice Paryża.

Oto jaki był początek tego dzieła niewytrzymującego z tylu względów krytyki, a zawierającego przecież tyle prawdziwych piękności. Urodziny jego były zupełnie niespodziane. Natchnienie i treść téj książki zawdzięczamy całkowicie przyjacielowi autora, panu Goubaux. On piérwszy zwrócił oczy jego na ten świat brukowy, który estetyczny Sue uważał za niegodny swych badań. Nieraz Goubaux mawiał mu: „Mój kochany, tobie się zdaje, że znasz świat, a widziałeś zaledwie jego powierzchnią; zdaje ci się, że znasz ludzi, a studyowałeś tylko jedną warstwę społeczną. Prócz tego świata jest jeszcze inny, którego widzieć nie chcesz, a który na barkach swoich dźwiga tamten, i podnosi go pieści lub niszczy, jak ocean okręt na swych

falach płynący. Tym oceanem jest lud; lud, którego nigdy nie mieszasz w swoje powieści, którym gardzisz, nieznając go. Poznaj się z nim i oceń; jestto piąty żywioł, którego fizycy zapomnieli uklassyfikować, a który czeka na swego historyka lub poetę. Nażyłeś się już dosyć w złocistych salonach, zejdź do klass niższych: tamto, wierzaj mi, nie gdzieindziéj, są prawdziwie wielkie cierpienia, wielka nędza, wielka zbrodnia, ale także wielkie poświęcenia i wielkie cnoty."

Długo Sue nie chciał słuchać rad przyjaciela filozofa, i na uwagi jego odpowiadał tylko, iż nie lubi brudu ani złych odorów; aż dnia pewnego namyślił się. Kupił starą bluzę, wdział grube trzewiki, poczernił białe jak alabaster ręce, i poszedł na obiad za rogatki do gospody, gdzie schodzili się robotnicy. Tam trafił właśnie na kłótnią i bitkę, któréj aktorowie dostarczyli mu wzoru do Chourineur'a i Fleur-de-Marie, dwóch może najlepszych jego kreacyi.

Wróciwszy z tego obiadu, siadł i swoim zwyczajem, bez dalszego planu, napisał dwa piérwsze rozdziały Tajemnic Paryża. Odczytawszy je Goubaux, znalazł wybornemi, i podał plan do dalszych. Początkowo romans miał mieć tylko dwa tomy. W piętnaście dni po zaczęciu, piérwszy już był w druku; skoro wyszedł z pod prasy, tak wielkie zyskał powodzenie, iż zachęcony autor umyślił napisać dwa drugie tomy; po nich dodał jeszcze dwa, a po tych jeszcze cztery: i zrobiło się razem dziesięć. Ztąd pochodzi owa niejednolitość książki, owa niestrojność dzieła, owo nie wytrzymywanie charakterów i zbyt nagłe ich przemiany, które bacznemu czytelnikowi rażąco wpadają w oko i odejmują złudzenie prawdy.

Mimo te niedostatki, Tajemnice Paryża tak z powodu nowości przedmiotu, jak również niektórych typów silnie narysowanych, zyskały bezprzykładne po-

wodzenie, a co dziwna, największe sprawiły wrażenie w wyższych warstwach społeczeństwa. Nie skończyło się na admiracyi i autor odbierał codziennie znaczne przesyłki pieniężne, do których dołączano listy mniéj więcéj takiéj treści:

„Nie wiedzieliśmy, że istnieje nędza podobna téj, jakąś nam pan opisał; ażeby ją tak malować, potrzeba ją widzieć: proszę więc, rozdaj pan pomiędzy biédnych sumkę, którą mam zaszczyt mu przesłać." i t. d.

Eugeniusz Sue zawezwany do pięknéj roli dobroczyńcy, nie chciał pozostać w tyle; do przesyłanych sobie składek dla biédnych, dokładał miesięcznie własnych 300 franków.

Znęcony powodzeniem Suego, dawny kolega jego doktór Veron, wówczas właściciel Constitutionela, chcąc podnieść swój dziennik, zawarł z nim ugodę na lat 15, na mocy któréj Sue obowiązał się dostarczać przez cały ten czas po dziesięć tomów rocznie, za roczną zapłatę 100,000 fr.

Wywiązując się z powyższego zobowiązania Sue napisał Żyda wiecznego, Podrzutka i Siedm grzechów głównych. Trzy te romanse wyszły najprzód w fejletonie Constitutionela.

Przez dziesięć lat trwała zawarta z Veronem umowa: tak z jednéj jak z drugiéj strony zobowiązanie było wykonywane rzetelnie. Constitutionel drukował przysyłane regularnie arkusze, a Sue żył po królewsku ze swéj pracy. Wtém nadszedł dzień 2go grudnia 1852r. Chociaż Sue nie był zamieszczony na liście skazanych na wygnanie, przyjaciel jego hrabia d'Orsay namówił go, żeby się expatryował dobrowolnie. Sue idąc za jego radą, wyniósł się do Sabaudyi, gdzie pod miastem Annecy zamieszkał nad jeziorem w pięknéj willi. Tam zawarłszy nowe ugody z księgarzami paryzkiemi, pracował ogromnie. Wstawał o siódméj rano i zaraz zasiadał do roboty; o dziesiątéj pił herbatę; o drugiéj koń-

czył pracę i szedł na spacer piechotą; uszedłszy około dwóch mil, powracał do domu na obiad: wieczór spędzał z przyjaciołmi.

Rezultatem tych siedmiu godzin dziennéj pracy były wydawane w felietonach Pressy i Siècla następujące romanse: l'Institutrice, Cornelia d'Alffi, la Famille Jouffroy (jedna z najlepszych powieści, jakie napisał na wygnaniu); les Mystères du Peuple, Gilbert et Gilberte, la Bonne Aventure, i les Secrets de l'Oreiller, który zostawił nie wydany. Każdemu z wymienionych dzienników Sue dostarczał po trzy tomy na rok, i dostawał w zamian po pół franka za wiersz: żył więc z dochodów swych nietylko wygodnie, ale nawet wystawnie.

Najmilszą jego ryzrywką było ogrodnictwo, które od dzieciństwa lubił niezmiernie; w sabaudzkim swoim ogrodzie, autor Żyda wiecznego hodował rzadkie rośliny i prześliczne kwiaty, które zdaleka oglądać przybywano. W ostatnich latach zupełnie odsunąwszy się od świata, Sue nie widywał nikogo prócz kilku przyjaciół i biédnych dzieci okolicznych mieszkańców, które własnemi końmi co dzień do szkoły wozić kazał.

Tak przeżył lat pięć. W ostatnim roku schudł i zmienił się fizycznie do niepoznania. Na wiosnę dostał febry, która przerodziwszy się w nerwową gorączkę, dziesiątego sierpnia rano zabrała go z tego świata.

Monitor miasta Annecy w długim artykule, w którym pogrzeb Suego opisuje, mówi o nim z wielkiém uszanowaniem. Powiada: że podczas swego pięcioletniego w Sabaudyi pobytu, umiał sobie zjednać szacunek wszystkich najzacniejszych obywateli i miłość biédnych, którym hojne sypał jałmużny. „Żaden nędzarz, mówi tenże dziennik, nie zapukał do drzwi jego napróżno; żaden bogacz nie odjechał, nie uniósłszy

z jego domu jakiegoś projektu, mającego na celu ulżenie nędzy, lub podniesienie pomyślności krajowéj."

Licznie zgromadzone obywatelstwo i najwyższe władze miasta odprowadziły do grobu zwłoki Suego. Ponieważ nie chciał ani mowy pogrzebnéj, ani nagrobka, łzy tłumnie zgromadzonego ludu były jedynym jego pośmiertnym na obcéj ziemi panegirykiem.

Jednym z najważniejszych wypadków zaszłych obecnie na tutejszym świecie literackim, jest zapowiedziane wydanie nieznanego rękopismu Diderota, zawierającego sprawozdanie z czterech paryzkich wystaw malarskich, ułożone w formie listów do Grimm'a.

Dotąd znano tylko cztery tak zwane Salony Diderota: z roku 1759, 1761, 1765, z dodatkiem Essai sur la peinture, i z 1767, zakończony znakomitym artykułem pod napisem „Pensées détachées sur la peinture." Nowe wydanie, które przygotowują teraz do druku, prócz czterech powyższych krytyk, zawierać będzie sprawozdania z 1763, 1771, 1775 i 1781 roku.

Jako przedsmak drukującego się dzieła, wydawcy ogłosili w Revue de Paris salon z 1763. Głęboki pogląd na sztukę sławnego encyklopedysty, sąd jego surowy, i cały sposób pisania tak jest uderzający, tak mocno odbija od mdłych i niesumiennych sprawozdań artystycznych, któremi obecnie zapełnione dzienniki paryzkie, iż uważamy sobie za obowiązek podać próbkę jego czytelnikom, nietylko jako rzadkość literacką, ale jako wzór do naśladowania.

Diderot nie studyował sztuk pięknych dla rozrywki; studyując je, czynił zadość wrodzonéj potrzebie badania wszechrzeczy. Toż samo co sprawił dla sztuki dramatycznéj, pragnął uczynić dla sztuk pięknych; wpływ artystycznych recenzyj Diderota przyczynił się głównie pod koniec zeszłego wieku, do zreformowania

sztuki odbiegłéj naówczas od wszelkich tradycyj piękna i ideału. Wypowiedziane potężném piórem wielkiego encyklopedysty idee estetyczne, zrodziły w plejadzie sztukmistrzów, Greuza i Frogonard'a, w gronie dramaturgów Sedain'a i Beaumarchai'go.

W listach, z których przytaczamy niektóre wyjątki, znać wszystkie zalety krytyka z powołania. Diderot chwali z zapałem wszystko co go uderzyło; brak gustu i estetyki nielitościwie wyszydza, smagając biczem ironii; z niewyczerpaną werwą tłumaczy, czemu wytknięte zalety są zaletami, a wady wadami. Zawsze jasny, trzeźwy, niezmordowany, zdaje się że widzi i myśli za tysiące; opisując tworzy ciągle i zmusza czytelnika do myślenia, a kiedy czuje się zmęczony, dla wypoczynku gruntuje sztuki głębiny i rozjaśnia je światłem swéj intelligencyi. Oto, w jaki sposób zaczyna sprawozdanie z wystawy 1763 roku:

„*Do mego przyjaciela Grimm'a*".

„Niechaj będzie błogosławiona pamięć tego, który ustanawiając publiczne wystawy obrazów, obudził współzawodnictwo pomiędzy artystami, przygotował ludziom wykształconym zajęcie pożyteczne i przyjemną rekreacyą, a co najważniejsza, kształcąc w tym kierunku smak narodu, cofnął o sto lat może upadek malarstwa.

„Geniusz jednego doskonali wszystkich artystów. Czemu starożytni mieli tak wielkich malarzy i rzeźbiarzy? Dlatego, że nagrody i honory obudzały talenta, i że lud przywykły do kontemplacyi natury i porównywania z nią sztuki, był strasznym sędzią. Czemu mieli tak wielkich muzyków? Bo muzyka stanowiła część edukacyi powszechnéj: dawano lirę każdemu dziecku patrycyusza. Czemu mieli tak wielkich poetów? Bo były turnieje poezyi i wawrzyny dla zwycięzców. Niech pomiędzy nas wprowadzą też same walki, niech dadzą nadzieje zdobycia tychże nagród, a niezadługo ujrzymy

sztuki piękne dążące szybko ku doskonałości. Z ogólnéj reguły wyjmuję krasomówstwo: prawdziwa wymowa objawić się tylko może w rozbudzoném życiu publiczném. Potrzeba, żeby sztuka słowa obiecała mówcy pierwsze dostojeństwa w kraju: bez téj nadziei, umysł zajęty rojeniami nie zapłonie nigdy rzeczywistym ogniem, a społeczność mieć będzie tylko retorów. Ażeby dobrze mówić, trzeba być trybunem ludu, albo módz zostać konsulem. Po upadku wolności nie było mówców ani w Atenach, ani w Rzymie; deklamatorowie pojawili się jednocześnie z tyranami.

„Spłaciwszy ten drobny haracz założycielowi salonów, przystępuję do opisów, których żądasz odemnie. Żeby opisać salon tak, aby się tobie i mnie podobał, wiész przyjacielu czego potrzeba? Oto wszechstronnego gustu, serca czułego na wszystkie powaby, duszy zdolnéj do wszelkich zachwytów, rozmaitości stylu odpowiadającéj rozmaitości pędzla: potrzeba, aby pisarz umiał być wielkim jak Deshays, prostym i prawdziwym jak Chardin, subtelnym jak Vien, patetycznym jak Greuz, łudzącym jak Vernet, a powiédz mi gdzie jest tak doskonały pisarz? Ażeby go znaleźć, trzebaby go szukać chyba nad brzegami Lemanu. Jeszcze żeby to mieć przed oczyma obraz o którym się pisze, ale on gdzieś został daleko, a podczas kiedy oparłszy głowę na dłoni, lub wlepiwszy oczy w sufit, odszukujesz kompozycyi, umysł się męczy, ręka zaś kreśli zimne i niesmaczne frazy. Cóżwięc począć! Ot będę opowiadał jak umiem, powtarzając moję starą piosneczkę:

„Si quid novisti rectius istis,
„Candidus imperti: si non, his utere mecum."

„Carl Vanloo wystawił obraz przedstawiający Gracye uwięzione przez Kupidyna. Jestto wielkie na 7 stóp płótno, które całe zajmują owe Gracye: po prawéj stronie stojącą, widać z tyłu, środkową z przodu, trzecią z profilu. Kupidyn spięty na palcach

otacza je girlandą, która zakrywa tył odwróconéj plecami, a przód stojącéj twarzą do widza. Ach! przyjacielu! Cóż to za girlanda, cóż to za Kupidyn, cóż to za Gracye!. Okropność!. Zdaje się jednak, że posiadając aby odrobinę młodzieńczości, niewinności, wesołości, lekkości, miękkości i lubieżności, nie trudno było oddać Gracye tak jak je Homer wyobraził, jak nam je przechowała tradycya. Ale Vanloo nieszczęściem żadnéj z powyższych zalet nie posiada, a Homera nie czytał: znać to po Gracyach jego. Jedna jest czarno-żółta, ma tuszę hotelowéj służącéj, a cerę choréj dziewczyny. Brunetki miewają zwykle ciało jędrne i białe, ale nieprzezroczyste, i tém się różnią od blondynek, przez których cienką skórę przebijają żyłki jak rozrzucona kądziel niebieska... Niestety, gdzież są czasy, kiedy moje usta szukały na ukochanéj piersi tych lekkich śladów... Malarz znać nie widział nigdy nic podobnego. Nie ma wyobrażenia o ciele kobiety. Chociaż ich kształty są okrągłe i nigdzie prawie wyraźnie muskułów na nich nie znać, biegłe oko dopatrzy przecież w najotylszéj kobiecie ślady muskułów męzkich. Gracye o których mowa, są jakby urobione z ciasta. A taż girlanda, jakże głupio skierowana! Z odrobiną delikatności, malarz byłby czuł że chybia celu. Postać zupełnie naga nie jest nie skromna, dopiéro okrywki taką ją czynią. Zamiast ręki którą się zasłania, daj przepaskę Medycyjskiej Venerze, a z wstydliwéj Venus zrobisz natychmiast rozpustnicę: chyba że ją ubierzesz zupełnie."

* * *

„Restout pomiędzy innemi wystawił Zemdlenie Estery. Trzeba nielada śmiałości, żeby po Poussenie ten sam przedmiot przedsięwziąć. W obrazie Poussena, który mam przed oczyma, Ahasferus siedzący na tronie przypomina Olimpijskiego Jowisza, tak jest prosty i majestatyczny. Trzeba widzieć jak udrapowany, jak naturalnie trzyma swą różczkę, jak spogląda na bo-

leść Estery, jak nią jest dotknięty. Charakter ten nie podoba się naszym nowoczesnym artystom, których wyobraźnia przejęta godnością XVIII wieku, nigdy nie zagląda do starożytnych: ale mnie on się podoba! Jakaż piękna ta Estera, jaka przecudna ta grupa trzeźwiących ją kobiét. Jestto niezawodnie jedna z najpiękniejszych rzeczy jakie znam.

„Czynię tu jak Pindar, który kiedy nie miał nic do powiedzenia o bohaterach, śpiewał bogów ojczystych. W obrazie Restout'a jedna tylko niewiasta wspiera Esterę; Estera zdaje się konająca; monarcha zszedłszy z tronu dotyka ją berłem. Powiédz, co za sens, żeby dotykać berłem śliczną, kochaną kobiétę umierającą z rozpaczy! Jeżeli to jest rola panującego w podobnym wypadku, to taką rzeczą, panujący są wcale nieosobliwemi kochankami. Co do mnie, który panuję tylko nad sercem Zosi, gdybym ją zobaczył w tym stanie, cóżby się ze mną działo! Krzyczałbym... szalał... sam nie wiem: „Zosiu, wołałbym, gdzie jest nędznik, który ci tak dokuczył? Zapłaci mi to gardłem! Ach, błagam cię, przyjdź do siebie, spojrzyj na mnie, bo zginę." Nieczuły monarcha ani słowa z tego wszystkiego nie mówi. Jeźli tak, to nie chcę panować, nie chcę! wolę kochać jak mi się podoba.

„Jeden z przyjaciół tego starca, powinienby mu powiedzieć:

„Salve senescentem mature sanus equum, ne
Paccet ad extremum ridendus et ilia ducat."

„Pozwól panie Restout, żebym był tym przyjacielem."

* * *

„Zabawna to rzecz rozmaitość sądów, które wydaje tłum zgromadzony w Salonie. Zwiedziwszy go dla widzenia, warto pochodzić jeszcze trochę dla słuchania. Ludzie z wielkiego świata rzucają pogardliwém okiem na wielkie kompozycye, a zatrzymują się

tylko przy portretach, których oryginały znają. Literaci czynią przeciwnie: przechodzą szybko koło portretów, a zatrzymują się koło wielkich obrazów: lud patrzy na wszystko nie znając się na niczém.

„Pocieszne są rozmowy spotykających się u wyjścia. Jeden mówi: „Widziałeś Zaślubiny Matki Boskiéj? To śliczny kawałek!" „Nie." „A ty, czy widziałeś portret hrabiny? Tożto dopiéro rzecz piękna!" „Nie wiedziałem nawet, że malowano twoję hrabinę. Będę się zajmował portretami, kiedy nie mam dość czasu do napatrzenia się Józefowi Deshays'a, i Paralitykowi Greuza." „A, to ten przy schodach, coto mu ksiądz daje ostatnie pomazanie..."

„Takto, nic nie przechodzi bez nagany i bez pochwały: szalony, kto chce powszechnego uznania. Czemuż Greuzie każda obelga cię martwi? Nie słyszyszże pochwał płynących z ust znawców! Nie wiészże, iż zrobiłeś arcydzieło? Czegóż ci trzeba więcéj, jeżeli masz swoje własne i nasze uznanie?

* * *

„Powstała tu sprzeczka pomiędzy artystami i ludźmi wielkiego świata. Piérwsi utrzymują, że główną zaletą portretu jest, żeby był dobrze narysowany i wymalowany. Cóż to nas obchodzi, mówią, czy portrety Van Dycka są podobne lub nie; podobieństwo nie dodaje arcydziełu żadnéj wagi, jestto zaleta przechodnia: tylko zaleta pędzla stanowi jego wieczystą wartość. Nam, znów mówią salonowi, bardzo miło znaleźć na płótnie podobny wizerunek naszych rodziców, dzieci lub dobroczyńców ludzkości. Jakiż był początek malarstwa i rzeźby? Dziewczyna oznaczyła węglem kontury głowy kochanka, któréj cień padał na mur oświetlony. Z dwóch portretów, jeden Henryka IV źle malowany, ale podobny; drugi jakiegoś błazna malowany wybornie: który wybierzesz? Co przyciąga wzrok twój do po-

piersia Marka Aureliusza lub Trajana, Seneki lub Cycerona: czy zasługa dłuta artysty, czy uwielbienie dla człowieka?

„Z powyższych zdań konkluzyą wyciągnąłem taką, że portret powinien być podobny dla mnie, a dobrze malowany dla potomności."

* * *

Malarz Pierre. Panie Pietrze kawalerze królewskiego orderu, piérwszy malarzu Jego jaśnie oświeconéj Mości księcia Orleańskiego, professorze Akademii malarstwa, nie wiész Acan co robisz! Bazgrzesz gorzéj od innych, a jesteś przecie bogaty; możesz sobie kupować modele, uczyć się ile zechcesz; nie czekasz na sprzedaż obrazu, żeby zapłacić mieszkanie: masz czas wybrać przedmiot, przejąć się nim, i wykonać jak należy. Jesteś wychowany lepiéj od swoich kolegów, umiész po łacinie: czemuż nie czytasz starożytnych autorów, znalazłbyś tam pomysł przecie jaki; tak, nie masz żadnego."

Następuje ostra krytyka obrazów tego malarza: pomiędzy innemi taka o jednym wzmianka: „Obraz pod napisem. „harmonia." Dalibóg nie wiem co to ma być!"

* * *

„Cóż to za płaskie rzemiosło krytyka! Tak trudno stworzyć rzecz nawet mierną, a tak łatwo poczuć mierność. Zawsze zbierać śmieci, jako Freron, albo ci co chodzą po ulicach z koszykiem. To rzecz smutna. Chwałać Bogu, przecie jeden, którego chwalić można!

„Czemuż nie mogę wskrzesić malarzy greckich i rzymskich, i posłuchać coby powiedzieli o obrazach Verneta. Prawie niepodobna o nich mówić: trzeba je widzieć.

„Co tu za ogromna rozmaitość scen i figur! jaka woda, jakie niebo, jaka prawda, jakie czarodziejstwo, jaki effekt! Jeżeli Vernet napali ognia, dym wnet się wzno-

si gęsty... powoli rzednie... nareszcie w ogromnych przestworach atmosfery znika. Jeżeli maluje morze, umié rozciągnąć do nieskończoności jego kryształy i nadać im pozór niezgłębionéj przepaści; jeżeli rzuci światło, przenika niém przedmioty; jeźli maluje ludzi w czynie, widzisz jak się ruszają; jeżeli rozsieje chmury po niebie, jakże one lekko zawieszone, jak płyną za wolą wiatru... jaka przestrzeń pomiędzy niemi a firmamentem. Jeżeli mgły zasunie, wnet cały blask wsiąka w te massy wilgotne i światło staje się ciemne, a mgła oświetloną. Jeżeli burzę rozdmucha, wnet huk bałwanów i wycie wichru uderzy twe ucho: widzisz jak fale ciskają się o skały i osrebrzają je pianą; słyszysz krzyk majtków, trzask łamiących się okrętów; widzisz załogę w rozpaczy: jedni rzucają się w morze, inni na pokładzie polegli czekając śmierci. Tu matka ciśnie dziécię do piersi, owdzie mąż trzyma żonę zemdloną: zgiełk, rozpacz, tumult nieopisany... Oto czarodziéj co umié, malować burze, otwierać niebieskie kratery i zalewać niemi ziemię; a jak zechce, zwracać morzu i powietrzu przezroczystość cichą i rozjaśnić całą przyrodę czarownie. Vernet ukradł naturze jéj tajemnice: wszystko co ona tworzy, on umié odtworzyć."

* * *

...„Oto, mój przyjacielu, com widział w salonie. Może skutkiem braku znajomości rzeczy, albo brakiem gustu, omyliłem się w sądach; ale ci zaręczam, że nie znam żadnego z artystów o których mówiłem, tylko przez ich roboty, i nie ma jednego słowa w tym fejletonie, któreby nienawiść lub pochlebstwo podyktowały. Com czuł, tom pisał. Jedyna stronność, któréj się nie ustrzegłem, bo nie wiem jak jéj się ustrzedz, jest wrodzony pociąg do téj lub owéj maniery.

„Pamiętaj, proszę, że pisałem dla przyjaciela nie dla publiczności: inaczéj nie byłbym tak szczerym. Wolałbym stracić palec jak zasmucić jednego z tych ucz-

ciwych ludzi, którzy pracowali ciężko, aby się nam podobać. Dlatego że obraz nie zyskał naszego uwielbienia, trzebaż, żeby się stał wstydem i męczarnią dla artysty? Jeżeli dobrze jest surowo sądzić, lepiéj jeszcze oszczędzać fortuny i szczęścia robotnika. Czémże jest zabazgrany kawał płótna, lub zepsuty kawał marmuru w porównaniu z gorzkiém westchnieniem, które się wyrywa z serca zmartwionego człowieka? Są to przewinienia nie zasługujące na poprawę publiczną. Zachowajmy bicz na złych, na niebezpiecznych szaleńców, niewdzięczników, hipokrytów, oszustów, tyranów, fanatyków i inne plagi rodzaju ludzkiego: ale niech nasza miłość dla sztuki, dla literatury i tych co je uprawiają, będzie tak prawdziwą i niezachwianą, jak przyjaźń nasza."

Doktor medycyny p. Poznański, rodem z Wilna, podał tutejszéj Akademii nauk Obserwacye o cholerze, które zwróciły na się uwagę uczonego grona. W wypracowaniu tém autor dowodzi, że cholerę poprzedza zawsze o kilka dni znaczne zwolnienie pulsu, i że dopatrzywszy tego symptomatu, można kryzys ododwrócić. Ważne te spostrzeżenia, z których wywiąże się może pewny system leczenia téj nieuleczonéj dziś choroby, doktór Poznański czynił w więzieniach wileńskich, doglądając tam chorych podczas grasującéj w tém mieście cholery w 1848 roku.

Jednocześnie doktor medycyny Duchesne wydał ważne dzieło „O wpływie dróg żelaznych na zdrowie maszynistów i palaczy. W książce swéj, doktor dowodzi przykładami i cyframi, że wpływ ten jest fatalny; że zdrowie najsilniejszego człowieka w kilka lat rujnuje, zabija go, albo na resztę życia czyni kaleką. Dla zaradzenia złemu, doktor Duchesne proponuje niektóre ulepszenia w konstrukcyi wozu lokomotywy, na którym stoją ci nieszczęśliwi robotnicy.

— Pan Ludwik Ulbach jeden z redaktorów Revue de Paris, wydał zebrane razem artykuły swoje pod napisem: les Ecrivains et hommes de lettres. W książce téj autor przechodzi kolejno i rozbiera talenta spółczesnych literatów francuzkich, i dowodzi, że jest ich dwa rodzaje: piszących, i takich, którzy żadną pracą nazwy swéj nie usprawiedliwili.

— Pan Wołowski przetłumaczył i wydał w dwóch tomach znakomite dzieło Roscher'a, professora uniwersytetu lipskiego, pod tytułem: Principes d'Economie politique.

— Znany z utworów swych muzyk Scudo, wydał filozoficzno-muzyczny romans: Le Chevalier Sarti. Powieść ta osnuta na tle historycznem, któréj aktorowie naprzemiany śpiewają, kochają, lub rozmawiają o muzyce i polityce, zyskała tu pewną wziętość. Rzecz dzieje się w dogorywającéj Wenecyi; bohaterka romansu umiera tegoż samego dnia, którego ostatni doża podaje się do dymisyi, a trójkolorowa chorągiew zastępuje tę, na któréj powiewał lew skrzydlaty.

URYWEK Z POWIEŚCI

POD TYTUŁEM:

TOMIŁO.

„Z korabia myśli, na lat oceanie
Odwiecznych lodów, po Nilowe źródła,
Widziałem przeszłość; Tyś ją sądził, Panie!
Widzę obecność:—dziecinna lub podła!
Jako chmurzyska wiatrami pędzone,
Jako kurzawa za wozem bogacza,
Interes leci w tę lub ową stronę:
Wszystko na drodze plugawi, przytłacza.
Coraz odmienny, jak widmo grobowe,
Zapluwa pianą pochodnię światłości,
Niszczy płomieniem braterstwa budowę,
Tratuje końmi zasiewy miłości.

Siewki, by znaleźć dogodne klimaty,
Lecąc na wyrój gromadzą się w stada;
Na prądzie wody budując swe chaty,
Społeczność bobrów razem sił dokłada;
Kwiat swoję przyszłość listkami korony
Czule zasłania od zimna i spieki;
W ożywczych ziołach nawet pies szalony
Umie instynktem przewidywać leki:
Nam, darmo stokroć ponawiane klęski,
Darmo w prorokach groźny głos Jehowy,
Darmo na włosku jego miecz zwycięzki,
Darmo wołają — świat nie zna ich mowy.

Sternik ludzkości, wszechmądrość, wszechmiłość,
Niemogąc zbawić człowieka bez niego,
Popchnął niezbożnych na straszną pochyłość,
I odszedł z ziemi do nieba siódmego.

I kiedy codzień zachodzące słońce
Do jego uszu niesie co widziało:
Ojciec zakrwawia swe serce cierpiące,
Lecz mówi dotąd: „Karałem zamało".
Ojcze ludzkości! karz jakeśmy warci,
Ale niech litość na słabych pamięta;
Niech sprawiedliwość niewinnych nie karci:
Wejrzyj na biédne w chałupkach dzieciętą!
Panie! ta dziatwa—to ziarno przyszłości,
Ta śpiąca siła — to Twój lud ubogi!
Światła mu, światła: bo wzrosłszy w ciemności,
Pójdzie jak drudzy na obłędne drogi.
Poczęci w grzechu, sobkowstwem zmazani,
My go prowadzić jesteśmy niegodni;
Sam go, sam, Panie, wyprowadź z otchłani!
Droga ciemności— to droga do zbrodni."

Wincenty Korotyński.

Wilno,
d. 1 lipca 1857 r

KILKA UWAG
HISTORYCZNO-STATYSTYCZNYCH O GUBERNII AUGUSTOWSKIÉJ

SKREŚLIŁ

B. Tykiel.

(Ciąg dalszy).

II.

O KURPIACH.

Szczególna, a nie każdemu zrozumiała nazwa, nadana z dawnych czasów pewnéj części tutejszo-krajowym mieszkańcom, stała się powodem bliższego dochodzenia ich początku i obyczajów. Ztąd też naprzód bezimienny pisarz życia króla Stanisława Leszczyńskiego (1), wspominając o kurpiach wyjaśnia, że kurpikowie jestto osobliwy rodzaj *chłopów*, którzy między Prusami, Mazowszem i Litwą więcéj niż na mil 20 wkoło mieszkają, będąc gęstą puszczą od innych odłączeni i wokoło otoczeni.

Następnie Tomasz Święcki (2) wskazuje: że w księztwie niegdyś Mazowieckiém, w części jego północnéj, którą zajmowały: ziemia *Ciechanowska*, *Rożańska*, *Łomżyńska*,

(1) Historya N. Stanisława I króla polskiego, z francuzkiego i niemieckiego zebrana po polsku r. 1744. Str. 504.

(2) Tom IX z r. 1827 Dziennika Warszawskiego.

Nurska i *Wiżka*, w obszernych lasach między rzekami Bugiem i Narwią zamieszkał od wieków *lud wiejski* pełen męztwa i odwagi, kurpikami powszechnie zwany.

Daléj Hippolit Gawarecki (1) objaśnia: że puszcza dawniéj Skwańska od rzeki Skwy tak nazwana, jest toż samo, co nateraz puszcza Ostrołęcka i Myszyniecka, tudzież, że prócz téj puszczy były jeszcze trzy inne, jakoto: Rożańska w starostwie Rożańskiém, Zielona w starostwie Prasznyskiém i Nadbużna między Narwią i Bugiem rozciągnięta: we wszystkich zaś tych puszczach osiedleni są *włościanie* nazywający się kurpiami.

Haczewski b. sekretarz leśny w bywszéj kommissyi województwa płockiego (2) wskazuje: że kurpiami nazywają mieszkańców obwodu prasznyskiego, ostrołęckiego i pułtuskiego; przypuszcza on domniemalne twierdzenie, jakoby ciż kurpie byli potomkami kurpianów, narodu z Wołoszczyzny do Sarmatów naciśniętego; przywodzi, że wedle mniemania mieszkańców płockich, znajomszych rzeczy, puszcze o jakich mowa, zaludnione były pierwotnemi czasy przez ludzi rozmaitych stanów z innych okolic zbiegłych, i przez długi przeciąg czasu bez żadnych obrządków religijnych z niewiastami i dziećmi tam zamieszkałych; dodaje nakoniec, że naród ten odznacza się czystém zamieszkaniem, zamożnością gospodarstwa, przebiegłością, odwagą i lichém odzieniem.

Nakoniec Kazimiérz Władysław Wójcicki znamienity tegoczesny pisarz, „którego wziętość w naszém piśmiennictwie na prawdziwéj opiera się zasłudze, bo od młodocianych lat odkopuje skarby przeszłości i licznemi utworami zbogaca niwę literacką" (3), daje nam dokładny i zasadny obraz tych właśnie mieszkańców, którzy pod nazwą kurpiów powszechnie i głośno są znanemi (4), wczém się

(1) Pamiętnik historyczny Płocki. Tom 2. 1830 r.

(2) Sylwan Tom 14, str. 390 i następne.

(3) Dosłowny wypis z dzieła: „Krótkie wiadomości z dziejów piśmiennictwa polskiego przez M. Ł. w Warszawie, 1855. Str. 401.

(4) W dwóch dziełach, jakoto: *a*) Zarysy domowe, w Warszawie r. 1842, Tom III, str. 193. Zarys opisowy Kurpie, Gocie. *b*) Kurpie, powieść historyczna. Lwów 1856 r.

opiera na dowodach, jak wyżéj historycznych i nabytém osobiście przekonaniu.

Podane przez tego ostatniego pisarza główne wiadomości wykazują:

Że piérwszą historyczną wzmiankę o kurpiach spotykamy pod panowaniem Zygmunta III (1).

Że imię kurpiów zaczęło głośno słynąć od walki ze Szwedami z początkiem XVIII wieku.

Że nazwę kurpiów nadano im od obuwia zwanego *kurpie*, które noszą powszechnie: podobnie jak na Rusi podlaskiéj, pokolenia bliższe *Bugu* od obuwia nazwano *Postolniki* (2).

Że jak sami kurpie utrzymują, początek ich odnosi się do czasu biskupów, których własnością były te puszcze bezludne, a którzy sprowadzali ludzi z rozmaitych okolic, najwięcéj z Warmii, oddając im w posiadanie wiecznemi czasy kawały borów, aby drzewo wycinali, krudowali i budowali osiedlając te osady (3).

Że gdy za czasów *pruskich* wszystkie dobra biskupie przeszły na własność rządu, kurpie wielkiego doznali uszczerbku w swoich przywilejach, gdyż grunta ich przemierzono i oczynszowano (4).

Że pomimo niewdzięcznéj gleby należą do zamożniejszych włościan.

Że od r. 1652 nie robią pańszczyzny i ztąd nazywani są wolnemi, a ci którzy ją odrabiają nazywają się *gocie* (5).

Że dawniéj było ich żywiołem myśliwstwo i bartnie, a gdy za przerzedzeniem i uporządkowaniem lasów, zatrudnienia tego rodzaju ustać musiały, nateraz trudnią się najwięcéj ścinaniem drzewa, skrobaniem kory, wywózką i orylką czyli spławem wodą.

Że domy ich mieszkalne i zabudowania celują nad innych włościan sąsiednich (6).

Że jak są gościnni, ludzcy, uprzejmi; tak krzywdy wyrządzonéj pamiętni i umiejący mścić się za nią, szukając prawa odwetu (7).

(1) Kurpie, powieść. Str. 200. (2) Str. 196. (3) Str. 198. (4) Str. 198. (5) Str. 208. (6) Str. 211. (7) Str. 206.

Tymczasem bezimienny pisarz Listów o gubernii augustowskiéj daje nam zupełnie odmienne o kurpiach w gubernii augustowskiéj zamieszkałych wyobrażenie; twierdzi bowiem:

Że od Ostrołęki ku Łomży w okolicach m. Nowogroda widzimy siedlisko kurpiów, narodu przedstawiającego pracę z bezczynnością, i bogactwo z nędzą.

Że lud ten jeszcze niezupełnie się otrząsł z swéj dawnéj dzikości leśnéj i zarazem z postołami czyli kurpiami utrzymał swój pierwotny duch najezdniczy, czyli wojowniczo-próżniaczy (1).

Że lud ten przywędrował z Karpat, oraz, że są pomiędzy kurpiami chaty porządne, są pola i ogrody dobrze uprawione, są kurpie zamożni i bogobojni; ale takich nie wiele: bo powszechnie biedzie towarzyszą próżniactwo, niechlujstwo i dosyć często bezbożność (2).

Że w lesie nad Narwią osiedleni są wędrujący z puszczy Ostrołęckiéj czyli téż Karpat kurpie (3).

Że nasi etnografowie dotąd niezupełnie się zgadzają w określeniu pochodzenia kurpiów, nikt jednak nie zaprzecza, że to jest naród słowiański, a nawet polski. Półdzikie ich dotąd obyczaje, oraz męztwo i wytrwałość czynią ich podobnemi do Hucułów i górali karpackich: ztąd właśnie nadane im zostało przez sąsiadów mazurów nazwisko *karptów* czyli kurpiów, i ztąd następnie wynikł domysł, że ten lud z Karpat do puszczy dawnéj Ostrołęckiéj przywędrował. Może być w tym domyśle trochę prawdy, lecz niezupełnie: kurpie bowiem są prawie takim z pochodzenia narodem, jakim byli kozacy na Zaporożu. Pomiędzy jednemi a drugiemi ta tylko zachodzi różnica, że Zaporoże położone na *Ukrainie* czyli krańcu Polski, wśród żywiołu ruskiego, przyswoiło sobie tameczny język i religią; kurpie zaś osiadłszy wśród mazurów, ich mowę, religią i w części rodzaj życia przyjęli (4).

Że pomiędzy Kozakami dojrzymy potomków szlachty polskiéj, litewskiéj i ruskiéj, a nawet trochę tatarszczyzny;

(1) List I. N. 77 Kroniki z r. 1856.
(2) List 2. N. 109 „ „
(3) List 3. N. 149 „ „
(4) List 8. N. 100 „ „

kiedy wśród kurpiów nikogo więcéj nie znajdziemy oprócz Polaków z Mazowsza, Warmii, Podlasia i nieco z gór karpackich (1).

Że z podania miejscowego, oraz z języka i nazwisk tego ludu przekonywamy się, że dzisiejsi kurpie są potomkami rozmaitych familij polskich, które straciwszy prawo cywilne w kraju, jako wygnańcy lub za nieżyjących uważani, dla ocalenia swego zmuszeni byli kryć się w puszczy Ostrołęckiéj (2).

Że za panowania Kazimierza Wielkiego, a nawet za Władysława Łokietka, kurpie w wieku XIV zaczęli się zbierać i osiadać na ziemi mazowieckiéj w puszczy (3).

Że od roku 1526 utworzyli jednolite bractwo (4).

Że kurpie są z krwi czyli z rodu mściwi, pochodzenie zaś ich jako wygnańców społeczności tę wadę poniekąd usprawiedliwia: dzikość w obyczajach, mała chęć do pracy, kradzież i pijaństwo są także wrodzonemi tych mieszkańców puszczy wadami. Przy tych wadach nieodstępne niechlujstwo w domu i poza domem, kurpie cechuje. Rolnictwem trudnią się mało i niechętnie, bo ten przemysł jest dla nich nowością, jakiéj przodkowie ich nie znali i znać nie chcieli.

Że wiele téż wpływa na odstręczenie od godziwéj pracy blizkość granicy pruskiéj i najem do przewożenia towarów przemycanych, które zwykle nocną porą prowadzą za sowitém wynagrodzeniem, bez względu, że tego rodzaju poświęcenie się częstokroć przypłacić trzeba kalectwem lub śmiercią.

Że moralniéj prowadzą się mieszkańcy wschodniéj strony puszczy Nowogrodzkiéj, a ztąd ci kurpie mianują się szlachtą i oddają swe dzieci do szkół.

Że pobożność kurpiów widzieć się daje w obchodzie dni świątecznych i uroczystości kościelnych (5).

Że puszcza Nowogrodzka w dawnych czasach nosiła miano puszczy Zielonéj i przeznaczoną była przez książąt mazowieckich, oraz królów polskich na miejsce wygnania

(1) List S. N. 100 Kroniki z r. 1856.
(2) Tamże. (3) Tamże. (4) Tamże. (5) Tamże N. 102.

z kraju. Z wielkiéj liczby wygnańców pochodzą żyjące w puszczy do dziś niektóre familie, które się szczycą pochodzeniem swojém od piérwszych magnatów rzeczypospolitéj, a takiemi są: Małachowscy, Pacowie, Poniatowscy, tudzież Butlerowie, Ruszczycowie i kilka innych. W tychto familiach pod zatartym blaskiem powierzchownym ich rodu, dojrzysz wzniosłe, szlachetne uczucia, i choć ciało pokryte jest odzieżą biednego włościanina - wygnańca, w sercu jednak płynie krew wiernych synów téj ziemi.

Że pochodzenie kurpiów dokładniéj wyświetla ich mowa, która jest czysto polską, w któréj się przebija narzecze mazowieckie (1).

Sądząc po tém wszystkiém co autorowi Listów o gubernii augustowskiéj podobało się przywieść o kurpiach, wnosićby można, że kurpie w puszczy Nowogrodzkiéj czyli gubernii augustowskiéj osiedleni, nie są temi samemi, o jakich na wstępie wymienieni autorowie wspominali. Kiedy to atoli nie ulega żadnemu powątpiewaniu i bliższego usprawiedliwienia nie wymaga, że kurpiami nazywani są, jak to Święcki wyjaśnia, włościanie zamieszkali na ziemiach Ciechanowskiéj, Rożańskiéj, Łomżyńskiéj, Nurskiéj i Wizkiéj, a zatém i ci, którzy znajdują się w ekonomiach rządowych Małypłock i Nowogród w gubernii augustowskiéj położonych, a dawniéj do ziem pomienionych należnych. Ztąd zatém wynika: że wszyscy włościanie kurpiami powszechnie zwani, tak w gubernii płockiéj, jakotéż augustowskiéj zamieszkali, należą do jednéj i téj saméj kategoryi, i ztąd również wypływa potrzeba bliższego zastanowienia się nad tym przedmiotem, a to końcem nabycia rzeczywistego o kurpiach augustowskich wyobrażenia.

Przedewszystkiém co się tyczy pochodzenia i nazwy kurpiów, nie zdaje się ulegać żadnéj wątpliwości, że osiedli w dawniejszéj puszczy Skwańskiéj, a mianowicie wśród lasów ludzie stanu włościańskiego, pochodzący z rozmaitych stron dawniejszéj Polski, przezwani zostali kurpiami, a to z powodu noszonego przez nich obuwia, jakie od najdawniejszych czasów pod nazwą kurpie było znane. Utwierdza nas bowiem w tém przekonaniu świadectwo autorów, któ-

(1) List 8 N. 141 Kroniki z r. 1856.

rzy naprzód o kurpiach jawną uczynili wzmiankę, jakoto: autor życia króla Stanisława Leszczyńskiego i Święcki, zwłaszcza gdy żadne wywody historyczne nie są z tém w sprzeczności.

Twierdzenie jakoby dzisiejsi kurpie pochodzić mieli od karpianów, lub też z gór karpackich, niczém usprawiedliwić się nie da; i nie zdaje się wymagać bliższego sprawdzenia, skoro sam autor Listów o gubernii augustowskiéj później od pierwotnego swojego założenia odstępuje.

Na szczególniejszą uwagę zasługuje twierdzenie, jakoby puszcze, w któréj tak zwani kurpie osiedlili się, były pierwotnemi czasy zaludnione przez ludzi rozmaitych stanów z innych okolic zbiegłych, jak to Haczewski utrzymuje, lub też przez wygnańców, wedle zdania autora Listów.

Pierwsze z tych dwóch przypuszczeń samo przez się za nic więcéj jak za domysł uważać należy, gdyż sam Haczewski wyznaje, że takie jest mniemanie mieszkańców płockich świadomszych rzeczy, co za dowód uważać się nie daje.

Z większą atoli pewnością utrzymuje autor Listów, jakoby dzisiejsze siedliska kurpiów zaludnione być miały pierwotnie wygnańcami; na poparcie bowiem tego twierdzenia przywodzi naprzód, że za panowania Kazimierza Wielkiego a nawet Władysława Łokietka, kurpie w wieku XIV zaczęli zbierać się i osiadać na ziemi mazowieckiéj w puszczy, a następnie, że puszcza Nowogrodzka w dawnych czasach nosiła miano puszczy Zielonéj i przeznaczoną była przez książąt mazowieckich, oraz królów polskich, na miejsce wygnania z kraju.

Gdyby tak w istocie było, toby niezawodnie uczynili byli o tém wzmiankę historycy; że jednak autor Listów nie wskazuje takich dowodów i przywodzi jedynie jeden dowód historyczny, tojest przywilej króla Zygmunta III z r. 1630 nic podobnego w sobie nie obejmujący: przeto twierdzenie jego za więcéj niż wątpliwe uważaném być musi.

Przywodzi wprawdzie autor ten na usprawiedliwienie wzmiankowanego twierdzenia, jakoby z wielkiéj liczby wygnańców pochodzić miały żyjące do dziś w puszczy niektóre familie, które się szczycą pochodzeniem swojém od piérwszych magnatów rzeczypospolitéj, jakiemi są:

Małachowscy, Pacowie, Poniatowscy, tudzież Butlerowie, Ruszczycowie i inni; ale i to twierdzenie pozbawionem jest zasady, raz dlatego, że chociażby niektórzy z kurpiów nosili podobne przezwiska, toby jeszcze nie dowodziło, że pochodzą z familii magnatów o jakich mowa; drugi raz dlatego, że przypuściwszy nawet za prawdę, że za czasów książąt mazowieckich puszcza w mowie będąca przeznaczoną była na miejsce wygnania, to i tak nader trudném byłoby usprawiedliwienie, w jaki sposób dostały się tam familie litewskie, jakiemi są: Pace, Butlerowie i t. p.; nakoniec dlatego, że żaden z kurpiów nie legitymował się ze szlachectwa, o czém księgi heraldyczne gubernialne przekonywają.

Prawdopodobniéj, chociaż mniéj poetycznie dałoby się może wnioskować: że ludzie należący dawniéj do dworów panów polskich i litewskich, znajdowali przytułek w puszczy i tam się osiedlili, a przybrawszy nazwę swych panów, zostawili potomstwo zaszczycające się powyższemi przezwiskami.

Że zaś pomiędzy szlachtą polską żaden z kurpiów nie znajduje się, i jako należący do stanu włościańskiego znajdować się nie może; przeto nie da się usprawiedliwić gołosłowne twierdzenie, jakoby mieszkańcy wschodniéj strony puszczy Nowogrodzkiéj mianować się mieli szlachtą.

Pomiędzy autentycznemi o kurpiach augustowskich wiadomościami, ważne zajmuje miejsce prawo konstytucyjne, na sejmie tak nazwanym pacificationis za panowania Augusta III roku 1736 uchwalone, pod tytułem: „*poskromienie swawolnych kurpików*"; lecz to prawo raczéj za wypływ wojny ze Szwedami, w któréj ciż kurpie tak głośnemi się stali, aniżeli za inny dowód posłużyć może (1).

(1) Prawo to brzmi, jak następuje: „W dobrach Kupiszki, Kolno, Czerwone i Nowogród *cum attinentiis* w ziemi Łomżyńskiéj od W. Szembekowéj kanclerzyny W. koronnéj, W. Mniszkowi marszałkowi W. koronnemu *percessionem* za konsensem Naszym *de jure communicativo* odstąpionych, aby swawoli i do rebelii skłonni kurpikowie *a seditionibus, tumultibus et quibusvis inconventiis coercantur* wyprobowanéj *in arducis* tegoż W. Marszałka W. koronnego *moderni possessoris* przezorności i attencyi polecamy",

Volumen legum Vol. VI, str. 670.

Stanowczym zaś pod względem służących praw rzeczonym kurpiom jest przywilej Zygmunta III, na dniu 20 grudnia r. 1630 bartnikom miasta Nowogroda udzielony. Ponieważ zaś wedle lustracyi starostwa łomżyńskiego z r. 1673, korzystali z tego przywileju nietylko bartnicy miasta Nowogroda, ale zarazem i ci, którzy się znajdowali w ekonomiach nowogrodzkiéj i małopłockiéj, jest zatém przekonanie, że ten przywilej do wszystkich kurpiów łomżyńskich był rozciągnięty.

Sam wstęp pomienionego przywileju objaśnia, że bartnicy starostwa łomżyńskiego miasteczka Nowogródka, prosili króla, aby *dawne ich zwyczaje i wolność*, których z dawnych lat zażywają i sobie od przodków swoich z rąk podane mają, przywilejem swoim potwierdził, do czego się Zygmunt III przychylił (1).

(1) Zygmunt III z Bożéj łaski Wielki książę litewski, ruski, pruski, żmudzki, mazowiecki, inflancki, a szwedzki, gotski, wandalski dziedziczny król. Oznajmujemy listem naszym komu to wiedzieć należy: suplikowali nam bartnicy nasi z starostwa łomżyńskiego miasteczka Nowogródka przez urzędniki nasze koronne, abyśmy dawne zwyczaje ich i wolności, których z dawnych lat zażywają i sobie od przodków swoich z rąk podane mają, z łaski naszéj królewskiéj przywilejem potwierdzili i onych przy nich zachowali, którą prośbę ich my łaskawie przyjąwszy, i one, ile prawu nie są przeciwne, stwierdzić umyśliliśmy, jakoż tym listem naszym stwierdzamy. A najprzód wiedząc z relacyi komissarza naszego urodzonego Jakóba Maksymiliana Fredra stolnika lwowskiego, sekretarza naszego, któregośmy tam umyślnie posłali, iż z dawnego zwyczaju i lustracyi skarbowéj żaden z nich nie powinien nad jednę rączkę miodu zwyczajną tamże w Nowogrodzie miasteczku oddawać od znamienia boru swego staroście łomżyńskiemu, i nadto za kunę groszy piętnaście oddawać, siana stożek, w którym dwoje drabek powinno być, przy stanowisku swém dla przyjazdu strzelcom postawić, albo za nie po groszy piętnaście dawać: onych przy tymczasowém prawie i zwyczaju zachowujemy i aby więcéj nad rączkę miodu i za kunę groszy piętnaście staroście łomżyńskiemu od nich nie wyciągali i do pudlaka miodu, do którego nigdy nie byli powinni, onych nie przymuszali, mieć chcemy. Względem czego wolno im będzie, jako zdawna było każdemu bartnikowi, jakie chcąc drzewo drzewić albo drążyć do barci sposobne, tak w dębinie jako i w sośninie, żadnego nie wyjmując. Stanowiska swoje albo domeczki, albo więc budy w puszczach miewać, które w pokoju stać powinny i żaden ani z bartników, ani z łożnych ludzi palić i znosić ich nie powinien, a ktoby się ważył tego, ma być prawem lennem, którego zdawna zażywają, przez bartników sądzony i ukarany.

Na podstawie tegoto przywileju potwierdzonego przez następnych królów, używali kurpie do czasów bywszego księztwa Warszawskiego tych wszystkich praw i prerogatyw, jakie od czasu pierwotnego na puszczy osiedlenia im służyły.

Ponieważ zaś wedle tego mieli prawo każde drzewo na barcie drążyć, łąki krudować i na pola wyrabiać, na stawiskach i rzekach ryby łowić, na ptaki sidła stawiać, kuny strzelać i szkodliwe ptastwa wytępiać, suche drzewo zbierać, łyka drzéć, żołędzie zbierać i wszystkie potrzeby barci bez ugaju opatrywać, drzewo po upadłych barciach zabierać, za co wszystko skromną daninę w miodzie i pieniądzach staroście łomżyńskiemu uiszczać byli obowiązani; w ten przeto sposób przynależnie, chociaż skromnie utrzymywać się byli w możności.

Nadto łące albo knieje miewać, których jako zdawna zwyczaj był, wolno im będzie. Sidła zastawiać na jarząbki i rozmaite ptaki i kuny, okrom zwierza wielkiego; także żaki albo wienczerze stawiać na rzece Narwi, Pisi, gdzie się któremu spodoba; jazy miewać na rzekach albo na strugach w Zagajnicy Nowogrodzkiéj i w nich ryby łowić do roboty swojéj bartniczéj, a gdzieby który nie miał jazu pewnego, powinien będzie starosta bartny on naznaczyć i zapisem obwarować, a miejsce wymierzyć, póki powinien zażywać tego podług starego zwyczaju. Przy zastawiskach albo raczéj rzece Narwi okręgach pewnych, albo krzewinie dolistéj, wolno im być ma okręgi kolejną albo płotem zastawować, sieci swe tam stawiać, w tém zastawisku krzewinę wyprzątać i wychędażać, ryby łowić, osobliwie na wiosnę, kiedy ryba z wodą zajdzie, póty jednak pokąd woda na wiosnę trwa: w czém im żaden rybak tak Ostrołęcki jako i Nowogrodzki albo kto inny przeszkadzać i w tém zastawisku ryb wylawiać nie powinien, także ani żaków ani sieci ich trząść; a ktoby się tego ważył, taki ma być karany. Gwoli czemu pozwalamy im czołny swoje mieć ze wszystkiemi potrzebami tak koło łowienia ryb w pastwiskach swoich, jako i do opatrowania drzewa bartnego na wiosnę, gdy wody rozleją. A iż dekretem komissarzów naszych roku 1599 mają przysądzoną sobie wolność wożenia drzewa suchego z Zagajnicy Nowogrodzkiéj tak sosnowych jako leśnych trzy dni co tydzień, we wtorek, we czwartek, w sobotę, dlatego i przy téj wolności onych podług dekretu zachowujemy, i jeżeliby w ten dzień święto które przypadało, aby im nazajutrz tę furę wolno uczynić, podług komissarskiéj decyzyi pozwalamy. Wszakże z łąk swoich, które kępują, każdego im dnia wolno i surowe rąbać i wozić bez wszelakiéj przeszkody dworskiéj. Więc, że i łąki mają sobie należące do tychże borów zdawna wymierzone, które miernik przy komissarzach naszych wymierzał i tych im żaden kosić

Kiedy atoli późniejszym czasem, a mianowicie za czasów bywszego rządu pruskiego, następnie księztwa Warszawskiego, a nakoniec teraźniejszego rządu Królestwa, przystąpiono do lepszego zagospodarowania dóbr i lasów rządowych, upadały jedne po drugich zarobki kurpiów, a mianowicie takie, któremu dobre zagospodarowanie lasów stawiają przeszkody. Kiedy owe liczne barcie jakie w roku jeszcze 1807 w teraźniejszych ekonomiach Nowogród i Mały-płock dosięgały liczby 2,403, w roku 1855 zniżyły się do ilości sztuk 75; kiedy łąki przez kurpiów wśród lasów wykrudowane, które później przyjęły nazwę łąk bartnych odjęte im zostały, i kiedy nakoniec małe kawałki użytecznego, ale złéj gleby gruntu w miarę powiększającej się ludności na drobne cząstki podzielone, dostały się ich

gwałtem nie ma, ani żadnéj przeszkody czynić w zbieraniu siana tych łąk, które jeśliby na trawę niesposobne były, wolno każdemu z nich poorać i posiać, z tego nie dając żadnego podatku, ponieważ to są borowe łąki; nadto żołądź zbierać, łyka drzeć na powrozy do barci swoich i insze potrzeby do barci sobie należące obmyślać bez zagajenia się i wszelakiéj od strzelców i inszych leśnych przeszkody. Tak sośnie albo pszczoły suche, wywrotne, złamane i jakimkolwiek sposobem zepsowane z barciami swojemi do domów swoich albo miejsca na to sposobne brać, wieźć i stawiać, gdzie się komu podoba, wolno im być ma, za opowiedzeniem się jednak staroście łomżyńskiemu. Od tego jednak dawać nic nie powinni, ponieważ od tego wszystkiego powinni oddać dań wiadomą; które zwyczaje aby tém lepiéj w klubie swéj zostawać mogły, będą powinni mieć zawsze jako i dotąd miewali, starostę swego bartnego jak podsędka i pisarza przysięgłych na to obranych, których starosta łomżyński ma konfirmować, gdy od nich obrani będą, którzy między niemi wszelakie różnice sądzić mają, jednak od nich appellacya do starosty łomżyńskiego iść ma, od niego zaś w poważnych sprawach do sądu naszego. Co do wiadomości wszystkim przywodząc, a osobliwie starosty naszego łomżyńskiego teraz i napotém będących, chcemy to mieć i rozkazujemy, aby pomienione bartnicy nad rączkę miodu zwyczajną oddawać nie byli powinni i przy dawnych wolnościach i zwyczajach swoich, których z dawnych lat zażywają i teraz tym przywilejem naszym onym stwierdzamy i nadajemy, aby wcale zachowani byli i od nikogo przeszkody nie mieli, nie derogując nic powinnościom i podatkom, które staroście naszemu łomżyńskiemu oddawać powinni. Na co dla lepszéj wiary ręką własną podpisujemy i pieczęć koronną przycisnąć rozkazaliśmy. Dan w Tykocinie dnia 20 miesiąca grudnia roku Pańskiego tysiąc sześćset trzydziestego, panowania naszego czterdziestego czwartego, szwedzkiego trzydziestego. (podpisano) Sigismundus Rex. Jacobus Maximilianus Fredro, Secretarius Regiae Majestatis".

potomkom: wówczas kurpie ujrzeli się w trudniejszém niż w pierwotnych czasach położeniu.

Nagleni więc potrzebą musieli rzucić się na inne pomocnicze a możebne w ich położeniu zarobki, i nateraz obok utrzymywania swych rolnych gospodarstw zajmują się chowem bydła, do czego pastwiska w lasach nastręczają im sposobność, wyrabianiem wozów, bron i zbieraniem grzybów, co wszystko spieniężają po jarmarkach; wynajmowaniem swoich sprzężajów na furmankę czyli do przewózki ciężarów, tudzież wynajmowaniem się do orylki czyli spławów wodą.

Był czas, kiedy kurpie łomżyńscy równie jak płoccy, trudnili się wyszukiwaniem i wykopywaniem bursztynów w lasach nowogrodzkich, ale tego rodzaju zarobek ustał zupełnie od r. 1846, gdyż kopalnie bursztynu w leśnictwie rządowém Nowogród, które czyniły rządowi dochodu przeszło 300 rubli rocznie, a następnym czasem coraz mniéj znaczącemi stawały się, i z tego powodu zamkniętemi zostały.

Naturalny z tego wszystkiego wypływać musi skutek, że dawniejsi włościanie wśród puszczy Skwańskiéj osiedleni, czyli tak zwani kurpie, nie dadzą się w ogólności policzyć do rzędu zamożniejszych i celujących w gospodarstwie rolném włościan, a tém mniéj równanemi być mogą z temi, którzy osiedleni na wybornych gruntach i z dawnych lat jak np. w powiecie maryampolskim oczynszowani, odznaczają się dobrém mieniem i towarzyszącemi temu przymiotami (1).

(1) Aleksander Połujański w dziele swojém; «*Opisanie lasów królestwa polskiego*" w tomie I na stronie 345 tak się wyraża: „Lasy nowogrodzkie i łomżyńskie na początku wieku XIV były ogniwem łączącém łańcuch puszcz Ostrołęckiéj i Prasznyskiéj z lasami kidulskiemi i puszczą Jurburgską, dla prędszego zaludnienia których *dozwolono było osadnikom obierać podług upodobania* miejsce w puszczy i karczować pod użytki ekonomiczne tyle gruntu, ile potrzeba wymagać będzie i siły wydołają. Z tego powodu założonę w borach sosnowych osady nie były tyle korzystne, ile w powiecie maryampolskim; lat kilka urodzaju bez nawozu zawiodły dalsze nadzieje rolnika; zostawione zaś odłogiem grunta, na siłę wiatrów wystawione, zamieniły się w obszerne wydmy piasczyste, szkodliwe przyległym gruntom z mozołem i nakładem uprawione",

Pomimo to jednak nie masz żadnéj zasady do potępienia w ogólności tego ludu wiejskiego, lecz przeciwnie spodziewać się należy, że w miarę przywiedzenia do skutku regulacyi i oczynszowania ich siedzib, czém rząd Królestwa zajmuje się troskliwie, byt ich poprawionym i zapewnionym zostanie.

Pod względem moralności tego ludu nic także uderzającego i szczególnego, ani za nim, ani przeciw niemu zasadnie powiedzieć nie można; a zarzut mu uczyniony pod względem jakoby głównie przewózką przemycanych towarów zajmował się, takoż udowodnić się nie daje, bo akta urzędowe nie dostarczają dowodu, aby tak zwani kurpie więcéj niż inni nadgraniczni włościanie, za tego rodzaju przekroczenia karani być mieli.

Nie ulega wprawdzie zaprzeczeniu, że ci, którzy się trudnią orylką, podobnież jak inni tego rodzaju procederzyści, skłonni są do nadmiarowego używania trunków, a ztąd za powrotem do swoich domów, szkodliwy wpływ na innych współmieszkańców wywierać mogą. Spodziewać się jednak należy, że obok doświadczonéj już po części w téj mierze poprawy obyczajów, następnemi czasy, przy staraniach rządu i temu złemu położony będzie koniec.

Podług spisów statystycznych ludność włościan kurpiami zwanych, w gubernii augustowskiéj znajdujących się, wynosi mężczyzn głów 8,089 i kobiét głów 8,537, czyli razem głów 16,626.

Osiedlili się oni w 35 wsiach gminy Czerwone i 39 wsiach gminy Kupiszki w powiecie łomżyńskim położonych.

Pomiędzy temi jest osiadłych:

Gospodarzy rolnych	męż.	4,748,	kob.	4,769.
Ogrodników	„	2,568,	„	2,840.
Kątników	„	773,	„	928.

Z tych wyznają wszyscy religią rzymsko-katolicką, prócz mężczyzn 21 i kobiét 26, którzy są ewangelikami.

O POEZYI WŁOSKIÉJ W ŚREDNICH WIEKACH

JAKO ŹRÓDLE DO

BOSKIÉJ KOMEDYI DANTA.

PRZEKŁAD

z A. Fryderyka Ozanama.

V.

POEZYE JACOPONA.

Powinniśmy zbadać, jakim sposobem w duszy świętego obudził się nagle geniusz poetycki. Moda nakazuje dziś szukać w pogaństwie jedynych źródeł poetycznego natchnienia; z naszéj strony pragniemy wykazać o ile Ewangelia mogła działać na wyobraźnią: nie Ewangelia osłabiona wymysłami retorów, ujęta w formę światowéj epopei, ale Ewangelia w pełni pierwotnéj powagi, z przerażającemi tajemnicami swemi.

W chwili, gdy Jacopone porzucał majątek, wzięłość i poklaski, zdawało się, że opuszcza wszystko, co utrzymywało płomień jego inteligencyi. Przyjaciele mogli przewidywać z żalem, iż tak dzielny umysł stłumi się w klasztornéj zaciszy; ale przyjaciele byli w błędzie, a on odzierając się ze wszystkiego, oswobadzał się tylko. Poezya spoczywa w duszy poety, jak posąg w bryle marmuru; jest ona uwięziona tylko, i musi wydobyć

się z niéj w całym blasku. Zarówno jak dłuto obciosuje pokłady kamienne, pod któremi kryje się myśl poczęta w duchu rzeźbiarza; tak pokuta, uderzając silnemi ciosami w duszę Jacopona, strącała po jednéj łupiny zmysłowości, próżności i chciwości, tamujące polot jego natchnienia. Uwolniony od światowych związków zbliżył się do przyrody, bezstronniejszą i przenikliwszą miłością ukochał idealną piękność, odbijającą z pod mglistéj zasłony we wszystkich dziełach stworzenia. W chwilach najwyższego uniesienia, wołał przejęty miłością Bożą: „Pójdę kędy mnie wzrok poniesie, zbiegnę doliny, góry i płaszczyzny; zobaczę ażali dobra moja gwiazda da mi spotkać pełną słodyczy miłość. Cokolwiek w szerokim napotykam świecie, wzywa mnie do miłości. Zwierz polny, ptastwo powietrzne, ryby w otchłani oceanu, słowem wszystko co żyje, co oddycha, wszelkie stworzenia śpiewają w obec miłości mojéj (1)." Gdy duch zasłyszy tę pieśń wszechstworzenia, musi mu także przywtórzyć: sam rytm spłynie wtedy z ust natchnionych. Nareszcie w chwili, gdy Jacopone zamykał się w murach klasztoru, znalazł je brzmiące jeszcze pieśniami św. Bonawentury i św. Franciszka. Nie ma więc dziwu, że dośpiewał dalsze ich tony, że je uzupełnił i udoskonalił, a skąpany łzami pokuty, podniesiony modlitwą i umartwieniem, nieśmiertelne dodał do nich piękności.

Miał on do wyboru dwoiste wzory mistrzów: pieśni włoskie św. Franciszka, albo rymy łacińskie św. Bonawentury. Wiersz rymowany (zwany sequence) wielce przypadł do smaku ludu, kadencya jego miléj wpadała mu w ucho od uczonéj prozodyi starożytnych. Rym łaciński wprowadzony do obrzędów kościelnych za czasów św. Augustyna, uprawiany w szkołach średniowiecznych, doszedł w XIIIym wieku najbuj-

(1) Jacopone, Poesie spirituali, lib. VI. XXXIV.

niejszego rozkwitu. Obok cudownych rymów św. Tomasza na cześć Przenajświętszego Sakramentu, hymn Dies irae przypisywany papieżowi Innocentemu III, rozlegał się ponuro pod wzniosłemi sklepieniami kościołów. Jacopone przywtarzając tym pieśniom, odezwał się głosem Maryi bolejącéj u stóp krzyża, i wyśpiewał słynny hymn Stabat Mater dolorosa. Liturgia katolicka nie posiada nic tkliwszego nad tę skargę tak smutną, któréj jednostajne strofy spadają jakby łzy boleści; tak słodką, iż snadno pojąć, że tę nadziemską boleść pocieszyli już aniołowie; tak wreszcie pełną prostoty, że ją sercem pojmowały i niewiasty i dziatki, choć w niedostępnéj im napisana była łacinie (1).

(1) Dajemy tu wierny przekład pieśni *Stabat Mater dolorosa*:

Stała Matka bolejąca
Pod krzyżem we łzach tonąca,
Gdy na krzyżu Syn Jéj wisiał.
Któréj duszę tak strapioną
I w żalu nieutuloną
Miecz, ach! srogi miecz przenikał.
O! jak bardzo zasmucona
Była ta błogosławiona,
Matka Jednorodzonego.
O! jak drżała i cierpiała
Czuła Matka, gdy widziała
Mękę Boga-syna swego.
Któryż z ludzi łez nie leje
Patrząc na to, jak boleje
Chrystusa Matka rodzona?
Czyjeż serce się nie skruszy
Widząc Matkę na katuszy,
Jak w Synu wespół męczona?
Za grzechy swojego ludu,
Widzi go, wśród męki trudu
I na bicze wydanego.
Widzi jak Syn Jéj rodzony
Kona, zewsząd opuszczony,
Gdy oddaje ducha swego.
O Matko! źródło miłości!
Daj mi cząstkę Twéj żałości,
Bym zapłakał z Tobą— Droga!
Spraw, niech serce me zapłonie

Dzieło to niezrównane, samo przez się utrwaliłoby już poetyczną chwałę Jacopona; ale jednocześnie, ze Stabat Mater u stóp krzyża na Kalwaryi, ułożył Stabat u żłobu, gdzie ukazał Maryą Dziewicę w niepokalanéj radości macierzyństwa. Pieśń tę napisał na takiż sam rym i miarę. Potomność wybrała jednę z pomiędzy dwóch pereł, drugą zaś zagrzebała w prochu niepamięci. Pieśń Stabat Mater speciosa nie była dotąd wydaną. Oto jéj początek, słabo odbijający się w przekładzie, pozbawiony całego wdzięku melodyi i naiwnéj starożytnéj prostoty: „Stała Matka uradowana, stała pełna wesela przy sianku, na którém spało Dzieciątko.

I w miłości niech zatonie,
Twego syna, mego Boga!
Święta Matko, spraw to, proszę,
Niech Jezusa rany noszę
W sercu mojém, ach, głęboko!
Twego Syna zranionego
I tak za mnie cierpiącego
Mękę, postaw mi na oko.
Spraw, niech zawsze płaczę z Tobą,
Twoją przeniknion żałobą,
Nad Twoim ukrzyżowanym.
Z Tobą niech pod krzyżem stoję,
Z Twemi zawsze niech łzy moje
Płyną, nad Twym ukochanym.
Święta Panno nad Pannami
Pociesz się mojemi łzami:
Spraw, bym z Tobą rzewnie płakał.
Spraw, bym śmierć Chrystusa nosił,
Bym się w mękę Jego wprosił
Na rany Jego pamiętał!
Niech mnie zranią Jego rany,
Niechaj w krzyżu zakochany
Męką się Jego upoję.
Bym nie popadł w ogień wieczny,
A w dzień sądu stał bezpieczny
Niech przy Tobie Matko stoję.
O Jezu! w śmierci godzinę
Daj mi przez Matki przyczynę
Osiągnąć zwycięztwa wieniec.
A gdy ciało skrzepnie w grobie
Daj, by dusza już przy Tobie
Czuła, żeś Jéj Oblubieniec. Amen.

Dusza jéj rozpłomieniona i drżąca, przenikniona była promieniem niebieskiéj radości. Któryż człowiek nie podzieli jéj szczęśliwości, widząc Matkę Chrystusa cieszącą się miłym synem? Za grzechy swojego ludu, widziała Chrystusa w pośród bydląt, przejętego chłodem; widziała Chrystusa, słodkie dzieciątko, kwilące w lichém schronieniu, a jednak tak uwielbione. Przed Chrystusem narodzonym w żłobku, obywatele niebiescy przybyli śpiewać pienia niewysłowionéj radości. Stali u żłobu Starzec i Dziewica, stali milczący: serca ich oniemiały z podziwienia (1).”

(1) *Biblioteque nationale, manuscript.* Nr. 7785, f. 109 verso:

Stabat Mater speciosa
Juxta foenum gaudiosa
Dum jacebat parvulus.
Cujus animam gaudentem
Laetabundam et ferventem
Pertransivit jubilus.
O quam laeta et beata
Fuit illa immaculata
Mater unigeniti.
Quae gaudebat, et ridebat
Exultabat, cum videbat
Nati partum inclyti.
Quis est qui non gauderet (sic)
Christi Matrem si videret
In tanto solatio?
Quis non posset collaetari
Christi Matrem contemplari
Ludentem cum filio?
Pro peccatis suae gentis
Christum vidit cum jumentis
Et algori subditum.
Vidit suum dulcem natum
Vagientem, adoratum
Vili diversorio.
Nato Christo in praesepe,
Coeli cives canunt laete
Cum immenso gaudio.
Stabat senex cum puella
Non cum verbo nec loquela
Stupescentes cordibus.
Eia Mater, fons amoris
Me sentire vim adorris

Ta pieśń przypomina zupełnie obrazy starych mistrzów. Jeden z nich pędzla Lorenza de Credi, wyobraża na piérwszym planie Dzieciątko położone na sianku. Obok stoi św. Józef wsparty na kiju, Najświę-

Fac ut tecum sentiam!
Fac ut ardeat cor meum
In amando Christum Deum,
Ut sibi complaceam.
Sancta mater, istud agas
Prone (sic) introducas plagas
Cordi fixas valide.
Tui nati coelo lapsi
Jam dignati foeno nasci
Poenas mecum divide.
Fac me vere congaudere
Jezulino cohaerere,
Donec ego vixero.
Im me sistat ardor tui,
Puerino fac me frui,
Dum sum in exilio.
Hunc ardorem fac communem,
Ne facias me immunem,
Ab hoc desiderio.
Virgo, virginum praeclara,
Mihi jam non sis amara:
Fac me parvum rapere.
Fac ut portem pulchrum fantem (sic)
Qui nascendo vicit mortem
Volens vitam tradere.
Fac me tecum satiari
Nato tuo inebriari,
Stans inter tripudia.
Inflammatus et accensus,
Obstupescit omnis sensus
Tali de commercio.
Fac me nato custodiri
Verbo Dei praemuniri,
Conservari gratia.
Quando corpus morietur
Fac ut animae donetur
Tui nati visio.

Tu kończy się pieśń Jacopona: obca ręka zapewne dodała następujące strofy:

Omnes stabulum amantes
Et pastores vigilantes
Pernoctantes sociant.

tsza Marya Panna klęczy przejęta świętą radością macierzyństwa. Obok niéj i za nią ukazują się aniołowie, zdaleka stoi wół i osioł, wierne bydlątka, które wraz z ludem dzieliły radość z Pańskiego narodzenia.

Pomiędzy dziełami Jacopona znajdujemy kilka innych jeszcze łacińskich pieśni; ale ten język uczonych i mędrców, nie przystawał do pokory nawróconego grzesznika. Pobożny pokutnik zarówno jak nie przyjął wyższych święceń, ale pozostał braciszkiem zakonu; tak téż i porzucił łacinę i począł pisać po włosku: nie owym językiem, który Dante zowie językiem dworów, lecz narzeczem ludu osiadłego w górach Ombryi, narzeczem rolników i pasterzy. Wtedyto płomień natchnienia ogarnął go całego, wypłynął na zewnątrz w nieskończonéj liczbie pieśni, dotyczących to najwyższych zagadnień metafizyki chrześciańskiéj, to sporów kościelnych, to nareszcie pełnych namaszczenia tajemnic. Zbiór poezyj Jacopona zawiera 211 pieśni zebranych w siedmiu tomach; podzielimy je na trzy oddziały: na poemata religijne, satyry i drobne utwory pisane w celu upowszechnienia świętéj myśli, lub na uczczenie kościelnych uroczystości.

Mimo, że pokutnik z Todi chciał zagrzebać w wiecznym pomroku umiejętność swoję i naukę, potomność jednak umieściła go w liczbie słynnych teologów. Przytoczyliśmy już poemat, w którym zniechęcony szkolnemi sporami, żegna doktorów i księgi, pragnąc

Per virtutem nati tui
Ora ut electi sui
Ad patriam veniant. Amen.

Oto spis innych łacińskich wierszy (sequences) zamieszczonych pomiędzy utworami Jacopona:

F. 104 verso: Ave fuit prima salus.
F. 106 recto: Jezu dulcis memoria.
F. 107 recto. Verbun caro factum est.
F. 108 recto: Crux te, te volo conqueri.
F. 108 verso: Cur mundus militat sub vana gloria.
F. 109 recto: Ave, regis Angelorum.
F. 111 recto: Stabat Mater dolorosa.

dojść krótszą drogą do poznania prawdy. Często spotykamy podobne przykłady; jednak gdy umysł wyższy wypowiada walkę nauce, nie zawsze dotrzymuje słowa; wróci on znowu pod jéj prawa, żyć będzie nią i umrze na jéj posługach. Gdy Jacopone mniemał, że porzuca filozofią, zmieniał tylko stanowisko na jéj polu, i ze strony dogmatyzmu przechodził do obozu mistyków. Znalazł tam inną szkołę, rozpoczętą od Dyonizyusza Areopagity, do któréj należeli: Scot Erigenes, Hugo i Ryszard z St. Victor, nakoniec św. Bernard. We Włoszech, mianowicie w dolinach Avellana, Vallombrosa i Flory, natchnienie mistyczne wydało kilka pokoleń ludzi poświęconych wyłącznie rozmyślaniu. Umysły zbudzone głosem świętego Piotra Damiana, pociągnięte objawieniami księdza Joachima aż do krańców ostatecznego mistycyzmu, miały już wpaść w bezdeń odszczepieństwa; gdy święty Bonawentura zwrócił je na pewniejsze drogi i wprowadził na wysokość, zkąd mogły bezpieczniéj rozważać Boga, bez obawy upadku. Jacopone poszedł torem tych przewodników, przenikniony do głębi ich wspomnieniem, oświecony blaskiem ich nauki.

Zanim rozpoczniemy rozbiór systematu, który z wielu względów nie wytrzyma krytyki; musimy powiedzieć, że istnieje rodzaj mistycyzmu, nie ulegający najmniejszym zarzutom: mistycyzm prawdziwy, będący zasadą wszelkiéj religii. Każda bowiem religia ma za cel połączyć człowieka z Bogiem węzłem miłości, łaski i nadprzyrodzonego objawienia. Bez tego koniecznego mistycyzmu nie ma teologii chrześciańskiéj: mistycyzm dał natchnienie św. Tomaszowi z Akwinu i Bossuetowi, niedowiarstwo tylko policzyło go do rzędu doktryn, w których prawda połyska pod osłoną fałszu.

Na tém polega zasada filozofii mistycznéj, że uznajemy w sobie chwile wyższego natchnienia, które nagle pod wpływem zachwytu odkrywają nam prawdy, nie-

dostępne czystemu rozumowaniu. Ależ te połyski wtedy tylko oświecają duszę, gdy ta sama siebie przepomina, gdy wyższym uniesiona polotem, wyzwala się zpod władzy zmysłów i namiętności. Są więc światła ukryte ludzkiéj wiedzy, a pełnym promieniem przyświecające cnocie; jest ku osiągnieniu prawdy droga moralna, pewniejsza od logiki. Dlatego to wszyscy mistycy zaczynają od uznania niedostateczności rozumu: Jacopone idzie daléj jeszcze. Z wymową pełną zapału, daleką od umiarkowania św. Bonawentury, a przypominającą raczéj gorliwość św. Piotra Damiana, odprzysięga się zarówno nauki Arystotelesa i Platona, jak uczonych podań starożytności i wybiegów współczesnéj scholastyki, a w metodzie paryzkiego uniwersytetu, która rzuciła tyle światła, widzi tylko pychę wiedzy i próżność słowa. „Paryż, mówi on, podkopał Assyż i wprowadził go na złą drogę.” Przeciwko sporom téj słynnéj szkoły, przeciwko dysputom, jakie gotowa była prowadzić z piérwszym lepszym przybyszem, ukazuje ostateczny egzamen, jaki każda dusza przejść musi, w którym wszelkie sofizmata będą niczém, stawione przeciw sylogizmom Najwyższego Sędziego. W innem miejscu, wystawia mądrość niedostępną fałszywym mędrcom: „próżno, mówi on, przychodzą uzbrojeni w klucze, próżno kołaczą w podwoje, zamknięte dla nich na wieki... Prawdziwa mądrość uczy ludzi miłością i objawia się tylko czystym sercom” (1).

Droga obrana przez mistyków, jakkolwiek śmielsza, nie jest przecież mniéj uciążliwą. Unikając wykrętów logiki, rzucają się w głębokości moralne i ztamtąd zmuszeni są dochodzić do badania człowieka. Usiłują oni przedewszystkiém rozwikłać odmęt upadłéj natury ludzkiéj i porozróżniać sprzeczne namiętności,

(1) Jacopone, *Poesie spirituali*, lib. 1, sat. 10, sat. 18, sat. 8. Cf. Saint Pierrre Damien. Liber inscriptus Dominus vobiscum cap. 1.

wydzierające sobie wzajemnie rządy w dziedzinie ludzkiego serca. Jak wszyscy chrześciańscy moraliści tak i Jacopone, daje siedm powodów rozprzężenia ludzkiej woli. Pięć z nich wypływa z rozumu: pycha z czterema córkami spłodzonemi na plagę świata, zazdrością, gniewem, lenistwem i łakomstwem. Dwie ostatnie rodzą się z ciała: nieczystość i obżarstwo. Nie ma dziwu, że poeta z przerażeniem pogląda na to rozrodzenie się złego, że dusza pogrążona w grzechu wydaje mu się piekłem. „Pycha, mówi on, zasiada tam na tronie; lepiéj byłoby duszy mieścić w sobie szatana. Zazdrość roztacza tam ciemną chmurę i tak grubym pomrokiem osłania wkoło serce, że nikną w niém ślady wszelkiego dobra. Tam zapala się płomień gniewu i podżega serce do złego, wstrząsa duszą do głębi, miota nią i pęta, jakoby wściekłe zwierzę. Tam lenistwo wieje lodowatym chłodem i wszelki wystudza zapał. Chciwość jak żarłoczny robak wyssysa z serca najżywotniejsze soki. Obżarstwo jak smok pochłania wszystko co napotka, nie pomnąc, że wstawszy od biesiadniczego stołu, przyjdzie zapłacić należytość. Rozpusta, jakby cuchnący płomień siarki trapi duszę, która podejmuje takich gości. Przyjdź ludu, przyjdź i podziwiaj! wczoraj dusza była piekłem, dziś oto Bóg w raj ją zamienia (1)."

Ale ta przemiana nie jest dziełem dnia jednego. Odbywa się ona w trzech dobach, które doktorowie nazwali: życiem oczyszczającém, życiem oświeconém światłem Bożém, a nakoniec życiem jednoczącém człowieka z Bogiem.

Trzeba naprzód, aby dusza zatrwożyła się własnego upadku, dlatego Jacopone stawia jéj parabolę: „Gdyby król francuzki miał córkę i w niéj jedyną dziedziczkę, chodziłaby przyodziana w białą szatę i sława

(1) Jacopone, *Poesie spirituali*, lib. II, 9, 11.

jéj przyświecałaby w kraju. Lecz gdyby ta córka uwiedziona słabością serca, złączyła się z trędowatym i była mu powolną, jakżeby świat uważał taki związek? O! duszo moja! gorzéj uczyniłaś zaprzedając się zwodniczemu światu!" Na wspomnienie niebieskiego początku swego i pierwotnéj piękności, na widok Boskiego obrazu, dochowanego mimo skażenia, dusza czuje żal i wylewa łzy skruchy. Poeta zna tajemną ich potęgę: „O! łzy, woła on, wy macie moc i łaskę! wam przynależy władza, wam królowanie! Wy stawacie same w obec Sędziego, a próżna trwoga nie wstrzymuje was w drodze. I nigdy nie wracacie bez owocu: pokorą zwyciężacie wielkość i zniewalacie Wszechmocnego Boga!" Ale nie ma skutecznego żalu, bez silnéj żądzy zadosyćuczynienia, odpokutowania i wyrugowania złego do szczętu. Wola jest jak krzepki oracz, wytrwały na chłód i spiekotę: znojem pochylony ku ziemi, nie powstanie, aż ją oczyści do ostatka; nie spocznie na łożu, dopóki rola jego nie zostanie należycie uprawną. Umartwienie ma zatém powściągać i pokonywać zmysły: ukarze słuch surowemi słowy, smak wstrzemięźliwością, węch pielęgnowaniem chorych, dotykanie włosiennicą, aż ciało zwyciężone, poddając się nakoniec, zaniecha wszelkiego rokoszu i skargi (1).

Czas więc aby dusza oczyszczona, rozwinęła polot ku górze i zasługą doszła do téj wysokości, gdzie Bóg nie odmówi jéj światła. Tu mistycy mają zwyczaj ustawiać niby drabinę cnót chrześciańskich. Składają

(1) Jacopone *Poesie spirituali*, lib. V, 15, 23, stance 11.

O lacrima, con grazia gran forza hai:
Tuo e lo regno, e tua e la potenza.
Sola davanti al giudice ne vai,
Ne ti arresta da ciò nulla temenza, etc.

Piękne te wiersze przypominają śliczny ustęp ś. Damiana, o potędze łez. *De perfectione monachorum*, cap. XII: „Lacrymarum quippe mador animam ab omni labe purificat, et ad proferenda virtutum ger-

jéj szczeble z siedmiu darów Ducha św., ze czterech cnót kardynalnych, znanych filozofowi, i z trzech cnót teologicznych, przez które święci zdobywają niebo. Szczeble Jacopona przypominają drabinę jaką widział we śnie Jakób patryarcha, opartą na ziemi, a niknącą w obłokach. Lecz z téj drabiny zwilżonéj rosą z nieba, wykwitły już liście i owoce. Na piérwszym szczeblu stoi bojaźń i pokora, początek wszelkiéj doskonałości; na drugim ubóstwo i jałmużna, które pospołu gardzą znikomemi skarby; na trzecim litość i współczucie; na czwartym posłuszeństwo i zaparcie siebie; na piątym wstrzemięźliwość i sprawiedliwość z wagą i mieczem w ręku. Na szóstym szczeblu stoi rada z posiwiałym włosem, i mądrość z otwartą księgą na łonie; siódmego strzeże czystość i inteligencya; na ósmym zasiada moc i wielkoduszność, uzbrojona do boju; na dziewiątym wiara i nadzieja; na dziesiątym wytrwałość z palmą, a po nad wszystkiemi miłość z ognistém berłem w dłoni: „albowiem rzecz wielce sprawiedliwa, aby trzymała piérwsze miejsce, jako królowa ukoronowana i wszechmocna pani.” Dusza postępując po szczeblach niebieskiéj drabiny, czuje dziwną słodycz; a doszedłszy do szczytu, dostrzega z zachwyceniem Niestworzonego, od którego oblicza bijąca światłość, wszelkie ogarnia stworzenia: tam dusza odpoczywa w świętém rozmyślaniu. Wszakże nie zawsze sama cnota może doprowadzić inteligencyą na tak niedostępne wyżyny. Mistycy uznali potrzebę ujęcia w ład polotu myśli, naznaczając jéj pewne prawidła. Przeciw sztuce szkolnéj stawiają oni ćwi-

mina nostri cordis arva fecundat. Lacrymae porro quae a Deo sunt, divinae exauditionis tribunal fiducialiter adeunt, et impetrantes praesto quod petunt de peccatorum nostrorum certa remissione confidunt. Lacrymae sunt in foederanda inter Deum et homines pace sequestres, et veraces sunt atque doctissimae in qualibet humanae ignorantiae dubietate magistrae. IV, 33.

Udite una tenzone
Ch'è fra l'anima e'l corpo.

czenia w samotnéj dokonywane celi; a Jacopone wraz z świętym Bernardem, wskazuje cztery stopnie, po których wchodzi się w głąb sanktuarium. Piérwszym jest czytanie z czystą myślą i prostotą ducha; daléj rozmyślanie przyswaja sobie treść tekstu; potém modlitwa błaga wiekuistą prawdę, aby rozdarła ostateczne zasłony; nakoniec rozpamiętywanie (kontemplacya) cieszy się pełném uczuciem ze zdobytéj prawdy, z wynalezionéj nowéj filozofii, w obec któréj wszelkie inne mglistemi były mrzonkami (1).

Ale jeżeli z początku trzeba było więzić uczucie, aby oswobodzić inteligencyą; teraz gdy inteligencya weszła w posiadanie prawdy, uczucie pała chęcią zjednoczenia się z najwyższém dobrem. Dusza zatém o tyle łączy się z dobrem wiekuistém, o ile się odrywa od dóbr niższego rzędu. Ulata ku wysokości w miarę jak zrzuca z siebie brzemię ziemskie. Tak więc ubóstwo staje się nietylko prostą regułą zakonu św. Franciszka, ale przybiera nadto powagę prawa, władnącego światem duchów. Jacopone zna trzy stopnie zubożenia się, które porównywa do troistego nieba starożytnéj astronomii.

Gdy dusza zrzuciła z siebie namiętną chciwość zbiorów, pychę wiedzy i żądzę chwały: wtedy jaśniejąca cnotą, podobną jest do gwiazdzistego nieba. Wszakże pod świętnemi gwiazdami, wiatr wiejący ze czterech stron świata, zapełnia jeszcze przestrzeń, a i w czystéj duszy walczą nawzajem cztery sprzeczne potęgi: radość, boleść, nadzieja i trwoga. Jeżeli dusza odtrąci te uczucia, jeżeli dojdzie do punktu, kędy wola stanowi bez trwogi i bez nadziei, gdzie cnota sama sobie jest pobudką; od téj chwili staje się podobną do nieba kryształowego, wolnego od burzy, którego ruch jedno-

(1) Jacopone, II, 31, 26; v. 23, stances. 19—22. Cf. Saint Bernard, de scala claustralium.

stajny porusza wszystkie sfery. Nakoniec dusza przez ostatnie wysilenie może odrzucić figury i obrazy, które dopomogły jéj do odkrycia rzeczy niewidzialnych; może posunąć zaparcie aż do nieuznania własnych cnót: słowem może unicestwić się zupełnie. Wtedyto podobną będzie do niebios empirejskich, utwierdzonych po nad otchłanią, w których mieszka Bóg. Taki stan zaprawdę nie ma nazwy: miłość żyje w nim sama przez się bez słowa, bez rozumowania, bez namiętności, w wielkiém świetle, promieniejącém w pośród cieniów. Żyje, ale nie żyje sobie, jéj jestestwo nie do niéj należy; przeistoczona w Chrystusa, wolę Boga, własną uczyniła wolą. Poeta uczcił wielokrotnie cudowną tajemnicę takiego unicestwienia siebie; wié co mu zagraża, to téż doprowadziwszy duszę do szczytu, radzi, aby czuwała; „Gdy się ujrzysz na najwyższym szczeblu wysokości, wtedy duszo moja lękaj się upadku! Pozostań cicha i pokorna, spędź z myśli próżną chwałę, która pobudza naturę ludzką, aby we wszystkiém własną upatrywała korzyść. Złóż dzięki Najwyższéj potędze i powiédz: O! żywocie, błagam ciebie, zachowaj mnie jeszcze! Nie wiem, ażali nie jestem zły i przestępny, wszakże łaska wszelka spływa mi jedynie przez ciebie (1)!

Stanęliśmy tu nad przepaścią. Gdy Jacopone przeprowadza duszę przez nicestwo, wiodąc ją do Boga, wyrażenia jego przesadne przypominają panteizm judyjski, wystawiając jako kres szczęśliwości wieczną apatyą i unicestwienie ludzkiéj jednostki, w nieskończoności Boskiéj. Gdy wielbi spoczynek, w którym milknie wszelka trwoga i wszelka nadzieja; gdy się nie troszczy o zbawienie i żąda piekła, z warunkiem, że tam pomieści z sobą miłość: jest wtedy blizkim kwietyzmu,

(1) Jacopone, II, 23—20; v. 34, VII, 19, v. 23, stance 18.
Quando tu fossi poi piu alto salita,
Allor ti guarda piu di non cadere.

który obłąkał naówczas tylu fałszywych mistyków (1). Właśnie, gdy rozdwojenie w zakonie świętego Franciszka dało początek braciom rygorystom, wielu z nich wiedzionych duchem sprzeciwieństwa i nowatorstwa, rzuciło się w nową doktrynę, która od kilku lat niepokoiła kościół: „Jak panowanie Boga Ojca w Starym zakonie ustąpiło miejsca panowaniu Syna, który zakreślił prawa Nowemu zakonowi; tak, mówiono, przyszedł czas, w którym spełnić się miało przyjście Ducha świętego, a w którym na zwaliskach doczesnych zasad miała się ugruntować wiekuista ewangelia. W tych nowych warunkach, człowiek nie opuszczając ziemi mógł dojść do doskonałości błogosławionych, a zatém do ich wolności i bezgrzesznego stanu. Odtąd prawo nie miało go już wiązać, mógł zaniechać wykonywania cnót, aby nie mącić używanego w pełni spokoju; a rozsądek, mistrz zmysłów, mógł bez obawy pozwalać im upragnionéj uciechy." Takie marzenia wylęgłe w celach klasztornych, głoszone na zgromadzeniach ludu, podniecały niezliczoną moc sektarzy pod nazwiskami Fratriulów i Beggards'ów, ogarniały Włochy pożogą domowéj wojny, a chrześciaństwo w niebezpiecznem stawiały położeniu (2). Ale pokora Jaco-

(1) Jacopone, II, 20;

De l' inferno non temere
Ne del cielo speme avere.

II, 26:

Dimandai a Dio l' inferno
Lui amando e me perdendo.

Można tu poznać wszystkie wyobrażenia o kwietyzmie, poruszone w sporze Fenelona z Bossuetem. Zważmy mianowicie Bossueta: *Instructions sur les etats d'oraisons* lib. III. Wyrażenia poety nie dozwalają nam rozpoznać, czyli to unicestwienie, w którém milknie trwoga i nadzieja, jest u niego stanem przemijającym, czyli też stanem trwałym i stanowczym. Byłbyto błąd potępiony w dziele: *Maximes des Saints*. Wprawdzie za jego czasów pytanie to nie miało takiego znaczenia jak następnie; nie dziwmy się więc, jeżeli go nie rozstrzyga w wyrażeniach według zasad ściśléj teologii.

(2) Raynaldus, *Annales eccles. contin.* ad ann. 1294, 1297, 1311, 1312. Muratori, *Scriptores rer. Italic.*, IX *Historia Dulcini heresiarchae.* Wadding, *Annales* ad ann. 1297.

pona uchroniła go od tego rodzaju obłąkania. W najwyższym ducha zachwycie, ma on świadomość swojéj ułomności; wié, że z najwyższego podniesienia duch ludzki upaść może, że rozmyślanie nie uwalnia od zasługi czynu. Ten sługa prawdziwéj miłości, zawistnie ściga adeptów miłości skrzywionéj, a obelgi jakie na nich miota, dają nam żywotnie poznać ówczesne spory. „Miłość nie oparta na mądrości, nie umié dostrzedz nadużycia: obala prawa, ustawy i obyczaje; mniema, że doszła do takiéj podniosłości, gdzie żadne prawo zobowiązywać już nie może. Ale ty miłości, w któréj jest źródło żywota, ty nie obalasz praw, ale je zachowujesz: a tam, gdzie ich nie ma, stanowisz je sama. Tak zaiste, wszelki czyn jest dozwolonym, ale nie każdemu. Kapłanowi ofiara, małżonkom wspólne pożycie, sędziemu miecz sprawiedliwości. Kto żyje bez prawa, w bezprawiu też zaginie, Trafi do piekła, kto drogę obrał ku piekłu. Tam nagrodzą się wszelkie nienawistne Bogu bezrządy. Ci co społem grzeszyli, społem też odcierpią karę" (1).

(1) Jacopone, lib. V, 23, stances. 18, 52, 54, st. 8.

Voi l'amor che cosi sia
Che noi stiam contenti al quia,
Ma imperò che tutta via
Noi ne sforziamo di fare.

Jedno tu wyrażenie Dant naśladował.

State contenti, umana gente, al quia.

Purgatorio III, 37.

Lib. V, 1:

Amore contrafatto
Spogliato di virtute.

Niekiedy pieśń Jacopona przypomina najpiękniejszą stronnicę Naśladowania, np. gdy nadaje duszy dwa skrzydła, czystość serca i prostotę intelligencyi:

„Człowiek wzbija się nad rzeczy ziemskie dwoma skrzydłami, tojest prostotą i czystością."

Naśladowanie, księga II, roz. IV.

KRONIKA LITERACKA.

Makbet, tragedya Szekspira, przełożył wierszem A. E. Koźmian. Poznań. 1857.

Bieżący okres naszéj literatury odznacza się bogactwem przekładów poematów i arcydzieł dramatycznych: Korzeniowski, Jankowski, Hołowiński, Paszkowski, Komierowski, tłumaczą Szekspira; Budzyński Michał, Szyllera; mamy trzy tłumaczenia Manfreda, przygotowują się przekłady Kalderona; Kamiński przepolszczył Jerozolimę Wyzwoloną; niedawno czytaliśmy Child-Harolda po polsku, niedługo posiadać będziemy kilka tłumaczeń Boskiéj Komedyi (Korsaka, Jezierskiego, Strojnowskiego, Lenartowicza i Kulczyckiego) i t. d., bo trudnoby mi było wszystko wymienić: a oto znowu mamy przed sobą Makbeta po polsku. Co znaczy ten kierunek w pracach literackich? Maż to być świadectwem szerzącego się u nas coraz bardziéj upodobania we wszystkiém, co najpiękniejszego w piśmiennictwie duch ludzki utworzył? Czyli téż ma to znaczyć, że źródła twórczości już nie tak obficie jak dawniéj wytryskają? Bądź co bądź, tego rodzaju objawy nie mogą jak tylko stać się dzielnym środkiem estetycznéj kultury.

Szczególny zasób przedstawia nasza literatura w przekładach Szekspira, że już o tłumaczeniach dawniejszych z przerobień francuzkich nie wspominamy. I nie dziw: Szekspir zajmuje takie stanowisko w dramacie nowoczesnym, jakie Homer w epopei. Koniec XVI i połowa piérwsza XVII wieku wydały dwóch wielkich, a całkiem różnych od siebie dramaturgów: Szekspira i Kalderona, którzy po mistrzowsku wcielili wszystkie skarby chrześciańskiéj cywilizacyi w najwyższy rodzaj

literackiego i artystycznego tworzenia: mówimy najwyższy rodzaj, bowiem żaden inny w literaturze, ani żadna sztuka nie działa tak połączonemi siłami jak dramat: słowem, tonem, kształtem, barwą, gestem, ruchem i działaniem. Dramat starożytny był prosty jak i samo życie przedstawiające zgodę z naturą, akcya była w nim pojedynczą; innym musiał się stać dramat nowoczesny. Chrześciaństwo odsłoniło i wypełniło światłem swém nieznane dotąd głębiny ducha, myśl w świętym polocie rwała się na skrzydlach wiedzy i natchnienia przenieść przez przepaści oddzielające ją od świata nadprzyrodzonego; rozszerzony widnokrąg umiejętności, rozwój życia społecznego i różnostronnych jego stosunków, odkrycia, wrażenia z podróży do dalekich krain: wszystko to spływało ku sztuce. Ztąd gdy dramat starożytny polegał głównie na akcyi, a nie na przedstawieniu charakterów, bo tam bohaterowie działają bezświadomie pod wpływem wyższéj siły; gdy w dramacie starożytnym wrażenie wspaniałéj całości nie potrzebowało być zakłócane grą rysów lub namiętności indywidualnych (maski): to przeciwnie my nowocześni chcemy wnikać w tajemne poruszenia serca, w delikatne odcienia natury ludzkiej, w grę uczuć, i dlatego u nas katastrofa w dramacie nie jest najważniejszą rzeczą; ztąd téż u nas powstawanie, zaczątek działania, leżące w charakterze, są ważniejsze od samego działania, a powstanie charakteru jest najważniejszém jako geneza samego charakteru i działania, na których dramat polega. Właśnie téż cała sława Szekspira polega na przewadze charakteru nad działaniem, na charakterach pełnych życia i prawdy, które zarazem są typami; u niego panującą zasadą nie jest jedność działania, jąk chce Arystoteles, ale jedność (istota, idea) charakteru, która góruje nad działaniem, nad całym dramatem: i tym sposobem wszystkie zboczenia wracają do głównéj nici, wszystko zlewa się w harmonią całości pomimo krzyżowania się kilku działań; tak samo jak w obrazie, obok głównego działania kilka innych przedstawiającym, w którym jednak dla widza jedność duchowa istnieje.

Tu miejsce wspomnieć o napomkniętém wyżéj przeciwieństwie dwóch geniuszów dramatycznych, polegającém na różnicy plemiennéj; Szekspir, malarz charakterów, odznacza się nadto głębokością i analizą myśli, jako uosobienie germanizmu; Kalderon poeta romański, w potokach uroczego liryzmu, w płomiennéj akcyi wciela ideę, główną myśl dramatu, błyszczy skarbami imaginacyi, kwiatami fantazyi i cudném bogactwem

formy. Kalderon jest największym dramaturgiem katolicyzmu, Szekspir protestantyzmu. Szekspir przedstawia całą rozmaitość życia, jego sprzeczności i zagadki; Kalderon w zamęcie i boleści szuka duchowego światła, które nad cierpieniem i śmiercią nowe życie rozświeca: taki rodzaj najbardziéj chrześciańskiemu pisarzowi przystoi, i w tym Kalderon nad innych celuje.

Zamierzając ocenić przekład Makbeta, powiedzmy najpierw, na czém istota tłumaczenia polega. Tłumaczenie, jeśli tak rzec można, powinno być równosilne z oryginałem, tojest przenieść do przekładu wszystkie piękności i oddać każdy ustęp z tą samą siłą, z takim charakterem i w takiéj formie, jak w oryginale. Ale tu właśnie tłumacz jest między Scyllą a Charybdą; bo strzedz się musi niewolniczego kopiowania i zbyt swobodnego naśladownictwa: w pierwszym razie dagerotypując pierwowzór nie uchwyci ducha utworu i nie będzie mógł natchnąć nim niewolniczéj formy; w drugim odtworzy w sobie natchnienie mistrza i ożywi niém swój przekład, pozbawi go jednak fantastycznego stroju, oraz żywego a odrębnego kolorytu, i stanie się prawdziwym traduttore-traditore. A zatém zadaniem tłumacza być powinno dążenie do podobieństwa nietylko duchowego, ale i zewnętrznego; tém samém tłumacz ma wiernie zachować całą szatę poetyczną, polegającą na obrazowaniu, piękności wyrażenia, oraz na formie wiersza, o ile tego duch języka dozwala; jeżeliby zaś forma oryginału nie była zgodną z budową metryczną języka przekładu, to w takim razie zmysł estetyczny tłumacza odnajdzie formę, któréj ton będzie zupełnie odpowiednim tonowi oryginału, i która tém samém na uczucie rytmicznego piękna wywrze to samo działanie co i forma pierwowzoru. Wszak każda sztuka ma właściwą sobie plastykę, a jednak każda językiem swym wywołać może te same myśli i wrażenia, i przenieść duszę w pogodne i światłe natchnienia dziedziny. Tłumacz ma taki sam zachwyt w słuchaczu obudzić, jak obraz wielkiego mistrza, który powiewne i mgliste formy natchnionéj pieśni uchwycić i w żywéj akcyi wydatnych postaci oddać zdoła, i niejako dopowiedzieć umié to, co na dnie duszy wieszczéj pozostało, jak perła czekająca potężniejszéj fali, która ją na brzeg wyrzuci; ale tłumacz wierniéj może wyśpiewać ideał mistrza, bo on wszystkie siły i środki działania estetycznego skupia na ten sam zmysł słuchu, który ma być pośrednikiem artystycznego wrażenia.

Jeden jeszcze wzgląd musi być wzięty na uwagę w rozważaniu istoty tłumaczenia, tj. stosunek dwóch języków do siebie. Im autor jest oryginalniejszym, tém trudniéj go tłumaczyć na język obcy, niemający plemiennego pokrewieństwa z jego językiem. I tak wszelkie usiłowania przełożenia Szekspira na francuzki okazały się najnieszczęśliwszemi: ginie w nich geniusz Szekspira, ani śladu rozmaitości rytmu, siły jambicznego wiersza, a nadewszystko téj wzniosłéj ironii życia; natomiast znajdujemy gładko z peryfraz utoczone peryody, w miejsce wzniosłości pospolitość, w miejsce dowcipu płaskość lub niezrozumiałość. Gieniusz ludów romańskich całém niebem różni się od germańskiego; napróżno więc kusi się o rzecz niepodobną. A weźmy znowu tłumaczenie wierszem Szlegla, znajdziemy w niém wszystkie piękności Szekspira, piękności myśli i formy oddane słowo w słowo prawie, bo w obu językach drga ten sam duch; myśli, którą Szlegel odda doskonale jednym wyrazem, Francuz całym potokiem peryfraz nie wypowié. Z języków niegermańskich jedne tylko słowiańskie, jako posiadające siłę i jędrność słowa, zdolne są do przekładania Szekspira, chociaż daleko poza niemieckiém stanąć muszą.

Wybór Makbeta do tłumaczenia bardzo szczęśliwy. Tragedyą tę przekładają nad inne Szekspirowskie; Drako (Shakespeare and his times) nazywa ją największém dziełem Szekspira, najwznioślejszém i najpotężniéj wpływowém ze wszystkich dramatów, jakie kiedykolwiek istniały. Inne narody upodobały sobie Makbeta dla wdzięku poetycznego kolorytu, wyrazistości charakterystyki, i zbliżenia z dramatami starożytnemi, z systemem fatalizmu. Tu Szekspir żywo uobecnia osoby, czas i miejsce, przenosi nas w średniowieczną epokę do owych gór szkockich, gdzie wszystko jest w związku ze światem nadprzyrodzonym, gdzie na każdym kroku w martwéj i zwierzęcéj naturze napotykamy przepowiednie skazówki zjawisk świata duchowego. Treść Makbeta (którą zbytecznie byłoby tu przytaczać) wzięta z Holinsheda, który czerpał ją z przekładu łacińskiéj Kroniki Hektora Boecyusza. Przedmiot był już gotowy i pełny, potrzeba tylko było psychologicznego obrobienia; niektóre nawet szczegóły Szekspir wprost przeniósł do dramatu; zamordowanie Dunkana przedstawił podług opisu zabójstwa króla Duffe przez Donwalda w dawnéj Kronice szkockiéj. Tak samo postępował Szekspir w tworzeniu innych dramatów, biorąc ich treść z nowelli włoskich, z novelas espanolas, z dawnych

kronik lub dramatów; a jednak był wielce oryginalnym, bo oryginalność polega nietyle na wymyśleniu treści, jak raczéj na architektonice całości, przeprowadzeniu charakterów, i owianiu utworu samoistném tchnieniem gieniuszu. Makbet jest przeciwstawieniem drugiéj równie głęboko smutnéj tragedyi, Hamleta: tu widzimy ciągłe wahanie, słabość charakteru, niezdolność do czynu, ztąd i akcya wlecze się powoli; przeciwnie w Makbecie napotykamy charakter prawdziwie tragiczny, w duchu starożytnym obmyślany, wzniesiony do nadludzkiéj potęgi, sam los nawet do walki wyzywający. Makbet przedstawia postać heroiczną, odznaczającą się potęgą fizyczną, męzkością i dumą, widzimy w nim nawet lepszą naturę dopóki na próbę pokus wystawionym nie zostaje. Wcieleniem tych pokus wewnętrznych, złéj strony natury ludzkiéj są czarownice; a lady Makbet jest jakoby uosobieniem samego szatana, zwłaszcza gdy mówi do Makbeta: że gdyby przysięgła, toby rozprysła mózg swego niemowlęcia, chociaż całą rozkosz macierzyństwa pojmuje. Ale i ją poeta niezupełnie z ludzkości wyzuwa: ona żyje w swym mężu, żyje marzeniem o jego wielkości, ma siłę wytrwania, lecz dopóty tylko, póki udają się jéj zbrodnicze plany; a gdy się zawodzi w nadziejach, nagle siły jéj upadają śród przeciwności, głos sumienia z całą potęgą się odzywa, i nareszcie lady Makbet kończy samobójstwem.

Słyszeliśmy, że A. E. Koźmian przed dwudziestą czy więcéj laty dokonał przekład Makbeta; lecz następnie takowy zniszczył i na nowo przetłumaczył. Jeśli tak było, to zaiste wielka miłość przedmiotu może jedynie pobudzić do tak heroicznego postanowienia. Ale niestety poświęcenie to bezowocne: bo literatura i język z czasem coraz daléj się rozwijają, a tłumacz wykształciwszy się na wzorach epoki, poprzedzającéj śpiewaka Grażyny, t. j. epoki francuzkiego klassycyzmu, duchem i smakiem do niego należąc, ani na krok z nową szkołą nie postąpił; gdyby więc dawniéj pierwotną swoję pracę ogłosił, prędzéj i więcéj mógłby dla niéj obudzić estetycznéj sympatyi. Dziś ani język, ani styl taki do nas nie przemawiają: zdaje się, że czytamy jakieś francuzkie naśladowanie Szekspira: wszędzie wiersz po większéj części gładki, a nawet nieraz potoczysty, ale w ogóle mdły, bez siły i jędrności dykcyi, bez wzniosłości, a pełen peryfraz, nagromadzenia synonim, czasem nawet napuszony. Sama miara wiersza 13 zgłoskowego, nie zdolna do oddania jędrnéj dykcyi oryginału; wyrazy jak naprzykład *bolę-*

ści, właśnie, sakramentalnie ulubione przez tłumacza, zbyt często się powtarzają w rymowaniu. Czasem napotykamy wyrażenia, które należało dla czytelnika polskiego uczynić zrozumialszemi, np. *Grimalkin*, *Padok*; inne znowu zwroty przeciwne naturze języka jakoto: *o pomoc wołam raną moją; Jesteś drzewem od mojéj zasadzoném dłoni; Jak późno jest w noc chłopcze?* Niezawsze też znajdujemy odpowiedniość oryginałowi; i tak scena IV aktu II przełożona prozą, a w oryginale jest wierszem. Niejeden zwrot jest prawdziwie tragikomicznego kroju, jakoto:

Żegnam cię! za tron jego i za skarby wschodnie,
Nigdybym się na taką nie odważył zbrodnię.

Którebym (słowa) tylko ryknął w przestrzeń pustą, głuchą,
Gdzieby je żadne ludzkie nie połknęło ucho.

Zawyjcie wichry wściekle, niech się światy walą,
Polegnę, lecz polegnę uzbrojony stalą.

Niektóre ustępy są bez zarzutu, np. akt I scena I:

Dunkan.

Przeraziłaż mych wodzów ta burza grożąca?

Rycerz.

Jak się orzeł skowronka, lew lęka zająca;
Byli oni jak działa z podwójnemi strzały,
Bo ciosy ich po ciosach na wrogów padały.
Czy chcieli krwi powodzią tę ziemię zakrwawić,
Czyli nową Golgotą pole bitwy wsławić?

Ale tu następuje ostatni wiersz już wyżéj przytoczony: „Lecz już mdleję, o *pomoc wołam raną moją*"; a w oryginale jest: my gashes cry for help t. j. rany moje wołają o pomoc.

Ustępy liryczne w scenach czarownic z saméj natury swéj formy są zwięźlejsze, i byłyby dosyć udatne, gdyby nie kilka rażących drobnych błędów, jak np. takie rymowanie: *na nas* i *czas*, *obróć* i *wrzuć*, *tygrysie* i *zwarzy się*.

Tłumaczenie to na przeciwległém stoi stanowisku z przekładem Kefalińskiego (o którego przepolszczeniu Szekspira sprawozdanie w Bibl. War. z r. 1841 za miesiąc maj): Koźmian poświęcił wierność i siłę dla gładkości języka, Hołowiński język i śpiewność dla wierności. Hołowiński podjął wielką pracę usiłując z literacką prawie dokładnością oddać oryginał i to jeszcze w rymowym wierszu, a szorstkim jak pierwowzór; ale cóż z tego, gdy z niewolniczego kopiowania duch uleciał. Jednakże Hołowiński mógłby pięknie wywiązać się z zadania

sądząc po niektórych ustępach lirycznych. Dla jaśniejszego pojęcia różnicy tych przekładów, podajemy parę ustępów z obudwu oraz z przygotowanego do druku tłumaczenia Paszkowskiego, stawiąc naprzód oryginał i wierne tłumaczenie Szlegla. Ze sceny IV aktu I monolog Makbeta:

. . . . . Stars, hide your fires!
Let not light see my black and deep desires:
The eye wink at the hand! yet let that be,
Which the eye fears, when it is done, to see.

Oto dosłowny i piękny przekład niemiecki:

. . . . . Verbirg dich Sternelicht!
Schau meine schwarzen, tiefen Wünsche nicht!
Sieh, Auge, nicht die Hand; doch lass geschehen,
Was, wenn's geschah, das Auge scheut zu sehen.

Koźmiana:

Gwiazdy ukryjcie światło, niech ciemność osłoni
Czarny, głęboki zamiar, niech przed czynem dłoni
Oko się zawrze—lecz niech dłoń ten czyn wykona,
Którym oko przerazi moja myśl spełniona.

Hołowińskiego:

. . . . . Gwiazdy skryjcie blask!
Niech mój czarnéj żądzy nie przenika brzask.
Oko nie widź ręki, ni jéj działać broń,
Bać się będziesz widzieć to, co zrobi dłoń.

Paszkowskiego:

. . . . . Gwiazdy skryjcie światło,
Czystych swych blasków nie rzucajcie na tło
Mych czarnych myśli; nie pozwólcie oku
Napotkać dłoni, ukrytéj w pomroku,
Aby się mogło przy spełnieniu zatrzeć
To, na co strach nam po spełnieniu patrzeć.

Ze sceny V tegoż aktu monolog lady Makbet:

. . . . . Come, come, you spirits
That tend on mortal thoughts, unsex me here;
And fill me, from the crown to the toe, top-full
Of direst cruelty! make thick my blood,
Stop up the access and passage to remorse;
That no compunctious visitings of nature
Shake my fell purpose, nor keep peace between
The effect, and it! Come to my woman's breasts
And take my milk for gall, you murd'ring ministers,
Wherever in your sightless substances
You wait on nature's mischief! Come, thick night,
And pall thee in the dunnest smoke of hell!
That my keen knife see not the wound it makes;

Nor heaven peep through the blanket of the dark,
To cry, Hold, hold!

Szlegel:

. . . . . Kommt, Geister, die ihr lauscht
Auf Mordgedanken, und entweibt mich hier;
Füllt mich vom Wirbel bis zur Zeh! randvoll,
Mit wilder Grausamkeit! verdickt mein Blutt;
Sperrt jeden Weg und Eingang dem Erbarmen,
Das kein anklopfend Mahnen der Natur
Den grimmen Vorsatz lähmt; noch friedlich hemmt
Vom Mord die Hand! kommt an die Weibes Brust,
Trinkt Galle statt der Milch, ihr Morddämonen!
Wo ihr auch harrt in unsichtbarer Kraft
Auf Unheil der Natur! Komm, schwarze Nacht,
Umwölk' dich mit dem dicksten Dampf der Hölle,
Dass nicht mein scharfes Messer sieht die Wunde,
Die es geschlagen; noch der Himmel,
Durchschauend auf des Dunkels Vorhang, rufe:
Halt, halt!

Kozmian:

Duchy myśli morderczych—do mnie przystępujcie,
Spieszcie się i tu zaraz ze płci mię wyzujcie.
Niechaj od stóp do głowy wasza srogość dzika
I całą mię przejmuje, i całą przenika.
Zgęśćcie mą krew—przystępu zabrońcie zgryzocie,
I uczucie litości wstrzymajcie w powrocie;
By ta litość miękcząca drogi nie przecięła
Między zamiarem moim a spełnieniem dzieła.
Wy duchy! władcy złego, które w całym świecie,
Na nieszczęście ludzkiego rodu pracujecie,
Gdziekolwiek w niewidzialnéj postaci jesteście,
Wnijdźcie w pierś mą i zmieńcie w jad mleko niewieście.
Przybywaj ciemna nocy—okryj mię osłoną,
Okryj, ale piekielnym dymem oczernioną;
By nóż na oślep ranił i aby nademną
Niebo przejrzéć nie mogło przez powłokę ciemną,
By krzyknąć: Stój!

Hołowiński:

Chodźcie duchy wlać w moję myśl mord srogi,
Rozepłcijcie mnie; precz płeć białogłowy:
Napełnijcie mnie od stóp aż do głowy
Dziwném okrucieństwem! zgęśćcie moję krew
I zgryzoty wszelkie odpędzajcie precz;
Bo Natury z Żalem czułe nawiedziny
Krwawy cel zachwieją, albo cofną wstecz!

Chodźcie w pierś kobiety, zróbcie z mleka żółć,
Chodźcie duchy złe, posługacze mordu,
Kędykolwiek wy w niewidzialnéj mocy
Chcecie zrobić źle! Chodźże ciemna nocy,
Całun z najczarniejszych dymów piekła włóż,
By zadanéj rany sam nie widział nóż;
By nie mogło niebo ciemnych przejrzeć chmur,
I zawołać: Stój!

Paszkowski:

. . . . . Przybądźcie

Przybądźcie, o wy duchy, karmiciele
Zabójczych myśli, z płci méj mnie wyzujcie,
I napełnijcie mnie od stóp do głowy
Nieubłaganém okrucieństwem! Zgęśćcie
Krew w moich żyłach; zatamujcie wszelki
W mém łonie przystęp wyrzutom sumienia;
By żaden poszept natury nie zdołał
Wielkiego mego przedsięwzięcia zachwiać,
Ni stanąć wpoprzek między mną a skutkiem!
Zbliżcie się do mych piersi, przeistoczcie
W żółć moje mleko, o wy, śmierć niosące
Potęgi, które niewidzialnie krążąc,
Na szkodę świata czatujecie! Spuść się
Ponura nocy, oblecz się w najgęstszy
Dym piekieł, aby mój sztylet nie ujrzał
Rany przez siebie zadanéj, i niebo
Przez niedość ciemny kir mroku przejrzawszy
Nie zawołało: *stój!*

Wybraliśmy jedne z najpiękniejszych ustępów, w których tłumacz może polot swój pod wrażeniem oryginału rozwinąć, które tém samém mogą być kamieniem probierczym zdolności tłumacza; a jednak i tu napotykamy te same wady i przymioty dwóch wyżéj porównanych tłumaczy. Ustępy te przekonywają, że Hołowiński jest wiernym; ale cóżto za język twardy, gdzie tu muzyka słowa? Koźmian znowu w miękkiéj dykcyi trzynastozgłoskowego wiersza rozciąga oryginał: grzesząc to synonimami (*I całą mię przejmuje i całą przenika*), to figurą repetitionis (*Okryj mię osłoną, okryj, ale piekielnym dymem oczernioną*, zamiast jak u Paszkowskiego prawie dosłownie: *oblecz się w najgęstszy dym piekieł*), to znów opuszczeniem piękności obrazowego wyrażenia (*By nóż na oślep raził*, zamiast: *By mój ostry nóż nie widział rany jaką zada*). Te same miejsca bez zarzutu przetłumaczył Paszkowski, prócz wiersza w pierwszym wyjątku: *Aby się mogło przy spełnieniu zatrzeć*, zam. poprostu: *lecz niech się stanie*

(Yet let that be); wszakże błąd ten do wybaczenia obok trudności oddania oryginału, w tym ustępie wierszem rymowym wyrażonego. Tłumacz ten może najwięcéj ze wszystkich okazał estetycznego zmysłu, biegłości i poprawności dykcyi; woleliby̆śmy wszakże w miejsce nierymowego jedénastozgłoskowego wiersza, na wzór oryginału przyjętego, poprostu prozę; bo nasze amfibrachy i trocheje nie odpowiedzą sile jambu, a przytém w prozie mialby tłumacz więcéj swobody, więcéj łatwości wzmożenia języka, i obszedłszy się bez przekładni nieuniknionych w wierszu, szkodzących dykcyi, a wdziękiem rymu nienagrodzonych. Zresztą co do miarowego wiersza nie pojmujemy nawet jego możliwości w naszym języku, który dwie tylko mając miary, nie zdoła zdobyć się na pełną rozmaitości harmonią rytmu, wybitnie odróżniającego wiersz od prozy, jak to ma miejsce w innych językach (niemieckim, angielskim, włoskim, hiszpańskim, rossyjskim). Wiersz miarowy jest naleciałością, bezświadomém a dość powszechném naśladownictwem obczyzny, które prędzéj czy późniéj jako niezgodne z budową naszéj poezyi przeminąć musi. Czytajmy tylko wiersz miarowy Paszkowskiego jako prozę, a znajdziemy w niéj wiele zbliżenia do Szekspira, o czém już z innych przekładów tegoż tłumacza mogliśmy się przekonać.

Bolesław Wiktor.

Piotr Skarga i jego wiek, przez M. J. A. Rychcickiego. Kraków 1850. *W zakładzie wydawnictwa dzieł katolickich.*

Piotr Skarga i *jego wiek!* Nie żarty! Ogromne ramy do bardzo wielkiego i wspaniałego obrazu, jakim był dla nas wiek Zygmunta Augusta, Batorego i Zygmunta III do zgonu Skargi. I taki obraz spodziewa się czytelnik ujrzeć, biorąc dzieło pana Rychcickiego w rękę! Ale gorzki zawód: zamiast opisu przeważnych czynów orężem, piórem lub radą Tarnowskich, Zamojskich, Maciejowskich, Kromerów, Orzechowskich, Bielskich, Modrzewskich i tylu innych; zamiast rysu życia domowego i publicznego ojców naszych, albo też nareszcie zamiast wykrycia majaków i krętych ścieżek, któremi kaznodzieje i spowiednicy królewscy, Fabiany, Bernardy, Zygmunty, Piotry, Marciny, na

dworze słabego Zygmunta III i małżonek jego Anny i Konstancyi z niezmierną szkodą dla kraju chodzili: znajduje czytelnik w dziele p. Rychcickiego misterny obrazek św. Ignacego Lojoli w najjaskrawszém świetle, bez najlżejszéj cieni, bez najmniejszéj plamki.

Przedmowę zaczyna autor twierdzeniem, że Piotr Skarga jest tak ważną, tak świętą w dziejach narodowych figurą jako kapłan, zakonnik, apostoł, pisarz wzorowy, iż w kościołach krakowskich obok Kantych i Szymonów z Lipnicy cześć od wiernych odbiera. Takiego więc męża żywot, pomimo licznych już biografii jego, przedsiębierze p. Rychcicki napisać, z téj mianowicie najbardziéj przyczyny, że poprzednie życiopisy zajmowały się Skargą jako człowiekiem *pojedyńczym* (czy pan Rychcicki widział kiedy człowieka podwójnego?), pan Rychcicki zaś wystawić go pragnie w związku z sprawami publicznemi i ludźmi, z któremi żył, czyli, jak się wyraża, z całością *ówczesnego pokolenia, w walce z ówczesnemi namiętnościami, błędami i występkami.*

Zaiste, niemałą przysługę literaturze i dziejom krajowym wyświadczyłby był p. Rychcicki, gdyby nam był dał poznać Skargę z téj strony. Ale zamiast tego, ponieważ Skarga walczył piórem z *heretykami*, jakoto: Wolanem, Moskorzewskim i innemi, tudzież z kościołem Wschodnim, a zatém podług zapatrywania się pana Rychcickiego na rzeczy, miał jakiś związek z *całością ówczesnego pokolenia*: zaczyna autor, jak mówią, *ab ovo* i podaje czytelnikowi w skróceniu z drugiéj i trzeciéj ręki zagmatwany rys historyi reformacyi i kościoła Wschodniego w Polsce. Skończywszy ten rys, który najmniéj trzecią część tomu piérwszego zajął, przystępuje autor nareszcie do kreślenia żywota Skargi. A że Skarga był Jezuitą, więc znowu zaczyna autor *ab ovo* i pisze dzieje początków Towarzystwa Jezusowego, którego dzieło p. Rychcickiego jest właściwie apologią. Przytoczywszy znajome czytelnikowi dobrze zkądinąd okoliczności życia Skargi, przywodzi jego pisma przeciw Wolanowi, kościołowi Wschodniemu i Żywoty świętych, umieszczając z tych pism, zwłaszcza zaś z żywotów świętych, nad któremi się rozpływa, spore wyciągi; daléj wspomina o bractwie miłosierdzia i kończy tom wycieczką przeciw różnowierstwu, wszędzie gdzie się tylko poda pora obsypując pochwałami lub broniąc ulubiony sobie zakon Jezusów. Pism Skargi pod żadnym względem

krytycznie nie rozbiera, ich wpływu na piśmiennictwo krajowe nie wykazuje, chłoszcząc w *prawo* i w *lewo*, jak w przedmowie zapowiada, każdego, kto się o Jezuitach i ich pismach chociażby też najmniéj niekorzystnie, lub nie z pochwałą odezwać odważył. Tak między innemi zaciął biskupa Aloizego Osińskiego, nazywając go encyklopedystą z szkoły Woltera, za to, iż śmiał utrzymywać, że Żywoty świętych Skargi napełnione są bajkami.

Taka jest treść dzieła *Piotr Skarga i jego wiek*. Z niéj łatwo poznać o co panu Rychcickiemu chodzi. Piotr Skarga, jego wpływ na piśmiennictwo, oświatę, obyczaje, sprawy krajowe i kościoła, są tu rzeczą uboczną, podrzędną: główną *Obrona* i *pochwała* zakonu *Societatis Jesu*. Ale niech pan Rychcicki pozwoli sobie powiedzieć, że historyą reformacyi w Polsce i apologią Jezuitów niezręcznie do żywotu Skargi przyczepił dlatego, że Skarga był Jezuitą, i wchodził w zapasy z różnowiercami, bo takim sposobem piszący żywot Kopernika, musiałby skreślić w tym żywocie całą historyą astronomii od Chaldejczyków począwszy; piszący biografią hetmana Jana Tarnowskiego, musiałby napisać historyą wojen wszystkich i sztuki wojennéj w Polsce. W biografii Skargi o Jezuitach, o różnowiercach tylko tyle wspomnieć należało, ile tego wstąpienie Skargi do zakonu pierwszych, i wyjaśnienie ścierań się jego z drugimi koniecznie wymagało, przypuszczając zresztą, że czytelnik zna w głównych przynajmniéj zarysach historyą reformacyi w Polsce, i wié co byli Jezuici. Wzór takiéj biografii miał pan Rychcicki w życiu Orzechowskiego przez Ossolińskiego. Zresztą kiedy p. Rychcicki chciał już koniecznie przyczepić apologią Jezuitów i historyą reformacyi do biografii Jezuity, mógł ją zabaczyć o żywot mniéj znany innego, nie Skargi, Jezuity: np. Jakóba Wujka, który był daleko uczeńszy od Skargi, a równie dzielny jak on zapaśnik z Lutrami, Kalwinami i Socyanami; był tłumaczem biblii na język polski, autorem postyl i kilku pism ascetycznych, równie dobrą polszczyzną jak Skargi pisanych. Większąby przeto autor zrobił był przysługę obznajmiając czytelnika z przedmiotem mniéj mu znanym, niż gdy mu podał oklepaną, że tak powiem, biografią Skargi z wyciągami z powszechnie znanych pism jego, uniesieniami, ogólnikami i nic nieznaczącemi wykrzyknikami nad niemi.

Ale mniejsza o plan dzieła; gorsza jest daleko dążność jego. Wziąwszy *Piotra Skargę* p. Rychcickiego w rękę, zdaje

się, że to jest *Obrona zakonu Societatis Jesu* Piotra Skargi, *Spongia* i *De Atheismis* Reszki, *Pro Societatis Jesu patribus oratio* Marcina Szyszkowskiego, albo znajomy list Jana Argenta do Zygmunta III. Wszędzie przebija duch Jezuity z XVII wieku, Jezuity walczącego *pro aris et focis* zakonu. Krytyki zdrowéj historycznéj ani za grosz. Reszka, Wargocki i Cichocki niewzruszoną powagą. Za ich świadectwem, *juro in verba magistri*, przytacza p. Rychcicki banialuki. I tak np. wyczytał w Reszce, że w XVI wieku było dwieście kilkadziesiąt odrębnych sekt chrześciańskich, i bez namysłu powtarza pacierz za panią matką. Cichocki powiedział mu bajeczkę o dziewosłębstwie Wolana; więc to musi być prawdą: a chociaż Baliński wymienia wszystkie trzy żony Wolana po nazwisku, on żeni go z Mazurowną Cichockiego. Wolan był synem piwowara, bo tak powiedział Wargocki, Jurgiewicz; tu nie pomyślał pan Rychcicki, że bogaty szlachcic polski w XVI wieku, jakim był Kwilecki, wolałby był córkę swoję utopić, niż ją wydać za piwowara. Grubych omyłek historycznych, fałszywych rozumowań i wniosków jest w dziele p Rychcickiego bez liku: nieznajomość zaś dziejów krajowych i literatury, odpowiedniéj przedmiotowi traktowanemu, w oczy uderzająca. Wytknę niektóre, bo wszystkich nie pozwala ani czas, ani miejsce.

Na stronie 16 utrzymuje p. Rychcicki, że wiara na Rusi pierwotnie zgodną była z zasadami kościoła katolickiego aż do czasów oderwania się patryarchów carogrodzkich od Rzymu. Tymczasem Focyusz, sprawca tego oderwania umarł 891 roku, tojest w epoce, kiedy ani w Polsce, ani na Rusi religii chrześciańskiéj nie znano; jeżeli zatém w tym czasie była jaka zgoda co do wiary pomiędzy Polakami a Rusinami, to się odnosiła zapewne do bałwochwalstwa, nie zaś do dogmatów kościoła katolickiego.

Na stronie 18 zawięzuje p. Rychcicki już r. 1438 konfederacyą koronną w mieście Korczynie. Miły Boże! konfederacya koronna w 1438 roku! Byłto prosty zjazd, sejm, o którym Kromer na str. 318 ed Kol. mówi. Na stronie 41 powiada, że Zygmunt I już w r. 1526 mianował księcia Ostrogskiego, wojewodą trockim, chociaż należał do wyznawców cerkwi Wschodniéj. Wielkie odkrycie tolerancyi religijnéj Zygmunta I! Nietylko książę Ostrogski, ale wszyscy niemal wyżsi i niżsi urzędnicy za panowania tego monarchy należeli w prowincyach ruskich i po części w Litwie do wyznania Wschodniego; takimi

byli książęta Zbarascy, Zasławscy, Czartoryscy, Glinscy, Tyszkiewicze i t. d. Na stronie 40 robi sławnego F. Modrzewskiego księdzem; gdyby był zajrzał do swego *ateusza* Baylego, byłby się dowiedział, że Modrzewskiemu ani przez myśl nie przeszło zostać duchownym. Na téj saméj stronie poczytuje p. Rychcicki rok 1544 i domy Jana Trzecieskiego i przyjaciela jego Bernarda Wojewodki w Krakowie *piérwszém gniazdem luterstwa*. I co do daty i co do rzeczy fałsz. Już przed rokiem 1525 po całéj Małéjpolsce, a nadewszystko w Krakowie rozszerzano zasady reformacyi po schadzkach prywatnych; że zaś na schadzkach u Trzecieskiego i Wojewodki nie o luteranizmie, ale o Trójcy Św. mowa była, naucza Lubieniecki na stronie 19, gdzie całą rozmowę o tym przedmiocie z *Sylwów* Modrzewskiego dosłownie przytacza. Ale u pana Rychcickiego luteranizm i antytrynitarstwo jest jedną i tą samą rzeczą. Na stronie 48 nazywa p. Rychcicki Jana Sylwiusza proboszczem w Krzemieniu; nie był on plebanem w Krzemieniu, ale w Chręcicach, majętności Filipowskiego. Na stronie 50 robi Stanisława Sarnickiego historyka *predykantem;* gdy tymczasem jego Stanisław Sarnicki *predykant* nigdy historyi nie pisał. Był on Małopolaninem z Krakowskiego, słuchał nauk w Witemberdze i umarł *predykantem* 1573 roku. Historyk zaś Stanisław Sarnicki, także kalwin, ale nie *predykant*, był rodem z Rusi, słuchał nauk na akademii królewieckiéj i posiadał majętność Lipsko na Rusi, w któréj utrzymując zbór swego wyznania, umarł na schyłku XVI wieku. Na téj saméj stronie 50téj stawia pan Rychcicki na czele różnowierstwa w Kujawach Leszińskiego, Stanisława Radziejowskiego i Krzysztofa Lasockiego. Domyśli się téż czytelnik zkąd się wziął ten nieznany w heraldyce polskiéj Leziński? Oto z pomyłki zecera cudzoziemca, ustawiającego Historyą reformacyi polskiéj Lubienieckiego. Zecer ów, na stronie 35 dzieła Lubienieckiego zamiast ustawić *Leszczynius praefectus Radziejowiensis*, ustawił *Lezinius*. Z tego Leziniusa robi pan Rychcicki Leszińskiego, a z godności jego starościńskiéj tworzy nowego atletę różnowierstwa, tojest Radziejowskiego, przydając mu imię Stanisław, Lasockiego zaś Stanisława (nie Krzysztofa, jak Lubieniecki mieć chce) Małopolanina z Pełsznicy, osadza w Kujawach z owym *Leszińskim*. Na stronie 52 powiada p. Rychcicki, że Samuel Maciejowski *oddalił* Stankara od katedry w akademii krakowskiéj. Byłoto trochę więcéj niż *oddalenie*. Mógł p. Rychcicki zajrzeć do Chimery Orzechowskiego,

a byłby w niéj wyczytał: „*Itaque tu* (Stankar) *ejus fraudis ergo captus, ac Lipovicium in custodiam ab episcopo illo datus fuisti, unde postea custodibus precio corruptis, furtim elapsus, Pinczoviam te contulisti*". Na stronie 64 mówi autor, że Sarnicki *poleciał* do Genewy. Nie prawda! Ani *predykant*, ani historyk Sarnicki nie postali nigdy nogą w Genewie. Zapewne tu panu Rychcickiemu wlazło znowu w pióro *qui pro quo*. Małopolanie bowiem wysłali do Kalwina do Genewy Silnickiego; może z niego zrobił p. Rychcicki Sarnickiego, jak wyżéj z Leszczyńskiego, Lizińskiego. Na stronie 72 utrzymuje autor, że Blandrata, przybyły do Polski r. 1558 zaraził Lizmanina nauką nowokrzceńską; nie zgadza się to z prawdą, zarwał on już nauki antytrynitarskiéj, (którą pisarze katoliccy nowokrzceńską, aryańską i t. p. nazywali) w r. 1551 od Leliusza Socyna, przebywającego wówczas w Krakowie, a może był już i dawniéj antytrynitarzem. Do sekty nowokrzceńskiéj w znaczeniu Wargockiego, tojest do takich, którzy chrzest dzieci odrzucali, którzy się ponurzali nie należał nigdy. Na stronie 77 twierdzi, że szkoła w Pińczowie założoną była pod przewodnictwem Statoryusza. Fałsz! Założoną ona była pod przewodnictwem Arzacyusza, po którym dopiéro rządy jéj objął Statoryusz.

Lecz dajmy już pokój wytykaniu usterków historycznych w dziele p. Rychcickiego, a przejdźmy raczéj do ocenienia przymiotów p. Rychcickiego, jako historyka. Głównemi z tych przymiotów powinna być sumienność i bezwzględna bezstronność. Pan Rychcicki nie posiada ani piérwszéj ani drugiéj. Wié on np. dobrze, że rokosz pod Lwowem za Zygmunta I był głównie dziełem Bony i Kmity; ale że mu potrzeba było zwalić wszystkie rozruchy i bezprawia w kraju na różnowierstwo, więc nie mogąc zaprzeczyć udziału Kmity w rokoszu lwowskim, robi go, najżarliwszego katolika, zwolennikiem nowości religijnych, chociaż Stanisław Górski mówi wyraźnie o Kmicie: „*Ipse in sancta catholica apostolica fide, rituque veteri ecclesiae Romanae, caeteris etiam magnatibus ad haereticos desciscentibus, immobilis permansit. Gaudebat videri et esse pius, religiosus, Catholicus, ejusque rei signa aperta dedit.* Że zaś Górski nie pisał panegiryku na Kmitę, wiadomo dobrze. Nie tajném téż panu Rychcickiemu, że największe zepsucie obyczajów, że bunty Zebrzydowskiego, Lubomirskiego, zrywania sejmów, korrupcye trybunałów, konfederacye wojskowe, pijaństwo, mordy, najazdy i t. p. rozwinęły się u nas dopiéro po zu-

pełném przytłumieniu reformacyi, a przecież wszystko złe zwala na karb różnowierstw. Niech mi przecież pokaże w katechizmach luterskich Maleckiego, w katechizmach kalwińskich Gilowskiego, Sudrowiusza lub Kraińskiego, albo nareszcie w katechizmie socyańskim rakowskim, czy uczą kraść, cudzołożyć, mordować, najeżdżać, upijać się, i t. p. Niech mi dowiedzie, że moralność szlachcica polskiego wyznania protestanckiego za czasów Jana Kazimierza, lub Jana III była gorszą od moralności szlachcica katolika. Pan Rychcicki wie o tém wszystkiém dobrze, wie że protestancka Holandya, protestanckie Niemcy były daleko moralniejsze od arcykatolickiéj Hiszpanii i Portugalii; wie, że nie katolicyzm, nie protestantyzm był u nas źródłem wszelkiego zepsucia, ale obskurantyzm, który pełną garścią Jezuici siali, a przecież nie waha się powiedzieć: reformacya, czyli, jak się wyraża, różnowierstwo zepsuło u ns charakter narodowy, sprowadziło upadek narodu. (Czemu to samo różnowierstwo nie przyprawiło o upadek małéj Holandyi, słabéj Szwecyi i Danii?) Jestto niesumienność historyka.

Większą jeszcze niesumienność popełnia pan Rychcicki w ocenianiu pism i czynów protestantów. Dzieła Wolana, których, niech mi wybaczy, nie czytał, nazywa lichemi, pisanemi złą łaciną i t. p.; samego zaś Wolana samochwalcą, sofistą i t. p. Nie przeczę, że łacina w pismach Wolana nie jest Cycerońską, ani Liwiuszowską, albowiem sławni ci pisarze rzymscy nie zostawili mu w mowie swojéj ani zwrotów, ani formy, ani też nareszcie i wyrazów do traktowania subtelnych kwestyj o transsubstancyi, o Trójcy Św. i t. p., jest atoli łacina Wolana tak dobrą jak Skargi, Reszki, Smigleckiego, Jurgiewicza i tylu innych polemików katolickich. To co pan Rychcicki uważa w pismach Wolana za sofizm, przestanie być sofizmem, gdy się przypatrzy rzeczy z stanowiska kalwina. I o tém wie pan Rychcicki dobrze, ale się mija umyślnie z sumiennością i bezstronnością historyka, przekładając nad te piękne przymioty pisarza, zaszczyt kadzenia Towarzystwu Jezusowemu: w jakim zaś celu, nie trudno zgadnąć.

Kończę uwagi moje nad dziełem pana Rychcickiego słowami Erazma Roterdamczyka, którego pan Rychcicki tak uwielbia: „Admonere voluimus, non mordere, prodesse, non caedere".

J. L.

PRZEGLĄD MUZYKALNY.

Studya nad muzyką dramatyczną czyli operą.

Teatr był zawsze ulubioną zabawą narodu polskiego; już nawet w 1194 roku wyraźny znajdujemy ślad publicznych widowisk teatralnych podany przez Kadłubka, a to z powodu śmierci Kazimierza Sprawiedliwego. Skon tego monarchy głęboki smutek na kraj roztoczył, i aby się w takiém nieszczęściu pocieszyć i rozerwać, możniejsi panowie wyprawili sobie dyalog. Wystąpiły na scenę *wesołość*, *smutek*, *wolność*, *roztropność*, *sprawiedliwość*, i pocieszały się wzajemnie przywodząc sobie na pamięć liczne cnoty zmarłego monarchy. *Wesołość*, która cały naród ożywiała za życia dobrego króla, uskarza się w tym dyalogu na *smutek*, że on ze śmiercią ojca narodu i ją także chce unieść z sobą do grobu.

Za panowania Leszka Białego a następcy Kazimierza, wielce się już rozpowszechniły w kraju widowiska teatralne; najczęściéj w kościołach je wyprawiano, aktorowie zaś w maskach rozmaicie przebrani, śmieszyli i bawili widzów. Nawet duchowni sami niekiedy udział w nich brali, niepomnąc na świętość kapłańskiego powołania, co było powodem papieżowi Innocentemu III, iż w liście pisanym do Henryka arcybiskupa gnieźnieńskiego, gromiąc podobne nadużycia, wielce się nad niemi użalał.

W 1296 roku wystawiono publicznie i to w obecności Przemysława króla, sztukę dramatyczną ze śpiewami, do któréj treści okrutne postępowanie tego monarchy z własną żoną Ludgardą, dostarczyło. Długosz powiada, iż widowisko to dane było w celu potępienia haniebnego Przemysława morderstwa. Fakt ten daje chlubne świadectwo prawości i swobód narodu, który nie wahał się mieczem opinii publicznéj karcić czyn niegodny, a zarazem przekonywa (jak to już słusznie Wójcicki w dziele swojém *Teatr starożytny* wyraził), że u nas wypadki powszechną uwagę narodu na siebie ściągające, wystawiano na scenie. Późniéj nieco, zagęścił się zwyczaj wprowadzania śpiewaków i opowiadaczy wierszem na weselne uczty bogatszych mieszczan w Krakowie; ale nie szanowali oni jak się pokazuje skromności obyczajów, gdyż wielkierz krakowski uchwałą swoją z roku 1363, zabronił im uczęszczania na podobne gody. Jak musieli

kochać się mieszkańcy ówczesnéj stolicy Polski w muzyce, tego dowodzi druga uchwała z 1378 r., która więcéj nad czterech grajków weselnych nie pozwala używać mieszczanom krakowskim, tudzież zabrania im dawać pieniądze ludziom przebranym w maski, a którzy podczas świąt Bożego Narodzenia, ze śpiewami i muzyką domy obchodzili. Ambroży Grabowski mniema, iż zwyczaj powyższy dał początek dyalogom, lecz Wójcicki zbija to przypuszczenie upatrując w przenośnych szopkach najdawniejsze ślady naszych pobożnych dyalogów. „Jak z jasełek betlejemskich i męki Pańskiéj na górze Golgota, powiada on, powstał dramat chrześciański, tak pobożne do nas widowiska wprowadzili pątnicy czyli pielgrzymi. Wracający z wędrówek do Ziemi świętéj, z Rzymu, z Kompostelli, Loretu (1), nucili pieśń o cudach świętych, o dziwach które widzieli, o dziejach męki Zbawiciela, o żywocie Panny Maryi, o męczennikach i t. p.. Mieszali do tego baśnie i śmieszności, i lud prosty bawili. Zbierały się gromady pielgrzymów i pątników (tak zwano pobożne włóczęgi) po miastach i miasteczkach, a śpiewając, przygrywali na kobzie. Płaszcze ich i kapelusze, okryte skorupami płazów, obrazkami świętych, różniły ich strój od innych. Wystawiano im podniesione miejsca na rynkach i cmentarzach kościelnych; do śpiewów przydane migi, udawanie osób, rozmowy, utworzyły coś podobnego do sztuki teatralnéj. Takie to jéj początki! Kto przeczyta dzieło Ludwika *Choquet* wydane w Paryżu 1541, znajdzie, że sztuka ta nie lepszą była w tym wieku we Francyi jak u nas."

Za panowania Jagiełły, licznie się już upowszechnił zwyczaj dawania widowisk teatralnych. Nie musiały być one zgodne z duchem ówczesnéj karności kościelnéj, bo ustawa synodu z 1420 roku, wyraźnie zakazuje duchownym uczęszczać na tańce i widowiska publiczne. W ostatnim tygodniu wielkiego postu, grywano dyalogi o Męce Pańskiej: wiele z nich w rękopismach aż do naszych czasów dotrwało. Około 1500 r. u Dominikanów w Krakowie dane było podobne widowisko, akademicy zaś tamtejsi, w szkołach parafialnych przez żaków wyprawiali wówczas mięsopustne komedye, a ze składek licznie zgromadzonych widzów, znaczne mieli dochody. Sławny dyalog Dominikański z roku 1533, trwał dni cztery z rzędu, zaczynał się bowiem w Kwietnią niedzielę od prologu wystawiającego wjazd do Jeruzalem, a kończył na pogrzebie Chrystusowym w środę po południu. W oso-

(1) Siarczyński, Czasopism naukowy.

bno na to wybraném miejscu, wybudowano z wielkim kosztem teatr, a próby niemal rok cały trwały. Później dla urozmaicenia widowisk, które już zaczęły swą jednostajnością nudzić publiczność, wmieszano w poważne dyalogi pełne niedorzecznéj śmieszności tak nazwane *Intermedia*, bawiące wielce zgromadzoną gawiedź; atoli biskup Bernard Maciejowski w roku 1603 zakazał podobnych przedstawień, gdyż to dawało powód innowiercom do urągania się z katolików. Jednakże pomimo zakazu biskupa, pobożne dyalogi przetrwały aż do czasów Stanisława Augusta, a nietylko w miastach, lecz i po wsiach lud prosty je wystawiał. Najważniejszą ich personą bywał *klecha*, na wzór arlekinów bawiący publiczność, po nim zaraz szedł *kantor*, żona *klechy i sołtys*. W niewieścich postaciach uosabiano: *cnotę*, *sławę*, *rozkosz*. Wchodzili także *aniołowie*, *szatani* z rogami, *śmierć*, *wiara* i t. p.; a gdy przedstawiono sztukę o Męce Pańskiéj albo żywot jakiego świętego, naówczas wszystkie historyczne osoby ukazywały się na scenie.

Pod panowaniem Zygmunta Igo, teatr przybiera już pewniejszą i wyraźniejszą postać; na zamku krakowskim urządzano widowiska teatralne dla dworu, na placach zaś publicznych *komedye* i *maskarady* dla ludu. Kiedy monarcha ten żenił swego syna Zygmunta Augusta z Elżbietą:

„Pod ten czas komedye były i gonitwy,
I kunsztowne tak konne jako piesze bitwy"

powiada ówczesny poeta. Najdawniejszy dramat wystawiony w obecności Zygmunta Igo i królowéj Barbary Zapolskiéj, napisany był w łacińskim języku pod tytułem: *Ulysys Prudentia in adversis*, wydany 1516 r. w Krakowie. W tymże samym czasie, bo w 1522 Stanisław z Łowicza wydał dramat osnuty na *Iliadzie* Homera z napisem: *Judicium Paridis de pomo aureo* etc. wystawiony także na zamku krakowskim. Te dwa dramata o *Ulisesie* i Stanisława z Łowicza *Sąd Parysa*, dozwalają mniemać, jak słusznie Wójcicki zauważał, iż w XV wieku więcéj dzieł dramatycznych być musiało, do których, jak w dyalogach lub mysteryach nie brano treści z Pisma Świętego, ale na wzór tragedyi starożytnych układano ją z mitologii greckiéj. Stanisław z Łowicza w przedmowie do Mikołaja Wolskiego, przypisując mu to dzieło, byłby niechybnie uczynił wzmiankę, gdyby piérwszy w Polsce pisał dramatyczną sztukę. Dramat jego grany był przez znakomite osoby i młodzież szlachecką, jak to w załączonym spisie wymie-

nia, a nawet role kobiét mężczyzni przedstawiali: surowe bowiem obyczaje ówczesne nie pozwalały niewiastom brać udziału w podobnych widowiskach.

Mikołaj Rej z Nagłowic zostawił dramat w dwunastu *sprawach* pod tytułem: *Żywot Józefa*, lecz ten nigdy zdaje się przedstawionym nie był, gdyż sam autor powiada, iż go do czytania, a nie do grania napisał. W 1545 r. ogłosił go drukiem, przypisując siostrze Zygmunta Augusta, królowéj węgierskiéj.

Sebastyan Łęczycanin wydał także w r. 1550 tragedyą *Safrona*: jestto piérwsze w tym rodzaju dzieło w polskim języku napisane.

Wkrótce zaraz po śmierci Zygmunta Augusta, Jan Kochanowski napisał znaną tragedyą *Odprawę posłów Greckich*, wystawioną na żądanie Jana Zamojskiego w Ujazdowie pod Warszawą w czasie jego zaślubin, przed Stefanem Batorym i żoną jego Anną Jagiellonką, 12 stycznia 1578 roku. Więcéj niż dziesięć lat od Cerwantesa, więcéj niż od Lopeza i Szekspira, więcéj niż półwiekiem od Kalderona i Kornela starszy, (1) Kochanowski nie posiadał żadnych innych wzorów nad piękne starożytnéj poezyi greckiéj i rzymskiéj pomniki, a jeżeli pomimo tego *Odprawa posłów* dziś jeszcze w naszych oczach posiada wiele niezaprzeczonych jako utwór dramatyczny zalet, ubolewać potrzeba, iż wielki ten poeta nie zostawił nam więcéj dzieł podobnych.

Z owéj także epoki wymienić należy *Rozmowy* (dyalogi) o rzeczach religijnych Wita Korczewskiego, przedstawiane na teatrach około 1553 roku.

Jan Zawicki, w piérwszym zaraz roku panowania Zygmunta IIIgo, 1587 r. wydał swoję tragedyą z Pisma Świętego *Jeftes*. Nie wiadomo atoli czy sztuka ta na teatrze wystawioną była, gdyż na to niéma żadnego dowodu. Że Zygmunt III nie miał tak stałego teatru jak syn Władysław IV, to pewna (2). Dziejopisowie wspominają, że na weselach tego króla grywano komedye, jakie? nie wiadomo. O jednéj u Niemojewskiego ślad został, że miała napis *Labirynt*. Zresztą niedokładne wzmianki tyle jeno wyświecają, że niekiedy grywano sztuki dramatyczne po łacinie, po włosku i po niemiecku. Zygmunt lubił grywać w piłkę, robić patyny i monstrancye, lecz w teatrze nie kochał się tak jak w alchemii,

(1) Ludwik Osiński „O pierwiastkowéj dramatyce w Polsce". Sybilla Nadwiślańska 1821 roku.

(2) Obacz *Teatr starożytny* Wójcickiego.

złotnictwie i muzyce: sam biegle grywał na klawicymbale, i orkiestrę włoską miał z licznych a dobranych artystów złożoną. Zygmunta też nadworna kapela główną była po wszystkich europejskich dworach. Sypał dla niéj złotem, choć nieraz brakło w skarbie i nie było czém wojska zapłacić. Mimo wszakże nieprzychylności tego monarchy dla teatru, sztuka dramatyczna bujnie rosła: to przekonywa, jak ją naród kochał, jak jéj łaknął. Od Zygmunta III datować należy epokę najpiękniejszego wzrostu sztuki dramatycznéj.

W roku 1589 Łukasz Górnicki przełożył tragedyą Seneki *Troas*. W 1597 Stanisław Gosławski przełożył także dramat Szymona Szymonowicza *Czysty Józef*, lecz piérwszy dramat polski, który nosi już w sobie pierwiastek narodowy, a którego treść nie jest wziętą ani z mitologii, ani z dziejów greckich lub rzymskich, napisał Jan Jurkowski pod tytułem: *O polskim Scylurusie* i w 1604 na widok publiczny wydał. Sztuka ta na cztery akta podzielona, wielokrotnie grywaną była na teatrach, piękna zaś poezya, czysty język, tudzież dążność moralna (gdyż w niéj powstaje na zbytki a do cnoty zachęca), stawia ten dramat pomiędzy najważniejszemi pomnikami owéj epoki.

Z roku 1622 mamy tragi-komedyą nazwaną *Mięsopust na dni Mięsopustne*, i z tego także czasu wyborną komedyą w ośmiu scenach pod tytułem: *Cudowne wesele, czyli Hymeneusz Czarodziejski*, napisaną przez Antoniego Wieniwskiego mieszczanina krakowskiego. Komedya ta ciekawa jest z tego względu, iż występowały w niéj osoby śpiewające i chóry, z czego wnosić można, że to był rodzaj sztuki zwany dzisiaj wodewilem, czyli komedyo-operą: co więcéj, Wójcicki przytacza nawet (w dziele wyżéj wzmiankowaném) jakiś urywek dramatyczny, osnuty z ostatnich chwil życia Chrystusa Pana, który nosi w sobie cechę opery, jak to następujący wyjątek przekonywa:

SYMFONIA. *Muzyka przygrywa.*

JUDASZ *(śpiewa).*

Ave rabbi!
Ja i drabi,
Witam Ciebie,
O téj dobie.

JEZUS.

O mój Juda!
Na coś luda

Tego przywiódł,
Na coś zawiódł.

MILES I.

Imajcie! wiążcie szyję, ręce jego.

MILES II.

Witaj zdrajco, zwodniku,
Czy nie cuda u nas w ręku?

CHORUS.

Nie pomogąć twoje figle,
Jużeś teraz w mocném sidle.
(*Ducitur post Theatrum*).

ANANAS.

Czy to zwojca, co tam robi?
Sławę sobie jak chce zdobi.

MILES.

Miłościwy książę biskupie,
Jest już Jezus w naszéj kupie,
Dziś go sludzy pojmali.
Ręce mu na opak związali.

CHORUS.

A już kata buntownika,
Więc kazać stracić zwodnika.

SCENA III.

ZAPRZANIE SIĘ PIOTRA.

Muzyka gra pienie kurowe.

KUR *śpiewa.*

Piotrze mój!
Głos to twój,
Mnie znasz,
Przysięgasz. i t. d.

W scenie XII woźny *śpiewa długą pieśń:*

Panowie! wszystko pospólstwo!
Posłuchajcie mnie mało i t. d.

W scenie XV czytam takie objaśnienie:

Kaifasz, Annasz, Piłat, *śpiewać będą z muzyki graniem.*

Wielka szkoda, iż zabytek ten jak widać opery narodowéj, podany jest bez daty, atoli wnosić można, że należy do czasów najobfitszych u nas w dzieła dramatyczne, to jest do piérwszéj połowy XVII wieku. Podług objaśnień tekstu wchodziła do niéj orkiestra oczywiście z ówczesnych w powszechném użyciu będących instrumentów złożona, aktorowie zaś pieśni swoje zapewne na nutę pospolicie znaną śpiewać musieli, albo téż przy towarzyszącéj muzyce deklamowali. Może nawet był kto taki, co im muzykę komponował; niby to nie było dziwnego, gdyż w owych czasach nauka kompozycyi nie była obcą w naszym kraju. Mikołaj Gomułka, urodzony w 1564, napisał muzykę cztero-głosową do 150 psalmów tłumaczenia Kochanowskiego, a zapewne i wiele innych kościelnych przynajmniéj kompozycyi musiał niemało zostawić, gdyż w muzyce był wielce ukształcony. Nawet szanowna Akademia krakowska posiadała już w swém gronie nauczycieli i mistrzów do nauczania muzyki. Wielka więc szkoda, iż historya nie może nam podać więcéj szczegółów tyczących się wyżéj cytowanego urywku, a i z tego wnosić można, że ten rodzaj sztuki tak jak w Niemczech i Francyi, zaczynał się u nas rozwijać, aż wzorem innych monarchów i Władysław IV sprowadzając do kraju włoskich aktorów i ich opery. zwrócił uwagę klass możniejszych na widowiska dawane u dworu i odjął możność obszerniejszego rozwijania się sztuki, któréj pierwiastek uwadze czytelników przedstawiłem.

Za czasów panowania tego monarchy, Piotr Baryka w 1637 roku ułożył jednę z najwyborniejszych w tamtéj epoce komedyi pod tytułem: *Z chłopa król*, a która była odegraną po raz piérwszy na dworze szlachcica sieradzkiego, bo idąc za przykładem królów, szlachta nasza gody weselne także widowiskami teatralnemi obchodziła.

Władysław IV lubił teatr nadzwyczajnie: w podróżach swoich po Włoszech nabrał do niego zamiłowania. On to na zamku warszawskim urządził stały teatr z liczną orkiestrą i baletem, gdzie zadziwiające maszynerye i dekoracye z ogromnym przepychem urządzone były. Wirgiliusz Puccitelli nadworny poeta Władysława IV, pisał po włosku dramata i opery z dziejów greckich, mieszając do nich historyą świętych męczenników, starając się głównie, jak to było natenczas zwyczajem we Włoszech, o wydobycie największych i najcudniejszych efektów teatralnych. Posłuchajmy co w tym względzie Jarzemski, muzyk przyboczny króla powiada:

„Mamże mówić o sali, gdzie się odprawują wesela, i o pysznem *teatrum*, gdzie komedye i tragedye i skoki włoskie wyprawują? Teatrum to jest z perspektywami, budowane zacnie w kolumny: tam kunszty podnoszą się i schodzą na dół, inne śrubami w rozmaite obracają się strony: raz okazują ciemność z chmurami, znów przyjemną światłość, na wierzchu lazurowe niebo z słońcem albo miesiącami, gwiazdami i planetami. Tam ujrzysz ogromne piekło i morze burzliwe, żeglują po niém łodzie, a syreny wypływając, ślicznie śpiewają. Tu persony spuszczają się z nieba, inne wychodzą z ziemi. Raptem otwiera się drzewo, wyskakuje z niego osoba cała w klejnotach, z utrefionym włosem i śpiewa jak anioł. Następują inne sceny rozmawiających z sobą, potém po włosku drgają nogami i skaczą; wszystko to przy muzyce i klawicymbałach. Starszy nad muzyką jak im da znak, rżną w skrzypki, aż się komedya skończy. Są tam okna, gdzie osoby siedzą, sala ogromna, cała w kagańcach i świetle, a gości pełno w niéj". O aktorach polskich w tamte czasy nic nie słychać: zdaje się, że dworzanie królewscy wszystkie role przyjmowali na siebie, jeżeli polską sztukę wystawiono.

W roku 1635 przedstawiono na zamku dramat z muzyką *Dafnis przemieniona w drzewo bobkowe* Jeremiasza Paschati: znakomity ówczesny poeta Samuel z Skrzypny Twardowski przełożył go na język polski. W dwa lata późniéj, odegrano z wielką okazałością operę z recitativami o świętéj *Cecylii* w czasie wesela Władysława IV z Cecylią Renatą z domu Rakuskiego. Cudzoziemcy znajdujący się na tém przedstawieniu, nie mogli się go dosyć odchwalić, utrzymując, iż na żadnym jeszcze teatrze za granicą nie widzieli podobnego przepychu w wystawie. W téj włoskiéj operze pomieszano rzeczy święte z mitologią, (chociaż gdzieindziéj surowo tego zabraniano, w czém mamy dowód na dziele Sebastyana Klonowicza: *Victoria Deorum*, od zagorzałych Jezuitów w 1600 r. prześladowaném): u dworu jakoś to przecie uchodziło, i widziano nieraz Apollina i Kupidynów, poprzedzających albo kończących smutne sceny męczenników. Następnego roku przedstawiono sztukę pod tytułem: *Il ratto d'Ellena, Dramma Musicale*, napisaną przez Wirgiliusza Puccitelli, a w 1646 r. muzycy królewscy odegrali w Gdańsku na przyjęcie drugiéj żony Władysława, Maryi Gonzagi, operę, w umyślnie na to przez miasto urządzonym teatrze, w którym do 3,000 widzów pomieścić się mogło, a do któréj wiersze i muzykę układał tenże sam Puccitelli.

Treścią téj sztuki była historya Kupidana z Psychą. Gdańszczanie przeszło 100,000 talarów na nią wyłożyli.

Kiedy tym sposobem sztuka dramatyczna na dworze kwitnęła, lud miejski i wiejski zabawiał się dyalogami, wystawnemi teatralnemi procesyami, zwykle przez Jezuitów starannie urządzanemi. W szkołach swoich odznaczającym się w takich widowiskach uczniom, nawet nagrody rozdawali. Przedmiotem tych szkolnych dyalogów były dzieje krajowe, a Juszyński powiada, „iż jeżeli na scenę wchodzili górale, dyalekt ich wiernie był oddany; jeśli rzecz była w Mazowszu, zwyczaje i mowa mazowiecka zachowanemi były. Wszystkie te sztuki miały pewien cel moralny, tojest, krytykę i poprawę obyczajów." Takiemi są: *Bachanalia, czyli dyalogi z internedyami na teatrach szkolnych w jedno opus zebrane r. 1640, Szkolna mizerya z 1633 r., Bachus i jego przygody zastosowane do miejscowości* przez żaków warszawskich w 1644 przedstawiany, tudzież komedye: *Albertus rotmistrzem. Pielgrzym i Pątnica, Z chłopa król, Sołtys z klechą, Komedya rybałtowska* i t. p. (1).

Wszystko zdawało się wróżyć najświetniejszą przyszłość dla sztuki dramatycznéj w Polsce, gdy nieszczęśliwe panowanie Jana Kazimierza i wyłączne opanowanie wychowania publicznego przez Jezuitów, zparaliżowało i znikczemniło jéj postęp. Naród mając ciągle do czynienia z licznemi nieprzyjaciołmi kraju, szerzącemi zewsząd mord i zniszczenie, ukrywając się w miejscach bezludnych od morowego powietrza, pod ciosem tylu klęsk kolejno po sobie następujących, w przelotnych tylko chwilach spokoju, szukał odetchnienia i rozrywki w widowiskach teatralnych.

Jan Kazimierz wstępując na tron, pojął za żonę Maryą Ludwikę Gonzagę, wdowę po bracie swoim. Francuzka rodem, używała całego wpływu, jaki posiadała nad ulegającym jéj we wszystkiém małżonkiem, by zapewnić powodzenie w Polsce polityce francuzkiéj. Wprawdzie opór Lubomirskiego i zwycięztwo, jakie odniósł nad Janem Kazimierzem, albo raczéj nad Maryą Ludwiką, która pragnęła nawet siłą oręża następcę Francuza

(1) „Łukasz Piotrowski (obacz Teatr starożytny) szlachcic podlaski, professor akademii krakowskiéj słynął z dowcipnych dyalogów, które pisał dla zabawy Władysława IV; z tych śladów nie zostało nawet. Raz gdy w swoim dyalogu geniusza udawał, na skrzydłach własnéj roboty przez dach Nowodworskiéj bursy z przedmieścia retoryką zwanego, na teatr przyleciał, i po odprawionéj scenie z teatru na swoje miejsce odleciał".

na tron wprowadzić, zniweczył zamachy téj energicznéj kobiety, lecz rzucone przez nią nasiona, lubo nieco późniéj, szkodliwie na roli polskiéj wzrosły. Lubiła się ona otaczać Francuzami, ztąd to dwór Jana Kazimierza przepełniony był niemi.

W owychto czasach Andrzej Morsztyn podskarbi wielki koronny, przełożył z francuzkiego *Cyda* Kornela, *Andromachę* Rassyna i z łacińskiego *Hippolita* Seneki.

Cyda z prologiem ułożonym na cześć Jana Kazimierza i jego żony, podczas sejmu 1661 roku wystawiono na zamku warszawskim. Wójcicki powiada, iż tłumaczenie Morsztyna pomnąc na czas w którym pisał, zasługuje na chlubne wspomnienie. Wiele z wierszy Morsztyna Ludwik Osiński tłumacząc tę tragedyą w 150 lat późniéj żywcem zachował, a wszakże pomiędzy gładkiemi rymami Osińskiego dobrze się wydały.

Ze śmiercią Władysława IV upadł teatr włoski na zamku warszawskim, a w miejsce jego sprowadzono francuzkich aktorów i dozwolono im publicznie dawać widowiska. Nieoszacowany Pasek w Pamiętnikach swoich pod rokiem 1644 takie podaje szczegóły o jednéj walnéj reprezentacyi:

„Pozwolono im (Francuzom) na teatrze publicznym w Warszawie, tryumf czynić z otrzymanego nad Austryą zwycięztwa. Kiedy wprowadzono osoby na teatr, muzykę i ognie do tryumfu, zeszło się ludzi kupa i na koniach przyjeżdżało na owo tak cudowne widowisko. Jedni z Warszawy wyjeżdżają, drudzy przyjeżdżają; kto obaczył, to się téż zatrzymał na owo widowisko; choć mu pilno było. I ja téż tam byłem, bom wyjeżdżał z Warszawy, a wyjechawszy z gospody, stanąłem téż tak z czeladzią na koniach, na owe patrząc dziwy. Stali tedy około tego widowiska ludzie różnego stanu, i różnéj *fantazyi*. Kiedy już inne odprawiły się indukcye, to jest: jako się potykali, jako się piechoty zwarły, jako kommunik, jako strona stronie z placu ustępowała, jako brano więźniów niemieckich, szyję ucinano, jako do fortec szturmowano i one odbierano, zgoła z wielkim kosztem i okazałością te rzeczy odprawiały się. Skoro już jakoby po zniesieniu wojska i położeniu nieprzyjaciela na placu, prowadzą w łańcuchu cesarza, w ubiorze cesarskim, koronę już nie na głowie mającego, ale w rękach niosącego, i w ręce królowi francuzkiemu oddającego onę; wiedzieli tedy że to był Francuz znaczny, który osobę cesarską, w łańcuchu idącą, reprezentował, i potrafił twarz jego i wargę tak też jako cesarz wywracać. Począł jeden z Polaków konnych wołać na Francuzów: „*Zabijcie tego sk.... kiedyście go*

już porwali; nie żywcie go, bo jak go wypuścicie, będzie się mścił, będzie wojnę mnożył, będzie krew ludzką rozlewał, a tak nie będzie świat miał nigdy pokoju. Gdy go zabijecie, król francuzki osiągnie cesarstwo, będzie cesarzem, będzie, da Bóg! i naszym. Naostatek jeżeli wy go nie zabijecie, to ja go zabiję." Porwie się do łuku, a nałożywszy strzałę, jak utnie pana cesarza w bok, to aż drugim bokiem żelazo wyleciało, i zabił. Drudzy Polacy także do łuków, kiedy wezmą szyć w ową kupę, naszpikowano Francuzów dużo, a nawet i tego co siedział w osobie króla postrzelono naostatek w głowę, aż z majestatu spadł pod teatr, i z innemi Francuzami uciekł. Stał się na ten czas po Warszawie wielki rozruch, ja sam wyjechałem zaraz, abym nie miał jakiéj napaści, żem też to tam stał w owéj kupie."

Wypadek ten *tragiczno-komiczny* dowodzi, iż w narodzie tak wysoko ucywilizowanym jak był naówczas naród polski i znającym się przecież na widowiskach teatralnych, namiętności polityczne, jak to niestety i w dzisiejszych czasach widzimy, silniejsze były nad wszelki rozsądek i przyzwoitość. Rozpalona głowa jednego zagorzalca widokiem boju, posuniętym do złudzenia, owładnęła całego i w chwili zapomnienia dopuściwszy się owego czynu w najszczerszém przekonaniu, iż pokój zapewni światu, uwalniając ziemię od niebezpiecznéj a nienawistnéj w politycznem mniemaniu istoty, rozsmieszył na chwilę faktem tak niespodziewanym tłum go otaczający, który też zaczął go zaraz naśladować i ową zabawę w smutną i niekorzystną dla nas w opinii u obcych katastrofę zamienił. Od tego czasu zaprzestano już dawać widowiska na podobnie urządzonych teatrach.

Pod panowaniem Korybuta Wiśniowieckiego, Jana Sobieskiego i Augusta II sztuka teatralna w kraju zupełnie prawie upadła: ograniczano się tylko na dyalogach, dawanych zwykle przez duchowieństwo, a najczęściéj przez Jezuitów. Treść do nich czerpano z dziejów kościoła albo żywotów świętych, z niezmiernie zaś szczupłéj liczby dramatów, historya następujące podaje nam wiadomości:

W 1669 r. Jezuici w kolegium swojém w Toruniu, wystawili tragedyą *Pogrzeb żywego pijaństwa*; w 1677 r. na zamku krakowskim dworzanie odegrali jakąś mitologiczną komedyą w obec Jana III, Maryi Kazimiry, senatorów i t. p.; 1689 r. w szkołach leszczyńskich w Lesznie wystawiono tragedyą o *Ibrahimie* i *Solimanie* w 5 aktach. W kolegium gostyńskiém, Jezuici prowin-

cyi mazowieckiéj wystawili w 1696 r. dramat także w 5 aktach pod tytułem: *Brama Grzymała.*

Po śmierci Jana III, wystawiono w Warszawie sztukę, gdzie wychodząca na scenę ziemia węgierska, daje naszéj przestrogi, by z Niemcami nigdy w związki bratnie nie wchodziła, i oto wszystko. Smutnie wydaje się ten upadek sztuki teatralnéj, tak wysoko już podniesionéj i do czasów panowania Jana Kazimierza tak w narodzie upowszechnionéj. Dopiéro August III nadzwyczajny wielbiciel teatru, a mianowicie opery, gwałtem prawie zaszczepiał zamiłowanie w Polsce do tego rodzaju widowisk, a długoletni pokój zbawiennie wpłynął w kraju na wskrzeszenie uśpionego i zapomnianego w narodzie upodobania do teatru.

Monarcha ten lubił nadzwyczajnie muzykę i na dworze swoim w Dreznie, posiadał wyborną orkiestrę i śpiewaków najlepszych prawie w Europie. Przyjeżdżając do Warszawy, zwykle też i artystów swoich sprowadzał, którzy na pokojach często mu przygrywali, albo w kościele gdy się król na nabożeństwie znajdował.

W rajtszuli obok pałacu saskiego urządzono teatr i na nim najpiękniejsze ówczesne opery, a niekiedy i balety przedstawiano. W czasie sejmu lub zjazdów, przedniejszym panom rozdawano na te widowiska bilety, w dnie zaś zwyczajne, teatr był dla wszystkich ludzi bez żadnéj kondycyi wolno otwarty. Jednakże mieszkańcy stolicy niechętnie na tych operach bywali, gdyż dla wielkich kosztów w odmianie, przez kilka miesięcy jednę i tę samą sztukę dawano. Król regularnie zasiadał w swéj loży, a widząc nieraz teatr zupełnie próżny, dziwił się, że naród nasz nie ubiega się o widzenie rzeczy tak wielce delektującéj ucho i oko darmo, tojest bezpłatnie, gdy tymczasem za granicą, lud najpospolitszy opłacać nie żałuje. Do niektórych oper dobierano kapelle możniejszych panów, jakoto: Wielhorskiego kuchmistrza litewskiego, księcia Czartoryskiego kanclerza W. litewskiego, tak, że liczba grających przenosiła niekiedy sto osób (1).

Na imieniny Augusta III, wystawne zawsze dawano opery; pomiędzy innemi w r. 1762 wykonano *Le Triomphe de Clelie*, operę Jana Adolfa Hasse, pierwszego mistrza kapelli króla Augusta, napisaną do słów Metastase.

Usiłowania tego monarchy lubo z oporem, wywarły jednakże późniéj na mieszkańcach stolicy skutek najpomyślniejszy. Z po-

(1) Pamiętniki Kitowicza.

czątku gwałtem prawie łapiąc po ulicach ludzi, by oper słuchali, doprowadzono do tego, że nieznacznie wyrobiło się w Warszawie a następnie i w kraju całym powszechne do tego rodzaju widowisk zamiłowanie, a w końcu, jak to pod panowaniem Stanisława Augusta ujrzymy, największą liczbę spektatorów, prawie zawsze same tylko opery do teatru sprowadzały.

W roku 1736, Piotr Kwiatkowski Jezuita wydał *Teatrum życia ludzkiego*, rodzaj dyalogu w deklamacyach; zaś w 1743, Stanisław Konarski wskrzesiciel oświaty narodowéj, urządził teatr dla młodzieży szkolnéj, na którym najwięcéj dzieła francuzkich pisarzy przez siebie tłumaczone, jakoto: Kornela, Rassyna i Krebillona, grywano. Wpływ francuzczyzny począł już silnie w owe czasy oddziaływać na obyczaje krajowe: znaczniejsza młodzież wychowywana na dworze Stanisława Leszczyńskiego, najwięcéj się do tego przyczyniła. Zmiana wychowania pociągnęła za sobą zmianę wyobrażeń i pojęć, za niemi poszła i zmiana stroju: więc gdy wszyscy naśladowali albo raczéj małpowali obyczaje francuzkie, musiało się to także odbić i w literaturze. Z oryginalnych małéj wartości dramatycznych utworów wspomnieć mi wypada *Zejjadyn*, *Tytus Japończyk*, tragedye Jana Bielskiego dla młodzieży szkolnéj napisane, a około 1748 w poznańskiém kollegium przedstawiane; dramat *Miłość skuteczna, gdzie stateczna* Wojciecha Szafrańskiego, *Miłość ojczyzny* tragedya przez akademików krakowskich w 1761 odegrana i t. p. Aż wreszcie Bohomolec począł przekładać, przerabiać i naśladować celniejsze komedye francuzkie. Jednakże wszystkie usiłowania dążące do rozbudzenia w narodzie zamiłowania do teatru, niewielką mogły przysługę wyświadczyć, gdyż ograniczyły się tylko na miejscowym wpływie; należało utworzyć stały teatr publiczny: potrzeba jego w stolicy przynajmniéj powszechnie już się czuć dawała. Baczny i dbały o wzrost krajowéj oświaty Stanisław August, w piérwszym zaraz roku panowania swego postanowił w Warszawie urządzić teatr narodowy publiczny. Wspierali życzenia monarchy Czartoryski generał Ziem Podolskich, Rzewuski, Wojna i wielu innych, tak więc w roku 1764 otworzono piérwszy raz teatr w téjże sali pałacu Saskiego, gdzie przedtém za Augusta III grywano opery włoskie. Najprzód zaczęto zbierać młodzież, którąby wykształcić można było na aktorów, a lubo w pospiesznem przygotowaniu dobór ich nie odpowiadał zupełnemu wymaganiu sztuki, znaleźli się przecie ludzie z pewnemi talentami, a pomiędzy nimi wyborny na owe czasy komik Swieżawski, który przez długie lata był ozdobą tea-

tru narodowego. Stanisław August pragnąc rozpocząć widowiska sztuką oryginalną, wezwał Bielawskiego fligiel adjutanta buławy Wielkiego Księztwa Litewskiego, znanego zdawna monarsze autora wielu drobnych okolicznościowych wierszyków, i polecił mu napisanie jakiéj komedyi. Bielawski z zapałem wziął się do pracy, a w dni kilkanaście ukończył komedyą pod tytułem *Natręty*. Król na tydzień przed rocznicą koronacyi swojéj rozkazał teatr otworzyć (1), i dnia 19 listopada 1765 r. zdumieni mieszkańcy stolicy ujrzeli na rogach ulic poprzylepiane afisze treści następującéj:

Aktorowie Jego Królewskiéj Mości komedyów polskich, będą reprezentowali 19 listopada *Natrętów*, komedyę w trzech aktach z dwoma baletami. Początek będzie o godzinie szóstéj i będzie się płacić 1 bilet do cyrkułu tynfów dziewięć, 1 bilet do piérwszego piętra tynfów dziewięć, 1 bilet do parteru szóstaków siedm; 1 bilet do trzeciego piętra szóstaków pięć. Bilety od południa będą sprzedawane w operalni."

Pomimo wygórowanéj jak na owe czasy ceny miejsc, nowość niesłychana i dozwolony wstęp wszystkim bez wyjątku stanom, sprowadziło mnóstwo ludzi do teatru, a skoro tylko zmrok zapadł, cały gmach teatralny był w oblężeniu. Gdy monarcha wszedł do loży umyślnie dla niego z przepychem urządzonéj, widzowie powstali i głośnym okrzykiem pozdrowili. „Kobiety wystrojone, połączyły swe głosy pieszczone, powiewając z zapałem to chustkami, to wachlarzami. Szlachta kontuszowa, która przemagała w owe jeszcze czasy na parterze, podrzuciwszy w górę czapki, szczęknęła głośno szablami. Szczęk żelaza chrobrych dłoni, przydzwonił radosnym okrzykom. Stanisław August młody i piękny, z opromienionem od szczęścia obliczem, wychylił się z loży, i wdzięczny wszystkim oddał pokłon. Na dany znak zabrzmiała muzyka, przeciągłe okrzyki zamilkły, kurtyna się podniosła, widowisko rozpoczęte zostało." (2) Po stosownym wstępie w którym *Thalia*, muza komedyi zstąpiwszy z Parnasu miała przedmowę do króla, z powszechném wszystkich zadowolnieniem odegrano w śród oklasków komedyą Bielawskiego, i od dnia tego teatr polski pomimo różnego rodzaju klęsk i burz politycznych,

(1) Obacz Dziennik warszawski Nr. 18 z r. 1856. *Piérwsze otworzenie teatru polskiego w Warszawie*, przez K. Wł. Wójcickiego.

(2) Tamże.

jak to później będzie o tém mowa, z małemi tylko przerwami, dotrwał aż do dni naszych.

Kiedy niemal wszystkie inne narody od przedstawienia naprzód sztuk obcych na swych teatrach rozpoczynali, u nas przeciwnie od oryginalnéj zaczęto; a lubo Bielawski był sam dworakiem i wiedział dobrze jakie były intencye króla, w komedyi swojéj Paryżanina w karykaturze wystawił, a za polskością silnie trzymał. Może nawet głównie téj przyczynie przypisać należy powodzenie tej komedyi. Później wystawiono tegoż samego autora komedyą *Dziwak*, tudzież ks. Bohomolca *Pijacy*, *Pan dobry*, *Ceremoniant*, *Małżeństwo z Kalendarza* i tłumaczenia prozą komedyi francuzkiéj Destuch'a *Marnotrawca i dumny*. Z aktorów najwięcéj się odznaczyli Swieżawski i Lemański, a *Monitor*, pismo peryodyczne podówczas wychodzące, zamieszczało piérwsze uwagi krytyczne nad naszą sztuką teatralną.

Gorliwość o polepszenie sceny polskiéj wzmagać się w narodzie poczęła; wielu uczonych wzięło się do pisania dzieł dramatycznych lub przekładania z obcych języków, publiczność zaś coraz więcéj nabierając zamiłowania do widowisk ojczystych, coraz chętniéj na takowe uczęszczała; lecz w półtrzecia roku od piérwszego otworzenia teatru przybywa do Warszawy niespodzianie opera włoska *buffo*, zaraz po niéj francuzcy i niemieccy aktorowie pojawili się także i z komedyami występować zaczęli: tak więc chciwa nowości publiczność, ze szkodą własnego teatru biegła nasycić się cudzoziemskiemi widowiskami. Mieszkańcy Warszawy przyzwyczajeni już nieco za Augusta III do smakowania w muzyce, a mianowicie w operze włoskiéj, z zapałem teraz jéj się przysłuchiwali, tém więcéj, że nie spodziewano się jeszcze wcale, by Polacy tego rodzaju widowiska kiedykolwiek przedstawiać mogli. Owczesny przedsiębiorca teatru Tomatis, pragnął oddawna mieć pod swoim zarządem operę, bo zebrawszy niemało grosza z polskich artystów, miał nadzieję podwoić swoje dochody. Sprowadził więc włoskich śpiewaków, lecz gdy spostrzegł, iż dla nich publiczność zaniedbuje swój własny teatr narodowy i ten z tego powodu przestał mu czynić dochody, sprzyjając więcéj Włochom jako ich współziomek niżeli Polakom, rozpuścił aktorów miejscowych. Wzbogacony pomyślnemi reprezentacyami opery, Tomatis porzucił wkrótce i Włochów, dawszy szkodliwy przykład następcom swoim, którzy mając tylko na celu zysk własny, kładli nieprzerwanie zaporę wzrostowi i rozwijaniu się sceny polskiéj. Przez lat dziesięć zawsze prawie cudzoziemcy

zarządzając teatrem, wyrugowali zupełnie z Warszawy aktorów narodowych, którzy w teatrach urządzonych na dworach znaczniejszych panów, a szczególniéj księcia Sułkowskiego i Karola Radziwiłła, znaleźli przytułek i pole do rozwijania swoich talentów. Dopiéro w 1774 roku, zgromadzeni na sejm obywatele, przemyślając o zaprowadzeniu na nowo w stolicy teatru narodowego, mocą ustawy sejmowéj, książętom Sułkowskim nadali wyłączny przywiléj utrzymywania w stolicy narodowych widowisk, a zapewniwszy przez to ich trwałość, pragnęli tym sposobem na wzór ościennych narodów, karcąc wady i śmieszności, przyłożyć się do poprawy obyczajów.

August ks. Sułkowski, mąż zacny i uczony, dokładał wszelkich starań, by scenę ojczystą wydoskonalić. Z miasta swego Rydzyna posprowadzał własnych aktorów, pomiędzy któremi piérwsze miejsce trzymał Hempiński, tudzież panny Sierakowska i Gronowiczówna. Przyłączył się późniéj do nich Owsiński artysta obdarzony nadzwyczajnym talentem i panna Sikorska grywająca zwykle kochanki z wielkiém dla publiczności zadowolnieniem. Nowy przedsiębierca teatru zaczął widowiska od sztuk Bohomolca jakoto: *Czary*, *Monitor*, *Nagroda cnoty*, *Staruszka młoda*, *Staruszkiewicz*, tudzież księcia G. Z. P. Czartoryskiego: *Panna na wydaniu*, *Gracz*, *Bliźnięta*, *Kawa*, *Pysznoskąpski*, przerabianych po większéj części z francuzkiego, a wybornie do obyczajów miejscowych zastosowanych. Aktorowie zachęcani darami i światłą prowadzeni nauką, nabierali wykształcenia i znajomości w sztuce; scena wspierana opieką możnych i sympatyą ogółu kwitnąć poczęła, a Bogusławski w swoich pamiętnikach powiada *„iż to był wiek złoty dla teatru ojczystego.”* Lecz niestety krótko, bardzo krótko on trwał, bo zaledwie półtora roku i znów zabiegi i chciwość cudzoziemca zniszczyła go w samym rozwoju.

Baron Kurtz, jeden z niemieckich wiedeńskiego teatru komicznych aktorów, a który śmiesznym także sposobem został baronem (1), dowiedziawszy się jak znaczny majątek zgromadził piérwszy przedsiębierca obcych widowisk w Warszawie, przed dwoma już laty przybył do niéj z gronem dobrze dobranych śpiewaków włoskiej opery *buffo*. Celowała pomiędzy innemi głosem

(1) Cesarz Józef II przechodząc przez scenę, kiedy ten aktor odgrywał bardzo dobrze rolę jakiegoś barona: „Brawo baronie”! zawołał. „Proszę W. C. Mości o dyplom” odpowiedział Kurtz i nazajutrz istotnie takowy otrzymał. (Dzieje Teatru narodowego).

i urodą ulubiona od całéj publiczności piérwsza śpiewaczka Bernardi. Śpiewany przez nią polonez Sacchiniego z opery *Il finto pazzo par Amore*, tak się powszechnie podobał, że go przez długi czas po całym kraju nucono. Kurtz dając wciąż jedne opery, przewidywał iż długo nie będzie się mógł utrzymać obok silnie protegowanéj sceny polskiéj, i to co przez lat parę uzbierał, łatwo może utracić: wpadł więc na myśl sprowadzenia baletu, ile że ten rodzaj widowisk dobrze widziany za czasów Augusta III, byłby teraz dla łaknącéj zabawy publiczności przyjemną nowością. Ale zamiarom jego stawał na przeszkodzie przywiléj nadany przedsiębiorcy teatru narodowego, mocą którego mógł albo nie pozwolić wcale dawania nadal opery włoskiéj z baletem, albo żądać od nich znacznéj opłaty. Kurtz by dopiąć swego celu, postanowił użyć intrygi i podstępu. Znalazł on wielu zamiłowanych w cudzoziemskich widowiskach, znalazł wielu takich, co niemiłém okiem patrzali na wzrost i postęp sceny polskiéj; nakoniec byli i tacy, co w połączeniu się z włoskiemi śpiewakami i baletem, widzieli dla siebie znaczne korzyści. Do czego chciwość i chęć zysku nie doprowadzi! Właśnie zbliżał się czas, w którym roczna umowa przedsiębiorcy narodowego teatru z jego artystami kończyć się miała. Niektórzy artyści mniej zadowolnieni z surowego nieco w żądaniu spełniania obowiązków rządcy swojego, pragnęli innego zwierzchnika; inni w miarę wzrastających talentów żądali powiększenia płacy. Chwycił się skwapliwie Kurtz do korzystania z takiego stanu rzeczy, i w kilka dni to datkiem, to obietnicą, któréj wcale nie szczędził, przyciągnął na swoję stronę wielu bardzo aktorów, tak dalece, że uprzywilejowanemu przedsiębiercy zaledwie kilku mniéj zdolnych zostało. Naprożno ks. Sułkowski wszelkich starań dokładał, by temu przeszkodzić: nic nie pomagało. Dotknięty do żywego niewdzięcznością opuszczających go aktorów, znudzony nadaremnemi usiłowaniami przywrócenia ich pod swą władzę, sądząc nareszcie niegodnem swéj powagi wdawanie się dłuższe w podobnego rodzaju zatargi, zrzekł się przywileju. Tego właśnie strona przeciwna oczekiwała, i zaraz nabył takowy Ryx, kamerdyner królewski, a późniéj starosta piaseczyński.

Gdy w roku 1776 uzyskał potwierdzenie sejmu, natychmiast teatr narodowy połączył z włoską operą i baletem, Kurtza za wspólnika przybrawszy. Sprowadzono tedy balet, którego największą ozdobą był *grotesk* Slancowski, powszechnie od całéj publiczności lubiony, a dając go wraz z operą, licznych widzów ściągał do teatru. Przedsiębiercy niespokojni jednakże o los wi-

dowisk na których dalsze swoje zakładali rachuby, postanowili nowym jeszcze rodzajem śpiewu, pomyślnie zapewnić przyszłość swoję. Sprowadzili z Włoch sławnego *sopranistę* Campagnini, wyborną i z nadzwyczaj przyjemnym głosem śpiewaczkę Bonafini, i łącznie z dawniejszemi osobami, postanowili przedstawiać opery *serio*, rodzaj widowisk nieznanych dotąd w Polsce. „Trudno jest opisać, trudniéj jeszcze uwierzyć" powiada Bogusławski „z jakiém uniesieniem przyjętym został ten nieznajomy dotychczas rodzaj śpiewania. Powszechny zapał publiczności, nieledwoby porównać można z owém nadludzkiém prawie uwielbieniem, z jakiém Grecya dla zapaśników Olimpijskich widowisk stawiała posągi ku nieśmiertelnéj ich sławie! W trójnasób pomnożona opłata wejścia na wszystkie miejsca, nie wstrzymywała ciekawych. Opery *Dido*, *Demofontes*, *Eurydyka*, lubo na szczupłéj scenie, okazałe jednak i bardzo kosztownie wystawiane, nietylko wracały przedsiębiercom poniesione wydatki, ale nadto stały się niejako złotociągiem, wlewającym bogactwa całéj publiczności do ich kieszeni. Przykładali się jeszcze do pomnożenia onych różni panowie, tak przez kosztowne dary, jako téż przez sprawienie ubiorów i ozdób sceny. Książę Marcin Lubomirski wystawił własnym kosztem sławny balet *Sąd Parysa*, którego ubiory sprowadzane z Paryża, przeszło pięćdziesiąt tysięcy złotych kosztowały."

Przy tak starannych zabiegach Ryxa, Kurtza i protekcyi innych możniejszych ludzi, upodobanie publiczności do teatru a mianowicie do muzyki rozszerzać się poczęło; teatr przynosił znaczne dochody, lubo utrzymywanie artystów dramatycznych polskich, opery i baletu, wymagało wielkich ze strony przedsiębierców wydatków. Scena ojczysta ogołocona z muzyki i tańca, ograniczając się tylko na dawaniu małych komedyi, mniéj od słuchaczy nawiedzaną bywała, więc niemiłém okiem Ryx i jego stronnicy na nią spozierali. Stanisław August zajęty ważnemi dla siebie i kraju sprawami, przestał się opiekować jéj losem; za jego przykładem poszli i ci co utworami swemi choć kiedyniekiedy zasilali szczupły repertoar sceny polskiéj. Artyści narodowi zostawieni sami sobie, a przez obcych dyrektorów rządzeni nie byli w stanie sprowadzać na swe przedstawienia zobojętniałéj dla nich publiczności, a zatém przedsiębiercy w końcu 1776 r. postanowili ich się zupełnie pozbyć. Jednakże król, chociaż w balecie najwięcéj się kochał, nie mógł patrzeć obojętnie na zniszczenie sceny polskiéj, któréj sam piérwszy był założycielem: oparł się żywo zgubnym przedsiębierców zamiarom, i z własnéj szkatuły

przyrzekł nagrodzić straty, jakie oni z tego powodu poniosą. Tym sposobem los artystów polskich pomimo niechęci nieprzyjaznych sobie zabezpieczony, zachęcił ich do gorliwego starania się o względy publiczności. Jakoż postanowili 1777 r. wystąpić z nowym, nieznanym rodzajem sztuki, z tragedyą *Bewerlej*. Owsiński i Truskolaska grali w niéj piérwsze role, a talentem swym przejmując do głębi duszy i wyciskając łzy zgromadzonym słuchaczom, w taki zapał wprowadzili publiczność, iż przez kilka tygodni cała Warszawa tą sztuką była tylko zajętą, a każdy z mieszkańców biegł do teatru podziwiać i zachwycać się grą Polaków, którzy dowiedli, że i w tragicznych sztukach celować są w stanie. Gdy z takiém powodzeniem artyści miejscowi odzyskali napowrót względy i współczucie publiczności, opera włoska dając ciągle jedne i te same przedstawienia, nudzić w końcu poczęła słuchaczy; balet także upadł, bo piérwszy tancerz i kompozytor baletów Sacco, opuścił Warszawę. W takim stanie rzeczy, dochody teatru z dniem każdym zmniejszać się poczęły, podstępni zaś przedsiębiorcy korzystając z danego przed rokiem słowa monarchy, urościli pretensyi do jego skarbu na dwakroć sto tysięcy złotych, tytułem wynagrodzenia za poniesione straty przez roczne utrzymanie polskich artystów, co było nikczemnym fałszem, bo roczna naówczas wszystkich artystów polskich płaca, zaledwie 4,000 złotych wynosiła, i oni jedni widowiskami swemi pod koniec antrepryzy największe dochody teatrowi przynosili. Król Stanisław oburzony takiém nadużyciem zaufania, zrzekł się nadal wszelkiéj nad teatrem opieki, a to było powodem, iż takowy znów zamknięto i artystów wszelkiego rodzaju widowisk zupełnie rozpuszczono. Przez kilka więc miesięcy nie było w Warszawie żadnego teatru, i nie wiedzieć jak długo byłoby to trwało, gdyby nie przyjazd wybornéj truppy francuzkich aktorów, którzy otworzywszy opuszczony teatr, z wielkiém wszystkich zadowoleniem komedye grywać poczęli.

Znów zaczęto myśleć nad utworzeniem teatru polskiego. Ryx posiadający na dawanie wszelkich widowisk w kraju przywiléj, skompromitowany w wspólnictwie dawniejszego przedsiębiorstwa, nie śmiał jawnie przystąpić do tego; porozumiawszy się więc sekretnie z wielu bogatemi ludźmi w Warszawie, urządzono antrepryzę, a głównym przedsiębiorcą widowisk francuzkich, polskich i baletu, ogłoszono niejakiego Montbrun'a.

Montbrun był niegdyś artystą opery francuzkiéj, a od lat kilkunastu stale osiadłszy w Warszawie, trudnił się dawaniem

lekcyi muzyki i śpiewu. Nowy ten przedsiębiorca połączonych razem teatrów, okazał się ze wszech miar najdogodniejszym piastowania tak ważnéj posady. Obeznany w młodości z powinnościami dobrego artysty, w wzorowym porządku wszystkich bez różnicy utrzymywał. Chociaż Francuz, szczérze sprzyjał polskiéj scenie i najsilniéj starał się o jéj pomyślność. Onto w 1778 r. mianował dyrektorem sceny polskiéj artystę francuzkiego Gaillarda, który wiele wpłynął na udoskonalenie aktorów, a troskliwy zawsze o scenę ojczystą monarcha, wyznaczył dwóch zaufaniem swojém zaszczyconych mężów: stolnika koronnego Moszyńskiego i szambelana dworu Wojnę, ażeby jako najwyżsi zwierzchnicy o losie artystów mieli staranie. W tym samym roku Wojciech Bogusławski, największa późniéj podpora i chluba narodowego teatru, wszedł do składu artystów dramatycznych polskich, wystąpiwszy po raz piérwszy w komedyi przez siebie z francuzkiego przełożonéj *Fałszywe niewierności*. Montbrun dostrzegł w nim niepospolite zdolności, sam nawet zajął się pierwotném jego do sceny ukształceniem; uczył go muzyki, a co większa, piérwszego aktora francuzkiego Denvill'a wyznaczył Bogusławskiemu za nauczyciela, nie żałując na to własnego funduszu, byle tylko przyszłą pomyślność sceny polskiéj zapewnić. On nareszcie zachęcał go także do tłumaczenia dzieł dramatycznych na język ojczysty, przez co podał mu sposobność zachowania i ratowania późniéj sceny narodowéj od niechybnego upadku. Tak szlachetne postępowanie Montbrun'a, zasługuje na wieczną pamięć w sercach wszystkich miłośników teatru, i gdyby nic więcéj nad to nie uczynił, już tém samém miałby prawo do naszéj wdzięczności; lecz nie tu jeszcze koniec zasług tego zacnego męża. Artyści polscy dawszy już chlubne dowody zdolności na polu komedyi i tragedyi pod przewodnictwem Montbrun'a, mieli jeszcze zaszczytnie w oczach współziomków odznaczyć się w operze, i to w operze narodowéj! Publiczność ówczesna słysząc tylko włoskich śpiewaków, nie wierzyła, ażeby inny jaki naród był w stanie z równą pomyślnością opery wystawiać, a cóż dopiéro mówić o Polakach! Owszem przesąd odmawiający wszelkich w tym względzie własnemu narodowi zdolności był tak wielki, iż jawnie utrzymywano, że Polakom natura odmówiła talentu do muzyki, że żyjącym w północnym klimacie nie dała pięknego głosu, że nawet język polski nie da się nigdy do tkliwéj dramatycznéj pieśni zastosować! Jakże się mamy temu dziwić, kiedy dziś jeszcze pomimo upłynionych lat 80 prawie od tego czasu, znajdują się jeszcze tacy, którzy pomimo

tysiąckrotnych dowodów, odważają się mniéj więcéj to samo utrzymywać. A lubo do muzyki niepodobna już zaprzeczać Polakom nadzwyczajnych zdolności, wszelako nietrudno spotkać takich, co utrzymują, że nam natura nie dała pięknych głosów do śpiewu, a język nasz niewłaściwym i niezdolnym jest do wyświadczania posług w operach wymaganych! Najprzód natura nie jest dla nikogo na kuli ziemskiéj macochą, więc pięknych głosów u nas nigdy nie brakowało i brakować nie będzie, a bogaty język polski właściwszy i piękniejszy jest do śpiewu, aniżeli to sobie nie jeden wielbiciel obczyzny wyobrazić i pojąć może. Zresztą, czyż godzi się powątpiewać o tém w kraju, w którym tyle już arcydzieł muzyczno-dramatycznych z najświetniejszém powodzeniem wykonano, przez ludzi niesłychanie wysokiemi przymiotami artyzmu obdarzonemi? Lecz stare przesądy, to tak jak zadawnione choroby: pomału i z trudnością mogą być tylko wyleczonemi: ja téż nie myślę brać tak ciężkiego na siebie obowiązku, niech historya za mnie przemawia; może téż głuchy na wszelkie rozumowania liczny jeszcze niestety zastęp uprzedzonych, da większą wiarę niezbitym i żadnéj wątpliwości nieulegającym faktom.

Montbrun, chociaż obcy urodzeniem, szczerze się przywiązał do naszego narodu i pragnął piérwszy przysłużyć się krajowi operą polską. Wiedział on o tém, iż niełatwo rzecz taką do skutku doprowadzić można; lecz dobre chęci, jak to się następnie pokaże, wiele dokazać mogą.

Pomiędzy kadetami królewskiego korpusu w Warszawie, znalazło się w 1776 r. kilku, którzy ucząc się muzyki, szczególną okazywali zdolność do śpiewania. Stanisław August gdy się o tém dowiedział, życzył sobie słyszéć ich razem śpiewających: chciał się bowiem przekonać, czyliby Polacy nie mogli z czasem w ojczystym języku występować w operach i pięknością melodyi zachwycać współziomków, zamiast sprowadzania z ogromnym zawsze kosztem obcych śpiewaków. Chcąc dogodzić żądaniu monarchy, ks. Bohomolec, znany autor wielu dowcipnych i wesołych komedyj, ułożył komedyjkę w jednym akcie z kilku piosneczkami, którą nazwał: *Nędza uszczęśliwiona*. Czyli dla braku kompozytora muzyki, czyli dla innych niewiadomych powodów, komedyjka ta nie była graną, ale wydrukowaną została. Maciéj Kamieński powziął myśl wystawienia jéj na publicznym teatrze i ułożywszy do piosnek muzykę, ofiarował ją ówczesnemu przedsiębiorcy narodowéj sceny, Montbrun'owi. Montbrun sam niegdyś

Stanisław Duńczewski opowiada w Kalendarzu swoim na rok 1767, że jadąc Pokuciem ze Stanisławowa do Śniatynia na Kamionkę, dają się widzieć kamienie, z których jeden wystawia dwie osoby, inny trzy chleby. „Przed trzema dziesiątkami lat (mówi A. Bielowski) zwrócił uwagę swoję na te pomniki były właściciel miasta Kamionka wielka, Ludwik hr. Kalinowski, i posąg bożyszcza przy kopaniu rowu, w dawnem stanowisku znaleziony, zamierzał umieścić w swoim ogrodzie na podstawie z granitu, sprowadzonego wielkim kosztem z nad Dniestru. Posąg ten był to kamień z rzędu szutrowych, niezwyczajnej wielkości, bo pięć łokci wysokości mający, bardzo mało tknięty ręką rzeźbiarza, w egipskim sposobie, jedynie tylko co do najgrubszych rysów. Wklęsłość jego u góry zagłębiona dłutem widocznie: w całej reszcie nie można było prawie dośledzić ręki kamieniarza, prócz jednego rysu środkowego, rozdzielającego dwie osoby. Gabryel Hohendorf, który kamień ten na miejscu oglądał, domyślał się, że to będzie prawdopodobnie posąg Lela i Polela, a nie od rzeczy będzie zrobić tu uwagę, że wedle podania Karaitów halickich, które rabin ich, Leonowicz, ze starej pergaminowej książki wypisał, miały się znachodzić w Haliczu ślady bóżnicy pogańskiej Lela i Polela jeszcze około r. 1246. Ludzie prości, mówi dalej Hohendorf, zowią dotąd bożkiem swym ów kamień, i biegają do Kamionki strugać go na różne zabobonne lekarstwa." Dotąd wypis z Bielowskiego.

W r. 1832 mieszkając na Pokuciu, a słysząc wiele o tym kamieniu, odwiedziłem hr. Kalinowskiego. W pokoju, w którym spał i przesiadywał, znalazłem wiele zabytków, wykopalisk: między temi najciekawsza była urna dochowana w całości, owinięta dobrze zachowaną szablą. Jestto jedyny tego rodzaju zabytek w wykopaliskach naszych. Zaprowadził nas właściciel do ogromnego ogrodu, aby pokazać owego Lela Polela. W pięknym klombie starodrzewów, gotowa już była wymurowana wysoka podstawa z dniestrowych kamieni, a obok na darni, leżało bożyszcze. Z ciekawością i bacznie obejrzałem ten kamień: byłto rodzaj piaskowca zbitego, długi na pięć łokci, szeroki blizko na trzy. Żadnego śladu dłuta na nim nie było: wpośrodku samym było wyżłobienie, ale raczej od wymycia wodą, niż od ręki ludzkiej. Wyżłobienie to, najgłębsze w niektórych miejscach miało około czterech cali. Ślady wskazywane mi dłuta przez hr. Kalinowskiego, były w wyobraźni jego, a nie na

kamieniu. Ale ciekawą rzecz opowiadał. Kamień ten nie został od niego wcale w rowie znaleziony, ale stał na rozstajnych drogach, Lud ruski, jak pragnął deszczu, to kładł go na ziemi, jak pogody, to stawiał sztorcem na małym kopczyku. Że dotąd przywiązywał pewne podania do tego kamienia, dowodziło, że na rogach jego były ślady skrobania go nożem, a proszek taki Rusini używali do lekarstw bardzo skutecznych wedle ich mniemania. Te widoczne ślady skrobania i to świeżego dosyć, uważał hr. Kalinowski jako dowody rzeźby niewprawnego dłuta. Czy dotąd ten kamień istnieje, nie wiem, zawsze jako wyobrażający *symbol* bogosłowia przedchrześciańskiego, godzien zachowania w jakiém muzeum archeologiczném.

August Bielowski opis Pokucia dzieli na rozdziały: wyliczymy je, a z ważniejszych zrobimy wypisy. W ustępie p. n. *Osadnictwo*, podaje swoje badania o piérwszych osadnikach *Pokucia*, i zaraz w następnym tak nam maluje dwa plemiona ruskie: *Huculów* i *Bojków*.

„Na nizinach pokuckich włościanin nie różni się niczém prawie od włościan Podola, którego część właściwie stanowi Pokucie. Górale mają odrębne swoje znamiona i wyróżniają się dobitnie dwa ich rodzaje. Od wschodu znaczną przestrzeń gór zamieszkują *Huculi*: takie miano dają im naokoło sąsiedzi, i sami się do niego przyznają. Nie tak się rzecz ma z ich zachodniemi sąsiadami, co począwszy od Czarnego lasu, i od rzeki Łomnicy, aż ku źródłom Dniestru się rozciągają. Zapytani o właściwe swe miano, zowią się poprostu *werchowińcami*, góralami, podgórzanami i t. p.: tymczasem tak mieszkańcy nizin, jak i sąsiedzi ich Huculi, nazywają ich *Bójkami*. Jestto wyraźnie wzgardliwe tylko nazwisko, znaczące jakoby zbójów. Czują oni w niém wzgardę, i dlatego stale się go zapierają (1). O góralach powiedzieć można w ogólności, że jestto lud dorodny i hoży. Silna budowa ciała, swoboda ruchów, zwykle mieszkańcom gór właściwa, wreszcie odwaga i zręczność wspólne są tak Huculom jak Bojkom: atoli te same przymioty cieniują się w nich bardzo rozmaicie, i znaczną dostrzeżesz między niemi różnicę tak w postawie i rysach zewnę-

(1) Nazwa Huculów ma mieć toż znaczenie co Bojków. W wołoskim języku *choc* czyli *hoc*, zowie się zbój, końcówka zaś *ul* wyraża tylko jak wiadomo, rodzaj męzki, odpowiadając zaimkowi łacińskiemu *ille*.

trznych, jak umysłowych usposobieniach, w zwyczajach i obyczajach (1).

„Wzrost częściéj ogromny niż mierny, cera smagla, oczy czarne, nos orli, czarny długi włos i wąs zakręcony, jest najpospolitszy u Hucuła: Bojko jest cery białéj, oczu najczęściéj siwych, rudawych włosów, smukły acz nieuderzający ogromem, natomiast lżejszy i ruchawszy. Przy długich, niekiedy podgolonych włosach, wąsów lub wcale nie zapuszcza, lub je przystrzyga.

Strój Hucuła w ogólności schludny, w bogatszych trąci niekiedy wytwornością. Kapelusz czyli tak zwane *kresanie*, formy stożkowatéj, lub z główką okrągłą, a szerokiemi brzegami, ma wkoło szeroką blaszkę lub wstążkę, częstokroć pierścieniami, kółkami i innemi błyskotkami nawieszaną, z za któréj pióro pawie powiewa. Gunia krótka, z grubego sukna, bronzowego, miodowego, niekiedy ponsowego koloru: bierze ją najczęściéj na opaszki, spinając pod szyją pętlicami. Pod nią widać *kiptar* (kożuszek bez rękawów) jedwabiem wyszywany, przez ramię przewieszona dziobeńka w kratki, lub tobolec guzikami błyszczący, a koszula, suto na ramionach we wzory tureckie wyszywana. Szeroki rzemienny pas z mnóstwem guzików, kółek, pierścieni i t. p. Przy pasie między innemi nóż w pochwie, a para pistoletów za pasem. Spodnie szerokie sukienne, czerwonego, miodowego, lub granatowego koloru; na nogach chodaki gładko włókami włóczkowemi przeplecione; w ręku toporek pisany. Zimą wdziewa kożuch krótki, czapkę lisią, zwaną *kłepanie* i *guglę* czyli *długlę*, zwaną także *manta*, która jest rodzajem płaszcza z sukna białego, a zrobiona tak, że z tyłu naturalny kaptur tworzy. Ubierają się w nią i kobiety.

Ubiór zwyczajny Bojka stanowi czarny sierak powyżéj kolan; pod nim bunda z wyszyciem włóczkowém, koszula na ramionach wązką *merežka* ozdobiona, przez plecy tobolec czyli tajstra skórzana bez ozdób. Pas rzemienny, nietyle błyskotkami, ile potrzebnemi narzędziami opatrzony. Spodnie białe obcisłe, chodaki rzemykami przeplecione. Na głowie zimą

(1) Autor wyznaje, że w opisie Hucułów i Bojków trzymał się opisu Jana Wagilewicza, znanego w literaturze naszéj badacza, który we wsi Jasieńcu, na samém pograniczu Hucułów i Bojków urodzony i przez bardzo długi czas tamże zamieszkały, miał najlepszą sposobność przypatrzéć się im dokładnie, i poznać ich zwyczaje i obyczaje.

kuczma wysoka, barania, w formie głowy cukru uciętéj, albo szłyk; latem zaś czarny, niski z szerokiemi krysami kapelusz: w ręku kij nasiekany.

Huculki są zazwyczaj smukłe i urodziwe. Na głowie u mężatek ujrzysz biały cienki rąbek. Ramiączka u ich koszul wyszywane ozdobniéj niż u mężczyzn; na koszuli *duszka* czyli gorset materyalny, najczęściéj czerwony. Dwie zapaski wełniane, pstrego koloru, zwane *fotami* obwiązują wkoło siebie z dwóch stron, przepasując je pasem z kałamajki. Switkę czarną wdziewają na wierzch, na nogi zgrabne chodaki, a niekiedy buty czerwone. Dziewki splatają najczęściéj włosy we dwa warkocze, i takowe na głowie we wieniec ułożywszy, mnóstwem świecideł i piórem pawiem ozdabiają. Bogatsze zawieszają u szyi srebrne i złote monety, a spódnice ich w dzień świąteczny przywdziane, połyskują srebrnemi i złotemi galonami.

Żona Bojka obwija głowę zawójką, a niekiedy nią i większą część twarzy zakrywa. Odzieniem jéj biała, płócienna switka, spódnica w kwiaty, a na niéj pstra, wełniana zapaska; na nogach chodaki lub buty. Dziewki splatają włosy w jeden warkocz, i takowy kwiatami i wstążkami ozdobiony, wolno po ramionach puszczają.

W długich a wązkich dolinach popod ściany gór, lub na mniéj nagłych ich pochyłościach ciągną się osady huculskie, u wschodu począwszy od Białego Czeremosza i potoka *Putyły*, aż do *Łomnicy* na zachód. W nazwiskach tych wsi uderzy cię nierzadko dźwięk obcy: Brustury, Akreszory, Szeszory, Ryngury, podobnie jak i w samym języku hucuła. Syna zawoła ci niekiedy ojciec: *filine*, zamiast rozprawiać wiele, powie *werberowaty*: a duchów leśnych nazwie *silwaticzi*. W podobnéjże co i hucuł miejscowości rozsiedlony Bojko, od Porogów i Jabłonki, ostatnich wsi huculskich nad Bystrzycą sołotwińską, aż po źródła Dniestru, mówi językiem czysto słowiańskim, i takim ponazywał wsie swoje, a wyraz niezrozumiały i obcy, znajdzie się u niego zaledwie do którego wierzchołka gór przyczepiony.

Wsie huculskie są powszechnie wielkie, *chyża* czyli chata od chaty daleko, zawsze sadem, łąką, lub lasem rozdzielona. Hucuł kocha się w sadach. Skoro ma kawałek ziemi potemu, pielęgnuje szlachetniejsze owoce; prócz jabłek wyśmienitych i gruszek, znajdziesz u niego tarnośliwy, czereśnie, wiśnie i cze-

rechy, któreto ostatnie, są np: w Szeszerach nietylko tegoż gatunku, co sławne kleparowskie czerechy, ale nawet od nich dorodniejsze. Chata drewniana, zwykle z dwoma ku wschodowi oknami, pobita jest dranicami dość nisko. Koło niéj stajnia, śpichlerz, kawał ogródka i pasieka: woza, pługa, ni stodoły nie ujrzysz.

Nie tak rozległe wsie Bojków ciągną się brzegiem potoków i rzek, obsiadają żyzniejszą kotlinę lub górę lasem u wierzchu ocienioną. Chaty najczęściéj gromadkami rzucone, stoją dość blizko jedna przy drugiéj. Budowa ich ma w sobie coś oryginalnego. Wysoki ostry dach spoczywa zwykle na kolumnadzie słupów drewnianych, połączonych takiemiż kabłąkami, formując naokolo rodzaj krużganku. Wśród téj kolumnady siedzi chata jak skrzynia; okna jéj ku południowi obrócone, na dachu obok pobicia u dołu dranicami, obaczysz niekiedy wierzchem i słomę. Drzewa zielenią się przy chacie, ale owocowych albo rzadko, albo wcale nie ujrzysz. Natomiast obok stajni i obory jest i stodoła, a oraz wóz, pług i inne narzędzia gospodarskie: Bójko bowiem jest rolnik. Mimo niewdzięcznéj gleby, którą zamieszkuje, sięga pługiem i rydlem wszędy, gdzie tylko kawał ziemi z pod lasu i kamieni wydostać może, i zasiewa ją owsem, lnem, niekiedy jęczmieniem i żytem jarém, lub téż kartoflami zasadza. Nie zraża się w usiłowaniach swoich tém, że mu zboża na pniu zwierz psuje, i śniegi wczesne przyprószają. Rozpala nocą ognie przy owsach dla postrachu niedźwiedzi, i przy nich nocy przepędza.

Huculi przeciwnie jest pasterz. Na przedgórzu uprawia on ziemię, ale tylko sposobem ogrodowym. Lubi téż i hoduje pasieki: ale główny skarb jego jest w bydle i owcach. Owca, wedle przysłowia huculskiego, daje odzież, opatruje nabiałem, i łąki gnojem użyznia. Dzień téż, w którym trzody swe na połonińską paszę wypędzają, obchodzony jest u Hucułów z największą uroczystością. Co atoli nadewszystko charakteryzuje Hucula, to jego zamiłowanie w koniach. Bójko chowa zwykle bydło rogate: konia u niego albo zgoła nie widać, albo tylko bardzo rzadko. Przeciwnie Huculi nadewszystko przekłada konie, których osobną, nigdzie indziéj nieznaną rasę pielęgnuje. Koń huculski jest drobny, najczęściéj maści czarnokasztanowatéj lub karéj, głowy kształtnéj, długiéj grzywy, mocnych i pewnych nóg; płochliwy, do pociągu niezdatny, ale wyśmieni-

ty do jazdy wierzchowéj (1). Jest on dumą Hucuła, i nieodstępnym jego towarzyszem; dosiada go tak sam, jak i żona i córka, ku czemu *foty* ich, z dwóch odrębnych sztuk składające się, zdają się jakby umyślnie urządzone. Siedzą na koniu z taką pewnością, że jazda nie przeszkadza im prząść kądziel z wełną, którą na koniu mają za pasem. Widząc całe takie karawany obojéj płci Huculów, jak od Żabiego i Mikuliczyna, za różnemi potrzebami konno ku dołom postępują, zdaje ci się, że jesteś w kraju Nomadów i oglądasz pierwiastki zawiązującéj się społeczności.

Dnia 13 czerwca odbywa się u Huculów tak zwane *mieszanie*, uroczystość, któréj zwykle muzyka i tańce towarzyszą. Na otworzyste polany spędzają z różnych stron owce: tam mają się połączyć w turmy po dwa tysiące i więcéj sztuk liczące, które wspólnie obrany *watażka* (pasterz główny) przy pomocy *butejów* (pastuchów podrzędnych) i owczarczyków w połoniny pożenie.

Wyganianiu owiec na polanę towarzyszy zwykle gospodarz z całą rodziną. Obok bogacza, kilkaset sztuk pędzącego, spieszy tam biédak z kilkorgiem swoich owiec, spieszy i sierota i wdowa; nie ma ona i jednéj sztuki do wypędzenia, ale idzie gdzie idą drudzy, aby w swojém ubóstwie pokrzepić się nieco na duchu, widokiem powszechnéj wesołości. Na polanie doją kolejno każdy przygnany oddział: mierzy mleko watażka, i oznacza, ile któremu *bundza* przypadnie. Przy maciorkach i jarkach podskakują młode jagnięta, watażko pozna wnet, iż to lub owo na połoniny nie dojdzie: rozdają je więc darem między biedaków i sieroty, aby je sobie *wyplekali*. Cały ten charakterystyczny obrzęd huculski kończy się wesołą ucztą i tańcami. Rozpoczyna się pochód ku połoninom. Postępują zwolna przed turmami przodownicy; owczarze w czarnych w tłuszczu umaczanych koszulach, w myckach wełnianych na głowie, zabiegają z boków i z tyłu otoczeni zgrają psów, na których znaczna część bezpieczeństwa polega. Najprzykrzejsze wzgórza, najdziksze wertepy, wszystko to nie kładzie tamy pochodowi, bo pastuchom

(1) Dodam tu, o czém ani Wagilewicz, ani Bielowski nie wspomnieli, że na dolinach obywatele w nad-Pruciu przyswoili sobie rasę huculskich koni, i te zwykle są siwe. Wprawdzie były płochliwe, ale w zaprzęgu szły wybornie i rączo. Sam miałem trójkę takich siwków do zaprzęgu: wzrostem przypominały żmudzkie koniki.

mimo słot i upałów, na które są wystawieni, mimo owadów dokuczających, nie zbywa na wesołości, i skocznie odzywa się dźwięczne huculskie *freło* (rodzaj fletu) i surma. Tu więc na górach, rozwija się przed twojém okiem prawdziwy obraz życia koczowego. Na wskazanéj przez watażka polanie, ogradzają koszarę dla owiec i stawiają koliby, w których skład nabiałów i mieszkanie owczarzy. W nich, z mleka wydojonego wywarzają bezustannie *bundzę*, z których bije się bryndza, zbierają z żentycy *urdę*, która główną omastę góralską stanowi. Raz po raz nadjeżdża do *kolib* właściciel owiec, jeden po drugim zdejmuje *terch* z konia, to jest bordiuki ze skóry koziéj, i bernice drewniane: dobywa z nich żywność dla owczarzów swych przywiezioną, a odebrawszy swoję część bundza, nabija w nią bryndzę i ku domowi pospiesza. Z powrotem jego otrzymują sąsiedzi wiadomość w którą stronę, i kiedy udawać się mają do *kolib*. Cały bowiem ten tabor w ciągłym jest ruchu. Skoro polany, na których stanął, są wypasione, przenosi się ze wszystkiemi zapasami na dalszą połoninę, gdzie grodzą nową koszarę, i nowy szałas stawiają.

Atoli jak Bójka rolnictwo, tak Hucula częstokroć pasterstwo jego zawodzi, i na opędzenie koniecznych potrzeb życia nie wystarcza, a tu uwydatnia się obu charakter. Bójko rozwija nadzwyczajną czynność w swym niedostatku, rzuca się na wszelkie przedsiębiorstwa, kupczy drogiemi towarami, winogronami, orzechami włoskiemi, śliwkami węgierskiemi, przebywa ogromne przestrzenie kraju, utrzymując bezustanny związek między Węgrami a Polską. Zwykle pod jesień z domu wyszedłszy, nie wraca doń aż na wiosnę. Niema téj obrotności Huculi i cały jego przemysł ogranicza się na sprzedaży lichych wyrobów swoich wełnianych, bryndzy i naczyń drobnych, z któremi konno do miast bliższych: Kossowa, Delatyna, Nadworny i Kut, lub najdalej do Kołomyi, Zaleszczyk i Horodeńki podróżuje. W nowszych dopiéro czasach, odkąd go zawodzą kartofle, udaje się za robotą ku dołowi; dawniej wolał gnuśnieć w swym domu, a niedostatek pokrywać środkami niegodziwemi. Ztąd téż sławne były między Huculami rozboje; a przy zagęszczonem hultajstwie zdarzało się, że sąsiedzi ich Bójki, chętnie się znimi łączyli, lub téż na własną rękę rozbijali. Jak zresztą lud ten mocno przywiązany do swoich siedzib, mnóstwo możnaby wskazać przykładów, w których się to przywiązanie jego z dziecinną naiwnością maluje.

Był to podobno Józef Potocki, właściciel Stanisławowa, halicki, śniatyński i t. d. starosta, który w ścisłych stosunkach ze Stanisławem Leszczyńskim i dworem francuzkim zostając, posłał raz do Paryża swego ulubionego kozaka nadwornego, rodem z Pokucia, zaopatrzywszy go dostatecznie na drogę. Sprawił się on tam jak należało, a gdy wrócił rad mu był bardzo starosta, i zapuściwszy się z nim w poufalszą rozmowę, chciał się dowiedzieć, jak mu się też życie w Paryżu, owéj stolicy świata podobało. „Lipsze pane w Kołomyi," odpowiedział dobroduszne Pokuciak.

„Idąc na Czarnogórę (opowiada professor Łobaczewski) miałem z sobą kilku przewodników, z któremi przez drogę rozmawiałem; wskazali mi oni między sobą jako osobliwość jednego, który nie mało świata widział; był bowiem (co się rzadko między Huculami zdarza) nawet we Lwowie. Zbliżyłem się do niego, i o różnych rzeczach rozmawiając, spytałem w końcu, jak mu się też podobał Lwów? Zastanowiwszy się nieco rzekł: „miasto niczego, duże i ludne, ale nasz *Kosów* (dodał z pewnym rodzajem zadowolenia, które się w iskrzących oczach malowało) nasz *Kosów* taki ładniejszy. W Kosowie wszystkiego a wszystkiego dostanie." Kosów ten, owe Eldorado Hucuła jestto licha żydowska mieścina, w któréj prócz kilku kramików i szynków, ledwie co więcéj obaczysz."

Po téj charakterystyce w § IV przechodzi *wypadki polityczne,* i historyczne wspomnienia. Odsyłając czytelnika do saméj rozprawy, przypominamy tylko sławne zwycięztwo Jana Tarnowskiego d. 22 sierpnia 1531 r. odniesione pod Obertynem, nad Piotrem hospodarem wołoskim. Mała to i licha mieścina; na okolicznych polach dochowały sie dotąd znaczne mogiły, w których pochowano pobitych najezdników ciała. Tu bowiem z małemi siłami Tarnowski, stanąwszy, wyrzekł stanowczo: „Tu nam umrzeć lub wygrać," i odniósł wiekopomne zwycięztwo. Mogiły te gęsto się wznoszą i w nieporządku, ale zaraz od Obertyna, idzie inny rodzaj wzniosłych mogił, o których Bielowski nie wspomina. Nie są to przecież mogiły, ale raczéj kopce wzniosłe, w prostéj linii ciągnące się aż na step Bukowiński: (jak mnie mieszkańcy Obertyna upewniali). Tak zaś są sypane, że jak na piérwszy wstąpisz, widzisz dokładnie następny. Służyły one za rodzaj telegrafów: postawione bowiem na nich straże, dawały znak mieszkańcom obertyńskich okolic, czy o napadzie tatarskim, czy o najściu Wołochów. Nie

miałem czasu daleko puścić się ich śladem: ale warto rzecz zbadać bliżéj, i do opisu tak dokładnego Pokucia wcielić. W następnym § V p. n. *Jak to było przed stem lat?* przechodzi autor szczegółowo zdarzenia sądu na czarownice, czary, oraz poszukiwania skarbów w ziemi zakopanych. Zajmującym, i wiele szczegółów nowych zawierającym jest ustęp o opryszkach. Bielowski daje nam ich obraz zajmujący. Ojca naszego autora jadącego do Krzyworówni, napadli byli opryszki: straż tylko w którą przez góry jadąc zaopatrzył się i rączy konik huculski uratowały go od nieszczęścia. Ten wypadek głęboko się wyrył w dziecinnéj pamięci. Położenie kraju, ustronne życie, granice blizkie Węgier, Wołoszczyzny i skały Siedmiogrodu, ułatwiały rzemiosło zbójeckie. Wpłynęło ono przeważnie na charakter pokuckich górali: w napadach rozbójniczych nie uważali występku, ale raczéj chlubę, jakoby rycerską zasługę. „Ledwie znalazłeś Hucula (słowa Bielowskiego), któryby za młodu nie kosztował chleba hajdamackiego; a poważni ojcowie, tacy nawet, co do dobrych i zamożnych gospodarzy się liczyli, nietylko chętki do rozbojów w synach swoich surowo nie potępiali, ale nie wahali się częstokroć i sami należeć do napadu, skoro się podała ku temu dobra sposobność. Ów słynny watach opryszków, Dobosz Olexa, widziany był przez majętnych Hucułów dość niechętnie. Poglądali oni nań z góry, nie dlatego, iżby się postępkami jego brzydzili; lecz że charłak jakiś, Wasyla ubogiego syn, mieszał się w ich rzemiosło, i imię rozgłosniejsze sobie zdobywał. Właśnie odznaczył się był kilkoma śmiałemi napadami, a hultajstwo zaczynało garnąć się ku niemu. Stefan Droniów, z Maniawy chcąc się do opryszków dostać, zapytał Olexę Tymofeja o młodego Dobosza. „A na co ci Doboszczuka (odrzekł mu tenże z pewnym rodzajem wzgardy). Ta, kiedy ty czujesz o jakiéj zdobyczy, to ja tobie zściągnę nie takich łeginiów, ale słusznych gospodarskich synów: to już ty sam możesz sobie i doma siedzieć, twoja cząstka dojdzie cię niezawodnie."

Mieli opryszki stosunki swoje z podstarościemi, którzy dary od nich przyjmowali. Bardzo charakterystyczny daje nam w tym ustępie obraz tych górskich hajdamaków, oparty na źródłach miejscowych, i urzędowych dokumentach. Wylicza sławniejszych dowódzców opryszków, i rozjaśnia nam przygody sławnego Doboszczuka, którego imię dotąd brzmi w pieśni ludowéj w całym nadpruciu.

W przeglądzie piśmiennictwa L. Siemieński rzuca swoje uwagi co do dwóch dzieł w Warszawie wydawanych: *Cmentarza Powązkowskiego* i *Wzorów sztuki średniowiecznéj w Polsce.* Z powodu piérwszego, zwraca myśl na zebranie starych monumentów, rozsypanych po kościołach ziemi naszéj. „Byłaby to puścizna wzięta wprost po Starowolskim, lecz podniesiona krytyką historyczną, i uzupełniona środkami dzisiejszéj sztuki." Co do *Wzorów sztuki średniowiecznéj*, zarzuca im naśladownictwo francuzkiego dzieła *Le moyen âge*, a w texcie braku tłumaczenia zabytków danych w rycinach, w sposób uczący, w czém są cechy sztuki polskiéj, gdzie ich upatrywać należy, jaką ideę wyrażają, co symbolizują? Spodziewamy się że te zarzuty wydawcy *Wzorów*, bez odpowiedzi nie zostawią.

K. Wł. W.

ROZMAITOŚCI.

POCZĄTEK IKONOGRAFII NASZEJ,

W spisie małego zbioru rycin i obrazków w odciskach z blach miedzianych, które przedstawiają wizerunki królów polskich i znakomitych mężów; tudzież ŚŚ. Patronów naszych i błog. Polaków. Dodane są prace rytowników naszych i inne tu należące przedmioty.

(Dokończenie).

Plan twierdzy Zamościa i okolic. *J. K. Siarczyński sc. Zamości.* Wys. c. 10.

Herb Jastrzębiec. *Joan. Cantius Siarczyński sc. Zamości,* in folio.

* * *

Tytuł dzieła: O przyjaźniach i przyjaciołach pr. A. Maczuskiego. Sztych. *W. Sławecki szkoły sztych. Uniw. Wileń.* 1817, in 8.

* * *

Olsztyn zamek w r. 1807. *Rys. pr. Vogel. Ryt. J. Sławiński.* Mała rycinka.

* * *

Bojomir. Nikita. Ryciny z opery Zamek na Czorsztynie. Ryt. Jakób Sokołowski. Cyfra *J. S.* splecione, *del. et sculp.*, in 8vo.

Ryciny w dziele: Pustelnik z Krakowsk. Przedmieścia. Na tych wbrew twierdzeniu w Gazecie Warsz. r. 1854, n. 328 i 329. znajdują się podpisy: *J. Sokołowski del. J. Sokołowski f.*

* * *

Prawdz. wizerunek ukrzyż. Jezusa etc. *Sc. et exc. An. Spindler,* in 8vo.

Sześć obrazków, jakoto: Pan Jezus i Najśw. Panna na kurytarzu OO. Reformatów w Krak; N. Panna Różańcowa w kaplicy OO. Dominikanów krak.; N. Panna Marya w Gidlach.; Obraz N. Maryi Panny w Minodze; N. Panna Mirowska; B. Bronisława. Wszystkie form. in 8vo. Antoni Spindler żyjący w Krak. jest zięciem Ad. Gieryka, u którego powziął naukę rytownictwa. Z blach miedź. wycierał on nazwisko swego teścia, a podkładał swoje. Teraz pokutuje on za śmiałość rylca, za powtórne fałszowanie pieniędzy papierowych.

— Mappa wolnego miasta Krakowa, na arkuszu. *K. Belcikowski delin. w Krakowie 1827. Wysztych. Antoni Spindler.*

* * *

Wizerunek prawdz. obrazu Nayśw. Jezusa i Matki jego Maryi cud. słynący, na krużgankach w konwencie krak. OO. Reformatów. *Stachowicz del. et sc.* Wys. c. 10.

Założenie mogiły Tad. Kościuszki d. 16 paźdz. r. 1816. *M. Stachowicz inv. et sculp. Cracoviae. Odbite w prasie p. Wyszkowskiego* r. 1822. Wys. c. 6, sz. c. 7 i pół.

Jego także rylca są następ.:

Mikołaj Wierzynek rajca krak. Mikołaj Gerlak krakowczyk. Zeltner przyjaciel Tad. Kościuszki. Wnijście do sali Jagiellońskiéj. Wyobrażenie srebrnego Kurka szkoły strzeleckiéj krak.: wszystkie w form. in 8vo.

Rzadkiemi są cztery jego litografie, zrobione zaraz po zjawieniu się u nas téj sztuki, przedstawiające ubiory wojska polskiego i powstańców z r. 1794. Oraz dwie odmienne litografie: skrzypek wiejski krak. Pod jedną podpis: po kolędzie.

* * *

S. Hyacinthus Odrovosius principalis Hierarchicus, universalis Regni Poloniae Patronus. *Tob. Steckel fecit Cra.* Wys. c. 10½.

Brama otwarta, nad nią trzy wieże. W środku czarny orzeł z herbem Janina. *Tob. Ste. fec.* Wys. c. 7.

— Gdyby się wykazało kiedy, że Bartł. Strachowski rytownik, który pracował w Wrocławiu, jest pochodzenia polskiego, jak o tém czyni wzmiankę ś. p. Gwalb. Pawlikowski, to następne jego roboty policzyć go każą do lepszych mistrzów:

Effigies imaginis Crucifixi D. Kobylanensis. Strachowsky sc. Vratisl.

Pan Jezus na krzyżu i Matka omdlewająca.

Wizerunek P. Jezusa w więzieniu z podp. niem.

Najśw. Panna Częstochowska. Maleńka rycinka z dzieła: Brosamen.— Effigies beatiss. Virginis Mariae in Eccl. Plokensis.

Effig. miraculosa imaginis B. V. Mariae clari collis Rokitnensis, in Regno Poloniae.

Effig. Matris Dei Mariae in aula Smarzevicen. *Fr. Athan. del.* (Miejsce inne od Smardzewic przy Ojcowie.

Das uralte Maria Gnadenbild zu Weisswasser.

Obrazek ś. Anny samotrzeciej, na Kalwaryi chełm. w Szlązku. *Fr. Felix Reform. delin.*

Ś. Tomasz. Optavi et datus est mihi sensus. Wys. c. 10.

S. Jan Ewangelista, u góry Jehowa: Quis ut Deus. *P. Paulus Gizicki S. J. Pol. del.* Wys. c. 10.

Ś. Stanislaus Episcopus Crac. et Martyr.

Ś. Wincenty a Paulo nauczający lud. Wys. c. 10. Piękna rycina.

Ven. Servi Dei Christinus Stradomski et Petrus Piasecki Poloni Reformati. *Felix Reformat inv.*

Rycina z nap. Vivat Augustus Rex et protector.

Monument z nap. Hic jacet qui nunquam jacuit, Carolus XII. Wys. c. 11.

Firmament gwiazdzisty. Napis: Serenum erit rubicundum est enim coelum. Wys. c 11.

Popielnice z napisem: Töpfe zu Ransen in einem Berge gefunden. Wys. c. 11.

Ryc. z napisem: Justitia Regna florebunt, in 4to.

Herb Junosza, unosi go anioł w powietrzu. Wys. c. 10.

Rycina z nap.: Mit Thränen genetzet. mit Freuden ergetzet.

Tytuł do dzieła: R. P. Hermanni Busenbaum Medulla Th. mor.

Dwaj Satyrowie niosą koszyk z owocami, z wierszami niem.

Maleńka rycinka z nap.: Suum cuique *J. B. Strachowsky fil.* (To syn jego).

Ryciny jego są wszystkie oznaczone jego imieniem, najwięcej w formacie in 8vo. Widzieć się także dają liche wyroby rytowników podszywających się pod jego nazwisko, jak np. z podpisem: J. F. Origa del. Crac. Strachowsky sc. Vratisl., in folio.

* * *

Sanctiss. Virgo Maria Cracoviae in Eccl. PP. Carmelitarum etc. *Scul. Romae Fr. Constantinus Strzałkowski*, in 8vo.

Effigies Religioss. P. M. Eliae Neyman Poloni Ord. FF. B. V. Mariae de Monte Carmelo. *Scul. Fr. Constantinus Strzałkowski*, 8vo.

Jest i inne wydanie tegoż obrazka, mniejsze od powyż.

* * *

Wizerunek obrazu N. P. Maryi w Czernichowie łaskami słynący w Cerkwi paroch. ruskiej. *T. Strzelbicki sculp. w Czernichowie.* Wys. c. 10.

Najśw. Panna Marya w Poczajowie, z nap. ruskim: *Szelbicki* (tak) scul. w Poczajowie.

Imago vetustis. Mariae V. de Gvadelupo Codnensis ex originali manu D. Lucae elaborata etc. *T. S. scul. Poczajov.*, in 8vo.

* * *

Devotiss. Jesu Christi imago et Sanct. Matris ejus etc. in Eccl. S. Trinitatis Iwanow. *Michael Surmacki sc. Cracov.*, in 12mo.

Pan Jezus ukrzyżowany. *M. Surmacki sc. Cracov.* Wys. c. 11.

S. Hyacinthus C. O. Praed. P. R. P. Sit tibi cura mei tene me etc. *Tenże*, in 4to.

Josephus Vandalinus S. R. J. et in magna Konczyce et Ossownica Comes Mniszech Cast. Crac etc. Wys. c. 12.

Herb Leliwa, otoczony innemi herbami. Wys. c. 11.

Rycina herbu... w panegiryku: Propositio omnimoda etc., in folio.

Herb Junosza w paneg. Bravium Philosoph. honoris, in folio.

Rycina w paneg. Mobiles in praemium. Herb.... in 4to.

29 rycin w dziele X. Jacka Kliszowskiego pod tyt. Życie zachodnich krajów Apostoła ś. Wincentego Ferrer., 4to w Krakowie r. 1750. Zdarzenia z życia tego świętego, pod każdą ryciną czterowiersz łaciński. *M. Surmacki sc. Cr.*

* * *

Ś. Józef z Dzieciną Jezus, wokoło znaki Zodiaku. *Jan Surmacki*, in 12mo.

S. Joannes Cantius Polonus S. Th. D. *Tenże*, in 8vo.

Ś. Jan Kanty. Orzeł trzyma okrąg z wyobr. tego świętego, in 4to.

S. Roch. S. Rocho ora pro nobis. Wys. c. 7.

Sancta Wilgefertis., in 12mo.

Herb Junosza w paneg. Thronus Praesulei honoris etc., in folio.

Herb Pogoń i herb.... z napisem: Arma Ducis refero Pogoniae. Wys. c. 7.

* * *

Rycina z 13 maleńk. wizerunkami rodu Swięcickich z podp.: Moribus ex vestris multiplicatus honor. *Fr. Antonius Swach O. M. C. fecit.* Wys. c. 9 i pół.

Brama tryumfalna, nad którą dwa maleńkie wizerunki z nap.: Sereniss. ac invict. Joan. III Poloniae Regi Triumphatori semp. Aug. *Fr. Antonius Swach O. M. C. fecit* Wys. c. 10.

* * *

Tablicę z figurami fizyczn, zdaje się, że rytował izraelita, na któréj ten napis: *Szmul Marc. sculp. Crac.*

* * *

Tadeusz Kościuszko. Dwuwiersz łaciński pr. M. Ł. *Szukański fec.*, in 12mo.

* * *

Wizerunki znakom. mężów polskich. Pod takim tyt ogłoszona jest kollekcya portretów i obejmuje te: Władysław IV król

polski i szwedzki W. X. L. Następnie: Jan Tarnowski.—Sam. Maciejowski.—Mik. Wolski.—Stan. Rewera Potocki.—Jerzy Xże Lubomirski—Bartł. Nowodworski.—Piotr Tomicki.—Mik. Krzysztof Radziwiłł.—Katarzyna krolowa szwedzka—Barbara Radziwiłłowna.—Ignacy Krasicki.—*Rysował Xaw. Prek.*—*Rytował Antoni Tepplar w Nozdrzcu.* Wys. c. 11.—Dodane są życiopisma na osobnych kartach.

Stanisław Koniecpolski kaszt. krak. hetm. w. kor. *Malował Altomonte. Rytował Ant. Tepplar. w Medyce*, in 8vo.

Maciej Kazim. Sarbiewski S. J. sławny poeta. *Rys. Xaw. Prek. Ryt. Ant. Tepplar.*

Adam z Rosciszewa na Żurawicach Rosciszewski. Taki napis otacza u dołu popiersia tarczę z herbem Junosza. *I. T. del. Ant. Tepplar sc.* Wys. c. 8.

* * *

Kamieniec Podolski.—Camenecum civitas Podoliae, opere mirando Naturae in alto lapide etc. Rycina arkuszowa. *Cyprianus Tomaszewicz C. C. fecit.*

Najśw. Panna Pocieszenia w kościele OO. August. na Kazimierzu przy Krakowie, (bez żadnego podpisu). Ryt. Cypr. Tomaszewicz. Wys. c. 12.

Effigies gratiosa beatiss. V. Mariae apud Fr. misericordiae, miraculis clara Zamoscii. Theophilus *Troczkiewicz sc. Leopoli*, in 8.

Ven. Pater Michael a S. Barthol. Carmelita disc. Polonus. *J. Trockiewicz sc. Leopoli.* Jest tenże obrazek z podpisem polskim tegoż rytownika, in 8vo.

Effigies S. Stanislai Kostka Leopoli in templo S. J. Thaumaturgi. C. P. S. R. M. *Tenże*, in 12mo.

* * *

Dzieciątko Jezus, w pośród serca, z dzieła: Cor Jesu amanti sacrum u Łuk. Kupisza w Krak. *Dav. Tscherning scul.*, in 12mo.

Tytuł do dzieła Adama Opatowczyka: Tractatuum Theologicorum pars 2da. W Krakowie u Schedla r. 1645. *Dav. Tscherning sculpsit Cracoviae.* Wys. c. 7.

Elias Major Vratislav. P. L. C. Gimnasii Elisabetani Patrii Rector etc. r. 1665. *Golfr. Roth del. Dav. Tscherning sculp.* Wys. c. 9.

Następny, nie wiadomo czy z téjże rodziny:

Familia Sta. Jesus Maria Joseph. *M. Willman del. J. Tscherning sculp.*, in 12mo.

Tenże obrazek: inne wydanie. *M. Will. inv. J. Tscherning scul.*, in 12mo.

Karta tyt. do dzieła: Syllabus Marianus, przez O. Franc. Węgrzynowicza Ref. Wyobraża Najśw. Pannę z Dzieciątkiem Jezus, otoczone mnóstwem tarcz z napisami. *Inv. Author operis. del. Carol Preno. Sc. J. Tscherning.* Wys. c. 8.

Takiż tytuł do dzieła: Alphabetum immac. Concept. S. Virg. Mariae, tegoż jak wyżéj autora. *Invenit. delin. Author operis. J. Tscherning sculp. Brigae.* Wys. c. 7 i pół.

* * *

Widok kościoła ś. Anny w Wilnie. *Fran. Smuglewicz rysował. Zygmunt Vogel sztychował, r. 1807.* Wys. c. 12.

Mieszkanie Juliana Niemcewicza w Ameryce. *Jul. Niemcewicz del. S. Vogel sc.* Krajobraz wys. c. 4, sz. c. 6.

O. Węgrzynowicz. O nim Skarbniczka Archeol. p. 54.

* * *

Woszczanka. Do dzieła Monarchia Turecka pr. Ricota dostarczał ryciny: Ubiór białychgłów Konstantynop.

Spaha. Janczar etc. *Sculp. Maxim. Woszczanka.*

* * *

Najśw. Panna z podp. Sancta Maria dicitur orbis candida Luna. *Irzy* (tak) *Wyszlowski sc. Leop.* Wys. c. 10.

Wizerunek N. Panny z Dzieciną Jezus, a podpis z rzeczą sprzeczny: Vera effigies imaginis S. Spiritus Lublinensi. *Georgi Wyszlowski*, in 12mo.

Effig. S. Joannis Nepomuceni. *Georgi Wisłowski* (tak) *sc. Leopoli*, in 8vo.

B. Sadoch Polonus, Provinciae Hungariae coapostolus etc. *Giorgi Wiszlowski* (tak) *sc. Leopoli*, in 8vo.

Miraculoss. imago B. V. Mariae, angelica manui depicta, in Clare Valle Socaliensis coronata 1724. *G. W.*

B. Jan z Dukli zak. ś Franciszka etc. *J. G. W.*, in 12mo.

* * *

Prawdziwe wyobrażenie Dzieciątka Pana Jezusa łaskami słynącego, u PP. Kolletek na Stradomiu przy Krakowie. *M. Stachowicz del. P. Wyszkowski sc.*, in 8vo.

Prawdziwe wyobrażenie ś. Jacka Wyznawcy zak. kazn. Patrona kor. pol. *M. Stachowicz del. Piotr Wyszkowski sc.*, in 8.

Podział handlowy Europy, mapka in 4to. Rytował ją Piotr Wyszkowski do dziełka X. Sebast. Sierakowskiego: Konstytucye miast Hanzeatyckich etc., in 8vo.

* * *

Śta Trójca. U dołu modlitwa polska. *M. Żukowski sc. Cracoviae*, 1760, in 8vo.

Tegoż, zbiór mój posiada te ryciny:

Pan Jezus na krzyżu: jestto widok ołtarza w kościele Panny Maryi w nawie bocznéj, od południa. in folio.

Obraz Panny Maryi w kościele w Smarzowicach etc., in 8.

Najśw. Panna i ś. Dominik, z nap: Dominice, qui elucidant me, vitam aeternam habebunt, in 8vo.

S. Joachimus Pater beatiss. Virginis Mariae. *M. Żukowski sc. 1753 Cracoviae*, in 8vo.

Sześciu patronów polskich, Cantius, Svetoslaus, Michael etc. *M. Żukowski sc. Crac.* 1757.

Ś. Wincenty Ferrer. Modlitwa u spodu. Wys. c. 8 i pół.

Ś. Barbara. A finibus terrae clamavi etc. *Typ. A. 1760*, in 8vo.

W. A. B. Rafał Chyliński Franciszkan Polak etc. *M. Żukowski sc. Cracov.* 1758.

Ryc. tyt. Studium pulchritudinis etc. r. 1760, in 8vo.

Herb Junosza, z widokiem biblioteki. Napis: Ex Typographia Andreae Stan. Kostka Załuski Episc. Crac., in 8vo.

Herb Sołtyk, Napisy: Et soli et soliis. Nulla via inviae. Wys. c. 10 i pół.

Herb Lis, Czarnockich.

Etykieta do przylepiania w książkach należących do Biblioteki Załuskich. *M. Żu.*

PRZYCZYNEK DO IKONOGRAFII NASZEJ.

Spis rycin później przybyłych do zbioru A. G. w Krakowie.

WIZERUNKI KRÓLÓW.

Casimir III Roy de Poloigne (tak). Napis ten jest mylny, gdyż na téj saméj karcie są obszernie opisane dzieje życia Kazimierza I z podaniem czasu śmierci jego r. 1058. Wizerunek króla wys. cali 6, pochodzi z dzieła franc. *Vies des hommes illustres de R. Theuet*, in folio; z pisowni wnoszę, że drukowanego w wieku XVII.

Sigismundus I. D. G. Poloniae Rex etc. U spodu owalu: Sigismundus de I. Coninck van Polen, Groothertoch inde Lithau, Hertoch in Russen, Pruissen, Masovien. Wizerunek z twarzą w lewo; wys. c. 6., z dzieła w języku hollend.

Tenże sam wizerunek, z odmianą, iż twarz króla zwrócona w prawo, wys. c. 4 i pół, z dzieła łacińskiego.

Sigismund. Augustus Rex Poloniae etc. Dwuwiersz: Augusti Regis Sigismundi, en, ora Poloni etc. Wys. c. 6 i poł.

Sigismundus Augustus Rex Poloniarum. Król w koronie, w ręku berło, in 8vo.

Stephanus D. G. Rex Poloniae. Dwuwiersz: Hungarus en Stephanus sed agri Rex ille Poloni etc. Wys. c. 6.

Sigismundo terzo Re di Polonia, Gran Duca di Lituania etc. *M. Van Sommeren f.* Wys. c. blizko 9.

Sigismundus III D. G. Rex Poloniae etc. Pop. w owalu, na głowie czapka z piórem. *Dominius Custodis excud. Aug. Vind.* W owalu, in 4to.

Sigismundus III D. G. Rex Pol. U dołu. The Most Excellent Prince Sigismundus 3. King of Poland etc. Wys. c. 6.

Constantia Austriaca Poloniae Regina. U spodu podpis: Constantia van Oostenryck, Coninginne van Polen, groot Vorstinne van Lithuanien etc. Wys. c. 6.

Icon Vladislai Sigismundi Poloniae et Sueciae Principis, z pięciow. Quem tot Sarmati populi etc. Wizerunek odmienny od podanego w poprzednim spisie i tylko wys. c. 5 i pół.

Uladislaus IV Poloniae et Sueciae Rex Seren. et pot., in 12.

Vladislaus IV Poloniae et Sveciae Rex, Magnus Dux Lithuaniae, in 12mo.

Cecilia Renata Austriaca Poloniarum Suaecieque Regina. Maleńka rycina.

Casimirus Princeps Poloniae etc. Pop. w owalu wys. c. 5.

Casimirus King of Poland, Great Duke of Lithuania. W owalu. wys. c. 5 i pół.

Joannes Casimirus Dei Gratia Rex Poloniae etc. Wys. c. 3 i pół.

Serennissimus ac Reverendissimus Princeps Carolus D. G. Poloniae et Sueciae Princeps, Episcopus Plocensis et Vratislaviensis etc. *B. Moncornet excudit avec privilege du Roy*, in 4to.

Michael Thomas Koribut Dux Wiesniowiecius etc., electus 9 Junii A. 1669. Rex Poloniae, in 4to.

Michel Koribut Wiesnowisky (tak) par la Grace de Dieu Roy de Pologne, Grand Duc de Lithuanie etc. *A Paris chez Bertrand rue St. Jacques.* Wys. c. 8.

Eleonora Maria Imp. Ferd III. filia, Imp. Leopoldi soror, Michaelis Poloniae Regis conjux. Wys. c. 6.

Eleonor. Marie Joseph d'Autriche Reyne de Pologne, etc. *A Paris chez P. Bertrand* etc. Wys. c. 8 i pół.

Joannes III. D. G. Polonorum Rex victoriosissimus et Christianitatis Defensor. *J. Peters ex. Ant.* Król na koniu z pałaszem opuszczonym w ręku, Wys. c. 8 i pół.

John Sobieski. From. an original picture in the Gallery of the Louvre etc. *Engraved by J. Thomson. London* etc. Bardzo piękna rycina, król w zbroi z głową odkrytą. Wys. c. 11.

Jean Sobieski Roi de Pologne. Zupełnie taki wizerunek, jak rycina G. S. Crusiusa w poprzednim spisie. *Garand del, Cheun. sc.*, in 8vo.

Stanislaus The beneficiant. *Printed for J. Hinton at the Hings arms.* in 8vo.

Stanislaus I. Rex Polon. magn. Dux Lithuaniae. Król w lewéj ręce trzyma buławę, prawą podpiera bok. in 8vo.

Stanislaus I. Roi de Pologne. Są dwa wizerunki bardzo do siebie podobne, a jednak odmienne, in 8vo.

Stanislas. z dzieła Hist. de Pologne *C. Veigel fecit. London direx.* in 8vo.

Stanislaus Rex. *J. A. Fridrich sculpsit Ratisbonae*, in 8vo.

Marie Princesse de Pologne, Reine de France et de Navarre. Królowa w sznurówce, in 8vo.

Fridericus Augustus III. Rex Poloniarum Elector Saxoniae etc. *Sysang sculpsit et excud. Lipsiae. Zu finden in Leipzig bey Joh. Georg. Schreiber.* Wys. c. 16, szer. c. 10.

Marie Josephe Reine de Pologne, Electrice de Saxe Archiduchesse d'Autriche. Peint par Louis de Silvestre etc. a Dresde 1757. Gravé par J. Daullé. Paris 1750. Rycina wielkiego rozmiaru, wys. c. 28, szer. 19.

WIZERUNKI SŁAWNYCH POLAKÓW.

Tadeusz Czacki Starosta Nowogrodzki, Exegit monumentum aere perennius. *Lesser pinx. J. Ligber sculp. Varsaviae.* (Dedykacya Hr. Czackiemu). Wys. c. 9, szer. c. 7.

Kopernik. Nicolaus Copernicus. W ręku prawém trzyma księgę, przed nim na stole globus Wiz. czworokątny. Wys. c. 7.

Nicolas Copernic, née a Thorn le 19 Fevr. 1473. etc. *A. C. pinx. C, B. sculp. a Paris chez Odieuvre* etc. Wys. c. 6.

Taddeus Kościuzko. *Lambert sculp. Ambroise Tardieu direxit.* Wys. c. 7 i pół.

Wzięcie w niewolę Tad. Kościuszki pod Maciejowicami. Rycina arkuszowa lichego wyrobu, z objaśnieniem w języku niemieckim *J. M. Will A. V.*

R. D. Nicolao Copernico. *P. delin.* Rycina maleńka w czworokąt. Wys. c. 3 i pół.

Joannes a Lasco Polonus. Wizerunek twarzą w lewo. Rycina czworokątna, wys. c. 5 i pół.

Jan a Lasco Polacker, is geboren uyt adelycken huyse, en gestorven int Jaer 1560. W owalu, wys. c. 4 i pół. Twarz w prawo.

Giorgio Sebastiano Lubomirzki (tak), Conte di Wisnicz e Jaroslau. (Reszta napisu przydłuższa). *J. D. Hertt del. F. v. Steen S. C. M. Sc. fec.* Wys. c. 10 i pół.

Georgius Comes in Wisnicze (tak) Jaroslaw Lubomirski, S. R. J. Princeps, Generalis Cracoviensis etc. *A. Melner sc.*, in 8.

Vladislaus Alexander a Łubna Pomian Łubieński, Scholasticus Cath. Cracoviensis etc. A. 1741. *F. M. Brandeis* pinx. *B. Strachowsky sc. Wratisl.* Format in folio.

Mathias de Crachau plenipotentiaire de Pologne. Cum privilegio Regis. Ryc. w czworokąt. Wys. c. blizko 8.

Tenże i z takim podpisem, tylko opuszczone Cum privil. Regis. Rycina w owalu, u góry tarcza bez herbu i wieniec. Wys. c. 5 i pół.

Andrea Olszovoski (tak). Vescovo di Culma e Pomerania, Decano di Cracovia etc. (Napis przydłuższy). Wys. c. 9.

Mort du Prince Poniatowski le 19 Octobre 1813. (Napis długi francuzki). Rycina cało-arkuszowa poprzeczna, *aqua-forte. Martinet pinxit. Charon sculp.*

Illustrissimus et Excellentissimus Dom. Hieronymus in Radziewwice Radziewwskij (tak) Procancellarius Regni Poloniae, et Gubernatori Haeredi in Kryłow. W owalu, wys c. 6.

Christophorus Ratzivilius Dux in Birze et Dubincki etc. Wiz. na tarczy owalnéj, odmienny od tego jaki jest w spisie wyżéj, in 8vo.

Josephus Andreas Comes in Zaluskie Zaluski, supr. Regni Poloniae Referendarius, Abbas Villariae, Belluaci et Fontanelli in Gallia, Canonicus Eccl. Cath. Cracoviensis etc. *Schleuen fec. Berolini.* Wys. c. 7.

Martinus Comes in Zaluskie Zaluski, Episcopus Dresnensis, Suffraganeus et Praepositus Plocensis, Dux Sielunensis etc. *Schleuen fec.* Wys. c. 7.

J. Zamoyski. Z boków popiersia ośm zdarzeń z życia jego. U dołu widok z podp. Cracovia ab obsidione feliciter liberata. *Moreau del. 1789. Massard sculp.* Wys. c. 8.

Johannes de Zamoscio Cancellarius et summus Dux Exercituum Regni Poloniae. Napis ten jest wokoło popiersia, in 4to.

Joan Zamoyski. W owalu. *Esme de Boulonoir fec.*, in 4to.

Johannes de Samoscio etc. Pod owalném popiersiem, u dołu napis szwedzki. Johannes Zamoskius, Erts Cancellier en Overste Velt Heer de Conineryck von Polen, in 4to.

Joan. Zamoyski mag. Canc. Pol. Pr. Gen. Mil. Pod popiersiem: Ex testamento Samosciano ad Thomam filium aurea admonitio. Wys. c. 3 i pół.

Johan de Zamoscio Cancellarius Regni Poloniae. Maleńka rycinka, wys. c. 2.

Tegoż, popiersie uwieńczone, z dzieła: Myśli o pismach polskich.

Zaremba, Confoederations-Marschall in Pohlen. Na koniu, z pałaszem w ręku, u dołu sześcio-wiersz niem. i łaciń. N. 32. Joh. Martin Will excudit Aug. Vind. Wys. c. 12.

Nakładem ś. p. Gwalberta Pawlikowskiego, wydane są za granicą te wizerunki w jednakim kształcie: Jerzy Zenowicz, Sułkowski, Karol Piątkowski, Paweł Jerzmanowski. Wys. c. 5 i pół.

* * *

Cracovia. Metropolis Regni Poloniae. U wierzchu herby: Orzeł; Pogoń: Wąż Sforziów; herby miasta Krakowa, Kleparza, Kazimierza. Widok wielkiego rozmiaru, wys. c. 14, szerok. stóp 3, cali 5.

Tenże widok Krakowa w pomniejszonym kształcie, z herbami jak wyżéj, z dodaném u dołu objaśnieniem, czego w powyższym nie ma. Wys. c. 8, szer. c. 15.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1857.

89. Album lubelskie rysował z natury i opisał A. Leruc. Wydane nakładem w własnéj litografii A. Pecq. et Comp. Warszawa. 1857. Ośm zeszytów, w kroju małego arkusza. W drukarni S. Orgelbranda. Rsr. 8.

90. Karolina. Powieść przez Klementynę z Tańskich Hoffmanową. Z uwagą na czele:

„Myśl téj powieści wzięta jest z angielskiego romansu panny Baillie, *A marriage of hingh life.*

Warszawa. Nakładem S. H. Merzbacha, księgarza. 1857. (W 8-ce. Str. 450. W drukarni J. Jaworskiego). Złp. 10.

91. Królowie polscy. Wizerunki zebrane i rysowane przez Alexandra Lessera. Objaśnione tekstem historycznym, przez Juliana Bartoszewicza. W Warszawie. Nakładem litografii A. Pecq. et Comp. Druk Józefa Ungra. W wielkim arkuszu. Zeszytów 14. Rsr. 20.

92. Obrazek poznański. Piórem naszkicowała Paulina z L. Wilkońska. Lipsk. Edward Wengler. 1857. (W 12-ce. Str. 211). Drukiem Breitkopfa i Härtela w Lipsku.

93. Ognisty lew. Powieść czerkieska, przez Karola Brzozowskiego. We Lwowie. W drukarni Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich. 1857. (W 8-ce. Str. 43).

94. O rolnictwie i ekonomii wiejskiéj we Francyi, Belgii, Hollandyi i Szwajcaryi, Henryka Kolman, członka królewskiego Towarzystwa rolniczego w Anglii, oraz Towarzystw narodowo-rolniczych we Francyi i Stanach Zjednoczonych. Przełożył Stanisław Zdzitowiecki. Warszawa. Nakładem S. H. Merzbacha, księgarza. 1857. (Z 1 tablicą litografowaną. W 8-ce Str. 240. W drukarni Alexandra Gins).

95. Rozbiór chemiczny dwóch nowych zdrojów wody mineralnéj szczawnickiéj Jod i Brom zawierającéj, uskuteczniony przez A. Alexandrowicza. Mag. Farmacyi, b. Adjunkta przy katedrze Chemii i Farmacyi i b. Docenta Chemii analitycznéj w uniwersytecie Jagiellońskim. Kraków. Czcionkami „Czasu". 1857. (W 8-ce. Str. 44).

96. Słowo o stosunkach handlowych mieszkańców Scytyi zachodniéj w wiekach przed Chrystusem, ze względem na stanowiska żeglugi na rzece Sanie, a w szczególności Leżajsk, przez Jana Konrada hrabiego Załuskiego. We Lwowie. Z Ces. król. galicyjskiéj drukarni rządowéj. (Przedruk z Dodatku tygodniowego). Nakładem redakcyi Gazety lwowskiéj. 1857. (W 8-ce. Str. 24).

97. Starosta Hołobucki, powieść z czasów Stanisława Augusta, podług opowiadania Jmci pana Nieczui, spisana przez Zygmunta Kaczkow-

skiego. Warszawa. Nakład i druk S. Orgelbranda, księgarza i typografa. 1857. Tomów trzy. (W 12-ce. Tom I. str. 214. Tom II. str. 217. Tom III. str. 260. Jestto przedruk z Gazety Codziennéj).

98. Wesołe powiastki dla dzieci, przez A. S(kimborowiczową) oryginalnie po polsku napisane. Z 6ma rycinami kolorowanemi. Warszawa. Nakładem księgarni G. Sennewalda. 1857. (W 12-ce. Str. 190. W drukarni Józefa Unger). Rsr. 1.

99. Wieniec. Pismo zbiorowe, ofiarowane Stanisławowi Jachowiczowi przez pierwszych kraju autorów, oraz licznych innych jego przyjaciół i wielbicieli. Warszawa. W drukarni Alexandra Gins. 1857. W 8-ce. Tom jeden. Rsr. 3.

100. Xenofonta ekonomik, przekładał z greckiego Antoni Bronikowski. Z godłem:

Parvi enim sunt foris arma, nisi est consilium domi.
Cycero.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

Poznań. Nakładem księgarni Jana Konstantego Żupańskiego. 1857. (W 8-ce. Str. 81. Czcionkami N. Kamieńskiego i Spółki w Poznaniu).

Z Petersburga 6 (18) sierpnia.— Szczęśliwie panujący Najjaśniejszy Cesarz, jeszcze będąc Następcą Tronu, powziął myśl, natchnioną tak miłością synowską jak i interesem historyi, aby skreślić szczegółowy i dokładny opis wypadków, które towarzyszyły wstąpieniu na tron Najdostojniejszego Jego Ojca, obecnie w Bogu spoczywającego Cesarza Mikołaja I. Na redaktora tego opisu Jego Cesarskiéj Mości spodobało się wybrać za Najwyższém Zezwoleniem Swego Ojca, Sekretarza Stanu Barona Korfa, a jako materyały do téj pracy, dano oprócz akt urzędowych, przechowujących się w archiwach tajnych, własnoręczną szczegółową notatę, skreśloną przez Najjaśniejszego Cesarza Mikołaja Pawłowicza na pamiątkę dla Swéj Cesarskiéj Rodziny, dziennik Najjaśniejszéj Cesarzowéj Alexandry Fedorówny, papiery Cesarzewicza Konstantego Mikołajewicza, wspomnienia Wielkiego Xięcia Michała Pawłowicza, korrespondencyą prywatną Członków Domu Cesarskiego, i wreszcie uwagi i opowiadania żyjących świadków i osób działających w dniu 14 grudnia 1825 roku.

Błogosławionéj pamięci Wielki Xiążę Michał Pawłowicz zaszczycił opis, skreślony podług tych danych, przejrzeniem i dopełnieniem we wszystkiém, co tylko Jego dotyczyło. Następnie było ono sprawdzone, tak we wszelkich szczegółach, jak i w ogólnym składzie, przez Najjaśniejszego Cesarza Mikołaja Pawłowicza, oraz własnoręcznie przezeń w wielu miejscach poprawione i dopełnione.

Uzyskawszy takim sposobem w zupełności charakter niewątpliwéj historycznéj wiarogodności, opis ten został dwukrotnie wydrukowany: w 1848 i 1854 r.; lecz oba razy tylko w rodzaju rękopisu, w dwudziestu

pięciu egzemplarzach, wyłącznie dla Członków Domu Cesarskiego i kilku zaufanych osób, *jako tajemnica rodzinna.*

Obecnie Najjaśniejszy Cesarz Alexander Mikołajewicz raczył uznać za dobre podzielić się tą tajemnicą z narodem, i dla wiecznej pamiątki niezapomnianego Rodzica, uczynić powyższy opis *powszechnie znanym i dostępnym dla całéj publiczności.*

„Cesarz Mikołaj, powiedziano w przedmowie, nie potrzebuje żadnych pochwał, ale dla historyi potrzebna prawda i świetne przykłady".

W wydaniu teraźniejszém niotylko nic, w porównaniu z poprzedniém nie opuszczono; lecz przeciwnie, dopełniono je jeszcze kilku ważnemi, nowo znalezionemi dokumentami. Wszelkie wypadki wystawione są w świetle właściwém, bez żadnych przemilczeń, a ponieważ dziełu temu, tak z powodu niezwykłéj wartości materyałów służących mu za podstawę, jak i z powodu nowości podobnego zjawiska w naszéj literaturze ojczystéj, przepowiedzieć można z pewnością nader znaczny krąg czytelników, przeto uznano niezbędném niektóre rozmowy i listy, umieszczone w tekście po francuzku, pomieścić i w tłumaczeniu ruskiém, w dodatku oddzielnym przy końcu książki.

Najjaśniejszy Pan, czyniąc Najmiłościwiéj zadość prośbie redaktora, Najwyżéj rozkazać raczył: cały dochód z sprzedaży obecnego wydania obrócić na korzyść Cesarskiéj Biblioteki Publicznéj, i tym sposobem z interesem książki, która winna obudzić ciekawość i spółczucie każdego Rossyanina, połączyć cel dobra powszechnego.

„Wstąpienie na tron Cesarza Mikołaja I-go" XIV i 237 str. in 8vo, sprzedaje się w Cesarskiéj Bibliotece Publicznéj po 2 rs. za egzemplarz.

Z księgarzami zawierają się oddzielne umowy.

Mieszkańcy prowincyi, wypisujący książkę wprost z Biblioteki, otrzymują takową bez dopłaty oddzielnéj za porto.

DONIESIENIA LITERACKIE.

WARSZAWA.

Druk „Historyi prawodawstw słowiańskich", w drugiém przerobioném wydaniu posuwa się coraz. Tom II przed końcem r. b. wyjdzie zpod prasy. Równocześnie odbija się i Tom VI obejmujący źródła do tego ważnego dzieła.

Wydawcy kalendarzy krzątają się już jeden przed drugim, aby jak najrychléj publikacye te wykończyć i wcześnie wydać. Druk Kalendarza wydawanego przez obserwatoryum astronomiczne warszawskie, który tak pochlebnego doznał przyjęcia, już się rozpoczął. J. Unger i J. Jaworski kalendarze swoje zaczęli drukować. S. Orgelbrand Kalendarz powszechny wstrzymał na rok 1858, ażeby w nim zrobić odpowiednie czasowi poprawy, i postawić go na tym stopniu, iżby mógł o pierwszeństwo z innemi wystąpić.—Jakkolwiek na pierwszy rzut oka

niewiele dzieł w Warszawie wychodzi, drukarnie przecież wszystkie są przeciążone pracą. Dziesięć pras pospiesznych, oprócz ręcznych nie mogą nadążyć: brak zecerów dotkliwie czuć się daje po wielu drukarniach.

— W handlu księgarskim pomimo widocznych powodzeń tanich wydań, mniejszych rozmiarów utworów, ceny nawet powieści są nadzwyczaj wygórowane. Księgarnia J. Zawadzkiego, za przedruk powieści J. Korzeniowskiego „Krewnych," znanej z Gazety Warszawskiej, położyła cenę niesłychanie wysoką, bo za cztery tomiki aż rsr. 5 czyli złp. 33 gr. 10; wtedy, kiedy sześć tomów W. A. Maciejowskiego, Historyi prawodawstw słowiańskich, kosztem autora drukowanych, kosztuje tylko złp. 50. Nie dotykamy kwestyi ani talentu, ani wartości tych obu dzieł; ale stawiamy w porównaniu jako przykład nierówności cen w handlu księgarskim. Porównywając druk i papier tego dzieła, a wydanéj powieści i sprzedawanéj po rs. 5. dodamy, że co do ilości papieru zużytego i druku w formacie „Krewnych", możnaby z 6-ciu tomów Historyi prawodawstw słowiańskich, więcéj jak dwanaście tomików téj powieści otrzymać: cena więc ich dałaby nam cyfrę sto złp.!

— Redakcya Biblioteki Warszawskiéj otrzymała w darze od p. Kazimierza Bandtkie Stężyńskiego, znanego w piśmiennictwie naszém, rękopisma ś. p. ojca jego Jana Wincentego. Zbiór ten składa się z rozpraw następnych: 1) O urzędach dawnych polskich. 2) Rzecz historyczna o notaryacie, czyli pisarstwie aktowém krajowém, tak dawniejszém, jak nowszém. Rozprawa ta czytana na publiczném posiedzeniu szkoły prawa i administracyi w Warszawie dnia 2 października 1815 roku, drukowaną była w Pamiętniku F. Bentkowskiego. Przejrzana na nowo przez autora, wzbogaconą została tak dodatkami jak i przypisami. 3) O urzędzie woźnego w dawném sądownictwie polskiém. 4) Skład i formacya chorągwi wojsk polskich jakie w wieku XVIII istniały. 5) Zbiór wszelkich urządzeń względem duchowieństwa różnych wyznań w epoce rządów kraju tutejszego wydawanych. 6) O Tatarach i w ogóle o mieszkańcach tutejszo-krajowych, wyznających religią mahometańską. Rozprawa ta w piérwszéj tylko połowie swojéj była drukowaną w Album literackiém K. Wł. Wójcickiego). 7) O dawném prawie karném polskiém. Redakcya składając podziękowanie szanownemu dawcy, donosi czytelnikom swoim, że rozprawy te uczonego badacza, jakim był zmarły ś. p. Jan Wincenty Bandtkie, w następnych zeszytach Biblioteki Warszawskiéj ogłoszać nie omieszka.

— Sędziwy wiekiem, a dobrze zasłużony w zawodzie nauczycielskim, gorliwy obrońca i stróż czystości ojczystego języka i pisowni polskiéj Teodozy Sierociński, nad którego piérwszą rozprawą w Ćwiczeniach naukowych unosił się ś. p. Stanisław Kostka Potocki, ogłosił prospekt na: Pisma celniejsze uczniów i uczennic, które zamierza, wraz z własnemi, zeszytami wydawać. Nie wątpimy, że liczni jego uczniowie wesprą to przedsięwzięcie sędziwego professora. Z listy celujących niegdyś uczniów i uczennic T. Sierocińskiego, nie mało zyskało rozgłos w kraju, jak np. Józef Wyszyński (dziś kanonik kat. warsz.), Sobieszczański, Bentkowski Alfred, Chojecki Edmund, Kolberg Oskar, Śmigielska Józefa.

— Księgarnia S. H. Merzbacha rozpoczyna druk dzieł Adama Mickiewicza. Honoraryum jakie złożył 36,000 franków, idzie na korzyść dzieci naszego wieszcza. Wydanie to ozdobne, ma się składać z 10,000 egzemplarzy i obejmie ośm tomów. Trafne popiersie zmarłego poety będzie dołączone. W tym roku ujrzymy zapewne pierwsze dwa tomy.

— Jużeśmy wspomnieli o przedruku bardzo szacownego dzieła: „Rozrywek dla dzieci" Klementyny z Tańskich Hoffmanowéj. Wydanie to nowe zyska na uporządkowaniu, i zespojeniu w całość przedmiotów, które jak w piśmie peryodycznem, rozrzucone po zeszytach były. Powieści pójdą razem jedna po drugiej, jak podróże po kraju, listy, życiorysy i wypisy z dzieł literatury polskiéj. W dalszym ciągu wydawnictwa wszystkich pism tejże autorki, S. H. Merzbach ogłosił nową edycyą Karoliny, trzy tomy w jednym, a co do ceny tańszą więcej jak o połowę od pierwszego wydania. Wydał nadto dzieło: „O rolnictwie i ekonomii wiejskiéj we Francyi, Belgii, Hollandyi i Szwajcaryi." Przekład z oryginału Henryka Kolman przez Stanisława Zdzitowieckiego (syna dyrektora Instytutu gospodarstwa wiejskiego, i leśnictwa w Marymoncie pod Warszawą). Wydanym VIym zeszytem Księgi świata, zakończył część Iszą na r. b. publikacyi, która doborem artykułów, zastosowanych do naszéj potrzeby ciągle się zaleca.

— Pamiętnika Religijno-moralnego zeszyt 9 za miesiąc wrzesień r. b. wyszedł z druku i obejmuje. 1) Radom i Fara nowa radomska, do 1600 roku (dokończenie) przez ks. J. Gackiego. 2) Materyały do dziejów kościoła polskiego z języków wschodnich p. A. Muchlińskiego (dalszy ciąg). 3) Missya w Laos. 4) Wspomnienie o ś. p. ks. Ad. Sangowiczu wizytatorze wszystkich klasztorów mohylewskich. 5) Wiadomości naukowe i bibliografia duchowna. 6) Kronika kościelna i rozmaitości. 7) Korrespondencya duchowna. Ta ostatnia zatrzymała głównie uwagę naszę. Wstęp nas wielce zadziwił, gdyśmy przeczytali te słowa: „Przy rozwoju duchowym, jaki dziś objawia się w literaturze świeckiej, wypadałoby, żebyśmy i my, niegdyś przodownicy i nauczyciele, w tyle nie pozostawali: Non est discipulus supra magistrum, wyrzekł najwyższy nauczyciel ludzkości; a choć literatura świecka, chełpliwa tą mądrością co nadyma, radaby łałsz temu zadać twierdzeniu, a stawić się dziś wyżéj nad swoich nauczycieli, lub zapoznać (1) dobrodziejstwo oświaty, jakie z kościoła wyniosła: my stojąc przy prawdzie, nauczając prawdy, która nie przeminie choć nieboi ziemia przeminą, wyższe zajmujemy stanowisko niż ci, którzy téj dopiero szukają, a znaleźć nie mogą, gonią za nią, a uchwycić nie umieją. Litość też bierze nieraz czytając te próżne szamotania a wysiłki rozumu: pożyteczne są one jedynie, że dowodzą jego niemocy". Ten szumny wstęp, powtarzamy, zadziwił nas, bo trąci

(1) Wyraz *zapoznany*, w miejsce *zapomniany*, *niepomny*, wyszedł niedawno ze świeżéj kuźni. Użycie jego jest wbrew naturze i jasności naszego języka. J. I. Kraszewski dał mu, zdaje się, najpierwszy upowszechnienie nieszczęśliwe, a gazety nasze zaczynają mu przyznawać prawo obywatelstwa, chociaż śmiało go na banicyą wskazać możemy.

jakiemś szczególnego rodzaju zarozumieniem. Spojrzeliśmy na podpis, i znaleźliśmy imię kapłana, którego wiele prac znamy, a z dążności zacnych cenić musimy. Do czegoż ten wstęp służy? Dalszy ciąg wyjaśnił nam lepiéj przedmiot. Oto dalsze słowa ks. J. Szpaderskiego: „Ktoś ze świeckich niedawno, w jednem piśmie czasowém robił nam wyrzut, że tak mało duchownych na niwie literatury pracuje, mało nawet odzywa się we własnéj sprawie. Nie przedstawialiśmy tu obrony duchowieństwa pod tym względem, do głosów świeckich ludzi i mybyśmy swój dołączyli, a wołali na duchownych: duchowo pracujcie. Nigdy tu nie jest zawiele i zgrzeszyć tém nie można; tém bardziéj, że przyznać musimy, iż więcéj zapału do nauki, badań, postępu, spotykać nam się zdarzyło pośród ludzi światowych: czemu? trudno odgadnąć. A jeżeliby godziło się wszystkie rozrachować siły, a zajrzeć do głębi serca, zda nam się, trudnoby było usprawiedliwić obojętność naszę. Podajemy tę dozę gorzkiéj prawdy dla siebie i drugiéj braci naszéj, a sądzimy, że choćby i tu było więcéj przesady jak prawdy, nie żałowalibyśmy, boć to na dobre". (Ob. list św. Pawła do Koryntyan II rozdz. 7 w. 9) Nie mamy nic nad to dodać, i w téj dozie prawdy nie masz ani odrobiny przesady. Dziękujemy zacnemu kapłanowi za otwarte i szczerą a pełną prawdy przymówkę: bodajby głos jego nie był głosem wołającego na puszczy! Ks. Szpaderski po tym wstępie rzuca myśl bardzo praktyczną i dobrą: „Czyliby nie było z pożytkiem i nauką dla wielu, iżby zdarzone wypadki po parafiach, czy to w przesądach ludu, czy w sposobie nauczania, czy też w trafném zabieżeniu zboczeniom i t. p. podawać do wiadomości przez pośrednictwo jedynego pisma naszego, jakiém jest Pamiętnik religijno-moralny; wnosząc naprzód, że szanowna redakcya nietylko nie odmówi swojego pośrednictwa, ale tego rodzaju żywotne, nasz kraj obchodzące kwestye podnosić i światłem swojém objaśniać raczy?" Poczém opisuje, jak w parafii jego lud zmarłą kobietę uważając z powodu kolorów na twarzy, że wstanie upiorem (Czerwony jak upiór. *Przysł.*) chciał trupa jéj przewrócić w trumnie na twarz, poprzednio nasypawszy mu pełne usta maku, i obsypawszy nim oczy i twarz całą. Podnosimy myśl piękną ks. Szpaderskiego i radzibyśmy zachęcić nietylko XX. proboszczów, ale i właścicieli ziemskich, dzierżawców, słowem wszystkich ziemian, którzy są zbliżeni do ludu, ażeby zajęli się troskliwie zbieraniem przesądów i zabobonów, jak opisem zwyczajów, obrzędów: badali ich charakter, pieśni, podania i powieści. Z różnych okolic kraju naszego zebrane te wiadomości, dałyby nam obraz pełen zajęcia i nauki. Nie zbywa nam na malarzach, artystach młodych: ci powinniby w wiernych i sumiennych rysunkach podać nam ubiory ludowe w całej ich rozmaitości, i pod własném okiem litografować i koloryzować, nie oglądając się na zakłady paryzkie, w których po francuzku wszystko przerobią i przestroją. Kostiumy te znikają powoli: w miejsce malowniczych żupanów, sukman i czapek, już przywdziewają mieszczańskie kapoty i furażerki. Zachować dla pamięci przyszłości istniejące ubiory, niemałą byłoby zasługą.

— Prostujemy mylnie udzieloną nam wiadomość: Teofil Lenartowicz napisał legendę nie o św. Henryku, ale o św. Franciszku z Assyżu, o którym badania Ozanama podaliśmy w naszém piśmie. Wykończył

obecnie poemat większych rozmiarów p. n. „Gladyator," który zapewnie wkrótce ujrzymy w druku. Stale osiadłszy w Rzymie, robi tylko przymusowe dla zdrowia wycieczki: obecnie wyjechawszy do Francyi, już powrócił do stałego siedliska.

— W Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych, (Nr. 239 r. b.) czytamy sprawozdanie o opisie zachodniej części gubernii grodzieńskiéj przez p. S. K. (w tomie I Pamiętnika 1856 r. wydawanego przez towarzystwo geograficzne w Petersburgu). W niém znajdujemy ustęp o Jadźwingach, w którym z dziwną trafnością tłumaczy nam znaczenie téj nazwy. „Wyrazy polskie jazwiec, jacwież, jaćwież, w ruskich kronikarzach przeszło na jatwiaż, jatwież, jatwiah, jatwiazi i na odwrót; nie ma nic dziwnego w tém, skoro przypomnimy o prawidle podług którego litera *c* przechodzi w ruskim na *t*." Dalej biorąc na uwagę, jakie nam podaje historya o nazwach Longobardów, Franków, Saxonów i t. d. wnosi i bardzo słusznie, że słowiańscy sąsiedzi tego dzikiego plemienia, co osiadło Podlasie nasze, nazwali biorąc powód z grabieży, i charakterystycznéj powierzchowności, borsukami czyli jaćwieżami. Po osłabieniu bojami krwawemi tego plemienia przez Mazurów, Polaków i Litwę, sama nazwa zatarła się w pamięci, lubo zostało przysłowie dotąd na Podlasiu używane, dla oznaczenia zbójeckiéj miny. „Wygląda jak Jadźwinga." (Zobacz przysłowia narodowe K. Wł. Wójcickiego).

— Czytelnia Niedzielna ciągle a coraz się więcéj upowszechnia: dowodzi to zwiększająca się liczba jéj prenumeratorów, pomimo że nie znalazła współczucia w naszych pismach codziennych: żadna Gazeta słowa o niéj nie wyrzeknie, zachowując głębokie milczenie. Jest to fakt godny uwagi. A przecież pismo to uczciwą i rozumną dążnością zasługi już niemałe położyło, podając właśnie najuboższéj klassie czytelników polskich pokarm duchowy, zdrowy na zasadach religii i moralności oparty. Jeden Kuryer Warszawski czasem przemówi słówko o Czytelni.

— Galeryi nieświeżskiéj portretów Radziwiłłowskich, opisanej historycznie przez Edwarda Kotłubaja, z drzeworytami Michała Starkmana, wyszedł zeszyt drugi, i obejmuje życiorysy Radziwiłłów: 1) Mikołaja VII ur. 1546 r. 2) Jerzego IV ur. 1578 r. 3) Krzysztofa I Mikołaja z przydomkiem *piorun*, ur. 1547 r. 4) Krzysztofa II ur. 1585 r. 5) Janusza XI ur. 1612 r. 6) Janusza VI ur. 1579 r. W drzeworytach załączonych M. Starkmana widać wielki postęp: w wizerunkach zeszytu tego w śmiałych rysach odbijają wydatnie charaktery postaci Radziwiłłowskich. Przypominamy, że całe dzieło składać się będzie z jednego tomu a sześciu zeszytów wielkiego w 8ce formatu, drukiem drobnym a ścisłym. Prenumerata w Wilnie wynosi rubl. sr. 7 kop. 50 czyli złp. 50, z przesyłką pocztową złp. 60.

— J. Korzeniowskiego druk powieści pod napisem „Wyprawa po żonę" w drukarni Gazety Codziennéj już ukończono nakładem B. W. Wolffa. Pisarz ten ukończył powieść „Szczęście za górami," która w odcinku Gazety Warszawskiéj ma się drukować. Pierwsze tomy z wydania zupełnego J. Korzeniowskiego tak dramatów jak powieści, które swym nakładem J. Zawadzki podejmuje, mają się jeszcze w r. b. pokazać w handlu księgarskim.

— Rozrywek dla młodocianego wieku pod redakcyą Seweryny z Żochowskich Pruszakowéj, seryi drugiéj wyszła część 1sza (tomu 1go) z pod prasy, i obejmuje. Z poezyi. Modlitwę; Sieję proso na zagonie, p. S. P.; Grajek, M. Ilnickiej. Z prozy: Wielkanoc w Krakowie 1431 r.; Franciszek Karpiński, obrazek z przeszłości. Wycieczka do krainy Cyda, przekład z Ozanama. Literatura polska: Czasy Piastowskie. List z Warszawy. Co dźwigasz to i zmożesz, gawęda z Krakowa. Do redaktorki Rozrywek, list J. Paszkowskiego pułk.. Pismo to wyjdzie w pięciu tomach, a 15 zeszytach; cena prenumeracyjna na tę seryą wynosi rubl. sr. 4 kop. 50. Dążnością swoją, jak starannością Redakcyi w doborze artykułów, znajdzie, nie wątpimy, podobnie jak pierwsza serya przychylne przyjęcie i upowszechnienie.

— Gustawa Zielińskiego dwa poemata: „Kirgiz i Stepy," przełożył na język niemiecki A. Weiss. Tłumaczenie tych utworów naszego poety, wyjdzie jeszcze w r. b. w Lipsku nakładem Brockhausa.

— Życzenia nasze powoli spełnionemi widzimy, gdyż w miejsce lichych zagranicznych powieści, mamy przekłady dzieł ważnych lub policzonych do arcydzieł literatur obcych. Przekłady Kantu, Ozanama, Ejchorna i świeżo ogłoszony prospekt na tłumaczenie z francuzkiego: „Historyi zdobycia Anglii przez Normandów" Augustyna Thierrégo, wymownym są dowodem tego. Nietylko w zakresie dziejowym przedsięwzięto przekłady, ale zbogaca się dramat i poemata: dość napomknąć o tłumaczeniach najświeższych Szekspira i Dantego. Zapisujemy to jako fakt ważny w piśmiennictwie naszém, a obok tego musimy zwrócić uwagę naszych czytelników na niesłychanie nizką cenę tego przekładu. Cztery bowiem tomy kosztują tylko 20 złp.

— Księgarz K. Bernstein ogłosił prospekt na Bibliotekę popularną nauk przyrodzonych, podług niemieckiego oryginału A. Bernsteina. „Ważność niemal na każdym kroku codziennego życia, piękność i wzniosłość w tłumaczeniu praw i zjawisk natury (słowa prospektu) uczyniły nauki przyrodzone niezbędnemi dla każdego ukształconego człowieka, i pomieściły je w rzędzie umiejętności wchodzących w skład wychowania młodzieży, a zarazem skłoniły naturalistów do przedstawienia ich w takiéj formie, aby od ogółu bez trudności mogły być pojęte. Ztąd powstały dzieła elementarne, wykłady popularne, dostępne dla wszystkich chcących się z niewielką pracą obeznać z jakąkolwiek umiejętnością. W naszym języku posiadamy kilka dzieł napisanych celem spopularyzowania nauk przyrodzonych, lecz jedne z nich nie osiągnęły zamierzonego zadania, drugie traktując pojedyncze nauki, nie obejmują całości, tak, iż rzeczywiście popularnego i całość nauk przyrodzonych zawierającego dziełka, wielka uczuwać się daje potrzeba."

Ten brak ma wypełnić właśnie „Biblioteka popularna nauk przyrodzonych." Dwanaście tomików ma składać całość; tomik pierwszy wyszedł z druku i obejmuje: „Niektóre zjawiska przyrody." Cena dostępna, bo za tomik jeden od 6 do 8 arkuszy w 16-ce złp. 3 gr. 10. Rękojmię dobrego przekładu mamy w tłumaczu: jest nim znany w literaturze naszej Henryk Lewestam.

— „Katalogi rozumowane dzieł" pojawiły się u nas w roku zeszłym i rozdawane były bezpłatnie. Miały one na celu, przez rozszerze-

nie wiadomości o nowo wyszłych dziełach, zachęcać do zakupywania na obszerniejszą jak dotychczas skalę. Czy dopięły zamiaru, nie wiemy: czytelnicy oczywiście z niedowierzaniem przyjęli owe katalogi, w których mieli ciągłe tylko pochwały prac i prawdziwie znakomitszych pisarzy polskich, i rozpoczynających dopiéro swój zawód, i lichych pismaków. Takich rozumowanych katalogów mamy dwa: 1. Wydawany staraniem S. Orgelbranda i H. Natansona i 2-gi Bolesława Maurycego Wolffa. Ten ostatni jest wielce ciekawy, bo w nim księgarz ten i drukarz petersburski, obszernie swoje stanowisko i działalność nakreśla. Przywiedziem cały ten ustęp: „Znajdzie tu czytelnik w szczęśliwém połączeniu najznakomitsze i ustalonéj już sławy imiona piérwszych naszych tegoczesnych pisarzy, a obok nich znajdzie najważniejsze pomniki przeszłości literackiéj, i bogatych nieraz w przyszłość młodszych na téj bujnéj niwie zapaśników. Wszystkie te trzy kierunki wydawnictw moich, w saméj rzeczy są wynikami poważnego rozmysłu: gdyż sądzę, że przez nie dopiéro dojść potrafię do takiego stopnia uznania, któryby dziełom mego nakładu bezwzględną i konieczną przypisywał wartość. Otwarcie też wyznaję, że takie jest całe moje dążenie, które zapewne przez nikogo, chociażby mnie najzawistniejszego, za szkodliwe piśmiennictwu poczytaném nie będzie, zwłaszcza, iż najgłówniejszy środek, jakiego ku dostąpieniu tego celu mojego używałem, zasadzał się na „ile możności najhojniejszém i w literaturze naszéj niepraktykowanem dotąd wynagradzaniu poczciwéj i szlachetnéj pracy autorskiéj.“ Wszakże nic nie ma słuszniejszego nad to, iżby ludzie, którzy cały swój żywot poświęcają na uzacnianie i oświecenie współbraci, odpowiednią odnosili korzyść z talentu i z nauki, któremi przed innemi jaśnieją: dzisiaj mianowicie, kiedy ladajaka zdolność lub zręczność tak obfitém nieraz cieszy się powodzeniem. W niektórych też przedsięwzięciach moich, nie kierując się bynajmniéj widokami zysku, wyłącznie miewałem na oku dobro literatury, dla którego duszą i sercem poświęciłem się, i dlatego to względu zająłem się wydawnictwem dzieł tak obszernych i kosztownych, jakiemi są: „Dziejopisowie polscy, Monumenta Regum Poloniae“ i inne, przy których ciągły tylko i szczery współudział ze strony publiczności, od znacznéj straty uchronić mnie może. Nie za najmniejszą także śmiem sobie liczyć zasługę, że szczęście dozwoliło mi do piśmiennictwa naszego wprowadzić jednego zwłaszcza z młodych pisarzy, młodego wieku i czasem, od którego pracę na niwie literackiéj rozpocząłem, ale wielkiego talentem, a nawet już zasługą, Zygmunta Kaczkowskiego, który odrazu prawie stanął obok najcelniejszych naszych romansistów, i który oddzielnym dla siebie postępując torem, żadnym grzechem naśladownictwa dotąd nie zmazał się. Te więc wszystkie sumienne trudy mojego, acz krótkiego jeszcze zawodu księgarskiego, w dokładnym spisie rozumowanym przedstawiając czytelnikom, mam nadzieję, iż i ten przykład równie chętnych w innych księgarzach znajdzie naśladowców: albowiem zbyt słaby rozgłos, jakiego w pismach naszych peryodycznych zwykły dostępować księgarskie ogłoszenia, zupełny brak wyłącznego organu krytycznego i rozrzucenie téj krytyki po pojedyńczych jedynie numerach gazetnych: koniecznem czyniły wydanie podobnego katalogu, któryby objaśniając o treści

każdego poszczególe dzieła, dla świadomych równie jak nieświadomych, przy wyborze zwłaszcza dzieł do nabycia przeznaczonych, ile możności dokładną i sumienną stawał się wskazówką. Pochlebne zaś po większej części zdania w tym katalogu wyrzeczone, prostem są następstwem szczerych moich usiłowań o najściślejszy dobór takich tylko artykułów nakładowych, któreby łaskawem już zaufaniem publiczności zaszczyconą firmę mojej księgarni, nadal także takiego zaufania godną utrzymały."

Przekonywamy się z tego ustępu, że B. M. Wolff dał pierwszy pomysł katalogów rozumowanych; poszli za jego przykładem S. Orgelbrand i H. Natanson, ale po wydaniu 2 arkuszy rzecz przerwali i każdy swoim zwyczajem proste katalogi ogłasza: nawet B. M. Wolff już dalszego ciągu nie wydał. Nad przywiedzionym wstępem tego nakładcy musimy kilka uwag zrobić. Co do niepraktykowanego dotąd wynagradzania autorów, mogą powiedzieć ci tylko, co je otrzymali. My dotąd mieliśmy to przekonanie, że za powieści najhojniej płacą gazety, których główną w odcinku zasadą są tego rodzaju utwory. Czytaliśmy nawet ciekawe w téj rzeczy szczegółowe wyjaśnienia. W ogóle księgarze nasi chorują na słabość przechwalania się, że młode talenta wywodzą ze skromnego ukrycia i dają im rozgłos. Jakiś korrespondent z Wilna ogłosił podobną wiadomość, że księgarz Zawadzki wywiódł na świat i dał imię Syrokomli; przecież wiemy, że ta zasługa należy się J. I. Kraszewskiemu, który pierwsze próbki tego śpiewaka w swojém Athenaeum drukował. Teraz czytamy, że B. M. Wolff wprowadził do piśmiennictwa naszego Zygmunta Kaczkowskiego: i tu protest założyć musimy. Z. Kaczkowski z najlepszych swoich obrazków drukowanych w Czasie i po pismach lwowskich, a następnie przedrukowywanych w Dzienniku Warszawskim, dał się sam poznać, i sam się wprowadził do piśmiennictwa naszego, równie jak Syrokomla. Mimo to żałujemy, że katalogi rozumowane dzieł przestały wychodzić: stanowiłyby one ważny materyał dla bibliografii polskiéj.

— W Bolinie, folwarku należącym do wsi Sielce, pod jedném z miast najstarożytniejszych Czerwińskiem, znaleziono ślady dawnego cmentarza pogańskiego, a mianowicie dwa kamienie płytowe, pod któremi w obmurowanym grobie popielnicę; kopiąc zaś dalej, kości ludzkie wielkich rozmiarów i siekierkę z krzemienia. Wszystkie te przedmioty złożone zostały u dzierżawcy wsi Sielec p. Jana Karczewskiego. (Sielce leżą w ziemi Wyszogrodzkiéj na trakcie do miasta Wyszogroda, wprost Czerwińska).

— Królowie polscy, wizerunki zebrane i rysowane przez Alexandra Lessera, objaśnione textem historycznym przez Juliana Bartoszewicza. zeszyt 1szy wyszedł i obejmuje wizerunki Zygmunta I, Zygmunta Augusta i Henryka Walezyusza, wraz z textem po polsku i po francuzku. Wydanie to liczymy do jednej z ważniejszych publikacyj naszych. Wizerunki królów polskich mają oprócz strony artystycznéj, stronę prawdy jak najściśléj historycznéj; a text skreślony piórem naszego badacza, który już potrafił zdobyć sobie imię zasłużone, podnosi o wiele téj publikacyi wartość. Format duży arkuszowy, druk ścisły, obejmuje są-

mego textu dwa i pół arkusze. Text francuzki jest dokładnem tłumaczeniem oryginału polskiego. Zeszytów czternaście obejmie całość. Cena bardzo umiarkowana, bo zeszyt jeden kosztuje złp. 10, i wartość samej publikacyi dają rękojmią świetnego jéj powodzenia.

— Szkice i obrazki wydawane nakładem J. Ungra, serya pierwsza z XII zeszytów, ukończone zostaną przed Nowym Rokiem. Tekst do tej publikacyi, która ma objaśnić czytelników tak z życiem wewnętrznem Warszawy, jako też i wydatniejszemi postaciami, podjęło kilku znanych pisarzy. Cena nadzwyczaj dostępna, bo za 12 zeszytów i 48 rycin złp. 20 wynosząca, i rzecz sama zajmująca, są rękojmią jéj upowszechnienia.

— Album kaliskiego, ułożonego i opisanego przez Edwarda Stawęckiego, z rysunków S. Barcikowskiego, w litografii M. Fajansa odbite, wyszedł zeszyt pierwszy i obejmuje ryciny: 1) Kalisz w XII wieku. 2) Kollegiatę P. Maryi. 3) Rząd Gubernialny. 4) Pomnik grobowy arcybiskupa S. Karnkowskiego. Text obszerny, wsparty na dokumentach nieznanych z archiwów kaliskiego i sieradzkiego wydobytych, dodaje wartości. Wydawca we wstępie mówi: „Rzecz godna zadziwienia, że gdy u nas w najmniejszych wioskach, mogiłka jaka, wzgórze, czy to inne jakie miejsce, do którego przywiązana najmniejsza legenda, każde prawie dziecię wskaże i opowié, w Kaliszu miejsca grobu Mieczysława Starego nikt ani wskazać, ani też żadne akta naprowadzić nie zdołają. Z zamku Zbigniewa zbudowanego r. 1108 dziś ani szczątków nie zostało; z muru, którym Kazimierz Wielki miasto Kalisz opasał, dziś dwa tylko małe odłamki stoją: jedném słowem starożytne miasto, a postać jego nosi cechę świeżości nowych miast naszych. Dla tych powodów Album kaliskie, na pozór łatwe do ułożenia, nastręcza wiele bardzo trudności w wyborze."

Wsparł swoją pomocą wydawcę Józef Szaniawski archiwista akt dawnych kaliskich i sieradzkich: współudział tego uczonego badacza, niemało podeprze text Albumu kaliskiego. Całość ma składać 10 zeszytów: dwa poświęcone są Album sieradzkiemu. Nadto przy ostatnim zeszycie wydawca przyrzeka dołączyć zeszyt dodatkowy bezpłatnie, który będzie zawierał to wszystko, co przy dalszych poszukiwaniach odkryć się przytrafi. Będzie więc to Album pod względem textu może najbogatsze ze wszystkich; dlatego radzimy wydawcy, aby w niém wiele białego papieru nie zostawiał, ale w ciągu jednym drukował: w pierwszym bowiem zeszycie, arkusz cały mamy czystego papieru. Z zapowiedzi jednakże widzimy, że nie brak wydawcy materyałów, czerpiąc z tak bogatych źródeł jak archiwum kaliskie i przy pomocy uczonego archiwisty Szaniawskiego.

— Młody pracownik na niwie literackiéj Leopold Hubert, syn naczelnika głównego archiwum Królestwa (Metryk koronnych, któremu zawdzięczamy głównie uporządkowanie tego archiwum), przetłumaczył w skróceniu Hammera: Dzieje państwa tureckiego" z poglądem i zwrotem głównie uwagi na stosunki naszéj rzeczypospolitéj z tém państwem. Obecnie uzupełnia swą pracę i spodziewamy się po gorliwości i zamiłowaniu sumiennéj pracy, że będąc przy źródle takich bogactw historycznych a nieznanych, wiele nam wypowié rzeczy nowych i rzucających wielkie światło na stosunki nasze z Portą Ottomańską.

— Wyszedł zpod prasy drukarskiéj zeszyt drugi „Wieńca", pisma zbiorowego, ofiarowanego Stanisławowi Jachowiczowi przez piérwszych kraju autorów, oraz licznych innych jego przyjaciół i wielbicieli. Czytamy tu utwory poetyczne oprócz wielu innych: Alex. hr. Fredry, T. Nowosielskiego, J. I. Kraszewskiego, Fr. S. Dmochowskiego, Deotymy, Pauliny Kraków, A. E. Odyńca, Wacława Szymanowskiego, S. z Żochowskich Pruszakowéj, Józefy Prusieckiéj; z prozy: prześliczny utwór Narcyssy Gabryeli Żmichowskiej p. n. „Adeodat", W. A. Maciejowskiego: „Ogólny pogląd na główną przyczynę upadku miast w dawnéj Polsce", K. B.: „Godzina rozmyślania w święta Wielkanocne", Karoliny z hr. Potockich Nakwaskiéj ustęp z dzieła: „Dwór wiejski", J. K. Gregorowicza, Srebrna sala pod trzema murzynami w Warszawie i Juliana Bartoszewicza ustęp historyczny p. n.: „Pan Bystry". Sześć zeszytów będzie stanowić całość wielkiego tomu, bo przeszło 1000 stronnic obejmującego. Dzieło to zostanie pomnikiem na chlubę naszych czasów, jak umiano uczcić zasługi męża, które dla ojczyzny położył.

— Opisu Cmentarza Powązkowskiego pod Warszawą K. Wł. Wójcickiego, wyszedł zeszyt XI i obejmuje wspomnienia i życiorysy: 1) F. Potockiego pułk. 2) Józefa Mrozińskiego generała w. p. 3) M. Moroza. 4) F. S. Armińskiego, dyr. obserwat. astronomicznego w Warszawie. 5) J. Plichty. 6) Lud. z Milewskich Czekierskiéj. 7) D. Lisieckiego. 8) X. M. Wierzbowskiego 9) M. Szczepańskiego. 10) X. Ant. Kotowskiego. 11) J. B. Milego. 12) Prowidencyi z Fontannych Czempińskiéj. 13) Piusa Kicińskiego. 14) St. Trębickiego, generała. 15) X. W. Skrzetuskiego. 16) M. księcia Ogińskiego. 17) A. M. Kitajewskiego, prof. b. uniwer. warsz. 18) Antoniego Łabęckiego. 19) X. Gwalberta Bystrzyckiego. 20) Hugona Kołłątaja. Do tego zeszytu dołączonych jest sześć rycin przedstawiających pomniki grobowe: Józefa Bielawskiego, Aleks. Grajbnera, P. E. Leśniewskiego, Antoniego Żyszkiewicza, Antoniego Wejnerta i Feliksa Bentkowskiego. Wydawca dołączył następne ogłoszenie. „Z niniejszym zeszytem zamyka się prenumerata na 12 zeszytów opisu Cmentarza Powązkowskiego pod Warszawą i cena dwóch tomów z 48 rycinami ustanawia się na rs. 15, czyli złp. sto. Z powodu, że jakkolwiek wydawca tekstu więcéj nad prospekt dał w tych tomach 16 arkuszy ścisłego druku, nie mógł jeszcze pomieścić wielu spoczywających na tym cmentarzu, gdy nadto z różnych stron otrzymał wezwania, ażeby w jednem dziele objąć i inne warszawskie cmentarze: przeto przy wyjściu 12 zeszytu oddzielnie wyjdzie tom trzeci, obejmujący cmentarze tak katolickie jako i innych wyznań. Na tom ten przeto zamykający całość dzieła, ozdobiony rycinami jak poprzednie, ogłasza się dodatkowa prenumerata po rs. sześć za egzemplarz".

— Ambroży Grabowski, który doczekał się czterech wydań Opisu Krakowa i jego okolic, ma w rękopiśmie przygotowane nowe wydanie we czterech tomach.

— Księgarnia Michelsena w Lipsku ogłosiła prospekt na dzieło: „Dwór wiejski" dzieło poświęcone gospodyniom polskim, przydatne i osobom w mieście mieszkającym; przez p. Karolinę z Potockich Nakwaską w 3 tomach. Wydanie nowe, powiększone, poprawne i zupełnie oczyszczone z błędów pierwszego wydania. Tom I obejmuje: „Dom

wiejski i jego urządzenie". Tom 2: „Kuchnią wiejską". Tom 3: „Rady i przepisy". Dzieło to wyjść miało po Nowym Roku 1857; dotąd go nie widzimy. Cena prenumeraty 16 złotych, a po jej zamknięciu złp. 24.

— Znany nasz rodak oryentalista Kazimirski, który dał już Francyi wyborny przekład Koranu Mahometa, kończy teraz wielkie dzieło: Słownik-arabsko-francuzki, który księgarnia oryentalna Maisonneuve w Paryżu swoim nakładem wydaje.—Nasz księgarz Alexander Nowolecki ogłosił prospekt na Koran, przekład z arabskiego, poprawiony, uzupełniony i objaśnieniami powiększony przez Jana Murzę-Tarak Buczackiego, Tatara z Podlasia. Nakładca pragnąc dzieło to, nieznane dotąd w polskim uzupełnić przekładzie, i dokładnie z przedmiotem obcym nam dotąd obeznać: daje na czele Życie Mahometa; daléj rozprawę Juliana Bartoszewicza obejmującą pogląd na stosunki Polski z Turcyą i z Tatarami, na dzieje Tatarów w Polsce osiadłych, na przywileje tu im nadane, jakoteż wspomnienia o znakomitych Tatarach polskich. Dzieło to pomnożone nakoniec będzie „Rzeczą o Arabach przed Mahometem. O ich historyi, religii, nauce i zwyczajach; o obrządkach religijnych wyznawców wiary proroka: o stanie judaizmu w czasach Mahometa, a środkach przezeń użytych dla zaprowadzenia jego religii; o okolicznościach które się do tego przyczyniły; o przepisach Koranu w sprawach cywilnych; o sektarzach między wyznawcami Islamu, podających się za proroków pomiędzy Arabami w czasie Mahometa lub po nim; jakoteż: kalendarzem arabskim i nabożeństwem czyli zbiorem modlitw codziennych i świątecznych dla użytku pobożnych wyznawców Islamu (przekład z arabskiego)". Z tego czytelnicy nasi osądzą ważność téj publikacyi prawdziwie naukowéj. Troskliwy wydawca zebrał wszystko, co tylko czytelników polskich objaśnić może z tym wielkim faktem w dziejach powszechnych, zjawienia się Mahometa i powstania jego sekty, pełnéj zapału fanatycznego, która nieraz zagrażała swobodzie, oświacie i religii chrześciańskiéj w Europie. Wielki tu udział wzięła Polska: o jéj piersi rozbijały się chmary najezdnicze wyznawców proroka. Pełniła ona missye obrońców sztandaru Chrystusowego: ona była przedmurzem Europy przez długie wieki. Ale ci, a głównie Niemcy, co pod tarczą Polski bezpiecznie się rozwijać mogli, zacierają tych krwawych zasług naszych praojców wszelkie ślady; radziby nawet wielki dramat oswobodzenia Wiednia przez Jana Sobieskiego, z dziejów europejskich usunąć, gdyby mogli. Ależ niewdzięczność jest zwykłą cechą słabych umysłów i małych charakterów. Prawda, prawdą zawsze zostanie, choć czasowo potrafią ją stłumić. Dzieło w tych ramach, jak nam daje A. Nowolecki, ze wszech względów publiczność polską zająć musi: łączy się bowiem w związku z dziejami Polski. Druk już rozpoczęty, wydanie staranne. Obejmie dwa tomy, przeszło 60 arkuszy w 8ce wielkiéj ścisłego druku. Cena nadzwyczaj umiarkowana, bo tylko rsr. 5 kop. 40, to jak za jednę czterotomową powieść J. Korzeniowskiego, J. Kraszewskiego albo Z. Kaczkowskiego. Wydawca ogłosił. że pierwsi trzystu prenumeratorowie, jako premium otrzymają to dzieło na pięknym welinowym papierze bez żadnéj dopłaty. Spodziewamy się, że łatwo ich znajdzie p. A. Nowolecki.

Wilno. Teka wileńska wydawana przez Jana ze Śliwina, składać się będzie z sześciu numerów, z których każdy dzieli się na cztery oddziały: 1) Literatury pięknej. 2) Filozofii, nauk ścisłych, gospodarstwa krajowego i t. d. 3) Historyi, statystyki, archeologii, archeografii i t. d. i 4) przeglądów literatur słowiańskich, życiorysów i innych pomniejszych artykułów. Po wyjściu 6 numerów oddziały te mogą być z sobą połączone i sformują 4 osobne tomy; nadto zaś, obszerniejsze artykuły (jak np. Wiadomości historyczne o klasztorach, Historya biskupów wileńskich i inne) drukowane w ciągu 6 numerów, stanowić będą osobną całość; dlatego, jak każdy oddział, tak też i obszerniejsze artykuły mieć będą osobną numeracyą stronnic, a do 6 nr. dodane będą stosowne karty tytułowe i treść rzeczy.

Teka wileńska zawierać będzie artykuły: Balińskiego Michała, Bartoszewicza Juliana, Chodźki Ignacego, Chodźki Dominika, Fryczyńskiego Michała, Godlewskiegu ks. Lucyana, Krasińskiego ks. Stanisława, Kraszewskiego Józefa-Ignacego, Łepkowskiego Józefa, Malinowskiego Mikołaja, Narbutta Teodora, Odyńca Antoniego-Edwarda, Pługa Adama, Proniewskiéj Karoliny. Przyjałgowskiego ks., Rittersberga Ludwika, Syrokomli Władysława, Tomaszewicza Waleryana, Trentowskiego Bronisława-Ferdynanda, Tyszkiewicza hr. Eustachego, Tyszkiewicza hr. Konstantego, Tyszyńskiego Alexandra, Ważyńskiego ks. Alexandra, Wójcickiego Kazimierza-Władysława, Zaleskiego Bronisława, Zappa Karola Władysława, Zienkiewicza Romualda i wielu innych.

Przedpłata na 6 numerów (przeszło 100 arkuszy ścisłego druku) wynosi rsr. 6 z przesyłką.

Prenumerować można w Wilnie w muzeum starożytności; w Warszawie u Sennewalda; w Kijowie u Glücksberga; w Lipsku u Bobrowicza; w Petersburgu u Kraszennikowa; w Mohylowie u Syrkina.

Tak zapowiedzianego pisma wyszedł numer piérwszy drukiem T. Glücksberga w wielkiéj 8ce, str. 276 i obejmuje, z poezyi: 1) Franciszek z Assyżu, kantata Wł. Syrokomli. 2) Trzy promienie ducha, Karoliny Proniewskiéj. Z prozy: 3) Piastunka. Relikwie z poczciwéj przeszłości Adama Pługa. 4) Dydaktyka B. F. Trentowskiego (urywki). 5) Kwestye żywotne, przez Pirogowa, przekład z rossyjskiego K. Szlagiera. 6) Mińsk, Wł. Syrokomli. 7) O ziemianach podług dawnych praw litewskich, Mikołaja Malinowskiego. 8) Krótki zarys historyi literatury czeskiéj Ludwika Rittersberga z Pragi Czeskiéj. 9) List professora Z. z Pragi Czeskiéj.

Kraków. Czas, dodatek miesięczny za miesiąc lipiec r. b. w swojéj gazetce literackiéj podaje nam wiadomości literackie z Krakowa. Dwa dzieła treści pobożnéj: „Odpust zupełny z powodu sześciowiekowéj uroczystości ś. Jacka i nabożeństwo do ś. Jacka", wyszły z druku; oraz ostatni zeszyt Żywota cesarza Napoleona III. Żywot i panowanie cesarza Mikołaja, piérwszy zeszyt. Przedruk kazań, nauk parafialnych i homilii ks. P. Woronicza. Jan Konrad hr. Załuski znany z swoich prac historycznych, wydał w Jaśle u A. Rusinowskiego rozprawę p. n. „Uwagi nad projektem obioru księcia Ludwika Kondeusza na tron polski, tudzież nad elekcyą i panowaniem krola Michała Wiśniowieckiego". Autor uważa, że właściwe wybory królewskie nastały dopiéro po ustąpieniu Jana Kazimierza, i przedstawia przyczyny złożenia korony przez tego króla, a następnie

wykazuje, że wybór króla Michała świadczy także o dynastycznych tradycyach Piastowskich i Jagiellońskich.— Nakładem księgarni i wydawnictwa dzieł katolickich wyszła: „Historya o komecie albo o téj gwiazdzie, co miała światem gonić, a napisał o niéj taki, co kalendarz na każden rok funduje". Pisemko to jest tego rodzaju, jak wszystkie obyczajowe dla ludu, Walerego Wielogłowskiego, któremu to jedno zarzucić można, że wyrazy obce przyswojone najczęściej fałszywie przez lud ocierający się o miasto lub czeladź dworską, podnosi autor do znaczenia mowy ludu. W tym względzie znaléźć można wzór jeszcze doskonalszy w Gwiazdce cieszyńskiéj, umieszczającéj rozmowy Janka z Jurkiem, gdzie chłop zapamiętawszy z wojska co nieco niemczyzny, sadzi się z nią za powrotem do wsi, a czytelnik gotówby myśleć, że to język ludu szlązkiego. Inna rzecz dążność autora i wydawcy pism dla ludu: dążność zawsze religijna i umiejętną formą powieściową lub rozmową ujęta. Zachowanie gminnych wyrazów i odmian językowych czyni niemniéj pisma W. Wielogłowskiego bogatym zbiorem dla badaczy języka; lecz właśnie dlatego wypleniać w nich należy to, co jako chwast coraz bujniéj się rozrasta, by czystego kłosa nie przygłuszyło zupełnie.

— Czas, dodatek miesięczny w swojéj gazetce literackiéj donosi jeszcze z Krakowa:

„Obchodzona w tym roku sześćsetna rocznica zgonu św. Jacka Odrowąża, założyciela zakonu Dominikańskiego w naszym kraju i gorliwego apostoła Rusi, ściągnęła wielu kaznodziei niepospolitego talentu krasomówczego, i dała powód do ogłoszenia kilku nowych książek treści religijnéj, których sprzedaż przeznaczona jest na odbudowanie spalonego kościoła XX. Dominikanów. W liczbie tych książek, oprócz już wymienionych, wyszło: Zbiór nabożeństwa ku czci Boga, Najświętszéj Maryi Panny i ŚŚ. Pańskich etc. przez ks. Damiana Dzieszkowskiego. Wyszły także na pamiątkę tę w litografii Czasu, dwa wizerunki św. Jacka: jeden wykonany przez W. Łuszczkiewicza, drugi przekopiowany ze staréj ryciny robionéj w r. 1679 przez brata Marcina zakonu kazn. w Krakowie. Słyszeliśmy także, że Wincenty Pol ma pisać żywot św. Jacka podług dawnych żywotów i dokumentów.—Czytelni domowéj wydawanéj nakładem J. Wildta wyszedł zeszyt 10, a drugi interesującéj podróży sławnego Mungo-Parka po Afryce, która na nowo teraz obrobioną została po niemiecku przez Fryderyka Stegera.

— W drukarni Uniwersyteckiéj wyszła obszerna monografia p. n. Krynica w Karpatach galicyjskich położona, opisana pod względem historycznym, topograficznym, klimatycznym, botanicznym, geologicznym i lekarskim przez professora Dra Dietla, z niemieckiego zaś autografu tłumaczył na polskie Dr Michał Zieleniewski, lekarz rządowy przy zdrojach w Krynicy.

Poznań. Nakładem Żupańskiego wyszły dzieła: „Droga do Boga", przekład w. 1756 uskuteczniony; język czysty a łacinie tak odpowiedni, iż przypomina dawne przekłady z tego języka klassycznych naszych tłumaczy. Ekonomika Xenofonta, przekład z greckiego przez Ant. Bronikowskiego prof. w Ostrowie. Książka ta jest wybornym obrazem domowego życia Greków. Przekład jéj nieco ciężki; może miano zbyt wielki wzgląd na dosłowność. Przedmowa tłumacza niesłychanie

napuszysta w słowach, w rzeczy ściąga się do wykładu estetyki i ducha języków greckiego i polskiego; lecz w tym ostatnim zbyt wiele dowolności, chcącej uchodzić za treściwość lub wybitność wyrażeń.

— Najczynniejszym tu wydawcą dzieł prawdziwéj wartości literackiéj jest J. K. Żupański. Teraz wydaje J. Łukaszewicza trzy tomy: „Dziejów kościoła katolickiego w Wielkopolsce". Mylnie korrespondent Kroniki doniósł, że drukuje Odyńca poemat: „Barbara i Lubomirski", bo to są dwa wielkie oddzielne dramata: z tych pierwszy własnym nakładem Odyniec wyda, drugiego jeszcze nie skończył. Ale Żupański za bytnością swoją w Warszawie nabył od tego pisarza drugie wydanie „Felicyty". Już jest pod prasą tom I Joachima Lelewela: „Polska i jéj rzeczy", z których znamy tomy 3 i 4. Tom ten zawiera rozmaite pisma i rozprawy tego historyka rozrzucone po dziennikach, a mające łączność z czasami Piastowskiemi. Prosimy o powtórzenie: „Dziesięciu wieków Polski", gdyż broszurka ta jest dziś osobliwością bibliograficzną. Wkrótce pojawią się Kajetana Koźmiana: „Pamiętniki", i poemat: „Stefan Czarniecki", poemat ogromnych rozmiarów, w formie klassycznéj. Czy odpowié swemu zadaniu, bardzo wątpimy; będzie tam dużo wierszy pięknym językiem napisanych, ale ani tła historycznego, ani postaci bohatera w prawdziwym kolorycie nie ujrzymy. Dlaczego zapytacie? Oto dlatego, że my jeszcze dobrego życiorysu Czarnieckiego nie mamy: że sędziwy poeta nie wystudyował dobrze téj epoki, zaiste najpoetyczniejszéj z dziejów polskich. Wyjątki, które znamy, skłaniają nas do tego zdania, a całość jak wyjdzie, sami czytelnicy ocenią. Wydał przekład drugiéj części „Orestei" Eschylesa p. n.: „Choefory" czyli ofiara grobowa: tłumacz Zygmunt Węclewski, który już dał się poznać przekładem pierwszéj części „Agamemnona". Tłumacz ma się zabrać do przekładu trzeciéj części „Eumenidy". Biblioteka Warszawska skarżyła się na niejasne tłumaczenia w przekładach prof. Bronikowskiego Platona. Dodatek do „Czasu" broni go w tych słowach: „Tłumacz tu nie winien, bo Platon w oryginale nie jest tak jasny i przystępny, jakby się zdawało: zresztą głównym obowiązkiem tłumacza powinna być wierność posunięta aż do oddania kolorytu, toku i wyrażeń zachowanych w pierwowzorze. Usiłując być gładkim i jasnym w dzisiejszém pojęciu, zatarłby tem samém całą oryginalność". Jakkolwiek to pozornie zręczna obrona, słowa prawdy w sobie nie ma. Żądają wszyscy od tłumaczeń prof. Bronikowskiego: 1) jasności takiéj, żeby zrozumieć można było myśl Platona; 2) składni języka polskiego. Ale jeżeli w pracach jego i jednego i drugiego nie ma; kiedy Polak po polsku rzeczy napisanéj nie zrozumie, do czegóż się zdały takie tłumaczenia? Nikt nie żądał, aby przerabiał szanowny tłumacz i gładził, jak owi ś. p. klassycy robili, Platona: ale ma prawo wymagać, żeby ten co przekłada z greckiego, był zrozumiany przez wszystkich. Małecki, Kaszewski, Węclewski, Kozłowski, tłumacze wierni i sumienni, a przecież czytając ich przekłady rozumiemy każdy zwrot, każdą myśl oryginału. Do przekładów prof. Bronikowskiego potrzebujemy tłumacza, ażeby nam z polskiego języka prof. Bronikowskiego, wyłożono na polskie. Tego błędu trudno bronić. Radzić musimy szanownemu tłumaczowi, aby równie jak

grecki zna język, poznał swój własny i studyował nie dzisiejszych prace, ale J. Kochanowskiego, Górnickiego, Bazylika, Skargi i t. p. a znajdzie w nich skarbiec językowy i naukę, jakie w tak bogatém źródle czerpać obficie można i należy każdemu, kto chce nie dzisiejszym gładkim językiem, ale starą, wyrazistą pradziadów mową, oddać tak najpoetyczniejsze myśli i uczucia, jak i najpoważniejsze staréj Grecyi utwory. J. K. Żupański oprócz „Maryi Malczeskiego" illustrowanéj, wydaje „Panią Twardowską" Mickiewicza, i Lenartowicza „Błogosławioną i zachwyconą". Wiemy, że wybornie mógł illustrować Ant. Zaleski, znając jego obrazy z Paska w Album Wilczyńskiego: ale obawiamy się paryzkich litografij i artystów. Lekkomyślność francuzka zaciera właściwe cechy naszej narodowości. Tak kostiumy włościan polskich (wydania Dazziaro) przekształciła, lubo oryginały były wyborne Gersona, że z chłopków i wieśniaków, mamy baletników i elegantów miejskich. My mając już zakłady litograficzne własne w Warszawie, M. Fajansa i Pecq'a, obejdziemy się bez Lemerciera. Przygotowane ma w druku Żupański: rękopism Moszyńskiego o panowaniu Stanisława Augusta. Wydał dwie mowy słynnych kaznodziei poznańskich: XX. Prusinowskiego i Janiszewskiego, i „Kościoły ze wspomnień Wielkopolski", wydanych przez E. hr. Raczyńskiego. Jestto zbiór rycin wspaniałych, wyjętych z pomienionego dzieła w liczbie 18, dających wyobrażenie o celniejszych świątyniach Pańskich.

— Teki Podoskiego, wydawanéj z rękopismu p. Kazimierza Jarochowskiego wyszedł tom V: wkrótce ogłoszony będzie i VI zamykający całość publikacyi. Godne uwagi, że tak ważnego dzieła dla dziejów narodowych, w księztwie Poznańskiém rozprzedano wyraźnie 15 egzemplarzy. Dziwi to wielu, nas wcale nie zadziwia, wiedząc, że zbioru poezyi J. B. Zaleskiego przez E. Raczyńskiego w 2 tomach, z których drugi obejmował zupełnie nowe poezye i nieznane, rozprzedano 12 egzemplarzy! Otóżto wymowne dowody, co sądzić o téj wykształconéj społeczności, która ma to przekonanie i śmiało z tém występuje, że stoi na czele w narodzie swoim, postępu, cywilizacyi i oświaty krajowéj.—Paulina Wilkońska w Lipsku ogłosiła: „Obrazek poznański, piórem naszkicowany. Udatny to utwór, przyjęty dobrze został nawet w Poznańskiém, jakkolwiek maluje właśnie te strony.

Lwów. Karola Szajnochy wyszła druga serya Szkiców historycznych p. n. „Nowe szkice historyczne" tom o 321 str. nakładem księgarza Karola Wildta, który w powtórném wydaniu drukuje szkiców tom pierwszy, wyczerpany, oraz tegoż autora nową pracę: „Lechicki początek Polski." W niéj znajdziemy rzucone światło na dzieje tak zwane bajeczne historyi naszéj.

Praga czeska. U Bellmana w Pradze wyszedł pierwszy zeszyt Słownictwa słowiańskiego przez J. Fr. Szumawskiego p. n.: „Słownik języka słowiańskiego w sześciu głównych narzeczach: rossyjskim, bulgarskim, cerkiewnym, serbskim, czeskim i polskim". Część I niemiecko-słowiańska.

Cieszyn w Szlązku austryackim. Drukiem i nakładem Karola Prochaski wyszła książka pod napisem: „Praca codzienna, coroczna, całożywotnia każdego chrześcianina katolickiego albo książka modli-

tewna i kancyonał dla katolików, z różnych książek modlitewnych i śpiewników zebrana, za zezwoleniem Najprzewielebniejszego pasterza naszego Henryka księcia biskupa wrocławskiego". Książka ta obejmująca 1039 stronnic tekstu, a 16 stronnic przedmowy i spisu w 8-ce, na papierze białym i dobrym, czysto i wyraźnie odbita, kosztuje wraz z oprawą w skórkę złr. 1, kr. 40 (złp. 6, gr. 20). Obok książki do nabożeństwa śp. arcybiskupa Dunina nakładu Günthera w Lesznie, która licząc 800 bezmała stronnic kosztowała na przedpłatę 4 złp., niemasz pewnie tańszego wydania, w języku polskim. Wydawca Cieszyński licząc tylko na wielki odbyt, mógł był tak nizką położyć cenę, pomimo porządnego wydania i nie zawiódł się na swojéj rachubie. Jakoż w ciągu niespełna 3 miesięcy wyczerpaném zostało całe wydanie, z 4,000 egzemplarzy złożone, a jak nam donoszą, p. Prochaska gotuje drugie wydanie: zapisało się już bowiem około 1,000 nowych prenumeratorów w samym obwodzie Cieszyńskim. Dowodzi to także, iż w tamte strony nie dochodziły prawie dotąd książki nabożne wydawane w Krakowie, Lwowie, Bochni, w Wrocławiu lub Lesznie, a tém mniéj wydawane w Warszawie. Dobór modlitw w książce Prochaski jest odpowiedni potrzebie duchownéj i zastosowany do pojęcia umysłów niewybrednych, nie szukających w książce do nabożeństwa filozoficznych zacieków i definicyj transcedentalnych. Na zaletę jéj i to powiedzieć można. że w układach onéj widocznie ksiądz z zawodu i powołania umieszczał pieśni dawne, nie poczyniwszy w nich zmian nowoczesnych, jak się to stało z wydaniem zbiorów kantyczkami zwanych, gdzie ze szkodą języka, prostoty, a nadto historycznéj wartości poczyniono poprawki i zmodernizowano niezgrabnie tekst pierwotny.

Berlin.— W Monasterze (Münster) wyszła temi czasy książka obchodząca zblizka naszę literaturę łacińską: są to pobożne hymny Jana Dantyszka biskupa warmińskiego i kilka hymnów jego przyjaciela Mikołaja Kopernika, zebrane z wydań kardynała Hozyusza i Broskiego, a teraz na niemieckie przetłumaczone przez Franciszka Hiplera. (Des ermeländischen Bischofs J. Dantiscus u. seines Freundes Nicolaus Kopernicus geistliche Gedichte. Münster, Theissing 1857). Do tekstu łacińskiego dodany jest bardzo sumienny przekład niemiecki, zawierający dokładnie skreślony żywot Dantyszka. Czytamy tam, że Dantyszek urodzony w r. 1485 był synem piwowara gdańskiego, nazwiskiem Flachsbinder; późniéj, gdy go cesarz Maksymilian I uszlachcił, przybrał dawniejsze rodzinne miano v. Hofen, złacinione na de Curiis, najczęściéj jednakże od miejsca urodzenia pisał się Dantyszkiem. Żywot tego poety i męża stanu nadzwyczaj był ruchliwy. Oderwany od nauk akademicznych w Krakowie, walczył przeciw Tatarom, potém robił wyprawę do Multan; wróciwszy z wojny podróżował do Jerozolimy, zwiedził Sycylią i całe Włochy. Zygmunt I wziął go do dworu, i zrobił swoim sekretarzem, a potém używał do wszystkich najtrudniejszych missyj dyplomatycznych, które go pędziły do Niemiec, Włoch, Flandryi i Hiszpanii. Znajomości jego i korrespondencye z piérwszemi ludźmi swego czasu były rozliczne, między innemi dość wymienić Ferdynanda Korteza i Erazma Roterdamczyka. Karol V wybrał go ze wszystkich dyplomatów i wziął z sobą do Hiszpanii, przyczém

kazał także bić medal na jego pamiątkę, co dowodzi, że umysł naszego Dantyszka musiał być wysoko wykształcony i przymioty osobiste ujmujące za serce. Pragnąc spoczynku i ciszy, spędził ostatnie lata życia na biskupstwie chełmińskiém, a w końcu na warmińskiem, gdzie jednakowoż będąc reprezentantem interesów rzeczypospolitéj i wysokim członkiem kościoła, niemało miał kłopotów ze stanami pruskiemi i z szerzącém się różnowierstwem. Umarł on r. 1548. W hymnach jego, w których chciał naśladować Prudencyusza, a raczéj hymny zawarte w brewiarzu rzymskim wiele jest prostoty i głębokiego uczucia. Do tego zbioru dodane są ody Kopernika pod napisem: Siedm gwiazd, tojest siedm pieśni poświęconych narodzeniu się Zbawiciela. Ileżto pokory, ile ciszy serca w tym olbrzymim geniuszu, który zreformował umiejętności astronomiczne.

Dnia 1 września r. b. zakończył życie w Warszawie Ludwik Koncewicz, mąż zasłużony w zawodzie nauczycielskim, autor dziełka: „Prawidła pisowni polskiéj".

Dnia 3 września r. b. umarł w Wilnie Julian Moszyński doktor medycyny, autor Podróży do Prus, Saxonii i Czech, i kilku dzieł lekarskich.

Dnia 18 t. m. i r. zmarł Karol Kurpiński b. dyrektor opery polskiéj teatru narodowego w Warszawie, i zasłużony kompozytor i pisarz, którego żywot stanowi pół-wiekową historyą muzyki w kraju naszym. Żył lat 72.

SPROSTOWANIE.

W zeszycie sierpniowym na r. b. w rozprawie B. Tykla p. n.: „Kilka uwag historyczno-statystycznych o gubernii augustowskiéj", na stronnicy 668 w wierszu 34, zamiast: *Wydzielono 92 osad*, powinno być: *„Wydzielono 64 osad"*.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIÉM.

***Sierpień*, 1857.**

Sierpień 1857. **Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obser-**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad po-

1g. 14m. 45s.,7 czyli w łuku 18°41'25,"5 na

watoryum Astronomiczném Warszawskiém.

ziom morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie

wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
		6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz.wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god.w.	10 god.w.	dé-szczu	śnie-gu
1		749.47	750.30	749.83	750.93	+13°.3	+20°.1	+24°.5	+17°.6	67.7	pr. pogod.	pr. pogodny	pr. pogodny	napół pog.	—	PnZ	Z.	Z.		
2		752.06	752.59	753.06	753.99	15.6	21.2	23.8	19.0	62.0	lek. pochm.	napół pog.	pr. pogodny	pogodny	Z.	PnZ.	Z.	—		
3		755.51	755.97	755.28	756.26	16.7	23.2	26.6	19.4	61.3	lek. pochm.	lek. pochm.	lek. poch.	pogodny	Z.	Pn.	PnZ.	—		
4		757.10	757.15	755.52	755.26	16.4	22.8	27.3	19.4	65.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	—	W.	—		
5	☉.	754.77	754.26	752.28	752.20	17.2	24.2	27.8	19.0	61.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	—	PdW.	—		
6		751.33	751.10	749.83	750.57	18.3	24.6	26.6	18.6	54.2	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	W.	PdW.	W.		
7		750.37	750.33	749.15	749.80	17.6	24.4	27.0	18.5	56.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	—		
8		749.22	749.23	748.68	750.10	17.4	24.4	27.7	19.4	53.5	pogodny	pogodny	pogodny	pr. pogod.	—	PdW.	W.	—		
9		750.91	751.19	750.33	751.00	16.4	24.5	26.9	19.2	59.0	pogodny	pogodny	pr. pogodny	pr. poch.	—	PnW.	W.	—		
10		751.28	751.30	750.53	751.83	16.2	23.8	25.2	19.4	60.2	pogodny	pr. pogodny	pr. pogodny	pogodny	PnW.	PdW.	W.	—		
11		751.90	752.22	751.00	751.06	16.3	23.6	20.0	18.9	71.3	pogodny	lek. zamgl.	poch. dész.	pr. poch.	—	—	PnW.	Pn.	1.2	
12	☾.	751.10	751.39	750.01	750.21	16.7	22.4	24.4	19.4	70.5	lek. pochm.	lek. pochm.	poch. dész.	pochmurny	PnW.	—	W.	PnW.		
13		750.32	750.42	748.98	750.21	16.0	22.0	25.4	19.2	66.2	pogodny	pogodny	pr. pochm.	pogodny	PnW.	PnZ.	PdW.	—		
14		749.02	748.84	747.56	747.57	15.8	22.8	22.4	17.4	69.3	pogodny	pogodny	pochmurny	pogodny	PnW.	PnW.	PnZ.	—		
15		747.31	747.59	746.41	746.47	15.0	20.4	21.6	15.6	77 5	pogodny	pr. pogodny	napół p. d.	pr. pochm.	—	PnW.	Pn.	Pn.	6.0	
16		745.12	744.54	742.82	741.96	14.7	21.5	19.1	15.1	84.2	lek. pochm.	pr. poch. d.	pochmurny	pr. pogod.	Pn.	PdW.	PnZ.	Pn.	1.6	
17		740.30	739.88	739.60	740.20	14.0	19.1	21.3	13.9	84.5	lek. pochm.	poch. desz,	pochmurny	pochmurny	Pn.	W.	Pd.	Pd.	10.0	
18		740.69	741.08	740.58	741.22	13.6	19.8	23.3	16.6	76.5	smugi	lek. zamgl.	pr. pogodny	pogodny	—	Pd.	Pd.	—		
19	☿.	741.37	742.03	742.05	741.73	12.8	19.8	19.0	17.6	84.3	lek. zagml.	napół pog.	deszcz	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	8.8	
20		741.58	743.53	745.57	747.28	16.1	18.3	21.8	17.7	85.0	poch. mży	pochmurny	pochmurny	pogodny	Pn.	PnW.	—	—		
21		748.62	749.64	749.14	752.05	16.2	22.5	25.5	16.3	73.0	pogodny	pogodny	napół p. d.	pogodny	Pn.	Pn.	—	—	3.2	
22		752.74	753.58	752.69	753.33	11.9	17.3	22.1	18.4	68.5	pochmurny	pogodny	smugi	pogodny	Pn.	—	PnZ.	Pn.		
23		754.46	755.98	756.97	758.64	12.8	14.8	17.4	12.1	59.2	pogodny	pr. pochm.	pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	—		
24		759.86	760.09	758.10	757.72	8.9	15.0	18.7	14.8	60.8	pogodny	pogodny	napół pog.	pr. pogodny	PnW.	—	Pn	—		
25		756.16	756.22	753.94	754.19	12.4	15.2	23.2	14.8	75.0	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	pogodny	PnZ.	Pn.	PnZ.	Pn.		
26		753.71	754.11	754.38	756.43	14.9	17.9	19.0	10.4	65.7	lek. pochm.	napół pog.	pogodny	pogodny	PnZ.	PnZ.	Pn.	PnW.		
27	☽.	756.48	756.30	753.01	750.36	6.3	14.7	21.9	17.7	57.8	pr. pogodny	lek. zamgl.	napół pog.	pochmurny	—	Z.	PdZ.	PdZ.		
28		749.31	749.59	749.32	750.00	14.8	18.5	14.9	15.6	87.0	pochmurny	pochmurny	deszcz	deszcz	Z.	PdZ.	PnZ.	Z.	6.8	
29		751.12	751.72	751.68	752.41	14.8	16.5	18.5	14.1	77.0	pochmurny	pochmurny	lek. pochm.	pr. pogod.	PnZ.	PnZ.	Pn.	Pn.		
30		753.84	754.77	754.11	754.93	10.5	15.8	19.0	12 3	69.7	pogodny	napół pog.	pr. pochm.	pogodny	Pn.	Pn.	PnZ.	PnZ.		
31		754.97	755.26	753.53	753.36	9.6	17.2	21.5	14.8	66.3	lek. pochm.	pogodny	pogodny	pogodny	Z.	Pn.	—	—		
Śre.		750.710	751.039	750.192	750.754	+14°.49	+20°.27	+22°.69	+16°.84	68.7									37.6	

	m.	c.	l.	
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.673	27	8.770	
Najwyżej barometr dochodził d. 24 o g. 10 r.	760.09	28	0.945	
Najniżej — — d. 17 o g. 4 w.	739.60	27	3.862	
Średnia zmiana dzienna barometru	2.221		0.984	
Największa zmiana dzienna barometru d. 19—20 o g. 10 r.	7.50		3.325	
Średnia wysokość barometru jest wyższa o	1.161		0.514	
od stanu normalnego z 31 lat poprzedzających	749.512	27	8.256	
Średnia temperatura sierpnia wynosi:	+ 18°.57 C.	+	14°.86	R.
i ta jest wyższa o	0.57 „		0.46	„
od stanu normalnego z 31 lat poprzedzających	+ 18.00 „	+	14.40	„
Największe ciepło było d. 5 o g. 4 po połud.	+ 27.8 „	+	22.24	„
Najmniejsze — — d. 27 o g. 6 r.	+ 6.3 „	+	5.04	„
Średnia zmiana dzienna temperatury	1.811 „		1.449	„
Największa zmiana dzienna temperatury d. 26—27 o g. 6 r.	8.6 „		6.88	„

Termometrograf wskazał:
Maximum: + 22°.8 R. d. 11 po połud.
Minimum: + 3°.6 „ d. 27 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 68.7, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 10.87 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blizko o 0.05 mniejsza od normalnéj.

Ilość wody spadłéj z deszczu wynosi co do wysokości: 37.6 mil. czyli 16.67 lin. par.; ilość ta wody jest o 16.33 lin. par. miejszą od normalnéj.

Dni pogodnych było 12, napół pogodnych 8, pochmurnych 11.
— deszczu 12 (d. 11, 12, 14, 15, 16, 17, 19, 20, 21, 25, 28, 29).
— grzmotów 5 (d. 12, 14, 15, 16, 17).
— błyskawic bez grzmotów 2 (d. 17; 21).
Wichrów było 1 (1 PnW.).
Wiatr panujący Północny i Północno-Zachodni.

Sierpień r. b. był pogodny, suchy, w pierwszéj połowie gorący, w drugiéj mniéj ciepły, w ogóle o pół stopnia R. cieplejszy niż zwykle; ośm dni to jest d. 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10 były gorące, termometr po południu w tych dniach pokazywał 22 stopnie R. Dni chłodne były d. 23, 24, 26, 27, 28, 29, 30, 31. Z rana dnia 27 powietrze było bardzo chłodne termometr pokazywał tylko 3.6 stop. R. co się rzadko w tym miesiącu zdarza. Stan powietrza był suchy, wody z deszczu spadło o połowę mniéj niż zwykle. Pod względem stanu nieba miesiąc ten pogodniejszy był niż zwykle, albowiem w stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 7:13:11; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 12:8:11. Stan wody na Wiśle był bardzo nizki.

Wysokość wody na Wiśle pod Warszawą największa stóp 3 cali 8 d. 4.
— — — — najmniejsza stóp 2 d. 19 i 28.

TREŚĆ
PIĘĆDZIESIĘCIU DOKUMENTÓW
Z ARCHIWUM KAPITUŁY KATEDRALNEJ KRAKOWSKIEJ.

PODAŁ

J. L.

Ktokolwiek pracuje około odszukania pismiennych z przeszłości pomników, wié jak wielkie w tym przedmiocie bogactwa posiada krakowskie kapitulne archiwum. Skarżą się, że to zaklęty skarb, do którego niéma czarodziejskiéj rószczki, aby za jéj pomocą wrzeciądze upadły. I ta skarga i biadanie na nieład w owém archiwum, przesadne a zrzędne. Gdyby nie strzeżono, niedługo nie byłoby czego pilnować: przecież kto chciał zażyć trudu, a miał ochotę do pracy, to i był w téj naukowéj kopalni. Jegomość ksiądz biskup Łętowski, ks. kanonik Gładyszewicz, pp. Przezdziecki, Bielowski, Helcel, Żebrawski, Pauli i innych niemało, byli tam, a wiele pożytecznego dla dziejów wynieśli w uczonych notatach i pracach swoich. Jak się działo, kiedy nie tak pilnie jak dziś strzeżono archiwum tego i co w niém dotąd zostało? powiemy tu słowami uczonego autora *Katalogu biskupów krakowskich*.

Oto, co mówi szanowny prałat w swéj poważnéj pracy: „Archiwum kapitulne obejmowało niegdyś skarby wielkie, miarkując po tém, co uniósł z niego Załuski biskup kijowski, brata mając biskupem krakowskim...

Czego Załuski nie wyniósł, to potém drudzy powynosili za jego torem. Za mojéj pamięci sprzedano na licytacyi, po śmierci jednego z naszych *vice-prokuratorów*, książki z biblioteki naszéj, kapę rzymską ze skarbca naszego, i mszał z kaplicy Jagiellońskiéj, któréj był proboszczem, a była to *jurata persona*. W aktach *actorum* naszych zapisane stoi pod r. 1793, że Maciej Podgórski pisarz kapitulny zbiegł poprostu, a gdy zrobiono śledztwo w pomieszkaniu jego, znaleziono brak kilku ksiąg aktów kapitulnych. Pisarze nasi są także przysięgłe osoby. Zrobiono czy nie zrobiono kwerendy w archiwum po jego wydaleniu, nie doczytałem się, a mógł był ten człowiek wiele tam złego zrobić. Za mojéj prokuratoryi, roku 1826, był jeszcze spis archiwum, gruba księga w pargamin biały oprawna, za który dała kapituła sześć tysięcy złotych Odrowążowi Wysockiemu, pisarzowi przy aktach grodzkich krakowskich; ale dziś tego spisu nie widzę. Pod rokiem 1816 czytam odezwę kapituły do wdowy po Tadeuszu Czackim, o książki wzięte z biblioteki kapitulnéj przez ś. p. jéj męża. Było to: 1^{sze}, Kronika czeska in folio, na pargaminie pisana, odkazana kapitule od Zbigniewa Oleśnickiego biskupa; 2re, dwa wolumina in folio, rękopis, do spraw krzyżackich materyały, po śmierci Oleśnickiego wniesione przez Długosza do archiwum naszego, z podpisem jego; 3^{cie}, dwa wolumina in folio aktów kanclerskich z czasów Zadzikowskich, obejmujące lata od 1627 r. po rok 1633...

Niéma téż pomocy teraz pod ręką, komu się podoba zaprządz do większéj pracy, o czém mogę dać świadectwo. Czytając Janockiego spisy naszych ksiąg, płakać się chce. Niech ten lament po napadzie na wszystkie archiwa i biblioteki u nas nie wywoła klątwy na kapitułę krakowską, za naruszone skarby złożone u niéj. Strzegła ona ich wieki i dochowała do ostatniego momentu. Na dwa lata przed piérwszym rozbiorem kraju, zawitał dopiéro Załuski do niéj.

Nie są wszelako akta nasze po dziś dzień bez wartości znakomitéj. Przechowane bulle i dyplomata papieżów, książąt i królów polskich, poczynają się od połowy XII wieku. Księgi przywilejów w kilku tomach zebrane,

obejmują wiele ciekawych rzeczy; zostały kopie kilku synodów: potém idą wizyty biskupie. Daléj jest wiele dokumentów autentycznych, powiązanych w fascykuły, odnoszących się do rozmaitych czynności funduszowych, biskupich i kapituły. Sławna księga dla nas z przywilejami kapituły krakowskiéj, spisana na pargaminie i podpisywana przez królów naszych, począwszy od Zygmunta Augusta, aż do ostatniego, co swoje imię na niéj położył, Stanisława Poniatowskiego. Ks. Gładyszewicz prałat nasz wydał żywot błogosławionego Prandoty, z manuskryptów. Ma odpisane dyplomata po koniec czasów Piastowskich, na których ogłoszenie drukiem wyglądamy.

Nakoniec były *Acta Actorum*, księgi zapisywanych sesyj kapitulnych, porządkiem lat. Poczynają się od r. 1430, z wielokrotnemi przerwami, gdy brak niekiedy jest ksiąg całych. Zapisywała w nich kapituła: *ingresy* biskupów, obiory administratorów *sede vacante*, *instalacye* na prałatów i na kanoników, rodowód i zgon każdego, delegacye na sejmy, sejmiki do Proszowic, i na deputatów trybunalskich i do sądów biskupich siewierskich. Koronacye i pogrzeby królów, zwoływanie synodów, niekiedy przygody miejscowe, rewizye skarbca i archiwum, spisywanie biblioteki, restauracye około kościoła, a mianowicie interesa swoje ekonomiczne; stanowienie cenzorów kapitulnych, pieczę nad karnością w domu, pilność około szkółki zamkowéj, fundacye pobożne i testamenta biskupów i członków swoich; zgoła co tylko zapisane stać mogło w aktach z uwagi na roztropność: tam napotyka się często na statut o *silentium*, *in negotiis Capitularibus majoris momenti*, który był surowy i obowiązywał pod przysięgą. Były kiedyś w tém archiwum tak zwane katalogi; były życia biskupów krakowskich w kilku rękopismach, z których pozostały pargaminowy, doprowadzony jest do Tomickiego. Było wiele kawałków ciekawych, gdym do tego archiwum wszedł jako prokurator kapituły roku 1826. Są jeszcze tak zwane *Banderia Długoszowe*, rękopism z malowanemi chorągwiami, zdobytemi pod Grunwaldem na Krzyżakach. Były trzy Kadłubki: jeden in quarto."

Posiadają księgę rękopiśmienną (in folio, stronnic nieliczbowanych 180, spisaną po łacinie ręką z końca przeszłego stulecia), zawierającą treść dziewięciuset przeszło przywilejów kapitulnych (od r. 1167 począwszy aż do 1787); postanowiliśmy dać z niéj w polskim przekładzie poczet 50 dokumentów co ciekawszych. Rękopis ten jest sumaryuszem Iszéj księgi przywilejów, a nosi tytul: *Summarium Monumentorum pargameneorum, videlicet: Bullarum, privilegiorum, variorumque documentorum originalium et authenticorum chronologice ac sub numeris in fasciculis concinnatorum, ex Libro primo privilegiorum pargameneorum vim originalium monumentorum habente, inscriptum.*

Jest to, jak sądzę, kopia, a oryginał posiada zapewne dotąd archiwum kapitulne, bom widział odpis tegoż samego co mój rękopisu, w posiadaniu p. hr. Przezdzieckiego obecnie będący. Przywileje których tu treść mam przed sobą, a oryginały kapituła przechowuje, są też w odpisie *per extensum* w Bibliotece zakładu narodowego Ossolińskich we Lwowie. Jestto rękopis z połowy XVIII wieku, pod tytułem: *Archivum jurium etc.*; ma ten kodex pieczęć kapituły krak. i podpis ks. kan. Łopackiego. Choć tam dokumenta całkowicie odpisane, przecież po *praesentibus* zwykle kończone; więc nie ma świadków a czasem i daty.

Dając niniejszy wyciąg, nie poczytujemy go za rzecz obrobioną jakby należało: tłumaczyliśmy i odpisali wiernie, a dalsze badanie biegłym zostawiamy. Cytaty archiwalne dołączam, jak je w Sumaryuszu znajduję, oraz numer bieżący, jak przywileje następują w księdze. Oto i poczet chronologicznie przedstawiony:

2.

R. 1167. *Bulla Alexandra III papieża* potwierdzająca ustanowienie Kazimierza księcia polskiego, aby nadal dobra biskupów zmarłych nie były na skarb zabierane; a to pod karą rzucenia na tego klątwy, ktoby majątek po biskupie zagrabił. W Tuskulanum 28 marca. (Wyciąg z księgi I archiw. części 6. fol. 37).

6.

R. 1189. *Pismo Leszka księcia polskiego*, którém zawiadamia wszystkich wynalazców (1)... Prześwietnéj kapituły kościoła katedralnego krakowskiego i kopiących złoto, srebro, miedź, ołów, lub inny jaki metal, jak się względem właścicieli majętności w których kruszce znajdą zachować powinni, nadto utrzymuje książę dziesięcinę dla miejscowego kościoła. (Wyciąg z księgi I przywil. fol. 7).

16.

R. 1227. *Bulla Grzegorza IX papieża* naznaczająca przeprowadzenie kommissyi w sprawie między biskupem krakowskim i jego kapitułą, a Leszkiem książęciem polskim, z powodu krzywd i ucisku. W Lateranie 23 maja, papieztwa roku piérwszego.

18.

R. 1228. Na colloquium. *Władysław książę polski* przysposabia na syna Bolesława, wnuka swego brata Leszka, i dziedzicem go po sobie stanowi; dobra tegoż Bolesława w opiekę bierze, przyrzeka poddanych jego przy prawach i dawnych swobodach utrzymać, zachowując sobie tylko możność rozporządzania tém, co dla pozyskania żywota wiecznego kościołowi dać myśli. (Księg I przywil. fol. 1).

28.

R. 1251. *Bulla Innocentego IV papieża*, mocą której mianuje apostolską kommissyą z arcybiskupa gnieźnieńskiego i biskupa wrocławskiego, jakoteż opata z Lubecz zakonu Cystersów i wysyła z Rzymu Jakóba Velletre zakonu Braci Młodszych św. Franciszka, do zarządzenia procesu co do życia, męczeństwa i cudów świętego Stanisława biskupa krakowskiego. W Peruzie 26 maja, papieztwa roku dziewiątego. (Wyciąg z księgi I archiw. części I fol. 1).

29.

R. 1251. *Bulla Innocentego IV papieża* obejmująca kanonizacyą świętego Stanisława i zlecenie do arcybisku-

(1) Nieczytelne z powodu zbutwiałego i częściowo oddartego papieru.

pa gnieźnieńskiego i jego suffraganów co do uroczystości z tego powodu obchodzić się mających. W Assyżu 24 września, papieztwa roku dziesiątego. (Wyciąg z księgi I, części 1, fol. 3).

30.

R. 1251, *Bulla Innocentego IV papieża* zawierająca polecenie o kanonizacyi, odpustach i uroczystości świętego Stanisława, do patryarchów, arcybiskupów, opatów, przeorów, archiprezbyterów, dziekanów, archidyakonów i innych przełożonych kościelnych. W Assyżu 17 września, papieztwa roku jedénastego. (Wyciąg z księgi I archiw. części 1, fol. 5. Téj bulli dwa exemplarze).

31.

R. 1251. *Bulla Innocentego IV papieża* zawierająca polecenie do książąt polskich o kanonizacyi św. Stanisława i święceniu jego uroczystości. W Assyżu 17 września, papieztwa roku jedénastego. (Wyciąg z księgi I, części 1, fol. 7).

37.

R. 1254, 4 października w Pradze. *Pismo Przemysława króla czeskiego*, w którém dla uczczenia św. Stanisława (który go w podróży przez Prusy cudownie wspierał, a ramię jego za wstawieniem się Bolesława książęcia od biskupa Prandoty i kapituły krakowskiéj otrzymał), odpuszcza urazy królowi i Królestwu Polskiemu, byle tylko jeńcy oddani zostali. (Ks. I, przywil. fol. 4)

38.

R. 1255. *Bulla Alexandra IV papieża*, w któréj naznacza sto dni odpustu odwiedzającym grób świętego Stanisława. W Peruzie 3 stycznia, papieztwa roku drugiego. (Wyciąg z księgi I archiw. część 6, fol. 11. Téj bulli dwa exemplarze).

39.

R. 1255, *Bulla Alexandra IV papieża* polecająca, aby zakony w Polsce obchodziły uroczystość św. Stanisława. W Lateranie 13 stycznia, papieztwa roku drugiego. (Wyciąg z księgi I archiw. części 1, fol. 9)

45.

R. 1255. *Bulla Alexandra IV papieża* użyczająca sto dni odpustu tym, którzy w sam dzień Przeniesienia św. Stanisława odwiedzają kościół krakowski; a kto odwiedzi w oktawie, czterdzieści dni odpustu. Papieztwa roku drugiego.

47.

R. 1255. *Bulla Alexandra IV papieża* zawierająca upomnienia apostolskie dla Daniela króla ruskiego, aby wytrwał w katolickiéj wierze, którą przez Chrzest Ś-ty przyjął i w posłuszeństwie kościołowi rzymskiemu. W Lateranie 13 lutego, papieztwa roku trzeciego.

36.

R. 1255, 9 września na colloquium przy Banzonie (1). *Pismo Bolesława księcia krakowskiego i sandomierskiego*, którém wszystkim poddanym kościelnym (2) odpuszcza sądy świeckie, a to dla zbawienia dusz ojca swego Leszka i swéj matki Kunegundy i oblubienicy Chrystusa siostry swojéj rodzonéj Salomei, niegdyś królowéj Halickiéj. (Wyciąg z księgi I przywil. fol. 3. Tego pisma cztery exemplarze).

72.

R. 1290, 24 sierpnia w Krakowie. *Pismo Przemysława książęcia polskiego i krakowskiego*, zawiadamiające o uczynionéj darowiznie corocznéj stu marek dobrego lanego srebra z połowy żupy krakowskiéj, Albertowi dziekanowi krakowskiemu i jego następcom, a to dla położonych zasług. (Wyciąg z ks. I przywil. fol 54).

73.

R. 1290, 12 września w Krakowie. *Pismo Przemysława książęcia polskiego i krakowskiego*, zawierające darowiznę dziesięciny z połowy żupy krakowskiéj, Pawłowi biskupowi krakowskiemu i wszystkim następcom, na rzecz kościoła uczynioną.

74.

R. 1290, 12 września w Krakowie. *Pismo Przemysława książęcia polskiego i krakowskiego*, którém daje całą

(1) Apud Banzonam. (2) Adscriptitios.

dziesięcinę na wieczne czasy z połowy żupy krakowskiéj, Pawłowi biskupowi krakowskiemu, z władzą exkommunikacyi żupników w razie niedbalstwa lub nie uiszczania się. (Wyciąg z ks. I przywil. fol. 10).

76.

R. 1291, 1 września w Luthomizl (sic). *Pismo Wacława króla czeskiego, książęcia krakowskiego i sandomierskiego*, potwierdzające dziesięcinę soli dla biskupa i 12 marek srebra kapitule kościoła krakowskiego z żupy solnéj krakowskiéj należne. (Wyciąg z ks. III archiw. części 10 fol. 17).

78.

R. 1294, 13 czerwca w Pradze. *Pismo Wacława króla czeskiego księcia krakowskiego i sandomierskiego*, którém dla wynagrodzenia szkód w biskupstwie krakowskiém zrządzonych, daruje całą dziesięcinę ze wszystkich dochodów w żupie solnéj krakowskiéj, temuż biskupstwu krakowskiemu. (Wyciąg z ks. I przywil. fol. 7).

84.

R. 1301. *Bulla Bonifacego VIII papieża* potwierdzająca darowiznę na żupie solnéj krakowskiéj, przez Wacława króla czeskiego i księcia krakowskiego na rzecz kościoła krakowskiego uczynioną. W Lateranie 25 lutego, papieztwa roku dziewiątego.

328.

R. 1345, 27 stycznia, w Bazylei. *Bulla świętego powszechnego synodu Bazylejskiego* napominająca wszystkich w grzechu nieczystości ciała zostających, duchownych i laików tak żonatych, jakotéż wolnych, aby się od przestępstwa 6-go przykazania wstrzymywali.

137.

R. 1356, *Bulla Innocentego VI papieża* stanowiąca o pomocy, jaką duchowieństwo dać ma Kazimierzowi królowi polskiemu przeciw Litwinom nieprzyjaciołom katolickiéj wiary. W Awinionie 17 września, papieztwa roku czwartego.

189.

R. 1385, w poniedziałek w wilią Wniebowzięcia N. Panny Maryi w Kijowie. *List Jagiełły wielkiego księcia litewskiego, oraz pana i dziedzica Rusi,* w którym prosi Elżbiety królowéj węgierskiéj i polskiéj, także szlachtę Królestwa Polskiego o Jadwigę księżniczkę polską w małżeństwo, ofiarując dary i warunki ślubne z posagiem i przyjęcie wiary katolickiéj przez cały naród jego, jakotéż połączenie ziem swoich Litwy i Rusi z koroną Królestwa Polskiego na zawsze. (Wyciąg z ks. I archiw. części 1; fol 70).

236.

R. 1399. *Bulla Bonifacego IX papieża* z powodu mającego nastąpić rozwiązania Jadwigi, wyznaczająca prokuratora i posła apostolskiego Wojciecha Jastrzembca elektora poznańskiego, do zawarcia świętego związku ojcostwa chrzestnego z Władysławem Jagiełłą i jego małżonką. (Wyciąg z ks. I części 1. fol. 80).

262.

R. 1414. *Bulla Jana XXIII papieża* przywracająca Władysławowi Jagielle prawo patronatu, które królom po zabójstwie św. Stanisława odmówionem było, a mianowicie przy kościołach parafialnych: N. Panny Maryi w Krakowie, św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, św. Piotra w Sandomierzu; jako téż: w Lublinie, Sączu, Bieczu, Wojniczu, Wieliczce, Zawichoście, Szremie, Wieluniu, Sieradzu, Opocznie, Radziejowie, Żarnowcu, Lelowie i w mieście Klecku, gnieźnieńskiéj, krakowskiéj, władysławowskiéj i poznańskiéj dyecezyi. W Konstancyi 17 stycznia. Papieztwa roku piątego.

268.

R. 1417, we środę 5 maja. *Pismo kapituły kościoła katedralnego krakowskiego,* którém dom swój położony za kościołem i kustodyą, Elżbiecie księżniczce ziembickiéj (Münsterberg) przeznacza na mieszkanie dopóki będzie żyła.

270.

R. 1418, w niedzielę 1 maja. *List powszechnego koncylium konstancyeńskiego*, w którym jest odezwa posłów Władysława Jagiełły i Alexandra inaczéj Witolda wielkiego księcia litewskiego, przez Marcina papieża na koncylium podana, a oskarżająca Jana Falkenberga zakonnika Dominikańskiego i jego naukę.

273.

R. 1419, w piątek ostatniego czerwca spisano *w chórze kościoła krakowskiego protokuł publiczny*, w którym Jan dziedzic z Bejsc (wsi w powiecie proszowskim) zeznał: że za wstawieniem się Jadwigi królowéj polskiéj, cudownie zdrowie odzyskał. Tegoż samego roku i dnia, zacny mąż Jakób Kobyliński także zeznał, że za przyczyną Jadwigi królowéj polskiéj z choroby prawie dwuletniéj cudownie wyzdrowiał. (Wyciąg z ks. I archiw. części 1 fol. 34 i 35).

274.

R. 1419. *Bulla Marcina V papieża* udzielająca władzę apostolską rozgrzeszania nawracających się heretyków, Wiklewistów i Hussytów, Mikołajowi arcybiskupowi gnieźnieńskiemu i jego sufraganom biskupom. W Florencyi 28 maja. Papieztwa roku trzeciego.

278.

R. 1421. *List Wilhelma kardynała S. Marka rzymskiego kościoła, sędziego i komissarza papiezkiego*, zawierający wyrok w sprawie między Kazimierzem królem polskim z jednéj strony, a mistrzem zakonu niemieckiego jerozolimskiego z drugiéj, co do księztwa Pomeranii, ziem chełmińskiéj i michalowskiéj i niektórych zamków. Jest tu klątwa papiezką przeciwko Krzyżakom i wskazanie ich na wynagrodzenie szkód summą 190,500 marek, zrządzonych najechaniem królestwa, spustoszeniem i spaleniem stu przeszło kościołów, jako też zajęciem różnych miejsc bez żadnego prawa tak w Prusach jak i w Pomeranii. (Oryginalny akt Marcinowi V papieżowi ze strony Władysława króla polskiego, w formie urzędowego wyciągu tu się znajduje).

281.

R. 1423. *Bulla Marcina V papieża* uwalniająca Zbigniewa Jana z Oleśnicy, przełożonego kościoła św. Floryana od przeszkody w kapłaństwie (ab irregularitate), w którą popadł z powodu rozlewu krwi w wojnie z Krzyżakami w obronie Władysława Jagiełły. W Rzymie 1 lipca, papieztwa roku szóstego (wyciąg z ks. I archiw. części 1. fol. 81).

297.

R. 1426, w poniedziałek ostatniego września w Krakowie. Odczytano publicznie pismo Wojciecha arcybiskupa gnieźnieńskiego i prymasa, którem poleca tenże Zbigniewowi biskupowi krakowskiemu i innym dostojnikom duchownym w celu otrzymania kanonizacyi, badanie życia i cudów Jadwigi córki niegdyś Ludwika króla węgierskiego a małżonki Władysława Jagiełły. (Wyciąg z ks. I archiw. części 1 fol. 31).

305.

R. 1427. *Bulla Marcina V papieża* do Zbigniewa biskupa krakowskiego, w której zachęca Władysława Jagiełłę i brata jego Alexandra księcia litewskiego, ażeby w ucisku wiary św. katolickiéj, w jéj obronie oręż podnieśli przeciw czeskiéj herezyi. Wydana w Genewie, 25 lipca. Papieztwa roku jedénastego.

307.

R. 1428. *Bulla Marcina V papieża* do Zbigniewa biskupa krakowskiego, ażeby w interesie świętéj wiary zechciał zachęcać Władysława króla polskiego i brata jego Alexandra księcia litewskiego do śmiałego przedsięwzięcia wyprawy przeciw herezyi Hussytów czeskich; wydana w Rzymie 1 października.

312.

R. 1430. *Bulla Marcina V* do Zbigniewa biskupa krakowskiego, w któréj papież oświadcza najżywsze biskupowi temu pochwały, za gorliwość jego i zapał, z jakim strzeże i broni nietylko prawéj wiary, lecz i wolności kościelnéj. Dodaje, iż wiele się w Polsce dzieje ku czci Bożéj, powiększeniu wiary i zwalczeniu heretyków,

a więc czyny Zbigniewa zasłużonemi pochwałami głosić zaleca. W Rzymie, 7 sierpnia. Papieztwa roku trzynastego.

333.

R. 1436, 14 kwietnia w Bazylei. *Bulla św. powszechnego synodu bazylejskiego* oznajmiająca o odpuście zupełnym dla tych, którzy do odzyskania Ziemi świętéj się przyłożą.

360.

R. 1443, w niedzielę po uroczystości Bożego Narodzenia, w Cieszynie. *Pismo Wacława i Bolesława książąt cieszyńskich*, w którém zeznają sprzedaż, zapis i odstąpienie księztwa i ziemi swojéj siewierskiéj Zbigniewowi biskupowi i kościołowi krakowskiemu, ze wszystkiemi i szczególnemi téj ziemi: zamkami, miastami, miasteczkami, wsiami, komorami celnemi, oraz z prawém książęcém, i przyrzekają, że to będzie miało w obec książęcia i czeskiego króla moc wiecznéj trwałości. Gdyby zaś śmiercią lub innym przypadkiem zaskoczeni, żywym głosem w obliczu wzmiankowanego króla ogłosić tego zaniedbali, to przecież tém swojém publiczném i urzędowém pismem wyrażają i ogłaszają. (Wyciąg z ks. II przywil. fol. 195).

361.

R. 1443, w niedzielę po uroczystości Narodzenia Chrystusa Pana, w Cieszynie. *Pismo Wacława księcia cieszyńskiego*, który pragnąc aby Zbigniew biskup i kościół krakowski, ziemię i księztwo siewierskie tytułem wiecznéj sprzedaży ustąpione, spokojnie posiadał; postanowił położenie i granice wspomnionej ziemi i księztwa siewierskiego określić, takowe więc zeznaje. Oblatowanie tego pisma czyli opisu granic księztwa siewierskiego, uczyniono w aktach grodzkich krakowskich w sobotę po niedzieli piątéj po Wielkanocy, 1671 r.

371.

R. 1446, 29 sierpnia w Bazylei. *Bulla św. powszechnego synodu bazylejskiego* oznajmiająca, jako w rzeczypospolitéj pewne pisma rozszerzone zostały, głoszące mię-

dzy innemi, że pewien mnich przyniósł do Prus listy synodalne, w których ma się znajdować dla mistrza i braci zakonu niemieckiego w Prusach i dla ich poddanych, zwolnienie z przysięgi wykonanéj przez nich co do zachowania pokoju między niemi a królem polskim i jego poddanemi. Z tego powodu przeciwnicy uwłaczają świętemu synodowi. Otóż otrzymawszy o tém wiadomość, wyznaczono kardynałów przy synodzie się znajdujących, którzy pilnie rzecz badając donieśli synodowi: że nigdzie w pismach jego, żadnego o tém nie ma śladu. Dla tém mocniejszego świadectwa o prawdzie, na témże powszechném zgromadzeniu, na posiedzeniu osobno w téj sprawie odbytém, zapytani wszyscy zasiadujący jednozgodnie odpowiedzieli: że nigdy nie słyszeli, żeby ze strony owego zakonu jakieś kroki czynionemi były.

394.

R. 1449, 29 marca w Rzymie. *Bulla Mikołaja V papieża* do Zbigniewa kardynała, polecająca mu zajęcie się traktowaniem o pokój i uśmierzenie zaburzeń wojennych domowych w królestwie węgierskiém. (Wyciąg z ks. I archiw. części 2, fol. 174).

430.

R. 1457, w środę popielcową w Krakowie. *Pismo Janusza księcia oświecimskiego*, na mocy którego ziemię swoję oświecimską tak jak granicami jest odznaczona i określona, z zamkami Oświęcim i Wołek i innemi miastami, warownemi miejscami i wsiami we wspomnionéj ziemi znajdującemi się, Kazimierzowi królowi i Królestwu Polskiemu i jego następcom, za ośm tysięcy złotych węgierskich czystego złota sprzedał i odstąpił na wieczność (Ks. I przywil. fol. 135).

501.

R. 1477, we środę w oktawę Narodzenia N. Panny Maryi w Krakowie. *Pismo Kazimierza króla polskiego* odnoszące się do wybudowania klasztoru św. Hieronima (Kartuzów) w mieście Kazimierzu pod Krakowem i o uczynionem uposażeniu tegoż. (Wyciąg z ks. II archiw. części 9, stron. 210. Tego pisma dwa exemplarze).

509.

R. 1480, we wtorek po świętym Stanisławie w Krakowie. *Pismo Jana Felixa z Tarnowa wojewody lubelskiego*, którém wsie swoje *Radzanków* w ziemi bytomskiéj, *Dobieszowice*, *Tomkowice*, *Pyrzowice* w ziemi siewierskiéj i dyecezyi krakowskiéj leżące, Janowi Długoszowi nominatowi lwowskiemu, jakotéż Zygmuntowi i Michałowi braciom zakonu kartuzyjskiego z Gemniaco i klasztorowi wspomnionego zakonu Kartuzów na pagórkach świętego Stanisława obok Wisły (in collibus Sancti Stanislai juxta Istulam) sfundowanemu, za trzy tysiące kóp szerokich groszy pragskich z odstąpieniem wieczystém sprzedał. (Wyciąg z ks. II archiw. części 9, str. 215).

583.

R. 1516, dnia 8 grudnia w Rzymie. *Brewe Leona X papieża do Zygmunta króla polskiego* o poprawie kalendarza.

Ponieważ znaleziono, że liczenie czasu zboczyło od właściwego oznaczenia porównań dnia z nocą (aequinoctium) i cyklów; oświadcza papież, że gdy rzecz ta do rozwagi świętemu koncylium laterańskiemu przedłożoną została; a więc należy także, aby teologowie, astrologowie i inni uczeni po uniwersytetach, kollegiach i miastach Królestwa Polskiego, pilnie rzecz badali.

587.

R. 1518, dnia 19 marca w Rzymie. *Brewe Lona X papieża do Zygmunta króla polskiego* oznajmujące: jako dzień i noc czuwa nad tém i troszczy się, aby wielkim i blizkim niebezpieczeństwom, które wierze katolickiéj ze strony Turka grożą, stosownemi środkami zapobiedz; wysyła tedy Mikołaja Scombegoris zakonu Dominikanów, któremu dla jego nauki, nieskazitelności i roztropności najważniejszych rzeczy traktowanie zwykł był powierzać, (którego także niedawno przedtém do cesarza, królów Francyi, Hiszpanii i Anglii w celu wspólnego dobra chrześciaństwa wysyłał) z poleceniem, ażeby się do króla polskiego udał, i w tych sprawach zasięgnął wiadomości potrzebnych, oraz aby w imieniu papieża zachęcał Zygmunta do gotowości udziału w téj chlubnéj wyprawie.

589.

R. 1518, we środę po Wniebowzięciu Najśw. Panny Maryi, w Krakowie. *List Zygmunta króla polskiego* oznajmujący, jako Jan biskup i jego kościół krakowski, w skutek nalegania Kazimierza księcia cieszyńskiego, przedłożyli mu dokument oryginalny co do księztwa siewierskiego, z którego wiadomém było, że Wacław książę cieszyński i siewierski, sprzedał wiecznemi czasy wspomnione księztwo Zbigniewowi biskupowi krakowskiemu. Któryto dokument zobaczywszy król, wspomnione księztwo biskupstwu krakowskiemu przysądził jako rozjemca, i książę Kazimierz zrzekł się tegoż na zawsze. (Wyciąg z ks. I przywil. fol. 94).

Oblatowanie tego dokumentu w aktach grodzkich krakowskich nastąpiło we czwartek po święcie Oczyszczenia N. Panny Maryi, 1677 r.

601.

R. 1519, w dzień św. Brykcyusza w Krakowie. *Pismo Zygmunta króla polskiego* oznajmiające: jako w skutek naglącéj i niespodzianéj potrzeby rzeczypospolitéj (gdy mistrz pruski sprzysiągłszy się z Moskwą i Tatarami przeciwko niemu, chciał z pomocą zaciągów niemieckich wydrzeć ziemie pruskie, które z prawa do królestwa polskiego należą), w moc narady obojga stanów sześć tysięcy złotych polskich pożyczył od Jana biskupa, prałatów i kanoników kościoła katedralnego krakowskiego, przez ręce Mikołaja z Szydłowca kasztelana sandomierskiego i skarbnika Królestwa Polskiego, z pieniędzy ze składek od duchowieństwa prowincyi gnieźnieńskiéj, do wysokości summy czterdziestu tysięcy złotych na zasiłek i obronę królestwa swego przyobiecanych i zebranych, i w skarbcu kościoła krakowskiego złożonych; a to celem zaciągnienia płatnego żołnierza.

717.

R. 1553, w sobotę po Podwyższeniu świętego krzyża w Krakowie. *Pismo Zygmunta Augusta króla polskiego*, którém Stanisława Borka dziekana krakowskiego i poborcy Świętopietrza (Denarii S. Petri) z dyecezyi gnieźnień-

skiéj (przez stolicę apostolską królowi darowanego) z powodu zadawalniającego z tych summ w ciągu czternastu lat prowadzonego rachunku, chwali wierność i szczególniejszą pilność poborcy, kwitując go z odbioru.

755.

R. 1578, dnia 9 kwietnia w Rzymie. *Brewe Grzegorza XIII papieża* do kapituły kościoła krakowskiego, zalecające wysłanego do króla w ważnych sprawach Jana Andrzeja Kalligarego referendarza obydwóch sygnatur papiezkich, męża wypróbowanéj wiary i nieskazitelności.

903.

R. 1787, dnia 18 czerwca w kapitularzu kościoła katedralnego krakowskiego. *Pismo Stanisława Augusta króla polskiego* oznajmiające: że ten król zwiedzając świątynią katedry krakowskiéj starożytnemi pomnikami sławną, przeglądał księgę dawną zawierającą prawa i przywileje téj katedry, biskupstwa i kapituły dawnych dokumentów oryginalnych odpisaną, którą własnoręcznie Zygmunt August na sejmie walnym piotrkowskim zatwierdził i pieczęcią królestwa wiszącą opatrzyć polecił. Pragnąc zaś zostawić w tém miejscu ślady swojéj tu bytności, przychylając się do prośby prałatów i kanoników katedry, księgę tę moc oryginalnych dokumentów mającą, własną także ręką podpisał. (Z księgi I przywilejów, fol. 146).

W Krakowie,
dnia 4 kwietnia 1857 r.

MAKBET.

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH.

PRZEKŁAD Z SZEKSPIRA

PRZEZ

J. Paszkowskiego.

———

(Dokończenie).

AKT III.

SCENA PIERWSZA.

(*Fores. Sala w pałacu*).

BANKO *wchodzi*.

BANKO.

Masz tedy berło, Kawdor, Glamis, wszystko,
Tak jak ci owe czarodziejskie widma
Przepowiedziały; obawiam się tylko,
Czy nie za krzywo do tego przyszedłeś,
Bądź jak bądź, było przecież powiedzianém,
Że się to twoim zstępnym nie dostanie,
Że raczéj ja mam być szczepem i ojcem
Mnogich królewskich odrośli. Jeżeli
Ich przepowiednia nie kłamie, (a Makbet
Tego dowodem), dlaczegóżby one,
Nie miały być i dla mnie wyroczniami,
Tak jak dla niego i niepłonną we mnie
Budzić nadzieję? Ale pst! dość tego.

(*Odgłos trąb. Wchodzą: Makbet i lady Makbet przybrani po królewsku; Lenox, Rosse, lordowie, damy i orszak*).

MAKBET.

Oto nasz główny gość.

LADY MAKBET.

Gdyby nam zbywał,
Byłaby w naszém towarzystwie próżnia
I radość nie zupełna.

MAKBET.

Wydajemy
Tego wieczoru uroczystą ucztę,
I o obecność waszą na niéj prosim.

BANKO.

Wasza Wysokość może mną rozrządzać,
Bo obowiązki me są z nią spojone
Ścisłemi węzły.

MAKBET.

Wyjeżdżasz, milordzie,
Dziś po południu?

BANKO.

Taki jest mój zamiar.

MAKBET.

Krzyżuje nas to: radzibyśmy byli
Usłyszeć głos wasz dzisiaj na obradach,
(Głos, który zawsze miał tyle trafności
Ile powagi); nagrodzim to jutro.
Dalekoż jedziesz?

BANKO.

Tak daleko, panie,
Że czas potrzebny do odbycia drogi,
Wypełnia właśnie w samą miarę przeciąg
Między tą chwilą a ucztą: jeżeli
Mój biegun skrewi, będę musiał jednę
Albo dwie godzin nocy zostać dłużnym.

MAKBET.

Nie omieszkajże się stawić.

BANKO.

Upewniam
Waszą Królewską Mość że nie omieszkam.

MAKBET.

Doszło do naszych uszu. że wyrodni
Nasi kuzyni skierowali drogę,

Jeden do Anglii, drugi do Irlandyi;
Że wypierając się swéj czarnéj zbrodni
Szerzą tam dziwne fałsze: ale o tém
Do jutra; będzie to jedną z spraw stanu,
O których wspólnie naradzać się mamy.
Siadajże na koń i wracaj nam zdrowo.
Czy Fleance jedzie także?

BANKO.

Jedzie, panie;
Interes nagli nas.

MAKBET.

Życzymy waszym
Koniom szybkości i pewności w nogach,
I poruczamy was ich grzbietom. *(Banko wychodzi).*
Niech każdy będzie panem swego czasu
Do siódméj w wieczór; pragnąc wam na potém
Miłszém uczynić nasze towarzystwo,
Pozostajemy do wieczerzy sami:
Bogu tymczasem was oddajem!
(Lady Makbet, lordowie, damy i t. d. wychodzą).
Hola!
Czy owi ludzie, których zamówiłem,
Czekają na me rozkazy?

SŁUGA.

Czekają
U bram zamkowych, panie.

MAKBET.

Niech tu przyjdą.
(Sługa wychodzi).
Być tém czém jestem, jestto niczem nie być,
Jeślibym nie mógł być tém bez obawy.
Ten Banko jest mi groźny: ma on w sobie
Coś królewskiego, czego się bać trzeba.
Nieustraszony on i z gotowością
Ważenia się na wszystko, łączy w sobie
Zimną rozwagę, która jego męztwo
Po pewnéj drodze kieruje do celu;
Prócz niego, nie ma na świecie człowieka,
Któregobym się lękał: obok niego,
Czuje się duch mój uciśnionym, jako,
Wedle podania, czuł się uciśnionym
Duch Antoniusza przy Cezarze. Zgromił
Owe niewiasty, kiedy mię nazwały
Królem i kazał im do siebie mówić:

Wtedy go one pozdrowiły ojcem
Szeregu królów: mnie więc bezowocną
Dały koronę, wsadziły mi w rękę
Jałowe berło, mające plonować
Komuś obcemu nie moim potomkom.
Toż więc sumienie sobie splugawiłem
Dla rodu Banka; dla jego korzyści
Zamordowałem zacnego Dunkana;
Spokojność sobie zatrułem, jedynie
Dla rodu Banka, i wieczny mój klejnot
Wspólnemu ludzi nieprzyjacielowi
Na łup oddałem, po to tylko, żeby
Ukoronować ród, nasienie Banka!
O, niech się raczéj ostateczność stanie.
Losie, wyzywam cię w zapasy! Kto tam?
(Sługa z dwoma zbójcami wchodzi).
Idź i za drzwiami czekaj, aż cię wezwę.
(Sługa wychodzi).
Z wamiżto wczoraj mówiłem?

1 ZBÓJCA.

Tak, panie.

MAKBET.

Dobrze więc; czyście rozważyli ściśle
I przetrawili to com wam powiedział?
Wiécie już, że to on, owego czasu,
Obszedł się z wami tak niesprawiedliwie,
I żeście winni byli posądzając
Moję niewinność: tego wam dowiodłem
W ostatniéj naszéj rozmowie; wykryłem
Wam jak na dłoni, jak was oszukano;
Jak z was zadrwiono, zrobiono narzędzia;
Kto was tak zażył i inne szczegóły,
W których osnowie najograniczeńszy
Półgłówek byłby namacać mógł Banka.

1 ZBÓJCA.

Tak, powiedziałeś nam, panie, to wszystko.

MAKBET.

Tak, powiedziałem wam to wszystko; teraz
Powiem wam, co jest celem obecnego
Mego widzenia się z wami. Azaliż
W waszéj naturze przemaga cierpliwość
Do tego stopnia, że mimo puszczacie
Najcięższe krzywdy? Azaliż jesteście

Tak świętobliwi, żeby się aż modlić
Za zdrowie i za dom tego człowieka,
Którego ręka w grób was pochyliła,
I dzieci wasze przymusiła żebrać?

1 ZBÓJCA.

Z mężami, panie, masz sprawę.

MAKBET.

Wiem dobrze
Że się liczycie do mężów, tak samo
Jak wyżeł, ogar, chart, jamnik i kundel,
Brytan, mops, pudel, buldog i tam daléj
Do psów się liczą: oddzielna rubryka
Wskazuje, który z nich chyży, powolny,
Dobry stróż domu lub zdatny do pola,
I tym podobnie, odpowiednio darom,
Jakiemi matka natura każdego
Uposażyła; i taki dopiero
Szczególny tytuł nadaje każdemu
Właściwą cechę na ogólnéj liście
Psiego rodzaju: tak się ma i z ludźmi.
Jeżeli przeto zajmujecie miejsce
W rubryce mężów z sercem, nie w ostatniéj
Klassie ras ludzkich, wyrzeczcie to śmiało;
A ja wam wskażę pewną czynność, któréj
Uskutecznienie na zawsze uwolni
Was od waszego śmiertelnego wroga,
I łaskę naszę wam zjedna, za zdrowie,
Które w nas cherla dopóki on żyje,
A z śmiercią jegoby zakwitło.

1 ZBÓJCA.

Jestem
Człowiekiem, panie, którego zawzięty
Bicz świata przywiódł do tego, że gotów
Na wszystko, byle na przekorę światu.

2 ZBÓJCA.

We mnie zaś widzisz, panie, chudeusza,
Tak znękanego igrzyskami losu,
Że rad wystawi swoje nędzne życie
Na wszelki hazard, byle je poprawić,
Lub się go pozbyć.

MAKBET.

Wiecie już obadwaj,
Że Banko waszym był nieprzyjacielem.

ZBÓJCY.

Już to wiadoma rzecz.

MAKBET.

Jest on i moim,
I to tak groźnym, że każda minuta
Jego istnienia czyni moje życie
Niepewném; mógłbym go sprzątnąć otwarcie
Mocą jedynie władzy méj i woli;
Lecz wzgląd na pewnych wspólnych nam przyjacioł,
Których życzliwość jest mi pożądaną,
Wstrzymuje mnie od tego: muszę raczéj
Udawać boleść nad upadkiem tego,
Którego strącę. W takiéj konjunkturze
Wzywam pomocy waszéj i powierzam
Wam wykonanie dzieła, które winno
Przed okiem świata pozostać ukryte,
Dla wielu ważnych powodów.

2 ZBÓJCA.

Spełnimy
Panie, co każesz.

1 ZBÓJCA.

Choćby nasze życie....

MAKBET.

Męztwo wam błyszczy z oczu. Za godzinę
Wskażę wam miejsce, które macie zająć
Gdy mrok zapadnie, bo się to stać musi
Dzisiejszéj nocy i nieco opodal
Od zamku: bądźcie szpiegami sposobnéj
Ku temu chwili, a pomnijcie ciągle
By na mnie nie padł i cień podejrzenia;
Aby zaś w sprawie téj nie było żadnéj
Breszy i luki, trzeba, żeby Fleance,
Syn jego, który towarzyszy ojcu,
A który również nie jest mi na rękę,
Los z nim podzielił. Zostawiam was samych;
Namyślcie się tu: powrócę niebawem.

2 ZBÓJCA.

Namyśliliśmy się już dość.

MAKBET.

Tém lepiéj;
Rzecz więc skończona: zaraz was przywołam.

Jeśli ci, Banko, niebo przeznaczone,
Dziś jeszcze pewną znajdziesz w niém koronę.
(Wychodzą).

SCENA DRUGA.

(Tamże. Inny pokój).

Wchodzą LADY MAKBET, *za nią służąca.*

LADY MAKBET.

Nie wiesz czy Banko wyjechał?

SŁUŻĄCA.

Wyjechał,
Łaskawa pani, lecz wraca dziś na noc.

LADY MAKBET.

Powiedz królowi, że chcę z nim pomówić,
Jak znajdzie wolną chwilę.

SŁUŻĄCA.

Spieszę, pani.
(Wychodzi).

LADY MAKBET.

Wszystko chybione, za nic wszystko, jeśli
Drżymy o skutek, któryśmy odnieśli:
Lepiéj śmierć ponieść, niż czyniąc jéj zadość,
Z dzieła zniszczenia wątpliwą mieć radość.
(Makbet wchodzi).
Cóż mój małżonku? Czemu tak samotny,
W ponurych tylko marzeń towarzystwie?
Żywiący ciągle owe myśli, które
Powinny były umrzeć razem z tymi,
Co je wzbudzają. Na co nie ma środka,
Nad tém się nie ma czego zastanawiać;
Co się raz stało, już się nie odstanie.

MAKBET.

Rozpłataliśmy węża, nie zabili;
Zrośnie się, będzie znów gadem: ząb jego
Jadem zaprawny nie przestaje grozić
Biédnéj niecnocie naszéj. Niechaj raczéj
Kształt rzeczy runie, oba światy zadrżą,
Niżbyśmy mieli nasze jadło dzienne

Z trwogą pożywać i sypiać pod wpływem
Tych snów co w nocy nami trzęsą; raczéj
Zająć nam miejsce przy tym, któregośmy
W grób wyprawili, niż w ciągłych konwulsyach
Leżeć na strasznych torturach sumienia.
Dunkan spoczywa; dobrze śpi po febrze
Ziemskiego życia; zdrada dokonała
Arcymistrzowskiéj sprawy; stal, trucizna,
Domowy zamach ani obcy najazd,
Nic mu zaszkodzić już nie może.

LADY MAKBET.

Daléj,
Szlachetny tanie! Precz faldy z oblicza!
Bądź wesół, rad bądź dzisiejszym twym gościom.

MAKBET.

Będę rad, bądź i ty, luba, podobnież:
Miej zaś szczególnie Banka na pamięci;
Odznaczające okazuj mu względy
Zarówno usty jak oczyma. W takiém
Jak my jesteśmy położeniu,
Trzeba nam naszą niedojrzałą władzę
Polewać rosą pochlebstwa, oblicza
Czynić serc larwą, aby nikt nie dostrzegł,
Co się pod niemi kryje.

LADY MAKBET.

Bądź spokojny.

MAKBET.

O żono, serce me skorpionów pełne!
Wszak wiesz, że Banko, Fleance jeszcze żyją.

LADY MAKBET.

Wiem, ależ przecie dzierżawa ich życia
Nie jest wieczystą.

MAKBET.

W tém nasza otucha,
Że oba są z krwi i z ciała. Swobodnie
Patrzmy więc w przyszłość. Nim niedoperz skończy
Swój rewir wkoło zamku, nim na rozkaz
Bladéj Hekate nocny chrząszcz wybrzęczy
Chrapliwy nokturn, spełnionem zostanie
Strasznéj ważności dzieło.

LADY MAKBET.

Jakie dzieło?

MAKBET.

Nie pytaj, luba; bądź przez niewiadomość
Wolną od winy, dopóki nie będziesz
Mogła poklasnąć temu dziełu. Przybądź
Ślepiąca nocy, zasłoń kataraktą
Litościwego dnia czułe źrenice;
Stargaj, zniszcz krwawą, niewidzialną dłonią
Te pęta, które swobody nam bronią!
Światło dokoła ziemskiego przestworu
Przygasa, wrona pociąga do boru:
Wdzięczny dnia orszak mdleje, chyli głowy,
Natomiast nocna czerń zaczyna łowy.
Pójdź, żono; nie mów nic. Zły plon bezprawia
Nowém się tylko bezprawiem poprawia.
(Wychodzą).

SCENA TRZECIA.

(Tamże. Część lasu z bramą do zamku prowadzącą).

ZBÓJCY.

1 ZBÓJCA.

Kto ci się kazał z nami złączyć?

3 ZBÓJCA.

Makbet.

2 ZBÓJCA.

Można mu ufać, skoro tak dokładnie
Wié o co idzie.

1 ZBÓJCA.

Więc pozostań z nami.
Szczątki dnia tleją jeszcze na zachodzie
I spóźnionego podróżnika naglą
Wracać do domu. Cel naszych czat wkrótce
Nadjedzie.

3 ZBÓJCA.

Cicho! Słyszę tętent koni.

BANKO
(za sceną).

Dajcie tu światła! hej!

2 ZBÓJCA.

To on niechybnie,
Bo wszyscy inni goście już są w zamku.

1 ZBÓJCA.

Konie wysyła luzem naokoło.

3 ZBÓJCA.

Tak każdy czyni, bo ztąd na piechotę
Droga o milę krótsza.

(Banko i Fleance wchodzą: przed nimi pachołek z pochodnią).

2 ZBÓJCA.

Światło! światło!

3 ZBÓJCA.

To on.

1 ZBÓJCA.

Tak, to on sam; nie traćmy czasu.

BANKO.

Téj nocy będzie deszcz.

1 ZBÓJCA.

Natychmiast lunie.

(Napada Banka).

BANKO
(padając).

Zdrada! Uciekaj, Fleansie, uciekaj!
Bądź mym mścicielem. Ha! nędzniku!

(Umiera. Fleance i pachołek uciekają).

3 ZBÓJCA.

Któżto
Zgasił pochodnią?

1 ZBÓJCA.

Pewnie wiatr ją zdmuchnął.

3 ZBÓJCA.

Jeden legł tylko, drugi umknął.

2 ZBÓJCA.

Szkoda;
Wypuściliśmy połowę zarobku.

1 ZBÓJCA.

Bądź jak bądź, idźmy donieść co się stało.

(Wychodzą).

SCENA CZWARTA.

(Wielka sala w pałacu).

Uczta przygotowana. MAKBET, LADY MAKBET, ROSSE, LENOX, LORDOWIE *i inne osoby.*

MAKBET.

Znacie panowie swoje stopnie: siądźcież,
I od pierwszego aż do ostatniego,
Bądźcie nam z serca pozdrowieni.

LORDOWIE.

Dzięki
Waszéj Królewskiéj Mości.

MAKBET.

Usiądziemy
Wpośród was, jak przystoi uprzejmemu
Gospodarzowi: co do gospodyni,
Ta zachowuje pierwsze miejsce, wszakże
W stosownéj chwili zażądamy od niéj
Objawu serdeczności.

LADY MAKBET.

Zechciéj
Zapewnić o niéj, mój małżonku, wszystkich
Naszych przyjaciół, tu się znajdujących;
Serce me bowiem wielce im jest rade.
(Pierwszy zbójca ukazuje się we drzwiach).

MAKBET.

Oni też z serca ci dziękują za to.
Już wypełnione obie strony stołu:
Ja tu wpośrodku usiądę. Wesoło,
Moi panowie! bądźcie w pogotowiu,
Bo wnet kolejny kielich zacznie krążyć. *(Do zbójcy).*
Na twojéj twarzy krew.

ZBÓJCA.

To więc krew Banka.

MAKBET.

Wolę ją zewnątrz u ciebie, niżeli
Wewnątrz u niego. Więc już usunięty?

ZBÓJCA.

Krtań ma przerzniętą, panie: tę przysługę
Jam mu wyświadczył.

MAKBET.

Walny z ciebie rzeźnik,
Lecz i ten niemniéj walny, co z Fleansem
Również postąpił: jeśliś ty to zrobił,
Nieporównanyś zuch.

ZBÓJCA.

Najmiłościwszy!
Fleance się wymknął.

MAKBET.

Moja więc choroba
Powraca znowu: byłbym, gdyby nie to,
Zdrów jak lew, silny jak marmur, jak skała
Nieporuszony, lekki jak powietrze,
Które ogarnia wszystko: tak zaś jestem
Spętany, wątły, ścieśniony, oddany
Na łup kapryśnych trosk i niepewności.
Zabezpieczonyż aby tamten?

ZBÓJCA.

Tamten
Jak najbezpieczniéj leży w dole, z głową
Tuzinem ciosów oszamerowaną,
Z których najlżejszy byłby już śmiertelnym.

MAKBET.

To dobrze:—stary wąż już nie powstanie.
Ów gad, co uciekł, ma w sobie zarody
Trucizny z czasem mogącéj zaszkodzić,
Ale nateraz nie ma jeszcze żądła.
Oddal się, jutro rozmówim się znowu.

(Zbójca wychodzi).

LADY MAKBET.

Małżonku mój i panie, zapominasz
O swoich gościach: za nic wszelka uczta,
Jeśli się przy niéj często nie objawia,
Że to co dajem, dajemy ochoczo.
Lepiéj się w własnym jé domu; zachęta
Jest w obcym, jako sól, zaprawą jadła:
Bez niéj gościnność byłaby niesmaczną.

MAKBET.

Luba mentorko! Niech się więc apetyt
Z strawnością złączy i wiwat oboje!

LENOX.

Nie raczyż Wasza królewska mość zasiąść?
(*Duch Banka wychodzi z pod ziemi i siada na miejscu Makbeta*).

MAKBET.

Widzielibyśmy tu w pełni zbiór ozdób
Naszego państwa, gdyby nam nie zbywał
Kochany Banko, którego woliny
O nieuprzejmość obwinić, niż myśleć,
Że mu się jakie nieszczęście trafiło.

ROSSE.

Jego spóźnianie się lży jego słowu.
Niechże nas Wasza królewska mość raczy
Swém uczestnictwem uszczęśliwić.

MAKBET.

Wszystkie
Miejsca zajęte.

LENOX.

Tu próżne jest jedno.

MAKBET.

Gdzie? gdzie?

LENOX.

Tu, panie. Co się stało Waszéj
Królewskiéj mości?

MAKBET.

Kto z was to uczynił?

LORDOWIE.

Co, miłościwy królu?

MAKBET.

Ty nie możesz
Powiedzieć, że to ty; nie wstrząsaj ku mnie
Tak groźnie swemi skrwawionemi włosy.

ROSSE.

Wstańmy, panowie; królowi niedobrze.

LADY MAKBET.

Siedźcie, o siedźcie, zacni przyjaciele:
Naszemu panu często się to zdarza
Od lat najmłodszych; pozostańcie w miejscu:
Jestto chwilowy przystęp, wkrótce minie.
Jeśli będziecie na niego zważali,
Rozdrażni go to i złe jego zwiększy.
Jédzcie i ani spojrzyjcie na niego. (*Do Makbeta*).
Jestżeś ty mężem, czy nie jesteś?

LADY MAKBET.

Królu i panie, przyjaciele nasi
Czekają na cię.

MAKBET.

Prawda; zapomniałem:
Nie zdumiewajcie się, cni przyjaciele
Nad tém co zaszło; jestto osobliwsza
Słabość, niedziwna dla tych, co mię znają.
Daléj! Niech żyje wino i wesołość!
Zaraz usiądę: nalejcie mi kielich
Po same brzegi!—Piję za pomyślność
Moich przezacnych gości.
(*Duch się ukazuje*).
I naszego
Ukochanego przyjaciela Banka,
Który nas smuci swą nieobecnością.
W wasze i jego ręce! Oby wszystkim
Wszystko się dobrze działo!

LORDOWIE.

Przyjm, o panie,
Wzajemny toast na podziękowanie.

MAKBET.

Precz z moich oczu! Zapadnij się w ziemię!
Krew twoja zimna, kości twe bez szpiku;
Niéma już siły widzenia w tych oczach
Któremi błyszczysz.

LADY MAKBET.

Szlachetni lordowie,
Chciejcie uważać to za rzecz zwyczajną;
Jestto w istocie niczém: szkoda tylko,
Że nam zasępia swobodę téj chwili.

MAKBET.

Cobądź kto śmié i ja śmiem: przystąp do mnie
Jako kudłaty niedźwiedź puszcz północnych,
Opancerzony nosorożec, albo
Tygrys hirkański; przywdziéj jaką zechcesz
Postać, wyjąwszy tę, a silne moje
Nerwy nie zadrżą: wróć wreszcie do życia
I w głąb pustyni wyzwij mię na ostrze,
Jeśli drżąc cofnę kroku, to mnie ogłoś
Lalką bez serca. Precz, okropny cieniu!
(*Duch znika*).

Zwodnicza maro, precz! Ha! znikłeś przecie!
Teraz znów jestem mężem.—Siedźcie, proszę.

LADY MAKBET.

Przerwałeś ucztę, popsułeś wesołość
Tym osobliwszym dziwactwa napadem.

MAKBET.

Możeż się zdarzać coś takiego? Lotnie,
Jak letni obłok, mimo nas przeciągać,
I nie przejmować nas na wskróś zdumieniem?
Wy mię kłócicie z własną świadomością,
Bo nie pojmuję, jak mogliście patrzeć
Na to widziadło i zachować przytem
Na licach zdrową, naturalną cerę,
Gdy moje trwoga ubieliła.

ROSSE.

Jakie
Widziadło, panie?

LADY MAKBET.

Nie mówcie nic, proszę,
Bo pogorszycie jego stan; pytania
W podobnych razach w wściekłość go wprawiają.
Dobra noc, mili panowie; odejdźcie.
Nie oczekujcie hasła etykiety,
Ale oddalcie się natychmiast.

ROSSE.

Dobréj
Nocy życzymy i lepszego zdrowia
Jego królewskiéj mości.

LADY MAKBET.

Bądźcie zdrowi.
(*Lordowie i słudzy wychodzą*).

MAKBET.

To o krew woła: krew, mówią, krwi żąda.
Słyszano drzewa mówiące, widziano
Podnoszące się głazy; augurowie
Tajemniczemi sposoby umieli
Za pośrednictwem wron, kruków i kawek
Odkryć przelewcę krwi.—Która godzina?

LADY MAKBET.

Noc walczy z brzaskiem dnia.

MAKBET.

Czy wiesz, że Makduf
Wzbrania się stawić na nasze wezwanie?

LADY MAKBET.

Czyliżeś, panie, posyłał do niego?

MAKBET.

Nie jeszcze: z boku tylko tak słyszałem:
Mam bowiem w domu każdego z tych tanów
Zaufanego sługę. Zaraz jutro,
Nie odkładając, pójdę do czarownic:
Muszą mi one coś więcéj powiedzieć.
Cobądź mię czeka, wolę się dowiedzieć
Prędzéj niż późniéj, abym oko w oko
Spojrzał losowi. Jużem tak głęboko
W krwi zagrzązł, że wstecz iść niepodobieństwo;
W miejscu zaś grozi mi niebezpieczeństwo:
Trzeba więc daléj brnąć. Wesprzyjcie, czary,
Czarne, drzemiące w mym mózgu zamiary!
Bo ten płód głowy dłoń musi urodzić
Wprzód, nim się wyda cel gdzie ma ugodzić.

LADY MAKBET.

Pójdź, siły twoje potrzebują wczasu.

MAKBET.

Zapewne, idźmy spocząć. Moja dusza
Ulega jeszcze trwogom nowicyusza.
Młodzi-śmy jeszcze na tém polu.

(*Wychodzą*).

SCENA PIĄTA.

(Okolica pokryta wrzosem.— Grzmot).

HEKATE *wchodzi, i spotyka trzy czarownice.*

I CZAROWNICA.

Co ci-to, co ci-to Hekate?
Zkąd to oblicze marsowate?

HEKATE.

Co mi jest? niby-to nie wiecie.
Zuchwałe baby, jak wy śmiecie
Z Makbetem w tajne szachry wchodzić,
Z zbrodni do zbrodni go przywodzić,
A mnie, mistrzynię waszę, mnie,
Krzewiącą głównie wszystko złe,

Nie wezwać nawet do udziału,
W tém dziele śmierci i zakału?
Co gorsza jednak, o niecnoty,
To to, że dotąd wasze psoty
Na korzyść tylko wyszły temu
Złoczyńcy zapamiętałemu,
Który, jak każdy taki gad,
Nie wam lecz sobie służyć rad.
Pomnijcie mi ten błąd naprawić;
Nim świt obłoki zacznie krwawić
Znajdziecie mię nad Acheronem
W miejscu na czary przeznaczonem:
On tam przybędzie dla zbadania,
Jaką mu przyszłość los zasłania.
Miejcie tam w pogotowiu sagan
I cały przyrząd doń wymagan
W podobnych razach. Ja odlatam:
Téj nocy siła złego spłatam.
Będzie to dzieło arcy-walne,
Okropne w skutkach i fatalne.
Miesiąc dziś w sutéj czapce lisiéj;
Przy jednym jego rogu wisi
Zaklęta kropla (1): tę ja w porę
Gdy spadać będzie skrzętnie zbiorę;
A gdy zostanie w filtr nasz wlaną,
Magicznie przedystylowaną,
Tak sztuczne widma z niéj powstaną,
Że ich działalność razem wzięta
Do reszty zmysły mu opęta.
Drwić będzie z losu, z śmierci szydzić,
Dolę swą niewzruszoną widzieć,
I lekceważąc wszystko w świecie
Sądzić się wiecznym: a wy wiecie,
Jak zbytnia ufność w bezpieczeństwo
Pogrąża w przepaść człowieczeństwo.

ŚPIEW *(za sceną)*.

Przybywaj tu, przybywaj tu i t. d.

Słyszycie? kania woła dżdżu.
Mój mały djablik, jak świerszcz w murze
Gwiżdże tam na mnie w mglistéj chmurze.

(Wychodzi).

I CZAROWNICA.

Śpieszmy się, pędźmy chyżym lotem,
Bo stara będzie wnet z powrotem.

(Wybiegają)

(1) Takie krople zatruwać miały roślinę na którą spadły.

SCENA SZÓSTA.

(Fores.— Pokój w zamku).

LENOX *z drugim* LORDEM *wchodzi.*

LENOX.

To, co-m ci mówił, jest tylko skazówką;
Jak chcesz ją sobie tłumacz. Krótko mówiąc,
Dziwne się rzeczy działy. Makbet ronił
Łzy nad Dunkanem, lecz Dunkan już nie żył;
Poczciwy Banko późno gdzieś wyjechał
I przepadł: powiesz, że go Fleans zabił,
Bo Fleans uciekł. Któż jeździ tak późno?
Cóżto za niecne wyrodki, ten Malkolm
I ten Donalbein, żeby tak dobrego
Ojca zabijać! Piekielne potwory!
Jakąż-to zgrozą przejęło Makbeta!
Nie utopiłże zaraz w świętym gniewie
Sztyletu w piersiach owych dwóch zbrodniarzy,
Podłych opilstwa i snu niewolników?
Nie pięknyż-to był czyn? ba, i roztropny:
Bo byto było oburzyło wszystkich,
Gdyby się byli ci hultaje śmieli
Usprawiedliwiać. Dość, że, jak powiadam,
We wszystkiém znalazł się on jak najtrafniéj,
I zdaje mi się, że gdyby miał teraz
Pod kluczem synów Dunkana, (do czego,
Da Bóg, nie przyjdzie), dowiedzieliby się,
Coto jest zgładzać ojca; toż i Fleans.
Ale dość tego! Słyszałem, że Makduf,
Z powodu kilku wyrazów niebacznych,
I nieprzybycia na ucztę tyrana,
Popadł w niełaskę. Czy ci nie wiadomo,
Gdzie on jest teraz?

LORD.

Starszy syn Dunkana,
Co go z praw rodu wyzuł przywłaszczyciel,
Żyje na dworze Anglii, tak uprzejmie
Przez pobożnego goszczony Edwarda,
Że nieżyczliwość losu i złość ludzka
W niczém czci jego nie czynią uszczerbku.
Tam to się udał Makduf, chcąc uprosić
Świątobliwego króla o wysłanie
Northumberlanda z walecznym Siwardem
Na naszę ziemię, byśmy przy pomocy
Tych wojowników (i Tego nad nami,

Który uświęca wszelkie przedsięwzięcia),
Trwale nakoniec zdołali zapewnić
Chleb naszym ustom i sen nocom naszym;
Abyśmy w czasie uczt zabezpieczeni
Od zbójczych noży, mogli niezmyślone
Hołdy oddawać i przyjmować prawe
Nagrody; czego wszystkiego dziś brakniem.
Głucha wieść o tém tak ubodła króla,
Że się wraz począł gotować do wojny.

LENOX.

Czy on posyłał do Makdufa?

LORD.

Tak jest.
Lecz poseł wrócił z lakoniczném «nie chcę»,
Mrucząc pod nosem, jakby chciał powiedzieć:
„*Będziesz żałował téj godziny, w któréj*
Taką odpowiedź włożyłes mi w usta".

LENOX.

To mu powinno wskazać, jak dalece
Ma być ostrożnym. Oby jaki anioł
Uprzedził jego przybycie do Anglii,
I naprzód odkrył cel onego! Aby
Błogosławieństwo prędzej mogło wrócić
Temu krajowi, gniecionemu jarzmem
Przeklętéj ręki.

LORD.

Dałyby to nieba!
(Wychodzą).

AKT IV.

SCENA PIERWSZA.

(Ciemna jaskinia. W pośrodku wrzący kocieł. Błyskawice i grzmoty).

Trzy czarownice przy kotle.

1 CZAROWNICA.

Trzykroć miauknął bury kot.

2 CZAROWNICA.

Tak, i trzykroć puszczyk wrzasł.

3 CZAROWNICA.

Lelek jęczy: czas już, czas.

1 CZAROWNICA.

Daléj, daléj, siostry wiedźmy;
Czarodziejski krąg zawiedźmy
Wkoło kotła; wrzućmy doń
Zbójczych jadów pełną dłoń.
Ropuszysko, siostro płazu,
Coś pod zimną bryłą głazu
Przez trzydzieści dni i nocy
W odrętwiałéj śpiąc niemocy,
Skisło, zgniło w własnéj ropie,
Ciebie najprzód w kotle topię.

WSZYSTKIE TRZY
(*tańcząc wkoło kotła*).

Daléj! żwawo! hassa! hej!
Buchaj ogniu! kotle wrzéj!

2 CZAROWNICA.

Bagnistego węża szczęka
Niech w ukropie tym rozmięka;
Żabie oko, łapki jeża,
Psi pysk i puch niedoperza,
Żądło żmii, łeb jaszczurzy,
Sowi lot i ogon szczurzy:
Niech to wszystko się na kupie
Warzy w téj piekielnéj zupie!

WSZYSTKIE TRZY
(*jak wyżéj*).

Daléj! żwawo! hassa! hej!
Buchaj ogniu! kotle wrzéj!

3 CZAROWNICA.

Jeszcze ingredyencyi kilka:
Łuska smocza i ząb wilka,
Z mumii sok, kiszka i ślina
Zbójcy morskiego rekina;
Korzeń lulka i cykuty
Z łona ziemi w noc wypruty;
Język bluźniącego żyda;
Koźla żółć i ta się przyda:
A do tego Turka nos
I z Tatara brody włos;
Dwa paluszki małych dziatek
Zaduszonych; naostatek,

Dla nadania konsystencyi
Téj przeklętéj kwintessencyi,
Tygrysicy zcuchłe trzewo.

WSZYSTKIE TRZY
(jak wyżéj).

Daléj! żwawo! w prawo! w lewo!
W lewo! w prawo! hassa! hej!
Buchaj ogniu! kotle wrzéj!

2 CZAROWNICA.

By zaś zakląć wszelkie duchy,
Wlejcie jeszcze małpiéj juchy.
(Hekate wchodzi).

HEKATE.

Dobrzeście mi się popisały;
Trud wasz i pośpiech wart pochwały.
Terazże daléj wszystkie społem
Opaszcie sagan skocznem kolem
I ponad parą jego warów
Spiewając, dokonajcie czarów.
(Wychodzi).

(Muzyka).

ŚPIEW.

Duchy czarne, białe,
Bure i szare;
Zstąpcie, zstąpcie, zstąpcie
W tę tu pieczarę.

2 CZAROWNICA.

Palec mię świerzbi, to dowodzi,
Że jakiś potwór tu nadchodzi:
Odsłońcie otwór, niech wnijdzie potwór.
(Makbet wchodzi).

MAKBET.

Nuże pokątne, stare prorokinie
Co tam stwarzacie?

WSZYSTKIE TRZY
(razem).

Bezimienne dzieło.

MAKBET.

W imię tych potęg, którym hołdujecie,
Jakiebądź one są i zkądbądź może
Pochodzić wasza tajemnicza wiedza,
Odpowiadajcie mi, zaklinam was!

Choćbyście miały rozpętać orkany
I zwrócić wściekłość rozhukanych wichrów
Przeciw kościołom; choćby wzdęte wały
Roztrzaskać miały i pochłonąć w sobie
Wszelką żeglowną łódź; choćbyście miały
Zmiąć bujne zboża, drzewa wykorzenić,
Zamki powalić na głowy obrońców;
Choćby pałace, piramidy miały
Pochylić czoła aż do fundamentów;
Chociażby wszystkie skarby przyrodzenia
W zarodach swoich miały zmarnieć, ażby
Samo zniszczenie osłabło z znużenia:
Odpowiedźcie mi, odpowiedźcie na to,
O co was pytam.

1 CZAROWNICA.

Mów.

2 CZAROWNICA.

Pytaj.

3 CZAROWNICA.

Słuchamy.

1 CZAROWNICA.

Powiedz nam pierwéj czyli wolisz z naszych
Ust to usłyszeć, czy z ust naszych władzców?

MAKBET.

Dobrze, wezwijcie ich, niech ich zobaczę.

1 CZAROWNICA.

Krwi maciory, która zjadła
Swój płód własny, trochę sadła
Pociekłego z szubienicy,
Gdzie wisieli rozbójnicy,
Wrzućcie w kocieł.

WSZYSTKIE *(razem)*.

Wielcy, mali,
Wzywamy was zblizka, z dali,
Abyście się ukazali.
(Grzmot. Ukazuje się głowa w hełmie (1).

(1) *Steevens* tłumaczy to zjawisko i dalsze dwa jak następuje: *Głowa w hełmie* oznaczać ma własną głowę Makbeta, którą mu Makduf później uciął; *Skrwawione dziecko*— Makdufa, który, jak się później dowiadujemy, przedwcześnie z łona matki był wyjęty; wreszcie *Dziecko w koronie z gałęzią w ręku*—Malkolma, którego wojska z gałęziami w ręku pod Dunzynan przyjść mają.

Delius powątpiewa, czy rzeczywiście poeta miał to na myśli.

MAKBET.

Powiedz, nieznana potęgo.

1 CZAROWNICA.

On wié, co kryje twoja głowa,
Słuchaj nie mówiąc ani słowa.

ZJAWISKO.

Makbecie! Makbet! Lękaj się Makdufa!
Lękaj się tana Fajf: przyjm tę przestrogę.
Jeśli jéj twoja dusza nie zaufa:
Zginiesz. Dość. Więcéj powiedzieć nie mogę.

(Znika).

MAKBET.

Ktokolwiek jesteś, dzięki ci; trafiłeś
W sam rdzeń obawy mojéj: jeszcze słowo:—

1 CZAROWNICA.

On nie zna co to rozkaz. Oto drugi,
Jeszcze silniejszy.

(Grzmot. Ukazuje się zakrwawione dziecko).

ZJAWISKO.

Makbet! Makbet!

MAKBET.

Choćbym
Miał troje uszu, słuchałbym cię każdém.

ZJAWISKO.

Makbet, bądź mężny, nieugięty, srogi,
Gardź siłą ludzką i skrytemi wrogi;
Z tych bowiem, których rodziła kobieta,
Nikt potężnego nie zmoże Makbeta.

(Znika).

MAKBET.

Żyj więc Makdufie, nie strasznyś mi teraz.
Wolę się jednak podwójnie zapewnić,
I wziąć od losu zakład: musisz umrzeć,
Bym mógł fałsz zadać trwodze i spokojnie
Spać przy łoskocie gromów.

(Grzmot. Ukazuje się dziecko w koronie z gałęzią w ręku).

Cóżto teraz
Zjawia się, niby królewski potomek,
Z koronowaném czołem.

WSZYSTKIE TRZY.

Milcz i słuchaj.

ZJAWISKO.

Bądź jak lew śmiały, dumny, przedsiębierczy;
Nie tknie Makbeta żaden cios morderczy,
Póki las Birnam ku Dunzynańskiemu
Wzgórzu nie pójdzie walczyć przeciw niemu.
(Znika).

MAKBET.

Do tego nigdy nie przyjdzie. Któż zdoła
Las wzruszyć z posad, kazać jego drzewom
Dobyć korzenie z głębokości gruntu?
Święć się przyjazna wróżbo! Hydro buntu,
Nie podnoś głowy wprzód, aż się podniesie
Las Birnam. Wielki, jak drzewa w tym lesie,
Żyć będzie Makbet, nie dbając o burze,
Podległy tylko śmiertelnéj naturze
I prawom czasu. Lecz jednę rzecz jeszcze
Trzeba mi wiedzieć. O wy twory wieszcze,
Jeśli przed wami przeznaczenie chyli
Wszelką zasłonę, powiedzcie mi, czyli
Potomstwo Banka będzie kiedykolwiek
Rządzić tym krajem?

WSZYSTKIE *(razem).*

O to nas nie pytaj.

MAKBET.

Muszę w tym względzie być zaspokojony:
Jeśli mi tego odmówicie, niechaj
Wieczne przekleństwo na was spada! Mówcie.
(Ogłos obojów. Kocieł znika).
Czemu znikł kocieł i co to za odgłos?

1 CZAROWNICA.

Ukażcie się!

2 CZAROWNICA.

Ukażcie się!

3 CZAROWNICA.

Ukażcie się!

WSZYSTKIE TRZY.

Pokażcie mu to czego chce.
Jak lekki dym, lub lotny gaz,
Ukażcie się i zginńcie wraz.

(Ukazuje się ośmiu królów i przechodzi przez scenę jeden za drugim; za ostatnim, trzymającym zwierciadło w ręku, postępuje Banko).

MAKBET.

Ty-ś żywy obraz Banka: precz! przepadnij!
Korona twoja pali mi źrenice.
A ty, ty druga maro w złotym wieńcu,
Twój włos jest taki sam jak u piérwszego.
I trzeci jeszcze, podobny do tamtych!
Złośliwe wiedmy, po co mi ten obraz
Ukazujecie? Ha! otóż i czwarty!
I piąty! Czyliż ten pochód trwać będzie
Do końca świata? Jeszcze jeden! Siódmy!
Tego już nadto! Ale oto jeszcze
Osmy z kolei zbliża się z zwierciadłem,
W którém spostrzegam długi szereg takich
Samych postaci, a niektóre mają
Podwójny dyadem i potrójne berło.
Okropny, stokroć przeklęty widoku!
Maż to być prawdą? Krwią zbroczony Banko
Śmieje się ze mnie i wskazuje na tych
Co po nim idą, jakby chciał powiedzieć:
To moi. Wszakże tak?

I CZAROWNICA

Tak, panie: tento znak.
Lecz czemuż się Makbeta dusza
Tak bardzo na ten widok wzrusza?
Orzeźwmy, siostry, jego męztwo:
Niech szczytu dojdzie czarnoksięztwo!
Ja zbudzę dźwięk, a wy bez zwłoki
W korowód rozpocznijcie skoki;
By się w nim nowy zapał wzmógł,
I wielki król powiedzieć mógł,
Że starożytne wiły (1)
Godnie go ugościły.

(*Muzyka. Czarownice tańczą, a następnie znikają*).

MAKBET.

Gdzież one? Wyszły? Niechaj ta godzina,
Jako przeklęta, zapisaną będzie
Na wieczne czasy w kalendarzu! Hola,
Wnijdź, kto tam jesteś.

LENOX (*wchodzi*).

Co rozkażesz, panie?

MAKBET.

Widziałeś tam te wiedmy?

(1) Wiła, Wyla, Wyle *Hecate*: wieszczka. Vileniscuo *necromantia, ars magica*. (Linde).

LENOX.

Nie widziałem.

MAKBET.

Nie przechodziłyż tamtędy?

LENOX.

Nie, panie.

MAKBET.

Zapowietrzona niech będzie ich droga,
I potępiony, kto im daje wiarę!
Słyszałem tętent koni: ktoś przejeżdżał?

LENOX.

To dwóch rycerzy, panie, którzy Waszéj
Królewskiéj Mości przywieźli wiadomość,
Że Makduf zbiegł do Anglii.

MAKBET.

Zbiegł do Anglii?

LENOX.

Tak, panie.

MAKBET.

Czasie, ty uprzedzasz straszne
Moje ocknienie. Zamiary są wiatrem,
Kiedy nie idą z wykonaniem w parze.
Od dziś dnia, każdy płód mojego mózgu
Będzie bliźnięcym bratem mojéj ręki.
I przedsięwzięcie to ziszczę natychmiast:
Napadnę zamek Makdufa, zdobędę
Cały Faif, oddam na pastwę żelazu
Jego niewiastę, jego dzieci, wszystko,
Co ma z krwią jego jakikolwiek związek.
Dość tych przechwałek! Niech skutek dowodnie
Odpowié słowom nim zamiar ochłodnie.
Tylko już pokój czarom! Gdzie ci gońcy?
Prowadź mię do nich. (*Wychodzą*).

SCENA DRUGA.

(*Faif. Komnata w zamku Makdufa*).

LADY MAKDUF, *jéj mały synek*, ROSSE.

LADY MAKDUF.

Cóż on uczynił, żeby być zmuszonym
Uciekać z kraju? Co uczynił?

ROSSE.

Chciéj zważyć, pani....

LADY MAKDUF.

On na nic nie zważał;
Jego ucieczka jest szaleństwem. Bojaźń
Tak dobrze czyni zdrajcą jak i zdrada.

ROSSE.

Nie wiesz, o pani, czy to krok obawy,
Czy roztropności.

LADY MAKDUF.

Roztropności? Żonę,
Dzieci porzucać, dom i dostojeństwa:
Wszystko, co ludzi przykuwa do miejsca?
On nas nie kocha, w nim nie ma czułości.
Najlichszy ptaszek, drobny mysikrólik
Nie walczyż z sową broniąc piskląt w gnieździe?
Bojaźń u niego wszystkiém, niczém miłość.
Jeśli się może roztropnością nazwać
Takie zbiegostwo, zdobędzie się na nią
Lada nikczemnik.

ROSSE.

Uspokój się, pani,
I nie uwłaczaj małżonkowi. Jest on
Szlachetny, mądry, bardziéj niż ktokolwiek
Świadomy praktyk dzisiejszéj epoki.
Nie mogę nad tém dłużéj się rozwodzić.
Ciężkieto czasy, w których człek jest zdrajcą,
Nie wiedząc o tém; słyszy wieści o czémś,
Czego się lęka, czego się zaś lęka,
Nie wie sam, krążąc na oślep po dzikiém,
Wzburzoném morzu. Zostawiam cię, pani;
Wkrótce tu będę znowu: mam nadzieję.
Gdzie nadmiar złego, tam złe musi ustać,
Albo powrócić do dawnego stanu.
Bądź zdrów, mój mały przyjacielu; niech cię
Bóg ma w opiece!

LADY MAKDUF.

Ma ojca, niebożę,
A jest sierotą.

ROSSE.

Dłuższy mój tu pobyt
Narazilby mnie na niebezpieczeństwo,

A ciebie, pani, na przykrość; dlatego
Wybacz, że śpiesznie się oddalam.

(*Wychodzi*).

LADY MAKDUF.

Chłopcze,
Twój ojciec umarł. Cóż poczniesz bez ojca?
Jakieżto teraz będzie życie twoje?

SYNEK.

Takie jak ptaszka, matko.

LADY MAKDUF.

Żyć więc będziesz
Muchami tylko, robaczkami?

SYNEK.

Wszystkiém,
Co mi się uda złowić: tak jak ptaszek.

LADY MAKDUF.

Biédny mój ptaszku, nie lękasz się sideł,
Ani potrzasków, ani lepu?

SYNEK.

Czegóż
Miałbym się lękać, matko? Biédnym ptaszkom
Nie czynią przecię nic złego. A potém
Ojciec nie umarł, choć tak mówisz.

LADY MAKDUF.

Umarł;
Umarł doprawdy. Zkąd weźmiesz, niebożę,
Drugiego ojca?

SYNEK.

A zkąd ty, mateczko,
Weźmiesz drugiego męża?

LADY MAKDUF.

Pięćdziesięciu
Kupićbym mogła na piérwszym jarmarku.

SYNEK.

Aby ich potém odprzedać, nieprawdaż?

LADY MAKDUF.

Masz dowcip, lubo ten twój dowcip nie jest
Jeszcze nad lata.

SYNEK.

Mateczko, czy ojciec
Był zdrajcą?

LADY MAKDUF.

Był nim.

SYNEK.

A co to jest zdrajca?

LADY MAKDUF.

Ten, co przysięga i kłamie.

SYNEK.

Czy wszyscy
Którzy to czynią są zdrajcami?

LADY MAKDUF.

Każdy
Który to czyni jest zdrajcą i wisieć
Za to powinien.

SYNEK.

Czyliż wszyscy tacy
Powinni wisieć.

LADY MAKDUF.

Wszyscy.

SYNEK.

Któż ich wiesza?

LADY MAKDUF.

Ma się rozumieć, że poczciwi ludzie.

SYNEK.

Takim sposobem przysięzcy i kłamcy
Są bardzo głupi: jest ich bowiem tylu,
Żeby poczciwych ludzi mogli pobić
I powywieszać.

LADY MAKDUF.

Pomagaj ci Boże,
Biédny błazenku! Lecz zkąd weźmiesz ojca?

SYNEK.

Gdybym go nie miał, płakałabyś po nim,
Matko; a gdybyś po nim nie płakała,
Byłby to dowód, że wkrótce mieć będę
Nowego.

LADY MAKDUF.

Biédna ty paplo, co bajesz!
(Nieznajomy wchodzi).

NIEZNAJOMY.

Bądź pozdrowioną, piękna pani! Jestem
Obcym dla ciebie, ale twoja zacność
Jest mi dokładnie znaną. Chroń się, uchodź;
Niebezpieczeństwo wisi tuż nad tobą.
Nie gardź przestrogą prostego człowieka:
Weź dzieci, opuść natychmiast te miejsca.
Jest to zaiste okrucieństwem, tak cię
Przerażać, pani; coś gorszego nad to
Chcieć ci wyrządzić, byłoby srogością
Potworną, która jest jednak zbyt blizką
Twojéj osoby. Niech cię chronią nieba!
Nie mogę bawić dłużéj.
(Wychodzi).

LADY MAKDUF.

Gdzież mam uciec?
Cóżem zrobiła złego? Ale prawda,
Żyję na świecie, na którym złe często
Bywa chwalebném, a dobre jest miane
Za zgubne głupstwo. Biada mi! Czyż zdołam
Znaleźć obronę w tych jedynie słowach:
Jestem niewinną?
(Mordercy wchodzą).
Ha! cóżto za twarze?

1 MORDERCA.

Gdzie mąż waćpani?

LADY MAKDUF.

Mój mąż? Pewnie w żadném
Tak niecném miejscu, gdzieby go mógł znaleźć
Podobny tobie.

1 MORDERCA.

On jest zdrajcą.

SYNEK.

Kłamiesz,
Kudłaty łotrze.

1 MORDERCA.

A ty jaje! *(Przebija go)* Mała,
Krnąbrna gadzino, leż!

SYNEK.

Zabił mnie! Matko!
Uciekaj! błagam cię!
(*Umiera. Lady Makduf ścigana przez morderców ucieka wołając:* „*Ratunku!*")

SCENA TRZECIA.

(*W Anglii. Pokój w pałacu królewskim*).

MALKOLM i MAKDUF.

MALKOLM.

Idźmy poszukać ustronnego cienia,
I tam spokojnie spłakać naszą boleść.

MAKDUF.

Idźmy wznieść raczéj miecz nieubłagany,
I jak przystoi prawym mężom walczyć
Za poniżone nasze gniazdo. Z każdym
Nowym porankiem nowe wdów jęczenia,
Nowy płacz sierot, nowe skargi głośno
Biją w niebiosa, tak, że te wydają
Żałobny odgłos, jak gdyby toż samo
Czuły co Szkocya i tak samo pomsty
Wzywały.

MALKOLM.

Cierpię nad tém, czemu wierzę,
A wierzę temu co wiem; co zaś mogę
Uczynić w takim razie, to uczynię,
Gdy w sposobności znajdę sprzymierzeńca.
To co-ś powiedział, mogłoby być prawdą.
Ten krwawy tyran, na którego wzmiankę
Język drętwieje, uchodził był dawniéj
Za cnotliwego; sprzyjałeś mu waćpan,
On cię też jeszcze nie skrzywdził. Ja-m młody;
Mógłbyś go sobie zjednać moim kosztem.
Roztropność nawet radziłaby biédne,
Bezsilne jagnię oddać na ofiarę
Gniewnemu bóstwu.

MAKDUF.

Ja-m nie zdrajca.

MALKOLM.

Ale
Makbet jest takim: a przeważny nakaz

Panującego najpoczciwszych może
Sprowadzić z prawéj drogi. Wybacz jednak;
Czém jesteś, jesteś: gruntu duszy twojéj
Niedowierzanie moje nie przemieni:
Wszak aniołowie jaśnieć nie przestają,
Choć naijaśniejszy z nich upadł. Chociażby
Wszystek kał świata przywdział maskę cnoty,
Przecieżby cnota musiała się w takiém
Świetle przedstawiać.

MAKDUF.

Straciłem nadzieję.

MALKOLM.

Podobno właśnie tam, gdzie ja powziąłem
Powątpiewanie. Odbiegłeś tak nagle
Żonę i dzieci, (te najdroższe węzły,
Te najsilniejsze ogniwa miłości),
Nie pożegnawszy ich nawet. O! wybacz!
Niechaj ta moja nieufność nie będzie
W twych oczach ujmą twojéj poczciwości,
Ale rękojmią mego bezpieczeństwa:
Co bądź ja myślę, serce twoje może
Być czystém.

MAKDUF.

Brocz się, brocz, biédny nasz kraju!
Gruntuj spokojnie fundamenta bezpraw
Tyranio, cnota nie wstrząśnie już tobą!
Puść wodze gwałtom! Prawomocność twoja
Zyskała sankcyą! Żegnam cię, o! panie.
Nie byłbym takim nędznikiem, jak sądzisz,
Za wszystką przestrzeń, którą tyran dzierży,
Za wszystkie skarby Wschodu.

MALKOLM.

Nie miéj do mnie
Żalu, Makdufie! W tém, co powiedziałem,
Obawa ciebie mały miała udział.
Wierzę, iż kraj nasz upada pod jarzmem,
Że jęczy, we krwi się pławi; że z każdym
Nowym dniem nowa przybywa mu rana.
Nie wątpię także, że liczne-by dłonie
Wzniosły się za mnie. Już wspaniała Anglia
Ofiarowała mi do rozrządzenia
Kilka tysięcy mężnych. Ale cóż ztąd?
Chociażbym zdeptał kark przywłaszczyciela

I głowę jego na mym mieczu zatknął,
Nieszczęsna nasza Szkocya niby na tém
Nie skorzystała; cierpiałaby owszem
Nierównie bardziéj i dotkliwiéj pod tym,
Co-by nastąpił.

MAKDUF.

Któżby to był taki?

MALKOLM.

Przypuszczam, że to ja: owóż, w mém sercu
Zarody niecnót tak są zagęszczone,
Że gdyby wzięły wzrost, sam czarny Makbet
Jak śnieg wydałby się białym, i biedny
Kraj-by w nim widział jagnię w porównaniu
Z bezmiarem moich nieprawości.

MAKDUF.

Niéma
W zastępach piekieł, szatana zdolnego,
Przewyższyć w złości Makbeta.

MALKOLM.

To prawda,
Że on jest krwawy, gwałtowny, złośliwy,
Fałszywy, chytry,drapieżny, wszeteczny,
Pełen wszelkiego rodzaju ohydy,
Noszącéj znaną nazwę; ale moja
Rozpusta niéma granic. Wasze żony,
Córy, dziewice, ba nawet matrony,
Nie napełniłyby studni żądz moich.
Chuci me wszelką zerwałyby tamę
Stawioną mojéj woli. Lepszy Makbet,
Niż taki władca.

MAKDUF.

Niepohamowana
Krewkość jest wprawdzie w dziedzinie natury
Także tyranią; nie jeden już piękny
Tron opróżniła i stała się zgubą
Wielu monarchów. Téj jednak słabości
Nie bój się panie: będziesz mógł w téj mierze
Popędom swoim szeroko dogadzać,
Zimnym na zewnątrz się wydając; szaleć,
Na oczy świata wkładając przepaskę.
Chętnych białogłów mamy dość. Nie mogę

Uwierzyć, panie, abyś w sobie żywił
Takiego sępa, któryby był zdolny
Tyle ich schłonąć, ile się ich zwykło
Nastręczać władzy, kiedy ją do tego
Znajdują skłonną.

MALKOLM.

Oprócz tego leży
W usposobieniu mojém taka niczém
Nienasycona chciwość, że zostawszy
Królem, gnębiłbym, mordowałbym szlachtę,
Dla zagarnienia jéj dóbr; pożądałbym
Tego klejnotów, a zamków tamtego;
Wzrost mienia byłby dla mego łakomstwa,
Jak sos korzenny, co wzmaga apetyt:
Knułbym intrygi, zasiewałbym waśnie,
Niesprawiedliwe wytaczałbym spory
Wiernym poddanym, rujnując ich gwoli
Zyskania wziątku.

MAKDUF.

Ta wada tkwi głębiéj,
Szkodliwsze puszcza korzenie, niż jare
Ziarno rozpusty: onato bywała
Mieczem, co naszych królów dni przecinał.
Nie bój się jednak, panie: nasza Szkocya
Dość jest zamożną, potrafi wystarczyć
Twym wymaganiom. Jeszcze to jest znośném,
Gdy inne cnoty przeciwważą.

MALKOLM.

Ale
Ja nie mam żadnéj: sprawiedliwość, prawość,
Umiarkowanie, łaskawość, wspaniałość,
Stałość, uprzejmość, pobożność, cierpliwość,
Męztwo, energia, te wszystkie przymioty
Właściwe królom, są mi całkiem obce,
Niéma ich we mnie i cienia: natomiast
Bogaty jestem w wszelki rodzaj przywar,
W rozliczny sposób zdolnych się objawić.
Gdybym miał władzę, słodkie mleko zgody
W pieklobym wylał, zakłóciłbym pokój
Powszechny; zniósłbym, rozerwałbym wszelką
Jedność na ziemi.

MAKDUF.

Szkocyo! Szkocyo!

MALKOLM.

Czyliż
Ktoś taki byłby panowania godnym?
Sam powiedz.

MAKDUF.

Godnym panowania? Nawet
Życia niegodnym.—Nieszczęsny narodzie,
Pod krwawém berłem niecnego przybysza
Jęczący, kiedyż ci wrócą dni błogie,
Skoro najbliższy, prawy spadkobierca
Twojego tronu, zostaje pod klątwą
Własnych zarzutów i własnéj krwi bluźni?
Nieboszczyk rodzic twój, książę, był królem
Ze wszech miar świętym; królowa, dawczyni
Twego żywota, pędziła dni raczéj
Na klęczkach niż na nogach, umierając
Z każdą godziną życia. Bądź mi zdrowym!
Takie to właśnie niecnoty, o które
Siebie oskarżasz, wygnały mnie z Szkocyi.
Nadzieje moje, żegnam was!

MALKOLM.

Makdufie,
Ten żal szlachetny, ten poczciwy zapał,
Nadobne dziecko nieskazitelności,
Rozprasza w mojéj duszy czarne cienie
Powątpiewania i myśl moję godzi
Z twoim honorem i wiarą. Ten chytry
Piekielnik Makbet nieraz usiłował
Taką przynętą wciągnąć mnie w moc swoję.
Skromnéj jedynie rozwadze winienem,
Żem łatwowiernie tym próbom nie uległ.
Niech Ten, co rządzi tam na Wysokości,
Roztrzyga teraz między mną i tobą,
Bo od téj pory powierzam łódź moję
Twemu sterowi; cofam to, com zeznał,
I wyprzysięgam się wszelkich plam, wszelkich
Grzechów, któremi obarczyłem siebie,
Bom w gruncie od nich wolny. Nigdym jeszcze
Nie tknął kobiety, nigdym nie pożądał
Cudzego mienia, rzadkom nawet sięgnął
Po własne; nigdy nie złamałem słowa;
Nie byłbym zdolny zdradzić nawet djabła
Przed djabłem; prawdę miłuję, jak życie;
Pierwszém mém kłamstwem było to świadectwo
Przeciwko sobie. Czém jestem, to święcę

Tobie i naszéj nieszczęśliwéj ziemi,
Ku któréj jeszcze przed twojém przybyciem,
Sędziwy Siward z dziesiątkiem tysięcy
Anglików, już był gotowy wyruszyć:
Razem pójdziemy teraz. Oby szczęście
Było podobne naszéj sprawie!—Milczysz?

MAKDUF.

Tyle bolesnych i radosnych wrażeń
Trudno pogodzić.

(*Lekarz przechodzi*).

MALKOLM.

Jeszcze o tém z sobą
Pomówim.—Mości doktorze, czy prędko
Król wyjdzie?

LEKARZ.

Wkrótce, panie; tłum biédaków
Czeka na niego; niemoc ich uparta
Żartuje z wszelkich usiłowań sztuki.
Lecz gdy on do nich przystąpi i swoją
Błogosławioną ręką ich się dotknie,
Wnet ozdrowieją.

MALKOLM.

Dziękuję, dokorze.
(*Lekarz wychodzi*).

MAKDUF.

O jakiéjże to on chorobie prawił?

MALKOLM.

Sąto tak zwane skrofuły (*). Od czasu
Mego pobytu w Anglii, jużem nieraz
Był świadkiem takiéj cudownéj kuracyi
Króla Edwarda. Jakim on sposobem
Wyprasza sobie to u nieba, jemu
Tylko wiadomo; lecz pewna, że ludzie
Srodze dotknięci tą plagą, opuchli,
Aż smutno patrzéć, odzyskują zdrowie,
Gdy im na szyi jakiś złoty medal
Zawiesi, cichą zmawiając modlitwę.

(*) Historyczne. *Holinshed* wspomina, iż król Edward Wyznawca posiadał sekret leczenia tego rodzaju chorób, które jak się zdaje, z tego powodu nazwano *the king's evil*, i sekret ten jako drogą część spuścizny zostawił swym następcom.

Mówią, że święty ten sekret zamierza
Przekazać swoim następcom. Prócz tego,
Ma on proroczy dar przepowiadania,
I wiele innych zbawczych wpływów zlewa
Na lud, który go mieni łaski pełnym.
(*Rosse wchodzi*).

MAKDUF.

Patrz, panie, kto się to zbliża.

MALKOLM.

Ktoś z naszych,
Ale go jeszcze nie poznaję.

MAKDUF.

Stale
Miły nam bracie, bądź nam na tém miejscu
Z serca pozdrowion.

MALKOLM.

Poznaję go teraz.
Oddalcie nieba to, coby nas mogło
Czynić obcymi sobie!

ROSSE.

Amen, panie,

MAKDUF.

Jeszczeż tak samo w Szkocyi?

ROSSE.

Biédna ziemia!
Nieledwie sama sobie jest postrachem.
Nie matką nam ją zwać, grobowcem raczéj,
Gdzie uśmiech tylko tym ożywia usta,
Co nic nie widzą; gdzie westchnienia, jęki,
Krzyki i łkania w krąg sieką powietrze
I przebrzmiewają bez słychu; gdzie rozpacz
Gminnym wydaje się szałem; gdzie, kiedy
Dzwon pogrzebowy zawyje żałośnie,
Nikt się nie spyta nawet, komu dzwonią;
Gdzie sprawiedliwy obumiera prędzéj
Niż kwiat zdobiący mu czapkę, i kona,
Nie pospieszywszy zachorować.

MAKDUF.

Straszny,
A jednak pełen prawdy wizerunek!

MALKOLM.

Jakież najnowsze nieszczęście?

ROSSE.

Najnowsze?
Kto mówi, co się przed godziną stało,
Ten prawi stare rzeczy: każda chwila
Wylega nową biédę, nową zgrozę.

MAKDUF.

Jak się ma moja żona? Powiedz.

ROSSE.

Dobrze.

MAKDUF.

I wszystkie moje dzieci?

ROSSE.

Także dobrze.

MAKDUF.

Nie targnął się więc tyran na spokojność
Mojéj rodziny?

ROSSE.

Nie; spokojną była,
Gdym ją opuszczał.

MAKDUF.

Nie skąp słów; mów wszystko.

ROSSE.

Kiedy-m tu zdążał z wieścią, któréj ciężar
Tłoczył mi serce, chodziła pogłoska,
Że wielu naszych szlachetnych rodaków
Kraj opuściło: co mi stwierdził widok
Wojowniczego ruchu wojsk tyrana.
Teraz lub nigdy czas spieszyć z pomocą.
Ukazanie się twoje, panie, w Szkocyi,
W lotby stworzyło mnogie hufce, słabym
Kobietom nawet podałoby oręż
Do walki, koniec mającéj położyć
Dotychczasowéj ich niedoli.

MALKOLM.

Niech ich
Krzepi tymczasem to, że tam idziemy.
Wspaniała Anglia użycza nam dziesięć
Tysięcy ludzi pod wodzą Siwarda.

Najdzielniejszego, najdoświadczeńszego
Żołnierza w całém chrześciaństwie.

ROSSE.

Obym
Za tę pociechę mógł się wywzajemnić
Czémsi podobném! Ale moje usta
Więżą, niestety, w sobie takie słowa,
Któreby trzeba w pustyni wyzionąć,
Aby ich ludzki słuch nie przejął.

MAKDUF.

Kogoż
One dotyczą? ogółu, czy jakiéj
Prywatnéj sprawy?

ROSSE.

Wszelki duch niosący
Cześć cnocie, bierze udział w téj boleści,
Ale jéj główna część przypada tobie.

MAKDUF.

Jeśli mnie, to mi ją oddaj bez zwłoki.

ROSSE.

Niech ucho twoje nie przeklnie na zawsze
Mego języka, który w nie ma wrazić
Najprzeraźliwszy dźwięk ze wszystkich, jakie
Dotąd słyszało.

MAKDUF.

Ha! zgaduję.

ROSSE.

Zamek
Twój leży w gruzach, żona twoja, dzieci
Zamordowane. Chcieć ci opisywać
Jak się to stało, byłoby to chcieć ci
Również śmierć zadać.

MALKOLM.

Litościwe nieba!
Nieszczęsny! nie chyl przyłbicy na czoło;
Daj głos boleści! ona milcząc wzdyma
Zaparte serce i pęknąć mu każe.

MAKDUF.

I moje dzieci?!

ROSSE.

Żona, dzieci, słudzy,
Wszystko co było.

MAKDUF.

I jam tam być nie mógł!
I żona moja także?

ROSSE.

Powiedziałem.

MALKOLM.

Pociesz się! Niechaj sroga nasza zemsta
Będzie lekarstwem na ten cios śmiertelny!

MAKDUF.

On nie ma dzieci. Moje pachołęta!
Wszystkie, powiadasz? O piekielny sępie!
Wszystkie pieszczoty moje razem z matką,
Za jednym krwawym zamachem!

MALKOLM.

Znieś to nieszczęście jak mąż.

MAKDUF.

Tak uczynię;
Lecz muszęć także uczuć je jak mąż.
Nie mogę o tém pomyśleć, że miałem
Coś tak drogiego i już nie mam. Jakto?
Nieba patrzały na to i ścierpiały
Taką okropność! Występny Makdufie,
Tyśto je zabił. Nie skutkiemto własnej,
Lecz twojéj winy śmierć poniosły. Daj im
Wieczny mir, Panie!

MALKOLM.

Nie miękcz w sobie serca!
Niechaj ta żałość będzie raczéj żagwią
Twojéj dzielności, szlifierskim kamieniem
Twojego miecza.

MAKDUF.

O, mógłbym jak dziecko
Płakać i usty miotać się jak junak;
Ale przetnijcie, dobre nieba, wszelką
Dłuższą odwłokę! Stawcie mię naprzeciw
Tego szatana Szkocyi oko w oko;
Tylko na długość miecza mi go dajcie:
Jeżeli zdoła ujść, niechże mu wtedy
Pan Bóg przebaczy.

MALKOLM.

Ten ton brzmi po męzku.
Idźmy do króla. Gdy go pożegnamy,
Nic nas wstrzymywać już nie będzie. Owoc
Zbrodni Makbeta w sam raz już dojrzały
Do otrząśnienia i przedwieczny sędzia
Posyła swoje ku temu narzędzia.
Miejmy otuchę! Ta tylko noc nęka,
Po której nigdy nie ma wznijść jutrzenka.

(*Wychodzą*).

AKT V.

SCENA PIERWSZA.

(*Dunzynan. Komnata w zamku*).

Lekarz i jedna z dam pałacowych.

LEKARZ.

Jużem z panią czuwał przez dwie nocy i przekonać się o prawdzie jéj twierdzenia nie mogę. Dawnoż się to zdarzyło poraz ostatni?

DAMA.

Zaraz po wyjściu Jego Królewskiéj Mości w pole. Widziałam na własne oczy jak wstała z łóżka, zarzuciła na siebie nocny ubior, weszła do gabinetu, wyjęła papier, złożyła go, napisała coś na wierzchu, przeczytała potém i zapieczętowawszy, położyła się znowu: wszystko to we śnie jak najgłębszym.

LEKARZ.

Dziwne zboczenie natury! Zostawać pod dobroczynnym wpływem snu i pełnić zarazem funkcye czuwającego. Ale pominąwszy jéj przechadzkę i inne czynne manifestacye, nie słyszałażeś, pani, aby w tym sennym stanie co mówiła?

DAMA.

I owszem, takie rzeczy, których za nic nie powtórzę.

LEKARZ.

Mnie możesz, pani; potrzeba nawet abyś to uczyniła.

DAMA.

Nie powtórzę nikomu w świecie; nie mam bowiem świadka, któryby to potwierdził.

(Lady Makbet wchodzi ze świecą w ręku).

Patrz pan, oto idzie! Tym samym trybem jak zawsze i najzupełniéj uśpiona. Uważaj tylko, doktorze. Stój cicho.

LEKARZ.

Zkąd ona wzięła tę świécę?

DAMA.

Stała przy jéj łóżku: ciągle musi mieć światło przy sobie.

LEKARZ.

Widzisz pani, oczy ma otwarte.

DAMA.

Tak, ale ma zawartą ich władzę.

LEKARZ.

Cóżto ona robi? Patrz pani, jak sobie ręce obciéra.

DAMA.

To jéj ruch zwyczajny; zdaje się jéj że tym sposobem umywa sobie ręce: widziałem ją to robiącą, bywało, przez cały kwandrans.

LADY MAKBET.

Jeszcze jedna plama.

LEKARZ.

Cicho: zaczyna mówić; muszę sobie zapisać wszystko co usłyszę, abym mógł lepiéj spamiętać.

LADY MAKBET.

Precz, przeklęta plamo! precz, mówię! Raz, dwa czas działać.—Piekło ciemne.—Wstydź się, mężu, wstydź się! żołnierzem jesteś, a tchórzysz? Cóż ztąd, chociażby się wydało? Nikt nas przecie nie pociągnie do tłumaczenia.—Jednakże, ktoby się był spodziewał tyle krwi w tym starcu!

LEKARZ.

Słyszysz, pani?

LADY MAKBET.

Tan Fajf miał żonę: gdzież ona jest? Cóżto? Czyliż te ręce nigdy się obmyć nie dadzą? Dość tego, mę-

żu, dość tego! Wszystko popsujesz tym obłąkanym wzrokiem.

LEKARZ.

Nieszczęsna! wiadome jéj są rzeczy, których nie powinna wiedzieć.

DAMA.

Powiedziała, czego nie powinna była mówić; to rzecz pewna. Bóg raczy wiedzieć, co jéj jest wiadomém!

LADY MAKBET.

Ciągle ten zapach krwi! Wszystkie wonie Arabii nie otrącą tego zapachu z téj małéj ręki. Oh! oh! oh!

LEKARZ.

Co to było za westchnienie! Ciężkież musi mieć brzemię na sercu.

DAMA.

Nie chciałabym mieć jéj serca w mojém łonie za wszystkie zaszczyty tego świata.

LEKARZ.

W rzeczy saméj.

DAMA.

Nie daj mi, Panie, tego dożyć!

LEKARZ.

Choroba tego rodzaju leży za obrębem mojéj umiejętności. Znałem jednakże ludzi, co śpiąc chodzili, a mimo tego skonali bogobojnie na łożu.

LADY MAKBET.

Umyj ręce, weź szlafrok; nie wyglądaj tak blado: powtarzam ci, Banko pogrzebany, nie powstanie więcéj.

LEKARZ.

Czy tak?

LADY MAKBET.

Do łóżka! do łóżka! kołatają do bramy. Pójdź, pójdź! pójdź! daj rękę. Co się stało odstać się nie może. Do łóżka! do łóżka! do łóżka!

(Wychodzi).

LEKARZ.

Teraz się idzie położyć?

DAMA.

Nie inaczéj.

LEKARZ.

Zły to stan. Czyny przeciwne naturze
Rodzą przeciwny naturze niepokój;
Skrycie dręczone sumienie powierza
Nieraz poduszce tajemnice duszy.
Jéj potrzebniejszy ksiądz niż doktór. Boże,
Przebacz nam grzesznym! Nie odstąp jéj, pani;
Miéj ją na oku i pochowaj wszystko,
Czém-by się mogła uszkodzić. Dobranoc.
To co widziałem i to co słyszałem,
Wprawiło umysł mój i zmysły moje
W niewysłowione odurzenie. Myślę,
Lecz nie śmiem mówić.

DAMA.

Dobranoc, doktorze.
(*Wychodzą*).

SCENA DRUGA.

(*W okolicy Dunzynańskiego zamku*).

MENTET, KATNESS, ANGUS, LENOX *i żołnierze z muzyką i chorągwiami.*

MENTET.

Angielskie wojska nadciągają. Malkolm,
Wuj jego Siward i dzielny nasz Makduf,
Są na ich czele. Zemsta wre w ich piersiach,
I nie dziw: bowiem to, co oni znieśli,
Trupa-by mogło wściekłością zapalić.

ANGUS.

Pod lasem Birnam zejdziemy się z niemi:
Tamtędy idzie ich droga.

KATNESS.

Nie wiécież,
Czy jest Donalbein z bratem?

LENOX.

Że go niéma,
Mogę zapewnić: mam spis wszystkich osób

Przy nim będących. Jest tam syn Siwarda,
I siła młodzi gołobrodéj, która
Pierwszy raz teraz ma dać walną probę
Swojego męztwa.

MENTET.

Cóż porabia tyran?

KATNESS.

Obwarowywa Dunzynański zamek.
Niektórzy mówią, że oszalał; inni,
Mniejszą żywiący ku niemu nienawiść,
Zwą to rycerskim zapałem: z tém wszystkiém
Pewną jest rzeczą, że choréj swéj sprawy
Nie może oprzéć na karbach porządku.

ANGUS.

Czuje on teraz u rąk ciężar swoich
Kryjomych mordów; ustawiczne bunty
Odpłacają mu jego wiarołomstwa.
Ci, co są pod nim, spełniają rozkazy,
Z musu jedynie, bynajmniéj z miłości.
Teraz on widzi swą dostojność luźnie
Wiszącą na nim, jak suknię olbrzyma
Na nędznym karle.

MENTET.

Nie dziw więc że zmysły
Zakłopotane mieszać mu się muszą,
Gdy każdy zgoła, co z nim jest, złorzeczy
Samemu sobie, że jest z nim.

KATNESS.

Nie traćmy
Czasu, panowie. Idźmy dań wierności
Wypłacić temu, komu się należy;
Ramieniem naszém poprzéć siły tego
Lekarza naszéj schorowanéj ziemi,
Z nim działać i z nim przelać za jéj sprawę
Wszystką krew naszę.

LENOX.

Lub taką jéj ilość,
Jaka wystarczy do nadania wzrostu
Królewskiéj róży i zalania ostu:
Ruszajmy tedy ku Birnam!

(Wychodzą przy odgłosie muzyki).

SCENA TRZECIA.

(*Dunzynan. Jedna z komnat zamkowych*).

MAKBET *wchodzi; za nim przyboczny orszak.*

MAKBET.

Już mi języka nie przynoście: niech mię
Wszyscy odstąpią! Dopoki las Birnam
Pod Dunzynański nie podstąpi zamek,
Urągam trwodze. Czyż ten dzieciuch, Malkolm,
Nie wyszedł z łona kobiéty? Potęgi
Swiadome losów ludzkich najwyraźniéj
Mi powiedziały: *Nie bój się Makbecie,*
Nikt z ludzi, których rodziła kobiéta,
Nie weźmie nigdy przewagi nad tobą.
Precz więc odstępcy, precz! Łączcie się z temi
Niewieściuchami Anglii; nie dbam o was.
Duch mój i serce, pod wyższą załogą,
Nie zwątpi nigdy, ani zadrży trwogą.
(*Jeden z sług wbiega*).
Żeby cię szatan poczernił! Nieszczęsny,
Zkąd ci się wzięło to gęsie oblicze?

SŁUGA.

O panie, zbliża się dziesięć tysięcy...

MAKBET.

Gęsi, hultaju? hę?

SŁUGA.

Żołnierzy, panie.

MAKBET.

Idź, potrzéj sobie twarz, pomaluj ćwikłą
Ten blansz tchórzostwa. Co? dziesięć tysięcy
Żołnierzy? Żeby ci język skamienial!
Blejwas lic twoich jest trwogi doradcą.
Jacy żołnierze? mów.

SŁUGA.

Angielskie wojsko,
Do usług Waszéj Wielkości.

MAKBET.

Uciekaj
Z przed moich oczu.—Gdzie Sejton? Sejtonie!

Słabnę na sercu, widząc—Hola! Sejton!
To najście, albo dźwignie mię na zawsze,
Albo powali. Dość już żyłem; wiosna
Życia mojego prędko przeszła, prędko
Żółtym, zwarzonym pokryła się liściem;
A to co miało być działem starości,
Cześć, posłuszeństwo, miłość, grono wiernych
Sług i przyjaciół, wszystko to nie dla mnie:
Raczej przekleństwo, nienawiść tem głębsza,
Że cicha; cześć ust, posługi służalców,
Którzyby radzi mię odbiedz, lecz nie śmią.—
Sejton!

(*Sejton wchodzi*).

SEJTON.

Co wasza królewska mość każe?

MAKBET.

Cóż tam nowego?

SEJTON.

To, co doniesiono,
Sprawdza się, panie.

MAKBET.

Walczyć będę, póki
Mi nie odrąbią mięsa z wszystkich kości.
Podaj mi zbroję.

SEJTON.

Jeszcze niepotrzebna.

MAKBET

Wdzieję ją. Idź, zbierz co najwięcéj koni,
Przebiegnij w okrąg całą okolicę;
Kto bądź da hasło popłochu, niech wisi
Na pierwszém drzewie.—Podaj mi hełm, pancerz.

(*Lekarz wchodzi*).

Jak się ma waści pacyentka?

LEKARZ.

Nie tyle
Chorą jest, panie, ile udręczoną
Osobliwszemi widzeniami, które
Nie pozwalają jéj użyć spoczynku.

MAKBET.

Wylecz ją z tego. Nie jesteśli zdolnym
Poradzić chorym na duszy? Głęboko
Zakorzeniony smutek wyrwać z myśli?
Wygnać zalegle w mózgu niepokoje?

I antidotem zapomnienia wyprzéć
Z uciśnionego łona ten tłok, który
Przygniata serce?

LEKARZ.

W takich razach chory
Musi sam sobie radzić.

MAKBET.

Rzuć więc w śmietnik
Swoje dryakwie; nie chcę wiedzieć o nich.—
Jest tam kto? Podać mi zbroję, buławę!—
Sejtonie, wyślij ludzi.—Patrz, doktorze,
Tanowie przeszli ne stronę najeźdźców.—
Daléj, Sejtonie, śpiesz się!—O! doktorze,
Gdybyś mógł zbadać wodę mego państwa,
Poznać z niéj jego defekt i przywrócić
Jéj dawny kolor zwiastujący zdrowie,
Stałbym się echem, któreby rozniosło
Po całym świecie poklask dla twéj sztuki.—
Sejtonie, śpiesz się! Żeby znaleźć jaki
Senes, jalapę, albo rumbarbarum,
Coby ztąd wyparł tych Anglików! Pomyśl.
Słyszałeś o ich najściu?

LEKARZ.

Z mowy Waszéj
Królewskiéj Mości doszło o tém nieco
Do mojéj wiedzy.

MAKBET.

Zanieście to za mną.
Drwię z klęsk i śmierci, póki cię Birnamie
Przy Dunzynańskiéj nie zobaczę bramie.
(*Wychodzi*).

LEKARZ.

Gdybym się za tę bramę raz wydostał,
Sam djabeł-by mię zawrócić nie sprostał.
(*Wychodzi*).

SCENA CZWARTA.

(Okolica w pobliskości Dunzynanu. Las opodal).

Przy odgłosie trąb wchodzą z wojskiem i chorągwiami: MALKOLM, *stary* SIWARD *z synem*, MAKDUF, MENTET, KATNESS, ANGUS, LENOX, ROSSE *i inni.*

MALKOLM.

Wkrótce, spodziewam się, nadejdą czasy,
Że człowiek będzie bezpieczny pod dachem.

MENTET.

Nie wątpim o tém, panie.

MALKOLM.

Jak się zowie
Ten las?

MENTET.

Las Birnam.

MALKOLM.

Niech każdy wojownik
Utnie w nim gałąź i przed sobą niesie:
Przez taki fortel ukryjemy naszę
Istotną siłę i sprawim, że szpiegi
W błąd wprowadzeni będą.

ŻOŁNIERZE.

Tak się stanie.
(Wychodzą).

SIWARD.

Nie powzięliśmy innego języka,
Jedno, że tyran, zaufany w sobie,
Zamknął Dunzynan i chce oblężenie
Nasze wytrzymać.

MALKOLM.

W tem-ci jest ostatnia
Jego ucieczka; gdziekolwiek się bowiem
Zdarzy sposobność, tak mali jak wielcy
Powstają przeciw niemu i obecnie
Służą mu tylko najemnicy, obcy
Rodem i sercem.

MAKDUF.

Schowamy na później
Uwagi nasze i sądy, a teraz
Mężnie i czynnie weźmy się do dzieła.

SIWARD.

Zbliża się chwila, mająca nam wskazać
Co mamy nazwać naszém, lub wymazać
Z ksiąg należności. Rozbiór nie zwycięża;
Rękojmia skutku jest w sile oręża:
Dalej więc naprzód!

(Wychodzą przy odgłosie muzyki)

SCENA PIĄTA.

(Dunzynan. Wewnątrz zamku).

MAKBET, SEJTON *i żołnierze wchodzą z muzyką i chorągwiami.*

MAKBET.

Zatknijcie sztandar na wałach. Wciąż słychać
Ten przeraźliwy okrzyk: *idą! idą!*
Warowny zamek nasz szydzi z ich groźby,
Niech go oblegną, niechaj leżą pod nim,
Dopóki ich głód i mór nie wytępi.
Gdyby nie byli wsparci przez tych, którzy
Tu być powinni, wyszlibyśmy na nich
I dalibyśmy im poczuć na karkach
Hart naszych mieczów.

(Krzyk kobiét za sceną).

Cóż to znów za wrzawa?

SEJTON.

To krzyki kobiét, miłościwy panie.

(Oddala się).

MAKBET.

Dawno już smaku trwogi zapomniałem:
Był czas, gdym drętwiał, słysząc głos puszczyka;
Gdy przy słuchaniu powieści o strachach
Włos mi się jeżył i prężył na głowie,
Jakby był żywy: czas ten prędko minął;
Przeładowałem się okropnościami:
Spoufalone z zgrozą zmysły moje
Stępiały na wpływ wrażeń.

(Sejton wraca).

Co znaczyły
Te krzyki?

SEJTON.

Panie, królowa umarła!

MAKBET.

Powinna była umrzéć nieco późniéj;
Czego się było tak śpieszyć z tą wieścią?
Ciągle to jutro, jutro i znów jutro
Wije się w ciasném kółku od dnia do dnia,
Aż do ostatniéj głoski czasokresu;
A wszystkie wczora, to były pochodnie,
Które głupocie naszéj przyświecały
W drodze do śmierci. Zgaśnij, wątłe światło!
Życie jest tylko przechodnim półcieniem,
Nędznym aktorem, który swoję rolę
Przez parę godzin wygrawszy na scenie,
W nicość przepada powieścią idioty,
Głośną, wrzaskliwą, a nic nie znaczącą.
(*Żołnierz wchodzi*).
Przyszedłeś zrobić użytek z języka
Mów prędko.

ŻOŁNIERZ.

Panie, przychodzę-ć oznajmić
Coś, co powiedzieć mogę, że widziałem:
Ale sam nie wiem jak powiedzieć.

MAKBET.

Powiedz,
Jak możesz.

ŻOŁNIERZ.

Kiedy odbywałem wartę
Owdzie na wzgórzu, spojrzałem ku Birnam:
Wtém las, zdawało mi się najwyraźniéj,
Zaczął się ruszać z miejsca.

MAKBET
(*chwytając go za piersi*).

Kłamiesz, łotrze!

ŻOŁNIERZ.

Wywrzéj, o panie, na mnie swój gniéw cały,
Jeśli tak nie jest: o trzy mile wdali
Widać go, jak się rusza i posuwa
Prosto w tę stronę.

MAKBET.

Jeśli fałsz donosisz,
Dopóty żywcem wisieć nie przestaniesz,
Aż umrzesz z głodu; jeśli prawdę mówisz,
Wolno ci będzie uczynić tak ze mną.—
Teraz poznaję dwójznaczność wyrazów
Wiecznego mego wroga, który kłamiąc
Pozorem prawdy, prawił mi zdradziecko:
Nie bój się, póki las Birnam nie przyjdzie
Pod mury twego Dunzynanu: Otóż
Zbliża się jakiś las do Dunzynanu.—
Dalej, do broni! do broni! i naprzód!
Jestli to prawda, niemam czego czekać,
Na nic mi zostać, na nic mi uciekać.
Zbrzydło mi słońce; radbym żeby cała
Budowa świata w proch się rozleciała:
Uderzcie w dzwony!—Dmij wichrze! wrzej toni!
Mamli umierać, umrę z mieczem w dłoni.
(Wychodzą).

SCENA SZÓSTA.

(*Tamże. Równina przed zamkiem*).

Przy odgłosie muzyki wojennéj wchodzą z chorągwiami: MALKOLM, *stary* SIWARD, MAKDUF *i żołnierze z gałęziami w ręku.*

MALKOLM.

Jesteśmy już dość blizko; rzućcie teraz
Precz te zielone zasłony i w całym
Blasku okażcie się tém, czém jesteście,—
Ty, mój szanowny wuju, wespół z swoim
Szlachetnym synem, stoczysz wstępną bitwę;
A zacny Makduf i my baczyć będziem,
Co pozostanie daléj do zrobienia
Zgodnie z przyjętym planem.

SIWARD.

Bądźcie zdrowi.
Jeśli wróg tylko czekać nam nie każe,
Czy walczyć umiem, wnet plac boju wskaże.

MAKDUF.

Zadmijcie w trąby, zlejcie wszystkie tchnienia
W tych krwi heroldów, śmierci i zniszczenia.
(*Wychodzą. Okrzyk wojenny i odgłos trąb nieustający*).

SCENA SIÓDMA.

(Tamże. Inna część równiny).

MAKBET *wchodzi.*

MAKBET.

W ostęp mnie wzięli: nie mogę uciekać,
Jak niedźwiedź muszę psiarni stawić czoło.
Któż jest ten, co się nie rodził z kobiéty?
Tego się tylko mam bać lub nikogo.

(Młody Siward wchodzi).

MŁODY SIWARD.

Jak się nazywasz?

MAKBET.

Zadrżysz, gdy usłyszysz.

MŁODY SIWARD.

Nie: choćbyś gorsze nazwisko wymienił,
Od wszystkich w piekle znanych.

MAKBET.

Makbet jestem.

MŁODY SIWARD.

Makbet! Sam szatan nie mógł wyrzec nazwy
Nienawistniejszéj dla mojego ucha.

MAKBET.

Straszniejszéj chyba.

MŁODY SIWARD.

Kłamiesz, podły zbóju:
Zaraz ci zadam fałsz tym mieczem.

(Walczą. Młody Siward pada).

MAKBET.

Ty-ś był z kobiéty zrodzon: leż junaku.
Igraszką dla mnie miecze i sztylety,
Póki je dzierży mąż zrodzon z kobiéty.

(Wychodzi).

(Makduf wchodzi).

MAKDUF.

Zgiełk był w téj stronie. Ukaż się, zbrodniarzu:
Gdybyś legł z innéj dłoni a nie z mojéj,

Duch mojéj żony i duchy mych dziatek
Wiecznieby za to mnie prześladowały.
Nie mogę godzić w czerń, co swoje dłonie
W najem oddała: albo się na tobie,
Makbecie, stępi ostrze mego miecza,
Albo nietknięte powróci do pochwy.—
Tam on być musi: ta donośna wrzawa
Wskazuje, że tam rzeź toczy się krwawa
Pod wodzą kogoś niepospolitego.
O losie, daj mi go znaleźć! niczego
Więcéj nie żądam.

(Wychodzi).

(Malkolm i stary Siward wchodzą).

SIWARD.

Tędy, milordzie; zamek już się poddał:
Jeszcze gdzieniegdzie broi lud tyrana,
Ale go wkrótce uspokoją nasi
Mężni tanowie.

MALKOLM.

Spotkaliśmy wrogów,
Co zamiast przeciw nam walczyć, walczyli
Przy boku naszym.

SIWARD.

Wnijdź, panie, do zamku.

(Wychodzą).

(Makbet wraca)

MAKBET.

Mamli, rzymskiego głupca naśladując (1),
Przebić się własnym mieczem? Nie, dopóki
Życie przed sobą widzę, wolę raczéj
Przeszywać cudze piersi.

(Makduf wraca).

MAKDUF.

Stój, psie z piekła!

MAKBET.

Nie unikałem nikogo prócz ciebie:
Odstąp! krew twoich i tak mi już dosyć
Cięży na duszy.

(1) Tojest Katona z Uttyki. Podobne zdanie o samobójstwie Katona jest także w *Juliuszu Cezarze* (akt V, sc. I) gdzie Brutus mówi: „*za złe miałem Katonowi, że sam śmierć sobie zadał*".

MAKDUF.

Nie mam słów: mój wszystek
Głos jest w tym mieczu; okrutniku, sroższy
Nad wszelki wyraz ludzkiego języka!
(Walczą).

MAKBET.

Próżno się trudzisz: równiebyś potrafił
Przeciąć powietrze mieczem, jak mnie zranić;
Zwróć więc to ostrze na tych, których ciała
Ciosy się mogą imać; moje życie
Zaczarowane: nikt zrodzon z kobiety
Nie zdoła mi go odjąć.

MAKDUF.

Zwątp' więc w czary!
Zapytaj tego anioła, któremu
Sprzedałeś duszę, toć powie, że Makduf
Przedwcześnie z łona matki był wypruty.

MAKBET.

Przeklęty język, co mi to powiada!
Czuję jak męzka dzielność we mnie mięknie.
Przekleństwo owym szalbierskim potęgom,
Które nas duszą dwójznacznemi słowy!
Przynoszą złote obietnice uszom,
A odbierają je oczekiwaniom.
Nie walczę z tobą.

MAKDUF.

Więc poddaj się, tchórzu,
I żyj, by palcem cię pokazywano.
Obraz twój, niby arcy rzadkiéj bestyi,
Jakie nam w budach są pokazywane,
Na drągu zatknąć każem i pod spodem
Położym napis: *Tu jest do widzenia*
Krwiożerczy podlec!

MAKBET.

Nie poddam się; nie chcę
Całować ziemi u nóg tego żaka
Malkolma, ani motłochowi służyć
Za przedmiot obelg. Nie! chociaż las Birnam
Przyszedł pod mury Dunzynanu, chociaż
Ty się z kobiety nie zrodzonym mienisz,
Dotrwam do końca. Pod schroną téj tarczy,
Bezpieczna moja pierś: złóż się, Makduie!
Niech potępiony będzie, kto się znuży,
I pierwszy krzyknie: *Stój! nie mogę dłużéj!*

(Rozpoczynają walkę i walcząc wychodzą).

(Odwrót. Przy odgłosie trąb i kotłów wchodzą z wojskiem i chorągwiami: Malkolm, stary Siward, Rosse, Lenox, Angus, Mentet i Katness).

MALKOLM.

Radbym tu widzieć tych, których nam braknie.

SIWARD.

Ktoś musiał ubyć; ale dzień tak piękny,
Tanio, jak widzę, został okupiony.

MALKOLM.

Makdufa braknie i waszego syna.

ROSSE.

Syn wasz, milordzie, wypłacił dług męztwu:
Póty żył, poki nie wyszedł na męża;
Zaledwie tego walecznością dowiódł:
Nie ustępując na krok z miejsca walki,
Padł jak bohater.

SIWARD.

A więc zginął?

ROSSE.

Tak jest:
I z pola bitwy został uniesiony;
Bo gdyby boleść wasza wyrównała
Wartości straty, nie miałaby granic.

SIWARD.

Gdzież on ma rany? z przodu?

ROSSE.

Tak: na czole.

SIWARD.

Niechajże będzie wojownikiem Boga!
Choćbym miał tylu synów ile włosów,
Piękniejszéj dla nich nie żądałbym śmierci:
W ten sposób nucę mu hymn pogrzebowy.

MALKOLM.

Godzien on żeby bardziéj go żałować,
I ten żal serce moje uzupełnia.

SIWARD.

Dlaczego bardziéj? powiedziano przecie,
Że dług żołnierza sumiennie wypłacił:
Bóg więc z nim!—Oto przybywa pociecha.

(Makduf wchodzi niosąc głowę Makbeta zatkniętą na włóczni).

MAKDUF.

Cześć ci, o królu! bo teraz nim jesteś.
Przywłaszczyciela głowa na téj włóczni,
I uciśniony kraj nasz znów jest wolnym.
Widzę wokoło ciebie perły państwa,
Serca ich wtórzą memu pozdrowieniu:
Niechże i głosy ich złączą się z moim,
Wołając: *Witaj! Witaj, królu Szkocyi!*

WSZYSCY.

Witaj nam, witaj, witaj, królu Szkocyi!
(*Odgłos trąb*).

MALKOLM.

Nie potrzebujem długiego namysłu
Do porachunku z waszemi zasługi
I skwitowania się. Zacni tanowie,
I mili bracia, bądźcie od téj pory
Hrabiami, którémto mianem zaszczytném
Nikogo jeszcze nie nazwała Szkocya.
Co pozostaje więcéj do zrobienia,
I czego może stan rzeczy wymagać,
Jak przywołanie napowrót do kraju
Wygnanych naszych przyjaciół, co zbiegli
Przed zasadzkami czujnego ciemięztwa,
Wyśladowanie krwawych pomocników
Tego zmarłego oprawcy i jego
Szatańskiéj żony, która, jak słyszałem,
Sama gwałtowną sobie śmierć zadała.
To, i co jeszcze prócz tego wypadnie,
Przy łasce nieba spełnić tuszym sobie
W właściwym czasie, miejscu i sposobie.
Wam, ile wydać pierś nasza sposobna,
Składamy dzięki, każdemu z osobna
I wszystkim, których na dzień wyznaczony
Na koronacyą wzywamy do Skony.
(*Odgłos trąb. Wychodzą*).

PAMIĘTNIKI

FRANCISZKA KOWALSKIEGO.

(1825).

Odessa. — Adam Mickiewicz i Puszkin. — Podróż z Umania do Odessy.

Było to w r. 1825 na śś. Piotra i Pawła, od téj pory nie widziałem Sofiówki; mówią, że teraz lepiéj jest utrzymana i daleko piękniejsza: braknie jéj tyko rozległych na okolicę widoków i tulczyńskiego pałacu.

Całe trzy dni upłynęły nam w ogrodzie, którego mi opisać niepodobna; wieczorami jednak byliśmy (w Umaniu) na koncertach, sztukach, teatrze i poznali osobiście Czernego, Boska, Moniuszkę, Kamińskiego Jana Nepomucena i innych: ale czwartego dnia wszyscy się zaczęli rozjeżdżać i Umań już był pusty. Nasze grono, tojest: Nowowiejski Mikołaj z Humiennik, ja, Kajetan i Alexander Podhorodeńscy, Szemiotowie, Zagórski, dwóch Zaleskich, Miączyński Ignacy, pojechaliśmy jeszcze na pożegnanie do Sofiówki, i po rannem śniadaniu opuściliśmy Umań jadąc do Odessy przez Hołowanieskie, Targowicę, Bohopol i trzydziestomilowe stepy. Ale my tylko, tojest: ja i Nowowiejski ruszyliśmy tą drogą, bo nam mówiono, że była krótsza; inni zaś towarzysze podróży puścili się odmiennemi traktami przez Bałtę i Krzywe jezioro. Wszystkie te drogi zbiegały się w Sewerynówce już o cztery mile od Odessy.

W owéj epoce podróż do Odessy z Umania i Bałty była nudna i smutna; stepy jednostajne, zdaje się nieskoń-

czone, puste, bezwodne; nigdzie wiosek ani jakichkolwiek po drodze karczem i zajazdu; tylko gdzieniegdzie można było spotykać podziemne z kamieni ziemią pozlepiane szałase, które zwano *traktyerami*. Nigdzie drzewa ani cienia, a słońce paliło jak ogniem, od którego ukryć się nie było sposobu; step tylko porosły burzanami niesłychanéj wielkości, miotłą i trawą, siedlisko niepoliczonych trzód wilków, lisów i zajęcy, miał niejakie podobieństwo do niezbrodzonych lasów, a po nim snuły się i plątały w najrozmaitszych kierunkach drogi czumackie wiodące do portowego miasta. Droga twarda i równa jak stół; ale na drodze oprócz wozów czumackich żywéj duszy spotkać nie można. Podróżny jadąc od Umania musiał się zaopatrzyć w żywność a nawet i wodę jak czumaki, którzy wozili z sobą wodę często beczkami, bo nigdzie po drodze nie można jéj było dostać. My puszczając się z Umania tym traktem, zaopatrzyliśmy się we wszystko; a żeśmy jechali własnemi końmi, więc podróż do Odessy trwała trzy długie dni czerwcowe, i trzeciego właśnie dnia wyszedł nam szczupły zapas żywności, a jeszcze było kilka mil do Sewerynówki. Głód już nam dokuczać zaczął; jechaliśmy szparko po szerokiéj, równéj i twardéj drodze jak po szosse; wkoło widzieliśmy tylko step i niebo, aż niespodzianie nawinęła się nam istota żyjąca, podróżny piechotujący, przyrodzonemi końmi maszerujący człowiek. „Chwała Bogu! zawołał Mikołaj, przynajmniéj spytamy go, czy tu po drodze jest gdzie odpocząć i popaść konie. „Człowiecze! zapytał go po zwykłém przywitaniu, a daleko jeszcze do wsi albo miasteczka?" „Tu nie ma, panie, żadnéj wsi ani miasteczka", odpowiedział po rusku. „To przynajmniéj jest karczma jakaś?" „O! niedaleko, panie, będzie traktyer." „Traktyer? można w nim spocząć i co przekąsić." „O! można; byle pieniądze, panie" „A dalekoż do niego?" „Ot! jak kijem rzucić."

Jedziemy tedy i jedziemy, a tego traktyeru nie widać, choć na płaskim, bezbrzeżnym stepie najmniejszy pagórek o kilka mil prawie widzieć się daje: jedziemy więcéj niż godzinę, a nie możemy dojechać. Ależ ten człowiek daleko rzuca kijem! zawołałem. Prawda, odpowiedział mi towarzysz; ale oto patrz; jakiś czarny punkcik majaczeje zdala, może to ten traktyer. Gdzież to traktyer? to jakaś buda

niezgrabna! I w saméj rzeczy dojechaliśmy do jakiéjś budy siedzącéj gdzieś pod ziemią, a wierzchem na ziemi obok szerokiego traktu. Sklecona z okrągłych, niezgrabnych ziemią pozlepianych kamieni, patrzała na nieskończony step jedyném, ukrytém i krzywém okiem, niby ślepy kret, i otworzyła swoje drzwi, niby ciasne wejście do piwnicy, a na swéj czarnéj łysinie miała kilka garści trawy i burzanu, wkoło gęstym otoczona chwastem.

Na łoskot jadącego przed budą powozu wyszedł jak z piwnicy gospodarz, filipon, i uprzejmie nas przywitał. —A daleko jeszcze do traktyeru? zapytaliśmy go.—Da, wot traktir-s, odpowiedział pokazując na swoję kamienną budę. —To traktyer?—Traktir-s.—Cóżto za traktyer? to szałas!— Eto traktir-s.—A gdzież tu konie postawić?—Gdie ugodno-s; można zdieś, można tam-s, wsiudu charaszo-s.—Ani dachu, ani cienia!—Niczewo-s: można tak-s.—Jest czém konie popaść?—Jest', sława Bohu-s.—Masz owies.—Nikak niet-s.— Masz siano?—Nikak niet-s.—A jakże będzie bez owsa i siana?—Trawa jest.—A gdzie ta trawa?—Wot na stepu; charosza, czudesna trawa-s.

Spojrzeliśmy oba po sobie: co tu robić? nie ma rady, trzeba było w tym traktyerze zatrzymać się i choć samą trawą popaść konie... Odżałować tego nie mogliśmy, żeśmy w Umaniu obrali sobie do Odessy tę, jak mówiono, krótszą drogę. Pierwszego tylko dnia podróży w Hołowanieskiem i Bohopolu była dla koni wygoda; a daléj jak uciął, nigdzie ani ziarna owsa. Za to trawa, jakiéj świat nie widział; konie ją z największym zajadały smakiem i chciwością i tak się nią nasycały, jakby najlepszym obrokiem. W Odessie nawet przez cały czas naszego pobytu trawa im lepiéj smakowała niż owies: były dzielne, krzepkie i tuczne.

Nie było rady, tylko popaść tu konie i odpocząć. Gospodarz zaraz ukosił ogromną kupę ślicznéj zielonéj trawy, i konie wyprzężone rzuciły się na nią z największą chciwością. My weszliśmy do téj ciemnéj piwnicy, a jeść nam się chciało porządnie.

— A masz co jeść? zapytaliśmy gospodarza.—Jest' czto Boh dał-s.—Masz kawał mięsa?—Nikak niet-s.—Może kurę?—Nikak niet-s.—Może kiełbasę?—Nikak niet-s.—Może mleko albo ser?—Nikak niet-s.—Może bułkę albo chleb?—

Nikak niet-s.—Może jaja?—Nikak niet-s.—Może kartofle?—Nikak niet-s.—A cóż u licha jest?—Wodka-s.—Cha cha! i nic więcéj?—I limon-s.—Cha cha! dobra zakąska, cytryna po wódce!

Byliśmy w rozpaczy, czém tu się pożywić, aż wszedł lokaj i powiedział że jest jeszcze w koczu kawał pieczystego i bułka: radził więc nam, abyśmy się napili wódki i zakąsili.—Dawaj! dawaj!—zawołaliśmy oba, i usłuchawszy jego rady bardzo dobry mieliśmy obiad. Wkrótce napasły się konie, napoiły z głębokiéj kopanki z któréj gospodarz wyciągnął kilka wiader wody, i wpół godziny jużeśmy byli w drodze do Sewerynówki.

Nie dojeżdżając do tego miasteczka, ujrzeliśmy piérwszy raz na tych stepach długo ciągnący się aż ku morzu wąwóz, coraz szerszy, z niewysokiemi brzegami. W tym wąwozie płynęła oczom naszym oddawna niewidziana woda, niby rzéka, do któréj, u jéj wierzchowiny, dochodzi z pola suche łożysko, którém przed wieki musiała płynąć woda. Zdało się nam, że to jest rzeka, a to tak zwany *Kujalnik*, mający podobieństwo do szerokiéj rzeki, która nie dochodzi do morza, nasypem piasków niby groblą od niego przedzielona. Takich kujalników, inaczéj zwanych limanów jest kilka na północnym brzegu morza Czarnego, a w nich gnuśnieje woda słona, mocniejsza niż morska i mocno przesycona siarką. Lewym brzegiem tego limanu droga bieży aż do saméj Odessy.

Sewerynówka całkiem kamienna, założona w początkach tego wieku przez Seweryna Potockiego, bardzo nam się podobała. Na środku miasteczka stoi zgrabny katolicki kościołek, blizko niego piękny pałacyk właściciela, otoczony wysokiemi drzewami, co w tych nagich i bezludnych stepach wielką jest osobliwością, i kilka porządnych zajezdnych domów, gdzieśmy się do syta pożywili, i w dalszą puścili drogę.

ODESSA.

Aż po kilku godzinach jazdy, już ku wieczorowi, błysnęła nam wprost na widokręgu linia biała, poziomа, od-

dzielająca ziemię od niebios: była to Odessa; a z lewéj strony, niżéj, szeroki, ciemno-szafirowy poziomy pas, było to morze Czarne. Żadnemi słowy niepodobna mi określić wrażenia, jakie wywarł na moję duszę piérwszy widok morza; nic nie ma wspanialszego, nic wymowniejszego nad ten nieskończony ogrom wód, groźnie i potężnie pienistemi przewalających się bałwanami. Jest to niezbadany świat cudów i tajemnic; skład najuroczystszéj poezyi; jest to najlepszy marzyciel, który podczas burzy uczy niedowiarków pacierza: jest to... ach! jest to wszystko!

W tych myślach i rozumowaniach z Mikołajem o morzu, o jego cudach i zjawiskach, wjechaliśmy do Odessy Chersońską rogatką. Pytaliśmy przechodniów o ulicę Derybusowską i o hotel *du nord*, gdzieśmy wszyscy wołynscy towarzysze podróży, umówiwszy się z sobą w Umaniu, zamieszkać mieli przez miesiąc albo dłużéj.

Stanąwszy w hotelu *du nord*, nie zastaliśmy nikogo z naszych: drugiego dnia dopiéro przyciągnęli wszyscy. Zajęliśmy cały dół hotelu z prawéj strony bramy, kilka ogromnych pysznie umeblowanych pokojów; mój zaś niewielki, gdzie stałem sam jeden, był piérwszym od sieni, z czegom był nieskończenie rad, bom sobie mógł bez żadnéj przeszkody i roztargnienia czytać i pisać, kiedy moi towarzysze w dalszych pokojach hałasowali, krzyczeli i swawolili jak dzieci.

Tego wieczora, w którym się zjechali, nigdzieśmy z hotelu nie wychodzili, bo rozmieszczenie się nasze cały nam czas aż do nocy zajęło; byliśmy tylko na wieczerzy w traktyerni w tym samym hotelu. Przy kilku wielkich stołach siedziało mnóstwo nieznajomych nam biesiadników, a przy jednym, mniejszym, dwóch tylko, którzy nas mocno zajęli swoją fizyonomią i powierzchownością. Nie mogliśmy o nich zapytać nikogo, i na nich oczy nasze podczas wieczerzy przy stole ciągle prawie zwrócone były. Mówili z sobą po francuzku. Oba młodzi, zdaje się jednych lat: jeden szczupły, był ubrany modnie i wykwintnie, w czarnym fraku, miał czarną chustkę i kamizelkę, twarz nieco pociągłą niezwykłéj białości, lekkim pociągniętą rumieńcem; oczy ciemno-błękitne, usta rumianne, zęby białe jak perły, czoło wysokie, włosy na głowie bujne, czarne;

zgrabne faworyty; ręce białe, delikatne; a wyraz twarzy melancholiczny, ujmujący: słowem piękny chłopiec. Drugi otylszy nieco, mocno zbudowany, znać herkulesowéj siły, bo przy nim stała potężna żelazna laska, którą musiał jak piórkiem wywijać. Był ubrany poprostu, w zielonym surducie, zapiętym u góry tak, że nie można było widzieć chustki na szyi, bo szyję miał krótką, twarz jeżeli się nie mylę okrągłą i rumianą, a nie zarosłą; oczy niebieskie, czoło wypukłe, włosy na głowie krótkie, ciemno blond; ręce szerokie, mocne, a u palców długie, nigdy nie obcinane, ale czyste paznogcie, któremi, jekeśmy uważali, orzech sobie z łupiny wydłubywał. Wyraz jego twarzy surowy, w którym można było dostrzedz przemagającą ironią, tworzył zupełne przeciwieństwo z obliczem swego towarzysza, który więcéj mówił, ten zaś wpół-głośnéj rozprawie więcéj słuchał, głową potakiwał albo się uśmiechał. W jednym zdało nam się widzieć światowego, modnie wystrojonego i do salonów stworzonego eleganta; w drugim zadumanego i o świat niedbającego filozofa; jeden w rozmowie kilka razy wzmiankował o Petersburgu, Carskim siole, Moskwie; ten o Wilnie, Dominikanach, Antokolu, Kownie: ztąd wnioskowaliśmy, że jeden musiał być wychowańcem akademii petersburskiéj albo moskiewskiéj, drugi wileńskiéj, gdyż mówili o professorach i naukach. My, szczególniéj ja, ukradkiem na nich obu spoglądając, chcieliśmy się z nimi poznać i należeć do ich rozmowy, tak nas mocno sobą zajęli; ale nie było sposobu, bośmy w traktyerni nikomu znajomi nie byli, a nie wypadało nam gwałtem im się narzucać.

I my rozmawialiśmy z sobą, ale po polsku, także półgłosem aby nie przeszkadzać naszym nieznajomym sąsiadom, którzy podobnie jak my na nich, często spoglądali na nas: a ten w czarnym fraku, usłyszawszy pomiędzy nami polski język, zdawał się niby łapać nasze słowa. Dowiedział się tylko z naszych rozmów, żeśmy nowi do Odessy przybylcy.

— Chodźmy już, chodźmy spać; ja bardzo zmęczony podróżą — odezwał się Kajetan Podhorodeński po dobréj wieczerzy.

— Chodźmy, chodźmy — powtórzył brat jego Alexander.

— Poczekajcie trochę—przerwał Ignacy Miączyński— jeszcze minutkę: niech ja się rozpatrzę w téj sali po tylu gościach; bo u nas w Kupielu nic nie ma podobnego; choć to i nasz Kupiel mógłby przecie...

— Cha, cha! wasz Kupiel! — zawołaliśmy wszyscy— wasz Kupiel mógłby się cały schować w tym hotelu!

— A któż wam mówi że Odessa cała zmieści się w Kupielskim pałacyku? — odciął się Ignacy z uśmiechem — ależ mi nie przeszkadzajcie czynić moje własne spostrzeżenia, porównania, naprzykład...

— Oho!—przerwał mu Floryan Zaleski z Krzywaczyniec, jego towarzysz podróży—pozwólcie mu tylko państwo czynić postrzeżenia i porównania, to on i do jutra nie skończy: bo nie wiecie, co to za gaduła.

— Nie słuchajcie go panowie—odparł Ignacy—ja sobie gadam i jestem gadułą, jeżeli jest o czém gadać; a lituję się nad temi co nie mają o czém gadać: siadają naprzykład do zielonego stolika, do malowanéj w jakieś symbola literatury. Ale ja w mojém gadulstwie lubię porównania....

— Naprzykład, jakie porównania? — zapytał Szemiot.— I nasza pogadanka stała się żywszą i już głośniejszą; tak, że nasi dwaj sąsiedzi, którym lękaliśmy się przeszkadzać w rozmowie, umilkli, i na nas ciekawe zwrócili spojrzenia.

Wtedy poważnie zaintonował Miączyński:

— Wszystkie stworzone rzeczy na ziemi, w ziemi i nad ziemią, na morzu, w morzu i nad morzem: słowem, wszystkie rzeczy żyjące i nieżyjące wszędzie po planetach rozsypane, ba i same planety...

— A widzicie państwo — przerwał mu znowu Floryan — ja mówiłem, że jak się rozgada, to i do nieba polézie. Słuchajcież go jeżeli macie ochotę, a ja pójdę spać.— I wziął za kapelusz chcąc odejść.

— Ale-bo czekaj Floryanie, jeszcze się wyspisz—chwycił go Ignacy za rękę.

— Chcesz abym koniecznie słuchał, to zapłać! Poczynasz sobie jak ten poeta w Metromanii Pirona, który publiczności płacił aby słuchała jego wierszy.

— A widzisz, że także używasz porównania— odparł Ignacy. Otoż ja chcę powiedzieć, że wszystkie najniepodobniejsze do siebie, najprzeciwniejsze sobie pod słońcem

rzeczy, mogą być porównane z sobą; z tego porównywania odkrywają się nam ich podobieństwa i różnice: tym sposobem zawsze pomiędzy niemi zachodzi jakaś analogia. I tak: weźmy naprzykład karła i olbrzyma: jakie w nich widzimy podobieństwo? oto, że jeden doskonale jest stworzony jako karzeł, a drugi doskonale także jest stworzony jako olbrzym; a jaką różnicę? oto: że jeden jest mały, a drugi wielki. Prawda, panie?—zapytał obracając mowę do sąsiada w czarnym fraku.

— Naturalnie, że prawda—odrzekł zagabnięty.

— A więc porównywając nasz Kupiel do Odessy—ciągnął daléj poczciwy gaduła—cóż widzimy? oto, że Kupiel jest doskonale licha mieścina, nie posiadająca podobnych hotelów, a Odessa doskonale piękne miasto, posiadające pyszne hotele, teatr i tym podobne gmachy; i w tym względzie podobne są do siebie. A w czém się różnią? oto, że jedno jest nędzne, a drugie świetne. Prawda?

— Otóż gada!—podchwycił znowu Floryan.

— Ale wracając do karła i olbrzyma—ciągnął znowu daléj Ignacy—ze wszelkiém uszanowaniem i przeproszeniem przytomnego tu pomiędzy nami koleżki podróży i poety pana Franciszka tak zwanego Kowala—mówił obracając się do mnie z ukłonem—z przeproszeniem całego chrypiącego chóru naszych polskich ulubieńców muz, porównajmy dla ciekawości wszystkich naszych sławnych dziś poetów, tragików, komików, liryków z Mickiewiczem.

— Cóż za porównanie!—powtórzyliśmy wszyscy.

— Ale porównajmy: za to nie zapłacimy—rozprawiał daléj—jak się przy nim wyda cała ta konfraternia? cha! cha!

— Jak karły przy olbrzymie—rzekł Nowowiejski.

— Jak nasz poczciwy Kupiel przy Odessie—dodał Floryan.

— Owi sławni Osińscy, Tymineccy, Szymanowscy, Dmochowscy, Kowalscy, z przeproszeniem przytomnego tu pomiędzy nami pana Kowala, wszystko to znikło—mówił obracając się powtórnie do mnie z ukłonem—wszystko to są fosforyczne światełka, które przy słonecznem świetle giną.

— O! ja się ujmę za mego towarzysza podróży Kowala—przerwał Mikołaj—przecież jego komedye z Moliera są niezłe.

O! ja na to ani słowa—odparł mówca—pan Kowal nie źle czasem kuje wierszydła; ale Mickiewicz! Mickiewicz!... niech go djabli wezmą, powiadam wam....

— Prawda! niech go djabli wezmą!—zawołali wszyscy.

— Kowal pewno nie ukuje takiéj *Switezianki* jak Mickiewicz, ale Mickiewicz nie utnie takiéj komedyi jak Kowal—bronił mnie Mikołaj.

— Może być—odpowiedział Ignacy—ale Mickiewicz gdyby chciał, gdyby się uwziął, toby zapędził w kąt wszystkich Kowalów jak już zapędził Osińskich *et compagnie*. Niech go wszyscy djabli wezmą!

— Niech go wszyscy djabli wezmą!—cały nasz chór powtórzył.

— Coto, Osińscy, Dmochowscy i Kowale?—odezwał się Kajetan—to jeszcze nic; ale owe okrzyczane Hugi, Lamartiny, Delawinie: to wszystko poszło w kąt!

Podczas téj naszéj coraz bardziéj ożywionéj, ale nie krzykliwéj rozprawy, nasi dwaj nieznajomi sąsiedzi milcząc poglądali na siebie z uśmiechem; a ten w zielonym surducie trącał nieznacznie sąsiada w czarnym fraku i szeptał mu coś do ucha. Ja to najbardziéj uważałem; a od dalszych stołów wszyscy goście już wyszli.

— Bo weźmy cokolwiek, na któréjkolwiek stronnicy jego poezyj, to wszędzie ujrzymy cuda, jak Boga kocham!—mówił Ignacy. Naprzykład cokolwiek z *Grażyny*.

— Mnie się najwięcéj podobało—podchwycił Zagórski: „*A chociaż Niemiec, głos ludzki rozumiał*" cha! cha!

— O! to jeszcze nic!—mówił Ignacy—Weźcie *Dziady*, weźcie co najdrobniejszego, wszędzie czary! do zachwycenia. Czytaliśmy go wszyscy i umiemy napamięć.

— On zapędził w kąt wszystkich Niemców i Francuzów—ja się odezwałem—ale Puszkina z miejsca nie ruszył. Cóż wy na to?

— Zapewne—powiedział Kajetan—Puszkin dla Rossyan jest tém, czém dla nas Mickiewicz.

Oba nasi sąsiedzi znowu z uśmiechem spojrzeli po sobie. Ja przy téj zręczności opowiadałem moim towarzyszom scenę w Berdyczowie na jarmarku r. 1823, ze Starzyńskim, który szalał z zachwycenia czytając piérwszy

raz Mickiewicza i miał mu na złość popioły ze swoich ballad pocztą posłać do Wilna.

— Szkoda—mówił zawsze Ignacy—że Mickiewicz nie widział Sofiówki: zapędziłby w kąt i szambelana Jego królewskiéj mości. A to licho nadało tego Litwina! Przeklinają go wszyscy poeci, niech go djabli wezmą! A tymczasem wypijmy za jego zdrowie! Hej! szampana!

Dano kilka butelek szampana i Miączyński zaczął toast:

— Za zdrowie naszego Mickiewicza! w ręce twoje!

— Za zdrowie naszego Mickiewicza!—wołali wszyscy.

Piliśmy nie razem, ale koleją każdy. Kiedy kielich obszedł koléj, Miączyński siedzący na naszym krańcu, a sąsiadujący z temi nieznajomemi, odezwał się do nich z największą grzecznością: — Nie mamy zaszczytu znać panów, bośmy tylko co przybyli do Odessy; ale nam wolno będzie prosić szanownych panów o spełnienie, jeżeli im się podoba, toastu na cześć naszego Mickiewicza. W ręce pańskie!

— Z ochotą wypełnię pańskie rozkazy—powstawszy odpowiedział z miłą uprzejmością nieznajomy w czarnym fraku, który przyjął toast—ale pozwólcie mi panowie tym kielichem podziękować sobie w imieniu Mickiewicza.

I spełnił toast z podziękowaniem.

— A teraz—nalewając powtórnie kielich zawołał Miączyński—za zdrowie Puszkina, rossyjskiego Mickiewicza! W ręce pańskie!

Nieznajomy w czarnym fraku spełnił kielich za zdrowie Puszkina w ręce swego sąsiada, który przyjął toast i puścił go w obieg; a kiedy koléj obeszła, rzekł do nas po francuzku:—Żałuję w téj chwili, że nie mówię po polsku; ale proszę panów pozwolić mi, abym im w imieniu Puszkina podziękował.— To mówiąc wziął nalany kielich i spełnił go z podziękowaniem.

Nakoniec szampan był wypity, i butelki próżne zostały na stole. Czas było pójść spać, bo już uderzyła dwunasta; pożegnawszy więc uprzejmie naszych dwóch nieznajomych, którzy także zabierali się do wyjścia, poszliśmy do naszych pokojów i zaczęliśmy się rozbierać.

— A widzicie—powiedział Floryan—co to za sprytny człowiek ten Ignacy: umyślnie nas swoją gawędą tak długo

w traktyerni zatrzymał, umyślnie nakręcał rozmowę do Mickiewicza, aby się napić szampana! cha! cha!..

— Cóż to?—odparł Ignacy podskakując ku niemu—żałujesz wina i toastu za zdrowie Mickiewicza?

— Cóż-bo ty znowu pleciesz! Czy możesz tak myśléć? Chcesz, to ja ci jutro kąpiel sprawię z szampana.

— Ale sam przyznaj Floryanie, że warto było wypić za zdrowie olbrzyma naszych poetów.

— Sto razy wypiję i was wszystkich spoję, gdzie i jak wypadnie.

— Słusznie: i ci dwaj panowie nieznajomi pili. Szkoda, że nie wiemy kto oni są: byłaby to piérwsza nasza w Odessie znajomość. Ale nie było kogo o ich nazwiska zapytać.

— Oba mają niepospolity wyraz twarzy—ja się odezwałem.—Ten w czarnym fraku jakie ma wejrzenie! jakie zdaje się ogniste oczy!

— A ten drugi w zielonym surducie, niby filozof, z ironicznem wejrzeniem.—Francuz czy Włoch—dodał Mikołaj.

— Trzeba ich koniecznie poznać bliżéj —powiedział Ignacy.—Może oni jutro będą tu znowu na obiedzie, albo kiedy późniéj, bo coś mnie do nich pociąga. Tymczasem chodźmy spać.

Nazajutrz słońce dawno już się obudziło, a my spaliśmy jeszcze: tojest, nie wszyscyśmy spali, bo ja obudziłem słońce aby wstawało, i wziąłem się zaraz do mego literackiego warsztatu. Pokój mój był osobny, dwoma oknami patrzał na obszerny i czysty, okryty ludźmi i powozami dziedziniec, jak i dalsze komnaty, gdzie stali moi towarzysze: bo od ulicy było klika ogromnych sal zajętych traktyernią, kawiarnią i cukiernią. Miałem porządne łóżko, jednę wygodną sofę, dwa zgrabne stoliki i kilka krzeseł; na jednym stoliku leżał mój Molier i stos papierów, na drugim kilkanaście rozmaitych książek. Zasiadałem zawsze do mojéj roboty przed wschodem słońca, bawiąc się czytaniem i pisaniem aż do godziny szóstéj, kiedy moi koledzy już się dawali słyszéć rozmową i śmiechami: wte-

dy przychodzili do mego pokoju, i ciągnęli mnie do siebie na herbatę i pogadankę. Potém wyjeżdżaliśmy codzień do kąpieli morskiéj, a wróciwszy do domu o dziesiątéj ubieraliśmy się i zwiedzali różne magazyny, place, bulwary i inne ciekawości miasta. Ale od godziny dziesiątéj z rana, słońce zawsze tak okrutnie piekło, że po mieście niepodobna było ani chodzić, ani jeździć, chyba w wielkiéj bardzo potrzebie. Ulice prawie były puste, okna po wszystkich domach pozamykane, podłogi dla ochłodzenia powietrza co chwila zlewane wodą, i my przez ten cały czas upału aż do siódméj z południa, musieliśmy być porozbierani: jedni leżeli albo spali, drudzy swawolili, śpiewali, śmieli się, obok limoniad, orszad, sorbetów i najrozmaitszych wschodnich łakoci. Od siódméj dopiéro wieczorem wychodziliśmy na ulicę i wyjeżdżali do morza. Oni się kąpali z potrzeby, a ja dla ich towarzystwa, i to po trzy razy czasem na dzień, w otwartém morzu. Po kąpieli jeździliśmy albo chodzili po ulicach miasta; zwiedzaliśmy publiczny ogród przy ulicy Derybasowskiéj; ale to tylko parodya ogrodu, bo drzewa karłowate, upudrowane białym pyłem, żadnego nie dające cienia, zajmują tylko niepotrzebnie miejsce, na którém kilka stacby mogło kamienic. Za miastem jest świeżo założony ogród botaniczny, w którym piękne rosną drzewa. Po ulicach nieznośny i nieustający wiatr i pył nie dają swobodnie chodzić ani oddychać, i najwięcéj dokuczają oczom.

Miasto dosyć jest piękne, założone w r. 1792 za cesarzowéj Katarzyny II podług planu Dezibasa, a uporządkowane i upięknione przez emigranta francuzkiego księcia Richelieu, którego posąg stoi nad urwiskiem brzegu i patrzy na morze. Była tam niegdyś tatarska osada Hadżi-bej. W r. 1794 i 1795 stanęły za miastem jakieś warownie, które niewielką są mu obroną. Od r. 1800 powstał tu handel pszeniczny nic nieznaczący w porównaniu z dzisiejszym. Ulice są proste, szerokie, domy piękne i niektóre gmachy pyszne, ale wszystkie wystawione z miękkiego kamienia, który jak drzewo rąbać i piłować się daje; teatr okazały na bulwarze nad morzem, zkąd się pyszny otwiera widok na nieograniczoną przestrzeń wód. Bywaliśmy często w teatrze: piękna była opera włoska, utrzymywana kosztem tu

zamieszkałych Włochów, którzy śpiewaków i śpiewaczki sprowadzają z Rzymu i Florencyi (1).

Mnie mocno zachwycała opera, którąm piérwszy raz w życiu zobaczył. Najczęściej grane były opery Rossiniego, a *Gazza ladra* (Sroka złodziéj) kilka razy przy mnie wystawiana była. Publiczność zawsze była liczna, pomiędzy nią poznałem wielu moich znajomych z Krzemieńca i Podola. Najpiérwéj wpadł mi w oczy koleżka Maurycy Gosławski, który do Odessy przyjechał z Michalskimi z Kordyszówki pod Woronowicą Grocholskich na Ukrainie. Byłto młody, pełen ognia chłopiec, który późniéj dał się poznać gładkiemi poezyami. W dalszych latach kolegowałem z nim w Warszawie, w wojsku, we Lwowie i kozie, ale go nieszczęśliwe spotkały losy: w r. 1835 od Niemców zabity był w Stanisławowie.

Piękne jego poezye niedrukowane ukrywają się gdzieś w Galicyi (2). Poznałem także obywatela Konstantego

(1) Nie mogę się wstrzymać, abym tu nie przytoczył całkowicie listu Jankowskiego, kommissanta Szczęsnego Potockiego, z Odessy, d. 13 kwietnia 1803 r., z którego można mieć wyobrażenie o ówczesnéj operze w Odessie.

„Mam honor donieść JW. panu dobrodz., że mieszkanie w Odessie przyjemniejszém, a zabawy weselszemi i żywszemi być zaczynają. W tych dniach naprzykład, grana tu była przecudna opera, jak sam tytuł pokazuje: *Mielnik uciekający przed długami*. Doskonała w swéj sztuce trupa grająca tę operę, składała się z pułkowych żołnierzy. Dyrektorem był p. porucznik, dekoratorem praporszczyk, a orkiestrmajstrem sierżant. Wszystkie role tak dobrze i naturalnie były grane, charaktery tak żywo malowane, sceny miłosne tak czuło oddane, a nadewszystko muzyka tak dobrze do sztuki zastosowana, głosy tak harmonicznie dobrane, że ja, który zagranicznych teatrów nie widziałem, nie mogę zdecydować, komuby piérwszeństwo przypisać należało, czy subtelnemu autorowi, czy poruszającéj muzyce, czyli téż dowcipnym aktorom i ich zachwycającym głosom. To tylko dobrze uważałem, że ta prześliczna opera trojakie na spektatorach sprawowała wzruszenie, wcale sobie przeciwne: śmiech, płacz i poziewanie. Po skończonym spektaklu duc de Richelieu, który był z liczby serdecznie poziewających, lubo wprzódy śmiał się, dał kilka dukatów dla trupy, zachęcając, by się w swéj umiejętności doskonalić nie przestawali... Co wyraziwszy, mam honor zostawać z najgłębszém poważaniem".

(*Z archiwum tulczyńskiego*).

(2) Kiedy był na Ukrainie, pewna nie piérwszéj młodości panna domagała się od niego, aby koniecznie i to zaraz kilka wierszów napisał w jéj albumie. Tak nagle zaskoczony, napisał jéj te sentymentalne wierszyki:

Piotrowskiego z okolic Żytomierza, który się i dotąd oddaje pięknéj literaturze; w r. 1850 wydał u Glücksberga w Wilnie swe tłumaczenie sonetów i himnów Szekspira, Miltona i Bajrona. Spotkałem się z Karolem Kaczkowskim, z którym gawędziliśmy sobie o miłych krzemienieckich czasach. Ale jednego wieczora w teatrze usiadłem przy Gottardzie Sobańskim, także koleżce, rodzonym bracie Ludwika, a stryjecznym Izydora i Alexandra Sobańskich; witał mnie z prawdziwą koleżeńską przyjaźnią. „Jak się masz? jak się masz? co tu robisz poeto?" „Przyjechałem kąpać się w morzu?" „Z kim?"

— Przyjechałem z Wołynia w dość licznem towarzystwie; stoimy wszyscy w hotelu *du nord*—i wszystko mu opowiedziałem.

— Dawnoś przyjechał? zapytał mnie znowu.

— Od kilku dni, od tygodnia, i znalazłem tu kilku koleżków i znajomych.

— O! w Odessie, w epoce kąpieli jest wielki świat: gości mnóstwo z różnych stron Europy, gwar ciągły, wieczory, zabawy, bale, aż zagłuszają. Ale jak się rozjadą, zostaje w Odessie uderzająca próżnia; zostają sami mieszkańcy, kupcy, spekulanci, z któremi o niczém, tylko o pszenicy mówić można. Ulice prawie są puste: spotkasz tylko idącego jegomości ze spuszczonemi w dół oczyma, coś mruczącego do siebie; albo jadącego dorożką i trzymającego brodę, spoczywającą na dwóch dłoniach, a te dwie dłonie oparte na gałce laski: ci oba myślą o pszenicy, przedaży i zarobkach; od nich, oprócz o handlu, trzech słów się nie dowiész. Taką jest Odessa w jesieni i zimie.

— My tu do jesieni bawić nie myślimy.

— Ale *à propos*: czy ty wiész, poeto, kto tu jest w Odessie... Wiém że nie zgadniesz.

— Kto jest? wszak mnóstwo gości którzy przyjechali do kąpieli.

— Nie o tych ja gościach mówię: ale tu przyjechał i mieszka od kilku tygodni... zgadnij kto?

Choćbym pani nie widział Bóg nie wié jak długo,
Choćbyś była daleko jak ztąd do Ołyki,
Ja zawsze będę najniższym sługą
Pani Dobrodziki.

— Jakże ja zgadnę kto to jest?

— Ten, co nas wszystkich Polaków, a osobliwie poetów, interesuje.

— Któż taki? nie męcz mnie, Gottardzie.

— A chcesz, abym ci powiedział?

– Powiédz, bo już mnie drażnisz.

— Mickiewicz.

— Mickiewicz Adam? doprawdy?—krzyknąłem z nagłego uniesienia tak, że sąsiedzi spojrzeli na mnie. Zniżywszy głos zapytałem daléj Gottarda:—Mówisz, że Mickiewicz?

— Mówię ci, że tu w Odessie jest Mickiewicz, i nie żartuję. Stoi ztąd od teatru niedaleko, w liceum ryszeliewskiém, a z nim stoją razem Jeżowski lingwista, oryentalista, i Franciszek Malewski syn rektora uniwersytetu wileńskiego, który pamiętasz, był kiedyś w Krzemieńcu jako wizytator. Wszyscy trzej razem tu przyjechali z Petersburga przysłani na mieszkanie.

— Co ty mówisz Gottardzie? to dla mnie prawdziwa nowość, która jak iskra elektryczna przebiegła wszystkie moje żyły. A ty, czy znasz go? znasz go?

— Znam! Jak tylko przyjechał do Odessy, dowiedziawszy się, starałem się natychmiast poznać go osobiście i poznałem!

— Jakże ja ci zazdroszczę!

— Ja byłem u niego w liczném towarzystwie Polaków, którzy go także poznali i zachwyceni byli jego nieokreśloną uprzejmością.

— Ach Gottardzie! na miłość Boską chciéj mnie z nim poznajomić! Zmiłuj się.

— I owszem! przyjedź tylko do mnie jutro rano o ósméj, do naszego domu Sobańskich łatwo się dopytasz, a ja z tobą pojadę do liceum ryszeliewskiego i poznajomię cię z naszym genialnym wieszczem.

— Wdzięcznym ci będę nieskończenie; bo jakże, być w Rzymie, a papieża nie widzieć!

— Naturalnie: ty szczególniéj, jako kawałek poety, powinieneś choćby tylko widzieć swego patryarchę. Pamiętaj tylko przyjechać do mnie o ósméj z rana, ja będę czekał.

— O! pewno nie zapomnę. A bywa on tu w jakich domach?

— Jakże? chwytają go wszędzie: ale najczęściéj bywa na obiadach i wieczorach u Bonawentury Zaleskiego, bogatego Ukraińca z Pustowar w skwirskim powiecie.

— Cóżto za człowiek ten pan Zaleski?

— Nadzwyczajnie gościnny, uprzejmy i rozumny obywatel. Ma tu blizko naszego domu piękną, ogromną kamienicę i żyje jak książę. Zacny człowiek, obejść się, żyć nie może bez gości; na obiadach i wieczorach często bywa u niego po pięćdziesiąt osób: a co za przyjęcie! jaka obfitość wszystkiego! U jego stołu znajdziesz łakocie ze wszystkich pięciu części świata. A sama! ot, pomów z nią tylko, a poznasz co to za osoba. Równie jak on uprzejma, gościnna, zadziwia niewyczerpanemi bogactwami serca i głowy: nie każdy mędrzec może jéj dotrzymać placu. Jak ona umié utrzymać życie w zebraném u siebie towarzystwie: muzyka, śpiewy, improwizacye Mickiewicza dodają szczególniejszego uroku temu domowi. Ja często bywam u Zaleskich i zawsze wychodzę zachwycony. Ale pan Bonawentura bawi mnie swą żądzą przyjmowania u siebie jak najwięcéj gości. Wystaw sobie, codzień prawie z rana jeździ po wszystkich w mieście hotelach, gdzie stoją przybyli z różnych stron obywatele Polacy, wypytuje się w hotelu o wszystkich, jak się nazywają? a zkąd? potém wchodzi do ich pokojów, i znajomych czy nieznajomych, zarekomendowawszy się wprzódy tym ostatnim, sam zaprasza do siebie raz na zawsze, przez cały czas kąpieli morskich, na obiady i wieczory. Tym sposobem niepoliczone u niego bywają zgromadzenia. A w waszym hotelu nie był jeszcze?

— Nie był.

— To się go spodziewajcie lada dzień jak przyjedzie, i będzie was prosił na obiady i wieczory. Dowiedziawszy się on o przybyciu Mickiewicza do Odessy, poleciał do niego natychmiast i zaciągnął go do siebie raz na zawsze: i Mickiewicz jest u niego jak domowym. Warto słyszéć jego improwizacye.

— Mickiewicz improwizuje?

— Jeszcze jak! Usiada obok fortepianu, jaka dama przegrywa mu pieśń, daje akordy, a on podług téj nuty

śpiewa improwizując pieśń prześliczną na przedmiot jaki mu dadzą, i wszyscy słuchają w zachwyceniu.

— To on i śpiewa?

— Bardzo ładnie śpiewa, tylko zasłabe ma piersi.

— Jeżowski i Malewski muszą także bywać u Zaleskich?

— Bywają razem z Mickiewiczem: Malewski zawsze, a Jeżowski rzadko, bo on jest ciągle smutny, i unika jeżeli może wielkich towarzystw. Jakaś boleść maluje się na jego twarzy: my szanując jego smutek, nie śmiemy pytać o przyczynę: domyślamy się tylko.

Mówiąc to westchnął, ja umilkłem i skończyła się nasza rozmowa. Ale po chwili milczenia, znowu się do mnie odezwał:

— Aha! jeszcze tu ktoś jest w Odessie, ani się domyślisz: zgadnij.

— Znowu mnie drażnisz, Gottardzie; nie zgadnę: kto naprzykład?

— Naprzykład... a chcesz wiedzieć koniecznie?

— Chcę, chcę! tylko mów prędko.

— Młody człowiek równie sławny, w przyjaźni z Mickiewiczem.

— Któżby tu był równie sławny jak Mickiewicz?

— Naprzykład.... Puszkin.

— Puszkin? co mówisz? i on tu jest?

— Jest; zawsze go widzieć można z Mickiewiczem.

— A tyż go znasz, Gottardzie?

— Znam; często go widzę u Zaleskich gdziem go poznał. Ale to sobie oryginalny człowiek: nie ubiera się modnie, wykwintnie; zawsze i wszędzie jest w surducie. Mówi tu tylko po francuzku, a w towarzystwie jest niesłychanie dowcipny i ujmujący.

— A gdzie on mieszka?

— Nie wiem, ale łatwo go poznać u Zaleskich. Z naszym Adamem w wielkiej żyje przyjaźni: razem chodzą, jeżdżą, razem są w traktyerni, bulwarze, teatrze....

— Gdzież się oni z sobą poznali?

— W Petersburgu. Zabawne a poetyczne było ich poznanie, o którém zapewne słyszałeś.

— Nie, nie słyszałem: powiedz.

— Znali się oni pierwej nieco, ale tylko zdaleka, z widzenia, i nigdzie się z sobą zejść nie mogli aby się osobiście poznać. Aż się zdarzyło, że szli raz przeciwko siebie trotuarem: wtedy Puszkin zbliżając się do niego, ustąpił mu z trotuaru, i zawołał do siebie z jakąś pokorą: *z dorogi dwojkal tuz idiot!* A Mickiewicz tymże rytmem natychmiast mu odpowiedział: *kozyrnaja dwojka tuza biot!* Ztąd przywitanie, znajomość i przyjaźń.

— A może i teraz są w teatrze razem?

— Nie widzę ich, bo ta *gazza ladra* tyle razy grana, może już ich znudziła.

— A więc na jutro...

— Jutro o ósmej z rana, pamiętaj.

— Nie będę spał i całą noc marzyć mi się będą Mickiewicz i Puszkin. Powiem zaraz moim kolegom...

— O! nie mów im jeszcze, bo zechcą razem wszyscy na niego uderzyć, czemu on nie będzie może bardzo rad: ale później poznajomisz z nim wszystkich jeżeli zechcą.

I opera się skończyła; pożegnawszy Gottarda ruszyłem do mego hotelu. Wkrótce nadciągnęli moi towarzysze i poszliśmy razem na wieczerzą.

Mnóstwo jak zwykle było przy stołach osób, i my porobiliśmy niektóre znajomości, jadając zawsze w jednem miejscu. Ale tych dwóch nieznajomych, którzy przed tygodniem pili z nami zdrowie dwóch największych poetów, nigdyśmy zastać nie mogli; a chcieliśmy koniecznie widzieć ich powtórnie i poznać bliżej, bo coś nas do nich pociągało. Toczyła się więc tylko pomiędzy nami rozmowa o nich, a potém o teatrze i operze. Miączyński nas wszystkich przegadał, i ja dzieliłem jego często trafne zdania.

— Gadajcie co chcecie—mówił—ja zawsze jestem tego przekonania, że opera jest nieprzyjaciółką sztuki dramatycznéj.

— Jakto? — podchwycił Zaleski — śliczna opera jest nieprzyjaciółką sztuki dramatycznéj? co ty mówisz Ignacy?

— Mówię co czuję, co wiem—odparł Ignacy—właśnie śliczna opera jest nieprzyjaciołką, i to największą, sztuki dramatycznéj, dramatu.

— Już téż plecisz absurdum—odezwał się Kajetan;—śliczna, pyszna opera z cudownym śpiewem, muzyką, dekoracyą; że oczy, uszy człowieka są w zachwyceniu, że te arye snują się nam po głowie, że zaraz umiemy je napamięć!

— Mówię ci, ale nikomu zdania mego nie narzucam, wolno myśleć jak się komu podoba: że im piękniejsza jest opera, im czarowniejsze jéj śpiewy, muzyka, dekoracye, które i ja równie jak i ty lubię, tém więcéj cierpi na tém sztuka dramatyczna.

— Kowalu — zagabnął mnie Mikołaj— a ty co na to mówisz? wszak ty jesteś jakiś kawałek poety.

— Ja się przychylam do jego zdania—odpowiedziałem.

— No, to pokaż nam dowody.

— To wam Ignacy wyłoży jaśniéj i dobitniéj niż ja.

— Gadaj! gadaj, Ignacy!—nalegało kilka głosów.

— Będę wam gadał jak czuję—mówił Ignacy—ale mi nie przerywajcie. Operę ja lubię, i każdy z was, i wszyscy, *universi et singuli*, jeżeli odpowiada warunkom jakich od niéj żądamy; tojest, jeżeli ma piękną muzykę, śpiewy, ozdoby, jakieś tragiczne albo komiczne sytuacye, któremi sprawia tak zwany effekt, ale tylko na oczach i uszach. Zachwyca więc ona tylko oczy i uszy; a do serca, do uczuć, nigdy nie przylega: z tego wynika, że ją najwięcéj lubią zimni ludzie, i zimni ludzie przepadają za nią. Co innego z dramatem, który wystawia czyn, czynność wchodzących na scenę historycznych postaci, a tém samém zajmuje nasze uczucia, dotyka naszego serca, bez czego opera bezpiecznie obejść się może. Ja nie znam opery, którąby miała w sobie jakąś rozumną rzecz: a jeżeli ją ma czasem, to jéj nie pojmuję, bo słowa zakryte są śpiewem i muzyką, tak, że ich nie rozumiem. Często w operze nietylko rzeczy, ale i sensu nie ma. Weź naprzykład *libretto* jakiejkolwiek opery: znajdziesz rzecz nie wartą funta kłaków; dlatego lada osieł nabazgra *libretto*, a kompozytor tylko musi sobie głowę suszyć aby muzyką zajął uszy, i tylko uszy. Nic więc łatwiejszego jak napisać słowa opery, czyli innemi wyrazy,

nagryzmolić głupstwo. A po cóż my chodzimy na operę? li tylko aby słyszeć muzykę, śpiewy, i widzieć ładną twarzyczkę jakiéj hożéj śpiewaczki: a jaka ztąd korzyść? że się napamięć nauczymy jakiejś aryi. Ale dramat! a jeszcze historyczny! niech go napisze bazgracz librettów! Są wprawdzie i opery z historyi wzięte; ale jako takie, są tylko dziwolągami: bo czy ten historyczny bohater śpiewał z muzyką w okropnéj jaka go spotkała katastrofie? Są przerabiane z dramatów opery: ale weź naprzykład *Romeo i Julia*, *Montechi e Capuletti*, *Otello* Szekspira, a porównaj z porobionemi z nich operami: czy dramata czy opery większe na tobie sprawią wrażenie? czy dramata czy opery więcéj ci poruszą serce? Cóż więc trudniejszego, czy dramat czy operę napisać? hę?

— To prawda—przerwał mu Floryan—ale miałeś nam dowieść, że opera jest nieprzyjaciołką sztuki dramatycznéj.

— Czekaj, czekaj—odpowiedział mówca—do tego właśnie dążę. Ponieważ opery *libretto*, łatwiéj napisać niż dramat, więc oper naturalnie jest więcéj niż dramatów, i utalentowanych, gienialnych nawet kompozytorów jest więcéj. Bardziéj zatém oswaja się z niemi publiczność lubiąca piękne śpiewy i muzykę, a tém samém więcéj na nie uczęszcza i większe przynosi zyski teatrowi: to wierszorobów zachęca do pisania oper, operetek i wodwilów, za które im zawsze płacą i płacą; a pisarz dramatów choćby najgienialniejszy, a chudy literat, jakie ma zachęcenia? jakie zyski przynosi teatrowi? jakie ma sam?— chyba chudą sławę. Niéma więc nawet ochoty pracować w tym niewdzięcznym zawodzie. A zatém, gdzie opera wzięła górę, tam dramat ustąpić musi.

— Dlaczegóżby dramat z operą nie mogły być razem? to mnie dziwi— rzekł Szemiot.

— To trudno, jedno albo drugie górę wziąć musi. Dlaczegoż u starożytnych Greków był dramat i to doskonały? bo nie było opery; dlaczego jest opera we Francyi, Włoszech, Niemczech? bo niéma dramatu. Człowiek uczuciowy prędzéj pójdzie na dramat niż na operę; każdy samolub, każdy kupiec prędzéj pójdzie na operę niż na dramat. Na co daleko szukać? dlaczego tu, w Odessie niéma dramatu a jest opera, a czasem balet? bo to jest miasto ku-

piekie, handlowe; a kupiec jakie ma uczucia?—uczucie pszeniczne, kruszcowe. Aże opera igra sobie tylko fosforycznem uczuciem, więc lubiąca ją publiczność ma fosforyczne serca. Nie jestże opera nieprzyjaciołką dramatu, który przemawia tylko do prawdziwych uczuć?

— Ma słuszność Ignacy—powiedział Kajetan—ale nie idzie zatém, aby publiczność miała fosforyczne serca dlatego, że lubi operę.

—Ja tego nie utrzymuję stanowczo—bronił się Ignacy—bo nieszczęściem byłoby dla rodu ludzkiego, gdyby w nim więcéj było fosforycznych niż prawdziwych serc; ale to tylko pewna, że opera głaszcząc uszy i oczy, najmniejszego nie ma na serce wpływu.

— Więc Grecy starożytni bardziéj wyrobione mieli uczucia niż my, dlatego, że mieli dramat?—zapytał któryś.

— To już innego rodzaju pytanie, które dłuższych wymaga rozpraw—odpowiedział zagabnięty.

— Przecież starożytni Rzymianie—mówił tamten—musieli znać operę. Właśnie jeden kompozytor muzyczny czytając w księgarni napis na łacińskiém dziele: *Opera Ciceronis*, zawołał z podziwieniem: „ja nie wiedziałem aż dotąd, że Cyceron pisał opery!"

Cha! cha! uśmieliśmy się wszyscy.

— Gadaj co chcesz—powiedział Floryan—ale ja lubię operę; a wiész przecie, że nie jestem samolubem i że mam nie fosforyczne serce.

— Niéma reguły bez wyjątków—odrzekł Ignacy—wreszcie ja to mówię tak sobie; wolno mnie słuchać albo nie słuchać.

— Już mnie ta *gazza ladra* znudziła; nie pójdę na nią więcéj, a pójdę spać—powiedział Mikołaj—chodźmy spać.

I po wieczerzy, po gorącéj gawędce poszliśmy spać, i nie miałem sposobności powiedzieć moim towarzyszom, że jutro mam poznać Mickiewicza.

Nazajutrz o ósméj z rana, kiedy moi koledzy wypiwszy herbatę wybierali się do kąpieli, pojechałem dorożką do domu Sobańskich, do Gottarda. Czekał on właśnie na mnie. Za dziesięć minut byliśmy już w liceum ryszeliewskiém.

Z drzeniem serca szedłem po wschodach na piętro, zbliżając się do drzwi pokoju, w którym mieszkał genialny autor *Grażyny*. Wszedłem z Gottardem, który przywitawszy gospodarza, wymienił mu nazwisko moje: byłto Mickiewicz. Podawszy mi rękę, przywitał mnie z uprzejmym uśmiechem. Ale jakież było moje zadziwienie, kiedym za piérwszym oka rzutem poznał w nim natychmiast jednego z tych dwóch nieznajomych, którzy przed kilką dniami siedzieli z nami razem przy stole w traktyerni naszego hotelu *du nord*, mówili między sobą po francuzku, słuchali naszych rozmów szepcząc niekiedy do siebie, pili razem z nami za zdrowie Mickiewicza i Puszkina, i dziękowali nam w ich imieniu, a my wtedy chcieliśmy tak gorąco ich poznać! Ponieważ to jest Mickiewicz, pomyślałem sobie natychmiast, więc tamten w zielonym surducie, jak mnie Gottard uprzedził, musiał być niezawodnie Puszkin, bo z nim był razem, a oni oba zawsze z sobą chodzili, jeździli, jedli i wszędzie bywali razem. Równe prawie i z jego strony było zadziwienie, jak mnie zobaczył, tak, że Gottard patrząc na nas obu, zapytał:

— Panowie zapewne już się z sobą znają?

— Piérwszy raz mam przyjemność poznać tłumacza Moliera—odpowiedział Mickiewicz—ale niedawno, kiedym był z Puszkinem na wieczerzy w hotelu *du nord*, widziałem go w gronie przybyłych tu na kąpiele Wołyniaków, którzy nas nie znając zaszczytnie o nas mówili, pili nasze zdrowie, i nakłonili nas do spełnienia tych niezasłużonych toastów. Piliśmy tedy z nimi razem i dziękowali im w imieniu Mickiewicza i Puszkina.

— Osobliwe zdarzenie!—powiedział Gottard.

— Ach panie!—zawołałem—godziłoż się wtedy zostawiać nas w niewiadomości swego imienia? godziłoż się skąpić nam radości, szczęścia i zaszczytu poznania osobiście tego, który jest Polski chlubą i ozdobą? Panowie oba tak silne wtedy uczyniliście na nas wrażenie, że nie domyślając się nawet kto jesteście, pałaliśmy żądzą uczynienia téj najpiérwszéj naszéj w Odessie znajomości; aleśmy nikomu tu nieznajomi, sami, nie mieli żadnego w tym względzie pośrednika. Odłożyliśmy to na inny najbliższy czas, ale

was nigdzie nie mogliśmy powtórnie zobaczyć; aż mnie dzisiaj pan Gottard....

— Wdzięczny mu jestem niezmiernie—przerwał mi obracając się do Gottarda i biorąc go za rękę—że mi takiego przyprowadził gościa. Ale siadajmy: czegóż stoimy?

Usiedliśmy i zaczęła się pomiędzy nami szeroka i poufna gawędka, do której przyłączyli się Jeżowski i Malewski, którzy wyszli z drugiego pokoju, gdzie mieli swoje mieszkanie. Poznałem zarówno ich obu: piérwszy mało mówił, drugi mówił za siebie i za niego: a wiele było do mówienia; oni we trzech opowiadali nam różne rzeczy o Wilnie, my im o Krzemieńcu.

Wybiła dziesiąta, i upał zaczął dokuczać do tego stopnia, żeśmy przybyli goście musieli u nich bawić prawie przez cały dzień aż do szóstéj wieczorem. Rozmowy nasze przeplatane były szachami; i ja, jako nie arcy wielki gracz, przegrywałem wszystkie prawie partye. Na nasze prośby czytał nam pan Adam kilka swoich nowych niedrukowanych poezyj, i zachwycał się myślą ułożonéj do Krymu żeglugi, która istotnie nastąpiła w kilkanaście dni potém. Tam się miały urodzić sławne sonety krymskie.

Wypytywał mnie o moich towarzyszów podróży, o mojém w Odessie mieszkaniu, obiecując mnie nawzajem choćby jutro odwiedzić. Rozpowiedziałem mu wszystko i prosząc o dotrzymanie téj obietnicy, pożegnałem go, zachwycony rozkoszą téj chlubnéj dla mnie znajomości.

Przez cały ten wieczór Gottard woził mnie z sobą po różnych ulicach miasta, pokazywał mi różne osobliwości, różne gmachy; zabrał mnie do siebie na herbatę, którą wypiwszy w dość licznem gronie znajomych Ukraińców, ruszyliśmy znowu na teatr.

Nazajutrz rano o godzinie może siódméj, w moim pokoju, lekkim okryty chałatem, siedziałem przy moim literackim stoliku. Drzwi były zamknięte od kurytarza, i drugie przeciwne od dalszych pokojów, gdzie stali moi towarzysze młodzi: weseli, powstawszy z łóżek gadali, śmiali się, chychotali, swawolili jak dzieci, bili się poduszkami, gonili się, mocowali, uderzali się o drzwi mego pokoju, słowem, studenckie wyprawiali hałasy. Zagłuszony tą wrzawą, nie uważałem jak się drzwi od kurytarza otwo-

rzyły, i wszedł na ten raz niespodziewany gość, Mickiewicz. Zerwałem się z krzesła jak sparzony, nie wiedziałem, gdzie go posadzić. Nie zdołam opisać mego uszczęśliwienia, méj radości, méj dumy, kiedym go w mym pokoju przyjmował: a jakie było przyjęcie? fajeczka doskonałego tytuniu i jakieś konfitury, czego w Odessie nie brak, bo wyszedł z domu po herbacie. Usiadłszy, prowadził ze mną miłą pogadankę.

— Cóżto za hałasy?— zapytał mnie w ciągu rozmowy.

— To moi towarzysze podróży— odrzekłem — swawolą przypominają sobie dawne szkolne czasy. Sąto młodzi obywatele z Wołynia, którzy wtedy w tym hotelu pili ze mną razem za zdrowie Mickiewicza i Puszkina.

— Zrobiliście nam panowie niespodziewany i niezasłużony zaszczyt—powiedział półgłosem ze spuszczonemi w dół oczyma.

— Ale toż niepodobna, sam pan to przyzna, czynić komu niezasłużone zaszczyty: któż na nie zasługuje więcéj jak wy oba? Proszę wierzyć naszéj szczerości. Pozwoli mi czcigodny pan, abym uwiadomił moich wesołych towarzyszów, że w téj chwili tak drogiego mam u siebie gościa: przybiegną, przyskoczą tu wszyscy, aby powitać....

—O! nie—odpowiedział, wstrzymując mnie za rękę— niech nie przerywają swych zabaw. Jeszcze będzie czas, gdyż tu jaki miesiąc pewno zabawicie, więc będę miał zaszczyt poznania ich osobiście, naprzykład u państwa Zaleskich. Czy bywacie u nich?

— Nie, panie: jesteśmy im zupełnie nieznani, bośmy niedawno przybyli do Odessy.

— O! to on sam przyjedzie do was, da się poznać i zaprosi was raz na zawsze do siebie na obiady i wieczory, jak mnie i tylu innych. Rzadki to człowiek, doprawdy, ze swą nadzwyczajną gościnnością.

— I dziś może pan będzie u niego na wieczorze?

— Zapewne że będę: to się stało niejako moim obowiązkiem, gdyż mnie łają, jeżeli kiedy chybię.

— Pańscy towarzysze, Jeżowski i Malewski będą także?

— Będą.

— I Puszkin?

— I Puszkin.

— Wystawiam sobie co to za rozkosz w takiém znajdować się towarzystwie.

Tymczasem koledzy moi swawolili w najlepsze. Wtém jeden z nich, Kajetan Podhorodeński, uciekając przed drugim co nań z poduszką nacierał, otwiéra z trzaskiem drzwi od mego pokoju, wpada w środek, a za nim lecąca w ślad poduszka, uderza go w plecy; za nim wpadają drudzy ze śmiechem: ale raptem postrzegłszy nieznajomego u mnie gościa, zmieszali się, i zawstydzeni odeszli w milczeniu do swych pokojów. Pomiędzy nimi nastąpiła potém cisza, i zaczęli się prędko ubierać. Po ich odejściu zacząłem się śmiać, i mój zacny gość milczącym wtórzył mi uśmiechem.

Jeszcze bawił z kwadrans, i pożegnawszy mnie chciał odchodzić, kiedy nowy gość zawitał. Wykwintnie ubrany, miernego wzrostu, proporcyonalnéj tuszy, włosów zdaje się jasnych, twarzy białéj, oczu jeżeli dobrze sobie przypominam, niebieskich, arcy uprzejmego i pociągającego wejrzenia, w którém się malowała poczciwa i otwarta dusza. Ujrzawszy piérwéj Mickiewicza, chwycił go za rękę i zawołał z radością:

— I mój kochany pan Adam tu? Nie spodziewałem się tu go zastać.

— Przyszedłem odwiedzić mego braciszka w Apollinie.

— Jakiego braciszka?

— Oto tego — odpowiedział pan Adam pokazując na mnie, i wymieniając moje nazwisko, dodał, żem przybył do Odessy w towarzystwie kilku obywateli wołyńskich. Potém obracając się do mnie, powiedział:—Jestto pan Bonawentura Zaleski, o którym słyszałeś.

Pan Zaleski podał mi rękę i poznaliśmy się naprędce. Po kilku z téj okoliczności wymienionych słowach, zapytał mnie o moich towarzyszów: otworzyłem drzwi i pokazałem mu ich już poubieranych. Nie pamiętam jakiemi wyrażeniami odbyła się ta wspólna jego z niemi znajomość. Pan Bonawentura, gdyż go po imieniu wszyscy nazywali, zarekomendował się im sam, jako mieszkaniec Odessy, który z ludźmi i dla ludzi żyje, którego jedyną jest rozkoszą ugaszczać w swym domu rodaków. Zaprosił ich do siebie raz na zawsze, na obiady i wieczory, i wymógł na nas wszystkich słowo że dziś jeszcze będziem u niego na wie-

czorze. Potém nas pożegnawszy, obrócił się do Mickiewicza i zapytał:

— A ty, panie Adamie, zostajesz czy wychodzisz?

— Wychodzę—odpowiedział.

— Masz tu swoję dorożkę?

— Nie: ja przyszedłem piechotą.

— *Per pedes apostolorum*!—rzekł pan Bonawentura śmiejąc się—to po poetycku: siadajże ze mną, to cię odwiozę do twego liceum, albo gdzie chesz. I skłoniwszy się nam jeszcze, wyjechali oba.

— Grzeczny człowiek!—ze wszystkich ust wyrwało się to słowo po ich wyjeździe!

— Doprawdy, niesłychana to gościnność przyjmować tak u siebie znajomych i nieznajomych!—powiedział Nowowiejski.

— Musi być niepospolicie zamożnym, bogatym, aby mógł we wszystkiem dogadzać swemu zachceniu i sercu—dodał Miączyński.

— Ma się rozumieć—dodał Szemiot—bo jakże codziennie nakarmić, napoić i zabawić tyle osób! a u niego zawsze być musi tłum gości!

— A jaki ładny, widny mężczyzna, w sile wieku!—dorzucił Kajetan.

— Ma w twarzy, wejrzeniu, mowie i głowie coś ujmującego, coś pociągającego— mówili inni.

— Doprawdy, osobliwy człowiek: bądźmyż u niego, bądźmyż dziś koniecznie!

— A może to jaki twój kuzyn, Floryanie?—zapytał Zagórski.

— Ja nie wiem—odpowiedział—może być. Ale cóż to za młody człowiek ten pan Adam, co tu był i z nim pojechał? Kowalu, wszak on do ciebie przyszedł z wizytą: któżto?

I wszyscy zwrócili się do mnie z ciekawością.

— Zgadnijcie!—zapytałem ich dumnie.

— Otóż masz!—zawołał Kajetan—przez Ducha Świętego? Jakem ja wpadł do twego pokoju, a za mną wleciała

poduszka, on z tobą wtedy siedział i pocichu rozmawiał: co też o nas pomyśli... Kto to jest? mów.

— Wyż się nie domyślacie kto to jest ten pan Adam, co z Zaleskim odjechał?...

— Poczekaj, poczekaj!—zawołał Miączyński uderzając się ręką po czole—gdzieś ja go tu już w Odessie widziałem, i wszyscyśmy go widzieli: aha! przypominam sobie... tak.. niezawodnie... to jeden z tych dwóch młodych panów, z któremi przed tygodniem tu w traktyerni piliśmy za zdrowie Mickiewicza i Puszkina! Przypominacie go sobie? ja wtedy najbliżéj niego siedziałem, i najpierwéj zagadnąłem go tym toastem.

— A prawda! on sam!—zawołali wszyscy—któż to jest? Kowalu, mów!

— Zgadnijcie! już łatwo zgadnąć —odpowiedziałem. To Mickiewicz sam! a ten drugi co z nim był, w zielonym surducie, to Puszkin! A my wtedy piliśmy za ich obu zdrowie, nie wiedząc ani się domyślając, że to właśnie byli oni sami.

— To doprawdy rzadkie i dziwne spotkanie—jednogłośnie prawie wykrzyknęli. A więc to był u ciebie Mickiewicz?—zapytali mnie.

— On sam: ja wczoraj wieczorem byłem u niego z Gottardem Sobańskim, który mnie z nim zapoznał; a on mi właśnie obiecał swoję rewizytę, i słowa dotrzymał.

— Czemużeś nam zaraz nie powiedział, żeś się z nim poznał, że to on sam był u ciebie dopiéro— krzyknął Szemiot—mybyśmy go tu hurmem napadli i poznali, zwłaszcza, żeśmy się już dowiedzieli, że tu jest w Odessie.

— Wczoraj wieczorem jakoś to do tego nie przyszło— tłumaczyłem się im—a dzisiaj chciałem gościowi mojemu wszystkich was pokazać, ale on mnie sam prosił, aby tego nie czynić.

— O! nic to nie pomoże, próżno się bratku wykręcasz!—zawołał Floryan. Hej koledzy! trzeba za to Kowala ukamienować!

I chwyciwszy z mego łóżka skórzaną poduszkę, cisnął na mnie i wszyscy z hałasem i krzykiem zarzucili mnie poduszkami.

— Dajcież pokój, waryaci!—krzyczałem—wszak on dziś będzie na wieczorze u pana Bonawentury, to go tam u niego poznacie.

— Nie, nie, mospanie: musisz nas wszystkich do niego, do jego mieszkania zaprowadzić, i to zaraz, abyśmy mu tam, w jego domu cześć oddali, a na wieczorze u pana Bonawentury będziemy się z nim witali jako już znajomi.

— Jakto? chcecie zaraz?

— Zaraz! téj chwili!—krzyknęli wszyscy.

— To już lepiéj nad wieczorem o szóstéj, albo przed szóstą: zabawimy u niego do siódméj, i pójdziemy z nim razem wszyscy do Zaleskiego, bo już się zaczyna teraz upał; a on w czasie upału jest rozebrany cały dzień jak my tu, to mu zrobimy przykrość tłumną wizytą. Z nim téż razem stoją dwaj Wileńczycy, Jeżowski i Malewski; to i dla nich będzie to z przykrością; ale o szóstéj albo po szóstéj jak trochę ochłódnie...

— Dobrze mówisz—powiedział Miączyński—to pojedziem o szóstéj, ale trzymajmy Kowala, aby nam gdzie nie uciekł.

— Nie bójcie się wcale—zapewniłem ich—cały dzień będziemy razem.

Cały ten dzień zwyczajnym dla nas upłynął trybem. Trzymaliśmy się wszyscy razem, aby potém w chwili wyjazdu jeden drugiego nie czekał ani szukał. Więc o szóstéj zabieramy się na pięć dorożek i ruszamy do ryszeliewskiego liceum.

Jakeśmy z Umania do Odessy przybyli w dziesięć osób, tak i teraz w dziesięciu natarliśmy na naszego wieszcza. Jakież było jego zadziwienie, kiedy tylu naraz gości ujrzał przed sobą? Choć jego pokój dość był obszerny, zajęliśmy go całkiem.

— To są moi towarzysze podróży, Wołynianie—przemówiłem do mistrza witając go—którzy dziś rano ukamienowali mnie poduszkami za to, żem ich panu nie prezentował, kiedyś mnie swemi odwiedzinami zaszczycić raczył; w tej chwili spełniając ich najgorętsze żądania wprowadzam ich w twe progi: a jak się nazywają, niech każdy z nich sam powié.

Mickiewicz tak napadnięty jak gdyby zmieszany, wyciągnął do nas ręce, a Miączyński przemówił:

— Przebacz nam panie, że się wdzieramy w twe progi szturmem jak żołnierze do twierdzy: to jest winą twego imienia, winą twéj sławy. Chcieliśmy cię widzieć, dotknąć się twéj dłoni, dotknąć się rąbka twéj sukni, aby wróciwszy do domu, chlubić się przed naszemi rodakami, żeśmy widzieli i poznali osobiście Mickiewicza. Nie miéj nam, panie, za złe naszéj żądzy, naszéj śmiałości.—Powiedział mu potém swoje i wszystkich nazwiska. Każdy mówił i ja już nie pamiętam co im pan Adam odpowiadał: uważaliśmy tylko, że miłe mu były nasze choć tak tłumne odwiedziny. Zaraz nas poznajomił z Jeżowskim i Malewskim; usiedliśmy wszyscy i powszechna nastąpiła pogadanka.

— Ale my do pana wielki mamy żal—powiedział Miączyński.

— A to jaki, panie? i za co?—zapytał go.

— Pan zapewne poznaje w nas swych przed tygodniem biesiadników, którzy w hotelu *du nord* przy wieczerzy spełniali toasty za zdrowie Mickiewicza i Puszkina, i pan ze swoim towarzyszem, którym niewątpliwie był sam Puszkin, raczył nam tym samym kielichem podziękować w imieniu Mickiewicza, a tamten w imieniu Puszkina.

— Poznaję—przerwał z uśmiechem—i téj chlubnéj dla mnie chwili nigdy w życiu nie zapomnę. Ale jakiż, i o co żal?

— Dlaczegoż pan wtedy poznać się nam nie dał, kiedyśmy go z największym zapałem podnosili pod niebiosy? Zapełniłbyś już od tygodnia serca nasze swym drogim obrazem, jak od lat kilku napełniłeś je swém imieniem. Ten tydzień jest dla nas na zawsze stracony.

— O, panie—odrzekł ze skromną jakąś nieśmiałością—jeżeli panowie macie mi to za winę, a dla siebie czas ten za stracony, będę się starał nagrodzić.... A dziś panowie będziecie na wieczorze? wszak jesteście proszeni.

— Będziemy: właśnie ułożyliśmy sobie panów z sobą zabrać i razem pojechać.

— My się też wybieramy, ja z moimi kolegami, i jużeśmy gotowi. Aże jeszcze może zawcześnie, więc miło

nam, nim pojedziemy, czas ten przepędzić w zacném panów towarzystwie.

I wspólna, nieprzerwana rozmowa trwała więcéj niż godzinę. Mickiewicz tak był uprzejmy, gościnny, otwarty, tak nas ujął swoją w obcowaniu swobodą i niewymuszoną prostotą i skromnością w słowach i wyrażeniach, samą nawet łagodnością wejrzenia i głosu, żeśmy do niego przylgnęli jak do brata, i rozmawiali z sobą z poufałością jak gdybyśmy się znali od stu lat. Przyrzekł nas odwiedzać przez czas kąpieli i zapraszał do siebie na fajeczkę i szachy, a kiedyśmy go prosili, aby kiedy ze swemi kolegami przyjął nasz obiadek, odpowiedział:

— Już to, panowie, od nas nie zależy.

— A od kogoż?—zapytaliśmy ciekawie.

— Od wyższéj nad nami władzy.

— Jakaż wyższa władza? książę Woroncow?

— O! nie; od księcia Woroncowa, najzacniejszego pod słońcem człowieka, nie zależą nasze obiady; ale państwo Zalescy są władzą która nami rządzi. Bez pozwolenia pana Bonawentury nigdzie nam obiadować nie wolno, tylko u niego.

— O! to my u pana Bonawentury wyrobimy dla panów to pozwolenie, i on sam swego nam towarzystwa nie odmówi.

Na takich swobodnych i wesołych pogadankach szybko nam przebiegła godzina i więcej: poczém wszyscy razem sześcią dorożkami jakby karawaną, wyruszyliśmy do domu pp. Zaleskich.

Dom ich piętrowy, wspaniały, stał na wschodniéj części miasta, na wyniosłości, i patrzał na nieskończoną płaszczyznę morza. Przed balkonem jużeśmy zastali kilka powozów i dorożek, i weszli do pysznego salonu, wprowadzeni przez uprzejmego gospodarza, który nas zaprezentował swojéj żonie i innym damom, i zaczęła się najrozmaitsza rozmowa. Wkrótce ozwał się głos fortepianu. Jedna z dam z lekka przegrywając akkordy, prosiła Mickiewicza aby usiadł przy niéj, przy fortepianie, i pieśń do jéj wtóru zaśpiewał. Tuśmy usłyszeli rzewne jego improwizacye, do

których nigdy prosić się nie dał; owszem chętnie śpiewał, szybko tworząc w umyśle pieśń na jakąkolwiek podaną mu osnowę i nutę: wojenną, światową, miłosną albo myśliwską. Piersi tylko miał zasłabe i następnie głos nie mocny, ale czysty i dźwięczny; więc fortepian musiał mu towarzyszyć łagodnie, bo inaczéj całkiemby go zagłuszył. Na podany więc temat zaczął wielki wieszcz śpiewając improwizować; a śpiewając pieśń sielankową najbardziéj lubił nutę staréj Karpińskiego sielanki:

Już miesiąc zeszedł, psy się uśpiły,
I coś tam klaszcze za borem... i t. d.

Pomyślawszy chwilkę skoro usta otworzył, milczenie opanowało salę: wszyscy usiedli i słuchali w cichości. My Wołyniacy nie mogliśmy wyjść z zadziwienia: jakieś niewytłumaczone uczucie ogarnęło nasze serca. A że on śpiewał coś rzewnego, poruszającego, z wielu piersi wyrywały się ciche westchnienia i czasem łezki z oczu dam. Kiedy skończył, zaklaskały wszystkie dłonie, powstał gwar półgłośnéj rozmowy i tysiące grzeczności obsypały genialnego improwizatora. Trudno i niepodobna było spisywać jego tak improwizowane pieśni, dlatego poszły w zapomnienie; ale na następnych wieczorach jeden z naszego wołyńskiego towarzystwa, człowiek pełen zdolności i szybki skoropis, Ignacy Miączyński, wszystkie prawie spisywał i może w jego tece dotąd się jeszcze ukrywają: powinienby je dawno już ogłosić.

Uważałem, że nasz Adam śpiewając improwizacyą z powolném i łagodném fortepianu towarzyszeniem, siedział oparty nieco plecami na krześle; miał oczy wprost siebie zwrócone, ręce założone wkrzyż na piersiach, a nogi trochę wprzód wyciągnięte i często jednę stopę zakładał na drugą. W tém położeniu nieruchomy całą pieśń śpiewał, a przy końcu głowę i oczy schylał na piersi.

Damy, a mianowicie pani Hieronimowa Sobańska celująca wtedy swoją pięknością i wdziękami, nie dawały mu pokoju; każdéj prawie musiał śpiewać na zawołanie, dopóki mu piersi pozwalały.

Po herbacie i lekkiéj wieczerzy rozjechali się wszyscy, i my wróciliśmy do naszego hotelu w uniesieniu i zachwycie dla naszego wieszcza.

W kilka dni potém pan Bonawentura znowu nas odwiedził z rana i zaprosił na obiad i wieczór, i byliśmy.

Gości było pełno, książąt, hrabiów co nie miara: ale kilkanaście znajdowało się osób znakomitych albo stanowiskiem swém w społeczeństwie, albo literackiem i naukowém znaczeniem. Oprócz naszego wołyńskiego towarzystwa, byli: Mickiewicz, Puszkin, Jeżowski, Malewski, Moniuszko który w Krzemieńcu ostatniego roku mego pobytu był wizytatorem; Karol Kaczkowski, Eligi i Konstanty Piotrowscy, fortepianista Czerny, sławny sztukmistrz Bosko, w obcowaniu pełen dowcipu i francuzkiéj żywości, Gottard i Alexander Sobańscy i wielu, których nie pomnę: nadto było jeszcze kilku wojskowych, a z nimi generał Witte komendant portu. Z dam, których mi niepodobna i nie mam potrzeby wyliczać, pamiętam tylko jednę gospodynią domu, i panią Hieronimową Sobańską.

W gwarze różnorodnych rozmów, Mickiewicz i Puszkin byli jak w oblężeniu od wszystkich: każdy chciał głos ich usłyszéć, kilka słów z nimi wymienić, dotknąć się ich dłoni lub sukni: tymczasem dano do stołu.

Przypominam tu sobie zabawną u stołu scenę. Kiedy zabierano miejsca, Boskowi wypadło usiąść przy Moniuszce, który z tego powodu obracając się do wszystkich, w żarcie z uśmiechem powiedział: „O! niebezpiecznego losy mi dały sąsiada, a ja mam przy sobie we fraku pełny pugilares: muszę się zapiąć na wszystkie guziki". Mówiąc to zapiął sobie frak; śmieli się biesiadnicy i Bosko z nimi. Potém ciągnął się obiad wesoło, jedli i pili, różne toasty krążyły, przy stole, mówili wszyscy; Puszkin tylko i Jeżowski najmniéj się odzywali: a o przemowie Moniuszki i o jego pugilaresie zapomniano. Aż po obiedzie Moniuszko wstał od stołu z rozpiętym frakiem, coś szeroko rozprawiał, chodził po sali; potém po czarnéj kawie wyszedł z innemi co palili fajki do przeznaczonego na to pokoju: wtedy go Bosko z figlarném wejrzeniem zapytał. „Cóż panie? nie masz pan szkody?" Moniuszko przypomniawszy sobie natychmiast pugilares, wsunął szybko rękę w boczną kieszeń fraka, ale pugilaresu nie znalazł.

— Nie ma mego pugilaresu!—zawołał z uśmiechem.

— Oto jest!—oddaję go panu, odpowiedział Bosko, był w moich rękach: widzi pan? A Moniuszko z największém zadziwieniem wyrzekł tylko te słowa:

— A niechże cię!..—Śmiech powszechny zakończył tę scenę.

Cóż państwo na to powiécie, że w lat kilka późniéj r. 1829, tego samego Boska, sławnego sztukmistrza, magika, w Warszawie, gdzie mieszkał, okradziono do koszuli!— i przepadło!

Ku wieczorowi ochłódło powietrze i ruch w mieście ożywiać się zaczął. Weszliśmy na salę gdzie się już odzywał fortepian; damy grały i mężczyzni popisywali się z muzyką, a mój towarzysz podróży Mikołaj Nowowiejski biegły fortepianista, pięknem odegraniem jakiéjś Bethowena sztuki zasłużone otrzymał oklaski; pochwała i ściśnienie ręki Mickiewicza wprawiło go prawie w zachwycenie. Damy znowu Mickiewiczowi kazały śpiewać; usiadł przy fortepianie i na podany temat, jak zwykle, improwizował. Słuchaliśmy jakby oczarowani jego wejrzeniem i głosem, a głuche milczenie ogarnęło wszystkich.

Wtém, wśród téj cichości, wśród tego cichego zachwycenia otwarły się zwolna drzwi i wszedł nowy gość, który niechcąc mieszać téj czarującéj sceny, kiedy wszyscy zajęci byli słuchaniem genialnego wieszcza; z niemym ukłonem szedł pocichu na palcach, usiadł przy panu Bonawenturze i w milczeniu słuchał. Byłto średniego wieku mężczyzna, książę jakiś grecki, w greckim fantastycznym stroju, zamieszkały w Odessie, emigrant z czasu wojny o niepodległość Greków z Turkami r. 1821—23. Smagławéj nieco twarzy, orlego nosa, oczu i włosów czarnych, wąsów potężnych, wciętéj i zgrabnéj kibici, szczególniéj nam Wołyniakom podobał się z ujmującego wejrzenia. Tuż za nim wszedł murzyn, jego niewolnik, równie w greckim stroju, i stanął przy drzwiach nieruchomie ze smutną i melancholijną twarzą. Po skończeniu pieśni, któréj treść była jakaś miłosna czy sielankowa, gwar się obudził, wszyscy dziękowali poecie, klaskali i książę grecki dopiéro głośno się witał z gospodarzem, gospodynią domu i znajomemi, a mówił tylko po rossyjsku dość niewprawnie jak poczynający uczeń: odzywał się też i po francuzku. Po uciszeniu

się nieco powszechnéj rozmowy, Ignacy Miączyński zbliżył się do siedzącego jeszcze przy fortepianie Mickiewicza, ścisnął go za rękę z uczuciem i przemówił:

— Boski wieszczu nasz! tobie słowa Boskie z wieszczych wylewać piersi; a nam słuchać, podziwiać, rozczulać się, unosić, zachwycać i dzięki ci składać. Ale, jeżeli mi wolno, jeżeli śmiem w téj chwili chcieć genialnym twéj imaginacyi skrzydłom nastręczyć innego rodzaju polot, abyś w serca nasze innego rodzaju wlał rozrzewnienie, zechciéj nam zaśpiewać na temat jaki podam.

— Z największą chęcią, panie, jeżeli zdołam; a gdzież temat?

— Oto jest! spojrzyj ku drzwiom.

I wskazał ręką na stojącego u drzwi murzyna. Wszyscy ku niemu obrócili oczy, nawet książę grecki, który zrozumiał o co chodziło, i wielki poeta prosił tylko Miączyńskiego o chwilę cierpliwości, a damę siedzącą przy fortepianie o akompaniament.

I pomyślawszy kilka chwil, z oczyma ciągle w murzyna wlepionemi, rzewnie śpiewać zaczął.

Niepodobna mi opisać wrażenia, jakie na słuchaczów wywarła ta jego pyszna improwizacya. W ciągu a osobliwie przy końcu pieśni, nie jedno w sali dało się słyszeć westchnienie, damy się aż do łez rozczulały. Wielki wieszcz patrząc na murzyna, o którego imię wprzódy się zapytał, przebiegał całe jego życie. Wystawił go najpierwéj dziecięciem u piersi matki, potém chłopięciem igrającym ze swemi rówiennikami; potém dorodnym młodzieńcem, swobodnym, szczęśliwym w swéj ojczyznie na wybrzeżach Afryki; daléj zakochanym w dziewicy, z którą już miał się połączyć; odmalował najmocniéj miłość matki i miłość dziewicy; nareszcie okrutną jego niewolę, kiedy go Anglicy czy Francuzi kupili u królika, nacisnęli sochę na jego szyję i skrępowanego zawieźli do Kuby, gdzie nieszczęśliwy jęczy w plantacyach na wieczną skazany niewolę: zakończył jego łzami i rozpaczą matki i kochanki. Trudno sobie wyobrazić, jakie wzruszenie pieśń ta sprawiła pomiędzy słuchaczami. Końca nie było wykrzyknikom, na rękach prawie podnoszono poetę: damy dziękowały mu ze łzami w oczach; a książę grecki, któremu tę improwizacyą do-

kładnie wytłumaczono, nie mógł się powszechnemu oprzeć uniesieniu, przystąpił, wziął i ścisnął go za rękę i oświadczył mu, że ten murzyn dotąd był jego niewolnikiem, ale od téj chwili jest wolnym, a pieśni wieszcza jest winien swoję wolność. I skinął na murzyna, powiedział mu swym językiem kilka słów: a ten plackiem padł do nóg Mickiewiczowi ze łzami i wykrzyknikami najżywszego radości i wdzięczności uniesienia. Wszyscy się cieszyli i następnie dziękowali Miączyńskiemu za ten piękny temat, a całą tę scenę zakończył świetny z tańcami wieczór, który mi wiecznie pamiętnym będzie.

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

„Anglicy i Indye" przez konsula Valbezen. — Teatra. — Dramat Montépin'a „Les Viveurs de Paris."— Wiadomości literackie.

Indye niemniéj obecnie zajmują Paryż jak Londyn: w téj chwili jest to najżywotniejsza tutaj kwestya. Naród francuzki od góry do dołu zarówno i może piérwszy raz szczerze sprzyjający Anglikom, bo ich sprawa w Indyach jest zarazem sprawą postępu, z niecierpliwością oczekuje co dnia nowin z nad Gangesu; dzienniki wszelkich odcieni z bezprzykładną jednością przyklaskują wygranéj, a boleją nad niepowodzeniem Anglii; dziennikarze wyrywają sobie listy oficerów angielskich datowane z teatru wojny, chcąc co rychléj podać swym czytelnikom dymiące jeszcze krwią ofiar i łuną pożarów czerwone opisy. Z zawartych w nich szczegółów poznajemy codzień lepiéj ogromne trudności, z jakiemi łamać się musi cywilizacya europejska, walcząca z dziczą indyjską.

Od blizko dwóch wieków jak zdobyła Indye, Anglia olbrzymie poczyniła wysilenia celem przeobrażenia tego kraju: pobudowała miasta, drogi żelazne, pokopała kanały, pozakładała mnóstwo szkół, fabryk, rękodzielni, i dokonawszy tyle przed obecnemi wypadkami, prawie już pewna była zupełnego tryumfu oświaty. Ja-

koż, cywilizacya wszędzie i zawsze, prędzéj czy późniéj musi zwyciężyć ciemnotę: ale ta, zanim ostatecznie pokonaną zostanie, częstokroć drogo swą przegraną opłacać każe. Bunty ciemnoty są jedną z tajemniczych potęg, które wybuchają nakształt plag naturalnych. Ludzie uczeni i przezorni zbudują tamy, obmurują rzeki, bystrość ich stawidłami poskromią, wszystko niby przewidzą, obrachują, wymierzą, i dumni z swego dzieła, już zamyślają spocząć, kiedy niespodzianie przychodzi powódź, i w jednéj godzinie niweczy ciekawe owoce geniuszu i cierpliwości człowieka.

Otóż, część Indyi angielskich taką obecnie zalana powodzią: na sterczących tu i owdzie mostach, rozsiane garstki Anglików pasują się z wzrastającym potopem i giną śmiercią walecznych. W ojczyznie, brat we trzy miesiące dopiéro dowiaduje się o strasznym skonie brata; rodzina pogrążona w bezsilnéj rozpaczy, w kwartał dopiéro po śmierci męża, syna lub ojca, czyta fatalne opisy okrucieństw dokonanych na najdroższych osobach, nie mając nawet téj gorzkiéj, ale jedynéj w takich razach pociechy—nadziei odwetu. Bo na kimże tu pomścić się swéj krzywdy? Czyż można mścić się na rzece że kraj zalała? Można tylko w głębsze zakuć ją łożysko: toż samo z rozhukaną dziczą. Jest to plaga, która zniknie powoli przez kulturę świata moralnego, tak jak inne znikły przez kulturę świata materyalnego.

Kraj będący obecnie teatrem tak strasznych wypadków, jego rząd i obyczaje, mało są dotąd znane; wszystkie opisy podróżnych i artykuły dziennikarskie, aż do dziś dnia nie zdarły z Indyi tajemniczéj zasłony, którą ta starożytna ziemia, jakoby wstydząc się światła, okrywała trąd nagromadzony na swém ciele od początku świata, zamraczała swe wiekowe przesądy, bezprawia i zbrodnie. Od ostatniego atoli powstania, Europa zapragnęła bliższych o Indyach szczegółów, i za-

spokojoną została dziełem Valbezen'a, które jest najdokładniejszym i najbezstronniejszym tego ogromnego kraju obrazem.

Valbezen autor książki pod napisem „Anglicy i Indye," rodem Francuz, obecnie konsul francuzki w Antwerpii, przez lat ośm piastując w Indyach urząd konsula, miał czas i sposobność dokładnego rozpatrzenia się w miejscowych stosunkach. Podaje też dokładny opis rządu angielskiego w Indyach, oraz pełno szczegółów o mnogich sektach religijnych, stowarzyszeniach tajnych i charakterze krajowców. Przegląd tej nader zajmującéj książki zaczynamy od rzutu oka na administracyą cywilną, od któréj autor dzieło swoje rozpoczyna.

Jeszcze w początku bieżącego stulecia dyrektor kompanii indyjskiej, czyli gubernator Indyi, używał w tym kraju królewskich prerogatyw; miał więcéj niż monarsze dochody, rozdawał, a czasem i sprzedawał posady cywilne i oficerskie stopnie: słowem, rządził despotycznie w całém znaczeniu tego słowa. Od 1855 roku władza gubernatora generalnego znacznie ograniczoną została: odjęto mu przywiléj mianowania urzędników, i pensyą jego do mniéj bajecznych zredukowano rozmiarów, co nie przeszkadza, że tak jak jest dzisiaj, posada ta odpowiada randze największego mocarza. Nie ma monarchy w Europie, któryby rozleglejszém rządził państwem i miał pod sobą większą liczbę poddanych i urzędników. Wszystko co może zaspokoić próżność ludzką, żądzę władzy, lub szlachetną chęć stania się użytecznym bliźniemu, jest połączone w téj obieralnéj i odwołalnéj królewskości. Gubernatorowi brakuje tylko tytułu króla, ale za to ma królów poddanych: król Delhi, który swe teraźniejsze wyniesienie zapewne głową przypłaci, nabab Bengalu, nabab Karnatyku, rajach Tingoru, rajach Benaresu, rajach Malabaru, i wie-

lu innych książąt lennych, płacili kompanii rocznie bajeczną summę 1,486,284 funtów szterlingów.

Izba dyrektorów zlewa na gubernatora generalnego swoję władzę, którą tenże pełni absolutnie, nie pod zwierzchnictwem, ale pod oczyma trzech jéj członków, składających radę najwyższą indyjską. W radzie téj obieralnéj co pięć lat, zasiada zawsze generał komenderujący armią i jeden z najbieglejszych adwokatów londyńskich. Władza sądownicza jest reprezentowana przez izby przysięgłych, obradujące w stolicach trzech prezydentur. Piérwszy urzędnik tych izb, tak zwany chief justice, i dwaj członkowie, z których każda z nich złożona, pobierają: piérwszy 8,000 (około 400,000 złp.), dwaj drudzy po 6,000 funtów szterlingów pensyi; po wysłużonych pięciu latach dostają po 2,000 funtów pensyi emerytalnéj.

Powyższe cyfry dowodzą, że publiczni urzędnicy w Indyach hojnie są wynagradzani: nie zawsze atoli tak bywało. Przed pięćdziesięcią laty kompania indyjska jeszcze jako prosta assocyacya kupiecka, bardzo małe wyznaczała pensye swoim urzędnikom; zwykle zostawiała ich własnemu przemysłowi: zkąd poszły kradzieże, przekupstwa i bezprawia, którym dopiéro margrabia Cornwallis, obrany gubernatorem Indyi, koniec położył. Pojął on, że najlepszy sposób uchronienia urzędników od pokusy przekupstwa i kradzieży, jest zapewnienie im płacy odpowiadającéj ważności urzędu; naznaczył im przeto wspaniałe wynagrodzenia, które najwyższa władza zatwierdziła.

Ale powiększając płacę, kompania powiększyła także swoje wymagania co do uzdolnienia urzędników. Tak zwany apprenti, urzędnik dawniéj odpowiadający randze komi-wojażera, chcąc dziś wejść do służby kompanii, musi piérw do niéj kilkunasto letnią przysposabiać się nauką. Najprzód obowiązany jest złożyć

examen z języków starożytnych i nowożytnych, jakoto: z łacińskiego, greckiego, arabskiego, sanskryckiego, włoskiego i niemieckiego; prócz tego musi znać chemią, fizykę i matematykę. Przeszedłszy szczęśliwie examen z powyższych przedmiotów, kandydat jest przyjęty do szkoły Hailebury, gdzie przez dwa lata pobiera nauki specyalne potrzebne do przyszłego zawodu. Po dwóch latach zdaje drugi examen, poczém, jeżeli zdał jak należy, kandydat na urzędnika kompanii dostaje tytuł writer'a, siada na okręt, i odpływa do jednéj z trzech prezydentur, do któréj jest przeznaczony.

Tutaj nowe odbywać musi nauki. Indye, to istna wieża Babel: języków i narzeczy tu bez liku! Nieszczęśliwy writer musi się znów uczyć po bengalsku, hindostańsku, poznać narzecza urdu, mahratt, guzerati, canares, telaya, tamil, t t. d.: słowem, ze dwadzieścia nowych języków. Nauczywszy się ich, zdaje trzeci examen. Jeżeli i ten przeszedł, wybiera sobie dział do którego chce być przyłączony, i wedle tego znów kształci się specyalnie. Po ośmnastu miesiącach pracy, składa cztery examena, i jeżeli z téj ostatniéj proby wyjdzie zwycięzko, writer wchodzi w skład służby cywilnéj, i jako assystent jest dodany zawiadamiającemu dystryktem urzędnikowi.

Obok takiego urzędnika czuwającego nad porządkiem i oświatą kraju, stoi kollektor, zarazem poborca grosza skarbowego i notaryusz. Ten ze wszystkich urzędników w najbliższéj pozostaje styczności z krajowcami: kollektor zarządza dobrami małoletnich i nieobecnych, przedłuża termina wypłaty podatków, wsadza dłużników do kozy, godzi zwaśnionych, czynność jego obejmuje wszystkie gałęzie rozchodów i przychodów skarbowych.

Nad kollektorem hierarchia angielska stawia sędziego. Urzędnik cywilny dopiéro po dwudziestu latach służby dochodzi do tego wysokiego i ciężkiego urzędu.

Ażeby zdać sobie sprawę z trudności, jakie napotyka sprawiedliwość w Indyach, dość rzucić okiem na mieszkańców tego kraju. Składają się oni z Indyan, Żydów, Parsisów i Armeńczyków: ile wyznań, tyle praw osobnych. Jakże więc trudne położenie sędziego mającego wyrokować w sprawie, gdzie jako oskarżeni, skarżący i świadkowie, figuruje dwanaście osób różnych wyznań, różnéj narodowości i różnego języka. Do jednego trzeba zastosować koran, do drugiego księgi indyjskie i t. d., znać każde prawo, każdą religią i każdy język, bo sumienny sędzia nie może się spuścić na tłumacza w kraju, gdzie kłamstwo jest wrodzone, a krzywoprzysięstwo przed trybunałem sprawiedliwości nie uważane za zbrodnią, ale za przyjacielską usługę, którą przyjaciel winien oddać przyjacielowi, a obcy sprzedać za parę groszy obcemu.

Niechże tu sędzia da sobie radę w tym chaosie kodexów, języków i fałszywych świadectw! Jakże ogromną naukę, sumienność, przenikliwość i cierpliwość posiadać musi człowiek powołany na tak trudne stanowisko. Człowiek taki może się znaleźć tylko w Anglii, bo tam tylko dotąd ludzie potrafili połączyć naukę z praktycznością, a interes własny z interesem moralności i oświaty.

Nieraz wyrzucano Anglikom, że w Indyach do urzędów nie przypuszczają krajowców; niektórzy nawet filantropi z rodzaju tych, co to zawsze cudzém mieniem ludzkości służyć gotowi, domagali się w imieniu sprawiedliwości, żeby cały zarząd tego państwa był oddany w ręce Indyan. Kompania chwilowo przyjęła ten system, ale co rychléj cofnąć go musiała przekonawszy się, że wiedzie prosto do anarchii i bankructwa. Pan Valberen mniema, iż bez wykluczenia krajowców od wszelkich ważniejszych urzędów, panowanie angielskie w Indyach byłoby się skończyło z początkiem tego wieku. Lord Cornwallis, który wiele liberalnych po-

wprowadzał reform, jako warunek przypuszczenia do urzędów, położył Indyanom wychowanie dzieci w szkołach, w których rząd przysposabia krajowi uczciwych i światłych urzędników: ale warunek ten wydał się zatwardy krajowcom, i wolą wyrzec się wszelkiego znaczenia, jak je okupić pracą i wykształceniem.

Jedyna plama jaką Valbezen upatruje w cywilnéj administracyi angielskiéj w Indyach, jest urządzenie policyi. Ma ono być okropne. „Jeżeli urzędnik policyjny, powiada Valbezen, nie może wykryć zbrodniarza, bez wahania aresztuje niewinnych i za pomocą tortur wyrywa z nich zeznania. Jeżeli jest przekupiony przez winowajców i nie chce, żeby zbrodnia doszła do wiadomości władzy wyższéj, pogróżkami nakazuje milczenie stronie pokrzywdzonéj, i rzecz dziwna, obawa policyjnych prześladowań jest tak wielka, że w takich razach prawda prawie nigdy się nie wyda".

Wyliczywszy mnóstwo policyjnych bezprawiów, p. Valbezen temi słowy kończy swój dział o administracyi cywilnéj. „Na szczycie administracyi indyjskiéj stoją ludzie znakomici, jest więc nadzieja, że zwolna zaradzą tym trudnościom praktycznym. Chcieliśmy tylko wskazać pole, gdzie dzieją się nadużycia, których naród wolnomyślny jak Anglia nie może cierpieć długo bez splamienia swego honoru, i któreto pole tak we własnym interesie jak w interesie sprawiedliwości i ludzkości orać powinien dopóty, dopóki zeń ostatniego źdźbła kąkolu nie wypleni".

Od administracyi cywilnéj Valbezen przechodzi do administracyi wojskowéj. W Indyach są dwie armie angielskie: wojsko kompanii złożone po większéj części z krajowców, i wojsko królewskie złożone z samych Anglików. Dwie te armie stoją zupełnie oddzielnie; oficerom niewolno nawet przechodzić z jednéj do drugiéj. Opis organizacyi wojskowéj, a mianowicie wojska krajowego, zawiera wiele ciekawych szcze-

gółów. Ze wszystkich produktów przemysłu angielskiego, Cipay jest niezawodnie najciekawszym wyrobem. Przerobić na żołnierza Indyanina, tę najapatyczniejszą i najniesforniejszą na świecie istotę, nagiąć go do posłuszeństwa i akuratności, jestto sztuka, z któréj Anglik słusznie dumnym być może. Valbezen tak opisuje obóz Cipayów:

„Obóz składa się z trzech wielkich namiotów, jeden tylko człowiek czerwono ubrany z karabinem w ręku pilnuje wnijścia; reszta żołnierzy pozrzucawszy mundury, nosi zwykle strój narodowy. Najwięcéj odziani są w koszulach: jedność więc stroju zupełna, rozmaitość jest tylko w zaczesaniu włosów: jeden ma głowę zupełnie ogoloną, drugi nosi na sześć stóp długie kosmyki, ten z podgoloną czupryną, ów z zaczesanemi w górę jak Chinczyk warkoczami. Oficerowie wyróżniają się naszyjnikiem ze złoconego drzewa. Spokój i cisza panuje wszędzie. Każdy żołnierz zajęty gotowaniem ryżu w osobnym garnuszku, zda się zresztą obojętny na wszystko. Wpływ cywilizacyi ześlizgnął się po Indyaninie jak kropla oliwy po marmurze. Cipaye mają być podobno dobrzy żołnierze, bitni, wytrwali i posłuszni, (autor nie wiedział jeszcze pisząc swe dzieło jak się buntować umieją), ale instynkta ich ani zwyczaje w gruncie żadnéj nie uległy zmianie; sąto ciż sami ludzie, którzy pod chorągwią króla Porusa walczyli przed dwoma tysiącami lat zastępy Alexandra".

Obóz europejski tak znowu opisuje:

„Za daném znakiem w mgnieniu oka obóz się organizuje; naraz jakby zpod ziemi wyskakuje nowa Babylona, złożona z wspaniałych namiotów, których przepych dziwny tworzy kontrast z budami skleconemi krajowym przemysłem Cipayów. Wkoło obozu dymią homeryczne kotły, w których gotują się całe woły i setki baranów, przeznaczone na wieczorny posiłek europejskiéj armii. W pobliżu wznosi się zwykle ba-

zar, zamieszkany przez rozmaitego rodzaju kupców; znajdziesz tam wexlarzy, restauracye, sklepy z ubiorem, a mianowicie też przeróżnym trunkiem, który czarni szynkarze zamieniają na angielskie złoto. Nawet sztuka indyjska jest reprezentowana w tych improwizowanych miastach: skoczki tańcują na linach, kuglarze połykają pałasze, gadoswoje żyją w przyjaźni z grzechotnikami, bajadery roztaczają swe powaby w lubieżnym tańcu, ruch i gwar wszędzie. Dźwięk muzyki i śpiewu głuszy mruczenie słoni i wielbłądów, rżenie koni, bek owiec, ryk bydła, pianie koguta i hałas tysiąca zmieszanych głosów ludzkich, które mówiąc naraz po angielsku, persku, indyjsku, urdusku, arabsku i bengalsku, tworzą prawdziwie babeliczną symfonią".

Rozdziały o sektach religijnych stanowią może najciekawszą część książki Valbezena. Czytelnik dowiaduje się tam rzeczy niesłychanych, które w daleko słabszém świetle w romansach Suego oddane, wydawały mu się już tylko wybrykiem fantazyi autora. To przekonanie tak mocno utkwiło w głowie każdego, co kiedyś połykał indyjskie ustępy Żyda wiecznego, że czytając proste i wiarogodne opowiadanie Valbezena, co chwila zadaje sobie pytanie: czy to tylko prawda? Potworna sekta Thuggistów czyli dusicieli, jeszcze niedawno rzeczywiście istniała w Indyach. Mordercze to bractwo hołdujące bogini Bowhane, któréj cześć zasadza się na jak największéj liczbie zaduszonych ofiar, miało swoje obrzędy, wtajemniczania, osobny rytuał i osobne modlitwy. Thugowie bylito najprzebieglejsi jakich sobie wyobrazić można złoczyńcy; kolejno przybierali wszystkie role, występowali jako kupcy, księża, żołnierze, żebraki, i w tych przeróżnych kostiumach ścigali łatwowiernych podróżnych, dopóki nie upatrzyli stosownéj chwili i nie zadusili ich na ofiarę bogini.

„Boże mój! zawołał jeden Thug skazany na śmierć, gdyby nie te dwanaście lat, które przesiedziałem w więzieniu, za pomocą Bowhany byłbym dokonał tysiąc zabójstw"! Nędznik ten zanim wpadł w ręce sprawiedliwości, zabił 769 ludzi! Ten jeden przykład dowodzi jaką massę zbrodni popełnić musiała ta straszna sekta od czasu swego istnienia, tojest przez wieki.

Lord Bentinck, następca lorda Cornwallis, najwięcéj przyczynił się do wytępienia thuggizmu. Przedsięwzięcie było nader trudne tak z powodu ogromnego rozgałęzienia tego straszliwego bractwa, którego początki sięgają pierwotnych czasów Indyj, jak również z powodu wzbronionego cudzoziemcowi wstępu do indyjskiéj społeczności. Jeszcze w 1829 roku naczelnik thugów, plaga dystryktu Hingolee, był jednym z najbogatszych i najwięcéj szanowanych w kraju kupców. Królowie indyjscy obawiając się jego potęgi, udawali, że o nim nie wiedzą, a tymczasem pod powrozem jego bandy ludzie padali jak barany pod nożem rzeźnika, i nikt nie śmiał się o nich upominać, a choćby i śmiał, to nie było łatwo odkryć morderców: sami nawet Anglicy przeszło pół wieku rządząc w Indyach, nie mogli wytropić fatalnego związku. Dopiéro kilku cipayów złapanych na uczynku, poczyniło odkrycia. Raz wpadłszy na trop, Anglicy poczęli ścigać i karać thugów jak rozbójników. Ustanowiono osobny trybunał dla sądzenia thugów; w 1837 sądzono ich około 4000; z tych 462 powieszono, 1059 wywieziono do Penang, a resztę skazano do robót. Odtąd prawie już nie słychać o thuggizmie.

Wytępienie innych sekt morderczych nie powiodło się równie szczęśliwie. Datturowie przepełniają dotąd Indye. Sąto truciciele, którzy nazwę swoję wzięli od dattury, rośliny używanéj przez nich do spełnienia zbrodni. Biada podróżnemu, który zaznajomiwszy się w drodze z jakim choćby najprzyzwoitszym wędrow-

cem, nocuje z nim pod jednym dachem; nieborak ani się spodzieje kiedy z ryżem lub chłodnikiem śmierć połknie. Wtedy Daturas obdziera go i idzie daléj szukać nowych ofiar. Zbrodniarze ci nie wybredni w wyborze, zabijają ludzi nieraz dla paru groszy. Niedawno jeszcze fakir pewien, zaniósł przed trybunał skargę, że mu Daturowie otruli syna dla przywłaszczenia sobie jego kołdry, któréj wartość wynosiła 12 anas'sów (około trzech złotych polskich).

Dakoici sąto znów innego rodzaju rozbójnicy. Zazwyczaj wpadają do domów zamaskowani i szukają pieniędzy. Jeżeli nieszczęśliwy właściciel ich nie posiada, albo wzbrania się wskazać kryjówkę, złoczyńcy okręcają go namoczoną w oleju bawełną i zapalają jak lampę.

Okrucieństwo zdaje się być wrodzoną żądzą Indyanina. Valberen powiada: „Czy skutkiem tego, że wiekowa niewola przytępiła w Indyanach uczucie moralności, czy, że ich nerwy mniéj są czułe na ból jak nerwy Europejczyków, instynkt tortury jest im wrodzony. Ojciec chcąc ukarać nieposłusznego syna, sypie mu w oczy pieprz turecki: gospodarz za lada przewinienie krępuje parobka, zamyka w klatce wysypanéj wapnem i wystawia na żar słoneczny. Policya chcąc otrzymać wyznanie, stawia więźniom moxy, wiesza ich za włosy lub wąsy. Zabić człowieka w Indyach znaczy tyle, co u nas zabić muchę; dla lada powodu nawet wspólnik zamorduje wspólnika. Opowiadają, że pewien podróżny złapawszy raz za nogi złodzieja pełzającego koło namiotu, wciągnął już tylko trupa bez głowy: spólnicy tym sposobem zabezpieczyli się od jego gadatliwości. Długa byłaby lista bezecnych sposobów jakich Indyanin wiedziony namiętnością lub chciwością, używa ku odebraniu życia bliźniemu. Do najzwyklejszych należy wbijanie na pal. Jestto środek zabójstwa tak rozpowszechniony w In-

dyach, że go nawet dzieci używają. Bardzo często pomiędzy mordercami przyprowadzonemi przed trybunał, zdarza się napotkać małoletniego zbrodniarza, który w ten sposób zabił kolegę, chcąc sobie przywłaszczyć jego bransoletki lub naszyjnik".

Pawnowie, inny znów gatunek złoczyńców, trudnią się kradzeniem i sprzedawaniem ludzi. Kupiwszy lub skradłszy dziecko, prowadzą je w góry, gdzie koczują Khond'y, straszliwe pokolenie, którego bóg krwiożerczy ustawicznie domaga się ofiar z ludzi. Wedle wiary Khondów, zły duch siedzi w kobiecie; dlatego siódmego dnia po urodzeniu zazwyczaj palą wszystkie dzieci płci żeńskiéj. Ale jeżeli dziewczę przypadkiem uniknie stosu i w kryjówce dorośnie, natenczas, zapewne przez obawę złego ducha, bywa czczone jak bożyszcze. Kobieta w pokoleniu Khondów używa przywilejów nieograniczonych: wolno jéj wziąć mężów ilu zechce, do wierności nie jest wcale obowiązana, za to obowiązkiem mężczyzny wierność; niewiasta zajmuje piérwsze miejsce w radzie, piérwsze przy ognisku, piérwsze przy ołtarzu: słowem, skutkiem swéj rzadkości jest rodzajem półboga w pokoleniu. Khondy biją przed niemi czołem i z duszą w niewolą im się zaprzedają, ale mimo to, a może właśnie dlatego starają się usilnie, żeby tych półbogów jak najmniéj było nietylko u nich, ale na całym świecie. Pod tym względem są wielkiemi filantropami.

Jakżeż zapobiedz tylu różnorodnym występkom, do których Indyanina pędzi nietylko sama chciwość, ale najczęściéj ożeniony z nią fanatyzm religijny? Jak wykorzenić zbrodnią będącą dla wielu z nich praktyką religijną? Co począć naprzykład z Khondami, którzy zakupują od Pawnów trzody porwanych dziewczyn na to, ażeby je wytracić. Dzicy ci górale nie są nawet poddanemi, ale tylko wassalami Anglików. Anglicy nie mogąc zmienić ich wiary, ograniczają się na ści-

słém strzeżeniu granic i chwytaniu Pawnów dostarczających Khondom ludzi na węgle. Wymiar sprawiedliwości przeciw milionom codzień dokonywanych zbrodni, wyłącznie spoczywa na Anglikach, miejscowi bowiem książęta nie czują ani siły, ani ochoty pomagania im w tém zadaniu,

Ze wszystkich wielkorządców indyjskich lord Bentinck najprzeważniéj wpłynął na poprawę obyczajów krajowców; jeżeli nie wykorzenił złego, to przynajmniéj znacznie powściągnął zbrodnie i przygniótł zabobony. Pomiędzy innemi zniósł prawie zupełnie odwieczny zwyczaj samobójstwa wdów, karząc śmiercią każdego, ktoby niewiastę do tego czynu nakłaniał; ale niestety! nie ma kraju, gdzieby kara śmierci mniéj była skuteczną, jak w Indyach. Thugowie szli na rusztowanie przy odgłosie muzyki, ustrojeni w kwiaty, stryczek sami sobie zarzucali na szyję i z rozkoszą „rzucali się w nieskończoność". Zgromadzony tłum ze czcią na skon ich spoglądał, a potém głosił, że to święci, którzy złożywszy ofiarę z życia, wkupili się do raju boga Wishnu.

Całe Indye są więc ogromną jaskinią łotrów: ludność miejscowa, z małym wyjątkiem, składa się z thuggistów, datturców, dakoitów, pawnów, khondów i wszelkiego rodzaju oszustów, złodziei i rozbójników, którzy w imię swego boga czy diabła, rozbijają i mordują; sprawy ich codzienne: ofiary z ludzi składane na ołtarzach bałwanów, dzieciobójstwa, tortury i wszelkiego rodzaju okrucieństwa. Chcąc zreformować takie społeczeństwo, trzeba sięgnąć do gruntu: tak zakorzenione złe można tylko wyplenić zająwszy się gorliwie kształceniem młodego pokolenia. Co uczynili w tym względzie Anglicy? Jaki jest obecnie stan wychowania publicznego w Indyach?

Pan Valbezen długie téj ważnéj kwestyi poświęca rozdziały; my przebiegniemy z nim i przytoczymy tu ważniejsze fakta.

Indyjski nauczyciel jestto zazwyczaj biédak płacony ryżem i tytuniem, uczony głupiec, który naucza machinalnie, czego się sam machinalnie nauczył. Wiedza jego nie bardzo rozległa: wié ni mniéj ni więcéj tyle, ile wiedziano przed dwoma tysiącami lat. Uczniе zbierają się albo w świątyni, albo przed sklepem, często pod drzewem lub w jakiéj pustéj chałupie. Ponieważ szkoły krajowe nie posiadają książek drukowanych, a rękopisy są bardzo rzadkie, cała przeto nauka odbywa się słownie. Brak książek indyjskich byłby tu dobrodziejstwem, bo z nich dzieci mogłyby się tylko nauczyć przesądów i zagrzęznąć w grubszéj jeszcze ciemnocie; ale niestety, nauczanie ustne nie rozwija w nich także wyższych pojęć, jak to można wnosić z następnych zasad, tłumaczonych dosłownie z kajetów dawanych dzieciom do przepisywania. Brzmią one tak:

„Człowiek powinien być uprzejmy dla swego nieprzyjaciela, jeźli z jego pomocą może się pozbyć innego wroga: jestto toż samo, co wyjmować z nogi kolec drugim kolcem".

„Kobieta jest potrzebna na to, żeby mieć syna, syn na to, żeby na twym pogrzebie rozdawał ciasta, przyjaciel na to, żeby ci dopomógł w potrzebie: jedne pieniądze potrzebne do wszystkiego, bo zaspakajają wszelkie potrzeby życia".

„Kto ma dobry apetyt, dobre jadło, siłę męzką, piękną kobietę, serce wspaniałe i dużo pieniędzy, dowodzi, że w przeszłém życiu dobrze się bogu zasłużył".

Teraz wejdźmy do jednéj z tych szkół, gdzie powyższy kodeks samolubstwa tak naiwnie wykładają. Piérwsza rzecz, która uderza wchodzącego Europejczyka jest wykonanie kodeksu karnego: tu widzisz dziecko powieszone za nogi, owdzie zwraca twą uwagę jakiś ruszający się worek. Pytasz, co to jest? to uczeń zawiązany z dzikim kotem. Daléj widzisz, jak jakiemuś nieborakowi wyciągają kleszczami uszy,

temu wyłamują stawy, tego wieszają za włosy, owego podkadzają zapaloną słomą... Przerażony, oburzony, sądzisz, żeś o parę wieków w tył cofnięty, wpadł do pracowni jakiegoś świętego inkwizytora.... dopiéro płacz dzieci przypomina ci, że to elementarna szkoła indyjska.

I dziwić się tu potém, że tak wychowane dzieci, dorosłszy, mają do tortury skłonność!

W szkołach wyższych uczą młodzież po persku i arabsku. Szkoły sanskryckie są najwyższe: wykładają w nich wszystkie gałęzie nauk indyjskich. Bramini sami jedni mają prawo studyować święte poemata, prawo i filozofią.

W całych Indyach nie ma ani jednéj szkoły żeńskiéj. Uważając wykształcenie kobiét za główną dźwignię oświaty narodu, Anglicy zajmowali się gorliwie wychowaniem dziewczyn, ale usiłowania ich spełzły na niczém. Indyanki mają nieprzełamany wstręt do nauki: ani nagrody ofiarowane rodzicom za posyłanie córek do szkoły, ani książęce posagi, które bogaci Anglicy po skończonéj edukacyi obiecywali dobrym uczennicom, nic do książki przywabić ich nie zdołało. „Żona jednego missyonarza, powiada Valbezen, założyła własnym kosztem w jedném z środkowych miast indyjskich pensyą panien. Po kilku latach przekonała się, że cała jéj święta cierpliwość i usilna praca, daremna. Wszystkie jéj wychowanki, bez wyjątku, dorosłszy, pomnożyły ludność domów publicznych tegoż miasta."

Wychowanie mężczyzn, częstokroć w najlepszych warunkach, nie pomyślniej się udaje. Na początku tego wieku, missyonarze angielscy przywieźli do Londynu młodego Karaïba i wychowali go w religii protestanckiéj. Młodzieniec na pozór bardzo dobrze przyjął edukacyą i dorosłszy niczém się od prawdziwego nie różnił gentlemana. Ale dnia pewnego, znudzony chmurném niebem Albionu, zabrał manatki i odpłynął do słonecznéj ojczyzny. Stanąwszy na swéj ziemi, odrazu za-

pomniał wszystkiego czego się był nauczył, zrzucił suknie europejskie, i umalowawszy ciało karminem, powrócił do rodzinnéj sekty ludożerców, któréj zbójeckie życie i krwawe bankiety, jak nowy Ugolino, odtąd zażarcie podzielał.

Te, i wiele innych przytoczonych w księdze Valbezena faktów, dowodzą, jak trudno jest szczepić prawdę na téj do gruntu spruchniałéj, a jadowitéj jak indyjskie gady społeczności, do umoralnienia któréj ani odrobiny nie przyczynia się wychowanie, dawane młodzieży przez krajowców. Kompania pozakładała mnóstwo szkół męzkich na całéj przestrzeni państwa; jest ich trzy rodzaje: w jednych wykładają same nauki wschodnie, w drugich same europejskie, w trzecich elementarne. Te ostatnie są prawie puste; drugie najwięcéj liczą uczni.

Największe usługi wychowaniu publicznemu oddają missyonarze; w sprawie nawracania usługi ich są daleko wątpliwsze, jakkolwiek statystyki religijne wskazują znaczne cyfry. „Ludzie znający dobrze charakter Indyan, mówi Valbezen, twierdzą, że missyonarze tworzą tylko pozornych chrześcian, gotowych zawsze powrócić do dawnych błędów.” Łatwo temu uwierzyć, wspomniawszy że Indye oparły się nawet gorliwości świętego Franciszka Xawerego. Przybyli późniéj Jezuici zyskali większe powodzenie dlatego, że się podawali za braminów. Ubrani w pomarańczowe suknie, skóry tygrysie, z symbolicznym kijem o siedmiu sękach w ręku, pełniąc skrupulatnie wszystkie obrządki religii bramińskiéj, ojcowie wszędzie prawie znaleźli posłuch i szacunek. Wiedzieli wprawdzie, że tym sposobem nieosobliwych tworzą chrześcian, ale mało na to zważali, gdyż rzeczywistym ich celem było założyć w Indyach jedno z owych potężnych polityczno-przemysłowo-religijnych stowarzyszeń, w których zakładaniu i utrzymywaniu celują od wieków. Byliby pewnie na téj drodze zaszli daleko, ale papiéż Klemens XI zawiadomiony

o obranych przez nich środkach, posłał do Indyj kardynała Tournon z rozkazem, ażeby pod karą klątwy natychmiast zaniechali maskarady.

Synowie Lojoli wbrew woli stolicy apostolskiéj daléj swoje robili, i wpływ ich byłby się zapewne do dziś dnia szerzył w Indyach, gdyby Anglicy obawiając się przewagi katolickiego zakonu, nie odkryli przed ludem podstępu. Wtedy Indyanie porzucili niezwłocznie fałszywych, a powrócili do prawdziwych braminów, i na tém się skończyła jezuicka propaganda.

Rząd angielski w Indyach systematycznie wstrzymuje się od wszelkiéj religijnéj propagandy. W takich razach są tylko dwa środki: system hiszpański, to jest gwałt, albo też nietykalność; kompania wybrała ten ostatni, twierdząc rozsądnie, że jedyny sposób nawrócenia narodu jest oświecić go.

Wydatki na oświecenie publiczne w Indyach wynoszą rocznie dziewięć lacs rupii (około pięciu milionów złp.). Ogromna ta summa jest jeszcze zamała stosunkowo do 140stu milionów ludności. Valbezen nalega, żeby kompania, jeżeli chce odpowiedzieć godnie swéj cywilizacyjnéj missyi, powiększyła o trzecią część budżet wychowania publicznego, oraz pod szczególną wzięła pieczę szkoły elementarne. „Cała przyszłość Indyi, powiada, leży w szkołach elementarnych krajowych. Oczyścić je z zabobonu, zaopatrzyć w dobre książki, wyznaczyć przyzwoite wynagrodzenie nauczycielom, powinno być pierwszém zadaniem kompanii; zadaniem, którego dopełnienie nakazuje jéj wysokie posłannictwo Anglii."

— Rozpisaliśmy się nieco obszerniéj o książce Valbezena: mniemamy bowiem, że wyjęte z niéj szczegóły posłużą niejednemu z czytelników naszych do oryentowania się w téj żywotnéj teraz, a często mylnie u nas pojmowanéj kwestyi. Zresztą, prócz tego dzieła, nie pojawiło się w ostatnich czasach na tutejszéj niwie literackiéj nic, o czémby mówić warto. Teatra nawet,

w oczekiwaniu zapowiedzianych nowych płodów krajowych, uciekły się do zagranicznych, na co, mówiąc nawiasem, wcale się nie skarżymy. W ubiegłym tygodniu grano tu same arcydzieła: w Odeonie Intrygę i Miłość, w Cyrku Hamleta i Króla Lira, w Salle Ventadour, Otello. Zaprawdę, jest się czém pocieszyć w nieobecności wodwilu.

Dramat Szyllera chociaż mniéj dobrze przedstawiony, większe zyskał powodzenie na scenie paryzkiéj niż tragedye Szekspira. Młodzieńcze utwory autora Rozbójników jakoś lepiéj przystają do zapalnego charakteru Francuzów, niż rozumne dzieła genialnego dramaturga angielskiego; mianowicie téż Intryga i Miłość, w któréj natura i namiętność z dziwnie wymowną goryczą dopomina się praw swoich, wywołuje zawsze silne współczucie. Współczucie to jak i oburzenie autora z jednego płyną źródła: czasy Szyllera mają pewne podobieństwo z dzisiejszą epoką Francyi. W społeczności staréj zdarzają się chwile, w których jéj sternicy straciwszy z oczu cel prawy, tracą szacunek dusz szlachetnych; wtedy sympatya ludzi dobrych zużyta widokiem zepsucia przebijającego wszędy z pod gazy hipokryzyi, naturalnym odskokiem wpada w drugą ostateczność; wiąże się z buntownikami, i dlatego że mają odwagę, szczerość i zapał, wszystkie ich nawet zgubne dążności uważa za powrót do piękna i prawdy. Wtedy, każdy autor targający formy bez ducha, zyskuje sympatyą nietylko zmienników, którym każdy węzeł cięży, ale nawet wybranych; wtedy, najszlachetniejsze dusze obłudną ręką istniejącego porządku w drugą wepchnięte ostateczność, mając, jak w Zbójcach zestawiony pałac magnata z jaskinią łotrów, bez wahania sprzyjają ostatniéj.

Od tak namiętnéj przeciw złemu protestacyi, mogą się tylko ustrzedz ludzie bezmyślni, albo geniusze; artyści olimpijskiéj pagody jak Goethe, albo obojętni spektatorowie jak Szekspir. Szekspir patrzy na świat jak

Bóg: wszystko równe w jego oczach, naraz widzi obie strony każdéj rzeczy, jęki nie przeszkadzają mu słyszeć śmiechu. W dziełach jego nie widać go, jak nie widać Boga w dziele tworzenia; nigdy nie dojrzysz w jego ręku nici od maryonetek, za nikim strony nie trzyma, twory swoje puszcza samopas, i w wirze wypadków pozwala im działać dowolnie. Szyller przeciwnie: bohaterów swoich prowadzi na pasku i każe im adwokatować dobrą sprawę. Szyller jest tylko wspaniałomyślnym człowiekiem. Tkliwy i exaltowany, łatwo ulega wrażeniom; sprawy ludzkie zbyt go absorbują, złe zbyt oburza, niewdzięczność nadto boli, tak, że okiem łzą zaćmioném często nie widzi prawdy, a zranioném sercem często niesprawiedliwie sądzi. Ale kto z ludźmi cierpi i z nimi się śmieje, do tego naturalnie więcéj lgną serca ludzkie niż do tego, kto z góry na ten padół płaczu spogląda. Ztąd współczucie mass dla często szalonych, ale płomiennych dramatów Szyllera, ztąd obojętność dla genialnych ale zimnych tworów Szekspira, chociaż grano je znakomicie.

Rouvièr, piérwszy teraz tragik w Paryżu, w roli Hamleta i króla Lira, dorównywał chwilami Devrienowi, Włoch Salwini rolę Otella zrozumiał lepiéj niż którykolwiek tegoczesny aktor.

Artysta ten posiadający trzy główne przymioty aktora: talent, piękność i organ dźwięczny, występuje obecnie we włoskim dramacie, zanim tenże ustąpi miejsca śpiewakom. Powodzenie jego tutaj dorównywa prawie powodzeniu pani Ristori: mianowicie też w roli Otella zasypano go kwiatami.

Rola weneckiego Maura nawet miernie oddana czyni wielki efekt, cóż dopiéro jeżeli jest tak pojętą, jak ją pojmuje Salvini. Główną zaletą jego gry, że nie zapomina ani na chwilę iż jest negrem. Zwyczajni aktorowie rozumieją, że na to dosyć twarz sobie uczernić, i w tém się grubo mylą. Ruchy, chód i gesta murzyna

są zupełnie inne niż ruchy białego. Salvini obserwował je i wyuczył ich się wybornie.

Sztuczna jego cera ma ów kolor czarno-niebieskawy, właściwy Abissyńczykom, nie czekoladowy, którego używają zwykle malowani negrowie; krótko przystrzyżona broda dodaje jego licom dzikości, a zdjęty turban odsłania włosy kędzierzawe jak runo czarnéj wełny. W chwilach spokoju, chód jego miał cechę wschodniéj apatyi, powłóczył nogi jak człowiek do babuszów przywykły; ale skoro namiętność w żyłach zagrała, ociężały Maur przedzierżgał się naraz w tygrysa; kurczył się jak drażniona pantera nim na pastwę skoczy, a wzrok i zęby jego ciskały błyskawice tém straszniejsze, że migające na czarnéj twarzy, jak na złowrogiéj chmurze.

Chociaż przywykły do klassycznego sztyletu, Salvini nie chcąc odejmować zakończeniu właściwéj cechy dzikiego okrucieństwa, zamiast puginału, używa poprostu noża. Uczuł on, że cała dzikość afrykańska musiała odżyć w negrze miotanym wściekłą zazdrością, że ogłada, że wyrezonowana szlachetność musiały w tym paroksyzmie ustąpić miejsca zwierzęcym instynktom syna pustyni; kiedy więc dusi Dezdemonę, siada jak czarna zmora na jéj białém ciele... a potém odsadziwszy się, jak pantera skacze na Jaga i tnie go żelazem jak zębem.

Mistrzowsko także odegrał Salvini ten ustęp, kiedy Otello po spełnionéj zbrodni stojąc koło łoża Dezdemony, mówi ów urywany monolog, kończący się temi słowy:

„Opowiedz to wszystko i dodaj, iż dnia pewnego spotkawszy w Alepie Turka, zbrodniarza w turbanie, znieważającego Wenecyanina, a w osobie jego bezczeszczącego całe państwo, chwyciłem tego nędznika za gardło, i zabiłem go—ot tak!"

Tu Salvini zamiast sztylet w piersiach swych utopić, chwyta się za gardło i podrzyna się kindżałem.

Ten szczegół świadczy jak głęboko artysta włoski pojął swą rolę. Otello w przemowie poprzedzającéj samobójstwo, osądził się i porównał do podłego żyda, poczém w napadzie wzgardy brzydząc się sobą, zabija siebie jak psa. Rzecz prosta, a jednak nie każdy aktor wstrzymałby się w tém miejscu od klassycznéj pozy.

— Nie uważając na Szekspira i upały, Ambigu-Comique odważnie wystąpił z pięcio aktowym dramatem Montépin'a pod tytułem: Les Viveurs de Paris. Dramat ten chociaż już poprzednio w formie romansu znany, zyskał powodzenie, które po części autor tytułowi sztuki zawdzięcza.

Uważaliśmy to już nieraz, że ilekroć w tytule romansu lub dramatu mieści się czarowne słowo „Paryż", powodzenie dzieła niemylne. Paryż lubi się niezmiernie przeglądać i rad patrzy na wszystkie swoje wizerunki: czyto będzie portret olejny, pastel, litografia, czy prosty dagerotyp tylko, z równą chwyta go chciwością; jak Narcyz zakochany w sobie, nachyla się nad każde źródło, gdzie ma nadzieję postać swoję zobaczyć.

Paryż najciekawszy Paryża, mianowicie téż ciekawy był poznać swoich hulaków, bo mimo złéj opinii jaką o nim szerzą nasze podróżujące Katony, Paryż jest pracowity, rozsądny i na hulankę bardzo mało ma czasu. Paryż buduje, kuje, żłobi, tka, przędzie, szyje, myśli, czyta, pisze, kupuje, sprzedaje, spekuluje, gra na bursie i na fortepianie, deklamuje, drukuje, tak pilnie, tak zażarcie, że ledwie ma czas zjeść i przespać się. Praca żelazną ręką chwyta go o świcie i trzyma często do północy, i to praca usilna, gorączkowa, zawzięta, praca, o któréj my wyobrażenia nie mamy. Cudzoziemiec, który tutejszą społeczność sądzi z małéj skaczącéj, śpiewającéj i próżnującéj jego cząstki, złożonéj głównie z cudzoziemców, nie zna wcale Paryża. Paryż okrzyczany trzpiotem, jest teraz w gruncie najrozsądniejszém i najpoważniejszém z miast

europejskich. Lekkomyślność jego zgilotynowano razem z arystokracyą jeszcze w 1793 roku. Ale tradycya trwa dłużéj niż obyczaj, więc są jeszcze ludzie, którzy mniemają że jedyném zajęciem francuzkiéj stolicy zabawa i rozpusta. Zostawiając ich w tém mniemaniu, bo nie przekona tego słowo kogo własne oczy nie przekonały, powracamy do hulaków pana Montépin.

Przedmiot romansu Les Viveurs de Paris, nie nowy. Jestto jedno więcéj jaskrawe malowidło zdjęte z życia marmurowych, gipsowych i glinianych dziewic, których obyczaje od niejakiego czasu tak bardzo świat zajmują. Przenosząc swych hulaków z papieru na teatralne deski, pan Montépin musiał znacznie poskromić ich gadatliwość, powyjmować im z ust cygara i rozpustne słowa: krótko mówiąc, musiał całą kompanią przywołać do porządku. Z czego wynikło, że rozpustnicy zatracili zupełnie swój charakter i na scenie wyglądają skromnie jak baranki.

Z całéj zgrai jeden tylko baron Savenay jest w dobrym humorze. Zakłada się on z kolegami o pięćdziesiąt luidorów, że uwiedzie hrabinę Bertę świeżo zamężną z Henrykiem Preuil. Żeby dopiąć celu, baron zaprzyjaźnia się najprzód z mężem hrabiny i wciąga go w rozpustne koła, chcąc go tym sposobem pozbawić szacunku małżonki. Zaprowadzony razu pewnego do pięknéj aktorki, Henryk zapomniawszy na wzór Ulissesa uszu sobie woskiem zalepić, ulega pokusie. Savenay natychmiast uwiadamia o tém żonę. Berta przebacza tę lekkomyślność mężowi pod warunkiem, że zerwie z Savenayem, a z nią na wsi zamieszka. Henryk przystaje i jedzie nająć willę w Chantilly. W nieobecności jego Berta odbiera drugi list z zawiadomieniem, że mąż w tym a tym domu klęczy u stóp jéj rywalki. Oburzona tą recydywą hrabina, biegnie do wskazanego domu, ale zamiast męża zastaje tam samego Savenaya, który czyni co może, żeby wygrać

zakład. Berta wychodzi zwycięzko z zasadzki, lecz w pomieszaniu gubi bransoletę, którą Savenay pokazuje jako dowód miłości i tryumfu.

Wieść ta dochodzi do uszu hrabiego; oburzony małżonek policzkuje kłamcę i wyzywa go na pojedynek. Spotkanie ma się odbyć nazajutrz. W nocy Henryk pisze testament, oraz list do żony, w którym jakby już z grobu, przebacza jéj wyrządzoną sobie krzywdę. Napisawszy ten list, usypia.

Wtém, wchodzi pocichu Berta, czyta pismo, budzi męża i przysięga mu, iż jest niewinna.

Nazajutrz na placu boju, Berta staje za mającym się strzelać mężem ukryta w liściach, ale tak, żeby ją Savenay widział. Zmieszany jéj wzrokiem przeciwnik chybia. Henryk gardzi jego życiem i strzela w powietrze. Oszczercę nie mija przeto zasłużona kara: jeden z dawnych towarzyszy barona, oburzony jego podłością, wyzywa go i zabija na miejscu.

Oto szkielet sztuki. Nie jest ona bez pewnego wdzięku, ale wdzięk ten polegający głównie na wybornéj grze aktorów, wypowiedzieć się nie da.

— Pod tytułem: „Des Types et des manières des Maitres Graveurs", Juliusz Renouvier wydaje poszytami jeżeli nie historyą, to ważne materyały do historyi sztycharstwa. Piérwszy to pisarz we Francyi zajmujący się seryo tym przedmiotem. Notatki Duchesn'a i Labord'a byłyto studya oderwane, praca zaś Renouviera ma pewną całość. Autor śledzi sztukę sztycharską od XV do XVIII wieku i w tym przeciągu czasu wskazuje trzy wielkie epoki, podczas których najwyżéj stała: najprzód wiek XV, w którym urodziło się sztycharstwo, następnie epokę odrodzenia i koniec XVII wieku.

— Jeszcze jedna wiadomość literacka, choć nie paryzka. W Londynie najznakomitsi obywatele popierają projekt wprowadzenia do Izby lordów Macauleya.

Arystokracya angielska powołując w swoje grono wielbionego od narodu dziejopisa, daje nowy dowód zręczności i rozumu: przyciąganie do siebie wszystkich znakomitych ludzi jacy się pojawiają tak dobrze na politycznem, jak literackiém i przemysłowém polu, jest najlepszém zabezpieczeniem się przeciwko potęgom, które zostawione na uboczu, mogłyby działać szkodliwie.

Przed pięcią laty arystokracya angielska podobnież postąpiła z Paxtonem, najprzód ogrodniczkiem, a później budowniczym kryształowego pałacu. Książę Devonshire, w którego ogrodach Paxton jako prosty wyrobnik pracował, głównie się przyczynił do jego wyniesienia. Zadowolony z wypełnienia missyi botanicznéj, w któréj go wysłał do Indyj, książę mianował naprzód Paxtona swym naczelnym ogrodnikiem; następnie uderzony oryginalnością nakreślonego przezeń planu kryształowego pałacu, postarał się, ażeby był przyjęty przez komissyą wystawy, a po jéj zamknięciu wyjednał budowniczemu szlachectwo. W kilka dni po wręczeniu mu dyplomu, książę spotkawszy Paxtona w arystokratycznym salonie w obec licznego towarzystwa podał mu rękę i rzekł: „Panie baronie, jestem szczęśliwy, że do naszego grona należysz".

Wprowadzenie Macauleya do izby lordów mniéj niż uszlachcenie Paxtona napotykające trudności, zapewne wkrótce dokonane zostanie.

PIELGRZYM.

1.

Widziałem wiele świata, krain, wiele
Miast i pomników i dawnych i nowych;
I Pompejanum zastygłe w popiele,
I sen mammuta w lodach biegunowych;
Byłem i w Piotra potężnym kościele,
I pod namiotem u ludów koczowych;
I Alp wyniosłych deptalem grzbiet śnieżny,
I przez ocean płynąłem bezbrzeżny.

2.

Cześć sztuce, pokłon oddałem naturze:
Bo czy się piętrzy niebotyczną skałą,
Czy po ruinach wonne ściele róże,
Czy morzem wstrząsa, czy też rzeką całą
Zapada w przepaść, czy piorunem w chmurze
Zahuczy: zawsze jest piękną, wspaniałą
W zamierzchłym lesie, na kłosistém polu,
I w czarującym golfie Neapolu!

3.

Gdzie słońce jasne, niebo lazurowe,
Błękitna fala pośród piętr z granitu;
I widzisz miasto w bieli: tę królowę
Z palmą i w myrtach schodzącą z skał szczytu.
Zawój błękitnéj mgły zdobi jéj głowę,
U jéj stóp całe otchłanie błękitu;
A nad tym pełnym uroku widokiem
Wznosi się olbrzym Wezuw, z swym obłokiem.

4.

Jakże odmienném odbija obliczem
Dzikość pustyni, ów step nieprzejrzany,
Z traw i żyjątek szmerem tajemniczym,
Po którym śnieżne hulają orkany;
Te lasy cedrów z swém piętnem dziewiczém,
Strop niebios w mgliste opony odziany,
Gdzie księżyc w tęczy, a zimą trzy słońca,
I zorza z iskier bieguna wstająca.

5.

A choć mniéj może w zjawiska bogaty
Ow łan pszeniczny w złote bujny plony,
Gdzie w środku wieża kościołka i chaty,
A okrąg sinemi bory otoczony;
Gdzie wszystko proste, i serca i kwiaty,
A w gajach ptasząt brzmi śpiéw nieuczony:
Chociaż ten obraz przypruszy szron zimy,
Najmilszy oku—bo swój, bo rodzimy.

6.

Wszędzie są cuda, kto w nie patrzéć umié,
Bo każda cząstka w ogromie wszechświata,
Wypiastowana w Przedwiecznym rozumie,
W ogół harmonii cudownie się splata;
I nic nie razi w mnogim zjawisk tłumie,
Wszystko cię w węzeł tajemniczy brata:
Gromy i morza, wulkany i chmury,
To jak akkordy w tym hymnie natury.

G. Z.

JEZUICI W KALISZU

(1581—1773)

SZKIC HISTORYCZNY.

SKREŚLIŁ

Cezar Biernacki.

(Dokończenie).

IV.

Prace Jezuitów kaliskich około dobra kościoła i zakonu.—Ich znaczenie.—Dobrodzieje kollegium.—Zamożność ogólna.—Skarbiec.—Zakrystya, drukarnia i apteka.

Ogólny wpływ i potęga Jezuitów brały swe źródło w niezmordowanéj czynności i ślepém posłuszeństwie dla rozkazów i woli ich zwierzchnika: jakoż w ręku Towarzystwa Jezusowego, oba te środki były najsilniejszą dźwignią dla podtrzymania obok całości kościoła, własnego dobra i znaczenia. Ztąd wola ich w tym względzie stawała się nieraz tak silną, że dla dopięcia powziętych zamiarów nic się przed nimi oprzeć nie mogło. A jakkolwiek w obecnym czasie spostrzegać się znów daje pewien ruch na polu badań historycznych, o pojmowaniu posłannictwa w kraju naszym Zakonu Jezusowego, który aż dotąd, rzec można, znajduje się pod niejakim naciskiem stronnictw za i przeciw zgromadzeniu temu powstających; powodowani jednak szczupłym zakresem niniejszego obrazu, (któremu wszak-

że nie przystoi udział w traktowaniu kwestyi tak ważnéj), możemy wyrazić na zasadzie zebranych faktów zapewnienie: iż przez cały przeciąg istnienia w Kaliszu kollegium OO. Jezuitów, żadne zdrożności lub nadużycia ze strony członków onego, w niczém nie zakłóciły ciszy murów klasztornych, a témbardziéj bezpieczeństwa mieszkańców, spokojnym bytem tchnącego miasta. Owszem, zachowanie się ich przyzwoite, nie mogło wzbudzać żadnych podejrzeń ani obawy. Zajmowali się zawsze kształceniem młodzieży oraz nawracaniem na łono prawowiernego kościoła, i że w tém usiłowaniu nigdy nie ustawali, za dowód posłużyć może Kuryer Polski z r. 1756 nr. 142, w którym czytamy: „Dnia wczorajszego (26 marca) przy feście Zwiastowania N. M. P. w kościele S. J. odprawił solenną wiary katolickiéj professyę nowo nawrócony ex Lutheranismo IMPan Alexander Bronikowski znacznéj w Polsce familii (1), któremu do tego aktu *cum omni solennitate* assystowała *congregatio maxima* jako przy uroczystości tytułu swego. Tegoż dnia z innemi gośćmi zaprosił do refektarza zakonnego R. P. Tomas Dunin Assistens Poloniae".

Słowem postępowanie Jezuitów w Kaliszu było spokojne, żyli zgodnie z obywatelami, wyjąwszy tylko że się z nimi o prawa swéj własności często w sądach spierali, czego ślady napotkać można w księgach grodzkich kaliskich i w aktach dawnego trybunału piotrkowskiego znajdujących się w Arch. Koronnem. O nietolerancyi religijnéj i prześladowaniach ulicznych, jak się to gdzieindziéj zdarzało, np. w Toruniu, Poznaniu, Wilnie lub Krakowie, historya, co się tyczy Kalisza najmniejszéj wzmianki nie czyni.

Hojnie od samego początku uposażona rezydencya tutejsza Jezuitów, w ciągu prawie dwóch wieków istnienia swojego, wielu w stanie świeckim obojéj płci znalazła dobrodziejów, którzy: jużto przyozdabiali lub naprawiali gmachy klasztorne i kościół, już też inne czynili dary, pomnażające majątek zgromadzenia, który z tego powodu ciągle w kwitnącym utrzymywał się stanie. I tak: wspomniany już wyżéj prymas *Maciéj Łubieński* 8 z kolei po Karnkowskim arcybiskup gnieźnieński, prócz znacznego na szkoły nakładu, zapisał samemu kollegium 5,000 a na kościoł 2,000 złp. Przykładali się również

(1) Rodzina ta osiedlona w Wielkopolsce, znaczyła się herbem Osęka.

dla dobra Jezuitów różnemi czasy: *Bułakowski Jan h.* Prawdzic Jezuita, *Bułakowska Anna* podczaszyna poznańska z domu Koźmińska, *Bułakowski Adam* miecznik kaliski potém kasztelan rogoziński i deputat na trybunał koronny roku 1693 syn poprzednio wymienionéj, *Biskupski Jan* h. Lis, cześnik sieradzki, *Czarniecki Piotr* h. Łodzia, rycerz znakomity pogromca Szwedów, *Grodzicki Samuel Stanisław* z Grodźca h. Nałęcz, Zygmunta III do króla hiszpańskiego poseł, jadąc do Placencyi r. 1612, w drodze zapisał kollegium 30,000 złp., *Koźmińska Maryanna*, *Leszczyńska Konstancya* wojewodzina podlaska, *Lipski Stanisław* h. Grabie, proboszcz gnieźnieński i chocki, syn Jana sędziego ziems. kalis., *Lipski Jan Alexander* biskup krakowski, *Leszczyński Jan Ignacy* h. Wieniawa, starosta ostrzeszowski, syn Wacława wojewody podlaskiego, *Łączyński Floryan* h. Nałęcz za Jana III służący rycersko pod Wiedniem, *Mycielski Łukasz* h. Dołęga, wojski sieradzki s. Samuela z Mycielina, *Miłaczewski Mikołaj* h. Korab, *Molska* stolnikowa i surrogatorowa kalis. córka Marcina Czarnieckiego, *Napruszewska Zofia*, *Paprocki Jakób* h. Jelita, miał jakiś folwark kollegium kaliskiemu darować, a w roku 1608, złp. 4,000, *Rozrażewska Gryzelda* wraz z mężem, kasztelanowa poznańska, starościna odolanowska, córka Marka Sobieskiego wojewody lubelskiego, blizka krewna Jana Zamojskiego a ciotka króla Jana III; *Szyszkowski Mikołaj* h. Ostoja podkomorzy, *Taleska Sara* obywatelka w Kaliszu, *Waliszewski Maciéj Konstanty* h. Leszczyc, pisarz ziemski sieradzki r. 1695 na potrzeby kościoła 10,000 złp. zapisał, *Załuskowski Wojciech* h. Rola, *Zarembianka Katarzyna* żona Jana z Górki Roszkowskiego, kasztel. poznańsk., *Zarembina Anna* z Kalinowy z domu Gulczewska, *Złotkowski Andrzéj* h. Topor, *Zapolski Ignacy* h. Pobog Jezuita, *Gałczyński Tomasz* r. 1738 summę 100 cz. złot. pewnemu żydowi na procent wypożyczoną, przekazał na fabrykę kollegium i kościoła. *Jadwiga* z Linowskich *Skrzetuska* na dobrach Kokanin zapisała kollegium 2,000 złp., którą to summę Jezuici w r. 1739 podnieśli (feria tertia post festum exaltationis s. Crucis); i. w. i.

Sami również Jezuici wiele dbali o podniesienie swéj zamożności przez troskliwe zabiegi i zarząd oszczędny, tym sposobem stopniowo przychodząc do znacznych dostatków tak, że w końcu kollegium kaliskie do najbogatszych w Polsce w swym czasie liczono. Gdy w r. 1773 nastąpiła kassacya zakonu wów-

czas według księgi funduszowéj (1) Jezuici kaliscy posiadali w dobrach ziemskich następujące realności:

Numer kolejny	Nazwisko dóbr	Nazwisko powiatu	Nazwisko Delegowanych wyznaczonych dla dopełnienia lustracyi ekonomicznej w r. 1773.	W lustracyi wykazano dochód roczny Złote	i grosze.	ogólną wartość szacunkową Złote	i grosze.	UWAGI.
1.	Bochlewo i Tokary.	Kaliski	Byszewski i Gliszczyński	3095	—	61900	—	Komissya Rozdawnicza na sessyi d. 22 lipca 1774 r. oddała te dobra Alexandrowi Kraszewskiemu, regimentarzowi partyi wielkopolskiej.
2.	Kokanin i Pawłówek.	detto	detto	5339	21	106795	—	Taż komissya decyzyą z d. 24 czerwca r. 1774 oddała Miaskowskiemu, staroście gnieźnień., który za jéj zezwoleniem ustąpił zaraz swe prawa Kwiatkowskiemu, chorążemu znaku Pancernego.
3.	Kościelec.	detto	detto	6666	—	104552	—	Decyzyą z d. 21 czerwca r. j. w. ustąpiono Alexandrowi Gnrowskiemu, podkom. gnieź. posłowi nutenczas z p. kaliskiego.
4.	Lisków, Żychów i Sierzchów.	detto	detto	4954	7	99084	20	W d. 5 lipca r. j. w. oddano w posiadanie Lipskiemu, skarbnikowi bilskiemu.
5.	Skarszewa pół wsi i majętność Szkorłaty.	detto	detto	3665	6	40724	25	W d. i r. j. w. ustąpione Mikorskiemu chorążemu pancernemu, który zrzekł się swych praw Józefowi Mikorskiemu, podkom. gosty.
6.	Stropieszyn.	detto	detto	2661	6	53224	—	D. i r. jak poprzedniéj pozycyi, oddano tę wieś pułkownikowi wojska koronnego Byszewskiemu.
7.	Taczanów i Lubomierz.	detto	detto	4504	—	90080	—	Tegoż d. i r. otrzymał w używalność Mikorski podkom. gostyń.
8.	Zawodzie.	detto	detto	545	—	10904	5	Decyzyą z d. i r. jak poprzednio oddane Skroszewskiemu, posłowi kaliskiemu; ten zaś odstąpił Umińskiemu, deputatowi na trybunał koronny lubelski.
			Razem	31430	10	567264	20	

(1) Księga funduszowa formatu w. arkusza istnieje w rękopismie pod tytułem: „Dobra w Koronie, które Rzplita oddała pod dozór kom-

Mieli jeszcze nadto Jezuici kapitały złożone (1):

a)	na synagogach żydowskich: w Krotoszynie, Lesznie i Kaliszu	złp.	74,417
b)	osobno na synagodze kaliskiéj	„	57,887
c)	na wsi Kamieniu	„	7,000
d)	na wsi Nadarzyce.	„	6,000
e)	i w różnych innych miejscach około	„	50,000.
	Razem		195,304.
	Dodawszy do tego wartość szacunkową dóbr		567,264 gr. 20.
	W ogólném zebraniu majątek zgromadzenia wynosił		762,568 gr. 20

i jak ocenić można bardzo znaczny, jeżeli prócz tego zważymy jak nisko podówczas dobra pojezuickie przez kommissyę rozdawniczą szacowane były.

Skarbiec i Zakrystya. Wspomniało się już poprzednio, że zgromadzenie Jezuitów kaliskich miało wielu dobrodziejów, którzy starali się różnemi sposoby zaspakajać jego potrzeby, czyniąc hojne ofiary dla uświetnienia służby Bożéj przy obrzędach kościelnych. Pobożne panie niosły na ofiarę wyrobione przez siebie bogate stroje ku przyozdobieniu ołtarzy i sług kościoła, a mężowie ich, naczynia i tym podobne drogocenne dary składali, tamte zakrystyą, ci skarbiec zaopatrując. Zakrystya i skarbiec tutejszego kościoła według świadectwa różnych pisarzy obejmowały znakomite bogactwa i pamiątki. W samych początkach założenia téj świątyni Karnkowski nie szczędził funduszów celem zaopatrzenia we wszelkie przybory i inne tego rodzaju potrzeby. Między innemi w r. 1589 (jeszcze przed poświęceniem kościoła) darował kielich srebrny bardzo misternéj roboty (2), w r. 1591 inny kielich także srebrny będący dziełem znakomitego artysty, szacowany na 400 ówczesnych talarów (3), w trzy lata późniéj kilka relikwiarzy, kielich bogaty i szat kościelnych pewną liczbę ofiarował (4). Z pó-

missyi edukacyjnéj etc. ułożone przez Franciszka Bielińskiego starostę czerskiego kommissyi edukacyjnéj kommissarza r. 1777."

(1) Łukaszewicz, Hist. Szkół IV, 82.

(2) Annuae Litt. S. J. Romae 1591.

(3) Tamże, 1594.

(4) Tamże, Neapoli 1604.

źniejszych Sara Taleska w r. 1608 wiele sztuk naczyń i ubiorów złożyła (1). W r. 1610 niewiadoma osoba ofiarowała srebrny wizerunek św. Ignacego drogiemi kamieniami przyozdobiony (2). Kapituła gnieźnieńska w r. 1611 nadesłała w podarunku puszkę srebrną wyzłacaną, wypukło rzeźbioną i pacyfikał, bardzo kosztowne (3). Jak dalece skarbiec i zakrystya były zamożne, o tém dokładną podaje wiadomość inwentarz w r. 1788 z polecenia kommissyi edukacyjnéj sporządzony. Dwie izby oddzielne odpowiadające przeznaczeniu składów powyższych, znajdowały się po lewéj stronie w. ołtarza od miejsca do prezbyteryum.

Drukarnia. Jezuici pisali i wydawali liczne dzieła dla nauki i zbudowania moralnego nietylko osób świeckich, ale i księży własnego zakonu. W tym celu zgromadzenie kaliskie posiadało własną drukarnią, w któréj wytłaczało prace swoich uczonych, Piérwsza typografia już r. 1603 w tém mieście istniejąca, należała do Jana Wolraba syna poznańskiego drukarza, który zdaje się że z woli Jezuitów był tu osadzony, podobnie jak ojciec jego z imienia także Jan, którego w r. 1578 jako katolika, z Budziszyna w Luzacyi do Poznania sprowadzili, a u którego nietylko Jezuici, ale i wszyscy pisarze katoliccy z Wielkopolski dzieła swoje odbijali. Jednocześnie prawie z Wolrabem około r. 1606 pojawił się nowy w Kaliszu drukarz Wojciech Gedeliusz, będący poprzednio zecerem u poznańskiego Wolraba. Nowemu przybyszowi lepiéj się wiodło, albowiem roboty miał na zapas, edycye jego ukazywały się jedna za drugą i do takiéj wkrótce doszedł wziętości i znaczenia, iż się zczasem tytułować zaczął „*archiepiscopalis typographus*". Jezuici nie mając jeszcze własnéj drukarni, dzieła swoje z początku u nich odbijali. Kto zaś jezuicką drukarnią założył i czyli to nastąpiło skutkiem ich starania o własną wygodę lub czy takowa przez kogo na rzecz zgromadzenia była nabytą, nic pewnego powiedzieć nie można. To tylko wiadomém jest, że Wawrzyniec Gembicki h. Nałęcz, arcybiskup gnieźnieński drukarnię kollegium znacznemi funduszami zasilał (4). Ztąd wy-

(1) Annuae Litt. J. S. Moguntiae, 1618.
(2) Tamże, Dilingae, 1610 p. 410.
(3) Tamże.
(4) Um. 1624 r. w wieku lat 63, Rzepnicki I, 152, Niesiecki II, 189.

chodziły druki na pięknym papierze z czytelnego odbicia powszechnie chwalone, o czém przekonywają dające się widzieć często staranne edycye, (co spowodować zapewne musiało otworzenie nowego zakładu przez Andrzeja Chojniewicza (1), i konieczność niejakiéj z nim w tym względzie emulacyi). W dość znacznéj liczbie puszczonych w obrot księgarski dzieł, większą część stanowiły pisma treści religijnéj, jakoto: teologia, żywoty świętych, mowy okolicznościowe, kazania, medytacye nabożne; z oddziału zaś książek czysto naukowych, wychodziły elementarne—zwane, compendia, rudimenta. Drukarnia ta różnemi czasy wypuszczała dzieła znanych z nauki po większéj części w stanie duchownym ludzi, jak np. Jędrzeja Chryz. Załuskiego, Stanisława Kobierzyckiego dziejopisa Władysława IV, Samuela z Skrzypny Twardowskiego, Macieja Sarbiewskiego S. J., Gaspara Drużbickiego S. J., Jana Kwiatkiewicza S. J., Wojciecha Wijuk Kojałowicza S. J., Pawła Kaczyńskiego S. J., Jana Morawskiego S. J., Wojciecha Tylkowskiego S. J., Jana Kraszewskiego S. J., Tomasza Młodzianowskiego S. J., Wojciecha Tymienieckiego, Stefana Wielewiejskiego S. J., Jerzego Gengell S. J., Jakóba Wujka z Wągrowca i w. i.

Drukarnia kollegium od r. 1714 na intytulacyach mianować się zaczęła królewską.

Jakiéj zakład ten nieustannie nawet od osób panujących doznawał opieki, świadczy następująca Augusta II libertacya:

„*Odstępujemy kollegium kaliskiemu zupełną moc używania wszystkich ogólnych i szczególnych praw i przywilejów: z których inni drukarze, księgarze i słudzy nasi według prawa i zwyczaju korzystają. Przytem surowo zalecamy księgarzom królestwa, dóbr naszych, ażeby nie ważyli się odtąd wzbraniać druku i wydawania książek jakichkolwiek autorów Soc. Jesu mianowicie w téj drukarni wytłaczanych bez zezwolenia przełożonego ze zgromadzenia Jezusowego w kraju dotąd istniejącego pod karę* 500 *zł. węgierskich i konfiskatą wszystkich książek, których jedna połowa dla skarbu naszego, druga zaś dla wspomnionego kollegium oddaną będzie. Wtedy wolno im być ma książki jakiego bądź autora albo wydawcy u siebie zebrane według*

(1) Księgi Bibliogr. Joach. Lelewela II, 228.

upodobania swego niszczyć bez żadnych reklamacyj i dochodzeń, ani też bez niczyjego przeszkodzenia którychkolwiek osób i urzędów. Co wszystkim zalecamy ażeby wspomnioną drukarnię kollegium kaliskiego za prawdziwą i rzeczywistą drukarnię naszego królewskiego majestatu uważano". Dan w Krakowie, dnia 19 *listopada R. P.* 1697. *Panowania zaś naszego roku pierwszego* (1).

Zakładu tego powodzenie było bardzo trwałe, bo chociaż drukarnie jezuickie z upadkiem zakonu powszechnie ustały, a niektóre z tego powodu nawet zmarnowały się zupełnie, ustępując miejsca innym nowo przybyłym; kaliska jednak na długi czas jeszcze od kommissyi edukacyjnéj był swój miała zapewniony. Przez umowę z d 24 września 1774 r. wydzierżawioną została ks. Wiktorowi Wargowskiemu ex-jezuicie na lat 3 za opłatą 1000 złp. rocznie, którą co rok dwoma ratami do kassy kommissyi wnosić był obowiązany. Z uwagi jednak, iż Wargowski znaczne poczynił nakłady na uregulowanie i sprawienie nowych czcionek i w dobrym stanie starał się drukarnię ciągle utrzymywać, kommissya edukacyjna po upływie tenuty, te same warunki znów od dnia 24 września 1777 r. na dalsze triennium przedłużyła, z tą tylko różnicą, że używalność jéj oddano mu przez kompensatę t. j. bez żadnéj opłaty w miejsce pobieranéj przezeń pensyi (2). Z wyjściem tego terminu, kontrakt obowiązujący obie strony, na następne lat 3 został ponowiony (3), i na tych prawach utrzymał się do r. 1781, w którym to dopiéro czasie kommissya edukacyjna odstąpiła ją na własność prymasom za przyjęcie na siebie obowiązku zrealizowania obligacyj duchownych po Jezuitach kaliskich ciążących, wraz z magazynem ksiąg *ante supressionem* Soc. Jesu drukowanych i całym sprzętem zamożność jéj stanowiącym (4). Odtąd już drukarnia ta tytułowała się typografią J. O. J. M. X. prymasa. W r. 1782 przełożonym nad nią był Jan Markiewicz kleryk. Ostatni z prymasów książę Michał Poniatowski arcybiskup gnieźnieński przeniósł ją do Łowicza.

(1) Oblata w aktach. Relat. Castr. Calis. w ks. z r. 1726 f. 635 Arch. akt daw. Kalis.

(2) Protok. Kommis. Edukac.

(3) Tamże.

(4) Kompozyta z d. 1 grudnia 1781 r.

Apteka (1). Jezuici w Kaliszu zajmowali się także farmacyą, mając przy kollegium własną aptekę nietylko dla swojéj potrzeby, ale i wygody miasta. Utrzymywali oni z pośród siebie księdza lekarza i prowizora, usposobionego do przyrządzania leków. Po ich zniesieniu w roku dopiéro 1780 z powodu wyczerpania materyałów zapasowych, apteka ta przestała być czynną, a w trzy lub cztery lata późniéj pozostały po niéj cały aparat i utensylia laboratoryjne z wolnéj ręki sprzedano (2).

Rektorowie kollegium. Rektora, mianował zwykle na przedstawienie właściwego prowincyała, generał zakonu. Główną powinnością jego było: wiernie i pilnie powierzoném sobie kollegium zarządzać i czuwać nad ścisłém wykonywaniem reguły klasztornéj i wszelkich zwyczajów bez możności atoli ich zmiany lub wprowadzania nowych, słowem starać się o środki utrzymania domu, szkoły i kościoła w dobrym stanie i porządku. W administracyi i gospodarstwie wewnętrznem przychodzili mu w pomoc, prokurator i konsyliarze, a w szkolnéj instrukcyi prefekt nauk. Dla utrzymania zaś rygoru i koniecznéj karności, mocen był rektor używać środków ustawą ogólną towarzystwa objętych.

Dzieje zakonu wskazują, że piérwszym rektorem w Kaliszu był:

Sawicki Kasper h. Nowina, urodzony w Wilnie r. 1552 dokąd jego rodzice przenieśli się z Podlasia. Przed obraniem stanu duchownego, nauki początkowe w kollegium brunsbergskiém pobierał, a mając lat 24 wstąpił do Jezuitów w Rzymie, zkąd powróciwszy w Jarosławiu przez lat 4 był prefektem nauk i kaznodzieją, późniéj w Wilnie teologią kontrowersyjną wykładał, następnie przez lat 9 prefektem nowicyatu w Krakowie, w r. 1584 został piérwszym rektorem kaliskim i rządził kollegium przez półtora roku. Towarzyszył późniéj wyprawie Dymitra samozwańca do Moskwy, gdzie lat trzy w niewoli przesiedział. Tam gdy w dniu 27 maja 1606 r. wybuchło powstanie, które spowodowało śmierć Dymitra i wielu Polaków,

(1) Cuda i łaski Józefa św. etc. przez ks. Stanisł. Jozefa Kłossowskiego, Kalisz 1780 r.

(2) Księga wizyty szkół wydz. wielkopols. w arch. koron.

ksiądz Sawicki z małą liczbą ziomków ocalał, chociaż zrazu mniemano, iż w ogólném zginął zamieszaniu (1). W późnym już wieku został prokuratorem prowincyi polskiéj w Rzymie, zkąd w czasie powrotu o milę od Frankfortu nad Odrą po odbyciu ostatnich powinności chrześciańskich przed swym towarzyszem podróży Szymonem Niklewiczem prow. litewskiéj prokuratorem, strudzony niewygodą i chorobą na kamień, d. 19 stycznia 1620 r. życie na wozie zakończył, pochowany w Poznaniu. Następujące wydał dzieła, pod własném, Jana Gołubskiego, Kaspra Cichockiego i Linowskiego imieniem:

Anatomia concilii editi de stabilienda pace Poloniae Jesuitis pulsis 1611 (pod nazwiskiem Cichockiego).

Dialogus Cursoris et Nautae bez m. i r. po pols. (Linowski).

Replika na nowiny z Poznania, które minister jeden trafny tego roku rozsiał po Prusiech, w Krakowie, u Jana drukarza 1614 roku.

Tryplika na duplikę ks. Tenebriona, Niedoperza ministra zborowéj drużyny w Toruniu, Cracoviae 1615 w 4ce.

Foremna zgoda albo raczéj istna wrzawa między temi, którzy się ewangelikami nazywają, przez J. Prus Gołubskiego, w Krakowie w drukar. Łazarzowéj 1616 r. in 4o str. 29.

Dwa następujące dziełka jak utrzymuje autor Piśmiennictwa pols. (t. III—596) mają być ostatnie z prac Sawickiego i tłumaczone z łac. kard. Roberta Bellarmina:

Piętnaście stopni, po których człowiek zwłaszcza chrześciański, upatrując Pana Boga w stworzeniu rozmaitém przychodzi do wielkiéj znajomości Jego.

O wiecznym błogosławieństwie y szczęściu którego zażywają święci y wybrani Boży w niebie. Wyszły w Krakowie u Franc. Cezarego 1616—1617.

(Allegrmbe Bibl. Scrip. Soc. Jesu etc. Romae typis Jac. Ant. de Lazaris Varezii MDCLXXVI in f. str. 281.—Muczkowskiego notaty).

Fabrycy Piotr Wielkopolanin, urodzony we wsi Zadziwie, wstąpił do Tow. Jez. w Brunsbergu 14 maja 1570 r. Przez 20 lat rządził różnemi kollegiami, jakoto: pułtuskiém (1583), jarosławskiém, toruńskiém, kaliskiém. Był przełożonym domu

(1) Skazanja Sowremiennikow o Dymitrji Samozwance cz. IV Petersbug 1834 str. 186.

probationis, następnie św. Barbary czyli professów w Krakowie w końcu prowincyałem. Um. w m. Włocławku, 24 listopada 1622 r. przebywszy w zgromadzeniu lat 52, pochowany tamże w kościele katedralnym. Jezuici nazywali go *magnus vir in Societate*. Drukiem ogłoszone zostawił dzieła:

O naśladowaniu Pana Chrystusa ksiąg czworo przez wielebnego Tomasza z Kempis zakonu *Canonicorum Regularium* św. Augustyna w roku Pańskim 1441 napisane. Teraz znowu na polski język wedle egzemplarza ręką samegoż autora pisanego przetłumaczone y podzieleniem rozdziałów ozdobione w Krakowie r. 1603.

Wzdychanie gołębice abo o dobru łez zbawiennych, księgi troje przez kardynała Bellarmina S. J. napisane, a teraz z łacińskiego na polskie przez ks. Piotra Frabriciusza teiże Soc. Jesu przełożone w Krak. w drukarni Andrzeja Piotrkowicz (wczyka) 1621 str. 400 in 4to; i dwa inne dziełka tegoż Bellarmina.

Kazanie o siedmi słowach które Zbawiciel nasz wyrzekł na krzyżu, w Krak. w drukarni Andrzeja Piotrkowczyka 1622 in 8o.

Łukasza Pinellego S. J. Rozmyślania nabożne o Najświętszym Sakramencie tłum. Piotra Fabrycego S. J. w Krak., w dr. Andrzeja Piotrkowczyka 1604 in 8o.

Dwa traktaty Roberta kardynała Bellarmina tłum. ks. Piotra Fabrycego S. J. w Krakowie 1621 r.

(Allegambe f. 67—Pism. pols. W. A. Maciejowskiego III 62—685—Obraz bibliogr. Jochern II 412, III 28).

Wuchaljusz Jan Lwowczyk (Leopolita) ur. 1547 wstąpił do Jezuitów w Rzymie 1571, zkąd powróciwszy uczył eksternów retoryki w Pułtusku i Poznaniu, a przez lat 13 następnych jako wymowny kaznodzieja miał słynąć. Później we Lwowie przez lat 6 a w Kaliszu prawie 9, obowiązki rektora sprawował t. j. od r. 1590—1599: umarł tknięty apopleksyą dnia 12 marca r. 1608 i w kościele tutejszym pochowany. Żywot prowadził pobożny, skromny. Wzywany był na synod dyecezalny przez arcybiskupa Karnkowskiego złożony, gdzie w sprawie kościoła ważne zasługi miał położyć. Zostawił w druku:

Wizerunek żywota chrześciańskiego pobożnego. Teraz znowu poprawione i powtóre wydane, w Poznaniu w Drukarniey Jana Wolraba 1584.

Rozpamiętywania o życiu Chrystusa, i

Rozpamiętywania o N. M. Pannie, w Krak. 1592 in 4o.

(Annuae Litterae Soc. Jesu, Moguntiae 1618. Zapisy gr. kalis. ks. 58, f. 197. Pism. polsk. W. A. Maciejowskiego III 289. Allegambe f. 511).

Ortisio Michał Hiszpan był dwukrotnie rektorem kollegium w Nieświeżu, a od roku 1602 do 1605 zarządzał kaliskiém. Słynął jako mąż wielkiéj nauki i gorliwéj pobożności, zmarł 1637 roku.

(Zapisy grod. kalis. ks. 68 f. 410, ks. 69 f. 65, ks. 71 f. 173, Wędrówki Władysł. Syrokomli Wilno 1854, str. 118).

Korytowski Jakób w r. 1611 i następnym był rektorem kaliskim.

(Arch. koron. Zapisy Piotrk. ks. 27 f. 803, arch. akt daw. kaliskich, relationum Catri. Calis. ks. 6 f. 153).

Tyszkiewicz Jerzy h. Leliwa, syn Jerzego wojewody brzeskiego, starosty wiłkomirskiego z matki Wołłowiczównéj r. 1571 na Podlasiu urodzony. U Jezuitów początkowe nauki pobierał, po skończeniu 22 lat udał się do Rzymu, gdzie dnia 21 grudnia 1593 r. u św. Andrzeja do nowicyatu przyjęty. Otrzymawszy święcenie kapłańskie wysłany był do Wilna, gdzie stopień doktora teologii pozyskał; tam przez kilka miesięcy wykładając studya zapadł w ciężką chorobę, skutkiem czego dla zdrowego powietrza w inne miejsce do przeniesienia zmuszony, w Kaliszu filozofii, a w Poznaniu teologii uczył. Późniéj na rektorski urząd do Torunia, a ztamtąd do Kalisza przeznaczony; po upływie pewnego czasu w r. 1613 poznańskiego kollegium, potém domu u św. Piotra przełożonym, vice prowincyałem, w końcu sprawami całéj prowincyi polskiéj kierował. Przybywszy z kongregacyi w Kaliszu odbytéj, już znacznie słaby do Krakowa, tamże d. 14 sierpnia 1625 r. mając lat 54 życie zakończył. Jak utrzymują kroniki zakonne, był pracowity, łagodny i świątobliwy. Treści duchownéj wydał 4 dzieła w języku łacińskim:

Responsio ad libellum famosum cujusdam anonymi Torunensis inscriptum Patrocinium veritatis litherarum Torunensium, Crac. 1615. Vindicias doctrinae Soc. Jesu a calumniis Patroni Torunensium anonymi Crac. 1616.

Theologia antilogica Lutheranorum et antilogia theologica Calvinistarum seu contradictione de rebus Fidei quas Luthera-

ni et calvinistae in suis propositionibus concordes, discordes admittunt. Crac. 1624, Coloniae 1627.

De perfectione Christiana. Crac. 1624, Coloniae 1626, in 12mo.

(Allegambe f. 297. Muczkowski not.).

Szmiglecki Marcin, Wielkopolanin, urodzony w mieście Szmiglu r. 1572, a nie we Lwowie na Rusi, jak niektórzy mylnie utrzymują.

Przywiązanie do nauk i pobożność wciągnęły go do zgromadzenia Jezuitów; mając lat 19 przywdział w Rzymie suknię zakonu. Po odbytym nowicyacie gdy do kraju powrócił, przez lat 4 filozofii, a 10 teologii nauczał, którychto umiejętności stopień mistrza w akademii wileńskiéj otrzymał. Tam logikę wykładając z Janem, Liciniuszem Szlązakiem inaczéj Namysłowskim zwanym protestantem, i Danielem Mikołajewskim kalwinem miał sposobność w przedmiocie wiary publiczne rozprawy i colloquia „*z wielką dla katolików pociechą*" odbywać. Szmiglecki był zawziętym dyalektykiem i do swarów pochopnym, nazywali go też współcześni „*młotem na dyssydenty*," z któremi ze 30 dysput walnych odkuł, gdzie więcéj bywało hałasu jak rzeczy, więcéj szykan niż przekonania, a strony sfarne zawsze przy swojém zdaniu obstając bez żadnego porozumienia się rozchodziły. Ksiądz Marcin o tych apostolskich schadzkach wiele się rozpisywał i wiele ramot drukiem ogłosił. Rządził on kollegiami: pułtuskiém i poznańskiém, od r. 1609 do 1611; był przełożonym domu u św. Barbary w Krakowie, na rektorstwo do Kalisza przeniesiony obowiązki te w r. 1612 i 13 sprawował. Po wymienionych niżéj Czerniakowskim i Kryskim, znów w r. 1617 do Kalisza powrócił, gdzie po długiéj i ciężkiéj chorobie, wtedy właśnie kiedy miasto jego rodzinne Szmigiel okropnym spłonęło pożarem, przeżywszy lat 46, d. 26 lipca 1618 r. rozstał się z tym światem. Pełen odpowiednich powołaniu swemu wiadomości, w zakonie z łagodności i cierpliwości powszechnie był znany i wielbiony. W języku łacińskim wydał następujące dzieła:

De Zachariae prophetae pro Christi divinitatae illustri testimonis, Vinae 1596 in 4o.

Nodicum gordium seu de vocatione Ministrorum. Crac. 1609 in 4to.

Nova monstra novi arianismi, Nissae 1612 in 4o.

Verbum caro factum, seu de divina verbi Incarnati natura. Crac. 1613 4o.

Refutationem vanae dissolutionis Nodi Gordii de vocatione Ministrorum. Crac. 1614 in 4o.

De erroribus Novorum Arianorum lib. II.

Responsio ad Refutationem C. errorum Smalcio obiectorum. Crac. 1615 in 4o.

De ordinatione Sacerdotum in Ecclesia Romana. Crac. 1617.

De notis ministrorum libr. II 1617.

Vanam sine viribus iram Ministrorum Evangelicorum. Coloniae Agrippinae apud Antonium Boetzerum 1611 in 16.

Refutationem Epicherematis, Missionem Evangelicorum Ministrorum propugnantis 1612.

Selectarum disputationum in Organum Aristotelis. T. II. Ingolstadii 1618 in 4o.

(Allegambe f. 592. Obr. wieku panow. Zygmunta III. p. Siarczyńskiego II 201—Przyj. Ludu. 1834 I 120—Obr. Bibl. Jochera I 55—Muczkowski not.).

Czerniakowski Wojciech rządził kollegium kaliskiém od dnia 6 lipca 1613 r., zaś do którego nie wiadomo; późniéj toruńskiém, poznańskiém i w Krakowie domem professów. Wyraża się o nim Niesiecki, ze był w zasługi dla zakonu przed Bogiem bogaty, um. w Poznaniu 1630 r.

(Muczkowski notaty).

Kryski Stanisław h. Prawdzic rządził domami: lwowskim i jarosławskim, a na rektorstwie kaliskiém w r. 1617 życie zakończył.

(Niesiecki II 721).

Szmiglecki Marcin, powtórnie.

Radzimski Stanisław, h. Napiwoń rządził naprzód kollegium kamienieckiém przez lat 10, późniéj kaliskiém, w końcu te same obowiązki sprawując w Lublinie zmarł r. 1622.

(Niesiecki III 809).

Łęczycki Mikołaj h. Niesobia, syn Daniela drukarza z Łęczycy, urodził się na Litwie 10 grudnia 1574, wychowany w kalwińskiém wyznaniu, lecz roku 1590 przeszedł na łono katolickiego kościoła. W Krakowie wstąpił do Jezuitów, zkąd na dokończenie nowicyatu do Rzymu wysłany, i tam r. 1601 święcenia kapłańskie odebrał. Przybywszy z powrotem w Wilnie początkowo teologii uczył, objąwszy późniéj rektorat kaliski wielkie w kollegium pustki i długi znalazł; wszystko było

w rozprzężeniu i bez ładu, wprowadzając karność w zgromadzeniu, obowiązki nowe gorliwie sprawował. W Kaliszu był na tym urzędzie w r. 1620. Został następnie rektorem w Krakowie, w końcu prowincyałem. Umarł w Kownie dnia 30 marca 1652 r. w wieku lat 78. Znany jako pisarz ksiąg pobożnych, dla świątobliwego życia i cnót zakonnych powszechnego doznawał szacunku.

(Niesiecki III 59—64. Bractwa jezuickie p. J. Muczkowski str. 13. Inscript. Castr. Calis. ks. 86 pag. 299, 1695).

Angel Krysztof w roku 1621 był rektorem tutejszego kollegium.

(Inscript. Castr. Calis. ks. 87 pag. 1583).

Wielewicki Jan urodzony r. 1566 we wsi Wielewicach daw. woj. kaliskiém, rządził pięcią domami, między temi: lwowskim r. 1613 i następnie kaliskim. Był przykładem łagodności, porządku i umiarkowania; umarł w Jarosławiu 24 lipca 1639 roku. Oprócz przetłumaczonego dzieła Tomasza à Kempis o Naśladowaniu Chrystusa i oryginalnych poezyj pozostawił szacowny manuskrypt (1).

Gutteter Andrzej.

(Album kalis. Ed. Staweckiego).

(Niesiecki I, 504, notaty Muczkowskiego).

Pawłowski Jakób r. 1623 dnia 21 października uczynił wyznanie 4ch ślubow zakonnych, potém na rektora do Kalisza wysłany, gdzie w historykach zakonu pod rokiem 1626 na tym urzędzie figuruje. Ztąd następnie przeniesiony do Po-

(1) Rękopism Wielewickiego o którym powyżéj uczyniono wzmiankę, nosi tytuł: „Historici diarii domus professae Cracov. Societ. Jesu ab a. 1579 ad 1637 inclusive seu 58 annorum durationem continentis tomus I, tudzież tomus II in quo omnia quidem eodem modo quo in primo tomo describuntur aliqua tamen sunt addita, licet non magni momenti esse videantur, w jednym woluminie in fol. „jest nader ważném źródłem do badań akademii (krakowskiéj), politycznych a szczególniéj duchownych ówczesnych dziejów krajowych." Tom I zawiera 1124 stron, do których policzono trzy pisma drukowane processu akademii z Jezuitami dotyczące. Na początku umieszczony jest spis osób 109 kart wynoszący. W téj księdze pomieszczono 19 pism drukowanych obchodzących historyą Jezuitów i akademii, odnośnie do czasu, w którym się pojawiły, wszakże takowe nie są powyższą liczbą stron objęte. Tom II z 99 stron składający się, na 9 kartach ma także spis osób podobnie jak w tomie poprzednim ułożony. (Rękopisma Marc. Radymińskiego etc. skreślił J. Muczkowski, Kraków 1840. Str. 100).

znania 25 sierpnia 1629, gdzie rok tylko jeden przeżywszy umarł podczas powietrza, w sierpniu 1630 r.

(Ks. W. Bystrzonowskiego Honor. N. M. P. historycznie wyrażony etc. przytém Kalendarz osobliwy na R. P. 1741.—Muczkowski notaty).

Domaniewski Stanisław h. Lubicz po Pawłowskim rektorstwo kollegium kaliskiego objął. Do zakonu wstąpił w Rzymie. Powróciwszy do kraju zarządzał najprzód tutejszym, a od października 1630 r. poznańskim domem i tam umarł roku 1637.

(Niesiecki II, 57).

Gołembowski Jakób.

(Album kalis.).

Samarzewski Maciéj był na rektorstwie w Kaliszu do r. 1633.—(Muczkowski not.).

Po nim nastąpił

Drużbicki Kasper h. Nałęcz, syn Piotra z matki Elżbiéty Objezierskiéj, urodził się dnia 6 stycznia 1590 r. Na nauki początkowe do kollegium poznańskiego oddany został. Skończywszy lat 20 wstąpił do Jezuitów w Krakowie dnia 14 sierpnia 1609 r. gdzie dwuletni nowicyat odbywszy słuchał studyów w Kaliszu, Toruniu, Poznaniu i Lublinie, zkąd po skończonych kursach do Kalisza znów powrócił i tylko rok jeden tu przemieszkał. Już w r. 1626 został rektorem i magistrem nowicyatu w Krakowie, po trzech latach, tojest 1629 r. prowincyałem polskim obrany. Po złożeniu téj godności w dniu 25 stycznia 1633 r. rektorstwo kaliskie objął i obowiązki przełożonego kollegium do 11 września następnego roku sprawował; ztąd do m. Jarosławia *ad instruendos P. P. Tertianos* z polecenia władzy udał się. W jakiś czas po powrocie z Rzymu dnia 20 lutego 1637 roku na rektorstwo najprzód do Ostroga późniéj do Poznania wysłany. W końcu na godność prowincyała powtórnie wyniesiony. Umarł dnia 2 kwietnia 1662 r. mając wieku lat 71. Zostawił po sobie następujące w druku dzieła:

1) Opera ascetica, Calissii 1686, tom. II in folio. 2) Historia passionis Christi, Calissii 1697 in folio. 3) Jesus passus per centuriam modorum meditandi illustratus, Calissii 1666 in 4o. 4) Tractatus de brevissima ad perfectionem via, Calissii 1682 in 8. 5) In passionem Domini Meditationes, Calissii 1721, 8o. 6) Tribunal. Constientiae. Cracoviae 1672 in 12o. 7) Sol in virtute sua Jesus Christus. Cracoviae 1662 in 4o.

8) Sublimitas perfectionis religiosi. Pragae 1713 in 4o. 9) Provisiones Senectutis, Calissi 1673 in 8o. 9) Tractatus de variis passionem Jesu Christi meditandi modis. Lublinii 1652. in 8. 11) Diurnus Sacerdotum Cibus. Sandomiriae 1733, in 12. 12) Droga doskonałości chrześciańskiéj. w Kaliszu 1665, in 8. 13) Liturgiae Observationes, Sandomiriae 1717, in 12. 14) Fasciculus Exertitionum Fidei Christi, Cracoviae 1662 in 4. 15) Considerationes in Festa totius anni, Calissii 1680 in 12.

(Niesiecki II. Muczkowski notaty. Katalog. bibl. szkol. kalis.).

Po Drużbickim na wakujące rektorstwo przeznaczony został

Samarzewski Maciéj powtórnie, lecz jak długo tą razą urząd rektorski piastował ze ścisłością oznaczyć nie można

(Muczkowski notaty).

Po nim

Grot Zygmunt h. Groty w r. 1638 i 1639, umarł w Kaliszu r. 1650, uważany od wszystkich jako mądry i pobożny kapłan.

(Niesiecki II, 317.—Relat. Castr. Calis. ks. 22, pag. 328).

Łychański Jakób.

(Album kalis.).

Starczewski Piotr h. Nałęcz był rektorem kolegium, między rokiem 1647—1650.

(Niesiecki IV, 191. Zapisy grodz. kalis. ks. 113 f. 2,028.

Łubieński Marcin h. Pomian, najmłodszy syn Świętosława, a brat Macieja arcybiskupa gnieźnieńskiego prymasa, zarządzał także kolegium kaliskiém., umarł 1653 roku.

(Annuae Litterae S. J. Pragae bez r., pag. 271. Vita Mathiae Łubieński autore Buydecki pag. 37).

Zawadzki Andrzej.

(Album kalis.).

Zaranek Zygmunt h. Korczak, wstąpił do zakonu 1625 r. po odbytym nowicyacie i wyświęceniu się w Kaliszu, wykładał tamże z początku filozofią, następnie w Poznaniu teologią. Rządził najcelniejszemi w téj prowincyi kolegiami, a między temi: kaliskiém w r. 1658 i 59, zmarł w Poznaniu 1667 roku.

(Inscript. Castri Calis. ks. 123, f. 349, ks. 124, f. 515. Niesiecki).

Czarniecki Franciszek h. Łodzia, ósmy syn z kolei Krzysztofa starosty Żywieckiego, dworzanina króla Zygmunta III

i Krystyny z Rzeszowskich, a brat sławnego Stefana. Urodził się w r. 1610. Nim został rektorem, przez wiele lat był kaznodzieją, poczém dopiéro rządził winnickiém, rawskiém, toruńskiém, sandomierskiém w końcu około 1660 roku i kaliskiém kolegium. W obozach brata Stefana odbywał missye tak w kraju jako i podczas holzackiéj wyprawy. Mając lat wieku 66, umarł w Lublinie 1676 roku. Oprócz tego, że żywot wiódł ascetyczny, był nadto jeszcze wielki fanatyk i srogi dyscyplinator.—(Niesiecki I, 347).

Malisz Stefan r. 1672 był rektorem, o czém przekonywają akta archiwum dawnego kaliskiego.

(Relat. Castr. Calis. ks. 435, f. 763).

Gałczyński Stanisław jako rektor kaliski pod r. 1673 w aktach archiwum koron. wspomniany.

(Wyroki Tryb. Piotrkows. ks. 259, f. 336).

Po nim nastąpił:

Thyll Tomasz, który obowiązki przełożonego sprawował w r. 1678.

(Wyroki Tryb. Piotrkows. ks. 259, f. 338).

Dore Tomasz. Jest ślad w aktach archiwum koronnego, że między 1679 a 1683 był rektorem kolegium.

(Wyroki Tryb. Piotrkows. ks. 261, f. 854. ks. 269, f. 794, ks. 274. Relat. Castri Calis. ks. 50, f. 447).

Bielski Wojciech w r. 1685 rektorem kaliskim.

(Wyroki Tryb. Piotrk. ks. 279, f. 577).

Kraszewski Jan zarządzał kolegium tutejszém w r. 1689. Wydał kilka dzieł:

Impetus bonarum cogitationum ex Evangeliis Dominicaliis totius anni, Calissi 1696, in 4.

Norma Evangelica in Sanctorum gestis relucens Calissii 1698, in 4.

Proloquia domestica excitando fervori Spiritus in Cordibus religiosis idonea, Crac. 1699, in f.

Currus Gratiae Dei Viatores ad metam Gloriae aeternae provehens. Crac. 1703, in 4.

(Wyroki Tryb. Piotrk. ks. 290, f. 62, katal. bibl. okr. nauk. warsz.).

Zuccha Walenty był rektorem w r. 1691.

(Podług dawnych papierów jezuickich).

Tarłowski Tobiasz między rokiem 1693 a 1695.

(Niesiecki IV, 58. Zapisy Piotrkowskie ks. 36, fol 257. grodz. kalis. ks. 150, pag. 973 i 976).

Szczaniecki Stefan h. Ossorya, rządził czterema kolegiami, z tych najpiérw kaliskiém, w końcu prowincyą polską. Wydał dzieł kilkanaście, między temi trzy w Kaliszu.

(Zapisy Piotrk. ks. 36, f. 257. Inscript. Castri Calis. ks. 150, fol. 973 i 976).

Taczanowski Rafał h. Jastrzębiec, urodzony 1654 roku, do Tow. Jezus. wstąpił 1669 r., zarządzał kolegiami: kaliskiém, lubelskiém, toruńskiém, gdzie wytrzymał szwedzkie oblężenie, późniéj w Jarosławiu u N. Panny, w Krakowie u ś. Piotra, następnie u ś. Barbary, w końcu sprawami prowincyi polskiéj kierował. Umarł w Jarosławiu 16 stycznia 1721 roku licząc 67 wieku, a 52 lat zakonowi ślubowanych.

(Zapisy Piotrk. ks. 36, f. 257. Niesiecki IV, 301. Muczkowski notaty).

Bielski Stanisław rektorem był roku 1699.

(Wyroki Tryb. Piotrk. ks. 313, f. 516).

Po nim objął rządy:

Dziewanowski Marcin h. Jastrzębiec, po filozoficznych i teologicznych katedrach został rektorem i zarządzał: nowicyatem, późniéj kolegium u ś. Piotra w Krakowie, następnie w Kaliszu, Jarosławiu i znowu w Krakowie domem professów, w końcu prowincyą polską.

(Wyroki Tryb. Piotrk. ks. 313, f. 516. Niesiecki).

Rakowski Marcin w r. 1702 był przełożonym kaliskiego kollegium.

(Wyroki Tryb. Piotrk. ks. 308, f. 69).

Koszocki (z imienia niewiadomy) w r. 1703.

(Z dawnych papierów pojezuickich).

Gert Reinhold w r. 1708 po Wielkiéjnocy w aktach urzędowych jako rektor. kolegium kaliskiego wzmiankowany.

(Zapisy grodz. kalis. ks. 158, f. 150).

Ługowski Marcin też same obowiązki w r. 1715 sprawował.

(Księgi assesorskie ks. 132, f. 874 arch. kor.).

Pierzchliński Ludwik h. Leszczyc, rządził najprzód kaliskiém następnie Jarosławskiém kolegium, gdzie téż i umarł r. 1724.

(Niesiecki III, 591).

Lisowski Stanisław w r. 1721 i 22 znany jako rektor tutejszego kolegium.

(Wyroki Tryb. Piotrk. ks. 333, f. 1892, ks. 336, f. 2271).

Ożga Jędrzej h. Rawicz, syn podczaszego lwowskiego, był przełożonym kolegiów: toruńskiego, kaliskiego r. 1724, później we Lwowie, Stanisławowie i Ostrogu, umarł 1738.

(Wyroki Tryb. Piotrk. ks. 341, f. 246 i 1125. Niesiecki III, 535).

Obrębski Michał h. Cholewa, rządził najprzód kaliskiém r. 1726, później lubelskiém kolegiami.

(Wyroki Tryb. Piotrk. ks. 347, f. 1175, ks. 348, f. 1031).

Hennemberk v. Stannemberk Godefridus.

Łotyński Adam.

(Album kalis.).

Ługowski Szymon h. Lubicz, rządził domami: grudziądzkim, łuckim i kaliskim. Wydał kilka dzieł, umarł we Lwowie 1733 roku.—(Niesiecki III, 184).

Tuchołka v. (..olski) *Józef* h. Korzbog przełożonym był kaliskiego r. 1736 i lubelskiego kolegiów. Umarł w Chojnicach 1742 roku.

(Niesiecki IV, 399. z dawnych papierów pojezuickich).

Dunin Tomasz w r. 1739.

(Ze starych pojezuickich papierów).

Starczewski Józef w r. 1741 rektorem w Kaliszu.

(Wyroki Tryb. Piotrk. ks. 365, f. 412).

Gzowski Jan h. Grabie, po katedrach filozoficznych i teologicznych sprawował przełożeństwo w Sandomierzu, Lublinie, a w r. 1742 w Kaliszu. Ulubionym jego przedmiotem było pisanie kazań z których następujące drukiem ogłosił:

Wieloraka korona albo kazanie o błog. Franciszku Regis S. J. Sandomiriae 1716, in fol.

Kazanie na kanonizacyą ś. Stanisława Kostki i ś. Alojzego S. J. b. m. dr. 1727, in fol.

Kazanie na pogrzeb Hozyuszowy, in fol.

(Wyroki Tryb. Piotrkows. ks. 367, fol. 477, ks. 369, f. 659, 720, 731).

Przanowski Maciéj między r. 1746 a 1748 przełożonym w Kaliszu.

(Wyroki Tryb. Piotrkows. ks. 376, f. 250, ks. 381, f. 908).

Po którym nastąpił:

Bielicki Kanty odznaczać się miał za młodu umysłową zdolnością, za dojściem lat stosownych wstąpił do Jezuitów. Po rawskiém r. 1748 objął kaliskie rektorstwo, później r. 1755 w Poznaniu wykładał teologią dogmatyczną i polemikę, sprawując jednocześnie obowiązki prefekta studyów i 2-go spowiednika.

(Wyroki Tryb. Piotrk. ks. 381, f. 239.—Janocki Lexicon Gelehrten in Polen).

Dąbrowski Andrzej początkowo w krakowskiém kolegium wykładał teologią, na któréj prelekcye wielu z tamtejszéj akademii studentów się zgromadzało. Na kaliskiém rektorstwie był od roku 1750 do 1756. Jak dzieje zakonu wspominają miał być do wielu ważnych spraw przez starszych swego zgromadzenia używany.

(Catalogus Personarum et Officiorum Prov. Pol. Soc. Jesu.—Janocki Lexicon Gele. in Polen).

Dunin Tomasz powtórnie w r. 1756 rektorstwo po Dąbrowskim otrzymał.

(Wyroki Tryb. Piotrk. ks. 376, fol. 670. Vitae Praes. R. P. M. D. Lit. Rzepnicki I, 204. Catal. Per. et Offic. Prov. Pol. Soc. Jesu).

Wyganowski Józef, *Kozierowski*, *Loka Paweł*, *Bogusławski Antoni*, *Sztoltman Jan.*

(Album kalis.).

Szczaniecki Józef na pokwitowaniach synagogi kaliskéj z odebranych procentów od summy liczbą nieoznaczonéj pod d. 4 grudnia 1770 r., 1 marca, 14 maja i 1 listopada 1771 r. jako rektor kolegium podpisany.

(Z kopii kwitu oblatowanego w aktach grodz. kalis. Feria secunda post festum S. Margarithae Virg. et Mart. proxima videlicet die 15 Julii A. D. 1770).

Lutomski Antoni na assygnacyi wydanéj pod d. 7 maja 1773 r. kahałowi kaliskiemu do wypłacenia rocznemu cyrulikowi kolegium Iglikowi złp. 10 z przypadającéj od tegoż kahału prowizyi, przy podpisie godność swoję jako przełożonego wyraził.— (Z kopii kwitu, jak wyżéj).

Przyłuski Józef.

Domżalski August jeszcze w r. 1773 działał imieniem całego zgromadzenia kolegium.

(Album kalis.).

PRZYPISY.

(Nr. 1).

Przywilej erekcyi czyli fundacyi kolegium Tow. Jezusowego w mieście Kaliszu przez arcybiskupa gnieźnieńskiego.

Sigismundus tertius etc. Significamus etc. Quod cum Reverendissimus in Christo Pater Dominus Stanislaus Karnkowski Archiepiscopus Gnesnensis, Legatus Natus, Regnique nostri Primas, pro officio suo Pastorali, omnes animi sui vires et cogitationes intenderet, ut perturbatis hisce temporibus in Archidioecesi sua immortalis Dei cultus promoveatur religioque sancta Catholica revivescat, animadverteretque singulari Dei providentia, excitatos esse nostro seculo Societatis Jesu Patres, qui extirpandis, haeresibus et instituendae iuventuti populorumque animis vera pietate imbuendis egregiam et salutarem Reipublicae Christianae operam navant, in Archidioecesim quoque suam, ut eundem fructum, quem aliae Provinciae Dioeceses, atque civitates, ex eorum laboribus percipiunt, illa etiam Domino iuvante perciperet. Patres hujusmodi Societatis induxisset eosque ad Civitatem nostram Calissiensem Collegii erigendi ac instituendi causa accersivisset ibidemque quo commodius iidem patres sive erudiendae in pietate ac studiis iuventuti vacare, sine aliis iuxta suum institutum perfungi muneribus possent, se communicato consilio cum venerabili Capitulo Ecclesiae suae metropolitanae Gnesnensis et obtento ejusdem venerabilis Capituli plenario Consensu, ad habitandum quidem praedictis patribus Societatis Jesu, domum suam Archiepiscopalem muratam. Ecclesiae Collegiatae Civitatis Calissiensis contiguam cum aliis domibus, areis et hortis, sumptu proprio pro usu ejusdem Societatis recenter coemptis et jurisdictioni ac immunitati Ecclesiasticae inscriptis atque incorporatis (quorum plereque augendo Collegii aedificio, templique eidem adjungendi structurae sunt assignatae) prout in literis propriis Donationis factae fusius et specialius continetur in perpetuum concessisset insuper dedisset ac donasset eisdem Patribus Societatis Jesu ad faciliorem ipsorum sustentationem ex mensa sua Archiepiscopali assentientibus ibidem Reverendis Dominis Praelatis et Canonicis Ecclesiae Metropolitanae Gne-

snensis pro generali capitulo congregatis, villam Slawno cum praedio in districtu Gnesnensis et villam Kokanin cum praedio et duos alios vicinos pagos Żychowo et Liskowo in districtu Calissiensi sitos, jure perpetuo habendum, possidendum tenendum, utendum et fruendum ita longe lateque cum omnibus suis attinentiis et utilitatibus universis; prout et antiquo limitatae et definitae fuerunt. Ceterum cum animadverteret ex reditibus praedictorum pagorum nec tot sacerdotes in collegio sustentari posse quod messis alioquin copiosa, tam in Civitate Calissiensi, quam in circumvicinis locis requirat, nec tot magistros et operarios foveri posse, qui vel juventuti instituendae satis frequenti, quae jam ad scholas hujus Collegii confluit sufficiant, vel plenum scholarum et professionum Collegii numerum adaequent. Idcirco Reverendissimus Dominus Archiepiscopus ad praedictas villas et pagos fundationis Collegii, alium pagum Kosczielecz dictum de consensu Venerabilis Capituli Gnesnensis ex mensa sua Archiepiscopali adjecisset. Cujus quidem pagi, quoniam medietatem solam ab antiquo Reverendissimi Domini Archiepiscopi tenuerunt, eam medietatem cum omnibus fructibus et proventibus, agris, pratis, silvis et caeteris eo spectantibus, sicut antea in usu Archiepiscopali fuerunt fundationi ejusdem Collegii Societatis Jesu Calissiensis adjunxisset, alteram vero mediam partem in usum ejusdem Collegii suo aere proprio redimere decreverit. Praeterea ut Patres Societatis Jesu, qui in Collegio Calissiensi degunt, perpetuos labores et curam sustineant, tum contionum sacrarum habendarum ad populum in Aede Collegiata B. Mariae Virginis Calissiensis que Confessionum audiendarum (quandoquidem ea munera populo Christiano apprime necessaria eos obire cum fructu constat) praedictus Reverendissimus Dominus Archiepiscopus duorum Canonicatuum circa eandem Ecclesiam B. Mariae vacantium, redditus, eidem Collegio in perpetuum comisisset ac incorporasset, jure collationis eorundem Canonicatuum ab immediatis Collatoribus acquisito et obtento. Maiori insuper ornamento eiusdem Collegii idem Reverendissimus Dominus Archiepiscopus consultum ivi cupiens, etiam seminarium clericorum eiusdem Archidioecesis secundum praescripta Sacri Consilii Tridentini instituisset et fundasset, quam fundationem jam a Sede Apostolica peculiari privilegio esse approbatam constat, pro cujus nimirum fundatione duas villas Custodie Lanciciensis dictas Mazów et Romartów juxta Privilegium bonae memoriae Stefani Regis praedecessoris nostri cum approbatione

Sanctae Sedis Apostolicae et unum pagum mensae suae Archiepiscopalis dictum Lęnka de consensu venerabilis Capituli Gnesnensis certas item pensiones a Reverendis Dominis Abbatibus Archidioecesis Gnesnensis quotannis pro victu seminarii alumnorum pendendas, in Synodis Dioecesanis Lovicensi et Lanciciensi proximis annis superioribus, sancitas atque decretas attribuisset supplicassetque nobis ut eas Collegii Patruum Societatis Jesu domorum bonorum, villarum pensionum superius expressarum, de consensu mutuo totius Capituli Ecclesiae Metropolitanae Gnesnensis factarum, donationes, fundationes et dotationes approbare, confirmare et ratificare pro jure et authoritate nostra Regia dignaremur. Nos qui inprimis religionis Catholicae Orthodoxeque cultus divini augmentum, toto desideramus affectu perspectam habentes eorundem Patrem Societatis Jesu doctrinam diligentiam, fidem, zelumque propagandae divinae gloriae et animadvertentes omnino eam Reverendissimi Domini Archiepiscopi fundationem non in solius tantum Archidioecesis Gnesnensis commodum et ornamentum cedere sed etiam in totius Regni nostri utilitatem redundare, earum donationum et fundationum Privilegia ipsasque donationes et fundationes huicipsi Collegio factus, superius nominatas et expressas approbandas confirmandas et ratificandas diximus prout authoritate nostra Regia approbamus, confirmamus et ratificamus in Dei nomine praesentibus literis nostris easque et omnia in eis contenta, quae hic pro insertis et expressis haberi volumus, rata, grata et firma perpetuo esse debere decernimus. In quorum omnium et singulorum fidem etc. Datum Warszoviae in Comitiis Regni nostri generalibus die XIV Mensis Januarii. Anno Domini MDXCI.

(*Metryki koronnéj księga 136, fol. 46*).

(Nr. 2).

Treść dyalogu pod tytułem: „Akt tryumfalny" i t. d.

„Prolog uniwersalny, albo wszystkiéj akcyi.

Część pierwsza.

Scena I. Herezya burzy się przeciw zakonowi Societatis Jesu, iż jéj przeszkadza do rozkrzewiania swoich fałszów w Europie.

Scena II. Taż herezya przyzywa nienawistne trzy boginie, burząc je przeciw zakonowi temu.

Scena III. Żeby mogła prędzéj jadowitą zapalczywość herezya wywrzeć, jeszcze insze trzy towarzyszki swoje: fałsz, rozpustę i rozkosz uzbraja, żeby pany i monarchy wszystkiéj Europy od zakonu S. J. odwróciły i od nauki kościoła rzymskiego.

Scena IV. Zdrada, rozpusta i rozkosz monarchów Europy przeciw zakonowi S. J. turbuje i burzy.

Scena V. Herezya zrozumiawszy o szczęśliwém powodzeniu towarzyszek swoich, fałszu, rozpusty i rozkoszy samaż większe jeszcze bunty stroi, monarchów do swojéj strony zaciągając.

Scena VI. Monarchowie Europy na obronę herezyi uzbrajają się, wojska szykować rozkazują.

Scena VII. Europa żałosna uskarża się na zamysły swych monarchów, złość herezyi opłakuje, one im chcąc, ale próżno ohydzić.

Scena VIII. Europa do zmiękczenia monarchów, zakon S. J. przyzywa.

Scena IX. Zakon S. J. chętliwie Europie pracę swoję ofiaruje, onę dobrą otuchą cieszy.

Scena X. Zakon S. J. z swoją żarliwością i nauką na zbrodnie ludzkie, ale osobliwie na złość heretycką buntuje, na któréj zburzenie pomocy Piotra św. wzywa.

Scena XI. Piotr św. na ratunek przybywa zakonowi Societatis Jesu i onéj przez smoka na niebie do Imienia Jezus często przyskakującego i od niego z postrachem odskakującego, zwycięztwo obiecuje.

Scena XII. Zakon S. Jesu umocniony Piotra św. słowem, siebie samego i Towarzystwo swoje do mężnego zburzenia Herezyi zapala.

Chorus Intermedium. Część wtora.

Scena I. Monarchowie Europy herezyi zdradami i złością brzydzą się, żałując iż kiedykolwiek przy niéj stali.

Scena II. Onymże zakon Soc. Jesu fałsze jaśniéj herezyi otwiera, onę bardziéj im obrzydzając.

Scena III. Kościół św. i Europa z królestwy swoimi dziękują zakonowi temu, iż monarchów z paszcze herezyi wydarł.

Scena IV. Kościół św. wesela tryumfalnego monarchów zażywać przy nawróceniu swém radzi. Gdzie skoki z smokiem przy Imieniu Jezus.

Scena V. Posłaniec daje znać o iściu do siebie herezyi i o pragnieniu rozmowy z nimi, przed którą oni, brzydząc się zejściem jéj, uchodzą.

Scena VI. Herezya szaleje, miota się na zakon S. Jesu, że przezeń prawie jest podeptana po wszystkiéj Europie.

Scena VII. Zakon gdy herezyą na utarczkę wyzywa, ona większe przeciw niemu, a potém przeciw samemu niebu furyé stroi, z którego piorunami strącona zostawa.

Scena VIII. Pacholęta na scenie wyższéj zakonu zwycięztwo z herezyi na przemianę z śpiewaniem oglaszają.

Scena IX. Kościół weseli się z zwycięztwa przez zakon ten otrzymanego: onego do burzenia téjże herezyi w przyszłym wieku upomina.

Chorus Intermedium. Część trzecia. Prolog.

Scena I. Siedm królów indyjskich z swoimi synaczkami weselą się, iż światło prawdziwéj wiary im zaczyna wschodzić przez zakon Societatis Jesu.

Scena II. Zakon królów upomina do jak najprędszego przyjęcia prawdy uznanéj, którą znowu wszystkim w obec rozpowiada.

Scena III. Kościół królów do nauki przyjęcia zakonu S. Jesu także upomina, gdzie zaraz insze nauki królom pożyteczne i potrzebne z woli kościoła Societatis Jesu daje.

Scena IV. Królowie sektę bałwochwalczą i Bogi swoje wszyscy jednym głosem potępiają.

Scena V. Królowie te myśli swoje żołnierstwu oznajmują i obronę nowéj prawdy onemu zalecają.

Chorus Intermedium. Część czwarta.

Scena I. Idolatria, albo bałwochwalstwa bogini na smokach wyjechawszy, trzy towarzyszki swoje nienawistne, Alecto, Tisiphone, Megare, do pomsty krzywd swoich, które ją od zakonu Soc. Jesu połykają, napomina, gdzie o téj pomsty powodzeniu przez rozmaite sztuki bałwochwalskie z swoimi biskupami dobrze sobie wróży.

Scena II. Niektóre indyjskie książęta do pomsty krzywd bałwochwalstwa od wzwyż pomienionych bogiń zapalone, jeszcze silniéj samo bałwochwalstwo do tego podnieca.

Scena III. Zakon Societatis Jesu przed tymi książęty na bałwochwalstwa zdrady naciera, które ono broni upornie rozmaitemi fałszywemi cudami, jako łyskawice, pioruny, dżdże, śniegi

z nieba pogodzistego wzburzając; rozmaite zwierzęta, zboża i drzewa skaczące przed bogami swymi wprowadzając etc. które fałsze anioł strażnik Indyi z nieba piorunami gromi, a ono do ciemności swoich powraca.

Scena IV. Zatrwożone postrachami nieba książęta zakon cieszy, którzy uznawszy zdrady bałwochwalstwa onym się brzydzą zwycięztwo zakonowi przypisując.

Scena V Taż Indya z królami swymi przychodzi, bałwochwalstwa się i bożków swoich wyprzysięgając i nauce się jéj z swoimi królami poddając.

Scena VI. Królowie z poznanéj prawdy weselą się kiedy królewiców sześć około imienia Jezus skoki czynią i insi z bałwanami.

Scena VII. Kościół cieszy się z tryumfu takowego króla i do ochotnéj a nieprzestannéj czci Boga prawdziwego napomina, na co jednym głosem zezwalają.

Chorus Intermedium. Część piąta.

Scena I. Ośm pacholąt nakształt aniołów na wyższéj scenie kościołowi świętemu z zakonem Societatis Jesu tryumfalno wjeżdżającemu okrzyk tryumfalny na przemiany z muzyką czynią.

Scena II. Kościół św. tryumfuje, iż przez zakon Soc. Jesu i męczenniki jego tego wieku Monarsze Najwyższemu Indyą sobie zniewolił.

Scena III. Tenże kościół przyzywa książąt i królów indyjskich, których przed wszystkim światem ogłasza, jako przezacną korzyść niebu przysłaną przez zakon Soc. Jesu, co i sami uznawają królowie.

Scena IV. Kościół dla wesela tryumfalnego ozdoby, bałwochwalskie bogi palić rozkazuje, które gdy ognie rozrywają i palą na wyższéj scenie tryumf zakonowi Soc. Jesu pacholęta ogłaszają.

Scena V. Bałwochwalstwo zdesperowawszy o sobie do nóg kościoła porzucając się, przyznaje iż jest od kompanii Pana Jezusowéj zwyciężone.

Scena VI. Kościół święty pochwaliwszy zakonu Soc. Jesu pracę usilną w wykorzenianiu bałwochwalstwa przez przeszły wiek, żeby w téj pracy nie ustawał w wieku przyszłym, onego zachęca.

(*Łukaszewicza Hist. Szkoł. w Kor. i W. Ks. Lit. I, 262*).

(Nr. 3).

Potwierdzenie Przywileju erekcyjnego domu konwiktorów czyli Bursy Karnkowskiego w Kaliszu.

Sigismundus etc. Significamus etc. Exhibitas nobis esse literas pargameneas infrascriptas sub titulo Illustrissimi et Reverendissimi in Christo Patris Domini Stanislai Karnkowski Archiepiscopi Gnesnensis Legati nati Regnique nostri Poloniae Primatis manu ejusdem Reverendissimi propria subscriptas sigilisque duobus pensilibus Archiepiscopali videlicet et Venerabilis Capitali Gnesnensis communitas sanas, salvas et integras omnique suspicionis nota carentes fundationem domus convictorum sive ut vocant Bursae Karnkovianae dictae iuventuti studiosorum in Civitate nostra Calisiensi assignatae certamque eorundem provisionem in se continentes. Supplicatumque nobis cuiusdem Reverendissimi nomine ut eas authoritate nostra Regia approbare, ratificare et confirmare dignaremur. Quarum liberarum tenor de verbo sequitur et est talis. Stanislaus Karnkowski Dei et Apostolicae sedis gratia Sanctae Ecclesiae Metropolitanae Gnesnensis Archiepiscopus Legatus Natus Regni Poloniae Primas Primusque Princeps. Ad memoriam hominum sempiternam. Cum primum Deo omnipotenti qui pro infinita misericordia et bonitate sua vocat ea que non sunt tanquam ea que sunt collocare placuit humilitatem nostram in primaria inclyti hujus Regni Archiepiscopali sperata coepimus eodem adiuvante, atque non destitimus ea cogitare et urgere que in hac mandata nobis parte sollicitudinis tam ad Catholicae religionis praesidium atque conservationem quam Ecclesiae disciplinae divinique cultus reformationem atque adeo Polonae iuventutis (quod Reipublicae firmamentum est) rectam institutionem utilia, et opportuna esse existimarentur. Ideoque cura non pauca in Ecclesia primum nostra Metropolitana Gnesnensis ac sub inde in aliis illi subiectis pro ratione locorum temporumque constituissemus exemplo etiam multorum in orbe Christiano Principum et antistitum laudabili religiosos Societatis Jesu sacerdotes et magistros, quorum in Evangelio educandaque virtute laus est in Diocesim nostram accersivimus atque in Civitate Regia Calissiensi erecto fundato, dotato et constructo insigni collegio collocavimus quemadmodum et res oculis omnium subiecta loquitur et nostra de his verbis diplomata, eorumque a sede sa-

crosancta Apostolica Serenissimisque Regibus nostris confirmationes testantur. Pro quibus omnibus uni in Trinitate Deo gloriam honoremque tribuimus., qui nobis non ad moliendum solum praedicta opera mentem et voluntatem indidit fovitque sed etiam tempus facultatemque illa perficiendi praestitit, ut eorum fructibus in eius nomine superstites gaudeamus. Caeterum non dum hic constitimus quinimo inspirante Deo modumque et facultatem adhuc praebenti obsequimur atque porro pergimus alacriter amplificari hoc ipso instituto nostro de sancta ut caepimus Ecclesia Dei Regni nostra publica uberiori largitate et munificentia pro virili bene mereri ut (quod ex commoda rectaque iuventutis educatione utrique bene vertat) nobilibus praecipue adolescentibus ad doctrinarum studia propensis qui praesertim sint fortune tenuiores prosequi eadem parvo impendio facultas in dicto nostro Collegio deesse non possit ac proinde consilium inivimus domus convictorum seu Bursae assignate certis reditibus in perpetuum exigendum et instituendum prout in nomine Sanctissimae et Individuae Trinitatis Patris et Filii et Spiritus Sancti de consensu Venerabilium fratrum nostrorum Praelatorum et Canonicorum totiusque Capituli Ecclesiae nostrae Metropolitane Gnesnensis hanc ipsam Bursam Karnkovianam perpetuo vocandam in Civitate Regia Calissiensis Archidiocesis nostrae errigiemus et fundamus. Volentes atque statuentes, ut certus adolescentum numerus per Capitalum nostrum Gnesnense pro ratione temporum definiendus in hac ipsa nostra Bursa sub Praefecti a reverendo Patre Societatis Jesu Provinciali seu Rectore Calisiensi sine aliqua tamen ipsorum obligatione constituendum et deputandum regimine et moderatione maneat in nostroque Collegio Patrum Societatis Jesu doctrinis et pietate instituatur. Quam ad rem domum inprimis nostram muratam in Circo Calisiensi nostro in eadem Civitate Societatis Jesu Collegio per nos antea donatam rursumque ab ejusdem Collegii Rectore et Procuratore nobis Venerabilique Capitulo nostro Gnesnensi apud Acta Castrensia Calisiensia venditam et resignatam in usum ejusdem Bursae habitationemque convictorum in perpetuum assignamus, damus et donamus. Ad sustentationem vero et alimenta dictorum convictorum istius Bursae nostrae primo quidem villam Marchwacz a Venerabili Capitulo per nos emptam eidem Bursae perpetuo adscribimus, adicimus, damus et donamus donatione perpetua et irrevocabili Censum item duorum millium florenorum numeri et monetae polonicalis pro quinquaginta millibus florenorum ejusdem numeri et monetae a praedicto Venerabi-

li Capitulo in ejusdem bonis omnibus ad mensam Capitularem spectantibus in perpetuum emptum et per ipsum Venerabile Capitulum iuxta obligationem et submissionem ipsius ad acta terrestria Gnesnensia factam annis singulis duabus ratis pro faesto nempe natalis Sancti Adalberti florenos mille profaesto item translationis alios mille florenos ad Praefectum Bursae seu eiusdem Bursae Oeconomum in pecunia numerata nisi aliud Bursae poscat necessitas, sine ulla mora dillationeque Calissium mittendo realiter et in effectu solvendum et numerandum, pari ratione via et modo eidem Bursae perpetuo inscripsimus, dedimus et donavimus prout praesentibus inscribimus, damus et donamus omni nos ipsos et quoscumque successores nostros sanguine proximos iure competenti successione hereditate addictam jam in Circo Calisiensi domum et villam Marchwacz cumque ipsum duorum millium censum perpetuis temporibus privantes, et abdicantes, ita ut domus et villae Marchwacz fructus et census praedictorum duorum millium florenorum non nisi ad usum sustentationem et alimenta convictorum dictae Bursae converti unquam possit, quovis quaesito praetextu, ingenio et colore. Ac ut hujus Bursae nostrae conservationi bonoque regimini tam in iis que ad iuventutis domesticam disciplinam et institutionem quam ad redituum rectam dispensationem et simbolorum conferendorum modum alique hujusmodi pertinent opportune consulatur de eorundem fratrum nostrorum Praelatorum et Canonicorum totiusque capituli Ecclesiae nostre Metropolitane Gnesnensis fide et integritate et constanti erga nos amore gratitudineque, confici eosdem universumque Capitulum hujus Bursae nostrae fundationis errectionis et dotationis patronos deffensores dominos et haeredes fecimus et constituimus prout facimus et constituimus in Dei nomine per praesentes Dantes eisdem potestatem et authoritatem omnia tam ad symbolorum ordinationem et moderationem quam ad bonum regimen Bursae spectantia cum Consilio Rectoris Collegii per duos de Capitulo ad hoc singulis annis deputandos agend, statuendi et ordinandi villam et praedium Marchwacz ac alias possessiones imposterum forsitan emendas et eidem Bursae inscribendas, ordinandi, locandi, disponendi rationes ab Oeconomo factoribus et dispensatoribus exigendi et eosdem quietandi ac eornm rationes in librum ad id specialiter comparatum referendi et in Archivo Capitulari asservandi Scholaribus item ad eam Bursam quoties locus vacaverit admittendis penes Capitulum plenum jus et potestas esto a quo istius admissionis litterae pa-

tentes in Generali duntaxat Capitulo manu praesidentis subscriptae dabuntur eam tamen potestatem quo ad vivimus nobis plenam et integram reservamus. Ad Praefectum vero Judicio Reverendi Patris Provincialis Societatis Jesu vel Collegii Rectoris constituendum pertinebit Oeconomum constituere vel removere domesticam familiam admittere vel dimittere domesticam disciplinam ordinemque tueri convictores discolos et irrecorrihibiles punire et si res ipsa tulerit excludere Oeconomus vero ex ipsius Praefecti voluntate et Judicio necessacia pro Bursa coemet sed venerabili capitulo de accepta pecunia et expensa per ceptis item ex villa Marchwacz fructibus, proventibus et universis obventionibus rationem exactam et singillatam reddere debebit. Decernimus insuper ut in eadem Bursa Karnkoviana puerorum Karnkovianae domus nostrorum consanguineorum acta studentium prima ratio habeatur, hos illi sequantur quorum patres vel propinqui ad amplificandas eiusdem Bursae rationes aliquid notabile contulerint, quos ceteri in dictis praerogativis prout quisque ad eandem Bursam admissus receptusque fuerit subsequantur. Si vero aliqua in presenti Privilegio et ordinatione aliquando dubitatio emerserit eius tollendi declarandique praesentium vigore Venerabili Capitulo praedicto generali tantum potestatem omnimodam tribuimus praeterea liberam eidem Bursae nostrae in sylvis et borris nostris Opatovecensis pro foco hypocaustis calefaciendis calceque ad reparandam duntaxat domum coquenda lignorum liberam excisionem assentientes Venerabilibus fratribus nostris Praelatis et Canonicis totoque Capitulo Ecclessiae nostrae Metropolitanae Gnesnensi cuius quidem fundationis et dotationis nostrae nomine hoc expetimus et excigimus a Convictoribus hujus nostrae Bursae tam presentibus quam futuris ut Deum pro nobis orent cum pro modo quisque grati erga nos animi tunc recitandis Litaniis una aliqua in singulas hebdomadas die per Praefectum seu seniorem deputanda et insuper mensibus singulis vigilias mortuorum pro nostra nostrorum parentum, avorum, consanguineorum et benefactorum animabus decantent sacroque pro defunctis eodem vel sequenti die cautando religiose intersint. Ut praeterea in doctrinarum studiis diligentia et assiduitate in moribus obsequia modestia fide puritate et religione dignos se pro nostra suorumque expectatione Ecclesiasticis et Reipublico muneribus ac ministeriis in sua quisque vocatione prestent ac denique nostram hanc qualemcumque oblationem Deo Patri luminum a quo omne datum optimum et omne donum perfectum descendit gratam ac-

ceptumque in omni vita reddere conentur, Huic enim nos totam hanc fundationem, errectionem, dotationem et ordinationem summa qua possumus animi submissione pietate et religione devoremus, dedicamus, atque consecramus eiusque misericordiam supplices imploramus ut purissimae virginis filii sui matris Beatorum Apostolorum Petri et Pauli Sanctorumque Patronorum nostrorum Adalberti atque Stanislai praecibus et meritis, eandem conservet amplificet tueatur prosperet et defendat. Quam et nos ipsi dum vivimus, manutenebimus, conservabimus, tuebimur, defendemus atque ab omni interventione prohibebimus qui nimo pro Reverendissimis quoque Successoribus nostris D. D. Archiepiscopis Gnesnensibus spondemus atque promittimus, nunquam eos eandem infirmaturos sed ratam et gratam habituros una cum venerabili Capitulo Ecclesiae Gnesnens[illegible]. Quod ut studiosius etiam voluit ac praestent eosdem per viscera misericordiae Dei per patriae salutem atque tremendum Dei Judicium omni quo possumus studio rogamus obsecramus et obtestamur. In quorum fidem et testimonium praesentes manu nostra subscripsimus Sigilloque nostro commnnire jussimus. Datum in Arce nostra Loviciensi die tertia mensis Aprilis Anno Domini Millessimo quingentesimo nonagesimo nono. Presentibus Reverendis et Generosis Dominis Vincentio a Senae praeposito Loscensi Archidiacono Gnesnensi Lovicienis, Jacobo Lempicki Decano Lanciciensi Archidiacono Loviciensi Gnesnensi Curiae Cancellario juris utriusque Doctoribus, Sigismundo Laskowski Cantore Lanciciensi et Praeposito Zegrzensi, Faelice Lipcziński Gnesnensi Loviciensi, Canonico Thesaurario, Joanne Domaniewski Dapifero Lanciciensi et Capitaneo Mnichowiensi, Andrea Ponętowski, Laurencio Kawieczki, Sigismundo Czebrowski et aliis Curiae nostrae aulicis et familiaribus Meque Luca olim Marthini Mientha Posnaniensi eiusdemque Dioecesis conjugato Sancta Apostolica authoritate publico... Illustrissimo et Reverendissimo Domino Archiepiscopo Gnesnensi supra nominato, Actore Curiae eiusdem Notario qui Bursae eiusmodi errectioni, fundationi, dotationi, ordinationi aliisque, omnibus et singulis suprascriptis dum sic uti supra descriptum est fieret et agerentur una cum praenominatis Dominis, testibus praesens interfui, eaque sic fieri vidi et audivi ideo praesentes errectionis, fundationis, dotationis et ordinationis literas manu propria subscripsi signoque ac nomine in eo solito quo in talibus utor consignavi rogatus et requisitus. Stanislaus a Karnków Dei Gratia Archiepiscopus Gnesnensis manu propria subscriptis transivit perimanus Martini Karnkowski

Decani Gnesnensis protunc in Generali Capitulo praesidentis. Nos itaque Sigismundus Tertius Rex praenominatus eiusmodi praecibus sumendo praeinsertas errectionis, fundationis, dotationis et ordinationis Bursae supra nominatae literas, in omnibus earum punctis, clausulis, articulis et conditionibus tam in toto quam in parte approbandas, ratificandas et confirmandas esse duximus, uti quidem approbamus, ratificamus et confirmamus praesentibus literis nostris easdemque robur debitae et perpetuae firmitatis obtinere volumus. In cujus rei fidem etc. Datum in Comitiis Regni nostri Generalibus Varsaviae die vigesima tertia Mensis Februarii Anno Domini MDC. Regnum nostrorum Poloniae decimo tertio Sueciae vero Anno Sexto. Sigismundus Rex.

(*Metryki Koronnéj księga 145 fol. 23*).

O POEZYI WŁOSKIÉJ W ŚREDNICH WIEKACH

JAKO ŹRÓDLE DO

BOSKIÉJ KOMEDYI DANTA.

PRZEKŁAD

z A. Fryderyka Ozanama.

VI.

POEZYE JACOPONA.

Chcielibyśmy dać poznać pobieżnym rozbiorem poezye mistyczne Jacopona, obawiamy się tylko, czy w właściwém przedstawimy je świetle, jeśli zechcemy dopatrywać w nich jedności systematu teologicznego. Niewątpliwie ścisły związek łączy pomiędzy sobą wszystkie doktryny Jacopona; poemata jednak niektóre możnaby tu wyłączyć z pod ogólnéj zasady. Tak i w ulu pszczolnym, nieraz panuje ład doskonały, choć rój jaki oddzieli się i swobodnie rozbiega po kwiecistéj łące. Trzebaby iść w ślad za improwizacyą tego różnostronnego geniuszu; trzebaby go widzieć w chwili uniesienia, gdy opiewa zaślubiny duszy z miłością Bożą; gdy szyderczo opowiada spór rozumu spragnionego pokuty, z ciałem drżącém przed chłostą; gdy z niepojętym wdziękiem skreśla przybranie duszy, wezwanéj na

anielskie gody (1). Musimy jednak pominąć tyle ciekawe ustępy, a zatrzymamy się za to dłużéj na najznakomitszym poemacie Jacopona: jestto ustęp, złożony z czterystu czterdziestu wierszy. Tu w formie wziętéj w połowie z dramatu, w połowie z epopei, poeta postanowił opiewać poprawę ludzkiéj natury.

„Poeta. Człowiek na początku stworzony był cnotliwym; wzgardził łaską przez własne obłąkanie. Upadek był niebezpieczny; prawo chce, aby i powrót okupiony był pracą. Kto nie zna drogi, widzi na niéj zamęt, ale kto ją przejdzie, ten osięga chwałę, i w ziemskiéj nawet pielgrzymce ma już przeczucie raju (2).

Gdy człowiek zgrzeszył po raz piérwszy, zmieszał cały porządek miłości; tak sobie upodobał miłość samego siebie, że się postawił wyżéj nad Boga, a sprawiedliwość wieczna tak była tém oburzoną, że go ogołociła z wszelkich przywilejów. Wszystkie cnoty opuściły go, a szatan stał się jego panem.

Miłosierdzie widząc człowieka w upadku, zgubionego z całém pokoleniem, zebrało niezwłocznie swoje córy. Z ich liczby wybrało wierną pośredniczkę, i nakazało jéj szukać człowieka na ziemi, kędy jęczał tknięty bolem i rozpaczą. I pokuta przeznaczona na poselstwo, wybrała się w drogę z całym swoim orszakiem.

(1) Jacopone, lib. V, 23; lib. IV, 33; lib. II 14.

Arima che desideri
D'andare a paradiso.

(2) Jacopone, lib. II, 2.

L'uomo fu creato virtuoso;
Volselo disprezzar per sua follia;
Il cadimento fu periculoso,
La luce fu tornata in tembria.
Il risalire posto e fatigoso;
A chi nol vede per grande follia,
A chi o passa pargli glorioso,
E paradiso sente in questa via.

Pokuta, w sercu upadłego człowieka tchnęła naprzód trwogą, która wyrugowała z niego fałszywą pewność siebie; potém natchnęła je uczuciem wstydu, a nakoniec wielką boleścią, że obraziło Boga. Ale w żaden sposób człowiek nie mógł dać zadosyćuczynienia. Albowiem upadłszy z własnéj woli, tylko wolą mógł się podźwignąć na nowo. Anioł nie miał obowiązku wspierania go i nie mógł tego czynić. Pokuta wysyła pokutę na niebieski dworzec: błagam miłosierdzia, rzecze, a nie sprawiedliwości.

I natychmiast na niebieskim dworze pojawiło się miłosierdzie: Panie, zawoła, widzisz jak opłakuję moje dziedzictwo, bo mi je wydarła sprawiedliwość. Uderzając człowieka, zraniła mnie śmiertelnie i odarła ze czci wszelakiéj.

Sprawiedliwość. Panie! Prawo daném było człowiekowi: pogardził niém wiarołomnie. Wymierzyłam karę, nierówną zapewne przestępstwu: przejrzyj mój sąd i popraw go, jeśli w czémkolwiek przeszłam miarę.

Bóg Ojciec. O mój Synu! moja najwyższa mądrości! W Tobie spoczywa cała tajemnica odkupienia człowieka. Tak zatwierdza nasza rada. Od niéj wstrząśnie się niebieski dworzec, cały przejęty radością.

Bóg Syn. O mój słodki i ukochany Ojcze! Mieszkałem zawsze w Twojém łonie, dochowam Ci wiernie cnoty posłuszeństwa. Niech tylko znajdę godne siebie mieszkanie, pojednam miłosierdzie ze sprawiedliwością i naznaczę obudwom ich prawa".

Tu poeta opowiada stworzenie Maryi, Zwiastowanie i Narodzenie Boże. Równie jak Adam ulepion był z dziewiczéj ziemi, jak mówi Pismo, tak z Dziewicy narodził się Chrystus, który przyszedł, aby spłacić grzech Adama. Narodził się w zimie w czasie wielkiego chłodu, a urodzony na ziemi naddziadów, nie posiadał ani własnego dachu, ani płaszcza.

Cnoty zgromadzone przed obliczem Boga, ciężkiemi zawodzą skargi: „Panie! spojrzyj na jakie sieroctwo skazane jesteśmy cudzą winą. Zaręcz nas z kim, aby nas uwolnił od kaźni, coby nam przywrócił cześć i poszanowanie".

Bóg Ojciec. „Córki idźcie, szukajcie mojego najmilszego: zaślubiam was Jemu. Składam was w Jego ręce, abyście przy Nim znalazły spokój i cześć niepokonaną, ku podziwieniu ludzi. A gdy mi go oddacie, podniosę Go powyżéj niebios.

Siedm darów Ducha Świętego takież same wynurzają żale, a Bóg Ojciec odsyła je zarówno do Odkupiciela. Nakoniec się pojawia siedm błogosławieństw.

„Błogosławieństwa. Panie! my jesteśmy tułaczki, urodzone na ziemi. Nakarmij nas łaknące, pielgrzymowałyśmy oto zimą i latem, trawiąc dni w goryczy, a nocy w boleści. Każdy wygania nas z pod dachu i mniema, że mądrze czyni: albowiem zarówno jak śmierć, jesteśmy w nienawiści u wszystkich.

Bóg Ojciec. Człowiek nie godzien jeszcze, aby podejmował skarb tak wielki. Pedejmuję was w imię Chrystusa: będziecie Mu godłem, a ukazując Go ziemi powiecie: Oto jest Pan, który nas podźwignął!

Poeta. Odkupiciel słodki, przemawiał za nami wbrew sprawiedliwości.

Sprawiedliwość. Panie! jeżeli wola Twoja spłacić dług zaciągnięty przez człowieka, wolno Tobie, albowiem jesteś Bogiem, a razem i człowiekiem. Ty jeden jesteś w mocy uczynić mi zadość, rada więc zawieram z Tobą przymierze.

Miłosierdzie. Panie! nieudolność człowieka tak jest wielka, że w żaden sposób nie może być uleczonym, jedno gdy Ty Panie, weźmiesz na siebie słabości wszelkiego ludzkiego stworzenia, jakie było, jest i będzie przez wieki. Tym sposobem pocieszysz mnie, mnie nieszczęśliwą, com tyle łez wylała.

Chrystus. Żądania twoje słuszne, uczynię im zadosyć. Tak jestem upojony miłością, że świat poczyta mnie za szaleńca. Aby człowiek wiedział ilem go umiłował, poniosę śmierć na odkupienie jego grzechu.

Na prośbę miłosierdzia, Chrystus sporządza kąpiel, w któréj człowiek skażony, odzyska pierwotną czystość. Ale sprawiedliwość chce przyłożyć rękę do Boskiego dzieła, a człowiek nie prędzéj obmywa się wodą chrztu św., aż wprzód wyrzecze się czarta. Potém ustanowione jest bierzmowanie, potém Eucharystya św. i inne sakramenta, a siedm darów Ducha Świętego odprawiają weselne gody z cnotami. Z ich związku ma się narodzić siedm błogosławieństw. „Pokój wrócił w serce człowieka, a teraz, zakończa poeta, błagajmy Trójcę Przenajświętszą, aby nam odpuściła nasze grzechy".

Ruch, życie i naiwna prostota, godne są podziwienia w tym utworze. Allegorye wprowadzone przez poetę, ściśle opierają się na podaniu chrześciańskiém. Już w IV wieku, Prudencyusz opiewając w swojéj Psychomachii walkę cnót i występków, uosobił wiarę i pogaństwo, czystość i rozkosz, cierpliwość i gniew. W trzysta lat po Jacoponie, Kalderon ożywił scenę swoich Autos Sacramentales wystawiając na niéj osoby allegoryczne obok historycznych, Adama i Chrystusa, obok rozumu i woli, Dawida i Abigail, obok czystości i rozpusty (1). I malarstwo też same przyjęło prawa, a gdy Taddeo Gaddi we Florencyi, w pięknéj kaplicy hiszpańskiéj, chciał wyobrazić tryumf św. Tomasza z Akwinu, posadził św. Doktora na wspaniałéj kazalnicy, otoczonego aniołami, prorokami i ewangelistami, a powyżéj wymalował czternaście niewiast wielkiéj urody, w których wyobraził siedm cnót i siedm umiejętności. Allegorya niegdyś blado wychodziła z pod

(1) Calderon. *La Nave del mercader*, la primer flor del Carmelo.

ręki artystów uczonego wieku, ale za to jakże rozpłomieniło ją tchnienie średniowiekowych geniuszów. Wiara co przepełniła im serca, wpływała w ich utwory: wierzyli oni w istnienie uosobionych przez siebie postaci, ztąd nadawali im cechę prostoty, prawdy i żywotności.

Poemat o poprawie ludzkiéj natury, ułożony w pięknych ośmiowierszowych zgłoskach ma już pozór epopei: widzimy znowu polot liryczny w następującéj pieśni, gdzie Jacopone wyobraża Chrystusa, szukającego zbłąkanéj duszy.

„Aniołowie. O wszechpotężny Chryste, jakążto przedsiębierzesz podróż? Czemu idziesz ubogo jakby pielgrzym?

Chrystus. Pojąłem oblubienicę i oddałem jéj serce moje. Przybrałem ją w klejnoty, ku większéj czci i ozdobie, a ona opuściła mnie. Dlatego idę smutny i strapiony. Dałem jéj kształt mój i podobieństwo moje.... Otwierając pole działania cnotom, chciałem, aby dusza miała ciało za służebnika. Harmonijne to było narzędzie, cóż kiedy je roztroiła. Aby miała na czém wywierać potęgę, dla niéj stworzyłem wszelką istność; zamiast umiłowania mnie za wszystko dobro, jakiem jéj uczynił, wypowiedziała mi wojnę.

Aniołowie. Panie! jeżeli ją znajdziemy, a jeżeli przyjść zechce, możemyż jéj oznajmić przebaczenie Twoje?

Chrystus. Powiedzcie oblubienicy mojéj, aby powróciła, aby mnie nie wystawiała na tak bolesną mękę. Dla niéj umrzeć pragnę: tak silną przejęty jestem miłością. Przebaczam więc z wielkiém weselem, oddaję jéj klejnoty, w jakiem ją sam przyozdobił.... Nie chcę pomnieć na jéj wiarołomstwo.

Aniołowie. Duszo grzeszna, oblubienico wielkiego oblubieńca, czemu twoje oblicze potarzane w takiém

błocie? Czemu ubiegłaś od Tego, który cię taką ukochał miłością?

Dusza. Skoro pomnę na Jego miłość umieram z zawstydzenia. Postawił mnie w wielkiéj czci, a ja kędyżem spadła? O śmierci okrutna i sroga, jakżeś mnie oplątała wokoło!

Aniołowie. Niewdzięczna grzesznico, powróć do Pana! nie rozpaczaj, albowiem dla ciebie, umiera On z miłości, nie powątpiewaj o Nim, On cię garnie do siebie.

Dusza. O Chryste miłosierny, o miłości moja, i kędyż Cię mam szukać? Nie kryj się dłużéj, albowiem umieram z boleści. Ktokolwiek widział Pana, niech powie kędy Go znalazł?

Aniołowie. Znaleźliśmy Go wiszącego na krzyżu, złamanego chłostą, bez ducha. Dla ciebie Pan skonał, o jakże drogo cię okupił!

Dusza. A ja ciężką przejęta boleścią, poczne zawodzić krwawym jękiem. Miłość zabiła Cię Panie, skonałeś przez miłość dla mnie! O miłości najwyższa! do jak sromotnego drzewa przybiłaś ty Chrystusa (1).

Postępowaliśmy w ślad za Jacoponem, po świecie idealnym, który on stworzył, zaludnił aniołami i cnotami, opromienił blaskiem wiekuistéj prawdy. Czas nam zstąpić z nim razem w świat rzeczywistości i widzieć go w walce z ludźmi, pokalanemi grzechami. Jacopone nie jest podobnym do owego Angelico z Fiesole, co skreśliwszy rajską szczęśliwość nieśmiertelnym pędzlem, niedołężnie za to maluje piekło, co zdobi potępieńców wdzięcznym wyrazem niewinności, a oddaje spokój na obliczu szatanów. Przeciwnie czyni pokutnik z Todi. Przepomina on Boskiego zachwytu, gdy oddaje z całą siłą nieład ówczesnego społeczeństwa. Obrazy jego tak są dzielnie skreślone, że raczéj o przesadę obwiniaćby go można.

(1) Jacopone, lib. IV. 6.

Nie jest dotąd poznaną we właściwém świetle zła strona średnich wieków. Pod te czasy, kiedy jak mniemamy chrześciaństwo wyłącznie opanowało dusze, dwie mało znane przyczyny chwiały potęgą prawa i siały zgorszenie w obyczaje. Z jednéj strony wspomnienia pogaństwa drgały jeszcze życiem, a zabobon posunięty był do tego stopnia, że we Florencyi, lud z przerażeniem poglądał na posąg Marsa przeniesiony z głębi wspaniałéj kaplicy, na brzeg starego mostu. Dualizm odradzał się w odszczepieństwo Albigensów, a materyalizm epikurejski pod nazwą Averhoës rozpościerał się w szkołach. Z drugiéj strony, odwieczny bodziec barbarzyństwa, instynkt krwi i ciała, tchnął jeszcze pełną siłą. Daremnie kościół nakazywał poszanowanie ludzkiego życia. Wieki te upodobały sobie widowisko śmierci, i zadość mu czyniły ustawicznemi wojnami, krwawą zemstą, oraz wymierzaniem najsurowszych męczarni winowajcom. Ugolino skazany został na zamorzenie głodem wraz z trzema synami. Ekcelin srogi w dniu jednym spalił na stosie jedénaście tysięcy Padwanów. Obok tego rozpusta srodze karana w klasztorach, bezkarnie rozpościerała się po pałacach książęcych i tam dawała pochop tylu słynnym królewskim rozwodom, (nad czém papieże tak boleli srodze) oraz zaludniała seraje Fryderyka II. i Manfreda. Okręty, które niosły powracających z krucyat rycerzy, niosły wraz z niemi wszelkie występki Wschodu, tak, że święty Bernard na widok bezrządu, jaki wynikł z wojen świętych, tłumaczył się, że sam pobudzał do nich chrześcian.

Ale jeżeli przeznaczonem było wiekom średnim, aby poznały złe w całém znaczeniu słowa, miały i tę wielką zasługę, że je umiały znienawidzieć. Nieznaną była wtedy dzisiejsza oględność i delikatność. Mędrcy ówcześni głosili występki wielkich, bez obawy i wahania. Jeżeli zepsucie wdzierało się do Sanctuarium,

za to ów bicz chłosty, który wyganiał niegdyś przekupniów ze świątyni, przechodził z rąk Piotra Damiana w ręce Grzegorza VII, a od ś. Bernarda do Innocentego III. Te wieki natchnienia były także wiekami polemiki; nie szczędzono w nich obelg, ani szyderstwa. Poniżéj posągów świętych biskupów rzeźbionych w przedsionkach kościołów katedralnych, rzeźbiarz wyobrażał niecne rysy przestępnych prałatów i odszczepionych mnichów. Poezye trubadurów dzieliły się na dwa rodzaje: na pieśni sławiące odwagę i piękność, tudzież na zwrotki (sirventes) podające w ohydę tchórzostwo. Cóż więc dziwnego, że Jacopone uległ duchowi swego czasu, że pisał satyry, że w warunkach sztuki dozwolonéj podówczas, wystawiał stronę śmieszną obok najszczytniejszéj?

Satyry Jacopona nie ściągają się do królów, ani do piérwszych dostojników miast włoskich; nie szukać w nich zatém pocisków na wielkie zbrodnie XIIIgo wieku. Pisane w języku ludu, ścigają one złe pospolite, owe drobne bezprawia, które odbierają ubogiemu zasługę łez i boleści. Ztąd te śmiałe, a niekiedy ohydne obrazy, w których poeta uosabia chciwość, rozpustę i pychę, aby je tém pewniéj wystawić na nienawiść i pośmiewisko tłumu. To jak grabarz Szekspira podejmuje trupią głowę i pyta kędy te oczy, co takie ciskały płomienie, ten język ostrzejszy niegdyś od miecza? To wiedzie grzesznika przed trybunał Najwyższego Sędziego i takie słowa kładzie w usta złego ducha: „Panie, rzecze szatan, stworzyłeś tego człowieka według upodobania, dałeś mu poznanie i łaskę; wszelako on nie dochował żadnego z przykazań Twoich: niechże więc będzie nagrodzony ręką tego, komu służył. Wiedział wszakże co czyni, gdy zbogacał się lichwą, gdy na fałszywą wagę sprzedawał chleb ubogiemu. Na moim dworze oczekuje go zapłata. Skoro tylko dostrzegł grono pięknych pań i dziewic, biegł tam

natychmiast z nową pieśnią: tym sposobem pociągał niebaczną młodzież. Mam ja na dworze paziów moich, co nauczą go śpiewać". Na te zaskarżenia szatana, anioł stróż daje świadectwo: wyrok zostaje zatwierdzony. Szatani porywają przestępcę, krępują go twardym łańcuchem i zanoszą do piekła. „Daléj! woła straż uzbrojona w widły, wychodząc przeciw potępionemu. Cały naród piekielny gromadzi się i wrzuca grzesznika w ogień wieczny" (1).

Kobiety jak z jednéj strony były natchnieniem poetów, tak z drugiéj były celem najsurowszych pocisków satyry. Ale pokutnik nawrócony śmiercią pobożnéj małżonki, nie mógł dotykać tego przedmiotu ze swawolą Juwenala, lub ze swobodą ówczesnych pieśniarzy. Wiedział on zapewne, że według wyrażenia jednego ze współczesnych, żaden artysta nie używa tak zręcznych podstępów, tyle przemysłu i tylu narzędzi ku wykonaniu swojéj sztuki, jak niewiasta włoska ku własnemu przyozdobieniu (2). Opowiada więc w jaki sposób ówczesne Włoszki podnosiły swą kibić, jak przywracały licom barwę lilii i róży. Jeżeli słabą dłonią dźwignąć nie mogły włóczni, za to ostremi słowy przenikały najtwardsze pancerze. Najwięcéj jednak trwoży Jacopona stan niebezpieczny dusz narażonych na pociski tych niebezpiecznych istot. „O kobiety! mówi on, pomnijcie na śmiertelne rany, jakie zadajecie dobrowolnie. Wasz wzrok ma siłę wzroku bazyliszka. Wąż bazyliszek zabija człowieka wejrze-

(1) Jacopone IV, 10.
Quando t'alegri, o huomo, di altura,
Va, poni mente a la sepoltura.
Ibid. 12. O signor Christo pietoso
Debperdona il mio peccato.

(2) Benvenuto d'Imola, *Comment. ad cant. 23 Purgatorii.* „Nam nulli artifices in mundo habent, tam varia organa et diversa instrumenta; et subtilia argumenta, pro artificio suae artis, sicut mulieres florentinae pro cultu suae personae.

niem, wzrok jego jadowity śmierć zadaje ciału. Wasz stokroć sroższy, bo zatraca dusze, odbiera je Chrystusowi, słodkiemu Panu, co je odkupił tak drogo. Bazyliszek chroni się przed oczyma ludzi, a gdy na nich nie patrzy, nie wyrządza im szkody. Wasza wina stokroć większa, same bowiem zdradliwém spojrzeniem szukacie ofiar przeznaczonych na zgubę. Ty mówisz, że się stroisz g'woli mężowi a panu twemu, ale własna myśl uwodzi ciebie, albowiem nie dbasz o pozyskanie jego miłości. Spozierasz na lada głupca, a mąż twój czuje w sercu podejrzenie, a potém żalisz się gdy cię uderzy, gdy cię chroni zawistnie przed ludzkiém okiem, gdy ściga twoje ślady, gdy ci stawia zasadzki i ma cię za występną. Ztąd nieraz w taki zapadnie on smutek, że mu wyschnie krew w żyłach i powlecze cię na ustronne miejsce i tam własną zamorduje cię ręką"! Nie obwiniajmy poety o przesadę, ale pomnijmy, że to pisał w wieku Franceski z Rimini (1).

Jeżeli Jacopone surowo sądził społeczeństwo, wiemy już, że nie pochlebiał i kościołowi. Gdy zbiegłszy ze świata odkrył i w zaciszy klasztornéj występki, przed któremi mniemał, że się chroni, z wielkim wtedy zapałem wyrażał swoje oburzenie. Muza jego drżąca zgrozą, chwyta rzemień chłosty starych ojców z pustyni, zagląda do klasztornych celi i karci przestępnych zakonników. Tu zatrzymuje niby w przelocie duszę mniszki, zmarłéj w pozornéj świętobliwości. Dusza ta przeżyła pięćdziesiąt lat w dziewictwie, milczeniu i postach, ale niedostawało jéj pokory. „Gdy świat nazywał mnie świętą (mówi dusza) czułam jak pycha na wskróś mnie przenikała. Owóż dlatego Bóg odtrącił mnie od siebie". W innéj pieśni odzywa się ubóstwo. Bóg Ojciec wysłał je na ziemię, aby przejrzało wszelkie ludzkie stany, i wynalazło najwłaściwszy sobie

(1) Jacopone 1, 6.

przytułek. Ubóstwo odwiedziło najprzód prałatów, ale ci nie mogli znieść jego widoku i rozkazali służbie wypchnąć je za drzwi bez litości. Słyszało potém ubóstwo, jak zakonnicy pozdrawiali je słowami psalmów, ale w ciepłe przyodziani płaszcze, nie skłaniali ucha ku niemu. „Bracia mili, rzekło ubóstwo, wszakże przyrzekliście Chrystusowi, że pójdziecie zawsze w jego ślady". A bracia odrzekli na to: „Jeżeli nie pójdziesz precz natychmiast, nauczymy cię, że inna rzecz mówić, a inna rzecz działać". Nakoniec ubóstwo puka we drzwi zakonnic. Na widok postaci bladéj i wychudłéj przeżegnały się pobożne dziewice. „Niech was Bóg błogosławi siostry moje, zagadnie ubóstwo. Niegdyś mieszkałam w tym domu, znalazłam w nim pokój i gościnne przyjęcie: teraz wszystko się zmieniło, nie poznaję ani sprzętów, ani twarzy". „Czego tu chce ta stara wiedźma," wykrzyknęły siostry, a stróż klasztorny wygnał biedną, okładając ją kijem. Ta ironia, która w innych czasach stała się wyrazem bezbożności, przystawała tym wiekom, kiedy żywot ducha począł wątleć pod światowemi bogactwy, jak dobry posiew pod chwastem. S. Bernard nie mógł pojmować, iż ojcowie tolerowali takie wymysły, jakie dostrzegał u mnichów swego czasu: taką niewstrzemięźliwość w jadle i napoju, takie rozmiękczenie w pościeli i ubraniu, taki przepych w budowlach. Święty Piotr Damian wyżéj satyryczne wymierzał pociski i z gorliwym zapałem obwiniał prałatów o zbytki, opisywał ich stoły zastawione w piramidy z mięsa, woniejącego od przypraw wschodnich i winem szumiącém w kryształowych czarach: ich łoża wspanialsze niż ołtarze i mury pokryte tkanemi obiciami istnie jak umarli całunem (1).

(1) Jacopone IV, 36; 1, 9.

Cf. S. Bernard ad Guglielmum abbatem. Święty Piotr Damien. *Opusc.* XXXI, cap. IV; apud Muratori, Antiquit. italic., t. II, p. 310. „Ditari cupiunt, ut turitae dapibus lances indica pigmenta redoleant, ut in

Kiedy widok tego zepsucia ożywiał odwagę wielkich reformatorów, dusze mniéj silne, ale niemniéj czyste, patrzały nań ze zgrozą i poznawały w niém obrzydliwe rozprzężenie ludzkości, przepowiedziane jako znamię zbliżającego się końca świata. Dlatego to wieki średnie miały upodobanie w obrazach z Apokalipsy; ceniły zaś nadewszystko straszną historyą antychrysta, którą w XVym wieku odmalował tak śmiało Luca Signorelli na murach katedry w Orvieto. Postać antychrysta przypomina w przerażający sposób cudowne oblicze Zbawiciela, a jednak tchnie całą namiętnością piekieł. U stóp jego leżą wszystkie bogactwa ziemi, a on rozdziela je wielbicielom swoim; podczas gdy w progu świątyni katowie ścinają głowy dwom prorokom. Ale już w powietrzu krąży anioł uzbrojony płomienistym mieczem, gotów strącić uwodziciela, w chwili gdy ten zapragnie wzbić się ku niebiosom. Ów obraz jednak nie jest śmielszym od poetycznego obrazu Jacopona z Todi p. n. „Walka Antychrysta". „Teraz oto przedświadczymy się kto okaże odwagę. Przepowiedziane utrapienia nadchodzą: ze wszech stron biją jak pioruny, księżyc się zaćmił, a słońce skryło się za obłoki; widzę jak gwiazdy spadają z nieba: odwieczny wąż rozkuty już z więzów, świat cały idzie za nim w ślady: wypił już wszelkie ziemskie zdroje, zamyśla oto pochłonąć rzekę Jordanu i pożreć cały lud Chrystusowy. Słońce to obraz Chrystusa, który nie przyświeca już z nieba, ku umocnieniu swoich służebników. Już nowe cuda nie krzepią wiernego ludu. Źli czerpią w tém powód zwątpienia i znieważają nas nikczemnie, a słowa prawdy nie mogą ich przekonać. Księżyc także się przyćmił, on, który

crystallinis vasculis adulterata millo vina flavescant, ut quocumque veniunt, praesto cubiculum operosis et mirabiliter textis cortinarum phaleris induant, sicque parietes domus ab oculis intuentium tanquam sepeliendum cadaver involvunt".

niegdyś oświecał świat w ciemności i przewodniczył nam wiernie, utonął już w wiecznym pomroku. To obraz duchowieństwa zbłąkanego dziś na niebezpiecznej drodze. Boże i Panie! kto się uchroni przed Tobą? Gwiazdy spadłe z nieba, wyobrażają bractwa zakonników. Wielu z nich porzuciło ubitą drogę, a poszło błędnym manowcem. Wody potopu wystąpiły z swych łożysk, pokryły góry i zanurzyły wszystko. Boże! bądź pomocą, bądź wsparciem tonącym. Człowiecze, przywdziéj zbroję, albowiem wybija godzina! Całą siłą chroń się od téj śmierci. Nigdy świat nie widział tak okrutnéj i sroższéj widzieć nie będzie. Święci sami zadrżeli, tylko szaleniec jéj się nie trwoży (1)."

Satyra Jacopona jest zarazem przepowiednią ludową. Przypomina ona zuchwałość ówczesnych mowców, którzy pochwytywali zwykle śmieszną stronę każdéj rzeczy, aby tém pewniéj nawracać lud, rozweselony płochym żartem. Szaleniec z Todi, za którym biegały niegdyś miejskie dzieci i próżniacze zgraje, a on uczył je przypowieściami, dziś nauczał lud wierszami. Pieśni aniołów oznajmiły pastuszkom narodzenie Chrystusa; jakżeby więc poezya chrześciańska miała przepominać ubogich i małych? Kościół zatém obok uroczystéj liturgii pomieścił i domowe kantyczki, a co więcéj patrzał pobłażliwie na przedstawianie mysteryów. Lecz te dramata religijne znane i ulubione ludom osiadłym z téj strony gór, późniéj dopiéro przedarły się do włoskiéj ziemi. Jeżeli wiadomo, że bywały mysterye przedstawiane w XIIIym wieku w Padwie, Florencyi i Fryulu (2), nie ma dowodu, czyli poezya miała udział w tych przedstawieniach. W pismach Jacopona widzimy piérwsze dopiéro próby dramatu ludowego pisane w języku włoskim. Znajdu-

(1) Jacopone IV, 14.

(2) Muratori, *Antiquit. ital.* t. II, dissertat. 29. *De spectaculis* et ludis publicis medii aevi.

jemy w nich cały ciąg poematów na uczczenie dorocznych uroczystości: Narodzenia, Męki Pańskiéj, Zmartwychwstania, Zesłania Ducha świętego i Wniebowstąpienia, tudzież uroczystości Franciszka świętego, świętéj Klary i świętego Fortunata patrona Todi. Ale częstokroć geniusz poety nie może się z całą swobodą utrzymać w prostym opisie akcyi, przedstawia zatém osoby w chwili działania, niknie sam poza niemi i przemawia ich słowy, a słuchacz raduje się w prostocie ducha, słysząc mówiącego Chrystusa, aniołów i świętych Pańskich. Niektóre dyałogi Jacopona pisane były wyraźnie na scenę jak: dyalog Chrystusa z dwoma uczniami z Emaus i Zstąpienie Ducha świętego na apostołów (1). Najbardziéj jednak ze wszystkich uderza nas mocą natchnienia dramat o N. Maryi Pannie, który dajemy w przekładzie. W owymto dramaciku o boleści N. Maryi Panny znajdujemy siłę natchnienia, jaką podziwiamy w Stabat Mater (2).

Posłaniec.—N. Marya Panna.—Tłum.—Chrystus.

„Posłaniec. Królowo niebios! pojmali syna Twego błogosławionego Chrystusa; przyjdź i patrz. Myślę że Go zabiją, tak Go ciężko ubiczowali.

N. Marya Panna. Byćże to może, aby człowiek podniósł rękę na Niego? Wszakże On nikomu nic złego nie uczynił; Chrystus nadzieja moja!

Posłaniec. O Pani! pospiesz i przyjdź Mu na pomoc! Naplwali na twarz Twego syna, a tłum wlecze Go z miejsca na miejsce. Powiedli Go oto do Piłata.

N. Marya Panna. O Piłacie, nie każ męczyć mojego syna! mogę cię przekonać, że niesłusznie jest obwiniony.

Tłum. Ukrzyżujcie Go! Ukrzyżujcie Go! Człowiek, który się mieni królem, winien jest sądu.

(1) Jacopone lib. III. 2, 3, 8, 9, 10, 13, 15, 21, 23, 25, 26, 27, 16, 18. (2) Jacopone lib. III. 12.

Posłaniec. Pani! patrz. Oto lud niesie krzyż, na którym ma zajaśnieć wiekuista prawda.

N. Marya Panna. O krzyżu! co czynisz? odbierzesz-li mi syna? Cóż Mu zarzucisz, kiedy w Nim nie ma grzechu?

Posłaniec. Pani! patrz, podnoszą mu rękę, rozciągają na krzyżu i przybijają gwoździem. A teraz biorą drugą, i wyciągają w drugą stronę; a boleść Jego coraz cięższa. Pani, oto w téj chwili przybijają Mu obie nogi, i przytwierdzają do drzewa, a całe ciało zgięło się pod własnym ciężarem.

N. Marya Panna. A ja rozpocznę pienia żałoby! O synu! Tyś był radością moją! Kto mi zabił miłego syna, lepiéj byłby uczynił, gdyby mi żywcem wydarł serce.

Chrystus. Niewiasto, czemu się skarżysz? Ja chcę ażebyś mnie przeżyła, ażebyś wspierała wiernych, którzy byli ze mną na ziemi.

N. Marya Panna. Synu miły, nie przemawiaj w ten sposób. Z Tobą ja pragnę umrzeć. Pragnę na krzyżu skonać obok Ciebie. Niech syn i matka będą pogrzebani w jednym grobie, albowiem równe nieszczęście w jedną otchłań pogrąża matkę i syna.

Chrystus. Niewiasto, składam w ręce Twoje zasmucone moje serce. Jan uczeń mój ukochany, będzie nazwany Twoim synem. Janie, oto matka twoja, przyjmij ją z miłością, miéj litość nad nią, albowiem jéj serce jest przebite.

N. Marya Panna. Synu mój! Już dusza uleciała przez Twe usta. O synu mój niewinny! O mój synu, promieniejący jasnością, Tyś poszedł oświecać inne światy!... jakże pociemniało oblicze Twoje!... O mój synu, o białém licu i jasnym włosie, o mój synu, o tak słodkiém obliczu, czemuż świat zażądał Twojéj hańby i śmierci? Synu miły i drogi, synu bolejącéj matki! O jakże lud okrutnie z Tobą postąpił! a ty Janie, nowy

mój synu, patrz, brat twój nie żyje. Ach! czułam ostrze miecza, przepowiedziane mi przez proroki."

Wyobraźmy sobie tę scenę wystawioną w Wielki Piątek, w przedsionku kościoła, przez lud włoski, najnamiętniejszy w świecie, a pojmiemy początki tragedyi chrześciańskiéj. Nigdy boleść nie wydawała sroższych jęków, ale też nigdy radość nie przemawiała wdzięczniéj, jak w kolędach Jacopona: czylito prowadzi pasterzy do żłobu, czyli też wiedzie do stóp Maryi gromadkę wiernych, błagającą, aby jéj na chwilę ustąpiła Boże Dzieciątko. Trzebaby czytać w włoskim języku te pieśni, niepodobna bowiem oddać ani ich muzykalnéj melodyi, ani dziecięcego ich wdzięku. Umié poważny teolog, cenzor kościoła i świata, uczynić się maluczkim z maluczkiemi; umié radować ich serca, tworząc kantyczki niezrównanéj prostoty i słodyczy, które powtarza, i prządka przy kądzieli, i matka nad kołyską niemowlęcia i pasterz zabłąkany z trzodą wśród parowów. Poeta weseląc się wraz z niemi w dnie uroczyste, zna niemniéj ich codzienne obowiązki i trudy. Dla nich więc zebrał w sześćdziesięciu sześciu zwrotkach, odwieczne przysłowia zawierające w sobie filozofią narodów: weźmy z nich kilka na próbę. „Komu żywot słodki, temu śmierć bolesna; umiéj wydobyć klejnot z prochu, a z człowieka niemiłego wdzięczne słowo; z szaleńca mądrość, a z pomiędzy kolców różę. Wspieraj wroga, gdy go widzisz w potrzebie. Jeżeli mysz zdoła przegryzć lwie pęta, jeżeli komar zwalczyć może odyńca, ja ci radzę, nie miéj nikogo w pogardzie. Gdy możesz być pokornym, nie ukazuj się nigdy w mocy (1)."

Ale najgodniejszém uwielbienia jest poeta ubogich, gdy wystawia ubóstwo. Lud nie ma lepszych

(1) Jacopone lib. II 32.

przyjaciół, nad ludzi, którzy uczą go jak ma błogosławić swoję dolę, co czynią pług lekkim w ręku rolnika, a rozjaśniają promieniem nadziei, ubogą tkacza izdebkę. Nieraz zapewne o zachodzie słońca, gdy dobrzy ludzie z Todi, ukończywszy dzienną pracę, szli doliną do domu, wieśniacy pędząc przed sobą pracowite woły, niewiasty niosąc na plecach ogorzałe od słońca dziatki, a zdala za niemi gdy szedł mnich zakonu świętego Franciszka, zapylony w ciągu dalekiéj drogi, słychać było, jak przy odgłosie dzwonu na Anioł Pański, śpiewali pieśń Jacopona. „Słodka miłości ubóstwo! jakże powinniśmy cię ukochać! Ubóstwo, miłe ubóstwo! pokora jest siostrą twoją! dosyć ci jednéj czarki, abyś nasyciło głód i pragnienie (1). Ubóstwu nie trzeba więcéj nad kęs chleba, trochę wody i ziela. Gdy podejmuje gościa, doda do tego szczyptę soli. Ubóstwo idzie bez trwogi, albowiem nie ma wroga i nie boi się rozboju. Ubóstwo kołacze we drzwi chaty; nie ma na sobie trzosa, ani torby; nie ma nic z sobą, chyba okruszynę suchego chleba. Ubóstwo umiera w spokoju, a krewni i krewne, nie pieniają się o jego chudobę. Miłe ubóstwo! o ty biedaczko urodzona w niebie! żadna ponęta ziemska, nie obudzi twych chęci. Ubóstwo potężna mocarko! świat cały poddanym jest twéj mocy, albowiem dzierżysz najwyższe panowanie, nad dobrami ziemi, któremiś wzgardzić umiała. Ubóstwo głęboka nauko! o ile wola człowieka się korzy, gardząc

(1) Jacopone lib. II 4.

Dolce amor di povertade,
Quanto ti degiamo amare!
Povertade poverella
Umiltade é tua sorella,
Ben ti basta la scodella,
E al bere, e al mangiare.

Ta pieśń i kilka innych utworów Jacopona ogłoszone były przez p. Chavin de Malan, przy jego dziele p. n.: Histoire de Saint François d'Assisse.

ziemskiemi bogactwy, o tyle obok ciebie wznosi się ku najwyższéj swobodzie! Ubóstwo miłe, pełne wewnętrznego wesela! Kto śmie powiedzieć, że niesłuszna ukochać ciebie na wieki!"

Wiemy, iż to wysławiane ubóstwo, dane średnim wiekom, jako przykład przez Franciszka świętego i jego uczniów, straciło już wziętość u współczesnych. Obwiniają kościół, że rehabilitował nie samo tylko ubóstwo, ale wraz z niém, żebractwo i jałmużnę, która tak poniża ubogiego, albowiem wkłada nań dług obowiązku. Zarzucają społeczeństwu chrześciańskiemu, że wymyśliło miłosierdzie, aby się uwolnić z pod jarzma sprawiedliwości. W oczach naszych jednak, żebractwo i jałmużna, są to dwa warunki nieodłączne od przeznaczenia naszego na ziemi. Wierzymy, iż Opatrzność uprzedzając w tém kościół, połączyła człowieka z człowiekiem, i pokolenie z pokoleniem, licznemi ogniwy, którym zadosyć nie czynią nawzajem, i że najdumniejszych postawiła w konieczności przyjmowania dobrodziejstw. Z jednéj strony, człowiek najswobodniejszy ma jeszcze powinności względem ojca i względem kraju, a będąc częstokroć ubogim, albo w dobra ziemi, lub w dobra intelligencyi, potrzebuje pomocy drugich. I któryż uczony, nie napotkał większego nad siebie mędrca i nie żebrał od niego światła? Szczęśliwi są żebrakami uciechy, a smutni opłakując w obec nas swą niedolę, żebrzą jedynéj łzy współczucia. W pośród tego ogólnego żebractwa świata, święty Franciszek, aby tém lepiéj usłużyć ludziom, stał się żebrakiem jak i oni, nieszczęśliwym bowiem najlepiéj nieszczęśliwy posłuży. Z drugiéj strony jałmużna jaką otrzymują uczniowie i następcy świętego Franciszka, jaką chrześciaństwo nakazuje i błogosławi, nie jest bynajmniéj zachętą do próżniactwa. Jałmużna jest nagrodą za usługi niczém nie opłacone na ziemi. Wielkie usługi społeczne, bez których na-

rody nigdy się obejść nie zdołają, nie mogą też być kupowane, ani sprzedawane, ani oceniane na wartość pieniędzy. Społeczeństwo kupuje towar od kupca, ale nie kupuje poświęcenie kapłana, ani sprawiedliwości sędziego, ani krwi żołnierza. Użycza im chleba, aby mogli dłużéj żyć i służyć, ale użycza go oszczędnie, na znak, że nie sądzi, aby te rzeczy dostatecznie opłaconemi być mogły. Tak też i krzepki robotnik daje pracę, a odbiera nagrodę; ale biédny, który cierpi i pomału zbiera cichy owoc zasługi, który w kościele wyobraża Chrystusa, ów biedny otrzymuje jałmużnę. Dlategoto wielkie zakony religijne średnich wieków, najczynniejsze i najuczeńsze nawet, uczyniły ślub przyjmowania publicznie jałmużny, a tém samém uzacniły ją na wieki. Któż bowiem miał odtąd prawo mniemać, że społeczeństwo poniża ubogiego, gdy nagradzało jego ciche zasługi tak samo, jak naukę św. Bonawentury i św. Tomasza z Akwinu?

Chęci Jacopona uwieńczone zostały. Podczas gdy tylu poetów nadaremnie oczekiwało w grobie wieńca spodziewanéj chwały, pokutnik z Todi rychło wierszami swemi, pozyskał popularność. Wnosić to można z mnogich rękopismów rozsianych po Włoszech, Francyi, Hiszpanii, oraz z ośmiu wydań, ogłoszonych od XVI do XVII wieku (1).

(1) Wadding *Scrip. ord minor:* p. 366 wspomina o kilku rękopisach Jacopona zachowanych w bibliotekach, w Rzymie, Assyzie i Sewilli. Możnaby do tego dołączyć dwa rękopisy z biblioteki narodowéj, pierwszy p. n. 8146, małe in 8o, doskonale pisany, który niegdyś należał do malarza Luca della Robia; drugi p. n. 7783 in 8o większego nierównie formatu i mniéj starannie pisany.

Wydanie *princeps*, drukowane przez Bonaccorsi, ukazało się we Florencyi 28 września 1490 roku. Oto inne wydania, wskazane przez Wadding'a.

Florencya, Bonaccorsi, 1540; Rzym, Salviani 1558; Neapol, Lazaro Scorrigia 1615 roku; Wenecya, 1514, ibid. 1556; ibid Misserini, 1617. Wadding przytacza jeszcze wydanie bolońskie, niewiadomego czasu. Część poezyi Jacopona drukowaną była obok dzieła św. Bonawentury p. n.: *Teologia mistyczna*, ogłoszonego przez Tempesti, Luka 1746 roku. Aka-

Podczas gdy podniesiono na ołtarz relikwie błogosławionego, pobożni chwytali ślady jego myśli. Poezye Jacopona objaśnione były naprzód przez Kalabryjczyka Modio, towarzysza św. Filipa z Neri; następnie przez mnicha Tresatti z Lugnano, teologa z zakonu św. Franciszka. Przełożone na język hiszpański budziły zapał milicyj franciszkańskich, gdy te niosły światło Ewangelii, w nieznane strony świata, i szukały palmy męczeńskiéj pod niebem południowéj Ameryki, bardziéj zabójczém niż jéj ludy (1). Ale porównywając wydania i stawiając je obok rękopisów, widzimy nie małą różnicę, co do liczby zawartych w nich przedmiotów (2).

W zbiór Jacopona wcisnęły się rozliczne dodatki, kopiiści przyłączyli do niego kilka kantyczek Franciszkanina Ugo z Panciera, a może i inne utwory bezimiennych autorów. Takim był zazwyczaj los prawdziwie popularnych ksiąg w wiekach średnich, że na ich stronnicach przechowywano utwory mniéj mające prawa do nieśmiertelności; równie jak po kościołach, ocalano szczątki światowéj rzeźby.

Czas wprawdzie, wróg wszelkiéj ziemskiéj sławy, pokrył oddawna niepamięcią prace Jacopona, zarówno jak obrazy tylu artystów tego wieku. Usiłowaliśmy

demia *della Crusca* zamieściła poezye Jacopona w liczbę swoich *testi di lingua*.

(1) Wadding, *ibid.* Tłumaczenie hiszpańskie pojawiło się w Lizbonie 1576 roku.

(2) Rękopis p. n. 8146 z biblioteki narodowéj zawiera dziewięćdziesiąt poematów; rękopis 7783 zawiera ich sto piętnaście; wydanie *princeps* ma ich dwieście; weneckie z 1617 roku, którego trzymaliśmy się głównie, obejmuje dwieście jedenaście urywków. W tych liczbie są dwa kantyki, przypisywane św. Franciszkowi przez św. Bernarda z Sienny.

Amor di caritate
In foco l'amor mi mise.

Wadding przytacza rękopis z biblioteki Chigi (cod. 577) który obok poezyi Jacopona, obejmuje poezye Uga de Prago, przezwanego della Panciera missyonarza w Tartaryi, około 1307 roku, a który umarł r. 1330.

więc wydobyć z cieniu postać poety, tak wyraźnie odbijającą w pośród tłumu. Jacopone pokryty łachmanami, przerosły pleśnią więzienia, płonie cały miłością Boga i żarem politycznych namiętności. Pokorny a zuchwały, uczony a dziwaczny zarazem, zdolnym jest najwyższych uniesień ducha gdy rozmyśla, najsroższego zapędu gdy chłoszcze, a gdy pisze dla ludu, umié zestąpić na najniższy szczebel prostoty, i tam znaleźć wdzięk szczytny, a niezrównany. Zwróciliśmy uwagę i na jego błędy, ma bowiem gieniusz, ale częstokroć brak mu owego delikatnego smaku, któryby nazwać można wstydliwością wyobraźni, bo nie znosi żadnego nadużycia. Kreśli on z upodobaniem najohydniejsze obrazy: gdy naprzykład korząc się za grzechy prosi Boga o wymierzenie nań wszelakich kar doczesnych, rad wylicza cały szereg plag i chorób, których nazwiska same przejmują zgrozą i przerażeniem. Ale odwróćmy oto kilka stronnic, a znajdziemy cudną pieśń mistyczną, w któréj uosobione cnoty zstępują ku niemu po szczeblach z kwiatów i promieni światła. Te sprzeczności przypominają nam słynnego malarza Orcagna i jego tryumf śmierci. Widać tam kilka trupów w różnym stopniu organicznego rozkładu, widać mnóstwo kalek i trędowatych, wzywających śmierci, widać ohydne twarze szatanów. Jakażto rażąca pospolitość! Ale nic znowu rzewniejszego, nic bardziéj uroczego, nad grupę młodych ludzi i niewiast, przy dźwięku lutni gwarzących o miłości, w zapomnieniu śmierci, która naostrza na nich kosę, podczas gdy dwaj zakonnicy, oczekują spokojnie jéj nadejścia, na wierzchołku góry, gdzie jeden czyta biblią, a drugi doi kozę. Wprawdzie tak poeta, jak malarz, wyobrażają wiernie charakter swéj epoki, epoki tak bogatéj w natchnienie ale ubogiéj w umiarkowanie; umiejącéj poczynać wielkie myśli, a nie dość wytrwałéj do ich rozwijania: epoki, która dała popęd tylu wielkim pomnikom, a tak

mało z nich doskonała, która tak potężnie pchnęła reformę chrześciańską, a tyle pozostawiła w niéj bezładu, słowem epoki sposobnéj do wszystkiego, oprócz jednéj mierności, owéj cechy wieków upadku i niedołęztwa.

Ważne stanowisko zajmuje Jacopone, u kolebki poezyi włoskiéj. Gdy się pojawił, wtedy całe Włochy brzmiały poetycznym chórem, którego piérwsze dźwięki powitały jutrzenkę XIII wieku. Krążące po Sycylii pieśni zbudziły w Toskanii odgłos nieśmiertelny: wszakże tak Sycylianie, jak i Toskańczycy, naśladowali tylko Prowansalów. Przywłaszczyli oni sobie wprawdzie, całą sztukę ówczesnych trubadurów, wdzięczną harmonią ich pieśni, uroczą formę sonetu, sielanki (sirvente) i tensonu. Ale plagą téj poezyi była pospolitość. Powtarzano na wyścigi cudze myśli, opiewano kwiaty, wiosnę, piękność kobiét, według raz przyjętéj formuły, opiewano miłość nie kochając. Wyobraźnia przywykłszy żyć cudzą myślą, chwytała mitologiczne wspomnienia, a syn Wenery z łukiem i strzałami przybiegał na pomoc bezsilnym poetom. Jacopone przeciwnie, nienawidzi rzeczy oklepanych. Nic on nie naśladuje, wyjąwszy może pieśni św. Franciszka, i piérwszych Franciszkanów, przechodząc ich jednak ilością i rozmaitością utworów. Nie czerpie on w skażonych zdrojach starożytnego Parnasu, ale czerpie raczéj w zdroju łez, w niewyczerpanym strumieniu pokuty i boleści. U niego sztuka wierszy nie jest igraszką, ale obowiązkiem. Gwałtowność uczuć odbija w jego stylu i wysoki nadaje mu polot. Przed Jacoponem wykluwały się rzec można skrzydła włoskiéj poezyi, ale on piérwszy rozwinął je do lotu.

Jeżeli Jacopone o wiele prześcignął poprzedników, miał niemniéj wielką zasługę, iż otworzył drogę następcom swoim. Jest podanie, że Dante znał poetę z Todi, że kochał go tkliwie, a wysłany w poselstwie

na dwór Filipa Pięknego, powtarzał wiersze zakonnika, których żar powstrzymywał politykę Bonifacego VIII. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że skoro Dante przemówił, już nietylko w obec króla, ale przed obliczem wieków znalazł umysły przygotowane wpływem Jacopona, który go poprzedził na troistéj drodze: jako poeta teologiczny, poeta satyryczny i poeta ludowy.

Jako poeta teologiczny, Jacopone piérwszy z nowoczesnych, ośmielił się czerpać w metafizyce chrześciańskiéj, nietylko prawdy ku oświeceniu ludzi, ale i piękność ku zachwyceniu ich ducha, nietylko naukę, ale i poezyą. Na piérwszy rzut oka, ten pomysł wydaje się zuchwałym. Mniemaćby można, iż wprowadzony żywioł naukowy w poezyą, owionie ją lodowatém tchnieniem. Nauka zimną jest rzeczywiście, dopóki krąży wokoło rzeczy znanych. Ale prędzéj, późniéj, musi przejść w wyższą nieznaną jéj dziedzinę, musi dojść do rozwiązania tajemnic, które w końcu ogarną ją płomieniem. Płynąc pod prąd pomocniczych prawd, dobiega ona do pierwotnego źródła prawdy, które jest zarówno źródłem piękna. Zna Jacopone te drogi, zgruntował on do dna otchłanie; ale zarazem wzbił się i w przestrzeń nieskończoności: czylito daje nam obraz potępienia przestępnéj duszy, czyli opisuje mistyczne niebiosa, które przebiega, korząc się w proch w obec Niestworzonego. I cóż wtedy czyni poeta? Owoż toruje on Dantemu ścieżki po niebiosach i piekle, dotyka piérwszy wielkich zagadnień religijnych, które następca jego co krok rozwiązywać będzie: (co mu niesłusznie świat zarzuca, jakby nie było najwyższém zadaniem gieniuszu zbudować raj duchowy, uświęcony podwójném światłem wiedzy i miłości!)

Jako satyryk Jacopone piérwszy przed Dantem, chłoszcze biczem słowa kraj swój i wiek współczesny. Obadwaj odarci z wszelkich pociech ziemskich, oba-

dwaj prześladowani, skazani na pożywanie cudzego chleba, widzieli bez ułudy, (jeden z głębi więzienia, drugi z wygnania) złe nurtujące w łonie społeczeństwa, które niebawem zachwiać miało posady średnich wieków. Widzieli oni złe w całéj ohydzie, a zasłabo dopatrywali dobrą stronę swego czasu. Uwierzyli w upadek ludzkości i obadwaj jak Żyd jerozolimski, stąpali po złomach walącego się społeczeństwa, wołając na głos: „Biada miastu! biada świątyni!" Jacopone idzie naprzód, i dając naganny niekiedy przykład, ośmiela do swobód, których Dante nie będzie sobie odmawiał. Mimo to stary Alighieri kochał kościół, równie jak kochał ojczyznę, surowo ale namiętnie. Jeżeli rzucał słowa ostre, a nawet niesprawiedliwe wbrew niektórym papieżom, czcząc w nich jednak potęgę namiestników Chrystusa; jakież zniewagi miotał i na Florencyą? a przecież kto powié, że nie kochał ojczyzny, gdy wszelką siłą kołatał do bram rodzinnego miasta, pragnąc, jak mówił, zakończyć dni w pięknéj „owczarni, gdzie niegdyś spał małym barankiem".

Nakoniec jako poeta ludowy Jacopone śpiewał w narzeczu wieśniaków Ombryjskich. Ztąd niejednostajność jego stylu, w którym odbija naprzemiany natchnienie biblijne, formuła szkolarska, niekiedy ogładny wdzięk trubadurów, a najczęściéj rubaszna prostota pasterzy i ubogich drwalów. Ale ztąd także wypływa ta świeżość wysłowienia, te pełne barwy połączenia wyrazów, owe śmiałe przenośnie, niedostępne wówczas poetom ogładniejszego, a mniéj niewinnego społeczeństwa. Postępując w ślad za jego pieśnią, przebiegamy rzec można piękne pasmo ojczystych gór poety; depczemy ostre chwasty, a te gnąc się pod stopą naszą, wydają wonie czarowne, nieznane mieszkańcom dolin. Dante więcéj od Jacopona uwikłany był w społeczeństwo uczonych. Odrzuca on

prowincyonalne narzecza, a przywiązuje się do tak zwanéj mowy dworskiéj. Wszakże gdy idzie o stworzenie nowego stylu, nie poprzestaje on na zniewieściałym i oklepanym słowniku ówczesnych wierszopisów. I on także szuka poetycznego słowa w prawdziwém jego źródle, tojest w ustach ludu. Zbiera silne wyrażenia, dosadne przenośnie, rozrzucone niby przez żeńców na zagonie, a po rozstajnych drogach przez pobożnych pielgrzymów. Podejmuje bez namysłu pospolite nawet słowo, gdy dzika jego gorycz przypadnie mu do smaku. Tym sposobem tworzy własny język, oraz ustala zasady włoskiéj mowy. Na téjto drodze Dante najwięcéj winien franciszkańskiemu poecie. Wykarmiony szkolną nauką, przejęty czytaniem klassyków nietylko Wirgiliusza, ale również Owidyusza, Lukana, Dante miał chęć pisać po łacinie i rozpoczął nawet w hexametrach piérwszą pieśń o piekle. Ale gdy spostrzegł próżność i chciwość współczesnych literatów, oburzył się na myśl, że będzie bladł nad księgami i trawił nocy bezsenne, gwoli przyjemności tych wyrodzonych umysłów. Miotany walką, miał przed oczyma przykład Jacopona, spostrzegł, że język ludu zdolnym jest wyrazić najwyższe spekulacye filozoficzne i najczystsze tajemnice wiary. Spalił więc łaciński rękopism i niedługo potém kowale po kuźniach i poganiacze mułów śpiewali strofy Boskiéj komedyi, podczas gdy doktorowie filozofii objaśniali z katedry słowa wiekopomnego poematu. Dante albowiem, jakośmy wyżéj rzekli, ugruntował zasady włoskiego języka. Jakoż w rzeczy saméj, języki bez wielkich arcydzieł, są jakoby miasta bez wspaniałych gmachów. Snadno je przenosić z miejsca na miejsce, z jednego brzegu rzeki na drugi, ze wzgórza na dolinę: ale niech wielka bazylika, lub ratusz powstanie wśród miasta, potężny gmach wstrzymuje niejako domostwa przyparte do jego podwalin i ludność wzrosłą pod cieniem

jego wieżyc. Tak też i pomnik literacki przygarnia, rzec można, wokoło siebie język, którego jest wzorem; a potomność nie łatwo już od niego odstąpi. Język włoski żył przed Dantem: poemat Danta unieśmiertelnił go na wieki.

Zatrzymaliśmy tu z upodobaniem uwagę na słynnym poecie, którego Jacopone był poprzednikiem, albowiem Dante ściśle się łączy ze szkołą religijną i literacką uczniów świętego Franciszka. Nie należy wprawdzie liczyć go do rzędu franciszkańskich pisarzy, jak to niektórzy czynili zbyt naiwnie, a jednak nie można przepominać, że wielki poeta całém bogactwem swego geniuszu uczcił pustelnika z Assyżu; że w nauce ś. Bonawentury zdobył najczystszy promień swéj teologii mistycznéj, że nakoniec gdy konał, otoczony uwielbieniem i niewdzięcznością współziomków, rozkazał się pochować w kościele ś. Franciszka, odziany tercyarskim habitem. Podczas srogich burz żywota zgrzeszył on wielokrotnie, ale mniemał po chrześciańsku, że sąd Boży łżejszy mu będzie, gdy się podda jego wyrokom, obleczony w szatę pokory: że grom, który tak snadno strąca wieńce poetom, uszanuje odzież ubóstwa.

O ZAKŁADACH KREDYTOWYCH
W ZASTOSOWANIU DO ROLNICTWA.

PRZEZ

Felixa Zielińskiego.

Między bankiem a kapitalistą wypożyczającym swoje fundusze, ta głównie zachodzi różnica: że kapitalista wypożycza swoje pieniądze, bank zaś wypożycza pieniądze cudze. Bank właściwie mówiąc jest tylko pośrednikiem w umieszczeniu kapitału, a własny kapitał banku jest tylko poręczeniem bezpieczeństwa lokacyi. Gdyby bank ograniczył się na wypożyczaniu swojego zakładowego kapitału, nie przyniósłby żadnej ze spodziewanych po zakładach tego rodzaju korzyści, nie wpłynąłby na zniżenie stopy procentu, a nawet udzielając pożyczki na tych samych co prywatni kapitaliści warunkach, nie wytrzymałby z nimi spółubiegania, bo zarząd banku pociąga za sobą koszta, których prywatni kapitaliści ponosić nie potrzebują.

Nie przestając zatém na swoim kapitale zakładowym, bank musi przysposobić sobie kapitał, który technicznie nazywa się kapitałem bankowym. W kapitał bankowy bank musi zaopatrzyć się po cenie tańszej niż bieżąca; na tém polega możność utrzymania się banku i możność obniżenia stopy procentu.

Przewyżka dochodu jaki bank ciągnie z obrotu kapitałem bankowym nad koszta przysposobienia tego kapitału, stanowi właściwy zysk banku.

Bank ma czworakie środki do zaopatrywania się w kapitał bankowy:

albo przyjmuje kapitały na skład bankowy i przekaz, i temi kapitałami obraca;

albo wypuszcza w obieg bilety;

albo wystawia weksle:

albo nakoniec zaciąga pożyczkę, bądź przyjmując kapitały na procent, bądź puszczając w obieg obligi procentowe.

Od sposobu w jaki bank zaopatruje się w kapitał bankowy, zależny jest sposób umieszczenia tego kapitału. Jeżeli bank przysposabia swój kapitał bankowy wypuszczając obligi długo terminowe lub przyjmując powierzone mu kapitały na czas dłuższy; albo jeżeli przyjmując nawet kapitały na czas krótki, nie potrzebuje się obawiać, aby te jednoczesnemu uległy wypowiedzeniu; bank może znaczną część kapitału bankowego wypożyczyć na czas dłuższy, czyli może być pośrednikiem w stałém umieszczeniu kapitału. Jeżeli przeciwnie kapitał bankowy składa się z kwot powierzonych bankowi na czas krótki, mogących uledz jednocześnie wypowiedzeniu; umieszczenie tego kapitału może tylko w odpowiedni sposób, tojest na czas krótki nastąpić: czyli bank może być tylko pośrednikiem w czasowém umieszczeniu kapitału. W obu razach kapitał własność banku stanowiący, służy głównie za rękojmią dla wierzycieli banku. Aby rękojmia ta wzbudzała zaufanie, trzeba, żeby była do spieniężenia łatwa; dlatego też kapitał zakładowy banku, o ile rzeczywiście jest wniesiony, najczęściéj umieszczony bywa w papierach publicznych. Z tego względu, zastanawiając się nad obrotami banków, należy głównie zwrócić uwagę na sposób umieszczenia kapitału bankowego, gdyż kapitał zakładowy banku, w ogóle rzecz biorąc, do obrotów nie służy. Bank, jak to już nadmienione zostało, puszcza w obieg nie kapitały swoje, lecz kapitał cudzy, a swoim kapitałem kapitał obcy poręcza.

Takie są ogólne zasady działania banków. Chcąc wedle tych zasad poznać stosunki jakiego banku, należy zbadać jakiemi środkami, w jakiéj ilości i po jakiéj cenie bank zaopatruje się w kapitał bankowy, tudzież w jaki spo-

sób i po jakiéj cenie ten kapitał umieszcza. Oceniając działania banku, nie trzeba spuszczać z uwagi: że procent jaki bank od kapitału bankowego płaci, nie jest jeszcze zupełną miarą kosztu na przysposobienie tego kapitału, i że ta nawet część kapitału bankowego, od któréj bank procentu nie płaci, darmo mu nie przychodzi. Jeżeli np. bank wypuszcza bilety, musi utrzymywać zapas gotowizny na ich wymianę, ponosi koszta na przygotowanie biletów, na zastąpienie zużytych, na kontrolę i t. d. Jeżeli bank od summ przekazowych nie płaci procentu, łoży natomiast starania około poboru i wypłaty summ przekazanych. Koszta ogólne zakładów kredytowych, podwyższają cenę po któréj im przychodzi kapitał bankowy.

Oceńmy wedle tych uwag stosunki organów kredytowych kraju naszego, a naprzód zastanówmy się nad środkami jakich używają dla zaopatrzenia się w kapitał bankowy, nad ilością kapitału przez nie przysposobionego i nad ceną kosztu.

Bank polski dla przysposobienia kapitału bankowego używa środków następnych: wypuszcza bilety, przyjmuje kapitały na skład i na procent. Środkami temi bank, wedle sprawozdania za rok 1856, przysposobił dwadzieścia kilka milionów rubli kapitału bankowego, do czego dodawszy kapitał zakładowy banku, wynoszący ośm milionów rubli, kapitał w obrotach bankowych użyty, wyniósł przeszło 34 miliony.

Aby z właściwego stanowiska ocenić środki przez Bank polski użyte dla zaopatrzenia się w kapitał bankowy, zważyć należy: że Bank polski, jako instytucya rządowa, opiera działalność swoję na stosunkach uprzywilejowanych ustawą jego wskazanych, tojest: że kapitał bankowy Banku polskiego pochodzi, po największéj części, z umieszczeń koniecznych, dopełnianych w banku przez władze i instytuta i z biletów, na wypuszczenie których, służy bankowi wyłączny przywilej i które w kassach skarbowych w cenie imiennéj są przyjmowane. Cyfra ściśléj wyrażająca udział jaki publiczność w tym zakładzie przyjęła, tojest cyfra kapitałów powierzonych bankowi przez prywatnych, wynosi, wedle sprawozdania za rok 1856, trzy miliony kilkakroć sto tysięcy rubli, niedochodzi zatém połowy wysokości kapitału zakładowego banku. Cyfra ta stosunkowo

niezbyt wysoka, uległaby może znacznemu jeszcze zniżeniu, gdyby strącone z niej zostały kapitały umieszczone na procent w banku przez poddanych cesarstwa, gdzie umieszczenie tego rodzaju jest pospolitym i prawie wyłącznie w użyciu będącym sposobem procentowania leżących funduszów.

Co do kosztu jaki Bankowi polskiemu przysposobienie kapitału bankowego zrządza, bank od biletów przez siebie wypuszczonych, w ilości 10 milionów rubli, i od pewnéj części powierzonych mu kapitałów, np. od summ przekazowych, nie płaci procentu. Od innych kapitałów bank płaci procent wynoszący od 2 do 4 od sta, w miarę wysokości kwot powierzonych, w miarę czasu przez jaki w banku pozostają lub wedle umowy. Część kapitałów instytutowych bank przyjmuje na procent 4 $^1/_2$, a nawet 5 od sta. Kapitały prywatne na procent umieszczane bank przyjmował dawniéj po 4 od sta, od lat kilku przyjmuje je na 3 od sta, co nietylko napływ ich powściągnęło, lecz nawet wysokość zmniejszyło.

Drugą wielką instytucyą kredytową kraju naszego jest Towarzystwo kredytowe ziemskie. Kapitał zakładowy téj instytucyi stanowiło pierwotnie zaliczenie bezprocentowe, udzielone Towarzystwu przez skarb w kwocie około 1,600,000 złp. Zaliczenie to przeznaczone na koszta założenia instytucyi, nie miało na celu poręczenia pożyczek przez Towarzystwo uskutecznianych, na co gdy oddzielnego gotowego potrzeba było kapitału, a tego Towarzystwo przy zawiązaniu swojém nie posiadało, stowarzyszeni poręczyli hipotecznie i solidarnie pewność zwrotu pożyczek Towarzystwa. Poręczenie to nie zapewniało przecież jeszcze dostatecznie regularności wypłat. Przychodząc pod tym względem w pomoc Towarzystwu, skarb otworzył mu nieograniczony kredyt na zastąpienie niedoborów wydarzyć się mogących w jego wpływach, czyli poręczył regularność tych wpływów, za których pewność, czyli za ostateczne ich zrealizowanie, stowarzyszeni przyjęli solidarną odpowiedzialność z majątków, z któremi do Towarzystwa przystąpili.

Takiemi środkami zastąpiony został brak kapitału zakładowego rzeczywiście wniesionego. Kapitał bankowy

utworzyło Towarzystwo wypuszczając w obieg obligi 4-ro procentowe w lat 28 umarzalne, czyli listy zastawne. Zabezpieczenie na piérwszéj hipotece dóbr ziemskich dało tym papierom dostateczną pewność; skrócone formy exekucyi zapewniły regularność należnych Towarzystwu wpływów. Towarzystwo znalazło się w możności wywiązać się rzetelnie z przyjętych na siebie obowiązków co do procentowania i umorzenia listów zastawnych, i papiery te, w niedługim czasie od ich wypuszczenia, nietylko w kraju, lecz i na giełdach niemieckich znalazły pokup, po cenie zbliżającéj się do imiennéj.

Kapitał bankowy Towarzystwa kredytowego, ulegający zmianom zależnym od postępu umorzenia listów zastawnych i nowych wypuszczeń tych papierów, wynosi obecnie czterdzieści kilka milionów rubli.

Prywatni bankierowie w kraju naszym, głównie w saméj Warszawie, osiedli, zaopatrują się w kapitał bankowy, przyjmując pieniądze na skład i na procent i ciągnąc wexle na zagranicę. Niepodobna jest oznaczyć wysokości kapitału w ten sposób przysposobionego, ani stosunku w jakim wymienione powyżéj środki do utworzenia go się przykładają. Nie popełnimy przecież, jak sądzimy, omyłki, twierdząc: że pieniądze na skład dawane w najmniejszéj części przykładają się do utworzenia kapitału bankowego bankierów warszawskich. Ważniejsze są dla nich dwa drugie źródła. Bankierowie tutejsi przyjmują pieniądze na dość wysoki procent; operacye ich ściśle bankowe są ograniczone, z czego wnosić możemy, że nie zdołali utworzyć sobie znaczniejszego kapitału bankowego, ani zapewnić go sobie na mały procent.

Na prowincyi nakoniec interesa pieniężne znajdują się w ręku kapitalistów, którzy po największéj części nie roszczą sobie nawet tytułu do nazwy bankierów, jak też nimi nie są w istocie. Własne ich fundusze są zwykle nader szczupłe, znacznego kapitału bankowego utworzyć nie umieją lub nie są w stanie. Mało kto zapewne powierzy im pieniądze na skład; z nielicznemi wyjątkami wexli na zagranicę nie ciągną, bo tam żadnego kredytu nie mają; jeżeli więc obroty swoje podnoszą nad cyfrę wła-

snego kapitału, to najczęściéj przyjmując na wysokie procenta kapitały obce.

Z kolei zwrócimy uwagę na sposób w jaki nasze zakłady kredytowe mieszczą swoje kapitały, i na cenę, po jakiéj uskuteczniają pożyczki.

Bank polski umieszczenia swojego kapitału dopełnia, trzymając część onego, przechodzącą zwykle wysokość kapitału zakładowego, w papierach publicznych, część w nieruchomościach i przedsięwzięciach przemysłowych; resztę (oprócz zapasu gotowizny) Bank wypożycza na krótsze lub dłuższe termina po 6, a wyjątkowo po 5 od sta rocznie.

Na zasadzie sprawozdania za rok 1856, skreślić można następujący rys umieszczenia kapitału w obrotach Banku polskiego użytego:

Stan czynny wynosił 34, 769,220 rs., 51 3/4 kop.;

Z téj summy kwoty:

a. Rs. 722,662, kop. 50 3/4 na uposażenie Banku,

b. 2,550,000 na pokrycie strat Banku, jeszcze nie były zrealizowane, a zatém i przez Bank umieszczone nie zostały.

Zapas gotowizny wynosił rs. 2,763,512, kop. 84 3/4, pozostawało zatém do umieszczenia rs. 28,735,045, k. 16 2/4.

Ta ostatnia summa składała się z następujących szczegółów:

1. W papierach publicznych . . . . 9,253,405 r. 09 3/4 k.
2. W pożyczkach na krótki termin, jakoto w skupionych i nabytych wexlach, pożyczkach na zastawy, zaliczeniach na otwarty kredyt, przewyżkach z rachunków bieżących, doliczając tu i awanse władzom poczynione . . . . . 5,804,055 r. 61 1/4 k.
3. W pożyczkach na dłuższe termina:

a) miastu Warszawie 1,794,783, k. 75;
b) na dobra ziemskie 1,514,054, k. 44;
c) na zakłady przem. 1,544,495, k. 84 2/4;
d) na kupno machin 458,798, k. 43 2/4;

Razem 5,312,132 r. 47 k

4. W nieruchomościach miejskich i wiejskich i w przedsięwzięciach przemysłowych . . . . . 8,363,451 r. 98 3/4 k.

Ostatnia ta pozycya ze względu na czas do spieniężenia potrzebny, uważana być musi za umieszczenie długoterminowe. Umieszczoną w ten sposób miał zatém bank blizko połowę swego kapitału, co w części przypisać należy nieukończonéj jeszcze likwidacyi przeszłości, w części usprawiedliwione jest sposobem utworzenia kapitału bankowego, i trudnością dla banku znalezienia umieszczeń czasowych.

Towarzystwo Kredytowe umieszcza swój kapitał bankowy, wypożyczając listy zastawne na piérwszą hipotekę dóbr ziemskich, z terminem umorzenia pożyczek w latach 28.

Stopa procentu od pożyczek przez towarzystwo udzielanych jest nominalnie oznaczona na 4 od sta.

Rzeczywista przecież stopa, na którą towarzystwo pożyczki uskutecznia, różni się od nominalnéj ze względów, z których jedne wywierają wpływ stały, drugie zmienny.

Stały wpływ na stopę procentu pożyczek towarzystwa wywierają okoliczności następne:

1) Dłużnicy towarzystwa płacą na administracyą przez cały okres umorzenia po 1/5 od sta, od pierwotnie zaciągniętéj pożyczki, bez względu na stopniowe umorzenie tejże. Kto np. zapożyczył od towarzystwa złp. 100,000, płaci w piérwszém półroczu (oprócz kwoty na umorzenie) złp. 2,100 czyli w stosunku 4 1/5 rocznie; po umorzeniu z zaciągniętéj pożyczki złp. 60,000, dłużnik płaci od pozostającéj reszty, czyli od złp. 40,000 za pół roku (oprócz kwoty na umorzenie) złp. 900 albo w stosunku 4 1/2 rocznie; zmniejszywszy dług swój do 20,000 złp. dłużnik płaci za pół roku złp. 500 czyli w stosunku 5 od sta rocznie. Rozrzuciwszy tę stopniową podwyżkę na 28 letni okres umorzenia, stopa pożyczek towarzystwa podniesie się do 4 i 337/1000 rocznie, czyli od nominalnych złp. 4 za każde sto złp. rocznie, opłata dojdzie do przeszło złp. 4 gr. 10.

2) Według planu umorzenia pożyczek towarzystwa, dłużnik za każde sto złp. zwraca złp. 101 i 50/100, co równa się podwyżce procentu około 1/20 od sta rocznie, czyli podnosi opłatę blizko do złp. 4 gr. 12 od sta złotych. Prze-

wyżka ta nad 4% reprezentuje koszt pośrednictwa towarzystwa w umieszczeniu kapitału.

3) Okolicznością wpływającą zmiennie na stopę procentu pożyczek towarzystwa jest: że pożyczkę udzieloną przez towarzystwo w listach zastawnych dłużnik procentuje i zwraca w imiennéj wysokości (oprócz nadwyżki $^{150}/_{100}$) bez względu na kurs listów zastawnych, w chwili udzielenia pożyczki. Że zaś kurs listów zastawnych dochodzący czasem, lub nawet przechodzący *pari*, częściéj jednakże niższy jest od wartości imiennéj, przeto okoliczność wytknięta wpływa częściéj na podwyższenie niż na zniżenie stopy procentu pożyczek towarzystwa. Podwyższenie to jest dosyć znaczne. Pożyczka udzielona w listach zastawnych po kursie 96 za sto, kosztuje dłużnika $4^{71}/_{100}$ rocznie. Kurs 92 za sto, podnosi stopę procentu nad 5 od sta. Kurs 80 za sto, dawałby $6^1/_3$ %. Stopę procentu od pożyczek odnowionych w drugim okresie, można z uwagi na dodatkowe opłaty, jakich wówczas żądano, oznaczyć w przecięciu raczéj wyżéj niż niżéj 5 od sta.

Od zaległości dopuszczonéj w opłatach przypadających od pożyczek z towarzystwa zaciągniętych, liczy się procent w stosunku 6, a nawet 12 od sta.

Pobieżny ten rzut oka na stosunki dwóch uprzywilejowanych zakładów kredytowych kraju naszego, pomocą rządu silnie wspartych, okazuje, że nawet zakłady w tak wyjątkowém położeniu zostające, nie znalazły się dotąd w możności uskuteczniać obroty swoje niżéj 5 od sta. Stopa procentu pożyczek towarzystwa, jest jak widzieliśmy zwykle mało co mniejsza, czasem nawet wyższa. Bank pożycza po większéj części na 6 od sta.

Procent przez bankierów warszawskich pobierany, przechodzi zwykle, nieraz nawet w dwójnasób a podobno i wyżéj, stopę procentu prawnego w interesach handlowych.

Stopa procentu pobieranego przez kapitalistów załatwiających na prowincyi interesa pieniężne, nie da się ściśle oznaczyć.

Wiadomo przecież, że w stosunkach kredytu osobistego, procent przez nich pobierany jest w ogóle wysoki, a czasem dochodzi 2 i 3 od sta na miesiąc.

Gdzie nie ma targu pieniężnego, gdzie chcąc dostać kapitału, wyszukiwać go potrzeba, tam o stałéj stopie procentu mowy być nie może. Zakłady kredytowe tę właśnie najcelniejszą oddają w stosunkach pieniężnych przysługę, że koncentrując zapasy kapitałów, uwalniają interesentów od konieczności, nieraz drogo opłacanéj, starania się o potrzebny im kapitał. Zniżenie stopy procentowéj jest drugorzędném tylko zadaniem banku, i lubo bywa zwykłém, nie jest przecież koniecznem następstwem upowszechnienia kredytu bankowego. W kraju, w którym system bankowy, dotąd z całéj Europy najwięcéj jest rozgałęziony, tojest w Szkocyi, stopa procentu nie jest przeto najniższą. Banki wpływają na obniżenie stopy procentu, obracając pożytecznie kapitałami, które inaczéj leżałyby bez użytku i zaprowadzając oszczędność w użyciu czynnika wymiany; lecz z drugiéj strony, podniecony przez nie duch przedsiębierstwa, wzmagając żądanie kapitału, na podrożenie jego wpływ wywiera.

Prowincyonalni nasi kapitaliści, działając po większéj części własnemi tylko funduszami, na zniżenie stopy procentu wpłynąć nie mogli. Obracając, szczupłym kapitałem aby wyżyć, pokryć ryzyko strat i zarobić, muszą ciągnąć niepomierne procenta.

Prowadzenie zakładu kredytowego jest zawodem użytecznym a nawet zaszczytnym. Aby przecież zawód ten stał się takim w istocie, aby jednał prawo do szacunku i poważania, potrzeba iżby osoby nim zajmujące się, do rzetelności łączyły stosowne środki i znajomość przedmiotu. Te dopiéro połączone warunki, mogą zjednać trudniącemu się interesami pieniężnemi nieodzowny dla niego kredyt, mogą dozwolić mu rozszerzyć zakres swoich obrotów i przez to postawić go w stanie obniżenia stopy procentu. Działający na małą skalę, przy najlepszych nawet chęciach, będzie prawie z konieczności lichwiarzem. Tém są po większéj części nasi mali kapitaliści. Nie chcemy usprawiedliwiać chciwości pojedynczych, lecz w ogóle rzecz biorąc, żądać aby obracający szczupłym kapitałem, wypożyczali go na tani procent, jest to samo, co żądać od miasteczkowego kramarza, iżby po téj cenie swój towar prze-

dawał, po jakiéj dostać go można, zakupując u hurtownika w Hamburgu.

System bankowy mało, jak widzimy, rozwinął się u nas dotąd. Nie mogło być inaczéj w kraju, którego głównym a przed niedawnemi czasy jedynym prawie przemysłem było rolnictwo, i to rolnictwo w stanie, że tak powiem natury zostające.

Kredyt bankowy ma kapitał obrotowy za główne pole działania; wyjątkowo tylko banki mieszczą kapitały na czas dłuższy, czyli zasilają kapitał stały. Kapitał obrotowy reprezentują w produkcyi koszta na przysposobienie materyałów surowych i nakłady na przerobienie tych materyałów. Kapitał stały reprezentuje wartość ziemi, budynków, machin, inwentarzy, przyrządów, sprzętów potrzebnych do przerobienia, lub utworzenia materyału surowego. Ztąd handel, który nie zajmując się przerobieniem towaru, zbliża go tylko do konsumenta, potrzebuje prawie wyłącznie kapitału obrotowego, i dlatego banki zawdzięczają swój początek stosunkom handlowym i dawniéj niosły pomoc samemu tylko handlowi. Kapitał stały reprezentowany w handlu przez magazyny, składy, okręty, i t. p. mniejsze ma znaczenie.

W przemyśle, kapitał stały nierównie większą gra rolę. Reprezentuje go wartość warsztatu, fabryki, zakładu, nieraz bardzo znaczna. Jednakże kapitał obrotowy użyty w przemysłowych przedsięwzięciach, przewyższa, w ogóle rzecz biorąc, wartość kapitału stałego. Kapitał obrotowy w przemyśle jest tém znaczniejszy, im szacowniejsze materyały lub produkta są przerabiane, im większe są koszta bieżące przerobienia.

W rolnictwie jako wytwarzającém materyał surowy, kapitał stały, tojest wartość warsztatu czyli ziemi i tego wszystkiego co potrzeba dla utrzymania tego warsztatu w stanie zdolnym do produkcyi, jakoto: budynków, inwentarzy, machin, narzędzi, sprzętów, nierównie przechodzi wartość kapitału obrotowego. Rolnik w zwykłych warunkach swojéj produkcyi nie czyni wykładu na zakup materyałów surowych, bo tych nie przerabia, lecz je wytwarza. Koszt tego wytworzenia rodzi głównie potrzebę kapitału obrotowego w rolnictwie; a koszt ten zwiększa

ziemi dostaje pożyczkę pod korzystnemi warunkami bez względu na to czy sam gospodaruje lub nie, kiedy przeciwnie uprawiający cudzą rolę pozostawiony jest bez pomocy, któréj od instytucyi kredytowéj, jak każdy inny pracownik, słusznie oczekiwać może.

Brak ściślejszego związku między kredytem przez towarzystwo udzielanym, a pracą krajową, daje nawet powód do zarzutu dość często słyszeć się dającego: że pożyczki towarzystwa są po większéj części pożyczkami wcale na ułatwienie nie zasługującemi, tojest pożyczkami nie idącemi na korzyść produkcyi, lecz obracanemi na spożycie. Zarzut ten uważamy w powszechności za niesłuszny, ale zaprzeczyć nie można, że zasady na których się opiera działalność towarzystwa nie odejmują mu pozoru; że mała tylko część pożyczek przez towarzystwo udzielonych na zasilenie kapitału w rolnictwie umieszczonego obróconą być mogła, a mniejsza jeszcze część na ten cel obróconą została.

Z tych względów, niedostateczność, dla samego nawet rolnictwa, zakładów tego zakresu co Towarzystwo Kredytowe, dość powszechnie zaczyna już u nas być uznawaną. Towarzystwo Kredytowe niewystarczające teraźniejszości, mniéj jeszcze będzie w stanie zaspokoić potrzeby przyszłe, i przewidzieć się daje, że w niedługim czasie ustąpić będzie musiało pierwszorzędnego miejsca zakładom kredytowym w innych warunkach działającym, a nawet na innéj zasadzie opartym.

Oceniając bliżéj potrzeby naszego rolnictwa pod względem kredytowym, uznać wypada: że potrzeby te objawiają się zarówno pod względem kapitału stałego, co pod względem kapitału obrotowego i że wszystkie prawie okoliczności, które w naszym czasie wpływają na zwiększenie kapitału obrotowego w rolnictwie potrzebnego, czynią zarazem koniecznem zasilenie kapitału stałego.

Na zwiększenie w rolnictwie potrzeby kapitału obrotowego, wpłynęły głównie oprócz podwyższenia podatków:

1) Przejście z gospodarstwa pańszczyznianego do gospodarstwa pieniężnego i rodząca się ztąd potrzeba opłaty czeladzi i najemnika;
2) połączenie z rolnictwem różnych gałęzi przemysłu i ulepszenia gospodarskie.

Z przyczyn powyższych, pierwsza silniéj jeszcze niż dotąd działać pocznie z powszechném ustaniem pańszczyzny; drugiéj coraz większego wpływu przy wzroście zamożności krajowéj, z pewnością oczekiwać należy.

Atoli właściciel czynszujący włościan pańszczyznianych w dobrach jego osiadłych, potrzebuje nietylko opłacić czeladź i najemnika, mających mu zastąpić ubyłą pańszczyznę; czyli potrzebuje nietylko kapitału obrotowego, musi on nadto przykupić inwentarz, wystawić budynki na pomieszczenie tego inwentarza, wystawić mieszkalne zabudowania dla ludności na której pracę odtąd ma liczyć, musi nieraz przyczynić się do przeniesienia budowli włościańskich, ponieść nakład na nowe urządzenie, a czasem i nowe założenie folwarku; do tego wszystkiego potrzeba mu nie już kapitału obrotowego, lecz kapitału stałego.

Podobnież właściciel zaprowadzający u siebie jakąkolwiek gałąź przemysłu z rolnictwem połączonego, potrzebuje nietylko zaliczki na materyał surowy, który przerabiać zamierza i na robotnika; lecz nadto potrzebuje budynków, machin, narzędzi i t. d.: zgoła potrzebuje kapitału stałego.

Powyżéj już staraliśmy się wykazać, że rolnictwo jest częścią pracy krajowéj, w któréj kapitał stały przeważną gra rolę. Sama przez się ziemia jest najszacowniejszym z warsztatów; aby ten warsztat postawić w stanie do produkcyi zdolnym, znakomitych nakładów potrzeba. Gdy te nakłady zostaną uskutecznione, produkcya odbywa się korzystnie i kapitały chętnie przychodzą jéj w pomoc, aby zapewnić sobie udział w spodziewanych zyskach. Przy zaniedbanym stanie gospodarstwa, plon jest lichy, koszta znaczne, a kapitały z udzielaniem zaliczeń się nie spieszą, lub zbyt trudne stawiają warunki. Z tych względów potrzebę zasilenia kapitału stałego w rolnictwie naszém umieszczonego, uważamy w obecnych okolicznościach za tyleż lub nawet więcéj naglącą, co potrzebę zasilenia kapitału obrotowego.

Jakże tym potrzebom zaradzić? Widocznie środków ku temu szukać należy, przedewszystkiém w okolicznościach z których wyrodziły się potrzeby. Jeżeli oczynszowanie staje się powodem konieczności zwiększenia kapi-

tału stałego i obrotowego, oczynszowanie powinno dostarczyć środków zaopatrzenia rolnictwa w te kapitały. Na to dosyć spełnienia jednego tylko warunku: potrzeba czynsz do kredytu usposobić. Skoro nawet większa własność ziemska pod trudnemi tylko warunkami dostępuje u nas kredytu, a dla ułatwienia tych warunków potrzebuje instytucyi poręczającéj pewność i regularność wypłat na niéj opartych, tém więcéj takie poręczenie konieczne jest dla wartości dotąd przedmiotem kredytu nie będącéj i mniéj niż wielka własność do przyjęcia kredytu sposobnéj. Potrzeba więc instytucyi poręczającéj pewność i regularność wypłat czynszowych, aby czynsz do kredytu usposobić. W jakiéj formie ten kredyt będzie dla pojedynczych właścicieli najpożądańszy, to od indywidualnego położenia właścicieli zależy. Kto jest w stanie ponieść nakłady nieodzowne, tojest kto może wyłożyć kapitał do stałego umieszczenia, którego oczynszowanie daje powód, dla tego potrzeba kredytu ograniczy się do potrzeby kapitału obrotowego oczynszowaniem wywołanéj. Kto przeciwnie, a to będzie u nas najpospolitszy przypadek, nie ma funduszów rozrządzalnych dla zastąpienia kapitału stałego i szukać ich musi w kredycie, ten prawo pobierania czynszu przeleje na tych co mu kapitału dostarczą, lub na wartość skapitalizowanego czynszu zaciągnie pożyczkę. Formy kredytu do tych wymagań zastosowane przypuszczają rozliczne kombinacye. Wyliczać tych kombinacyj tutaj nie będziemy; zrobimy tylko uwagę: że zarówno umieszczenie stałe jak i umieszczenie czasowe mogą w nich znaleźć obszerne pole zastosowania.

Umieszczenie stałe wprawi w obieg kapitały, które dotąd w zupełności stracone były dla produkcyi krajowéj, których nawet listy zastawne na jaw wydobyć nie zdołały.

Listy zastawne były piérwszym papierem kredytowym, który się w kraju naszym upowszechnił, zajęły u nas to stanowisko, jakie ma renta we Francyi a konsolidy w Anglii; wprawiły w obieg najtrwożliwsze nawet kapitały przez wyższe i średnie stany społeczeństwa posiadane. Nie słychać już u nas o kapitalistach starannie dukaty swoje przechowujących. Lecz listy zastawne nie zeszły do niższych warstw ludności; włościanin nie poznał ich,

nie przekonał się o korzyści i bezpieczeństwie lokacyi takiéj, i woli zakopać pieniądze jakie posiada, niż puścić je w obieg biorąc za nie listy zastawne. Papier w bezpośrednią styczność z tą klassą ludności wchodzący, papier od którego ona będzie płaciła procent, który ona, w części przynajmniéj, umorzy lub spłaci, zapozna ją z tym rodzajem umieszczenia; z początku będzie kupować ten papier dla prędszego uwolnienia się od ciężaru; obeznawszy się z nim bliżéj, będzie w nim mieścić swoje oszczędności. Takie przewidzenia nie są płonnemi, ani je obalić można przywodząc nędzny w powszechności stan naszych włościan. Bo pomimo téj nędzy włościanie nasi posiadają znaczną massę kapitału, a powiększenie ich zamożności szybko nastąpi jak tylko doznają skuteczniejszéj niż dotąd opieki prawa. Ludzie najbliżej z stosunkami naszéj ludności wiejskiéj obznajomieni, którzy sami oczynszowanie na większą skalę przedsiębrali, na skutki téj reformy patrzali, podzielają w zupełności, co do wielu stron kraju naszego, to przekonanie.

Umieszczenie czasowe rozwinąćby się mogło w kształtach pożyczki na papiery, eskonty kuponów i t. p.

Zastanowić się jeszcze należy nad głównemi zasadami, na jakich instytucya poręczająca pewność i regularność wypłat czynszowych oprzećby się winna, i nad środkami znajdującemi się w kraju do założenia takiéj instytucyi.

Każdy bank, to jest każdy zakład kredytowy poręczający bezpieczeństwo umieszczeń za jego pośrednictwem uskutecznianych, musi mieć kapitał własny dający pewność, iż zakład będzie w stanie zobowiązaniom swoim zadość uczynić. Im większy własny kapitał bank posiada, tém większego używa zaufania, tém umieszczenia przez niego poręczane większéj nabywają wziętości i tém większą ilość umieszczeń poręczyć może. Ztąd instytucyi poręczającéj pewność i regularność wypłat czynszowych w kraju naszym znacznie już upowszechnionych, i, jak jest do przewidzenia więcéj jeszcze w niedługim czasie upowszechnić się mających, potrzebny jest znakomity kapitał własny. Potrzebę rzeczywistego wniesienia kapitału przy zawiązaniu się instytucyi usunąć może, jak to widzieliśmy na przykładzie Towarzystwa Kredytowego, otworzenie

nieograniczonego kredytu rządowego na zastąpienie niedoborów. Niewiadomo przecież czyli nowa instytucya na taką dogodność liczyćby mogła, a w każdym razie dogodność ta tém łatwiéj stanie się jéj udziałem, jeżeli w własnych zasobach posiadać będzie środki do zadosyć uczynienia w zwykłych razach swoim zobowiązaniom, szukając wsparcia w otworzonym dla niéj kredycie, tylko w przypadkach nadzwyczajnéj potrzeby. Idzie więc przedewszystkiém o zebranie kapitału poręczającego.

Pod tym względem Towarzystwo Kredytowe posiadając znaczne zasoby których część po utworzeniu kapitału rezerwowego pozostającą, na cele użyteczności publicznéj przeznaczyć ma obowiązek, najwłaściwiéj może zadaniu temuby odpowiedziało, gdyby się przyczynić zechciało do założenia instytucyi posiadającéj niewątpliwie i przed innemi cechę użyteczności publicznéj.

Zarzut że władze towarzystwa projektując takie przeznaczenie dla części rozrządzalnéj swego kapitału, przeszłyby granice służących sobie attrybucyj, odpiéra przepis prawa z roku 1853 nietylko upoważniający, ale nawet wyraźnie obowiązujący władze towarzystwa do przedstawienia, pod zatwierdzenie rządu, celów użyteczności publicznéj, na które zbywającą część kapitału towarzystwa przeznaczyć pragną. Nie można też zasadnie przytaczać: że utworzeniem instytucyi poręczającéj pewność i regularność wypłat czynszowych, przesądzałoby się rozwiązanie kwestyi urządzenia stosunków włościańskich, obecnie władze rządowe zajmującéj, bo co innego jest czynszować, a co innego obmyślać środki usposabiające czynsz do przyjęcia kredytu; a gdy znakomita ilość tego rodzaju wypłat już obecnie w kraju naszym istnieje, środkom tym nie brak zastosowania, bez względu nawet na nastąpić mogące okoliczności. Zresztą przystąpienie do instytucyi poręczającéj czynsze, nie byłoby dla nikogo przymusowe; od woli każdego zależałoby czy chce z niéj korzystać, lub nie?

Instytucya poręczająca pewność i regularność wypłat, jest najwięcéj interesowaną w rzeczywistém ich uiszczeniu, winna więc sama trudnić się ich poborem. Właściciele, którzyby czynsz poręczony mieć chcieli,

winniby go do poboru instytucyi poręczającéj przekazać, coby ważną dla nich stanowiło dogodność. Instytucya zaś łatwiéj niż prywatni uzyskałaby przywiléj skróconéj formy exekucyi, nieodzowny dla niéj jeżeli ma odpowiedzieć swojemu celowi.

Na poręczony przez siebie czynsz instytucya wydawałaby świadectwa bądź imienne, bądź dla nadania tym świadectwom łatwiejszego obiegu, na okaziciela, a to według żądania właścicieli.

Pożądaném byłoby także, aby instytucya poręczająca wypłatę czynszu, bądź sama, bądź pośrednio zajęła się urządzeniem eskonty poręczonych przez siebie wartości i to na różnych punktach kraju, gdy prócz Warszawy, w kraju naszym żaden większy zakład takie czynności ułatwiający, nie istnieje.

Kwestyi więcéj szczegółowych, jakoto: czyli świadectwa instytucyi mają być umarzalne, jaką opłatę instytucya za swoje pośrednictwo ma pobierać, i t. d. rozbierać tu nie będziemy, bo nie zamierzyliśmy kreślić planu zakładów kredytowych krajowi potrzebnych, chcieliśmy tylko wskazać ogólne zasady na których opierałby się winny.

Co się tyczy potrzeby kredytu wynikającéj z połączenia różnych gałęzi przemysłu z rolnictwem, potrzebie téj zaradzić wypada na drodze również naturą stosunków wskazanéj.

Aby usposobić czynsz do kredytu, dosyć jest go poręczyć, bo czynsz jest opłatą wyrzetelnioną (liquide) oznaczonéj wysokości. Dochody przedsięwzięć przemysłowych takich cech nie przedstawiają; ztąd téż i stale poręczane być nie mogą. Przychodząc tym przedsięwzięciom w pomoc, kredyt musi się trzymać wartości w przybliżeniu przynajmniéj cenę oznaczoną mających. Takiemi wartościami są wyroby bądź już gotowe, bądź w utworzeniu będące; na tych wyrobach mogą aż do pewnéj wysokości być oparte zaliczenia.

Zakład przemysłowy nabywa także aż do pewnego stopnia ustalonéj wartości, wyciągnąć się dającéj z przeciętnéj stopy otrzymywanych z niego zysków. Jeżeli

przytém zakład przemysłowy łącząc się z rolnictwem, nie miesza się z nim przecież, tojest, jeźli oddzielną realność stanowi, może stać się przedmiotem oddzielnego kredytu.

Na tę drogę weszły u nas znaczniejsze zakłady przemysłowe z rolnictwem połączone. Urządzane bywają dla tych zakładów oddzielne księgi hipoteczne.

W ogóle przecież, kapitał stale w zakładzie przemysłowym umieszczonym być mający, winien być zebrany, jeżeli przedsiębierca nie posiada dostatecznych zasobów, raczéj przez stowarzyszenie się z drugiemi, niż za pośrednictwem kredytu. Daje się usprawiedliwić jeżeli właściciele zakładów przemysłowych na obszerną skalę osnowanych, np. kompanie kolei żelaznych, wypuszczają obligacye, czyli akcye pożyczkowe, tojest, zebrawszy już znakomity kapitał za pomocą stowarzyszenia, dla uzupełnienia tego kapitału zaciągają pożyczkę. Lecz w przedsięwzięciach przemysłowych mniejszéj wagi, zebranie znacznéj części kapitału zakładowego, za pośrednictwem kredytu zwykle sprowadza upadek przedsiębiercy.

Uwaga ta więcéj jeszcze stosuje się do kapitału stałego w rolnictwie umieszczonego. Gdziekolwiek nabycie ziemi dostępne jest dla ogółu mieszkańców, tam kapitał w ziemi umieszczony mniejszy w ogóle daje procent, niż kapitał umieszczony w jakibądź inny sposób. Większa pewność umieszczenia, podniesione stanowisko społeczne, przyjemność pobytu wreszcie, wzbudzają, przy wzrastającéj zamożności, ogólny pociąg do umieszczenia kapitału w ziemi, a podnosząc jéj cenę, zmniejszają tém samém stopę jéj dochodu. W zwyczajnych stosunkach produkcyi i kredytu, właściciel ziemi płaci od zaciągniętéj pożyczki procent wyższy, niż procent jaki przynosi ziemia.

Kto oddawszy się przemysłowi rolnemu nie ma za co nabyć warsztatu, na którymby ten przemysł rozwijał, ten zamiast obdłużać się na zakupienie warsztatu, lepiéj w powszechności wyjdzie jeżeli ten warsztat najmie, tojest: jeżeli zamiast być zadłużonym właścicielem, stanie się zamożnym dzierżawcą.

Z tego względu pożyczki na kapitał stały w rolnictwie, zasługują na ułatwienie wtedy tylko, gdy przedsiębrane powszechnie zmiany w stosunkach produkcyi (np. oczynszowanie) lub nowo wprowadzone ulepszenia (np. drenowanie i t. p.) rodzą ogólną potrzebę nakładów, czyli zwiększenia kapitału stałego w rolnictwie umieszczonego, bo korzyść tych nakładów może przenieść bieżącą stopę procentu.

Co do kredytu na kapitał obrotowy, środki ułatwienia tego kredytu polegają głównie, jak już wykazaliśmy, na upożytecznieniu kapitałów na czas krótki rozrządzalnych. Zebranie kapitału zakładowego, czyli mającego poręczać umieszczenia, nie stanowi jeszcze banku; zakład kredytowy wtedy dopiéro rzeczywiście istnieje i korzystnie działa, gdy zdołał zebrać kapitał bankowy po cenie tańszéj niż bieżąca. Pod tym względem, dla banków któreby powstały u nas w celu zasilenia kapitału obrotowego, przewidzieć się dają znaczne trudności. Prawdopodobnie zakłady te pozbawioneby były najłatwiejszego środka zaopatrzenia się w kapitał bankowy, nie mogąc wypuszczać biletów obiegowych. Wystawienie obligów procentowych spotkałoby może również przeszkody, a gdyby nawet możliwém się okazało, byłoby środkiem zebrania kapitału bankowego i kosztownym i nie dość właściwym, bo nie dążącym do upożytecznienia kapitałów na czas krótki rozrządzalnych. Ten ostatni cel osiągnięty mógłby być głównie tylko przez upowszechnienie systematu przekazowego w najobszerniejszym zakresie, tojest tak przekazów miejscowych jak i zamiejscowych, czyli przesyłek pieniędzy z miejsca na miejsce za pośrednictwem banku.

Jak przekazy muszą być u nas, dla banków, któreby kapitał obrotowy zasilać chciały, najgłówniejszym środkiem do zaopatrzenia się w kapitał bankowy; tak umieszczenie tego kapitału następowaćby winno głównie w sposobie eskonty czyli zaliczeń na wartości w różnych formach.

Dość upowszechniona opinia w kraju naszym domaga się, od zakładów kredytowych, pożyczek w formie

otwartego kredytu i w tém główną użyteczność tych zakładów upatruje, powołując się w poparciu swego żądania na przykład banków szkockich.

Nie mniemam, aby forma otwartego kredytu dała się tyle upowszechnić i w zastosowaniu okazała się tyle ważną, co zaliczenia na wartości różnego rodzaju. Powoływany przykład banków szkockich wyjaśnia się w ten sposób:

Banki szkockie powstały po większéj części w dawniejszych czasach, kiedy Szkocya była jeszcze krajem przeważnie rolniczym, i co za tém idzie ubogim. Przed rokiem 1844 banki szkockie miały nieograniczoną możność wypuszczania biletów obiegowych; im większą ilość tych biletów wypuścić i utrzymać w obiegu były w stanie, tém większy przysposabiały sobie kapitał bankowy.

Gdy zaś eskontowanie wexli nie było dostatecznym środkiem dla utrzymania w obiegu znacznéj ilości biletów, banki szkockie upowszechniły formę otwartego kredytu, tojest: udzielały pożyczki za hipoteczném zabezpieczeniem, lub za poręczeniem osób odpowiedzialnych, pod warunkiem: iżby był ruch na rachunku, tojest: iżby zaliczenia i zwroty, często i szybko po sobie następowały, bo tym sposobem znaczniejsza ilość biletów utrzymywała się w obiegu. Cyfra tego rodzaju umieszczeń w dawniejszych czasach, nie jest nam znaną: w nowszych czasach, zaliczenia na otwarty kredyt nie dochodzą połowy wypuszczanych przez banki szkockie biletów i dają umieszcz nie zaledwie $^1/_{20}$ części kapitału ich bankowego. Okoliczności mniéj jeszcze zdają się sprzyjać upowszechnieniu téj formy kredytu w kraju naszym; nie możemy kłaść jéj na czele dogodności, jakie z upowszechnienia zakładów kredytowych na rolnictwo spłyną, tém więcéj, iż w nowszych czasach banki dość powszechnie przyjęły zasadę: że tylko po zdyskontowaniu, wexle do szkatuły ich wchodzić mogą, co usuwa formę otwartego kredytu na zabezpieczenia wexlowe.

Przystosowanie systematu bankowego do rolnictwa, należy do powszechnych i usprawiedliwionych życzeń.

Im mniéj przecież warunki i zakres w którym ziszczenie tych życzeń nastąpićby mogło, dotąd oględnemu rozbiorowi uległy, tém złudniejsze przedstawiają się korzyści instytucyj bankowych. Oczekiwać od kredytu bankowego usług, których kredyt ten albo wcale oddać nie może, albo które w nader skromnéj tylko mierze oddać jest w stanie, jestto wytykać sobie cel niedający się osiągnąć, spuszczać z uwagi skromniejsze może, lecz więcéj dostępne korzyści systematu bankowego i opóźniać chwilę, w któréj korzyści te mogą stać się udziałem rolnictwa.

KRONIKA LITERACKA.

Żywoty sławnych Ormian w Polsce. Napisał ks. Sadok Barącz Dominikan. W 8ce. Str. VIII i 415. Lwów. 1856 r.

Oto serdeczna, rodzinna książka, pełna prostoty i naiwności: do historyi Ormian polskich nowy to, a miły i pożądany przyczynek.

Wzmianek i wspomnień dużo mamy o naszych Ormianach, ale dzieł wyłącznie temu przedmiotowi poświęconych, wyczerpujących rzecz, nie mamy wcale. A jednak historya Ormian polskich, byłby to przedmiot do wyczerpania; i jeżeli każda częściowa historya, każdy nowy zwrot myśli narodowéj, każdy odcień bytu, zyskiwać może na ciągłych i wielu badaniach, historya Ormian możeby się dała całkowicie napisać i tak, żeby zarazem doskonalić się mogła, nie zaś już dopełniać. Ormian w prowincyach dawnéj Polski wcale nie było wiele, w Galicyi do dziś dnia jest 16 kościołów, i cała główna ich narodowość na Czerwonéj Rusi przetrwała burze i losy: po za tą Rusią na Podolu jest ich cokolwiek w Kamieńcu (dzisiaj, jak się przekonywamy z rubrycelli dyecezyi, ludność Ormiańska kamieniecka stanowiąc jednę parafią, wynosi dusz 155), jest coś w Mohylewie nad Dniestrem, tudzież w kilku innych miastach kółka tak małego, tak ściśniętego w sobie po niewielkiéj przestrzeni, że zaiste, można w każdym czasie, bez tak nawet wielkich zachodów, bez całe życie wypełniających studyów, napisać ich historyą. A jednak historyi téj nie ma. Cośto obiecywał Siarczyński, coś pisał biskup Przemyślski Zacharjaszewicz (w Czasopiśmie Ossol. 1842), coś czytaliśmy w pismach publicznych o badaniach doktora Petermanna w Berlinie (Dziennik Powszechny 1835 nr. 55 i 56) i na tém podobno koniec. Zapowiedzeń

i ogłoszeń o drukujących się już dziełach, o pracach podejmowanych na téj drodze, trudno uważać za coś ważnego.

A jednak taka historya Ormian pożądanąby wielce była dla nauki. Ludność ta mała, była i jest dotąd odrębną narodowością, dawniéj w rzeczypospolitéj, a dzisiaj na ziemi polskiéj. Z dziejów poszczególnych narodowości, układa się historya kraju, a pominąwszy już i tę okoliczność widzim, że Ormianie pochodzeniem tylko od nas Polaków i Litwy z Rusią, synów koronnych, odmienni, oddawna już wsiąkli w naród i przyjęli się na gościnnéj ziemi, która ich przyjęła serdeczną miłością i dali przywiązania swego do niéj liczne dowody, zapomnieli swojéj ojczyzny, przyległéj do stóp Kaukazu, nasz język w potocznem życiu przyjęli i wiarę naszę zachowując odmienny obrządek, i jedném słowém stali się Polakami we wszystkiém: w życiu i w sercu. Majątek i siebie nieśli na ofiarę. Téj miłości ojczyzny tak nawet wierni pozostali, że i dzisiaj nawet nie zerwali z przeszłością i z narodowością polską, chociaż pod okiem mają inne przykłady, któreby ich do konfederowania się i do lichéj niechęci mogły ośmielać! Ksiądz Barącz szlachetnie tłumaczy tę miłość swojego narodu ku Polsce, która Ormianom nie dawała urzędów, a wymagała od nich zawsze odznaczenia się szczególnego i poświęceń się nadzwyczajnych (str. 73). Odznaczyli się w historyi i w literaturze. Nawet stosunek pisarzy Ormian polskich do ich ogólnéj ludności, daleko większy, jak taki stosunek wzięty w innéj narodowości, w innéj ziemi koronnéj. Zacni i pracowici, spokojni i sumienni, Ormianie byliby najwyższe godności osiągali w kraju, gdyby nie tamowało im tego postępu pochodzenie, które herbami uświetnić się nie mogło, bo w społeczeństwie Ormian była prawdziwa *Respublica*, prawdziwa równość w obliczu prawa: ztąd téż jako nie szlachta, trudnili się rzemiosłem a głównie kupiectwém, utrzymywali stosunki Polski z odległym Wschodem i handel Rusi Czerwonéj mieli w swojém ręku. Postać ich oryentalna, rysy twarzy, strój, towary: wszystko było oryentalne.

Gdyby w Polsce mógł się rozwinąć stan trzeci, stan miejski, Ormianie najwłaściwszemiby zostali jego przedstawicielami, bo po za szlachtą w miastach naszych (o polskich tutaj głównie mówim) siedzieli tylko Niemcy i Żydzi. Ormianie losami swoimi w Polsce wiele nawet do Żydów byli podobni: zamknęli się sami w sobie, mało się łączyli z otaczającym ich światem, a krwi nie mieszali żeniąc się ciągle jedni z drugiemi; dlatego do dziś dnia w pierwotnéj swojéj czystości rasy, jako plemię odzielne, w naro-

dzie przetrwali. Ich rysy nawet są wschodnie, jak żydów. A znają się po całym świecie i choć rozrzuceni po lądach i krajach, kochają się i stanowią zawsze jeżeli nie naród, to narodowość. Nie dawno jeszcze O. Messias Peżeszgianc odwiedzając prawie wszystkich, po Europie rozproszonych Ormian, napróżno szukał jednak ich dowodów familijnych (w r. 1820), a i ksiądz Barącz miał taką myśl, żeby wszystkich sławnych Ormian żywoty zbierać. Skończyło się, i dla nas to lepiéj. (bo książka jego interesowniejsza przez to) *na żywotach sławnych Ormian w Polsce.*

Dzieło ks. Barącza daje nam bliżéj wejrzeć w ten swiat jakkolwiek stary, ale nowy dla nas. Z rozrzuconych po rozlicznych życiorysach szczegółów i napomknień, złożyć można pełen rozmaitości i wdzięku obraz. Sama książka nie wiele obrobieniem swojém ma wartości, ale materyał w niéj lepki i dosyć obfity.

Ormianie jest to lud przedewszystkiém szlachetny i uczuciowy. Nie mogł przenieść ucisku we własnéj ojczyznie, a od Saracenów i Turków tępiony, wychodził massami za granicę, woląc tułactwo, jak niewolę. Od siedmiu wieków uciekał na Ruś i osiadał wśród Słowian, wśród Rumunów. Szło tutaj pokolenie za pokoleniem, wychodztwo za wychodztwem, wiek jeden drugi i trzeci, Zygmunt jeszcze Stary dobrocią rządu swego pociągał Ormian, że opuszczali Azyą i szli do braci na Ruś. A tymczasem polscy Ormianie tęsknili do przodków ojczyzny, któréj nie znali; Eczmiadyn był drugą Jerozolimą dla nich, tam spoczywały szczątki św. Grzegorza, narodowego ich patryarchy i oświeciciela; tam były kości świętych męczenników narodu, tam mieszkał katolikos, to jest najwyższy duchowny, pasterz tak poważny i święty, jak papież w Rzymie; tam w Eczmiadynie znajdował się wielki monaster, do którego spływały bogactwa prawie całego świata. Napływ i odpływ ludności trwał więc ciągle, ale z tém wszystkiém, ci co wyszli raz z ojczyzny, już do niéj nie wracali, tylko tęsknili, bo im lepiéj było na gościnnéj ziemi polskiéj. Z upływem czasu zostały się tylko legendy i podania, a tęsknota zmieniła się w prostą pobożność. Jeździli Polacy do Ziemi świętéj, pokłonić się miejscom, na których stała noga Zbawiciela, jeździli Ormianie także do Jerozolimy, a po drodze zawadzali o Eczmiadyn z dłonią hojną i z ofiarami w ręku. Zapewne: nie czas téż było entuzyazmować się dla ojczyzny przodków, kiedy ojczyzna nowych pokoleń już gdzieindziéj była, i kiedy między Ormianami Kaukazu a Rusi nastąpiło stanowcze zerwa-

nie religijne. Już w r. 1535 Stefan patryarcha Armenii większéj przybył do Lwowa i wyprzysiągł się odszczepieństwa, pojechał do Rzymu i osobiście oddawszy papieżowi posłuszeństwo, prostą biskupią godność we Lwowie piastował. Wreszcie Mikołaj Torosowicz stanowczo zaprowadził unią u Ormian polskich (w Kamieńcu 1666). Od tego czasu katolikos Eczmiadyna dla naszych wychodźców, pozostał tylko pamiątką.

Naród to szlachetny i uczuciowy, bo tak szczupły jak jest, zachował swoję narodowość, podania i obrządek w całéj prostocie, w jakiéj je wziął od naddziadów. Energia jego zadziwiająca: któryżby inny zachował przez tyle wieków swoję odrębność wpośród ludności obcéj, i na ziemi obcéj? któryżby o niéj marzył w rozproszeniu i nie przerodził się niechcący w masie przez sam zbieg okoliczności, które naród w ręce obce wydały? Ale Ormianie zrobili sobie ze Lwowa drugi Eczmiadyn i ukrzepili się w duchu. Widząc, jak rośnie powaga i znaczenie braci ruskich, widząc jak się zniszczenie rozpościera po ziemi ojczystéj, Ormianie nawet Eczmiadyńscy szli teraz do Lwowa na pobożne pielgrzymki i już nie tłumami, jak dawniéj, ale pojedynczo przenosili się do nas, co naturalnie mocno wzmagało żywioł narodowy.

Lud to pobożny. Wszystkie kościoły, które dzisiaj posiada sam sobie pobudował, hierarchią sam sobie urządził, na fundacye pobożne i na instytucye dobroczynne, sam się zdobywał, wszystkie potrzeby publiczne swoje własne sam opatrywał. Państwo nic na to nie łożyło, udzielało Ormianom tylko opieki. Król Zygmunt Stary prawa Ormian polskich zlał w jeden kodex i osobne im zapewnił sądownictwo, i na tém podobno skończyło się wszystko, co Polska im dała: wszystko zresztą sami sobie winni. Mieli Ormianie i mają jeszcze arcybiskupstwo we Lwowie, mieli za cesarza Alexandra I biskupstwo w Mohylewie nad Dniestrem. Kazimierz Wielki podobno pozwolił im założyć katedrę we Lwowie 1364 r. i to druga bierna pomoc państwa. Dzisiaj lud ten rozszczepiony na dwoje: galicyjscy podlegają arcybiskupowi Lwowskiemu, rossyjscy zaś uznają władzę miejscowych biskupów łacińskich, kamienieckiego i tiraspolskiego. Za dawnych czasów szerzéj się rozlewali Ormianie po ziemi polskiéj. Liczne osady ich oprócz głównych stolic we Lwowie i w Kamieńcu, były jeszcze w Łucku, w Kijowie, w Zamościu i w innych miejscach; znajdowali się też i w Krymie, dokąd zaglądały polskie missye Ormian, ale jeszcze w ostatnich chwilach udzielności Tatarów, cesarzowa Katarzyna wywiodła ich ztamtąd na zaludnienie ste-

pów. Biskupów lud sobie cały wspólnie obierał, co mocno zapewne podnosiło jego zapał religijny. Biskupi jeździli święcić się do Armenii, tak samo jak rusey jeździli niegdyś do Carogrodu; potém wróciwszy upraszali króla, żeby obior ich, promocyę i poświęcenie miał za ważne i słuszne: król ich tedy zatwierdzał ostatecznie w godności (str. 68 i 59). Księża też święcili się czasami w Carogrodzie, bo przed unią, Eczmiadyn a Stambuł jednym były kościołem, choć innym obrządkiem. Torosowicz twórca unii święcił się także na mnicha w Stambule (1626 r.). Od najdawniejszych czasów pomiędzy znaczną liczbą nieuznających jedności Ormian byli katolicy; ci nawet na osobnéj dzielnicy miasta Lwowa siedzieli i sądzili się osobno, odprawiali zaś swe nabożeństwo najprzód u Franciszkanów a potém u Dominikanów, w braku albowiem własnych księży do katolickich się udawali, u nich przyjmowali sakramenta, dla nich umierając robili zapisy. Tak łącząc się z obrządkiem łacińskim polszczyli się, a nawet później powstało wyobrażenie, że kto ochrzczony w kościele łacińskim przestaje być Ormianinem. Tém ksiądz Barącz tłumaczy okoliczność, że tyle rodzin Ormiańskich spolszczyło się, szczególniéj na Litwie. Dodamy, że nawracania się podobne torowały drogę unii.

Nowy kierunek pobożności narodowéj, nowy zwrot rozleglejszy i wyższy, wskazał swoim współbraciom ów Mikołaj Torosowicz, któregośmy tylko co wspomnieli. Jego całe życie nauczające jest i warto, by je kto skreślił w obszernych ramach jak na to ze wszech miar zasługuje. Barącz rzuca tylko szkice o téj wielkiéj postaci swojego narodu, i to zdaje się jeszcze bez krytyki. Torosowicz całe życie swoje poświęcił przeprowadzeniu wielkiéj swojéj idei, cierpiał wiele, znosił wiele; ale wreszcie za to tryumfował nad licznemi przeciwnikami, pojednał lud swój z Rzymem. Czterdzieści lat walki i pracy do tego potrzebował, chociaż popierał go urząd dostojny pasterski: od niego też zaczyna się szereg arcybiskupów lwowskich i Lwów staje się Rzymem, Eczmiadynem Ormian. Urodzony w r. 1605, biskup od roku 1627 doprowadził unią w Kamieńcu roku 1666, umarł zaś dnia 24 października 1681. Ksiądz Barącz tak jest niedbały, że w życiorysie tego arcybiskupa nic prawie nie mówi o jego wielkich pracach, a daty mylnie kładzie. Próbowano już nie raz i przed Torosowiczem unii ale nie udawało się długo. Bartłomiéj Bogdanowicz Trapezuntczyk biskup lwowski od 1579, piérwszy myślał o tém, chcąc się wyłamać z pod władzy prowizorów, którzy całe duchowieństwo mieli w swoich rękach (str. 68); katoliccy

Ormianie, których jednakże nie wielu było, sprzyjali oczywiście téj robocie. Nie zbrakło usiłowań i po Torosowiczu, żeby obalić jego dzieło. Ksiądz Barącz wspomina niejakiego Jana Bernatowicza, który dał się komuś poświęcić na biskupa kamienieckiego (sam więc erygował tę katedrę) i ustał w odszczepieństwie wtedy dopiéro, kiedy nuncyusz Pallavicini rzucił na niego klątwę (1683 r.); owszem na siłę znalazła się siła i współczesny tym wypadkom Sulejman Konstanty hrabia de Syri, długi czas rezydent polski w Wiedniu i poseł do Persyi, Ormianin także, zakładał nawet missyo w krajach tureckich dla nawracania Ormian, na co prosił zezwolenia Jana III (str. 292). Torosowicz sprowadził do Lwowa Teatynów, a papiéż sam wyznaczył fundusz na założenie w tém mieście kollegium ormiańskiego, którego Teatyni ster wziąć mieli. Tu polityka papiezka takaż sama była jak względem Rusi: kollegium albowiem ruskie założyli poprzednio papieże w Warmii. Odtąd z Rzymu zawsze jednego po drugim słano do Lwowa rektorów kollegium, którzy nie raz na wysokich dostojników kościelnych i na biskupów wychodzili. Jednym naprzykład z owych rektorów był ksiądz Jerzy Laskarys najprzód biskup zenopolitański, potém arcybiskup teodozyeński, nareszcie patryarcha jerozolimski, infułat ołycki opat Żołkiewski, zmarły w Rzymie 1800 r. W kollegium tém nietylko Ormianie wyłącznie się kształcili, ale duchowieństwo ruskie i polskie, nawet szlachta pobierała w niém nauki. Ormianie nigdy dotąd nie mieli tak wysokiéj szkoły, jaką teraz posiadali we Lwowie, ściągali się téż do niéj zewsząd, że użyjem prostego przysłowia „jako muchy do miodu." Tutaj ciągnęli ze wszystkich krain i okolic i wychodzili téż na ludzi. (Potocki biskup przemyślski zmarły 1832 był także uczniem téj szkoły, pochodził z Siedmiogrodu). Nie pisał ksiądz Barącz dziejów tego kollegium, ale po różnych życiorysach rozrzucił moc wielką faktów ciekawych, które dla dziejów tych z czasem posłużą. Za Torosowicza zawiązał się pierwszy monaster mniszek ormiańskich katolickich (str. 415—419) i powstało opactwo we Lwowie (str. 71).

Nowy ten popęd religijny Torosowicza widocznie dał się poznać w przechodzeniu Ormian na obrządek łaciński. Nie przechodzili świeccy, bo do tego nie mieli potrzeby: ale ludzie, którzy rzucali świat, którzy poświęcać się chcieli praktykom pobożności, wstępowali do zakonów łacińskich, bo ich wcale niemieli w swoim obrządku. Odtąd klasztory czerwono-ruskie, zapełniają się massą Ormian, co także dowodzi religijnych uczuć

narodu. Z początku zakony łacińskie robiły trudności, ale czego zapał i poświęcenie się nie dokaże? Jeden z Ormian, któremu odmówili Reformaci sukni zakonnéj, puścił się w pielgrzymim stroju aż do Rzymu i prosił Świętéj stolicy, żeby łaskawie jego chęciom nakłoniła ucho. Innocenty XI w istocie zważywszy, że Ormianie swego zakonu nie mają, pozwolił ich przyjmować do łacińskich (str. 169), i na ten cel upoważnił przechodzenie z obrządku na obrządek, co Rusi wzbronione jednak było. Byli więc z Ormian: Dominikanie, Reformaci, Bernardyni, Augustyanie, Trynitarze, a nawet Pijarzy i Jezuici. Dominikanów jednak z Ormian było najwięcéj, można powiedzieć pół napół w Czerwonéj Rusi klasztorach. Sam ksiądz Barącz jest Dominikanem, gdyż zakon ten najwięcéj miłował lud ormiański. Zacne pobudki wpływały na to przywiązanie, które było wzajemne: piérwszy Europejczyk, który się nauczył po ormiańsku, był Dominikan i szedł pomiędzy lud ów ze światłem ewangelii (str. 105). Bywali i w ruskich zakonach Bazylianami, ale to rzadka osobliwość, któréj się nawet dziwi ksiądz Barącz. Późniéj przechodzili Ormianie z obrządku swego na łaciński i szli na świeckich księży zupełnie jak to robiła Ruś, ale na Rusi zdarzało się często, że łacińskiego obrządku wyznawcy przechodzili zupełnie na ruskich księży. Takiéj względności nie widzimy dla Ormian najpewniéj dlatego, że szlachta łacińska zajmowała w Rusi bogate wtedy biskupstwa, na Ormiańskie zaś nie było się co łakomić; jedna katedra i to dosyć uboga była we Lwowie. Mieszając się pomiędzy świeckie łacińskie duchowieństwo, dostawali nawet kanonie i prelatury kollegiat, jako nie szlachta i mniejszych katedr, ale to już przez stosunki osobiste (naprzykład Minasowicze w kijowskiej dyecezyi). Było ich wielu w kollegiacie Zamojskiéj, byli professorami, rektorami Akademii w tém mieście, byli kanonikami i prałatami domowemi ordynatów. Mieli téż w ogóle łaski u panów, zwłaszcza czerwono-ruskich, którzy Ormian zwykle brali do dworów swoich za kapelanów: jak znani w narodzie Teodor Potocki i Krzysztof Szembek prymasi, biskup kijowski Załuski, wojewoda podolski Michał Rzewuski szczególnemi byli przyjaciołmi księży łacińskich Ormian. Za czasów polskich wszelako nigdy za wysoko nie poszli i dopiéro po upadku rzeczy-pospolitéj, zaimują dostojności dawniéj dla siebie niedostępne. Za króla Poniatowskiego jeden tylko z Ormian patrzał na biskupa, t. j. Grzegórz Zacharyaszewicz sławny kaznodzieja, ale wszelako został biskupem koryceńskim już późniéj; za naszych czasów; Zacharyaszewicz drugi

także uczony był biskupem w Tarnowie i Przemyślu; Manugiewicz w Królestwie siedział na stolicy augustowskiéj. Tu miejsce wspomnieć natchnionego Jezuitę księdza Karola Antoniewicza.

Rzym ich nigdy nie zapominał i darzył ciągle względami. Torosowiczowi pozwolił mianować dwudziestu proto-notaryuszów apostolskich (18 grudnia 1674 r.). Potém dawał księżom ormiańskim tytuły swoje, robił ich hrabiami, szambelanami, (hrabią rzymskim został arcybiskup Jan Tobiasz Augustynowicz (str. 36). Nuncyusze toż samo wylewali się w grzecznościach dla Ormian.

Dzieło księdza Barącza, cóż to za piękny przyczynek do Matki świętych Polski Jaroszewicza! Jacyż tutaj święci i bogobojni biskupi! Cóż to za chrześciańskie charaktery! Od Torosowicza zacząwszy na arcy katedrze same sławy, same cnoty. Jakaż to piękna postać owego Tumanowicza, co to groźbami ledwie zniewolony bierze pasterstwo, co to dzień i noc walczy i czuwa, a pełen przywiązania do ojczyzny, po oderwaniu już Galicyi od Polski, o każdéj swojéj nominacyi, o pracach swoich pasterskich do Warszawy donosi! Jakiż to obraz biskupa Deodata Nersesowicza, który zaraz się zjawił w narodzie swoim po zaprzysiężeniu unii i czuwał nad jego prawowiernością! Wacław Hunanian jakaż to siła, jakież to poświęcenie się, jakaż to pobożność i miłość chrześciańska! Do znakomitszych reformatorów w kościele ormiańskim należy ksiądz Stefan Roszka, który gorliwością religijną i pracą sprostał missyonarzom; ułożył rytuał nabożeństwa, którego się do dziś dnia prawie trzymano w kościołach na Podolu, na Siedmiogrodzie i Pokuciu: on też hierarchią swoję starał się zbliżać i naginać do wzorów rzymskich, i dlatego został piérwszym oficyałem w Stanisławowie (str. 282). Opuszczamy mnóstwo nazwisk. Ale przepomnieć nie godzi się dzisiejszego świątobliwego arcy-biskupa. Samuel Cyryll Stefanowicz, któremu dzieło dedykowane i którego tutaj oglądamy szlachetne rysy, urodził się w Łyscu na Pokuciu i ochrzczony tamże dnia 29 marca 1755 r. Kanonik od r. 1791, arcy-biskup od r. 1831 ma dzisiaj życia 102 lat. Patryarchalnemu narodowi nic dziwnego, że do dziś dnia świecą cnotami i przykładem patryarchowie!

Ormianie mieli i polityczne swoje znaczenie prawem zawarowane, swoje sądy wszędzie i magistraty nie wszędzie mieli własne. Słynny był ormiański magistrat w Kamieńcu, o którym w dziele Przezdzieckiego. Na elekcyą królów wysyłali deputatów i przepisywali akta publiczne. Dyrektor spraw ormiańskich był swój również w każdém mieście: instytucya ta przetrwała

rzeczpospolitą i zginęła już w Galicyi w r. 1783 (str. 79). Byli też tłumacze ormiańscy w urzędach radzieckich, których królowie mianowali, a których władze a raczéj obowiązki można dokładnie oznaczyć z różnych napomknień ks. Baracza. Tłumacze ci byli rodzajem dragomanów pośrednich handlowych Polski z Turcyą, Persyą, Grecyą i rumuńskiemi księstwami. Każdy kupiec przybywający do miasta, w którém były złożone składy towarów, musiał się zgłaszać do tłumacza i oświadczać, jakie rzeczy sprowadzał, a jakich nabyć zamyśla; urzędnik miał się z tego dobrze, ile że z urzędu pośredniczył w targach. Najstarszą władzą jego był magistrat i starosta, którym przysięgali. Ale nietylko handel zostawał pod ich opieką: tłumacze musieli pilnować poselstw przybywających z Persyi i z Turcyi, musieli przestrzegać, czy niéma szpiegów w orszaku poselskim i w ogólności czuwać nad wszystkiém co tylko stanowiło bezpieczeństwo rzeczypospolitéj od wschodu (str. 3—4). Tłumacze ci byli dwojacy: miejscy i królewscy, ostatni w sprawach dyplomatycznych towarzyszyli poselstwom (str. 33). Byłto urząd czasowy lub dożywotni. Zasłużonym król na prośbę magistratu lwowskiego, w którém to mieście szczególniéj kwitnęła dostojność tłumaczów, urząd doczesny na dożywotni zamieniał. Posiadali też hetmanowie swoich osobnych tłumaczów z Ormian i mianowali miejskich, jak to np. zrobił ostatni z Sieniawskich, na prośbę kupców, którym jeden tłumacz nie wystarczał (str. 124). Każdy to pojmuje, że Ormianie istotnie na tém polu, przybranéj swojéj ojczyznie, tysiączne wyświadczali zasługi: sama ta okoliczność, że umieli języki wschodnie tłumaczy rzecz. Dlatego również Trynitarze ruscy, poświęcający się w kraje bisurmańskie, na wykupno jeńców chrześciańskich z jassyru, z ochotą używali do tego Ormian (str. 193).

W dziejach naszych Ormian najświetniejsze z królów polskich zajmują miejsca Kazimierz W., Zygmunt Stary i Jan III; Kazimierz, że piérwszy rozciągnął nad niemi prawną opiekę i że urządzić pozwolił hierarchię; Zygmunt tém, że prawa im nadał i na długie lata wolność ich zabezpieczył; Jan III, że wiele dla nich myślał uczynić. Mało z téj strony znamy króla Sobieskiego, ale ten bohater wiele marzył, miał nieraz romansowe przywidzenia, co piękną stronę serca jego odkrywa, lubo niezawsze świadczy o rozumie. Jak kiedyś błyszczały po głowie królowi niezawisłość Węgier, postawienie na nogach Rumunii, tak i względem Ormian miał pewne swoje wyrachowania i cele. Winniśmy księdzu Baraczowi, że nam wskazał ślady tego uspo-

sobienia króla. Pamiętamy ciekawy jego artykuł w Dzienniku literackim, w którym autor wystawiał przywiązanie Sobieskiego do Ormian i prace. Rzeczywiście pomysł sam w sobie wzięty był olbrzymi, ale mało praktyczny. Król chciał całe pokolenie Ormian kaukazkich przez stosowne ku temu wychowanie usposobić do swoich celów, chciał zaprowadzić unię w samo łono Armenii, a potém wybrać się na czele armii chrześciańskich, żeby wygnać Turków z Europy, odbudowywać państwa, wskrzeszać narodowości, do życia politycznego udzielnego powołać z Azyi Armenią. Znosił się w tym celu z szachem perskim, a pośrednikiem i duszą tych przedsięwzięć królewskich był już przez nas wspomniony Ormianin hr. de Syri. Bedrondowiusz Szymon doktór obojga prawa i teologii, sekretarz królewski był już jako poseł wyprawiony do Eczmiadzyna w roku 1696 (str. 69). Ale wziął się król zapóźno do rzeczy, bo rychła śmierć nadeszła; wątpić nawet należy, czyby dźwignął oręż podówczas, kiedy o tych wyprawach romantycznych i nowych zawodach myślał. Bądź co bądź, ciekawe zawsze to rzeczy, które nie są urojeniem historycznem, bo autor pokłada dowody, a znalazł je w archiwum kapituły ormiańskiéj lwowskiéj (str. 69).

Ciekawe byłoby studium, gdyby kto na zasadzie podań książki Barącza, postarał się rozwikłać cały ten labirynt nazwisk ormiańskich i przez to wskazać, jak się koleją narodowili po polsku nasi wychodźcy z Azyi. Książka ta nowy, najzupełniéj nowy pod tym względem ukazuje nam świat: imiona nawet i nazwiska wszystko to tak odmienne, tak odrębne od naszych! Ormianie mają swój kościół, swoje niebo, to się znaczy swoich świętych, których nie znają kalendarze innych narodowości, nawet kościoła katolickiego. Mniszki ormiańskie żyły pod regułą świętéj Rypsymy (str. 416). Jest klasztor świętego Oxenta (str. 5). Męzkie imiona najpospolitsze trafiają się takie: Wartan, Zarug, Greczun, Sefer, Nedéj, Manug, Minas, Sahog i t. d. Agopsza jestto Jakób, Awedyk Gabryel. Ormianie przybyli do Polski wtenczas, kiedy jeszcze, u nas nie tworzono nazwisk: tutaj więc swoje urabiali, kiedy na to czas nadszedł. Rozmaicie się im na téj drodze wiodło, bo zwyczajem słowiańskim syn brał nazwisko swoje od ojca, ztąd wnuk miał inne a syn inne; lubo trzeba wyznać, że jestto również obyczaj wschodni i nawet dodziś dnia, jako świadczy ksiądz Barącz, zachowuje się u Ormian niższéj klassy (str. 327). Była rodzina Sołtanów kupców kijowskich; w czasie sejmu lubelskiego unii, jeden z nich Abgar szeroki prowadził handel

i miał sklep we Lwowie, Stanisławowie i w Jassach; synowie jego Krzysztof i Zacharyasz zwali się Abgarowiczami, ale synowie Krzysztofa z początku byli Krzysztofowiczami i dopiéro późniéj wrócili do nazwiska ojca; dzieci zaś Zacharyasza zwali się de Abgaro Zacharyaszewiczami. Od Szymona Tomanowicza, żyjącego w połowie XVI wieku poszli Szymonowicze, Andrzejewicze, Józefowicze. Znajomsze dzisiaj nazwiska Manugiewiczów i Minasowiczów pochodzą od piérwszego Manuga i Minasa; Arakielowicze, Atakiewicze, Asłanowicze pochodzą od Arakiela, Ataka, Asłana i t. d. Tak dzikie nazwiska Wschodu przez zakończenie słowiańskie, nabierały nieco więcéj polsko-ruskiego pozoru. Czasem nobilitacya staropolska dzikie te nazwiska urabiała na sposób tak dalece słowiański, że nawet domyślać się trudno było pierwotnego nazwiska. Jan Awak, który w rycerstwie położył zasługi, a bił się razem przeciw Turkom, Kozakom i Tatarom, otrzymał herb i nazwisko Wakowskiego (24 lut. 1605); Bernatowicz jeden uszlachcony zaczął się przezywać Bernackim (str. 75). Ci co zmieniali nazwiska, byli, można powiedzieć w pewnéj mierze zdrajcami narodu swego; pomiędzy nim albowiem i sobą wznosili zaporę, która w pewném oddaleniu od czasu téj zdrady, prawdę zacierała. Ale wielu jednak Ormian przyjmując szlachectwo i herby, zostawało przy swojém nazwisku, niewypierało się pochodzenia i historyi. Do takich należeli np. Augustynowicze h. Odrowąż i Chodykiewicze; do takich należał Bogdan, czyli Teodor Szeferowicz, który do swego nazwiska dostał nowe Spendowskiego i w przywileju, herb Lubicz (5 lut. 1676). Było już sposób urabiania nazwisk na sposób czysto-polski. Koroniarze zwali się pospolicie od wsi, któréj byli dziedzicami, z nazwiska wsi tworzyli przymiotniki i dodawali do imienia: przymiotnik ten utrzymał się z czasem jako dziedzictwo rodowe. Tak Spendowski zwał się pewno od jakiego Spendowa, z którym miał jakieś nieznane nam bliżéj stosunki. Tak Jan Torosowicz uszlachcony (w roku 1658) został Wieniawskim. Tak Warteresowicze mieszkańcy lwowscy przezwali się Słoniewskiemi (str. 357), od swego herbu, w którym mieli słonia. Królowie te nowe nazwiska chrzcili przydomkami, ale za wpływem czasu, przydomki one usuwały zupełnie nazwiska rodowe i zostawały się same.

Nie zważając na zdradę narodu swego, uszlachceni właściciele przydomku dla przyszłości pracowali. Ksiądz Barącz wskazuje na ślady łatwego w téj mierze zwrotu opinii. Słoniewscy starannie zabiegali o to, żeby powszechność zapomniała, iż byli kiedyś

Warteresowiczami, Wieniawscy umieli wcześnie się pozbywać nazwiska, a zachować tylko przydomek. Ten Roch Wieniawski co to oddał Kraków Prusakom w roku 1794, pochodził z téj rodziny, a nikt jednak już o tém nie wiedział w ówczesnéj Polsce.

Szlachtę naszą raziły te ormiańskie szlachectwa i herby. Jedyny sposób do pozyskania rycerskich zaszczytów, stanowiły w Polsce sprawy oręża; więc nic dziwnego, że szlachta nie rozumiała rycerstwa pochodzącego z mieszczan, podnoszonego do godności za jakieś zasługi tłumacza, pośrednika i t. d.; nie rozumiała rycerstwa, które szło ze sklepów lwowskich, a które nawet po nobilitacyi swojéj częstokroć nie opuszczało ormiańskiéj ulicy. Ciekawa protestacya Starzechowskiego przeciwko Wieniawskim imieniem całéj ziemi przemyślskiéj (1731), jako sejmiki psują, rej na nich wodzą, funkcye poselskie, deputackie i ziemskie sprawując wbrew przepisom prawa, bo pochodząc od Torosowiczów nie są szlachtą, a mniemana nobilitacya ich zaraz na drugim sejmie była skasowana (str. 338). Bogiem a prawdą powiedziawszy, niebyśmy osobiście nie mogli powiedzieć przeciwko temu, na co tutaj pan Starzechowski narzekał. Zapewne, że źle było wstydzić się swojego narodu i pochodzenia, co téż zarzucano słusznie dawnym Ormianom nobilitującym się, ale że nazwiska nowe przybierali czysto polskie, i że dawne dla nowych zarzucali, w tém trudno widzieć coś zdrożnego. Powszechny był zwyczaj w rycerstwie polskiém, że uszlachconego ktoś przyjmował do swego herbu, a ktoś do swego nazwiska. Ormianie stając się szlachtą polską już nie byli Ormianami, ale szlachtą; z narodowości jednéj przelewali się w drugą narodowość, a szlachcie polskiéj oczywiście lepiéj się było przezywać słowiańskiemi jak dzikiemi nazwiskami, których nie spamiętała, obcemi jéj zupełnie naturą swoją i dźwiękiem. Zdarzały się jednak wypadki, że Ormianie posiadali czysto polskie nazwiska np. byli pomiędzy niemi Baliccy: zkąd? trudno objaśnić. Pamiątki księdza Barącza wytłumaczyć i tego faktu nie umieją, pochodzi więc rzecz z czasów, można powiedzieć przedhistorycznych Ormian w Polsce. Jeżeli fakt prawdziwy, to również do owych czasów przedhistorycznych należą nazwiska Sapiehów i Małachowskich, którzy także z Ormian mają pochodzić (str. 329) Augustynowicze nie zmienili swego nazwiska, gdyż czuli, że sami mogą się dostojnie przy rodzinnych utrzymać zaszczytach: według Chodykiewicza albowiem pochodzą od Attabeków królów i książąt ormiańskich (str. 331). W istocie rodzina ta ma nie w Polsce historyczny byt swój, ale we własnym

narodzie, z którym dotąd nie zerwała; zajmowała ciągle zbyt znakomite stanowisko, ztąd wszystkie rodzaje sławy rodzinnéj na nią się wylały. Urzędowym naczelnikiem narodu jest arcy-biskup, otóż wydała aż dwóch z pomiędzy siebie arcybiskupów, a mężów wpływu bez liku. Jan Tobiasz pisał żywoty arcybiskupów swego narodu, i dzieje kollegium papiezkiego we Lwowie (str. 39). Aż czternastu Augustynowiczów wylicza Baracz. Maramorosze od stu lat w Galicyi zamieszkali są szlachtą węgierską (str. 190).

Heraldyce polskiéj obfite źródło ukazane jest w żywotach Ormian. Wiele tu albowiem nazwisk nieznanych Niesieckiemu, wiele nowych herbów, których nauka jeszcze nie opisała wcale. Są to herby, że się tak wyrazim mieszczańskie i rozumiemy dobrze przyczynę, dlaczego szlachta ich nie uznawała, dlaczego niekładła ich w szereg Jastrzębców, Półkozicow, Pomianów i t. d. Wszelakoż, że pochodzą z czasów polskich zebrać je trzeba dla kompletu. Nowe zupełnie to pole nieobrobione jeszcze, bo zaraz widać że nieczysto polskie. Więc herby Ormian są zabytkami jeszcze i pamiątkami azyatyckiéj ich ojczyzny: ten słoń, ten ormiański rycerz, wreszcie kotwica, nad którą słońce jaśnieje, trącą wyraźnie Wschodem.

Ale więcéj nierównie jak polskie czasy, z Ormian narobiły szlachty i herbów czasy austryackie. Szczególniéj Józef II masę Ormian uszlachcał. Czy chciał przez to podkopać wpływ i znaczenie w Galicyi szlachty polskiéj, czy to robił dla innych jakich widoków? to zostało na wieki tajemnicą jego duszy. Jednakże przypuścić ze wszelką słusznością można, że piérwsze miał na celu. Czy się obrachował dobrze z siłami i ze skutkami téj roboty cesarz jegomość? to inne pytanie. Może chciał rozgniewać, jak Stadion narodowości, aby pewniéj panować. Bądź co bądź chybił celu, bo szlachta z Ormian stała się szlachtą czysto polską, więcéj jeszcze polską jak wprzódy, a cesarzowi przybyło więcéj niespokojnych poddanych. Popęd przez Józefa dany trwał długo i raz wraz nawet w początkach tego wieku, Ormianie legitymowali się ze swojego szlachectwa, o którém dotąd nic zgoła sami nie wiedzieli. Legitymacya była bardzo łatwa, lada papier brano za dowód. Nową szlachtę wpisywano do stanów galicyjskich i do tabuli: szukano nawet dowodów i po zagranicami prowincyi, a ten i ów wywodził się z pradziada, że był szlachcicem wołoskim, a nawet że bukowińskim. Rzeczywiście od czasu przyłączenia do Galicyi Bukowiny, najwyraźniejszy jest przyrost szlachty z Ormian do téj prowincyi, na czém niezawsze źle wycho-

dziła, np. Romaszkany, którzy do ksiąg lwowskich wciągnieni dopiéro roku 1789 zostali, należąc do najmajętniejszych Ormian, stają zawsze przy każdém piękném, szlachetném przedsięwzięciu, nie dając się innym w tém uprzedzać (str. 281). Bywały przykłady, że cesarze nawet uszlachcali, dawali wtedy przydomki, ale te już nie zamieniały się w nazwisko, jak to było za polskich czasów. Amirowicz został podniesiony do stanu rycerskiego z przydomkiem „de Kołodacz" (str. 10). Dawniéj jeszcze Antoniewicze dostali przydomek Bołozów (1789).

Literaturą Ormianie bardzo wiele zajmowali się w Polsce. Mając swój własny język obrzędowy, którego pewnie dzisiaj mało kto rozumié, mogli mieć i własną literaturę ormiańsko-azyatycką: ale wcześnie to zrozumieli, że byłoby to popełniać anachronizm i odznaczać się niewdzięcznością względem gościnnego kraju. Zresztą dla kogoż byłaby ta literatura ormiańska?. Ksiądz Stefan Roszka officyał i proboszcz stanisławowski, przez fanatyzm pisał jeszcze po ormiańsku w początkach wieku zeszłego (str. 9); ale ogół narodu oddał się całkiem literaturze polskiej. Lud to był i znowu pewnik położyć można, bardzo uczony. Mieliśmy wielu pisarzy Ormian. Ksiądz Barącz już poprzednio spisywał monografie o znakomitościach literackich swego narodu i częściowo ogłaszał je drukiem; teraz powtórzył je w swoim słowniku. Chodykiewicz Klemens, sławny swojego czasu historyk i kaznodzieja (1715—1797); napisał aż 26 dzieł różnych polskich i łacińskich. Ksiądz Jan Tomasz Józefowicz pisał dzieje i kronikę arcybiskupów lwowskich i łacińskich z rozkazu Konstantego Zielińskiego. Dzieło jego obfitujące w moc niezmierną szczegółów, świeżo dopiéro wydane. Kacper Balsam Jezuita był głośnym w Polsce kaznodzieją i autorem. Kto nie słyszał o Piramowiczach, a mianowicie o księdzu Piotrze, którego król Stanisław nazywał swoim kochanym Piramkiem (str. 265)? Zimorowicz i Szymonowicz, to nawet światła literatury narodowéj. Antoniewiczów kilku mamy z późniéjszych czasów autorów, Mikołaj poeta, ksiądz Karol Jezuita. Nawiasem dodamy tu, że Mikołaja wcale nie ma w księdze Barącza, a Karola życiorys bardzo niedostateczny; są w nim luki wyraźne, a nawet dzieła nie wszystkie wyliczone. Bernatowicz autor Pojaty, także Ormianin, ale jednak jego tutaj nie ma; Minasowicz Józef Epifani i Dyonizy tłumacz Szyllera, ksiądz biskup Nersesowicz (umarł 1709), byli także Ormianami. W księdze Barącza, aczkolwiek opuszczeń dużo znajdujem, pełen jest wartości i treści przyczynek do obrazu bibliografii i literatury w ogó-

le. Żal nam tych rękopismów które zaginęły, a na których ślady wskazuje autor. Była kronika Kamieńca Podolskiego, którą pisał Axent Mikołajewicz (str. 198). Były żywoty ormiańskich biskupów w Polsce (str. 283). Ksiądz Stefan Roszka, ów fanatyk narodowości swojéj, ułożył słownik ormiańsko-polski i polsko-ormiański w jednym dużym tomie, które do dziś dnia przechowały się w bibliotekach. Roszka ten umarł w Stanisławowie 31 października 1739 r. O Szymonowicza Bendońskiego spór się toczy między uczonemi. Ksiądz Barącz stara się dowieść, że był to Ormianin, co z resztą najwięcéj ma za sobą prawdopodobieństwa, lubo jeszcze widać z polemiki autora niespokojność, a to z tego głównie względu, że wszystkie trzy narodowości czerwono-ruskie miały swoich Szymonowiczów (str. 326).

Głośniejsze dzisiaj rodziny ormiańskie zasłużone na polu literackiém i politycznem, a zatém więcéj znane narodowi są: Antoniewicze, Augustynowicze, Bernatowicze, Hadziewicze, Krzysztofowicze, Minasowicze, którzy kilka wersyi mają w swojém nazwisku Nikorowicze (jeden z nich miał być prezesem senatu krakowskiego po Wodzickim); Szymonowicze, Zacharyaszewicze, Bogdanowicze, Muratowicze, i t. d. Z każdego nazwiska po kilka, po kilkanaście biografij ksiądz Barącz przytoczył. Baraczów także dwóch znalazł „sławnych", prócz kobiét.

Jednakże prawdę powiedziawszy, aczkolwiek książka Barącza dostarcza ciekawego materyału, nie odpowiada tytułowi: mało w niéj sławnych Ormian. Osobno wybierać sławnych, mało się z niéj wybierze. Głośnym cokolwiek był za Zygmunta III Sefer Muratowicz, sławniejszym cokolwiek ów hr. de Syri poseł polski w Wiedniu i w Ispahanie, powiernik romansowych zachceń króla Jana. Po nich głośniejszemi byli owi biskupi Ormianie, ale wszelako daleko im wszystkim do sławy historycznéj. Cnót pospolitych nie wspomina historya, tylko wspomnienia o nich pisze, i to nie w dziejach, tylko w kronikach, w archiwach. Literatów było kilku sławnych. Sławny, bo podniosłe w dziejach swojego narodu stanowisko zajmujący, był ksiądz Torosowicz. Ale czytelnik nie gniewałby się na autora za tytuł, gdyby miał treść; z tém wszystkiém treści tu mało względnie do obszerności książki. Autor albowiem nie spisuje sławnych Ormian, ale wylicza wszystkich, jacy tylko żyli, a o jakich tylko mógł gdziekolwiek znaleźć wiadomość po pismach i dziełach; każdy więc kto bogatszy, kto jakimkolwiek bądź sposobem dostał się pod czyje pióro, choćby najniewinniéj, staje się sławnym; zapisany jest do słownika księdza Barącza. Osobliwą myśl miał autor spisywać

tak Ormian nietylko polskich, ale z całego świata. Naturalnie przy tak nie wybrydnym wyborze, wiele się znalazło sław unieśmiertelnionych, które się zdziwią, kiedy się ujrzą postawione obok sław prawdziwych. Proste są bardzo te dzieje Ormian księdza Baracza. Jeden sławny dlatego, że porządek dobry utrzymywał w sklepie; drugi że utrzymywał powagę czci religijnéj; trzeci że był świętobliwym kapłanem; czwarty i piąty, że byli młodzianami pięknych nadziei; szósty, że myślał napisać poemat a posiadał rozliczne wiadomości naukowe (str. 86). Ten sławny, bo dzieło przepisał, ów bo panom pieniędzy pożyczał (str. 393); a broń że Panie! ma który jakikolwiek dyplomat królewski z czémśkolwiek, sława to zaraz kapitalna, bijąca w oczy. Najmniejsza o kim wzmianka w najdrobniejszéj książce wydrukowana, już wystarczy dla autora, żeby człowieka unieśmiertelnił. Między temi sławami, wielce już sławny ten, kto był np. fundatorem jakiego kościoła. Autor tak dalece popuścił cugle sławie, że spisuje nawet kobiety, którym oczywiście mniéj jeszcze potrzeba do tego, żeby wéjść do żywotów Ormian, bo zawód ich skromniejszy, nie może wymagać jak u księdza Baracza, wielkich warunków dla dostąpienia sławy. Więc po prostu, litościwe i ładne kobiety już miały prawo wejść do żywotów, a kiedy tak jest, dziwim się że ich tak mało w przeszłości Ormian odszukał ksiądz Barącz; znajdzie się ich więcéj oprócz tych kilkudziesięciu, które dały się poznać w różnych zawodach życia, i które są naprawdę więcéj znajome przynajmniéj w historyi swojego narodu.

Pospolicie ci sławni Ormianie księdza Baracza są to kupcy, bo téż wyłącznie prawie naród ten oddawał się handlowi; zdaje się, proletaryatu tam nawet nie ma: wszystko ludzie majętni i przemysłowi, stanowili osobną klassę ludzi kupców, jak to jest dzisiaj w Rossyi. Moc ich była w Galicyi, moc na Wołoszczyznie, więc przez Ormian krewniły się obadwa te kraje. W Rumunii przynajmniéj dostępowali godności i więcéj nadziei mieć mogli na dojście do sławy, ale jednak nie za sławą widać ubiegali się, tylko za dobrym bytem materyalnym, skoro rzucali z ochotą Wołochy a przechodzili na Ruś Czerwoną. Handel widać że lepiéj im smakował, jak znaczenie polityczne; ale przez handel trudno, niezmiernie trudno stać się sławnym. Jednak nie zbija to z tropu księdza Baracza; w jednem miejscu swojego dzieła wyraźnie się tłumaczy ogólnikami, dlaczego kupców nawet policzył do znakomitości (str. 114). Gdyby kto w podobny sposób układał słownik ludzi historycznych innych narodowości, i nie zląkł się ogromu dzieła, gdyby musiał po prostu przepisywać metryki kościelne wszyst-

kich parafij, dzieje tych sławnych ludzi byłyby porządnie nudne. Gdyby np. chciał kto, jak tutaj ksiądz Barącz, spisywać samych księży, zacytowałby mnóstwo nazwisk, a nicby o nich nie mógł innego powiedzieć, jak tylko że tego a tego roku urodzony, tego a tego poświęcony, innego znów mianowany proboszczem, innego kanonikiem i t. d.: latałby się zmieniały w tych różnych życiorysach, nic innego. Tak gdyby kto sobie chciał np. spisywać dzieje kościoła, byłby straszliwie nudny. A jednak nie tak jest z dziełem księdza Barącza, chociaż często napotyka się w niém z ogólnikami, z frazeologią. Co ratuje więc książkę? najprzód przedmiot zupełnie nowy, a potém rozrzucone po dziele wiadomości, których jednak sporo się zbierze. Pokolenie dzisiejsze Ormian dobrze robi, że skupia swoje pamiętniki i ratuje, co się dzisiaj uratować da. Gdyby przed dwustu laty żył jaki między Ormianami ksiądz Barącz, ileżby faktów uratował! Nie wiemy, ale zważając na krzątanie się autora, sądzimy, że w dziejach swego narodu zajmie z czasem stanowisko Stryjkowskiego, tojest zbieracza, kompilatora wszelkich podań, mniéj krytycznego, ale w każdym razie zabiegłego. Lepiéj zapewne byłoby, gdyby się zjawił Kromer ormiański: ale kiedy to być nie może, lepiéj Barącz jak żaden. Tylko niechby porzucił poszukiwania Ormian za granicą kraju, bo tego w żaden sposób przed literaturą wytłumaczyć nie potrafi. Ormianie są narodem dziś tylko w Armenii i tam jedynie historya Ormian możebna, tutaj u nas w Polsce już nie ma oddzielnego narodu, ale są Polacy ormiańskiego obrządku. Im historyk rodem z Czerwonéj Rusi, głównie swoję winien poświęcić uwagę. W istocie ksiądz Barącz przyznaje się, że pisze dzieje Ormian (str. 68 i 89).

Autor ma wiele patryotyzmu, i dlatego sądzim, że zawód historyka Ormian najprzyzwoiciéj mu należy. Ale patryotyzm ten, jako należy, jest polski. W tém tylko zasługę swego narodu upatruje, przechwala się, że poświęcali się dla ojczyzny polskiéj (str. 194, 201 i t. d.). Owszem na to szczególniéj stara się zwrócić uwagę swoich spółziomków, nie Ormian. Ale w przyszłéj téj historyi powinienby na to baczyć głównie, żeby się w gadaniny zbyt nie rozwlekał. W żywotach wiele jest artykułów okraszonych próżnym dźwiękiem słów i jak przygrywka często autorowi pod pióro nawinie się kapłaństwo. Są ustępy niemające żadnego związku z rzeczą, więc przepełniają karty, czasem tak dalece, że o téj osobie, o któréj tytuł mówi, niéma ani słówka. Zbiéra lada co ksiądz Barącz i lada co lubi wypisywać, zwłaszcza jeżeli

znajdzie coś gotowego, a przepisuje nieostrożnie, dosłownie i ztąd czasami tekst książki dziwnie uderza, niestownością razi: przepisany życiorys poety Dyonizego Minasowicza z życiorysu Wójcickiego, który znowu Tyszyńskiego zdanie wypisał, ztąd wyrodziła się zabawna galimatya, bo w książce Barącza trudno odróżnić, co i kto i jak mówi o Minasowiczu. „Umieściliśmy Minasowicza, pisze np. Barącz, w okresie przejścia z literatury klassycznéj" a nic niéma w całéj jego książce o tym okresie, słowa to oczywiście wyjęte są z ust innych. Przepisuje ksiądz Barącz całe kazania i daje z nich wyjątki, daléj sielanki Szymonowicza, a nawet znaną powszechnie mowę, którą miał Piramowicz przy otwarciu towarzystwa do ksiąg elementarnych. A wybór niezawsze trafny, szczególniéj mało się zna autor na wdziękach i wartości poezyi. Charakterów ksiądz Barącz nie skreśla. To główne wady, którychby unikać powinien w przyszłéj historyi Ormian, a są do uniknienia.

Ważniejsze w tém widzim błędy dzieła, że są w niém braki, a niema wcale krytyki; że wreszcie widać w w autorze nieznajomość historyi, nieobeznanie się dostateczne z przeszłością narodu polskiego. Zamiast tych fraz, tych żywotów bez treści, miał Barącz sposobność wystąpienia z dziełem poważném, posiadając pod ręką bogactwa przedmiotu i treści, których nie użył. Na niektóre braki wskazaliśmy już poprzednio, bo niedostaje téj książce żywotów rzeczywiście sławnych Ormian. Uważaliśmy między innemi przepuszczenie księdza Michała Szymonowicza, wizytatora Missyonarzy warszawskich, słynnego z cnoty i pobożności, który także ledwo co niezostał w brew woli własnéj biskupem augustowskim, podobno po śmierci księdza Czyżewskiego, ale się oparł temu stanowczo. W ogóle to trzeba w dziele księdza Barącza zauważać, że obce rzeczy czasami lepiéj zna jak swoje blizkie: poza granicami Galicyi, w dalszéj Polsce, Ormianie jakby dla niego nie żyli, wtenczas, kiedy wié co się dzieje w Armenii, kiedy wspomina po kilka razy o podróżach księdza Pežasgianca. O tych wychodźcach z Ormian czerwono-ruskich, którzy się na Mazurach w królestwie kongressowem osiedlili, my księdzu Barączowi chyba donosić musim.

Każdy kto bierze się do czytania tych żywotów, dzieła specyalnego, ma prawo spodziewać się, że w niém znajdzie coś więcéj o tém i owém, o czém poprzednio słyszał albo czytał często się zawodzi; tak np. o Minasowiczach autor powtarzał stare dzieje z błędami niepoprawionemi, tak o pracach naukowych professora

uniwersytetu krakowskiego Jaśkiewicza Ormianina, wié autor bardzo mało (str. 145). Sam się do tego przyznaje, a przecież w najdostępniejszych źródłach, mógłby wiele faktów o tém znaleźć. Któżby się domyślił, że malarzy Ormian potrzeba szukać, w tym słowniku alfabetycznie podług nazwisk i imion ułożonym właśnie pod tytułem malarzy. Autor jest tak niedbały, że np. w życiorysie księdza Józefowicza historyka arcybiskupstwa lwowskiego, nie objaśnia, czy historyk ów był księdzem ormiańskim, czy łacińskim? Krajczym koronnym r. 1735 był u księdza Barącza jakiś Ormianin Bachdazarowicz (str. 56), wiadomość najbłędniejsza w świecie i tém więcéj jeszcze rażąca, że autor nierozumié tego widać, że to być nie mogło w społeczeństwie szlacheckiém takiém, jakie składała Polska, tém bardziéj jeszcze, że tym mniemanym krajczym był jakiś świeży przybłęda z Azyi, bo nawet braci miał w Dyarbekirze: gdzież tam szukać jego szlachectwa, gdzież zasług, gdzież prawa do dygnitarstwa w Rplitéj?

Takich grubych błędów co do pojmowania przeszłości polskiéj, wiele, bardzo wiele w żywotach Ormian. Jan III „nie wstydził się" ubogiego jubilera swego zrobić sekretarzem królewskim (str. 68). Autor nie wié, że to był czczy tytuł, podobny zupełnie do rang rossyjskich, i że ten tytuł głównie służył za ozdobę tylko nie szlachcie: ztąd wielu proboszczów nie szlachty, mając łaskę jaką u panów wyrabiało sobie u dworu tytuł sekretarzy krótewskich, tytuł który żadnych praw nie nadawał, do niczego w świecie nie zobowiązywał, i z kancellaryą koronną żadnego nie miał związku. Taki tytuł był jedyny w Polsce do Sasów, ci zaś powiększyli hierarchię urzędniczą nieszlachty in partibus rangą radcy, czyli konsyliarza nadwornego, która jest tylko przetłumaczeniem polskiém dostojności Hofrata. Dla niższych jeszcze słojów społeczeństwa służył tytuł serwitora królewskiego, na któ. ry częste nadania różnym mieszczanom czytać można po metrykach koronnych. Tak i Bedros zostawszy *sekretarzem*, jak go błędnie ksiądz Barącz nazywa *dworu*, mógł sobie po prostu nie umiéć wcale pisać, bo nikt go się o to nie pytał, nikt od niego téj nauki niewymagał, niktby mu nie kazał przekopiować nawet litery, z powodu tytułu, jaki dostał. Tém bardziéj taki Bedros o żadnych sekretach koronnych nie wiedział, bo mu ich nie powierzano. Nadanie tytułu było zapewnie oznaką łaski królewskiéj, ale nadając go znajomemu sobie słudze, lub nieznajomemu ale protegowanemu przez kogoś mieszczaninowi, król wcale nie potrzebował się wstydzić, bo inaczéj przez całe swoje panowanie, chy-

ba ani razu śmiało nie mógłby podnieść oczu na ludzi. Sam zaś ksiądz Barącz widział, że sekretarzami królewskiemi często bywali Ormianie, a to już powinnoby otworzyć mu oczy względem urzędu co zacz był: tymczasem autor ciągle się dziwi i za każdą prawie nominacyą, która nic nie znaczyła, tryumfuje, widząc, jak powiada, ten wpływ narodu swego, wcale niewielki, dodajmy w nawiasie. Dygnitarzami zaś w Polsce nigdy Ormianie nie bywali dla bardzo wielu powodów: więc i nie był też pewno jeden z nich *sprawnikiem królestwa* (str. 73). Nominacya ta księdza Barącza tém więcéj podejrzana, że takiego urzędu wcale w R. p. nieznano. Mógł być Mikołaj Warteresowicz po uszlachceniu Słoniewski chorążym Bydgoskim (str. 353). Jakoż w istocie czytamy go w Niesieckim; zkąd może i ksiądz Barącz go odszukał, ale nie mógł być jeszcze tak świeży szlachcic, jakimś sprawnikiem królestwa. Autor doskonaleby zrobił, żeby ułożył porządne spisy arcy biskupów i biskupów ormiańskich w Polsce, prałatów, kanoników metropolitalnych, oficyałów i proboszczów po parafiach, tém bardziéj, że to praca wcale niewielka, a tego wszystkiego tu niéma. Powagą Niesieckiego zasłaniać się w tym względzie, niezawsze wygodnie i sprawiedliwie (str. 55). Łatwo cytować poprzedników, trudniéj dobijać się prawdy samemu, z tém wszystkiém historyk bez kawałka krytyki w głowie, bardzo źle wygląda. Że Niesiecki arcybiskupów nie liczył, to Barączowi niewymówka, że tam ktoś dzieciństwo jakieś popisał, lada czemu uwierzyć nie trzeba, np. temu że w sądach na jakiéjś sprawie w r. 1731, żaden z mecenasów niemógł dowodzić, jak twierdzi ksiądz Barącz, fałszu twierdzenia o przyjściu 20,000 Ormian Krzyżaków do Kijowa w r. 1062 (!!!), już w tém samém dowód, że Krzyżacy ci nie przyszli (str. 87, 89). Jeżeli na takie dowody zważać będzie ksiądz Barącz, bardzo nam szkoda owéj przyszłéj historyi Ormian w Polsce.

Źródeł mu jednak jak widać niebrakuje, dowód mamy w samych cytacyach księdza Barącza. Rękopisma kapituły ormiańskiéj, akta sądowe Ormian, księgi kościelne, wreszcie całe gotowe już w tym przedmiocie z różnych czasów monografie, wskazują, że dzieje Ormian napisać można. Jest też archiwum stanów galicyjskich, jest materyał żyjący w słowach i opowiadaniach staruszka arcybiskupa liczącego już z górą wiek życia (str. 154). Z metryki koronnéj w Warszawie, są także ciekawe w dziele wypisy, szczególniéj nobilitacye z zaświadczeniem, że zgodne są z oryginałem; poważamy się o tém wątpić, gdy znajdujem w tych

wypisach urzędowych błędy. Były i poprzednie próby, historye Ormian albo monografie na większą pomyślane skalę. Minasowicz Epifani np. zostawił w rękopismie materyały do historyi Ormian na Wschodzie, które się znajdują dzisiaj w bibliotece Ossolińskich we Lwowie. Spisywał też żywoty sławnych Ormian w Polsce, zapewne nie na sposób księdza Barącza, bo przynajmniéj seryo pojmował ten wyraz *sławny*, ksiądz Minasowicz. Nuncyusz Duriniz za Stanisława Augusta znał jego rękopism, drukiem zaś ogłosił wiersze o żywotach arcybiskupów ormiańskich (str. 210, 212). Są i kodexa dyplomatyczne. Mikołaj Hadziewicz szlachcic polski od roku 1654, rzecznik całego narodu ormiańskiego, człowiek nieposzlakowanéj cnoty, uczony w prawie, często przesiadując w stolicy dla spraw narodu swego, osobiście znany królowi Sobieskiemu, wielce od niego kochany, zebrał w jeden kodex wszystkie prawa i przywileje Ormian na Rusi, zacząwszy od Dymitra księcia kijowskiego (?) aż do Jana III, które kosztem swoim z metryk koronnych wypisywać kazał. Rękopism ten podarował radzie lwowskiéj roku 1695 (str. 137).

W żywotach Ormian księdza Barącza znajdujemy jeszcze dzieje zakonnic ormiańskich. Piérwsze zgromadzenie panien pobożnych było od dawnych lat w Kamieńcu Podolskim. W roku 1660, zaczynają się organizować, a następnie przed wojną turecką przenoszą się do Jazłowca i ostatecznie osiadają we Lwowie. Za arcybiskupstwa Wartana Humaniana przyjmują regułę św. Benedykta i już jako zakonnice poddają się pod wpływ klasztoru Benedyktynek lwowskich, łacińskiego obrządku. Umarła właśnie Dorota Daniłowiczówna, ciotka króla Jana, ksieni Benedyktynek; zatrzymano się tedy aż do obioru nowéj przełożonéj, którą gdy została Helena Kazanowska wojewodzianka bracławska, urządziła stosunek zakonnic ormiańskich do łacińskich, i sama przyjąwszy najwyższą nad obu klasztorami władzę, do ormiańskich posyłała ze swego ramienia przełożone, co potém Rzym zatwierdził. Takim sposobem ksieni łacińska rządziła długo w klasztorze ormiańskim: ksieni zaś Benedyktynek lwowskich była jakby wizytatorką klasztoru ormiańskiego. Potém kiedy ład pewien zaprowadził się i stosunek obudwu klasztorów do siebie się oznaczył, ksieniami w ormiańskim klasztorze były ciągle Ormianki. Bardzo ciekawe są i te dzieje żywota Ormian i druga podobnéjże treści: „Kronika zakonnic ormiańskich reguły święte-

go Benedykta we Lwowie," wydane także przez księdza Barącza w poprzedniém jego dziele, tojest w pamiętniku dziejów polskich. Kronika i dzieje, zdaje się jedną były całością i niepotrzebnie ksiądz Barącz je rozdwoił. Dzieje ciągną się od roku 1660, aż do 1851. Kronika zaś w przeglądzie zawiera szczegóły od roku 1703 i 1756. I w Dziejach i w Kronice są szczegóły do historyi arcybiskupów lwowskich, ormiańskich i łacińskich, do historyi kościelnéj Ormian i kollegium apostolskiego Teatynów, założonego pierwotnie dla nich we Lwowie, są szczegóły do historyi szlachty polskiéj, wojen saskich, są daty śmierci panów; chociaż rzecz główna zawsze krąży około dziejów samego klasztoru. Autor téj kroniki spisuje wszystkie konsekracye zakonnic, wszystkie ich zapisy dla klasztoru, wszystkie uroczystości i nabożeństwa. Jest i to bardzo szacowne źródło dla historyi Ormian, i pomimo tego, że ksiądz Barącz dwa razy do niego w dziełach swoich wraca, zdaje się, że nie wyczerpane jeszcze. Wspomnieliśmy, że same żywoty Ormian dostarczyłyby wiele materyału do „Matki świętych Polski," gdyby kto dzisiaj na wzór Jaroszewicza, pragnął zbierać także podania i wieści o cnocie, o poświęceniach się i miłości chrześciańskiéj. Z wielu stron interesują dzieje zakonnic, ale z tego najwięcéj względu, że powiększają zasób podobnych materyałów. Rzeczywiście święte to były niewiasty, owe ksienie i zakonnice z Ormianek lwowskich: zacne, litościwe, poświęcające się, a co nadewszystko, pobożne. W kobiétach więcéj jak w mężczyznach pokazała się ogólna skłonność narodu: Ormianie wstępowali do klasztorów łacińskich, Ormianki zaś zbudowały sobie swoje własne gniazdko, własny świat i w nim błyszczały wszystkiém, czém tylko chrześciańska dusza tutaj na ziemi błyszczéć może, to jest miłością, nadzieją i wiarą.

Julian Bartoszewicz.

Mozajka kontraktowa. Pamiętnik z r. 1851, *przez Alexandra Grozę. Wilno. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.* 1857. *W* 16-*ce. Str.* 256.

W dwóch konwersacyach swoich I. Chodźko ukazał nam trzy postacie naszych literatów; Groza w Pamiętniku swoim daje nam poznać wielu poetów, wielu pisarzy tak rozgłośnego imienia, jak i tych, co ze skromnéj zaciszy wystąpili na jaw w tym zajmującym obrazku, a raczéj dyaryuszu podróży z domu do Kijowa na kontrakty.

Dziennik podróży téj zaczyna Groza z d. 21 stycznia r. 1851, a kończy w piérwszych dniach lutego. Nie będziemy ścigać w tropy naszego podróżnika, ale zatrzymamy uwagę czytelników naszych na ważniejszych miejscach. Zaraz w Berdyczowie poznajemy zacny dom państwa M.

„Pani M. jakby zawdzięczając swéj mamce Rusince, co ją swą piersią wykarmiła, co ją swych pieśni i dumek nauczyła lubi swe młode uczucia wyśpiewywać w mowie ludu. Jak nią włada, czytelnik najlepiéj osądzi z dołączonego tu urywka. Może moja niedyskrecya (słowa A. Grozy) ośmieli skromną autorkę do ogłoszenia swych pieśni i dumek, których piękny tomik u siebie ukrywa."

„Ne dla mene nebo jasne,
Ani pisni, ani ćwity:
Ne dla mene wse prekrasne,
Daj łysz serciu potużyty.
Ne dla mene pisni, ćwity
Czyto w sadi, czyto w polu:
Daj łysz serciu pobolily,
Daj łysz ślozam hirkum wolu.
Perebłużu czaharamy,
Ponad szparku, krutu riczku,
I sadami i łukamy,
Czerez ciłu Bożu niczku.
Och! w krub mene wse nemyło,
Chot' w przyrodi wse prekrasne:
Swit wesely, nebo jasne,
A wse w domu potemniło.
I temnije, i temnije,
W serciu zymnyj witer wije,
Tepłu dumku pidwiwaje
W swit daleki zasyłaje.

W swit daleki nieznakomy,
Z wicznoj wesnoj i ćwitamy,
Może duszi tysz swidomy,
Za mracznymy mohyłamy.
Pusty Boże, w tu krainu,
Bo tu méni wse nemyłe:
Serce żyło i lubyło
Naj z mandriwki wid poczyne".

Darmo płacze diwczynońka,
Jak hołubka darmo hudyt:
Ni prezbońka, ni slozońka
Umerłoho wże ne zbudet.
Jak ta riczka wczorni łozy,
Pływe meżdu kamiuiamy,
Pływut, pływut girki ślozy,
Idut dumki za dumkami.
Bo jak tuha serce zmoże
Ni prymowoj ni ślozamy,
Nikto w switi ne pomoże:
Tilko dumki z ślozońkamy.
I tak tohdi tiażko, myło,
I tak z żalu serce mlije:
Jak sia żyło i lubyło,
W ślozach, w dumce, wse widzyje".

Przyznać trzeba, że autorka umiała się wpatrzéć w te proste piosenki ludowe, i z całą ułudą i naiwnością ducha je oddać.

W Chodorkowie zajeżdża nasz poeta ukraiński do opustoszałego od r. 1832 klasztoru OO. Dominikanów.

„Jeszcze czas i ręka ludzka szanują te mury, jeszcze one pomimo okien powybijanych, nie mają pozoru ruiny: może dlatego, że tu przebywa czysta dusza, która nie pozwala rozgościć się śmierci i zniszczeniu. Zatrzymaliśmy się przed furtką zagrodzoną dylami, a weszliśmy przez parkan rozwalony. Drzwi od klasztoru były zamknięte na klucz: zastukałem i rozległo się na kurytarzu psa szczekanie, dały się słyszéć ludzkie kroki, klucz brzęknął, drzwi się otwarły i powitał nas ks. L. G. Konie odeszły do miasteczka, a my z nim zabraliśmy się do jego apartamentów, gdzie nam było tak serdecznie, jak może nikomu za dawniejszych świetniejszych czasów tego klasztoru. To mieszkanie człowieka wysokich serca i umysłu przymiotów, ma w sobie coś dziwnie rzewnego. Sam jeden ze służącym wśród gmachu, mogącego wygodnie pomieścić kilkadziesiąt osób, prawdziwie

nazwać się mógł pustelnikiem: wyporządził sobie na dole parę celi, i w nich się rozlokował, a zresztą głucha pustka i ruina. Przez okna powybijane nalatuje ptastwo, wiatr wpada i z hukiem i szumem przeciąga kominami: ptastwo przechadza się spokojnie po celach, nim je kot lub kuna nie spłoszy. Przy klasztorze był kościół drewniany, także wskazany na pustkę: ale ks. L. G. oczyścił go, uporządkował; stały ławki na środku, lecz w nich lud prawowierny już nie zasiadał: stały ołtarze po bokach, ale przy nich msza się nie odprawiała. Kilkunasto-letnie zaniedbanie jużby je gruzami i pyłem zasuły, gdyby nie ręka ks. L, G., która je omiata i oczyszcza. Raz latem jadąc do Kijowa, tu nocowałem: wstałem rano, ale ks. L. G. już mnie uprzedził, już on się modlił przy swym ołtarzu. Wszedłem do kościoła; słońce jak w dzień uroczysty świeciło. U wielkich drzwi wchodowych wyrosła bujna gałąź licium, i obwinęła się klamki, jako dowód, że tędy nikt już nie wchodził; żywy napis: *pustka i ruina.* I modliłem się tu z głębszém wzruszeniem, niżeli inną razą przy mozajkowych i marmurowych ołtarzach, ozdobionych najświetniejszego pędzla obrazami. Para jaskółek zaćwierkała na chórze, śpiewacy w świątyni, którą natura zaczęła się rozporządzać, jak swoją własnością."

Pomijamy opis Kijowa i ów *Padoł*, który wre takiém życiem kontraktowém. J. Korzeniowski w Emerycie dał nam zajmujący obraz kontraktów i *Padołu*, artystycznie wykończony; Groza skreślił to wiernie, z całą prostotą, na co patrzał, i obrazek jego niemniéj zajmujący, a dosadniejszy prawdą każdego słowa. Redaktor *Rusałki i Grosza wdowiego* odwiedza towarzyszów jednéj chorągwi. Michał Jezierski choć nie drukuje od lat kilku, ale pracuje. W chwili gdy go odwiedzał Groza, zajęty historyą literatury naszéj, którą zamierza ogłosić drukiem. Razem przypomnieli sobie *Józefa Kotoniego.*

„Mało ludzi zdolnych jak on (pisze Groza): do szkół prawie nie chodził, i u nikogo niczego się nie uczył, za samym, że tak powiem, instynktem piękna, postąpił znakomicie. Przypadkowie dostały mi się wiersze jego: nie wiedząc czyje, pochwaliłem: to zachęciło Kotoniego do pisania wierszy; pełno w nich było błędów grammatycznych, ale wiersze były piękne, myśl swobodna, uczucie żywe. Czasami rzucał sarkazmy: w tym rodzaju nie znam nikogo, ktoby go przewyższył, widać odpowiadał on jego charakterowi zajątrzonemu, duszy przebolałéj. Kilka miał poematów w połowie napisanych, jeden dra-

mat narodowy w pięciu aktach. Kotoni był stworzony na wielkiego muzyka: mało ucząc się na fortepianie grał bardzo biegle, a co większa, posiadał w najwyższym stopniu twórcze zdolności, talent improwizatorski. Ileżto wieczorów z łaski jego przemarzyłem najrozkoszniéj! Bóg mu dał dwie mowy do wypowiedzenia swych uczuć i myśli: poezyą i muzykę. Z piérwszą dlatego, że mniéj ją uprawiał, było mu trudniéj; ale druga była mu posłuszną na każde jego zawołanie: to téż co chciał, w niéj wypowiedział, wyśpiewał. Nie mówię o drobniejszych improwizacyach, które gromadami z pod jego palców ulatywały, ale o wielkich, w których się cała jego dusza wylewała, w tych on był przedziwny: ja najpiękniejsze chwile mego życia tu miałem. Słyszałem późniéj wielkich artystów, ale żaden na mnie nie zrobił takiego wrażenia, jakie robił Kotoni cichego, letniego wieczora, w nieoświeconym pokoju, wśród publiczności z trzech, a najwięcéj z czterech osób złożonéj. Byłem na Białéj-Rusi kiedym się dowiedział, że on wyjechał do Odessy; cieszyłem się z tego bardzo, pewnym będąc, że się tu spotka ze znakomitemi artystami, i talent jego wkrótce stanie u swojego szczytu. Tymczasem Kotoni, nie ceniąc siebie, pojechał do Odessy, jedynie dla uzbierania jakiego grosza, aby sobie na stare lata mógł kupić chatę, gdzieby głowę swobodnie przychylił, i kawał ziemi, któryby go przeżywił. Czego chciał, tego dopiął w przeciągu lat trzech. W Wołkowincach pod Barem kupił sobie domek z futorem i kilkadziesiąt morgów ziemi; ma więc swój dach, ma chleb własny. Obecnie bawi na Ukrainie, wrócił do fortepianu: jego *szumki i dumki* przesłane do Paryża, od najpiérwszych mistrzów przyjęte zostały z zachwyceniem!"

Odwiedza Groza wydawcę *Album wileńskiego* K. Wilczyńskiego, które z takiém poświęceniem i nakładem od lat wielu bez przerwy wydaje, zdobiąc coraz piękniejszemi to widokami kraju naszego, to illustracyą Paska i w. i.

Dowiadujemy się z tego pamiętnika, że p. Wilczyński w młodości swéj nie sposobił się wyłącznie na artystę. W b. uniwersytecie wileńskim chodził na medycynę. Bawiąc w Paryżu nad medycyną pracował, ale tu także znalazł zręczność doskonałego poznania się na rysunku, w którym od dzieciństwa zawsze największe miał upodobanie. Wrócił do kraju: zdało się, że medycyna będzie głównem jego zajęciem całego życia; może pociągnie go gospodarka i wieś, którą w Wiłkomir-

skiém posiada: tymczasem przemogły wrodzone skłonności; sztuka obrazowa znalazła w nim najgorliwszego uprawiacza".

Z powodu tego wspominku o wydawnictwie K. Wilczyńskiego, musimy właśnie o tém, o czém Groza nie napomknął, szerzéj się nieco rozwieść.

Jeżeli piękna i szlachetna myśl p. K. Wilczyńskiego, a pod względem wykonania nic prawie do życzenia nie zostawująca, nie znalazła wielkiego pokupu, sam wydawca powinien sobie winę przypisać. Zamiast starać się o rozpowszechnienie jak największe, tak skromną ceną, jakotéż podziałem na drobniejsze serye swego Album: p. Wilczyński utworzył całość wielką, znakomitą, ale dostępną tylko bogaczom. Bo pytamy, czy jest w stanie choć i zamożniejsza rodzina nieco, wyłożyć naraz około 2000 złp. za ryciny? P. Wilczyński rachując na wartość artystyczną, zapomniał, że jeżeli jego Album nie wnijdzie jako książka do handlu księgarskiego, to rozprzedaż pójdzie bardzo obojętnie, a nawet nadzwyczaj trudno. Do tego trzeba było obmyśléć tekst odpowiedni, format stosowny. Szlachcic choćby dla fantazyi kupił Album, co z niém zrobi? Jeżeli zechce rozwiesić na ścianach, to mu pokoi zabraknie: a trudno na jedno Album miéć osobne zachowanie. Wydawca od lat wielu miał daną tę przestrogę, i sam uznawał jéj praktyczność, ale dlatego nie zastosował się w wydawnictwie swojém. Gdyby pomyślał pan Wilczyński, że to ma być upowszechnionym w kraju, rozkład dałby inny, cenę dostępniejszą, i nakład mógł dawno z zarobkiem rozprzedać. Tym sposobem dopiąłby dwóch celów, bo rozpowszechniłby publikacyą swoję w całym kraju, i obudził zamiłowanie do artystycznych przedmiotów, a zarazem odbierając nakład niemały, mógłby rozszerzać coraz zakres działania swego. Jak dziś jest *Album wileńskie*, to tylko dla salonów pałacowych. Któż temu winien, że się nie upowszechniło: słyszymy żale wydawcy, skargi korrespondentów. Jeżeli p. Wilczyński nie dla powszechności, ale wyłącznie dla bogaczy Album swoje ogłosił, niech kołacze do nich, ale niéma prawa do skargi na brak współczucia w kraju.

Groza następnie odwiedza Jakóba Jurkiewicza redaktora *Gwiazdy*, towarzysza swego szkoły humańskiéj. To mu natrąca wspomnienie o J. B. Zaleskim i Sewerynie Goszczyńskim. Zbierzemy je tu razem, jakkolwiek w Pamiętniku Grozy są w kilku miejscach rozrzucone.

„Dobrze pamiętam Zaleskiego i Goszczyńskiego: byli oni w przyjaźni z moim bratem Augustynem. Zaleski blondyn, twarzy białéj, pięknéj, oczu błękitnych, wzrostu miernego: chodził w bajówce zielonéj. Goszczyński wzrostu wyższego, także blondyn, twarzy ospowatéj, jak on nazywał rabéj, ale przyjemnéj, oczu niewielkich żywych. Przed naszą stancyą leżał duży kamień; Goszczyński wchodząc zawsze musiał skrzesać ognia podkówkami: nosił bajówkę koloru piernikowego. O nich już w szkołach mówiono, że najlepiéj wiersze pisali.

„Piérwszy rok moich szkół w Humaniu (pisze Groza) zacząłem pod najpomyślniejszą wróżbą. Nauczycielem, czyli jak wówczas nazywano dyrektorem, był u nas Jan Tomaszewski (późniéj doktór medycyny w uniwersytecie wileńskim i stale mieszkający w Humaniu) rozsądny, szlachetny, łagodny: dość, że jego przyjaciołmi, którzy ciągle naszę stancyą odwiedzali, byli: Seweryn Gałęzowski (1), Krynicki (2), Grotkowski (3), Jurewicz (4); z młodszych Goszczyński, Zaleski, Krechowiecki (5), Grabowski. Dziesięcioletni dzieciak, przypatrywałem się i przysłuchiwałem tym zdolnym, szlachetnym młodzieńcom, którzy swém życiem dowiedli, że chcieli i umieli wyższym się celom poświęcić. Zwyczajném miejscem do zabawy studentów w piłkę, był obszerny plac, zwany cegielnią, leżący z jednego boku murów bazyliańskich. Tu widywałem Goszczyńskiego w mecie i palancie; piłka silną jego ręką puszczona, leciała trafnie i daleko. Ileż razy słyszałem Zaleskiego wiersze deklamującego, bo on prawie ciągle coś deklamował. Raz w piérwszéj stancyi brat mój siedział na łóżku, a Bohdan Zaleski stał przed nim w pokornéj postawie i deklamował; w końcu obadwaj rzucili się sobie w objęcia: nie rozumiałem o co im szło, ale to co mówił Bohdan, było bardzo czułe, bo

(1) Jeden z najsławniejszych naszych lekarzy.

(2) B. professor mineralogii w charkowskim uniwersytecie.

(3) Doktor medycyny powszechnie szanowany w Kijowie, jako umiejętny lekarz i człowiek najzacniejszy.

(4) Zawcześnie zgasły, był w uniwersytecie wileń. zastępcą professora anatomii porównawczéj.

(5) Kończył nauki w uniwersytecie wileńskim i warszawskim. Gruntowne i piękne jego artykuły bezimiennie podawane, znajdują się prawie we wszystkich naszych pismach czasowych. Przyjaciel Zaleskiego, Goszczyńskiego i Grabowskiego. On piérwszy pisał o zamku Kaniowskim Goszczyńskiego, a jego zdanie wyższa krytyka przyjęła.

i mnie się łzy z oczu puściły. Potém dowiedziałem się, że to była prośba Priama za ciałem Hektora, a mój brat prezentował Achilessa, i widać, że prośba skutek wzięła, kiedy proszący i proszony tak serdecznie się uścisnęli. Na przechadzkę najczęściéj chodziliśmy do Zofiówki. PP. dyrektorowie, będący z sobą w przyjaźni, zazwyczaj szli razem, to też i ich uczniowie jednę gruppę składali, nierzadko kilkadziesiąt osób liczącą. Dla mnie ta przechadzka najmilszą była w sobotę, bo wtedy Zofiówkę nie przepełniał tłum spacerujących: jéj piękność wielka, cicha, samotna, coś miała w sobie dziwnie uroczego. Raz w taką sobotnią, wiosenną przechadzkę Goszczyński i Zaleski sprzeczali się, zkąd widok był piękniejszy? czy od posągu Belizaryusza czy od wazonu? Za piérwszém był Goszczyński, za drugiém Zaleski. Tomaszewski i Gałęzowski mieli spór rozstrzygnąć: szli naprzód do Belizaryusza, a my drobiazg szliśmy za niemi. Wspaniały posąg stał w cudownem miejscu. Nad nim wznosiła się góra w połowie lasem okryta, przed nim ślicznego strumienia zwierciadło, i ściana olbrzymich skał zwalonych na siebie, w najpiękniejszéj perspektywie, a przybranych jodłami, świerkami, dębami; na prawo wielka fontanna, na lewo wielka kaskada, daléj trawnik z sadzawką i wazon granitowy z kwiatkami. Czarowny kraj, odłamek Edenu, bo na naszéj zwyczajnéj ziemi, nic piękniejszego być nie może. Ten biały posąg Belizaryusza, to jakby biały cień na Elizejskiém polu. Jakże tu wszystko wielkie! Wielki mistrz użył wielkich środków dla sprawienia najpiękniejszych, najpotężniejszych wrażeń. Nic dziwię się, że poeta co napisał Zamek Kaniowski, Król zamczyska, ten widok nad inne upodobał. Poszliśmy do wazonu postawionego w sadzawce, obłożonéj różowym szlifowanym granitem: ogromny wazon także z różowego granitu zawsze napełniony najpiękniejszemi kwiatami. W sadzawce igrają złote, srebrne, czarne, ponsowe rybki chińskie naokoło sadzawki, zielony dywan trawnika prześcielający się do strumienia. Z jednéj strony ogromne skały i las, na prawo widok na wielką kaskadę i most wiszący; wprost na biały posąg Belizaryusza i górę lasem okrytą. Ustronie to, jakby wyjęte z Arkadyi, ciche, piękne, urocze, jak muza Bohdana, harmonijne jak jego wiersze. Złote i srebrne rybki, to jego dumki, piosenki, przebłyskujące najświetniejszemi barwami. Któremu widokowi sędziowie przyznali piérwszeństwo, nie pamiętam, bo to temu tylko z górą lat 20."

Przepraszamy autora za poprawkę w dacie: wspomnienie które obudził sięga blizko lat czterdziestu, bo z dobrą nasypką przeszło lat trzydzieści.

Groza opisuje prelekcye professora Fonberga technicznej chemii, znanego z wykładu tego przedmiotu w b. uniwersytecie wileńskim; pojmujemy wzruszenie naszego poety, gdy ujrzał dawnego nauczyciela. Dwadzieścia kilka lat czasu, pięknego, wzniosłej postawy mężczyznę, zamieniły w siwo-włosego starca, który chociaż jeszcze pełen sił, ale już całą postawą powiada: zbliżam się do mego zachodu.

Spotkał na tych kontraktach Michała Grabowskiego, którego znał Groza jeszcze ze szkół humańskich. „W r. 1836 w Kijowie, odnowiłem z nim znajomość w tym czasie; ja pierwszy raz wystąpiłem z moimi poezyami, a on ze swą *Krytyką i literaturą*. Wszystkie pisma nasze krajowe i zagraniczne mówiły o jego książce z wielkiemi pochwałami. Ja potrzebowałem kogoś, przed kimbym się mógł z mojemi myślami i uczuciami otworzyć. M. Grabowski przyjął moje zbliżenie się życzliwie, zawiązaliśmy z sobą piśmienne stosunki. Zamknięty w głuchej wsi ukraińskiej, ściśniony trudnemi okolicznościami, żem nie zdziczał całkowicie, winienem to jego zachętom. Pojęcia nasze o walnych przedmiotach naszej literatury były jednakie. On rozpowiadał o wartości pieśni ludu ukraińskiego ze zbioru Maxymowicza; ja ten zbiór, jeszcze będąc w uniwersytecie poznałem i prawie cały własną ręką sobie przepisałem, i wiele z niego wytłumaczyłem. Do powieści o staroście Kaniowskim podały mi treść dwie pieśni w nim umieszczone."

Na wieczornéj pogawędce, zebrane spisuje zdania o powieściach I. J. Kraszewskiego. Owóż ich treść:

„Jak z Kraszewskim w każdéj jego powieści z piérwszym tomem, a nawet drugim najserdeczniéj się godzę, ale z trzecim a tém bardziéj z czwartym, jestem w otwartéj nieprzyjaźni. Kraszewski nie wierzy w szczęście ludzkie, i tylko młodości otoczonéj złudzeniami, jakiegoś uroku udziela: im daléj, tam jego bohaterowie, czy tam główne osoby jego, wpadają w przesyt, rozczarowanie albo niedołęztwo; a to dlaczego? dlatego, że te serca, choć szlachetne, ale otwarte tylko były dla jednego uczucia:—miłości kobiéty; kiedy za granicą téj miłości jest jeszcze miłość rodzinna, miłość ludzkości, miłość kraju, miłość nauk, miłość natury i najświętsza miłość Boga. Bolesne rozwiązanie każdéj prawie jego powieści, rzuca niesmak na życie nasze, i na-

pawa duszę czytelnika tym smutkiem, którym i tak świat nasz przepełniony. Nie masz smutniejszéj księgi jak żywoty świętych, bo tam prawie wszędzie niezasłużone cierpienie, złe ludzkie namiętności biorące górę nad niewinnością, cnotą, miłością Boga i bliźniego, a zatém męczeństwo, grabież, rozbój, śmierć. Ale już kiedy te wszystkie cierpienia idą dla prawdy, cnoty, miłości Boga, i bliźniego, a za najokrutniejszą męczarnią pokazuje zię anioł wiecznego szczęścia i pokoju. Tak więc po każdym przeczytanym żywocie nowy hart okrywa nasze serca i je uzacnia: dusza nasza, że tak powiem, oczyszcza się, bieleje. Cóż pozostaje w duszy naszéj po tych światowych męczennikach? Autor, jakoby chciał pokazać serce ludzkie we wszystkich jego przejściach, znakomity jego talent udzielił życia osobom wprowadzonym, ale które były niestety! poczęte w jakiéjś niefortunnéj, chorowitéj chwili." Groza przywiódłszy te zdania, zwraca je do dawniejszych powieści tego pisarza, a sam dodaje te słowa: „Nigdy Bóg w delikatniejszéj organizacyi nie zamknął ruchliwszéj myśli, gorętszego serca ku temu wszystkiemu, co piękne i szlachetne. Kraszewski jest u nas uosobieniem pracy, myśli, chęci: Bóg przedstawił go przed nami na wzór jak z każdéj chwili życia korzystać, jak ją najszlachetniéj urządzić. Inni swém przejściem w literaturze naszéj ścieżkę zostawili: po nim szeroka i ubita droga pozostanie; a kiedy ulegając powszechnemu prawu, ustąpi z tego świata, wtedy postać jego narysuje się olbrzymio, i będzie obudzać dla siebie powszechną cześć i uwielbienie."

Znajdujemy w téj mozajce daléj obszerny życiorys Antoniego Alberta Jaxy Marcinkowskiego, który dał się poznać pismami swemi pod imieniem Antoniego Nowosielskiego; wspomnienie Spirydyona Ostaszewskiego, tego szczerego syna Ukrainy, autora *Piu kopy kazok*, o których w swoim czasie daliśmy obszerne sprawozdanie: szczeryto syn Ukrainy, dzielnie i koniem toczy i szablą macha, na rękę iść z nim niebezpiecznie bo podkowy łamie. On gdyby huknął: „héj kozacze w imia Boha!" toby zadzwoniły szyby w nielada dworcu, a przez pola przeleciałby ten głos daléj niż wystrzał z rusznicy: probował on i wojaczki, ale to było dawno. Dzielne, uschłe w bezczynności serce pociesza teraz to pieśnią, to bajką, które dla zabicia czasu sobie i drugim po swojemu śpiewa i opowiada. Skazki jego utworu, w jego deklamacyi nabierają prawdziwéj wartości; ależ deklamacya, w któréj nietylko głos, ale cała jego postawa, twarz

oczy, brwi, a nawet zawiesiste wąsy są w ruchu. Cała dusza odbija się w jego fizyonomii. Groza skazkę S. Ostaszewskiego o staroście Kaniowskim po rusku ogłoszoną, w wiernym dosłownym przekładzie załącza, jako wywdzięczenie, że jego powieść o Martynie, Ostaszewski przetłumaczył i ogłosił w ruskiém narzeczu.

Warte odczytania są przywiedzione mowy przy pogrzebie jednego pana, oraz przy ślubie. Mamy tu i trzy nekrologi: Leona Uszczapowskiego doktora filozofii i medycyny, Sylwestra Grozy (który był drukowany w Bibliotece Warsz.) i Ignacego Jagiełły. W tym ostatnim wyczytujemy, że zostawił przekład dziejów Rzymskich Liwiusza wszystkich ksiąg, jakie do naszych czasów doszły: rękopism, zasługujący na ogłoszenie drukiem. Głośna firma Zawadzkiego, zyskałaby prawdziwą zasługę, gdyby podjęła ten nakład. W dzisiejszym stanie literatury naszéj i powiększonym kole czytelników dzieł poważnych, może być pewną, że nie straci na tém wydawnictwie, jakkolwiek tak rychło jak powieści nie rozprzeda nakładu.

Nie możemy pominąć tutaj wydatnéj postaci p. Wilhelma Czechowskiego mieszkańca kijowskiego pod Kiryłowskim monasterem, którą nam dał Groza.

„Nie dojeżdżając do monasteru, na prawo jest stary domek z zabudowaniami gospodarskiemi także staremi, sadem, który niewielką przestrzeń zajmuje; czarny pies zaczął szczekać, naprzeciw nas wyszedł mężczyzna średniego wzrostu, blondyn, i zaprosił do środka. Był to p. Wilhelm Czechowski, który przestając na małém, żyje na ustroniu całkiem poświęcając się gospodarce. Gospodarstwo jego niewielkie, składa się z sianożęci leżącéj nad Dnieprem, kilkunastu dziesięcin ziemi, którą najstaranniéj uprawia, z chowu kilku szwajcarskich krów i kóz angorskich, nareszcie z ogrodu warzywnego i sadu. Ożenił się z osobą starannie wychowaną, ale takich samych jak on usposobień. Utrzymują się z ciągłéj ciężkiéj pracy, przestając na najskromniejszych dochodach. P. Czechowskiemu, ani topor ani kosa nie są obce: ma parobków ale i sam w potrzebie umié sobie wystarczyć. W naszych czasach, w których jest powszechne dążenie do zbytku i miękkiego życia, do szukania sobie jak najłatwiejszych a razem najobfitszych korzyści, nie uważając na drogi któremi się do nich dochodzi, taki człowiek ciekawém, a razem wielce miłém zjawiskiem. P. Czechowski ukoń-

czył nauki w uniwersytecie św. Włodzimierza, chodził na wydział literacki, a wodząc swój pług wyśpiewał poemat Hanka w ruskiém narzeczu, jakiego nasz lud używa (wyszedł z druku w Kijowie 1852 r.). Pokazywał mi swoje gospodarstwo: za drogą na otwartym placu, leżało dość zwiezionego drzewa. „Tu, mówił, pobuduję wygodniejszy domek, dobiorę sobie trzech cieśli, ani się spostrzegą jak czysta chatka wyrośnie: niechno przyjdzie święta wiosna, zaraz się wezmę do topora. Przy herbacie rozmawialiśmy o literaturze, którą zna dobrze Czechowski: zasila się różnemi książkami z uniwersytetu. To rolnik, wieśniak nowszych czasów; czuły, religijny, oświecony, patrzy na ludzi, czasy i rzeczy okiem prawdziwego filozofa."

Poprzestajem na tych ustępach z *Mozajki kontraktowéj*, bo chciawszy zajmujące szczegóły udzielić czytelnikom naszym, musielibyśmy zbyt mnożyć wypisy. To cośmy podali, już dostateczną będzie rękojmią wartości téj nie obszernych rozmiarów książki A. Grozy. Pamiętnik ten, jak go właściwie nazwał autor, podaje nam wiele zasobów do obrazu bieżącéj literatury polskiéj, i z tego względu, jakeśmy już rzekli, ma łączność z *Dwiema konwersacyami* J. Chodźki. Wobu czytamy po raz piérwszy ważne wiadomości, które nie obojętne będą dla tego, co podejmie pracę w skreślaniu dziejów literatury naszéj od r. 1830. Groza dał wiele już życiorysów, już wspomnień o żyjących pisarzach, niemało i o sobie podał zajmujących szczegółów. Nie możemy posądzać zacnego autora, że to zrobił dla chwalby własnéj, z próżności: prostota opowieści, szczerość rzetelna, cechuje cały pamiętnik. Odkrył w nim A. Groza te uczucia prawe, szlachetne, które cechowały jego pisma, które cechują jego charakter. Opisuje z całą prostotą, jakby opowiadał wędrówkę swoję w gronie prawdziwych przyjaciół, z tém serdeczném wylaniem, z całą swobodą, jaką się uczuwa w obec serc życzliwych i kochających.

Dzień po dniu mamy sumienne sprawozdanie téj podróży, miejsc i osób, które spotyka na drodze i w samym Kijowie. Wiąże z niemi swoje wspomnienia lat dziecinnych i szkolnych, to z zawodu swego literackiego. A nigdzie śladu przechwałki, nigdzie złośliwości, lub chęci poniżenia drugiego, aby siebie wywyższyć i podnieść nad innych. Owszem z wielkiém współczuciem mówi o każdym z pracowników na niwie literackiéj; jeżeli ostrzejsze zdanie usłyszy o którym z naszych literatów, to je wiernie zapisze, nie zatai, ale zaraz łagodzi swojém, którém albo

protestuje, lub ostrość tę przytępia. Słowem, w całém tém piśmie powiewa mila prostota, szczerość prawdziwie ujmująca, co mu nadaje wdzięk nieporównany.

Są tu małe uchybienia pod względem języka, ale są to raczéj narowy prowincyonalne. Z jedném zdaniem A. Grozy, na żaden sposób zgodzić się nie możemy. Opisując rozmowę u podkomorzego D. wprowadza jakiegoś szarmanta, ale bywalca, a jak się każe domyślać autor, warszawskiego dandysa, który pytał, czém się to dzieje, że obywatele wołyńscy i podolscy jak przyjadą do Warszawy dziegciem trącą? Jakkolwiek odpowiedział mu p. podkomorzy ostrą przymówką o mazurach, że jak szczenięta ślepo się rodzą: obok tego w gniewie na Warszawiaków wyrzekł, że w téj stolicy Polski wierzą temu, co ów szarmant powiedział, a nadto że uwierzyliby temu, że język tatarski jest zwyczajną mową szlachty w dworach tamtych okolic. Nie wspomnielibyśmy tego, gdyby autor, który znać powinien kraj swój, sam nie zatwierdził tak dziwacznego sądu. Spodziewamy się, że p. Groza, poznawszy lepiéj za bytności swojéj Warszawę i Warszawiaków, wybryk ten złego humoru p. podkomorzego, w następném wydaniu *Mozajki kontraktowéj* wypuści, i popierać go daléj nie będzie.

K. Wł. Wójcicki.

Kwiaty i poezye. Wykonał własnym nakładem Maxymilian Fajans. W Warszawie. 1858 *r.. W* 8*ce. Kart* 18 *nieliczbowanych.*

Nie mieliśmy jeszcze książki z takim przepychem i wytworem wydanéj jak niniejsza, staraniem M. Fajansa. Kwiaty, z całą barwą ułudną świeżości, zdobią obok poezye pierwszych talentów poetyckich: jak Deotymy, Ilnickiéj, Mickiewicza, Odyńca, Pola, Pruszakowéj, Syrokomli, Wolskiego i B. Zaleskiego. Włączono tu tylko dwa znane utwory Mickiewicza, i B. Zaleskiego: resztę czytamy po raz piérwszy w tym zbiorze. Z kwiatów mamy tu następne, z wyjaśnieniem ich godła. 1) *Śnieżyca*, nadzieja. 2) *Pierwiosnek*, niewinność. 3) *Fijołek*, skromność. 4) *Dzwonek*, modlitwa. 5) *Konwalia*, pokora. 6) *Głóg*, radość. 7) *Róża*, miłość. 8) *Wiciokrzew*, stałość. 9) *Go-*

ździk, urok. 10) *Powój*, nieśmiałość. 11) *Fuksya*, wykwintność. 12) *Bratek*, rozmyślanie. 13) *Niezapominajka*, przypomnienie. 14) *Ostrokrzew*, przyjaźń. Kwiaty te kolorami odbite, text złotem. Oprócz poezyi do każdego kwiatu, czytamy tu *wstęp: Mowę kwiatów* W. Pola, a w końcu, *Zaklęty ogród* A. E. Odyńca. Dla poznania choć w części wartości strony poetycznéj téj pięknéj publikacyi, przywiedziem tu kilka z krótszych utworów.

I.

WICIOKRZEW *(Stałość).*

Skromne twe barwy, kwiatku ubogi,
Za czczym poklaskiem nie gonią;
Lecz gdy oplecisz domowe progi,
Miłą czarujesz je wonią.

Szczęśliwy! komu w doli nieznanéj,
Wdzięcznie oplata dokoła
Zielonym wieńcem, domowe ściany,
Ręka cichego anioła!

Seweryna z Ż. Pruszakowa.

II.

BRATEK *(Rozmyślanie).*

Dotąd o bratku! w ciszy ogrodów
Kwitniesz samotny, kwitniesz nieśmiały:
Lecz i dla ciebie błyśnie dzień chwały,
Ty będziesz kiedyś godłem narodów!
Gdy już nie będzie dla wszystkich ludzi
Innego miana, prócz nazwy brata:
Wiosna równości w sercach się zbudzi,
I wieniec z bratków, zwieńczy skroń świata.

Deotyma.

III.

OSTROKRZEW *(Przyjaźń).*

Kwiatku pamięci! dlaczegoś wszystek
Taki cierpisty, taki kolczaty?
Zbrojny cierniami każdy twój listek,
Krwawe jagody, krwawe masz kwiaty....

Bo ty wyrażasz ów związek wielki,
Ręka do ręki, łono do łona:
Bo cóż jest przyjaźń? bratnia obrona
Aż do ostatniéj krwawéj kropelki.
Takiéj przyjaźni nic nie rozdzieli,
Czy zła, czy dobra nastanie doba;
Gdy nam wesoło, bądźmy weseli,
Gdy mamy cierpieć, to cierpmy oba.
U nas potomków starych rycerzy,
Biada, gdzie taka iskra nie gore,
Biada, kto w taką przyjaźń nie wierzy,
Gdzie piersi w piersiach mają podporę.

Władysław Syrokomla.

CZAS, DODATEK MIESIĘCZNY. Tom VII za miesiąc lipiec r. b. obejmuje: 1) Pojedynki przez Maurycego hr. Dzieduszyckiego. 2) Anglia i Anglicy w wieku XVIII przez Michała Słomczewskiego. 3) Uwagi o kwestyi włościańskiéj (z powodu broszury Seweryna hr. Uruskiego: „Wola i niewola w pracy.) przez Henryka hr. Wodzickiego. 4) Zapiski ornitologiczne (ciąg trzeci) przez Kazimierza hr. Wodzickiego. 5) Ułamki głagolickie pragskie, przez Henryka Sucheckiego. 6) O sztukach pięknych, przez Antoniego Oleszczyńskiego. 7) Marek Jakimowski, duma historyczna przez Alexandra Grozę. 8) Przegląd piśmiennictwa, przez Lucyana Siemińskiego. 9) Kronika. 10) Gazetka literacka.

W obszernéj rozprawie swojéj M. Dzieduszycki, dawszy przegląd historyczny pojedynków, tak z dziejów starożytnych jak wieków średnich, i doprowadziwszy do ostatnich czasów, zapatruje się na ten zabytek barbarzyństwa ze stanowiska chrześciańskiego, i wymownie przeciw pojedynkom powstaje. Ciekawe są ustępy, w których podaje nam rys historyczny pojedynków w Polsce. M. Słomczewski, w obrazku Anglii i Anglików w XVIII wieku, starał się uchwycić główne rysy charakteru tego narodu i jego mieszkańców; w zupełności wszakże nie wyczerpał swego przedmiotu, tak dobitnie, jak to czytaliśmy w korrespondencyi z Paryża (Gaz. War. nr. 218), w któréj, wybornie najgłówniejsze cechy pochwycone zostały. Henryk hr. Wodzicki rozbierając broszurę hr. Uruskiego: *Wola i niewola w pracy*,

prostując błędne nieraz stanowisko autora i pogląd, rzuca bardzo trafne uwagi w tym przedmiocie. *Zapiski ornitologiczne* K. Wodzickiego obejmujące dalszy ciąg spostrzeżeń o *bocianie*, zawsze się odznaczają wielce zajmującą treścią i urokiem stylu. Jeżeli autor w tym sposobie napisze historyą naturalną krajową, dzieło jego na równi z najlepszemi powieściami znajdzie pokup i upowszechnienie. List z Pragi Czeskiéj Henryka Sucheckiego professora języka i piśmiennictwa polskiego na wszechnicy w Pradze, obejmuje dokładny opis bibliograficzny zabytków języka słowiańskiego p. n. „*Ułamki głagolickie pragskie.*" Dnia 14 listopada 1855 r. w książnicy kapituły metropolitalnéj w Pradze, professor uniwersytetu K. A. Höfler znalazł je, a Szafarzyk, który je odczytał i rozebrał odnosi je do drugiéj połowy IX lub piérwszéj X stulecia. Pomniki te dla swéj starożytności zadziwiające, ważne są dla dziejów kościoła słowiańskiego u plemion północno-zachodnich, a najważniejsze dla poznania pisma i mowy słowiańskiéj w czasach pierwotnéj oświaty chrześciańskiéj. Pomniki te znalazł profes. Höfler na okładkach kodexu pargaminowego, jak się zdaje z XII wieku, zawierającego przekład Apokalipsy, dziejów apostolskich, listów św. Pawła i t. p.; prof. Suchecki, zdając sprawę o nich, wykazuje ślady w nich naszego języka, a zapowiadając obszerniejszą w tym przedmiocie rozprawę, kończy temi słowy: „Jak bądź sprawa się rozstrzygnie, zawsze pono ważny udział nam przypadnie: „w sławie z utworzenia tych sędziwych zabytków językowych," a dzieje piśmiennictwa polskiego bez umieszczenia na czele oceny ułamków głagolickich i pragskich odtąd pisać się nie będą, jakoż już poświęciłem ich rozświeceniu językowemu parę godzin na wszechnicy tutejszéj (w Pradze)." Oczekiwać więc musimy bliższych i dokładniejszych wyjaśnień, które nam widomie pokażą, czy będziem mieli prawo wciągnąć je „do dziejów piśmiennictwa polskiego."

List Antoniego Oleszczyńskiego do Ambrożego Grabowskiego, obejmujący zakres I śladów istnienia sztuk pięknych w Polsce od najdawniejszych czasów do Grzegorza z Sanoka 1451 r., nic nas w téj mierze nowego nie nauczył: wskazał nam tylko w samym autorze, że jako znakomity artysta, poświęca się badaniom swéj sztuki i na polu historycznem, a tém samém daje budujący wzór dla naszych artystów, potrzeby nauki, na któréj prawie wszystkim zbywa. Młodzi artyści nasi starają się

o polor salonowy, ale stronią od nauki jak od zarazy: już do wykształconych liczy się taki, co przecie czytał powieści znakomitsze i utwory poetyczne. Ale o głębszych studyach historycznych, o poznaniu przeszłości téj, z któréj obrazy tak zwani historyczni malarze nam dają, najmniejszego nie mają wyobrażenia. Talentem chcą zastąpić naukę, ale to się nie udaje, i ztąd widzimy, że tego rodzaju obrazy nie umieją przemówić do duszy naszéj. Wyjątek prawie jedyny zrobić możemy głębiéj studyujących i znających dzieje ojczyste z pp. Alexandra Lessera i Wincentego Smokowskiego. Antoni Oleszczyński ciekawy podaje nam wypis z księgi rachunków Jana Firleja podskarbiego W. koronnego, r. 1590, znajdującéj się niegdyś w bibliotece Towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie, o muzykach nadwornych Zygmunta III.

„Sześciu chłopców kantorów, ze strawném złp. 1. Organistów sześciu: Tomasz Kicher, Bauman, Sowa, Kurowski, Fantazio, każdy strawnego na tydzień po złp. 2, i zasług rocznych złp. 100. Kantorów trzynastu: Żegota, ks. Grzegorz, Krzysztof Głowacki, Leszczyński, Piątkowski, Iłża, Ramult, Wieliczka, Abrek, Nadolski, Bacho, Vadensis, Kołowski, każdy strawnego złp. 1 gro. 10 na tydzień, zasług rocznych złp. 40. Lutniści Diomedes Kato, Kos, Sielecki, każdy strawnego złp. 6 na tydzień, i zasług rocznych złp. 300. Trębacze: Kołakowski, Miłowański, Istwan, Maylat, Szreter, Lech, każdy strawnego na tydzień złp. 1. Bębenista Mateusz brał strawnego na tydzień gro. 10, i płacy rocznéj złp. 40".

„Z innych zaś źródeł (dodaje A. Oleszczyński) mam wiadomość o Adesie śpiewaku, o Pacellim rządzcy królewskiéj muzyki, o skrzypku Niderlandzie, Tobiaszu z Sandomierza, Adamie Warka, daléj o Szymonie z Piątka wikaryuszu kościoła katedralnego w Krakowie, słynnym biegłością w muzyce, a do tego i donośnym oraz przyjemnym głosem: onto do ślubu Anny arcyksiężniczki austryackiéj ułożył śpiew i takowy wykonał."

Alexandra Grozy duma historyczna: „*Marek Jakimowski*" jest to poemat szerokich rozmiarów. Treścią, znany wypadek oswobodzenia więźni chrześciańskich, przez tego mężnego wojownika, i poślubienie jednéj z branek w Rzymie za błogosławieństwem Ojca Świętego. Z tego utworu przywiedziem tu jeden ustęp, dumę:

Perepiat i Perepiatycha.

Puszczę gołębia, niech leci po niebie,
Nie trzymam pieśni na uwięzi ciebie!
Pobuja gołąb' i na dachu siada
A pieśń za sercem na ziemię upada,
Na ziemię płaczu, na stepową—wichę,
Na Perepiat mogiłę i Perepiatychę.

* * *

Zaledwie drugi kogut zaśpiewa,
Młoda kniahynia z pościeli się zrywa,
Woła do siebie wróżbita starego,
I tak szlochając przemawia do niego:
„Ojcze wróżbicie, piąty miesiąc minął,
A już o naszych i słuch nawet zginął,
A mnie się ogień i pszczoły przyśniły,
I dwie na polu wysokie mogiły"!

— „O córko! ogień—to wieść niespodziana,
Pszczoły łzy, a mogila zrana
To wielka sława: Perepiatę swego
Powitasz płacząc z serca radosnego".
Zaledwie wróżbit co wiedział powiedział,
Aż ci ów strażnik, co na straży siedział
Wpada i woła: „O! kniahyni biała,
Wieść po mogiłach do mnie przyleciała
Że wielkie wojsko okowane w stali,
Szlakiem twojego Perepiaty wali!
Nim człek żelazny na karku nam stanie
Zabieżmy jemu drogę niespodzianie".
Kniahynia drobne ręce załamała:
„O czarna moja dolo! zawołała,
Ot! jakie miody pszczoły mi przyniosły,
Ot! jakie wieści z ognia mi urosły!
Konia! hej konia! na wrogi kto żywy".

—„ O córko moja, rzecze wróżbit siwy,
Rób, jak robili twój mąż i ojcowie.
Nim ruszysz, słuchaj, co ci wróżbit powie:
Wyrzucę strzały, wywiodę białego (*)
Zapytam lotu i krzyku ptasiego,
Gwiazd się poradzę, przepatrzę jelita".

—„Co mi po wróżbach, gdy dusza ubita,
Po jego trupie oni się wyrwali,
Hej! konia! konia! daléj! za mną daléj".

(*) Biały koń, chowany pilnie przez słowiańskich wrożbitów do wróżb.

Pomiędzy jary, pomiędzy czahary,
Śpieszy przewódzca—stepowy wilk szary.
Za nim kniahynia wiedzie swoje szyki.
Jak pszczoły w żądła, uzbrojone w piki
I w strzały, co tam brzęczą im w kołczanie,
I w łuk, co serca każdego dostanie,
I w młot kamienny, co mu nie dotrzyma
Ni kuty pancerz, ani pierś olbrzyma.

Przełeci jasna gwiazda przez niebiosa,
Jak świat ognista pociągnie się kosa:
To miotła kary! to zły Bóg ze świata,
Wymiata pokój, życie nią wymiata.
Jakby chcąc ulżyć strapionemu oku,
Utopi tuman miotłę w pomroku,
Utopi niebo i ziemię utopi;
A wilk przewodnik drogę swoją tropi,
Przez jary, chaszcze, na step się dobywa...
Czegoż step wrzawą taką się odzywa?
Czyto żórawi stado co napada
Na zagon prosa? i z krzykiem obiada?
Czy stado gęsi z noclegu spłoszonych?
O! to gwar taki wrogów przebudzonych.
Gdzieniegdzie z ognisk błyska płomień mały,
Już i ogniska poczuły dzień biały.
Jedno ognisko bucha światłem szerzéj,
A przy niém kilku wojowników leży;
Lecz jak bezpiecznych! Rzucili na stronie
Swoje z żelaza ukowane bronie
Jak gdyby w domu, jak gdyby w pokoju;
I wojsko jakby nie myśląc o boju,
Nigdzie czat, nigdzie nie rozstawi straży...
Snać dłoń niewieścią lekko sobie waży?

O matko ziemio! niedość, że oraczem
Rosim się potem: że zlewamy płaczem,
Kiedy bez czasu kopiem grób przy grobie..
Niedość krew naszą leje wróg po tobie,
A za cóż jeszcze rozlewamy sami?
Stepy twojemi poorzesz wichrami,
Odwieczne puszcze ścielesz, wyłamujesz,
Za cóż tumanów tych nie rozdmuchujesz?
Bóg zbudzi słońce i na świat wysyła,
A tyś go twemi tumany nakryła.
Z ciebie noc dzienna, i błąd co z nią leci;
O matko ziemio! nie kochasz swych dzieci,
Rzymskiemu orłu małoż jeszcze chwały,
I złota jakie świat przynosił cały:

On jeszcze w nasze zapędzał się pola,
Po wełnę twardą, jak ta nasza dola,
Ziarno co daje chleb czarny jak rola:
Nie naszéj wełny, nie naszego chleba,
Ale nas samych było mu potrzeba:
Byśmy krew naszą za niego toczyli,
I tryumfalne wozy mu wozili.
Bóg nas zjednoczył, a on nas rozrywa,
Wały po kościach ojców przekopywa;
Bóg nas zasłonił swojemi górami,
Gdzie się rozbija wiater z obłokami,
I puścił Dunaj głęboki, szeroki:
On przebył Dunaj, wyminął obłoki,
I już na nasze karki jarzmo wkłada.
Lecz duch słowiański do dusz nam zagada,
I krew słowiańska do serc nam uderzy:
Ej! orle rzymski, nie takich puklerzy,
Nie takich hełmów, nie takich rycerzy
Do takiéj wojny potrzeba ci było!
Gdyby twe serce po staremu biło,
Twój złoty orzeł królowałby daléj
Z mieczem stalowym; bez hełmu ze stali
I bez puklerza, co jak marne brzemię,
Z trzaskiem zaległy, krwią oblaną ziemię.
Ponad Dunajem głębokiém, szerokiém,
Zielony step się zaścielił obłokiem:
O! nie obłokiem, to słowiańskie roje,
Zlecą się uczcić wojowniki swoje,
Co od gór wierniéj, wierniéj od Dunaju,
Po ojczystego pilnowali kraju:
I mężną piersią za górskie opoki,
I za ten Dunaj stanęli głęboki
Aż wróg tę ziemię co kopyty tłoczył,
Czołem swém nakrył, i krwią swoją zbroczył.
Siedm dni będą i pieśni i gody:
Ale kniaź sławy Perepiata młody,
Jak młody orzeł, gdy mu z ciepłą wiosną
Lotowe pióra do lotu odrosną,
Choć niedorosną, to on wstrząsa niemi,
I już szykuje ku słońcu od ziemi.
Perepiat chociaż i święta pieśń sławy,
Choć miłe w polu zwycięzkim zabawy:
Do swego słońca, śpieszy do swéj żony,
Niosąc na sobie sławy swojéj plony:
Bogatą zbroję, co zbroiła wrogi,
Nim ją zwycięzcom rzucili pod nogi.
Perepiat wieści, by przodem leciała
Nie posłał, bo on sam leciał jak strzała!

Już step ostatni, ostatnia noc znoju
Po niéj dzień jasny, sławy i pokoju,
Wspólnéj radości, co ściany domowe
I wstrząsa ojców kamienie grobowe.

Nie siejem ciebie siejąc nasze pola
Niedolo! za cóż pełna ciebie rola?
Nie sadzim ciebie w ogrodzie na grzędzie
Niedolo! za cóś pełno ciebie wszędzie;
Pod szczęście nasze grunta uprawiamy
A twój kłos czarny na żniwo zbieramy.
Na coś kniahyni przerwała sen błogi?
Na coś w jéj sercu rozbudziła trwogi?
Na coś z fałszywą wieścią przyleciała?
Tumany z nieba całego nagnała?
Klaszcz w dłonie, śmiéj się swém śmiechem szaloném,
A nam, nad naszém słońcem zagaszoném
I nad księżycem jego, co spadł z nieba,
Z żalu nie płakać, a umierać trzeba.
Cicho po niebie chmura się przesunie,
Aż znajdzie miejsce i piorunem runie;
Tak i kniahynia: o czemuż w téj dobie
Ziemia nie pękła, nie skryła się w grobie?
Czemu nie uschła ręka? czemuż oczy
Śmierć nie zgasiła, a tuman zamroczy....
Młody Perepiat, dla którego chwały
Świat się zdawało, że będzie zamały,
Z rówiennikami i męztwa i boju,
Na własnéj ziemi już usnął w pokoju:
Zakołysała go na sen spokojny
Kochana ręka, dzwoniąc mieczem wojny.
Z mogił do mogił ogień wieści leci
I wywołuje wspólnéj matki dzieci.
Od Bohu, Dniestru, po brzegi Prypeci:
Stary Dniepr czeka z grobowemi gody,
Na świętą tryznę, u swéj świętéj wody.
Daremnie czeka: Perepiat syn sławy,
Grób znajdzie w stepie, zaszumią mu trawy.
Młoda kniahynia oczom swoim rzekła:
„Nie płaczcie oczy, i łza z nich nie ciekła:
„Nie pękaj serce, i nie ból mi głowo!
„Słuchajcie usta". Posłuszne jéj woli,
Nie pęka serce i głowa nie boli,
I usta mówią mędrze i poważnie,
A lud rozkazy wypełnia uważnie.
Tu i tam tłumy przychodzą, odchodzą,
A z lasów wielkich co Rośkę ogrodzą,
I ze skał jakie brzeg Rosi obsiędą,

Wyciągną dęby, kamienie dobędą:
I ciągną, wloką, kamienie i kłody,
Młodemu Ładzie do jego gospody.
Piersi przebite, zlane krwią czerwoną
Drogich paciorek—przystroją zasłoną:
Czoło zranione przepaską okryją
Drogich kamieni, z których ognie biją:
Na obie ręce złote kolca włożą,
Pięści orlemi szponami nasrożą.
Po prawéj stronie z koni najdzielniejszy,
Po lewéj stronie z chartów najlotniejszy:
Łuk pod nogami, a pod głową strzały
A na dokoła towarzysze chwały
Jak pilnowali, jak razem zginęli
W dębowych trumnach przy kniaziu stanęli.
Ściana z tak wielkich głazów podźwigniona,
Ściel z tak niezmiernych dębów ułożona,
Czas zgryzie zęby a ich nie pokona,
A ponad murem na dębowéj ścieli
Wiekowi starcy do koła stanęli,
I pouczali pokolenie nowe,
Jak się to sypią mogiły wiekowe.
Z starą nauką młoda praca rosła,
Aż się mogiła nad stepem podniosła
Taka wysoka i taka wspaniała,
Jak tego, co w niéj odpoczywa, chwała.
Kniahynia z ludem dzień i noc pracuje,
Aż skończy dzieło: na szczyt występuje
I woła: „Mężu! mój Ładо, mój panie!
Niech twój zabójca weźmie pokaranie,
Słuchajcie wiatry, wy ptaki słuchajcie!
I słowa moje jak świat rozgłaszajcie:
Niechaj kamienie cośmy tu składali,
Niechaj ta ziemia, cośmy tu sypali,
Spadną na głowę temu, co je ruszy,
I legną ziemią kamieniem na duszy:
A teraz ręko coś mi nie zadrżała,
Gdyś z tém żelazem na nich napadała!
Uderz w me serce i udarem swoim,
Z duszą méj duszy, złącz mnie z Ładą moim".
I piersi białe żelazem przeszyje.
Lud pod mogiłą z boleści zawyje,
Zapłacze, płaczem gorącym, ulewnym.
„Wspaniała brzozo! twém czołem powiewném
Gdzie było lubo słońcu i ptaszkowi
Idziesz na pastwę ziemi robakowi!
Książęca chwało! ulatujesz w dymie!
O nie! jak twego Perepiaty imie:

I twoje równie na niebie z gwiazdami,
A tu wiekować będzie z mogiłami.
Na twéj mogile posiana twa sława,
Co rok odrośnie jak ta bujna trawa...
Co rok przylecą najlotniejsze ptaki
I ją rozniosą w świat na cztery szlaki".
Schylone słońce w jesień zastępuje;
Z dwóch stron dwa orły ku sobie zlatuje:
Orzeł od wschodu, orlica z zachodu.
Orlica siada gdzie Perepiatycha,
Na Perepiacie orzeł siada zcicha:
I milcząc siedzą.. Zawita zornica,
Zaczyna płakać i jęczéć orlica,
I jęczy żalem takim żałośliwym,
I płacze płaczem tak bardzo rzewliwym,
Aż z nią zapłaczą, zajęczą pospołu,
I duchy mogił synowie padołu,
I duchy nieba, co świecą gwiazdami!
Niebo i ziemia zaścieli się mgłami,
Łzy deszcz wyleją: ze mgły opłukany,
Gore we słońcu piękny świat zaranny;
Orlica skrzydła otrzepuje z rosy...
A wtém napełni ostry głos niebiosy,
I szum zaszumi, i z bratniéj mogiły
Przyleci orzeł, gość orlicy miły,
Jak on, jak ona szczęśliwa, wesoła.
Takiego szczęścia pomieścić nie zdoła
Ta ziemia, ledwo niebo go otoczy
I dzieci nieba ku słońcu swe oczy,
I swe ku słońcu loty obrócili;
I znikli w słońcu, by w niém wiecznie żyli.

Wybraliśmy ten ustęp z obszernego poematu dlatego, że w nim Groza wiele dochował barwy miejscowéj, ukraińskiéj. Czuć tu nieraz zwrot myśli ludowéj, i wczytanie się zarazem w pomniki najdawniejszéj poezyi słowiańskiéj. (1) Mogiły te, z polecenia komissyi archeologicznéj kijowskiéj, rozkopane zostały: i z podziwieniem znaleziono, że nie były nasypem ziemi zupełnym, ale wydęte, z próżnią wewnątrz, jakby tylko sklepienia nad ziemią, z ziemi usypane, a wewnątrz zostały ślady podpór tych sklepień, już przez czas zniszczone. P. Piotr Pruszyński,

(1) Alexander Groza przygotował nowe wydanie zbioru swoich poezyj. Czytaliśmy w nim wiele nowych utworów pięknych, godnych rozpowszechnienia.

który osobiście się zajmował tém rozkopywaniem mogił Perepiaty i Perepiatychy, przyrzekł nam szczegółowe sprawozdanie i te wkrótce naszym czytelnikom udzielimy.

L. Siemiński *w przeglądzie piśmiennictwa* opisuje swoję wycieczkę w okolice Krakowa, do Zabieżowskiéj doliny i skały Kmity, na któréj ktoś sfałszował z pisownią niby XVIgo wieku napis, powtarzany już nieraz w pismach naszych, a mający uwiecznić miłość Kmity i Bonarównéj. Fałszerstwo to dostało się nawet, jak wyraża Siemieński i do zbioru legend krakowskich drukowanych w Gazecie Warszawskiéj. Kończy swój przegląd rozbiorem najnowszéj pracy Ignacego Chodźki: „Dwie konwersacye," o któréj już dawniéj podaliśmy w tém piśmie nasze sprawozdanie.

KORRESPONDENCYE.

Z Nowegotargu.

Nowytarg, jak wiécie, jest owém tajemniczém pierścieniem, który zamyka cały łańcuch tatrzańskich piękności. Dwa razy go zwiedzałem i za dług sobie uważam, przesłać wam ztąd moję notatkę.

Nowytarg, stolica i jarmarczne mrowisko tatrzańskich górali, wdzięcznie króluje uroczéj nowotatarskiéj dolinie, rozrzuciwszy dość liczną gromadę drewnianych po większéj części domów w kwitnącą płaszczyznę, roztoczoną nad zlewającemi się tu wodami Białego i Czarnego Dunajca. Zdala wita cię doń okazała wieża tutejszéj fary, któréj wnętrze przedstawia ołtarze siedmiu cechów rzemieślniczych, zdobne w obrazy samorodnego nowotargskiego artysty, Tomasza Nanke. Poza rzeką, na wzgórzu, wznosi się starożytny, modrzewiowy kościołek świętéj Anny, wystawiony jeszcze 1219 roku, i według słów legendy jestto błagalna ofiara pokutujących zbójców. Należąc do południowéj części województwa krakowskiego, jako punkt handlowy na trakcie do Węgier, niemniéj też w dziejach górnictwa krajowego, Nowytarg w upłynionych wiekach, niepoślednią odegrał rolę; ostatni zaś tutejszy starosta, podstoli krakowski Rychter, chlubny stanowi wyjątek z téj osławionéj tradycyi zniszczenia i ucisku, jaką opinia powszechna napiętnowała większość zeszłowiecznych starostów.

I dziś Nowytarg pozostał wiernym świadectwu minionych wieków i w położeniu jego na tatrzańskiém podnóżu, ziemia zbyt skąpym rolnika obdarza plonem: przybył więc w pomoc handel. Z gór północnych Węgier, z Zakopańskich zakładów, wydobywyją rocznie do półtora miliona centnarów

żelaza, którego wyborność stryjskiemu się prawie równa: Nowytarg więc jest głównem ogniskiem tranzytowego handlu, którymto żelazo do Morawii i Prus przechodzi.

Otóż w tym cichym, ustronnym Nowymtargu, przytulonym do karpackiego przedmurza, nad wszelkie spodziewanie spędziłem kilka prawdziwie miłych chwil, które mi na zawsze lubą pozostaną pamiątką. Zawdzięczam je życzliwemu pośrednictwu zacnego naszego J. Kremera. Poznałem tu p. Ludwika Kamińskiego, człowieka wyższych usposobień i szczerego w piśmiennictwie krajowém zamiłowania. Był czas, gdy Kamiński z całym młodzieńczym zapałem gotował się do literackiego zawodu, wiele pracował, wiele czytał, wiele zebrał materyałów, aż rozbiła się i nad jego głową burza galicyjskich nieszczęść i ciężkiemi dotknęła go straty. Skołatany ojciec rodziny zmuszony był przerzucić się na handlowe pole, które zaprzątnęło wszystkie jego chwile. Nie ostygło w nim jednak zamiłowanie naukowości, i ktokolwiek z rodaków zamierzy puścić się w cudne nasze Tatry, radzę mu skrzepić ducha w Nowymtargu doświadczeniem p. Ludwika.

Owszem kilkoletniéj jego pracy i mozolnych poszukiwań była *Kronika Nowegotargu*, arcyważna dla całéj nowatorskiéj doliny i dla górskiego ludu. Rękopism ten, za pośrednictwem Wincentego Pola miał być przed trzema laty przesłany do Warszawy Alexandrowi hr. Przezdzieckiemu. Dotąd o obrocie téj pracy żadnéj nie ma wiadomości, a gdy dochód z tego dzieła przeznaczony był na kościół Śtéj Katarzyny w Krakowie, i gdy manuskrypt, którym posiłkował się Kamiński, zaginął w czasie zaburzeń 1846 r.; słusznem więc uważam za pośrednictwem Biblioteki Warszawskiéj podnieść głos, by wydobyć z zapomnienia lub ukrycia sumienną pracę zacnego skromnego rodaka.

W zbiorach Ludwika Kamińskiego znalazłem także oryginał testamentu Marka Matczyńskiego, wojewody i generała ziem ruskich, z dnia 23 kwietnia 1695 r. Arcy ciekawy ten dokument obejmuje: zapisy dla Kamedułów Bielańskich, legata na dobrach Radzymin, Mińsk, Hrubieszów, na domach w Warszawie; w końcu zaś mieści nader zręcznie, pod przejrzystą formą wypowiedziane trafne rady dla książąt krwi (synów Jana III), hetmanów, jurystów etc. Chciałem odpisać obszerny ten testament, ale pan Kamiński zapewnił mnie, że już drukowany będzie w materyałach historycznych lwowskich.

Wycieczka tatrzańska głębokie, niczém nie zatarte sprawiła na mnie wrażenie. Gdy Bóg dozwoli, postaram się późniéj, wedle sił wyspowiadać się z moich wspomnień, w sercu utkwione wskrzesić obrazy.

Oskar Flatt.

Errare humanum est.

Niewypowiedzianie ucieszyła nas wiadomość, że Warszawa wystąpiła z wystawą zbiorów starożytności rozmaicie odkrytych, lub przechowanych w Polsce i na Litwie. Wydawca przeglądu téj u nas nowości uczenie, cho-

ciaż nazbyt krótko ogłosiwszy swoje opisy (1), położył jednak niemałą zasługę na polu badań i wykazu zabytków przeszłości; widać, że ścieśnienie dzieła nie dozwoliło mu wchodzić w szczegóły dokładniejsze, odpowiednie potrzebie nauki archeologicznéj, ważnych i zastanawiających dla ogółu mężów nad wyjaśnieniem dziejów pracujących.

Szkoda jeszcze, że nie wszędzie trafność i prawdę napotykamy. Ominiemy niektóre usterki, łatwiéj się sprostować dające każdemu, jakkolwiek z rzeczą obeznanemu; ale przepuścić nie godzi się, czy to omyłek, czy wykazów bezzasadnych, odnoszących się do przedmiotów dość już objaśnionych i za rozpoznane należycie przyjętych.

Kamienne narzędzia i części broni zaczepnéj, że się w mogiłach znajdują, niezawsze to jest rzecz z prawdą zgodna. Co do broni wszelako są wyjątki, chociaż dość rzadkie, które okazał pan Karol Rogawski (2), mąż wielce zasłużony w przedmiocie archeologicznych badań; jak równie drezdeński archeolog pan Kleman, mówiąc o odkopiskach mogił niezmiernie dawnych. Ale nigdzie nie znajduję przykładu, aby rzemieślnicze narzędzia sieczne, kamienne, tą drogą odkryte były. Zdaje się, że te ostatnie rzeczy nazbyt drogie w swym czasie być musiały, żeby je na zatratę z ciałami ludzi zmarłych poświęcano. Wszystkie i wszędzie znalezione: młoty, toporki i dłuta kamienne natrafiono na polach, albo na dnach oschłych jezior. Wbrew temu czcigodny opisywacz wystawy warszawskiéj, na str. 25, zawierzył podaniu, że w jakimś kurhanie, przy wsi Gulbinach, pod Wilnem, była znalezioną siekierka kamienna. Kurhan oznacza mogiłę, *tumulus*, z podniesieniem nad powierzchnią ziemi dość znacznóm. Ależ tego rodzaju mogił pod Gulbinami nie widać zupełnie.

W Przeglądzie wystawy warszawskiéj, str. 55 znajduję omyłkę bardzo uderzającą: opisując posążek bronzowy, w zbiorze moim będący, powiedziano, że został w jeziorze znaleziony. Aby całą rzecz o tym rzadkim posążku wyłuszczyć, przytoczę wyjątek z listu pisanego do mnie przez pana Wojciecha Jocza, b. regenta 2-go departamentu sądu głównego wileń., od którego przeszedł w moje posiadanie: „Będąc w miesiącu 9-brze, roku 1840, w majątku Plotelach do grafa Choisel należącym, bożka tego dostałem od księdza Kognowickiego, wikarego plebanii plotelskiéj, który będąc rodem z powiatu rosieńskiego, gdy był u brata swojego w roku 1836, w maju w tę porę w folwarku nazwanym Buraczki, należącym do dziedzictwa JW. marszałka Jucewicza, odległym od Kroż werst 10, parobek Bonawentura Milewski, orząc ziemię wykopał tę figurkę.” Stosownie do wszelkich oznak posążka, znawcy osądzili: że należy do boga wojny, *Kawas* zwanego u dawnych Litwinów. Jest odlany z bronzu starożytnego, rzymskiéj mieszaniny metalów. Braknie mu teraz rąk obu odtrąconych; prawéj do pół ramiania przodowego, która widocznie była podniesiona: lewéj zaś po łokieć i spuszczonéj. Z czego domyślać się wypada, że w téj trzymał tarczę, w tamtéj miecz do cięcia podniesiony; cała akcya posążka,

(1) Przegląd historyczny starożytności krajowych, z powodu wystawy urządzonéj w Warszawie w roku 1856, w pałacu JW. hr. A. Potockich. Napisał P. B. Podczaszyński. 1857. Warsz. 8-vo, stronnic 155.

(2) O wykopaliskach Leżajskich, Karol Rogawski, 1856, Kraków, 8-vo, stron. 125.

jakby do fechtowania ułożona, temu odpowiada, nie zaś mającego nogi, jakby do wiotkiego tańca ułożone, jak Przegląd ironicznie powiedział. Hełm i ubiór przypominają najdawniejsze litewskie uzbrojenie, ze skór żubrzych udzialane, które są nadzwyczaj twarde i grube. Cała figurka ma skład proporcyonalny, oblicze straszne, usta wrzeszczące, podług przymiotu wojownika nacierającego. Stoi na postumencie ośmio-bocznym próżnym wewnątrz, jak do osadzenia na drzewcu proporca, gdzie tkwił nad chorągwią bojową. Zkąd Przegląd wziął nazwanie Pokele? wyraz w całéj mitologii litewskiéj nieznany. *Kelas* droga, *Kelo-dewas*, bożek dróg, czyli podróżny. Byłci bóg *Poklus*, czyli *Pikole*, odpowiadający Plutonowi greckiéj mitologii, którego mamy wyobrażenie na chorągwi dawnych Prusów, przez kronikarzów w pamięci dochowane, zupełnie dalekie od posążka boga wojny.

W zbiorze starożytności pana Kirkora, między wyrobami z kości słoniowéj i mamutowéj, są dwie sztuki, o których co powiedziano w Przeglądzie, do sprostowania nieco należy: jedna długości cali $7\frac{1}{2}$ litew., z jaszczurką bardzo wydatnie wyrzniętą i rzeźby mocno starowiecznéj, podobno część lichtarza, w kosztowny metal, złoto, niegdyś osadzonego, ponieważ na częściach, gdzie się stykała z metalem dość wyraźnie, śniedzi znaku niéma; druga długości cali $5\frac{1}{2}$, wyraźnie część narzędzia dętego, składanego, jak klarnet, tylko dziurki w niewyrozumianym składzie i urządzeniu szczególném; osądzono, że należała do muzycznego, starowiecznego narzędzia nazywanego diapazon. Przegląd pierwszą do fletu przyrównał, a o drugiéj zamilczał, chociaż mieć musiał pod ręką odlewy obu gipsowe. Niedźwiedź niezaprzeczenie do herbu Żmudzi należy.

Osądziłem za rzecz przyzwoitą, niniejsze sprostowanie, *sine irae et odio* tu wyrazić, ponieważ w rzeczach tego rodzaju, jakiebądź błędy naprowadzają dziejopisów i badaczów naszéj przeszłości odległéj na mylne częstokroć wyobrażenia o niéj, albo tworzą niepewności.

Teodor Narbutt.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1857.

101. Broń sieczna w ogóle i w Polsce uważana archeologicznie przez Józefa Łepkowskiego członka Kommissyi Arch. Wileńskiéj. (Z 4 tablicami rycin). Kraków. Czcionkami Czasu. Osobne odbicie z Rocznika C. K. Towarzystwa Naukowego Krakowskiego. 1857. (W 8ce. Str. 94).

102. Droga do Boga. Poznań. Nakładem księgarni Kostantego Żupańskiego. 1857. (W 8ce. Str. 95. czcionkami M. Zoerna).

103. Fremdenführer in Warschau. Mit einem Plane der Stadt und 10 in Stahl gestochenen Ansichten, von F. M. Sobieszczański. Warschau. (1857. Druk i główny skład w drukarni Gazety Codziennéj). Str. 31. Kop. 45.

104. Guide de l'etranger à Varsovie, avec un plan de la ville, orné de dix vues gravées sur acier. Par F. M. Sobieszczański. Varsovie. (1857. Druk i główny skład w drukarni Gazety Codziennéj). Str. 31. Kop. 45.

105. Geografja na tle historycznem osnowana czyli Rys Geografii w połączeniu z historyą, przekład z francuzkiego. (T. Dziekońskiego).

Z godłem:

„Przedstaw mi mappę kraju, jego postać, klimat, wody, wiatry, całą jego geografją fizyczną; podaj mi jego płody naturalne, jego florę, zoologią i t. d., a obowiązuję powiedzieć ci a priori, jakim jest człowiek tego kraju, jaką rolę ten kraj odegrał w historyi, nie przypadkowo, lecz koniecznie: nie w téj tylko epoce, lecz we wszystkich: nakoniec ideę, do której reprezentowania powołany.“

V. Cousin.

W Warszawie. W drukarni Józefa Unger. 1857. (W 8ce. 4 tomy. Tom I, str. 313. T. II, str. 237. T. III, str. 422. T. IV, str. 340).

106. Kazania niedzielne, świętalne i przygodne oraz allokucye miane w Petersburgu przez ś. p. księdza Ignacego Hołowińskiego, Najprzewielebniejszego Arcybiskupa Mohylewskiego, Motropolity wszech Rzymsko-Katolickich kościołów w Cesarstwie Rossyjskiém. Wydanie pośmiertne. W Krakowie. Nakładem księgarni i wydawnictwa dzieł katolickich, naukowych i rolniczych. W drukarni Czasu. 1857. (W 8ce. Str. 694. Cena na ordynaryjnym papierze złp. 12).

107. Obrazek wiejskich rozkoszy. Żniwo dworskie przez Walerego Wielogłowskiego. Kraków, nakładem księgarni i wydawnictwa dzieł katolickich, naukowych i rolniczych. 1857. (W 18ce. Str. 94). Złp. 1 gr. 10.

108. O poznawaniu ludzi z zewnętrznych oznak, podług starożytnych i nowoczesnych pisarzy. (Z trzema tablicami rycin), oraz o obchodzeniu się z ludźmi, chroniącém nas od licznych przykrości i nieszczęść. Podług trzynastego wydania dzieła A. Barona Knigge. Przez J. N. K.

Z godłem:

„Le coeur de l'homme change le visage, et le rend bon ou mauvais. On connait une personne a la vue et en discerne à l'air du visage, l'homme de bon sens. *Eccles. XIII 2d.*

Le vetement du corps, le ris des dents, et la demarche de l'homme, font connaitre ce qu'il est. *Eccles. XIII. 31. XIX. 26.*

Le langage de la physiognomonie est tout aussi fort et persuasif, que celui de parols. *Buffon.*

Warszawa. W drukarni braci Hindemith. 1857. (W 8ce. Str. 269. Spisu VI. Trzy tablic litogr. Okładka litografowana).

109. Powieści, obrazy i zarysy oryginalne i naśladowane przez F. S. Dmochowskiego. Warszawa. W drukarni J. Jaworskiego. 1857. (W 8ce. Str. 386).

110. Przegląd historyczny starożytności krajowych z powodu wystawy urządzonéj w Warszawie w r. 1856, w pałacu JWW. hr. Aug. Potockich. Napisał Paweł Bolesław Podczaszyński, Bud. Prof. Warsz. S. Sztuk Pięknych. Odbicie z odcinków Kroniki Wiad. Kraj. i Zagranicznych. Warszawa. W drukarni Józefa Unger. 1857. (W 8ce. Str. 155). Kop. 60

111. Teka wileńska wydawana przez Jana ze Śliwina. (Adama Kirkora). Wilno. Drukiem Teofila Glücksberga. 1857. (Sześć zeszytów stanowi całość). Numer piérwszy. (W 8ce. Str. 276. Oddzielne ma jeszcze paginacye do różnych przedmiotów).

112. Trygonometrya prostolinijna i sferyczna zebrana z najznakomitszych dzieł francuzkich i wedle metod i not P. G. H. Niewęgłowskiego przez Witolda byłego ucznia wolnego szkoły politechnicznej w Paryżu. Ze trzema notami i wykładem miar i wag systematu metrycznego. Poznań. W komisie księgarni J. K. Żupańskiego. 1857. Paryż. W drukarni L. Martinet. (W 8ce. Str. 179). Rsr. 1 k. 35.

113. Wspomnienia sieroty czyli piérwsze lata powieściopisarza. Powieść Dickensa. Wolny przekład F. S. D.(mochowskiego). Tomów dwa. Warszawa. W drukarni S. Orgelbranda. 1857. (W 8ce. Tom I, str. 376. Tom II, str. 324).

DONIESIENIA LITERACKIE.

WARSZAWA.

Księgarz i typograf S. Orgelbrand wkrótce rozpocznie druk przekładu Danta Boskiéj Komedyi p. Juliana Korsaka. Wydanie to będzie wspaniałe, ozdobione piętnastą drzeworytami, przedstawiającemi wydatniejsze sceny arcydzieła włoskiéj literatury. Nakładem tegoż wyjdzie druga serya Improwizacyj i poezyj Deotymy. Nakładem tegoż księgarza wyszedł tom XI i ostatni przekładu Historyi powszechnéj Cezara Cantu. Tom ten ogromny obejmuje str. 98) i zamyka całość. Tłumacz w większéj części tego dzieła Leon Rogalski, ma obszernie traktować literaturę polską i innych plemion słowiańskich, w Dziejach narodów słowiańskich, które stanowić będą dopełnienie historyi Cantu.

— Pisma rossyjskie i pisarze rossyjscy zajmują się troskliwie literaturą polską. Czytamy w Ruskim Wiestniku (tom IX z r. b.) sprawozdanie o Pieśniach ludu polskiego Oskara Kolberga, o Katalogu wystawy starożytności i przedmiotów sztuki w Warszawie. Gani sprawozdawca tłumaczenie komedyi: „Biada temu kto ma rozum". Wspomina o Plejadzie polskiéj wydanéj nakładem B. M. Wolffa; mówiąc o Bibliotece Warszawskiéj podaje wyjątek w przekładzie z Wycieczki do Litwy F. Nowakowskiego, i z Kroniki literackiéj tłumaczy sprawozdanie K. Wł. Wójcickiego o dziele: „Zwiady świata i ludzi" W. Wielogłowskiego.—W Petersburgu wychodzi w małym formacie. „Biblioteka dla dacz, parochodów, i żelaznych dorog, sobranie romanów, powiestiéj i raskazów nowych i starych oryginalnych i pierewodnych". Nakład A. Smirdina, 1857 r. W niéj znajdujemy tłumaczenie z Biblioteki Warszawskiéj powieści Wilczyńskiego: „Kłopoty starego komendanta".

— Księgarz S. H. Merzbach ogłosił prenumeratę na pisma Adama Mickiewicza w 8 tomach w 12, na pięknym welinowym papierze: cena oznaczona rsr. 10. Przytém jest zapowiedziana równocześnie ozdobniejsza edycya: „na najpiękniejszym welinie, ozdobiona oprócz portretu autora, kilkoma stosownemi illustracyami, wypracowanemi przez najzdolniejszych naszych artystów, i odbitemi w znanéj litografii M. Fajansa". Cena takiego exemplarza rsr. 15. Druk już się rozpoczął w drukarni J. Jaworskiego.—Nakładem tegoż księgarza wyszła powieść historyczna Klementyny z Tańskiéj Hoffmanowéj: „Jan Kochanowski". Należy ona do zupełnego wydania wszystkich pism téj zasłużonéj dobrze literaturze naszéj pisarki.

— Galeryi nieświeżskiéj portretów Radziwiłłowskich, opisanéj historycznie przez Edwarda Kotłubaja, z drzeworytami Michała Starkmana, wyszedł zeszyt trzeci i obejmuje życiorysy: Bogusława I Radziwiłła (z drzeworytem), ostatniego potomka męzkiéj linii książąt na Birżach i Dubinkach. Po nim następują Dodatki do Radziwiłłów linii birżańskiéj, obejmujące stronnic 40, w których z rękopismów wydawca ogłasza listy, instrukcye i t. p. mogące rzucić większe światło, lub dodać szczegółów do życiorysów podanych. Linię Radziwiłłów książąt na Nieświeżu i Ołyce do pierwszego rozgałęzienia się na ordynatów nieświeżskich, ołyckich i kleckich, otwiera Jan II Radziwiłł przezwany Brodatym; dalej życiorysy Jana IV Radziwiłła, i Mikołaja VI przezwanego Czarnym (Niger). Z przywiedzionych źródeł widzimy przy każdym życiorysie przytaczany rodowód: wartoby, ażeby autor dał nam szczegółowy opis tego ważnego zabytku.

— Zapowiedzianego przekładu: „Koran" z arabskiego, wyszedł zeszyt pierwszy o 142 stronnicach, nakładem księgarza Alex. Nowoleckiego, i obejmuje: 1) Uwagi przedwstępne nad Arabią i jéj mieszkańcami. 2) Życie Mahometa z Waschingtona Irwinga. 3) Obrządki religijne. Cztery zeszyty całość złożą.

— Wzorów sztuki średniowiecznéj w dawnéj Polsce, otrzymaliśmy naraz cztery zeszyty: XV, XVI, XVII i XVIII, obejmują: 1) Krzyż złoty z cząstką krzyża św., dar Kazimierza Wielkiego, w katedrze krakowskiéj. 2) Szafka wyrobu florenckiego w paryzkiém muzeum obecnie

znajdująca się, a przez Francuzów z Polski w r. 1807 z zamku warszawskiego zabrana. 3) Naczynia drobne kościelne, ofiarowane do kościoła Częstochowskiego na Jasnéj Górze przez króla polskiego Michała Korybuta Wiśniowieckiego. 4) Zbroja króla Stefana Batorego w Wiedniu. 5) Zbroja księcia Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła (sierotki) w Wiedniu. Dwóch innych Radziwiłłów zbroje znajdują się także w tymże zbiorze: Mikołaja Czarnego (ojca sierotki) i Mikołaja Rudego (rodzonego brata królowéj Barbary). Jakkolwiek dana zbroja Sierotki niewątpliwie jest arcydziełem sztuki płatnerskiéj, radzibyśmy poznać i mniéj ozdobne, ale zawsze wielkiéj ceny dla narodowych starożytności. Zdaje nam się, że tego rodzaju pomniki, wraz z kostiumami dawnemi, powinny być celem głównym szanownych wydawców. 6) Klejnot z XVI wieku, który służył za noszenie królom naszym. 7) Trzy berła akademii krakowskiéj.

— Nakładem litografii A. Pecq'a wyszedł zeszyt pierwszy zapowiedzianéj publikacyi p. n.: „Arcybiskupi gnieźnieńscy i prymasi. Wizerunki z galeryi łowickiéj, objaśnione textem historycznym przez Juliana Bartoszewicza. Zawiera popiersia: 1) Willibalda, pierwszego arcybiskupa gnieźnieńskiego wedle podania. 2) Hattona następcę jego. 3) Roberta Vitellius. 4) Świętego Wojciecha. Obszernych to rozmiarów dzieło, bo zawierać będzie dwadzieścia dwa zeszyty: cena jednego złp. 6 gr. 20.—Maxymilian Fajans wykończa zaległe zeszyty Wizerunków polskich, które wkrótce zamierza wydać: braknie bowiem tylko czterech poszytów, ażeby wedle prospektu całość złożyły.

— Album kaliskiego zeszyt drugi obecnie ogłoszony przez Edwarda Staweckiego, z litografii M. Fajansa, obejmuje opis kościoła św. Mikołaja w Kaliszu, i dawny korpus kadetów w Kaliszu. Ryciny przedstawiają: 1) Kościół św. Mikołaja. 2) Obraz w wielkim ołtarzu w tymże kościele (zdjęcie z krzyża Rubensa). 3) Dawniejszy korpus kadetów. 4) Kaplicę i salę musztry w tymże korpusie.

— Rzeźbiarz Statler bawiący w Warszawie, zajęty jest wykonaniem posągu dla ks. Kordeckiego, który ma stanąć w Częstochowie. Radzilibyśmy młodemu artyście, ażeby dobrze się oznajomił z historyą tych czasów, i stanowiskiem a charakterem wielkiéj i dziejowéj postaci Kordeckiego. Bez tych studyów i poczerpnięcia w nich namaszczenia, można utworzyć posąg, ale czy odpowié wszystkim warunkom, których mamy prawo wymagać? Nie wątpimy, że p. Statler musiał się dobrze oznajomić ze szczegółami życiorysu tego kapłana, zanim przystąpił do swéj pracy. Wkrótce owoc jéj ujrzymy, a wtedy krytyka sumienna da świadectwo prawdzie.

— Jeden z najznakomitszych naszych rzeźbiarzy, Władysław Oleszczyński osiadły teraz w Warszawie, zajmuje się wykonaniem pomnika grobowego dla pułkownika Niegolewskiego, który ma być wzniesiony w kościele miasta Buki w Wielkiém Księztwie Poznańskiém: oraz statuą w naturalnéj wielkości w marmurze T. Kościuszki. Pomnik grobowy ma być odlany z bronzu: figura zmarłego w naturalnéj wielkości w płaskorzeźbie wypukłéj. W niższéj części pomnika, umieszczona tablica z właściwemi napisami, otoczona jest wieńcem złożonym z kłosów zboża, liści dębowych i laurowych, jako godeł zasług męża: jako obywatela, rolnika i żołnierza. Zmarły liczył się do szczupłego zastępu zdobywców wą-

wozu Sommo-Sierra w Hiszpanii. Oglądaliśmy już model tego pomnika. Posąg Adama Mickiewicza, który ten artysta wykonał do Poznania dotąd jeszcze ustawionym nie został wedle życzenia tych, co zapragnęli tej pamiątki sławy narodowéj. Miano go ustawić na małym placu przed jednym z kościołów, ale nie otrzymano na to pozwolenia jeszcze. Summa cztery tysiące franków, jaką złożono, nie była wcale wynagrodzeniem dla naszego artysty. Opędził on tą składką tylko koszta, które sam poniósł. Honoraryum żadnego szlachetny nasz rodak za znakomitą pracę swoję nie wziął. Ta bezinteresowność jego godna naszego szacunku.

— Kuryer Warszawski ogłasza w numerach swoich składki, jakie otrzymuje na pomnik dla zmarłego muzyka Ignacego Komorowskiego. Mamy otuchę, że dary te dobrowolne złożą wkrótce potrzebną summę, do wystawienia na cmentarzu Powązkowskim pomnika. Sądzimy, że dłuto mistrza takiego, jak Władysław Oleszczyński, który tego rodzaju utworami uczcił pamięć Klementyny z Tańskich Hofmanową i innych znakomitych ludzi, najwłaściwsze byłoby do grobowego pomnika, nad mogiłą naszego ulubionego lirnika.

— Otrzymaliśmy wiadomość, że znany archeolog Józef Łepkowski, zamyśla w Krakowie wydawać „Tygodnik archeologiczny." Pismo takie niemałeby oddać mogło usługi dla dziejów i starożytności narodowych.

— „Szkiców i obrazków" wyszedł zeszyt IV. Cały zajmuje obrazek p. n.: „Jakim sposobem pani Maciejowa nauczyła się milczeć, a panna Konstancya deklamować." Główną myślą miało być danie charakterystyki przekupki warszawskiéj; ale autor textu, zamiast rozwinięcia swego zadania, wprowadził siebie i artystę, dającego do tych Szkiców ryciny na scenę. Nie możemy odmówić podobieństwa postaci, a nawet i portretowania dokładnego. W dwóch rycinach artysta sam się zdagerotypował, a aż w trzech dał nam autora textu. Może to bawić chwilowo gawiedź, ale czy odpowiada myśli dzieła, które nam miało dać typy narodowe nasze? Takie żarty i wystawianie siebie na śmieszność publiczną, dopiero pierwszy raz widzimy w literaturze naszej. Żałujemy szczerze obu, że wybrali sobie taką drogę, aby prześli do nieśmiertelności. Czegośmy się obawiali w téj obiecującéj wiele publikacyi, to mamy wyraźne: zamiast typów charakterystycznych, narodowych: karykatury! Nam szydzić z siebie nie pora: zostawmy to Francuzom. Nasz naród zapoważny do tego. Nie braknie przedmiotów godniejszych do takiej publikacyi, która miała dać nam charakterystyczne postaci Warszawy.

— „Album Lubelskiego" zeszyt VI obejmuje: 1) Zamki Esterki z rycinami. Ruiny zamku Esterki pod Kazimierzem, i wieży zamku téjże Esterki w Bochotnicy. Wiadomo, że tradycya ludowa do wielu miejsc przywiązała imię téj pięknéj Izraelki, a kochanki Kazimierza Wielkiego. 2) Kościół w Gołębiu. 3) Kaplica Aryańska. Żałujemy, że ani pod rycinę, ani w texcie nie masz śladu, z jakiéj okolicy wzięty jest rysunek téj kaplicy. Text tylko wspomniawszy, że Aryanie w Lubelskiem wiele mieli siedzib, wymieniwszy główniejsze, dodaje: „Jedną z takich budowli, uważanych za świątynię aryańską, rycina przedstawia." Cztery ryciny dołączone, wykończeniem artystyczném i wybornem odznaczają się odbiciem w litografii A. Pecq'a.

— Ujrzymy wkrótce z téjże litografii w większéj połowie postaci wizerunek Adama Mickiewicza. M. Fajans do Wizerunków polskich przygotowywa w mniejszych rozmiarach portret tegoż poety. W Wilnie w mniejszych rozmiarach ukazały się oddawna Mickiewicza wizerunki. S. H. Merzbach do dzieł jego dołącza także portret poety i zarazem do illustrowanych egzemplarzy ma dodać wierny przerys posągu dłuta Władysława Oleszczyńskiego, który ma być wzniesiony w Poznaniu. Ryciny do tych illustracyj dają sami nasi rodacy: A. Lesser, Kossak, Gerson i Kostrzewski: z tych mają być wykonane staloryty. Równocześnie J. K. Żupański zajmuje się wydaniem Wallenroda i Grażyny w przepysznéj illustrowanéj edycyi. Jeden z zamożniejszych miłośników literatury ojczystéj zamówił sobie egzemplarz tego wydania na pargaminie. W papierach pozostałych po Mickiewiczu znalazły się dodatki i zmiany, wynoszące kilkaset wierszy do pana Tadeusza; dodatki te edycya S. H. Merzbacha obejmie.

— Zbioru pamiętników do dziejów i literatury polskiéj, wydawanych przez Włodzimierza hr. de Broël Platera, tom pierwszy wkrótce opuści prasę drukarską: następne tomy w ciągu nieprzerwanym ogłaszane będą w latach następnych. W tym tomie ujrzymy fac-simil listu Jana Kochanowskiego, jedynego zabytku, jaki dotąd odkryty został po tym wielkim poecie Zygmuntowskich czasów.

— W Ruchu muzycznym pod redakcyą Józefa Sikorskiego, czytaliśmy z wielkiém zajęciem obszerny życiorys Jana Stefaniego przez Maurycego Karasowskiego. Do 30 numeru tego pisma dołączył redaktor portret tego kompozytora.

— W Petersburgu przy depôt wojenno-topograficznem wyszła bardzo dokładna karta topograficzna królestwa polskiego na 57 arkuszach (podług skali 3 wiorsty na jeden cal: cena rs. 57) z napisami w języku polskim. Równie dokładne wyszły tamże karty topograficzne gubernii wileńskiéj, kowieńskiéj, grodzieńskiéj mińskiéj, podolskiej i części Wołynia i Podola. Karty te wkrótce ujrzymy w handlu księgarskim.

— Czytamy w korrespondencyi z Żytomierza, że J. I. Kraszewski ma zamiar wydawać zeszytami Przegląd bieżącéj naszej i zagranicznéj literatury. Będzie to prawdziwa przysługa dla piśmiennictwa polskiego; bo w jednem piśmie znajdziemy obraz dokładny rozwoju bieżącéj literatury. Potrzeba ta coraz silniéj uczuwać się daje: tém bardziéj, gdy pisma nasze codzienne, albo dorywczo, w pisanych naprędce korrespondencyach dają sąd wcale nie krytyczny, albo w widokach stronniczych: jednych autorów ciągle chwalą, drugich potępiają i to nazywają podtrzymywaniem krytycznéj strony pisma. Przegląd jaki zamierza J. Kraszewski, znalazłby niewątpliwie wielkie rozpowszechnienie i mógłby oddać znakomite usługi.

— Nakładem G. Sennewalda: Kazania J. Albertrandego, znanego historyka naszego, wyjdą w ciągu b. miesiąca w 2-óch tomach, z wizerunkiem tego pisarza.

— W drukarni S. Orgelbranda, tom drugi przekładu Szekspira p. Komirowskiego znacznie w druku postąpił. Przed Nowym Rokiem w tejże drukarni ukończy się druk trzech tomów opisu Cmentarzy warszawskich K. Wł. Wójcickiego.

Poznań. Księgarz Żupański wkrótce ogłosić ma T. Lenartowicza poemat: „Święta Zofia", oraz dwie powieści: „Pułkownik", we 2-óch tomach przez Orpiszewskiego i „Powieść z moich czasów", niewiadomego autora. Nakładem tegoż księgarza w r. b. wyjdą pamiętniki Moszczeńskiego, obejmujące czasy ostatnie Augusta III i Stanisława Poniatowskiego. Tytus hr. Działyński wydał: „Najdawniejsze zabytki mowy polskiéj". Sąto urywki z przekładu Pisma Ś., psalmów i pieśni nabożnych. Wacław Hanka zajął się wykazaniem w nich myłek ze złego odczytania niek órych wyrazów. Wkrótce ujrzymy także dalsze tomy Tomicyanów. Hr. Działyński udzielił hr. Włodzimierzowi de Broël Platerowi ważne pomniki, mające łączność z gotowością wojenną Jana Tarnowskiego: te wyjdą nakładem ostatniego w Wilnie.

Lwów. (Wyjątek z listu). „Przedsiębierczy księgarz nasz Wildt rozpoczyna druk lechickiego początku Polski, Szajnochy: w tym miesiącu wyda w osobnej edycyi trzytomową powieść Jana Zacharyasiewicza: „Boże dziecię", drukowaną naprzód w Dzienniku literackim. Nabył także tom powieści trzech autorów: Józefa Dzierzkowskiego, Zacharyasiewicza i Walerego Łozińskiego. Obecnie zamyśla o wielkim dzienniku literackim. Nakładem Kallenbacha pojawiły się świeżo: „Rozbitki", prolog Kornela Ujejskiego, napisany na nowe otwarcie sceny lwowskiéj; „Tęcza" zbiór drobnych poezyj rozmaitych autorów. W drukarni Zakładu narodowego imienia Ossolińskich wyszła powieść czerkieska Karola Brzozowskiego p. n.: „Ognisty lew". Jestto poemat a przynajmniéj autor w takiéj formie go podał, ale zadaniu nie mógł podołać, bo nie zna ani kraju, ani ludu tamecznego. Z książek zebrane wiadomości na niewiele się przydadzą. Trzeba własnem okiem patrzéć w step jak Gustaw Zieliński i dać nam wierny obraz Czerkiesa, jak ten poeta dał nam Kirgiza. Naśladownictwo zawsze będzie niedołężne".

Wilno. Księgarnia J. Zawadzkiego w Wilnie przygotowała wiele ważnych publikacyj: Michała Balińskiego drugie wydanie „Historyi polskiéj", którą ten pisarz dawniéj był na zadany konkurs wydał w Warszawie. Pierwszeństwo wtedy otrzymała historya polska napisana przez Pawliszczewa, mimo to dzieło Balińskiego wyczerpane zostało z handlu księgarskiego. Alexandra Zdanowicza, także „Historya polska" dla młodzieży, jako kurs początkowy. X. Lipińskiego; „Życie Ś go Kazimierza. X. S. Kozłowskiego „Historya święta" w dwóch częściach, z mappką ziemi obiecanéj, podzielonej na 12 pokoleń. „Pamiętniki Szefa Józefa Drzewieckiego" z trzema portretami i życiorysem autora, tudzież jego listami. Pamiętniki te po raz pierwszy ogłoszone w Athenaeum J. Kraszewskiego, wielkie obudziły zajęcie: w małéj tylko liczbie exemplarzy zrobiono odbitki. Zaczynają się od kampanii 1794, i wyjaśniają dzieje legionów naszych we Włoszech. Wielce to ważny materyał historyczny. „Listy J. Kremera o Włoszech" w 4 tomach. Ignacego Chodźki: „Pustelnik w Pronianach. Wacława Przybylskiego: „Przekłady i studya": panny Proniewskiéj „Poezye". H. Jabłońskiego. „Guido i dumki": których pierwsze wydanie, po ogłoszonym ich rozbiorze p. Henryka Lewestama w Gazecie Codziennéj, rozkupiono wprędce. Przedruk powieści J. Kraszewskiego z Gazety Warszawskiéj: „Boża czeladka." Mówią, że nowy zeszyt „Obrazu bibliograficznego" A. Jochera ma wyjść także.

Nie przywiązujemy do tego dzieła bez składu i ładu takiéj wartości, jak korrespondenci wileńscy. Lepiéjby zrobił p. Zawadzki, gdyby nabytą historyą literatury polskiej ś. p. F. Bentkowskiego, a powiększoną przez niego, uzupełnił i ogłosił drukiem, niż tak rozwlekłe obraz ten ciągnął, którego planu zrozumieć nie można, a wynalezienie wiadomości żądanéj jest niepodobne. Jestto las bezdrożny, w którym żadnéj ścieżki nie znajdziesz, by nią dojść do celu. Drugie wydanie Bentkowskiego daleko więcéj ma ważności, tém bardziéj, że sam je autor powiększył, a wydawca uzupełniwszy, dałby pożądane dzieło podręczne, w którém każdy co zechce na piérwszy rzut oka wynajdzie. Przypominamy p. Zawadzkiemu, i zwracamy uwagę jego na przekład Liviusza, pozostawiony w rękopismie przez ś. p. Jagiełłę: praca ta warta ogłoszenia drukiem. Kommissya archeologiczna wileńska przybrała na członka swego p. Michała Sołtana, o którego pracy (Słownik powszechny biograficzny) jużeśmy w piśmie naszém donieśli.

OD REDAKCYI.

Biblioteka Warszawska wychodzić będzie regularnie i w roku nadchodzącym 1858. Cena przedpłaty pozostaje ta sama.

Do zeszytu grudniowego r. b. dołączonym zostanie ***bezpłatnie*** dla prenumeratorów Biblioteki Warszawskiéj tom I^szy ***Zbioru pamiętników do dziejów polskich***, wydawanego przez *Włodzimierza Stanisława hr. de Broel Platera*. W roku 1858 wyjdą ***cztery*** tomy tychże ***Pamiętników***, które prenumeratorom naszego pisma, równie bezpłatnie dołączone zostaną. Każdy tom składać się będzie z najmniéj 15^stu arkuszy ścisłego druku.

† Dnia 14 października r. b. zakończył życie w Warszawie w kwiecie wieku Ignacy Komorowski muzyk. Pochowany na cmentarzu Powązkowskim. Pogrzeb tego artysty był jednym z najświetniejszych. Kilka tysięcy osób towarzyszyło aż na sam cmentarz. Pisma nasze przyjmują składki na mający się wznieść pomnik, ku uczczeniu pamięci tego ulubionego muzyka.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Wolno drukować.— Warszawa, d. 17 (29) Października. 1857 r.—Cenzor, Radca Dworu Stanisławski.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

***Wrzesień*, 1857.**

Wrzesień 1857. **Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obser** **watoryum Astronomicznem Warszawskiem.**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad po- ziom morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1g. 14m.45s.,7 czyli w łuku 18°41'25,"5 n wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
		6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz.wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god.w.	10 god.w.	dé- szczu	śnie- gu
1		752.40	752.19	749.94	749.38	+ 10°.4	+ 19°.5	+ 22°.4	+ 14°.4	54.0	pogodny	pogodny	pogodny	lek. pochm.	Pd.	PdZ.	PdW.	PdW.		
2		748.15	748.40	747.73	749.27	+ 12.5	+ 20.2	+ 20.8	+ 13.9	79.5	pochmurny	poch. dész.	lek. pochm.	pr. pogodny	—	Pd.	PdW.	—		
3		750.33	750.86	749.93	751.27	+ 14.4	+ 20.3	+ 24.6	+ 16.1	73.2	lek. pochm.	pogodny	pr. pochm.	pogodny	Pd.	Pd.	PdW.	PdW.		
4	(:	752.26	752.60	751.53	752.29	+ 13.2	+ 21.1	+ 25.1	+ 16.4	70.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	PdW.	PdW.	PdW.		
5		752.09	751.96	750.58	750.70	+ 12.1	+ 20.6	+ 24.2	+ 16.0	60.8	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
6		750.32	750.40	749.15	749.88	+ 13.1	+ 20.2	+ 24.5	+ 15.4	63.0	pogodny	pogodny	pogodny	pr. pochm.	PdW.	PdW.	PdW.	—		
7		750.15	750.74	749.84	751.56	+ 11.8	+ 20.0	+ 23.8	+ 16.5	62.2	pogodny	pogodny	pogodny	lek. pochm.	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.		
8		751.69	752.17	751.25	751.99	+ 14.6	+ 19.0	+ 22.0	+ 16.5	77.0	pochmurny	pogodny	napół p. d.	pogodny	Pd.	Pd.	Pd.	—	5.6	
9		752.17	752.39	751.18	751.42	+ 12.2	+ 20.4	+ 26.5	+ 17.3	68.8	pr. pogodny	smugi	lek. zamgl.	pogodny	PdW.	PdW.	—	—		
10		751.41	751.55	749.81	749.30	+ 14.2	+ 23.4	+ 27.0	+ 17.7	57.2	lek. pochm.	pr. pogodny	pogodny	pogodny	Pd.	PdW.	Z.	Pd.		
11	(.	747.87	747.50	744.73	746.01	+ 13.0	+ 20.7	+ 26.7	+ 17.9	62.3	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	—	Pd.	—		
12		746.28	747.63	749.03	749.84	+ 15.4	+ 19.0	+ 19.9	+ 14.0	80.0	lek. pochm.	poch dész.	lek. pochm.	pogodny	PdW.	PnZ.	Z.	Z.	1.5	
13		749.73	749.73	747.99	749.47	+ 10.9	+ 19.0	+ 21.4	+ 14.2	75.5	lek. zamgl.	lek. zamgl.	napół pog.	napół pog.	—	Z.	—	Z.		
14		747.51	748.25	750.38	750.91	+ 12.0	+ 15.3	+ 15.9	+ 11.4	86.5	lek. poch.	poch. dész.	lek. pochm.	pogodny	Z.	Z.	PnZ.	PnZ.	5.2	
15		755.35	757.24	758.20	759.80	+ 5.0	+ 8.0	+ 11.5	+ 7.7	60 5	smugi	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	Pn.	Z.		
16		760.29	760.62	758.13	756.29	+ 4.9	+ 11.8	+ 15.1	+ 12.2	62.0	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		
17		753.70	753.64	753.20	753.67	+ 14.2	+ 17.9	+ 19.5	+ 16.9	76.7	lek. pochm.	pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
18	(.	749.58	747.75	742.96	740.63	+ 14.7	+ 20.9	+ 21.0	+ 14.8	73.0	pr. pogod.	lek. zamgl.	poch. dész.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	2.2	
19		739.46	740.98	745.71	751.88	+ 11.9	+ 12.7	+ 6.1	+ 3.6	78.0	pochmurny	poch. dész.	pochmurny	pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	1.6	
20		754.25	755.82	755.21	754.58	+ 2.1	+ 7.3	+ 9.9	+ 6.5	68.0	pr. pochm.	pochmurny	napół pog.	pochmurny	PnZ.	Pn.	Pn.	PnZ.		
21		752.12	751.34	748.71	747.33	+ 5.3	+ 8.3	+ 9.4	+ 7.9	86.8	poch. dész.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PdZ.	Z.	1.6	
22		743.14	744.06	746.36	748.69	+ 9.2	+ 8.4	+ 6.8	+ 2.5	83.0	poch. dész.	napół pog.	pochmurny	dészcz	Z.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	3.4	
23		750.28	752.40	754.71	757.99	+ 1.3	+ 5.0	+ 6.6	+ 2.1	85.0	poch. dész.	pochmurny	pr. pochm.	pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ	2.8	
24		760.95	761.60	759.69	759.62	— 1.8	+ 3.9	+ 9.4	+ 4.2	85.0	pogodny	pogodny	lek. pochm.	pogodny	PnZ.	PnZ.	Z.	Z.		
25		759.43	760.00	758.90	759.03	+ 1.3	+ 9.4	+ 13.2	+ 6.5	70.7	pogodny	pr. pogod.	pogodny	pogodny	Z.	Z.	PnZ.	PnW.		
26	).	758.80	759.17	756.67	757.03	+ 2.1	+ 10.1	+ 16.5	+ 8.9	74.5	pogodny	pogodny	pogodny	pr. pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
27		755.37	755.29	753.49	754.01	+ 5.0	+ 10.6	+ 18.8	+ 8.7	84.8	lek. zamgl.	lek. zamgl.	pogodny	pogodny	PdW.	PdW	Pd.	—		
28		754.03	754.16	752.31	751.80	+ 4.3	+ 12.0	+ 19.6	+ 11.5	79.7	pogodny	smugi	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	Pd W.	Pd W.		
29		749.77	749.60	748.32	750.46	+ 7.7	+ 13.9	+ 20.2	+ 12.7	83.5	pogodny	pogodny	pogodny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.		
30		751.93	753.64	754.57	756.58	+ 9.7	+ 12.7	+ 18.0	+ 14 8	83.8	mgła	mgła lekka	pr. pogodny	pochmurny	—	Pn.	Pn.	PnW.		
Śre.		751.694	752.123	751.340	752.089	+ 9°.22	+15°.05	+18°.21	+11°.97	73.5									23.9	

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	751.811	27	9.275
Najwyżej barometr dochodził d. 24 o g. 10 r.	761.60	28	1.614
Najniżej — — d. 19 o g. 6 r.	739.46	27	3.800
Średnia zmiana dzienna barometru	3.634		1.611
Największa zmiana dzienna barometru d. 19—20 o g. 10 r.	14.84		6.579
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 31 lat poprzedzających	0.846		0.372
	750.965	27	8.903
Średnia temperatura września wynosi:	+ 13°.61 C.	+	10°.89 R.
i ta jest wyższa o	0.06 „		0.05 „
od stanu normalnego z 31 lat poprzedzających	+ 13.55 „	+	10.84 „
Największe ciepło było d. 10 o g. 4 wiecz.	+ 27.0 „	+	21.60 „
Największe zimno — d. 24 o g. 6 rano	— 1.8 „	—	1.44 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.478 „		1.982 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 18—19 o g. 4 w.	14.9 „		11.92 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: + 21°.9 R. d. 10 po połud.
Minimum: — 1°.5 „ d. 24 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 73.5, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 8.80 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blizko o 0.06 mniejsza od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 23.9 mil. czyli 10.59 lin. par.; ilość ta wody jest o 10.02 lin. par. miejsza od tej jaka średnio we wrześniu spada.

Dni pogodnych było 12, napół pogodnych 5, pochmurnych 13.
— deszczu 9 (d. 2, 8, 12, 14, 18, 19, 21, 22, 23).
— śniegu 1 (d. 23).
— mgły 1 (d. 30).
— grzmotów 3 (d. 2, 14, 18).
— błyskawic bez grzmotów 1 (d. 18).
Wichrów było 6 (3 PnZ., 3 Z.).
Wiatrów mocnych 5 (3 PnZ., 2 Z.).

Wiatr panujący Południowo-Wschodni, częste także były Zachodnie. Wrzesień r. b. był ciepły, suchy pogodniejszy niż zwykle; pierwsze ośmnaście dni przy wietrze południowym były pogodne i tak ciepłe jak wśród lata. Od dnia 19 to jest od Nowiu księżyca ze zmianą wiatru, nastąpiła zmiana stanu powietrza, jakoż ostatnie dni dziesięć przy wietrze północno-zachodnim były chłodne; dnia nawet 25 śnieg pierwszy tej jesieni pruszył, a dnia następnego t. j. 24 nad ranem mróz dochodził półtora stopnia. Najcieplejsze dni były d. 4, 5, 6, 7, 8, 9. 10, 11; najchłodniejsze d. 20, 21, 22, 23, 24, 25. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był pogodniejszy niż zwykle; albowiem w stanie normalnym stosunek dni pogodnych, do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 7,1 : 10,6 : 12,3; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 12 : 5 : 13; powietrze było bardzo suche; deszcze padały rzadko i nie obficie, ilość wody spadłej z deszczu wynosi tylko 10.59 linii par. to jest połowę ilości jaka zwykle w tym miesiącu u nas spada. Z powodu suszy i przymrozków, liście z drzew wcześniej zaczęły opadać niż zwykle.

D. 5 pokazały się dwie znaczne plamy na słońcu.

Stan wody na Wiśle był bardzo nizki.

Największa wysokość wody dochodziła stóp 2 cali 7 d. 29.

Najmniejsza — — — stóp 1 cali 8 d. 16. 17, 18 i 19.

STARANIA DOMU RAKUSKIEGO

W XVI WIEKU O KORONĘ POLSKĄ.

PRZEZ

Juliana Bartoszewicza.

W Bibliotece Warszawskiéj za miesiąc luty 1853 daliśmy piérwszą część rozprawy Władywoja Tomka o staraniach domu rakuskiego. Znalazłszy teraz dalszy ciąg téj saméj rozprawy w Czasopisie muzeum czeskiego (1853 zeszyt czwarty) pospieszamy z treścią ich czytelników zapoznać, tém bardziéj, że i tutaj niezmiernie ciekawe znajdujemy a nowe szczegóły o układach, jakie z Austryą prowadził Zygmunt III, wstąpiwszy już na tron polski względem ustąpienia korony arcyksiążętom. To, co u nas ledwie jako wieść przemknęło się po książkach historycznych onego czasu, co głucho zaleciało aż do nas, co gotowiśmy byli uważać raczéj za potwarz wymyśloną przez nieprzyjaciół króla, to wychodzi tutaj, jako fakt niezawodny, niezaprzeczony. Tomek miał urzędowe akta pod ręką, a jak zobaczymy niżéj znalazł ślady, że cała obszerna korrespondencya w tym celu przez Zygmunta i dwór rakuski prowadzona spaloną została, jakoś zaraz po obaleniu tych tajemnych knowań na wolność polską. W drugiéj rozprawie To-

mek rozpowiada o czasach Rudolfa II, bo piérwszą dociągnął do wstąpienia na tron polski króla Stefana. Opisana więc tutaj podwójna elekcya Zygmunta Szweda i arcyksięcia Maxymiliana, a potém intrygi już poelekcyjne aż po rok 1593. Ta piérwsza nawet połowa rozpowiadania ma dla nas fakta nowe, chociaż posiadamy tyle opisów bezkrólewia z roku 1586—1587, ale druga zupełnie nowa. Porównaliśmy opis Tomka z dziełkiem Solikowskiego o téj epoce i z dalszym ciągiem Kroniki Bielskiego, którą Sobieszczański odkrył i wydał. Dlatego nie damy całéj rozprawy Tomka, w tłumaczeniu opuścimy wszystko co zkądinąd znane, co z naszych źródeł lepiéj spisane być może. Dajemy to jedynie, co jako nowe mnożyć będzie materyał wiadomości naszych.

Głównie to jednak zauważaliśmy o Tomku, że patrzy zbyt uprzedzonemi oczyma na rzeczpospolitą naszą: Rakuszanin to zabity. W związku z Austryą widział całe szczęście ówczesnéj Polski; żałuje, że ten sojusz nie przyszedł do skutku. Nie wchodzimy w powody, jakie ma tak myśleć Tomko, być może są szlachetne; ale faktu historycznego nie przerobić i nie możemy sądzić, żeby w historyi działo się coś po naszéj woli, kiedy wyższa wola i lepsza i mędrsza od naszéj, wié lepiéj co robi: nie miało być tak, więc nie było. A ze swego stanowiska wychodząc, Tomko nie cierpi Zamojskiego i zbyt w czarnych kolorach go przedstawia, bo Zamojski głównie opierał się panowaniu austryackiemu w Polsce i zawsze usiłowania ku temu skierowane zniweczył, a dopóki żył, Austrya w nim miała silnego nieprzyjaciela. Nie charakteryzuje Zamojskiego Tomko, nie gniewa się na niego; ale każe się domyślać, że to był człowiek ambitny, dumny, niesprawiedliwy, spiskujący przeciw instytucyom narodowym dla siebie i dla Batorych, których Tomko także nienawidzi, jako władzców cząstki Węgier,

a w połączeniu z Polską niebezpiecznych jedności monarchii rakuzkiéj. Patrzmy, coto są warte sądy cudzoziemców o sprawach naszych! Myśmy jeszcze dobrze nie wystudyowali Zamojskiego: dowodem są te spory jakie o niego prowadzimy, jeden tak, drugi inaczéj go pojmuje; czytamy akta, materyały gromadzimy, a tutaj dosyć niewtajemniczony w życie nasze polityczne cudzoziemiec, sądzi jednego z największych ludzi naszych, ze stanowiska swojego ku niemu uprzedzenia. Dowodami, że Tomko dobrze widzi, są sprawy Zamojskiego za Batorego, sprawa Zborowskich, działania na elekcyi 1587 r., które naturalnie pominiemy, bo nam o punkt widzenia Tomka wcale nie idzie, a fakta są w Bielskim. Zamojski podług Tomka wyparł Zborowskich z łaski króla i wykonywał nad niemi złość swoję w krwawy sposób.

Musimy jednak zwrócić uwagę ludzi naukowych na ważny szczegół, na jaki napomyka Tomko w początku téj drugiéj rozprawy. Mówi on, że niebezpieczeństwo jakie zawisło nad domem austryackim ze wstąpienia Batorego na tron polski, cały czas tego panowania nad Rakuszami wisiało; króla Stefana albowiem stałym było zamiarem opanować całe Węgry pośrednie pomiędzy Polską a Siedmiogrodem. Bardzo go zbliżała do celu wojna, która trwała wtedy nieustannie pomiędzy cesarzem a sułtanem. Na szczęście, powiada Tomko, miał Stefan dużo zajęcia na Wschodzie w wojnie z carem Iwanem i tam zwrócił całą czynność swego umysłu: naturalnie, aby punkt działania swój przenieść na Południe, musiał się wprzód ubezpieczyć od Północy i Wschodu. Porta jednocześnie zaplątała się w kłopotliwy bój z Persyą i tak ze dwóch stron miała nieprzyjaciół. Wszystko to są bardzo znakomite odkrycia dla historyi XVI wieku. W innéj rozprawie, którą znaleźliśmy w następnych numerach Czasopismu czeskiego (o niespokojnościach politycznych w ziemiach

mocarstwa rakuzkiego za panowania Rudolfa i Macieja 1594—1614, w zeszycie 2 1854 i następ.) znaleźliśmy więcéj trochę w téj materyi szczegółów, i nawet dowody, że Zamojski czynnie wpływał do pomysłów Stefana: i że potém nawet po śmierci króla myśl jego nie zginęła, bo Zamojski czuwał nad nią. Kiedy sobie teraz przypomnimy, że Stefan rzeczywiście myślał o wojnie z Turkami, że już nawet porobił wiele do tego przygotowań, że wojska już spisywał, że pieniądze zbierał; kiedy przypomnimy sobie rozległe genialne Batorego obejmujące całą przyszłość, pomysły, widzimy, że napomknienia i fakta Tomka bardzo pięknie zaokrąglają ten systemat, w którym wielki człowiek krążył: rzeczywiście Batorego myśl królowała nad obecnością całą. Monarchy większego pod koniec XVI wieku Europa nie miała: milczący jak grób, Zamojskiemu jednemu się zwierzał, podobny pod tym względem do innego naszych czasów monarchy, który najlepiéj spełnia zasadę, że koszulęby własną spalił gdyby go podsłuchała. Batory był człowiekiem czynu, nie popisu, i żeby czyn dojrzał, milczał król jak zaklęty; gotował on dla Europy wschodniéj sojusz narodów, nowy związek silny a przyszłością wielki. W pewnéj mierze chciał spełnić to, co Henryk IV nieco późniéj; ale król francuzki był marzycielem, o niepraktycznościach roił; Batorego myśl do spełnienia się była blizka. Byłby Turków wygnał z Europy i Wschód oswobodził; byłby Północ połączył z Południem na Wschodzie, albo gdyby się to nie udało, byłby zbudował państwo ogromne pomiędzy Wschodem a Zachodem, Europą i Azyą. Austrya odtrącona od Węgier, byłaby zeszła do podrzędnego znaczenia; ale na szczęście, powiada Tomko, nie stało się tak: nie stało się tak, bo nie ten miał być pochód dziejów i ludzkości.

Wracamy do przedmiotu który nas wyłącznie zajmuje. Rozległe zamiary Batorego, jeżeli Bóg zdro-

wia pozwoli, w inném miejscu rozwiniem i ocenim wielkość tego człowieka; tutaj zaś powtórzym najprzód główne fakta, żeby całości nie zostawić bez wstępu.

Zamojski, powiada Tomko, myślał sam o koronie, a przynajmniéj chciał ją zrobić dziedziczną w rodzinie Batorych; ale Zygmunt książę siedmiogrodzki, syn Krzysztofa, zmarłego 1581 r., a synowiec króla Stefana, był za młody, bo miał lat 15 i nie przypadał Polakom do myśli kanclerza, więc myśl zwróciła się ku kardynałowi Jędrzejowi Batoremu. Człowiek to był młody, osiadł stale w Polsce, był senatorem, polubił nową swoję ojczyznę, nauczył się mowy polskiéj, spraw i obyczajów, a król go lubił i powoli przyzwyczajał do spraw rządu. Zdawało się, że Stefan pod koniec swojego żywota, wszystkie nadzieje domu oparł na tym Jędrzeju: jego rządy w Polsce miały być tylko przejściem, przygotowaniem do rządów Zygmunta. Jędrzej w grudniu 1586 to jest w czasie kiedy król umierał, bawił się w Rzymie jako poseł królewski starający się o pomoc kościoła w nowéj wojnie, która otwierała się z Moskwą; pospieszył teraz piorunem do Krakowa. Ale jednocześnie na plac wychodzą Zborowscy w nadziei że zwalą potęgę hetmana. Rozpuszczono wieści, że kardynał chce przemocą owładnąć koronę i że nawet użyje pomocy Turków, którzy się w istocie uzbroili, w Krakowie zaś samym łatwo opanować oznaki i korony królewskie. Zamojski widząc to, radził kardynałowi, aby na pewien czas odjechał do Siedmiogrodu: kardynał tego nie usłuchał.

Więc potwarzami obrzucono kanclerza, na zjeździe Czerwonéj Rusi we Lwowie, gdzie sam się Zamojski znajdował; krzyczano nań żeby złożył buławę na zasadzie, że w bezkrólewiu wszystkie urzędy ustają: nie chciał, więc krzyczano żeby przyjął sobie pomocnika do buławy, któryby dowodził strażami pogranicznemi. Na ten urząd głos powszechny podawał starostę śniatyńskiego, Mikołaja Jazłowieckiego. Kanclerz

odparł, że tylko przyszły król może mianować hetmanów. Krzyczano tak, ulyskiwano i na innych zjazdach szlacheckich przeciw Zamojskiemu. Kanclerz nie pojechał na konwokacyą, ale listem do sejmu protestował przeciw wszelkim jego uchwałom, które na celu mieć będą coś innego, jak oznaczenie czasu elekcyi i sposobu saméj elekcyi: miał na to kanclerz prawo. Tam na czele jego wrogów stali dwaj Zborowscy, Jan i Jędrzej, Górka wojewoda poznański i ślepy Sędziwoj Czarnkowski; wygadywano na zmarłego króla i kanclerza, domagano się by Zamojskiemu narzucić podhetmana. Choć przyjaciele kanclerza protestowali, dostał dowództwo nad wojskiem pograniczném Mikołaj Herburt a nad Kamieńcem starosta śniatyński. Spisano też uchwałę i warunki, podług których godzić się miał Zamojski ze Zborowskiemi. Sprawę Samuela miano wytoczyć przed sądy, wyrok nad Krzysztofem który od ostatnich czasów panowania Batorego, siedział na Morawach, miał być zniesiony, a prymas miał na tych warunkach zaprowadzić zgodę pomiędzy dwoma stronnictwami. Sejm elekcyjny ma się odbyć 30 czerwca. Król ma być obrany za zgodą wszystkich, ale nim do elekcyi stany przystąpią, wprzódy zaradzą sprawom i niebezpieczeństwom litewskim i pruskim.

Na konwokacyą przyjechało od cesarza Rudolfa i od braci jego Ernesta i Maxymiliana poselstwo. Miało cel jawny, i tajny: jawny, wyrazić żale rzeczypospolitéj i królowéj Annie z powodu śmierci Stefana; tajny, rozpocząć knowania rakuskie, których nić dwa razy się zerwała. Przyjechał i czausz turecki, który jak dawniéj oświadczał, że sułtan pozwala stanom polskim obierać nowego króla, aby tylko stosowały się w tém do jego życzeń. Okoliczność sama z siebie mało znacząca, ale na elekcyi zwróciła się przeciw Batorym i Zamojskiemu.

Dla domu rakuskiego elekcya polska była pytaniem żywotném: szło cesarzowi o zwrócenie wpływu

tureckiego w inną stronę od Polski, szło o zabezpieczenie się o Węgry, o całość państwa. Dlatego czterech arcyksiążąt wyciągało rękę po koronę: Ferdynand tyrolski i bracia cesarscy Ernest, Maxymilian i Maciej: każdy z nich starał się na swoję rękę. Ale umówili się poprzednio, że gdyby jeden z nich poszedł nad innych górą, wszyscy się zrzekną swych pretensyj i szczęśliwemu pomagać będą. Gdy zaś Polska była rozdzielona pomiędzy kanclerza i Zborowskich, a kanclerz stał na czele stronnictwa otwarcie przeciwnego Austryi, ztąd arcyksiążęta oprzeć się mogli głównie na Zborowskich i wzajemnie Zborowscy od Austryi tylko oczekiwać mogli przeciw kanclerzowi pomocy. Przyszło więc łatwo pomiędzy niemi do porozumienia się: Maxymilian najlepiéj trafił, a Krzysztof siedzący w Morawach był pośrednikiem arcyksięcia i braci.

Nie było wielu innych kandydatów na elekcyi, Szweda popierała tylko królowa Anna; Jan ojciec Zygmunta nie bardzo był rad temu, bo się obawiał o Inflanty; napisał nawet do Anny, że nie da Polsce syna, jeżeli na tém ma cierpieć jego dziedziczna korona. Lesniowolski w Sztokholmie jakoś zaradzał temu. Za carem była Litwa która chciała skończyć raz przecie swoje zatargi z Moskwą. Mówiono i o Piaście, za którym odzywał się sam Zamojski: ale kanclerz jeżeli miał jakie nadzieje prędko je stracił, Batorym téż nie wiele się uśmiechała przyszłość. Stronnicy Piasta ganiąc cudzoziemca wygadywali na Batorego głównie, że mało co Polski węgierską nie zrobił. Zamojski więc tu i tam zawiedziony prawie był zyskany dla Szweda.

Na elekcyą gotowały się stronnictwa jak do boju. Zamojski, mówi Tomek, najmował wojska za swoje i za króla Stefana pieniądze, które król mu na ten cel umyślnie przeznaczył w ostatniéj rozprawie z nim. Na to oskarżenie trzeba dowodów: zdaje się, że tu niechęć tylko uwiodła naszego Tomka za daleko. Godność Zamojskiego hetmańska bardzo mu posłużyła: najdziel-

niejsi wodzowie z wojny inflanckiéj podwładni mu, byli z nim (?). Toż inni panowie za nim się zbroili; Zborowscy téż zbierali siły wojenne w kraju i za granicą, za cesarskie pieniądze. Do zgody pomiędzy stronami nie przyszło. Warunki prymasowskie jak się spodziewano tego, Zamojski odrzucił; więc przyjaciele obustronni podali wniosek, żeby osobiście porozumieli się panowie. Zamojscy i Zborowscy mieli się według tego projektu zjechać, każdy w trzysta koni, dnia 26 czerwca, po obu brzegach Wisły, Zborowscy w Czersku, a kanclerz z drugiéj strony we wsi Wilcach. Było to już i za późno, bo sejm za dni kilka rozpoczynał się i Zborowscy odrzucili projekt, nie pokładając na nim wiele nadziei. Zborowscy uprzedzili otwarcie sejmu, kanclerz zaś ze swą siłą z niemałém podziwieniem wszystkich, przeszedł po moście z Pragi i rozłożył się pomiędzy rzeką a lasem na miejscu, które mu wskazał marszałek Opaliński. Obok niego stanął potém książę wojewoda kijowski i sam marszałek, obadwaj przyjaciele kanclerza. Zborowskim wyznaczono miejsce opodal po drugiéj stronie: byli tam bracia Jan i Jędrzej i z nimi na czele tłumów szlachty wielkopolskiéj Stanisław Górka. Litwa stanęła za Pragą, myśląc o swoich domowych kłopotach.

Zamojski nie przychodził do sejmu, żeby nie dać powodu do kłótni gorszących. W kole zato wykrzykiwano nań i mówiono, że grozi elekcyi: kanclerz odparł, że wojsko ma dla obrony własnéj tylko, że miejsce mu wyznaczył marszałek wielki, i nawet zaczął się okopywać. Jak radzili potém w szopie jednego dnia Zamojscy, drugiego Zborowscy, jak ledwie nie przyszło raz do bitwy, jak szopę kazał prymas dawną spalić, a nową wystawić, ma to wszystko obszernie Bielski i Niemcewicz. O elekcyi długo nie było mowy, wszystko tylko o postronnych rzeczach rozprawiano.

Posłem na elekcyi od arcy-księcia tyrolskiego był Zacharyasz Geitz Koffler, który zaraz jakoś po konwokacyi przyjechał i dla swego pana pracował. Polecono mu głównie starać się o głos Zamojskiego, ale nic nie potrafił zrobić z mądrym kanclerzem, który nie wyjawiając przed nikim swojéj myśli, jak król Batory, odsyłał go ciągle do sejmu elekcyjnego. Dlatego Zacharyasz odjechał do siebie i sprawił, że na elekcyą nowe świetniejsze wyprawiono poselstwo. Cesarz słał Stanisława Pawłowskiego biskupa ołomunieckiego, czteréj zaś arcyksiążęta od siebie kogo innego upoważnili. Zdawało się im, że Maxymilian najwięcéj ma nadziei, teraz więc popierał Maxymiliana cały dom rakuski, Annibal z Kapui nuncyusz, popierał go również i król hiszpański, który Pawłowskiemu nadał także charakter poselski. Annibal wysłany był do Polski w sprawach Rzymu jeszcze do króla Stefana, ale przyjechawszy zastał osieroconą już rzeczpospolitę. Został w niéj i nadal, a Maxymilianowi zjednał na początek, prymasa Stanisława Karnkowskiego i kardynała Badziwiłła.

Batorowie tymczasem upadli. Kanclerz radził im, żeby się starali o względy sułtana tureckiego: wskazywał, że dla nich jedyny sposób osiągnięcia korony jest, żeby sułtan wdał się w wojnę z cesarzem, a przynajmniéj żeby mu wojną groził, jak przy elekcyi Stefana. Kazał téż kanclerz pilnować Batorym, żeby ich Sułtan nie zalecał do tronu szlachcie polskiéj z nazwiska: stało się przeciwnie. Zarozumiała Porta rozkazywała wyraźnie rzeczypospolitéj jednego z Batorych wybrać. List ten nadszedł do Polski, zdaje się na początku sejmu elekcyjnego; obudził zaraz krzyki, w których skonały nadzieje Batorych. Piérwszy to pojął Zamojski i dlatego posłom siedmiogrodzkim, którzy na sejm przybyli otwarcie oświadczył, że myśléć teraz można li jedy.

nie o wyborze takiego króla, któryby dla rodziny króla Stefana był najprzychylniejszy. Cesarscy wtedy, którzy jednak przeniknęli tę tajemnicę, znowu naokoło Zamojskiego podwoili usiłowania; Maxymilian i Ferdynand sami pisali do kanclerza. Obiecywali mu sprawiedliwość, łaski swoje, brali obronę jego na siebie przed Zborowskiemi; ale Zamojskiemu, powiada Tomek, chciało się przedewszystkiém takiego króla, którymby mógł kierować dowolnie, czego się przy Rakuszanach spodziewać nie mógł. Nie było to tak bardzo źle ze strony kanclerza, jak myśli Tomek. Znał on dobrze swój kraj, a król nowy przychodził do niego obcym; żeby król poznał naród i prawa polskie musiał kogoś słuchać, ulegać czyjemuś wpływowi, przynajmniéj jakiś czas: lepiéj więc dla Polski, że wpływ ten dostawał się Zamojskiemu. Jego król Batory, mądry człowiek, a słuchał, a cóż dopiéro młodzieniaszek, jakiego miała dostać Polska? Przyznajem więc Tomkowi, że ma po sobie tutaj słuszność; ale kiedy on Zamojskiego oskarżać się zdaje o ambicyą tylko i osobiste widoki, kiedy go robi prostym intrygantem, dumnym dorobkowiczem, my w Zamojskim widzim prawdziwy patryotyzm, który mu tak a nie inaczéj postępować kazał.

Maxymilian i dwór cesarski póki jeszcze była nadzieja, że Zamojskiego wciągną w swoje sieci, wystrzegali się wszelkich stosunków z Krzysztofem Zborowskim, największym wrogiem kanclerza; ale gdy nie udało się im, rzucili się zupełnie w ręce Zborowskich. Krzysztof niewiele sobie robiąc z wyroku, jakim był skazany na wygnanie, zabrał się zaraz z Moraw do Polski i wszedł do niéj na czele siedmiuset ludzi zbrojnych, jazdy i piechoty. Zamojski chciał na niego uderzyć. Jordanowi Spytkowi dał hufiec w tym celu i stosowne rozkazy; ale Spytek zdradził hetmana, opuścił obóz i przeszedł na stronę rakuzką, już poprzednio przez nią kupiony: osłabił Zamojskiego, a Krzysztof bez kłopotu

przyciągnął pod Warszawę i podniósł przez to siłę wojenną braci, która już równała się potędze Zamojskiego. Wypadek ten przyspieszył rozwiązanie całéj sprawy, hetman zląkł się: mogły go zajść jeszcze niespodzianki i odstępstwa, zniósł się z przyjaciołmi i zaczął otwarciéj działać. Koło jego nazwane czarném dla żałoby po królu, powiększało się codziennie. Oświadczył się kanclerz jawnie za Szwedem: to znaczyło, że nie myślał sam Zamojski o koronie. Daléj wiele mu pomogła ta okoliczność, że prymas przeszedł na jego stronę, obrażony przez wojewodę poznańskiego. Nietylko zaś sam przeszedł ale innych biskupów pociągnął za sobą. Popłoch wielki był w obozie politycznych przeciwników kanclerza.

D. 13 sierpnia nastąpił pokój między stronami, które się długo spierały o miejsce elekcyi; bardzo wiele do téj zgody przyczynili się posłowie rakuscy. Więc od 14 sierpnia zaczęły stany dawać posłuchania w polu zagranicznym posłom. Po nuncyuszu stanęło zaraz poselstwo rakusko-hiszpańskie w całym komplecie, bo zawierające do tysiąca ludzi; prowadzili je Jan Zborowski, Mikołaj Jazłowiecki, Stanisław Stadnicki i t. d. mowę miał biskup ołomuniecki. Tegoż dnia odprawili się Rossyanie, Siedmiogrodzanie i Brandeburgi. W sobotę 15 sierpnia sierpnia poselstwo szwedzkie i duńskie, potém od kurfirsztów niemieckich, którzy popierali dom rakuski, wreszcie poseł kurlandzki; w poniedziałek 17 mówiia miał posłuchanie poseł turecki. Zamojszczyków moc znajdowało się na tych posłuchaniach, sam kanclerz zaś nie przybył. Na te wszystkie mowy mało pospolicie zważano: był w nich czczy tylko ceremoniał, bo roboty elekcyjne odbywały się właśnie za kulisami. Posłowie rakuzcy przeczuli niebezpieczeństwo od Szweda grożące, i dlatego narzucali się znowu na pośredników pomiędzy Zamojskim i Zborowskiemi. Zgoda tych panów, gdyby ją cud jakiś spro-

wadził, była dla nich żywotną kwestyą. Żądali od kanclerza osobnego zadosyćuczynienia za śmierć Samuela i Maxymiliana przedstawiali na króla: kanclerz nie chciał na to przystać żadną miarą. Wyrzekano się zemsty; chciano tylko, żeby Zamojski przeprosił Zborowskich, wreszcie i tego zaniechano: puszczano wszystko w niepamięć, aby kanclerz tylko na Maxymiliana pozwolił. Kanclerz w tych układach każdy swój krok z góry obliczył: naprzód nie chciał przepraszać Zborowskich z uwagi, że działał przeciw Samuelowi z urzędu; co się zaś tyczyło Maxymiliana, brał to sobie do namysłu, a dobrą wolę okazywał. Naprawdę nigdy nie myślał o elekcyi rakuskich, ale chciał tém zgrabniéj wywieść w pole swoich nieprzyjaciół; chociażby do rozdwojenia elekcyi przyszło, Zamojski czuł to, że będzie miał większość za Szwedem. Większość jednak do niczego nie prowadziła, bo naprzód jednomyślności było potrzeba dla prawnéj elekcyi, a potém trzeba się było zawsze gotować do wojny ze Zborowskiemi, pomimo swojéj większości. Na wojnę odważyć się nie mógł, bo nie wiedział, jak dalece poprą go stronnicy. Ulyskiwano powszechnie i tak na długie bezkrólewie i na straty, jakie z tego powodu narażać się trzeba. Jakże tutaj teraz wystawiać się na oczywistą wojnę? Dlatego Zamojski grał rolę tajemniczego człowieka, niechcąc, by cały ciężar odpowiedzialności spadł na jego barki; milczał a przez to wiele zyskiwał, bo ci którzy Zygmunta chcieli obrać królem, wszyscy zlatywali się do niego, i złote góry mu pokazywali. Królowéj Annie zaraz doniósł o zabiegach rakuskich, toż posłom szwedzkim i siedmiogrodzkim, wybadując umysły. Anna dała 100,000 złp. na poparcie elekcyi Zygmunta, co naturalnie nic nie znaczyło; Szwedzi też niebardzo się w obietnicach posuwali: ale najserdeczniejsi byli Siedmiogrodzanie, którzy ofiarowali wszystko, żeby tylko zapobiedz było można elekcyi rakuskiéj, która naturalnie byłaby księztwo ich zgubiła.

Tymczasem w trzech kołach na jakie się rozłączyli elektorowie polscy, zbierano daléj głosy. Strona szwedzka znosiła się wciąż z rakuską, zwierzała się jéj ze swoich układów, żądała też po niéj wzajemności. Zamojski 18 sierpnia w kole swojém naparty był przez posłów rakuskich żeby dał ostateczną odpowiedź; oddalił się więc na chwilę z koła i znowu udał się po Szwedach do układów z Anną, od któréj jednak nic więcéj nie dostał: więc jeszcze raz dał niepewną odpowiedź cesarskim. Wieczorem widział się z posłami siedmiogrodzkiemi, którzy do niego przyszli do obozu zawsze pełni obietnic. Mimo to jeszcze się wahał i byłby dłużéj zwłóczył, gdyby nie książę prymas, który niecierpliwy z natury, rano przed świtem odwiedził go następnego dnia; odwiedził też i marszałka Opalińskiego i napomniał obudwóch, żeby przestali wahać się, oświadczając przytém, że gotów jest przystąpić do elekcyi. Kanclerz obawiał się dłuższą zwłoką obrazić albo nawet utracić prymasa, a wtedy i jego większość łatwoby się rozpadła: pozwolił więc na elekcyą tego samego jeszcze dnia nastąpić mającą.

Raniutko więc 19 sierpnia posłał kanclerz Rejnolda Hajdensztejna do posłów rakuskich z odpowiedzią, że na ich warunki przystać nie może. Zaczém wojsko jego, Opalińskiego i drugich panów, wyszło z obozowisk swych i rozwinęło się w szykach na polu elekcyjném. Massa szlachty kupiła się za kanclerzem, prymas i biskupi przejechali do koła czarnego, po stronie rakuskiéj został tylko biskup kijowski. Do południa trwały układy z Litwinami, których chciał Zamojski ujednać dla siebie. Poselstwa latały tam i na powrót za Wisłę i pod Wolę, ale bez skutku; więc około godziny 1széj z południa postanowiła szlachta w kole kanclerskiém, żeby zaraz przystąpić do elekcyi. Prymas mianował Zygmunta przy głośnych okrzykach. Wezwano rakuszan i Litwę, żeby przystąpili do elekcyi.

Stanisław Górka widząc, jak wojsko Zamojskiego wyciągnęło w pole, sam także ze swemi przyjaciołmi sprawił swe szyki. Rozgniewał się serdecznie na elekcyą Zygmunta, toż samo i Litwini; Zborowscy tedy zmówiwszy się z posłami mocarstw, postanowili na radzie nie uznawać elekcyi Zygmunta, jako nie na prawném miejscu nastąpionéj, i drugiego dnia nową zwoływali elekcyą. Kardynał Radziwiłł z bratem przeszli na ich stronę, z Polaków zaś było w tém kole tylko pięciu senatorów i szlachty nie wielki poczet. Skasowano tam naprzód wyrok na Krzysztofa Zborowskiego wydany; potém postanowiono, że za śmierć Samuela, Zamojski będzie pozwany na sądy. Do Litwy umizgając się prosili Maxymilianowscy Radziwiłła, żeby ich pojednał ze swemi ziomkami, ale na próżno; uparci Litwini zachowali neutralność: nastawali na Zborowskich żeby nie obierali nowego króla, nastawali na Zamojskiego żeby wstrzymał się od dalszych kroków, podawali sposób swój, żeby w ostatecznym razie ciągnąć na losy pomiędzy Zygmuntem, Maxymilianem a carem: téj rady nikt słuchać nie chciał. Więc na dniu 22 sierpnia w kole wielkiém stała się druga elekcya pomiędzy 8mą a 9tą: późniéj biskup kijowski mianował Maxymiliana. Nazajutrz Te Deum u Bernardynów śpiewał kardynał Radziwiłł a Jędrzéj Zborowski ogłaszał króla. Litwini protestując przeciw obudwom elekcyom odjechali.

Który teraz z królów obranych miał prawo za sobą? Jednomyślności nie pozyskał ani Zygmunt ani Maxymilian. Szwed miał większość szlachty po sobie, ale Maxymilian więcéj formalności prawnych. Do tego Litwa nie uznawała ani téj ani drugiéj elekcyi i obiecano jéj, że przed obiorem sprawy litewskie sejm zagodzi, a nie stało się temu zadosyć! Zygmunta mianował prymas, to prawda; miał też królewic szwedzki więcéj po sobie senatorów: ale Zamojski dopuścił się teraz błędu, który dawniéj na elekcyi Batorego wybor-

com cesarza Maxymiliana wyrzucał, i dlatego ich roboty uznawał za nieprawne, to jest obierał nie na polu elekcyjném. Miecz mógł rozstrzygać wśród tylu niepewności; obiedwie też strony nie zaspały sprawy. Wysłano Leśniowolskiego do Szwecyi, senatorów zaś do Gdańska na przyjęcie Zygmunta; potém do cesarza (26 sierpnia), który wtenczas znajdował się w Pradze, z ostrzeżeniem, żeby brata swego wstrzymał od wszelkich pokus wojennych, bo jego elekcya nieważna. Rozpisano też zjazdy po województwach dla poparcia elekcyi szwedzkiéj, nowy sejm zwołano do Wiślicy na dzień 5 października. Zamojskiemu polecono czuwać nad obroną granic od strony cesarstwa, pozwolono mu na ten cel użyć dochodów ziemskich. Rakuszanie też wysłali do swego króla w poselstwie biskupa kijowskiego i kasztelana gnieźnieńskiego.

Nim to się wszystko jakoś urządziło, obiedwie strony dni kilka jeszcze leżały obozowiskami pod Warszawą. Szwedzcy musieli jeszcze ogłosić króla; zwyczaj chciał, żeby ten obrzęd odbywał się w kościele ś. Jana: a gdy Zborowscy bliżéj leżeli miasta jak kanclerscy, Zamojski ostrożnie działając, rozstawił swoje szyki tak, żeby zabezpieczyć się od tyłu: wjechał potém na czele kilku hufców zbrojnych do miasta i tam króla ogłosił w kościele, bo marszałek do którego to z urzędu należało, poróżniwszy się znim, zaraz po elekcyi odjechał do domu. Następnie 27 sierpnia w największym porządku kanclerz ruszył do Krakowa z pod Woli, stolicę zajął bez kłopotu, bo wojewodę i starostę krakowskich miał po sobie; 8 września wjechał do miasta; za nim waliła się szlachta. Strona rakuska zaś rozlazła się: Górka pojechał do Wielkiéjpolski zbroić się i zapalać umysły, a bracia Zborowscy Krzysztof i Andrzéj ciągnęli z Zamojskim do Małéjpolski, postępując ciągle po jednéj z nim wysokości, troszkę od niego na lewo, po większéj części przebierając się leśnemi drogami

w nocy. Na dzień przed wjazdem kanclerza do Krakowa, Krzysztof nagle napadł na Wiślicę i opanował ją, chcąc sejmu tutaj zwołanego niedopuścić; Jędrzéj zaś wpadł do Stobnicy, pojmał do niewoli Stanisława Tarnowskiego starostę sandomierskiego i zaprowadził go do Wiślicy, ale po kilku dniach wypuścił.

Maxymilian tymczasem w Ołomuńcu oczekiwał na skutek elekcyi. Tutaj przyjął poselstwo polskie, poczém w obec wielu panów, którzy się z różnych stron cesarstwa zjechali, i w obec posłów złożył przysięgę na pakta konwenta (27 września) i zaraz wyruszył do Polski na czele zbrojnych hufców. Do Zamojskiego pisał tylko i oznajmiał mu, że idzie do swojego królestwa; a jakby nic nie wiedział o tém co się stało na sejmie, wyjawił kanclerzowi nadzieję, że wierność dla niego zachowa, jako dla wybranego króla. Nie było jeszcze wtedy pewności czy Zygmunt, a raczéj ojciec jego przyjmie ofiarowaną sobie koronę, a potém czy królewic zdąży na czas do Polski. Arcyksiążę całą swoję nadzieję pokładał w pośpiechu; myślał że skoro się tylko ukaże w Polsce, stronnictwo jego wzrośnie na siłach; spodziewał się niepłonnie, że i główny jego przeciwnik Zamojski namyśli się lepiéj, kiedy Zygmunta prędko nie zobaczy. Ale kanclerz odpowiedział 28 września stanowczo, że Maxymiliana do Krakowa nie puści, we wszystkiém zresztą spuszczał się na przyszły sejm wiślicki.

Chociaż Wiślica zostawała w ręku Zborowskich, kanclerz jednak dla powagi prawa gotował się do sejmu. Zdawszy obronę Krakowa Zebrzydowskiemu, wybrał się z wojewodą krakowskim i ze swemi przyjaciołmi 3 października do Wiślicy. Drugiego dnia stanął w Szkalbmierzu i na noc ruszył daléj w drogę, a ranniutko w dzień naznaczony stanął niedaleko miasta po prawéj stronie Wisły i opanował most na téj rzece prowadzący do Wiślicy. Zborowscy musieli się zamknąć

w mieście, a sejm rozpoczął swoje posiedzenie w polu pod namiotami po drugiéj stronie rzeki, dnia 7 października. Chociaż głównie rej na nim wodził Zamojski, jednak odważyli się Maxymilianowscy stanąć na nim w obec kanclerza i dowodzili, że wybór Zygmunta był nieprawny. Ale tłum ich zakrzyczał, oddalili się więc cokolwiek i w oddaloném miejscu tém naradzali się. Zamojski wziął głos: mówił wiele o swoich zasługach dla ojczyzny, o bezinteresowności swéj, o nieprzyjaciołach kraju, którzy chcą rzeczpospolitą podać w niewolę obcemu królowi, o potrzebie dzielnego oparcia się, o poświęceniu majątku i życia dla ojczyzny; tylko nic nie natrącał o teraźniejszości, lękał się albowiem żeby czasem nie pobudzić tłumów, któreby może daléj zaszły jakby chciał kanclerz. Sejm nie zgadywał téż myśli Zamojskiego i milczał w téj materyi. Nazajutrz ogłoszono stronników Maxymilianowych za nieprzyjaciół ojczyzny (8 października); ogłoszono konfiskatę na tych, którzyby pod chorągwie Zygmunta nie stawali: wreszcie postanowiono wysłać do arcyksięcia, Jana Tarłę wojewodę lubelskiego, żeby się nie fatygował napróżno, bo już król prawy Zygmunt szwedzki, (jak wieści były) stanął w granicach koronnych i odbędzie koronacyą, któréj naznaczony dzień 27 listopada. Arcyksiążę wysłał téż na sejm wiślicki Chojeńskiego, ale go stany zebrane nie dopuściły.

Tymczasem Maxymilian postępując Szlązkiem, zbrojno przybliżył się do granic koronnych. Miał z sobą 2,000 jazdy a 4,000 piechoty. Z drogi posłał jeszcze raz do kanclerza Felicyana Herbersteina z nowemi warunkami i zaklinaniami. Spóźnił się Herberstein, bo Zamojski już poprzednio wyjechał do Wiślicy. Poseł czekał chwilkę: kiedy kanclerz powrócił, trudno już z nim było mówić, bo Zygmunt był w Gdańsku; sam Herberstein widział, że rokować przyjechał za-

późno, i tylko, że widział się z kanclerzem. Kanclerz też zaledwie co odpoczął w Krakowie, już wyszedł w pole ku Olkuszowi (11 paździer.). Chciał przejąć Zborowskich, sądził albowiem, że z Wiślicy będą ciągnąć ku granicom szlązkim do swego króla. Ale Zborowscy przeczuli nieprzyjaciela, i lękając się z nim bitwy, obeszli więcéj na północ Olkusz i szczęśliwie złączyli się z Maxymilianem na czele 2,500 ludzi. Arcyksiążę na ziemi polskiéj rosnął w siły. Mikołaj Jazłowiecki przyprowadził też do niego kilkaset piechoty i jazdy, tak, że całe wojsko rakuzkie wynosiło do 10,000: z tą siłą ciągnął arcyksiążę od Bytomia ku Olkuszowi. Wtém Zamojski przejął w drodze list Jędrzeja Zborowskiego do Jana brata, w którym było, żeby pojmać posłów sejmu wiślickiego jadących do Maxymiliana. Kanclerz zaraz więc skazał do Krakowa, żeby tam zatrzymano aż do jego powrotu Herbersteina jako zakładnika; sam też powrócił czémprędzéj do stolicy, żeby ją przygotować do obrony, widząc, że z wyprawą swoją chybił celu. Trzeciego dnia dopiéro potém arcyksiążę ujrzał Kraków, a nazajutrz rozwalił się pod murami miasta. Zamojski zaraz wyprowadził swoich do boju przed bramy, ale popłoch go zdradził: ludzie jego zaczęli zmykać do miasta przerażeni widokiem nieprzyjaciela. Mówiono, że gdyby arcyksiążę korzystał z chwili i uderzył na Kraków, byłby odniósł zwycięztwo i został królem polskim. Ale i arcyksiążę się wahał, nie zaczynał bitwy; owszem jeszcze tego samego dnia cofnął się na milę od Krakowa pod Mogiłę (6 paździer.). Tutaj się rozłożył częścią po wsiach, częścią w obozie i naraził się przez to na klęskę: posiłkowe jego pułki albowiem, które nadciągały z Łużyc i Szlązka napadnięte zostały przez Gabryela Hołubkę, który na Rabsztynie pod Olkuszem dowodził i pobite: arcyksiążę nawet nie myślał, żeby się zabezpieczyć można było od

Hołubka. Rozpoczynały się na nowo układy, przyjął posłów wiślickich, ale nie uznając w nich posłów rzeczypospolitéj, tylko Zamojskiego. Dowiedziawszy się o zatrzymaniu Herbersteina w Krakowie, kazał zatrzymać Tarłę i jego orszak. Stany obecne w stolicy postanowiły wtedy wolno puścić Herbersteina do obozu arcyksięcia, ale pod warunkiem, żeby wracał na przypadek, gdyby arcyksiążę nie chciał wypuścić Tarły. Maxymilian uwolnił więc najprzód wojewodę lubelskiego (17 października), a potém i drugich posłów polskich (20 października). Z niemi znowu posłał Herbersteina z pełnomocnictwami do układów. Stany wysłały znów do Maxymiliana i oświadczyły się jawnie, że go za króla nie uznają (23 października); na co Maxymilian odparł w podobnyż sposób (25 paździer.). Tak stały rzeczy jednakowo bez żadnéj zmiany ostatnich dni października aż do listopada. Poselstwa tam i nazad jeździły, a każde coraz szersze i obszerniejsze przywoziło z sobą prawa, wywody i dowody. Stany polskie wyprawiły też listy do sejmu węgierskiego do Prezburga; domagały się w nich, żeby Węgry Maxymilianowi nie pomagały (28 października). Listy te jak się zdaje rozpaliły sejm prezburgski: dosyć i tak wrzał niecierpliwością, teraz rozwinął się w uragan.

A Zygmunt był już, jak mówiliśmy, w Gdańsku. Z początku ojciec nie chciał go puścić, z powodu, że podwójna stanęła elekcya; przyczyniła się do téj króla niechęci okoliczność, że Maxymilian pisał do niego, oznajmując, że królem został i żądając, aby mu żadnych przeszkód nie stawił. Posłowie polscy w Sztokolmie, a najwięcéj Leśniowolski widząc złą wolą króla Jana, zaczęli grozić, że obiorą w rzeczypospolitéj cara, aby wydrzeć z rąk szwedzkich Inflanty. Ustąpił wtedy Jan i odesłał syna do Gdańska na dwudziestu statkach z przyboczną radą, z napomnieniem,

żeby nie przyjmował korony aż pod pewnemi warunkami. Zygmunt stanął 2 października przed Gdańskiem, ale na ląd nie wysiadł wcale, tylko zaprosił do siebie posłów polskich, dopytując się o warunki. Ale burza zmusiła go, że rad nie rad wylądował w Oliwie. Tutaj trzy dni trwały rokowania co do warunków, przeciw którym już posłowie szwedzcy na sejmie elekcyi protestowali. Nasi chcieli, żeby Inflanty całe i Estonia należały do Polski; król Jan nie mógł na to zezwolić i nie chciał: stany szwedzkie toż samo. Zygmunt dowodził, że nie może ustępować tego, co posiada ojciec jego za życia. Posłowie polscy, którym głównie chodziło o to, aby nie dostać króla rakuzkiego przystali na to, że upominać się nie będą o kraje sporne, dopóki Jan szwedzki żyje; więc Zygmunt przyjął koronę i przysiągł na pakta w kościele oliwskim (7 października), nazajutrz uroczyście wjechał do Gdańska i tamże w kościele Dominikanów był powtórnie ze wszystkiemi obrzędami ogłoszony za króla (11 października). Zapóźno już doszedł go tutaj rozkaz ojcowski w dniu 16 października, żeby porzucił wszelkie rokowania z Polakami i powrócił do domu. Zygmunt albowiem po 10-dniowym pobycie w Gdańsku, przez Malborg i Toruń ruszył daléj do swojéj korony (18 października).

Prowadził z sobą Zygmunt ze Szwecyi wszystkiego 800 piechoty i 80 jazdy, do czego przybyło kilkaset najemników niemieckich; ale po drodze od Torunia do Piotrkowa powiększył się znakomicie jego orszak, albowiem szli witać króla, to marszałek Opaliński, to Albert Łaski wojewoda sieradzki, to inni panowie polscy, a każdy na czele zbrojnych oddziałów. Przysłał też ludu swego cokolwiek prymas, toż i drudzy biskupi; królowa Anna wyprawiła kilkaset najętego wojska naprzeciw siostrzeńca, wreszcie i drobniejsza szlachta zbiegała się tłumnie z okolic, przez które

król przejeżdżał, Mazury, Wielkopolanie, Kujawianie i obóz Zygmuntowski rosnął. W Piotrkowie zatrzymał się nawet król na kilka dni, żeby dać czas do zebrania się hufcom szlachty, która tłumnie spieszyła na jego powitanie.

Układy w Oliwie skończyły się tego dnia, kiedy i sejm wiślicki. Maxymilian, który tylko co przeszedł granice Szlązka, chciał raz jeszcze sprobować, czy mu się nie uda odwrócić Zygmunta od korony: napisał więc do niego list w drodze, ale Szwed zabardzo już zaszedł daleko, żeby się cofał i odpowiedział arcyksiążęciu z Piotrkowa odmównie (7 listopada). Przepadła już i nadzieja przeciągnięcia Zamojskiego, więc nic nie zostawało więcéj, krom broni. Wyprawił Maxymilian silny oddział swego wojska naprzeciw Zygmunta z rozkazem, żeby na niego uderzył w Piotrkowie. Niemców prowadził Erazm z Lichtensteinu, Polaków zaś Krzysztof Zborowski i Stanisław Stadnicki. Podjazd ten nagle w Przedborzu napadł na oddział 80 jeźdźców Opalińskiego i opanował miasto, z którego do Piotrkowa tylko 5 mil było. Popłoch jaki powstał w obozie Zygmunta widocznie okazał, że wszystko zależy od losu wojny. Szlachta wielkopolska najprzód, a za jéj przykładem wszystka, która tylko do Zygmunta przyciągnęła, rozpierzchła się na wszystkie strony i powróciła do domów, niechcąc za swego pana głową nakładać. Większa część senatorów także rozjechała się, a ci z nich, którzy doczekali końca, bardzo wdzięczni byli Zygmuntowi, kiedy ich wyprawił w orszaku siostry swojéj Anny do Warszawy dla powitania królowéj wdowy. Zostali przy Zygmuncie tylko najemnicy, nad któremi objął dowództwo Albert Łaski i Jędrzej Opaliński. Dwie nocy czuwał obóz szwedzki w Piotrkowie, lada chwila oczekując na nieprzyjaciela, a potém król zwinął obóz i cofnął się ku Warszawie, żeby pokryć swoje zamysły. Tak doszedł aż do Rawy, ztąd

dopiéro skręcił na prawo, ciągnął przez Nowe-miasto aż do Pilicy i Wisły. Pod Korczynem przeprawił się przez Wisłę i ztąd po prawym brzegu rzeki postępował sobie bezpiecznie do Krakowa. Nie miał arcyksiążę dobrych generałów, żeby korzystali z téj zwłoki. Podjazd przedborski albowiem dowiedziawszy się od jeńców o wielkiéj sile szlachty, która zbiegła się pod Piotrkowem, zląkł się i daléj krokiem już nie ruszył, a kiedy Zygmunt poszedł do Rawy, cofnęli się i oni i połączyli z arcyksięciem.

Maxymilian tymczasem dostał posiłki od Stanisława Górki i Mikołaja Jazłowieckiego. Złożył w połowie listopada zjazd swoich stronników pod Mogiłą, ale mało było tam panów i szlachty: do tego czas niestosowny, więc się nic nie zrobiło. Ostatni raz do Krakowa skazał, żeby go za króla uznali (19 listopada): odmówiono; więc arcyksiążę 23 listopada znów wojsko swoje sprawił w szyk bojowy i wyciągnął z pod Mogiły na Kraków. 25go skoro świt uderzył na stolicę. Najlepsza piechota rakuzka, huf tysiączny jazdy i 1000 Polaków pod wodzą Górki, Jazłowieckiego, Stadnickiego i Zborowskich uderzyło razem na przedmieście. Zamojski silnie osadził Kleparz. Za niemi szła artylerya, w odwodzie stała reszta wojska gotowa do boju. Piérwszy silny atak, pomiędzy obrońcami miasta sprawił jakiś popłoch, ale Zamojski z miasta spieszył na odsiecz swoim i sprawę podniósł. Odparł napaść, potém zrobił wycieczkę, pobrał działa i wojsko Maxymilianowe rozciął na dwie połowy tak, że potém nastąpiła zupełna porażka. Legło ze strony niemieckiéj 1564 ludzi, a pomiędzy niemi kilku z panów; jeńców także wiele dostało się Zamojskiemu. Szczegóły większe o téj bitwie ma Bielski w dalszym ciągu swojéj Kroniki (strona 78): podług niego strata Niemców do 2,000 wynosiła, co zbliża się do podań naszego Tomka.

Klęska Maxymiliana otworzyła drogę Zygmuntowi do Krakowa.

Kiedy Zamojski doniósł mu o zwycięztwie, Zygmunt już przeszedł Wisłę pod Korczynem i 9go grudnia odbył wjazd do Krakowa. Nadciągnął też do stolicy Baltazar Batory brat kardynała Jędrzeja z 800 jazdy i 1,200 piechoty, prosto z Siedmiogrodu, wedle umowy zawartéj z kanclerzem; nastąpiły spory o Estonią, za którą mocno Zamojski ujmował się; ale Zygmunt uparł się mocno przy warunkach poprzysiężonych w Gdańsku, i koronował się w niedzielę po Bożém Narodzeniu (27 grudnia).

Maxymilian zaś zmykał od Krakowa i oparł się dopiéro w Siewierzu; odpocząwszy tutaj dni kilka, ciągnął daléj ponad granicami szlązkiemi aż ku Krzepicom. Stanął znowu oczekując na posiłki z Morawy i z Węgier, z któremi na nowo myślał rozpocząć wojnę. Ale choroby zarażały jego wojska i musiał daléj uciekać. Nie chciał jednak wyjść za granicę do Szlązka z granic koronnych, chociaż prędzéjby tam mógł się połączyć z nadciągającemi posiłkami, gdyż lękał się i tego wpływu, jakiby wywarło na umysły jego dobrowolne opuszczenie królestwa. Ciągnął daléj na północ ku Wieluniowi na 20 mil od Krakowa, dobył bez trudności tego miasta i rozwinął się pod niém w obozie. Pora roku była ciągle dżdżysta i niezdrowa, drogi błotem zawalone, co także było i Zamojskiemu powodem, że nie ruszył w pogoń za arcyksięciem i kilka tygodni przesiedział w Krakowie. Na imię Maxymiliana tymczasem w grudniu opanowano Lubowlę na Spiżu. Ztąd niedaleko było do stron halickich, które arcyksięciu sprzyjały. Dla czynienia więc tam stronników podupadłych na duchu, Mikołaj Jazłowiecki wyruszył zpod Wielunia do Czerwonéj Rusi, a Jan Zborowski do Prus: obadwaj mieli działać na korzyść Maxymiliana.

Ale Zamojski czuwał i nie pozwalał się poruszać rakuszanom: póty zwłóczył, póki widział tego potrzebę. W połowie stycznia nowego roku 1588, kiedy po błotach mrozy nastały, wyciągnął kanclerz pod Wieluń spiesznym krokiem, żeby na Maxymiliana uderzyć przed nadejściem posiłków. Maxymilian na samą tę wieść usunął się za granicę do miasteczka Byczyny, żeby się zbliżył do swoich. 23 stycznia Zamojski przybył na noc do Dziekanowa o pół mili od Wielunia; tutaj się dowiedział, że Maxymilian ustąpił, nie czekając więc chwili ruszył téjże nocy za nim i o 10 téj rano d. 24 stycznia rozwinął szyki swoje w obliczu wojsk Maxymilianowych pod Byczyną. Rano tegoż samego dnia posiłki morawskie i węgierskie pod wodzą Walentyna Prepostwara weszły do obozu arcyksięcia. Obiedwie strony gotowały się więc do bitwy. Maxymilian oparł o górę w małém oddaleniu od Byczyny lewe skrzydło swoje, na którém sam się znajdował; górę tę opatrzył ciężką artyleryą. Tutaj piérwszy bój się zawiązał z ciężką stratą Zygmuntowskich. Hołubek, który dowodził na krańcowém skrzydle ich, poległ, ale w środku Zamojski był szczęśliwszy. Na jedném skrzydle (Maxymiliana prawém) zawrzał krwawy bój między Węgrami Prepostwara a Siedmiogrodzianami Batorego. Prawe skrzydło Maxymiliana było rozbite i uciekło, a jednocześnie Zamojski przyparł jazdę niemiecką i morawską w środku i na lewém skrzydle. To stanowiło o losie bitwy: piechota od jazdy opuszczona, całkiem poległa. Arcyksięcia Erazm z Lichtensteinu uprowadził, wziąwszy konia jego za uzdę i do Byczyny zawiódł. Wojsko jego rozpierzchło się: 4,000 ludzi padło trupem.

Zamojski nie tracąc chwili jednéj napróżno, zaraz tego dnia obległ Byczynę i szedł do szturmu. Już ludzie jego siekierami bramy miejskie rozbijali, kiedy Maxymilian wystąpił z układami zrzekając się korony

polskiéj. Ale Zamojski nie przestał na tém; żądał, żeby się Maxymilian poddał w niewolą ze swoimi na łaskę i niełaskę, obiecując razem, że będzie go trzymał tak długo, aż stanie pokój pomiędzy rzecząpospolitą a cesarzem i nagrodzenie szkód; przyczém zapewniał arcyksięcia, że wszystko co należy jego urodzeniu i godności otrzyma w niewoli. Maxymilian widział, że nie będzie mógł wybrnąć z téj toni inaczéj i odtąd całą usilność swoję obrócił na to, żeby zabezpieczyć los tych panów polskich, którzy mu wierności dotrzymali do końca.

Był z nim Stanisław Górka, Jędrzej Zborowski, Stanisław Czarnkowski i t. d. Niektórzy, jak biskup kijowski i Stanisław Stadnicki w ciągu bitwy umknęli do Wrocławia. Zamojski obiecał im życie i cześć, zdając resztę na wyrok króla i sejmu. Maxymilian więc wyjechał z miasta za mury, gdzie przyjęty został z uroczystością przez Zamojskiego, który go na umówioném miejscu poprzednio już oczekiwał.

II.

Skutkiem bitwy pod Byczyną był nowy upadek nadziei rakuzkich. Stronnicy Maxymiliana ogłoszeni wrogami ojczyzny, jak mogli zabiegali o łaskę Zygmunta, którego Litwa jeszcze przed koronacyą uznała, ale któremu dopiéro po bitwie byczyńskiéj przysięgła. Dwór cesarski teraz o to jedynie miał staranie, żeby co prędzéj uwolnić z Krasnegostawu znakomitego więźnia. Ale w jaki dojść do tego sposób? różne były zdania i sądy.

Na zgromadzeniach najwyższych urzędników czeskich i osób znakomitych, które się w Pradze odbywały w miesiącu marcu, odzywały się głosy za dalszém prowadzeniem wojny. Inne głosy hamowały ten wo-

jowniczy popęd; ztąd wahanie się i zwłoka aż do nowego zjazdu złożonego w Pradze na początku sierpnia, na który zjechali się wszyscy celniejsi członkowie dynastyi, jakoto: stryjowie cesarscy, arcyksiążę Ferdynand tyrolski, Karol styryjski i bracia Ernest i Maciej, każdy z doradcami, a potém znakomitsi członkowie stanów czeskich, morawskich i szląskich. Na zjeździe tym przeważyło zdanie, żeby prowadzić układy pokojowe. Postanowiono prosić Polaków, żeby wysłali na pogranicze poselstwo, które mogło stanąć w miasteczku Będzinie, posłowie zaś cesarscy mieli zjechać do Bytomia do Szląska. Cesarz żądał do tego pośrednictwa Rzymu, więc Syxtus V wyprawił nadzwyczajne poselstwo do Polski—kardynała Aldobrandiniego. Sam dwór rzymski pilnie o tę zgodę zabiegał, bo szła tutaj rozprawa pomiędzy dwoma państwami katolickiemi, które wielkie już położyły zasługi w walce przeciw reformie, zatrzymując większe jéj rozwijanie się.

Na czele poselstwa cesarskiego znajdowali się pan Wilhelm z Rosenberga dobrze znany w Polsce. Wiele wprzódy zażyto starania, zanim namówiono Wilhelma do tak trudnéj posługi. Cesarz do niego sam pisał i potém prosił o toż samo Maxymilian z Krasnegostawu (4 września), ale Rosenberg wymawiał się: „nie dałem do tego przyczyny, nie radziłem, powiadał, aby Maxymilian ciągnął do Polski". Rudolf cesarz znowu własnoręczny list pisał (19 września), a ustnie namawiał Wilhelma najwyższy kanclerz Adam z Hradca, który umyślnie przyjechał do niego do Trzebonia; po długiém wahaniu się, uległ pan i dopiéro 1go grudnia przyjął poselstwo. Późno już 29 grudnia wybrał się w drogę i 10 stycznia przyjechał do Bytomia.

Orszak posła wielkiego składali z Czechów Krzysztof Popelz Lobkowic, z Rakuszan Rychard Strein, który pracował za cesarza Maxymiliana II w sprawach polskich, z Węgrów Mikołaj Isztvansky (Istvanfi), a z in-

nych rajców cesarskich Seifrid Promnitz i Jan Kobentzl biskup i ołomuniecki i jaworzyński (Raab). Na czele poselstwa polskiego znajdował się biskup kujawski, lubo kanclerz sam brał udział w układach. Aldobrandini przyjechał do Będzina razem z Polakami i zaraz nazajutrz po przyjeździe swoim odwiedził go w Bytomiu (10 stycznia). Poselstwo znosić się mogło z sobą tylko przez pośredników, jako jedno od drugiego o pół trzeci mili oddalone. Kardynał więc, jako pośrednik, tu i tam raz wraz przejeżdżał, naturalnie zatém rokowania tak spiesznie iść nie mogły. Przeciągnęło się tedy do ośmiu całych tygodni, rachując od przyjazdu Willielma na miejsce.

Polacy naprzód żądali, żeby cesarscy oddali im Lubowlę; potém, żeby cesarz i cały dom rakuzki zobowiązał się przysięgą, jako nic nie mając do Polski, wojny z nią prowadzić nie będzie z powodu ostatniéj elekcyi, żeby Maxymilian zrzekł się tytułu króla polskiego, żeby nagrodzono szkody i straty. To żądanie stawili w Bytomiu wojewodowie rawski i brzeski. Trwały układy kilka czasów, nareszcie zgodzono się, że Maxymilian wolny będzie od 8 marca, ale pod temi warunkami: Lubowla będzie oddaną Polsce, Zygmunt wyprawi na dzień 20 kwietnia posłów do Pragi z żądaniem, żeby cesarz dla świętego pokoju i uszanowania papieża jako pośrednika, zapomniał obrazy, poczém najdaléj do 15 maja ma nawzajem wyprawić do Polski poselstwo z tém, że chce pokoju i zgody sąsiedzkiéj. Następnie król polski w obec cesarskich posłów i stany mieli przysięgać na pokój, cesarz potém w obec posłów polskich u siebie, razem ze stanami Czech, Węgier, Morawii, Szląska i Rakuszan. Wszystko to ma się skończyć najdaléj do ostatniego lipca. Maxymiliana odprowadzą Polacy z honorem na granicę szląską, gdzie arcyksiążę przysięgnie, że zrzeka się korony.

We dwa dni po podpisaniu warunków pokoju, Wilhelm z Rosenberga odjechał z Bytomia (10 marca), 23go był w Pradze i miał nazajutrz posłuchanie u cesarza, a 2go kwietnia z Rychardem Streinem razem zdawali sprawę ze swego poselstwa. Cesarzowi najwięcéj chodziło o tę osobną przysięgę, którą miał składać Polakom; rzeczywiście byłto nadzwyczajny warunek, niepraktykowany, ubliżający majestatowi. Zatwierdził tedy Rudolf pokój, ale pozostawił sobie dalsze układy względem warunków o przysięgach; chciał, żeby zamiast tego i on i król Zygmunt dali tylko piśmienne zaręczenie względem pokoju lub coś podobnego. Potwierdzenie cesarskie nastąpiło 7 kwietnia i zaraz tegoż dnia dał o tém znać Rosenberg Zamojskiemu, prosząc go, żeby starał się o przyjęcie zmian w sojuszu, które w żadnym razie szkodzić wzajemnéj zgodzie sąsiedzkiéj nie mogły.

Tymczasem sejm polski już zatwierdził w całości ugody bytomskie. Do tego Zamojski nie bardzo był skłonny do zmian projektowanych przez cesarza. Kanclerz chciał koniecznie upokorzyć dom rakuzki. Za jego téż wnioskiem sejm naradzał się nad tém, żeby dom rakuzki na zawsze wyłączyć od tronu polskiego. Byłby dokonał swego, gdyby nie prymas, który nie tak był zaciętym nieprzyjacielem Austryi. Wybrano posłów do cesarza, na czele ich Ostroróg: mieli jechać po przysięgę. Stanęli 18go kwietnia w Pradze, a 24go cel swego poselstwa wyrazili cesarzowi na posłuchaniu. Rudolf także wyprawił posłów do Polski pod przewodem Jędrzeja biskupa wrocławskiego a najwyższego hetmana (hejtman) ziemskiego w Szląsku; w instrukcyi z dnia 5 maja biskup miał, żeby starał się u króla i rad jego o zwolnienie z téj przysięgi lub przynajmniéj odłożenie jéj do osobnego zjazdu, który miał nastąpić pomiędzy królem a cesarzem; a gdyby zjazd ten nie przyszedł do skutku w ciągu

lat dwóch, wtedy dopiéro, żeby cesarz i król przysięgali jak postanowiono w Bytomiu, gdyby jeszcze pozostała jaka z któréj strony dla układów nieufność.

Nie zrobił nic biskup wrocławski, bo Zamojski stał mu na drodze, więc zastosował się do drugiéj połowy instrukcyi swéj i był przytomny przysiędze Zygmunta oraz stanów koronnych i litewskich, która się odbyła na sejmie (15 maja). Po odebranie przysięgi od cesarza, 24 czerwca, zjechało się znakomite poselstwo polskie do Pragi pod przewodem kardynała Radziwiłła i wojewody krakowskiego Firleja. Cesarz wykonał przysięgę w uroczystém zebraniu dworu dnia 10 lipca, a po nim według rozejmu stany czeskie, morawskie, szląskie i rakuskie, toż wszyscy arcy-książęta wydali od siebie zaręczenia na piśmie. Tylko stany węgierskie odrzuciły przysięgę, bo nie było po ich woli i chęci oddanie Lubowli. Gdy zaś wina tego nie leżała na cesarzu, razem z wracającemi posłami polskiemi wyprawiony był do nas rajca czeski (nad appellacyami) Daniel Printz z Buchowa (14 lipca), który miał starać się o to, żeby bez przysięgi węgierskiéj, Maxymilian był wypuszczony na wolność.

Dotąd aczkolwiek pomiędzy szczegółami, które Tomek przytaczał, znajdowaliśmy rzeczy przez naszych historyków nie zapisane, ogół jednak całéj téj sprawy i bieg jéj był w ogóle znajomy. Ale od tego miejsca, na którém stanęliśmy, nowe zupełnie widoki roztaczają się przed nami. Wiémy z wielu utyskiwań spółczesnych, że król Zygmunt III zaraz po swojém wstąpieniu na tron, miał się umawiać z dworem rakuskim o koronę polską; powtarzano podówczas, że jéj chciał ustąpić arcy-księciu Ernestowi. Narzekania te w swoim czasie musiały być bardzo głośne, skoro echo aż do dziśdnia żale szlachty nam przyniosło. Niemcewicz już przed czterdziestą laty natrafiwszy na ślady tych żalów, zapisał je w swoich dziejach panowania

Zygmunta; ale znając jak podejrzliwym jest zawsze rządzony względem rządu, mając w rękach dowody, jak szlachta nasza wiecznie królom nie ufała i sądziła, że dla dobra rzeczypospolitéj musi walczyć libertas cum majestate; zastanawiając się nad tą namiętnością polityczną, zwaliliśmy raczéj to podejrzenia i żale na karb owéj nieufności, na potrzebę walki i to nam długo aż dotąd prawie wystarczało: jedném słowem nie wierzyliśmy wcale szlachcie i trzymaliśmy raczéj stronę króla, sądząc, że cierpiéć niewinnie musiał na swojém stanowisku. Dlatego nawet potém, kiedy Zebrzydowski w rokoszu głośno utrzymywał, że król chciał zdradzić kraj i spiskował przeciwko niemu; że chciał oddać koronę mocą jedynie układów tajnych domowi cesarskiemu, niepytając się wcale o to narodu, i nogami przez to samo popierając wolną elekcyę królów, t. j. rząd jaki sobie stany koronne i litewskie ustanowiły na sejmie lubelskim unii, znosząc de facto, zmuszając wreszcie rzeczpospolitą do przyjęcia dziedzicznéj dynastyi i innych warunków społecznego żywota; sądziliśmy, że i rokosz i Zebrzydowski w oskarżeniach swoich przesadzał, t. j. że znowu na karb korony kładł niebywałe rzeczy. Wiémy, że nie jedynym powodem do rokoszu, ale jedną z pobudek, które zapalały płomień ów w rzeczypospolitéj, były stosunki króla do rakuskiego domu, przeciw któremu szlachta miała historyczną uzasadnioną niemiłość: wielki Zamojski był przez całe życie otwartym i jawnym wrogiem téj rodziny. Małżeństwa Zygmunta III z dwiema Austryaczkami, niezmiernie wiele krwi popsuły szlachcie, a jakkolwiek w małżeństwach tych nie było nic szkodliwego dla rzeczypospolitéj, owszem Zygmunt znajdował w związkach tych szczęście zupełne i spokój domowy; szlachta zbyt się już nam zdawała podejrzliwą, kiedy przepowiadała królowi nawet niebłogosławieństwo niebios, że brał siostrę po siostrze. Otóż naczytawszy się tych skarg i w rokoszu nawet go-

towiśmy byli trzymać stronę króla i jego małżeństw, niewidząc nic w nich złego, a nawet gotowi byliśmy z hetmanem Żołkiewskim „przeciwko braci wojować choć wbrew sumieniu", bo inne zarzuty rokoszu ważne być mogły, zarzut zaś co do małżeństw był w oczach naszych śmieszny. Jakże inaczéj tę rzecz teraz wystawia Tomek! Mając dostęp do archiwów austryackich, znalazł w nich całą prawdę, a na nieszczęście nasze, prawda jest tą razą po stronie szlachty. Król Zygmunt III zaraz po przybyciu do Polski znosił się z domem rakuskim, i faktem jest dowiedzionym, że przeciw prawom narodowym umawiał się o Polskę z Niemcami, chciał ją wydać im w ręce. Rzecz ta jednakże w głębokiéj aż dotąd była tajemnicy, skoro szlachcie nie wierzyliśmy. Cała rzecz w tém, że szlachta nie odezwała się jawnie i głośno przeciw temu frymarczeniu, a raczéj że nie umiała wniosków swoich i poślak popierać dowodami. Wiedziała, że się coś święci, ale tego co się święci, ująć w żaden sposób nie mogła: cała intryga wymykała się z jéj ręku. O! czegóżby potrzeba, żeby szlachta miała po swojéj stronie dowody! Zygmunt niezawodnieby tron stracił przez generalną konfederacyą obrażonego w najdroższych swych uczuciach i prawach narodu. Niesposób, żeby o intrygach króla za granicą nie wiedział Zamojski, człowiek, który stał tak wysoko. Dlatego chciał się pana pozbyć łatwo, Baranowskiego podkanclerzego zburczał za to, że króla namówił do powrotu z Rewla. Wolał narazić naród na wstyd, że to już drugi król od wolności polskich ucieka, jak narazić się na wojnę domową z powodu intryg rakuskich Zygmunta. Zamojski z Batorym wziął się za ręce i chciał przeprowadzić pewne reformy polityczne w rzeczypospolitéj, całemi siłami zagradzając do Polski drogę domowi rakuskiemu, a tutaj młody bez doświadczenia i znajomości narodu król, spiskiem wywracał całą jego robotę! Ztąd pojmujemy i milczenie Zamojskiego na

sławnym sejmie inkwizycyjnym: cała szlachta wiedziała, że kanclerz coś chowa w głębi swojéj duszy, i że niezewszystkiém się wydaje. Historykowi te pogróżki Zamojskiego i nalegania były niezrozumiałe, kiedy ich dowodami nie popierał, kiedy rzecz półsłówkami zbywał. Ale kanclerz trzymał się na wodzy: jedno słowo jego za więcéj, na sejmie inkwizycyjnym, kiedy naród sądził postępowanie króla, mogło zapalić straszną, najstraszniejszą wojnę domową. Więc hetman milczał, a półsłowami groził królowi, dając mu tém poznać, że wié o wszystkiém, i że los jego trzyma w swych ręku; chciał siłą, obawą, nawrócić ku sobie Zygmunta, żeby nim pokierować, może w sprawie zamyślanych Batorowych reform: ale Zebrzydowski wiedział coś, nie wiedział może wszystkiego, i dlatego się skompromitował, kiedy go w swoim czasie zapytano o dowody, a wojewoda wskazać ich nie umiał.

Pozwólmy teraz mówić Tomkowi, który ciągle interesuje. Chociaż dotąd, jak powiedzieliśmy, bieg całéj sprawy był nam wiadomy wogóle, opowiadanie Tomka już z tego względu może zajmować, że zbliża pewne fakta do siebie, żeby tę dziwną sprawę przedstawić. Ale od miejsca, na którém stanęliśmy, wszystko co Tomek opowiada, ma już nadzwyczajny interes, bo nam wskazuje wyraźnie na intrygi królewskie dotąd zupełnie zakryte przed oczyma nauki. W tém co następuje, wszystko aż do najdrobniejszych u Tomka szczegółów, jest nowością: powtarzamy, że nie tłumaczym dosłownie Tomka, tylko go parafrazujem.

Jeszcze z tą dawną sprawą nie było końca, a domowi rakuskiemu nowa błysnęła nadzieja na tron Jagiełłów. Zygmunt nie rozkoszował się w Polsce; nie dawał się powodować kanclerzowi, owszem zrywał z nim coraz więcéj i przerzucał się do jego przeciwników a dawnych przyjaciół, np. do marszałka Opalińskiego: ztąd kanclerz dokuczał mu na wszelki sposób (tak mówi Tomek). Do tego, króla niepokoiły wypadki szwe-

dzkie; znalazło się stronnictwo, które chciało go pominąć i tron ograniczony po Janie oddać Karolowi sudermańskiemu. Ztąd ojciec chciał się osobiście zobaczyć i naradzić z synem. Ojciec i syn zgadzali się obaj na to, że dla ocalenia tronu dziedzicznego, trzeba poświęcić elekcyjny; o to się już tylko starali, żeby w Polsce zyskać można sobie było spokojne sąsiedztwo, i póki można: dlatego nadzieje swoje zwrócili do rakuskiego domu, z którym zresztą krom ostatniego sporu o Polskę, żyli w wielkiéj zgodzie. Chcieli więc użyć wszelkiego wpływu jaki mieli, żeby korona polska po złożeniu jéj przez Zygmunta, dostała się jednemu z arcy-książąt, ale o Maxymilianie nawet myśléć nie mogli.

Zaraz więc po tym sejmie, na którym Zygmunt i stany przysięgły, tojest w drugiéj połowie maja, Zygmunt wyjechał do Lublina, a ztąd do Krasnegostawu, więźnia swojego nawiedzić i pocieszyć go towarzystwem i zabawami. Z Lublina kazał pisać (27 maja) najwyższemu szambelanowi szwedzkiemu hr. Gustawowi z Wisingburga do arcy-księcia Ernesta starszego brata Maxymilianowego, że zrzeka się tronu polskiego i prosząc o największą tajemnicę, napomykał Ernestowi, że może z nim wejść w umowę o Polskę. List ten odebrał arcyksiążę w Wiedniu od szambelana królewskiego Lamberta Wradera, który ustnie jeszcze się więcéj rozszerzył; ale dał odpowiedź niepewną 28 czerwca, że nie może w żadne wchodzić układy przed uwolnieniem Maxymiliana, i przed jego zrzeczeniem się wszelkich do tronu polskiego pretensyi.

Zygmunt tymczasem z Lublina pojechał do Rewla na zjazd umówiony z ojcem. Jawnie to niby szło o pokój Polski i Szwecyi z Moskwą i poczęści było tak w istocie; głownie przecież chodziło o to, żeby Zygmuntowi ułatwić powrót do Szwecyi i celu tego nawet nie

skrywano. Mówiono jawnie w Rewlu o tém, że Zygmunt powróci do swéj ojczyzny i że nie chce Polski. Rozniosła się téż głośno wieść, że król układa się z arcyksięciem Ernestem o tron polski, wieść, która nawet u ludzi mogących cóś wiedzieć, nie dosyć znajdowała wiary. Tomek dodaje, że nie wierzył jéj nawet ówczesny dziejopis koronny a sekretarz króla, Hejdensztejn. Nie wierzono więc temu, na co dzisiaj znajdują się pismienne dowody, listy i fakta, aczkolwiek w całości do naszych czasów nie doszły. Kiedy Polska nie dopuszczała tego bynajmniéj, Lambert Wrader jechał drugi raz z Rewla, wysłany cichaczem do Ernesta. Stany szwedzkie i polskie, które znajdowały się w Rewlu, przeniknąwszy tajemnicę, starały się nawrócić, przekonać obudwu królów. Czego usilne starania nie dokazały, dokazał tego przypadek: doniesiono Janowi w kilka tygodni, że Sudermański rozniecił bunt, Jan więc piorunem powrócił do Szwecyi i pozwolił synowi wracać do Polski z warunkiem, na który ślub mu złożyć musieli senatorowie polscy, że będzie mógł Zygmunt bez żadnych przeszkód zawsze jechać do Szwecyi, ile razy wypadnie tego potrzeba. Pod koniec września wrócił więc Zygmunt do Polski.

Tymczasem miało poselstwo Princa do Polski ten skutek, że król i senat pozwolili puścić na wolność Maxymiliana choć bez przysięgi węgierskiej, uspokoiwszy się obietnicą na piśmie, że cesarz postara się na przyszłym sejmie węgierskim o przysięgę stanów. Według umowy więc bytomskiéj, osoby z wyższego duchowieństwa i panowie odprowadzili Maxymiliana z Krasnegostawu aż do Bytomia, gdzie miał arcyksiąże swoję złożyć przysięgę. Ale Maxymilian już w niewoli dowiedział się o szachrajstwach Zygmunta z Ernestem, chociaż rzecz tę bardzo tajono. Pewność, że Zygmunt zrzeka się korony, obudziła w nim nową nadzieję, a nie chciał się jéj zrzekać dobrowolnie na

rzecz brata. Więc ku niemałemu Polaków zdziwieniu odmówił przysięgi w Bytomiu tłumacząc się, że nieobowiązany jest spełniać warunków wymuszonych w niewoli. Stał już na spotkanie arcy księcia znaczny poczet zbrojnego ludu, który wysłano pod przewodem Melchiora Redera na granicę. W obec nieprzyjaciela panowie polscy nie mogli użyć siły, i tylko słowami obrzucali Maxymiliana, który nie dbał naturalnie o to. Tak oszukawszy Polaków, Maxymilian przyjechał 1 października do dworu cesarskiego w Pradze.

Uwolnienie Maxymiliana nie pomogło ale zaszkodziło układom Zygmunta z Ernestem: dwór cesarski nawet z początku przynajmniéj wątpił zupełnie o pomyślném zakończeniu téj sprawy i nie robił sobie wielkich z tego nadziei. Zygmunt zawiódł téż dwór cesarski: sądzono w Wiedniu, że król polski z Rewla prosto pojedzie z ojcem do Szwecyi, a tym czasem wrócił; więc należało z nim ostrożnie układać się i niewiele mu ufać. Ucieczką do Szwecyi dałby jasny dowód, że chce ustąpić korony Ernestowi, powrotem dawał znać, że zapomina o tém. Teraz wreszcie po uwolnieniu Maxymiliana cała ta sprawa coraz więcéj się komplikowała: dawny jeniec nie chciał się zrzec korony, uznawał prawość swojéj elekcyi, więc nie miłe mu były te stosunki Zygmunta z Ernestem, z których mogła łatwo powstać walka dwóch arcyksiążąt pomiędzy sobą. Jednak dworowi cesarskiemu żal było zdobycz wypuścić z ręki. Więc chociaż wakansu w Polsce tronu nie było, rąk nie usuwał od intryg. Rudolf zaraz po drugiém poselstwie Wradera do Ernesta, dał temu arcyksięciu radę, żeby nie wydawał się zbyt, a lepiéj zaczekał aż się doskonale wyjaśnią okoliczności. Ernest uznał tę radę za dobrą, i stosował się do niéj nawet w odpowiedzi danéj Wisingburkowi jeszcze w miesiącu październiku.

W brew téj niepewności wiedeńskiéj Zygmunt ani na krok nie odstąpił od swoich zamiarów i myślał ciągle

o wycofaniu się z Polski, nawet powróciwszy z Rewla. Żeby zaś dać dowód Cesarzowi, że o tém myśli, wyprawił w lutym r. 1590 jednego ze swych powierników Jana Sezemińskiego do Pragi, w któréj podówczas zwykle Ernest przemieszkiwał, z uwiadomieniem że chce ponowić układy; chociaż jednocześnie musiał listownie upominać się u cesarza na żądanie stanów swoich (7 lutego) żeby Maxymiliana przymusił do wykonania postanowionéj przysięgi.

Ale najtrudniéj było właśnie pojednać się z Maxymilianem. Skutkiem nowego poselstwa Zygmuntowego do cesarza, zdania rajców niemieckich skłaniały się co raz więcéj do tego, żeby przyjąć ofiarę króla na rzecz Ernesta. Ważne powody stanu, widoki rozleglejszéj polityki, wpływały na to postanowienie. Chciano spoić ostatecznie Polskę z krajami rakuskiemi, bo w tym związku upatrywano sprawę chrześciaństwa, zabezpieczenie Europy przed Turkami i podniesienie na pierwszy stopień rakuskiéj potęgi. Gdyby królem w Polsce został Maxymilian, całe te piękne nadzieje obracałyby się w niwecz. Kiedy arcyksiążę powrócił z więzienia, zawiadomiono go poufnie o całym biegu rokowań Ernesta z Zygmuntem. Teraz chcąc te rzeczy jako ułożyć, wysłał do brata Ernest jednego ze swoich poufałych przyjaciół, Ernesta Molarta (23 lutego) żądając, żeby mu wyjawił swoje zdanie w tym przedmiocie bez ogródki, a twierdząc że tutaj od jego zachowania się, całe powodzenie rzeczy zależy. Zarówno wszystkich swoich członków rodziny cesarskiéj pytano się o radę t. j. arcyksięcia Karola ze Styryi, Ferdynanda z Tyrolu i arcyksięcia Macieja. Krom jednak Ferdynanda, który bruździł w téj sprawie, bo trzymał ciągle stronę Maxymiliana, wszyscy członkowie rodziny zgodzili się na to, że sprawę rodziny kłaść potrzeba wyżéj nad sprawę jednego jéj członka, témbardziéj, że Maxymilian nie ma już żadnéj nadziei i mógł łatwo prawa swego odstąpić.

Takież było zdanie dworu rzymskiego, jak się z tém jawnie na dworze styryjskim oświadczał nuncyusz papiezki.

Maxymilian wtenczas podróżował po Niemczech, i zdaje się, że w sprawie zakonu krzyżackiego, którego był wielkim mistrzem. Poseł Ernesta pojechał więc do niego aż do Mergentheimu, ale wrócił z niczém, arcyksiążę bowiem dał mu odpowiedź zbywającą. Sam zaś Maxymilian odpisał Ernestowi ze Sachsenhausen pod Frankfurtem (7 marca): upraszając brata, aby mu dał chwilę namysłu, donosił mu, że ostatecznie się z nim w sprawie o Polskę porozumié wtenczas, kiedy otrzyma odpowiedź od Ferdynanda tyrolskiego, do którego pismiennie udał się o radę. Po upływie trzech tygodni, znowu pisał do Ernesta imieniem Maxymiliana, opat z Fuldy ale o niczém, (28 marca): arcyksiążę prosił brata jeszcze o małą zwłokę, jeszcze o trochę cierpliwości, témbardziéj, że posłał świeżo do Ferdynanda niektóre pisma dotyczące się spraw polskich, i że dopiéro teraz od niego oczekuje odpowiedzi. To tylko sobie wymówił, żeby Ernest żadnego poselstwa nie wyprawiał do Polski, jako miał w zamiarze, dając mu do zrozumienia, że nie zrzekł się sam jeszcze swojego dobrego prawa do tronu.

Wiele na tém zależało Ernestowi, żeby zdanie swe i dworu cesarskiego, względem otrzymania korony mógł Zygmuntowi oznajmić jeszcze w czasie trwającego sejmu polskiego, który już od dnia 8 marca obradował. Nasi z początku głośno krzyczeli na sejmie, że Maxymilian nie wypełnił warunków ugody bytomskiéj. Ztąd Zamojskiego stronnictwo podniosło wniosek, żeby tego arcyksięcia wyłączyć raz na zawsze od wszelkiéj kandydatury na przyszłych elekcyach: w istocie wyłączenie to zapisano pomiędzy konstytucye. Daniel Princ pojechał tedy do Polski uspokoić umysły: miał instrukcyą daną sobie z d. 2 kwietnia, w któréj polecono mu,

żeby zapewnił króla i stany, że cesarz i sam osobiście i w imieniu rodziny ze strony wszystkich ziem swoich, wiernie dochowa pokoju i wszelkich warunków bytomskich, tak dalece, że niezłożenie przysięgi przez Maxymiliana, niby rzeczpospolitą obchodzić nie powinno. Arcyksiążę nie odmawiał przysięgi, ale ją tylko odkładał, powołując się na niektóre cięższe warunki, jakie na nim wymożono w niewoli, a jakie niepotrzebnie włożono do umowy bytomskiéj. Ale cesarz obiecywał dołożyć całéj usilności swojéj, żeby na Maxymilianie wymódz pod tym nawet względem spełnienie umowy. To główna a pozorna przyczyna poselstwa; miał jeszcze główniejszą a tajną Princ: oto, powinien był się rozpatrzéć w Polsce, jak tam rzeczy stoją, dowiedzieć się jak silna była strona rakuska i do którego z arcyksiążąt więcéjby się nakłaniała; toż powinien był zbadać Zygmunta, jak dalece myśli na prawdę o zrzeczeniu się korony, a gdyby to wistocie przez takie zrzeczenie się przypadła nowa elekcya, Princ miał wymiarkować, czyli jest nadzieja ku temu, żeby przeszła elekcya Maxymiliana mogła wystąpić jako prawna. Według tego dopiéro miał postępować dwór cesarski i godzić obudwu arcyksiążąt w pretensyach ich do Polski.

Daniel Princ przyjechał już zapóźno, i ztąd jego wnioski nie mogły zmienić zapadłych postanowień sejmowych, przynajmniéj w głównéj sprawie. Tymczasem Maxymilian dał ostateczną swoję odpowiedź Ernestowi z Bamberga dnia 6 kwietnia. Była odmówna a prawie bardzo dotkliwa. Przypominał bratu niedoszły król, jako się przed sejmem elekcyjnym obaj na jedno wspólnie zgodzili, że komu szczęście uśmiechnie się, ten ma iść górą, a drugi winien mu całą siłą pomagać; szczęście to za nim było, został obrany królem, wiele strat poniósł, wielu się naraził, koszta miał ogromne i t. d. Maxymilian dawał to na rozwagę Ernestowi, czy nie byłoby to własną hańbę ogłaszać przed

całym światem, zrzekać się swojego prawa tak nędznie albo pozwolić, żeby kapiało („wann ich soliches mein jus jetzo so liederlich cediren oder fallen lassen wollte"). Odwoływał się daléj Maxymilian na wielką liczbę swych stronników w Polsce, których codzień przybywa, gdyż tego są przekonania, że gdyby Zygmunt złożył królestwo, żadnéj już elekcyi niepotrzeba, bo sama poprzednia elekcya Maxymiliana wystarczy dla rzeczypospolitéj. Cała więc ta rzecz, ta niepewność stosunków, twierdził Maxymilian, jest sprawką złośliwą Zygmunta: chciał niby poróżnić braci z sobą i dopiął celu.

Arcyksiążę Ernest odebrawszy taką odpowiedź za pośrednictwem cesarza, któremu ją Maxymilian posłał, rozbierając rzecz sądził, że brat łudzi się tylko płochemi nadziejami. Niewypadało mu wszakże dla tych dziwactw zarzucić rokowań z Zygmuntem. Jego zdania trzymał się dwór cesarski, który mając bezpośrednio swoje wiadomości, zdaje się od Princa, widział jasno, że sprawa Maxymiliana w Polsce inaczéj się przedstawiała wistocie, jak ją ambitny arcyksiążę sobie wystawiał. Wedle porady cesarza więc (dnia 8 maja) wyprawił Ernest posła swojego pomijając już Maxymiliana, prosto do Krakowa, Jonasza Heisperga (3 czerwca) z takiém oświadczeniem: że ponieważ arcyksiążę Maxymilian dotąd rości sobie prawo jakieś do korony polskiéj, któréj się aż do téj chwili nie zrzekł, któreto prawo jakiebykolwiek było, zawsze wymaga jakiegoś porozumienia się pomiędzy bracią, Ernest nie chce mu przeszkadzać, i prosi króla, żeby to, co chciał zrobić dla niego względem osiągnienia korony polskiéj, żeby to, jeżeli można, zrobił dla Maxymiliana, z którym radził królowi wejść w bliższe stosunki, sam się nawet nastręczając jako pośrednik; jeżeli zaś dla Maxymiliana nie było w Polsce żadnych nadziei, wtedy dopiéro Ernest ofiarę królewską wdzięcznem sercem, przyjąłby dla siebie. Gdyby na to ostatnie, koniecznie

już wypadło, radził tak Rychard Strein podówczas marszałek dworu arcyksięcia Macieja, miał dwór cesarski rozpocząć stosowne układy z Zygmuntem o koronę polską, ale tak ostrożnie i prawnie, żeby Polakom niedać żadnéj przyczyny do narzekania, że łamią się ich wolności narodowe. W tym celu radził, aby Zygmunt porozumiał się najprzód z senatorami rzeczypospolitéj, a najwięcéj z Zamojskim; żeby podziękował im za tron, ale żeby złożył zwyczajny sejm elekcyjny i aż poczas tego sejmu zatrzymał władzę, a tymczasem miałby porę używać wszelkich środków prawnych, żeby stany rzeczypospolitéj skłonić na elekcyą Ernesta.

Skutkiem tych tajemniczych układów nastąpiła umowa spisana pomiędzy Ernestem a Zygmuntem, umowa, którą ze swéj strony Ernest podpisał w Hradcu styryjskim (Gratz) dnia 20 listopada 1590 r. Treść jéj była następująca. Gdyby Zygmunt ustąpił z tronu polskiego, a na stanach koronnych i litewskich to wymógł, żeby Ernesta wybrały królem, arcyksiążę miał po swojéj elekcyi: 1) zawrzeć sojusz zaczepny i odporny ze Szwecyą przeciw wszelkim obudwu stron sąsiadom i nieprzyjaciołom. 2) zaniechać sporu o te części Inflant, które pozostały w rękach króla szwedzkiego, ale nieinaczéj aż za pozwoleniem sejmowém, i 3) miał Zygmuntowi wypłacić 400,000 złotych tytułem nagrody za straty daleko większe, na jakie się naraził król przez dobrowolne ustąpienie korony.

Na kilka dni przed zawarciem téj umowy (16 listopada), cesarz wyprawił do Polski biskupa wrocławskiego Jędrzeja Jeryna i Rycharda Strejna z oświadczeniem, że wyłączenie arcyksięcia Maxymiliana od przyszłych wyborów, sprzeciwia się przymierzu bytomskiemu i że cesarz nie mógłby brata swego nakłonić do złożenia sądowéj przysięgi, gdyby niezniesiono téj konstytucyi. Posłowie mieli to publicznie oświadczyć dla wiadomości narodu. Cesarz żądał więc po prostu znie-

sienia uchwały, o któréj mówił, że postanowioną była nie ze zgodą wszystkich. Ciż sami posłowie mieli tajne polecenie do Zygmunta kazano im układać się o tę przyszłą zamyślaną elekcyę na rzecz Maxymiliana, i gdyby to niepodobne było, żądali poparcia królewskiego dla Ernesta. Umowa w Hradcu podpisana pomiędzy Zygmuntem a Ernestem zmieniła nieco te stosunki obudwu dworów; posłom dano zaraz nowe instrukcye (29 listop.). Cesarz albowiem umowę hradecką zatwierdziwszy, o treści jéj zawiadomił posłów. Streinowi, który jak Wilhelm Rosenberski miał bliższą cokolwiek znajomość z Zamojskim polecono osobno nieco później (2 grudnia), żeby pracował stosownie nad senatorami, a najwięcéj nad kanclerzem.

Tą razą układy z królem prowadziły się już w Warszawie. Zygmunt stanowczo wtedy oświadczył swe zdanie, że o elekcyi Maxymiliana myśleć nawet niepodobna; byłaby to z jego strony zbyt wyraźna zdrada tych, którzy jego samego na tron prowadzili i dla których Maxymilian jest i musi być otwartym nieprzyjacielem. Więc przyjęto stanowczo Ernesta. Król miał tedy usposabiać panów, jak tego po nim żądał cesarz, a gdy już będzie gotów z robotą i tajemnicę długo skrywaną zdradzić będzie można przed narodem, król miał oznajmić sposób i czas swojéj abdykacyi Ernestowi, albo samemu cesarzowi przez pośrednictwo Lamberta Wradera, który znał cały tok sprawy. Według późniejszego listu Streina do hr. Wisingburka i według pisma, którém cesarz Rudolf o tych układach dał znać dworowi hiszpańskiemu przez posła swojego Khevenhillera (4 kwiet. 1591) jeszcze za pobytu w Warszawie biskupa Jędrzeja i Streina, kilku co przedniejszych senatorów dało się nakłonić do myśli królewskiéj, a między niemi bogaty Mikołaj Firlej, wojewoda krakowski. Była też nadzieja, że do tych widoków

nakłoni się marszałek wielki koronny Opaliński; co większa, była jakaś nadzieja nawet na Zamojskiego: tak powiada Tomek, ale to nam się nie zdaje. Kanclerz stał na zupełnie przeciwnym biegunie stronnictwu rakuskiemu, za dużo działał, za często się odzywał przeciwko całemu domowi cesarskiemu. Jeżeli teraz wiedział co się święci, jeżeli mu się powierzono, jeżeli zamiarów króla domyślał się, coby mu łatwo przyszło, bo tajemnica powierzona kilkudziesięciu osobom, przestaje być tajemnicą, pewno potakiwał intrydze, która mogła nam z Polski usunąć Zygmunta. Wszakże kanclerz zły już był wtenczas, kiedy król z Rewla powrócił i ofuknął Baranowskiego, że wstrzymał ucieczkę Zygmunta do Szwecyi. Nie udało się w ten sposób, to w inny chciał się go pozbyć i nic więcéj; ale nie zapominajmy, że według nawet wniosków rakuskich zmianę tronu miano przeprowadzić legalnie przez elekcyą i sejmy. Król mógł łatwo ustąpić z tronu, ale nie szło zatém, żeby mógł łatwo wyznaczyć następcę i zapewnić mu koronę. Ta rzecz już zależała od szlachty, nie od króla, nie od kilku, choćby kilkudziesięciu senatorów. Zamojskiemu udawała się zawsze elekcya; ta strona zawsze poszła górą, za którą on się oświadczył, a raczéj ta, któréj był przewodnikiem: elekcya Walezego, Stefana, Zygmunta. Rachował i sprawiedliwie na wpływ swój pomiędzy szlachtą: abdykacya więc prawna króla, dałaby kanclerzowi nową władzę w ręce a nie wynosiłaby na tron Ernesta, jak to sobie wszyscy rakuszanie polscy pochlebiali. Szlachta niecierpiała domu cesarskiego za to, że umiał wszędzie znosić wolność w Czechach, w Węgrzech; obawiała się o siebie, i nie chciała dlatego, by dom ten koronę posiadł, bo raz dostawszy się na tron, jużby się umiał dziedzicznie na nim utrzymać, sposobami do jakich przywykł oddawna. Zamojski dużo rozognił tych namiętności szlachty i z zasady i z potrzeby, żeby elekcye swoje utrzymał. Nie

wierzymy więc, żeby Zamojski spiskował tutaj dla Ernesta; jemu mogło iść tylko o wakans tronu, probował szczęścia. Za uparte nieme djable chciał mieć u władzy potulniejszego króla, któryby rad jego dojrzałych słuchał. Teraz wracamy do rzeczy.

Tymczasem zaczęły się drugie rokowania Zygmunta z Austryą, innym celom poświęcone; król chciał się żenić z którąkolwiek z arcyksiężniczek. Wybrał sobie córkę Karola styryjskiego, który tylko co umarł (10 lipca 1590). Poprzednio już dał znać swoje życzenie Zygmunt w tajemnicy cesarzowi przez biskupa wrocławskiego i Streina. Rudolf odparł, że nie byłby wcale temu przeciwny. Na skutek tego król zażądał portretów obudwu córek arcyksięcia Karola, a nawet Gustaw z Wisingburka osobno pojechał do Mnichowa, żeby zobaczyć Annę, na którą padł wybór królewski (maj 1591). Wysłał król tedy biskupa kujawskiego Rozrażewskiego i marszałka Radziwiłła z prośbą o rękę Anny; kiedy ukończono wszystkie formalności prawne, Radziwiłł otrzymał od króla pełnomocnictwo, żeby w jego zastępstwie poślubił arcy-księżniczkę (15 lutego 1592).

Ale niepodobieństwo było coś wyrobić dla Ernesta. Podług umowy Zygmunta ze Streinem, jednocześnie z weselem miało się odbywać nowe przesilenie losów polskich. Trudności pokazały się ogromne: nadzieje zbyt śmiałe zawodziły, kiedy intryga przystąpiła do roboty. Trudności te nie leżały tak w niepodobieństwie łowienia stronników Ernestowi, jak w położeniu ówczesném spraw polskich. Panowie i szlachta niespokojni byli. Zamojski pchał się ciągle do władzy, to gniewało jego przeciwników: król na niego nie zważał, co znowu raniło dumę kanclerza. Przez rok ten cały, od tajnéj umowy z Austryą, aż do wesela królewskiego, nieporozumienia rosły w potęgę i oczywiście psuły rzecz, bo dla powodzenia zamysłów królewskich, potrzeba owszem było uspokojenia się Polski. W roku

1592 nie było nawet już podobna wnieść coś podobnego na sejm, gdy namiętności zbyt się rozlały w powietrzu polskiém: niktby nie słuchał mniéj ważnych wniosków o przyszłości kraju, a cóż dopiéro wniosków o innéj elekcyi i o królu już gotowym po abdykacyi Zygmunta? Najgorętsze to, najżywotniejsze to ówczesnéj Polski było pytanie, elekcya króla. Przypomnijmy sobie wypadki jakie wtenczas publiczną zajmowały uwagę. Już w roku 1590 prymas Karnkowski, przez Stanisława Górkę wroga Zamojskiego podbechtany, zwołał swoją władzą a nieprawnie zjazd Wielkopolan do Koła, na którym postanowiono, że nieważną jest uchwała ostatniego sejmu warszawskiego względem daniny przeciw Turkom (tento był sejm warszawski, który Maxymiliana wyłączył od tronu), a daléj postanowiono, żeby na przyszłéj elekcyi króla Zamojski miał najwięcéj z sobą 30 ludzi bezbronnych w swym orszaku. Były inne jeszcze uchwały przeciw Zamojskiemu. Kanclerz także nie zasypiał sprawy, a widząc, że jego wrogi pracują, sam przeciwko nim brał się na sposoby. Obmawiał też króla przed szlachtą o to, że Maxymilian dotąd nie poprzysiągł według układów bytomskich; dowodził że małżeństwo królewskie z arcyksiężniczką grozi swobodom ziemskim wymawiał Estonię, i wiele innych podobnych rzeczy. Zamiar przeniesienia korony na Ernesta dlatego się głównie nie podobał Zamojskiemu, że spiskowano w tajemnicy. I nie ma co zarzucić Zamojskiemu: miał on tutaj prawo i sprawiedliwość za sobą. Nie to nie znaczy, że król chciał elekcyą przeprowadzić prawnie, bo kiedy następca był już w jego radzie poprzednio obrany, jeżelić miał się utrzymać, cóżby znaczyła wtedy wolna elekcya? Byłaby czczą formą tylko. A chociaż Bogiem a prawdą powiedziawszy, dotąd szlachta sama króla żadnego nie obrała, tylko myślała, że ich obiera (jedynie Michał Korybut i może Jan Sobieski wybór swój winni byli szlachcie rozgniewanéj na intrygi

pańskie), przecież tak nisko jeszcze nie spadła, żeby o niéj bez niéj można było coś stanowić. Przewodnika tylko potrzebowała szlachta, a zawsze mogła iść górą nad intrygami panów. Otóż i Zamojski wiedząc że dwór spiskuje, że się tai, nie mógł posądzać go o szczerość. A kto mu zaręczył, że król jak wszedł w umowy względem odstąpienia tronu (rzecz nadzwyczaj nieprawna w Polsce), tak mógł wejść w tajemne przed Rzplitą układy, któreby ubliżały godności narodowéj; kto mu zaręczył, że o koronę Jagiellów nie traktował jako najemnicę? Mógł król w istocie abdykować, tego mu żadne prawo nie zabraniało, ale i tyle jedynie co prawnego było w jego zamysłach. Resztę winien oddać Rzplitéj, boć to ona była panią swoich przeznaczeń. Nie słusznie więc Tomek zbyt rakuskiém spoglądając na te stosunki okiem, obwinia Zamojskiego o jakieś pokątne pomiędzy szlachtą zabiegi. Kanclerz bronił tylko prawa publicznego: należało mu to z urzędu. Mógł był i powinien był odkrywać intrygi królewskie, jeżeli szkodziły Rzplitéj. Czego się teraz spodziewać było po Rakuszanach? Cesarz Maxymilian chciał Polsce wydać wojnę o elekcyą za Batorego. Arcyksiążę Maxymilian orężem już zdobywał wolną elekcyę za Zygmunta: wtenczas ani jeden ani drugi prawa żadnego nie mieli tylko głos jednego stronnictwa. Czegoż się teraz można było po nich spodziewać, kiedy jawnie spiskowano na tronie kiedy senatorowie wchodzili w tajne rachuby, kiedy do spisku należało obce mocarstwo, oddawna pożądliwém okiem spoglądające na Polskę, mocarstwo potężne, zarządzające siłami kilku mocarstw, które i tak bez prawa darło się gwałtem, a cóż dopiéro gdyby miało jakie prawo za sobą, jak np. teraz kiedy mu chciano wyrobić prawne stanowisko? Kanclerz wiedział co robił. Zwołał więc w kwietniu 1592 zjazd swoich przyjaciół do Lublina, tak samo bez wiedzy króla, jak i prymas w Kole, dla przejrzenia bieżących spraw koronnych.

Na nieszczęście i Maxymilian uwiódł się pozorami, bo sądząc, że ruch w Polsce na jego korzyść się obróci, dodawał szlachcie nieco podniety. Miał i arcyksiążę swoich stronników w Rzplitéj, którzy jednakże nic nie mogąc wyłącznie zrobić dla niego, potrafiliby coś w ogóle dla domu rakuskiego zrobić, gdyby Maxymilian chciał popierać Ernesta. Ale uparty kandydat do tronu ani dał sobie o tém mówić i żył ciągle w urojeniach i nadziejach. Napróżno dwór cesarski przy samém rozpoczęciu rokowań z Zygmuntem o sprawę Ernesta, chciał pogodzić z sobą obudwu arcyksiążąt: miał być zjazd do Pragi i dzień nawet zjazdu już oznaczono na 29 lipca 1590, ale Maxymilian nie chciał nawet się stawić. Późniéj rajca cesarski Paweł Syxtus Trautson myślał pogodzić arcyksiążąt. Cesarz Rudolf I stycznia 1591 oznajmił nawet posłom swoim w Polsce, biskupowi wrocławskiemu i Streinowi, że zgoda nastąpi, bo konieczna dla pomyślnego skutku sprawy. Ale widzieliśmy jak i te nadzieje zawiodły. Maxymilian starania się dworu cesarskiego za Ernestem, uważał za osobistę swoję krzywdę. Kiedy układano się o małżeństwo Zygmunta z Anną styryjską, Maxymilian dąsał się i nie dowierzał, sądził albowiem że już abdykuje Zygmunt, i że nowéj elekcyi otwiera się pole. Wtedyło udał się do Rzymu, żeby się przed papieżem wytłumaczyć i żeby mu cały bieg sprawy o Polskę wyłożyć.

Nadto z potrzebnemi pełnomocnictwami marszałek dworu arcyksięcia Antoni Trautson, wysłał od niego Jana Duckera (14 marca 1592) do Polski na zjazd lubelski. Niemiec miał przypominać stronnikom Maxymilianowym, żeby nic nie spuszczali z gorliwości dla arcyksięcia. Nakazano mu tajemnie dać znać przyjaciołom o układach knowanych już oddawna pomiędzy Ernestem a Zygmuntem. Gdyby zaś Polacy wyrzucali Maxymilianowi, że dotąd nie złożył ślubowanéj mu przysięgi, miał Ducker odpowiadać: że to jedynie się stało

dla owych układów, które ku temu widocznie kłoniły, żeby królestwo polskie zamiast drogą wolnéj elekcyi, drogą prostéj tajemnéj darowizny, przechodziło z ręki do ręki.

Na zjazd lubelski otwarty 13 kwietnia 1592, pospieszyli nietylko stronnicy Zamojskiego, ale i przyjaciele królewscy z tajnym zamiarem przeszkadzania kanclerzowi. Nadjechały tedy do Warszawy jednocześnie aż dwa poselstwa z Lublina. Jedno mówiło, że z powodu podróży do Rewla jest obawa w Rzplitéj, że król chce ją opuścić, a nastawało na to, żeby król przed weselem jeszcze swojém wymógł przysięgę na Maxymilianie; drugie zaś poselstwo żądało po królu, aby takich postronnych zjazdów nie cierpiał, a szczególniéj nie pozwalał na to, by takie zjazdy naradzały się nad sprawami wielkiéj wagi, których rozstrzygnienie do samych sejmów należy. Król na to obadwa poselstwa odpowiedział, że mu nie są wcale miłe owe prywatne zjazdy, a zarazem zapewniał stany, że bez pozwolenia senatu już żadnéj podróży do Szwecyi więcéj przedsiębrać nie myśli. Nie uspokoiła ta odpowiedź przeciwników królewskich, owszem zaraz wbrew jawnie wyrażonéj niechęci Zygmunta, nowy zjazd sobie do Jędrzejowa na dzień 1 czerwca naznaczyli.

Ale w kilka dni po zakończeniu się zjazdu lubelskiego, w Wiedniu odbywało się wesele Anny z Zygmuntem przez pełnomocników (4 maja). W trzy tygodnie potém królowa uroczyście wjechała do Krakowa (26 maja) i zaraz koronowała się (31 maja). Jeszcze nie umilkł ten odgłos uroczystości koronacyjnych, kiedy Zamojski odbywał zjazd w Jędrzejowie, jakby na urąganie się królowi.

Burzliwszą w Jędrzejowie była szlachta jak w Lublinie. Tuiajto albowiem piérwszy raz rozeszła się wieść o układach tajnych względem Ernesta: przywiózł ją poseł Maxymiliana. Ma się rozumieć, że za-

miary króla jak najgorzéj, jak najprzewrotniéj tłumaczono; głośno narzekano na to, że król się ożenił bez pozwolenia sejmu, że ma wielu cudzoziemców przy sobie i radzi się ich, że na przyszłym sejmie Rzplita zażądać musi ich oddalenia, że sejm ten zwołać jak najrychléj należy, a gdyby się król z tem ociągał, zjazd jędrzejowski stanowił, że ma się odbyć sejm w Warszawie na dniu 7 września.

Zastraszony temi postanowieniami, król Zygmunt miał tę słabość, że wydał uniwersały do wszystkich województw zwołujący je na sejm na dzień 4 lipca. W uniwersale tym oświadczał, że cała powieść, jakoby chciał królestwo opuścić i ustąpić go innemu jest fałszywa, że dopóki żyje nie myśli złożyć korony, témbardziéj nie chce jéj oddać nikomu; że owszem chce zachować wolną elekcyą królów i wszystkie swobody ziemskie: gdyby zaś dla wielkiéj potrzeby był przymuszony jechać do Szwecyi, nie zrobi tego nigdy bez woli, wiedzy i pomocy sejmu. Stany same mogą miarkować, że powieści takie o nim mają swój cel; widoczna to z tego, że rozpraszali je stronnicy Maxymiliana a osobiści króla nieprzyjaciele; chcieli wzbudzić podejrzenie pomiędzy szlachtą a tém samém ułorować Maxymilianowi drogę do tronu, przeto król który rad widział wyłączenie Maxymiliana od przyszłéj elekcyi, postanowione na zeszłym sejmie, oświadczał, że nieby zupełnie przeciwko temu nie miał, gdyby na przyszłym stany wytrwawszy w swojém przedsięwzięciu wyłączyły na zawsze cały dom rakuski. W końcu oświadczał król, że dlatego rady swoje koronne i litewskie zwołuje, ażeby wyprowadziły śledztwo z powodu biegających wieści i zawczasu energicznym jakim krokiem zapobiegły intrydze.

Po takiém oświadczeniu naturalnie i mowy już być nie mogło o wykonaniu umowy pomiędzy Zygmuntem i Ernestem. Z tém wszystkiém arcyksiążę Maxymilian uważał za stosowne, raz jeszcze probować szczęścia.

Wysłał do Polski pana z Operszlorfu z listem do sejmu warszawskiego, w którym chciał obalić twierdzenie Zygmunta i dowodził, że nie od niego poszły po kraju biegające wieści; na dowód zaś, że król intrygował i że myślał o ustąpieniu z tronu dla innego, wskazał na przejażdżki i poselstwa Wradera i Sezemińskiego, jako też biskupa wrocławskiego i Strejna, po których nastąpiły układy (1 września): arcyksiążę tedy dawał nowy dowód do śledztwa, jakie się miało odbyć na sejmie. Ale cesarz Maxymilian w czas jeszcze zapobiegł temu, albowiem wysłał za posłem Maxymilianowym rozkaz, żeby się nie ważył jechać do Polski.

Sejm warszawski rozpoczął się tego samego dnia, na który był zwołany t. j. 7 września. Zamojski i stronnictwo jego ani chciało wprzód do niczego przystąpić, aż pókiby śledztwo całkowitéj prawdy nie wykryło. Zaczęła więc z tego powodu spierać się z sobą szlachta: jedni chcieli, drudzy nie chcieli śledztwa. Spór ten trwał trzy tygodnie; nareszcie Zygmunt usiłował sprawę przydusić przez oświadczenie swoje wydane dnia 28 września, którego główna treść była następująca: jakkolwiek ważne są powody, którebygo znagliły jechać do Szwecyi, ale dlatego, żeby nie dał pobudek do rozgłaszania nowych wieści, że chce korony ustąpić albo oddać Polskę innemu, nie myśli już wcale puszczać się w tak daleką podróż, ale wyprawi tylko posłów, aby oznajmili w Szwecyi prawne jego wstąpienie na tron ojcowski, a potém z działań swoich zdali sprawę przed sejmem. Ale przeciwnicy króla nie byli kontenci z takiego oświadczenia i żądali mocno śledztwa przeciwko doradzcom królewskim, a mianowicie cudzoziemcom. Zygmunt więc wydał drugie oświadczenie, którém oczyszczając doradzców, sam się głównie winnym oświadczał, ale jednakże wypierał się wszelkich stosunków i układów z Ernestem: i to niewiele pomogło, burza

wciąż jeszcze huczała, wreszcie jak zawsze, sejm się rozszedł, nic nie postanowiwszy.

Wtém książę Ernest otrzymał zaszczytne wezwanie od dworu hiszpańskiego, żeby jechał jako namiestnik do Niderlandów na miejsce zmarłego sławnego księcia Alexandra z Parmy. Udawszy się tam w roku 1593, nie starał się już więcéj o królestwo Polskie, a że mu tam dobrze było, zapomniał zupełnie o koronie. Zygmunt zaś mając i potém ciągłe nieporozumienia ze stanami, zwłaszcza dopóki żył Zamojski, bał się nawet wspomnieniem jakiém poruszyć téj sprawy swojéj z Ernestem, a najwięcéj lękał się o listy swoje, które gdzieś były w Niemczech i które gdyby niedelikatnie się z niemi wydano, mogłyby królowi wiele narobić kłopotu. W roku więc 1594, zgłosił się do matki swojéj żony, Maryi styryjskiéj, żeby mu listy do Ernesta wydała: widać obawiał się Ernesta. Arcyksiążę na żądanie przesłał te listy Maryi do Hradca, jak się zdaje bez wielkiéj trudności, a teściowa ratując cześć zięcia spaliła wszystkie.

Na tém się kończy rozprawa Tomka ostatnia, o któréj mamy wiadomość: będziem śledzili za postępem dalszych jego badań.

RADA.

O! słuchaj piosenki!
Ukochaj jéj dźwięki!
Choć czasem westchnieniem przerwane,
Choć czasem z pod dłoni
Ton ostry zadzwoni,
Gdy struny boleścią stargane.

O! słuchaj, bo przecie
Piosenka jest dziecię,
Co z nieba z pokorą przychodzi:
Wyrasta w ustroni,
Za władzą nie goni,
Lecz wskrzesza i smutki łagodzi.

Gdy żyć ci nieznośnie,
Gdy w czoło twe wrośnie
Ciernista latorośl boleści:
Piosenka męczarnie
Z nad serca odgarnie,
Piosenka przytuli, popieści.

Gdy dusza omdleje,
Gdy stracisz nadzieję,
Gdy dłonie załamiesz w niedoli:
Piosenka ci wskaże
Przyszłości ołtarze,
I ziarno kwitnące na roli.

Gdy cnota zwichnięta,
Gdy pewność ugięta,
Gdy wiara na chwilę odbiegnie:
Piosenka odwróci,
Od błędów, od chuci,
Piosenka od złudzeń zastrzegnie.

Gdy żywot radosny,
Szczęśliwy, milosny,
Błogością upaja ci ducha:
Piosenka rozmnoży
Ten rzadki dar Boży,
Piosenka zrozumie, wysłucha.

Gdy w świata odmęcie,
Na uciech zaklęcie
Postradasz niewinność anioła:
Piosenka nie zdradzi,
Na drogę wprowadzi,
Zakwitnie ci żalem u czoła.

Gdy serce twe skona,
A czczości ramiona
Żałobę już na niem zawieszą:
Zapragnij piosenki,
A silne jéj dźwięki
Potęgą uczucia cię wskrzeszą.

O! słuchaj nim nuta,
Cierpieniem zatruta
Nie skona na zawsze w przestrzeni;
Nim dusza twa młoda,
Przejrzysta jak woda,
W zmącone się źródło nie zmieni.

Gdy śpiewak natchniony,
Pij sercem jéj tony,
Spoczywaj na kwiatach marzenia!
Lekkiemi myślami,
Złotemi skrzydłami
Ulatuj pod niebios sklepienia.

Gdzie gwiazdy goreją,
Gdzie chmurki blednieją,
Gdzie tęcza otwiera ramiona;
Gdzie gromy panują,
Gdzie orły szybują,
Gdzie dusza ulata zbawiona.

Płyń z wiatrem po trawie,
Pieść kwiatki łaskawie,
Zieloną potrząsaj gęstwiną;
Z jaskółką w pogodę
Skrzydełkiem głaszcz wodę,
Nad modrą się chuśtaj głębiną.

Jutrzniane miéj lica,
Wieczoru tęsknica
Niech w twojéj panuje źrenicy;
Miéj w sercu południe,
Jak gwiazda świeć cudnie,
Jak gwiazda kochanéj dziewicy.

Ukochaj świat Boży,
A Bóg ci przysporzy
I skarbów duchowéj krainy;
I serce bić będzie,
I serca zdobędzie,
I wola zmężnieje na czyny.

Jerzy Laskarys.

KILKA UWAG
HISTORYCZNO-STATYSTYCZNYCH O GUBERNII AUGUSTOWSKIÉJ.

SKREŚLIŁ

B. Tykiel.

(Dokończenie).

III.

O MIESZKAŃCACH WYZNAJĄCYCH WIARĘ MAHOMETAŃSKĄ CZYLI TAK ZWANYCH TATARACH.

Tadeusz Czacki w dziele swojém: „*O litewskich i polskich prawach, o ich duchu, źrzódłach, związku i o rzeczach zawartych w piérwszym Statucie dla Litwy w r.* 1529 *wydanym* (1), przywodząc statuta *o główniejszych* (1400) *bojach i gwałtach szlacheckich*, a mianowicie przepis (1465): że gdyby który Tatarzyn celniejszy, jakoto: kniaziowie, murzowie, ułanowie był obwiniony o rozbój, a nie był pojmany z licem, tedy urząd ma czynić wywiadowanie nietylko o tém postępku, ale i o sprawowaniu się tego Tatarzyna, a w sprawie tak postępować, jako poszukiwanie sprawiedliwości między ludźmi stanu szlacheckiego w tym statucie jest opisane. Z inszemi zaś Tatarami, którzy nie są przypuszczeni do przywilejów szlacheckich, postępować zawsze równie należy z najściślejszą sprawiedliwością", w przypisku swoim (2) objaśnia jak i kiedy zaczęły być

(1) W Warszawie r. 1801, w drukarni Ragoczego.
(2) Tom 2 str. 137.

u nas Tatarów osady, tudzież jakiego w kraju naszym Tatarzy doświadczali losu.

Dowodzi tam pomieniony autor: że wedle skreślonych przez Tamerlana instytucyi, pokonany Toktamisch han Kipszackiéj Tartaryi uciekł do Wielkiego Księcia litewskiego; z drugiéj strony dzieje litewskie podają, że Witold W. Ks. litewski r. 1397 odniósłszy nad Wołgą zwycięztwo nad Tatarami, liczne ich hordy w niewolą zajął: część mniejszą niewolników posłał Władysławowi Jagielle, który ich ochrzcić kazał, większą zaś zaprowadził do Litwy. Podają niemniéj, że tenże Witold przenosząc Tatarów do nowych osad nadał im ziemię, pozwolił im wyznawać wiarę Mahometa, a szczególniéj zabezpieczył dla nowych osadników opiekę rządu i prawa; że późniejszemi czasy wpośród prowadzonych z Tatarami wojen, brańce ich kraj nasz zaludniali; że nakoniec osady Tatarów w Litwie w dobrach królewskich zostały, a w dziedzicznych włościach dawne inwentarze składają świadectwa tatarskich osad, które z wielu przyczyn albo wygasły, albo z odmianą wiary przemieniły się w gmin pospolity.

Obok tego mnogie prawa konstytucyjne i przywileje na sejmach, a w szczególności pomiędzy r. 1607 a 1726 zapadłe (1), przekonywają o przywilejach Tatarom w Królestwie i Litwie osiedlonym udzielonych.

Z historycznych wreszcie wywodów okazuje się, że kiedy w czasie unii Litwy z Polską r. 1569 wszelkie posiadania zostały ubezpieczone, wieczyste nadania czynione Tatarom otrzymały naturę dóbr szlacheckich; tudzież że król Stefan Batory, świadek odwagi Tatarów, nagradzał ich cnoty. Dopiéro za panowania Zygmunta III, kiedy źle zrozumiana gorliwość połączona z niedołężnością stwarzała winy, a rozrywała między jednéj ziemi mieszkańcami naturalne i proste przymierze (2), objawiły się niektóre szkodliwe dla ówczesnych Tatarów ograniczenia (3).

Gdy jednak upływ wieków tak dalece pierwotnych osadników tatarskich z narodem polskim zespolił, że dzi-

(1) Znajdują się w Voluminach legum.

(2) Tadeusz Czacki część 2 str. 140.

(3) Uderzającą jest różnica pomiędzy ludnością tutejszo krajową wyznającą wiarę mahometańską, a staroobradcami zwanemi Filiponami.

siejszemi czasy potomkowie piérwszych od drugiego niczém się nie różnią innem, jak tylko wiarą (1): byłoby to zwracać się do czasów Zygmunta III i rozrywać między jednéj ziemi mieszkańcami naturalne i proste przymierze, gdyby kto potomków tych dobrze w kraju zasłużonych osadników, nazwą Tatarów obdarzał.

W teraźniejszym zatém obrazie naszego kraju, mieszkańcy wyznawający wiarę mahometańską głównie tylko

Chociaż bowiem jedni i drudzy prawie jednocześnie w tych się osiedlili stronach, pierwsi jednak niczém się nie różnią dzisiaj od reszty krajowców: ani ubiorem, ani mową, ani obyczajami; kiedy przeciwnie drudzy zachowali do dziś dnia swoję pierwotną narodową odzież i język.

(1) Ważném i ciekawém jest prawo konstytucyjne za panowania Zygmunta III, pod tytułem *O Tatarach W. Ks. Litewskiego* w r. 1616 zapadłe (Volumen legum III str. 309), które brzmi co do słowa:

„Tatarowie W. Ks. Litewskiego ulegając służby ziemskiéj i wojennéj, do których z dóbr od przodków naszych sobie nadanych są *obligati*, sprzedawszy takowe dobra nasze u różnych osób szlacheckich, dobra dziedziczne pokupili, a tym samym od służby rzeczypospolitéj ulegli. Przeto za zgodą wszelkich stanów obojga narodów reassumujemy konstytucye sejmów przeszłych, aby szlachta, którzy u Tatarów bez pozwolenia naszego dobra takowe służbą rzeczypospolitéj enerowane pokupili, takowymże ciężarom podlegać i służbę z nich powinną przy hetmanach naszych teraźniejszą i na każdą expedycyą służyć byli powinni sub privatione bonorum, o co *forum* przy trybunale *ad instantiam cujusvis* w każdym terminie *peremptorie* zachowujemy. A iżby Tatarowie dóbr szlacheckich skupywać nie ważyli się, gdyż jeśli szlachcicowi u Tatarów dóbr im nadanych prawo kupować zabrania, więc i onym dóbr dziedzicznych szlacheckich skupować się nie godzi. Czemu zapobiegając reassumujemy konstytucye o cudzoziemcach postanowione, któremi im tego zabroniono, i zgodą stanów sejmowych postanawiamy, aby Tatarowie takowe dobra szlacheckie do wyjścia dwóch lat po teraźniejszéj konstytucyi sprzedać byli powinni. Czego gdzieby nie uczynili, tedy połowicą taksy w statucie opisanéj potomkowie dziedziców tych dóbr odkupić dziedzictwo swe rokiem zawitym będą powinni i ustylikować się o to *in eodem tribunalicio*. A iż się znajdują niektórzy między Tatary, którzy przeciw prawu Bożemu ważą się żony chrześciańskie przyjmować, onych w bissurmańską wiarę pociągając i białegłowy chrześciańskie w mamki do dziatek swych biorą i czeladź najemną w dni niedzielne i święta do wszelkich robót pędzą; warujemy to konstytucyą, aby od tego czasu żaden się Tatarzyn nie ważył czeladzi chrześcian obojéj płci białychgłów mamki, a mężczyzn, pogotowiu za żony chrześcianek brać i jakimkolwiek protextem chować. Czego gdyby się kto z Tatar poważył a chrześciankę za żonę pojął, tedy oboje za takowy exces gardłem karani być mają, o co *forum ad cujusvis instantiam* ma przed urząd grodzki i od tego urzędu ma się dziać inkwizycya, aby się takie nie działy *enormitia*.

jako innowiercy na szczególną uwagę, i na osobną wzmiankę zasługiwać mogą.

Z takiego zaś stanowiska zapatrując się na gubernią augustowską, dostrzedz się daje następny stan rzeczy:

Ogólna ludność wyznających wiarę mahometańską, a tém samém pochodząca z Tatarów przed wieki na Litwie osiadłych, wynosi w téj gubernii mężczyzn głów 76, kobiét głów 79, czyli razem głów 155, i zamieszkałą jest w powiecie kalwaryjskim, który niegdyś stanowił część Wielkiego Księztwa Litewskiego.

Połowa téj całéj ludności, bo mężczyzn głów 41, a kobiét głów 37 wylegitymowaną jest szlachtą polską, a to samo już przekonywa, że tego rodzaju krajowcy na osobną i niejednego obrażać mogącą nazwę Tatarów bynajmniéj nie zasługują.

Wylegitymowani ze szlachectwa są dziedzicami lub współdziedzicami folwarków, jakoto: Małakorzyść, Pilokalnie, Makowszczyzna, Borowszczyzna, Suwałeczki, Morgotroki, Skiersobole, Dolnica, Kiewlica i Nowinka.

Kilku z szlachty dzierży pojedyncze czynszowe osady we wsiach: Podużunie, Pobalinie, Kirsnie wielkiéj i Strozdynie; we wsi zaś Cyganowie osiedlony jest jeden włościanin czynszowy.

Po folwarkach dziedzicznych wyżéj wymienionych tylko sami dziedzice i współdziedzice są tego wyznania, reszta zaś czyli główna ludność tych włości jest chrześciańską; a mianowicie ogólna ludność tych dziesięciu folwarków wynosi głów chrześcian 789, mahometanów głów 88, żydów głów 59.

Pod względem zarobkowania dzieli się cała ludność wyznania mahometańskiego jak następuje:

duchownych	głów męż.	2,	kob. 2
dziedziców	„ „	38,	„ 50
osadników czynszowych. .	„ „	13,	„ 13
dzierżawców	„ „	1,	„ —
kapitalistów.	„ „	4,	„ —
służących	„ „	2,	„ 2
garbarzy.	„ „	9,	„ 7
wyrobników	„ „	7,	„ 5
Razem jak wyżéj	męż.	76,	kob. 79.

W ogólności zaś nie tworzy ona nigdzie odrębnych wsi lub osad, lecz rozrzuconą jest jak wyżéj po rozmaitych włościach i pomieszaną jest z ludnością chrześciańską.

Wszyscy ci wyznawcy mają jeden meczet, położony we wsi Winksznupie w bliskości m. Kalwaryi.

Skromny ten drewniany meczet pobudowany był niegdyś, ale nie wiadomo którego roku, przez jednego z Baranowskich, ówczasowego dziedzica folwarku i wsi Winksznupie (1). Kiedy zaś ta świątynia kosztem dawniejszego dziedzica wzniesiona, zaczęła się skutkiem upływu czasu chylić do upadku, i kiedy wyznawcy do niéj przywiązani z powodu swéj niezamożności nie byli w stanie podźwignąć ją z własnych funduszów: wówczas r. 1818 namiestnik królewski ś. p. Józef książę Zajączek przyszedł im w pomoc funduszami rządowemi Królestwa, a tak pomiędzy rokiem 1819 i 1824 meczet ten pod zwierzchnim nadzorem imana Mustafy Bazarewskiego odrestaurowany został, i służy dotąd dla wszystkich mieszkańców powiatu kalwaryjskiego wyznania mahometańskiego do odbywania obrzędów religijnych (2).

(1) Dzisiejszemi czasy posiadłość tę dziedziczy chrześcianin, a tak w téj włości własnością chrześciańską będącéj i mającéj ludności chrześcian 202 i żydów 12, tylko meczet, tudzież przywiązany do niego iman z familią znajduje się.

(2) Bezimienny autor listów o gubernii augustowskiéj przywodzi:

a) W liście 1 (nr. 77 Kroniki z r. 1856), że tuż pomiędzy Litwinami osiedli Tatarzy, których liczba nie dochodzi 200 osób; naród ten oprócz swéj religii w zupełności przyjął barwę (?) słowiańską i powszechnie słynie z poczciwości i rzetelności.

b) W liście 2 (nr. 113 Kroniki z r. 1856), że *siedziby* Tatarów w powiecie kalwaryjskim tworzą jednę paralią; ochędóstwo w domach i ubiorach oraz *rozkoszna* pościel (?), a przytém nieodstępstwo od wiary przodków, są ich tradycyjnemi cechami, i inne przymioty na ziemi naszéj nabyte są téż same, co Słowian.

c) W liście 4 (nr. 202 Kroniki z r. 1856), że od wschodu naszéj Litwy pominąwszy osady (?) tatarskie, Skiersobolę, Kiewlicę, Dolnicę, Makowszczyznę, Suwalczki, Szwacica i Podturupię, które wszystkie należą do jednéj parafii Winksznupie i t. d.

IV.

O ALUMNACIE CZYLI SPÓŁMIESZKANIU ŻOŁNIERZY W TYKOCINIE.

Krzysztof Wiesiołowski wielki marszałek wielkiego księztwa litewskiego, mielnicki, tykociński, surazki, kleszczelowski, krzyczowski starosta, ekonom grodzieński, postanowiwszy dobra swoje dziedziczne w województwie podlaskiém, a w powiecie czyli ziemi bielskiéj leżące, Dolistów ze wsią Radzie nazwane (1), publicznemu pożytkowi a ku potrzebie i wyżywieniu ubogich żołnierzy zapisać, (jak się sam w téj mierze wyraża) wyjednał stosowne potwierdzenie Władysława IV króla polskiego, czego dowodzi konstytucya na sejmie koronacyjnym tegoż króla w r. 1633 zapadła w słowach jak następuje:

„Fundacyą szpitala żołnierzy w Tykocinie, którą wielmożny Krzysztof Wiesiołowski marszałek nasz nadworny W. K. L. na majętności swéj dziedzicznéj w województwie podlaskiém, nazwanéj Dolistowo uczynił, i onę w kancellaryi naszéj koronnéj wielkiéj *personaliter* przyznał, na prośbę onego a zgodą i konsensem wszech stanów we wszystkich punktach *in toto* aprobujemy, i żeby pomienione dobra ani *in toto* ani *in parte*, na żadną inną rzecz przez nas ani potomki nasze obrócone nie były, mocą tego sejmu *in perpetuum* warujemy" (2).

Następnie tenże Krzysztof Wiesiołowski sądząc być rzeczą potrzebną, jak się wyraża, „sposób, oraz tak do odbierania, jako też do wychowania i rządzenia pomienionych żołnierzy, do sprawowania przeznaczonych dóbr naukę przepisać;" ułożył szczegółową instrukcyą odnoszącą się do zarządu i utrzymywania pomienionego spółmieszkania czyli alumnatu żołnierzy, którato instrukcya otrzymała potwierdzenie króla Władysława IV na sejmie generalnym d. 27 marca 1638 r.

(1) Dobra te leżą nateraz w powiecie białostockim gubernii grodzieńskiéj i są własnością księżny Rozalii z hr. Mostowskich Sapieżyny.

(2) Volumina legum vol. III str. 813 pod tytułem: *Szpital tykociński.*

Ten ważny dokument stanowiący errekcyą pomienionego alumnatu brzmi co do słowa jak następuje:

Fundacya szpitala żołnierskiego na szlachtę w Tykocinie

WŁADYSŁAW IV etc.

Czynimy wiadomo, etc. że ta jest prawdziwa ku ojczyznie miłość, ta jest szczera pobożność, pożytki i potrzeby jéj nad swoje i swoich pożytki i potrzeby przenaszać, a o zachowanie i całość jéj, zdrowiem i majątkiem swym zastawiać się; gdy bowiem nic nie masz tak drogiego i miłego, czegobyśmy nie byli winni ojczyznie, czegoby ku zabezpieczeniu i obronie jéj obracać nie należało: któż tego za najprzyjaźniejszego i najmiłośniejszego jéj obywatela nie uznawa, który siebie i własność swą rzeczypospolitéj poświęcił? który z utratą dóbr swoich potrzebom jéj zaradzać i pożytkom jéj służyć chciał? Równą bowiem cnotą jest i dobro ojczyzny powiększać, i szkodom a bezpieczeństwom jéj podług możności zabiegać. Jak zaś głęboko ta ku ojczyznie miłość w umyśle zacnego niegdy i wielmożnego Krzysztofa Wiesiołowskiego, wielkiego W. K. L. marszałka, mielnickiego, tykocińskiego, surazkiego, kleszczelowskiego, krzyczowskiego etc. starosty, ekonoma grodzieńskiego, wkorzenioną była, łatwo z spółmieszkania czyli szpitala dla pożytku i potrzeby w niedostatku będących żołnierzy, tych zwłaszcza, którzy mężnie za ojczynę na oddalenie jéj niebezpieczeństw wojując, różne przeciwnego losu pociski z utratą fortun i z niebezpieczeństwem życia odważném męztwem ponoszą, kosztem jego i nakładem wielkim, cegłą paloną z fundamentu wymurowanego, a dochodami obfitemi przez fundusz czyli zapis temuż dóbr Dolistowa ze wsią Radzie pomnożoną i nadaną porozumieć można: gdy bowiem myślą swą rozważał, jako królestwo to, ojczyzna jego zewsząd nieprzyjaciołmi i niewiernymi sąsiadami opasana, a niebezpieczeństwem i najazdom ich wystawiona, wielkiéj obrony, i co za tém idzie nakładu potrzebuje, a do szczupłéj prowizyi żołnierzy rozmaitemi i wojennemi corocznie przeciw chrześciańskiego imienia nieprzyjaciołom Turkom i Tatarom potyczkami trapionych.

Gdy wielkie wojska co rok dla zapobieżenia nieprzyjaciół usiłowaniom i najazdom ich stawiać się mające cho-

wać należało, potrzebno jest dodać wprawdzie za rzecz słuszną sądził, ażeby pamiątkę jaką nieustannéj ku Bogu służby i swojéj wdzięczności ku całéj rzeczypospolitéj i szlacheckiemu stanowi, a zwłaszcza ku tym, którzy ochoczo ojczyznie w obronieniu jéj od wszelkich nieprzyjacioł, niefolgując ani zdrowiu, ani majątkom służą, a zasług i prac swoich gdy częstokroć okazye promocyi nie zdarzają się, przyzwoitych nagród nie odnoszą, zostawił. Gdy więc okazany był nam przez ręce wielmożnych i urodzonych Kaspra Denhoff wojewody sieradzkiego, bolesławskiego, radomskiego, łajskiego; Stefana Paca podkanclerzego W. K. L., preńskiego, brzezkiego, orańskiego; Jakóba Sobieskiego podczaszego nadwornego krasnostawskiego, jaworskiego, starostów; Jakóba Maxymiliana Fredra de Pluszczewice podkomorzego ziemi przemyskiéj, regenta kancellaryi naszéj mniejszéj, egzekutorów testamentu ostatniéj woli pomienionego niegdy zacnego i wielmożnego marszałka W. K. L. list na papierze ręką tegoż pisany, stanowienie przeznaczonego spółmieszkania, czyli szpitala żołnierzy ubogich i ułomnych, a pewne przepisy i kondycye dobry rozsądek i rząd spółmieszkańców czyli obywateli tegoż w sobie zawierający, rozumny, zdrowy, nieskażony i żadnego podejrzenia nie mający: supplikowano do nas, ażebyśmy go powagą swą królewską approbować, zmocnić i potwierdzić raczyli, którego to listu wyraz następuje takowy:

Krzysztof Wiesiołowski wielki W. K. L. marszałek, mielnicki, tykociński, surazki, kleszczelowski, krzyczowski starosta; ekonom grodzieński, wiadomo i jawno czynię, że gdym postanowił dobra moje dziedziczne w wdztwie podlaskiém a w powiecie czyli ziemi bielskiéj leżące, Dolistów ze wsią Radzie nazwane publicznemu pożytkowi a ku potrzebie i żywieniu ubogich żołnierzy zapisać i jużem przerzeczone dobra, jako się one we wszystkiém mają w aktach kancellaryi koronnéj większéj pod szczęśliwą Najjaśniejszego Króla Władysława IV koronacyą osobiście stawając zapisawszy podarował, i samę donacyą publiczną sejmu tejże koronacyi powagą potwierdzoną mieć starałem się i otrzymałem, za potrzebną zaś rzecz sądziłem, sposób oraz tak do odbierania, jakoteż do wychowania i do rządzenia pomienionych żołnierzy do sprawowania przeznaczonych dóbr naukę przepisać: a przeto po wielkiéj delibera-

cyi, po zaciągnieniu przyjacioł moich rady, ten który następuje wzwyż pomienionych rzeczy sposób (za pozwoleniem na to mnie od J. K. Mości pana mego miłościwego i całéj rzeczypospolitéj danym) przepisuję i chcę, aby nienaruszenie był on zachowany; a najprzód i nadewszystko postanawiam, jeśli Wszechmogącemu Bogu będzie się podobało, że ja wprzód niż na przyjęcie przerzeczonych żołnierzy dom zbuduje się, śmiertelności dokonam, aby ten w miasteczku Tykocinie, na miejscu i placu ku temu koncowi przezemnie za moje pieniądze kupionym, ile się stać może najprędzéj z dochodu przerzeczonych dóbr, (gdyby innych pieniędzy odemnie w ostatnich testamentu mego zapisach nie było przeznaczonych) cegłą wypaloną był murowany, przy wyraźnym takowym warunku, ażeby z żołnierzy (których wszystkich dwunastu być ma) każdy po jednem udzielném choć stykającém się i pod jednym z drugiemi dachem mieszkaniu, wedle uczynionéj odemnie delineacyi miał, a to dlatego, aby im lub przynajmniéj ich hałasom, sporom i swarom, które łatwo między tak blizko mieszkającymi wszczynać się zwykły, okazye ile się stać może najbardziéj usunione były. Po wybudowaniu już zaś i oddaniu na mieszkanie zgodnego domu, JW. pan hetman wielki koronny teraz będący, a napotym (oby przy długoletniém zostawał zdrowiu i życiu) następcy jego wielcy hetmanowie koronni, będą mieli moc podług zdania swego żołnierzy wybierać, byleby ci katolicy-rzymscy, szlachetnie urodzeni, dobrze w ojczyznie zasłużeni byli, oraz którzyby inaczéj pożywienia swego będąc na ciele w bitwie za rzeczpospolitą mianéj skaleczeni, albo przez starość osłabieni mieć nie mogli, między którymi, tojest żołnierzami i kalekami od broni, a familii mojéj Wiesiołowskiéj, gdyby który kiedy z nich do téj potrzeby przyszedł, pierwszymi mieć chcę; każdy z nich zaś będzie miał z dochodu dóbr przeznaczonych corocznie złotych dwieście (1)

(1) Czyni się tutaj uwaga, że dukat w złocie miał wartości za panowania Władysława IV złotych sześć, a dopiéro w r. 1717 wartość jednednego dukata do złp. 18 podniosła się; o czém bliższą powziąć można wiadomość z dzieł: O litewskich i polskich prawach i t. d. przez Tadeusza Czackiego, tudzież Preüssisches und Polnisches Müntzwesen von Braun. Sądząc więc po takiéj wartości dukata złotego za czasów Władysława,

pieniędzy kurs mających, ten porządek zawsze i wiekuiście obserwując, aby im nie wszystka lub całkowita wzwyż ustanowiona płata, ale czwarta część onéj, tojest pięćdziesiąt złotych tylko na każdą ćwierć roku wczas poprzedzający dawano, z których pieniędzy każdy z nich co do jedzenia swego i odzienia, jako będzie mógł i będzie chciał, opatrować się ma. Wolno zaś każdemu z nich będzie, tego mojéj fundacyi szczupłego płacenia, lub (jeżeli tak może się nazywać) dobrodziejstwa, używać póty, póki każdego z nich albo wola będzie prowadziła, albo potrzeba będzie nagliła, byleby w tém spółmieszkaniu przebywając, spokojność między sobą i innemi zachowali, urząd lub zwierzchnika (o którym niżéj) niech poważają a jednem słowem w życiu i obyczajach niech przystojności i skromności granic nie przestępują. Inaczéj postępujących za doniesieniem tego, który niżéj mianowany być ma urzędu, a za inkwizycyą przez hetmana w. koronnego uczynić się mającą, albo już uczynioną, tenże hetman nietylko będzie mógł, ale i powinien będzie precz oddalić, a innych na tém miejscu stawić. Ponieważ zaś żadne zgromadzenie chociażby małe w liczbie było, nigdy albo bez jakiego zwierzchnika, albo bez urzędu w powinności trzymać się nie może, najbliższą po Najjaśniejszych królach i w. hetmanach koronnych nad tém spółmieszkaniem władzę pospolitém prawem dozwoloną, mnie samemu póki będę żył, mocą pozwolenia od rzeczypospolitéj danego zachowuję, a napotém starostom tykocińskim czasowo będącym (ile że zblizka na życie i obyczaje w tém spółmieszkaniu żyjących łatwo wzierać mogącym) porozdawam. Ci będą mieli moc i obowiązanemi będą jak każdego prezentowanego od JW. hetmana do tego spółmieszkania przyjmować; tak ażeby czego między nimi dobrym i przystojnym obyczajom przeciwnego, a tém bardziéj niegodziwego i nagannego nie działo się wglądać, i jeżeliby co (czego strzeż Boże) nadarzyło się nieprzystojnego, a nie mogłoby się temu snadnemi środkami zaradzić, JW. hetmanowi donosić i starać się,

wartość ówczasową jednego złotego, wypadłoby, że owo 200 złotych przez Wiesiołowskiego na utrzymanie jednego żołnierza corocznie wyznaczono, tyle znaczyły co dzisiejszemi czasy sto rubli srebrem.

żeby bez pogorszenia i swarów, spokojnie, skromnie, jak najprzystojniéj żyli. Tenże sam starosta czasowo będący, dobra na pożytek przerzeczonych żołnierzy odemnie darowane, za osobliwym J. K. Mości przywilejem sobie nadane trzymać, a z jak największą wiernością i przemysłem zarządzać powinien będzie, z których dochodu nie więcéj (chybaby jego własnéj woli inaczéj się zdawało) na pożytek przerzeczonych żołnierzy, jak dwieście złotych każdemu z nich, sposobem który wyżéj przezemnie jest przepisany, udzielać i dawać obowiązany będzie. Reszta zaś dochodu z dóbr przerzeczonych (byleby tylko rzecz domowa dbale i pilnie opatrzoną była) nie ma być lekce ważona, którą na pożytek i potrzebę swoję obróci, z tym jednak warunkiem, ażeby z tych samych dochodów płatę wikaryuszów kościoła dolistowskiego podług miary i obowiązania się mego pierwéj przed tą donacyą osobliwym zapisem odemnie uczynionym, bez żadnego zatrudnienia opłacał, i całość, oraz budynków tak domu tykocińskiego, jako i zabudowania folwarkowego w pilnym miał dozorze i chował, a pilnie dostrzegał, iżby dobra coraz lepsze najmniéj zaś nie gorsze, albo mniéj pożyteczne nie uczynił: któremuto przypadkowi zapobiegając, prawdziwie za świętą rzecz poczytuję, aby po każdych przynajmniéj trienniach wzwyż postanowieni administratorowie kommisarzom od J. K. Mości wyznaczyć się mianym, z swojéj administracyi rachunek zdawali, a jeżeliby co w domowéj rzeczy administrowaniu niedbalstwa dopuścili, albo w oddaniu pensyi żołnierzom wykroczyli, powagą kommissarską do zadość uczynienia byli znagleni, sąd na nich w takowéj okazyi (jeśliby tojest sprzecznemi i nieposłusznemi byli) okrom zadwornych sądów J. K. M. extraordynaryjnie i bez zwykłych prawa krążeń i processu, na każdego z żołnierzy delasyą summaryjny zachowując. Nadto mocą tylekroć pomienionego rzeczypospolitéj dozwolenia otrzymanego, to chcę mieć zabezpieczonem, ażeby przerzeczone dobra do natury dóbr królewskich żadną miarą nie weszły; lecz żeby zawsze i wiekuiście ziemskiemi były i za takowe je miano, a żadnym ciężarom, które dobra królewskie z powinnością albo krzywdą ponosić zwykły, jakoto: lustracyą czwartéj części płaceniu, żołnierzy stanowiskom i tym podobnym

nie podlegały, lub uciemiężone nie były, ale jako wyżéj rzeczono jest, za dziedziczne i szlacheckie dobra były miane i uznawane, przy zabezpieczeniu tamże będącej dawniéj fundacyi kościoła dolistowskiego, do którego należące prawo prezentowania kapłana po mojém i małżonki méj najmilszéj zejściu, któréj dożywotność na przerzeczonych dobrach wszelkim sposobem i polepszoną formą przez niniejsze pismo zabezpieczam, J. K. Mości panu memu miłościwemu i jego majestatu sukcessorom daruję.

* * *

My uważając takiego męża wyborne ku nam i rzeczypospolitéj wielce dowodami tak w czasie pokoju, jako i w czasie wojny doświadczone zasługi, i osobliwą jego ku Najjaśniejszemu niegdy ś. p. Zygmuntowi III, polskiemu i szwedzkiemu królowi ojcu naszemu najżądańszemu, i ku nam też samym, oraz ku całemu domowi naszemu królewskiemu uprzejmego umysłu skłonność, poszanowanie i czczenie we wszelkich zdarzeniach sumptem i krwią swoją przyświadczone i znamienite jego cnoty, a osobliwą w zdaniach roztropność, największe dowcipu i przyrodzenia dary, także nigdy dostatecznie nie wychwaloną, a wszystkim wielce dziwną, ludzkość, przyjacielstwo, obyczajów przyjemność i ku wszystkim chętność; sprzyjać temu najzacniejszemu, a wszelką cnotą i czynnością najznamienitszemu, wszelkiéj wdzięczności i pamięci w długą potomność najgodniejszemu mężowi i pobożności jego ku Boskiemu majestatowi i woli Jego niejako za powinność sądziliśmy, a uważając że ta fundacya przeznaczonego alumnatu czyli szpitala przez konstytucyą szczęśliwéj koronacyi naszéj już jest dawno jak w całkowitości tak we wszelkich punktach approbowana, i dobra dolistowskie ze wsią Radzie i innemi attynencyami i pertynencyami tak jak od niegdy przerzeczonego zacnego marszałka były trzymane i possydowane na to spółmieszkanie czyli alumnat żołnierzy, przy aktach kancellaryi koronnéj mniejszéj są rezygnowane i temu spółmieszkaniu darowane: fundacyą tę i postanowienie przez przerzeczonego zacnego marszałka W. księztwa litewskiego, opisane, tak w całkowitości jako i w każdéj najmniejszéj części approbować, zmocnić i potwierdzić umyśliliśmy; jakoż approbujemy, wzmacniamy i potwierdzamy, a niedo-

statki wszelkie onego listu (jeżeliby się które znalazły) za przyzwoleniem wszystkich stanów na sejm zgromadzonych, powagą naszą dopełniamy, i że moc powinnéj wieczno-trwałości ma otrzymać, jak prawność mieć chce u wszystkich osobliwie u przerzeczonych żołnierzy spółmieszkalnych w témże spółmieszkaniu żyjących, chcemy i postanawiamy za łaską naszą. Na dowód czego i t. d. datt w Warszawie na sejmie królestwa generalnym dnia dwudziestego siódmego miesiąca marca, roku Pańskiego tysiąc sześćset trzydziestego ósmego, królestw naszych polskiego i szwedzkiego szóstego roku.

(podpisano) *Władysław* Król.

(podpisano) *Jakób Maxymilian Fredro*, podkomorzy przemyski, regent kancellaryi.

* * *

Tak zaprowadzony w m. Tykocinie alumnat, czyli szpital żołnierzy szlachty, istniał w sposób przepisany aż do r. 1794, z tą tylko zmianą, że kiedyś król Jan Kazimierz konstytucyą z r. 1661 starostwo tykocińskie z przynależnościami na dziedzictwo Stefanowi Czarnieckiemu oddał (1); odtąd i dobra Dolistowo jako do tego starostwa przyłączone, przeszły na własność Stefana Czarnieckiego.

O istnieniu takiém pomienionego alumnatu za czasów panowania króla Stanisława Augusta przekonywają bliżej

(1) Konstytucya ta z r. 1662 brzmi:

„Dobrze są wiadome światu Stefana Czarnieckiego wojewody ziem ruskich odważne dzieła i zasługi, które przez wszystek swój wiek, począwszy od lat swych młodych aż do teraźniejszego czasu nam i rzeczypospolitéj wyświadczył, osobliwszym jednak sposobem podczas tych przeszłych zamięszanych czasów do ratowania ojczyzny i wydźwignienia jéj z takich ciężkich terminów swojém *concurrit* męztwem i odwagą, którego lubo sama nieśmiertelna sława *ad rerum posteritatem transferit Nomen*, aby jednak tak odważnych zasług nie zdawaliśmy się być *ingrato*, owszem onéż ojcowskim przyjmując affektem, dobra nasze starostwo tykocińskie ze wszystkiemi dworami i przynależytościami do tychże dóbr należącemi *et cum jure patronatus* ze zgodą wszech stanów, *authoritate praesentis Conventus jure haereditario* onemuż i jego sukcessorom *ad perpetuam meritorum* jego *memoriam* dajemy, jak to wszystko przywiléj od nas dany obszerniéj wyraża, *cum omnibus immutatibus Bonorum terrestrium, salvis tamen in integro fundationibus Ecclesiasticis et Hospitalis* na żołnierzy postrzelanych *provisione annua P. P. S. Francisci Ord. Minor, de observantia conventus Tykocinienseis*". (Vol. Legum IV str. 840).

wyrzeczone przez tegoż króla słowa na sejmie r. 1790; kiedy bowiem ponowioną była kwestya w przedmiocie posiadania dóbr Dolistowa przez sukcessorów Czarnieckiego (1), wówczas król Stanisław August wyrzekł te słowa: „Jużto na tym sejmie po raz drugi wnoszony jest ten interes. Pani krakowska (2) powiadała mi, że ona zadosyć czyni fundatora intencyi, zatém nie widzę dlaczego tą materya ma wstrzymywać ważniejsze obrady.

Świadczy takoż lustracya pomienionego szpitala dokonana na dniu 10 maja r. 1790 przez kommissyą porządkową cywilno-wojskową ziemi bielskiéj i powiatów do niéj należących, złożona z panów Krzeszewskiego chorążego ziemi bielskiéj, Władysława Markowskiego sędziego grodzkiego, Franciszka Orsetti kommissarza ziemi bielskiéj i Ignacego Szymańskiego kapitana i kommissarza cywilno-wojskowego.

Dopiero w późniejszej epoce, a mianowicie, gdy zaszły zmiany w kraju, zarząd szpitala, o którym mowa, i pomieszczanie w nim zasłużonych żołnierzy stały się zawisłemi od woli właściciela dóbr tykocińskich.

Za nastaniem atoli rządu byłego Księztwa Warszawskiego przedsięwzięte były przynależne kroki, mające na celu postawienie pomienionego szpitala na tym stopniu, jaki przez jego fundatora przepisany został. Kiedy atoli były minister wojny byłego Księztwa Warszawskiego Józef książę Poniatowski w latach 1809 i następnych zawiesił czasowo przeznaczanie żołnierzy wysłużonych do tego szpitala, w ten przeto sposób nadzór nad nim pozostał przy miejscowej władzy i dominium dóbr Tykocin, pod zwierzchnim nadzorem byłéj prefektury.

Dopiero dzisiejszy rząd królestwa Polskiego przystąpił do troskliwszego i szczegółowego zbadania tak stanu samego instytutu, jako też funduszów do niego należnych, i do zapewnienia przyszłego jego bytu.

Skutkiem tego pierwotnie w r. 1843 było poleconém, aby rząd gubernialny augustowski do pomieszczania

(1) Zobacz pod rokiem 1662 Vol. Legum IV str. 840.

(2) Siostra króla a małżonka Jana Klemensa Branickiego, kasztelana krakowskiego i wielkiego hetmana koronnego.

w tym szpitalu wysłużonych żołnierzy sam za upoważnieniem Kommissyi Rządowéj Spraw Wewnętrznych i Duchownych przeznaczał, a następnie w r. 1846 zapadło postanowienie Rady Administracyjnéj Królestwa, stanowiące: że przy władzy cywilnéj pozostawać ma administracya szpitala, a do władzy wojskowéj należeć będzie wybór żołnierzy pomieszczać się w onym mianych.

Kiedy zaś wszelkie przedsięwzięte jak wyżéj dochodzenia ostatecznie ukończonemi zostały i kiedy z nich okazało się:

że dom wymurowany w Tykocinie przez niegdy marszałka nadwornego Wiesiołowskiego na pomieszczenie szpitala żołnierzy zawiera w sobie 13 niewielkich pokoi z kominkiem w każdym, jedną osobną dosyć obszerną ogólną kuchnią, w całym zaś gmachu możnaby pomieścić bez ścieśnienia osób 39;

że na utrzymanie 12 żołnierzy, w tym szpitalu umieszczonemi być mianych, opłaca corocznie właścicielka dóbr Dolistowa po rsr. 30, tak jak to erekcya wskazuje, czyli razem rsr. 360, i przytém dopełnia bezspornie wszelkich reparacyi samego budynku;

że hetmanowa Branicka właścicielka dóbr tykocińskich i białostockich, mając oszczędzoną summę rsr. 450 z powodu niekompletu alumnów, po dołożeniu do tego rsr. 150 czyli razem rsr. 600 zabezpieczyła w r. 1803 na swoich dobrach; summa zaś ta ściągnięta, w depozycie banku polskiego znajduje się;

że niejaki Krzysztof Rudkowski przez zapis w Tykocinie z d. 15 grudnia 1780 r. na rzecz tego szpitala summę złp. 4,000 czyli rsr. 600 podarował;

że następnemi czasy przez przyrośnięcie prowizyi i dalsze oszczędności utworzył się dosyć znakomity kapitał funduszowy szpitala (1):

wówczas wiekopomnéj pamięci Cesarz Mikołaj I rozkazać raczył (2):

(1) Kapitał ten wedle obrachunków z sierpnia roku 1856 wynosił rsr. 13,757 k. 9½.

(2) Objawiono odezwą ministra wojny cesarstwa z d. 28 września roku 1847.

1) Zarząd alumnatu tykocińskiego pozostawić na zasadach obecnie istniejących;

2) nadzór nad tymże alumnatem poruczyć naczelnikowi wojennemu gubernii augustowskiej;

3) sprawozdanie pomienionego alumnatu składać komitetowi, w d. 18 sierpnia r. 1814 Najwyżej ustanowionemu w Petersburgu, po upływie każdych trzech miesięcy;

4) zamiast 12 utrzymywać w instytucie 23 inwalidów, których potrzeby pokryte być mają funduszem na utrzymanie rzeczonego instytutu przeznaczonym;

5) inwalidów przeznaczać stosownie do życzenia fundatora tylko wyznania rzymsko-katolickiego, dając pierwszeństwo tym, którzy ze szlachty pochodzą, podług wyboru Jego Książęcej Mości Namiestnika Królestwa.

Takie też instytut pomieniony otrzymał urządzenie, a na skutek tego ustanowioną została rada szczegółowa alumnatu tykocińskiego, której zarząd onego został powierzony w sposobie przepisanym Ukazem Najwyższym z d. 18 lutego (2 marca) r. 1842, obejmującym organizacyą rad opiekuńczych głównéj i szczegółowych zakładów dobroczynnych. Instrukcya w téj mierze na d. 27 października (8 listopada) 1848 r. przepisana, obejmuje szczegółowe, jak wyżej przepisy, a nadto wskazuje, że gubernator cywilny augustowski zostawać będzie w takich stosunkach z alumnatem w Tykocinie, w jakich z mocy Ukazu powyżej powołanego zostaje ze wszelkiemi innemi zakładami dobroczynnemi w tejże gubernii egzystującemi.

Przez świeży nakoniec rozkaz, JO. Książę Namiestnik Królestwa pod d. 27 maja (8 czerwca) r. b. 1857 polecił gubernatorowi cywilnemu augustowskiemu wybór kandydatów z pomiędzy dymissyonowanych niższych stopni wyznania rzymsko-katolickiego, z zachowaniem pierwszeństwa dla pochodzących ze szlachty, a to dla zapełnienia wakujących 15 miejsc, gdyż nateraz tylko 8 żołnierzy takich w tym instytucie jest pomieszczonych (1).

(1) Z powyższego opisu okazuje się: że przywiedzione w liście X o gubernii augustowskiéj (w nr. 170 z r. 1857 Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych zamieszczonym) twierdzenie: jakoby *w miejsce domu inwalidów wojskowych przez Krzysztofa Wiesiołowskiego marszałka na-*

Nadmienić tu jeszcze należy, że dawniejszemi czasy między 12 żołnierzami, w szpitalu tykocińskim pomieszczonemi znajdował się jeden oficer, który pobierał miesięcznie po złp. 20 (azatém rocznie złp. 240, tojest więcéj o 40 złotych rocznie, aniżeli to pierwotną erekcyą dla pomieszczonych w tym instytucie było oznaczoném). Nosił był on nazwę porucznika alumnów a przewyżkę tę pobierał od dominium tykocińskiego tytułem na oświetlenie kaplicy w czasie nabożeństwa. Porucznik ten miał zwierzchnictwo nad innymi alumnami, ale w r. 1830, z zajściem śmierci ostatniego tam oficera, nie ma już w tym instytucie oficerów.

Szpital pomieniony żołnierzy w akcie erekcyjnym spółmieszkaniem czyli alumnatem żołnierzy nazwany, uważać się daje raczéj za dom przytułku zasłużonych żołnierzy, aniżeli za szpital, gdyż tam nie mieszczą się chorzy, ale inwalidzi.

dwornego lit. starostę tykocińskiego i dziedzica dóbr Dolistowo w r. 1633 fundowanego, istnieje tu dziś drugie seminaryum duchowne dyecezyi augustowskiéj," jest zupełnie błędne, bo instytucya pomieniona istnieje, jak to wyżéj okazano, a nawet rząd królestwa zajmuje się dalszém jéj rozwinięciem i uporządkowaniem. Osobno atoli istnieje w Tykocinie seminaryum duchowne. W roku bowiem 1752 Jan Klemens Branicki wielki hetman koronny i kasztelan krakowski, fundowany przez się kościół parafialny w Tykocinie oddał księżom Missyonarzom z oznaczeniem funduszów złp. 70,000 z procentem 5% na utrzymanie proboszcza 6 księży mszalnych, tudzież złp. 30,000 z takimże procentem na utrzymanie 4 kleryków i jednego professora, skutkiem czego seminaryum duchowne w Tykocinie utworzyło się. Ponieważ zaś późniejszym czasem rząd królestwa postanowił przykładać się skarbowemi funduszami do utrzymywania pomienionego seminaryum w rozciąglejszym zakresie i tym celem dopłaca nateraz corocznie po rsr. 1,800 na utrzymywanie pomienionego seminaryum, w taki zatém sposób utworzyło się w Tykocinie istniejące podziś dzień drugie seminaryum duchowne gubernii augustowskiéj.

PAMIĘTNIKI

FRANCISZKA KOWALSKIEGO.

(1823).

Święto Cerery w Mińkowcach, d. 15 sierpnia.

Nad wieczorem stanęliśmy (1) w Mińkowcach, gdzieśmy już zastali poczynione od kilku dni przygotowania do jutrzejszéj uroczystości święta Cerery. Miasteczko było już pełne zebranego z różnych stron ludu, gromady ze wszystkich wsi Marchockiego zaległy jakby obozami cały rynek i przedmieścia: wszystkie prawie domy były zajęte przez różnych zaproszonych na to święto obywateli z rodzinami, a wielu zajechało wprost do Belmontu (2). My zatrzymaliśmy się w miasteczku, znalazłszy miejsce do przenocowania. Kupcy z Dunajowiec, Kamieńca a nawet z Berdyczowa porozkładali swe magazyny, i muzyka odzywała się po różnych kątach. Było w Mińkowcach wielki świat: beczki smolne porozstawiane po wydatniejszych miejscach, po wszystkich kwiatami wieńczonych bramach i basztach czekały tylko zapalenia za nadejściem nocy, wkrótce błysnęły tysiączne światła: całe miasteczko, przedmieścia, skały i Belmont zajaśniały ogniami, wśród których palące się beczki smolne wy-

(1) Ja, i Starzyński Stanisław z Zamiechowa.

(2) Belmont, zgrabny niegdyś pałacyk, zwany był przez hr. Scibora Marchockiego *zamkiem rycerskim*, z powodu, że kopiąc do niego fundamenta, znaleziono w głębi zwłoki człowieka w żelaznéj zbroi.

dawały się jak słońce wśród migających drobnych gwiazd. W zamku rycerskim na Belmoncie była świetna wieczerza dla wszystkich gości; tam mnie pan Dolina prezentował szanownemu gospodarzowi, który z ujmującą grzecznością podał mi rękę. Miałem tu zręczność poznania wielu osób, a młody Marchocki witał mnie już jako znajomego z Zamiechowa.

Stary hr. Jaksa Scibor Marchocki siedmdziesięcioletni człowiek, pan licznych dóbr, znany był na całém Podolu z wielkiéj nauki, uprzejmości i cnót patryarchalnych bez żadnéj arystokratycznéj pychy. Poważna jego postawa, oblicze, wejrzenie, znajomość wielka świata, gościnność i grzeczność, osobliwie dla płci pięknéj, wszędzie go czyniły miłym i powszechnym okrywała go szacunkiem. Na jego zaproszenie zjeżdżało się do Minkowiec mnóstwo niepoliczone gości; dla wszystkich którzy się w zamku rycerskim pomieścić nie mogli, przygotowane były za jego rozkazem w miasteczku i na przedmieściach oczyszczone domy; wszelkie wygody dla nich, dla ich ludzi i koni jego kosztem dostarczone bywały, kilka nawet własnych jego cukierni stało na ich usługi. Przez kilka dni, ile trwały zabawy, służba jego dworska odwiedzała co rana wszystkich gości, roznosząc i rozwożąc im wszelkie ranne posiłki: herbatę, kawę, czekoladę i t. p.; słowem, o nikim nie zapomniano, każdy miał wszystko czego sobie życzył: gdyż jak pan był nie wyczerpaną skarbnicą rozumu, nauki, współczucia dla podobnych sobie ludzi, tak jego dwór był niewypróżnionym rogiem obfitości dla wszystkich.

Tego wieczora goście wróciwszy z belmontskiéj wieczerzy udali się wcześnie na spoczynek, aby byli gotowemi do jutrzejszéj rannéj uroczystości, która ich ściągnęła do Mińkowiec. Aż nazajutrz zabłysnął dzień piętnasty sierpnia, dzień fantastycznego obchodu święta dożynek, święta Najświętszéj Panny, dzień pod imieniem Cerery pamiętny w dziejach mińkowieckich. Od świta obudził się ruch w miasteczku, ludzie zwijali się w rozmaitych kierunkach, księża z rozmaitych miejsc przybyli gotowali się do duchownych obrzędów, i kościół był oblężony od ludu. Młody Karol Marchocki

objeżdżał wszystkich gości zapraszając ich imieniem ojca do zamku rycerskiego, zkąd wszyscy z nim razem udać się mieli do kościoła na mszę i uroczystość, która się o dziesiątéj godzinie zacząć miała. I pojechali wszyscy do zamku swoimi albo hrabiego powozami, gdyż zawsze kilka jego karet i koczów czekało na ich rozkazy.

Około dziewiątéj nabożeństwo w cerkwiach skończyło się; gromady ze wszystkich wsi szły porządkiem jedna za drugą, prowadzone przez swych ekonomów i wójtów, jak kompanie żołnierzy przez oficerów, i stanęły we dwa szeregi po obu stronach drogi, formując szeroką i długą ulicę od kościoła aż do Belmontu. Na początku téj ulicy przy zamku, stało naprzód we dwóch szeregach sto najpiękniejszych dziewic wiejskich, ubranych w najpiękniejsze wiejskie stroje; każda miała w ręku ogromny pęk różnych polnych kwiatów, a na głowie pszeniczny wianek; za niemi następowały dwa szeregi młodych kobiét, mężatek, trzymających każda w ręku sierp i koszyk z różnemi owocami; po nich dwa rzędy młodych parobków, którzy nieśli na ramionach grabki, kosy, cepy; nakoniec, już przy kościele, dwa szeregi starych i poważnych włościan z laskami. Gromady zaś różnych wsi odróżniały się od siebie kolorem latarni papierowych, które trzymały na długich tyczkach; te latarnie były ponsowe, różowe, pomarańczowe, żółte, zielone, błękitne, szafirowe, cieliste, i t. p. i wieczorem pozapalane, osobliwszy i zachwycający przedstawiały widok.

Tą romantyczną ulicą sunęła się z zamku rycerskiego do kościoła ogromna karawana złożona z pięćdziesięciu powozów, karet, koczów, faetonów przepełnionych gośćmi, a na jéj czele pan Scibor Jaksa z długą siwą brodą, długiemi włosami, z twarzą białą i poważną, w aksamitnéj, amarantowéj todze o szerokich rękawach, nasypanéj złotem wyszywanemi pszczołami, i złotem suto galonowanéj, jak arcykapłan judzki albo rzymski *Sacerdos Flaminius*, razem ze swoją córką Emilią, która w tym dniu boginią Cererę wyobrażać miała, jechał na wysokim mitologicznym wozie zasłanym kobiercami i makatami, trzymając w ręku długi, wyzłacany, niby pastorał.

W kościele tymczasem odprawiały się ciche msze, a za przybyciem gości wystąpiła poważna summa z pięknem, stosownem do tak wielkiego święta kazaniem. Podczas mszy bractwo śpiewało psalmy Dawida, które sam hr. Scibor z oryginału hebrajskiego po polsku wytłumaczył, i bractwo mińkowieckie śpiewać nauczył: gdyż ten człowiek przy wielkiéj nauce, wielkiéj i wzorowéj był pobożności. Po summie wyszła processya za kościół, okrążyła go trzy razy, i obróciła swój pochód na ulicę, i daléj za miasto, na trakt pocztowy, dążąc na równe pole, na górę panującą nad Mińkowcami, na któréj, po lewéj stronie drogi stał ołtarz o kilku stopniach. Karawana powozów z poprzedzającym pana Scibora wozem posuwała się pomiędzy dwoma rzędami gromad, które przedemszą formowały ulicę od Belmontu do kościoła, opisanym wyżéj porządkiem.

Stanąwszy na miejscu, gromady uszykowały się w ściśniętych kolumnach około ołtarza po lewéj stronie drogi, a po prawéj na drugim łanie, stało już mnóstwo wozów z obiadem, z obfitém jadłem i napojem dla ludu: wiele także było ognisk przy których gotowały się potrawy; publiczność zaś, goście, pomiędzy któremi znajdowali się zaproszeni wojskowi, generał, pułkownik, i niższéj rangi oficerowie konno i w powozach, a piesi tuż przy gromadach i na drodze, przypatrywali się wygodnie temu fantastycznemu obrzędowi. Zaczęły się modły i śpiewy religijne, księża poświęcali uroczyście kwiaty, owoce i wianki przeniczne złożone na ołtarzu. Poczém hr. Scibor wstąpiwszy na stopnie ołtarza jak na mownicę, wśród uroczystéj cichości mówił z pamięci donośnym głosem do całego zgromadzenia, a osobliwie do rolników o ważności tego święta, o powinności dziękowania Panu Bogu i Jego Świętéj Opatrzności za wszystkie plony ziemskie, za bogate urodzaje, któremi nas grzesznych śmiertelnych obdarzać raczy; o pracy, bez któréj z łaski Opatrzności nic korzystać nie zdołamy; mówił o powinnościach włościan względem panów, i panów względem włościan: o trzeźwości, o zgodzie i wspólnéj pomiędzy sobą miłości; o wzajemném wspieraniu się całém sercem i całemi siłami; mówił o rolnictwie jako

o źródle bogactwa i szczęścia narodowego i zachęcał swych kmiotków do gorliwości a pracy około ziemi: a na poparcie swych argumentów stawiał im za przykład Rzymian jako lud rolniczy, przytaczając Porcyusza, Katona, Wirgiliusza i kilka wierszów z *Georgik*, czego słuchająca publiczność po większéj części, a kmiotkowie wcale nie rozumieli. To jedno w jego wybornéj mowie było trochę śmiesznością. Skończył pobożną swego układu do Najświętszéj Panny modlitwą, którą na kolanach głośno, z odkrytą głową wymawiał, a całe zgromadzenie z nabożeństwem i równie z odkrytą głową słuchało. Wtém na dany znak rozstąpiły się gromady, i pokazało się za niemi mnóstwo, może sto sześciowołowych pługów, a na ich czele jeden mniejszy, zgrabny, zielono malowany, o sześciu czarnych wołach ze złoconemi i uwieńczonemi w kwiaty rogami, prowadzony przez młodego Karola, syna pana Scibora, przybranego w strój wiejski z torbeczką przez plecy. Zaraz po wszystkich tych pługach rozległ się jeden grzmiący odgłos „hej!" i zaczęli orać. Młody Karol wyorał jednę skibę, i razem pokazało się na polu sto skib po gospodarsku wyoranych, a to w najlepszym porządku, pod okiem ekonomów i wojtów. Dawniéj za czerstwiejszych jeszcze sił, stary pan Scibor sam kierował pługiem, w starości zaś kierowanie jego synowi powierzył.

Przemówiwszy jeszcze raz do gromad, które go serdecznemi okryły wykrzyknieniami, przeszedł z częścią publiczności na drugi łan za drogą, gdzie stały przygotowane dla ludu stoły z jadłem i napojem. Kazał wszystkim jeść i pić, ale pierwéj sam spełnił toast w ręce generała, albo pułkownika, za zdrowie monarchy pod którego błogiém panowaniem rolnictwo tak zakwitło i kraj tak słodkiego używa pokoju. Gromady z grzmiącym okrzykiem powtórzyły to zdrowie, ale przez cały czas ich bankietowania na polu, pijatyki nie było. Pożegnawszy nakoniec ochoczych włościan, którzy do Belmontu na wieczór i na całą noc zgromadzić się mieli, zaprosił do siebie wszystkich gości na śniadanie i obiad, i postąpił do czekającéj na drodze zwyczajnéj swéj kolasy. Za nim wszyscy siedli do powozów i ruszyli do miasta: ma-

ła tylko część publiczności odjechała do swych domów. Tak się skończyła około drugiej z południa jedna połowa pobożnéj uroczystości.

Druga połowa już całkiem światowa, fantastyczna, odbyła się w zamku rycerskim na Belmoncie. Kiedy na polu włościanie jedli, pili, bawili się, śpiewali, wynosząc pod niebiosy pana, dziedzica, ojca, który ich pieścił i teraz tak hojnie karmił i poił, wtedy na Belmoncie było wspaniałe i wykwintne dla gości śniadanie, które się ciągnęło prawie do wieczora. Po śniadaniu, oglądaliśmy mury zamku, bramy, baszty, uwieńczone girlandami kwiatów, i niewielki ogród zbiegający aż do rzeczki, po którym została dziś tylko goła ziemia i opoka. Widzieliśmy oraz altanę niezmierzonéj wielkości na dziedzińcu wystawioną z tarcic dla gromad, jak się zbiorą wieczorem. Wtém, już o zmroku, uderzyły w okna zamku rycerskiego niezliczone różno-kolorowe światła, rozsiane na pochyłości góry, gdzieśmy byli o południu, i spuszczały się na dół do miasta, jak świętojańskie robaczki albo ruchome gwiazdki: to gromady ludu wracały z łanu, gdzie jadły i piły. Z papierowemi latarniami w rozmaite malowanemi kolory, szły tak tłumnie ale bez krzyku, wśród odgłosu muzyki, wśród zapalonych beczek smolnych po obu stronach drogi prowadzącéj przez miasto do zamku, którego bramy, dachy, gzymsy, podobnie beczkami smolnemi, lampami, latarniami, kagańcami błyszczały rzęsiście oświecone. Widno i jasno było jak w dzień. Wyszliśmy wszyscy na dziedziniec i balkony nasycać się tym nieokreślonym, zachwycającym widokiem: wtedy weszły gromady na dziedziniec pełen już stołów i naczyń z różnemi napojami, piwem, wódką, miodem, wiśniakiem, i dwie czy trzy jeszcze muzyki stały w odwodzie na wyznaczonych sobie miejscach, a lud zebrawszy się w porządku, czekał spokojnie aż mu będzie wolno tknąć się tych łakomych naczyń.

Wyszedł na przywitanie swych włościan czcigodny dziedzic: oni go z wykrzykami radości otoczyli wkoło; zapytał ich potém czy nie są głodni, czy są zadowolnieni jego przyjęciem: „*dowolnił dowolnił nasz panie! nasz bat'kul*" zawołali wszyscy z najwyższém uniesieniem rado-

ści, dziękczynień i czci jaką ku niemu przejęci byli. „Dzieci moje, powiedział im wtedy, piérwsza rzecz, to Bóg! to Jego Święta Opatrzność; druga, praca! Jeżeli wzywając miłosierdzia Bożego pracować będziecie, Bóg wam dopomoże i będziecie mieli wszystko, będziecie szczęśliwi!" Na te słowa szanownego i kochanego dziedzica najwyższe wzruszenie odmalowało się na twarzach poczciwych włościan: całowali go w ręce, nogi, kolana, i on rozczulony wyrwawszy się z ich objęć wszedł do altany, a za nim wszyscy, ile się ich w niéj pomieścić mogło. My, goście, czekaliśmy już w altanie. Byłato na dziedzińcu zamkowym zadziwiającéj wielkości z tarcic wystawiona sala, w któréj kilkaset osób pomieścić się mogło; bez pułapu, z wysokim nasadzonym lampami dachem, podpartym słupami obwiniętemi w kwiaty i gałęzie rozmaitych zielonych drzew, oświecona kinkietami, żyrandolami tak, że śpilki możnaby pozbierać. Samych żyrandolów było wzdłuż téj sali ośm, w każdym po sto jarzących świec; a po ścianach ubranych w zwierciadła i girlandy z najrozmaitszych kwiatów i liści, światła niepoliczone roje. Od wchodu ściany nie było, a na przeciwnéj wchodowéj ścianie od góry do dołu wisiała jak w teatrze zasłona, na któréj był wymalowany obraz mitologiczny żniwa: ziemia zaś w téj altanie była wyłożona szarém, z fabryki mińkowieckiéj suknem.

Gdy się tak gośćmi i włościanami napełniła sala, okazała się oczom naszym pyszna i fantastyczna scena. Przed zasłoną zostawione było próżne miejsce, w kółko, gdzie stał sam hr. Scibor z poważném wejrzeniem w swojéj majestatycznéj todze; za danym przez niego znakiem podniosła się zasłona, i ujrzeliśmy pod złoto-purpurowym aksamitnym baldachimem błyszczący od światła tron, na którym siedziała jedna z córek hrabiego, Emilia, dama niepospolitéj wówczas piękności, w mitologicznym stroju, wyobrażająca boginią Cererę, z właściwemi jéj symbolami. Przed nią stał nakryty purpurowym aksamitem ze złotemi frendzlami, kutasami i galonami stół, na którym leżały zwoje najpiękniejszych wstążek i kilka kupek rubli srebrnych. Piękna jéj twarz z wyrazem powagi i niejako zamyślenia przejmowała widzów czcią

i uszanowaniem. Tejże chwili, za podniesieniem zasłony dwanaście najpiękniejszych wiejskich dziewcząt, w najpiękniejszych wiejskich strojach, z wiankami pszenicznemi na głowach zbliżało się w pokornéj postawie do tronu bogini, każda koleją przykląkłszy na jedno kolano pocałowała ją w rączkę, a bogini z niewymownym wdziękiem i uśmiechem zdjęła każdéj z głowy wianek, położyła go przed sobą na stole, i wziąwszy ze stołu jednę wstążkę przepasała nią jéj głowę, i dała jéj jednego rubla. Tak ucieszone i uszczęśliwione dziewczęta oddawszy swój hołd i wziąwszy nagrodę od bogini, wróciły koleją na swe miejsca; a przez ten czas gromady na dziedzińcu śpiewały pieśni dożynek. Niepodobna mi opisać tę zachwycającą, prawdziwie teatralną scenę.

Nakoniec, kiedy ostatnia z dziewcząt odeszła, hr. Scibor kazał sobie podać wielki puhar wina, wzniósł go do góry i mocnym głosem zawołał: *Teraz piję za zdrowie moich pracowitych, poczciwych, i kochanych rolników! niech pracują, żyją, i będą szczęśliwi!* Spełnił ten toast, a gromady odpowiedziały mu z głośnemi okrzykami: *niech żyje nasz dobry pan! nasz bat'ko!* i już wtedy zaczęli pić i hulać przez całą noc, i muzyka ożywiała ich serca i nogi. Weseli włościanie z żonami i dziećmi opanowali salę, starsi zasiedli przy stołach, jedli i pili, młodzi hasali do upadłego ze wszelką jednak przyzwoitością, bez krzyków i hałasów, a pan gospodarz pożegnawszy ich i zostawiwszy im wszelką do zabaw swobodę, zabrał swych gości i poprowadził do salonów zamkowych. Podaliśmy rękę damom i weszli do zamku, gdzie nas czekała herbata, ciasta, cukry, konfitury, wyborne owoce, orkiestra i najwykwintniejszy bal, który trwał aż do rana, przynajmniéj do siódméj godziny. Wtedy zaczęli się wszyscy do swoich kwater dla odpoczynku i snu rozjeżdżać, a wszystkie gromady już o wschodzie słońca ze śpiewami odeszły.

Taki był w Mińkowcach obchód święta Cerery na który sam patrzałem, i w którym oprócz imienia téj bogini nic nie było mitologicznego ani pogańskiego; nie wiem więc za co starego i czcigodnego pana Sciboга nazwali poganinem, i prześladowali. Trzydzieści

z górą lat minęło jakem był na tém obchodzie, mogłem więc w tym krótkim opisie coś nie tak, jak było, powiedzieć, gdyż trudno jest o dokładność w określeniu zdarzenia popularnego, które długim przeciągiem czasu coraz bardziéj zaciera się w pamięci współczesnych: ale główniejsze szczegóły, które na mnie najmocniejsze sprawiły wrażenie, starałem się w moim opisie umieścić.

Ale nie na tém jeszcze był koniec balowi i zabawom mińkowieckim. Przed rozjechaniem się gości z balu do swych mieszkań na spoczynek, czcigodny i gościnny gospodarz, który ich całą noc bawił, prosił uprzejmie, aby jak już wypoczną, raczyli łaskawie przyjąć jego wizyty, które winien wszystkim łaskawym przybyłym na jego zaprosiny: aby się mógł przekonać, czy wszyscy podług jego myśli i chęci mieli wszelkie wygody, i podziękować im za miłą, darowaną mu w jego domku chwilę. Kiedy się goście ze spoczynku obudzili, służba pana Scibora pilnie rozwoziła wszystkim różne ranne posiłki, do trzeciéj zpołudnia, gdyż po balu musieli spać długo; nastąpiły jego wizyty z córką i synem: odwiedził wszystkich i o nikim nie zapomniał. Ale goście, którzy się już wybierali do domów, musieli na jego usilne prośby zostać jeszcze na ten drugi dzień i wieczór, i daléj na trzeci dzień: tego drugiego dnia dał im równie świetny bal w Otrokowie, trzeciego w Pobujnej czy w salonach Przytulii (1), gdzie wiele piękności widzieć można było, szczególniéj wielki park czyli ogrody przytulijskie z wodotryskami, wodospadami, skałami, niepospolitą sztuką i gustem jego założone i utrzymane. A gust jego był pełen najwykwintniejszéj, śmiejącéj się poezyi: ogrody przytulijskie sławne na całém Podolu ściągały do siebie widzów ze wszystkich stron. Dziś to wszystko upadło: z jego ogrodów same dzikie pustki, a z murów gruzy i żwir.

Cichy, skromny, dobroczynny, bogaty w najwyższy rozum, nauki, talenta, we wszystkie patryarchalne cnoty, hr. Scibor Jaksa Marchocki sam był nauczycielem swoich dzieci: uczył ich wszelkich nauk, rysunków i muzy-

(1) Nazwiska wsi pana Scibora.

ki, i syn jego Karol, którego znam zbliska, jest prawdziwie uczonym człowiekiem i biegłym fortepianistą: ukryty przed światem, mieszka dziś pod Odessą.

Na lat kilka przed śmiercią stary hr. Scibor osiadł w parku przytulijskim, gdzie sobie zbudować kazał wiejską chatę o jednym pokoju i alkierzu; tam przeniosłszy się z błyszczących gmachów, spokojnie i z czystém sumieniem oczekiwał śmierci. Sprzęty w swojéj chacie kazał sobie porobić prostemu stolarzowi: mahoń, sandał, heban, ustąpiły miejsca dębinie. Na podwórzu płotem po wiejsku ogrodzoném, były dwa psy, dwie krowy, kilka kur i kogut co mu z dachu zwiastował północ i wschód słońca; i to wiejskie gospodarstwo, ten nowy tryb życia, stary cnotliwy filozof nazywał *pogodzeniem się z naturą i powrotem do właściwego stanu człowieka.* Nad wchodowemi drzwiami do swego przedgrobowego domku położył na kamiennéj tablicy napis:

Inveni portum.
Spes et fortuna valete!
Sat me lusistis:
Ludite nunc alios.

(Znalazłem port. Nadziejo i fortuno, żegnam was! Dosyć mnie zwodziłyście: zwodźcie teraz drugich).

W téj chacie siedmdziesiątkilkoletni starzec zakończył swój cnotliwy żywot. Pochowany w katakumbach ogrodu przytulijskiego, gdzie są groby całéj jego rodziny. Cześć i pokój jego popiołom!

O POEZYI WŁOSKIÉJ W ŚREDNICH WIEKACH

JAKO ŹRÓDLE DO

BOSKIÉJ KOMEDYI DANTA.

PRZEKŁAD

z A. Fryderyka Ozanama.

VII.

ŚWIĘTY KRZYŻ WE FLORENCYI.

Zdaje się, że w początkach XIVgo wieku, do któregośmy doszli, sztuka słowa i sztuka rysunku, niby dwie siostry wzrosłe razem, dojrzały już i miały się niebawem rozłączyć. Wszakże natchnienie obfitym zdrojem wytryskało jeszcze z łona ówczesnych ludzi, musieli więc wyrażać je wszelkiemi możliwemi drogami: a złudzenie pędzla i potęgę wiersza, uzupełniać sobą nawzajem. Dante nie poprzestał na tém, że począł w duchu budowę trzech światów, że wykował jéj posady, niby w żywéj skale, że malował postaci, które dotąd przejmują nas politowaniem i trwogą. Ten poeta niezrównany rysował także z wdziękiem: przyznają mu piérwszą myśl do obrazów wykonanych ręką Giotta w kościele świętéj Klary w Neapolu. I malarze z swéj strony nie wstydzili się jeszcze objaśniać napisami przedmiotu swych obrazów; nie tyle pragnąc zdumiewać, jak raczéj nauczać nieświadome prostaczki. Taki miał zwyczaj Cimabue: Buffalmacco naśladował go także. Gdy mu polecono malować stworzenie świata na Campo-Santo

(cmentarzu) w Pizie, wyobraził Boga Ojca trzymającego w ręku niebo zapełnione aniołami, sferami i planetami, z ziemią umieszczoną w pośrodku. Po dwóch stronach stał ś. Augustyn i ś. Tomasz z Akwinu, jako dwaj najsłynniejsi tłumacze dzieła Bożego, a jak gdyby artysta nie mógł pomieścić całéj swéj myśli, w tym dzielnym utworze, napisał u spodu sonet wzywając nim widzów, aby uczcili wielkiego Stwórcę świata.

Lodate hic che l'ha si ben creato!

Chwalcie Tego, który go stworzył tak dobrze.

Pizanie tak zachwyceni byli tym wierszem, że późniéj Orcagna, w tenże sposób ożywił swój *Tryumf śmierci*. On sam ułożył rymy, któremi przemawiali niby jego aniołowie, pustelnicy i bracia zakonni. Poniżéj obrazu z ust innych postaci wysnuwały się długiém pasmem godła lacińskie i włoskie niegdyś tak wielbione, dziś pozacierane wpływem czasu i opłukane morską rosą (1).

Tak więc poezya nie mogła się oderwać od murów świętych, pod których cieniem przeżyła tyle wieków. Toż samo natchnienie, co dało życie pieśniom Jacopona wzniosło kopuły ś. Krzyża we Florencyi.

Byłoto 1292 roku. Od dziesięciu lat Florencya rozszerzyła obręb swoich wałów i zbudowała pałac stary. Mocą wyroku wezwano architekta Arnolfo, aby odbudował katedrę według rysunku, nad któryby sztuka i potęga ludzka nic wspanialszego, ani większego wymyślić nie mogła. Dość w tém było powodu jak się zdaje, do uświetnienia narodu złożonego z rzemieślników i kupców. Wszakże rzeczpospolita florencka zatwierdziwszy, iż przyjmuje dwa zakony: ś. Dominika i ś. Franciszka, z powodu ich gorliwości i ich pobożnych uczynków, chciała zarazem dać im wspaniały dowód gościnności. Podczas, gdy dwaj Dominikanie, brat Ristoro i brat Sisto, budowali kościół Panny Maryi (Sancta Maria novella), Arnolfo otrzymał rozkaz, aby zbudować dla Franciszkanów kosztem miasta kościół ś. Krzyża. Ów artysta przywykły do wykonywania samych wielkich pomysłów, pamiętał jednak, że pracuje dla ubogich braci: a ponieważ gmach jego miał nosić nazwisko ś. Krzyża, pragnął mu więc nadać nietylko kształt, ale i powagę, świętego znaku zbawienia. Wzniósł

(1) Vasari. *Vita di Buffalmacco, vita d'Orcagna.*

potrójną nawę wspartą na cztérnastu pilastrach i tyluż arkadach, godnych najwspanialszych katedr tego czasu; ale nie chciał obciążać ich sklepieniem, tylko je pokrył nagiém wiązaniem z belek, któreby przypominało prostotę Betleemskiéj stajenki. Chór nie miał świetności zwykłych sanktuaryów gotyckich, ale po prawéj i lewéj stronie na ramionach krzyża ciągnęły się mnogie kaplice, w których słynni ówczesni malarze pozostawili wiekopomne dzieła sztuki. Naprzód występuje niezmordowany Giotto, a za nim dwaj słynni jego uczniе, Stefano i Taddeo Gaddi; daléj Giottino syn Stefana i Angelo syn Taddea, w tych bowiem czasach bohaterskich sztuki, pędzel dziedzicznym był jak oręż. Przedstawili oni w długiéj seryi fresków, podniesienie krzyża ś. przed cesarzową Heleną i pochód z nim tryumfalny cesarza Herakliusza: daléj wyobrażoną była historya żywota Najświętszéj Maryi Panny, a za nią pełne wdzięku powieści z ewangelii o świętém dzieciństwie Chrystusa; legenda o świętéj Magdalenie na pociechę grzeszników; męczeństwo apostołów na skrzepienie odwagi tych, co szli opowiadać ewangelią Maurom i Tatarom: nakoniec żywot i cuda ś. Franciszka, Orcagna, malarz wiekuistych wyroków zakończył swe obrazy wizyą ostatecznego sądu. Artyści jednak, którzy pracowali nad wewnętrznem ozdobieniem kościoła ś. Krzyża, nie uważali dzieła swego za ostatecznie dokonane: wymalowawszy ściany kościelne, malowali zakrystye i refektarze. Giotto wykonał na drzwiach szafy dwadzieścia sześć obrazków nieocenionéj wartości. I niebawem dzieła sztuki, nie mając się gdzie pomieścić w obrębie świętego przybytku, zdobić poczęły galerye i przyległe sale. Gromadzono tam pyszne porcelany z Luki *della Robbia*, stare bizantyjskie wizerunki Chrystusa, malowania starych mistrzów od Cimabuego, aż do błogosławionego Angelico de Fiesole. Kościół świętokrzyski stał się wspaniałém muzeum, kędy ubogi żebrak z Assyżu zgromadził więcéj arcydzieł, niż ich posiadały królewskie i książęce pałace. Jego freski wycierpiały wprawdzie wiele przez działanie czasu i niedbalstwo ludzi, ale jeżeli nie ma już śladu, cztérech kaplic Giotta, pozostał jednak obraz na drzewie jego pędzla, wystawiający ukoronowanie najświętszéj Maryi Panny w ołtarzu kaplicy Baroncellich, a sześć wieków nie zmieniło jego świeżości i blasku. Jestto obraz nieba w rodzaju tych, jakiemi starzy mozajkarze, zwykli

byli zdobić sanktuarya bazylik. Ale tu różnica wieków wydatnie już odbija. Podczas gdy starożytni mozajkarze, tłumacze nieodmiennéj tradycyi i zestarzałego świata wyobrażali postacie swoje pogrążone w nieruchomym zachwycie, właściwym starości; mistrz florencki umiał natchnąć życiem raj, który utworzył. Chrystus koronujący Matkę swoję, otoczony orszakiem wybranych, zwraca na siebie uwagę osób umieszczonych w obrazie, a cudowna harmonia ruchu rozlewa na cały utwór, niepojęty urok życia. Oblicza wszystkich, nawet starców promienieją młodością, młodą albowiem była szkoła, co je poczęła, młodym był lud włoski, który zajaśniał w średnich wiekach pełnym rozkwitem powodzenia i geniuszu (1).

Jeżeli wieki znieważyły cokolwiek kościół świętego Krzyża, zapełniły za to wnętrze jego mieszkańcami godnymi owych wspaniałych sklepień. Florentczykowie obrali tę piękną i poważną bazylikę, na grobowiec wielkich swoich współobywateli. Tam spoczywa Machiawel, Michał Anioł, Galileusz: że pominiemy wielu innych. Dante, którego wspomnieć możemy w przedmiocie dotyczącym go tak blizko, pędzony burzą polityczną, a bardziéj jeszcze niepokojem własnego serca, przechodził razu jednego przez dyecezyą Luni; idąc długą samotną pustynią, zaszedł nakoniec do klasztoru Corvo. Otoż gdy stał milcząc pod arkadą kościoła, mnich jakiś uderzony szlachetną jego postawą i wyrazem smutku wyrytym na obliczu, zapytał go, czego szuka? „Pokoju", odparł poeta. Tylu więc ludzi, których Florencya kochała i dręczyła, czciła i znieważała zarazem, znalazło dopiéro spokój pod dachem ś. Franciszka.

Wiele narodów chrześciańskich zgromadzało wielkich zmarłych swoich, w miejscu wspólnego spoczynku. Piza chlubiła się swoim *Campo-Santo* (cmentarzem); Wenecya miała na ten cel kościoły ś. Jana i Pawła, oraz N. Maryi Panny, (Santa Marya Gloriosa); Francya grzebała królów w St. Denis; Anglia pod sklepienia Westminsteru, garnęła prochy mężów stanu i narodowych poetów: ale kościół ś. Krzyża przechodzi o wiele słynny angielski panteon. Zapewne, że i we florenckim przybytku nowożytna rzeźba, pogańskiemi allegoryami znie-

(1) Vasari, *Vita de'Pittori, Vita di Giotto, di Giottino, di Taddeo e l'Angelo Gaddi, d'Orcagna* etc. *Sąd ostateczny* pędzla Orcagna, zniszczał u świętego Krzyża wraz z wielu innemi malowaniami.

ważyła chrześciańskie groby; wszakże te dzieła wątpliwego smaku, nikną u stóp przepysznych pilastrów panujących ponad niemi, albo ukryte w cieniu kaplic. Bóg panuje tu wszechwładnie, starożytna myśl wiary, pokory, pokuty napełnia cały przybytek, i jakby płaszczem osłania upadek nowych plemion. Westminster miał także dnie chwały, gdy ta bazylika narodowa wyrosła z nad grobu ś. Edwarda, gdy wkoło tego króla kładli się na spoczynek, świetni jego następcy. Ale odkąd protestantyzm wygnał Chrystusa ze świątyni, odtąd napełnił ją zmarłymi bez chwały, sprzedawał bowiem bogaczom prawo wciskania się w grono wielkich mężów. Odtąd nawy kościoła przepełniły się pomnikami pychy ludzkiéj, skażonego smaku: sarkofag jednak z relikwiami świętego Edwarda pozostał wyszczerbiony jak w piérwszych dniach reformy, gdy obrazoborcy z młotem w ręku, przebiegli świętokradzko sklepienia przybytku. A znieważone grobowce Plantagenetów budzą dziś litość francuzkiego wędrowca, który modlitwą i westchnieniem, składa cześć bohaterskim wrogom swéj ojczyzny!

VIII.

KWIATKI ŚW. FRANCISZKA (FIORETTI DI SAN FRANCESCO).

Jeżeli cała dążność mistycyzmu polega na tém, aby człowiek zapomniał sam siebie w obec Boga; nie ma się co dziwić, że autor *Naśladowania Jezusa Chrystusa* chciał pozostać nieznanym; ani téż, że cała poezya franciszkańska wykwitła w końcu prześlicznym lecz bezinteresownym utworem: mówimy tu o *Kwiatkach św. Franciszka.* Są to rzeczywiście kwiatki: nie głoszą one nazwiska ogrodnika, który je wyhodował, ale objawiają pokorę, w któréj zakwitły. Dzieło to tchnie najżywszą wiarą i pełnym naiwnéj prostoty wdziękiem średnich wieków. Dowody niezaprzeczone wyciskają na nich piętno XIV wieku, autor pozostał jednak niewiadomym, a nie pewne tylko domniemania przyznają ten utwór Janowi St. Laurent ze szlacheckiéj florenckiéj rodziny Marignolle, który dla wielkich cnót i niepospolitéj nauki, wyniesiony został w 1354 r. na biskupią stolicę w Risignano (1).

(1) Wadding. *Scriptores Ordinis Minorum*, cum supplemento Sbaraleae.

Książka taka, w rzeczy saméj, nie może mieć autora: tworzy się bowiem zwolna, pracą wieku całego. Żywot i główniejsze cuda św. Franciszka, uznane przez współczesnych, należą do historyi. Wierzymy im nie dlatego, żeby kościół podał je kiedykolwiek za artykuły wiary, ale że krytyka nie dozwala gardzić świadectwem ludzi bezinteresowanych i wiarogodnych. Lecz w miarę jak się oddalamy od wypadków, wyobraźnia ludzka z upodobaniem ożywia je nowemi rysami, cud dołącza do cudu, nie przez chęć rozsiewania fałszu, ale jedynie przez leżącą w nas potrzebę wiary, i uwielbienia: tak więc obok historyi, powstaje poezya. Od XIIIgo wieku, legenda o ubogim braciszku z Assyżu, opisana hexametrami łacińskiemi, a wkrótce potém przełożona na wiersz francuzki, w języku truwerów, walczyła o popularną wziętość z historyą o Alexandrze i Cezarze. Ale tylko we Włoszech, tylko w narzeczu ulubioném św. Franciszkowi, uczniowie jego mogli związać w całość krążące po kraju podania, uporządkować je, nadać im jedność i harmonią i utworzyć z nich epopeję chrześciańskiego ubóstwa.

W utworze tym, wszystko rzeczywiście znamionuje poemat: naprzód ideał Boski promienieje od początku do końca opowieści, i rzuca blask na wszystkie działające w niéj osoby; tym ideałem jest Chrystus, którego święci słabém są zaledwie odbiciem. Św. Franciszek winien nawet całą swą wielkość, podobieństwu swemu z Bogiem-człowiekiem, a poemat *kwiatki* usiłuje przedewszystkiém uwydatnić to podobieństwo; przedstawia potém pokutnika z Assyżu w chwili nawrócenia i idzie w ślad za nim, podczas gdy święty pości na puszczy, gdy roznosi słowo Boże po Ombryi i Toskanii, gdy nakoniec głosi wiarę sułtanowi Babilonu. Niepodobna by oddać czystszemi barwy, téj postaci udręczonéj ostrą pokutą, a jednak pełnéj wdzięku i siły; tego świętego żyjącego prawie niebieskiém życiem, który mimo, że potargał wszystkie niemal węzły ziemskie, wnika jednak lepiéj niż ludzie stanu w niedolę, niebezpieczeństwa i potrzeby współczesnysh. W około niego zebrani uczniowie różnią się wielką rozmaitością charakterów: tu brat Leon ulubiony towarzysz, którego św. Franciszek zwał małą owieczką Bożą; tam Bernard teolog, którego umysł orlim wzbija się polotem; tu święty Antoni Padewski pociąga ludy urokiem słowa: a gdy ludzie zamykają ucho na jego naukę, on wtedy idzie

nad brzeg morski i mówi o Bogu bezrozumnym rybom. Daléj jawi się cudna postać świętéj Klary, opromieniająca niejako ponurą barwę, tych klasztornych obrazów. Nigdy może poeta śmielszego przedmiotu nie obrał do pieśni; szło tu bowiem o zbudowanie nowego społecznego porządku, a w wieku gwałtów i wyuzdania, trzeba było stworzyć lud posłuszny, czysty i miłosierny. Wszystko też w poemacie bierze udział w tém wielkiém przedsięwzięciu: przyroda cała niesie pomoc, zwierzęta leśne dają grzesznikowi wzór posłuszeństwa; ptastwo słucha powolnie głosu, który ma światu przynieść pokój; grób oddaje kości zmarłych, aby dokonać nawrócenia żyjących; świat niewidzialny nie ma już tajemnicy: a dla utwierdzenia wiary biédnego pokutującego grzesznika, bramy niebios otwierają się na oścież i dają mu widzieć oblicza świętych, w gwiaździste przybranych korony.

Ale książka pod tyt. *Kwiatki św. Franciszka*, pisana prozą, nie ma nic wspólnego z temi poematami średnich wieków, które naprzód układano wierszem, dla zabawy panów; a które przerabiane następnie, znajdowały w prozie popularniejszą i trwalszą formę. Przytoczymy z pomiędzy nich *reale di Francja* (panowanie Franków): jest to ostatnia redakcya pieśni trubadurów, opiewających Karola W., jego rodzinę i rycerstwo. Podczas gdy świat uczony przesycał się temi pięknemi powieściami, niewiadomy wydawca odbił je w skróconym tekście prozą i puścił w świat, w formie małych książeczek, jakie zwykle sprzedają kramarze po jarmarkach, a które lud czyta je wspólnie, karmiąc się znich wspomnieniami wielkich czynow i szlachetnych uczuć. Tak samo było i z *kwiatkami*, z tą różnicą, że styl w nich poprawniejszy nosi wyraźną cechę XIV wieku: kto wié, czyli ozdoby poezyi żleby nie przystawały do epopei ubogich zakonników. Jak błogosławiony Angelino z Fiesolle, który malował klasztor św. Marka we Florencyi w mniemaniu, że bogactwo kolorytu nie odpowiada zakonnéj regule ubóstwa, zachował ku ozdobie kościoła złoto, srebro i cynober, wnętrze zaś klasztoru w lekkich traktował tonach; tak też i autor *kwiatów* nie dobiera świetnych barw, jakiemi Dante zdobił swoje obrazy; ale mową prostą i naturalną, czyste światło roztacza na przedmioty i działającym osobom nadaje ruch i życie.

Autor doścignął talentem owych nieporównanych włoskich powieściarzy, których *novelle* rozrywały tylekrotnie naród

w chwilach spoczynku i nudoty, którzy z drugiéj strony szkodliwy wpływ wywierali rozmiękczając rozpustną opowieścią, pokolenia przeznaczone do niewoli; przeciwnie zaś kwiatki św. Franciszka, jakkolwiek pełne nadobnego wdzięku, kryją w sobie niemniéj naukę męzką, jaka przystoi ludom wolnym. Niechaj nas nie zraża drobiazgowość tych legend; nie sądźmy, że służą one co najwięcéj, do rozpowszechnienia cnót klasztornych. Gdy ś. Ludwik w odzieży pielgrzyma odwiedza brata Idziego w Peruzie, i gdy obadwaj święci po długim uścisku rozchodzą się w milczeniu, albowiem same serca świętych mężów przemówiły wzajem do siebie, poznajemy tu cechę owego chrześciańskiego społeczeństwa, zacierającą różnicę, pomiędzy duszą króla, a duszą ubogiego mnicha. Gdy św. Franciszek przyjmuje świętą Klarę w klasztorze N. Maryi Panny Anielskiéj, sadza ją obok siebie i łamie z nią chleb w obec uczniów: uczy on tém poszanowania dla niewiast, w kraju, kędy ciążyło nad niemi jarzmo rzymskiego prawodawstwa. Gdy rozmawiając z bratem Leonem, na zapytanie: w czém spoczywa prawdziwa radość, nie znalazł jéj, ani w umiejętności, ani w nauczaniu, ani w cudach, ale w przebaczaniu zniewagi; przyłożył rękę do krwawéj rany owego włoskiego narodu, tak natchnionego, tak wymownego, który wszystko znał, wszystko umiał, prócz jednéj cnoty przebaczania, przez co też miał paść smutną ofiarą niezgody. Uśmiechnie się nie jeden, na opis zawartego za pośrednictwem św. Franciszka pokoju, pomiędzy miastem Gubbio, a wilkiem z pobliskiéj góry; lecz mało kto dostrzeże w tém cudowną naukę miłości, daną sprawiedliwym, na korzyść biédnych grzeszników. Widzimy tu, jak wilk, krwiożerczy łupieżca, ale w gruncie powolny, składa łapę w rękę św. Franciszka i dotrzymując słowa, nie krzywdzi odtąd nikogo. Jest to obraz ludu w średnich wiekach, popędliwego w gniewie, o którym wszakże kościół nie wątpi, którego dłoń zmazaną mordem rad ujmuję w swoję Boską prawicę i trzyma dopóty, aż obudzi w nim uczucie zgrozy na widok krwi ludzkiéj, tę najpiękniejszą cechę nowożytnych obyczajów."

* * *

Dzieło to: „Kwiatki świętego Franciszka całkowicie tłumaczone na francuzki język przez księdza Riche, było ogłoszone drukiem. Przekład Fr. Ozanama w tém się różni, że wybrał ten pisarz z pomiędzy legend franciszkańskich, tę

mianowicie, które najlepiéj odbijają naiwną prostotę włoskiego textu. Poprzestajemy tu tylko na przekładzie jednéj o *trzech zbójcach*, która miała dać myśl Dantemu do jego *piekła*. Zwracamy w końcu uwagę, że w obecnéj chwili postać świętego Franciszka jest przedmiotem pięknych utworów dwóch naszych poetów. Teofil *Lenartowicz* napisał legendę o świętym Franciszku; Władysław *Syrokomla* ogłosił *Kantatę* p. n. Franciszek z Assyżu, w *Tece Wileńskiéj* w zeszycie piérwszym.

Zakończamy wyjątki z Ozanama, przywiedzeniem pomienionéj legendy.

JAKO ŚWIĘTY FRANCISZEK NAWRÓCIŁ TRZECH ZBÓJCÓW, KTÓRZY ZOSTALI BRAĆMI ZAKONU. CUDOWNE WIDZENIE JEDNEGO Z NICH, KTÓRY BYŁ ŚWIĘTOBLIWYM ZAKONNIKIEM.

Święty Franciszek szedł ráz przez puszczę do *San Sepolero*, a przechodząc koło zamku zwanego *Monte Casale*, ujrzał zbliżającego się ku sobie młodziana, szlachetnéj i wątłéj postawy. Młodzian przemówił w te słowa: „Ojcze, chciałbym zostać bratem waszego zakonu".. Święty Franciszek odpowiedział na to: „Mój synu, jesteś wątłym i szlachetnym młodzianem. Kto wié czy zniesiesz nasze ubóstwo i surową naszę regułę". A ten mu na to: „Ojcze, czyliż nie jesteście ludźmi tak jak i my? Ponieważ więc znosicie te trudy, i ja zniosę je przy pomocy Jezusa Chrystusa". Ta odpowiedź podobała się wielce świętemu Franciszkowi, pobłogosławił więc młodziana i niebawem przyjął go do zakonu, dając mu imię brata Anioła; a ów brat postępował sobie tak, że wkrótce święty Franciszek uczynił go gwardyanem w klasztorze *Monte Casale*.

W tymże czasie było w kraju trzech sławnych zbójców, którzy wyrządzali wiele złego; przyszli raz do wspomnionego klasztoru i prosili brata Anioła gwardyana, aby im dał jeść, a gwardyan zgromił ich surowo, mówiąc: „Okrutni złodzieje i zbójcy, nie dosyć, że kradniecie bezwstydnie cudzą pracę, ale jeszcze zuchwalcy bezczelni, chcecie wydrzeć jałmużnę udzieloną sługom Bożym: wy, coście niegodni, aby ziemia święta was nosiła, albowiem nie szanujecie ani ludzi, ani

Boga stwórcy waszego. Idźcie precz, i nie pokazujcie nam się więcéj na oczy".

Zbójcy zatrwożeni temi słowy odeszli z wielkim wstydem. Niedługo potém święty Franciszek powrócił do klasztoru, niosąc użebraną torbę chleba i czarkę wina, a gdy gwardyan powiedział mu jak odprawił zbójców, święty Franciszek zgromił go mocno, mówiąc, że postąpił sobie okrutnie: „albowiem snadniéj skłonić grzesznika ku Bogu słodyczą, aniżeli ostremi wyrzutami: ztądto mistrz nasz Jezus Chrystus, którego przyrzekliśmy wyznawać ewangelią, mówi, że zdrowi nie potrzebują doktorów, ale jedno chorzy, i że nie przyszedł po to, aby powoływał do pokuty sprawiedliwych, ale raczéj grzeszników; i dlategoto jadł często z niemi u jednego stołu. A więc ponieważ zawiniłeś przeciw miłości, i przeciw świętéj ewangelii Chrystusa, rozkazuję ci w imię posłuszeństwa, abyś wziął natychmiast tę torbę chleba com go ukwestował, i tę czarkę wina, i abyś biegł w ślady zbójców, przez góry i parowy, szukając ich troskliwie, dopóki ich nie wynajdziesz; wtedy w mojém imieniu uczyń im dar z tego chleba i wina. Poczém uklękniesz przed nimi i wyznasz z pokorą twoję nieludzkość: nakoniec prosić ich będziesz odemnie, żeby nie czynili już złego, ale żeby się bali Boga i nie obrażali Go więcéj. Powiédz im, że jeśli tak się zachowają, będę myślał o ich potrzebach i zapewnię im raz na zawsze i posiłek i napój. A gdy powiész to wszystko, wracaj z pokorą do mnie". Podczas gdy gwardyan poszedł spełnić rozkaz świętego Franciszka, on sam udał się na modlitwę i prosił Boga, aby zmiękczył serca tych złoczyńców i nawrócił ich do pokuty. Posłuszny gwardyan przyszedłszy do nich, oddał im chleb i wino, oraz powiedział i uczynił wszystko według rozkazu świętego Franciszka. Owoż podobało się Bogu, że ci zbójcy pożywając jałmużnę świętego, poczęli mówić między sobą: „Biada nam nieszczęśliwym! jakże srogie męki czekają nas w piekle, gdy tu na ziemi nietylko że wydzieramy chleb bliźniemu, ale jeszcze wytaczamy krew jego! A wszakże za tyle krzywd i bezprawiów jakie wyrządzamy ludziom, nie czujemy nawet wyrzutu, ani bojaźni Bożéj, a oto ów święty brat, który przyszedł do nas, nagradzając kilka słów sprawiedliwego oburzenia za złość naszę, wyznaje nam z pokorą swoję winę, a co więcéj przynosi nam chleb i wino i wspa-

niałomyślną obietnicę świętego ojca Franciszka. Zaprawdę to są święci bracia i zasługują na niebo, a my jesteśmy synami wiecznego zatracenia i zasługujemy na męki piekielne. Codzień też bardziéj godni jesteśmy kary, i nie wiemy nawet, czy z głębokości tych grzechów, jakieśmy dotąd popełnili, będziemy mogli powrócić do miłosierdzia Bożego". A gdy jeden mówił te słowa, dwaj towarzysze odrzekli mu: „Zaprawdę słusznie mówisz, ależ teraz co uczynić mamy"? „Idźmy oto, rzekł jeden, do świętego Franciszka, a jeżeli on objawi nam nadzieję, że możemy z głębokości grzechów naszych powrócić do miłosierdzia Bożego, czyńmy co nam rozkaże, byleby od mąk piekielnych ochronić dusze nasze".

Ta rada podobała się drugim i tak wszyscy trzej udali się z pośpiechem do świętego Franciszka i rzekli mu te słowa: „Ojcze! dla wielkości grzechów naszych, nie zdaje nam się, abyśmy mogli powrócić do łaski Bożéj, ale jeżeli masz nadzieję, że Bóg nam odpuści, gotowi jesteśmy czynić cokolwiek nam rozkażesz i pokutować razem z Tobą". Wtedy święty Franciszek zatrzymawszy ich z dobrocią, uspokoił ich mocą wielu przytoczonych przykładów, zapewnił ich o miłosierdziu Bożém i przyrzekł modlić się Panu, aby zmiłował się nad nimi. Dowiódł im, że miłosierdzie Boże jest bez miary, że choćby popełnili niezliczone grzechy, miłosierdzie Boże większe będzie nad nie, według słów ewangelii i apostoła Pawła świętego, który mówił: Chrystus przyszedł dla nawracania grzeszników". Te nauki i inne to sprawiły, że trzej zbójcy wyrzekli się czarta i jego spraw, a święty Franciszek przyjął ich do zakonu. I poczęli czynić wielką pokutę, a dwaj z pomiędzy nich, krótko żyli po nawróceniu i poszli do raju. Ale trzeci przeżył ich, a rozmyślając ustawicznie o popełnionych grzechach, taką czynić począł pokutę, że przez lat piętnaście bez ustanku oprócz zwyczajnych postów, trzy dni jeszcze w tygodniu pościł o chlebie i wodzie. Chodził zawsze boso, w twardym i ostrym habicie, i nie sypiał nigdy po jutrzni.

Tymczasem święty Franciszek porzucił nędzny żywot na ziemi. Gdy ów nawrócony przez kilka lat pełnił wytrwale pokutę, zdarzyło się, że jednéj nocy po jutrzni taka mu przyszła chęć do snu, iż w żaden sposób oprzeć się jéj nie mógł. Nakoniec nie będąc w stanie przełamać téj chęci modlitwą, porzucił się na łoże: ale zaledwie że złożył głowę

na pościeli, uczuł się przeniesiony duchem na wysoką górę, u stóp której była okropna przepaść. Tu i owdzie w jéj głębi jeżyły się ostre skały tak, że straszno było zmierzyć okiem tę otchłań. Anioł, który wiódł brata zakonnika, strącił go z góry i rzucił w głąb przepaści, a on staczając się ze skały na skałę doleciał wreszcie do końca, poszarpany cały na sztuki. A gdy leżał na ziemi w tak okropnym stanie, anioł przewodnik rzekł: „Powstań, albowiem masz jeszcze daleką drogę przed sobą". A brat mu na to: „Wydajesz mi się człowiekiem okrutnym, bez zastanowienia: widzisz, że umieram, cały zbity i poszarpany, a nakazujesz mi powstać". Tu anioł zbliżył się do niego, dotknął go ręką i uzdrowił w mgnieniu oka. Poczém ukazując mu szeroką dolinę pełną ostrych kamieni, ciernia i ostu, kazał mu ją przebiedz bosą nogą aż do miejsca, gdzie płonęło wielkie ognisko. A gdy brat przeszedł całą dolinę z trudem i boleścią, anioł rzekł do niego: „Wnijdź zaraz w to ognisko, trzeba ażebyś to uczynił"; a tamten odpowiedział: „przez Boga żywego, jakże srogi z ciebie przewodnik! Widzisz, żem się utrudził na śmierć, przebiegłszy tę straszną dolinę, a teraz na spoczynek rozkazujesz mi wnijść w gorejący płomień". I spojrzawszy przed siebie ujrzał wielkie mnóstwo szatanów uzbrojonych w widła, a gdy się ociągał, oni wepchnęli go w ogień. A będąc w głębi ogniska spojrzał i dostrzegł w niém człowieka, który niegdyś był jego ojcem chrzestnym. Rzekł więc do niego: „O! nieszczęśliwy ojcze, jakżeś się tu dostał"? „Idź synu naprzód, odparł tamten, a zobaczysz tam moją żonę a twoją matkę chrzestną: ona ci opowié przyczynę naszego potępienia". I brat poszedł naprzód i niebawem ujrzał matkę chrzestną całą w płomieniach, zamkniętą w ćwierci od mierzenia krup; zapytał ją więc: O matko nieszczęśliwa i biedna, powiédz, jakim sposobem popadłaś w takie męczarnie? A ona odrzekła: „Oto dlatego, że w czasach wielkiego głodu, który święty Franciszek przepowiedział, oboje z mężem oszukiwaliśmy w mierze, sprzedając zboże i krupy". Gdy rzekła te słowa, Anioł wywiódł brata z gorejącego ogniska, a potém rzekł: „Bądź gotów, albowiem masz ciężką do przebycia drogę: „A on odparł z jękiem: „O srogi i nielitościwy przewodniku, widzisz, żem cały opalony płomieniem tego srogiego ogniska i chcesz mnie jeszcze prowadzić daléj, w równie ciężką i niebezpie-

czną drogę". Wtedy anioł dotknął go i uzdrowił odrazu. A potém poprowadził go na most trudny do przebycia, albowiem był wązki, ślizki i bez poręczy. Poniżéj płynęła straszna rzeka pełna wężów, smoków i niedźwiadków, wydająca woń zgniłą. I anioł rzekł: „Idź po tym moście, koniecznie musisz go przebyć". A on na to: „i jakże zdołam przejść, a nie wpaść w straszliwą rzekę"? Anioł odparł: „Chodź za mną i stąpaj mojemi ślady, a przejdziesz szczęśliwie". I brat szedł za aniołem według jego woli, a gdy doszli na środek, anioł odleciał, i pozostawiając go samego, spoczął na wierzchołku góry sterczącéj daleko za mostem. A brat poglądał na miejsce kędy odleciał anioł, ale pozostawiony bez przewodnika spojrzał na dół i dostrzegł jak straszne poczwary wystawiały głowy nad wodę, i otwierały okrutne paszczęki, jakby go rade co rychléj pochłonąć, gdyby upadł. Tak drżał cały od trwogi, że nie wiedział co ma czynić i mówić. Nie mógł bowiem iść naprzód, ani téż zwrócić się poza siebie. Będąc zatém w tak ciężkiém utrapieniu, a nie widząc innego ratunku jedno w Bogu, pochylił się, objął most oburącz, a oddając się woli Bożéj, z całego serca błagał ze łzami miłosierdzia Boskiego. Po modlitwie zdało mu się, że czuje jak mu wyrastają skrzydła, a pełen radości czekał aż dorosną takiéj miary, iż go uniosą ponad otchłań w ślady ubiegłego anioła. Ale po chwili wiedziony niecierpliwością chcąc czémprędzéj przebyć to straszliwe miejsce, począł rozwijać skrzydła do lotu. Gdy te jednak nie dorosły jeszcze miary, spadł na most i postradał w upadku wszystkie pióra. Wtedy znowu objął most rękoma i jak poprzednio polecił się Bogu, a po modlitwie uczuł, iż mu rosną nowe skrzydła. I znów jak poprzednio nie czekając pory wzbił się do lotu przedwcześnie, spadł więc znowu i znowu postradał pióra. Wtedy widząc do czego doprowadza go zbytnia niecierpliwość, rzekł sam do siebie: „Zaprawdę, jeśli nie wyrosną skrzydła po raz trzeci, czekać będę póty, aż dobiegną swéj miary, abym mógł je rozwinąć bezpiecznie i nie upaść na nowo. I dumając o tém ujrzał jak po raz trzeci wyrastają mu skrzydła i czekał tak długo, aż dobiegły swéj miary. Owóż zdało mu się, że pomiędzy piérwszym a ostatnim ich wzrostem upłynęło pół wieku albo więcéj.

Nakoniec powstał po raz trzeci i z całéj siły wzbił się w górne przestrzenie i poleciał wysoko aż tam, gdzie spo-

czywał jego anioł; a gdy kołatał w podwoje pałacu, do którego anioł wszedł przed chwilą, odźwierny zapytał go: „kto jesteś, że śmiesz tu przychodzić"? A on na to: „Jestem z zakonu braci mniejszych". Odźwierny rzekł znowu: „Czekaj na mnie, przyprowadzę ci tu zaraz ś. Franciszka i zapytam, czy cię zna". A gdy odźwierny poszedł szukać ś. Franciszka, brat jął oglądać cudowne mury pałacu, a te mury tak były przezroczyste i jasne, że wyraźnie widać było za niemi chóry świętych, że mógł rozróżnić wszystko co się działo w obrębie pałacu. A podczas gdy się zachwycał tym widokiem, ujrzał przychodzącego ś. Franciszka wraz z ś. Bernardem i bratem Idzim, a za niemi ciągnął orszak braci i siostr zakonu w nieskończonéj liczbie. I św. Franciszek nadszedłszy, rzekł do odźwiernego: „Pozwól mu wnijść, albowiem on jest bratem naszym". A skoro wszedł uczuł tyle pociechy, że nie pomniał już wszelkich poniesionych udręczeń, jakby nigdy nie istniały. Wtedy ś. Franciszek prowadząc go coraz daléj ukazał mu wiele cudownych rzeczy i rzekł nakoniec: „Mój synu, trzeba ci jeszcze powrócić na ziemię: zostaniesz tam siedm dni, podczas których masz się przygotować z wielką gorliwością i nabożeństwem, albowiem po tych siedmiu dniach przyjdę po ciebie i przyprowadzę cię do tego przybytku błogosławionych". S. Franciszek odziany był w płaszcz cudowny, zasiany cały pięknemi gwiazdami, a znaki męki Chrystusowéj, które nosił na ciele, świeciły jakby pięć gwiazd promienistych, i taki blask rozsiewały wokoło, że cały pałac jaśniał od nich cudownem napełniony światłem. Pokutnik widział w orszaku wielu braci nieznanych mu wcale. Św. Franciszek pożegnał go nakoniec, a on rad nie rad powrócił na ziemię.

Gdy przebudziwszy się zwolna przychodził do siebie, bracia właśnie dzwonili na prymę. Przekonał się zatém, że to widzenie trwało tylko od jutrzni do prymy, nie przez długie lata jak mniemał. I opowiedział gwardyanowi wszystko co do słowa. Owoż nim ubiegło dni siedm, zachorował na gorączkę, a ósmego dnia ś. Franciszek przyszedł po niego, według przyrzeczenia, z wielkim orszakiem świętych, a potém powiódł jego duszę do królestwa błogosławionych, na żywot wiekuisty.

SZALEŃCY.

(Z BÉRANGERA).

Jak ołowiani szeregowce starzy,
Wszyscy jesteśmy pod sznur wyciągnieni;
Gdy którym z szyku wystąpić się zdarzy,
Wszyscy wołamy: precz ich, to szaleni!
Prześladowania i mordy im dajem
Z prawem, że kiedy spróchnieją ich kości,
Po długim sporze, wdzięcznych obyczajem,
Wzniesiem im pomnik na chwałę ludzkości.

Ileżto wieków myśl, dziéwa nieznana,
Szukając męża, po przestworach lata,
Głupcy ją nazwą marzydłem szatana;
Mędrzec poradzi: ukryj się od świata.
Ale szaleniec, co wierzy w zaranie,
Skoro ją spotka na nieb dalekości,
Wnet ją zaślubi i matką zostanie,
Stanie się płodną dla szczęścia ludzkości.

Oto Sę-Symon, ów prorok przedświtu,
Niegdyś bogaty, dziś w szacie nędzarza,
Od fundamentów do samego szczytu
Starą społeczną budowę odtwarza.
Ciągle mu w oczach praca nieskończona,
Ręce swe ku niéj wyciąga w starości,
Pracuje pewny, że objął w ramiona
Myśl, co powije zbawienie ludzkości.

Furie powiada: Wyjdź z brudnego dołu,
Ludu, nieszczęsna oszustów zdobyczy!
Zlani w zastępy, pracujcie pospołu,
Duch wszechciążenia niech wam przewodniczy.

Smutnéj ziemicy, gdzie króluje biada,
Zaraz ku niebu droga się uprości;
Odwieczne prawo, co gwiazdami włada,
Uspokojenie wyda dla ludzkości.

Anfantę każe wyjść niewiastom z cieni;
Wzywa, by z nami podzielały prawa...
Ba! powiadacie, cóż ci trzej szaleni?
Pod ciosem śmiechu zginęła ich sprawa.
Och! gdy do szczęścia nie znaleźć nam klucza,
Gdy dotąd marnie błądzimy w ciemności,
Cześć szaleńcowi, który nas naucza
Marzyć pogodnie o szczęściu ludzkości!

Ten, który wskazał, gdzie w nowy świat droga,
Czyż nie szaleńcem wszędzie był witany?
Ten który z Krzyża ukazał nam Boga,
Gdy krew Go broczy: za kogo był miany?
Gdyby nam zgasło to słonko ogniste
I dzionek jutro nie zawitał w gości,
Jakiś szaleniec jutro, tak zaiste!
Jutroby znalazł lampę dla ludzkości.

W. Korolyński.

O BISKUPACH KRUSZWICKICH.

POCZĄTEK DZIEJÓW KATEDRY KUJAWSKIEJ.

PRZEZ

Zygmunta Komarnickiego.

(Dokończenie).

VIII. *O Kujawach i Pomorzu, z odwołaniem się do świadectw piśmiennych.*

Autentyk bulli papieża Eugeniusza IIIgo, wynaleziony za naszych czasów w pewném archiwum galicyjskiém (1) i ogłoszony w odpisie wiernym r. 1848 przez wydawców Kodeksu dyplomatycznego polskiego, stawia nam przedmiot błędnie wyrozumiany przez życiopisarza naszego, w zupełnie odmiennem świetle. Nim jednak wejdziemy w tok powieści naszéj dziejowéj z zamiaru, za rzecz stosowną uważamy wejrzéć raz jeszcze na Kujawy i Pomorze, jako na dwa stanowiska jednym spólnym interesem łączone pod względem ich dziejów pewniejszych, ich miejscowości i przemian

(1) *Ex archetypo membranaceo, quod in tabulario quodam privato in Regno Galliciae asservatur, descriptum.* Niewiadoma przyczyna utajenia miejsca i właściciela. Oryginału jednak ślad mamy w kodexie.

w nich, przez wpływ oręża polskiego zdziałanych: uwolni to od zapełniania dziejów specyalnéj dzielnicy rozwlekłemi ustępami, do innego właściwie miejsca należącemi.

Sięgać nie będziemy téj epoki, kiedy jednobrzmiące prawie wyrazy: Cujavia i Kijovia (1), wskazywać miały na jakieś pokrewieństwo między Polanami w Kujawach a Polanami pod Kijowem, ani dotykać w ogólności czasów, w których o nazwaniu Polski jeszcze wzmianki nie było: przedmiot to dla przedsięwzięcia naszego obcy, z którego przynajmniéj żadne światło bezpośrednie na historyą utwierdzenia chrześciaństwa w kraju nie pada. Nam tu potrzeba takiéj przeszłości dzielnicy kujawskiéj, w któréj oddaleniu moglibyśmy się widzić, jak w rzeczywistości życia naszego odbici, bez udawania się o pomoc złudzeń do imaginacyi pisarskiéj i dziwu, co mogłoby wprawiać w zadumę błogich lat młodzieńczych, ale nigdy dziejów z koła niepewności nie wyprowadza. „Idzie o to, uczy nas Thierry w swych listach o dziejach Francyi, czy ludzie i rzeczy były takiemi istotnie, jakiemi ich nam przedstawiają; czy fizyonomia im udzielona, przysługuje im prawdziwie i nie pożyczona jest niewcześnie z teraźniejszości dla obrazu wieku przeszłego, albo ze stopnia niedalekiéj przeszłości dla innego stopnia bez porównania dawniejszego. Na tém główna zależy trudność i w tém główna jest praca. Là sont les abimes de l'histoire, energiczniéj się wyraża, bezdnie niedojrzane przez pisarzy powierzchownych i przepełnio-

(1) *Starożytności słowiańskie* przez Szafarzyka. Sprzeczne jest z tém w opisaniu Polski przez Lelewela zdanie (*Polska śr. wieków T. 2, 445*). „Kujawy, które się do Polan nie liczą, osobno chodzą. Sądzić należy, że w związek polityczny z Polanami weszli, takowy umówili i zachowywali, tak, iż *w pewnym czasie ich Kruszwica stała się drugą Polan stolicą, równą Gnieznu*". Zdanie to jest również sprzeczne z dawniejszemi jego własnemi zdaniami, gdzie Polanie kujawscy szli z jednego szczepu z ukraińskiemi.

nych nieraz pracami w ciemności erudycyi, bezkorzystnemi dla siebie samych" (Lettre V. p. 77). Zarzut prawie powszechny spotyka średniowiecznych naszych pisarzy, iż źle się obeszli z legendami i powiastkami, krążącemi u praojców naszych, o swéj kolebce i pierwotnych dziejach zatraconych bez pisma, jako tradycyi wiernéj. Wiadomo z jaką zaciętością, ostrością pióra i żółcią niekiedy, odzywają się w zdaniach swych o nich pobratymcy nasi, pisarze czescy, pamiętni może jednego początku naszego z sobą w powstaniu instytucyj chrześciańskich i tym podobnych względach. Niemogąc im darować użycia obmierzłéj sobie łaciny do wydania myśli, traktują ich zasługi pisarskie z podeptaniem nawet wszelkich pojedyńczych zalet, o których zapominać nie powinni byli. Oto jak szczegółowie rozprawia o nich Szafarzyk w swoich Starożytnościach (1). „Badacz dziejów polskich, mówi on, pozbawiony będąc wszelkiéj téj pomocy, którą wydobywamy z języka narodowego, tego najwierniejszego i najbogatszego składu bytowania narodowego, przymuszony jest z gołą ręką obrócić się do dawnych latopiśców polskich i słuchać ich tkliwych powiastek, tudzież igrać z ich obmierzłą łaciną. Ci latopiśce odsądzeni zostali w poczet najnędzniejszych dziejopisów średnich wieków. Marcin Gallus jeszcze przecież jako tako wstydliwie sobie poczyna, ale następca jego Kadłubek, swawolnie zaniedbuje wszelkich powinności rozsądnego krytyka. W swym niekrytycznym nieładzie puszczają się latopisarze polscy (Gallus, Kadłubek, Dzierzwa, Bogufał i inni) jedni za drugimi w zawody, tak, że śmiały Kadłubek znacznie prześcignął skromnego Galla, sam wszelako daleko w tyle pozostał za następcami swemi." Szafarzyk wspiéra niepochlebne swe opinie dowodami, co do różnych fa-

(1) W przekładzie Bońkowskiego T. 2, k. 435 i daléj.

któw i zmian w czasie, z kronik ich poczerpniętemi, Jako Słowianista zdawałby się zapewne nie módz uspokoić z powodu oburzenia na barwę ich łacińską i erudycyą zaciemniającą. Ale gdyby i tę zewnętrzną szatę badań ich pominąć, czyliż potrafimy przytoczyć na ich obronę zalety prawdziwsze wewnętrznéj ich pism osnowy? Wielka w tém trudność: mają oni bezwątpienia zamiłowanie narodowe, ale szukają tego narodu okiem swéj szkoły, przywykłéj nie zważać za istotę rzeczy pierwiastków innych, oprócz wzorów przez siebie obranych. Ztąd to nietylko obcy, ale i rodak własny na tę niewdzięczną pomoc sarka, z temi zabytkami swéj literatury dawnéj ostrożnie postępuje, owszem wytyka palcem owych łatwowiernych, co niepytając się o dobroć podstawy, na takiéj jedynie powadze marzenia swe o dziejach przeszłych podają. Pisarz szukający gruntownego rzeczy poznania, nie wezwie na świadectwo w faktach większéj wagi takich pierwotworców kształcącéj się naszéj historyi. Gdzie idzie o zacytowanie baśni, ma Galla, Kadłubka, Bogufała na poparcie, i przy nich wiarę swojéj powieści zostawia: gdzie śladów rzeczywistości dochodzić potrzeba, woli częstokroć świadectwo najotwartszéj dla nas nienawiści Niemca, albo temu podobnéj rodowitości pismaka, niżeli rodowitości własnéj, a taką cechą wątpliwości oznaczonego świadka. Witykind, Dytmar, Adam Bremeński, Helmold, Kozmas Pragski i t. d., oto są np. powagi sumiennego naszego historyka Naruszewicza, choć nie przemilczy zdania swego o tych świadkach, po całém świetle z nich wyczerpnioném, iż nie widzi w nich innéj cechy pisarzy, prócz zawistnych wrogów, którzy jeśli nawet jakiego faktu utaić nie są zdolni, cedzą go pod piórem, albo opowiadają z lekceważeniem i wzgardą.

Jesteśmy z tego względu co do przedmiotu, który traktujemy, na krańcach dwóch ostateczności w wy-

borze źródeł: własne, gdzie szukamy wiadomości o Polanach z nad Wisły i Warty, o Mazurach, o Kaszubach i Pomorzanach, wolą nas cofać na pole czasów przedchrześciańskich, i tam przedstawiać nam hordy Bastarnów, Partów; obce, widzą wszędzie i zawsze podległość Słowian, chęci ich odzyskania praw własnych za buntownicze uważają. Wykraczałyby przeciw duchowi rządu swego i dworu, gdyby się tu i owdzie na przyznanie czegoś innego, z cechą samoistności odważyły. Niedostatkiem przecież wielkim w charakterze historyków naszych krajowych, jest wada, jeżeli nie spółdziedziczna z tamtemi zawistnemi świadkami, tedy oparta na przyczynie prawie podobnéj; bo zaprowadzenie czystości wiary chrześciańskiéj wymaga zniesienia aż do szczętu tradycyi zabobonu i błędu; dla dopięcia tego celu, obcinają oni pod swém piórem mnóstwo szczegółów, któreby dziś dla nas niepospolicie znaczącemi były. W szczegółach tych rozpoznanych leżeć może treść żywotna nieraz. Co w nich jedni przez gorliwość katolicką zatracaćby usiłowali, to w zataceniu tém przypada na rękę dla drugich, dążących do otoczenia barwą swojego stronnictwa.

Szukajmyż w ciemnościach téj erudycyi, śladów postępowania naszych Polan, którzy się pracą korzystnego widoku dzielnic swych dorobili: jak im w smak przyszli piérwsi apostołowie, co głosząc nowy świat wiedzy i wiary, mieli zamiar obalać przekonania dawne? jak długo pracować było potrzeba nad ich nawróceniem? albo jakie dlatego celu ponieść ofiary? To wszystko wygładzone albo milczeniem zagadkowém okryte. Lecz w niepamięci pogrążony i ślad wielu innych rzeczy. Wszakżeto gdy mówimy o tylu rodach oddzielnych, choć pokrewnych, których mrówiskiem w ogólności była Słowiańszczyzna, różnice co do ich pojęć, obyczajów i zwyczajów są widoczne. Tak na polu ich religijności np. dochowały się wyraźne

świadectwa o Lechitach, Mazurach, Polanach, Łęczycanach, Pomorzanach, iż palą ciała swoich umarłych, potém je w lepionych popielnicach grzebią; gdy w Chrobacyi wznoszą się mogiły nad temi ciałami, wzgórza opierające się wpływowi czasu, czego ślady pamiętne ukazuje ziemia sandomierska, krakowska, Szlązk górny, i t. d. Mitologia i obrazy Słowian były według różności plemion, właściwemi cechami napiętnowane; odmienni np. byli w tym względzie zupełnie Polanie ukraińscy od Lutyków północnych, albo tym podobnych generacyj ponad Bałtykiem i daléj osiadłych. Różnice te bez wątpienia i w przejściu do nowego stanu rzeczy odbić się musiały.

Mam tu sobie za powinność niepominąć z powodu rzuconéj myśli, wywodu w piśmie, kościelnemu naszemu przedmiotowi zkądinąd niepoświęconemu, w którém wielki nasz historyk, jakby smugą światła wykreśla drogi początkowe chrześciaństwa na niwach naszéj różno-pojęciowéj Słowiańszczyzny. „Pojęcia cudzoziemskie, mówi on (1), licznemi drogami cisnęły się do nas. Nauka chrześciańska niesiona z Zachodu, zabytki wyobrażeń indyjskich ze Wschodu wędrujące, nakoniec język fantastyczny poezyi skandynawskiéj, zwiększały niezgodność. Rodziły się ztąd nowe sekty, z których każda oddzielną rozwijała chorągiew i nadawała barwę religijną stosunkom nawet politycznym i wojennym. Usposabiały się przez to umysły do wysłuchania nowości z obcych stron przynoszonych, uczuwały powab do poznania Boga Zbawiciela.

„Z jednéj strony obrządek grecki znajdował apostołów swoich, którzy postępowali od brzegów Dunaju ku źródłom Wisły. Cyryl i Metodyusz przepowiadali słowo Boże w wielkiéj Morawii, ich zaś uczniowie do

(1) Zob. ustęp: *tableau historique du commerce des Slavons* etc. w dziele: *La Numismatique du moyen-age*. T. II, p. 89.

Czech, Szlązka i Chrobacyi przeciętéj Karpatami się zapuszczali. Ruś ukraińska i Polanie kijowscy okazali się skłonniejszemi do przyjęcia wyznania wschodniego, jakoż Włodzimiérz książę, którego miejscem przebywania był Kijów, przyjął to wyznanie około r. 981."

„Z drugiéj strony propaganda łacińska wsparta przez politykę i oręż niemiecki, ogarnęła kraj cały między Odrą i Wisłą leżący: spotykała się w drodze z apostołami obrzędu greckiego i pospieszała na swoję stronę pozyskać władców téj ziemi. Ludność przywiązana do swéj niepodległości, stawiła opór w przyjęciu światła przebijającego się do niéj z głębi okrytego pomroką Zachodu. Pokolenia zamieszkujące na pobrzeżach Baltyku w okolicach Odry, wolały innych dla siebie szukać bogów, jak przyjmować wprost z ideami jarzmo cudzoziemskie na siebie wkładane. Ich przecież zwierzchnicy, królikowie słowiańscy, okazywali się przystępniejszemi dla nauk, które się z ich osobistym interesem zgadzały. Razem z przyjęciem wiary chrześciańskiéj, poczęli być uważani za członków cesarstwa, członków rodziny niemieckiéj; zyskując nad sobą opiekę królów niemieckich, władza ich, w razie oporu od swéj rodowitéj ludności doznawanego, otrzymywała pomoc oręża władzcy niemieckiego i wyższych urzędników, ustanawianych w kraju nawróconym, których powinnością było wspierać usiłowania propagandy duchownéj"

Sąto rzeczy niezaprzeczone. Czy pamiętamy jednak o tym postępie chrześciaństwa w wywodach początku naszych katedr biskupich, a nie przystępujemy nieraz przeciwnie do ich ustanowienia, jak gdyby to stać się miało za jednym zachodem i śród społeczności, wszystkie cechy cywilizacyi dopełnionéj mającéj nosić na sobie? Dosyć nam byle wzmianki pojedyńczego świadka, byle podobieństwa faktu dokonanego, ażeby śmy spuścili z oczu ludność, mającą uczęszczać do

tych kościołów, a nieotartą z przekonań dawniejszych, owszem broniącą upornie wyobrażeń swych błędnych. Myśmy przywłaszczyli sobie ten zarys, w zamiarze okazania stanowiska, z jakiego w rozwinięciu przedmiotu naszego wyjść zamierzyliśmy. Prowadząc bowiem czytelników naszych nad Gopło i pośród Polan naszych kujawskich, gdy widzimy sobie z rąk wydzierane fragmenta historyi ojczystéj, musimy wyznać, jaką opinią się rządzimy, co w naszém przekonaniu za stałe przyjąćbyśmy chcieli, i nie zbijać się na obce jakieś szlaki, bez wiary w przeszłość i wskazującéj busoli. Ta podstawa ducha społeczności chrzest odbierającéj, a z nim powinności przedtém sobie nieznane, jest piérwszéj konieczności względem do obejrzenia na wstępie: rozumieliśmy bowiem, iż tradycya historyczna, przychodząca tylko z echem imion dobranych, z gotową wymarzoną hierarchią, prosto się wydać musi w końcu lepianką na piasku, którą piérwszy podmuch wiatru wywraca.

Co do naszego założenia powiedział wyżéj przywiedziony historyk o stanowisku lennem królików słowiańskich względem Niemiec, stosuje się w znacznéj części jeszcze do czynów pierwotnych Mieczysława nowochrzczeńca, nim przyjdzie kolej na zwierzchników ziemi naszéj strząść się z wszelkiéj władzy obcéj i rozpocząć dzieło w duchu widzenia niepodległego. Nie masz wątpliwości, iż gdy Otton W. wstępował na tron cesarski, rzeczy już daleko dla jego supremacyi były posunięte między Słowianami. Wszędzie ponad Odrą ciągnęły się osady niemieckie wojskowe. Chrobaci od gór Karpackich, rządzeni przez swych wojewodów, daninę mu płacili. Czechy ochrzcone stawały się zawistością cesarstwa. Pośród Polan, w Poznaniu, ustanowione było biskupstwo. Otton urządził hierarchią biskupią i biskup poznański zostać musiał sufraganem arcybiskupa magdeburskiego. Ziemowit i jego nastę-

pcy nie sprzeciwiali się bynajmniéj propagandzie, lecz chcieli dotrwać wiernie przy swych zwyczajach. Nieutrudzone starania Jordana biskupa i zręczność Dąbrówki księżniczki czeskiéj, którą poślubił Mieczysław w r. 965, skłoniły tego króla do przyjęcia chrztu w r. 966 i połączenia spólnie z biskupem starań o nawrócenie narodu. Na dziesięć lat przed swym zgonem, tojest w r. 982 ogłosił on zniesienie pogaństwa w swym kraju.

Zamały w istocie okres czasu do wykonania tylu przedsięwzięć chwalebnych, których ślad piérwszy pod jego wyłącznie panowaniem zakładamy. Dopełniwszy jednak Mieczysław warunków, jakie dopełniali już przed nim mniejsi królikowie, oddający się w zawisłość cesarzom, nie skończył na tém swego zawodu, ażeby w puściźnie po nim dla następców zostawała czołobitność zawsze ta sama, bez nadziei wyzwolenia.

Zobaczmyż ze szczególnego względu co mógł był uczynić przy takich zmianach stanowczych w kraju, w téj naszéj dzielnicy kujawskiéj, na którąbyśmy tu przed wszelkiemi innemi względami głównie uwagę naszę skierować byli powinni.

Mamy do rozwiązania dwie kwestye na wstępie: 1) zkąd wzięła początek tradycya o ustanowieniu katedry w Kruszwicy za Mieczysława I; 2) czy w téj tradycyi jest jaka zasada do utrzymywania się przy niéj na przyszłość? Kwestye te jedna z drugiéj wypływają i rozwiązanie jednéj nie może nastąpić bez położenia zasady dla drugiéj. Do tego rozwiązania nie możemy wziąć się w konsekwencyi uczynionego dotąd zarysu. Dalsze rozwinięcie dziejów téj katedry, uzupełni bez wątpienia dostateczniéj naszę odpowiedź. Z tego wszakże co się dotąd powiedziało, snadno wyrozumieć, ile było rzeczą stosowną a zarazem podobną do wykonania, założenie powtórnéj już bazyliki śród Po-

lan, oprócz archikatedry w Gnieźnie, bez zaspokojenia uprzedniego potrzeby innych pokoleń, pod témże berłem zostających, i bez wołającéj może konieczności dla téj osobnéj dzielnicy.

Z dziejów naszéj katedry pokaże się nieraz, jaką żywotną w rozmaitych okolicznościach stawało się kwestyą udowodnić starszeństwo jéj pod względem daty założenia przed innemi. Byłoto zadaniem historyków, a nawet bez celu historycznego, było zadaniem spółzawodniczących biskupów, jak o tém na właściwém miejscu uczyni się wzmianka.

Jedno jest w ogólności zdarzenie stanowiące epokę w panowaniu tego króla, do którego opisów sięga datami swemi całe grono naszych katedr, tojest przybycie kardynała Idzego, w poselstwie od stolicy apostolskiéj do tego kraju. Gdyby się na tablicy ustanowień tego kardynała imię katedry naszéj nie znalazło, mniéj uroczystym stawałby się jéj początek, jako schodzącéj do rzędu ustanowień późniejszéj potrzeby, aniby tak bezpośrednio zdawał się Rzym wpływać na jéj poświęcenie, jak to względem innych czynił: spór się ponawiał przeto od wieku do wieku. Broń jednak ważna znajdująca się w rękach obrońców starszeństwa téj katedry, głos stolicy apostolskiéj, chociaż z epoki późniejszéj, bulla Eugeniego przeważała stanowczo. Ta choć o Mieczysławie przemilczy, odwoła się do postanowień Idzego: więc przechować ją w całéj swéj autentyczności należało.

Mówiąc o wątpliwościach naszych historycznych, nie pominiemy okoliczności zwodnéj, która w tym przedmiocie, pełne zkądinąd wytrawnéj erudycyi prace pisarskie zbiła z drogi. Błąkało się między historykami naszemi luźne wspomnienie z Galla o jakiémś mieście Władysławie starym, który liczne chorągwie wyprawiał za naszym Chrobrym, w jego pogoni wojennéj. Brzmienie Vladislavia łacińskie dało

powód do mniemań dwuznacznych: albowiem nazwa ta Władysława nad Wartą, poczęła być mieszana z nazwą miasta Włocławka nad Wisłą, a nawet naprowadzać na myśl, czy w wyliczeniu obecnych biskupów naszych, w czasie bytności Ottona w Gnieźnie, nie powinno się czytać w Dytmarowskim wyrazie Vratislaviensis, Vladislaviensis, bo tylko o zamianę liter w tych wyrazach idzie (1). Jakież ztąd wnioski rozliczne! Gdy nie było rzeczą dziwną widzieć przenoszone z miejsca na miejsce siedziby pierwotnych naszych biskupów, owszem widzieć ich samych błąkających się bez siedliska, po wiadomości zwłaszcza powziętéj z listu Grzegorza VII pod r. 1085: powstał pomysł dwóch biskupstw śród Polan nad Wartą. Jedni za drugimi go powtarzali: dopóki również od swéj starości dyplomatycznie odznaczany w tytułach Włocławek, błędnéj filologii naszéj na drogę właściwą nie sprowadził. Jeżeliśmy przecie temu się dziwili, iż Mieczysław mając swego Jordana w Poznaniu, dla Polan wyłącznie przeznaczonego, mógł znajdować potrzebę innego pasterza pośród ich braci kujawskich, w Kruszwicy; czy nie większy powód niedowiarstwa i zdziwienia być musi, jeśli nam ktoś upornie zechce utrzymywać, że opuszczając tę dzielnicę, wzniosły się dwie katedry biskupie nad Wartą, dwa spółzawodniczące pasterstwa przy jedném ognisku, a to dwura-

(1) Rozbierał już te wątpliwości *Ursinus*, tłumacz kroniki *Dytmara* pod wyrazami: *Den Bischof Johannes zu Wrotislav* (p. 207), gdzie na poparcie przytacza kronikę magdeburską w zbiorze pisarzów niemieckich *Meibonia*, wyliczającą wyraźnie *tres episcopos: in Cholbery, Crakowe et Wortizlave* (quos Otto III subjecit Archiepiscopo Gaudentio in urbe Gnesui). Na jak błędne mniemanie zbił się pod tymże wyrazem *Jana biskupa*, Naruszewicz, widzimy w księdze I jego historyi, w przypisku 2) na str. 89, gdzie w zapomnieniu tego co na innych miejscach powiedział, jak najsłabszego pozoru się chwyta z wyrazu *Wrotislaviensis*, a nawet idzie daléj, wskazując w tém dowód przeciwko Bogufałowi, który jak wiadomo, ufundowanie katedry kruszwickiéj przypisuje dopiéro Mieczysławowi II.

przód od swéj archikatedry magdeburskiéj oderwać, i wskazać jéj granice inne.

U naszych latopisców krajowych dowodu na to nie znajdziemy. Cudzoziemscy wiedzą o losach téj polańskiéj bazyliki zmieniających się, ale dopiéro pod Bolesławem Chrobrym, tojest w chwili, gdy Unger biskup odmawiając przychylenia się do nowéj ustawy Ottonowskiéj w Gnieźnie, do żadnéj metropolii sąsiedniéj, jak nam powiadają, należeć nie chce, a bezpośrednio od władzy najwyższego pasterza w Rzymie ma być zależnym, a jego bazylika jako libera et ingenua jest uznana. Co do naszéj katedry w Kruszwicy, pod obu panowaniami, w nich głuche milczenie. Gdy jednak zważymy, że i pod Mieczysławem II ma być ona ustanowiona gwoli nowych stosunków a mianowicie potrzeb względem Pomorza, ileżto jeszcze do powiedzenia w téj materyi; może nawet wynika wniosek z krwawego obejścia się Kujawian na wstępie, z nowo-założoną dla siebie świątynią i pasterzem, jak widzieliśmy wyżéj w cytacyi z Lelewela, czyli opór ze strony ludności nie był istotną przyczyną odroczenia jéj fundacyi de facto pod Mieczysławem Iszym? I cóżto za fundacya w rzeczy saméj, ta, o któréj pod Mieczysławem II się dowiadujemy? W 10 lat po założeniu, już egzystencya biskupstwa przerwana. Niedługo znowu Masław powstaje; ludność z Kujaw i Mazowsza na Pomorze się tłoczy: zdawałoby się, iż ludność ta postanowiła jeszcze pod Kazimierzem I okazywać się niechętną téj fundacyi i wszelkiemi siłami jéj się opierać. Ale w tym względzie, na polu naszém dziejowém zostaną przerwy do zapełnienia, których nam nie dopełnią żadne świadectwa, rzeczy świadome. Ma słuszność historyk, pod tytuł zagadki tę pierwiastkową dobę naszéj katedry zaliczyć: żadne poszukiwanie dotychczasowe jéj należycie nie rozwiązuje.

O jurysdykcyi biskupów kujawskich na Pomorzu, słyszymy już także pod Mieczysławem I. Rozbierzmy to podanie, wracając do źródeł, z jakich wypłynąć mogło.

Co o téj dzielnicy nadmorskiéj w wieku XII albo XIII, wsparci na dowodach nie zatraconych, czyto przywilejach, czy tranzakcyach i dyplomatach spółczesnych, możemy mówić z niejaką oczywistością, przedtém, jako echo niepewne brzmi dla nas, któremu zawierzyć trudno, bo zwodzi, i jak prawdziwa ułuda w pustyni, wpół drogi opuszcza nas, na daremne naraziwszy usiłowania. Jest i biskup pomorski wprawdzie między pierwotnemi zaprowadzeniami kościoła w Polsce; lecz ten z dziejami naszéj katedry nie ma nic spólnego: bo szukać go musimy na innym krańcu Pomorza: jestto biskup kołobrzeski. Ta część Pomorza, do któréj przez mgłę baśni się przedziéramy, przy pierwotnéj fundacyi naszych kościołów, miejsca znamienitego zajmować nie może. Ów Gdańsk ze swemi dziesięcinami, wspomniany jest w bulli Eugeniusza III-go, jako posiadłość biskupów kujawskich: ale kiedyż? nie zważa na to bynajmniéj biograf, któremu pomieniona bulla za wskazówkę nieomylną posługuje, że nie masz w niéj mowy o królu Mieczysławie, owszem jakby dla sprzeczności wspomina się kardynał Idzy i potém granice ustanowione przez szlachetnego książęcia Bolesława. Podsuwają myśl dzisiejsi wydawcy i glossatorowie dyplomatu, iż znajdować się musiała dla téj katedry odmienna jeszcze karta Idzego, jeżeli tak wyraźnie bulla papieska na nią się powołuje (1).

Ztémwszystkiém, kiedy naganiamy samowolność pisarzy niemieckich, którzy gdziekolwiek mają zrę-

(1) Aliud itaque statutum ab eodem legato in rem ejusdem ecclesiae Wladislaviensis profectum fuisse necesse est, quum Papa tam diserte illud afferat.

Kodex dyplomatyczny polski przez Rzyszczewskiego i Muczkowskiego T. II, 2.

czność wspomnieć o najmniejszéj części Słowiańszczyzny przez swych cesarzów zawojowanéj, natychmiast ją całą ogłaszają za podległą i hołdowniczą: czémże usprawiedliwić bezwzględność historyków naszych co do téj krainy pomorskiéj, gdy utrzymują, iż tak od piérwszego zaraz do niéj wtargnienia oręża polskiego, było łatwo nowy porządek rzeczy w niéj zaprowadzić, a tém bardziéj pewną zwierzchność duchowną w niéj ustalić? Gdybyśmy nawet do samego tylko zamku gdańskiego (castrum Kdanze, Gedanum) się ograniczyli: jak tę jurysdykcyą nad nim duchowną, biskupom naszym kujawskim nadaną, wytłumaczymy w prowincyi, gdzie albo wcale, albo mało co chrześcian było. Ileżto jeszcze krwi naszéj przelać się ma w téj stronie, ile poświęceń męczeńskich będzie straconych, przed osiągnieniem celu zaprowadzenia chrześciaństwa? Pisarze nasi dawniejsi, zrazu prawie uważać nie chcą téj krainy za istotną część Polski, patrząc na barbarzyństwo jéj ludów, na oddzielny żywioł w nich przemagający, tojest na przywiązanie do czci słowiańskiéj i duch gminowładny; a co do rzeczy kościelnéj, jeżeli która z części Pomorza, to część właśnie przeznaczona biskupom naszym kruszwickim, jest mniéj skwapliwą do przyjęcia nowéj nauki i nadań kościołom. „W borach między Notecią a brzegami morskimi, powiada Lelewel, z siekiérą w ręku szukała Polska granic z Pomorzany." Każdy z nowych pogromców, a do tych liczby należą według podań: Mieczysław I, Bolesław Chrobry, Mieczysław II, Bolesław Krzywousty, miałby prawo do tytułu ustawodawcy władzy duchownéj w tym kraju. My tu idąc w ślad bulli nadawczéj, ustawą jednego z książąt Bolesławów, których kilku, jak wiadomo, idzie z kolei po sobie, winniśmy uważać za znaczącą. Łojko w swoim wywodzie historycznym o Pomerelji przechyla się na stronę Chrobrego; na podstawie zatém bulli Eugeniusza III, datuje początek owéj jurysdykcyi bi-

skupiéj w wieku XI. Według późniejszych badaczów tego przedmiotu, za wątpliwą uważana być jeszcze powinna zwierzchność tego wielkiego władcy przy ujściu Wisły na brzegach gdańskich. Kraina ta wraca do posłuszeństwa Polsce i odpada niejednokrotnie; wraca na pewnych warunkach, ale o ustaleniu w niéj biskupstw albo nauki chrześciańskiéj, nie można pomyśléć ostatecznie, aż po wywróceniu ściany jéj umocowanéj z oparciem się o Noteć: co, jak wiadomo, staje się dopiéro następstwem długiéj i krwawéj wojny w tych stronach. Rok 1121, w którym poszczęści się Krzywoustemu z zwycięzkim orężem dotrzéć aż do Regi, ma znaczenie stanowcze, pod względem zawiązującego się między obywatelami téj ziemi a Polską braterstwa. Przyjmują chrzest, kraińska część około Noteci, kaszubska bliższa Gdańska i Bitoma, kołobrzeska i białogrodzka po obu brzegach Persanty aż do Regi. Gdy w r. 1125 ustanawia Bolesław stolicę biskupów kamińskich w Wolinie, gdy w r. 1140 biskupstwo to otrzymuje zatwierdzenie nadań od Innocentego II-go papieża, można się domyślać, że i jurysdykcya biskupów kujawskich w Pomorzu, do wyrazistszego bytu dójść była powinna, a wtenczas i głos Eugeniusza III-go z r. 1148, stanie się zrozumialszym. Błądzić téż nie będziemy w wyszukaniu prawdziwego ustawodawcy, którym jeśli był Bolesław Chrobry, to jedynie wskazywał drogę, nie obcą w piérwszém rozpoznaniu Polski przez legata rzymskiego Idzego, drogę dążności.

Od panowania Mieczysława I go posuwamy się w czasy późniejsze znacznie. W tamtym okresie byłyto rzeczywiście partes infidelium, a jak się pokazało wyżéj, biskupstwo kujawskie mogło się jeszcze nie wyosobnić wcale.

IX. *Przywileje biskupów kruszwickich na zasadzie bulli Eugeniusza III.*

Po tylu wzmiankach w ciągu niniejszéj pracy, ze wszech miar wypada zwrócić się raz stanowczo do naszego argumentu żywotnego i obejrzéć kwestyą ze stanowiska treści jego wewnętrznéj.

Nie wchodząc w formy i właściwości bulli Eugeniusza III, z jakiemi do naszych czasów dochowaną została, a raczéj mając zamiar niżéj i o tych warunkach nie przemilczéć, przytaczamy jéj brzmienie dosłowne w przekładzie, według autentyku na czele drugiego tomu kodexu, o którym wyżéj wspomnieliśmy pomieszczonego.

„Zadosyć czyniąc twym słusznym wymaganiom (mowa tu zwrócona do biskupa włocławskiego Wernera, albo według naszych wydawców Warnera) stanowimy: ażebyś się ty i twoi następcy utrzymali w wiecznem posiadaniu takich granic biskupstwa twego, jakie od dobréj pamięci Idzego biskupa tuskulańskiego, natenczas stolicy apostolskiéj legata, i od Bolesława szlachetnego téjże krainy książęcia, zostały postanowione, bez żadnego tychże zmniejszenia. Jakiekolwiek prócz tego posiadłości i jakiekolwiek dobra do tego kościoła dzisiaj sprawiedliwie i kanonicznie należą, albo na przyszłość z zezwolenia najwyższych pasterzy, ze szczodroty królów lub książąt, z ofiary wiernych i słusznemi innemi sposobami, przy łasce Boskiéj należeć mogą, ażeby stale i niewzruszenie przy tobie i twoich następcach dotrwały. Między temi uważaliśmy za stosowne wyliczyć następujące: zamek Wojbor (Wolborz) *ze wszystkiemi swemi przyległościami; kościół Panny Maryi w Zawichoście z zamkiem Łagów i jego dziesięciną, oraz innemi jego przyległościami. Dziewiąty pieniądz ze wszystkich dochodów pieniężnych kościoła Panny Maryi w Sandomierzu, według oznaczenia polskiego; pro-*

bostwo ś. Michała w Krakowie z tém wszystkiém, co do niego należy. Zamek Gdańsk w Pomorzu z dziesięciną zbożową, jak również z tego wszystkiego, co się od przybywających do niego okrętów opłaca. Diesiątą część z dochodów mennicznych (de moneta) *i sądowych w całém biskupstwie.*" Objęte w powyższém wyliczeniu posiadłości i nadania, na tylu punktach jednocześnie stanowią zwierzchność biskupów naszych kujawskich, i tylu widocznie odmiennych epok, pod jeden tytuł okazują połączone wpływy, iż trzeba dobrego przekonania o autentyczności bulli Eugeniusza, ażeby można bezpiecznie poledz na wierze historyków naszych, z niego czerpiących wiedzę swą całą i nie zwątpić, że jest dziełem niezgrabném czyjéjś źle posługującéj pamięci i wyobraźni; zwłaszcza, gdy do objaśnienia epoki rządów Mieczysława I użyjemy téj powagi. Taka rażąca sprzeczność uderza w oczy! takie niepodobieństwo zupełne okazuje się prawie! Zkądże np. te kościoły w Zawichoście i Sandomierzu na początku chrześciaństwa i przed założeniem jeszcze biskupstw naszych? Jeśli bowiem z nich dochody mają stanowić uposażenie biskupstw, musiały istnieć już dawniéj, a nawet nie jako początkowo regulujące się dopiéro zakłady? Równie przedwczesnemi byłyby wyliczenia ceł okrętowych w Gdańsku, opłat z uregulowanéj mennicy i sądownictwa wewnątrz biskupstwa; że o Wolborzu i probostwie ś. Michała do treści dalszéj opowiadać się tu mających dziejów, odłożymy wzmiankę. Wiadomość o czynach następcy pomienionego króla, jeszcze w zupełności nie usuwa przyczyn niedowierzania naszego. Raczéj nie o tymto Bolesławie, potężnym władcy, mogącym nadać wprawdzie dosyć, ale wprzód odzyskaniem Krakowa i utwierdzeniem w nim swéj władzy, nim nadawaniem jego dochodów plebańskich zatrudnionym, jest mowa. Długosz lub jego kopiista, który do tych epok przywilej niniejszy odnosić może, zapomina, iż do-

piéro Judyty, żony Władysława I nadaniem ma być, według jego opisu dalszego, kasztelania łagowska z swoim powiatem. Któregoż znowu Bolesława nadaniem, według słów przywileju, ona być miała? Czy niewłaściwiéjby synowi téjże Judyty i Władysława, hojnemu na kościoły nasze Krzywoustemu, przyznać zatwierdzenie jéj przynajmniéj? Już napomknęli wątpliwość swą, pod tą nomenklaturą, wydawcy Kodeksu. Chcielibyśmy byli i co do miejsc innych usłyszéć ich zdanie, gdzie mianowicie poprzestają na objaśnieniach nieznaczących, samego miejsc położenia; wszakże to nie jest obrazą faktu, posunąć go w rachubie czasu na miejsce właściwe.

Inna jest rzecz obwinić przedstawiciela tego faktu, iż wnosząc używalności swéj katedry do zatwierdzenia papiezkiego na koncylium remeńskiém, mógł połączyć daty, i nieobeznaną z historycznym postępem kancellaryą, przy spisaniu przywileju w błąd wprowadzić. Uprzedzili już ten rozbiór wydawcy stanowczém wyznaniem: ut nostra fert opinio, bullae hujus fides est indubia: ale tu nie idzie o tę niewątpliwość przy połączeniu nawet dat nadania pod r. 1148: albowiem dowód pomieniony na przyszłość nie straci swéj mocy, jeżeli się nawet nie da zastosować do jednéj stanowczéj epoki w historyi naszéj poprzedniéj.

Zgodzić się prócz tego nie możemy, na wyrażony przez wydawców w innym przypisku (pod liczbą 12) domysł o pochodzeniu téj bulli, gdy między zebranemi z innych krajów biskupami, dozwolą zasiąść na koncylium remeńskiém, w imieniu kościoła polskiego, swemu Wernerowi czy Warnerowi. Mówi wszakże przeciwko temu odporny stan kościoła polskiego względem papieża, gromy nań exkommuniki w téjże bezwątpienia dacie rzucającego. Wypadnie nam raz jeszcze wspomnieć o tém w dalszém rozwinięciu naszych dziejów. Dłużéj albowiem z innych prócz tego względów, za-

stanowić się będziemy obowiązani w epoce waśni braci książęcych w Polsce, gdy epoka ta ma stanowczą być również w losach bazyliki kujawskiéj.

Tu przedstawiony zarys granic tego biskupstwa według przywileju, miał nam posłużyć do wytłumaczenia wątpliwości, jakie na każdém miejscu w rozwinięciu obrazu przez poprzedników naszych przedsięwziętego objawiamy. Pożądaną też byłoby dla nas rzeczą, ażeby przeciw autentyczności dowodu tak ważnego, coś w końcu wyrzec nie było potrzeba. Aż do chwili w rzeczy saméj powziętego przekonania, iż oryginał nareszcie długo poszukiwanego dowodu wykryty został, żadna z kopii w obiegu będących, rozwiązywać ostatecznie niepewnych przypuszczeń nie była zdolna. Gdy mniemamy więc już dzisiaj, broń nieomylną przeciw wszelkiemu zaprzeczeniu w rękach posiadać: czy nic powiedzieć na rachunek niedopełnionego całkowicie przez wydawców jego obowiązku nie można? Wyborne wprawdzie naśladowanie w odpisie tego autentyku domyślnego mamy przed oczyma. Erudycya nawet w ustaleniu wyczytań może zaspokajać. Mimowolnie atoli pozbyć się pytań nie można; jakież były losy tego pargaminu? gdzie się przez tyle wieków ukrywał? jakie z dziwną zawiścią strzeżone archiwum, dozwoliwszy mylnym kopiom istnienia tak długo, ledwie skarb swój wynurzyło, znów powleka się tajemnicą, nazwę swą ukrywa i szczególnych tylko wybranych darami swemi obdziela? Czy nie żądamy na innem polu starożytności równie okolicznościowego wyświecenia? Moneta starożytna i pargamin, nie zyskują wiary dostatecznéj w swoję prawdziwość, bez ścisłego oznaczenia wykopaliska i szczerości kruszcu dla jednéj, bez wyświecenia historyi przejścia i pobytu dla drugiego.

X. *Biskupi kruszwiccy od Lucidusa do Onolda, na tle opowieści przewodnika naszego z wieku XVII.*

Z rachubą tą czasu przyjętą przez historyków naszych, raz poraz na przeciwności nieprzewidziane natrafiać musimy. Gdy zdawałoby się już wszystko na drodze utorowanéj znajdować, po wizerunku pierwotnych fundacyj naszych kościołów, w Długoszu i jego kopiistach skreślonym, tojest po zaopatrzeniu biskupstw we wszelkie potrzeby, rozdzieleniu ich na sufraganie, archidyakony, dziekaństwa i parafie: Mieczysław nasz w wypadku nagłym zmuszony jest odczarować nas z tych złudzeń, i z nastąpionym skonem swego wybrańca Jasnocha, wskazać na niedostatek zupełny pod względem tych zaopatrzeń, i brak następcy w domu. Jasnoch skończyć miał życie po 27 latach zasiadania na stolicy biskupiéj. Ponieważ śmierć ta przypada w r. 993, a chronologia Długoszowska przedłuża jeszcze daléj panowanie Mieczysława I; powtórnie zatém „Stolica apostolska skłaniając się do słusznych próśb króla tegoż Mieczysława, o nadesłanie zwierzchnika dla kruszwickiéj katedry, posłała do Polski Maurycego Włocha, wyświęconego już na biskupa w r. 994. (*Romana sedes cequis inclinata precibus Mecislai Principis de Praeside Crusviciensis Cathedrae, Mauritium natione Italum, mittit in Poloniam consecratum Episcopum, anno Domini* 994). Ten mało znaczący na pozór odskok w rachubie, staje się powodem, jak widzimy, do wykazania słabéj strony całego obrazu idealnego. Na cóż nam było co innego na wstępie obiecywać niemal organizacyą już taką, jaka po wielu dopiéro latach wyrobić się miała? Tu rwie się pasmo zanagle. Przy wstępie na tron Bolesława, znowu o gołych tylko murach nazwisko katedry noszących w Kruszwicy słyszéć musimy, i niedostatku najważniejszym, niedostatku duchowieństwa; i cóż nam po najświetniejszéj budowie nawet

bez tego żywotnego warunku? Zawsze to jeszcze była pustynia zupełna, a ten wtóry posłannik mógł poczet biskupów poczynać na nowo. Nie walczy żadna pewność za dokonaniem czegoś gruntowniejszego pod Mieczysławem. Jak u historyków naszych, tak i na jawie tchnęła jakaś pobożność z piersi obcych pochodząca, na lud ten leśny surowy, w pojęciach dzikiego bałwochwalstwa wykołysany; przemawiała do serc nie bezpośrednio, więc z trudem wielkim, długo z niepewnością skutku i powodzenia. Ani imiona tych apostołów i missyonarzy, w kronikarskiém piśmiennictwie naszém składające się w szeregi następstw, z innego punktu widzenia nie mogą być uważane przez czas długi, tylko jako wypływ imaginacyi latopisców, którym przecież o utworzenie pewnéj całości, jakiemikolwiek ogniwami spojonéj, chodziło. Wiadome zkądinąd czytelnikom naszym, podobnież trudne położenie sprawozdawcy z podań o krakowskiéj bazylice. Pisarz ten duchowny, zadziwiony płodnością imaginacyi swego historyka, Długosza, zniewolony jest wykrzyknąć: „rzecz dziwna, zkąd Długosz mógł tych piérwszych biskupów naszych ponazywać, opisać ród i przymioty?" *(Katalog biskupów krakowskich przez ks. Ludwika Łętowskego T. I, k. CXI).* Ma słuszność. Z tym przewodnikiem naszym możemy zajść daleko, ale obejrzawszy się dokoła, zamiast żyjących istot, dostrzeżemy mary prześladujące wędrowca w pustyni.

Otóż i co do szeregu dalszego, jak najkrócéj streścić żywoty naszych biskupów widzimy się zmuszeni.

Maurycy przy swym drewnianym kościołku w Dźwiernie obstaje.

Za biskupstwa Marcellego, do srogich męczarni udawać się jeszcze potrzeba, ażeby wymódz posłuszeństwo na nowych chrześcianach i dziesięciny kościelne na nich uzyskać. Rex religiosissimus partim extremo supplicio plectit, partim verberibus

multat. Wychodzi to na lud bydlęcy w stylu Dytmara. Nie ma mowy o łatwém krzewieniu się wiary: owszem pogaństwo groźnie raz po raz unosi głowę. Marcelli po 18 latach swego mozolnego pasterstwa, w r. 1035 znajduje schronienie grobowe w kościele Dźwierneńskim.

Wenancyusz jego następca, upodobał sobie kościołek we wsi Parkanie.

Smutniejszy udział spotyka piątego z rzędu biskupa Andrzeja Rzymianina, gdy bowiem tamci na wolnym postępie w swych pracach apostolskich poprzestając, starają się coraz większą liczbę kościołów parafialnych wznosić i w ustroniach swych wiejskich cześć bożą głoszą; Andrzéj, ledwie powstałe, zniewolony jest naraz zamknąć kościoły i lud mało oświecony zdala od progów ich trzymać, albowiem za występek króla, klątwa na naród cały spadła. Znowu upadek wielki po korzyściach niejakich odniesionych w pracy apostolskiéj. Trudami i wiekiem strawiony rzymski przychodzień, zasypia w Bogu, a zwłoki jego pośmiertne przyjmuje kościołek Parkański.

To oddalenie ciągłe naszych pasterzy od swéj bazyliki w Kruszwicy, czy w ciągu żywota, czy w spoczynku pozgonnym, musi zastanawiać uwagę każdego pomimowoli i wzbudzać niepewność co do mniemanéj wspaniałości i gruntowności pierwotnéj fundacyi. Nie możemy przecież o tém zapominać, iż ci pasterze nasi, idący po sobie z kolei, byli to cudzoziemcy bez wyjątku aż do pewnéj epoki dalszéj; byli Włosi, dla których pożycie między tym szorstkim ludem, zwłaszcza w ustroniach wiejskich, było utrudnione z powodu języka, z powodu obyczajów odmiennych, a wreszcie i z powodu niechęci łatwéj do przewidzenia. Nie przybywali oni ani dla swobodnego wypoczynku pod niebem łagodném, missyą ich nawet nie było przebiegać kraj w rozsypce: katedry im przeznaczone wymagały przedewszystkiém

ukształcenia kleru z krajowców albo pobratymców języka świadomych. W żywotach ich tego nie widzimy. Pamięta życiopisarz raz tylko w ciągu stu kilkunastu lat, które pomiędzy 5 biskupów pierwotnych rozdzielił, iż kiedy swemu Lucidusowi dozwolił wszystkie parafie w całéj dyecezyi uporządkować, przy zagadkowéj ma się rozumiéć możebności obsadzenia ich księżmi, Maurycy, następca jego w pracy, usposobił pewną liczbę kleru do przyjęcia święceń kapłańskich; complures sacris initiatos ordinibus addicebat (p. 74); potém ani słowa o katedrze, o nauce. Jego biskupi są to właściwie plebanie, życiem narodowém z swemi parafiami złączeni. Słowem, jak się wyżéj napomknęło, katedra w Kruszwicy, według pojęcia jakie do tego wyższego ustanowienia w dziejach naszéj wiary przywiązywać się zwykło, w tym czasie jeszcze prawie nie istnieje. Możnaby się ze wstępnych rozdziałów pracy Damalewicza domyślać, iż zechce rozwinąć w niéj instytucyą, zdolną odpowiedziéć rozleglejszym potrzebom wieku i narodu. Tego nic nie ma. Biskupi trzymają się od niéj zdala. Jeśli zaś biskupom cudzoziemskim dostała się rola przepowiadania słowa Bożego poza obrębem stolicy swojéj, i schronienia im nawet nie przeznaczył w niéj po śmierci: czémże była ta ich katedra? murem bez chwały Bożéj? przybytkiem bez śladu życia pasterskiego? Czy nie powinniśmy raczéj z tego obrazu wnosić, iż ziemia Polan kujawskich nie wyosobniła się jeszcze wcale, nie oddzieliła od pnia dawnego, czyto go ustanawiał Otton, czy Mieczysław, z przeznaczeniem dla nich, daléj między Wielkopolany. Nie przepomina wprawdzie z powodów wyjątkowych, jak ze zmianą panujących, w czasie ich ukoronowania, wywołać niekiedy biskupów swych do assystencyi w Gnieźnie. I to wywołanie jednak na żadnéj zasadzie historycznéj nie polega; jest pomysłem dowolnym raczéj, bez znaczenia i nawiasowo jedynie na papiér rzuconym.

Gdybyśmy w postępie dalszym przynajmniéj wyjść chcieli z kręgu błędnego, nie znajdziemy nic dokładniejszego w historyku naszym, aż do przeniesienia prawie katedry naszéj nad Wisłę, do któregoto zdarzenia już tylko lat siedmdziesiąt kilka od zgonu Andrzeja Rzymianina zostawia. Dowiadujemy się przecież, że pod następcą jego Rzymianinem Baptistą, żona Władysława Hermana, Judyta, zadosyć czyniąc pobożnym swym ślubom, przy obdarzeniu innych kościołów, nadała także biskupom tutejszym w posiadanie kasztelanią ługowską w ziemi sandomierskiéj, że w czasie powstania niewdzięcznego syna naturalnego królewskiego, Zbigniewa, za dany temuż punkt oparcia przeciwko ojcu, srodze odpokutować musiała Kruszwica, a skutkiem wojny ucierpiały dobra biskupie: postradała świątynia Pańska swe drogie naczynia i sprzęty, że wreszcie piérwszy z biskupów miejscowych Baptista, zwłoki swe miał złożone po zgonie w jéj murach.

Na wybór Paulina jego następcy, kréskują prałaci i kanonicy katedralni, o których pochodzeniu i narodowości nie objaśnia. Jestto już jednak w pewnym względzie przyswojony narodowi pasterz, brat rodzony arcybiskupa gnieźnieńskiego Roberta, których rodowitość oznacza z domu Ciołek.

Pod biskupstwem Baldwina Francuza napotykamy piérwszą wzmiankę o kaplicy św. Wita, tuż naprzeciw zamku kruszwickiego położonéj, któréj uposażenie od początku jéj fundacyi miała stanowić wieś Dziéwa.

Bolesław Krzywousty przedsięwziął natenczas wyprawę przeciw Pomorzanom. Wojsko jego pod Kruszwicą stanęło obozem. Gdy nadeszła chwila wyruszenia w pole, zaszło objawienie z niebios: albowiem w obec zdumionych na widok cudu przy blasku dziennym, zstąpił z wierzchołka pomienionéj kaplicy młodzieniec prze-

ślicznéj urody, anioł, i stając na czele wojska, poprowadził je w ślad za sobą ku Nakłu, ówczesnéj stolicy Pomorzan; wreszcie gdy się ku murom warownym zbliżył, cisnął złotém jabłkiem w międzymurze, zwiastując przez to pewną nadzieję zwycięztwa, i zniknął.

Legenda wszystkim kronikarzom naszym znajoma.

Jest także mowa o dobrach do stołu biskupiego należących, oraz kościołach przez wojnę na gwałtowne zniszczenie narażonych.

O Świdgerze, niemieckiéj rodowitości biskupie, nie przemilcza, iż w gronie innych biskupów, reprezentujących kościół narodowy, był oskarżony na koncylium remeńskiém w r. 1147 przed Eugeniuszem III papieżem, przez króla rzymskiego Henryka, który w nieobecności ojca swego Konrada, wojującego w ziemi świętéj, rządy sprawował, iż należał do wykluczenia Władysława książęcia przez braci od tronu, czyli na to wykluczenie zezwolił, gdy ów Władysław pod opieką niemiecką zostawał.

Tu autor nasz ma tylko już jednego biskupa żywot do skreślenia, w zamknięciu dziejów katedry kruszwickiéj, tojest Onolda Włocha. Wywiąże się z zadania krótko. Najważniejszy fakt w dziejach téj katedry, pod tém przypadający pasterstwem, tojest przeniesienie jéj do Włocławka, już tylko nawiasem będzie przezeń dotknięty. Owszem, powtórzy o nim dosłownie wiadomość nieprzetrawioną, podaną przez mistrza swego. Więcéj mu nie potrzeba. Choć każdemu innemu w jego miejscu przyszłoby na myśl głębiéj rozebrać, czy tylko dla braku okazałości miejsca biskupom (1), godziło się dawną siedzibę Piasta po piérwszym namyśle opuścić, czy nie zaszła spółcześnie jaka żywotniejsza zmiany téj

(1) Przyczyna przez biografa naszego naznaczona, znalazła swe powtórzenie bez rozbioru u wielu innych, którym dość wzmianki bezzasadnéj, aby się u nich przyjęła. Niesiecki mówi w innych wyrazach to samo: „gdy przez różne nieprzyjacielskie inkursye zniszczona Kruszwica, *honoru téj katedry zdolnie utrzymać nie mogła*" i t. d.

przyczyna? Co z tego względu Włocławek więcéj zaspokajającego przedstawiał w epoce pomienionéj, o tém z jego życiorysu Onolda, ani z ciągu pracy się nie dowiemy.

XI. Zadanie dla pracowników, po Damalewiczu ten przedmiot traktujących.

Widzieliśmy dotąd ujemną tylko stronę dziejów naszéj katedry. Niedostatki pisarskie, jak sądzimy, są aż nadto w skreśleniu ich widoczne. Gdy atoli w przedsięwzięciu niniejszém, nie o to głównie rzecz idzie, ażeby wytknąć cele pisma obcego, chybione, lecz ile możności się zbliżyć do rzeczywistego obrazu tych dziejów; musimy tu sobie wyjednać nieco pobłażania ze strony naszych czytelników, w wysłuchaniu niektórych uwag, nie w przelotném jedynie zastanowieniu się nad tym przedmiotem zebranych.

Przed nami również, jak przed poprzednikami naszemi w téj pracy, świéci skazówka z przeszłości mówiąca, na jakich warunkach, w pewnéj danéj epoce, widzieć mamy nasz kościół kujawski ugruntowany. Zrzekliśmy się jednak już na wstępie pretensyi zacyfrowania dat pewnych, na tablicy jego fundacyi pierwiastkowéj. I przekonywamy się, o ile niedosyć jest określić, że był łącznie z innemi w kraju założony kościół katedralny w Kruszwicy, że pewne wiejskie ustronia zyskały szczególne upodobania niektórych biskupów, albo, że burzyła się ludność napół pogańska, nieprzywykła składać dziesięcin w przeszłości, dla utrzymania świątyń, swoich bożyszcz dawnych. Biskup kruszwicki, według pojęcia przywileju, był uposażony na tylu oddalonych od siebie punktach i w granicach tylu innych dyecezyj, że już ze względu rozgałęzienia swego wieloramiennego, daje powód wejrzenia niejednochwilowego na karty dziejów, rzucenia niejednokrotnéj

wątpliwości w rzeczach ogólnikami zbywanych. Konieczność zadania sobie téj pracy, wynika z natury historycznego założenia tu przedsięwziętego, nie mającego na celu wspiérania się powagą mistrzów jedynie, a zbliżenia się ile możności do prawdy podań, bez dążności stronniczéj, bez kolorytu podrobionego.

W odwołaniu się do świadectw średniowiecznych, zakładaliśmy już tu od początku pewne widoki na resztkach dawnego świata, przyczém wskazywaliśmy na przeszłość świetniejszą stolicy nadjeziornéj. Lepsza krytyka przypomniała nam jéj ducha gminowładnego, który skupiał w niéj ludność i z upadkiem swym, rozpraszał. W r. 1096 uległa zniszczeniu dla swego obyczaju starego, dla wyobrażeń wolności swojéj starosłowiańskiéj, odzywającéj się po raz ostatni w okrzykach wojennych pod hasłem Zbigniewa. Ludność jéj ujść musiała śród buntowniczych Pomorzan, kościół pozostał samotny, jak gdyby innorodny w nim był pierwiastek na gruncie tym szczepiony, zapuścić korzeni niezdolny. Ale i miasto nie podźwigło się więcéj. Żyło bowiem tą uchodzącą z niego wolnością, co nie miała już odtąd unieść głowy więcéj, pod naciskiem nowotnych, odmiennych zupełnie wyobrażeń.

Kościół jeszcze w niém dotrwa przez lat 60. Istnienie to oderwane, zagadek i wątpliwości pełne. O prawach jego i posiadłościach dowiadujemy się już tylko z pargaminów nadawczych, z przywileju. Bez téj skazówki musielibyśmy prawie osądzić, iż pasma bytu jego zostały przerwane.

Odwołujemy się ostatecznie do téj powagi, zastępującéj nam brak świadectw własnych. Któż się do téj powagi, do brzmienia słownego bulli Eugeniusza nie odwoływał?

Czy należało raz stanowczo zamknąć wojnę półtorawieczną z teutońskim zakonem i zastawić się jakiemiś dyplomatami względem Pomeranii; czy co do opa-

nowania téj Pomeranii powiedzieć coś stanowczego, czy dowodzić starszeństwa swego pomiędzy bracią duchowną w senacie: w tych i tylolicznych podobnych mu względach, bulla Eugeniusza III-go składa się na stole. Ale pod jakiémże ona zamknięciem strzeżona była ciągle, lub jaki ją los spotkał w bazylice miejscowéj, która jéj jak źrenicy w oku pilnować była powinna, iż o samych tylko jéj kopiach słyszymy? W tych kopiach widoczne zachodzą błędy i niezgodności. Nikt nie zaprzeczy biskupom kujawskim, iż używali tych siedzib, tych ceł, dochodów i grzywien sądowych, lecz nam nie o prawo używalności przedewszystkiém idzie: idzie właściwie o wciśnienia do textu miejsc takich, które nie mogą się tyczéć ani owego szlachetnego książęcia Bolesława w wieku XI, nie dopiéroż Mieczysława I-go (1). Czy nastąpiły istotnie tego rodzaju wciśnienia przez wdanie się obcéj ręki, czy treść cała przywileju była w innym okazie gdzieindziéj zachowana. Gdyby to jedyny miał być dowód dla starszeństwa naszéj katedry, starszeństwa tego bynajmniéj nie dowodzi: bo okazuje się w końcu niedostateczną wiadomością, zbiorem wcześniejszych i późniejszych nadań razem złączonych, a rachuba na niéj oparta, zachwiewa się w gruncie i poszukiwanie dalsze staje się nieodzownem.

Żaden dar może zresztą, jak ten dar Eugeniego, dla katedry kujawskiéj, nie stawał się tak nagłym i niezwyczajnym dla swego obdarowanego. Tu „powinny Krystyny naszéj, Henryk, książę bawarski, do tego Euge-

(1) Sądzę, że każdemu kto powyższy przywilej weźmie do ręki, ta różnorodność nadań pod jednymże tytułem i w jednym czasie objętych, musi wydać się dziwną, jeżeli nie trudną do pojęcia. Dosyć się powołać na podręczne nasze pisma, traktujące chociaż pobieżnie o składzie naszego kościoła i w tych napotkamy uwagi stosowne. Jakimby sposobem np. kościół zawichoski i probostwo ś. Michała oddane być miały biskupom naszym w posiadanie, jestto *rzecz wcale dziwna* piszącemu o tém popularnemu naszemu Dunczewskiemu: tłumaczy to *jako substidium szczupłych natenczas prowentów.*

niego na synodzie, skargę na książęta i biskupy polskie przez posły swe wnosi, a piérwszym prawie czynem Eugeniego na przyjęciu papieztwa," staje się względem ogółu kościoła polskiego, klątwa; znów legat z jego strony przybywa do nas i reflektuje w interesie widoków niemieckich; ma tymczasem na pomienioném zebraniu remeńskiém, według domysłu wydawców Kodexu dyplomatycznego (1), zasiadać w reprezentacyi duchownéj jeden z biskupów naszych i wymagać potwierdzenia przywilejów od papieża, gdy ani wiemy, kto go z tém domaganiem się wysłał, i jaki cel w ogólności był jego w Reims pobytu? To, co obowiązkiem było istotnym wydawców dokumentu rozświecić, niepomijając pytań: jaki był powód szukania w czasach tak późnych papiezkiéj powagi w uznaniu nadań, które od piérwszego nastania kościoła datować miały? czy zaprzeczał kto własności, albo zachodziła inna przyczyna sporu? Damalewicz przed umieszczeniem na czele żywotów swoich tego przywileju, tłumaczy, iż przezeń dowodzi się prawa biskupów kujawskich do Pomeranii i jéj stolicy Gdańska (2), ale na właściwém miejscu nie objaśni nam tego, czy zaprzeczenie praw tych lub inna przyczyna sporna spowodowała do téj instancyi. Zagadka poczyna towarzyszyć od piérwszéj chwili spisania temu niespodzianemu aktowi.

W dalszym czasie powoła się nam także kościół kujawski nie na jednę bullę, tyczącą się praw swoich. Z temi żadna trudność nie zachodzi. Ale dopóki się to dzieje na gruncie kruszwickim, zdaje się wszystko spoczywać w cieniu pewnéj tajemnicy. Tak tajemniczą osobą w swym przywileju jest dla nas Werner czy Warner biskup ówczesny, tajemne powody oddania pod za-

(1) *Quis negare ausit, ipsum Warnerum Episcopum ibidem non affuisse?* (przyp. 12).

(2) *Ut manifestius appareat, statim a primordiis fundati Episcopatus Vladislaviensis, ad eum Pomeraniam Metropolimque ipsius Gedamom pertinisse* (p. 32).

twierdzenie papiezkie zewnętrznych jedynie nadań, bez wzmianki o domu własnym, Kruszwicy, bez względu na jéj stosunek do biskupstwa innego między Polanami i t. d. Gdyby powodem przemowy papiezkiéj była taka okoliczność przynajmniéj, jak przeniesienie blizkie katedry tutejszéj w głąb' Kujaw, a ztąd wynikająca potrzeba powiązania nowego jéj stanu przez jakiś związek dowodny z przeszłością: jeszczebyśmy się niezabawiali nad taką kwestyą pod biskupstwem Onolda; lecz względem Wernera jest naprzód w kolei następstwa przyjętéj dla naszych biskupów zupełny anachronizm. Daléj do wyjaśnienia są trudne inne sprzeczności w formie przywileju, jak mylne intytulowanie do biskupa, od rezydencyi swéj dopiéro nad Wisłą, włocławskim zwanego, datowanie czwartego roku papieztwa Eugeniego w r. 1148, powtarzanie przez kopiistów miejsca publikacyi z Rzymem i t. p.

Napomknęliśmy wyżéj, iż nie bez wpływu na pomienione traktowanie z papieżem, być mogła okoliczność tworzącego się około téjże daty biskupstwa kamińskiego w Pomorzu, i potrzeba odwołania się do pewnych stałych rozgraniczeń między prowincyą gdańską a tém biskupstwem nowém. Ale szczegółów podobnych w bulli naszéj nie znajdujemy. Z bulli Innocentego II dla dyecezyi kamińskiéj dowiadujemy się, jakie miała posiadłości po wschodniéj stronie Odry i w całém Pomorzu, aż do rzeki Laby: ale na drugostronne biskupstwo, to jedynie pośrednie jakieś światło rzuca.

Przejdźmy do dalszego widoku dziejów téj katedry. Początki jéj niedokładnością podań i grą wyrazów dyplomacyi zwichnione, dozwolić nam winny otwartszego pola i widoku w postępie dalszym. Niechaj to na chwilę obojętną dla nas stanie się rzeczą, który z Bolesławów książąt był fundatorem naszym, albo jaka zagadka się ukrywa w przytoczeniu kardynała Idzego. Wszakże drugiego mamy znów Idzego pod

tron wprowadzili, ten był książęciem; kogo zaś koronowali i namaścili, ten był królem." To dobre jest z Kozmasa Pragskiego względem korony czeskiéj; względem korony polskiéj niezawsze to się stosuje, a jak w dziejach specyalnéj dzielnicy naszéj kujawskiéj, nic się podobnego o naszych instruktorach cudzoziemskich nie dowiadujemy. Przeciwnie takie postaci dziejów, jak ów nasz rodowity Michał Godziemba, Wolimir i dalsi ich następcy, w jakichże olbrzymów rosną pod piórem historyków naszych!

Cechą okresu dziejów katedry w Kruszwicy jest usiłowanie pasterzy więcéj zwrócone do najniższéj klassy ludności, tojest gminu po wsiach rozrzuconego. Według ich portretów u Długosza i Damalewicza, zdają się oddalać od miast, od miejsc obronnych, zostawując w nich cywilizacyą ludu usiłowaniom władców, którzy w zebraniach do stołów publicznych, w zbliżeniach do swéj obecności, widzieli sposób pomnożenia liczby tychże miast i miejsc obronnych w kraju: sami się zagłębiają przeciwnie śród osad wiejskich, nad jeziorami, rzekami, w dalszéj przestrzeni rozpostartych. Patrząc na żyzne niwy z leśnych nowin wyrobione, na bujny urodzaj téj ziemi kujawskiéj, przyswajają się do narodowości i w milczeniu swój wiek trawią. Wstrząśnie ich chyba w samotnych swych ustroniach i wynurzy przed obliczem królów nad postępem dobra publicznego czuwających, jaki wybuch niespodziany krwawego pogaństwa... Natenczas i ramię królewskie srożéj uczuwać się daje. Po uspokojeniu gwałtu, tryb dawny, samotny, do ich życia duchownego wraca.

Dziwna jest sprzeczność między tém życiem biskupów kruszwickich samotném, pasterskiém, a życiem następców ich nad Wisłą, z których rąk od doby do doby grom jakiś duchowny wypada, czyto w walkach z dziedzicznemi książęty dzielnicy swojéj, czy w niebezpiecznych starciach z Pomorzem. Tych już w kiry-

sie niekiedy postrzegać można, znoszących trudy obozów, podejmujących się udziału w wojnie, niezgodnego z powołaniem i suknią pokory. Natomiast inna postać całego kraju się okazuje: o królewskich osobach mniéj słyszymy. Rozprawiają się z książęty dziedzicznemi o najazdy granic, o pogwałcenia przywilejów, o przywłaszczenia. Tak upłynie znowu okres odrębny, aż do ukazania się przeważniejszego nieprzyjaciela na placu boju: stugłowéj hydry krzyżackiéj. Natenczas biskupi poczną mieć swe załogi po zamkach, wznosić będą zamki: stanie i świątynia biskupia, przy któréj zgaśnie wielkość dawna, prawdziwa czy idealna, niegdyś rozsławiona nad Gopłem.

Biskupi kruszwiccy wchodzą wprawdzie do grona senatu królewskiego od swego założenia. Jakże mało przypomnieć sobie o nich można w dziejach tego senatu! Ani jednego nawet imienia wybitniejszego pod tą kategoryą wyszczególnić nie możemy. Wiadomo, że z tytułu nadania im probostwa s. Michała na zamku krakowskim, powinni byli przynajmniéj stać się bliższemi dworu swego. O tém probostwie jednak zupełne milczenie. Ani o attrybucyach proboszczów kujawskich na Skałce, ani o czynach ich żadnych, nic się dowiedzieć nie można. Jeżeli wzmiankę jaką o tém probostwie napotykamy, to dopiéro pod żywotem biskupa, z okresu przebywania nad Wisłą (1). Ten wchodzi o nie w układy z kapitułą swoją i czyni zamianę. W czasach rozświetnienia katedry Golanczewskiego, i kapituła odstąpi od tego nadania. Zobaczymy pod żywotem Wincentego z Przerębu (w r. 1502), iż dział ten swój zamieni kapituła z biskupem poznańskim na kościół parafialny w Gąbinie, uzyskawszy na to zatwierdzenie od panującego i stolicy apostolskiéj.

(1) Jan Pella Niewieski (de Niewiesz) od r. 1421—1427.

Trzebaby przejrzéć percepty biskupie w archiwach ich przechowywane, ażeby się coś dowiedzieć o rachubach z zawiadowcami kościołów Panny Maryi w Zawichoście i Sandomierzu. Jestto kategorya podobnież nie rozjaśniona żadnemi wspomnieniami, ani czynami dowodnemi, wyjąwszy tytuły z bulli nadawczéj. Sandomierz wszakże z Krakowem między duas sedes regni principales policzony jest u Galla (Polska średnich wieków T. II, 387). Chyba więc wniosek uczynimy, iż gdziekolwiek król polski zasiadał, tam polańskiego również swego biskupa chciał miéć obok siebie? Jakaż to zawsze tych naszych biskupów kruszwickich rola tajemnicza!

O Łagowie napotykamy nieraz przynajmniéj wzmiankę, jako o czasowém schronieniu biskupiém, w okresie nad Wisłą. Ktoby chciał nawet dosłownie rozumiéć życiopisarza naszych biskupów, mógłby osądzić, iż nie w innym celu otrzymali tak rozproszone zamki w nadaniach, jak dla bezpiecznéj ucieczki, zawcześnie przewidywanéj. Można się o tém przekonać ze słów jego we wstępnych zaraz rozdziałach.

W Wolborzu, jak gdyby żaden z biskupów kruszwickich nogą nie postał: chociaż już przywilej nadawczy Bolesława II dla Benedyktynów w Mogilnie, wyznaczając IV marcas in Wolborz dla tychże, dowodziłby miejsca tego stosunków i dawności (zob. Historyę prawa polskiego przez Winc. Bandtkiego k. 174).

Nie byłato niestosowna rzucona myśl w Naruszewiczu, iż pierwiastki naszych katedr biskupich w ogólności, możnaby w istocie rzeczy uważać raczéj za probostwa jak za biskupstwa, z wyobrażeniem do tego wyrazu według ustanowień późniejszych przywiązywaném. Pisarz ten w pomysłach szczegółowych, odesłanych niekiedy do przypisków, zawiéra bardzo często lepiéj uzasadnione wywody, niż w texcie, do którego

pozwala niejednéj sprzeczności się wcisnąć. Tak odstąpiwszy od zdania niepostrzeżenie wymkniętego pod Bolesławem Chrobrym, o trzech biskupstwach w Gnieźnie sankcyonowanych, a jedném z nich włocławskiém, zastanawia się głębiéj nad tym przedmiotem pod Kazimierzem I, a w przypisku o religii chrześciańskiéj, przeciw powieści Długoszowéj czyni wywód, że mógł Mieczysław wnet po nawróceniu swojém ufundować w Krakowie kościołek, ile się zdaje na Skałce, i przełożeństwo jego oddał Jordanowi biskupowi, jeszcze nie poznańskiemu, ale polskiemu, ażeby ten powszechny świéżo dopiéro założonéj owczarni Chrystusowéj pasterz, sam go tymczasem w niedostatku jeszcze duchowieństwa sprawował pod imieniem proboszcza. Od katedry krakowskiéj toż samo wyobrażenie przenosi do innych w kraju, przypuszczając, że mogły nosić pierwiastkowie tytuły probostw (praepositae) (1).

Bez zasiągania opinij innych, czyniliśmy już podobny wniosek wyżéj i o biskupach kruszwickich, z których opisu żywotu na tle Długoszowskiém przez Damalewicza, nic innego stosowniéj wyrozumowaćby się nie dało. Ograniczone naprzód zostały ich prace do parafii dźwierneńskiéj, późniéj paralia parkańska, piotrkowska i inne, okrąg czynności ich duchownéj, jako ogólnych pasterzy kujawskich, rozprzestrzeniły. Mniemania o okazałości biskupstw zostawiliśmy na stronie, a na ich miejsce podstawiając fakta, uważaliśmy, iż w tém gruntowniejsza leży zasada prawdy, jakiéj co do ustalenia biskupstwa kujawskiego trzymać się należy. I w tutejszéj katedry piérwszém ustanowieniu, podo-

(1) To, co Naruszewicz utrzymywać chce wsparty na Dytmarze, który na takiż początek kościołów katedralnych wskazuje w cesarstwie, dając przykład z kościołów w Mersburgu, Miśnii i Hawelbergu: zbić nam i jako niezgodne z rzeczywistością okazać chce dzisiejszy pisarz kościelny, ale tylko mocny zdaniem *Gaida* i *Lamberta mnicha* (*Katalog bisk. krak.* T. I, CIII, CIV).

bnież jak w krakowskiéj, albo wielu innych, nie można było żądać kształtów rozleglejszych, z podziałami na sufraganie, archidyakonaty i t. p., dla bardzo jawnéj a ważnéj przyczyny, tojest braku dostatecznéj liczby duchowieństwa, które dopiéro wiek dalszy postępujący naprzód, winien był pomnożyć. Tutejsza katedra może już pomiędzy ludem więcéj otartym była zakładana, jak mazowiecka np. opiérająca się jeszcze przez czas długi o dzicz swą leśną ze strony Jaćwieża i Pomeranii ościennéj. Nie wiadoma jest nam zasada, na któréj, jak uważaliśmy wyżéj, historyk nasz daje przeciwnie mazowieckiéj piérwszeństwo przed kruszwicką. Jakkolwiek jednak to się stało, czy była wcześniejszą, albo późniejszą od innych, nie możemy być skorzy w przypuszczeniu naraz ułatwień dla niéj, zaledwie przy upowszechnionéj cywilizacyi do dostąpienia podobnych. Przy bogactwieto dopiéro nowéj generacyi, gdyśmy zamrużyli oczy na pierwiastkowe nbóstwo nasze, powstały w wyobraźni dziejopisarskiéj budowle z kamienia rzniętego, ołowiem i żelazem spajane (1) już za Mieczysława, gdzie w rzeczywistości, „jakiekolwiek naprędce kościołki drewniane stawiano (2).” Byłoto w istocie nader trudne zadanie, z takiego zastępu miast, włości i powiatów prawie całych, w posiadaniu téj katedry będących, przenieść się myślą do jéj kolébki, do tego stanu dyecezyi, okazującéj nieprzebyte puszcze, drogami niepołączonéj, zawistnemi między sobą pokoleniami rojącéj się dokoła. Gdy w jéj pierwiastkach zwątpić prawie potrzeba o jakiémkolwiek rozwiązaniu rąk na Pomorzu, w epoce ustalenia, epoce spoczęcia na laurach, sam archidyakonat pomorski li-

(1) Caeterus suffraganeus Ecclesias inciso lapide exstruxit, ferro et plumbo junxit, et sufficienter dotavit, *prout temporis conditio permittebat.* (*Matthiae de Mechovia Chronica Polonorum*, p. XXII).

(2) Polska śr. wieków. T. II, 440.

czy 11 dziekaństw, a w nich około 170 kościołów parafialnych, z rozmaitemi nazwiskami starożytnéj i nowoczesnéj polskiéj i niemieckiéj rodowitości. Owszem *katedra biskupów kujawskich rozporządza majętnością od Bałtyku przez Pomorze, Kujawy, Mazowsze, Prusy, ziemię dobrzyńską, sieradzką, łęczycką, sandomierską. w dwunastu ich województwach i mnogich powiatach, wskróś dyecezyi gnieźnieńskiej, krakowskiéj, włocławskiéj, poznańskiéj, płockiéj i chełmińskiéj.*

Nie wstydziła się, jak powiadają, niegdyś zacna nasza rodzina Piastowska zawieszać z chlubą przy tronie swą dawną kmiecą siermięgę i rolnicze godła: historya obca powołaniu swemu, przeobraziwszy się w panegiryzm bezsądny, zeszła na inną zupełnie drogę. Więc mówi o tém, co błyszczy, mami, zadziwia, od mniéj powabnego stanu zbacza widocznie.

Nadszedł czas, iż do lepszego poznania dziejów przystąpić uznaliśmy potrzebę. W dziejach nie szukamy zmyśleń, w barwy teraźniejszości naszéj przebranych. Wracamy do źródeł, i nie czczéj pychy w tych źródłach szukamy, lecz bytu rzeczywistego, świadectw niedwuznacznéj wiary. A mało nam o to niewątpliwie chodzi, czy ujrzymy wieńce znamienitości ze skroni głośnych naszych latopisców zdjęte, gdy prawdę wynaleźć i na warunkach rzeczywistego bytu oprzéć usiłujemy. Nie mają dziś wiary bezwzględnéj poważne imiona nasze. Wracając nad Gopło, zapuszczając się w tajniki leśne Pomorza, widzimy niepewność zupełną podań, na których wyrazach dotąd polegać mogliśmy. Kto się oparł na Długoszu, napotyka przeciwne jemu świadectwa w Bogufale. Bogufał o parę set lat bliższy zdarzeń, które opowiada, zdawałby się na większą zasługiwać wiarę; ale ten znowu w jednéj rzeczy wiarogodniejszy świadek, ma tyle innych sprzecznych rzeczy razem zamieszczonych, iż niepodobna ze świadectwami jego ostrożnie nie postępować.

Tém większa była niewątpliwie powinność dla historyka téj katedry, na którego w czasach jéj rozświetnienia najwyższego wkładano obowiązek tak wielki, wyrzeczenia czegoś stanowczego co do kwestyi jéj wczorajszości; nic nie zaniedbać z dowodów sobie udzielonych do uporządkowania i ułożenia w jednę całość, w oderwanych dotąd cząstkach traktowanego przedmiotu. Wywiązał się atoli jako archeolog i jako konsekwentny badacz, w powierzchownych ledwie zarysach. Że szperań swych na tém polu nie jest on w stanie nic więcéj przynieść w korzyści swemu wiekowi, oprócz niedokładnego obrazu, powstającego z wpływów i przerobień rozmaitych. Obraz ten nawet nie zdaje się u niego wywołany żadną wiekową potrzebą, jest raczéj traktowany jako rzecz nie wymagająca przyłożenia wytrawniejszéj pracy, jako rzecz oklepana prawie, któréj tylko krasomowa piszącego jakichś elementarnych zalet dodać była powinna.

XII. Przyczyny dane opuszczenia Kruszwicy i przeniesienia katedry biskupiéj do Włocławka nad Wisłą.

Widzieliśmy już z wykładu poprzedzającego, iż ani takie nadzieje zakładane na początku, ani udział królów, ani czujność najwyższych pasterzy, nie wstrzymały biskupów naszych od nagłego i żadnym jawniejszym faktem nieusprawiedliwionego opuszczenia miejsca, które im pierwotne okoliczności kościoła za najwłaściwsze do przebywania przez czas długi wskazywały.

Jak się napomknęło, kwestya miana na uwadze, zbyta jest przez historyków naszych pozorem, na który nikt uważniéj rozbiérający pasma zdarzeń, w dziejach po sobie następujących, zgodzić się nie zdoła. Piérwszy nawet rzut oka jest dostateczny do ocenienia tak niedojrzałego poglądu na rzeczy w życiopisarzu na-

szym kujawskim, który żadnéj innéj pobudki w przedsięwzięciu tak stanowczego kroku naznaczyć nie umié, prócz potrzeby większéj okazałości miejsca dla rezydencyi biskupiéj. Gdyby bowiem chociaż w tym sposobie pozór ten nieznaczący mógł być okraszony, że opuszczając gród swój dawny, biskupi kruszwiccy, po zamienieniu go przez wojnę w stos gruzów i ruin, przenosili stolicę swą do miejsca, właśnie tym warunkom okazałości zadosyć czyniącego, jakkolwiek przynajmniéj zabudowanego, chociaż jednę świątynię do pomieszczenia przenoszonych zkądinąd świętości okazać mogącego: ale tego nic nie ma, według osnowy samychże życiorysów, które stanowią naszę powagę. Onold, który w epigramacie:

Crusviciâ sacrum jussit migrare senatum,
Vladislaviamque suos transtulit ipse lares,

nie ma gdzie skroni złożyć po téj wędrówce swojéj: w lasach nową siedzibę otaczających, szuka dopiéro środka do założenia swéj nowéj świątyni. Dziełem jego staranności jest ubogi kościołek drewniany (aedicula lignea), który pół wieku nie wytrwa. Ile ze śladów historycznych się docieka, zakład nie tak odległéj daty miasta, owszem w rozumieniu niektórych kilka lat dopiéro istnienia rachować mogący, nie przedstawiał na pobrzeżu Wisły w téj chwili nietylko pozorów okazalszych, ale przeciwnie uczuć dawał niedostatek wszystkiego, co w wyobrażeniu naszém wygodny byt stanowi. To, co w cztery wieki późniéj od tego zdarzenia czytamy o składzie wewnętrznym tego miasta i pustéj okolicy, w opisie przez biskupa miejscowego, zdaje się, iż nie chybimy bynajmniéj, jeśli do niego w epoce przeniesienia katedry z Kruszwicy zastosujemy. Oto jest dosłownie przepolszczony wyjątek z listu Karnkowskiego do Stefana Batorego, który czytelnik zechce porównać:

„Jeśli w celu pobożności do Włocławka, gdzie jest katedra biskupstwa mego, na uroczystość Wielkanocną W. K. Mość przybyć postanowiłeś: nic nad ten zamiar zbawienniejszego i świętszego. Jestto bowiem ustroń samotna, od wszelkiego zgiełku świata daleka, i jakby do cichego zadumania umyślnie stworzona. Włocławek ze wszech stron najgęstszemi lasami jest otoczony: w stronę od zamku i grodu twego płockiego, na sześć mil bezprzerwnie zalegają bory i lasy. Starostwo i miasto Kowal o trzy mile, Brześć o dwie, las także od niego oddziela. Na drugim brzegu szpital dla biédnych niegdyś założony został rola jałowa w głuchéj pustyni, z któréj miejscowi mieszkańcy nawet wyżyć nie są zdolni. Jeżeli więc, jak powiedziałem, dlategoś tu W. K. Mość przybyć zamierzył, ażebyś się swobodnie mógł oddać nabożeństwu i pobożności (po odjęciu których, nic tu do wygody więcéj nie zostaje), pochwalam i za słuszny uważam zamiar W. K. Mości, oraz i pomysł tych doradców, którzy W. K. Mość do tego skłonili; gotów z otwartemi ramiony powitać święty majestat twój, jako króla i pana mego namaszczonego, jako anioła Pańskiego. Ujrzy tu święty majestat twój kapłanów Pańskich, mężów uczciwego życia, nabożeństwu i uczynkom pobożności oddanych, we dnie i w nocy czyniących śluby Bogu o dobro i powodzenie twego majestatu, o całość kraju. Jeżeli przeciwnie zamierzyłbyś tu W. K. Mość senat swój zebrać, w tej zwłaszcza porze żalu i skruchy: zdaniem mém nic nieuważniéj nie może być przedsięwziętego. Nietylko bowiem stanie się to uciążliwém dla ciebie i duchowieństwa mego, a nabożeństwo jego całe pomiesza, lecz i wszystkich senatorów, którzy tu przybędą, na rozliczne niedogodności narazi. Na rynku ani chleba na przedaż nie znajdzie: brak stajen dla koni, mało jest domów w miasteczku, wioski od miasta w znacznem

oddaleniu się znajdują. Rzecz nawet dziwna, miasto nad brzegiem Wisły pomiędzy rzekami jest położone, a nigdzie większego niedostatku ryb być nie może. Ja sam kiedy tu zjeżdżam, zaledwie cztéry a najwięcéj sześć niedziel wytrwać na miejscu zdołam, dla trudności dostania, owszem braku zupełnego rzeczy do życia potrzebnych. Wszystkim to znane jest dobrze, a na własne oczy W. K. Mość o prawdzie wkrótce się przekonasz" (1). Możnaby pod pokrywką niewygód przedstawianych, domyślać się innych celów jeszcze Karnkowskiego, w odradzaniu przybycia królowi; w dalszym ciągu albowiem listu tego nie tai obawy swojéj, o skutki niesforności żołnierstwa, które uprzednio na drogę niekarności się zaprawiło. Listy Karnkowskiego w ogólności, pod względem swéj repuklikanckiéj swobody i niezawisłości wyrażenia, warte są przekładu dla wiadomości powszechniejszéj. Ale stan miejsca, jaki w obecnym wyjątku skreślony widzimy, ze względu swego położenia ustronnego, zmyślony być nie mógł. Na te role jałowe, zaledwie zdolne wyżywić mieszkańców pustynnych, nie mógł się kwapić z odrzuceniem innych podobnież w wieku XII, jak w XVI, żaden dwór w celach okazałości, siedzibę sobie w téj odludnéj mieścinie obiérający. Jakoż Onolda naszego myśl przeniesienia w to miejsce swéj nadgoplańskiéj starożytnéj stolicy, nie mogła być wypadkiem prostego zniechęcenia, kaprysem magnata, jednostajnością miejsca znudzonego.

Zważmy atoli i na to: czy tak jedynie zależeć mogło to przeniesienie od woli i upodobania jednego wyrokującego biskupa, a nie wpływały na to postanowienie przeważniejsze okoliczności inne? jak: rozpadnienie się kraju po Krzywoustym na kilkorakie dzielnice;

(1) Zob. *Epistolae illustrium virorum*, Cracoviae 1578 editae, a w nich list niniejszy umieszczony w księdze III pod datą z Wolborza r. 1577.

nowa organizacya wewnętrzna w każdém udzielném księztwie przez synów jego zaprowadzona; nowe widoki na przyszłość i potrzeby, a wreszcie i nacisk od Pomorza, mógł nie być bez wpływu na to rzeczywiście zbyt nagle i bez przygotowania spełniane postanowienie.

Zrozumialszą dla nas w ogólności stałaby się ta rezygnacya biskupów, gdyby następowała z kolei po zniszczeniu Kruszwicy i oddaniu jéj na pastwę mściwemu żołnierstwu przez Władysława I, w wojnie z bękartem swoim Zbigniewem: bo domyślalibyśmy się opłakanego stanu rzeczy, przy którym ani na chwilę rezydencya biskupia na miejscu się ostać nie mogła: ale tak nie jest. Zniszczenie to sprawione nad Gopłem, kładą historycy nasi pod r. 1096, więc na 60 lat z górą przed postanowieniem Onolda. Co do prawdziwości nawet dosłownéj doniesienia u Galla: Sicque Cruzwicz divitiis et militibus opulentum ad instar pene desolationis est redactum, dorzuca myśl własną, baczny na odmiany losów tego grodu Naruszewicz: „Od tego czasu kronikarze naznaczają epokę nikczemności jego, że więcéj do pierwiastkowego stanu przyjść nie mogło (mowa tu o przytaczanych niejednokrotnie opisach tego zdarzenia z Długosza i Kromera). Ja rozumiem, że mu do téj pustoty blizkość Pomorzan łotrujących, a potém niedbalstwo starostów, zysków tylko prywatnych z publiczności szukających, tak jako i teraz, w miastach grodowych i dzierżawach, dopomogły". Było więc zniszczenie systematyczne i aż do dalszego czasu się rozciągnęło. Kto inny każe pamiętać na gniazdo starego obyczaju w niéj prześladowane, wreszcie na wyjście z niéj mieszkańców, ludu zbrojownego, jak go nazywa Lelewel, i spólnéj sprawy przez nich z Pomorzany wyznawanéj.

Kruszwica się stała istną pustynią, lecz kościół katedralny, jakbyśmy o tém od historyków naszych po-

wziąć przekonanie mogli, na swéj granitowéj podstawie ocalał, pomimo okrycia grodu rumowiskami, pomimo spluskania ścian jego krwią bratnią i zarumienienia Gopła pod rozlewem téj krwi niesłychanym. Ocalał do panowań dalszych, owszem ocaleć miał na dowód Mieczysławowskiéj hojności, przez pięć wieków jeszcze z górą, jak nam o tém poświadcza nasz pisarz pod datą roku 1642. Manet per annos sexcentos amplius, illustre Mecislai primi monumentum, basilica, inter tot Cujaviensis aracelades inconcussa (Damal. Vitae Epis. Vlad. p. 41). Na czémżeby się opierało to świadectwo? byłożby prostém zapomnieniem, iż co innego mówił o zmianach zaszłych w wieku XII, przez które gmach katedralny do stopnia kollegiaty zniżał, iż tę ostatnią jemu nawet godność odebrał na korzyść kościoła Panny Maryi w Nowéj Nieszawie, przez Władysława Jagiełłę zbudowanéj? (1) czy tylko o mury, dowód starożytności noszące, idzie mu jedynie? Ale mówi wyraźnie we wstępie do swych żywotów co innego, a w toku żywotów opowiadanych co innego rozwija.

Ks. Damalewicz w błąd nas wprowadza. Oglądane są dzisiaj jeszcze te mury kollegiaty, dawnéj katedry (2). Znawca nie może zaprzeczyć ze śladów starożytności mówiącéj, ażeby kollegiata kruszwicka do najdawniejszych budowli na naszéj ziemi należeć nie miała: ale jéj nie przyznaje tém oznaczeniem jeszcze Mieczysławowi: możnaby owszem wnosić z porównania

(1) Mówi pod r. 1428, tojest datą wstąpienia na biskupstwo kujawskie *Jana Szafrańca*: „Vladislaus Jagello, ut novae civitatis Niessoviensis decus ampliaret, Collegiatam Ecclesiam Crusvicien. Episcopo consentiente, auctis munificentia regali reditibus, ad aedes S. Mariae Nieszoviam transtulit, *quo in loco vix triennio constitit* sacrilegis Cruciferorum incendiis desolata". Jużto drugi Władysław ogołaca z ozdób Kruszwicę, dla powiększenia ozdoby innego miejsca. Przejścia te wszystkie o losach jéj łowić potrzeba w nawiasowych wzmiankach u Damalewicza.

(2) Zob. w *Gazecie Codziennéj z r. 1855 Nr. 268* korrespondencyą d. 11 września t. r. z Kruszwicy nad Gopłem datowaną przez A. P.

jéj do innych pomników w kraju, do jakiéj daty późniejszéj rad ją odnosił. „Cała z sześciennych kostek granitowych stawiana, w kształcie krzyża łacińskiego, z cztérema spiczastemi facyatkami, i z prezbiteryum okrągłém w kształcie baszty, naokoło któréj się piętrzą coraz niższe okrągłe przymurowania. Okna małe, pierwotne, odrzwia wpół okrągłe, lombardzkie, podwójne, z których wewnętrzne na słupach oparte. Wieża kwadratowa oparta o środek głównéj facyaty, naprzeciw prezbiteryum, od spodu z sześciennych kostek granitowych stawiana; wyżéj z cegieł murowana, miała na sobie kopułę drewnianą, w stylu wieku XVII. Teraźniejszy król pruski kazał tę kopułę rozebrać, i w téj właśnie chwili (r. 1855) pracują nad zakończeniem wieży, zastosowaném do pierwotnéj struktury świątyni."

„Wysokie dachy łupkiem kryte, w późniejszym czasie stawiane były, jak to widoczne jest z nadmurowania ceglanego szczytów facyat granitowych. Podobno ma być przywrócony i dachom kształt pierwotny. W węgle wieży osadzona jest wśród sześciennych kostek granitowych, u saméj góry, jedna przedstawiająca dwie głowy ludzkie w wypukłéj rzeźbie. Trochę niżéj inna kostka ma na sobie wyryty jakby krzyż grecki. Wewnątrz zatarte są wszelkie ślady starożytności: dawne sklepienie zastąpione zostało drewnianym pułapem malowanym w błękitne klucze ś. Piotra i miecze ś. Pawła; gdyż kościół jest stawiany pod wezwaniem tych świętych apostołów (1). W skarbcu

(1) Pod témże wezwaniem jest u *Damalewicza*. Kilku innych pisarzy, między innemi *Niesiecki*, poczerpnęli wiadomość z Długosza, i tą się obdzielają, iż katedra kruszwicka była założona przez Mieczysława *pod tytułem ś. Wita patrona Słowaków*, i ozdobiona relikwiami tegoż świętego z Korbei saskiéj przeniesionemi. Sąto widocznie mieszane dzieje katedry z dziejami kaplicy ś. Wita oddzielnéj, o któréj już wyżej niejednokrotna była tu wzmianka. Damalewicz w oznaczeniu tego tytułu oddala się od Długosza, ale mniemania jego jako błędnego nie prostuje.

i kapitularzu dolnym, żebra sklepień bardzo niskich, nakrzyż idące, ułożone są z płaskich kostek granitowych."

Korrespondent z podobnego kształtem do pomienionéj kollegjaty kościoła w Kościelcu pod Kruszwicą, z kostek granitowych także stawianego, wnosićby chciał o równoczesności tych dwóch kościołów, nieoddalając od téjże epoki kościoła pod tytułem Panny Maryi, stojącego jak ruina na cmentarzu pod Inowłocławiem.

Ale mógłże z pewnością życiopisarz nasz biskupi, już w swoim czasie rachować na 600 lat z górą katedry téj istnienia, wskazywać na wspaniałość jéj budowy i wysokie przeznaczenie; potém w kilku wyrazach o braku okazałości miejsca, zawrzéć kwestyą żywotną jéj opuszczenia, rzuciwszy zwłaszcza uwagę co do fundacyi następnéj w Włocławku przez Onolda: „*Fuit primum Cathedrale templum, in ipsa ripa Istulæ conditum, postquam Crusvicia Vladislaviam Cathedræ authoritas est translata augustius, quam et incolarum frequentia et Cathedralis dignitatis maiestas poscebat*" p. 34. Oczywista sprzeczność i zbijanie jednych twierdzeń drugiemi. Dwukrotny mozół dla następców, wyświecania błędów poprzednika i szukania prawdy w przeglądzie zdarzeń, które on z jawném lekceważeniem na bok odpychał.

Mamy przed sobą daty następne:

Starożytnicy nasi, niewyłączając z ich liczby wydawców Kodeksu dyplomatycznego, naznaczają początek Włocławka, do którego katedrę naszę kruszwicką przenoszoną, widzimy, około lat 1139—1148, jednocześnie prawie z przywilejem dla téj katedry wydanym przez Eugeniusza III papieża. Na czém rzeczywiście gruntowane jest to podanie, śladu wskazanego nie mamy. Jawnie korzystać dają z krótkich chwil reju otrzymanego nad braćmi Władysławowi II, i pomimo to, że Kujawy z Mazowszem, ziemią dobrzyńską i chełmiń-

ską są działem właściwym Bolesława Kędzierzawego, poddają mu tutaj myśl założenia miasta w niewiadomych celach, które od imienia założyciela ma przybrać miano. Kto inny na podobieństwie imienia założyciela i miasta, odniesie początek Włocławka do Władysława I. Co ze względu nawet, że Władysława Hermana przez długi przeciąg czasu miejscem przebywania były pobrzeża Wisły u Płocka, na większą uwagę zasługuje, niżeli fundacya Władysława II, któremu na dział właściwy dane były ze skonem ojca Bolesława, ziemie krakowska, szląska, sieradzka, łęczycka i Pomerania. Gdy weźmiemy na rozjemcę między obu zdaniami, historyka, do którego tu z powołania odnosić się powinniśmy, ze zwykłą sobie dokładnością antykwaryjną odpowie: *Wladislavia ad ripam Istulæ a Vladislav condita, mutuatum ab authore nomen retinet* (p. 34), jak gdyby o jednym tylko Władysławie w historyi narodu naszego miała być wzmianka.

Przeniesienie katedry kruszwickiej do tego miasta, datowane jest około roku 1159. Rok ten jest datą śmierci Władysława II na wygnaniu, i datą wejścia w powtórny związek małżeński Bolesława Kędzierzawego, który na wzór ojca miał kiedyś dzielić znów państwo pomiędzy dzieci z dwóch małżeństw, gdyby oprócz synów z pierwszéj żony: Bolesława i Leszka, miał się doczekać potomstwa z nowozaślubionej Anastazyi.

Gdy w r. 1158 przyszedł mu na świat syn drugi Leszek, starszemu przeznaczał panowanie nad krajem, Leszkowi wydzielał Mazowsze i Kujawy z udzielném prawem, pod opieką stryja jego Kazimierza, później Sprawiedliwym zwanego. Śmierć syna jego starszego w r. 1172, plany te odmieniła. W przeciągu czasu jednak między temi zdarzeniami, zaszły ważne ulepszenia w dzielnicy kujawskiej. Włocławek, mający już nosić w przywilejach Leszka przymiotnik vetus

albo antiqua, obrany został za miejsce przebywania biskupów, i chociaż z drewnianego kościołka naprędce ozdobę pozyskał.

Nic tu nie naprowadza na wątpliwość, czyliby Bolesław podobnie sobie postąpił, przy spokojniejszém zachowaniu się Pomorza, którego łotrostwo zagroziło natenczas Kruszwicy? Bo myśl ojcowska już w innych celach gościła z upodobaniem widoczném w tej nadwiślańskiéj siedzibie. Mieli synowie Krzywoustego najlepszą z lat swych młodzieńczych naukę, do jakich następstw zgubnych prowadzą pretensye spadkobiercze między potomstwem z dwóch małżeństw, w prawach swych nieutwierdzoném: więc jeśli ojciec już za życia, w działach małoletniego swego następcy, kładł silniejsze podwaliny, co powodować może do szukania względów innych i pobudek, w zakładaniu instytucyi, dających blask miejscom, i w pewnych razach, rękojmię opieki samymże właścicielom dzielnicy? Przytoczymy w dalszym ciągu tych dziejów stosunki Leszka, księcia kujawskiego, do hierarchii duchownéj w swém mieście. Będą one zapewne poparciem zdań powyższych. Sądzimy przynajmniéj, iż nie będziemy mieli potrzeby jednostronną kierować się opinią, która wskazując nam dotąd jako ostatni środek ratunku dla naszych biskupów, ucieczkę z miejsca zagrożonego, nieoglądało się na żadne okoliczności inne, pomyślnym zbiegiem ułatwiające ów zamiar.

Na swym krańcu nadgoplańskim, rezydencya nasza biskupia była niepokojona już dawniéj: to ją jednak z posad nie wzruszało. Data owszem jéj przeniesienia przypada właśnie na czasy, w których mogłaby istotnie widzieć się bezpieczniejszą w domu. Oręż Krzywoustego otworzył drogę na Pomorze przez zwycięztwa i układy, a jeśli część jego wschodniejsza jeszcze zagrażała, klęski wojenne, którymby przyczyny zmian pewnych przypisywać można, jeszcze dopiéro

po przeniesieniu owéj rezydencyi, spotkać u tych granic naszego Bolesława Kędzierzawego miały po latach.

Nie czynimy tu w istocie nic więcéj, oprócz zbliżenia pewnych dat z sobą i okoliczności znaczących. Ale gdy takie fakta na myśl przywodzimy, nie jestże podobniejszém do prawdy, na fundamencie grozy wojennéj od Pomorza, na skierowaniu uwagi do wnętrza kujawskiéj dzielnicy, na woli króla i parciu zdarzeń, owo przeniesienie katedry zakładać, jak na powodach pychy albo próżności światowéj? Pod względem szukanéj okazałości inna rzecz powiedzieć, iż zyskała na niéj katedra niegdyś istniejąca w Smogorzewie, przeniesiona do Byczyny, a zwłaszcza do Wrocławia: ale katedra kruszwicka, jak to staraliśmy się wyżéj okazać, na taką w stosunku nie trafiała zamianę. Miasto, od imienia Władysława założyciela swego nazwane, ma dopiéro wprawdzie po latach wystąpić ze znaczeniem innem. Może też główną przyczyną jego wzrostu i blasku przyszłego, stanie się ta przeniesiona do niego rezydencya biskupia. Zgadzamy się wreszcie, że jeśli nie w dobie powziętéj determinacyi, tedy dla przyszłych działań pasterskich, dla wywarcia skuteczniejszych wpływów, to samotne położenie miejsca, te leśne ostępy i żeglowna Wisła, nie były warunkami do odrzucenia, w widoku ustalenia losów katedry. Ale gdy na krok ten ważny w jej bycie, wpływ myśli rządzącej nie był bez znaczenia, poprzestać nie możemy na przyczynie wyłącznéj, z tym zwierzchnim kierunkiem związku niemającej, a nawzajem w zastosowaniu swém niepodobnéj do prawdy i sprzecznéj.

Dodajmy w końcu myśl jednę jeszcze:

Zwijając jednę linię obozów, już tylko musimy myśleć o utrzymaniu się mężniejszém przy drugiéj. Katedra nasza biskupia cofana z nad Gopła wewnątrz dzielnicy kujawskiéj, w fakcie tym przedstawia okoliczno-

ści nadchodzące, w których łonie podobne następstwa, po latach kilkudziesięciu, całemu pograniczu kraju zagrażają. W tej dobie ostatnich zadatków świetności, ogałaca się dawnych mocarzy ziemskich stolica. Barbarzyńcy w ślad idą. Nie nadążą w odpieraniu ich ciosów spadkobiercy Bolesławów zniewieściali. Po opuszczeniu grodu jednego, całe pogranicze na łup wydajemy z kolei. Należeć to będzie do przypomnienia w następnych częściach naszéj pracy. Wszakże to następnie wyjaśnić będziemy mieli za obowiązek, iż biskupi nasi ze zwinięciem siedziby swojéj nad Gopłem, nie powinni byli się okazać mniéj zdolni do posuwania się ciągle z missyą swą naprzód, owszem donieść byli powinni istnienia katedry de facto, które dotychczas jakoby przedświt żywotniejszego bytu nastąpić mającego, zapowiadało.

TYMKA PADURRY.

Mandriweć.

Ja z horiw schodzu, nyż tuman skrywaje,
More dwyhnułoś i szumiat wody,
Ja idu sumnyj a czasto mene szczoś pytaje:
Kudyż to, kudy?

Ni tutky sonce tak śiaje
Në tak tut kwit rosćwitaje,
Nudna dla mene owoszcz z derew sich:
Mowa tut w duszu moju në wlitaje,
Tut ja czużynij dla wsich!

O deż ty kraju isuszczyś
Tak dowho żadanyj,
Ni koiy në diżdanyj,
O kraju nadijamy zeleniuszczyś!

O storono daleka de mij kwit zrostaje,

Deto mene z dorohy ridnia wyhladaje,
De w myśli hroby spomynka wëde,

De w serce mowa rodynnia ide,
Deżto ty o zemle, de!...

Ja idu sumnyj i tychyj a tuha w ślidy,

W pered każe zawśidy nu pered idy,
A tajnyj w duszi hołos do mene szepnuw,
„Mandriwcze, znajdesz dołu tam, deś szcze në buw!"

Wędrowiec.

Ja z gór schodzę, dolinę tuman okrywa,
Morze dźwignęło się i szumią wody;
Ja idę tęskny, a często mnie coś pyta:
Dokądto, dokąd?

Ani tu słońce tak świeci,
Nie tak tu kwiat rozkwita,
Nudny tu dla mnie owoc z drzew tych:
Mowa tu w duszę moję nie wlatuje,
Tu ja obcy dla wszystkich.

O! gdzież ty kraju istniejący się,
Tak długo pożądany,
Nigdy nie doczekany,
O kraju nadziejami zieleniejący się!

O! strono daleka, kędy mój kwiat wzrasta,
Kędy mnie z podróży rodzina wygląda,
Gdzie w ukochane groby wspomnienie prowadzi,
Gdzie w serce idzie mowa rodzinna:
Gdzie jesteś o ziemio? gdzie?

Ja idę tęskny i milczący, a tęsknota w ślady.

Naprzód, woła: naprzód zawsze idź!
A głos tajemny w duszy do mnie szepnął:
„Wędrowcze! znajdziesz szczęście tam, gdzie jeszcze nie byłeś."

(1) Przekład polski podajemy taki, jaki nam go przesłał sam autor. *Przyp. Red.*

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Maison Rustique, przez panią Millet-Robinet. — Mémoires sur Béranger, przez pana Savinien Lapointe, i inne dzieła o pieśniarzu Francyi.—Lornetka literacka, przez Karola Monselet. — Pamflet, komedya pana Legouvé. — Teatr włoski. — Pomnik Geoffroy Saint-Hilaire. — Wiadomości literackie.

Pani Millet-Robinet, zaszczytnie znana w Paryżu autorka, wydała bardzo zdrową i pożyteczną książkę dla kobiét pod tytułem: *Maison Rustique.* Dziełko to proste i nieuczone więcéj może wpłynąć na umoralnienie niewiasty, niż najwymowniejsze morały: podaje bowiem jedyne, nieomylne lekarstwo przeciw podszeptom złego ducha, uczy pracować, wskazuje jak uniknąć nudy, która jest podobno najniebezpieczniejszym wrogiem domowego ogniska.

Każdy kto badał przyczyny swych występków lub upadków moralnych, w tym naszym wieku bez namiętności, musiał dojść do téj prawdy, że na sto grzechów powszednich, dziewięćdziesiąt dziewięć popełnił z nudów. W naszych czasach nuda jest niezawodnie najniebezpieczniejszą chorobą ludzkości. Tak mężczyzni jak kobiety są jéj podlegli, ale piękna połowa społeczeństwa mocniéj niż my czuje nacisk téj plagi. Skutkiem temperamentu, skutkiem swéj natury, nadto częstokroć skutkiem wadliwego wychowania, kobiety są ofiarami przeznaczonemi na pastwę nudów. Bóg tylko jeden wié i mąż czasami jak okropne spustoszenia w całéj

ich istocie sprawia ta fatalna choroba! Mianowicie też po wsiach zawsze chciwe wrażeń kobiety, pozbawione obowiązków towarzyskich, na których schodzi czas paniom zamieszkałym w mieście, oddane zatrudnieniom powszednim, których we własnych oczach nie umieją podnieść ani upoetyzować, wpadają najczęściéj w jakowyś letarg moralny, pełen snów niebezpiecznych i zgubnych pokus.

Ta gorączka bezczynnego umysłu rodzi zazwyczaj ową fatalną ciekawość, która od Ewy począwszy, gubiła wszystkie niewiasty nadto oddane rozkoszom błogiego *far niente*! W tychto bowiem godzinach marzeń próżniaczych, w tychto chwilach zmysłowego lenistwa obok żyjącego obrazu zaniedbanego i zabłoconego małżonka, ukazują się ustrojone wedle ostatniego żurnala i wyperfumowane widma kochanków, jawi się interesujące wspomnienie jakiegoś ideału, co kiedyś ścisnął rękę na balu, lub gdzieś u spadku Schaffhuzy, albo na Alp szczycie zrozumiał „niepojętą duszę;" wtedyto nie kiedyindziéj stają w oczach niewieścich te i tym podobne wizye, zgubniejsze niż głowa Meduzy: bo zmieniające kobietę nie w kamień, ale w złą żonę, a co gorsza, w złą matkę.

Na usunięcie takich usposobień, na otrzeźwienie ducha i ciała ze zgubnego omdlenia jest tylko jedno lekarstwo: praca, środek radykalny na wszystkie choroby umysłowe, począwszy od obłąkania, a skończywszy na téj niemocy bez nazwy, która dziś większą część kobiét ciemięży; praca, nic innego, i tę autorka *Domu wiejskiego* płci pięknéj poleca.

Przewidujemy, że niejedna z czytelniczek obruszy się na taką receptę, uważając ją za środek bezskuteczny, daremnie przez siebie ku odpędzeniu nudów używany; nie ma bowiem na świecie kobiety, któréjby się nie zdawało, że pracuje. Pracą nazywają one haftowanie i wyszywanie niepotrzebnych rupieci, pracą czytanie romansów, pracą mazanie papieru farbą, piórem, lub ołówkiem, pracą brząkanie po fortepianie, pracą całodzienne kręcenie się około szczegółów gospodarskich, które przy porządnéj organizacyi w godzinę załatwić

można. I jestto w istocie także praca, ale są dwa rodzaje pracy: niepożyteczna i pożyteczna. Piérwsza jest tylko zabawką palców, środkiem zabicia czasu lub potrzebą gderania; druga matką wszystkiego co dobre i piękne, zasługą, zdrowiem i zbawieniem człowieka.

Autorka *Domu wiejskiego* twierdzi, że kobiety mające byt zapewniony, wyłącznie poświęcają się piérwszéj, a nie zajmują się wcale drugą, może dlatego, że nie umieją pracować; przychodzi więc w pomoc niewiastom dobréj woli i wskazuje im rozmaite gałęzie pracy pożytecznéj.

Jeżeli Francuzka może zarzucać swoim rodaczkom, najpraktyczniejszym kobietom na świecie, że nie umieją pracować; my możemy śmiało zarzucić naszym paniom, że nie mają wyobrażenia o pracy. Pomijając bezczynne diletantki i marzycielki, których u nas najwięcéj, nawet te tak zwane czynne i zabiegliwe gospodynie nie znają ani wartości czasu, ani go użyć umieją. Dla jednych pracować jestto nieustannie się ruszać i hałasować. Te są wiecznie na nogach; pod pozorem interesów, jeżeli nie biegają, to jeżdżą od rana do nocy, a pod pozorem porządku przewracają dom cały do góry nogami. Dla drugich praca jestto znów ciągłe ślęczenie nad igłą i naprawianie jakichś starych gałganów, które, zasadziwszy przez ten czas jeden zagon kapusty, możnaby zastąpić nową bielizną.

Obadwa te tak sprzeczne typy gospodyń, mają z sobą to wspólnego, że jak jedna tak druga uważa się za ofiarę związku małżeńskiego, męczennicę, na któréj strudzonych barkach spoczywa całe brzemię domowych kłopotów. Każda z nich uważa się za istotę stworzoną do wyższych celów i gardzi powszednią pracą, do któréj ją zawistne losy zaprzęgły. Niepodobna byłoby wyperswadować większéj liczbie pań wiejskich, że żadna inna nauka nie jest ważniejsza ani wyższa od umiejętności dobrego wychowywania dzieci, skrzętnego zajmowania się domem, ziemią i ludźmi, których być winna naturalną opiekunką.

Przed parą tysiącami lat żyła w Chinach pewna bardzo uczona autorka; skoro umarła, synowa kazała

wyryć następujący napis na nagrobku, którym cesarz uczcił pamięć literatki:

„Ta, któréj zwłoki tu spoczywają, mimo swéj nauki, dobrowolnie zniżyła się do poziomu niewiast powszednich, prostotą i skrzętnością dawała im przykład jak trzeba gospodarować, a zniżyła się do nich dlatego, ażeby je nauczyć, że na jakiémbądź stanowisku znajduje się kobieta, przedewszystkiém winna zajmować się pracą właściwą płci swojej i uważać jéj pełnienie za piérwszy swój obowiązek".

Pani Pan-Hoei-Pan stworzyła szkołę w Chinach. Pożądaną byłoby rzeczą, ażeby jéj zasady choć nie nowe, przyjęły się w Europie; żeby kobiety powzięły zdrowsze pojęcie swéj ważności społecznéj, żeby zrozumiały, że im mniéj poza swój obręb wybiegną, tém wyżéj stanąć będą mogły; że ich rozum, dowcip i talenta tém wyżéj będą cenione, im je wyłączniéj skierują ku pożytkowi i szczęściu tych, pośród których żyją.

Te to zasady propaguje pani Millet-Robinet w swojéj pełnéj rozsądku książeczce, którą czytelniczkom naszym polecamy.

Życie Berangera przez niego samego pisane, niedługo wyjdzie z druku. Publiczność tutejsza niecierpliwie oczekuje tego dzieła, ale wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie odpowié ono jéj oczekiwaniu. Wnosząc z teraźniejszego sposobu pisania pamiętników, ten i ów mniema, że Beranger historyą swego życia wziął tylko jako pretext mówienia o innych; że pamiętnik jego będzie rodzajem czarnoksięskiéj latarni, w któréj czytelnik obaczy defilujących bez draperyi wszystkich sławnych ludzi spółczesnych.

Czy autobiografia piosnkarza Francyi będzie w istocie galeryą portretów, dowiemy się niezadługo; z góry jednak powątpiewać o tém godzi się. Beranger widział zapewne wiele rozmaitych wypadków i znał wielu ludzi, ale tak piérwszym jak drugim przypatrywał się tylko z uboczy. Życie jego było zawsze ustronne, a cała czynność skupiona na cichém polu chrześciańskiego miłosierdzia. Nie mając najmniejszéj ochoty wtrącania

się do rządów państwa, na wypadki patrzył jako spektator, nie jako człowiek, który w nich udział wziąć zamierza, a podobno tylko taki widzi wszystko i wié rzeczywiście co się święci.

Oczekiwana publikacya nie doda także blasku sławie literackiéj poety, ani wartości jego talentowi. Pod tym względem Beranger jest już osądzony i oceniony: po siedmdziesięciu siedmiu latach zawodu literackiego, pisarz nie może już publiczności sprawić żadnéj niespodzianki, któraby ustaloną o nim opinią zmieniła.

Ani więc polityka, ani literatura nic nie zyska na ogłoszeniu pamiętników Berangera; ale serca prawe znajdą w nich niechybnie zdrowe i budujące nauki, jeżeli autor odsłoni ciche cnoty, wielkie cierpienia i poświęcenia istot, których szukał i wspierał na tym szerokim świecie, a których doli nikt nie zna, bo jak kwiaty dla Boga kwitną i usychają w ukryciu: tam będzie rzeczywista wartość pośmiertnéj księgi Berangera. Jeżeli kto zamiast historyi tych dusz cierpiących spodziewa się w niéj znaléźć zakulisowe dzieje królów i ministrów, piękne frazy i pocieszne karykatury, prawdopodobnie nie znajdzie czego szukał.

Zanim dowiemy się z księgi Berangera czy domysły nasze były prawdziwe, winniśmy zdać sprawę czytelnikom z dzieła, które pod napisem: *Mémoires sur Béranger* wydał przyjaciel jego Savinien Lapointe.

Nie jestto ani biografia, ani studyum literackie, ale poprostu zbiór anegdot, w których Beranger gra główną rolę, jego listów, poufnych zwierzeń, sądów i opinij, które w czasie kilkunastoletniéj zażyłości przyjaciel z ust jego usłyszał. Naiwny pamiętnik Lapointa jest zwierciadełkiem odbijającém duszę Berangera: liczył się on bowiem do tych ludzi, przy których poeta nie obawiał się myśléć głośno. Lapointe przez szesnaście lat widywał codziennie Berangera, był świadkiem każdego ważniejszego wypadku jego życia, w długiéj chorobie na krok go nie odstępował, a po śmierci zamknął mu powieki. Ton książki jego nie dozwala wątpić o prawdzie zawartych w niéj szczegółów: znać w niéj nietylko uwielbienie dla poety, ale najczulszą przyjaźń dla człowieka.

Zdania Berangera o rozmaitych literatach francuzkich rozpoczynają dzieło; daléj następuje długa rubryka jego dobrych uczynków: nakoniec opis chwil ostatnich. Sądy literackie Berangera zalecają się rozsądkiem: podajemy z nich kilka. O Balzaku tak mówił:

„Balzak piérwszy z powieściopisarzy francuzkich zajął się malowaniem obyczai mieszczańskich; udawało mu się czasami, ale nuda długich i czczych opisów, zbytnia drobiazgowość, niespodzianki i przesada w zakończeniach, sprawiają, iż nie jest doskonałym romansistą. Wielkie uczucia wymagają języka prostego; Balzak zaś, pomiędzy trafne i genialne spostrzeżenia pakuje mnóstwo niepotrzebnych, niewartych wzmianki, niegodnych wielkiego pisarza szczegółów, które jak chwast zasłaniają drogocenne w dziełach jego kwiaty."

Dumasa znów tak ocenia:

„Mój syn Dumas, (nazywam go synem, ponieważ on mnie ojcem zowie; chociaż nigdy nie mogłem dojść zkąd to pokrewieństwo), mój syn Dumas, który jest jednym z najpłodniejszych i najzabawniejszych gawędziarzy naszych czasów, byłby niezawodnie zaszedł bardzo wysoko, gdyby nie był zmarnował swych rzadkich zalet. Nikt w tych czasach lepiéj od niego nie pojął teatru: ma on ogień i pewną wspaniałomyślność uczuć, która podoba się publiczności; umié także zachować miarę, jak chce. Ale mój syn Dumas wyszafował swój talent jak pewne panie swą piękność... Szkoda!

„Co do mego wnuka Dumasa, który teraz tyle robi hałasu, nie wart on ojcu zawiązać rzemyka. Nie widzę w tym młodzieńcu ani zalet, ani wad właściwych wielkim dramaturgom. W *Demi-Mondzie* rażą mnie zbytnie oględności, zbytnie schlebianie opinii publicznéj; zdaje mi się, że trzyma stronę konwenansu. Co do mnie lubię nieco szaleństwa, nieco zapału w młodych ludziach: tyle jest moralnych pozytywek broniących cnoty" (dodawał z uśmiechem, którym zwykle myśl swoję dokończał).

Beranger wysoko cenił talent Alfreda de Musset, ale mawiał:

„Musset dał nam już wszystko co mógł dać: z samą fantazyą daléj się nie idzie. Fantazya ma złote skrzydła,

ani słowa; ma tęczowe kolory, i to prawda: ale polot jéj nie szeroki. Tchnienie ludzkości nie podnosi go, ani podpiera."

Ze wszystkich komedyj Emila Augier, Beranger najwyżéj cenił „Awanturnicę." „Zresztą, mówił, wszystko to ciepła woda, dowcipki, koncepta, a treści za grosz!" O Ponsardzie znów tak się wyrażał: „Bardzo uczciwy człowiek, ale talent mierny. *Lukrecya* to jeszcze najlepsze jego dzieło; *Honor i pieniądze*, nędzota, komedya bez komedyi, rzecz powszednia w gruncie i w formie; nigdym nie mógł sobie wytłumaczyć powodzenia téj sztuki. *Bursa* jest nieznośna! A jednak to jeszcze jedna z lepszych sztuk romansowych jakie teraz mamy."

Lamartina uwielbiał Beranger; zawsze wspominał o nim ze czcią i zapałem. „Lamartinowi demokracya winna wiele, mawiał, jest on pierwszym historykiem, który w naszym wieku pisał dzieje rewolucyjne czém inném niż krwią lub błotem. Piękna to dusza, która niestety dozna jeszcze niemało zawodów."

Wyśmiewając powagę, a raczéj przedwczesną oziębłość i osowienie teraźniejszéj młodzieży, Beranger mówił: „Wyglądają jakby się wczoraj pozabijali." Mimo to lubił młodych, dopomagał chętnie prawym, niewdzięczników zaś karał dowcipem. Pewnego dnia Włoch jakiś przyszedł do niego setny raz dopominając się wsparcia. Beranger mając wtedy sam zaledwie kilka franków, odmówił pomocy synowi Italii. Włoch rozgniewany zagroził mu, że jeżeli nic nie da, napisze do *l'Universa* artykuł przeciw jego piosneczkom. „Patrz! to nie zła myśl, zawołał Beranger, tylko, ponieważ nie piszesz dobrze po francuzku, przynieś mi do poprawy brulion."

W 1837 roku książę orleański, wtedy następca tronu, odwiedzał Berangera w Tours. Treść ich rozmowy przytoczona przez pana Lapointe, stanowi jeden z ciekawych ustępów Pamiętnika: jest ona niejako politycznem wyznaniem wiary Berangera. Młody książę ceniąc wysoko rozsądek i przenikliwość starca, którego uważał za uosobienie narodu, zapytywał go, co myśli o ówczesnym stanie Francyi; wtedy Beranger powstał mocno przeciw algebrycznemu pozytyzmowi nowoczesnych reformato-

rów, wykarmionych w szkole suchą rachubą i abstrakcyą, zawsze skorą „*à enrégimenter et à encaserner l'humanité.*" Daléj utyskiwał, że rząd francuzki zamiast stanąć na czele narodowéj idei, jest przezeń ciągniony, skutkiem czego dobrowolnie przyczynia się do tryumfu opozycyi; że naród ma dość wolności: że gdyby jéj miał więcéj, pewnieby jéj nadużył.

Z tego się pokazuje, że Beranger nietylko był zupełnie wolny od ambicyi, ale i od stronniczości; nigdy z zaślepieniem nie bronił sprawy ludu: tryumfu prawdy i sprawiedliwości któréj służył, gwałtem dobijać się nie chciał. „Wiadomo ci, pisze do jednego z przyjaciół, że trzymam zawsze stronę biédnych, ale nie chcę, żeby te wydziedziczone dzieci społeczeństwa uczono przeklinać bogatych, którym ich tak zwanego szczęścia nigdy nie zazdrościłem."

Rozdział pod napisem: „Dobre uczynki" jest najdłuższy; ale, ponieważ nie możemy go przytoczyć w całości, wolimy go pominąć nie wiedząc co wybrać z tylu charakterystycznych rysów, w których miłosierdzie ucieka się do najrozmaitszych wybiegów, byle oszczędzić biédnemu upokorzenia, byle uniknąć podziękowań, byle nie obarczyć cierpiącego zawsze ciężkiém brzemieniem wdzięczności.

Ostatnie chwile Berangera tak opisuje nieodstępny jego towarzysz: „Pod koniec choroby Beranger nie mogąc doleżéć w łóżku, siedział ciągle na fotelu; nogi miał bardzo spuchłe i cierpiał niezmiernie: mimo to uśmiechał się i rozmawiał z otaczającemi. Czternastego i piętnastego lipca stan zdrowia jego widocznie się pogorszył. W wigilią śmierci od świtu tłum ludzi zalegał ulicę i podwórze; dopytywano się, szeptano, płakano, lud wołał: „O! nasz kochany! nasz obrońca! tracimy ojca i t. p." Beranger na chwilę nie tracił przytomności, tylko coraz trudniéj mu było mówić.

„Ostatniego wieczora przyszedł go odwiedzić przyjaciel jego proboszcz parafii świętéj Elżbiety, ksiądz Jousselin. „Kochany proboszczu, rzekł doń Beranger, szczęśliwy jestem, że cię widzę: odwiedzaj mnie często, proszę. Spotkaliśmy się na drodze miłosierdzia, na

téj drodze zawsze mnie znajdziesz". Tu mu tchu zabrakło i zamilkł.

— Dozwól, ażebym cię pobłogosławił—rzekł ksiądz.

— O! najchętniéj—odparł konający.

Wtedy kapłan wyciągnął obie ręce nad sędziwą głową poety i długo mu błogosławił w milczeniu. Skoro skończył, Beranger rzekł:

— Ja także cię błogosławię, módl się za mnie, ja będę się modlił za ciebie... należę do Boga i biédnych. Różnemi drogami idziemy do jednego celu, oto cała różnica... O, wierzajcie mi, wielkie to szczęście módz zrobić trochę dobrego w kąciku.

„Nazajutrz 16 lipca o pół do piątéj wieczór, skonał lekko i spokojnie, w objęciu kilku przyjaciół. Godzinę piérwéj rzekł jeszcze do nas: „Dzieci moje, cierpię bardzo... ale są tacy, co cierpią więcéj odemnie".

„Ostatnia myśl jego była o nieszczęśliwych".

Prócz „Pamiętników", o których mówiliśmy, wyszła druga książka o Berangerze. Pani Colet wydała: „*Szczegóły o życiu Berangera*", do których dołączyła jego 45 listów. Prócz tych dwóch dzieł, zadrukowano w ostatnich czasach libry papieru wspomnieniami ludowego poety, nikt jednak tak wymownie nie uczcił jego pamięci jak Lamartin w dwóch ostatnich poszytach *Kursu literatury*, pod napisem: „*Oeuvres et caractère de Béranger*". Mianowicie opis pogrzebu, który znajdujemy na wstępie jest tak patryotyczny i tak pięknie napisany, że chociaż wiele traci w polskim przekładzie, podajemy go jako brylant wykopany na piaskach literatury francuzkiéj.

„Szesnasty lipca 1857 roku będzie pamiętną datą dla Francyi. Dnia tego pogrzebem równie wielkim a jednolitszym od pogrzebu Mirabeauta, uczciła ona swego ulubionego poetę Berangera, a sama wskrzeszona miłością, odkryła przed światem w całéj potędze swe narodowe czucie i publicznego ducha, jak gdyby chciała odpowiedzieć tym, którzy o jéj przebudzeniu zwątpili: patrzcie! ja żyję jeszcze! Jeszcze jestem wielkodusznym narodem, ekscytarzem świata, ziemią wielkich porywów ludzkości! W saméj stolicy mojéj piećkroć sto tysięcy

dusz zadrżało na piérwszy odgłos dzwonu, który ludowi zwiastował skon człowieka sprawiedliwego.

„Zaprawdę, od czasu jak żyję, mało rzeczy tak mnie pocieszyło, takim mnie przejęło szacunkiem dla mego kraju i mego ludu, jak to wzruszenie Paryża na pogrzebie Berangera.

„Człowiek żyjący w ukryciu, przez skromność swoję usunięty z widowni politycznéj, a przez starość wymazany prawie z listy żyjących; człowiek, który nie afiszował jak Dyogenes albo Rousseau pysznego ubóstwa swych łachmanów, ażeby sobie z nich trofea nędzy zgotować; człowiek, którego skromne mienie nie obudzało ani zazdrości ubogiego, ani litości bogacza; człowiek, który nie piastował nigdy żadnego potężnego urzędu zostawiającego po sobie długi szereg obowiązanych i kółko wielbicieli: taki człowiek umiera gdzieś w ciasnym pokoiku, i oto wnet wiadomość o jego śmierci podawana z ust do ust, rozbiega się po całém mieście, od pałacu aż do mansardy, i wnet życie publiczne i prywatne zawieszone, milknie we francuzkiéj stolicy—ustaje gwar i praca. Wyrobnik stojąc na progu domu zaczepia przechodnia i pyta ze łzami w oczach, czy prawda, że Beranger nie żyje? Grupy nieznajomych tworzą się i opowiadają sobie szczegóły tego smutnego wypadku. Powszechne ściśnienie serca obarcza te tłumy, chociaż żadna osobista nie spadła na nie klęska; każdy wyrobnik oddałby przecież kawałek chleba swéj rodziny, żeby ten człowiek, że tak powiem zbiorowy, mógł jeden dzień dłużéj oddychać powietrzem Francyi: bo Francya go kochała! a miłość jest także potęgą.

„Lud dowiaduje się że pogrzeb będzie nazajutrz rano, i przyrzeka sobie że wylegnie cały, choćby go ulice pomieścić nie mogły, i pójdzie z odkrytą głową za trumną, nie dlatego żeby familia zmarłego starca widziała milion nieznanych twarzy w żałobnym orszaku; ale żeby słońce widziało jak Francuzi oddają hołd czci i patryotyzmu téj trumnie, która zdaje się zamykać coś umarłego w wizerunku ojczyzny...

„Dzień jest roboczy: brak jednodziennéj płacy mocno czuć się daje na stole wyrobnika, ale mniejsza o to!

Każdy gotów chętnie pościć dla uczczenia trumny nieznajomego i nosić po nim żałobę, jakby po członku własnéj rodziny. Każdy wyjmuje z kufra czarne odzienie i kawałek krepy z ostatniego pogrzebu kogoś ze swoich, obiecując sobie przywdziać strój smutku o wschodzie słońca. I całe miasto zmienia kolor przez tę jednę noc żalu, i cały naród występuje w żałobie.

„Ze swéj strony rząd obawiając się, żeby te ludowe honory nie przewyższyły honorów, których inicyatywę zazdrośnie sobie zachował, przygotowuje chorągwie, świątynie i katafalk. Cała armia wyciąga się sznurem od drzwi zmarłego aż do bramy cmentarnéj. Wóz żałobny toczy się wolno pomiędzy szpalerem wojska i murem ludu; nie ma kamienia któryby nie dźwigał rozrzewnionego człowieka, nie ma okna, któreby nie płakało patrząc na karawan, nie ma dachu, któryby nie wydał okrzyku pożegnania lub miłości, nie ma kawałka nieba z któregoby nie spadł na trumnę deszcz nieśmiertelników, owych kwiatów pogrzebnych, których jedyną rosą łzy, a zapachem wspomnienie!

„O! co za naród! Można go przeklinać za jego niestałości, ale go trzeba wielbić za wierności jego i powroty. Niech mówią co chcą; dusza téj ziemi jest ruchoma, ale to najpiękniejsza dusza ze wszystkich starożytnych i nowożytnych dusz ludowych. Można czasem narzekać że się tu żyje, ale trzeba sobie winszować, że się tu umrze!"

Karol Monselet ceniony w Paryżu autor wielu dowcipnych powieści, komedyek i feiletonów, pisarz dotąd bardzo przyzwoity, delikatny i wstrzemięźliwy, wydał obecnie pod tytułem: *Lornetka literacka* książkę, która jak bomba wpadła i pękła pośród literatów paryzkich, żadnego z nich nie zostawiając bez guza.

Książka ta napisana zbyt porywczo, żeby kogobądź poprawić mogła, jest rodzajem appelu; autor ustawiwszy szeregiem swych kolegów, wywołuje każdego po imieniu i nazwisku, a wywoławszy, rzuca mu w oczy sąd ostry, często niezasłużony i zelżywy.

Polakowi, co jeszcze tak boi się krytyki jak dziecko rózgi, którego każda, słuszna czy nie słuszna, mądra czy głupia recenzya, o chorobę, a nawet i o śmierć przyprawić może; Polakowi, mówię, pojąć trudno jak po wydaniu takiéj książki, autor może chodzić po ulicy nie obawiając się kija ani pięści. Francuz, a mianowicie Paryżanin całkiem innego jest w tym względzie usposobienia: ostrzelany z kanonadą słów, przywykły do językowéj szermierki, ani myśli się za nią gniewać; mając zawsze monetę gotową w zapasie oddaje z procentem piękne za nadobne, i nietylko krwi sobie nie psuje, ale sam piérwszy szczerze się uśmieje ze swojéj karykatury, jeżeli dowcipna.

Jako próbkę donośności tutejszéj krytyki przytaczamy niektóre ustępy z książki Monseleta, powtarzając, iż tenże wcale do literackich rozbójników ani żandarmów nie należy. Może przykład francuzkich autorów, którzy takie ciosy wytrzymują obojętnie, wpłynie zbawiennie na drażliwość naszych literatów.

„*Edmund About*. Ma dowcip i szczęście. Dzięki krytykom którzy go nad zasługę prześladowali, romans jego *Tolla*, stał się sławny. W „*Les Mariages de Paris*," napotkać można niejedno trafne spostrzeżenie, ale daleko więcéj płaskich i niepotrzebnych. Co do „*Podróży na wystawę sztuk pięknych*," to prawdziwie wiewiórcza recenzya; pan About skokami swemi znuży tam uwagę najcierpliwszego czytelnika".

„*Emil Augier*. Oto szczęśliwy śmiertelnik! Młody, zdrów, sławny, choć nic wielkiego nie zrobił, i siedzi w fotelu Boileau. W dwóch jego ostatnich sztukach znać postęp: *le Gendre de M. Poirier* i *Mariage d'Olympe* wyzwolone z maniery mieszczańskiéj, nie trącą już wcale ową szkołą rozsądku, która cechuje wszystkie jego pierwotne utwory. Niezadługo już Augier nie będzie mógł czytać swojéj *Gabryeli* bez śmiechu. Życzę mu tylko więcéj twórczości; nieustannie pożycza od Juliusza Sandeau: w końcu się ludzie spostrzegą".

„*Hippolit Castille*. (Autor Portretów politycznych). Piérwsze jego romanse zapowiadały talent; szkoda że daléj nie szedł tą drogą. Pamflecista z niego nie tęgi, hi-

storyk jeszcze słabszy; porusza takie kwestye i używa takiéj formy, że go na seryo brać niepodobna. Jego doktorskie uznanie nie imponuje nikomu, a złość nikogo nie przestrasza. Zawsze i wszędzie brak mu powagi. Jestto Mirabeau bez głosu i bez więzienia".

„*Commerson*, redaktor dziennika *Tintamarre*. Figura okropna; intelligencya przerażającéj ciemnoty; artykuły wstępne jego pióra są hańbą dziennikarstwa naszego. Gazetka jego, powinnaby z czytelnikami swemi rozmawiać w ten sposób: „Podajemy do wiadomości idyotów i wszystkich podobnąż umartwionych chorobą, którzy nas upokarzają do tego stopnia że się abonują regularnie na nasz opłakany dziennik, iż skutkiem niegrzeczności właściciela domu w którym mieszkamy, biura nasze przenoszą się tam a tam".

„*Granier de Cassagnac*. Przyjaciel władzy".

„*Eugeniusz Scribe*. Smiałek nie lada! Człowiek, który sobie najwięcéj pozwolił we Francyi, i z najzimniejszą krwią rzucił najwięcéj paradoxów na głowę publiczności. Przy jego figurach nikną potwory, lokaje, i kurtyzanki Wiktora Hugo; Scribe potworniejsze od nich rzeczy stworzył. Napisał *Genowefę*, czyli *Zazdrość rodzicielską*, sztukę którą można widzieć w Paryżu, ale jéj opowiedzieć niepodobna. *Heloizę i Abeilarda*, dramat mogący zarumienić grenadyera staréj gwardyi. Autor *Kamraderyi* połączył w swoich utworach wszystkie głupstwa, wszystkie bezwstydy i niedorzeczności przepełniające teraźniejsze waudeville nasze. Przy nim nasi dramatyczni błazny wydają się bardzo poważni. Dlatego zapewne paryzcy Ateńczycy okrzyknęli Scribego królem teatru i ukoronowali go szaloném winogradem".

„*Villemessant*. Redaktor naczelny *Figara*, dziennika, który jest postrachem bulwarowych Ateńczyków. Gazetka ta zajmuje się wyłącznie literatami, bursyerami i aktorkami. Artykuły o bursistach piszą literaci, artykuły o literatach aktorki. Nad tym wrzątkiem wyuzdanych namiętności, plotek, potwarzy, głupstw, nienawiści i płochości, sterczy głowa pana Villemessant, wesoła, jak twarz pijanéj Meduzy. Aby wydawać taki dziennik, potrzeba mnóstwo i coraz nowych spół-praco-

wników. Pan Villemessant rekrutuje ich też gdzie może: najwyuzdańsi, najwyszczekańsi, najnieprzyzwoitsi, są dlań najpożądańszemi. Zwerbowawszy jakiego nowego pismaka, Villemessant ściska go, sadza za stołem i mówi: „widzę z twych oczu, że muszą ci się roić po głowie niestworzone rzeczy! Tego nam właśnie potrzeba. Oto masz pióro—pisz co zechcesz—nie żenuj się—ja ani patrzę, ani słucham: im postrzeleńsze, tém lepsze.

Ostatnie to ocenienie, ocenienie *Figara*, co do słowa podzielamy z Monseletem; zapewniamy oraz tych z czytelników naszych, którzy nie mieli w ręku tego niedorzecznego i bezwstydnego dziennika, zatém jego wartości sami ocenić nie mogli, że w powyższéj charakterystyce nie ma najmniejszéj przesady.

Pan Legouvé chcąc poskromić zuchwałość paryzkich pamflecistów, a zarazem jeszcze mocniéj wpoić w publiczność mądre zdanie Tacyta, który radzi gardzić potwarzą, bo „*spreta exolescunt; si irascare, adgnita videntur*,” napisał dla teatru francuzkiego dwu-aktową komedyą pod tytułem: „*Pamflet*”. Miałto być pręgierz dla potwarców; ale natchnienie nie odpowiedziało tą razą dobrym chęciom autora: nieszczęśliwy wybór głównéj figury, odbił cios wymierzony przeciw potwarzy, i zamiast pokazać podłość oszczerców, nadał im wagę, któréj nie posiadają.

Jako uosobienie potwarzy, pan Legouvé stawia Hiszpana Clavijs, najniewinniejszego z pamflecistów, który jeżeli miał jakie winy, już je po dwakroć odpokutował, smagany najprzód morderczém piórem Beaumarchaigo za niedotrzymanie obietnicy poślubienia siostry jego, następnie przez Goethego, który wziąwszy rzecz na seryo, owo draśnięcie miłości własnéj zafarbował czerwonemi kolorami zbrodni, i w czarnym dramacie niewinną ofiarę i jéj podłego uwodziciela uwiecznił.

Po takiéj kaźni, jeżeli komu, to temu męczennikowi dowcipu i geniuszu, należał się wieczny odpoczynek. Mimoto, szanowny akademik wyciągnął go znowu z to-

ni zapomnienia, i postawił na scenie jako reprezentanta kalumnii. Zaprawdę, żaden kozioł ofiarny więcéj nie wycierpiał jak ten nieszczęśliwy Clavijo. Beaumarchais go zadusił, Goethe odarł ze skóry, a teraz Legouvé wypchał nieboraka.

Clavijo w komedyi Legouvégo jest rzeczywiście wypchanym bohaterem. Dając pamfleciście sto lat wieku, a *Pamfletowi* datę staréj gazety hiszpańskiéj, autor odebrał sztuce wszelki interes. Bohater we fraku wzięty z szeregów Mirecoura, byłby pewnie sprawił wrażenie, ale jakiś upudrowany, wystrojony à la Don Quichot prześladowca generała hiszpańskiego, kogoż mógł dzisiaj zająć? A propos znikło, alluzye zwietrzały, a dwuznaczniki same siebie już dziś nie rozumieją.

Treść *Pamfletu* taka. Clavijo, którego za czasów Beaumarche'go porzuciliśmy niewiernym kochankiem, ukazuje się nam tutaj jako rozbójnik literacki. Madryt drży przed jego piórem, jak przed sztyletem Matalobosa: nieubłagany, okrutny biograf okrada sławy, morduje talenta, ludzi szanowanych od czci i wiary odsądza, czyj żywot napisze, ten trupem pada. I tak naprzykład, wypędzony z biura przez hiszpańskiego generała Tordovę, który właśnie w Mexyku cudów waleczności dokazywał i był bożyszczem narodu, Clavijo pisze o nim książeczkę, gdzie starego wojownika oskarża o sprzedanie nieprzyjaciołom fortecy, któréj bronił.

Bezimienna książeczka biega z rąk do rąk, czyni ogromne wrażenie: sława wodza się chwieje. Clavio wycelował tak dobrze, że jednym grotem chwałę ojca i szczęście córki niweczy. Izabella Tordova młoda osoba, któréj całym posagiem dobre imię ojca, miała poślubić granda hiszpańskiego, ale rodzice pana młodego uderzeni oskarżeniem Clavija, które zabiło Tordovę w opinii narodu, nie chcą zezwolić, ażeby ich syn wziął za żonę córkę zdrajcy ojczyzny i zrywają umowę.

Cóżto za rażąca przesada. Czyż ustaloną sławę zasłużonego wodza może dosięgnąć i skazić jakiś paszkwil bezimienny? Atrament krwi nie plami, a gwizdka szynkowego publicysty huku dział nie zagłuszy. Gdyby pamflet miał znaczenie tak wielkie, jakie mu pan Legouvé

przyznaje, gdyby cnota, uczciwość, rodzina zmuszone były drżéć przed nim; niepodobna byłoby mieszkać w kraju, gdzie druk istnieje; wtedy ludzie jak Negry w Congo musieliby się więcéj obawiać „gadającego papieru", niż najjadowitszéj gadziny. Dzięki Bogu, tak źle jeszcze nie jest. Wrodzony zdrowy instynkt nie dozwala opinii publicznéj połykać trucizny, wypluwa ona wnet zatruty napój, choć na chwilę zdrętwiałe jéj podniebienie połechtał. Człowiek zabity przez pamflecistę, zazwyczaj ma się zupełnie dobrze, a jego sława zawsze lepsza od sławy tego, co go szkalował. Ze wszystkich istot, których społeczność z łona swego wyrzuca, najsamotniejszym na świecie jest oszczerca. Wprawdzie ludzie nieraz otoczą jego trybunę, ale to raczéj kordon zdrowia broniący doń przystępu, nie zaś sympatyczne koło słuchaczy.

Pan Legouvé zamiast poniżyć, wywyższył więc pamflecistę, podnosząc go do wielmożności, któréj nigdy nie posiadał. Clavijo i jemu podobni, nie sąto ani potężne indywidualności, ani oryginalne typy, ale przeciwnie, bardzo pospolici złodzieje, trudniący się moralném okradaniem bliźniego.

Ale wróćmy do treści. Panna Izabella wraz z narzeczonym usilnie pracują nad związaniem swych rozerwanych ślubów; lecz ani prośby oblubienicy, ani groźby kochanka, nie mogą skłonić Clavija do odwołania paszkwilu. Kiedy więc już wszystko stracone, nawet honor i komedya w tragedyą się przemienia, niespodzianie jawi się zbawca, *deus ex machina*, i wyciąga niewinnych z przepaści. Młody hidalgo, don Guilhen chcąc ostatecznie uniknąć przed wierzycielami, postanowił życie sobie odebrać; ale zanim umrze, pragnie przysłużyć się powszechności jakim dobrym uczynkiem. Po głębokim namyśle nie znajduje lepszego jak Clavija przed sobą na tamten świat wyprawić: wraz z gadziną i jad jéj przepada. Tak rozumując, przykłada pamfleciście pistolet do piersi i nakazuje odwołanie potwarzy. Przerażony Clavijo przyznaje się do kłamstwa i oddaje list, w którym Tordova ze wzgardą proponowane sobie przekupstwo odrzuca.

Nauczka chociaż silna, nie poprawia bynajmniéj Clavija; skoro niebezpieczeństwo minęło, szanowny autor paszkwilu przyrzeka sobie, że odtąd mieć będzie zawsze nabity pistolet na stole.

Rozwiązanie to tyleż ma w sobie moralności, co dachówka spadająca na głowę przechodzącego zbrodniarza. Owego męża, co śmié występować z mieczem sprawiedliwości, nikt nie zna; publiczność ogląda go piérwszy raz w chwili, kiedy wyszedłszy z szynku idzie stawić na kartę ostatniego dukata. Jakież więc ma prawo ów lampart napastować sobie podobnych? Takiego żandarma można tak dobrze spytać o papiery, jak złoczyńcę którego chce aresztować.

Pominąwszy dwie rażące niedorzeczności, któreśmy wytknęli, a które nawet najlepiéj napisanéj sztuce odjęłyby wszelkie moralne znaczenie, komedya pana Legouvé nie zaleca się ani stylem, ani dowcipem. Smutna jest od deski do deski jak czterdzieści dni deszczu; nic w niéj nie przypomina owéj Hiszpanii Beaumarchai'go, tryskającéj życiem i ogniem, a jak płomień wesołéj; nigdzie iskierki, nigdzie promyczka! Nawet zakochana para miłuje się na zimno, panna Izabella nie do Hiszpanki, ale raczéj do zamarynowanéj w rozsądku Genewki podobna; rzecz zdaje się dziać nie w słonecznéj ojczyznie Kalderona, ale w jakimś klasztornym parloarze. W takiéj Hiszpanii Almaviva potrzaskałby pewnie gitarę, Rozyna zamiast płatać figle, czytałaby staremu Bartolowi biblią, a Figaro w napadzie splenu niezawodnieby sobie gardło poderznął.

Wspomnienie Rozyny przerzuca nas do Włochów. W teatrze włoskim Alboni w roli Kopciuszka i Rozyny znowu zachwyca słuchaczy. Cóż powiedzieć o tym cudownym głosie, czegoby już milion razy nie powtórzono? Repertoar pochwał wyczerpany do dna, wszystkie perły wschodnich porównań stoczyły się pod nogi piérwszéj dziś świata śpiewaczki. Nie powtarzając więc na nowo starych pochwał, powiemy tylko, że najwyżéj w talencie Alboni cenimy owę pogodę, która nadaje jéj głosowi obojętne rozradowanie porannego ptaszka, śpiewającego w błękitach. Nie żądaj od tego wesołego instru-

mentu ani głębokich uczuć, ani patetycznego wyrazu: skarga nawet nie zakłóci jego czystości. Głos Alboni jest tak obcy namiętności ludzkiej jak złoto, z którego harfa ulana; Alboni spiewa dla śpiewu, rozpływa się w swém pieniu i o nic więcéj nie dba. To téż muzyka Rossiniego jest rajem dla jéj głosu; tam tylko fruwa i świergoce dowolnie; wyjątkowa ta organizacya tylko w wieczystéj wiośnie oper Rossiniego swobodnie oddychać może.

W Rigolecie miejsce Frezzolini zajęła teraz zupełnie nieznana śpiewaczka panna Saint-Urbain. Nie poprzedzona ani sławą, ani reklamą, młoda ta Włoszka przybyła prosto z Neapolu i bez żadnych układów z dyrektorem teatru, wystąpiwszy w Rigolecie, odrazu pozyskała uznanie trudnéj do zadowolenia publiki *Sale Ventadour*, złożonéj ze znawców, kompozytorów i najpiérwszych mistrzów na świecie, których surowego sądu ani piękna twarzyczka, ani wdzięk artystki nie złagodzi.

Tak nagły podbój posępnego areopagu harmonii, któremu zaledwie świergotanie Alboni czasami brew rozmarszcza, zapowiadałby wschód nowéj gwiazdy na muzycznym horyzoncie, gdyby znana duma, upór i duch sprzeciwieństwa wielkich kompozytorów, mianowicie włoskich, nie podawał w podejrzenie ich admiracyi. Saint-Urbain przybyła do Paryża bez sławy: kto wié czyto w ich oczach nie główna jéj zaleta? Mieszkający w Paryżu królowie muzyki jak Rossini, Meyerbeer, Verdi lub Helevy, lubią wysyłać sławnych artystów za granicę, ale nie lubią ich przyjmować. Spiewak nie może być sławny dopóki ich uznania nie dostanie. Zdarzyło się już nieraz, że kiedy Londyn lub Medyolan przysłał im uznane przez świat cały i ukoronowane bożyszcze, w Paryżu nie znalazł się dla niego piedestał; sąd najwyższy maestrów wysłuchawszy z zamrużonemi oczyma co umié przybysz, w milczeniu odsyłał go do adorowania dawnym wielbicielom. Jeżeli zaś przeciwnie, artysta jaki zgłębi konserwatoryum, wyjdzie nie dotknięty żadną świata pochwałą i przed nimi uklęklszy, harmonijnym głosem poprosi o laury: wtedy może być pewien, że je uzyska.

Czyniąc powyższą uwagę, nie chcieliśmy bynajmniéj ubliżyć talentowi młodéj włoskiéj śpiewaczki: jestto spostrzeżenie ogólne, które nam się a propos jéj nastręczyło. Co do panny Saint-Urbain podzielamy całkowicie zdanie, jakie tu o niéj wyrzekł muzyczny sąd przysięgłych. Niewinny wdzięk i surowa skromność jéj postawy, oraz poważna miłość sztuki przebijająca w każdym tonie jéj głosu, przypomniały nam uczennicę Porpory, przeczystą kapłankę melodyi, *Consuelo*, w któréj pani Sand tak genialnie ideał kobiety z ideałem artystki połączyła. Jest w niéj wiele podobieństwa do tamtéj. Twarz panny Saint-Urbain jak twarz Consueli na piérwszy rzut oka nie uderza wcale: dopiéro kiedy śpiewać zacznie, spostrzegasz, że ona piękna, że oczy jéj czarne, błyszczące świętym ogniem natchnienia, nie mają od siebie piękniejszych na świecie. Głos jéj mezzo-soprano bardzo rozciągły, w wysokich tonach ma dźwięk srebrny, w nizkich owę słodką pełność, która nigdy dna głosu nie odkryje, w piersiowych okrągłość i pewność, którą Włosi co tak misternie pomieszali język malarstwa z językiem muzyki, zowią: „*bella pasta di voce*". Śpiewa bez żadnego wysilenia, bez żadnych kontorsyj, któremi pospolite śpiewaczki zwykły głos swój sztukować. Wrażenie jakie czyni jest wywołane tylko przez muzyczne czucie. Ale, żeby go doznać, trzeba rzeczywiście i głęboko czuć harmonią, nie być popsutym na szarlatańskich łatwych efektach, kochać muzykę prawdziwą, prostą i poważną, któréj tradycye już dziś tylko Włosi przechowują.

Słychać, że wkrótce założone będzie w Paryżu włoskie *gimnazyum*, rodzaj konserwatoryum, w którém elewy uczyć mają muzyki i deklamacyi; projektowany instytut dostarczałby scenie śpiewaków i tragików. Najznakomitsi artyści półwyspu zostali zawezwani na honorowych dyrektorów tego gimnazyum. Wielu artystów już przyjęło zaproszenie wraz z obowiązkiem dawania reprezentacyi na korzyść nowego zakładu. W ich liczbie jest już Ristori, Salvini, Grazziani i Steffenone. Założenie takiéj szkoły byłoby podobno najlepszym środkiem przywrócenia dawnego blasku operze włoskiéj.

O operach francuzkich mniéj pomyślne wieści mamy do doniesienia. Opera wielka skarłowaciała do niepoznania. Już tam teraz nie śpiewają ani grają, ale brząkają i skaczą. Owo konserwatoryum muzyczne, w którém niedawno jeszcze rozlegał się głos Dupresa, Rogera, Cruvelli i Tedesco, dziś jest salą dla skoczków, gdzie muzyki słychać tylko tyle, ile jéj potrzebują nogi do utrzymania taktu. Repertoar codzienny składa się z *Trouvera* czyli włoskiego *Trovatora*, przyprawionego z niesmacznym sosem francuzkim, i *Bronzowego konia*, nie smaczniejszéj jeszcze farsy muzycznéj, która z przeproszeniem wielkiego kompozytora *Niemėj*, nie jest wcale operą, ale poprostu pretextem do skakania, brząkaniną, przy odgłosie któréj, jak niedźwiedzi przy dźwięku cygańskiéj drumli, pokazują chińskie błazeństwa.

Dla człowieka muzykalnego w którego duszy każdy ton piękny znajdzie echo, dla takiego co czuje i rozumie każdą nutę, prawdziwą jest męczarnią znajdować się teraz na przedstawieniach wielkiéj opery. Nieobecność boga harmonii w jego świątyni, widok baletnic skaczących po jego oltarzach, niesłychana massa świecideł, któremi dyrekcya usiłuje pokryć zupełny brak, nie już wielkich talentów muzycznych, ale choćby najmierniejszéj zdolności, wszystko to czyni wrażenie niemiłe i drażniące nad wszelki wyraz.

Opera komiczna w swoim rodzaju lepszą jest daleko, dlatego zapewne, że ją łatwiéj obsadzić. Tam, kto gustuje w muzyce potocznéj, zabawić się może, chociaż i tam z żadnym nowym utworem, ani znakomitym śpiewakiem się nie spotka.

Tyle co do muzyki francuzkiéj: daj Boże żebyśmy na przyszłość więcéj dobrego o niéj powiedzieć mogli.

Co do innych teatrów, te jeszcze ważniejszych swych przedstawień nie rozpoczęły. Zapowiadają wiele sztuk nowych: między innemi pięcio-aktową komedyą Legouvego pod tytułem: „*Les doigts des Fées*," i Girardina także komedyą: „*La Fille du Millionnaire*," o któréj mówią że ma być znakomita.

Odbyła się w przeszłym miesiącu inauguracya posągu Geoffroy Saint-Hilaire w Etampes, rodzinném mieście sławnego naturalisty. Posąg ten wzniesiony ze składek narodowych, liczy się do piękniejszych utworów tegoczesnych. Jest on dłuta ucznia Davida, Eliasza Roberta, twórcy frontonu paryzkiego pałacu wystawy. Rzeźbiarz przedstawił naturalistę w paradnym professorskim ubiorze, obliczu jego nadał wyraz głębokiego zamyślenia, a w ręce włożył dzieła przypominające czém się zasłużył nauce.

Uroczystość odbyła się z wielkim przepychem. Ażeby uczcić godnie pamięć sławnego męża, miasto Etampes zaprosiło w swe mury cały Instytut francuzki, muzeum historyi naturalnéj, fakultet naukowy i akademia medyczna były reprezentowane przy odkryciu pomnika przez najznakomitszych swoich członków.

Skoro spadła zasłona, i statua uczonego męża ukazała się oczom licznie zgromadzonego tłumu, kilku z jego następców chcąc wykazać zasługi, jakie położył w naukach, zabierało głos kolejno; sędziwy Duméril przemawiał w imieniu instytutu; pan Serres w imieniu muzeum historyi naturalnéj; pan Milne Edwards w imieniu fakultetu naukowego; Michał Levy w imieniu akademii medycznéj któréj jest prezydentem. Po nich, pan Jomard dziewięćdziesiąt-letni członek byłego instytutu kairskiego, wyliczał prace których Geoffroy dokonał towarzysząc Napoleonowi w wyprawie egipskiéj.

Ze wszystkich tych przemów z których każda miała swoję wartość, mowa pana Serres obejmująca zarazem krótką biografią naturalisty była najwięcéj zajmującą. Podajemy tu z niéj kilka szczegółów, które zarówno Francyą i cały świat uczony obchodzą.

W roku 1793, w czasie największéj zawieruchy rewolucyjnéj, Geoffroy Saint-Hilaire mając lat 21 został mianowany professorem zoologii w Jardin-des-Plantes. W wieku w którym inni jeszcze na ławach szkolnych siedzą, on nietylko stał samoistnie, ale miał sobie poruczone zadanie stworzenia nowéj nauki. Fakt ten cechuje ducha czasu: rewolucya tworzyła uczonych tak jak wojowników i publicystów.

Ludzie, którzy odgadli wielkie zdolności młodzieńca, nie pomylili się w sądzie. We dwadzieścia lat potém, Europa za największą zdobycz naukową policzyła Francyi wysokie rozwinięcie zoologii.

Szóstego maja 1794 roku Geoffroy otworzył piérwszy kurs zoologii. Dzięki jego niezmordowanéj czynności, zbiory muzeum bogaciły się codziennie w rozmaite typy potrzebne do wykładu téj nauki. Francya jemu zawdzięcza założenie menażeryi w ogrodzie botanicznym.

Do niepoślednich zasług tego naturalisty policzyć także należy zajęcie się młodzieńcem bez opieki i sposobu kształcenia, wyprowadzenie z nicestwa i przysposobienie nauce tego, który miał zasłynąć na świecie pod nazwiskiem Cuvier'a.

Cuvier przybywszy z Normandyi do Paryża bardzo młody, bez sposobu do życia, ani rekomendacyi, wiedziony swą szczęśliwą gwiazdą, udał się wprost do professora Geoffroy i doręczył mu swoje studya. Ten przeczytawszy je, uderzony genialnością młodzieńca, zajął się nim jak bratem, pomieścił we własném mieszkaniu, i otworzył mu wszelkie źródła nauki. Przez kilka lat Geoffroy i Cuvier żyli i pracowali razem, wydali wspólnie kilka dzieł bardzo ważnych w swoim fachu, i jak powiada Cuvier „nie zasiedli do śniadania nie zrobiwszy pierwéj jakiego odkrycia".

Wyprawa egipska, do któréj przyłączył się Geoffroy, rozdzieliła dwóch przyjaciół. Postawiony przez Bonapartego na czele kommissyi scyentyficznéj, Saint-Hilaire jako historyk i naturalista zwiedził Egipt począwszy od Nilowéj Delty, aż do spadków téj rzeki i brzegów morza Czerwonego. Z spostrzeżeń, uwag i odkryć jakie poczynił w téj niewyczerpanéj dla zoologa i archeologa kopalni studyów, Geoffroy ułożył swe pomnikowe dzieło: *Description scientifique de l'Egypte.* W kilka lat późniéj, cesarz Napoleon wysłał go do Portugalii także w naukowéj missyi, z któréj niemniéj genialnie się wywiązał.

Po téj wycieczce powróciwszy do Francyi, Geoffroy Saint-Hilaire nie wydalił się już nigdzie z Paryża. Całkiem zatopiony w swych pracach, wiódł spokojny żywot

uczonego, aż do chwili w której postradawszy zupełnie wzrok, musiał przed śmiercią zakończyć swoje na téj ziemi posłannictwo. Dotknięty tak strasznym ciosem, długo bez celu żyć nie mógł; wkrótce po utracie wzroku, dnia 19 czerwca 1844 roku umarł, licząc lat 70 wieku, a 50 czynnéj służby w naukowych szeregach.

Duch ogólny prac Geoffroy Saint-Hilaira łatwo da się określić. Nauki których przedmiotem życie, dzieliły się i dzielą na dwie różne szkoły: szkołę analityczną i syntetyczną, czyli filozofią faktów oderwanych i filozofią idei powszechnych. Szkoła analityczna zajmuje się przedewszystkiém, prawie wyłącznie, studyowaniem drobiazgowém i zgłębianiem faktów; szkoła syntetyczna przeciwnie, założyła sobie przez objęcie całości związać pojęcia ogólne, wynikające z grupy obserwowanych faktów. Geoffroy był w naukach przyrodzonych twórcą, czyli raczéj naczelnikiem szkoły syntetycznéj, która obecnie tak w Niemczech jak w Anglii i Francyi przeważa.

Professor Serres kończąc swoję przemowę u stóp jego posągu, temi słowy ocenia prace Saint-Hilaira:

„Współzawodnik Buffona, Geoffroy śledził przedewszystkiém przyczyn i zasad. Przez doświadczenie doszedł do téj prawdy, że jeźli w myśli swojéj człowiek rozłącza nieustannie dzieła natury, ta przeciwnie wszystko łączy w swojém dziele.

„Ztąd w pracach Saint-Hilaira, obok bacznego studyowania faktów, owo ciągłe poszukiwanie związków je łączących, ztąd owa jedność kompozycyi i jedność pierwotna typów, które są podstawą anatomii powszechnéj. Przejrzyjcie ogromne prace, które wydał o *Oznaczeniu gatunków*, o *Rodzajach i rodzinach zwierząt ssących i ptaków*, przejrzyjcie studya które skreślił w ojczyznie Faraonów, o *Zwierzętach elektrycznych*, o *rybach i płazach*, przypomnijcie sobie mianowicie jego lekcye, tak żywe, oryginalne i zajmujące: wszędzie znajdziecie tenże sam duch, i powziemiecie przekonanie, że tak zrozumiana natura jest najwyższą filozofią".

Rzecz godna uwagi, iż najzaciętszym przeciwnikiem systemu Saint-Hilaira był właśnie przyjaciel jego i wychowaniec, wielki Cuvier. Gorliwy stronnik, a późniéj

naczelnik nowéj szkoły analitycznéj, Cuvier zbijał uparcie zasady professora Geoffroy. Jednocześnie kiedy tenże pod napisem: „*Principes philosophiques de l'unité de composition*" ogłosił drukiem wynik swoich pojęć, Cuvier zapowiedział że wyda wynik swoich, pod tytułem: „*De la variété de composition dans les animaux*". Rozprawy dwóch sławnych naturalistów toczone na szczytach filozofii naturalnéj, w swoim czasie rozlegały się po całym świecie. Surowi i ściśli myśliciele stanęli po stronie Cuviera, entuzyaści, ludzie przyszłości, popierali idee Saint-Hilaira. Goethe był najgorliwszym jego propagatorem w Niemczech. Opowiadają, że w lipcu 1830 roku, spotkawszy jednego ze swych przyjacioł, autor Fausta spytał go:

„Czytałeś ostatnie nowiny z Francyi; cóż sądzisz o tym wielkim wypadku? Wulkan wybuchnął.. strumienie gorącéj lawy płyną"...

Goethe mówił figurycznie o świeżo ogłoszonéj przez Saint-Hilaira wielkiéj pracy syntetycznéj, która właśnie zatrzęsła uczonym światem. Ale zapytany sądząc; że poeta czyni alluzyą do francuzkiéj rewolucyi lipcowéj— odrzekł:

— Zapewne, straszna to katastrofa! Wedle tego jak rzeczy stoją, zdaje się, że rodzina królewska zostanie odsadzoną od tronu.

— Co mi tam do tronu!—zawołał Goethe—co mi do dynastyi: mówię ci o posiedzeniu paryzkiéj akademii nauk, na którém Geoffroy czytał swój memoryał. To jest fakt ważny, tam prawdziwa rewolucya, rewolucya umysłu ludzkiego!"

Pan Charles Edmund wydał w bardzo ozdobnéj edycyi z mappami i obrazkami *Podróż po morzach północnych*, któréj część polityczną i malowniczą miał sobie przez księcia Napoleona poruczoną. Kilku ludzi specyalnych towarzyszących także księciu w téj naukowéj wycieczce, dopełniło swemi notami zajmującą pracę pana Edmunda. Sprawozdanie żeglarskie zredagował biegły w tym fachu Dubuisson; część fizyologiczną i medy-

czną pp. Bellebon i Guirault; obszernych not o kopalniach Newcastlu, geologii islandzkiéj i grenlandzkiéj, dostarczyli pp. Chancourtois i Ferri-Pisani. Noty te, i część polityczna, stanowią najpożywniejszą część książki; mianowicie też ta ostatnia pełna jest bystrych spostrzeżeń i daje wiele do myślenia. Opisy obyczajów, ubiorów, zwyczajów i osobliwości miejscowych, zalecają się tymże samym dowcipem, humorem i malowniczością, które cechują wszystkie utwory autora *Alkhadara*.

— Ferdynand de Lesseps, niezmordowany promotor sprawy suezkiego przekopu, wydał nowe dokumenta zbijające faktami i cyframi zarzuty, jakie przeciwnicy tego wielkiego przedsięwzięcia dla zamaskowania prawdziwéj niechęci, wynaleźli. Dokumenta te „Etude de la baie de Pelusse, i „Refutation de M. Stephenson et de lord Palmerston," z dołączeniem zdania sprawy z dwudziestu meetingów angielskich, na których część narodu oświadczyła się za przekopem, uważając go za rzecz potrzebną dla dobra ludzkości, stanowią tom jeden, który autor dedykował dwom izbom parlamentu. Świeża praca pana Lesseps jest dopełnieniem trzech tomów w których poprzednio zamknął swój praktycznie obrobiony plan olbrzymiego dzieła, którego mu dotąd egoizm Anglii wykonać nie dozwolił.

Б: Н: N:

ЇѠANOВѢ ЅИМЕОНОВИЧОВѢ СОПѢГА.
НАПЕРЕДѢ ПИСАРЕВИ, ПОТОМѢ КАНЦЛЕРОВИ, КТѢМѢЅ ГЕТМАНОВИ ЄИЛЪ ВЕЛИКАГО КНѦЗСТВА ЛИТОВСКАГО, И ВИТЬПСКОМѢЅ, ВѢ КОНЕЦЬ ПОДЛАСКОМѢЅ ВОЄВѠДѢ И МАРШАЛКОВИ, А КТОМѢЅ НАИВЫШОМѢЅ ВЕЛИКАГО КНѦЗСТВА ЛИТОВСКОГО СЕКРЕТАРОВИ, БРАСЛАВСКѢмѢЅ СТАРОСТѢ ДѢДИЧОВИ НА КѠДНЮ.
З ВЕЛИКИХѢ ЛИТѠВСКИХѢ ГОСПОДАРѢ ВРѠЖОНОМѢЅ ПОТѠМКѢЅ.
З ЅѠНѢЙАЙЛА ЄИРѢѢ: ПѢНѢГАЙЛОВИЧА СОПѢГА, КАШТЕЛѦНА ТРѢЦКОГО, ЅИМЕОНА ИМЕНѢ[ѣмъ] НА КРѢЩЕНІИ ВѦТОМѢ, ЗА ІЄГЕЛЫ ВРѢЖЇЕМѢ ЛѢСѢ ЛѠ ЛѢДОВСКИХѢ СТѠЛПѠКѢ И КРИНОКѢ ГЕРБОВѢ К СОЕДИНЕНІЮ ЛИТВЫ ЄѢ ВОКЅПЛЕНЫМѢ ѠКРАШЕНАТО ѠЦА: З ПѢНѢЙАЙЛА НАРИМѢНЛОВИЧА ѠЛѢЕРДОКОГО РАВНОЖИТЕЛА ТѠЖДЕ ТРѢЦКАГО КАШТЕЛѦНА СОПѢГА З ГРЕККАГО Ѡ ПРЕМѢДРОСТИ РЄТЕННАГО ѠКѢДѢ СКОГЄ ВСѦ ПЯМѦ ИМѦ ПРИЗВАЄ. НАРИМѢНТОВИТОВѢ ЄИРѢѢ БЕЛЖЕНСКОГО И ПОДОЛЄКОГО КНѦЗЮВѢ БРѦТА, ДѢДѦ. З НАРИМѢНДА ГЄДИМИНОВИТА ПИНСКАГО ЕПАРХА ПРАДЕДА, З ГС: ДИМІНА ВѢТЕНЄВА ПРАПРАДЕДА З ВѢТЕНА ПРАПРАДЕДА ЄГО ѠЦА ЛІТѠВСКИХѢ КНѦЗЮВѢ.
ПАВЕЛѢ ЮАНОВНЪ СОПѢГА П[ѣтъ] ЛѢТЪ ЖИТІА СОВЕРШЕННАГО ѠЦЪ СІЄ НАЧЕРТАНІЄ ПОЛОЖИ ЛЕТА ЗЯ, ѳ, К ~ ТО, ТѢМ СИА ЧЗОЛОВИКЪ ПЕЧЗАТѢЙЄ

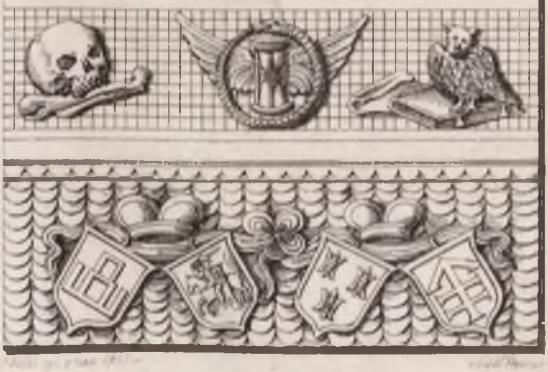

Augustek Jana Sopiehy Wojewody Podlaskiego ziatecznego Podima, z marlego 1520 r. w skarbcu zytney Cerkwi Pawkowey w Podimu

rysował J. Łoski 1857r.

CERKIEW ZAMKOWA W KODNIU.

w Lit. A. Pecq & Cº Warsz. 482.

CERKIEW ZAMKOWA W KODNIU,

ORAZ ZNAJDUJĄCY SIĘ W NIEJ NAGROBEK

JANA SAPIEHY WOJEWODY PODLASKIEGO.

PRZEZ

J. Łoskiego.

(Z dwiema rycinami).

Parę lat temu badałem starożytności Kodnia, tojest zbierałem rysunki i notatki do opisu pięknego tamecznego kościoła, pałacu Sapiehów z ogrodem zwanego Placenoją, dawnego zamku i cerkwi przy nim będącéj, w zamiarze opisania tych zabytków świetniejszéj epoki upadłego dzisiaj miasteczka. Wyjątek z rzeczonych notatek o genealogii portretowéj Sapiehów, wraz z jéj rysunkiem umieściłem w r. z. w Bibliotece Warszawskiéj. Następnie inne zajęcia oderwały mnie od pracy nad monografią Kodnia: dzisiaj dopiéro przypomniawszy ją sobie, drugi z niéj wyjątek ogłosić w tém piśmie zamierzam; będzie to opis cerkwi zamkowéj i znajdującego się w niéj nagrobka Jana Sapiehy założyciela Kodnia. Ponieważ pomnik ten nigdzie nie jest opisanym, najprzód więc nim zajmować się będę: opis zaś cerkwi, która więcéj jest znaną, zamieszczę na końcu.

Uważam za właściwe powiedzieć tu kilka słów do tych, którzy może zauważają, że powtórnie piszę o pomnikach i sławie historycznéj téjże saméj rodziny, a nie znając mnie upatrzeć w tém mogą jakiś cel uboczny. Protestuję więc przeciw

temu najmocniéj. Jedynym tego powodem jest, że mieszkając niedaleko miasteczka, które było gniazdem jednéj linii Sapiehów, miałem prawie pod ręką pomniki téj rodziny, zasługujące jako utwory sztuki krajowéj a razem zabytki starożytności, aby upowszechnione były rysunkiem i dokładnym opisem; że zaś z pomnikami temi łączyły się imiona mężów mających sławę historyczną, w artykułach moich wspomniałem niekiedy ich zasługi, ale ze stanowiska dziejowego, nie patrząc na czasy dzisiejsze.

Powiedziawszy to na własne usprawiedliwienie przed czytelnikami mojemi, przechodzę do opisu nagrobka Jana Sapiehy. Jest to o ile mi wiadomo jedyny w kraju naszym pomnik grobowy znakomitego w dziejach męża z napisem słowiańskim, sięgający piérwszéj połowy XVI wieku: z tych więc powodów nie tylko jako pomnik historyczny z tak odległéj epoki, lecz również jako zabytek mowy i pisowni starożytnego pobratymczego nam narzecza, zasługuje na uwagę archeologów.

Pod względem sztuki nie ma tak wielkiéj wartości, gdyż nie jest to grobowiec przedstawiający naprzykład w płaskorzeźbie zmarłego męża, jak to na tylu innych dawnych pomnikach w kościołach naszych widzimy, ale poprostu kamienna tablica na któréj wyryty jest napis, u dołu zaś pospolite i dotąd używane pośmiertne symbola, oraz herby zmarłego. Artysta więc nie miał tu pola do rozwinięcia swych myśli: przyznać jednak trzeba, że co do technicznego wykonania, rzeźba ta biegłéj ręki jest dziełem. Trudne słowiańskie litery bardzo zręcznie są wyryte, a mocno wypukłe godła i herby, dobrze są narysowane i delikatnie wyrzeźbione. Pomnik ten mimo że trzysta lat z górą pamięta, w tak dobrym jest stanie, jakby dziś wyszedł z pod ręki rzeźbiarza: uniknął on wszelkiego uszkodzenia przez to, że umieszczonym jest w ścianie wysoko na chórze nad wejściem do cerkwi. Wysokość całéj tablicy wynosi łokci dwa cali dziewięć, szerokość dwadzieścia dwa cale; wyrobioną jest ona z piaskowca, a na załączonéj rycinie przedstawioną jest z wszelką w najmniejszych szczegółach dokładnością. Napis na niéj jest następny:

B. N. N,

Joanowi Symeonowiczowi Sopiecha napiered Pisarowi, potom Kanclerowi ktomu Hetmanowi sit Wielikaho Kniazstwa

B. N. N.

Janowi Symeonowiczowi Sapieha najprzód pisarzowi, potem kanclerzowi i hetmanowi Wielkiego Księztwa Litewskie-

Litowskaho, i Witepskomu, w koniec podliaskomu Wojewodie i Marszałkowi, a ktomu najwyszomu welikaho Kniazstwa Litowskeho Sekretarowi, Brasławskomu Staroste Diediczowi na Kodniu z wilikich Litowskich Hospodare urożonemu potomku z Sunigajla siriecz Punigajłowicza Sophia Kasztelana Trockoho, Simeona imieniem na kreszczeniu wziatom za Jegiły Orużiem Lis do Diedowskich stołpów i Krinów herbów k soedneniu Litwy s wokuplennym ukraszenaho otca z Punigaiła Narymundowicza Olgerdowoho Rawnożitela tożde Trockaho Kasztelana Sophia z Grekkaho ot premudrosti reczennaho, otkuda swohe wsia pamiat Imia prizbiaaet Narimundowiczow siriecz Bełżenskoho i Podolskoho Kniaziuw brata, dieda z Narymunda Gediminowicza Pinskaho, Eparha pradeda z Gedimina Wetuniecza prapradieda z Witena prapradieda cho otca Litowskich Kniaziuw, Paweł Joanowicz Sopieha 89 liet żitia sowerszennaho otcu sie neczertanie położi lieta 1520.

Tim sia czołowiek peczatuje.

go i witebskiemu, na końcu podlaskiemu wojewodzie, marszałkowi, przytém Najwyższemu Sekretarzowi Wielkiego Księztwa Litewskiego, bracławskiemu staroście, dziedzicowi na Kodniu, potomkowi pochodzącemu z Wielkich Książąt Litewskich, tojest z ojca Sunigaiła Punigajłowicza Sophia kasztelana trockiego, który wziął na chrzcie świętym imie Symeona, od Jagiełły herbem Lis do dziadowskich Kolumn i Lilij podczas unii litewskiéj przyłączonym ozdobionego, z dziada Punigajły Narymundowicza współczesnego Olgerdowi także kasztelana trockiego, z greckiego Sophia od mądrości nazwanego, zkąd cała potomność swą nazwę wyprowadza Narymundowiczów, jakoto bełzkiego i podolskiego książąt brata rodzonego: z pradziada Narymunda Gedyminowicza książęcia pińskiego, z prapradziada Gedymina Witenowicza, z ojca prapradziada Witenesa Wielkich Książąt Litewskich, Paweł Iwanowicz Sapieha po przepędzonych 89 leciech zmarłemu ojcu ten napis położył r. 1520.

Na tém człowiek kończy.

Wyobrażone pod powyższym napisem symbola dają się łatwo wytłumaczyć; w samym środku wąż połykający ogon, a w nim zawarta skrzydlata klepsydra, wyobrażają wieczność ogarniającą czas, który tak szybko ubiega; z boku trupia głowa jest godłem śmierci; wreszcie ptak Minerwy sowa, spoczywająca na księdze i zwojach papieru, przedstawia prawdziwą mądrość, która zapatruje się na śmierć i wieczność jako na nieochybny kres wszelkich rzeczy ludzkich i umié wyciągnąć ztąd zbawienną naukę. Pod temi pełnemi powagi symbolami są cztery herby, tojest: Kolumny i Pogoń Jagiełłów, oraz Lilie i Lis Sapiehów, dwie mitry książęce wznoszą się nad niemi, tarcze zaś

herbowne nanizane są na dwie wstęgi połączone w środku węzłem. Ten węzeł wiążący herby dwóch książęcych rodzin jest symboliczném wyobrażeniem spokrewnienia Sapiehów z Jagiełłami, jak to widzieliśmy na genealogicznym rodowodzie wyrytym na nagrobku Jana Sapiehy. Nie będę się rozwodził nad heraldyczném pochodzeniem herbów Jagiellońskich i Sapieżyńskich, gdyż przedmiot ten tak ważny dla naszych praojców, dzisiaj nie byłby wcale zajmującym; odsyłając więc małą liczbę ciekawych do nieoszacowanego dla badaczy dzieła Niesieckiego, sam przypomnę tu zasługi męża uczczonego opisanym powyżéj nagrobkiem. Tę krótką wiadomość biograficzną, nie zmieniając wcale stylu dawnego, wypisałem z dzieła ks. Walickiego, najdokładniejszego, a mało znanego dzisiaj monografa Kodnia (1).

Jan Sapieha wojewoda podlaski urodzony w r. 1431 z Symeona Sunigajła kasztelana trockiego, piérwszego w rodzie Sapiehów chrześcianina, i księżnéj Hlińskiéj, był to pan wielkiéj powagi i dzielności. W młodych leciech zostawał w opiece u Kazimierza Jagiełłowicza króla polskiego i od niego w wielu przywilejach plemiennikiem, tojest pokrewnym zwany; w Rzymie poselstwo odprawując, jak świadczy Okolski, wiary świętéj jedność przyjął. Janowi Albrechtowi wielce był miły, u Heleny królowéj był kanclerzem, a u Alexandra króla pisarzem Wielkiego Księztwa litewskiego, a potém także kanclerzem. Zygmunt I król polski jak go szanował, dowodzi tego najlepiéj przywiléj Confirmationis herbu Lis przez ojca jego na cały dom wziętego w Horodle na sejmie Unionis r. 1413 (2). Ten tedy Iwan z bratem Bohdanem wojewodą smoleńskim, od którego druga linia Sapiehów (Siewierska) idzie, nietylko przez pokrewny afekt, ale i dla zasług miał nadane od Zygmunta I wiele włości, jakoto: Ikaźń, kodeńskich wsi nie mało, Boćki, Wiśnice, Pohost, Huchstat, tudzież na sto wsi w wojewódz-

(1) Radziłem się co do biograficznych wiadomości o Sapiehach tego autora, gdyż jest dokładniejszym od Jana Łukasza Sapiehy, z którego czerpali pp. Baliński i Kraszewski opisując Kodeń. Niesiecki w Koronie polskiéj wszelkie szczegóły o Sapiehach przepisał z księdza Walickiego, wiele jednak rzeczy pominął.

(2) Ten przywilej Zygmunta I z r. 1513, potwierdzający nadanie herbu Sapiehom przez Władysława Jagiełłę, znajduje się w dziele księdza Walickiego pod tytułem: „Historya przeczacnego obrazu Kodeńskiego". Str. 40.

twie smoleńskiém, o czém świadczą przywileje. Z łaski tegoż monarchy był kanclerzem, hetmanem litewskim, witebskim, a na koniec podlaskim wojewodą, marszałkiem i sekretarzem wielkiego Księztwa Litewskiego; prowincyj różnych świeżo zawojowanych gubernatorem czyli vice-regem, brzeskim, brańskim, drohickim, bracławskim, kamienieckim, kobryńskim starostą. Zygmunta I króla z całym dworem z wielką wspaniałością przez kilka dni w domu swoim podejmował, od któregoto czasu konserwował się długo w Rożanie ów sławny puhar, od imienia ochoczego gospodarza Iwanem nazwany. Odprawował pięć poselstw do Moskwy i siedm zwycięztw w różnych wojnach otrzymał. Tenże Iwan Sapieha kupiwszy od braci Ruszczyców młyn i wiele gruntów nad Bugiem, oraz otrzymawszy w tejże okolicy, jak się wyżéj rzekło, od króla wsi niemało i widząc miejsce sposobne do obrony i osady miasta, otrzymał na to konsens od Zygmunta I na sejmie brzeskim r. 1511, a sam we dwa lata późniéj r. 1513 uczynił formalną miasta Kodnia erekcyą, z wyrażeniem przywilejów służących mieszczanom. Po założeniu miasta, nadawszy mu herb anioła z mieczem stojącego, wystawił zameczek murowany, otoczywszy go murem naokoło, który oblewa z jednéj strony Bug, a z drugiéj jezioro przez które rzeczka przechodzi, i połączył go z miastem przez most zwodzony (1). Nakoniec mąż ten w wieku bardzo sędziwym, bo

(1) Zameczek ten dotąd istnieje: jestto budowa czworoboczna dwupiętrowa z dwiema po bokach odpowiedniemi węższemi przystawkami; długość jéj wynosi około 80 łokci, ściany są zupełnie gładkie, tak, że na zewnątrz nie ma żadnych cech dawnego budownictwa. Zapewne w połowie zeszłego wieku przestał on być rezydencyą Sapiehów, a sławna w swym czasie księżna Elżbieta z Branickich Sapieżyna wojewodzina Mścisławska, mieszkała w niedawno wzniesionym pałacu na przedmieściu zwaném Placencyą, któreto miejsce piérwszy założył i przyozdobił Paweł Sapieha biskup żmudzki około r. 1715. Już za księżnéj wojewodziny, zamek, o którym tu mowa, znacznie był zaniedbany, dopiéro ta pani wyrestaurować go kazała dla syna swego bardzo młodego wówczas księcia Kazimierza Sapiehy, który w tym czasie powracać miał z zagranicy. Podczas téj restauracyi zapewne wszelkie ślady starożytności gmachu zatarte zostały, bylato bowiem epoka, w któréj nie umiano szanować pamiątek przeszłości. Powiadają jednak, że książę Kazimierz nie chciał mieszkać w zamku, znajdując go zbyt smutnym i odludnym. Dzisiaj wnętrze jego nie ma nawet śladów, że przez półtrzecia wieku byłato rezydencya możnéj książęcéj rodziny. Podziemia (sutereny), oraz sale piérwszego piętra mają sklepienia i dotąd w części są zamieszkałe.

prawie dziewięćdziesięcioletni zakończył życie w Boćkach i tam był pochowany. Ten Iwan Sapieha sławny był z wielkiéj fortuny i czynów, jakoto z uspokojenia rebelij Glińskiego: dlatego téż w historyi litewskiéj Kojałowicza i Stryjkowskiego *Joannes Magnus* jest nazywany. Uważanym on jest za głowę linii kodeńskiéj Sapiehów, wchodził trzy razy w związki małżeńskie; zostawił liczne potomstwo, jakoto: z Doroty księżnéj Mondwidownéj Hlebowiczowéj miał syna Piotra, z Anny Chodkiewiczównéj starościanki grodzieńskiéj Pawła, Michała i Fryderyka Jana, i córek dwie, tojest: Bonę, która była za hrabią Tenczyńskim wojewodą sandomierskim, i Dorotę za księciem Massalskim; nakoniec z Elżbiety Korczewskiéj kasztelanki podlaskiéj, Katarzynę, która wstąpiła do zakonu św. Bazylego.

Z pomiędzy czterech braci, Paweł syn Iwana wojewoda nowogrodzki objął dziedzictwo Kodnia; uczciwszy pamięć ojca w Boćkach nagrobkiem, który tu podajemy, gorliwy o chwałę Bożą, dwie cerkwie obrządku grecko-unickiego w Kodniu wystawił, tojest św. Michała drewnianą, a drugą w samym zamku dość wspaniale wymurował.

Nie tu jest miejsce mówić o jego zasługach: umarł on w Dubnie i także w Boćkach pochowany został. Dopiéro syn jego Mikołaj wojewoda witebski, trzeci dziedzic Kodnia, przeniósł ciała ojca swego Pawła i dziada Iwana wraz z jego nagrobkiem do cerkwi zamkowéj kodeńskiéj, ale i tu niedługo zostawały, gdyż syn jego i następca na dziedzictwo Kodnia, Miko-

Za zamkiem rozciąga się dość duży ogród, który zachował parę starych lipowych alei; niedawno kopiąc w nim odkryto fundamenta, ślady innych budowli i murów, któremi całe to miejsce było obwarowane. Obok zamku wznosi się cerkiew, któréj rysunek załączam, i jakiś odwieczny murowany magazyn: oto i wszystko co pozostało z starożytnéj rezydencyi Sapiehów. Wieje ztąd jakby z grobów woń zniszczenia i śmierci i przekonywa, że z wygaśnięciem dawnych dziedziców, życie z miejsc tych na zawsze odbiegło. Wspomnę tu jeszcze, że przed kilkunastą laty w podziemiach zamku butwiały resztki bogatego niegdyś archiwum domu Sapiehów. To pewna, że w dzieciństwie mojém sam widywałem pochodzące ztąd dyplomata królów naszych z majestatycznemi ich pieczęciami, pamiętam także kilkanaście listów króla Stanisława Augusta do księżnéj wojewodziny pisanych; miały one zawierać wiele poufnych zwierzeń. Ciekawe te i ważne papiery nie wiem w czyich dzisiaj znajdują się rękach, a wiele z nich zasługiwało pewnie jako materyał dziejowy na ogłoszenie drukiem.

łaj kasztelan wileński, sławny z uwiezienia z Rzymu cudownego obrazu Matki Boskiéj i wielu świętych relikwij, wymurowawszy w r. 1629 w Kodniu piękny, dotąd istniejący kościół parafialny świętéj Anny, ciała przodków swych z cerkwi do kościoła przeniósł i powznosił im nagrobki, zostawiwszy starożytną grobową tablicę Iwana Sapiehy ze słowiańskim napisem w dawném miejscu (1).

Dziś więc jeszcze kto nie ulęknie się grożącego zawaleniem sklepienia cerkwi zamkowéj, i wejdzie na chór nad wejściem umieszczony, ujrzy obok zniszczonych ołtarzy, pośród ścian z obrazów, dawnych rzeźb i ozdób odartych, nietknięty nagrobek Iwana Sapiehy niegdyś, jak już mówiłem, z Boćków wraz z jego zwłokami tu przeniesiony.

Ponieważ rysunek cerkwi zamkowéj w Kodniu umieszczony we Wspomnieniach z życia i podróży przez p. Kraszewskiego nie jest dokładny, załączam tu inny wiernie na miejscu zrobiony, sądząc, że tak piękny i rzadki zabytek budownictwa z pierwszych lat XVI wieku, zasługuje na bliższe poznanie go przez znawców.

Cerkiew tę pod wezwaniem św. Ducha założył, jak mówiłem Paweł Sapieha wojewoda nowogrodzki około roku 1530, a prawie w sto lat później Mikołaj Sapieha wojewodzic witebski zatwierdził fundusz dla plebana w gruntach i dziesięcinie (2).

(1) W r. 1680 kościół parafialny ś. Anny w Kodniu mocno zniszczonym był od pożaru, w którym wszelkie dawniejsze pomniki i ozdoby wewnętrzne zginęły. Później Kazimierz Sapieha wojewoda trocki i syn jego Jan Łukasz Sapieha kasztelan trocki, autor kilku dzieł historycznych, restaurując kościół, powznosili nowe swym poprzednikom nagrobki. Pomnik Jana Sapiehy założyciela Kodnia w kościele ś. Anny umieszczonym jest obok wielkiego ołtarza z lewéj strony. Wyobraża on wyrobiony w płaskorzeźbie płaszcz książęcy, ozdobiony mitrą i herbami Sapiehów, u dołu zaś w owalnym medalionie jest portret zmarłego. Napis na tym nagrobku jest tylko dosłownem przetłumaczeniem na język łaciński napisu słowiańskiego z pierwotnéj tablicy grobowéj, którą powyżéj opisałem; na końcu dodano tylko następujące słowa, które to, co tu mówię, potwierdzają: „Que antiquis Roxolanorum litteris Lethco incisa Lapidi, iisdemque armis ornata circa translationem huc Sapiehanorum Cinerum in Aedo Unito-Graeca, arcis Codnensis reperta, ac tandem Latiis expressa verbis, sit peremnitati".

(2) W akcie, którego kopia wyjęta z ksiąg grodzkich województwa i ziemi ruskiéj, znajduje się na probostwie uniackiém w Kodniu,

Jak widzimy, cerkiew niniejsza zbudowana jest w stylu jakiego niewiele mamy zabytków w kraju naszym, bo chociaż dach i szczyty wyniosłe ozdobione zębatemi wyskokami, podobnie do znajdujących się w kościołach w Opatowie i Jeżowie (1) należą do budownictwa gotyckiego, które tak było u nas w użyciu aż do rozszerzenia się w XVI wieku stylu odrodzenia, lecz obok tego arkada nad głównem wejściem umieszczona i okna zasklepione są okrągło, a co ważniejsza, że cały front ozdobiony jest wyrobionemi w murze cyrklastemi arkadami, tak jak to widzimy w budowlach byzantyńskich.

Dawni historyografowie Kodnia, jak ksiądz Walicki i Fryderyk Sapieha w dziełach swych piszą, że cerkiew zamkowa zbudowaną była strukturą krzyżacką, lecz nie znając budowli tego zakonu znajdujących się w Malborgu sądzić nie mogę, czy nazwa ta jest właściwą; że jednak nie jest ona dla nas dosyć jasną, przeto nazwałbym raczéj tak mieszany styl budownictwa, stylem byzantyńsko-gotyckim. To połączenie w jedno tych dwóch stylów doskonale symbolizuje nam przeważny wpływ dwóch tak odmiennych cywilizacyi i religii, tojest wschodniéj i zachodniéj, który one jednocześnie na kraj nasz wywierały; a zważywszy, że budowla którą tu opisuję jest cerkwią unicką, przyznamy, że taka struktura najstosowniejszą jest dla świątyni

czytamy co następuje; „Mikołaj na Kodniu, pan i dziedzic, wojewodzic witebski, daję ten mój list Tarasowi Tymofiewiczowi swieszczennikowi mojemu kodeńskiemu na cerkiew moję murowaną w zamku moim kodeńskim od przodków moich zmurowaną, która jest pod tytułem ś. Ducha założona, iż tego pomienionego swiaszczennika zostawuję przy cerkwi téj aż do żywota jego tak przy włókach dwóch w mieście i w Stradeczu dwóch włókach także na dyakona nadanych do téj cerkwi i dziesięcina ma mu należéć jako przedtém brał z każdéj włóki po kopie żyta, tak z ciągłéj jako i czynszowéj z tych tylko wsi moich dziedzicznych z Stradecza, z Durycz, Miedny, Bokinki, Kopytowa i Okczyna, którato dziesięcina na niego, na dyakona i dziaka ma należéć i nie na co iuszego ma być obrócona, jedno, aby z tego żyli, a z tego też ochędóztwo cerkiewne ma opatrować tenże swieszczennik. Z którychto włók tak w mieście i w Stradeczu zdawna nadanych żadnéj powinności oddawać nie ma etc. Pisan w r. 1625 d. 30 Junii". Innego dokumentu dotyczącego się téj cerkwi nie znalazłem; dodam tu tylko, że była ona parafialną i odbywało się w niéj nabożeństwo aż do r. 1805, w którymto roku dla niebezpieczeństwa zawalenia się lub może dla innych powodów, zamkniętą została".

(1) Ob. Wiad. o sztuk. pięk. p. Sobieszczańskiego tom I, str. 69.

obrządku, będącego jak wiadomo zjednoczeniem kościoła greckiego z rzymskim.

Cerkiew ta mimo zupełnego opuszczenia w jakim od pół wieku przeszło zostaje, na zewnątrz wybornie zachowana, szacowniejszą jest jeszcze przez to od wielu nawet starożytniejszych gmachów, że od czasu zbudowania, nie skaziły jéj w następnych wiekach żadne dodatki i przekształcania przez późniejszych architektów, czego nie potrafiły uniknąć najznakomitsze budowle w Europie. Przeciwnie cerkiew kodeńska jest dzisiaj taką samą jak kiedy na początku XVIgo wieku wzniósł ją Paweł Sapieha; z tego względu powiem, że jest to jedyny znajomy mi pomnik dawnéj architektury, tak wybornie w całéj czystości swéj dochowany.

Cerkiew powyższa wymurowaną jest z cegły doskonale wypalonéj, mocno czerwonego koloru; nie była ona tynkowaną, tylko wyrobione w szczytach arkadowanie jako téż i fryz pod gzemsem będący zaprawne są wapnem, jak to widzieć się daje na załączonéj rycinie; arkadowania, pilastry, krokształynki i inne ozdoby, wykonane są z cegiełek umyślnie na ten cel wyrobionych, z zadziwiającą nas dzisiaj dokładnością i mocą, tak *np.* wązkie na parę cegieł wieżyczki zdobiące sam szczyt cerkwi, oparły się zupełnie niszczącemu wpływowi czasu: cegła i wapno tak doskonale spojone są z sobą, że dzisiaj że tak powiem spetryfikowały się, a cała budowa jakby z jednéj bryły kamienia zdaje się być wykutą. Potężne skarpy wspierają każdą ścianę, nadając jeszcze większą trwałość i poważny charakter budowie.

W szczycie frontowym wprawione są polewane i złocone kafelki z wyobrażeniem świętych, w stylu byzantyńskim. Pierwotnie było ich pięć nad piérwszą kondygnacyą arkad, cztery nad drugą, a dwie po bokach; dzisiaj kilka z nich jeszcze pozostało, resztę z wielkim trudem powydzierali jacyś nielitościwi rabusie starożytności. Wreszcie u dołu wyrobione są w ścianie zębate rysunki z cegły ciemniejszego koloru, jak to widzieć można na wielu dawnych budowlach (niedawno takież same ozdoby oglądałem na ścianach kościoła w Drzewicy w Opoczyńskiém zbudowanego w połowie XV wieku). W całych ścianach pozostawione są liczne otwory, które służyły do utwierdzenia rusztowania przy murowaniu cerkwi. Szczyt dachu od strony prezbiteryum ozdobiony jest arkadowaniem, ale odmiennego jak na ścianie frontowéj rysunku; samo zaś pre-

zbiteryum zaokrąglone w głębi jest węższe od saméj budowy. Pięć okien znajduje się w ścianie z prawéj strony, tojest trzy w nawie, a dwa w prezbiteryum: z tych okno najbliższe wielkiego ołtarza zwrócone jest na wschód, jak to zwyczajem było przy budowaniu kościołów w średnich wiekach; w ścianie zachodniéj czyli po lewéj stronie nie ma żadnego okna. Okna te są wysokie, wązkie i okrągło zasklepione. Futryna u drzwi frontowych wyrobioną jest ze sztucznego kamienia i ozdobioną u góry fryzem i gzemsem delikatnéj roboty; dwie tarcze z herbami Sapiehów Lis i Lilie umieszczone są nad temi drzwiami, z walącego się i jak sieć przezroczystego dachu sterczy w górze skielet sygnaturki, na któréj bocian, ten przyjaciel ludu i starych gmachów, obrał sobie mieszkanie.

Długość całéj budowy wynosi 50 łokci, szerokość frontu 30, wysokość do samego szczytu blisko 40 łokci.

Tak obejrzawszy naokoło cerkiewkę, otwórzmy drzwi żelazną blachą okute i wejdźmy do jéj wnętrza. Tutaj z żalem spostrzegamy, że barbarzyńska ręka czasu a więcéj jeszcze ludzi, sprawiła niemałe spustoszenie; ale najprzód powiem, że świątynia ta dzieli się na trzy nawy wsparte z każdéj strony dwoma grubemi filarami; sklepienie ma okrągłe pokryte żebrowaniem. Z pomiędzy kilku ołtarzy mocno zrujnowanych, zdobnych resztkami pięknéj rzeźby w stylu XVII wieku, najlepiéj zachował się wielki ołtarz z obrazem Przenajświętszéj Trójcy, a w części nawy przyległéj do prezbyterium po lewéj stronie ołtarz z obrazem Bogarodzicy, na który bezbożna ręka także targnąć się nie śmiała; przeciwnie w odpowiednim mu z prawéj strony ołtarzu św. Antoniego nie ma obrazu. Z innych pięciu czy sześciu ołtarzy w bocznych nawach umieszczonych zaledwie ślad pozostał; w jednym z nich widzieć można drewnianą statuę Chrystusa Pana, a w nawie po lewéj stronie obraz św. Mikołaja. Prócz tego na ścianach zachowało się tylko kilka próżnych ram od obrazów, któremi niezbyt dawno wnętrze cerkwi ozdobione było. Za wielkim ołtarzem zastanawiają także ogromne opróżnione ramy: w nichto zapewne umieszczonym był kolosalny w całéj postaci wizerunek błogosławionego Józefata, który Sapiehowie odmalować i w cerkwi kodeńskiéj zawiesić kazali wkrótce po męczeńskiéj śmierci arcybiskupa w Połocku. Szczegóły tego wypadku opowiada ksiądz Kognowicki w życiu Lwa Sapiehy, i przytacza także napis który znajdował się pod obra-

zem błogosławionego Józefata w cerkwi kodeńskiéj. Pamiętam dobrze ten obraz: piękna, regularnych rysów twarz męczennika tchnęła prawdziwie nadziemskim wyrazem, jaki tylko natchnieni malarze umieją nadawać rysom wybranych Pańskich: ręce miał złożone na piersiach. Obraz ten był dziełem znakomitego artysty. Wracając do opisu cerkwi powiem, że zachowała się jeszcze ambona, piękną i pełną gustu rzeźbą w liście i sploty ozdobiona; zdaje się ona pochodzić z przeszłego wieku, nie była nawet dokończoną i łatwo dziś jeszcze odnowioną być może (1).

Po lewéj stronie jest niewielka sklepiona zakrystya, a obok chóru wyrobione w murze kręcone schodki prowadzą na sklepienie cerkwi, zkąd piękny rozciąga się widok na całe miasteczko, rzekę Bug i rozległe nadbrzeżne równiny.

Z powyższego opisu czytelnik przekonać się mógł, że świątynia ta ze wszech miar zasługuje, aby pomyślano o podźwignięciu jéj ze smutnego stanu w jakim dzisiaj zostaje. Wyborne jéj zachowanie zewnątrz i trwałość niezmierna murów ułatwia bardzo restauracyą gmachu; smutno jest jednak przyznać, że nikt nawet o tém nie myśli, przeciwnie jakby starano się aby przyspieszyć upadek: i tak przez niedarowane niedbalstwo dach kryty dachówką, lecz nie poprawiany od lat kilkudziesiąt grozi co chwila zawaleniem i zdruzgotaniem sklepienia, które dotąd opiera się silnie, mimo że coroczne śniegi i deszcze napełniają je wilgocią; tymczasem, gdybyśmy cokolwiek cenili zabytki naszéj przeszłości, to nakrycie słomą całéj budowy byłoby na długo zapewniło trwałość sklepienia.

Każdy jednak zgodzi się na to, że najwłaściwiéj byłoby przywrócić téj cerkwi dawne jéj przeznaczenie i aby zachowu-

(1) Dawniéj znajdował się w téj cerkwi wielki dzwon, pierwotnie fundowany przez Mikołaja Sapiehę wojewodę witebskiego, ale niedługo po zamknięciu jéj, to jest w r. 1816 przeniesiono go do drugiéj cerkwi parafialnéj ś. Michała będącéj w Kodniu, i dotąd widzieć go można w tamtejszéj dzwonnicy; są na nim następujące napisy: „D. O. M. Et Divinae Trinitati. A Paulo Sapieha Palatino Vitepscensi pro avo perfectum, Hosti furore deformatum, refici curatum, Casimirus Vladislaus Sapieha Vice Dapifer M. D. L. Capitaneus Brestensis Pauli ex Nicolao Abrupos. Anno Dni MDCLXXXV". A pod wierzchem: „Laudem DEO aufero, Somnum Clero confero, Salutem populo afero, Solamen mortuo refero". Dzwon powyższy jest znacznéj wielkości i pięknego artystycznego wyrobu.

jąc bez najmniejszéj nawet zmiany starożytny charakter budownictwa, wyrestaurowano ją na cerkiew unicką parafialną. Nie samym przez to dogodziłoby się archeologom, gdyż stokroć świętsze, ważniejsze względy przemawiają za tém: trzeba bowiem wiedzieć, że dotychczasowa drewniana parafialna cerkiew św. Michała, zbyt jest ubogą nawet na takie miasteczko jak Kodeń, a co większa że z powodu starości grozi upadkiem; powtarzam więc, że koniecznie należałoby przenieść z niéj nabożeństwo do cerkwi zamkowéj: przy dobrych chęciach zamiar ten łatwo wykonaćby można.

Jeżeli zaś słaby głos mój nie dojdzie do uszu tych, których rzecz ta najwięcéj obchodzić powinna, a niedbalstwo na jakie od tylu lat tutaj patrzymy potrwa i dłużéj, to przyjdzie czas że sklepienie cerkwi pozbawione oddawna, jak mówiłem, ochronnego dachu, runie zasypując wszelkie wewnętrzne ozdoby i tylko trwałe jak granit ściany, długo jeszcze świadczyć będą przyszłym pokoleniom, jakie to pomniki dla chwały Bożéj pełne wiary praojcowie ich wznosili, a jak wierzący w postęp i naukę ludzie XIX wieku szanować te drogie zabytki przeszłości umieli.

Pisałem 19 maja 1857 r.

KRONIKA LITERACKA.

Pamiętniki dziejów polskich, z aktów urzędowych lwowskich i z rękopismów, zebrał ksiądz Sadok Barącz Dominikanin, we Lwowie. W drukarni Zakładu narodowego imienia Ossolińskich. Nakładem Wojciecha Manieckiego, uprzywilejowanego dzierżawcy tejże drukarni. 1855. *W 8ce. Str.* 310.

Otóż jedna z tych nierzadkich dzisiaj w naszéj literaturze historycznéj książek, któréj zagadkowego znaczenia dobrze wytłumaczyć sobie nie umiemy. Jakieś wypisy ze źródeł, których autentyczności nam nie opisują; jakieś listy bez początku i bez końca, a najczęściéj bez dat, nieporządnie zebrane, nieporządnie wydrukowane, czasem niewiadomo od kogo, czasem niewiadomo do kogo pisane; jakieś uniwersały, instrukcye, nowiny, inwentarze i t. d. Wszystko pomieszane tak, że trudno pojąć czy był cel jaki w tém zbieraniu, czy też nie było żadnego: co prędzéj na ostatnie wyjdzie. Nie chcemy przez to uwłóczyć powadze Pamiętnika dziejów polskich księdza Barącza, który nawiasem powiedziawszy, nie dobrał także trafnego nazwiska dla swojéj książki; wypisy albowiem które w Pamiętniku czytamy, są po większéj części porobione z akt miejskich lwowskich, i z biblioteki Zakładu naukowego Ossolińskich. Wierzymy, że ksiądz Barącz drukował wszystko z najautentyczniejszych oryginałów, nie szkodziłoby jednakże dla ogółu czytelników objaśnienie (zwłaszcza, że czytelnikami Pamiętnika tego będą zawsze ludzie poważniejsi zajęciem i myślą), nie zawadziłoby powtarzamy objaśnić, chociażby w przedmowie, co owe np. listy z czasów drugiéj wojny szwedzkiéj, których w Pamiętnikach jest mnóstwo z r. 1703—1710 i t. d. co te listy znaczą w aktach miejskich lwowskich? Jeżelić wszystkie te mowy, wy-

pisy i listy, które ksiądz Barącz w Pamiętniku pomieścił, są wypisane z akt miejskich, należało objaśnić przyczynę, dlaczego akta te wyglądają więcéj na *sylwy rerum*? Listy te są czasami ciekawe, a jak miarkować można pisywane z różnych okolic kraju; jest ich wiele z Warszawy: czy je kto tedy zbiérał we Lwowie z prywatnych korrespondencyj, a nie mając co lepszego do roboty, czy je wpisywał do akt, do których nie należały? czy téż owe listy są to może oryginały do akt wszyte? i dlaczego ów ktoś nie spisywał tego w osobną księgę, lub jeżeli oryginały, w osobną księgę nie zszywał? Czytelnik, który nieraz zajmie się treścią tych wiadomości, chciałby zaraz lepiéj poznać ich źródło; dlatego mało mu powiedzieć, że te rzeczy znajdują się w aktach lwowskich, bo tutaj niepodobna upatrzyć związku tych przeróżnych wiadomości z aktami? A jeszcze ksiądz Barącz dziwnie cytuje, wypisawszy tytuł księgi z któréj materyał bierze: np. *Officii consularis fasciculi 27 et 28 ab anno 1703 ad 1705*; u dołu pod każdym wypisem kładzie jakieś dwie liczby: co te liczby znaczą? Czytelnik się pyta, dlaczego, kiedy w aktach *Officii consularis*, w księdze 27 i 28, są listy z teatru wojny z roku 1703 i 1707, i list do podkanclerzego od burmistrza i rajców lwowskich (ten list nie dziwiłby sam), dlaczego w tychże aktach *Officii consularis*, w księdze 29 i 30 jest relacya poselstwa Olszowskiego po arcyksiężniczkę Eleonorę do Wiednia 1669 roku; dlaczego w księdze 35 i 36 jest respons na punkta, od wojska zaporozkiego królowi podane, w roku 1675? Autor zamiast objaśnienia, wspomina tylko od przypadku, kończąc już te wypisy, że zajęty będąc zbieraniem materyałów do historyi Żywotów Ormian w Polsce, trafił w tabuli na owe swoje wypisy, które, że w księgach czas bardzo zniszczył, więc je podał wiernie bez żadnéj odmiany, aby ocalić od zagłady szacowne z kądinąd wiadomości; dodaje téż, że większéj części ksiąg nie dotknął. Wszystko to dobre, ale jasnego wyobrażenia o treści ksiąg tabuli lwowskiéj nie daje. Słów kilka o téj treści w przedmowie i nie byłoby zarzutu, który teraz się kładzie na karb niekrytyczności wydania.

Zresztą krytyki brak tutaj na każdym kroku. Niezawsze wydanie akt jakich historycznych ma swoje znaczenie, ma dla nauki wartość: trzeba przebiérać pomiędzy śmieciami. Ksiądz Barącz nie przebierał, a drukował wszystko, co mu pod rękę wpadło: co większa nie porządkował swoich wypisów. Nie uniewinnia go to, że z kolei jak księgi szły, chronologicznie wypisywał: bo tutaj nie o porządek ksiąg chodziło, ale o przysługę historyi: mógł

był łatwo cytować sobie każdy wypis osobno, z której księgi wzięty. Wydań materyałów, dzięki Bogu, dosyć u nas się mnoży, ale jeżeli nie zaprowadzim jakiego w nich ładu, sami się niedługo w tych grudach papierów nie znajdziem. Doskonałemby na to były lekarstwem regestra, gdyby każdy z wydawców miał cierpliwość ułożyć je, ale porządnie, jak się należy, podług wzoru np. danego w źródłach do Dziejów polskich Malinowskiego i Przezdzieckiego. I jakże tu nie stracić głowy w takim ogromie, kiedy np. do ładu trafić niepodobna, i można się zgubić nawet w téj oto księdze Barącza? Porządek, systemat jakiś, ochroniłby nas od przedruków, i od powtórnych jednéj i tejże saméj rzeczy wydań: dzisiaj trudno wiedzieć co i gdzie jest wydrukowane. Dobrze przynajmniéj że materyałów naszych moc niezmierna, większa jak gdziekolwiek w Europie, i że dopiéro właściwie teraz bierzem się do upowszechnienia drukiem naszych historycznych źródeł; bo gdyby też nie to, rzeczywiście trudnoby, chcąc się czegoś dowiedzieć, nie zbłąkać się po książkach jak po lesie, i szukać tego, co prawie pod bokiem.

Nareszcie i to także zarzut księdzu Barączowi, te akta warto przecież czasami objaśniać! Jest w Pamiętniku np. „list względem podkomorzego łęczyckiego" (stron. 68). Ktoś pisze do króla (nie powiedziano do jakiego, niewiadomo kiedy) z ubolewaniem, z wyrzutami, o zabójstwie podkomorzego łęczyckiego, dokonaném przez jakieś kupy swawolne. Silnie z mocą ten ktoś narzeka na bezprawia. „I do tegożto niegdy szczęśliwe królestwo nasze przyszło, woła autor, żeby które przedtém głowy tylko nieprzyjacielskie rachować umiało, teraz za opłakane nieszczęściu swemu tributum, głowy własnych obywatelów odbierało. Jeszcze mało ruiny, że się i ad intra rujnować odważemy, aby którym na odciętych schodzi już prowincyach, tym też ostatecznie i na godnych schodziło ludziach. Wierz mi W. K. M. P. M. M. że to są nieomylne ostatniéj zguby naszej oznaki. Cóż bowiem dobrego daléj obiecywać sobie będziemy mogli, kiedy i w własnych domach, któregośmy się szablą dobijali pokoju, pewni nie jesteśmy. Taż in libero regno securitas? że i bez prawa i bez winy, same odia na śmierć okrutną skazować i exekwować będą? Szczyciliśmy się tym kłopotem przodków naszych ob invidiam postronnych narodów, żeśmy przy jakichkolwiek fortunach naszych securi zdrowia zostawać mogli, a teraz na ustawicznéj in domiciliis jako in medio armorum Rzplitéj straży zostając, niewinnéj jakiéj imprezy wyglądać potrzeba? Cóż gdy jeszcze to fatum pa-

da na tych, którzy są *fulcra Reipublicae?*" Z dalszéj osnowy listu dowiadujem się, że do zabójstwa podkomorzego miał się przyłożyć kawaler Lubomirski, urażony wolnym głosem przeciwko niesłusznym pretensyom swoim na zeszłym sejmie, i że zażył w tém wojewodzica rawskiego Grudzińskiego „*omnium malorum instrumentum.*" Autor listu wreszcie wzywa króla, żeby imieniem jego kazał wydać mandaty na przyszły sejm Lubomirskiemu i Grudzińskiemu. Nieprzebaczona jest obojętność wydawców dla takich np. materyałów. List ów bez objaśnienia o co rzecz chodziła, nie ma najmniejszéj wartości; a jeżeli go objaśnić niepodobna teraz, lepiéj to na bok odłożyć, a robić poszukiwania, aż się rzecz rozjaśni. Rzecz tutaj chodzi o zabójstwo Stanisława Sarnowskiego. Kawalerem owym, co winien był zabójstwa, był pan Hieronim Lubomirski, późniéj za Sasa hetman wielki koronny. Niesłuszne pretensye jego stosowały się do dóbr ostrogskich, których ostatni dziedzice, książęta Zasławscy wygaśli, a więc podług brzmienia ordynacyi, dobra te powinny były spaść na zakon maltański. Otóż Lubomirski, który był kawalerem maltańskim, postarał się o to, że go sejmik proszowicki obrał za kandydata do przyszłego przeoratu ostrogskiego we wrześniu 1673. Potrzeba było koniecznie téj elekcyi, bo tak chciała ordynacya; z kandydatów sejmikowych sejm ostatecznie wybiérał. Gdy książę Dymitr Wiśniowiecki zajechał zaraz po śmierci Alexandra Zasławskiego dobra ostrogskie, sejmik ów proszowicki pisał do niego za Lubomirskim, żeby mu oddał dobra, jako za prawnie obranym ordynatem. Odtąd był pewny swojéj sprawy kawaler, i dlatego elekcyą Jana Sobieskiego podpisał, z zastrzeżeniem praw ordynacyi ostrogskiéj. Potém widząc, że tą drogą nic nie wskóra, uwolnił się od Malty; chciał się żenić z ostatnią dziedziczką Ostrogskich, Teofilą księżniczką Zasławską, ale stryi jego Józef był szczęśliwszy. Myślimy, że nie błądzim, kiedy tym okolicznościom przypisujem zabójstwo podkomorzego. Na sejmie albowiem koronacyjnym w roku 1676 znajdowali się obadwaj razem oko w oko, Sarnowski z Lubomirskim. Sarnowski podpisał tam razem z innemi, na d. 5 lutego potwierdzenie królewskie wolności narodowych, Lubomirski zaś został chorążym wielkim koronnym (20 marca 1676). Ta okoliczność, że autor listu nie nazywa jeszcze Lubomirskiego chorążym, ale jak dawniéj kawalerem, zdawałaby się świadczyć zatém, że zabójstwo miało miejsce 1676 roku, zwłaszcza, że na tymże sejmie stanęła konstytucya przeciw kupom swawolnym

(Vol. Leg. V, stron. 362). Nie może to się odnosić, jak sądzim do następcy na podkomorstwie Sarnowskiego, tojest do Wacława z Otoka Zaleskiego, który w roku 1676 był także na sejmie, jako chorąży łęczycki, jako zaś podkomorzy, piérwszy raz występuje w r. 1678, kiedy z sejmu był królowi wyznaczony do boku, nie może tém bardziéj, że Lubomirski na sejmie z roku 1679, jak świadczy Jemiołowski zupełnie przegrał sprawę o dobra ostrogskie; głównie dlatego nie może, iż tylko do Sarnowskiego stosować się mogą wyrazy: „jako od swawolnéj cudzoziemskiéj imprezy, zaciągów kupy ten wielce zasłużony i Waszéj Królewskiéj Mości panu memu miłościwemu dobrze znajomy człek, *vir consilii*, niewinnie poległ." O kimże stosowniéj było powiedzieć, że jest *fulcrum Reipublicae*, jak o Sarnowskim, który marszałkował sejmowi abdykacyjnemu z powagą i godnością, a słynął darem wymowy? Co rzecz jeszcze ważna, i doskonale wnioskom naszym do twarzy przypadająca, to owak onstytucya o kupach swawolnych, którym król rozejść się pod karą banicyi nakazuje, w roku 1676, a która podkomorzego zabiła. Zaleski był daleko skromniejszą w dziejach postacią. Jeżeli te nasze wnioski sprawdzą się, mamy jeszcze fakt ciekawy a nieznany dotąd, o zabójstwie Sarnowskiego i o jego powodach. Rzeczywiście zbrodnia to wielka, porywać się bezkarnie na „kolumny narodowe." List pisany oczywiście do Jana III. Zostaje tylko domysł do rozwiązania, kto list pisał, i w jakim był stosunku do zabitego?

Bez tych objaśnień, list ów w Pamiętniku jest czystą zagadką. Jest takich zagadek i więcéj tutaj. Niejednę sobie ludzie naukowi łatwo objaśnią, kiedy rozważą okoliczności: ale nie jednę téż dla braku interesu mogą porzucić, chociaż kto wié co się w nich kryje. Tak samo w owych listach, któreśmy wspomnieli, a które pochodzą z czasów drugiéj wojny szwedzkiéj, i bardzo wyglądają na gazety pisane, jest dosyć skazówek, na któreby wydawca powinien był zwrócić uwagę dla dobra swojego zbioru. Objaśnia to zawsze kiedy się powié, kto i do kogo i zkąd pisze; jeżeli na nie wszystko, zawsze odpowiedzieć tu można, przynajmniéj na wiele. Są nawet widoczne ślady autorstwa listów: „U mnie w Zgórsku stał Beling, w Mielcu miałem załogę i w Złotnickim folwarku i w Chorzelowie" pisze jeden w roku 1707 (stron. 137). W niedzielę około południa cztéry chorągwie polskie przechodziły, biorą się za Dniestr przeciwko wojewodzie kijowskiemu; już godzina w noc, najechali mnie, rad nie rad musiałem być ochoczy—pisze drugi z Rohatyna 1709 (stron. 156)." Wydawcy zadaniem było wszel-

kie możebne objaśnienia z treści tych listów wysączyć, przez to uczonym badaczom wyrządziłby większą usługę, jak przez samo drukowanie Pamiętnika, który nieraz z tego powodu żadnego światła na wypadki rzucić nie może.

Nareszcie są objaśnienia łatwe dla każdego, których się tém bardziéj wydawcy rzeczy takich opuszczać nie godzi dobrowolnie: np. ksiądz Barącz z Niesieckiego mógł w przypiskach objaśnić kto w tym a w tym roku był takim a takim wojewodą, takim a takim kasztelanem: wagi to krytycznéj zawsze przydaje wydaniu.

W Pamiętniku księdza Barącza głównie zwróciły naszę uwagę ślady kilkakrotne ruchów ludowych na Rusi: jeden w samym Lwowie, i zdaje się był groźny. „Przed dwoma laty," pisze akt urzędowy z roku 1608, mieszkańcy przedmieścia halickiego, a czynszownicy miasta Lwowa, naśladując pospólstwo rzymskie, zbuntowali się przeciw władzy; chcieli rząd udzielny zaprowadzić u siebie; chcieli przedmieście swoje wałem, murem od miasta przegrodzić, i do króla nawet trafili, że im pozwolił. W duszy jednak skrywali myśl, żeby się otrząść z pod panowania miejskiego; nic nie robić, a nabyć wolności obywatelskiéj. Było to w czasie sławnego rokoszu Zebrzydowskiego. Przedmieszczanie korzystać téż chcieli z okoliczności; szlachta robiła sobie rokosz przeciw królowi, a ci rokosz przeciw miastu, tylko tutaj w grę puszczono zasady niebezpieczne. Dobrze, że szlachta nasza tak mało zawsze interesowała się sprawami wewnętrznemi miast, i nie wiedziała co się we Lwowie święciło tak dalece, że pamiątka tego dwuletniego przesilenia, nawet się do historyi nie dostała. Miasto uskromiło wreszcie bunty przedmieszczan za wdaniem się króla, który za to jednak kazał mu skończyć sprawę już dziesięć lat trwającą z Jezuitami, o ich osadowienie się we Lwowie. Był tam grunt palny bardzo na Czerwonéj-Rusi, z powodu sporów religijnych, i w księdze Barącza znajdujem kilka nowych jeszcze skazówek dobrze nawet późniejszych, bo z czasów Jana Kazimierza o spiskach i zmowach knowanych w tajemnicy: np. owe śledztwo z Jędrzeja Skulskiego ściągane, w obozie pod Sokalem w roku 1651, które także bez objaśnień wydane, jest dzisiaj zupełnym sfinxem do odgadnienia.

Lwów ciągle się tutaj nazywa rzeczpospolitą lwowską, *respublica, communitas Leopoliensis*. Widać miał powagę, umiał ją zachować wśród nieprzyjaznych okoliczności; prawa jego polityczne daleko XVII wieku sięgają. Co chwila posłów swoich wyprawia miasto na generał ruski do Wiszni, co chwila wyprawia ich

na sejmy do Warszawy, a jednym i drugim ciągle pisze instrukcye, w których głos śmiało podnosi, o dobru swojém radzi, królowi wnioski podaje. Znosi się też Lwów z hetmanami i z prymasem. Z hetmanami ma z innego powodu codzienne prawie a serdeczniejsze stosunki, hetmanowie zwykle we Lwowie mieszkają ztąd czuwają nad całością, nad granicami rzeczypospolitéj od wschodniéj ściany, tojest od Turka; we Lwowie też pospolicie umierają, zwłaszcza hetmani w XVIII wieku, poprzednicy ich ciągle w wojnach i pochodach kończą gdzie Bóg zdarzył; późniejsi zaś nic dziwnego, że usnęli na strażnicy jak Mohort na kresach. Ostatnie w Pamiętniku poselstwo lwowskie na sejm, było w roku 1690. Instrukcye te wskazują w ogóle na biédny stan miasta. Mówiliśmy już cokolwiek w tym przedmiocie, o niezazdrosném wcale położeniu miast naszych w XVII wieku, a mianowicie w czasie wojen, z powodu ostatnich dzieł Ambrożego Grabowskiego. Na nędzę jakąśmy widzieli w Krakowie, chorował naturalnie i Lwów. Ksiądz Barącz dostarczy faktów, chociaż nietyle i nie tak wymownych jak Grabowski. Nierząd, rozprzężenie w kraju było ogólne. W roku 1690 skarżył się Lwów nuncyuszowi, że cierpi wiele od duchownych, nawet od klasztorów, które składy prywatne u siebie zakładają, władzę sobie przywłaszczają, domy i grunta miejskie skupują, szynki i karczmy na nich stawiają, a przezto miasto naturalnie srodze niszczą. Najgorzéj zawinili tu Karmelici trzewiczkowi, Dominikanie, Teatyni, nawet świéżo wprowadzeni Trynitarze i t. d. (str. 99). Serce boli, kiedy się potém czyta szczegóły różnych łupieztw miasta, za czasów wojny szwedzkiéj, od swoich i obcych.

Za nierządu jaki sprowadził, a raczéj jaki powiększył u nas Karol XII. Rusi-Czerwonéj dały się dobrze we znaki nowe ruchy ludowe. Nie zwracali nasi historycy dotąd uwagi na te powstania ludowe na Rusi: przed wielkim buntem Chmielnickiego zdaje się w historyi wszystko upadło, w proch ponikło, tak, że nawet staje się niewidzialne. Przywykliśmy tylko na Ukrainie oglądać bunty hajdamaków, a tymczasem są ślady tu i owdzie, w różnych czasach, poruszeń ludowych. Od niedawna dopiéro Napierski w Karpatach przestał być rozbójnikiem, jak Aleksy Doboszczuk i opryszki. W Barączu są inne ślady, jako w roku 1709, w dobrach wojewody bełzkiego hetmana Sieniawskiego, zbuntowało się chłopstwo, jako dwu zbiegów z wojska obcego spisało tych buntowników na trzy tysiące, jako w Sieniawie za Międzybożem kilkaset tego chłopstwa wycięły chorągwie polskie (stron. 156).

Inny bunt przyświecał tryumfom saskim w Polsce za powtórnéj elekcyi Leszczyńskiego w r. 1734. Michał Potocki, pisarz polny koronny, wiele się o to troszczył i dokuczał złemi wieściami hetmanowi wielkiemu, który znowu na to był zdaje się zupełnie obojętny. Kiedy Potocki, który stał po stronie Leszczyńskiego, ucierał się z nieprzyjacielem wtargającym do Ukrainy, tymczasem lud na całéj przestrzeni zajętéj przez obcych powstawał, o czém mało wiemy, prawie nic. „Ukraina w buncie, Podole zaczyna, toż i na Wołyniu będzie, narzeka pisarz polny, owo zgoła skłonić głowy nigdzie nie będzie." Emisaryusze byli czynni, listy krążyły wszędzie (stron. 262, 264).

W inném miejscu znajdujemy wiadomość, że w tymże samym roku 1734, kiedy wojska obce „wielkie exorbitacye czyniły, miasta i wsie rabowały, kościoły burzyły, księży zabijały, całe państwo pustoszyły," że wtedy właśnie „chłopstwo kupami poddaństwo porzuciwszy, z Kozakami się spolilo tak dalece, że wojsko polskie nie mogło im dać odporu, bo tego jadu ciągle mnóstwo przybywało" (stron. 193).

Niezmiernie interesujące także czytamy tutaj podania o zarazie w Warszawie, za czasów wojny szwedzkiéj. Było to w roku 1708. Powietrze ciągnęło do stolicy od Kalisza. Generał Rybinski, który z dywizyą swoją ciągnął z Koła przez sochaczewskie i gostyńskie do Żelechowa, przyniósł w te strony zarazę; niektóre chorągwie po lasach kwaterowały zapowietrzone (w maju). Szło też powietrze od Kalisza ku Częstochowie, dlaczego do Szlązka nie puszczano ludzi, aż 40 dni zabawili na granicy. Pod koniec czerwca pokazały się w kilku domach w Warszawie różne choroby, ale gdy prędko chorych za miasto w pole wypędzono, zaraza ustała na chwilę, z czego korzystając bogatsi w popłochu też zaczęli się wynosić, że ledwo trzecia część mieszkańców została: kto gdzie chciał chował się. Bonac poseł francuzki wyjechał do Obor, zkąd potém Wisłą popłynął do Torunia. Wreszcie nawet poczta koronna przeniosła się z Warszawy do Cieciszewa, wsi pod Górę, co przerwało zupełnie stosunki w kraju. Ktoś z urzędników pocztowych pisał te listy o zarazie, bo je ciągle datuje z Cieciszewa. Ludzie tymczasem marli w mieście, na przedmieściach, w polu i za miastem; po dwoje i troje dziennie umiérało w Warszawie, za Warszawą zaś od 29 aż do 10 lipca umarło sto kilkadziesiąt osób. Nareszcie rozsrożyła się choroba około połowy miesiąca. Przez trzy dni, mianowicie w piątek, w sobotę i w niedzielę ludzie po drogach i ulicach pa-

dali. Nie było wtedy żadnéj ulicy, ani jurydyki, żeby kara Boża nie wzniosła tam swojéj karzącéj chłosty. Ludzie uciekali na wsie, w budach ponad Wisłą rozłożyli się, ale i we wsiach była zaraza i po miasteczkach Zakroczymiu, Serocku, Radzyminie i Wierzbicy. W mieście zaś wymarł cały klasztor Bonifratrów, na Pradze Bernardynki. W końcu lipca 780 liczono umarłych, około połowy sierpnia przeszło już 5000. Klasztory mniszek i kościoły pozamykano wszystkie, tylko Swięty Jan stał otworem; nabożeństwa zaś odbywały się pod gołém niebem, przed drzwiami świątyń. Supplikacye śpiewano codziennie, ludu na nich dosyć bywało. Processya w dzień Przemienienia Pańskiego z obrazem ś. Rocha wyszła od Missyonarzy do siedmiu stacyj, za nią ludzie szli boso na twarz padając i płacząc. W początkach sierpnia zwolniało troszkę, potém znowu uderzyła zaraza na bezbronne miasto, wracając z przedmieść. Całe Krzywe-koło wymarło, toż duchowieństwo w dwóch parafiach, szczególniéj u Panny Maryi. Więc mniszki wszystkie zaczęły się wywozić do dóbr, jakie gdzie miały za Wisłą: Wizytka jedna umarła, Jezuitów czterech. Ustały wszelkie związki miasta z okolicą, prowiantów nikt nie dowoził, a ludzie i na głód zaczęli cierpieć. Drożyzna nastąpiła ogromna, chléb bardzo mały za trzy grosze sprzedawano taki, jaki przed chwilą za grosz bywał. W cekauzie w budach na polu formalne założono lazarety. Komendant jednak był ludzki, został w mieście i rewizyą robił po zmarłych ludziach: szkoda, że nie wiemy jego nazwiska. Między innemi umarł w lipcu jakiś p. Beloty, może to budowniczy królewski z Willanowa (str. 145). Pod koniec września znowu się jakoś uspokoiło, przynajmniéj źródła księdza Barącza nic już o dalszych klęskach nie mówią w Warszawie, choć wymownemi obrazami kréślą stan rzeczy w innych stronach kraju. W Prusiech, w Kujawach, w Krakowskiém, psy porywały się na ludzi, więc ich wystrzelali po wsiach niezarażonych; toż wilki i trzoda chlewna obces w bandach zabijały ludzi; ręce i nogi leżały po polach (stron. 251). Te okropności zarazy doskonale wtorują okropnościom i pożogom wojennym.

Przypomniało się nam, że w nowszych czasach, wieleśmy luźnych tu i owdzie wydali materyałów do dziejów téj wojny szwedzkiéj. W książkach Ambrożego Grabowskiego, w wydaniach Raczyńskiego, w Otwinowskim, wiele jest szczegółów; znamy téż notaty Krzysztofa Zawiszy ważne dla dziejów téj wojny. O jednéj bitwie Klissowskiéj posiadamy jakie ze sześć, siedm różnych relacyj, toż o bitwach pod Kaliszem, pod Koniecpolem.

Gdyby to zebrać wszystko i uporządkować, a jeszcze listy Załuskiego przywołać do pomocy, byłaby wcale interesująca historya wojny, a może i panowania Stanisława Leszczyńskiego. Dziwna rzecz, że w aktach metryki koronnéj nie zachował się ślad żadnych aktów Leszczyńskiego, nawet sygillat jego z nominacyami urzędników nie ma: czy je zniszczyli stronnicy króla Augusta, czy też uwiózł je gdzie za granicę król Stanisław, żeby nie kompromitować swoich? Nie rozstrzygnięte to pytanie. Ale gdybyć były za granicą, dzisiaj odkryłyby się przecie gdziekolwiek; więc prędzéj przypuścić, że zła wola je zniszczyła. W Pamiętniku są także ślady owych pochodów Stanisławowskich i panowania.

Oprócz wypisów z tabuli dał ksiądz Baracz w Pamiętniku wypisy z metryki katedry lwowskiéj, także z aktów kapituły łacińskiéj, mniéj ciekawe. Swoich dwa artykuły dodał, tojest dzieje Tyśmienicy i szpitala ś. Łazarza we Lwowie. Tu już zupełnie przypomniała się nam kronika Żołkwi oschłością. Tyśmienica ważna jest dla księdza Barącza, jako jedna z głównych siedlisk Ormian na Rusi, a do tego i klasztor miała Dominikanów. Całe te dzieje Tyśmienicy kręcą się więc około Ormian i Dominikanów, których przeorem był tutaj sławny Okolski. Po kolei tedy proboszczowie, przeorowie, zapisy dla kościołów i daty zmieniają się jak w kalejdoskopie w téj kronice, która nie jest bez błędów i opuszczeń. Autor np. zapisuje ten szczegół, że arcyksiążę Józef dał cztéry dukaty do kościoła (str. 244), a zapomniał dodać, kiedy i jak Tyśmienica od Czosnowskich wróciła do Potockich i t. d.

Ciekawa jest droga pana posła Radziejowskiego do Porty w roku 1667, w któréj przechwalał się były podkanclerzy „uczyłem ja królów rozumu" (stron. 75).

Kronika Ormianek mniszek lwowskich (dzieje zakonne były w żywotach) bardzo ciekawa w szczegóły tyczące się Ormian, ich zajść z Rusią, które objaśniają i same stosunki kościoła greckiego w dawnéj Polsce. Jest w téj kronice wiele innych rzeczy obcych zakonowi, ale potocznych, ściśle miejscowych, są daty śmierci, opisy wjazdów. Rzecz to szczególna, że hetmani umiérali pospolicie we Lwowie; ma się rozumiéć w ostatnich czasach, bo dawniéj jak przepędzali życie w obozach tak i umiérali w pośród rycerstwa w ciągu wypraw albo pochodów; nawet Poniatowski regimentarzem przez Augusta Sasa obrany „zjechał tu na Ruś do Lwowa dnia 26 listopada (1728) przy assystencyi wielu godnych państwa, tandem komendę odebrał wszystkich wojsk koronnych, rezydencyą założywszy sobie tu we Lwowie" (stron.

187). Lwów wtedy był miastem hetmańskiém, ztąd jak ze strażnicy jakiéj pogranicznéj naczelni wojsk koronnych wodzowie czuwali nad całością i bezpieczeństwem rzeczpospolitéj, i znosili się z Turcyą. Że samo ustanowienie hetmaństwa wiele miało związku z Rusią-Czerwoną, to każdego mniéj więcéj obeznanego ze źródłami historycznemi uderzać musi. Za szczęśliwą sposobnością rozwiniemy kiedy osobno ten przedmiot; tutaj tylko dopiszem z powodu Poniatowskiego to, co kronika ormiańska podaje: „Nie ukontentowała ta dyspozycya królewska wielu senatorów państwa tutejszego, mając za złe królowi, że ta funkcya regimentarska, nie była oddana jednemu z wielkich imion" (stron. 187). I te słów kilka są echem prowincyi. Nie ukontentowała dyspozycya królewska wielu senatorów państwa tutejszego; państwom jest tu Ruś-Czerwona, a senatorowie gniewają się nietylko dlatego, że wojskiem Poniatowski dowodzi, człowiek co ani z roli, ani z soli nie wyrósł, ale i dlatego, że Poniatowski nie jest panem z Rusi-Czerwonéj. Jak buławy nastały dla obrony Rusi, tak i hetmanami nie powiemy, że pospolicie, ale zawsze prawie, bywali wielcy panowie osiedleni na Rusi.

Widzimy z tego wszystkiego, że nowe to wydanie księdza Baracza aczkolwiek niekrytyczne i nieporządne, dało dosyć pożywy dla rozprawiania o przeszłości: jestto dowód niesłychanego bogactwa naszéj historyi. Życia, poezyi, rozmaitości, tak niezmiernie wiele było w dawnéj Polsce, że nawet najbiedniejsze treścią materyały, jeżeli nam nie dają głęboko wejrzéć w przeszłość, zawsze natrącać mogą krytyce myśli i uwagi, z czego znowu się tworzą poglądy i bogaci się niezmiernie nauka nowemi pojęciami i nowém zrozumieniem faktów.

Julian Bartoszewicz.

Polemika o kwestyi włościańskiéj. Wola i niewola w pracy, przez Seweryna hr. Uruskiego. Warszawa, 1857.

Niedawno wyszło dziełko hr. Uruskiego pod tytułem: *Wola i niewola pracy*, dotyka niektórych kwestyj prowincyi galicyjskiéj niezgodnych z rzeczywistością, co stało się powodem odpowiedzi pana Maurycego Kraińskiego w Czasie Nr. 166, broniącego

Towarzystwo agronomiczne i wydział stanowy, do czego najwięcéj był uprawnionym, zasiadając w jedném i drugim.

Są jednak w zwyż wspomnioném dziele zdania szanownego autora, zupełnie przeciwne zdaniom większéj części obywateli tutejszych: dlatego pozwalam sobie skreślić kilka uwag, wyświecających kwestye z innego stanowiska widziane.

Najprzód co do podania przez obywateli do rządu, o przywrócenie stosunków poddańczych. Po zniesieniu pańszczyzny, nastąpiły dwa lata nieurodzaju, którym widać, że Bóg za grzechy 1846 r. kraj nasz nawiedził: więc w chwili uwolnienia dawnych poddanych, zastały tychże w opłakanym stanie, bo choroby dziesiątkowały ludność, a głód dopomagał śmiertelności. Właściciele więksi nie w mniejszych kłopotach byli, z powodu gwałtownego przejścia w inny, a niekorzystny pod względem materyalnym stosunek: lecz byli oczywiście jeszcze zamożniejsi od swych dawnych poddanych: ci więc przez przyzwyczajenie chodzili do dworu prosząc o pomoc. Obywatele odmówić im nie chcieli; jednak z obawy o dalsze nadwerężenie już i tak uszczuplonego mienia, szukali pewności, by dany grosz lub ziarno było im zwrócone w naturze lub w robocie; a nie wierząc obiecującemu chłopu, że zwróci co bierze, udawali się do urzędu okręgowego z prośbą, by ten wziął pod swoję opiekę korzystną dla stron obydwóch ugodę: bo jednych miał od głodu ratować, drugim zapewnił robociznę tak trudną do obrobienia pól. Jednak urząd uznał za niestosowne mieszanie się w tę sprawę, więc obywatele ograniczając się na jałmużnie, zostawili wszystko losowi, a skutki jak wiemy były nieosobliwe, bo od 1846 r. do teraz, według dat statystycznych, blizko o milion ludność krajowa zmniejszona, a prowincya nasza zasilająca zawsze swém zbożem ościenne kraje, musiała je sama sprowadzać: co jednak złemu nie zaradziło, bo przez lat dziesięć łany dworskie źle uprawione dla braku rąk, wydawały plon niestosowny; włościańskie zaś pola w małéj części zasiane, nie były w stanie wyżywić swych właścicieli. Otóż cała historya życzeń obywateli o pańszczyznę: były to życzenia zobopólne, mające na celu ugody pojedyncze, nie solidarne, więc na niczém się skończyły. Prześliśmy przez ciężkie próby, ale szanowny autor może być przekonany, że pomimo tego, nikt tu u nas nie pragnie poddaństwa; przeciwnie, przyzwyczailiśmy się więcéj do pracy, i urządziwszy stosownie gospodarstwa, staramy się daléj odpowiadać naszemu powołaniu, w na-

dziei, że wytrwawszy najgorsze chwile, teraz już lżéj pójdzie: co daj Boże!

Hr. Uruski ma szkoda że nie prawdziwe przekonanie o zamożności tutejszych obywateli, dla których indemnizacya stała się *niespodziewaną gratyską*, a myśląc, że *mniejsza zapewne tylko szlachta* sprzedaje papiéry tyle korzystne, więksi zaś posiadacze ziemscy czekają cierpliwie na zrównanie dziś nienaturalego ich kursu. Najprzód pozwoli hr. Uruski, że zrobię mu zapytanie, co stanowi kraj i mieszkańców: czy większa część, lub indywidua wyjątkowe? Nie wątpię, że jest część obywateli zamożnych, posiadających nietylko obligacye indemnizacyjne, ale i metaliki austryackie, konsolidy angielskie, renty francuzkie i t. d. co wszystko jednak na kraj cały bardzo małą summę wyniesie, bo mniejsza szlachta, jak się hr. Uruski wyraża, nie opływa w dostatkach, a walcząc z dziesięcioletnim nieurodzajem i kosztownym najmem rąk, nie była w stanie wyciągnąć dochodów z ziemi do pokrycia podatków rządowych, administracyi majątku, a nareszcie utrzymania jakiegokolwiek siebie i swoich, oczekując zawsze, że będzie to jakoś lepiéj; ale podobne oczekiwanie bardzo kosztowne, bo zjadło po części kapitały indemnizacyjne, których część już poszła na spłacenie długów, jakich dosyć w kraju, a tak po dziesięciu upłynionych latach możnaby się obliczyć, ile tych korzystnych papiérów wyszło z kraju za granicę, a ile ich zostało w rękach zamożnych, a dopierobyśmy się przekonali, czy kraj opływa w dostatkach, i ile posiada kapitału ruchomego, w stosunku jakiby posiadać powinien. Że między stoma, dziesięciu jest w dobrym stanie, nie dowodzi bogactwa, tak samo jak dziesięciu biédnych między stoma bogatemi, nie dowodzi ubóstwa: w piérwszym wypadku nie ma nikogo do pomocy, a w drugim dziewięciu nie dadzą dziesiątemu zginąć.

Pytam się teraz znającego nasze stosunki, do jakiéj kategoryi mieszkańcy naszéj prowincyi należą? Co się tyczy pięć milionów podpisanych na koléj żelazną, mało bardzo, stosunkowo $^{10}/_{100}$ chętnie i na czas złożono; to tylko dodam, że podpisy były robione w chwili szału i zysku giełdowego, który był opanował całą Europę, a koléj galicyjska obiecywała tysiączne zyski; za niemi więc wszyscy, jak na łeb lecieli o ile mogli. Teraz, że szał minął, a szałowi liczby robią miejsce, bardzośmy ostygli do wszelkich przedsięwzięć kapitałowych, nie czując się na sile wytrwania do ostatniéj dobréj chwili oddalonéj w niepewności,

i wątpią, by nową rozpisaną summę przeszło dwóch milionów, z którą się do kraju odezwano, kraj pokrył.

Szanowny autor sądzi, że *Galicya jest na drodze wydzierżawiać rozdrobnione folwarki kmieciom:* jakże się dalece hr. Uruski w tém myli! Widać że nie rozpatrzył się dokładnie w nasze stosunki, i nie zna sposobu myślenia pod tym względem obywateli tutejszych. Bezwątpienia, że przy tyle uciążliwém gospodarstwie, które pomimo pracy i nakładów tak często zawodzi, i odpowiednich rezultatów nie wykazuje: pomimo przywiązania szlachcica do roli, nie jednemu myśl ta przychodzi, i wolałby nawet bezczynne życie prowadzić wydzierżawiając swe łany, byle sobie zapewnić sposób utrzymania, i możność wychowania dzieci; by przecież ród téj mniejszéj szlachty nie zginął: jednak te wszystkie słuszne uwagi nie mogą doprowadzić nikogo do podobnego zakierowania majątkiem, bo stosunek własności nie jest dostatecznie w Austryi oznaczony; i kiedy można było grunta przez włościan trzymane, tymże na własność za wynagrodzeniem oddać: dlaczegóż kiedyś przy nowém jakiémkolwiek wstrząśnieniu społeczeństwa nie oddanoby naszym świeżo kreowanym czynszownikom, również za wynagrodzeniem, łany rozdrobione przez nich dzierżawione, a właściciel zostałby w swoim dworku lub pałacu z rodziną bez piędzi ziemi, z nadzieją jakichś bardzo korzystnych papierów, jak mamy tego dowody w arcyksięztwie austryackiém, Tyrolu, Styryi, gdzie panowie dawniéj wielkie posiadający majątki w ziemi, siedzą dziś w swych zamkach ograniczeni na ogrody i dziedzińce. W naszym wieku wywłaszczania i niepewności, niech na ulicy Paryża jeden gamin w nieszczęśliwą porę wystrzeli, może znowu rok 1848 się powtórzyć; a o ile sobie przypominamy, kursa papierów *korzystnych* wtenczas nie były osobliwe, wnetbyśmy się pożegnali z resztkami dowodów dawnéj zamożności. Czy hr. Uruskiemu niewiadoma jest procedura sądowa w państwie austryackiém, gdzie każdy najmniejszy proces trwa jak długo się podoba panom adwokatom? Prawdziwe byłoby dla nich żniwo przy pomnożeniu małych dzierżawców: wszyscyby zbierali korzyści prócz właściciela. Szanowny autor mówi, że *wójtostwa w r. 1851 i później pozostały w rękach dziedziców.*

Jest to nam bardzo miła nowina, o któréj pomimo że jesteśmy obywatelami tutejszemi, nic nie wiemy. Od roku 1848 do 1854 posiadali wójtowie gminy wyłączną władzę policyjną w każdéj wsi nad wszystkiemi jéj mieszkańcami, nie wyłączając da-

wnych dziedziców; z tego powodu często oczywiście nieprzyjemny stosunek wynikał całkiem nienaturalny, poddający ludzi cywilizowanych chłopu niedawnemu poddanemu; dopiéro 1854 r. oddzielono gminę od właściciela większego i teraz stanowimy dwie odrębne nic z sobą wspólnego nie mające gminy w jednéj wsi. Pozwoli więc hr. Uruski sobie powiedzieć, że wolno każdemu zapatrywać się z jakiegokolwiek stanowiska, ale o faktach trzeba być przekonanym. Szanowny autor także utrzymuje, *że rząd austryacki starał się od lat 80 zapobiedz niechęci rolników do pracy*. Nie jestem wtajemniczony w skrytości rządu austryackiego, dlatego nie wiem nic o chęciach i dążeniach wyższych sfer rządowych: sądzę rzeczy z tego co widzę; więc jeżeli hr. Uruskiego twierdzenie jest prawdziwe, to skutek nie uwieńczył środków, bo włościanin tutejszy po 80 latach upłynionych bardzo jest leniwym i nieskorym do pracy. Będąc gospodarzem, jestem najlepiéj w stanie osądzić doświadczając codziennie, i mogę ręczyć autorowi, że w okolicy mojéj zkąd piszę ludzie o dziesiątéj rano na zarobek wychodzą, a sobie toż samo nie wcześniéj. W żniwa rzną na dzień po 25 snopów, koszą jarzyny ledwo $^1/_3$ morga: do tego wielka część ich pól leży odłogiem albo je przedają lub wynajmują żydom lub chrześcianom za najlichsze pieniądze, byleby próżnowali.

Całe dziełko *Wola i niewola pracy* jest napisane według zdania tutejszych obywateli w różowém świetle, ale zupełnie niezgodne z rzeczywistością; gdyby hr. Uruski potrzebował na mniejszym majątku galicyjskim gospodarować, żyć i pracować, wnetby innego przekonania nabrał o zamożności kraju, o stałéj własności i tém podobnie; a to co czytamy, są myśli bardzo piękne, ale do niczego nie prowadzą, bo każdy jest w stanie dowieść ich nieprawdziwości. Oddaję sprawiedliwość szanownemu autorowi, że nie żałuje pracy dla zajęcia się naszą prowincyą; ale prosilibyśmy o bliższe rozpatrzenie się w stosunkach krajowych, a nie wątpię, że światłe rady, jakich nam udzielić zechce, wpłyną korzystnie i wdzięcznie je przyjmiemy.

Ze Lwowa, 9 październ. 1857 r.

Leon hr. Lewicki.

PRZEGLĄD MUZYKALNY.

Studya nad muzyką dramatyczną czyli operą.

(Dokończenie).

Maciéj Kamieński urodził się dnia 13 października 1734 roku w Oedenburgu, miasteczku węgierskiém, nad granicą austryacką. Początków muzyki uczył się w nadwornéj kapeli hrabiego Henkel ówczesnego tych dóbr właściciela, a następnie w Wiedniu edukacyą swoję uzupełnił. O pierwiastkowém życiu jego, równie jako i o przybyciu do Polski tyle tylko wiadomo, że przez czas dosyć długi trudniąc się w Warszawie dawaniem lekcyi muzyki, pozyskał sobie opinią biegłego nauczyciela, a przez skomponowanie opery *Nędza uszczęśliwiona*, imię jego stało się głośném w całém kraju.

Ten pierwszy swój dramatyczny utwór, Kamieński przypisał Stanisławowi Augustowi w te słowa:

«Panowanie Waszéj Królewskiéj Mości oprócz poprawienia rządu, wskrzeszenia nauk i wprowadzenia różnych kunsztów do kraju, będzie w kronikach narodowych najpierwszą epoką otworzenia teatru polskiego. Zachęcone protekcyą Waszéj Królewskiéj Mości dowcipy poddanych dokazały tego, że teatrum polskie co do komedyi, z najprzedniejszemi w Europie równać się poczęło. Niedostawało mu jeszcze opery, muzyki. Jaśnie Wielmożny ksiądz Fr. Bohomolec, jako pierwszy w Polsce komedyc oryginalne pisać zaczął, tak też najpierwszy wydał operetkę pod tytułem *Nędza uszczęśliwiona*. Doświadczając sił swoich przydałem do niéj muzykę. Powodzenie onéj tak było pomyślne, a co większa dla mnie, iż Waszéj Królewskiéj Mości aprobacyą pozyskałem; chcąc tedy wieczną zostawić pamiątkę tak oświadczonéj mi w tém łaski Waszéj Królewskiéj Mości, jako i przysługi mojéj najpierwszéj narodowi uczynionéj, odważam się tęż samę operetkę z jak największą pokorą ofiarować Waszéj Królewskiéj Mości, i mnie samego najłaskawszéj oddać protekcyi.

Waszéj Królewskiéj Mości
Pana mego Miłościwego
Wierny poddany i najniższy podnóżek
Maciéj Kamieński.

Anno 1778.»

W téj chwili dwa egzemplarze powyższéj opery mam przed sobą: jeden tak nazwany *Klawierauszug* na głosy z fortepianem, łaskawie mi udzielony przez szanownego badacza starożytności Warszawy Alexandra Wejnerta, a o którym już podał wiadomość Wojcicki w *Cmentarzu Powązkowskim*; drugi zaś w zupełnéj orkiestrowéj partyturze będącéj własnością biblioteki teatrów warszawskich (1). Na piérwszym z nich zaraz po dedykacyi znajduję następujący napis skreślony własną ręką Kamieńskiego:

„Te śpiewy *po modnemu* nie są skomponowane dla krytykusów, ale dlatego, aby takie Polacy śpiewali.“

Głos fortepianowy zlekka i to tylko w przegrywkach gdzieniegdzie wypełniany harmonią, a zwykle sam bas i to w jednem *rondzie* czasami cyfrowany, towarzyszy śpiewom. W duecie piérwszego aktu wiolin tło stanowi, a w finale drugiego aktu aż dwa wioliny, czyli głosy skrzypcowe przegrywkę rozpoczynają. Do partytury orkiestrowéj wchodzą instrumenta z góry w następujący sposób ułożone:

1 2	Waltornie.
1 2	Oboje.
1 2	Flety.
1 2	Skrzypce.
1	Altówka.
1	Bas.

Symfonia (uwertura) w tonie *D* dur takt $^4/_4$ *allegro molto*, rozpoczyna operę i ciągnie się przez 140 taktów. Motyw tego allegra i sposób obrobienia, nie posiada dla nas dzisiaj żadnéj artystycznéj wartości. Po niém idzie ładne *adagio G* dur $^3/_8$ taktów 60, w którém waltornie i oboje milczą, a wchodzą do piéro w kończącém tę symfonią *allegrze D* dur $^3/_8$ taktów 77, w kształcie ronda dosyć zgrabnie i lekko pomyślaném.

(1) Winienem tu złożyć publiczne podziękowanie dyrektorowi teatrów p. Jasińskiemu, i sekretarzowi biblioteki, zasłużonemu artyście panu Świergockiemu, którzy z największą uprzejmością zachęcali mię do niniejszéj pracy, ułatwiwszy możność czerpania ze źródeł znajdujących się w archiwum teatrów.

Osób występujących jest pięć:

	głosy	aktorowie
Mieszczanin kochający Kasię. .	bas.	Bagiński.
Kasia kochająca Antka	sopran.	Desznerówna.
Anna wieśniaczka matka Kasi.	sopran.	Gronowiczówna.
Antek wieśniak.	tenor.	Bogusławski.
Rozkazywalski Podstarości . . .	bas.	Harasimowicz.

Dla każdéj z nich Kamieński popisał arye; i tak piérwszą zaraz śpiéwa Anna:

„Wiem że poczciwy i nie ma wady,
Ale ubogi nie da nam rady.“

Rozpoczyna ją *andante G* dur $^2/_4$ rytmu nieco krakowskiego; następnie do słów:

„Poczciwość teraz nie daje chleba.“

Largo ułożone jest z sześciu taktów *adagia* z uwertury, po którém znów piérwsze andante następuje. Z przegrywkami pieśń ta zawiéra taktów 105, więc co do rozmiaru może się równać niejednéj w nowszych operach kawatynie. Główna jéj melodya wiele ma wdzięku i świeżości, a nawet pewnéj wprawy ze strony śpiewającéj osoby wymaga; gdyż na jednę syllabę kompozytor 27 nut, dwa i trzy razy wiązanych umieścił, czterokrotnie to samo powtarzając. W tamtych czasach mogło to ujść w operze, gdyż śpiewacy mieli zwyczaj częstemi fioryturami melodyą ozdabiać tak, że nieraz wyglądała ona jak z pod ufryzowanéj peruki (1). Dziś zaś tego rodzaju wokalizacya układa się tylko dla śpiewaczek, posiadających nadzwyczaj giętki i wyrobiony organ: a zwykle w szkolnych ćwiczeniach jedynie jest używaną. Dziwić się należy, iż Kamieński pisząc muzykę dla osób zupełnie prawie jéj nieposiadających, i piérwszy raz dopiéro w operze występujących, nie zachował dostatecznéj prostoty w desenin melodyjnym. Owszem, interwale nadzwyczaj są rozległe; nagromadzenie z apodżiaturami wielu nut na jednę syllabę dosyć częste w całéj téj piérwszéj operze polskiéj: dziś nawet nie każdy z naszych śpiéwaków byłby w stanie dokładnie to wykonać. Bezwątpienia Kamieński starał się jak najprzystępniejszą muzykę skomponować, lecz ulegając ówczesnéj modzie poszedł za jéj

(1) Dopiéro piérwszy Rossyni ujął w kluby ten zabójczy nieraz dla muzycznego pomysłu kompozytora zwyczaj, i sam oznaczając rullady, forszlaki, apodżiatury i kadencye, nie dozwalał już śpiewakom niemi samowolnie rozporządzać.

prawami; a może też piérwsi śpiewacy polscy posiadali ogromną z natury łatwość wokalizowania. Więc chociaż Kamieńskiemu się zdawało, iż kompozycya jego stosunkowo do włoskich utworów jest bardzo przystępną i łatwą, wszelako wiele w niéj się jeszcze znajduje miejsc trudnych do wykonania. Dziś każdy z kompozytorów stara się głównie o to, ażeby melodye jego były w blizkich od siebie interwalach układane, bo tym sposobem większa w nich jest płynność i naturalność, czyli prostota; a zatém łatwiéj nietylko przez śpiewaków z powołania, ale nawet i przez ogół całéj publiczności wykonywanemi być mogą: weźmy za przykład piérwszą lepszą znaną powszechniéj melodyą, albo zajrzyjmy do dzieł znakomitych mistrzów w sztuce, a w ich utworach znajdziemy właśnie powyższą zasadę ściśle zachowaną. Oczywiście, sama sytuacya dramatyczna wymaga nieraz gwałtowniejszego i rozmaitszego układu tonów melodyi; lecz gdy spokojne i tkliwe uczucia muzyka ma wyrażać, tam należy unikać częstego przeskakiwania do kwint, sekst, oktaw, albo i daléj, a co jednakże w partyturze Kamieńskiego gęsto się spotyka. Zresztą gust w muzyce od owego czasu wielce się zmienił: to co wówczas uchodziło za piękne i konieczne, dzisiaj wcale nam się inaczéj wydaje; dlatego też nie obwiniam Kamieńskiego, że ulegając wpływowi czasu w którym żył, w stylu swoim wyraził cechę ówczesnego smaku; a ponieważ śpiewacy, dla których tę operę komponował, byli w stanie muzykę jego należycie wykonać, o czém jednakże wątpić nie można, to tém gorzéj dla nas, jeżeli ona dzisiaj zatrudną nam się wydaje.

Drugim numerem z porządku jest arya Kasi *Es* dur ¾ *Largo*. Piosnka ta do słów:

«Matko kochana, te słowa twoje
Wskróś mi przeszyły duszę.“

rzewna i tęskna, z pięciu taktami recitativa, bardzo staranny ma akompaniament; lecz żadnéj cechy gminnéj nie posiada, a raczéj romansemby ją nazwać można.

Po niéj następuje arya mieszczanina *G* dur ²/₄ *allegro moderato*:

„Na żadnéj u mnie wygodzie nie zbywa,
Uczciwie sobie żyję:
Co dzień u stołu mięso i dzban piwa,
A czasem i miód piję.“

Rytm téj piosnki dosyć potoczysty i przystępny; mniéj kształtną jest arya Antka *F* dur ¾ *Largo* w sopranowym kluczu pisana:

„Niech serca twego nie dręczy troska,
Będziem dość mieli chleba wszyscy troje.“

Allegro molto $^2/_4$ (taktów 41) będące jéj zakończeniem, w melodyi i w instrumentacyi nic ciekawego ani pięknego nie przedstawia.

Akt piérwszy kończy duet Kasi i Antka, *Vivace D* dur $^2/_4$:

„Idźmyż czémprędzéj, a myślmy o sobie,
Bóg nie opuszcza biédnych w smutnéj dobie.“

Ustęp ten zawiérający taktów 104, jeżeli nie jest bogaty w melodyą, to pod względem obrobienia technicznego, udatniejszym jest od powyższych. Są miejsca, w których twórca muzyki zręcznie bardzo rozporządził instrumentami orkiestrowemi, nawet w modulacyach śmielszym się okazuje; wprawdzie wycieczki jego ograniczają się tylko do zaglądania w sfery pokrewnych tonacyj, krótko w nich bawi i zaraz wraca do głównego tonu, jak gdyby nie ufał sobie, jak gdyby się lękał zaplątać i zgubić w ścieżkach prowadzących do szerokiego kraju harmonii; jednakże całość tego ductu zważając na czas w którym go Kamieński pisał, niezawodnie do najlepszych jego muzycznych utworów policzonym być powinien.

Akt drugi rozpoczyna druga *symfonia*, czyli uwertura, w tonie *Es* dur $^4/_4$ *allegro assai* taktów 125. Styl jéj atoli nosi w sobie cechę dawniejszą, niżby się tego spodziéwać można było, i niewiele ma wartości muzykalnéj.

To samo można powiedzieć o piosnce Kasi *Es* dur $^4/_4$:

„Ach! okrutniku, to twoje pytanie
Pomnaża w biédném sercu mojém trwogę.“

zbyt długiéj stosunkowo do innych ustępów. Lecz ładną bardzo jest arya Anny *C* minor *largo* $^3/_4$:

„Żegnam cię Kasiu, Kasiu dziécię moje:
Niechaj tu Antek twój o tobie radzi.“

Króciutka to piosnka, ale miła. Nie wiedzieć zkąd wziął się tu fagot w akompaniamencie; wprawdzie waltornie i oboje ustąpiły mu miejsca, jednakże gdy nie widzę go w uwerturach ani też w innych ustępach opery, sądzę, iż Kamieński w owym czasie przeznaczył mu tę samę rolę, jaką dzisiaj odgrywa w niektórych operach rożek angielski, tojest wtedy tylko występuje, gdy ma solo do wykonania, i istotnie całą pieśń Anny w niższéj oktawie dubluje.

Arya mieszczanina *C* dur $^2/_4$ *Un poco allegro:*

„Zwyczaju panów jeszcześ ty nie pozuał,
Na pięknych słówkach nigdy im nie zbywa“

ma w sobie dosyć melodyi. Po niéj idzie także arya basowa podstarościego *G* dur $^2/_4$ *Vivace:*

„Nie pan to, dziatki, lecz ojciec prawdziwy“

nie łatwa do wykonania, bo w wysokiéj skali pisana i obfitująca w nuty dwa razy wiązane.

Polonez Kasi *G* dur:

«Jaką w tém krzywdę serce twoje czuje,
Że nieszczęśliwych ludzi pan ratuje“

i *rondo* Antka *A* dur *moderato* $^2/_4$:

„Nigdy jak dzisiaj nie czułem rozkoszy.
Kasia mi serce, pan majątek daje“

są najpiękniejszemi numerami w całéj operze. Dziś nawet pomimo różnicy czasu, *rondo* każdemu podobać się musi, taka w niém jest potoczystość i świeżość melodyi, taka zręczność w instrumentacyi. Fagot znowuż do działania powołany, śpiew dubluje, a oprócz fletów, wszystkie inne instrumenta zlekka towarzyszą.

Arya Anny *A* dur *largo* $^3/_4$:

„Torbo kochana, majątku mój cały,
Już się w tym razie obejdę bez ciebie“

w piękności nie ustępuje dwom powyższym, i trzy te pieśni były rozkoszą ojców naszych; bo skoro tylko na scenie posłyszane, natychmiast wszyscy w kraju nucić je poczęli, a tak w miastach, jako i po wiejskich dworkach szlacheckich, w krótkim czasie upowszechnionemi zostały.

Finał w którym wszystkie osoby udział biorą *D* dur moderato $^2/_4$:

«Czyjegoż serca, czyjejże duszy
Dobroć takiego pana nie wzruszy“

niewielki rozmiarem, lecz kształtny w całości, kończy tę pierwszą polską operę.

Treść jéj chociaż osnuta na tle gminno-narodowém, jednakże w muzyce niewiele przedstawia żywiołu miejscowego; właściwie jeden tylko polonez Kasi ma nieco wydatniejszy charakter, wszystkie zaś inne pieśni do pierwszego lepszego libretta zastosowane być mogą. Jakkolwiekbądź, pomimo usterków

w prowadzeniu wokalném głosów, od czego nawet pieśń: «Torbo kochana, majątku mój cały» nie jest wolną, (bo w niéj także dwa razy 29 nut na jednę syllabę, a raz 37 nagromadzonych znajduję), pomimo, że akompaniament orkiestrowy (jeżeli tych kilka instrumentów orkiestrą nazwać się godzi) często nieśmiały i pusty: przeto niemnejszą jest zasługa Kamieńskiego, iż on pierwszy operą polską, lubo w szczupłych rozmiarach przysłużył się narodowi. Nie było człowiek wielkiego twórczego talentu, lecz znał swą sztukę dostatecznie, by przyzwoicie i korzystnie dla siebie z podobnéj pracy mógł się wywiązać; pomysły jego melodyjne nie mają w sobie nic nadzwyczajnego, ale są miłe, a jak już powiedziałem, *rondo* Antka pod względem piękności melodyi, każdemu z lepszych dzisiejszych kompozytorów zaszczytby przyniosło. *Nędza uszczęśliwiona* pomimo ogromnego zapału, jaki wzbudziła pomiędzy ówczesną publicznością, dwa razy tylko daną była, a to z następującego powodu:

Książę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, po konfederacyi Barskiéj zamieszkawszy w Paryżu, wcale do kraju wracać nie myślał; w opustoszałym więc pałacu jego w Warszawie urządzono teatr publiczny, jedyny jaki natenczas stolica posiadała. Kwitnący stan interesów przedsiębiercy spowodowany głównie polskiemi widowiskami, a mianowicie pierwszą operą narodową, dozwalał mu z ufnością rozwijać zasoby repertoaru; już nawet zachęceni powodzeniem artyści polscy zaczęli się uczyć oper francuzkich, umyślnie w tym celu dla nich przetłumaczonych, jakoto: *Bednarz* Audinot'a, *Dwoj Strzelcy* Duni'ego, i kilka innych, gdy niespodzianie pełnomocnicy wojewody rozkazali ustąpić wszystkim z gmachu, ażeby poczynić w nim należyte na przyjęcie powracającego właściciela do Warszawy przygotowania. Rozkaz ten wydano wtenczas, gdy książę Panie Kochanku zaledwie o kilkanaście mil od stolicy był oddalonym. Przedsiębiorca i artyści zostali jak piorunem rażeni tą wieścią; żadne przełożenia, żadne ofiary nic nie pomagały, i w czterdziestu ośmiu godzinach musieli wszyscy ustąpić z pałacu, a w przeciągu tygodnia, już nawet i śladu po teatrze nie zostało.

Nieszczęśliwy Montbrun doznał losu, jakiego zwykle doznają ludzie poczciwi, gdy zbytecznie innym ufają. Utracił on nietylko nadzieję wynagrodzenia strat, w celu wydoskonalenia teatralnych widowisk poniesionych, a których przedsiębierstwo na lat trzy miał sobie zapewnione; lecz doznał jeszcze prześladowania ze strony osób, które go do podjęcia się tych trudów

namówiły. On piérwszy dowiódł, iż scena ojczysta może się obejść bez wszelkiéj obcéj pomocy, jeżeli dobrze i porządnie jest administrowaną. On także przekonał ile były niesłuszne wyrzekania na nią dawnych przedsiębierców. Nieprzyjaciele jego poduszczali wszystkich artystów do upominania się zapłaty za całe trzy lata, na jakie z nimi zawarł umowę. Jego właśni spółrodacy, piérwsi wytoczyli mu proces; Polacy zaś, wyjąwszy tych, którzy byli zawsze zwolennikami dawniejszych przedsiębierców, pamiętni dobroci i troskliwości o ich własne dobro nieszczęśliwego teraz zwierzchnika, zrzekli się swoich należytości. Sprawa ta prędko i zawzięcie przez francuzkich aktorów popiérana, byłaby przyprawiła Montbrun'a o utratę całego mienia, a nawet osobistéj wolności, gdyby adwokaci nie byli go przymusili do złożenia przed sądem zrobionéj na piśmie spółki przedsiębierstwa z kilku bogatemi osobami, co należąc piérwéj do zysków, od straty odsunąć się chciały. Wyrokiem sądu zostały one przymuszone złożyć do końca roku należącą się pozywającym artystom trzechmiesięczną zapłatę, a tak biédny Montbrun, wyszedł z téj sprawy choć w części ocalony. Wróciwszy do dawnego sposobu życia, znalazł on wszędzie politowanie i szacunek poczciwych ludzi.

Tym sposobem Warszawa pozbawioną została rozrywki, do któréj się od dawna przyzwyczaiła, a bez któréj obejść się już nie mogła. Rozmaite projekta jedne po drugich przedstawiano monarsze, co do obrania miejsca na widowiska teatralne. Większa część artystów rozeszła się na różne strony, szukając dla siebie zatrudnienia, któreby im się wyżywić dozwalało; aż nareszcie wyszedł rozkaz wybudowania umyślnego dla stolicy teatru, na co 540,000 złp. ze skarbu królewskiego przeznaczoném zostało. W rok późniéj, tojest 1779, stanął nowy teatr, lubo niedosyć dokładnie i wygodnie (jak za tak wielką summę można było wymagać) zbudowany, a przedsiębiercą onego został obrany Bizesti, który poprzednio jeszcze był danym do pomocy nierozumiejącemu języka polskiego dyrektorowi teatru Gaillardowi; główny jednakże zarząd widowisk, jakotéż i przywiléj, został przy Ryxie.

Gdy wezwano polskich artystów, i ugody z niemi poczyniono, natychmiast skrzętnie wybraniem sztuk, wyuczeniem ról, i probami wszyscy się zajęli; a że opery najwięcéj były od publiczności lubiane, i za dawniejszego przedsiębiercy najwięcéj dochodu czyniły, postanowiono więc po piérwszém przedsta-

wieniu komedyi, w dniu 7 września, *Amant, Autor i Sługa* (tłumaczenie Bogusławskiego), dać zaraz także operę. W tym celu wybrano francuzką Audinot'a *Bednarz*, a Bogusławski przełożył z włoskiego operę z muzyką Sacchini'ego: *Dla miłości zmyślone szaleństwo*. Sztuka ta przed dwoma laty wielce się podobała, a nawet niektóre z niéj motywa upowszechniły się pomiędzy publicznością; szło tylko o wybór śpiewaczki. W gronie artystek polskich jedna pani Truskolaska mogła z powodzeniem zastąpić ulubioną włoską śpiewaczkę Bernardi, która wybornie w téj operze główną rolę przedstawiała.

Truskolaska obdarzona piękną urodą, ładnym lubo niezbyt mocnym głosem, daleko lepszą była od poprzedniéj aktorką; lecz znając uprzedzenie ówczesnéj publiczności naszéj, wielbiącéj zazwyczaj wszystko co cudzoziemskie, długo wzdragała się wystąpić w téj operze z obawy, ażeby jéj nie posądzono, iż chce walczyć o piérwszeństwo z tak znakomitą śpiewaczką; aż nareszcie uproszona i zachęcona od ludzi, dobro naszéj sztuki przedewszystkiém mających na celu, przyjęła rolę, a doskonale wystąpiwszy w téj operze, słuchaczom wielką przyjemność, i sobie chlubę zjednać umiała. Długo publiczność nie mogła się nasycić pięknością muzyki Sacchini'ego, i doskonałą grą występujących w niéj artystów. Zaraz potém wystawiono drugie tegoż kompozytora dzieło pod tytułem: *Nowa Osada*. Kamieński zachęcony powodzeniem swéj piérwszéj opery, napisał drugą do słów Szymańskiego *Zośka czyli wiejskie zaloty*, a późniéj *Prostota cnotliwa* (słowa Bohomolca), wkrótce kolejno po sobie na scenie nowego teatru przedstawione. Treść *Zoski* wesoła, może nieco rubaszna, jak przystoi utworowi osnutemu na tle żywiołu ludowego, wymagała muzyki również wesołéj, a nacechowanéj rytmem sielskich pieśni; Kamieński tym razem umiał szczęśliwie wywiązać się z zadania: z wzorów muzyki gminnéj ułożył całość wdzięczną, i tak zawsze miłą naszéj wszelkiego stanu uczęszczającéj do teatru publiczności, iż opera ta w ciągu jednego roku 76 razy z wielkiém powodzeniem wystawioną była. Nawet teatra prowincyonalne, które się już pomyślnie w Nieświeżu, Lublinie, Poznaniu i t. d. rozwijały, powodzenie swoje głównie winne były téj operetce. W ciągu czterech lat następnych, tenże kompozytor napisał jeszcze opery następujące: *Balik gospodarski* (słowa Zablockiego), *Słowik* (słowa Witkowskiego), i *Tradycya załatwiona* (także Zablockiego). Ostatniém w stylu dramatycznem dziełem Kamieńskiego była *Kantata*, którą

z rozkazu królewskiego napisał w 1792 roku, na uroczystość odkrycia pomnika wystawionego w Łazienkach, dla Jana Sobieskiego. Utwór ten kilka razy powtarzany w teatrze, zjednał Kamieńskiemu niemało rozgłosu, a Stanisław August obdarzył go nagrodą 50 dukatów w złocie (1).

Pomyślność atoli stołecznego teatru nie trwała więcej nad półtora roku. Niespodziewane oddalenie się najlepszych aktorów, jak Truskolaskich, Owsińskiego i Bogusławskiego do Lwowa w 1781 r., zmusiło resztę pozostałych artystów do grywania małych tylko sztuczek. Drobne operetki francuzkie: *Dwaj strzelcy* Duni'ego, *Skąpcy* Gretre'go, *Kowal* Philidor'a, chociaż zabawnéj treści, nie przypadały jakoś do smaku ówczesnéj publiczności; więcéj w nich było krzyku jak śpiewu, interesa zatém teatru coraz były w gorszym stanie, bo publiczność nie chciała uczęszczać na nędzne widowiska, i pomimo zdolności niektórych aktorów, jak Świeżawskiego, Hempińskiego, Bellerowéj, Gronowiczowéj i innych, teatr byłby uległ zupełnemu upadkowi, gdyby nie to, że rozkazem monarchy zwierzchnictwo nad nim oddane zostało stolnikowi koronnemu Moszyńskiemu, a ten powagą swoją i gorliwém staraniem przybranego do pomocy dyrektora Gaillard'a, zgodę i porządek na niejaki czas pomiędzy zdemoralizowanemi artystami przywrócił.

Rok 1782 do bardzo pomyślnych dla sceny polskiéj policzyć należy. Bogusławski zaraz z wiosną powrócił ze Lwowa do Warszawy. Moszyński ceniąc wielce talent i rozum tego artysty, skłonił go do przyjęcia udziału w gronie miejscowych artystów. Bogusławski, któremu Opatrzność zdawała się powierzać losy opery polskiéj, wymógł na zwierzchniku, iż wszelkich starań dokładać będzie, ażeby opery mogły być jak najczęściéj przedstawiane. Sam nawet Bogusławski podjął się kilka znaczniejszych włoskich na język polski przetłumaczyć. Ze wszystkich oper, jakie podówczas śpiewacy włoscy przedstawiali, najwięcéj podobały się: Paisiello'go *Fraskatanka*, Saliere'go *Szkoła zazdrosnych* i Cimarosi *Włoszka w Londynie*. Trzy te dzieła w 1780 r. przez wybornych śpiewaków wracających z Petersburga

(1) Oprócz dzieł powyższych, Kamieński napisał jeszcze dwie opery do tekstu niemieckiego: *Sułtan Wampun* i *Anton i Antonetta*; lecz nigdy na scenie przedstawionemi nie były. Połączony węzłem małżeńskim z Anną z Dobresów, piérwszego ślubu Gelinek, dożywszy lat 87, zmarł Kamieński 25 stycznia 1821 r. w Warszawie.

z wielkiem powodzeniem wielokrotnie przedstawiane były. Otóż Bogusławski powziął myśl przełożenia ich na ojczysty język. Śpiewaczki nasze śmieléj mogły zastąpić Włoszki, gdyż ani śpiewem, ani grą nie zostawiły one po sobie zbyt osobliwego wspomnienia; gorzéj już było z tenorami, lecz co im brakowało w głosie i śpiewie, grą wynagradzali; ale największa trudność była w zastąpieniu doskonalego basistę Brochi (buffo caricato), a bez którego o wystawieniu tych oper myśléć nawet nie można było. Nikt téj trudnéj roli podjąć się nie chciał, przewidując złe skutki jakieby dla artysty nastąpić mogły ze strony nieukontentowanéj publiczności, za podobne jéj lekceważenie i śmiałość w podejmowaniu się rzeczy niepodobnéj, jak mniemano dla Polaka do wykonania. Bogusławski widząc tak krytyczne położenie artystów, postanowił podjąć się téj niebezpiecznéj roli, poświęcając siebie i reputacyą swoję na niepewne losy wykonania. Gdy dnia 11 lipca w czasie reprezentacyi Bogusławski ogłosił, iż dnia 13 artyści polscy będą mieli zaszczyt przedstawić operę *Fraskatankę*, ogromny śmiech powstał na parterze; nikt wierzyć nie chciał, ażeby takie dzieło aktorowie nasi byli w stanie wykonać. Stanisław August obecny temu wypadkowi, poczuł w sobie obawę o los artystów, odważających się na krok tak zuchwały. Dnia następnego posłał na probę szambelana swego Wojnę znającego się na muzyce, by ocenił, czyli bez narażenia aktorów na jakowe zawstydzenie, zapowiedziana opera może być wystawioną. Artyści wyuczeni doskonale przez kapelmistrza królewskiéj orkiestry Gaetano, grali tak jak na przedstawieniu; Wojna musiał pochlebne o nich przed monarchą uczynić zeznanie, bo w chwili rozpoczęcia widowiska, Stanisław August zasiadł w swojéj loży, co niemało artystom dodało odwagi. Przedstawienie *Fraskatanki* najpomyślniejszym skutkiem uwieńczone zostało; publiczność w zapale nie szczędziła głośnych oznak zadowolenia, a artyści polscy z téj piérwszéj dla nich prawdziwie ogniowéj proby, z najzupełniejszym wyszli tryumfem: nawet sami nieprzyjaciele wzrostu i pomyślności ojczystéj sceny, których i wtedy nie brakowało, zmuszeni byli oddać należną sprawiedliwość operze polskiej. Dnia 14 listopada taż opera daną była na benefis Bogusławskiego, jako *założyciela opery narodowéj* (1), i poprzedziła ją scena liryczna *Pigmalion*, tłumaczona z francuzkiego wierszem, przez Węgierskiego.

(1) Obacz Roczniki Teatru Narodowego.

Tak więc pierwszy krok na téj drodze pomyślnie dokonany, zachęcił artystów do przedstawienia dwóch innych oper, to-jest: *Szkoły zazdrosnych* i *Włoszki w Londynie*. Zgromadzeni w tym roku obywatele na sejm, tłumnie na teatr uczęszczali, gdyż dla nich opera była niezwykłą nowością; dochody w kassie wzrosły do takiego stopnia, że nietylko popłacono długi z lat zeszłych pozaciągane, ale nawet przedsiębiercy trzy razy większe pobierali wynagrodzenie, aniżeli im się to prawnie należało.

W tym także roku Antoni Wejnert (1), nadworny muzyk króla polskiego, a zięć Kamieńskiego, wstępując w jego ślady, napisał operę pod tytułem *Skrupuł niepotrzebny*, która była na scenie wystawioną.

Wejnert urodził się dnia 2 czerwca 1751 r., w księztwie Friedland w Czechach. Ojciec jego skutkiem siedmioletniéj wojny utraciwszy cały majątek, nie mógł tak jak miał zamiar dzieciom swoim dać wyższego wychowania, a niechcąc ich jednakże zostawić bez sposobu do życia, kazał im się muzyki uczyć. Antoni w mieście rodzinném wykształciwszy się na biegłego artystę, zwrócił na siebie uwagę księcia Antoniego Lubomirskiego, który pod ten czas podróżował tamże wraz z królewiczową Franciszką z Krasińskich, małżonką Karola ks. kurlandzkiego, syna Augusta III. Lubomirski oceniając niepospolitą biegłość Wejnert'a w graniu na flecie, zabrał go z sobą do Polski. W Opolu, w rezydencyi księcia, młody wirtuoz miał sposobność poznać wielu znakomitych ludzi w 1773 roku odwiedzających to miejsce, a pomiędzy innemi biskupa krakowskiego Sołtyka, wielkiego amatora muzyki, z którym często grywał duety na flecie. W roku 1774 utraciwszy przez śmierć uczennicę swoję, a córkę królewiczowéj kurlandzkiéj, puścił się Wejnert do Warszawy, i gdy razu jednego w kościele Augustyanów podczas nabożeństwa odegrał solo na flecie, oczy wszystkich zwróciły się na niego. Zaraz też otrzymał miejsce pierwszego fletrowersisty w orkiestrze teatralnéj, gdzie przez lat sześćdziesiąt jeden do późnéj starości zostawał; a gdy go król Stanisław August usłyszał w kościele farnym ś. Jana 1778 r., umieścił Wej-

(1) Obacz spis wszystkich oper granych w polskim języku na teatrach warszawskich, od założenia polskiéj sceny, do miesiąca października 1820 r. zebrany przez L. A. Dmuszewskiego.

nerta w nadwornéj kapeli, w któréj do 1795 roku obowiązki swoje pełnił (1).

Drugą operę do słów Pierożyńskiego *Donner-weter czyli Kapral na werbunku*, mającą znaczne powodzenie, wystawił Wejnert w 1787 r, a ostatniém jego dziełem scenic polskiéj poświęconém, była opera *Diabeł Alchimista* (słowa Drozdowskiego), raz jeden tylko w 1808 przedstawiona.

W wielu znaczniejszych domach polskich udzielał Wejnert lekcye muzyki, ucząc śpiewu, grania na klawikordzie i innych instrumentach. U generała Filipa Raczyńskiego ośm lat przepędził, kształcąc w muzyce dwóch synów jego Edwarda i Atanazego. Powróciwszy do Warszawy zaprowadził Wejnert w mieszkaniu swojém na *Dulfusowskiem*, przy ulicy Nalewki, dwa razy na tydzień wieczory muzykalne, na które publiczność licznie się zgromadzała. Przykład ten wielu naśladowało, i wkrótce w Warszawie zagęściły się tego rodzaju muzyki. Gdy w roku 1811 staraniem Elsnera powstało towarzystwo muzyki kościelnéj, którą głównie u księży Pijarów wykonywano, Wejnert nietylko sam z rodziną swoją brał w niém czynny udział, lecz nawet wiele religijnych kompozycyj dla tegoż towarzystwa napisał. Obok ciągłego w teatrze zajęcia, jako nauczyciel publiczny, dawał lekcye śpiewu najprzód sierotom w szpitalu Dzieciątka Jezus od r. 1817 do 1824, a następnie powołanym został na nauczyciela śpiewu w dwóch klassach dla płci żeńskiéj do konserwatoryum, gdzie aż do końca istnienia tego naukowego zakładu, tojest do 1830 r. pełnił obowiązki. Jedném z dzieł ostatnich Wejnerta była *Kantata* z chórami, aryami, recitativami, wykonana w kościele Ewangelickim w Warszawie 1828 roku podczas świąt Wielkanocnych. Do 85 roku swego życia nie przestawał pracować w zawodzie muzycznym, zmarł zaś dnia 18 czerwca 1850 r. mając lat 100.

Lecz wróćmy do dziejów opery narodowéj.

Pomyślność stowarzyszonych pomiędzy sobą artystów, zwróciła uwagę ludzi powodowanych chciwością zysków. Skutkiem ich przebiegłości i różnego rodzaju intryg, zabronione zostało aktorom nadal pracowanie na swoję wyłącznie korzyść. Dnia 1 maja 1783 r. wezwano wszystkich do sal redutowych i uwiadomiono ich, iż przedsiębiercą widowisk polskich, nie-

(1) Cmentarz Powązkowski Wójcickiego.

mieckich (1), i na nowo zebranego baletu, mianowano księcia Marcina Lubomirskiego, a dyrektorem wszystkich artystów, wybrano Bogusławskiego. Dosyć pomyślnie rozpoczęła się ta antrepryza, dochody były znaczne i stałe, płaca regularnie do rąk artystów dochodziła; lecz niespodziewany wyjazd Lubomirskiego do Szląska, gdzie się udał w nadziei zawarcia pożądanego dla siebie małżeństwa, a następnie zupełne zrzeczenie się obowiązków przedsiębiercy, było powodem, iż z woli monarchy Bogusławski wraz z Kurtzem obrani zostali przedsiębiercami widowisk. (Nie pozwolono bowiem, ażeby artyści tak jak roku zeszłego, przez stowarzyszenie rządzili się sami; sekretnie zrobiono już umowę o sprowadzenie włoskich śpiewaków do stolicy, a pomyślność miejscowych aktorów mogłaby niekorzystnie oddziaływać na widowiska dawane przez cudzoziemców). Z nowych oper przedstawianych w ciągu 1783 roku były: *Don Juan* Albertini'ego, *Cekina* Piccini'ego i *Wieśniaczka u dworu* Sacchini'ego. Do osobliwości zanotować należy, iż dnia 16 grudnia Gaillard aktor francuzki, a przed rokiem dyrektor, wystąpił w operze *Bednarz*, grając całę rolę po polsku. W tym także roku Michał Lubomirski wezwał Bogusławskiego, by mu na kontrakty do Dubna przysłał aktorów: rozdzielił tedy towarzystwo zostawiając dramy i komedye w Warszawie, a na Wołyń wysłał samę operę. Powodzenie jéj tamże było ogromne, i gdyby nie szczupłość miejsca niedozwalająca większéj liczbie publiczności uczęszczania na te widowiska, byliby artyści wiele bardzo pieniędzy zrobili.

W kwietniu 1784 nowo sprowadzona opera włoska pod dyrekcyą Zapa, któréj *prima-donną* była panna Bacarolli, a *primo-uomo* Lamperi, rozpoczęła przedstawienia. Kurtz z baletem odstąpił artystów polskich, i przyłączył się do Włochów; Bogusławski nie mogąc swoich utrzymać, zmuszony był uwolnić się od przedsiębierstwa: a tak scena narodowa dla braku antreprenera, z dniem 7 czerwca zamkniętą została. Natychmiast wszyscy prawie aktorowie polscy opuścili Warszawę. Owsiński wezwany do Nieświeża, udał się tam dla przysposobienia widowisk na przyjęcie Stanisława Augusta, mającego przed sejmem grodzieńskim odwiedzić ks. Karola Radziwiłła, inni zaś

(1) Od roku 1781 bawiła w Warszawie truppa niemieckich aktorów, lecz nie mogąc wytrzymać współzawodnictwa z polskiemi, w kwietniu 1783 opuścili miasto.

udali się do Lublina, gdzie połączyli się razem w jedno stowarzyszenie. Truskolascy zaś, Świeżawski, Hempiński i Desznerowa pozostali w Warszawie, lecz nawet myśleć nie mogli o dawaniu widowisk. Kiedy scena polska na wszystkie strony rozpierzchnięta przemyśliwała nad uratowaniem się od ostatecznéj zguby i zniszczenia, przedsiębiercy włoskiéj opery i baletu widząc się panami pola bitwy, wysłali zaraz malarzy i maszynistów dla urządzenia teatru w Grodnie, gdzie ogromne zyski ich czekały.

Bogusławski patrząc z boleścią na stratę tyloletnich prac i trudów, nie stracił jednakże odwagi: zebrawszy pozostałych w Warszawie artystów udał się za królem do Nieświeża, w nadziei, iż uzyska pozwolenie obok włoskich śpiewaków na sejmie w Grodnie dawać polskie przedstawienia. Od czasu jak został obrany dyrektorem widowisk, miał on wolny wstęp bez zameldowania nawet na pokoje królewskie; upatrzywszy stosowną chwilę, złożył monarsze prośbę o zwrócenie łaskawéj jego uwagi na nieszczęśliwy stan artystów polskich, i upadek tyle już wydoskonalonéj sceny ojczystéj. Usłyszawszy Najjaśniejszy Pan powody rozproszenia się artystów inne wcale niżeli były te, które mu nieprzyjaciele narodowych widowisk donieśli, rozkazał natychmiast wezwać właściciela przywileju i zalecił, ażeby teatr polski pod zarządem Bogusławskiego koniecznie na sejmie miał miejsce. Musiano lubo niechętnie zrobić z nim umowę, atoli pod warunkiem, iż trzy razy na tydzień dając tylko widowiska, trzecią część dochodów musiał Bogusławski oddawać na rzecz przedsiębiercy włoskiéj opery. Chociaż nienajlepiéj na tém artyści nasi wyszli, przecie tę jednę korzyść scena polska zyskała, iż znów w pewne grono zebrani razem, wróciwszy do Warszawy, do końca grudnia tegoż roku obok cudzoziemców dawali kiedyniekiedy przedstawienia. Z nastaniem 1785 roku nie mogąc się utrzymać w stolicy, rozpierzchli się na wszystkie strony kraju: jedni w Poznaniu, drudzy we Lwowie, inni w Lublinie, Wilnie i Nieświeżu potworzyli małe stowarzyszenia, i tam smak i zamiłowanie do sceny ojczystéj pomiędzy współziomkami upowszechniali.

Przez pięć miesięcy nie było polskiego teatru w Warszawie. Niejaki Konstantini z towarzystwem niemieckich aktorów dawał przez parę miesięcy naprzemian widowiska z Włochami; lecz że publiczność oburzona rozproszeniem artystów narodowych, niechętnie na takowe uczęszczała, z końcem marca tak

Włosi jako i Niemcy miasto opuścili. Znów Ryx 19 czerwca objął antrepryzę w Warszawie, a zebrawszy niektórych pozostałych w stolicy aktorów, rozpoczął dawanie widowisk, atoli oper wcale wykonywać nie byli w stanie. Bogusławski bowiem z większą częścią dobrych artystów osiadłszy stale w Wilnie, zamyślał tamże wskrzesić operę polską, co mu się później pomyślnie udało, sprawiwszy ówczesnym mieszkańcom grodu Gedyminowego takiemi operami jak *Fraskatanka*, *Szkoła zazdrosnych*, tudzież *Zmyślona ogrodniczka* (Auffosse'go), nadzwyczajnie wielką przyjemność. W Warszawie jedynie tylko balet złożony z 60 dzieci płci obojéj, w Grodnie przez hr. Tyzenhauza rządcę stołowych dóbr królewskich, pod kierunkiem Le Doux baletmistrza sprowadzonego z Paryża uformowany, ściągał znaczną liczbę widzów do teatru. Ryx pragnąc koniecznie jakimkolwiekbądź sposobem powiększyć swoje dochody, uprosił Kamieńskiego, by mu wznowił operę *Nędza uszczęśliwiona*, którą zniszczył z powodu wyrządzonych mu przykrości przy pierwszych jéj przedstawieniach. Kamieński chętnie się na to zgodził, chociaż aktorowie nie posiadali odpowiednich zdolności ku temu, przecież publiczność zachęcona muzyką, skorzéj chodziła do teatru. Około września, opera włoska ukazała się na scenie i do grudnia dawała przedstawienia (1).

Rok 1786 pomyślniejszym był nieco dla sceny polskiéj. Panna Sitańska córka kapelmistrza niegdyś Tyzenhauzowskiéj kapeli, pięknym swym głosem i urodą, wystąpiwszy w operze *Dla miłości zmyślone szaleństwo*, wielkie zyskała powodzenie. Kaczkowski, tenorzysta, z Dubna do Warszawy za namową Bogusławskiego przybyły, zwiększył grono artystów, że byli w stanie kiedyniekiedy choć mniejsze wykonywać operetki, a gdy powróciła znów na scenę pani Truskolaska, i pani Jasińska nowa śpiewaczka, wystąpiła pierwszy raz w maju w operze *Zazdrości wieśniacze*, tłumaczonéj z włoskiego przez Pierożyńskiego, odtąd i większe nawet opery grywać się ośmielili.

Zbliżający się sejm w Warszawie wkładał na przedsiębiercę widowisk obowiązek powiększenia truppy artystów polskich; zniósłszy się w tym celu Ryx z Bogusławskim, zakontraktował

(1) Była to ta sama truppa, która już w 1780 r. w Warszawie dała kilka przedstawień; lecz tym razem ozdabiał ją sławny śpiewak *soprano* Marchesini, pięknością śpiewu i wyborną grą wprowadzający wszystkich w podziwienie.

wszystkich w Wilnie, pod zarządem ostatniego będących aktorów. Lecz gdy w skutek niedotrzymania umowy o zakupienie rekwizytów teatralnych, Bogusławski nie chciał ich rozpuścić, pełnomocnik Ryxa gwałtem prawie uwiózł niektórych z Wilna, i z niemi do stolicy pospieszył. Pani Pierożyńska i Nowicki zasilili zaraz operę polską wystąpieniem 13 lipca w *Włoszce w Londynie*. Ryx z pozostałych w Warszawie śpiewaków włoskich utworzył także drugą operę, a w październiku w czasie sejmu, na codziennych polskich przedstawieniach pełno słuchaczy bywało. Z nowych oper wystawiono: *Zazdrości wieśniacze* (Sarti), *Johanka i Bernradon* (Cimarosa), *Zazdrośnik na doświadczeniu* (Anfossi), *Kochanek zazdrosny* (Gretri), *Diabła wrzawa* i *Piękna Arsena* (Monsigni).

W roku 1787 włoska opera nie mogąc się utrzymać obok polskiego teatru, coraz rzadziéj dając widowiska, w lutym zupełnie rozpuszczoną została. Repertoar zaś artystów narodowych zasilony operą: *Miłostki rzemieślnicze* Cimarosi, wzbogacony został dwiema oryginalnemi operami: *Donner-vetter czyli Kapral na werbunku* Wejnerta, i *Żołnierz czarnoksięzki* skomponowaną do słów Pierożyńskiego, przez dyrektora kapeli królewskiéj Gaetani. Tenże sam Gaetani (o którym większych szczegółów tyczących się jego życia, dla braku materyałów, z żalem na ten raz dać nie mogę (1), w roku następnym ułożył muzykę do opery *Żółta szlafmyca* (słowa Zabłockiego), która miała więcéj nieco od poprzedniéj powodzenia. Lecz w dwóch następnych latach, tojest w 1788 i 1789, dziwna jakaś opieszałość i zaniedbanie w stołecznym teatrze panowało. Żadnéj nowéj opery nie przedstawiono, ograniczając się tylko na powtarzaniu dawniejszych, przezco publiczność znudzona jednostajnością sztuk ubogich w wystawę, przestała uczęszczać do teatru: zaledwie wystąpienia koncertowe panny Miklasiewiczówny, rodem z Lublina, obdarzonéj nadzwyczaj pięknym głosem, a która późniéj jako pani Campi, zyskała sobie za granicą swym talentem europejską sławę, przyciągały nieco słuchaczy; lecz to długo trwać nie mogło, i 5 kwietnia zamknięto teatr polski, a aktorowie znowu rozbiegli się na wszystkie strony. Wielu z nich udało się do Krakowa, gdzie starosta Kluszewski utworzył antrepryzę,

(1) Zdaje się, iż po abdykacyi Stanisława Augusta i rozpuszczeniu dworu i kapeli, Gaetani musiał Warszawę opuścić, bo odtąd żadnéj nigdzie o nim wzmianki nie ma.

inni pospieszyli do Wilna pod czynny i energiczny zarząd Bogusławskiego, który chociaż z małemi siłami, starał się przecież publiczność wileńską zabawiać, to wybornem odgrywaniem komedyi, to nareszcie operą, która jako nowość i jako rzecz wielce przyjemna, bardzo od tamtejszych mieszkańców lubioną była, w czém mu dopomagał marszałek trybunału ks. Sapieha, pożyczając Bogusławskiemu swéj nadwornéj orkiestry, i zachęcając innych do bywania w teatrze. Z oper najczęściéj dawane były: *Filozofowie wrzekomi* (Paisiello), *Miłostki rzemieślnicze*, *Zafira* i t. d.

W Warszawie zostali tylko Kaczkowski, panny Miklasiewiczówna i Sitańska, dając przy baletach koncerta.

W maju, Guerdasoni przybył do stolicy z truppą wybornych włoskich śpiewaków, i w końcu tegoż miesiąca zaczął dawać widowiska składane po większéj części z wielkich oper, jako to: *Axur* Saliere'go, *Drzewo Dyany* Martini'ego i t. p., a nawet głównie z powodu jego przybycia do Warszawy rozpuszczono artystów polskich, by większe zyski zapewnić cudzoziemcom i Ryxowi właścicielowi przywileju. Lecz pomimo, iż przedstawienia włoskich oper wzbudzały wiele zadowolnienia pomiędzy zgromadzoném na obrady sejmu czteroletniego obywatelstwem, brak polskiego teatru mocno wszystkim czuć się dawał. Powstały więc z tego powodu narzekania, które doszły do uszu królewskich. Chcąc temu zaradzić Stanisław August rozkazał Ryxowi jaknajprędzéj sprowadzić aktorów polskich, a że większa część w dobrze uorganizowaném towarzystwie bawiła w początkach 1790 r. na kontraktach Dubieńskich przy Bogusławskim, który zwykle o téj porze opuszczał Wilno, doznając na Wołyniu jak najlepszego zawsze przyjęcia: wysłano więc do niego sztafetą rozkaz królewski, ażeby ze wszystkiemi aktorami niezwłocznie przybył do Warszawy. Zdziwiony tak nagłém i niespodziewaném wezwaniem, a wiedząc jak wielkiéj pomyślności opera włoska w Warszawie doznawała, zaczął powątpiewać, ażeby ten rozkaz z woli monarchy pochodził, i sądził, że w nowe jakie sidła wplątać go chciano. Postępując zatém z ostrożnością, wysłał aktorów swoich do Brześcia Litewskiego, aby tam oczekując podług potrzeby, za nim, lub napopowrót do Wilna udać się mogli, a sam wziąwszy pocztę, jak najspieszniéj ruszył do Warszawy. Przybył właśnie w chwili gdy miano rozpocząć operę *Axur*; nie dawszy się poznać niko-

mu, wcisnął się na galeryą chcąc naprzód obaczyć z jakiemito artystami przyjdzie mu stoczyć walkę. Wspaniałość i piękność téj opery tak wielkie na nim zrobiła wrażenie, iż zaczął tracić nadzieję dawania pomyślnego przy Włochach swoich reprezentacyj, tém więcéj, że repertoar jego składał się z małych i dawno już znanych publiczności oper, które nie mogły iść w porównanie z pięknością muzyki, jaką teraz słyszał. «Mógłżem przewidywać (własne słowa Bogusławskiego), że ta sama opera, niezadługo w ojczystym języku jeszcze doskonaléj wystawiona, przekona o zdolności Polaków do wszelkiego rodzaju widowisk!» Nazajutrz stanął Bogusławski przed właścicielem teatru. Uprzejmie powitany dowiedział się, iż wielu zgromadzonych na sejmie obywateli żądało aby im polskie dawano widowiska, i że król wezwać go kazał, a przy małéj bardzo opłacie, bo tylko po 5 czerwonych złotych od wieczoru, mając sobie pozwolone korzystanie z królewskiéj orkiestry, znaczne może odnieść korzyści. Nie wahał się Bogusławski z przyjęciem tak pochlebnych dla siebie propozycyj, lecz nie ufając w ich szczerość, prosił, ażeby mógł być osobiście monarsze przedstawionym. Gdy go zaprowadzono na pokoje królewskie, Stanisław August rzekł do niego te słowa: «Czuliśmy, że cię tu nie było, Zostań już z nami, a ja nie zapomnę o tobie». Tym sposobem mając niejako zapewnioną przyszłość swoję i aktorów, którzy pod jego zarządem zostawali, sprowadził wszystkich do Warszawy, i dnia 14 lutego operą *Ogrodniczka zmyślona*, rozpoczął dawać z powodzeniem widowiska polskie. Osoby składające towarzystwo były: panie Deszнerowa, Pierożyńska, Drozdowska, Rutkowska; panny: dwie Iwańskie i Najmanówna; pp. Mierzyński, Hempiński, Nacewicz, Nowicki, Chodkowski, Szymański, Promiński. Oprócz powyższéj opery dane jeszcze były następne: *Wyspa Alzyny*, *Miłostki rzemieślnicze*, *Zafira*, *Filozofowie wrzekomi* i *Fraskatanka*.

Pomimo wrzasków niechętnych sobie wielbicieli cudzoziemczyzny, Bogusławski od ogółu publiczności doznawał dobrego i pełnego współczucia przyjęcia; trapił się tylko tą myślą, że Włosi nierównie większe i piękniejsze sztuki przedstawiają, a artyści nasi ich głosom i sposobowi śpiewania wyrównać nie są w stanie. Chociaż w miesiącu kwietniu Włosi przestali dawać widowiska, Bogusławski pragnąc szczerze polepszenia polskiéj opery, wstrzymał się od dawania tego rodzaju sztuk, poprzestając na dramach i komedyach. Wiedział on bo-

wiem bardzo dobrze, iż stosowne nad muzyką studya są koniecznie potrzebne naszym śpiewakom, by należycie mogli występować w operach; a więc zostawił im czas na kształcenie i przygotowanie się do większych oper, i chociaż ofiarą taką uszczuplił znacznie swoje dochody, dał jednakże dowód jak się to później pokaże, prawdziwéj życzliwości i dbałości o dobro i pomyślność sceny ojczystéj. Fakt ten w korzystném stawia świetle osobiste przymioty przewodnika teatru polskiego i nowém jest świadectwem, iż gdy los artystów naszych powierzonym jest w ręce człowieka światłego i dobremi chęciami dla sceny powodowanego, wówczas pomyślność jéj i artystów nie może ulegać najmniejszéj wątpliwości.

W tym także roku z woli obradujących na sejmie stanów, zniesiono wszelkie przywileje, przez lat dwadzieścia będące w posiadaniu właścicieli teatru, a odtąd artyści mieli prawo używać swoich talentów zawsze i wszędzie, bez żadnéj komukolwiek opłaty. Skutkiem tego dobrodziejstwa, Bogusławski postanowił stale osiąść w Warszawie, i wyrobiwszy wprzód u monarchy pozwolenie nadania artystom polskim tytułu *Nadwornych aktorów*, tudzież przyłączywszy do nich balet Jego Królewskiéj Mości, zabezpieczył się niejako od przewagi Włochów, którzy znów około października pod przewodnictwem tego samego co pierwéj dyrektora, poczęli dawać widowiska.

Rok 1791 pod dobrą wróżbą rozpoczął się dla sceny naszéj. Byt jéj ustalony zachęcił wielu zdolnych ludzi do pracy w zawodzie autorsko-dramatycznym. Niemcewicz napisał komedyą wierszem pod tytułem *Powrót posła*, a którą 15 stycznia z nadzwyczajnym zapałem przyjęto. Wybicki także stosownym do ówczesnych okoliczności utworem *Szlachcic mieszczaninem*, pozyskał sobie niemało sławy: tak więc chociaż oper wcale nie dawano, widowiska polskie w Warszawie, a później gdy w czerwcu teatr restaurowano, w Łazienkach królewskich liczną zawsze publiczność ściągały.

W roku 1792, powiększone grono artystów kilku z prowincyi przybyłemi, a mianowicie Truskolaską i Owsińskim, było w stanie większego rozmiaru dzieła dramatyczne, nawet tragedye przedstawiać; po raz pierwszy ujrzano na naszéj scenie *Merope i Brutusa* Woltera: lecz chociaż sprowadzeni niemieccy aktorowie, drugi teatr w pałacu Radziwiłłowskim otworzyli, i włoska opera pod przewodnictwem niejakiego Pelati, z miernych bardzo śpiewaków złożona, znów się do Warszawy około

lipca przybłąkała, w niczém atoli narodowym widowiskom szkodzić nie mogli.

Nareszcie nadeszła chwila, w któréj artyści polscy mieli odnieść stanowczy tryumf w operze, i zwalczyć powtórnie gruby przesąd, odmawiający im wszelkich w tego rodzaju sztukach zdolności W 1793 r. przybyli do stolicy z Krakowa: Kaczkowski, znany już dawniéj z pięknego głosu, tenorzysta; i Szczurowski, którego potężny organ basowy miał późniéj przez lat pięćdziesiąt być ozdobą i podporą sceny naszéj. Przybycie tych utalentowanych śpiewaków skłoniło w końcu Bogusławskiego do wystawienia oper: jakoż 18 kwietnia dano zaraz *Fraskatankę*; następnie gdy przybyła także z Krakowa pani Jasińska, 6 maja wystawiono *Zazdrości wieśniacze* Sarti'ego, i odtąd stale już grywano większe opery. W końcu tegoż miesiąca Włosi niemogąc wytrzymać współzawodnictwa z miejscowemi artystami, opuścili Warszawę. Po ich oddaleniu, Bogusławski postanowił zamiar, który od lat kilku w sercu swojém żywił, do skutku doprowadzić. Dnia jednego wezwał do siebie wszystkich artystów w operze występujących, i objawił im chęć wystawienia Salierego *Axura*, wielkiéj opery z recitativami. Skoro się na to chętnie zgodzili, wyznaczył kilka miesięcy czasu na stosowne wyuczenie i przygotowanie się do niéj. Jak niegdyś na parterze śmiechem niedowierzania przyjęto wiadomość, iż Polacy przedstawią *Fraskatankę*, tak teraz zuchwały krok artystów wywołał powszechne pomiędzy publicznością zdziwienie, a niechętni wszelkiemu wzrostowi i pomyślności sceny naszéj, oburzenie swoje następującemi wierszami po mieście rozgłaszali:

O nieba! wstrząsa się natura,
Polacy myślą grać Axura.

Lecz jak pierwéj tak i teraz, najpomyślniejszy skutek miał nagrodzić usiłowania artystów naszych. Dnia 28 września, w obec niesłychanego natłoku widzów, opera *Axur król Ormus* z ogromném powodzeniem została przedstawioną. Role dobrze obsadzone i wyuczone, gra Polaków bez porównania doskonalsza od Włochów, przepych w wystawie, do któréj znakomity pędzel Smuglewicza wielce się przyczynił, wszystko to najfanatyczniejszych nawet zwolenników cudzoziemczyzny zadziwiło i zachwyciło. Powracający z grodzieńskiego sejmu monarcha skoro się o tém dowiedział, pragnął sam ocenić do jakiego stopnia oddawane narodowym artystom pochwały były prawdziwe; a ucieszony tak pięknem téj opery przedstawieniem, oprócz

kosztownego podarunku, oświadczył Bogusławskiemu najzupełniejsze swoje zadowolnienie.

Wszystko już później łatwém się zdawało aktorom polskim; Bogusławski przetłumaczył wkrótce *Cosa rara*, nadzwyczaj śpiewną operę Martini'ego dawszy jéj tytuł: *Piękność z uczciwością rzecz rzadka*, a wdzięczne jéj melodye jakoto: «Pókim jeszcze pasł barany» albo «Zgoda już życie moje» w całym kraju szybko upowszechnione zostały, i nawet do dnia dzisiejszego nietrudno spotkać się z niemi.

Ale brakowało jeszcze polskiéj operze tego, co każdemu narodowi jest najmilszém — *narodowości!* Muzykę którą dotychczas Kamieński, Wejnert i Gaetani do małych oper komponowali, pomimo że treść ich do miejscowości zawsze prawie była zastosowaną, wcale jeszcze za narodową w prawdziwém znaczeniu tego słowa uchodzić nie mogła. Jako cudzoziemcy nie wsłuchali się należycie, nie pojęli ducha ludowéj muzyki; więc nie byli w stanie oddać go w swych utworach, chociaż tego mocno pragnęli. W jednéj tylko *Zośce* Kamieńskiego jest niby wydatniejszy nieco charakter miejscowości, lubo w zbyt szczupłe ramy ujętéj i to nawet głównie stanowiło powodzenie téj opery; w innych zaś utworach albo bardzo mało, albo nic prawie nie ma ducha narodowego. Bogusławski zastanawiając się długo nad przedmiotem, któregoby użyć należało do dzieła czysto miejscowego, wpadł na myśl wystawienia na scenie wesołych i rubasznych Krakowiaków, którzy tańcząc i śpiewając, krzepko swą ziemię uprawiają. Lube jego młodości wspomnienia, drogie i szczęśliwe chwile, które na téj pięknéj ziemi przeżył, związki krwi jakie go tam łączyły, wszystko to przed oczami jego duszy żywo stanęło. Wezwawszy więc na pomoc całéj swéj pamięci, całéj zdolności do odmalowania zwyczajów, uczuć, mowy i zabaw ludu krakowskiego, w krótkim czasie napisał znaną operę *Cud, czyli Krakowiaki i Górale*, powierzywszy Stefaniemu skomponowanie do niéj muzyki.

CZAS, DODATEK MIESIĘCZNY. Tom VII, Zeszyt 20 za sierpień r. b.

W r. 1845 akademia francuzka ogłosiła konkurs na zadanie: „Pokazać tworzenie się administracyi królewskiéj we Francyi od

Filipa Augusta do Ludwika XIV, oznaczyć jéj postępy, pokazać co ta administracya wzięła z systemu feudalnego, w czém się oddaliła od niego i jak go zastąpiła." W półtora niespełna roku akademia w odpowiedzi odebrała dwie obszerne rozprawy: jednę od p. Cheruel, drugą od p. Dareste de la Chavanne. Obiedwie różniły się w metodzie: jedna była historyczna, druga analityczna, ale obiedwie były dobre i akademia obiedwie uwieńczyła nagrodami. Skorość w odpowiedzi pp. Cheruel i Dareste de la Chavanne była oznaką, że nauka administracyjna we Francyi zrobiła postępy, że poznano jéj wagę, wagę przewyższającą inne części nauki politycznéj, że nauka administracyi stała się publiczną potrzebą. Obie te rozprawy w r. 1848 wydano drukiem w 4 tomach. Treść ich podaje nam p. Michał Łabiński w artykule na czele tego zeszytu p. n. „O administracyi francuzkiéj."

Axela Sparrego barona de Cronoberg, szambelana królowéj szwedzkiéj Krystyny i wielkiego łowczego królestwa szwedzkiego poselstwo do Polski w r. 1645 i wiadomości o ówczesnym stanie Polski, z łacińskiego spolszczył i przypiskami objaśnił August Mosbach. O tém poselstwie nie wzmiankują nic tak dziejopisarze polscy jako i szwedzcy. Relacyą tę poraz piérwszy wydał w Upsali w r. 1854 Jan Gustaw Samuel *Borgstroem*. Podług tego wydania mamy przekład. Z niego dowiadujemy się, że była myśl przez małżeństwo Władysława IV z Krystyną złączyć w jedno państwo polskę ze Szwecyą, i obawiano się, aby królowa szwedzka nie oddała swéj ręki elektorowi brandeburskiemu. Ciekawe tu znajdujemy szczegóły tak dotyczące stanu owoczesnego Polski, jako i charakterystyki najznakomitszych panów polskich, otaczających tron Władysława IV.

W opisie Panteonu rzymskiego przez Wład. Kulczyckiego w liście do księdza Jana Ostapowicza, mamy porównanie dawnego pogańskiego z dzisiejszym zamienionym na kościół *Sancta Maria ad Martyres*. Nie braknie w nim pięknych myśli, zwrotów poetycznych, znać i wielkie oczytanie; ale razi dziwna napuszystość stylu i dziwaczniejsze nowe wyrazy, któremi autor przeplata swoje zwroty. Dalekoby lepiéj uczynił, gdyby opis swój prostotą stylu ozdobił: rzecz sama i wykład zyskałby nieporównanie na tém.

Maurycy Dzieduszycki dał nam w tym zeszycie *Kalejdoskop czyli dramat na Łysej górze*. Oryginalny to utwór. Żeby miéć wyobrażenie o nim zupełne, w wiernéj podamy go treści.

Czarownica, potęgą słowa *zaklęcia* wywołuje potwory.

„Ja, com króla Gryzomira
Wydarłszy z łapki kruszwickiéj,
Przekształcila w bohatéra,
Jak to opiewał Krasicki:
Po dwunastu wiekach sławy,
Dam wytchnąć mojéj łopacie...
Dalejże dla méj zabawy
Stawcie się złudne postacie!
Gady, latawce, poczwary,
Pokażcie grzbiety i rogi,
Przez zarośla, ciemne jary,
Lećcie, pełzajcie do nogi."

Na to zaklęcie wyłazi *gadzina*:

„Masz mnie stara zalotnico!...
Choć mi nie w myśl twe zaklęcie;
Bo gdy w północ gwiazdy świecą,
Nurzam żądło w atramencie:
Piszę do twego dziennika,
Przerabiając z Pamiętnika
Niezbyt dawne jeszcze dzieje.
Jad na herby sączę stare,
Nowe plemię w głos się śmieje...
Sycząc „Wiara," zgnębić wiarę.
Wymarzone zwołam cienie
Na wszechstronne rozdwojenie".

Rój komarów przedstawia młodzież swobodną, nie lubiącą książek i czytania, ale lubiącą karty, miłość i wino. *Truteń* wskazuje wymownie, że tylko *pieniądz podnosi narody*. *Stary mól*:

„Ależ niech wprzód na ludzkość światło się rozleje!
Ja, com przegryzł archiwa, dawne zgłębił dzieje,
Muszę wam wprzód wykazać, gdzie jest złego *źródło!*
Lecz żeby za daleko was to nie zawiodło,
Chcę *pominąć dowody*, choć powiém *rzecz nową!*
Bo nie zapewne każdy uwierzy na słowo...
Wielkie słowo zagadki, co wszystko wyświeci..
Kto strul świat od początku? otóż—*Jezuici!*

Czarownica zarzuca kłamstwo téj marnéj *bestyi*. Któż, jeżeli nie myszy zjadły Popiela:

„Choć pisze Szajnocha,
Że legł od motłocha,
Co szerzył po morzach rozboje!"

Niewszystkiemu więc winni Jezuici.

Stara mucha stary szerszeń małżeństwo z córką *latającą panną*, stanowią rodzinę naszych czasów, na którą lornetując *indor* mówi:

„Ta grupa, byłby może typus do powieści,
Gdzie nam już i konceptu zabrakło i treści...
Wyczerpaliśmy dawne Walter-Skota wzory,
Wyprzątniono i brudne francuzkie komory:
Ledwie obyczajowa klei się robota,
Bo kontusz się wyciera równie jak kapota...
Czasy *konfederacyi* (nasze Cinque-cento)
Dwóch tylko umie kreślić: jednego już ścięto.
A tu krzyczą wołają i płacą na rękę.
Prasa pospieszna straszną otwiera paszczękę,
Nienasycony potwór czarną zieje lawą,
A tłum wkoło aż skomli nad łechcącą strawą.
Latają jak szaleni: wydawcy, księgarze,
Wybladłe redaktory, skoczni gazeciarze.
Trąbią, szczują i wszystkie przetrząsają knieje,
Czy gdzie kto atramentu na papiér nie leje?
Nie jednego już straszne porwały pokusy,
I wyczerpał kałamarz, wytrząsł nawet fusy.
A gdy żydki rublami zaczarują domy,
Wychodzą z nich co miesiąc spore cztery tomy,
Woda letnia obfita, lecz na młyn autora,
Bo jutro gdzieś zasiąknie, co wytrysło wczora.

KACZKA.

Bo żyją w własnym kraju, jakby jacy dzicy:
Trzeba zbadać podania swojéj okolicy,
A czego się nie dowiesz od bab i od dziadów,
To można z okolicznych odgadnąć przykładów.
Resztę wybornie złatać pomoże Niesiecki,
A całość niech obciągnie pokost staroświecki.
A jeśli kąt twój (nawet mimo chęci szczeréj)
Kubek w kubek wygląda, jak i inne cztery:
To trzeba go napuścić jaką barwą własną,
Przy której inne ziemi téj powiaty zgasną;
Niech inaczéj się składa do boju i tańca,
(Jak góral szkocki różny, od nizin mieszkańca).
Cóż zresztą nasze przodki od wieków robili?
Nic! tylko tęgo pili i tęgo się bili...
Niechaj przybędzie zawiść i duch tak zażarty,
Jak ten co dzielił niegdyś Ateny od Sparty;
Niech tylko krew i wino zleje się potokiem,
Niech burdy zagrzmią echem głośném i szerokiém,
Niech błysną karabele i pasy jaskrawo:
Będzie powieść, i pieniądz, i do sławy prawo!

Czarownica do téj kaczki przemowy dodaje:

„Niech jeszcze nad takiemi pismami posiedzi,
A dawniéj drżący, pękną od śmiechu sąsiedzi."

Występuje w ostatku *dzięcioł*: kogo ma na celu, łatwo się domyślić po jego przemowie. Przechwala się albowiem, że Owidyusza *Kotys* był Lęchita: wspomina najpiérwszego kronikarza *Miorsza*, który czerpał *z lęchickiéj kroniki*. *Czarownica* wtedy powstaje na dzięcioła, dowodząc mu, że ona starsza nad wszystko, bo już przypięła łopatę za Lecha·

„Tak patrzyłam przez wieki oczyma własnemi
Na zmiany, które przeszły sennie po téj ziemi:
A wy, zuchwale wielką chcąc zedrzéć zasłonę,
Podsuwacie domysły jak prawdy stwierdzone,
I mgły gęste nowemi jeszcze zagęszczacie,
Choć niezmienne wyroki skryły te postacie!"

Ujrzawszy, że wszystkie duchy znudzone temi rozprawy zaczęły poziewać, żałując czerwcowéj zmarnowanéj nocy, zapędza wszystkie do nory i kończy temi słowy dramat Łysogórski:

„Prawda, długie gadanie:
Ale z tego może coś zostanie!"

W przeglądzie piśmiennictwa L. Siemieński ukazując, że w przeszłości rzeczypospolitéj sztuki piękne (głównie malarstwo i rzeźba) nie rozwinęły się odpowiednio literaturze i życiu narodu: uważa, że badacze nasi, jak Rastawiecki, Słownikiem malarzy polskich daleko więcéj zrobił dla historyi malarstwa w Polsce, niż sama sztuka malarska zrobiła, aby zasłużyć na swoję historyą. Zbija wymownie zdanie, że dla nas nie może być świetnego rozwoju w sztuce. „Podobnie jak poezya ludów północnych (mówi L. Siemieński), może iść o piérwsze z poezyą uprzywilejowanych w dziedzinie twórczości ludów południowych, chociaż charakterem się różni: tak samo i sztuka północna, a zatém i nasza, może być różna charakterem od greckiéj i włoskiéj, szczególniej co do przepychu form, lecz za to wynagradzać te niedostatki siłą spirytualną. Już nawet wieki średnie rozwiązały te trudności, gdy często w utworach niecelujących pięknością form, umieszczał artysta piękność duchową, wewnętrzną, czyli ten wyraz, który potężniéj przemawia, niż efektowo wystudyowane kształty i bogactwo kolorów. To zwycięztwo myśli nad formą

ducha, nad ciałem, długo może zastępować nam upośledzonym dzieciom mrozów i śniegów te korzyści, jakie artysta pełnemi dłońmi zbiera pod pięknem niebem Italii. Nie będzie to nawet mozolnym nabytkiem, bo wielkiém uczuciem obdarzony mistrz, z taką samą łatwością wytłumaczy świat swój wewnętrzny pędzlem, z jaką południowy bogactwo otaczających go przedmiotów nieba i ziemi w marmur i na płótno przelewa. I daléj. „To pewna, że sztuka niekoniecznie jest przywiązaną do jednego kraju, ani do jednego miejsca. Duch jéj wieje od wschodu do zachodu, i wszędzie znajduje powołanych do oddania mu hołdu, byle wprzód był poznany. Źródło na chrzest dla wybrańców tryszcze w każdéj strefie: tém źródłem, prawda i natura: toż i Słowianie równie jak sięgnęli po mistrzostwo słowa, tak sięgnąć mogą po mistrzostwo w sztuce plastycznéj; jeżeli bowiem w jedném dali rękojmię, dadzą i w drugiém: bogactwo duchowe zawsze jest jedno i całe, tylko różne bywają warunki wpływające na objaw jego w dziełach twórczych." Zakończa swój przegląd zwróceniem uwagi na ważność wydania *Pieśni ludu polskiego* O. Kolberga, i godzi się na nasze powiedziane dawniéj zdanie: „że dzieło to policzyć należy do rzadkiéj liczby książek, starannie i umiejętnie wydanych, które stanie się prawdziwym skarbem niewyczerpanego materyału dla każdego kompozytora muzycznego. Przypuszczam téż, że tym sposobem muzyka narodowa, czerpiąc w tych melodyach, snadniéj wyrobi sobie oryginalny charakter, niż gdyby ciągle nasłuchiwać miała dolatujące nas zdala dźwięki Meyerberów i Verdych." Chwali dołączone ryciny ubiorów kmieci z różnych okolic dołączone do pieśni, z zachowaniem wierności tak w stroju jak w postaci.

„Niedawno (pisze w końcu) widziałem zacnego autora u stóp czarujących Pienin i w Tatrach, jak naprawiając słabe zdrowie powietrzem gór i leczącym zdrojem, nie tracił ani jednéj chwili, i nawiedzał góralskie chaty, lub przestawał z bacami i juhasami na polach, od których umiał wyłudzać melodye i słowa zdaniem jego, nieustępujące pierwszeństwa innym. Wierny swemu zadaniu, z dziwną cierpliwością i wytrwaniem prowadzi podjętą pracę, godną powszechnego uznania, bo mu nie idzie o jaki drobiazg archeologiczny, mogący obchodzić kilku amatorów, ale o odsłonienie tych skarbów twórczości, jakie lud nasz bezsprzecznie posiada, a w których może się najlepiéj charakter jego odzwierciedla."

W *Kronice*, w korrespondencyi z Paryża, mamy podane sprawozdanie o jedno-aktowéj komedyi Alex. Dumas „Invitation à la valse," którą z wielkiém powodzeniem przedstawiają teraz w Gymnase. Autor „Montechrista" napisał ją na żądanie pani Girardin, w któréj salonowym teatrze była grana zeszłéj zimy. Jest to arcymisternie skreślona historya piérwszéj miłości, która przeżywszy parę wiosen w rozłące, przy powitaniu umiera;.. historya znana, stara jak świat, a zawsze zasmucająca, jak widok zachodzącego słońca. Oto jéj treść: „Pani Antonina młoda wdowa, nie chce iść za adwokata, dlatego, że kocha kuzyna swego Gastona, który niemając nadziei, żeby kiedyś jéj wzajemność pozyskał, z rozpaczy zaciągnął się do afrykańskiéj armii. Ale dziś właśnie ma powrócić: wdowa z bijącém sercem oczekując młodzieńca, rozpamiętywa zalety i powaby, które w nim kiedyś ukochała. Jakże pięknym był Gaston, jaki naiwny, nieśmiały. Z jakiém uczuciem grał *Inwitacyą do walca* Webera, jak prześlicznie śpiewał romanse. Ach! cóż za dusza, co za głos! Gaston to prawdziwy Cherubino d' amore, bez którego dłużéj żyć niepodobna! Te i tym podobne wykrzykniki, wyrywające się z różanych ustek wdowy, poprzedzają przybycie ulubionego, który jawi się wreszcie, ale jakże niepodobny do anielskiéj sylwetki. Idealny Gaston, dziś tęgim Żuawem, z ogorzałą twarzą, ogromnemi wąsami, czapką na uchu, brzęcząc ostrogami wchodzi, i powitawszy kuzynkę po obozowemu, kładzie się bez ceremonii na koronkami oszytéj kanapie, jakby na rogoży w arabskim namiocie; piérwszém zaś uczuciem, jakie jéj objawia na wstępie, jest uczucie głodu. Wielkim głosem domaga się beefsteku i pożera takowy jak lew zgłodniały. Adonis w takiéj formie, opalony od słońca i prochu, zesztywniały od munduru, ochrypły od komendy, odstrasza sentymentalną wdowę. Może Gaston wart teraz więcéj niż kiedy śpiewał romanse, może i ta twarz zmężniała w boju, piękniejsza od wiotkich rysów trubadura.. może, ale to nie tamten, a pani kochała tamtego. Daremnie więc przymusza się do uczuć żywszych: spłoszony ptak miłości nie wraca. Gaston także widzi, że ten wykwintny kwiatek nie dla niego: więc się decyduje prędko w miłości jak na wojnie. Dzielny wiarus ustępuje swego miejsca adwokatowi, sam zaś oświadcza się siostrze Antoniny, pannie Julii, która rudych wąsów Żuawa się nie lęka, a w ogorzałych jego licach nie mniéj upatruje wdzięku, jak Desdemona w bronzowéj twarzy Otella. Wszystko tedy układa się jak najlepiéj, i dwa wesela kończą sztukę. Maleńka ta sylwetka

komedyi, i subtelna elegancka, pełna wyrazu i delikatnych odcieni jest w największéj teraz modzie. Paryż nie może się nią nacieszyć. Jakoż rzeczywiście, śliczne to cacko. Nigdy pióro Dumasa nie było lżejsze, a dowcip jego żywszy; nigdy genialny autor *Antonego* nie ujął sobie silniéj słuchaczy, jak rozmową tych czterech osób, która jest nieustającym fajerwerkiem dowcipu, tryskającym w wykwintnym salonie. „*Inwitacya do walca*" zostanie dla teatru tém, czém dla muzyki melodya, od któréj wzięła nazwę: tojest będzie grana zawsze, i zawsze z równém słuchana upodobaniem."

W korrespondencyi z Londynu mamy zajmujący rzut oka na Indye. Korrespondent donosi, że gdy wszystkie pisma angielskie, z powodu zaszłych wypadków krwawych, przepełnione są wiadomościami o Indyach: podaje więc co się stało, i co się dzieje w zaburzonych krajach nad Gangesem.

ROZMAITOŚCI.

Nowe listy Kopernika.

Od czasu ogłoszenia ostatniéj biografii astronoma, wiele się znalazło zasobów utwierdzających jego narodowośc polską, tak w archiwach akademii padewskiéj, jako téż w gdańskiém i włocławskiém. Cześć wszystkim, którzy przejęci ważnością rzeczy nie szczędzili starań i poświęceń dla dokładniejszego wyjaśnienia rzuconego za granicą pytania. Obecnie należy się wdzięczność szczególnéj gorliwości hr. Alexandra Przezdzieckiego, który w podróży naukowéj w tym roku za granicę odbytéj. potrafił wynaleźć dwie jeszcze kopie listów Kopernika dotąd nie drukowane. Mniemamy, iż się zadosyć uczyni ciekawości publicznéj, jeśli obok przekładu, wskazane zostanie ich znaczenie w kwestyi narodowości i we względzie charakteru wielkiego człowieka.

Pierwszy list pisany jest do Dantyszka biskupa warmińskiego, w interesie rodzinnym Kopernika. Mowa tu o zatwierdzenie kanonii i prebendy dla Rafała Konopackiego. Elekt był synem Jerzego wojewody pomorskiego, który równie jak astronom rodził się z Waczelrodówny. Siostra wojewody poszła za Czapskiego, córka zaś za wojewodę Kostkę. Z pomiędzy synów Jan, z podskarbiego ziem pruskich został biskupem chełmińskim, Łukasz wstąpił w śluby małżeńskie z Cemą wojewodzianką malborską, a Rafał otrzymał od stolicy rzymskiéj kanonię i prebendę po zgonie Felixa Reicha Torunianina. Przytaczamy ten rodowód dla okazania, że Kopernik spokrewniony był z najpierwszemi rodzinami polskiemi: Konopackich, Czapskich, Kostków i Cemów, prawie wszystkich ze stanu senatorskiego. Jemusz nie potrzebuje takiego blasku, ale pytanie narodowości wymaga tego dowodu. Syn Krakowianina i ziemianki na Sławkowie, należący do historycznych rodzin polskich, nie był Szwabem lub Westfalczykiem.

Feliks Reich przyjaciel Kopernika był posłem na sejmik główny, gdy szło o poprawę stopy menniczéj, nadużytéj przez miasta uprzywilejowane ziem pruskich, a razem z Kopernikiem i Chrapickim w r. 1524 czynnym komisarzem do odebrania na rzecz kapituły zamków i miast, zajętych w czasie wojny przez Krzyżaków lub wojsko polskie.

I.

Reverendissime in Christo Pater et Domine Domine clementissime.

Heri bonae memoriae Felix Custos et Canonicus ex humanis factus? (functus) traditus est sepulturae. Canonicatum et praebendam vacantem pro Domino Raphaele Conopatzki procuratorio nomine acceptavi, et de ea promoveri, ipsamque illi conferri feci, secundum formam literarum apostolicarum, vigore nominationis serenissimae Reginae Poloniae. Quod supra est Reverendissima Dominatio Vestra dignetur consensum suum praebere, eumque Capitulo suo significare, ut detur illi vel mihi Procuratori possessio vacantis praebendae. Inquo Reverendissima Dominatio Vestra ad rem litterarum apostolicarum faciet. Domino vero Polatino Pomeraniae, ejusque filio, et mihi gratiam singularem, quam erga Reverendissimam Dominationem Vestram studebimus promereri. Ex Frauenburg III Martii a. MDXXXIX.

Servitor
Nicolaus Copernic.

Przewielebny Ojcze w Chrystusie, Panie i Panie miłościwy.

Wczoraj błogiéj pamięci Feliks kustosz i kanonik, który świat pożegnał pochowanym został. Z pełnomocnictwa mi służącego objąłem wakującą kanonię i prebendę na rzecz pana Rafała Konopackiego, dla wręczenia mu jéj i installacyi, podług brzmienia listu Apostolskiego, oraz nominacyi Najjaśniejszéj Królowéj Polskiéj. Pozostaje tylko, aby Przewielebność Wasza raczyła w téj mierze udzielić swojéj zgody reskryptem do kapituły, i zatwierdzić posiadanie wakującéj prebendy jemu, albo mnie pełnomocnikowi, z mocy bulli papiezkiéj. Wyświadczy przez to Przewielebność Wasza panu wojewodzie pomorskiemu, jego synowi i mnie szczególne względy, na które zasługiwać u Przewielebności Waszéj nie omieszkamy. Z Frauenburga 3 marca 1539 r.

Sługa
Mikołaj Kopernik.

Reverendissimo in Christo Patri et Domino, Domino Joanni Dei gratia Episcopo Varmiesi, Domino meo clementissimo.

Przewielebnemu w Chrystusie Ojcu JX. Janowi z Bożéj łaski biskupowi warmińskiemu, Panu memu łaskawemu.

II.

Drugi list jest obojętniejszy, dla zaszłych nieporozumień. W pierwszych czasach objęcia biskupstwa przez Dantyszka, wielka pomiędzy znamienitościami panowała uprzejmość. Biskup prosił kanonika o nadesłanie mu wiadomości potrzebnych do uczczenia poprzednika Łukasza, wuja astronoma, mianowicie o klejnot szlachecki. Miał to być nagrobek łaciński, godny pióra uwieńczonego. Lecz się Dantyszek dowiedział, że Kopernik nazwał Alexandra Skulteckiego, prześladowanego przez biskupa,

najlepszą głową z całéj kapituły. Dantyszek obrażony napisał list do biskupa chełmińskiego Gizego, aby przyjaciela swojego Kopernika napomniał, za jakieś niby uchybienia, przeciwne powołaniu duchownemu. Kopia tego listu czasów naszych doszła. Odtąd nie było serdeczności pomiędzy niemi tak, że nietylko nie użył nagrobku Kopernik przeznaczonego dla wuja, ale i nie umieścił na czele dzieła swojego wierszy pochwalnych przez Dantyszka napisanych. Tu mowa o nagrobku.

Reverendissime in Christo Pater et Domine clementissime.

Petiit nuper ex me Reverendissima Dominatio Vestra, ut epitaphium quondam Lucae episcopi, antecessoris Reverendissime Dominationis Vestrae, avunculi mei, quod olim a se factum mihi miserat, remitterem Reverendissimae Dominationi Vestrae. Mitto igitur ejus exemplum, quoniam de manu propria Reverendissimae Dominationis Vestrae, apud me non extat. Doleo equidem quod ad usum destinatum non pervenerit, quum jam antea aliud quoddam supulcro foiset insculptum, parum habens odoris, saporisque minus, sed quod procuratum sic erat et paratum, illi adhuc in humanis volenti. Cupio et praecor Reverendissimae Dominationi Vestrae longaevam valitudinem, ad incrementum ecclesiae suae, et suorum consolationem. Cui servitia mea devoveo. Ex Gynopoli XXVIII septembris, Olympiad. DLXXIX, anno primo. E. R. D. V.

Devotissimus
Nic. Copernicus.

Reverendissimo in Christo Patri et Domino, Domino Joanni, Dei gratia Episcopo Varmiensi, Domino suo clementissimo.

Przewielebny w Chrystusie Ojcze i Panie miłościwy.

Prosiła mię niedawno Przewielebność Wasza o zwrot nagrobku przez Nią napisanego, i udzielonego mi dla Łukasza niegdyś biskupa, poprzednika Waszéj Przewielebności, a mojego wuja. Nie mając w ręku autografu Przewielebności Waszéj, posyłam jego kopię. Ubolewam, że ten nagrobek nie mógł być użyty według swego przeznaczenia, bo inny jakiś wyrytym został na grobowcu: jest on wprawdzie dosyć niedorzeczny, i bez smaku napisany, ale za życia nieboszczyka przygotowany, otrzymany i przyjęty. Życząc i błagając Boga o najdłuższe zdrowie Waszéj Przewielebności, dla dobra Jéj kościoła i pociechy przyjaciół, powolne służby moje zalecam. Z Grodu niewieściego (Frauenburg) 28 września olimpiady 579, roku piérwszego (1541) Waszéj Wysokiéj Przewielebności.

Uniżony
Mik. Kopernik.

Przewielebnemu w Chrystusie Ojcu i panu, JX. Janowi z Bożéj łaski Biskupowi Warmińskiemu Panu memu miłościwemu.

Dominik Szulc.

KORRESPONDENCYE.

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Zawsze i z upragnieniem wyglądamy ogłoszenia drukiem nowych źródeł historycznych, i każda na tém polu praca jest ważną i korzystną. W artykule umieszczonym w zeszycie listopadowym Biblioteki Warsz. r. b., mamy zapowiedziane wydanie dyplomatów z archiwum kapituły krakowskiéj po koniec czasów Pastowskich. Tymczasem pan J. Ł. podał nam treść 50 ciekawszych dokumentów, znajdujących się w témże archiwum kapitularném, z pocztu około 900 w treści w księdze rękopiśmiennéj spisanych.

Dziwną jest łatwość z jaką wpadamy w powtarzanie uporne błędu, gdy się go pierwszy pisarz dopuścił, wbrew chronologii; dlatego czuję się w obowiązku zwrócić uwagę na dyplom, którego treść N. 6 oznaczona (str. 277), a mianowicie:

„6. R. 1189. *Pismo Leszka księcia polskiego*, którém zawiadamia wszystkich wynalazców (wyraz nieczytelny) prześwietnéj kapituły kościoła katedralnego krakowskiego i kopiących złoto, srebro, miedź, ołów lub inny jaki metal; jak się względem właścicieli majętności, w których kruszce znajdą zachować powinni; nadto utrzymuje książę dziesięcinę dla miejscowego kościoła. (Wyciąg z księgi I przywilejów, fol. 7).

Z porządku chronologicznego układu tych treści wnosząc, oraz, że poprzedni dokument N. 2 jest z r. 1167, a następny N. 16 z r. 1227, zdawałoby się, iż się nie pomylono wypisując rok 1189.

W bogatém źródle oryginalnych dyplomatów, czerpiąc materyały do życia błog. Prandoty, ks. Gładyszewicz przedrukował już niektóre z nich; w żywocie tegoż błogosławionego str. 201 pod N. 4 jest przedruk z dyplomatu, niestety bez końca i daty, poczynający się od słów: „Ego Lestco Dei gratia dux poloniae", z nadpisem następującym: „Leszek Biały nadaje dziesięcinę kościołowi krakowskiemu z wszelkich kopalń złota, srebra, miedzi, soli i t. d., górnikom zapewnia różne swobody". W przywileju tym użyte są wyrazy: „omnes artifices auri et argenti, *inventores*, fossores seu alterius metalli, videlicet plumbi et heris seu etiam salis".

Ta zgodność przyznania dyplomatu tego Leszkowi księciu polskiemu (dux poloniae), wzmianka o wynalazcach (inventores), każe się domniemywać, że dyplom bez daty w opisie żywota bł. Prandoty przedrukowany, jest właśnie ów w treści przez pana J. Ł. pod N. 6 przywiedziony.

Któryżto więc Leszek i czy rok 1189 właściwy? W roku tym żaden Leszek nie panował, albowiem:

a) Leszek syn Bolesława Kędzierzawego, książę mazowiecki, płocki i kujawski od r. 1175, umarł r. 1185.

b) Leszek Biały syn Kazimierza Sprawiedliwego urodził się r. 1186, ale dopiéro w 1194 i to pod opieką wstąpił na tron książęcy krakowski, a dwukrotnie z niego Mieczysławowi Staremu ustępując, r. 1227 życia pozbawiony.

c) Leszek Czarny wreszcie, książę kujawski, sieradzki i łęczycki od r. 1279 do 1289 panował.

Przypomnijmy, że Kromer w księdze X pod r. 1289 (w zbiorze Pistor. T. II, str. 571) pisze, że Leszek Czarny ustąpił biskupowi krakowskiemu dziesięciny z kopalń w dobrach wszelkich do dyecezyi téjże przywiązanych: „donavite episcopo cracoviensi jure sempiterno decimam de omnibus metallis, in cujuscumque solo essent intra ipsius dioeces".

Z tego wszystkiego przypuszczam, że dyplomat ten nie jest innego Leszka jak Czarnego, i że nie z roku 1189, lecz o sto lat późniejszy, tojest z roku 1289.

Przytém zwraca się uwaga na to, że hr. Alex. Przezdziecki w żywocie Pawła Przemankowskiego bisk. krak., drukowanym w Bibliotece Warszawskiéj wykazuje, że data śmierci Leszka Czarnego, którą wykazują kroniki, zdaje się być fałszywą i że przypada w 1288. Ztąd nowa rodzi się niepewność.

Byłoby więc do życzenia, aby wątpliwość tę usunął przez sprawdzenie na miejscu w archiwum kapituły, daty dyplomatu, a gdyby można nie byłby do odrzucenia całkowity przedruk tego ciekawego zabytku Piastowskich czasów.

Warszawa, d. 7 listop. 1857.

Hier. Łab.

List z kopalni złota syberyjskich.

Przyczyną tak późnego odpisu był mój wyjazd z Jenisejska do Tajgi (tak nazywają puszcze, w których znajdują się i rozrabiają złotodajne piaski), z którą na długo przerwały wszelką kommunikacyą topniejące śniegi i rzeki niedostępne przy oczyszczaniu się z lodów, i zwykle wychodzące w téj porze z koryta na znaczną przestrzeń. A przytém chciałem nagromadzić więcéj zapasów i wiadomości.

Piérwsze dni kwietnia są zwykłym terminem dla poszukiwaczy złota do wyjazdu ich z Jenisejska na pryiski; nie dlatego, aby już w téj porze miały się rozpoczynać roboty, ale dlatego, iż to już jest ostatnia zimowa droga, którą przepuściwszy, nie możnaby się dostać do Tajgi, chyba w maju lub czerwcu i to wodą i konno po największéj części, co dla dam szczególniéj i niewygodnie i nieprzyjemnie. Otóż i ja z moimi pryncypałami opuściłem Jenisejsk w sobotę przed Przewodnią niedzielą o 8éj z rana i ruszyłem w drogę mającą przenieść nas na północ o 200 z górą wiorst. Droga ta odbywa się w bardzo lekkich sankach, mieszczących jednę a najwięcéj dwie osoby. Uprząż zwykle jednokonna, a jeśli

para, to zaprzęga się w lejce, bo cała droga jest jedną wązką transportową koleją. Pakunki tylko niezbędne w całém znaczeniu tego wyrazu biorą się z sobą, a reszta odprawia się na osobnych podwodach. Po drodze urządzone są stacye w odległościach 30 do 40 wiorst. Na nich odmieniają się zwykle konie, ale że trzyma się ich niewielka liczba dla stałéj kommunikacyi z pryiskami, to zwykle każdy z poszukiwaczy złota naprzód zamawia na każdéj stacyi potrzebną liczbę koni dla jego przejazdu. Budowle stacyi znośne. Na każdéj znajdzie się przynajmniéj jeden pokój schludny i wszystko co jest potrzebném do zaspokojenia piérwszych potrzeb życia, a jadący z wygódkami, mają zwykle z sobą różne łechcigębstwa i stałe i płynne. Wszystkie te stacye ogrzewają się żelaznemi piecami, co niemałą jest wygodą dla przejeżdżających, bo każdy zziębły wprędce ogrzewa się do transpiracyi nawet, a krótki w nich pobyt nie wielu głowom daje uczuć szkodliwy ich swąd. Śnieg tu pokrywa ziemię na dwa arszyny z górą; z tego powodu przecieranie drogi szerokiéj staje się niepodobném, jakkolwiek ona szeroko jest przerąbaną. Transporta zaczynają się jak tylko rzeki staną, tojest od października lub piérwszych dni listopada, a że przewożą miliony pudów, więc ta droga wązka wyżłabia się na głębokość śniegu prawie, zkąd kaleczenie i zabijanie się koni tak częste, iż można śmiało leżącemi ich tułowami zastąpić słupy wiorstowe, których tu nie ma. Ja na jednéj 30-wiorstowéj stacyi naraehowałem ich 36, a upewniano mnie, że drugie tyle pod śniegiem leży. W ciągu zimy stale poprawiają drogę dla zmniejszenia wybojów, dlatego kładą w wyboje drzewo mogące podejmować przechodzące ciężary, a na wierzch nasypują śnieg; ale za to też pod koniec sannéj drogi, w tych miejscach doznaje się takiéj sensacyi, jak po drodze wysłanéj dylami krąglakami. W rzeczy saméj cała charakterystyka téj drogi jest wyłączną, o któréj można mieć tylko dokładne pojęcie przejechawszy po niéj. Często leci się w głąb na dwa arszyny z górą, a ciągle karamboluje się na jednę lub na drugą stronę. Dla zabezpieczenia głowy i twarzy, zwykle robią sanki z budkami z wojłoków i rogoży, które ochraniają od złych skutków tych ciągłych karamboli. A niedźwiedzie znowu, jak tylko ruszą z legowisk, zajmują się uprzątaniem zdechliny, która w takiéj massie mogłaby zatruwać powietrze, przy krótkich wprawdzie, ale silnych gorącach.

Po takiéj drodze (która jednakże nie wydała mi się tak straszną, jak ją miałem sobie przedstawioną) przybyłem na trzeci dzień w południe na miejsce stałego letniego mego pobytu, na pryjsk zwany *Światoduchowskim*. Kiedy w Jenisejsku już śnieg topniał, tutaj zastaliśmy jeszcze zimę w całéj sile i nowe śniegi jeszcze ją podsycały tak, że do połowy maja trwała sanna droga, a ostatni śnieg stopniał w początku czerwca. Dotąd zaś ciepłem pochwalić się tu nie można; bywa wprawdzie kilka godzin gorących we dnie, ale wieczory i nocy, jakie u nas ledwie w końcu września lub w październiku bywają. Mieszkania pryjskowe nietylko wygodne, ale i zbytkowe: głównym ich niedostatkiem jest niedbałe budowanie i w skutek tego ciągłe zimno, od którego o tyle o ile zabezpieczają się watowaniem podłóg i ścian wewnątrz wojłokami i żelaznemi piecami, które szybko ogrzewają powietrze. O wygodach życia starannie myślą i wszystko sprowadzają, a są tacy, którzy w oran-

żeryjkach pielęgnują ogrodowiny. U moich np. pryncypałów sałata i rzodkiewka od kwietnia, a ogórki od maja stale się jadają, co w Tajdze jest rzeczą uderzającą. Mają nawet dwie czy trzy cerkwie zwane przenośne (походныя) i tyleż księży z potrzebną usługą na koszcie poszukiwaczów złota. Trudno wierzyć, a jednakże niezaprzeczoną to jest prawdą, że dziesięć lat pobytu człowieka w téj puszczy, tak ją wypleniło z lasu, iż na niektórych pryjskach po drwa na opał potrzeba posyłać o 15 wiorst, i sążeń drzew zwykłych piecowych, długości w arszyn kosztuje tu od 4 do 4½ rs.; albowiem dla wywiezienia takiego sążnia potrzeba 4 konie, których przekarmienie kosztuje dziennie rs. 4 z górą, a robotnik poganiający je kosztuje od 50 do 70 kop. sr. Dla robotników są szpitale i przy nich doktorowie, felczerowie i apteki dosyć dobrze zaopatrzone. Wydatnemi słabościami są tu szkorbut i gorączki, a do nich często łączą się wypadki, zwykle przytrafiające się w robotach w ziemi. Dla porządku i ochraniania najemnego ludu od ucisku przedsiębierców, są władze policyjne: czasowa, w porze wydobywania złota, i miejscowa, stale tu przebywająca. Pierwszą stanowią: wyższy oficer żandarmeryi, zwykle pułkownik, oficer kozacki i oddział kozaków pod dowództwem ostatniego będący; drugą, sprawnik, jego pomocnik i ich kancellarya, mające przydomek *górnych*, dla odróżnienia od *ziemskich*. Jest jeszcze władza czysto techniczna, składająca się z rewizora (zwykle wyższego urzędnika górnéj inżynieryi, pułkownika lub podpułkownika) jego pomocnika, odwodczyków (geometrów), pryjsków i ich pomocników i kancellaryi. Utrzymanie tych wszystkich panów i nagroda znamienita za ich trudy wchodzi (mówiąc między nami) w wydatki poszukiwaczów złota. Ludzie najmują się nietylko w bliższych, ale i w odleglejszych nawet rossyjskich guberniach; najwięcéj figurują tu *Niżegorody*, (to jest z Niżnenowgorodzkiéj gubernii) odznaczający się swoją pracowitością. Najmowanie zaczyna się w miesiącu październiku, a często i przy rozpuszczaniu najemników, którzy w kilka dni przepiwszy swój zarobek w Jenisejsku, najmują się znowu, aby otrzymać zadatek i mieć czém opłacić podatki i opędzić niezbędne potrzeby swoich rodzin, oczekujących ich z niecierpliwością. Są i tacy, którzy najmują się i na zimę dla transportów i przygotowywanych robót. Zadatek im dawany dochodzi od 20 do 50 rs. Im kto później najmuje, tém większy daje zadatek, ale prawnie można tylko dawać 7½ rs. i jeśli robotnik skrewi, to taką tylko ilość prawnie poszukiwać można na nim. Każdy otrzymuje stół, w który wchodzi dziennie funt, a dla niektórych 1½ funta mięsa i od 15 do 20 rs. miesięcznie, za czas dobywania złota, tojest od 1 maja do 10 września, w ciągu którego jedna tylko słabość uwalnia najemnika od roboty, któréj nakoniec jeśli nie może podołać, to ucieka, ale rzadko kiedy nie bywa schwytany. Wszystkie tu wydatki, utrzymanie i opłata rządzców i oficyalistów rządowych i prywatnych, wszelkie straty w dobytku i materyałach, wszystko to w budżetach wyraża się ilością opłaty robotnika, np. mówią: robotnik kosztuje mnie od 200 do 300 rs. to znaczy, że tyle wynoszą wszystkie wydatki i straty rozdzielone na liczbę robotników. Nagroda doktorów, felczerów oznacza się także z robotnika. Pierwszy bierze od 80 kop. sr. do 1 rs., a drugi od 40 do 60 kop. sr. od osoby,

Wszystkie wiktuały sprowadzają się o 200 i 300 wiorst, zwykle z Jenisejska, dokąd wodą przypławiają się po największéj części z Tomskiéj gubernii. Woły tylko przypędzają na nogach zwykle w tym miesiącu, i robi się już zapas mięsa na cały rok. Do zimy bydło się pasie, a z nastąpieniem mrozów zabijają je. Mięso zamrożone nie traci własności świeżego i używa się przez całą zimę, a na wiosnę soli się i wędzi, aby wystarczyło dla roboczych do nowych przygonów. Pud mąki kosztuje z dostawą na pryjski od 80 kop. sr. do 1½ rs., (tojest od 3 do 5 rs. za korzec); owies w takiéjże cenie, siano od 12 do 20 kop. sr. za pud, tojest od 2 do 3 rs. za wóz; przywozi się także z Jenisejska w wańtuchach jak wełna, albo też w siatkach ze sznurków, w które mocno się nabija, aby się nie roztrząsało. Zwykle jeden koń wiezie od 15 do 20 pudów. Jeden z przedsiębierców sprowadził był machinę do prasowania siana, ale okazała się nieużyteczną, bo siano tutejsze nie mając czasu dobrze wyschnąć, przy takiém ściśnięciu gorzało i gniło. Żelaza nietylko w naturze, ale i we wszelkich wyrobach sprowadza się i ocenia jakby mające się zużyć przy jednorazowéj operacyi. Dlategoto drogi tutejsze między pryjskami, usłane są nietylko podkowami, ale różném żelaztwem, którego żaden chłop nawet nie podejmuje, bo nie ma z niém co zrobić, a przerabianie tu starego żelaztwa na narzędzia drożéj kosztuje, aniżeli sprowadzenie nowego, z powodu drożyzny ludzi, a następnie i węgla. W ogólności nie mają tu najmniejszego względu na oszczędność gospodarską. Na wszelkie uwagi w téj mierze zwykle odpowiadają, że dobycie dwóch, trzech pudów złota więcéj, wszystko nagradza i dlatego każda tu robota uboczna ocenia się ilością złota mogącego się dobyć robotnikiem, któryby do niéj był użytym. Kto stem ludzi namyje 3 pudy złota, to już ma zysku od 8 do 13 tysięcy rs. Wydatki na tak mały rozmiar nie przechodzą 200 rs. na człowieka, bo już ma się mniéj oficyalistów, którzy tu mając utrzymanie od przedsiębierców, dostają od 300 rs. do 12,000 rs. rocznie; dlatego też na tych głównych posadach (zwykle rządców i plenipotentów) spotyka się tu dymissyonowanych radców nadwornych, kollegialnych i Stanu nawet, a ci często zadowolnieni są posadą nie przechodzącą 3,000 rs., bo też i to pensya, do któréj u nas dochodzi się mozolną pracą lat wielu, a tutaj otrzymuje się ją tylko stosunkami z przedsiębiercami po największéj części. Ale czas już przejść do technicznéj strony tego przedsięwzięcia. Złoto pozwala się szukać szlachcie i kupcom pierwszéj i drugiéj gildyi. Każdy szukający, gdy znajdzie miejsce, które uważa za korzystne dla siebie, wizuje je czyli abtykuje (**заявляетъ**) u właściwéj władzy, która wydaje polecenie odwodczykowi (geometrze) wprowadzić takie indywiduum we władanie. Jeden poszukiwacz nie może władać większą przestrzenią nad 5 wiorst długości, a 100 sążni szerokości, tojest 25,000 sążni kwadratowych, ale o 5 wiorst od tego pryjsku, może mieć drugi podobny pierwszemu i tak daléj. Słowem może mieć wiele chce pryjsków, byleby jeden od drugiego był oddzielony przynajmniéj pięcią wiorstami. Dwa lata daje się poszukującemu dla przygotowania się do rozrabiania i przekonania się o ilości przybliżonéj złota, znajdującego się w oddanéj mu we władanie ziemi, co się dochodzi przez wykopywanie jam na kilka sążni głębokich

w miarę grubości torfu pokrywającego złotodajne piaski, a odległych jedna od drugiéj na 25 sążni. Jeśli nie rozpocznie po dwóch latach robót i nie przemyje oznaczonéj ilości piasków, to płaci rządowi 1,000 rs. i otrzymuje prawo władania ziemią znowu dwa lata bez konieczności rozrabiania jéj, a po upłynieniu tych znowu płaci 1000 rs., jeśli chce zachować prawa swoje. Jeśli zaś dla jakich przyczyn, a szczególniéj z przekonania że nie znajdzie oczekiwanych korzyści, nie wypłaca w oznaczonym czasie 1000 rs., to traci prawo do znalezionego pryjsku i takowy wchodzi w posiadanie rządu, od którego życzący rozrabiać go, może nabyć z obowiązkiem płacenia rządowi większego procentu. Piérwsze poszukiwania w tych tajgach rozpoczęły się około 1835 roku, a świetnie się rozwinęły między 1845 i 1850 rokiem. Wszelkich podstępów tu używano dla skorzystania ze szczęścia drugiego. Jeśli tylko komu zabłysnęło szczęście i stawiać zaczął słupy, to zaraz inni wokoło niego stawiali także i wizowali za swoje odkrycia. Zdarzało się i to, że czychano na publicznych drogach na jadących abtykować swoje odkrycia, spajano ich, wykradano opisanie miejscowości i wyprzedzano zaabtykowanie cudzego pryjsku za własny. Ztąd procesa często wzbogacające tego, który najmniejszego nie miał do tego prawa. Opowiadania o czasach zwanych tu Sołowiowskiemi, od ówczesnego właściciela jednego z najbogatszych pryjsków, przypominają dziwactwa naszego starosty kaniowskiego. Pili, bili i płacili. Ale bo też było czém i płacić, kiedy sto ludzi w ciągu stu dni namywało z górą 100 pudów złota, tojest z górą milion rs. po cenie rządowéj. Na dzień namywano na jednym pryjsku po dwa i po 3 pudy i ów p. Sołowiew dobycie każdego puda ogłaszał strzałem z armatki i strzał trzeci był hasłem zwołującym sąsiadów na szampańskie, które zwykle od śniadania nie schodziło ze stołu. Po zwiększeniu się pryjsków po Jeniseju, rozdzielano je na dwa systemy: północny i południowy. Ostatniego wcale nie znam, a o piérwszym co wiem, to kommunikuję. Główną skazówką złota jest tu kwarc, kamień wapienny i zwany tu słaniec (łupek, talk). Zwykle piaski złotodajne leżą pod warstwą ziemi (torfem) od arszyna i mniéj, niekiedy do 17 arszyn grubą. Pokład zaś złotodajnych piasków po największéj części jest od ½ arszyna do 6, chociaż ten jest wyjątkowy, np. Gawrylowski pryjsk kompanii Rezanowych na rz. Ogni, na którym już wydobyto piasków w głąb na 27 arszynów, a jeszcze ich nie wyczerpnięto. Różnorodność nietylko co do grubości torfów i pokładu złotodajnych piasków, ale i co do samego bogactwa, ich niesłychana. Wśród pokładów piaskowych napotyka się rzuconą w głąb ziemi skałę, urągającą się usiłowaniom ludzkim, lub też kamień wapienny zapełniony żyłami złota, którego dobycie z niego nie pokryłoby wydatków. Złoto jest rozrzucone po całéj przestrzeni, ale chodzi o to, aby znaléźć takie, któreby przedstawiało korzyści. Tutejsze pryjski wszystkie leżą po rzekach i rzeczkach; *Seweglikonie*, *Wangaszie*, *Oktylikie*, *Kołymie*, *Diebkoszy*, *Dytynie*, *Jenyszymie*, *Ogni*, *Tei*, *Welmie*, i różnych strumieniach w nie wlewających się, a same wpadają jedne w *Pit*, a drugie w *średnią Tunguskę*, zwaną także Podkamienną, które wlewają się w Jensiej z prawéj jego strony. I te mniejsze rzeczki także z prawéj strony po największéj części wpadają w większe, i z nie

wielkim wyjątkiem na prawéj stronie mają więcéj złota. Nazwiska tych rzek, według twierdzeń tutejszych Tunguzów, utworzone zostały, to na cześć kobiet odznaczających się męztwem w walkach z niedźwiedziem; to dla uczczenia roślin, których skutków zbawiennych doznano, to od jakichsiś wypadków; *Kołyma*, np. w ich języku znaczy *utopiony kociołek*. Cała długość wyrabiających się tutaj pryisków w tutejszym systemie nie przechodzi 100 wiorst, ale dotychczasowe zawizowanie odkryć w niéj rozciąga się na 300 prawie wiorst, szerokość zaś nie tak znaczna. Złoto wszędzie przemieszane jest z ziemią często gliniastą, lub też tłustą i piaskiem z kamieniami grubszemi i drobniejszemi tak, że rzadko gdzie można je widzieć gołém okiem w ziemi, i tam nie bywa tak czyste, aby nie potrzeba je było przemywać, wyjąwszy samorodek, tojest złota zlanego samą naturą w jednę większą massę. Takie samorodki bywają od zołotnika do 10 funtów i więcéj niekiedy w tutejszych miejscach. Ja widziałem tylko ważący funt i 34 zołotniki (zołotnik = $^1/_3$ luta). Dawniéj twierdzono, że złoto tylko zaległo w łożach rzek, strumieni i ich brzegach nizkich; dzisiaj przekonano się, że jest i w górach, chociaż zwykle pomieszane z massą kwarcowych lub wapiennych pokładów, które dobywanie jego czyni bezkorzystném przy dzisiejszych warunkach i znajomości rzeczy. Na téj drodze rzeczywiście bardzo jeszcze wiele zostaje do studyowania. Często trudno jest nawet rozróżnić na oko pokład piasków złotodajnych od próżnych, i zwykle upewniają się o tém braniem prób, tojest przemywaniem piasków na niewielkich odległościach ciągle w czasie roboty. Skazówką rozrabiania piasków jest ilość złota otrzymującego się ze *sta pudów* piasku. Dawniéj kiedy wszystko prawie dwa razy było droższe, uważano za niewarte rozrabiania piaski, dające zołotnik lub dwa; teraz rozrabiają i dołowe, których w zołotniku 96. Za dobre uważają mające 80 doll, jeśli torf niegruby, a pokład piasku ma kilka arszynów. Rzeczywiste bogactwo stanowi grubość pokładu złotodajnych piasków i stała chociaż umiarkowana ilość złota w nich. Takim np. jest wzmiankowany wyżéj pryisk Gawryłowski, gdzie na długości 50 sążni ryjąc jamę w głąb na 27 arsz. wydobyto 150 pudów złota, chociaż w stu pudach piasku mają tylko zołotnik z dolami złota. Są i takie pryiski, w których spotyka się jama mająca z górą funt złota na 100 pudów piasku, a potém znaczna przestrzeń pusta i do tego torf gruby na 17 arsz.; takie pokłady nazywają się tu kotłowinami. Są znowu i takie fenomena, że jest i podwójny torf i podwójny pokład piasków. Takim jest pryjsk Kanawałowa na Ogniówce. Skała wapienna przesnuta żyłami złota wsunęła się w pokład (разрѣзъ) rozrabianych przez niego piasków, których grubość była 4 arsz. pod torfem 8 arsz; przebito część skały i spotkano nowy torf grubości 4 arsz., a pod nim pokład złotodajnych piasków grubych na 16 arsz., ale tego jeszcze sam nie widziałem: jednak postaram się zobaczyć. W początkach najbogatsze były pryiski po *Seweglikonie*, *Wangaszy* i *Oktyliku*; dzisiaj już się znacznie wyrobiły, chociaż i teraz kompania *Zotowych* namywa do 150 pudów 3,000 ludzi przez lato. *Płatonowski* na Wangaszy (nazwiska pryisków zwykle mają imię jakiego świętego, albo też i to najczęściéj imiona właścicieli np. *Swiato-Duchowski*, *Titowski*, *Narkiszowski*, *Płatonowski*, *Gawryłowski*, *Księżnéj Ma-*

datów, Grafa Orłowa, Paszkowa i t. d.) rozrabia dzisiaj resztę dawnych bogactw i na dwóch beczkach przemywa dziennie od 3 do 3 pudów, 30 funtów złota, a średnią liczbą niemniéj nad 3 pudy 1000 ludzi; ale też ma miejsca, gdzie z dwóch sześcienych sążni otrzymuje 1 pud złota. Lecz to jedna tylko taka szczęśliwa kompania *Bernardaki*, a i ta wyczerpnie się jeśli nie w tym, to w przyszłym roku. *Ognia, Jenyszyna* i *Ogniówka* przedstawiają więcéj nadziei na przyszłość, choć dotąd widoczne korzyści znaczne dają tylko pryiski *Rezanowa* i *Konowałowa*. *Debkosza* należy także do bogatych. Ale ja sądzę, że z postępem nauki wiele jeszcze znajdą bogactw następne pokolenia w tém nawet, co przechodzi już przez ręce dzisiaj rozrabiających. Początkowo wkopywano się wprost do pokładów piaskowych rzniętemi łochami (ortami), których wnętrza umocowywano po bokach w sklepieniu grubemi dyłami, ale że to znacznie wypleniało lasy i było powodem wielu wypadków z robotnikami, przeto wzbronionem zostało takie rozrabianie, tém bardziéj, że i przedsiębiercy widzieli w tém stratę z niemożności wydobycia wszystkiego złota, w takich ciasnych łochach. Teraz zwykle zdejmują torf, a potém rozrabiają piaski. Torf w znacznéj części zdejmuje się ostatnich dni kwietnia i w maju, kiedy jeszcze tu ziemia zmarzła. Odłamują zwykle bryły jego, podkopując *kajłami*, żelaznemi oskardami, a z wierzchu zabijając pudowe i więcéj kliny żelazne, kowalskiemi ogromnemi młotami. Łatwo pojąć jakato jest ciężka robota dla ludzi. Niektórzy używają do tego naszych *bab*, używanych do wbijania pali, ale to znowu utrudniają napotykane ogromne kamienie. Zdjęty torf odwożą na stronę i usypują z niego wały tak, że gdyby zaginęła pamięć o dobywaniu tu złota, to możnaby pomyśleć, że tu były jakieś fortyfikacye; nic nie przesadzę, gdy powiem, że z gór robią tu doliny, a z dolin góry i zmieniają fizyonomią powierzchni miejscowości. Od piérwszego czerwca rozpoczyna się zwykle przemywanie złota ciągłe, bo w niektórych okolicach, szczególniéj na zachód położonych i od północy zasłoniętych górami, zaczyna się przemywanie i w maju, ale często zatrzymywane bywa mrozami ścinającemi wodę. Do przemywania piasków budują się machiny na zasadzie młynów. Cała machina pokrywa się pomostem dużym, zaopatrzonym poręczami z trzech stron, czwarta służy do wywożenia piasków. Dawniéj spadały one na durszlaki żelazne z dziurkami grubości palca, a po tych durszlakach chodziły brony rozcierające piasek i oddzielające go od grubych kamieni, które spadały w okna kommunikujące się z temi durszlakami, a pod nie podjeżdżały taradajki i wybierały kamień przez otwarcie rodzaju drzwiczek, odmykających się do góry, a drobny piasek spadał wraz ze złotem przez otwory takiego durszlaka (Чащи) na śluzę do ostatecznego przemywania. Dzisiaj prócz jednego Łopatina, który się trzyma starego sposobu, wszędzie są używane beczki żelazne dziurkowane otworami grubości palca. Wierzchni pomost ma tyle otworów, ile jest beczek; otwór ten ukośnie łączy się z beczką, która wewnątrz dla mocy ma trzy krzyże żelazne, dwa niedaleko od brzegów, a jeden we środku; zwykle bywa na 5 arsz. długą, a średnica z jednéj strony o werszok lub dwa większa, a niekiedy i ćwierć arszyna. Strona otworu przeciwna stronie beczki przyjmującéj

piasek, wyłożona jest blachą mocną żelazną, mającą otwory środkowy i boczne, ale tak skierowane, że woda wchodząca przez nie, koncentruje się w jedném ognisku, wpędza w beczkę wsypany z góry przez otwór piasek, a beczka poruszana kołem wodném na zasadzie działania siły odśrodkowéj, przemywa, oddziela gruby kamień (galkę) przez drugi swój koniec do okna z nim kommunikującego się, a pod nie podjeżdżają taradajki i za otworzeniem drzwi tego okna w górę, kamień spada na taradajki i wywozi się na naznaczone miejsce zwane tu otwałami. Drobniejszy kamień (zwany tu efelem) wraz z cząstkami ziemi i złotem, spada przez otwory beczki i zwykle to, co jest w nim najcięższego jak złoto, osiada pod beczką w dole kształtu długich niecek, albo raczéj głębokiéj rynny; resztę mętnéj wody, efela i lżejszego złota, pędzi woda po śluzie, która dla utrzymania złota, urządzona jest spadzisto i w pewnych odległościach ma gzymsy, a przed nimi spadek, w którym część złota (zawsze jednak z ziemią) osiada. Nakoniec, ażeby i drobne złoto zatrzymać o ile można, robią się przy końcu śluzy na całą jéj szerokość skrzynki i te napełniają się żywém srebrem (merkuryuszem), które przyciąga i drobne złoto. Sposób ten nazywa się amalgamacyą. W samym końcu śluzy jest skrzynka z nieco wyższym bokiem ze strony zewnętrznéj, w którą spływa woda ze śluzy wraz z *efelem*. Skrzynka ta jest pochyła na jednę stronę i kommunikuje się z tak zwanemi czerpakami, które zaczerpują te męty i efel i podejmują do drugiego okna z nimi kommunikującego, a pod nie podjeżdżają taradajki i zabierają takim sposobem jak *galkę*. Jeśli machina jest dobrze urządzona, to efel wychodzi tak czysty, że wrzucony do szklanki wody, nie daje prawie mętu. Na wielu maszynach poniżéj głównéj beczki jest druga beczka także metaliczna i jednakowéj prawie długości, ale znacznie mniejszéj średnicy, która złączona jest gatunkiem koryta z główną beczką i przyjmuje wypadający z niéj efel i dlatego nazywa się *efelną*, i ma otwory znacznie mniejsze. Ta już drobniejsze męty wyrzuca na pozostałą część śluzy, a grubszy efel wyrzuca do luki, z którą kommunikuje się równie jak i pierwsza. Średnica beczki bywa z większéj strony 7 i 6 ćwierci arszyna, z przeciwnéj o ćwierć mniéj. Pochyłość a raczéj spadzistość śluzy schodzi o werszków dwa i trzy niekiedy na każdy arszyn (arszyn ma 16 werszków, a łokieć ma ich tylko 13): zależy to zwykle od ilości wody i wielkości całéj maszyny. Woda sprowadza się jak we młynach rynnami. Jeśli jéj dosyć, to porusza i całą machinę i płucze piaski. Jeśli mało to machina porusza się końmi jak w konnych młynach, a woda tylko przemywa piaski. Niekiedy ziemia i glina rozmiękczone wodą zaklejają otwory beczek, dlatego ze skierowaną w nie wodą połączone są dwa lub trzy skórzane rękawy jak w sikawkach, ruchome na wszystkie strony i w razie potrzeby opłukują się niemi i beczki i śluzy przy zdejmowaniu z nich piasków. W niektórych machinach w ostatniéj dolnéj skrzynce jest śruba Archimedesa wypychająca stale efel do czerpaków. Są to blaszane z żelaza kwadraty z podługowatém dnem o trzech ścianach, z czwartéj przymocowane do grubego i szerokiego, stosownie do wielkości koła, rzemienia, zszytego ze skóry w kilkoro złożonéj. Przymocowują się śrubami w odległościach zastosowanych do obrotu koła. Takim sposobem

każdy taki czerpak podejmuje pewną ilość wody mętnej i efelu w górę do luki. Inaczéj dolna skrzynka zapełniłaby się mętami i efelem i zatamowaćby mogła ściek wody po śluzie. Na każdéj beczce przemywa się dziennie od 20 do 25, a na niektórych i do 30 tysięcy pudów piasku. Machiny zwykle bywają o jednéj, 2, 4, a widziałem jednę i o ośmiu beczkach; ma się rozumieć nad każdą z nich jest otwór w pomoście dla wysypywania piasków. Na *Płatonowskim* pryisku widziałem machinę o 4 beczkach poruszaną parą, tojest machiną parową sprowadzoną tu z Anglii. Ale tém przemywaniem dopiéro tylko zgromadza się złoto rozrzucone w wielkiéj ilości piasków w mniejszą objętość ziemi i gliny, przemieszanych większą ilością złota, widzialnego już gołém okiem. Dla ostatecznego zaś oddzielenia *złota*, jeszcze się przemywają piaski osiadłe na śluzie, już ręką ludzką. Zdejmowanie piasków ze śluzy odbywa się dwa razy w dzień, w czasie wypoczynku roboczych, między 11 i 1szą w południe i po zakończeniu dziennych robót, tojest po 8 godzinie wieczorem. Najbogatsze są piaski osiadające pod beczkami i te nazywają gołówką, czołem, a coraz mniéj bogatsze, postępując ku końcowi śluzy. Ze wszystkich tych żłobków wyjmują się piaski w rodzaj cebrzyków nie wysokich, węższych u dna, a szerszych u góry, okutych obręczami i mających antaby, za które robotnik je przenosi na tak znane *ważgierty*. Z czoła i z pierwszego pod efelną beczką żłoba, piaski przemywają się oddzielnie, a z pozostałych żłobów łączą razem. Ażeby z tych żłobów wyjąć swobodnie piaski, wyjmują się gzymsy zwykle tak osadzone, że w końcach są przecięte i w górę wyjąć się mogą. Po wyjęciu gzymsów wyjmują łopatami żelaznemi piasek tam osiadły w cebrzyki i przenoszą na wzmiankowane wyżéj ważgierty. Sąto skrzynki mające długości od dwóch do trzech arsz., a szerokości od $1\frac{1}{2}$ do dwóch; z jednéj strony są otwarte i mają tylko u dna gzyms otwierający się, boczne ściany są nie wysokie i zniżające się ku ścianie otwartéj. Ściana tylko jest wyższa i ma dwie niewielkie obrzynczki, w które wpływa woda przez kran będący u wierzchu téj ściany. Korytka te jedno pod drugiém tak, żeby woda powolnie spływała na piasek, wychodząc z brzegów niższéj skrzynki. Podłoga ważgierta jest wpuszczona w fugi, aby nie miała żadnych nierówności i szczelin. Takito ważgiert ustawia się nieco spadzisto, nasypuje się na niego od 2 do 3 pudów piasku naraz, nie więcéj, i puszcza się woda kranem. Ona pędzi piasek na dół, a robotnik popycha w górę narzędziem drewnianém, podobném zupełnie do tego, jakiego u nas używają mularze do tynkowania ścian, z tą tylko różnicą, że brzegi są nieco zaostrzone i rękojeść dłuższa. Takiém narzędziem (zwaném tu grebkom), robotnik posuwa po dnie ważgierta piasek nietylko w górę, ale i na boki na dół, oddziela efel nie mający już na sobie ziemi, w któréj mogłoby być złoto. Przez takie ciągłe tarcie i podsuwanie w górę już się oddziela czyste złoto, które jako cięższe osiada w wierzchniéj części ważgierta, a efel osiadły w dolnéj jego części przemywa się czysto raz i drugi. Oddzielone już tym sposobem złoto czyste, zmiata się zwykle ręczną twardą szczotką, zmoczoną w wodzie i zbiera się ćwiartką blachy wygiętéj nieco i zsypuje się na patelnię, lub w dużą łyżkę żelazną, nieco zgiętą, w kształcie nosa imbryczków od kawy i suszy się nad ogniem, a wysuszone zsypuje się do flasz metalicznych. Złoto, które łączy się

z merkuryuszem, zbiera się oddzielnie. Z téj skrzynki, w któréj jest merkuryusz, wypuszcza się wraz z połączoném z nim złotem, bocznym otworem umyślnie na to urządzonym. Pod tym otworem wystającym na zewnątrz trochę, stawi się wanienka zwykle metaliczna i przykrywa się płótnem; merkuryusz wraz z wodą przecedza się przez płótno, a złoto z drobnym efelem zostaje na płótnie. Po zupełném wypuszczeniu merkuryuszu wyciska się płótno; od czego merkuryusz pozostały przejdzie przezeń i pozostanie tylko miałki efel i złoto białego koloru od połączenia się z merkuryuszem. Potém zwykłym sposobem przemywa się na ważgiercie i suszy się na ogniu, od czego merkuryusz się ulatnia i złoto wraca do właściwego koloru i zsypuje się do uprzednio zebranego. Poczém waży się i zapisuje w księgę sznurową, zaświadczoną górniczą władzą i chowa się do czasu wysłania go. Przy przemywaniu na ważgiertach i na ziemi jest nieodstępnie kozak. Jeśli na machinie nie ma beczek efelnych, to zgromadzony w żłobach śluzy piasek, przenosi się na tak zwane misy dziurkowane (czaszy) gdzie bronami oddziela się grubszy efel, a drobniejsza massa zebrana pod czaszą, przez jéj otwory przenosi się na ważgierty i przemywa uprzednim sposobem. Do odwożenia torfu, galki i efelu i przewożenia piasków na machinę, używane taradajki są kształtu naszych *bid*, na dwóch kołach tak wielkich jak największe kareciane tylne koła; wasążek jest pół-owalny osadzony nieco niżéj kół na téjże samej żelaznéj grubéj osi co i koła; ona przechodzi przez jego środek i obraca się na niéj swobodnie, a z przodu ma kruczek, który przytwierdza go do hołobli w czasie nakładania ciężaru i przewożenia go na miejsce oznaczone, a ten kruczek się odszczepia i wasążek przewraca się zupełnie dnem do góry i ciężar się wysypuje. Na dwóch pryiskach dla ulgi koniom i zmniejszenia liczby ich i ludzi, widziałem urządzone żelazne drogi na dosyć znacznéj przestrzeni, bo na 300 z górą wiorst. Po nich konie wożą wagony, ale kiedy po zwykłéj drodze koń wiezie tylko 25 pudów, to po żelaznéj wiezie 2 i 3 wagony, z których każdy zabiera ciężaru od 50 do 80 pudów. Nadto są miejsca tak błotniste, że koń przez czas nakładania ciężaru grzęźnie, iż z trudnością przychodzi mu się wydobyć, a często i wyciągają go. Konie podwożą wagony do pomostu zwykle urządzonego na pewnéj odległości od machiny, a tam wagony zaczepiają się za sznury wciągające je na machinę jużto obrotem wodnych kół, jużto śrubą Archimedesa. W każdym roku starają się ulżyć pracy ludzkiéj, bo też ona tu arcymozolna, chociaż dobrze opłacana. Często deszcze i wewnętrzna woda zalewają rozrabiane miejsca, zwane tu *razrezami* i robotnicy prawie zawsze w błocie pracują, chociaż i wylewają wodę z razrezów, to pompami, to śrubą Archimedesa, to i prędszemi sposobami. Są robotnicy, którzy najmują się do zadanéj roboty; dwóch ludzi i koń obowiązani są dziennie splantować i wywieźć na naznaczone miejsce sześcienny sążeń torfu i za to dostają 1 rs.; jeśli zrobią więcéj, to za tę ilość zwaną *staratelną*, otrzymują proporcyonalnie podwójną płacę, równie jak i we dnie świąteczne, w które każda praca uważa się za *staratelną*. Dobyte złoto sprzedawać się może tylko rządowi, który za zolotnik ($^1/_3$ łuta) płaci 3 rs., a z dostawionego złota bierze procent postępowy, tojest zwiększający się w miarę ilości dobytego złota, które odwozi się do Barnaulskich kopalń, leżących w Tomskiéj guberuii i tam się

przetapia. Do tego używają się garnki ołówkowe (grafitowe) zwykle z Anglii sprowadzone; w nie nasypuje się proszek czystego złota, przydaje się do niego borax i inne chemiczne ingredyencye ułatwiające topienie się złota i garnek ów nagrzewa się węglem w osobno urządzonych na to piecach do czerwoności, i gdy już po pewnych znakach i czasie przekonają się, że złoto przeszło do stanu płynnego, to przyrządzanemi do tego ruchomemi i umocowanemi jak wagi szczypcami, podejmują ów garnek, u dołu węższy, a u góry szerszy i mający nosek jak w imbrykach do kawy i wylewają złoto do czuhunnéj skrzynki, także u dołu węższéj i wewnątrz wysmarowanéj woskiem, ażeby ów kipiątek złota nie przystawał mocno. Skoro wylane zostanie złoto, starają się chłodzić je nagle i jak zimową porą obrzucają przygotowanym dlatego w laboratoryum śniegiem. Ostudzoną taką bryłę ważącą od $2\frac{1}{2}$ do 4 pudów wyjmują, oczyszczają trochę małemi drucianemi szczoteczkami i w takim stanie odsyłają do mennicy. W tak stopionem złocie zawsze jest ligatura srebra i tém więcéj ceni się złoto, im mniéj jéj ma. W proszku przemytym najlepiéj, są cząstki żelaza, od których przed odprawieniem namytego złota, oczyszcza się go magnesem. Przy wszystkich tych operacyach zawsze jest władza i straż rządowa i odkryte zatajenie lub sprzedanie na stronę najmniejszéj ilości złota, uważa się za kryminał i jako taki sądzony bywa i równéj karze ulega i kupujący i sprzedający. Zapomniałem jeszcze powiedzieć, że skóra i ważgierty, (których liczba bywa zastosowaną do otrzymującego złota, tak, aby ono na nich przemyte było w czasie wypoczynku robotników) są pod dachem i zasłonięte z boków, aby deszcz nie przeszkadzał zwiększaniem wody. Na téj saméj wodzie bywa kilka machin, i woda z jednéj przechodzi na drugą, z drugiéj na trzecią: ale to się robi już tylko z konieczności, bo na trzecią machinę przychodzi już taka mętna woda, że nie może dobrze przemywać piasków. Robotnik jeśli znajdzie samorodkę, to oprócz zwykłéj nagrody za pracę, dostaje kopiejkę srebrem za każdą dolę wagi. Z tego wszystkiego co powiedziałem o tutejszém dobywaniu złota, wychodzi rzeczywisty wniosek, że niełatwém jest jego otrzymanie, i że więcéj przedsiębierców przyprawia o ruinę, niżeli wzbogaca. Szczególniéj rujnują się przy odszukiwaniu go, dla braku dostatecznych wskazówek o jego zaleganiu. Sołowiow i Kuzniecow, którzy tak się wzbogacili późniéj, już byli w takim upadku, że po 5 od sta pożyczali na podtrzymywanie swoich poszukiwań, a potém gdy uderzyła godzina szczęścia, w jednym roku, tojest w ciągu dni 100 zostali milionowemi panami. Ale i ci, którzy zostają bogaczami, jakoś nie umieją użyć ich jak należy, i ów Sołowiow, jak powiadają dzisiaj, podupadł, chociaż po dwóch latach pobytu wywiózł półtora miliona rs. W ogólności nie tyle się wzbogacają rozrabiający złoto, jakby oczekiwać należało. Przyczyną tego jest to, że mało jest takich, którzyby własnym kapitałem obracali, a powierzający im go, zwykle tu 40 od sta liczą, a przytém nadzieja na stałą pomyślność rozwija w nich prędko życie nad skalę i zbytek wszędzie, a tutaj jeszcze bardziéj drogo kosztujący, i często przedsiębiercy bankrutują, a ich kredytorowie stają się właścicielami ich pryisków. Stały procent tego przedsięwzięcia trudno oznaczyć. Zależy on zupełnie od ilości złota, jakie się napotka. Daje on niekiedy i $2\frac{1}{2}$ rs. za jeden włożony, jak np. w roku zeszłym u Zotowych: operacya ko-

sztowała 600,000 rs., a dobyto 150 pudów złota, co czyni 1,500,000 rs., mieli więc czystéj dywidendy 900,000 rs. Bywa niekiedy i więcéj, ale za szczęśliwego ma się ten, który otrzyma czystéj dywidendy 50 kop. za rs. Wielu jest takich, który zakopuje kapitał jaki miał wraz z kredytem i wraca z biczykiem, jakto się mówi. Najlepiéj tu wychodzą kapitaliści i operujący zbożem, na którém najmniéj kilka kopiejek mają na rubel za kilka miesięcy, a nie rzadko rubel na rubel zarabiają. O towarzystwie tutejszém nie ma co mówić, bo jestto zbiór ludzi z różnych stron przybyłych i po największéj części w charakterze plenipotentów lub rządców. Łączy ich tylko wspólny interes i każdy myśli tylko o tém, jakby się wzbogacić i prędzéj ztąd wyjechać. Stanowisko każdego ocenia się ilością dobytego złota i szumném życiem, rzucającém tysiące dla chwilowych fantazyj. Zewnętrzny blask, muzykalność wrodzona, fortepiany, formy światowe w karykaturze, wszystko tu się znajdzie, zwłaszcza w domach familijnych. Wegetacya tu nadzwyczaj bystra. Wszystko co godzina rozwija się i rośnie tak, że okiem to można dojrzeć, ale niedługo wszystko zwarzone zostanie mrozem, który tu w sierpniu już rozpoczyna swoje panowanie. Zboże tu żadne nie jest uprawiane i przedsiębrane próby nie udały się. Panującą jagodą jest *kniażenik* podobna do naszych *jeżyn*; z krzewów: dzika róża, porzeczka, klukwa, brusnica; drzewa szpilkowe, brzoza i wierzba; flora bardzo uboga, ale za to co jest, to bujnie się rozwija. Słowem natura zupełnie dzika, nieuprawiana, a niszczona ręką ludzką. Drogi odbywają się tu konno, lub w kabryoletach: sąto znane tarantasiki małe o dwóch kołach; od kół a raczéj od osi ich, idą dwie długie hołoble i na nich osadzone jest w pewnéj odległości duże krzesło, nabierające tym sposobem elastyczności, ale bardzo ciążące na konia. Wyjeżdżając ztąd w jesieni, kiedy drogi stają się nadzwyczaj błotniste od ciągłych deszczów, używają tak zwanych kaczałek, szczególnie dla dam i dzieci, bo mężczyzni zdrowi zwykle konno odbywają tę podróż. Sąto można powiedzieć lektyki osadzone na dwóch drągach (hołoblach) o ile można długich; w taką kaczałkę wprzęga się jeden koń z przodu, a drugi z tyłu i niosą ją na sobie. Przy każdym koniu jest człowiek konno, który prowadzi go i kieruje. Twierdzą, że to i wygodnie i bezpiecznie. Jak daleko to jest prawdziwym, powiem, gdy sprobuję. Poziomek nie ma tu wcale, ale za to wyłączny, smrodliwy gatunek cebuli (zwanéj tu czeremszą) i dziki czosnek obficie rośnie.

Zapewne sąsiednie Węgry wydobywające od tak dawna złoto, dostarczą lepszych sposobów nad używane tutaj i wiele ułatwiających środków przez użycie parowych machin, zastosowanych już na zachodzie do wszystkich robót w ziemi; jednakże gdyby okazało się potrzebném jakie bliższe poznajomienie się z tutejszemi machinami i sposobami, to tych zasięgnąć można u kolegów naszych Karola Ruprechta, Alojzego Tarkowskiego, Alexandra Rudkiewicza, Michała Lewickiego, którzy przez lat kilka praktykowali to zajęcie, nie na tych wprawdzie pryiskach, ale tutaj manipulacya wszędzie jednakowa.

D. lipca 1857 r.
Północna Jenisejska Systema
Swiato-Duchowski pryisk.

Piotr Borowski.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1857.

114. De vita et poesi Clementis Janicii; dissertatio inauguralis. Vratislaviae, typis Rob. Nischkowsky. 1857. W 8ce, str. VIII, 63, 1. (Walentego Masłowskiego).

115. Historya powszechna Cezara Cantu, przełożona przez Leona Rogalskiego. Tom XI. Od rozdziału VIII do XXXIII tłumaczył Fr. Henryk Lewestam. Warszawa. Nakład i druk S. Orgelbranda księgarza i typografa. 1857 (W 8ce, str. 980). Rub. sr. 3 k. 75.

116. Nowe bajki i powiastki dla dzieci. Oryginalne. Tymoteusza Rodziszewskiego.

„Otóż nowy dar dla was kochane dzieteczki!
Znowu ja wam przynoszę powiastki, bajeczki.
Choć macie przyjaciela swego Jachowicza,
Co wam w swoich książeczkach nauki użycza,
Gdzie skarby znajdą wasze serduszka dziecinne
Abyście jak aniołki stały się niewinne;
Niechaj jednak kto może, pisze wam na świecie,
Bóg dał że kiedyś ludźmi dobremi będziecie".

W Warszawie. Nakładem autora. 1857. (W 12ce, str. 106 i IV spisu).

117. Nowy lekarz czyli sposoby leczenia koni, bydła, owiec i innych domowych zwierząt, tudzież karmienia i rozmnażania onych; tłumaczenie uwieńczonego dzieła przez towarzystwa ekonomiczne w Marchii, Jana Mikołaja Rohlwes, z dołączeniem Weterynaryi homeopatycznéj popularnéj przez J. H. Lewandowskiego. Edycya ósma całkiem przerobiona i znacznie pomnożona według ośmnastego wydania. Z dwiema rycinami. Warszawa. Nakładem S. H. Merzbacha księgarza. 1857. (W 8ce, str. VIII i 353. Pięć kartek spisu. W drukarni Alexandra Gins).

118. Paweł Łodzia Kubowicz i Scholastyk i szewc. Dwie gawędy przez Wiktora Dłużniewskiego. 8ka. Warszawa. 1857. (Nakład autora, druk K. Kowalewskiego). Str. 38.

119. Weterynarya homeopatyczna popularna. Czyli opisanie właściwych symptomatów towarzyszących każdéj chorobie, u większych domowych zwierząt, z podaniem przyczyn i stosownych prędko chorobę usuwających homeopatycznych środków lekarskich, przez J. H. Lewandowskiego, lekarza weterynaryi przy Warszawskim Dywizyonie Żandarmów, Magistra nauk weterynaryjnych, Assesora Kollegialnego. Warszawa. Nakładem S. H. Merzbacha księgarza. 1857. (W 8ce str. IV i 59. Spisu kart cztery. W drukarni Alexandra Gins).

120. Uwagi nad znieważeniem powszednią pracą niedzieli i złych skutkach ztąd wynikłych dla religii, społeczności, rodzin i krajowych ustaw, tudzież dla pomyślnego bytu, godności i zdrowia ludzi, skreślił ks. Gaume

w XII listach do M. N. członka Izby prawodawczéj, a z drugiego wydania przełożył X. S. S. D. Wilno. Nakładem księgarni A. Assa. 1857. 16ka. Str. 162. Cena kop. sr. 50.

121. Wycieczki po Litwie w promieniach od Wilna (Troki, Stokliszki, Jezno, Punie, Niewież, Miedniki i t. d.), z ryciną litografowaną (u Fajansa) i drzeworytami, przez Władysława Syrokomlę. Tom piérwszy. Wilno. Nakładem księgarza A. Assa. 1857. 8ka. Str. 188. Cena rs. 1, kop. 50.

122. Wykład Geometryi zastosowany do użytku w szkołach przez Juliana Zaborowskiego, nauczyciela etatow. przy szkole Realnéj w Poznaniu, członka tow. nauk przyrodzonych W. Ks. Poznańskiego, redaktora tygodnika „Przyroda i przemysł". Część piérwsza. Planimetrya. Poznań. Nakładem księgarni Jana Konstantego Zupańskiego. 1857. Planimetrya ułożona na wzór niemieckiéj książki p. L. Kambly professora przy gimnazyum Św. Elżbiety w Wrocławiu. Z 140 figurami wśród textu umieszczonemi. W 8ce str. 104. Poznań, czcionkami M. Zoerna.

1858.

1. Bakalarz, zdarzenie w powieści, w dwóch częściach, napisał Włodzimierz Wolski. Warszawa. Nakład i druk S. Orgelbranda księgarza i typografa. 1858. (W 8ce str. 332). Rsr. 1 kop. 35.

2. Głos pasterza albo mowy poufałe proboszcza do swych parafian, na wszystkie niedziele roku przez księdza Reguis, proboszcza z dyecezyi Gap, a poprzednio z Auxerre, przełożone z francuzkiego przez księdza Pawła Rzewuskiego. (Z godłem:)

Veni non in sublimitate Sermonis.
Cor. I. 2,

Dwa tomy. Warszawa. Nakład i druk S. Orgelbranda księgarza i typografa. 1858. (W 8-ce. Tom I. str. 364. Tom II. str. 391). Rsr. 3 k. 30.

3. Irlandya, jéj początek, historya i obecne położenie, przez H. de Chavannes de la Giraudière i Huillard-Bréholles, z godłem z Tacyta: „Atrox praeliis discors seditionibus, ipsa etiam pace saevum". Przekład z francuzkiego z przedmową Michała Balińskiego. Wilno. Nakładem księgarza A. Assa. 1858. 8ka. Str. XVIII i 334. Cena rs. 1, kop. 80.

4. Kalendarz wydawany przez Obserwatoryum Astronomiczne Warszawskie, na rok zwyczajny 1858. Rok drugi. 8ka. Warszawa. 1858. (Główny skład w księgarni G. Sennewalda, druk Gazety Codziennéj). Str. 254, jarmarków str. 14 i rejestru karta 1. Kop. 45.

5. O doskonałości chrześciańskiéj. Dzieło ks. Alfonsa Rodriguez S. J. z języka hiszpańskiego na francuzki kilkakrotnie przełożone, a teraz według ostatniego tłumaczenia francuzkiego, przez ks. kanonika Cruice do użytku ludzi świeckich zastosowanego, w przekładzie polskim wydane. 8ka. Warszawa. 1858. Skład główny w księgarni J. Blaszkowskiego. (Druk Gazety Codziennéj). Napisów kart 3, str. XVI i 680. Kop. 75.

6. Pisma J. I. Kraszewskiego. Z rycinami Henryka Pillatego. Całe życie biedna. Powieść przez J. I. Kraszewskiego. 4ka. Warszawa. 1858. Nakładem H. Natansona, (druk Gazety Codziennéj). Str. 36 i napisów karta 1. Kop. 45.

7. Początkowa nauka języka hebrajskiego łatwym sposobem wyłożona przez Jakóba Muszkat nauczyciela prywatnego. Część pierwsza. Warszawa, nakład i druk S. Orgelbranda księgarza i typografa. 1858. (W 12, str. 102). Kop. 40.

8. Poszukiwania do historyi Rolnictwa krajowego przez Edmunda Stawiskiego. Warszawa. Nakład i druk S. Orgelbranda księgarza i typografa. 1858. (W 8-ce str. 384). Rsr. 1 k. 50.

9. Rozrywki dla młodocianego wieku. Dzieło zbiorowe w 5ciu tomach, obejmujące: Powieści, podróże, literaturę i rozmaitości, przez Seweryną z Żochowskich Pruszakową. Serya II. Tom I. 8ka. Warszawa. 1858. Nakładem H. Natansona. (W drukarni Gazety Codziennéj). Kart napis. 2, regestru karta 1 i str. 454. Przedpłata na 5 tomów rs. 4, kop. 50.

10. Stanisław Leszczyński i Polska w piérwszéj połowie XVIII wieku. Przez autora Ukrainy i Zaporoża. Z dwiema rycinami. Warszawa. Nakładem J. Breslauera księgarza, 1858. (W 8ce. W drukarni J. Jaworskiego). Tom I, str. 237. Tom II, str. 214). Rs. 3, kop. 30.

11. Tylko grajek. Powieść przez H. C. Andersena. Z oryginału duńskiego przełożył F. H. Lewestam. 16ka. 2 tomy. Warszawa. 1858. Nakładem Karola Bernsteina. (Druk Gazety Codziennéj). T. I, str. 255. T. II, str. 302, i w każdym kart napis. 2. Rs. 1, kop. 80.

12. Wycieczki lekarza Polaka po własnym kraju, przez Dra Tripplina. Tomów cztéry. Wilno. Nakład Maurycego Orgelbranda. W 12ce. Czcionkami A. Marcinowskiego. Tom I, str. 319. Tom II, str. 302. Tom III, str. 248. Tom IV, str. 289. Rs. 5, kop. 40.

13. Wyprawa po żonę. Powieść Józefa Korzeniowskiego. 16ka, 2 tomy. Petersburg. 1858. Nakładem B. M. Wolffa. (W drukarni Gazety Codziennéj). Tom I, str. 240. Tom II, str. 278, i w każdym napisów kart 2.

DONIESIENIA LITERACKIE.

WARSZAWA.

Ze smutkiem i boleścią musimy donieść naszym czytelnikom, że barbarzyństwo niszczenia szacownych pamiątek historycznych nie ustało wcale. Starożytny zamek w Bobolicach pod Żarkami, opierający się tyle wieków potędze czasu, dziś w zupełną ruinę upada, a wkrótce i śladu po nim nie pozostanie. Obecnie niszczoną jest ta pamiątka: łamią mury, a dobytą cegłę obracają na budowę owczarni i inne domostwa.

— Otrzymujemy wiadomość, że ś. p. Seweryn Gołębiowski, współpracownik dawniéj naszego pisma, pozostawił rękopisma ojca swego na składzie u towarzysza swego szkolnego i przyjaciela p. Walerego Piotrowskiego, we wsi Chojno na trakcie bitym między Piaskami i Chełmem. Rękopisma te obejmują:

1) Dziennik gospodarstwa mego w Kazimierówce (w Hrubieszowskiém). Jestto raczéj pamiętnik rodzinny, bo oprócz rachunków i czynności ekonomicznych, notowane są codziennie wszelkie stosunki szanownego historyka zewnętrzne i wewnętrzne. Dziennik ten poprzedza wstęp objaśniający, co go skłoniło do zajęcia się gospodarstwem. Prowadzony jest od r. 1832 do 1845 własnoręcznie przez Łukasza Gołębiowskiego: ostatni rok, już obcą pisany ręką.

2) Opisanie pamiątek polskich złożonych w świątyni Sybilli w Puławach. Obejmuje prócz wstępu i przedmowy stronnic 168 wielkiego formatu.

3) Historya warszawskiego królewskiego Towarzystwa Przyjaciół nauk od piérwszego zawiązku do jego rozwiązania.

4) O wychowaniu matek rodziny, czyli o cywilizacyi rodu ludzkiego przez kobiéty. Jestto tłumaczenie z francuzkiego Aimé-Martin, podług wydania w Bruxelli 1837 roku.

5) Rady matkom Polkom, tyczące się wychowania dzieci. Jak należy stosować uwagi Aimé-Martina. (Praca oryginalna).

6) Kilkadziesiąt listów od synów: najwięcéj od Ludwika z Batignolles, kilka od Władysława z Galicyi i Tryestu. Nadto dwie paczki książek oprawnych, obszytych w płótno.

Podajemy o tém wiadomość dla pozostałych członków téj rodziny, ażeby wiedziały gdzie poszukiwać drogiéj spuścizny po zmarłym ojcu swoim. Seweryn Gołębiowski opuściwszy ostatni raz Warszawę, mając zamiar stałego osiedlenia się na Wołyniu, w przejeździe pozostawił te rękopisma u wspomnionego przyjaciela swego, który je troskliwie zachowuje. Sam, zaledwie przybywszy na upragnione miejsce, strawiony chorobą, któréj zaród śmiertelny od pewnego czasu w sobie nosił, już nie powstał z łoża, i umarł w saméj sile wieku, z wielką stratą dla literatury ojczystéj.

— Drukarnia Gazety Codziennéj rozpoczęła druk dwóch dzieł: „Życie, nauczanie i śmierć Sokratesa:" napisał Michał Glisczyński i „Pamiętniki kuratora magazynów" Marcinkowskiego, piszącego pod przybraném nazwiskiem A. Nowosielskiego.

— Professor szkoły sztuk pięknych Bolesław Podczaszyński wydaje w litografowaném odbiciu: Kurs dziejów budownictwa, który wykłada. Obecnie mamy zeszyt piérwszy ułożony ze stronnic 40 w 4-ce; wśród textu pomieszczono i ryciny objaśniające. Niemała to pomoc dla uczniów. Wydanie to ogranicza się na bardzo małéj liczbie exemplarzy.

— Józef Korzeniowski w celu poratowania zwątlałego zdrowia wyjechał do Włoch i osiadł w Nicei. Z listów otrzymanych dowiadujemy się, że stan zdrowia jego znacznie się polepszył.—Nasz historyk Karol Szajnocha, który słabością oczu doknięty, przerwać musiał prace swoje, i u wód morskich w Ostendzie szukał ulgi, powrócił do Lwowa, nie doznawszy polepszenia.

— Szkiców i obrazków wyszedł zeszyt V, i obejmuje: fizyologią Saskiego ogrodu. Autor tekstu rozdzielił bardzo trafnie swoje obrazki na godziny dnia każdego, w których ogród ten oddzielną przybiera charakterystykę. Te odcienia szczęśliwie są pochwycone. Zarzucamy tylko niedbałość stylu, w niektórych miejscach przechodzącą w rubaszność. P. Kostrzewski staranniejsze dał nam illustracye, a w rycinie „od 6-téj do 9-téj wieczorem" wydatnie pochwycił postacie.

— W chwili gdy otrzymujemy wiadomość, że August Cieszkowski złożył na ręce hr. Heliodora Skórzewskiego tysiąc talarów, jako nagrodę za pracę „Historyi włościan i stosunków ekonomicznych w dawnéj Polsce," w drukarni S. Orgelbranda ukończył się druk tejże treści dzieła E. Stawiskiego, obywatela kaliskiego, z którego obszerne ustępy podaliśmy w naszem piśmie. Autor uzupełnił je i rozszerzył.

— Wizerunki królów polskich rysowane p. Alex. Lessera, objaśnione textem historycznym przez Juliana Bartoszewicza, z litografii A. Pecq'a wyszedł zeszyt 2gi i obejmuje: 1. Stefana Batorego. 2. Zygmunta III. 3. Władysława IV. Jak portrety odznaczają się wiernością rysów oblicza i postaci tych królów, tak zarazem i starannością odbicia: obszerny text naszego badacza podnosi wartość téj publikacyi.

— Jako o osobliwości bibliograficznéj, a małéj wartości literackiéj wspomnimy o broszurze w ozdobnéj edycyi wydanéj p. n. „Genealogia domu królewskiego de Bourbon oraz domów królewskich: hiszpańskiego, obojga Sycylii i książęcego parmeńskiego". Tłumaczył wydawca z francuzkiego, z Księgi złotej, i jak pisze, uzupełnił. O dokładności genealogii nie wątpimy, gdyż jest tak szczegółowa, iż wymienia dzieci nawet naturalne. Rzecz sucha, nikogo zająć nie mogąca, bo wyraźnie tłumacz we wstępie powiada: „że nie wchodzi w żadne rozwinięcie historyczne". Oczywiście pozostała tylko genealogia, złożona z samych nazwisk i tytułów.

— Trzy kalendarze, które zyskały sobie chlubny rozgłos, wyszły niemal równocześnie na r. 1858. Na czele stawiamy: „Kalendarz wydawany przez Obserwatoryum Astronomiczne Warszawskie" dla ważności znajdujących się w nim przedmiotów. Wyliczymy je szczegółowo: 1) O kalendarzu gregoryańskim. 2) Ogólny stan roku 1856 pod względem meteorologicznym. 3) Statystyka ruchu ludności królestwa polskiego od r. 1816 do 1856 włącznie. Rzecz nadzwyczaj ważna i dotąd nieznana, a rzucająca wielkie i wymowne światło na stan naszego kraju. 4) Wykaz statystyczny miast królestwa polskiego za r. 1857 z akt urzędowych. Z niego bierzemy przekonanie, że wyjąwszy kilku miast większych gubernialnych, we wszystkich niemal innych ludność żydowska przemaga chrześciańską, że te miasta są raczéj żydowskiemi, niż polskiemi. Wyraźny dowód, dlaczego wznieść się u nas stan miejski nie może, ani miasta zakwitnąć. Fabryczne miasta są znów przepełnione przybyszami Niemcami, którzy się nawet języka krajowego pomimo długiego pobytu na ziemi naszéj nie nauczyli. 5) Górnictwo krajowe; wiadomość statystyczna o stanie kopalnictwa i hutnictwa w Królestwie Polskiém, p. H. Łabęckiego, daje nam wierny i dokładny obraz téj ważnéj gałęzi przemysłu krajowego. 6) Zimnica. Znany z prac naukowych Adam Helbich Dr. medycyny, członek rady lekarskiéj, podaje nam opis dokładny téj choroby (febry), która się w straszliwe rozmary rozszerzyła w kraju od lat trzydziestu i środki przeciw niéj lekarskie. Jasny i treściwy wykład zaleca tę pracę uczonego doktora. 7) Wiadomość o hypotece, oznajamia szczegółowo obywateli z tą ważną instytucyą krajową. 8). Kronika społeczna obejmuje dalszy ciąg z r. 1856 wiadomości najważniejszych wydarzonych w Europie, a zarazem z r. 1857 do miesiąca września włącznie.

Z podręcznych a użytecznych wiadomości mamy: o używaniu papieru stęplowego w Królestwie Polskiém; przepisy do przyjmowania i przesyłania depesz prywatnych telegrafem. Z tego wyliczenia przedmiotów, pomiędzy któremi wieleśmy jeszcze drobniejszych opuścili, czytelnicy mogą powziąć wyobrażenie o użyteczności tego kalendarza.

Kalendarze Józefa Ungra i Jana Jaworskiego w treści swéj zastępują u nas od lat wielu dawniejsze noworoczniki. Podniósł pierwszy do tego znaczenia Rocznik swój zmarły Stanisław Strąbski: Unger pierwszy poszedł w jego ślady, za niemi Jaworski. W kalendarzu Ungra czytamy wielce zajmujący kalendarz historyczny miasta Warszawy F. M. Sobieszczańskiego. Złożyli tu jeszcze utwory swoje: Kraszewski, ks. Mętlewicz, Adam Bartoszewicz, Syrokomla, W. Szymanowski, J. K. Gregorowicz, Wójcicki, Wilczyński, S. Zdzitowiecki, prof. J. Alexandrowicz, S. Pisulewski, E. Ostrowski, S. Przystański, J. N. Kurowski, Prażmowski, Jan Chęciński. Dla mieszkańców Warszawy ma jeszcze kalendarz Ungra tę przewagę, że mieści rok rocznie taryfę domów tego miasta i przedmieścia Pragi.

Kalendarz J. Jaworskiego, jako godła miesięcy w drzeworytach wprowadził pierwszy udatne drzeworyty. Z prac naukowych czytamy utwory: J. Sikorskiego, H. Skimborowicza, J. Bartoszewicza, H. Lewestama, L. Huberta, A. Wieniarskiego, F. S. Dmochowskiego, Romana Hubickiego, ś. p. Lipińskiego, J. N. Kurowskiego, Alex. Bohrowmickiego, E. Ostrowskiego, Adama Wiślickiego, J. Kr. Pietraszka, J. K. Gregorowicza, Strzeleckiego, B. Alexandrowicza, W. Jastrzębowskiego, Ludwika Twarowskiego, A. Połujańskiego, St. Löwenharda. Kalendarz ten oprócz części literackiéj przeważnie odznacza się wiadomościami rolniczemi i technicznemi.

Trzy te kalendarze, każdy z wybitną swoją barwą, odpowiadają w zupełności zadaniu swemu.

— Wydanie w przekładzie polskim „Koranu", coraz nowemi zdobyczami się zbogaca. Wydawca troskliwy o wszystko co może nadać większą jeszcze wartość téj publikacyi, więcéj nad prospekt dodaje. Tak znajdziemy w tém dziele rozprawę napisaną przez ś. p. Konstantego Świdzińskiego, który zajmował się numizmatyką wschodnią, odkrył monety tatarskie z napisami świadczącemi o panowaniu Witolda na Wschodzie. Rozprawa ta udzielona księgarzowi Nowoleckiemu przez J. Bartoszewicza, będzie ozdobiona drzeworytami, które księgarz ten i wydawca powierzył jednemu z zdolnych artystów do wykonania. Dodaną będzie nadto rozprawa obejmująca pogląd na różnice wyznań, mianowicie Mojżeszowych w czasach Mahometa, zebrana z dzieł najważniejszych angielskich i niemieckich. Gdy Jan Murza-Tarak Buczacki, tłumacz Koranu, umarł, obecnie biegły oryentalista W. Ko....., który przełożył z arabskiego modlitwy codzienne i świąteczne dla wyznawców Islamu, pomnożywszy je pięknem tłumaczeniem Hymnu religijnego, zajmuje się przypisami i objaśnieniami. W ostatku dołączony będzie kalendarz arabski w obecnych rozmiarach przez ś. p. Adryana Krzyżanowskiego ułożony. Z tego widzimy, jak wielce zajmującą i nauczającą jest publikacya Koranu. We wszystkich językach europejskich księga ta stanowiąca główny żywioł duchowy Mahometan, od kilku wieków

była ogłaszaną; znamy kilka tłumaczeń łacińskich, francuzkich, niemieckich, angielskich: w naszym języku dopiéro po raz piérwszy mamy zupełny przekład zbogacony jeszcze wiadomościami, mającemi łączność z Koranem lub rzucającemi nań światło. J. Bartoszewicz dołącza tu rozprawę, w któréj ma mówić o Tatarach w Polsce osiadłych: zwracamy jego uwagę na rozprawę o Tatarach ś. p. Jana Win. Bandtkiego. Rozprawę tę w połowie piérwszéj ogłosił K. Wł. Wójcicki w Album literackiém: całość zupełnie wkrótce wydrukujemy w naszém piśmie.

— Podaliśmy obszerne sprawozdanie Erazma Izopolskiego o dziele Kulisza: „Zapiski o południowéj Rusi". Przedmiot nadzwyczaj i nas zajmujący i mający ścisłą łączność z dziejami rzeczypospolitéj i literaturą naszą obecnych nawet czasów, bo pieśni i podania ukraińskie odbiły się tak wymownie w utworach tylu poetów polskich. Dzieła tego wyszło dwa tomy; ale piérwszy jest dla nas najwięcéj obchodzącym. Przekład jego już mamy i wkrótce w piśmie naszém ogłosimy.

— Józef Paszkowski znany chlubnie tłumacz Szekspira, wykończa obecnie przekład Otella. Tłumaczenie „Kupca weneckiego" będziemy w następnych zeszytach drukować.

— Druk „Rocznika urzędowego" na rok 1858 w drukarni S. Orgelbranda już się zaczął.

— „O uczuciu kolorów w stanie fizyologicznym i patologicznym oka". Dzieło przedstawione paryzkiéj akademii nauk przez Dr. Wiktora Szokalskiego, przełożył z francuzkiego na język polski Ferdynand Nowakowski student ces. król. Medyko-Chir. warszawskiéj akademii. Tłumacz w przedmowie pisze: „Co mnie skłoniło do przetłumaczenia téj książki? Obok zamiłowania przedmiotu, chęć przysłużenia się ogółowi, przyswojeniem pracy uczonego rodaka; pracy, wyrażonéj nieprzystępném dla wszystkich słowem. Owoc długoletnich doświadczeń zbieranych pod obcem niebem, zniewolił autora do objawienia swych idei w nieojczystym języku. Godna zatém, aby dzieło podobnéj treści, przy zupełnym prawie braku prac traktujących oddzielnie o najdroższym organie człowieka, o oku, i wobec ożywionego zapału ku nauce sztuki lekarskiéj, stało się dla współziomków przystępném i moim kolegom w mozolnych trudach ulgę przynieść mającém. Niemcy już dawno przyswoili sobie to dzieło; mniemam, że i ta okoliczność choć niezbyt zaszczytna, żeśmy się dali uprzedzić cudzoziemcom, będzie niemałą podnietą do zapoznania się z pracą szanownego autora. Książka ta miała dwa wydania w języku francuzkim: najprzód w rocznikach okulistycznych (Annales d'oculistique publiées par M. Florent Cuvier), a powtóre oddzielnie wyszła w Paryżu r. 1841 i z tegoto wydania dokonaliśmy przekład!" Tłumaczenie przygotowane do druku przez F. Nowakowskiego mieć będzie przewagę nad oryginałem ogłoszonym z tego względu, że sam autor je przejrzał i przypisami powiększył. My podając o téj pracy wiadomość, cieszymy się, że zacna młodzież polska, która z takim zapałem rzuciła się do tylko co otwartéj Akademii w mieście naszém, pojmuje potrzebę pracy i nauki, z któréj i ogół korzystać będzie. Wiemy, że w jéj gronie są i dojrzalsi wiekiem, ludzie z doświadczeniem i nauką, którzy już obznajmieni z pracami literackiemi, nie zależą pola. Lat kilka swobodnego rozwoju

téj instytucyi, a błogie owoce pracy i poświęcenia szlachetnéj naszéj młodzieży kraj cały zbierać będzie.

Tom pierwszy dzieł Adama Mickiewicza, wydania S. H. Merzbacha, wyszedł z druku ozdobiony wizerunkiem zmarłego wieszcza. Tom ten obejmuje przedmowę, która się mieściła przy najpierwszém wydaniu ballad i romansów, oraz „O recenzentach i krytykach warszawskich" znaną rozprawę; po nich następują ballady, romanse, powiększone późniejszemi utworami. Tom 2gi zawierać będzie Grażynę i Wallenroda. O dalszych tomach w swoim czasie doniesiemy.

J. I. Kraszewski nadesłał nam nowy swój utwór p. n. „Staropolska miłość. Urywek pamiętnika spisany przez J. I. Kraszewskiego". W zeszycie styczniowym na r. 1858 rozpoczniemy druk téj opowieści.

— Zeszyt XII „Opisu Cmentarza powązkowskiego" już w druku ukończonym został; równocześnie cały tom trzeci dodatkowy z tym zeszytem wyjdzie. Tom ten obejmujący czterdzieści arkuszy ścisłego druku, zawiera oprócz dopełnień do Cmentarza powązkowskiego opisy następnych cmentarzy: 1. Święto-Krzyzkiego. 2. W Warszawie przy ulicy Leszno. 3. W Wilanowie. 4. W Czerniakowie. 5. Na Pradze. 6. Na Bielanach. 7. We wsi Wawrzyszewie. 8. Ewangelicko-Augsburskiego wyznania. 9. Ewangelicko-Reformowanego. 10 W Woli pod Warszawą. Obszerne przypisy i dodatki uzupełniają całość dzieła: w końcu dodany skorowidz alfabetyczny. Tom ten ozdobiony rycinami, oddzielnie może być nabywany przez prenumeratorów pierwszych dwóch tomów.

— „Rozrywek dla młodocianego wieku, pod redakcyą Seweryny z Żochowskich Pruszakowéj wychodzących, mamy już seryi 2iej tom pierwszy, z trzech zeszytów złożony.

Pismo to doborem artykułów, starannością redakcyi, dążnością szlachetną i moralną, zasługuje na jak największe upowszechnienie, tem bardziéj, że i cena złp. 30 za pięć tomów jest dostępną, a w handlu księgarskim niewiele praktykowaną. Oprócz opowiadań historycznych, dzieło to zawiera życiorysy zasłużonych mężów; z literatury polskiéj znane już z pierwsze sery: czytania obejmujące czasy Piastowskie; wyjątki z dzieł ks. Ventury; „O wpływie niewiasty na społeczeństwo," zajmujące ważnością swéj treści, jak prostotą wykładu, i wybornym językiem; dramat w dwóch aktach p. n. „Olsztyn," wierszem, drobniejsze poezye tak redaktorki, jak Maryi Ilnickiéj znanéj z prawdziwie poetycznego talentu i w. i. Z podróży mamy tu: „Wycieczkę do krainy Cyda," przekład ze słynnego Fr. Ozanama; powieści i listy uzupełniają całość tego tomu. Możemy z całą sumiennością oddać pochwały zasłużone temu pismu, które w wychowaniu domowém powinno być najpierwszą książką, bo może być podaną z użytkiem wielkim naszéj dorosłejszéj dziatwie. Znajdzie tu i poważniejszy czytelnik niemało dla siebie przedmiotów zajmujących i nauczających.

— „Nowe bajki i powiastki" dla dzieci, oryginalne, Tymoteusza Rodziszewskiego, wyszły z druku. W pośród mnóstwa tłumaczonych książek, często bezsensownych dla dzieci, a wabiących tylko oczy jaskrawemi rycinami, miło jest napotkać pracę sumienną, z dążnością mającą na celu moralność czystą i naukę. Do takich liczymy „Nowe bajki" Rodziszewskiego. Język czysty, polski, pełen jasności i prostoty, przedmioty

brane z powszedniego życia i zastosowane zręcznie do dziecinnego świata: są to wielkie zalety, na które nie wszyscy pisarze nasi zwracają swoję uwagę. Drobna dziatwa, co zachwyci pierwszą rozwijającą się myślą, pierwszém jeszcze w pączku niewinnego uczucia, to zachowa na całe życie, i wrażenia te przypomni sobie, będąc już mężem dojrzałym i oświałym starcem. Po bajkach i powieściach zasłużonego Jachowicza, po sumiennych w tymże rodzaju pracach Teofila Nowosielskiego. bajki i powiastki Rodziszewskiego można śmiało naszéj dziatwie podać jako zdrowy i posilny pokarm.

Wilno. Za rzecz pewną mamy, że wkrótce otrzymamy pozwolenie Najwyższe na założenie w Wilnie Liceum realnego, mającego się składać z trzech oddziałów: mechanicznego, technicznego i agronomicznego.—Drugi zeszyt Teki wileńskiéj jest już pod prasą. Syrokomla napisał nową gawędę p. n.: Ułas, z wypadków 1812 roku, która się drukuje u T. Glücksberga.

— Z sprawozdań wileńskiéj archeologicznéj kommissyi w r. b. dowiadujemy się, że rzeczywisty członek A. H. Kirkor złożył programat 2-go tomu Pamiętników kommissyi, który obejmować będzie: 1) Przegląd posiedzeń Kommissyi od 11 czerwca 1856 r. 2) i 3) Dwie rozprawy rzeczywistego członka M. Gusiewa: o starożytnym litewskim i runicznych kalendarzach. 4) Rys historyi archeologii w Polsce i Litwie Ludwika Kondratowicza (Syrokomli). 5) Przegląd czynności główniejszych naukowych towarzystw w słowiańskich krajach i rzut oka na najnowsze archeologiczne poszukiwania. 6) Rozmaitości archeologiczne. 7) O posążkach bóstw litewskich znajdujących się w muzeum Teodora Narbutta. Katalogi: archeologicznéj kollekcyi ułożony przez A. H. Kirkora; portretów i biustów przez L. Kondratowicza, i pamiątkowego, przez prezesa Eust. Tyszkiewicza i rzeczywistego członka Pawła Kukolnika.

O przybraniu nowych członków i otrzymanych darach podał wiadomość Kuryer Wileński a z niego wszystkie nasze gazety: będziemy czytali nadto w mającém wyjść drugim tomie Pamiętnika Kommissyi. Wspomnieć tu musimy o przyjętéj zasadzie podanéj przed czcigodnego prezesa na ostatniém posiedzeniu: ażeby za każdego zmarłego członka, żałobne nabożeństwo w kaplicy w obecności całego składu kommissyi odprawianém było; aby życiorys jego na jedném z posiedzeń odczytanym został, a portret w sali muzeum zawieszony.

Z rzetelném i serdecznem współczuciem śledzimy rozwój téj naukowéj instytucyi, która wsparta zapałem prawdziwie obywatelskim, coraz obfitsze zapowiada nam owoce.

Poznań. Nakładem J. K. Żupańskiego wyszedł poemat Teofila Lenartowicza p. n.: Święta Zofia.—Muzeum starożytności polskich, założone przy wydziale nauk historycznych i moralnych towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, już zebrało niemały zasób tego rodzaju pamiątek. Radzibyśmy ujrzeć spis ich poszczegółowy, wraz z dokładną wiadomością o wykopaliskach, gdzie te zabytki wydobyte zostały.

Odessa. Jako osobliwość zapisujem, że przed miesiącem wyszła tu pierwsza książka polska drukowana p. n.: Chwile od prac swobodne. Jestto zbiór poezyj E. A. Łukaszewicza.

Wrocław. Walenty Masłowski doktor filozofii (urodzony w Krzewinie w W. K. Poznańskiem r. 1828) wydał w Wrocławiu ważną rozprawę inauguracyjną w języku łacińskim: o Życiu i poezyach Klemensa Janickiego. (De vita et poesi Clementis Janicii; dissertatio inauguralis. Vratislaviae 1857). „Czas" dodatek na październik r. b. pisze: „Janicki urodzony r. 1516 we wsi Januszkach koło Znina w Wielkiéj Polsce, protegowany od Andrzeja Krzyckiego arcybiskupa gnieźnieńskiego i kosztem Piotra Kmity wojewody krakowskiego do Padwy na nauki wysłany, poezyami swemi łacińskiemi zwrócił na siebie uwagę uczonych włoskich, a mianowicie kardynała Piotra Bembo, który go papieżowi Klemensowi VII zalecił, że go tenże aczkolwiek dwudziesto-letniego młodzieńca, wieńcem poety zaszczycić raczył. Słabe i nadwerężone zdrowie, prowadziło Janickiego napowrót do kraju, gdzie pomimo zabiegów lekarskich na dworze Kmity r. 1543 zawcześnie żywot swój zakończył. W rozprawie powyższéj zebrał pan Masłowski troskliwie wszelkie szczegóły, dotyczące życia Janickiego, i takowe zestawił, dołączywszy oraz krytyczny rozbiór pod względem estetycznym i gramatycznym poezyi Janickiego, które mu niepospolitą sławę u cudzoziemców, a nawet przydomek drugiego Tybulla zjednały. Prócz tego podał autor wiadomość o dwóch przez siebie odszukanych dziełkach Janickiego, których nie ma w zbiorze wszystkich poezyj Janickiego, r. 1755 w Lipsku przez Jana Ehrenfrieda Boehma ogłoszonym: Quaerela reipublicae Polonae 1538, dochowanym w jednym egzemplarzu w bibliotece Ossolińskich, i o epigrammatach znajdujących się w księgozbiorze kurnickim (T. hr. Działyńskiego). Ważna ta i do bibliografii wielce przydatna praca p. Masłowskiego, powinnaby i innych rodaków, kończących nauki w uniwersytetach obcych zachęcić do obierania rodzinnych przedmiotów za wątek swych rozpraw inauguracyjnych".—Znany wydawca statutów dyecezalnych wrocławskich ks. Mortimer Jan Montbach sekretarz arcybiskupa wrocławskiego wydał w języku niemieckim: „Szematyzm dyecezyi wrocławskiéj na r. 1857". Książka ta, z powodu wielostronnéj użyteczności swéj ze wszech miar zasługuje na uwagę: albowiem prócz dokładnych dat statystycznych i etnograficznych, zawiera chronologiczny spis wszystkich biskupów i sufraganów wrocławskich, opisanie pojedynczych kościołów z wymienieniem roku założenia i stylu w jakim są zbudowane, prócz tego z wyszczególnieniem wszelkich starożytności, jakoto: obrazów, rzeźb, pomników, napisów, chrzcielnic, dzwonów, naczyń, i paramentów kościelnych, rękopismów, książek i t. p. ciekawości, które się w nich znajdują. Życzyćby należało, aby i konsystorze polskie, wziąwszy sobie za wzór pracę ks. Montbacha, obok imion osób i nazw wsi podawały podobne notaty starożytnicze, a wtedy powzięlibyśmy wiadomość o niejednym ważnym pomniku artystycznym i historycznym, spoczywającym dotąd w zapomnieniu. Prócz tego, skorowidz taki stanowiłby bogaty zasób dokładnego opisu kraju, na jakim nam dotychczas zbywa, i posłużyłby za wskazówkę badaczom. Z szematyzmu ks. Montbacha dowiadujemy się, iż dyecezya wrocławska podzielona na 90 dekanatów, liczy 1,255 kościołów parafialnych i filialnych, oraz 1,546,812 ludności katolickiej, pomiędzy którą około 700,000 dotąd, (nie licząc już protestantów) językiem polskim mówi.

Sanok. Nakładem Pollaka wkrótce wyjdą „Pamiętniki Janczara Polaka" w dwóch textach, według dawnéj i nowéj pisowni. Mają wyjść także pisma Reja. Życzylibyśmy, ażeby wydanie to objęło wszystkie znane tego pierwszego pisarza polskiego prace; jak „Zwyercyadło, Figliki, Zwierzyniec, Apokalipsis" i t. p. Chociaż psałterz jego zaginął, pozostały pojedyńcze psalmy: te należałoby włączyć. Byłaby to daleko ważniejsza przysługa literaturze naszej, jak nowy przedruk dzieł Krasickiego. Dziwna rzecz! mnożą się przedruki, a nic nowego panowie nam nakładcy nie dają, tylko dobrze znanemi karmią; na co powtarzać pisma pospolite, upowszechnione: czyliż braknie już dzieł ważnych a rzadkich z dawnéj literatury. Nie możemy dysyć ubolewać nad tém, że zakład Imienia Ossolińskich nie wziął na siebie wydawnictwa przedruków dzieł zasługujących na to. Wszak zasobów nie brakłoby i na kilkaset tomów. Posiada unikaty, znane tylko z bibliograficznego opisu: a któżby lepiéj i sumienniéj rzecz tę przywiódł do skutku niż Bielowski. P. K. Turowski wydawca Biblioteki polskiéj przeniósł to wydawnictwo do Krakowa; jeżeli zyskamy na regularném wychodzeniu, to widać, że sam wydawca niema planu stałego, tylko drukuje co mu wpadnie pod rękę. Należałoby rozważniéj przystępować do tak wielkiego przedsięwzięcia. Na cóż ogłaszać pisma powszechnie znane: jak Kochanowskiego, Orzechowskiego, Wyzwoloną Jerozolimę, Pamiętniki Paska, Doświadczyńskiego Krasickiego, jego Bajki; Leszka Białego, utwór niegodny przedruku; Jana z Tenczyna J. U. Niemcewicza, Barbarę Felińskiego i t.p. Dopuścił się nawet nieprzebaczonego grzechu, bo poważył się cudzą grabić własność, przedrukowując pisma i poezye Brodzińskiego. Jakkolwiek przed prawem upomnienia się na drodze prawa, zasłonił się granicą austryacką, powinien wiedzieć, że to jest święta własność pozostałej córki zmarłego poety, który jéj w pismach swoich jedyny spadek zostawił. „Biblioteka polska" z nowych i mniéj znanych przedruków zaledwie nam kilka dała. Jeżeli taka niedbałość i nieumiejętność redakcyi zostanie, myśl pierwotna, piękna, godna poparcia, zamieni się w spekulacyjną, małéj wartości publikacyą.

Przywiódłszy list ten w całości, bo uważamy za słuszne zarzuty, jak z jednéj strony niedbałości redakcyi, tak z drugiéj upomnienie się o prawa własności autorskiéj, musimy dodać, że publikacya ta weszła teraz na drogę, po któréj idąc, może zyskać sympatyą ogółu. Wincenty Pol objął główną redakcyą „Biblioteki polskiéj:" dawny redaktor Turowski zostaje współpracownikiem; uczeni krakowscy przyrzekli w tém przedsięwzięciu swą pomoc. Plan obmyślany i staranna i umiejętna przewodnicząca ręka, wróży nam plon pożywniejszy niż dotychczas. Już mamy tego dowód w wydaniu wszystkich pism Jana Kochanowskiego w edycyi poprawniéj we 2 tomach, z ryciną na stali wieszcza Czarnolesia: a które obejmując 600 stronnic sumiennego druku, kosztują tylko złp. 7. Jestto bezprzykładna taniość w handlu księgarskim naszym. Radzilibyśmy, ażeby obecna redakcya wzięła przedewszystkiém na uwagę dzieła z dawnéj literatury polskiéj, dotąd nie przedrukowane, jak: Kochowskiego, Grochowskiego, Zbylitowskich, Rybińskich: równie jak prozaików naszych. To teraz powinno być głównym celem nowéj redakcyi. Prosimy o sumienny przedruk Herbarza Paprockiego, tyle potrzebnego dla badaczy dziejów: o wszystkie pisma Reja, nie wyjmując Zwierzyńca,

Figlików i drobnych pism. Jeżeli Kraków tych rzadkich broszur nie ma, za zniesieniem się z Warszawą łatwo mieć je w dokładnym odpisie. Potrzebujem kronikarzy polskich w tak staranniéj edycyi jak mamy Stryjkowskiego, p. Leona Rogalskiego, a nakładem L. Glücksberga. Znajdzie się tysiące broszur ważnych do dziejów literatury, które godne są przedruku. Niech „Biblioteka polska" weźmie za główny cel bogactwa naszéj przeszłości, a wszyscy uczeni pomocy swéj nie odmówią i przedsiębiorstwo całe może być pewném współczucia ogółu i jak największego upowszechnienia w całym kraju.

Rzym. Drukiem propagandy wydano tu Katechizm polski p. n. „Dar boży", czyli nauka chrześciańska dla prostaczków. Rzecz to dobra i użyteczna, rozłożona przyzwoicie, napisana z wielką prostotą, obok pewnéj żywości kolorytu. Niéma w polskim języku katechizmu równie przydatnego dla dzieci i dla ludzi prostych.

OD REDAKCYI.

Biblioteka Warszawska wychodzić będzie w tymże jak dotąd zakresie w r. 1858.

Cena przedpłaty pozostaje taż sama, tojest: w Królestwie rub. sr. **9** rocznie, lub rub. sr. **4** kop. **50** półrocznie. W Cesarstwie przedpłata roczna z przesyłką pocztową w kopertach wynosi rub. sr. **10**: z tém jednak zastrzeżeniem, aby kwota ta była wprost nadesłaną *franco* albo: do Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 619, lub też: do Expedycyi Gazet w Warszawie.

Prenumeratorowie Biblioteki Warszawskiéj otrzymają w ciągu 1858 r. ***bezpłatnie*** cztery tomy ***Zbioru pamiętników do dziejów polskich,*** wydawanego przez *Włodzimierza Stanisława hr. de Broel Platera.* Z powodu nieprzewidzianych przeszkód, tom I^szy tych ***Pamiętników*** zamiast do zeszytu grudniowego, dołączony będzie przy zeszycie styczniowym r. p.

Spis przedmiotowy i alfabetyczny z pięciu lat Biblioteki Warszawskiéj, doręczony zostanie prenumeratorom tegoż pisma równie bezpłatnie w ciągu piérwszego kwartału 1858 r.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Wolno drukować.— Warszawa, d. 17 (29) Listopada 1857 r.—Cenzor, Radca Dworu *Stanisławski.*

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

***Październik*, 1857.**

Październik 1857. **Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obser**

watoryum Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad po-
ziom morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie
1g. 14m.45s.,7 czyli w łuku 18°41'25,"5 na
wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				Wilgotność na 100 cz. Średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłe w milim. z	
		6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz.wiecz.	10 godz.wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god.w.	10 god.w.	dé-szczu	śnie-gu
1		756.75	757.26	755.29	754.53	+ 9°.3	+ 14°.8	+ 18°.6	+ 11°.0	81.2	l. zam. l. mg.	smugi	pr. pogodny	lek. zamgl.	—	W.	—	Pd.		
2		751.60	750.84	748.92	749.02	+ 9.6	16.7	18.3	12.4	76.3	lek. zamgl.	smugi	pochmuruy	poch dész.	PdZ.	PdZ.	Z.	Z.	1.2	
3	☽.	749.44	749.97	748.89	749.37	+ 9.0	13.7	15.2	15.0	71.0	napół p. d.	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	1.6	
4		750.27	751.04	749.17	749.17	+ 13.1	15.4	19.3	11.3	71.1	lek. pochm.	pochmurny	pogodny	pogodny	Z.	Z.	PdZ.	—		
5		749.05	749.20	746.91	746.33	+ 7.2	14.2	21.5	12.0	80.3	smugi	smugi	pogodny	pogodny	Pd.	Pd.	PdW.	PdW.		
6		745.54	745.41	742.70	743.64	+ 8.9	16.0	20.9	13.3	70.0	lek. zamgl.	smugi	pogodny	napół pog.	PdW.	—	Pd.	PdZ.		
7		748.37	749.87	749.39	749.53	+ 8.8	10.9	14.4	8.5	78.5	lek. poch.d.	pr. pogodny	pr. pogod.	pogodny	Z.	Z.	—	—		
8		748.22	747.39	744.93	743.58	+ 4.8	10.9	14.4	9.1	89.0	mgła gruba	pochmurny	lek. pochm.	lek. pochm.	—	PdW.	PdW.	PdW.	1.0	
9		742.10	742.20	740.82	738.97	+ 10.1	17.4	19.1	15.2	80.1	lek. zamgl.	pogodny	pochmurny	pr. pochm.	PdW.	Pd.	PdW.	PdW.		
10	☾.	737.86	741.77	744.81	746.81	+ 14.0	12.4	13.7	11.5	83.0	lek. pochm.	pochmurny	poch. dész.	pochmurny	Pd.	PdZ.	Z.	Z.	1.2	
11		748.85	749.29	749.40	750.37	+ 10.0	11.2	12.7	12.0	96.0	mgła gruba	mgła gruba	dészcz	pochmurny	—	Pn.	Pn.	Pn.		
12		752.33	754.05	755.46	757.26	+ 11.8	12.8	15.0	10.4	85.8	pochmurny	pochmurny	napół pog.	pr. pogod.	Pn.	PnZ.	—	PnZ.		
13		758.87	760.14	760.90	762.05	+ 10.8	12.3	11.4	8.7	88.0	pochmurny	poch. l. mg.	pochmurny	pogodny	PnZ.	Pn.	PnW.	PnW.		
14		762.09	763.00	761.66	761.53	+ 3.4	8.7	13.0	7.1	88.5	l. zam. mgł.	pogodny	pogodny	pogodny	—	W.	—	PdW.		
15		760.22	760.19	758.34	757.22	+ 9.4	11.2	12.0	9.6	88.2	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	PdW.	—	PdW.	—		
16	☽.	753.50	752.78	750.85	751.40	+ 7.0	12.8	18.5	12.0	88.0	mgła gruba	pogodny	pogodny	pochmurny	—	Pd.	Z.	PnZ.		
17		752.44	754.01	754.24	757.12	+ 10.9	11.6	11.5	4.2	77.3	pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	PnZ.	PnW.	PnW.	—		
18		757.68	757.80	755.91	756.40	— 0.8	4.1	8.5	2.4	79.2	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	—	W.	PdW.	6.6	
19		754.71	754.82	754.57	754.66	+ 1.4	5.5	10.2	6.1	75.0	pr. pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	1.6	
20		753.91	754.17	752.98	752.97	+ 2.5	6.4	13.5	7.5	84.8	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
21		751.90	750.40	749.14	748.10	+ 4.9	14.2	15.6	8.7	80.2	napół pog.	pogodny	pr. pogodny	pogodny	Pd.	PdW.	PdW.	PdW.		
22		746.07	745.64	744.35	745.60	+ 8.5	11.9	16.6	11.5	73.5	lek. pochm.	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.		
23		749.59	752.91	755.40	757.85	+ 13.3	14.3	14.3	8.0	83.0	pochmurny	pogodny	pogodny	pogodny	Z.	Z.	Z.	—		
24		759.51	760.71	761.10	762.16	+ 4.6	7.7	10.9	8.5	88.3	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Pn.	—		
25		762.32	762.43	760.96	759.62	+ 6.2	7.5	7.1	5.5	87.5	pochmurny	pochmurny	pogodny	pochmurny	—	PnW.	W.	Pd.		
26	☽.	756.42	755.59	752.82	751.98	+ 4.6	6.4	10.4	4.3	87.1	pochmurny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	—	PdW.		
27		750.95	751.46	751.62	753.23	+ 2.1	5.0	12.0	7.1	91.0	pogodny	pogodny	pogodny	napół pog.	PdW.	—	—	PdW.		
28		753.91	755.35	755.60	756.76	+ 6.8	8.7	12.7	7.1	87.5	lek. pochm.	lek. pochm.	lek. poch.	napół pog.	PdW.	W.	W.	—		
29		756.52	756.67	755.28	754.48	+ 4.6	8.5	9.2	6.8	89.5	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	—	PdW.	—		
30		751.64	751.13	750.45	750.42	+ 5.6	7.5	9.6	8.3	95.3	poch. dész.	mży	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	—	—	2.0	
31		750.45	751.15	752.68	755.05	+ 7.6	8.0	8.1	6.9	96.0	mgła gruba	mgła gruba	pochmurny	pochmurny	—	Pd.	Z.	—	3.2	
Śre.		752.360	752.859	752.114	752.490	+ 7°.42	+10°.93	+13°.81	+ 9°.10	83.6									18.4	

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	752.456	27	9.561
Najwyżej barometr dochodził d. 14 o g. 10 r.	763.00	28	2.235
Najniżej — — d. 10 o g. 6 r.	737.85	27	3.086
Średnia zmiana dzienna barometru	3.881		1.720
Największa zmiana dzienna barometru d. 22—23 o g. 10 w.	12.25		5.430
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 31 lat poprzedzających	1.682		0.746
	750.774	27	8.815
Średnia temperatura października wynosi:	+ 10°.31 C.	+	8°.25 R.
i ta jest wyższa o	2.03 „		1.63 „
od stanu normalnego z 31 lat poprzedzających	+ 8.28 „	+	6.62 „
Największe ciepło było d. 5 o g. 4 wiecz.	+ 21.5 „	+	17.20 „
Największe zimno — d. 18 o g. 6 rano	— 0.8 „	—	0.64 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.729 „		2.183 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 17—18 o g. 6 r.	11.7 „		9.36 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: + 18°.7 R. d. 5 po połud.
Minimum: — 0°.7 „ d. 18 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 83.6, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 8.29 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blizko o 0.02 mniejsza od normalnéj.

Ilość wody spadłéj z deszczu wynosi co do wysokości: 18.4 mil. czyli 8.16 lin. par.; ilość ta wody jest o 16.38 lin. par. miejsza od téj jaka średnio w październiku u nas spada.

Dni pogodnych było 9, napół pogodnych 6, pochmurnych 16.
— deszczu 8 (d. 2, 3, 7, 10, 11, 12, 30, 31).
— mgły 7 (d. 1, 8, 11, 13, 14, 16, 31).
Wiatrów mocnych było 3 (2 Z., 1 PdZ.).
Wiatr panujący Południowo-Wschodni.

Październik r. b. w ogóle był pogodny, suchy i przeszło o półtora stopnia R. cieplejszy niż zwykle; w pierwszéj połowie był ciepły lecz niepogodny, w drugiéj pogodny, suchy, lecz chłodny. Miesiąc ten równie jak i rok cały odznaczał się suszą, deszcze padały rzadko i nie obficie; od dnia 12 do 30 ani razu deszcz nie padał, wody z deszczu spadło trzy razy mniéj niż zwykle. Najcieplejsze dni były d. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 9, 10, 12, 16; 23; najchłodniejsze d. 18, 19, 20, 24, 25, 26, 29, 30, 31. Pod względem stanu nieba miesiąc ten pogodniejszy był niż zwykle, albowiem w stanie normalnym stosunek dni pogodnych, do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 5,2 : 8,9 : 16,9; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 9 : 6 : 16.

Z powodu suszy stan wody na Wiśle był bardzo nizki.
Największa wysokość wody dochodziła stóp 3 cali 8 d. 19.
Najmniejsza — — — stóp 2 cali 9 d. 11. 12, 13, 14 i 15.
D. 19 pokazała się na słońcu gromada plam z 4 złożona.
D. 28 o godz. 9 min. 10 wiecz. koło białe znacznéj wielkości otaczało księżyc.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z R. 1857.

—

Materyały historyczne.

Stron.

Nagrobek Bolesława Chrobrego. Wyjątek z dzieła do druku przygotowanego: Opis historyczny kościołów, klasztorów, szkół parochialnych, szpitali i innych zakładów dobroczynnych w dawnéj dyecezyi poznańskiéj, przez *J. Łukaszewicza*..... 1

Treść pięćdziesięciu dokumentów z archiwum kapituły katedralnéj krakowskiéj, podał *J. Ł.*..... 273

Jezuici w Kaliszu (1581 — 1775). Szkic historyczny, skreślił *Cezar Biernacki*..... 408

Starania domu rakuskiego w XVI wieku o koronę polską, przez *Juliana Bartoszewicza*..... 553

O biskupach kruszwickich. Początek dziejów katedry kujawskiéj, przez *Zygmunta Komarnickiego* (dokończenie)..... 649

Cerkiew zamkowa w Kodniu, oraz znajdujący się w niéj nagrobek Jana Sapiehy wojewody podlaskiego, przez *J. Łoskiego* (Z dwiema rycinami)..... 725

Nowe listy Kopernika, przez *Dominika Szulca*..... 781

Archeologia.

Początek ikonografii naszéj. W spisie małego zbioru rycin i obrazków w odciskach z blach miedzianych, które przedstawiają wizerunki królów polskich i znakomitych mężów; tudzież SS. Patronów naszych i błog. Polaków. Dodane są prace rytowników naszych i inne tu należące przedmioty. Przez *Ambrożego Grabowskiego* (dokończenie)..... 240

Nauki społeczne.

Stron.

O zakładach kredytowych w zastosowaniu do rolnictwa, przez *Felixa Zielińskiego*..... 468

Opisy i podróże.

Wycieczka na Podlasie, przez *J. Grajnerta*..... 53
Kilka uwag historyczno-statystycznych o gubernii augustowskiej, skreślił *B. Tykiel*..... 162, 606

Literatura.

Pogląd na piśmiennictwo europejskie, przez *Dominika Szulca*..... 82
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Szesnasty tom Konsulatu i Cesarstwa.— Biografia Eugeniusza Sue. — Salon Diderota.— Wiadomości literackie..... 131
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. „Anglicy i Indye" przez konsula Valbezen. — Teatra. — Dramat Montépin'a „Les Viveurs de Paris."— Wiadomości literackie..... 382
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Maison Rustique, przez panią Millet-Robinet. — Mémoires sur Béranger, przez pana Savinien Lapointe, i inne dzieła o pieśniarzu Francyi. — Lornetka literacka, przez Karola Monselet.—Pamflet, komedya pana Legouvé. — Teatr włoski. — Pomnik Geoffroy Saint-Hilaire.—Wiadomości literackie..... 700
O poezyi włoskiéj w średnich wiekach jako źródle do Boskiej komedyi Danta, przekład *z A. Fryderyka Ozanama*..... 175, 441, 633
Pamiętniki Franciszka Kowalskiego. (1825). Odessa.— Adam Mickiewicz i Puszkin.—Podróż z Umania do Odessy..... 347
Pamiętniki Franciszka Kowalskiego. (1823). Święto Cerery w Mińkowcach, d. 15 sierpnia..... 623

Poezye.

Sprawa graniczna. Powiastka przez *Ludwika Niemojowskiego*..... 24
Urywek z powieści pod tytułem: Tomiło, przez *Wincentego Korolyńskiego*..... 160
Pielgrzym, przez *G. Z.*..... 406
Rada, przez *Jerzego Laskarys*..... 603
Szaleńcy. (Z Berangera), przez *W. Korolyńskiego*..... 647
Tymka Padury Mandriweć..... 699

Dramat.

Makbet. Tragedya w pięciu aktach; przekład z Szekspira przez *J. Paszkowskiego*..... 94, 289

Rozbiory.

Stron.

Makbet, tragedya Szekspira, przełożył wierszem A. E. Koźmian. Poznań. 1857. Przez *Bolesława Wiktora*..... 191

Piotr Skarga i jego wiek, przez M. J. A. Rychcickiego. Kraków. 1850. Przez *J. Ł.*..... 200

Przegląd muzykalny. Studya nad muzyką dramatyczną czyli operą. Przez *M. K.*..... 207, 752

Czas, dodatek miesięczny, na czerwiec, lipiec i sierpień r. b. 228, 528, 773

Żywoty sławnych Ormian w Polsce. Napisał ks. Sadok Barącz Dominikan. Lwów. 1856. Przez *Juliana Bartoszewicza*..... 493

Mozajka kontraktowa. Pamiętnik z r. 1851, przez Alexandra Grozę. Wilno. 1857. Przez *K. Wł. Wójcickiego*..... 515

Kwiaty i poezye. Wykonał własnym nakładem Maxymilian Fajans. Warszawa. 1858..... 526

Pamiętniki dziejów polskich, z aktów urzędowych lwowskich i z rękopismów, zebrał ksiądz Sadok Barącz Dominikan. Lwów. 1855. Przez *Juliana Bartoszewicza*..... 737

Polemika o kwestyi włościańskiej. Wola i niewola w pracy, przez Seweryna hr. Uruskiego. Warszawa. 1857. Przez *Leona* hr. *Lewickiego*..... 747

Korrespondencye.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od *Oskara Flatta*..... 537

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od *Teodora Narbutta*..... 538

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od *Hier. Łab*..... 784

List z kopalni złota syberyjskich, p. *P. Borowskiego*..... 785

Kronika bibliograficzna..... 250, 541, 797

Doniesienia literackie..... 252, 542, 799

Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomicznem warszawskiém:

za miesiąc sierpień r. b..... 269

— — wrzesień r. b..... 549

— — październik r. b..... 809

Od redakcyi Biblioteki Warszawskiéj..... 548, 800